

Co
widziały
wrony

Ann-Marie

MacDonald

Z angielskiego przełożył

Sławomir Studniarz



Świat Książki



Tytuł oryginału
THE WAY THE CROW FLIES

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redaktor
Elżbieta Bryńska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Maciej Korbasiński Elżbieta Jaroszek

Copyright © 2003 A. M. MacDonald Holdings Inc.

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Sławomir Studniarz, 2006

Świat Książki
Warszawa 2006

Bertelsmann Media Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
KOLONEL

Druk i oprawa
GGP Media GmbH, Pössneck

ISBN 978-83-7391-347-9

ISBN 83-7391-347-5

Nr 4591

Macowi i Lillian

Na pamiątkę wspólnie przeżytych chwil

*Jesteśmy skazani na dokonywanie wyborów, a każdy wybór
może pociągać za sobą niepowetowaną stratę.*

Isaiah Berlin

Część pierwsza

TO NASZ OJCZYSTY KRAJ

Spis treści:

Część pierwsza TO NASZ OJCZYSTY KRAJ	5
OGRÓD ZIEMSKICH ROZKOSZY	9
WITAMY W CENTRALII	30
ZA TYCH, KTÓRZY SĄ PONAD TO WSZYSTKO	47
MAYFLOWER	60
WILKOMMEN, BIENVENUE, WITAMY	76
ACH, TA SŁODYCZ	96
SZCZUROŁAP	116
BAJKOWE OGRODY	124
WSPOMINKI	128
WITAJ, SZKOŁO!	140
MIĘŚNIE	162
SPOKOJNI AMERYKANIE	174
ŚRODKI ZAPOBIEGAWCZE	188
OKTOBERFEST	201
NAUKOWE SPOJRZENIE NA ŻYCIE DOMOWE	215
CHOWAJ SIĘ W MIG	220
NIE POTRAFIĘ KŁAMAĆ	251
WOJNY I WOJENKI	279
FANT CZY FIGIEL	286
AMERYKAŃSKIE ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA	290
Część druga PASOWANIE	299
BABIE LATO	300
WIZYTY DOMOWE	306
FRÖHLICHE WEIHNACHTEN	310
FOR AULD LANG SYNE	321
SZYBUJĄC HEN PO NIEBIE	330
UPIORY PRZESZŁOŚCI	336
ŚRODOWE DZIECI	352
PASOWANIE	375
RANEK	383
WIELKI CZWARTEK	388
WIELKI PIĄTEK	395
WIELKA SOBOTA	397
NIEDZIELA WIELKANOCNA	404
WIELKANOCNY PONIEDZIAŁEK	413
POMAGAJĄC POLICJI W ŚLEDZTWIE	419
REQUIEM	437
PRAWO DO ZACHOWANIA MILCZENIA	446
UCZYNNE UCZENNICE	468

MORALNOŚĆ Z LOTU PTAKA	487
ELASTYCZNOŚĆ REAKCJI	511
Część trzecia ŁASKA KRÓLOWEJ	521
KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI.....	522
SŁONECZNE DNI, LIZAKI I DZIECIĘCE NAMIOTY	528
KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI.....	530
NA FRONCIE DOMOWYM.....	534
HOUGH	539
MÓWIĆ PRAWDĘ.....	547
KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI.....	552
ŁASKA KRÓLOWEJ	568
Część czwarta CO POZOSTAJE	573
I TAK TO WŁAŚNIE JEST	576
TELEWIZJA PO LEKCJACH.....	583
OPOWIEŚĆ O MIMI I JACKU.....	597
CZY ROZWAŻAŁA PANI PODDANIE SIĘ TERAPII?.....	600
SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO	620
ŚWIAT PRZYRODY	633
BAMBI KONTRA GODZILLA	642
TUZIN BABECZEK.....	645
KIEDY ZNAJDUJĘ CZAS NA PISANIE? WŁAŚNIE PISZĘ	648
THE FEW, THE PROUD	652
ZAGINIONY W AKCJI	663
U NIEGO.....	665
U NIEJ.....	666
A TERAZ Z INNEJ BECZKI	668
ASSEYE DE TI RAPPELI	677
ABRAKADABRA	682
PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA.....	686
Część piąta CZYNNIKI LUDZKIE	692
SZYBOWIEC.....	693
LE GRAND DÉRANGEMENT	696
BŁĘKITNE JAJKO.....	701
EFEKT DOMINA	702
KRZYŻ LOTNICTWA.....	707
GRATIA.....	727
EFEKT MOTYLA	728
TO NASZ MAŁY ŚWIAT, W SUMIE MAŁY ŚWIAT!.....	748
WYSOKI LOT	761
PRÊTE-MOI TA PLUME, POUR ÉCRIRE UN MOT	762
MÓJ WIERNY TOWARZYSZU.. ..	783
OD AUTORKI	792
ŹRÓDŁA I PODZIĘKOWANIA.....	794

Świadcami morderstwa były ptaki. Widziały, co się stało tam w dole, na świeżo wyrosłej trawie, pośród konwalii wznoszących swe drobne białe dzwoneczki. Dzień był słoneczny. Pękające pąki, pierwsze wiosenne porywy, zapach gleby. Kwiecień. W pobliskim lesie strumień, który wyschnie pod koniec lata, ale tymczasem szemrał radośnie w cieniu. Wysoko w koronie wiązu, tam właśnie usadowiły się ptaki, przycupnąwszy na gałązkach obwieszonych pąkami, które rozchylały swe płatki niczym złożone chusteczki.

Do morderstwa doszło niedaleko miejsca nazywanego przez dzieci Rock Bass. Na łące, tuż pod lasem. Na wydeptanej ziemi, jakby po jakimś niedawno urządzonym pikniku. Wrony widziały, co się stało. Inne ptaki też przypatrywały się z wysoka, ale wrony to co innego. One wykazują ciekawość. Inne ptaki widziały poszczególne czynności. Wrony widziały morderstwo. Jasnoniebieską sukienkę. Teraz leży zupełnie nieruchoma.

Z korony wiązu wrony dostrzegły bransoletkę połyskującą na nadgarstku. Lepiej zaczekać. Srebrna ozdoba kusi, ale lepiej zaczekać.

OGRÓD ZIEMSKICH ROZKOSZY

Po wojnie wyjrzało słońce i świat nagle ukazał się naszym oczom jak w technikolorze. Każdemu przyświecała jedna myśl. Założyć rodzinę. Mieć dużo dzieci. Robić wszystko jak należy.

Jest całkiem możliwe, że w 1962 roku przejażdżka samochodem stanowi gwóźdź programu sobotnio-niedzielnego wypoczynku na łonie rodziny. Król szosy, rozparty za kierownicą pojazdu sunącego na wzmocnianych stalą oponach. Hulaj dusza. Proszę wsiadać, drzwi zamykać. Zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas droga. Tato, ile jeszcze zostało kilometrów?

Droga przynosi wciąż nowe widoki, miasto przechodzi w wieś, ledwo oddzieloną wąskim pasem przedmieścia. Przedmieście łączy w sobie zalety obu tych światów. Wystarczy, że masz samochód, swojego edsela, chryslera, forda, i świat należy do ciebie. Texaco to pewność i zaufanie. Na szosach nie ma jeszcze takiego ruchu i co ważne, nadal panuje porządek. Studebaker coupe rocznik 53! A tam, popatrz, nowiutki thunderbird!

„To nasz ojczysty kraj, nasza rodzinna ziemia...”. Jeśli chodzi o śpiewanie, ludzie chętniej niż w samochodzie śpiewają tylko pod prysznicem. Przemierzają kolejne kilometry, zmienia się krajobraz. Mijają domy na kółkach i przyczepy kempingowe - spójrz, znowu volkswagen. Aż trudno uwierzyć, że coś tak swojskiego i miłego dla oka jak „garbus” zawdzięcza swoje istnienie Hitlerowi. Tata wyjaśnia dzieciom, że dyktatorzy często są znawcami muzyki i mają życzliwy stosunek do zwierząt. Hitler nie jadał mięsa, ale był zły. Churchill się upijał, ale był dobry. „Na świecie nic nie jest albo białe albo czarne, dzieci”.

Madeleine siedzi na tylnym siedzeniu, z głową opartą o ramę szyby. Drgania usypiają ją. Jej starszy brat przegląda karty z podobiznami gwiazd baseballu, a rodzice na przedzie „podziwiają piękne widoki”. To doskonała pora, żeby włączyć swój film. Madeleine cichutko nuci *Księżycową rzekę* i wyobraża sobie, że na ekranie ukazuje się jej profil, jej rozwiane na wietrze włosy. Przed oczami widzów przesuwają się krajobraz, ten sam, na który spogląda przez szybę Madeleine. Widzowie ciekawi są, dokąd ona się wybiera, *na wyprawę w daleki świat*, jakie przygody ją spotkają, a *świat niezmierny jest*. Zastanawiają się, kim jest ta ciemnowłosa, ostrzyżona „na chłopaka” dziewczynka ze smutną miną. Sierotką? Jedyńca,

której umarła matka i wychowywaną teraz przez dobrotliwego ojca? Oddaną do szkoły z internatem, z której została wysłana na wakacje na wieś do tajemniczych krewnych, którzy mają posiadłość obok dworu, gdzie mieszka nieco od niej starsza dziewczynka, jeżdżąca na koniu i nosząca czerwone dżinsy? *Po widnokregu kres niech brzmi ta pieśń, a ty mnie nieś...* Obie dziewczynki muszą razem uciekać i rozwiązać tajemnicę, *mój wierny towarzyszu...*

Madeleine wyobraża sobie duże czarne litery na tle mknącej za oknem zieleni - „W roli głównej Madeleine McCarthy” - niczym klatka po klatce, przedzielone słupami telefonicznymi, *Księżycowa rzeka i ja...*

Przebrnięcie przez początkowe napisy okazuje się za trudne, więc lepiej rozpocząć nowy seans. *Znów* trzeba dobrać piosenkę, Madeleine śpiewa, *sotto voce*, *Que serà, serà, whatever will be will be...* - a niech to, przystanek.

- Lody, lody, komu lody dla ochłody - mówi ojciec, zatrzymując samochód na poboczu.

Bez reszty pochłonięta swoim filmem, Madeleine nie zauważyła ogromnego truskawkowego rożka w figlarnej czapeczce, pochylonego w stronę szosy i zapraszającego do zabawy.

- Ojej! - woła Madeleine, a jej brat wywraca oczami.

W Kanadzie wszystko jest większe niż w Niemczech, rożki lodowe, samochody, „supermarkety”. Madeleine jest ciekawa, jak będzie wyglądał ich nowy dom. A jej nowy pokój - będzie ładny? Duży? *Que serà, serà*, co będzie, to będzie.

- Rozpoczynamy koncert życzeń - ogłasza ojciec, stając przy ladzie w białym drewnianym domku. Sprzedają tutaj także świeżą kukurydzę w kolbach. Mnóstwo jej rośnie na okolicznych polach - mówi się o niej „złoto Ameryki”.

- Poproszę neapolitańskie - mówi Madeleine.

Ojciec, w przeciwsłonecznych okularach, przygląda ręką swe krótko ostrzyżone płowe włosy i posyła uśmiech grubej kobiecie urzędującej za zacienioną ladą. On i brat Madeleine noszą takie same fryzury, ale Mike ma włosy jeszcze jaśniejsze. Koloru pszenicy. Patrząc na nie, można by pomyśleć, że gdyby tak obrócić Mike'a do góry nogami i podłączyć do prądu, świetnie nadawałyby się do zdzierania z kuchennej podłogi warstwy tłuszczu, lecz ta jego szczecina w rzeczywistości jest miękka. Ale Mike rzadko pozwala Madeleine jej dotykać. Teraz jej brat, włożywszy kciuki za pasek, oddala się w stronę szosy; Madeleine wie, że udaje samotnego wędrowca. W tych dżinsach musi mu być strasznie gorąco, ale on za nic się nie przyzna i odmawia noszenia szortów. Tata nigdy nie wkłada krótkich spodenek.

- Dokąd idziesz, Mike? - woła Madeleine.

On pozostawia jej pytanie bez odpowiedzi. Niedługo skończy dwanaście lat.

Madeleine przeczesuje swoje włosy tak, jak lubi to robić tata; są jedwabiście miękkie. Jej fryzura co prawda nie umywa się do jeża, ale na szczęście daleko jej do warkoczy po pas, które Madeleine musiała znosić aż do tej wiosny. Ucięła sobie przez przypadek jeden warkocz w szkole na zajęciach z techniki. *Maman* kocha ją nadal, ale pewnie nigdy jej tego nie wybaczy.

Matka siedzi w samochodzie. Ma na sobie okulary przeciwsłoneczne, które poprzedniego lata kupiła na francuskiej Riwierze. Wygląda na gwiazdę filmową. Madeleine przygląda się jej, jak przechyla lusterko wsteczne i poprawia makijaż. Czarne włosy, czerwone usta, okulary w białych oprawkach. Zupełnie jak Jackie Kennedy - „Ona mnie naśladowa”. Mike zwraca się do niej *Maman*, ale Madeleine mówi tak do niej tylko w domu, a gdy są wśród ludzi, *Maman* zastępuje „mama”. „Mama” jest bardziej na luzie w porównaniu z *Maman*, jak mokasyny zamiast lakierków. „Mama” lepiej pasuje do „tata”. *Życie lepiej smakuje z colą.*

Ojciec stoi z rękami w kieszeniach. Zdejmuje okulary i mrużąc oczy, spogląda na błękitne niebo, pogwizdując przez zęby.

- Czujesz zapach kukurydzy? - mówi. - Tak pachnie słońce. Madeleine wkłada ręce do kieszeni swych spodenek, mruży oczy i wciąga powietrze.

W samochodzie, nie odrywając oczu od lusterka, matka pociąga szminką usta. Madeleine patrzy, jak chowa szminkę do tubki. Kobiety noszą w torebkach wiele takich drobiazgów, które przypominają z wyglądu słodycze.

Matka zostawiła sobie na pamiątkę jej warkocze. Spoczywają w pudle ze sztućcami, włożone do plastikowego woreczka. Madeleine widziała, jak *Maman* wrzuca woreczek do pudła, a zaraz potem przyjechali ludzie od przeprowadzki. Jej włosy podróżują teraz ciężarówką; są gdzieś za nimi, w drodze do ich nowego domu.

- Proszę, stary druhu.

Ojciec podaje jej lody. Mike podchodzi i zabiera swój rozek. Jak zwykle wybrał czekoladowe. „Nie oddam go bez walki”.

Ojciec je lody o smaku rumowym, z rodzynkami. Czy kiedy się dorośnie, kubki smakowe wypaczają się tak bardzo, że gustuje się w takich paskudztwach? A może to tylko skutek ciężkiego dzieciństwa - rodzice dorastali w czasach Wielkiego Kryzysu, kiedy zwykłe jabłko było rarytasem?

- Chcesz polizać, skarbie?

- Dzięki, tato.

Madeleine zawsze próbuje lody, które wybrał sobie ojciec, i mówi: - Mniam, dobre.

Łzes jak pies, doktołku - skwitowałby Królik Bugs. Ale to niezupełnie kłamstwo, bo Madeleine wraz z ojcem lubią opychać się lodami. A kiedy nawzajem dają sobie do spróbowania lody, jest świetnie. Więc Madeleine właściwie nie kłamie. *Akułat, doktołku. Jedzie mi tu cołg?*

Maman nigdy nie chce dla siebie osobnej porcji. Weźmie od taty i uszczknie trochę od Madeleine i Mike'a. To kolejna przypadłość, jakiej nabawiają się dorośli, a przynajmniej większość matek: rezygnują z własnych porcji lodów.

Po powrocie do samochodu Madeleine ma ochotę poczęstować lodami Królika Bugsa, ale nie chce narażać się na drwiny brata. Bugs nie jest lalką. To... Bugs. Okres świetności ma już za sobą, koniuszek jego pomarańczowej marchewki przetarł się i teraz jest biały, ale błękitne oczy spryciarza nie zbladły, a długie uszy wciąż można dowolnie wyginać. W tej chwili są splecione z tyłu w warkocz. Bugs Bawarczyk.

Ojciec zapuszcza silnik i podsuwa lody matce, która gryzie je ostrożnie, żeby nie rozmazać szminki. Wycofuje do szosy i krzywi się, widząc, że lusterko wsteczne jest źle ustawione. Posyła *Maman* wymowne spojrzenie, a ona układa swoje czerwone usta jak do pocałunku. Ojciec uśmiecha się szeroko i kręci głową. Madeleine odwraca wzrok. Żeby tylko nie zaczęli gruchać.

Madeleine spogląda na swój rozek. Od której strony zacząć? Neapolitański. Nazwa kojarzy jej się z szerokim światem. „Obieżyświaty” - tym słowem ojciec określa ich rodzinę. Skupiają w sobie zalety wszystkich światów.

Za oknem samochodu kukurydza pławi się w słońcu, lśnią ulistnione łodygi w niekończących się zielonych rzędach. Wzdłuż krętej szosy ciągną się szpalerem rozłożyste dęby i wiązy. Żyzne pola wybrzuszają się, każą wierzyć w to, że ziemia naprawdę jest rodzaju żeńskiego, a jej ulubionym pożywieniem jest kukurydza. Szeregi szmaragdowych obywateli, roślących, giętkich, prężnych. Zwinięte liście wznoszą się do góry, otulając delikatne kwiatostany, dar natury w ozdobnym przybraniu. Jadalne słońce. Rodzina McCarthych wróciła do domu. Do Kanady.

Jeśli związałeś swoje życie z lotnictwem wojskowym, dom dla ciebie nie jedno ma imię. Dom to Kanada, od morza do morza. Dom to również miasto, w którym dorastałeś, zanim się ożeniłeś i wstąpiłeś do armii. I dom to także placówka wojskowa, na której obecnie przebywasz, obojętnie, czy mieści się w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Francji... W tej chwili domem jest ten niebieski rambler kombi, rocznik 1962.

Poprawiwszy lusterko wsteczne, Jack zerka na siedzące z tyłu dzieci. Chwilowo

panuje między nimi pokój. Obok niego żona otwiera torebkę - Jack odrywa rękę od kierownicy i wdusza przycisk automatycznej zapalniczki na tablicy rozdzielczej. Żona spogląda na niego, uśmiecha się kącikiem ust, kiedy wyjmuje papierosa. On puszcza jej oko - *twoje życzenie jest dla mnie rozkazem*. Dom to ta kobieta u jego boku.

Budowa transkanadyjskiej autostrady dobiegła końca. Teraz można zamoczyć tylne koła w Atlantyku i jechać przed siebie, aż zanurzy się przednie w Pacyfiku. Rodzina McCarthych nie wybiera się tak daleko, chociaż ten etap ich podróży rzeczywiście rozpoczął się na wybrzeżu atlantyckim. Są już w drodze od trzech dni. Nie spiesząc się, chłonąc zmieniający się za oknami krajobraz: lasy jodłowe, a potem przestwór Zatoki św. Wawrzyńca, wąskie pasy pól uprawnych wzdłuż szerokiej rzeki, w oddali połyskujący niebiesko łańcuch gór, gładka nawierzchnia nowoczesnej autostrady, po której mknie się jak odrzutowiec na niebie, *Bienvenue à Montréal, Witamy w Ottawie, w Kingston, w Toronto* - przedłużenie letnich wakacji, jakie spędzili u rodziny Mimi w Nowym Brunszwiku - *Nouveau-Brunswick* - kąpiąc się w słonej wodzie wśród licznych mierzei Cieśniny Northumberlandzkiej, a wieczorem oglądając mrugające światła promu kursującego do Wyspy Księcia Edwarda. Raz zerwali się skoro świt, żeby zobaczyć, jak ksiądz błogosławi wielobarwne łodzie rybackie na otwarciu sezonu połowów, *le premier jour de pêche*. Wymyślne dania z homara, hałaśliwe gry w karty do późna w nocy, sąsiedzi tłoczący się przy stole w kuchni, obstawiający stosami drobnych monet lub żetonów, a potem zabawa: muzykanci przygrywali na skrzypcach i akordeonie, a matka Mimi bębniła akordy na pianinie, przebiegając wysokie rejestry palcami wykrzywionymi od ciągłego szydełkowania; wszystkie kołdry i kobierce w domu były jej dziełem. *L'Acadie*.

Język nie stanowił przeszkody. Jack napawał się brzmieniem francuskiego, jedzeniem, błogim zamętem panującym w tej licznej rodzinie. Ojciec Mimi zginął na morzu przed wielu laty, jego łódź do połowu homarów zatonała podczas sztormu, a rodziną zawiadywali jej bracia, chłopcy na schwał, którzy wszystkiego dorobili się własnymi rękami. Kiedy po wojnie Mimi przywiozła do domu narzeczonego, Jack od razu przypadł im do serca. Każdy rozumiał jej pośpiech, w tamtych czasach takich rzeczy nie odkładano na później; zresztą bracia Mimi sami dopiero co wyszli z wojska. Jack był *Anglais*, ale rodzina Mimi przyjęła go jak swojego, z entuzjazmem równym zapałowi, który podsycił w nich nieufność do Anglików w ogóle. Traktowali go niczym księcia, obsypywali względami zwykle należnymi paniom. Zalety obu światów.

Jack liże lody, prowadząc jedną ręką. Podejmuje wewnętrzne postanowienie, że zacznie biegać, gdy tylko się urządzią w nowym domu. Przez ostatni miesiąc szwagierki, *les*

belles-soeurs, karmiły go niczym cielaka na wystawę. Mąka, syrop klonowy, ziemniaki, wieprzowina i małe - w oszalamiających, wyśmienitych zestawieniach. I tuczących. Wygląda na to, że cokolwiek by się jadło, *poutine* i tak się odkłada. A co to jest *poutine*?. To, co się odkłada, kiedy odkłada się *poutine*.

Musiał poluzować pasek tylko o jedną dziurkę, ale Jack ma śliczną żonę. Która rzuca się do wody jak dziewczyna, ze zgrabną figurą mimo urodzenia dwójki dzieci, przedzierając się przez fale żabką, unosząc głowę, żeby nie popsuć sobie fryzury. Tak, Jack znów zacznie dbać o kondycję, kiedy zadomowią się w nowym miejscu.

Słyszy za plecami głos syna, pełen zgorszenia: - Madeleine, lody ściekają ci po ręce.

- Wcale nie.

- *Maman* - mówi Mike, pochylając się do przodu - *Madeleine fait un mess!*

- Wcale nie nabrudziłam! - woła Madeleine, oblizując nadgarstek, czując słonawy smak skóry z domieszką wanilii.

Mimi podaje jej nawilżoną chusteczkę. - *Tiens*.

Madeleine sięga po chusteczkę. Próbuje namówić Mike'a, żeby potrzyzymał jej rozek, ale on odmawia: - Nic z tego, jest cały upapwany.

Więc Mimi bierze od niej rozek, a kiedy Madeleine wyciera rękę, oblizuje spływające po nim strużki. To jeszcze jedna cecha matek: chętnie zjadają po dzieciach roztopione lody.

Madeleine oddaje mamie chusteczkę w zamian za loda, ale nagle robi jej się niedobrze. To przez ten zapach chusteczki. *Nawilżona dla państwa wygody. Działa również odkażająco.* Ten zapach kojarzy się Madeleine z wymiotami. To dlatego, że kiedy w czasie jazdy dziecko źle się poczuje i wymiotuje, matka wyciera mu twarz wilgotną chusteczką, więc siłą rzeczy utożsamia ono wilgotne chusteczki z wymiotami. Przebijają zapachem same wymiociny.

- Już nie mogę - oświadcza.

- Ona będzie rzygać - mówi Mike.

- Wcale nie, Mike. I nie mówi się „rzygać”.

- Sama to powiedziałaś. Rzygać.

- Wystarczy, Mike - odzywa się ojciec i Mike siedzi cicho.

Mimi odwraca się do Madeleine z pytającym wyrazem twarzy: *Będziesz wymiotować, kochanie?* Ta mina sprawia, że w Madeleine wzbierają mdłości. Oczy jej wilgotnieją. Przysuwa twarz do opuszczonej szyby i wdycha łąpczywie świeże powietrze. Stara się nie myśleć o niczym, co przyprawia o mdłości. Pamiętała, jak kiedyś w przedszkolu wymiotowała jakaś dziewczynka, *chlust* na podłogę. Nie myśl o tym teraz. Mike odsunął się jak najdalej od niej. Madeleine powoli się odwraca i skupia wzrok na głowie taty. Już jej

lepiej.

Dla Madeleine tył jego głowy jest tak charakterystyczny, tak bardzo tożsamy z ojcem, jak jego twarz. Tak łatwo rozpoznawalny jak ich samochód na parkingu. Jego głowa, nieco kanciasta, czysta. Wyraża to, co myśli; niczego nie trzeba zgadywać. Barki rysujące się pod kraciastą koszulą. Łokieć wystawiony za okno, płowe włosy na ręce przyglądzone przez wiatr, błysk pamiątkowego sygnetu ze studiów. Old Spice. Błada kreska na karku, stara blizna zawsze odcinająca się od opalenizny. Tył ojcowskiej głowy. To druga strona jego oblicza - jego drugie oblicze. Sam nawet twierdzi, że ma oczy z tyłu. To pocieszające. To znaczy, że ojciec wie, kto najczęściej wszczyna bójki w samochodzie na tylnej kanapie.

- Mike, przestań!

- Ja nic nie robię.

- Mike, nie zaczepiaj siostry.

- Ja jej nie zaczepiam, tato. To ona mnie uszczypnęła.

- Madeleine, nie dokuczaj bratu.

Maman widocznie nie ma oczu z tyłu, skoro powiedziała coś takiego.

Mike patrzy na Madeleine i robi zeza.

- Mike! - Jej pisk ośmiolatki świdruje uszy jak wiertarka. - Przestań!

- *Tenez-vous tranquilles maintenant, hein?* Ojciec nie może przez was skupić się na prowadzeniu - mówi *Maman*.

Madeleine widzi, jak od jej pisku ojcu mimowolnie napinają się mięśnie na karku, więc nagle cała jej wojowniczość ustępuje. Nie chce, żeby przez nią ojciec zatrzymał samochód i odwracał się do tyłu. Zepsułaby zabawę, a przy tym najadłaby się wstydu za to, że swoim zachowaniem zakłóciła miłą przejażdżkę przez uroczą okolicę. W głosie ojca zabrzmiałoby rozczarowanie, w jego niebieskich oczach malowałoby się zdumienie. Zwłaszcza w lewym, z ledwie widoczną blizną tuż pod brwią. Lewa powieka lekko opada, co nadaje temu oku nieustannie smutny wyraz.

- *Chanton, les enfants* - zarządza *Maman*. I posłusznie śpiewają.

Poszybować hen po niebie

lub po łące gonić źrebie

tyle przygód czeka ciebie...

Ogromne plakaty rozstawione na polach, *Uwierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony*, buraki niczym wojsko, z zielonymi liśćmi w niekończących się szeregach, które przyspieszają lub zwalniają w zależności od tego, czy się skupia wzrok na ziemi między

rzędami, czy na rozmazanej zieloności, *Kodak, Dairy Queen, Ceną grzechu jest śmierć.* Obory, schludne, zadbane. Swojski zapach krowich placzków i dymu z palonego drewna przypomina Madeleine dom - to znaczy Niemcy. Zamyka oczy. Dopiero co rozstała się z kolejnym domem, w bazie lotniczej niedaleko Czarnego Lasu. *Pożegnajcie się z domem, dzieci.* I odjechali stamtąd po raz ostatni.

Każdy taki budynek stoi niemy i niewinny jak nieszczęsne porzucone zwierzę. Okna, niczym wytrzeszczone oczy, pozbawione zasłon, frontowe drzwi jak smutne i zaciśnięte usta. Żegnaj, kochany domku. Dziękujemy ci za wszystkie miłe chwile spędzone pod twoim dachem. Dziękujemy za wyniesione wspomnienia. Opuszczony dom we wspomnieniach przeistacza się w pomnik, upamiętniający miniony czas, wyznaczający miejsce, do którego nigdy już się nie wróci. Tak to jest, gdy się służy w lotnictwie.

To już trzecia przeprowadzka Madeleine, a czwarta Mike'a. On twierdzi, że to niemożliwe, żeby Madeleine pamiętała swoje pierwsze przenosiny, z Alberty do Michigan, bo nie miała jeszcze skończonych czterech lat. Za to upiera się, że pamięta swoją pierwszą przeprowadzkę, ze stolicy USA do Alberty, chociaż sam dopiero co skończył wtedy trzy lata. Takich niesprawiedliwości doznaje się ze strony starszego brata.

- Tato - odzywa się Madeleine - ja przecież pamiętam, jak się wyprowadzaliśmy z bazy w Albercie, prawda?

- Oczywiście. Chyba nie zapomniałaś tego lodowiska, które zrobiliśmy tam na podwórku?

Madeleine patrzy wymownie na brata. - Nie.

- No widzisz. Ale „baza” to określenie amerykańskie, stary druhu. U nas mówi się „placówka”.

- Właśnie - wtrąca się Mike.

Europę opuścili w czerwcu i niemal przez dwa miesiące Mike i Madeleine cieszyli się gościnnością swoich akadyjskich ciotek i wujków w Nowym Brunzwicku i biegali samopas z kuzynami. Z całą gromadą rozbrykanych czarnowłosych chłopaków, w których nie można się zadurzyć, bo to krewni, oraz uwodzicielskich dziewczyn, które zaczynają golić nogi, zanim skończą dwanaście lat. Po francusku mówią tak szybko, że nie sposób za nimi nadążyć, a kiedy człowiek zabiera się z nimi na wycieczkę samochodem, musi pilnować, żeby nie odjechali bez niego. Mike i Madeleine oglądali tam telewizję po czterech latach przerwy.

W bazie w Niemczech nikt nie miał telewizora. Pokazy filmowe odbywały się w ośrodku wypoczynkowym, poprzedzane kreskówkami braci Warner albo Disneya, przygodami Królika Bugsa albo Myszki Miki. W piątkowe wieczory, przed powrotem ojca z

mesy oficerskiej, słuchali przy kolacji z *Maman* programu Jacka Benny'ego. Ale telewizja otworzyła przed nimi nowy wspaniały świat - gońców hotelowych, szyfonowych szali, przewiewnych szortów, beztroskich nastolatków i desek surfingowych. Kuzynki były bardziej w stylu Connie Francis niż Sandry Dee, a kuzyni bardziej w stylu Sala Mineo niż Troya Donahue. Żuli gumę Dentyne i mieli deskorolki. I olbrzymie lodówki w domach. Witamy w Ameryce Północnej.

Madeleine nie dziwiło to, że wszystkich tam kocha, *parce que c'est la famille*. „Rodzina” ma niemal taki sam mityczny wydźwięk jak „dom”. Kiedy ruszali spod starego różowego bungalowu babci, ojciec powiedział: - Jedziemy do domu, co wy na to, dzieciaki?

Madeleine pokiwała na pożegnanie *Grandmaman*, stojącej na ganku domku, którego barwa przywodziła na myśl kwiat mięty pieprzowej. Pękata *Grandmaman* na tle bungalowu, pomalowanego na jaskrawy różowy kolor, aby *Grandpapa* łatwiej mógł go dostrzec ze swej łodzi na morzu. W pamięci Madeleine był to jej drugi pobyt u babci, ale oczy zaszyły jej łzami, gdyż *Grandmaman* to inaczej „dom”.

- I co, moja pani? - spytał tata, kiedy morze i wydmy zostały za nimi z tyłu.

- Zabierz mnie do domu, Jack - odparła *Maman* i otarła oczy.

Przez ułamek sekundy Madeleine wydawało się, że wracają do Niemiec.

Do zielonych trawników i białych budynków bazy lotniczej, i do brukowanych uliczek i kawiarenek pod gołym niebem w pobliskim miasteczku; do pociętych miedziami wąskich pól - ani piędzi bezpieczeństwa, ani piędzi niezagospodarowanej ziemi - gdzie podczas niedzielnej przejażdżki samochodem po kilku godzinach trafia się do innej krainy. Niemiecki język, który tak ją urzekł, język baśni, *Märchen*. Pograżona w ich świecie, czuła się bezpieczna jak w obszernym futrze matki. Jej niemczyzna wywoływała uśmiech zdziwienia - sklepikarki, zachwycone jej biegłością, żartowały dobrodusznie z kiepskiej niemczyzny jej rodziców, kiedy dawały do spróbowania różne gatunki serów i zawsze, niezmiennie, częstowały czekoladą - *Schokolade für die Kinder*. Pierwszy niemiecki zwrot, jakiego nauczyli się z Mikiem: *danke schön*.

Jeśli masz ojca, który służy w lotnictwie, trudno ci odpowiedzieć, kiedy ludzie pytają, skąd jesteś. A w miarę jak przybywa ci lat, odpowiedź na to pytanie się wydłuża, ponieważ co kilka lat twoja rodzina przenosi się na nowe miejsce. „Skąd jesteś?”. „Z Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych”. Z RCAF. To niczym państwo, którego skrawki rozrzucone są po całym świecie.

Każdy taki skrawek, każda baza do złudzenia przypomina pozostałe, co nadaje temu państwu spójność. Jakby wchodziło się do kościoła katolickiego i słyszało odprawiany w

łacinie obrządek, tak samo łatwo można rozeznąć się w bazie - to znaczy, w placówce wojskowej - w dowolnym miejscu na świecie: ośrodek rekreacyjny, kościoły, urząd pocztowy, bank, posterunek straży pożarnej, plac defiladowy, biblioteka, lądowisko, budynek, w którym pracuje ojciec. No i PX, gdzie robi się wszystkie zakupy - „PX” to następne amerykańskie określenie, które przyswoili sobie w Europie.

Jeśli zostaniecie zakwaterowani w jednej ze Stałych Kwater Rodzinnych, jak się je po wojskowemu nazywa, wasz dom też będzie wyglądał znajomo. SKR-y budowane są według kilku projektów, opartych na wzorach stosowanych dawniej w dzielnicach podmiejskich; przeważnie są to domy bliźniacze, z wyjątkiem maleńkich bungalowów i okazałego wolno stojącego domu, w którym mieszka OD. Oficer dowodzący. Na jego trawniku stoi maszt do wywieszania flagi. Kiedy ma się osiem lat, zdążyło się już obejrzeć wnętrza wszystkich rodzajów domów wśród SKR-ów. Czasami podobnych jeden do drugiego jak lustrzane odbicie. Lecz mimo to każdy dom nabiera niepowtarzalnego charakteru z chwilą, kiedy wprowadza się do niego nowa rodzina. Jedyne w swym rodzaju zapachy, ślady ludzkiej obecności, wyrosłe w mgnieniu oka rodzinne skarby, obrazy, pochodzące z kartonowych pudeł, z których dzieci stawiają fortece i które służą im do zabawy, zanim po kilku dniach zostaną złożone, a kiedy pudła są już złożone i schowane, dom wygląda tak, jakby był zamieszkały od zawsze, ponieważ żona oficera lotnictwa potrafi uwić domowe gniazdko w ciągu tygodnia.

Każdy przepisowy trawnik kłuje w oczy swą indywidualnością - z rowerami, porzucanymi zabawkami; na każdym podjeździe stoi inny samochód, każda lodówka zawiera w sobie odrębny świat. W niektórych lodówkach kryją się puszkami z polewą czekoladową Hersheya. W innych kryją się puszkami Hersheya wypełnione, o zgrozo, smalcem i innymi okropnościami. Do tych ostatnich należy lodówka McCarthy. Matka Madeleine, która dorastała w czasach Wielkiego Kryzysu, niczemu nie pozwala się zmarnować. Chociaż, zważywszy na to, że wszystkie inne matki również dorastały w tych ciężkich czasach, ta oszczędność to chyba cecha akadyjska. Albo po prostu mieszkańców nadmorskich prowincji, najuboższego regionu Kanady. A zatem pomimo jednakowości projektów próżno szukać wśród SKR-ów dwóch identycznych domów, chyba że w tym okresie przejściowym, po opuszczeniu przez jedną rodzinę, a przed zasiedleniem przez następną. W tym czasie dom jest niczyj. Należy do kanadyjskich podatników. Zostaje wówczas wyszorowany, odkażony, wymalowany na biało, odarty z zasłon, zamieszkały przez echo. Tkwi w stanie zawieszenia, jak kościół, który utracił charakter uświęconego przybytku. Nie zły, tylko pusty. Ani żywy, ani martwy. Odradza się, kiedy przyjeżdża nowa rodzina i wita się z nim.

Madeleine sięga do plecaka z Myszka Miki po swój pamiętnik. Wpisały się do niego wszystkie jej koleżanki i koledzy z trzeciej klasy. Madeleine otwiera go...

Ile drzewek w lasku, ile w morzu piasku, ile gwiazd na niebie, tyle razy kocham ciebie, napisała Sarah Dowd, ozdabiając stronicę mnóstwem żółtych gwiazdek.

Twoje oczy czarujące warte więcej niż tysiące, bo tysiące się rozleca, a twe oczy zawsze świecą, twoja na zawsze, Judy Kinch.

Na górze róże, na dole fiołki, kochamy się jak dwa aniołki, twoja najlepsza przyjaciółka, Laurie Ferry.

Księga pamiętkowa jest cała zapisana. Wszyscy zaklinali się, że będą wysyłać sobie kartki. Madeleine i Laurie Ferry przyrzekły sobie, że spotkają się w pierwszym dniu dwutysięcznego roku, na placu zabaw przy SKR-ach w bazie w Niemczech.

Nakreślone na stronicach litery nagle tchną samotnością - wesołe barwy rysunków przywodzą na myśl dekoracje, których nikt nie uprzątnął po zabawie. Madeleine zamyka pamiętnik, odkłada go i wdycha głęboko powietrze przesycone wonią koniczyny. Czy można się smuć w taki piękny dzień, kiedy ma się przed sobą całe życie? Tak mówią dorośli. Madeleine wyobraża sobie, że jej życie roztacza się przed nią niczym szosa. Jak poznać, że podróżuje się przez życie, które kiedyś było z przodu, a teraz przesuwają się pod stopami? Ile jeszcze zostało kilometrów?

Trudno wprowadzić się do nowego domu, nie myśląc przy tym o dniu, kiedy przyjdzie go opuścić. *Pożegnajcie się z domem, dzieci.* I będzie się o tyle starszym. Madeleine ma teraz prawie dziewięć lat, więc przy następnych przenosinach będzie miała prawie dwanaście. Nastolatka. Rodzicom też przybędzie lat. Stara się pamiętać, że teraz jeszcze są o tyle młodszy, ale nie może się powstrzymać przed spojrzeniem na to z innego punktu widzenia: są starsi niż wtedy, kiedy mieszkali w poprzednim domu. A to znaczy, że szybciej umrą. Każdy kolejny dom przybliży ich do tego straszliwego dnia. Który okaże się ich ostatnim? Może ten, do którego zmierzają? Ten, z którym niebawem się przywitają?

Ciepło słoneczne rozchodzi się po jej ściśniętym gardle, grozi uwolnieniem wezbranych łez, więc Madeleine zamyka oczy i wtula skroń w słupek tylnego okna; drgania samochodu działają na nią kojąco. Wiatr pieści jej włosy, słońce pod przymkniętymi powiekami tworzy nieustannie zmieniające się wzory czerwieni i złota.

Dookoła popołudnie sięga zenitu. Sierpień to pora, w której objawia się prawdziwa światłość lata. Zmysłowa jak saksofon tenorowy. Tak odmienna od fanfar wiosny czy jesiennych smyczków. Widzialne granulki słonecznego światła opadają niczym w

zwolnionym tempie, muskając skórę - można je łapać językiem jak płatki śniegu. Plony rozsadzają ziemię - zieleń, złoto, brąz. Łodygi uginają się pod nabrzmiałymi kłosami, pośród których więźnie wiatr. Krajobraz pokłada się, pękaty i dumny niczym ciężarna kobieta, szukająca wytchnienia. „Wybierz i zerwij sam”, obwieszczają odręczne napisy przydrożne. Zerwij mnie.

Kukurydzę uprawiali Indianie. Tę część Ontario najwcześniej utracili na rzecz białych przybyszów. Walczyli u boku Anglików, najpierw przeciwko Francuzom, a później przeciwko Amerykanom w 1812 roku. Teraz żyją w rezerwach, a ich długie domy mieszkalne przetrwały na ilustracjach podręczników historii dla klas szóstych i w postaci naturalnej wielkości makiet w odwiedzanych przez turystów skansenach. Tytoń należy do najbardziej opłacalnych upraw w tych stronach, ale Indianie już go nie hodują. Tutejsza ziemia wciąż nosi wyraźne ślady ich bytności, wiele nazw wywodzi się z języków indiańskich plemion, również nazwa całego kraju, Kanada. Mówi się, że „Kanada” znaczy tyle co „wioska małych chat”. Inni twierdzą, że to portugalscy rybacy nazwali ten kraj „Ca Nada”, czyli „tam, nic”.

Witamy w Stratford, Witamy w New Hamburg... Tyle miejscowości kanadyjskich sprawia wrażenie, jakby były imitacjami odległych pierwowzorów. Jeśli ktoś, dajmy na to, pochodzi z Londynu w Ontario, raczej nie poprzestanie na stwierdzeniu: „Pochodzę z Londynu”. Pewnie będzie czuł się zmuszony uzupełnić: „w Ontario”. To wyjaśnienie może zabrzmieć jak usprawiedliwienie, nawet jeśli ten ktoś jest dumny z miejsca swego pochodzenia. Londyn w Ontario. Nowy Jork nazwany tak został na cześć angielskiego Yorku, ale obecnie nikomu nie kojarzy się z Yorkiem w Wielkiej Brytanii. „To dlatego, że w Stanach wszystko jest lepsze”, powiedziała by Mike.

Witamy w Kitchener.

- Czy wiecie, że Kitchener kiedyś nazywało się Berlin? - pyta ojciec, zaglądając do lusterka wstecznego. - Założyli je niemieccy imigranci, ale podczas pierwszej wojny światowej zmieniono mu nazwę.

Zatrzymują się na *bratwurst* i chrupiące białe bułeczki, zupełnie jak w domu. To znaczy, w Niemczech. Madeleine wciąż nie może się przyzwyczaić do myśli, że wyjechali z Niemiec na dobre. Przecież to jest jej dom - ten słoneczny kraj widziany z okna samochodu. Niesamowicie długie podjazdy prowadzące do domów ze spadzistymi dachami i wymyślnie obramowanymi oknami i drzwiami. Bezkresne pola, miasteczka przedzielone ogromnymi odległościami, tyle nieużytków, lasów i zarośli, królewskiej ziemi, o którą nikt się nie troszczy, dzikiej i wolnej. Trzy dni jazdy przez kolejne geologiczne epoki, dziesiątki, setki

kilometrów, a to wciąż Kanada. Przede wszystkim swoim ogromem różni się od Niemiec. To on decyduje o jej narodowym charakterze.

- Można by tu przenieść całą Europę i z powodzeniem ukryć w samym środku Ontario - mówi ojciec.

Madeleine opiera się policzkiem o ramę okna. Przed oczami staje jej wojna, samoloty, czołgi, obozy zagłady, Anna Frank pisząca swój dziennik, Hitler pozdrawiający tłumy. Wszystko to swobodnie mogłoby się rozegrać w kanadyjskiej prowincji Ontario.

- Ale tutaj by do niej nie doszło - stwierdza Madeleine.

- Do czego by nie doszło? - pyta tata.

- Do wojny.

- Jakiej wojny? - odzywa się Mike.

- Drugiej wojny światowej.

Mike pokazuje na nią palcem, a potem stuka się w głowę, dając do zrozumienia, że jego siostra ma nierówno pod sufitem. Madeleine tłumy w sobie złość. Ciekawa jest, co powie ojciec.

- Tego rodzaju wojna nigdy by się tutaj nie wydarzyła, ptaszynko - mówi. - Kanada to wolny kraj.

- Gdyby nie wojna - wtrąca *Maman* - tatuś i ja byśmy się nie poznali - słysząc to, Madeleine przesuwają się na siedzeniu - a ciebie i Michela nie byłoby na świecie.

Matka potrafi umiejętnie sprowadzić rozmowę na inne, bezpieczne tory. Opowieści o nalotach bombowych i komorach gazowych nie idą w parze z historią potańcówki dla lotników w Anglii, na której poznali się jej rodzice - Jack i Mimi. *Maman* śpiewa: „W świetle latarni, przed koszarową bramą...”. I w ten sposób ucina dalszą poważną dyskusję na temat wojny.

Ojciec Madeleine tak naprawdę nie jest weteranem, ale na pewno by walczył, gdyby wcześniej nie rozbił się w samolocie. Niemal wszyscy przyjaciele ojca latali podczas wojny - jako piloci lub załoga. Ojciec jej niemieckiej opiekunki służył w Wehrmachcie. Na wojnie stracił rękę i teraz wozi rodzinę motocyklem z przyczepką. Niektóre koleżanki Madeleine jeździły z rodzinami na wycieczki do obozów zagłady. Laurie Ferry widziała w Oświęcimiu stos usypany z butów. Ale ojciec Madeleine twierdzi: „Jest różnica między wyciąganiem nauki z historii a życiem przeszłością”. A matka powtarza: „Myślcie o czymś przyjemnym”.

W poczekalni u dentysty Madeleine znalazła stary numer czasopisma „Life”. Na okładce widniało zdjęcie ciemnowłosej dziewczynki, niedużo od niej starszej. Anny Frank. Madeleine ukradła je i tygodniami zaczytywała się w ukryciu, z poczuciem winy, aż pewnego

dnia czasopismo zniknęło z jej pokoju. *Maman* zagarnęła je oraz kilka innych kolorowych pism, aby zrobić z nich spiczastą czapkę klauna dla Madeleine, element kostiumu na Halloween.

- Moja Lili w blasku lampy, moja Lili Marlene - śpiewa Mimi, gładząc męża po karku.

Jack rozluźnia się. Drugą zwrotkę Mimi śpiewa po niemiecku. Jack ma ochotę zwolnić, wydłużyć jazdę; te chwile, kiedy są jakby w zawieszeniu, mają tyle uroku. On, jego żona u boku, mała gromadka z tyłu - w drodze z jednej placówki na drugą. Są sami, bez sąsiadów, bez krewnych, a świat miga im za oknem. *Wędrowcy przemierzają świat...* Życzliwy, choć nieznany świat. Pełen bak paliwa. To dogodna pora na obrachunek. Jasno widzisz, kim jesteś. Jasno widzisz, co posiadasz. Posiadasz wszystko.

- Zaśpiewaj to jeszcze raz, moja pani - zwraca się do Mimi.

Rozległe, dostatnie farmy, na oborach czerwone dachy z wymalowanymi nazwiskami gospodarujących na nich rodzin, irlandzkich, angielskich, niemieckich, holenderskich. To serce południowego Ontario. „Złota Podkowa”, informuje rodzinę Jack. Od południa zamyka ją jezioro Erie i jezioro Ontario, a od zachodu jezioro Huron. I chociaż na mapie kraina ta kształtem bardziej przypomina czaszkę wołu, Jack nie omieszka, zgodnie z prawdą, dodać: „Znana również jako Trójkąt Południowego Ontario”.

Oba te określenia zlewają się w umyśle Madeleine w jedno i ukazują się jej oczom lśniący złoty trójkąt na mapie, przez który powoli wlecze się czarny punkt, ich kombi widziane z lotu ptaka.

- To coś takiego jak trójkąt bermudzki? - pyta.

Rodzice uśmiechają się do siebie.

- Nie - odpowiada ojciec.

Mike odwraca się do niej i poruszając ustami, składa wyraz „tuman”.

Jack wyjaśnia, że w trójkącie bermudzki rzeczy podobno giną w tajemniczy sposób, samoloty i łodzie znikają bez śladu. Trójkąt Południowego Ontario to jego przeciwieństwo. Jest gęsto zaludniony, przynajmniej w porównaniu z resztą Kanady. Mnożą się fabryki i farmy, ziemia tu żyzna, miasta okazałe. Na południu, na półwyspie Niagara rosną dorodne owoce, a całość pokrywają rozległe pola kukurydzy, tytoniu, buraków, lucerny. Hoduje się tu bydło mleczne, konie, świnie; kwitnie bankowość. Windsor spogląda przez wodę na Detroit, a tam General Motors, fundusze emerytalne, linie montażowe w nieprzerwanym ruchu, hejże ho. Stany Zjednoczone są niemal na wyciągnięcie ręki, a tamtejsze przedsiębiorstwa coraz liczniej otwierają swoje przedstawicielstwa i oddziały na kanadyjskiej ziemi, zacieśniając obustronne więzy ponad najdłuższą niestrzeżoną granicą świata.

Jak rok temu stwierdził prezydent Kennedy podczas wystąpienia w kanadyjskim parlamencie: - Tych, których natura tak ze sobą złączyła, niech nikt nie waży się rozdzielać.

- Ile jeszcze kilometrów, tato?

- Jeszcze parę. Usiądź wygodnie i podziwiaj widoki.

Przez pola i obszary leśne przedzierają się potężne stalowe wieże, w swym pochodzie od wodospadu Niagara, gdzie trzy miliony litrów wody na minutę zasilają turbiny, które nigdy nie ustają. To motor napędowy tej prowincji i północno-zachodnich Stanów Zjednoczonych. Czysta moc, którą unoszą na swych barkach te strzeliste stalowe szkielety, honorowa straż wysokiego napięcia, dźwigary złotego trójkąta.

- Jesteśmy już na miejscu?

- Prawie.

W tych okolicach, przylegających od północy do stanu Michigan i Nowy Jork, niegdyś mieścił się punkt docelowy szlaku, którym przrzucono zbiegłych niewolników. Ich potomkowie wciąż jeszcze gospodarują na tutejszych farmach. Ludzie mijają czarnoskórą kobietę na traktorze i zastanawiają się, skąd ona się wzięła. Stąd.

Przemyt, choć na mniejszą skalę, nadal się tu odbywa - przrzuca się przez granicę towary, niekiedy ludzi.

Toronto to nowoczesna metropolia, nie brak też w regionie wielkich atrakcji turystycznych, jak wodospad Niagara, a w samym sercu Trójkąta mieści się średniej wielkości miasto Londyn. Wiele towarzystw ubezpieczeniowych ma tam swoje siedziby. Ogromne amerykańskie korporacje otworzyły swoje oddziały w Londynie, a wyroby przeznaczone na cały północnoamerykański rynek najpierw wypróbowywane są na miejscowej ludności. Producenci uważają zapewne, że Trójkąt Południowego Ontario jest ucieleśnieniem normalności.

- Tato - pyta Madeleine - dlaczego mieszkańcy Kitchener nie zmienili nazwy z powrotem na Berlin? Przecież wojna się skończyła.

- Obie wojny światowe - odpowiada ojciec - zwłaszcza ta ostatnia, wciąż żyją w ludzkiej pamięci.

Żywe obrazy.

- Tak, ale Niemcy nie są już naszym wrogiem - wtrąca Mike - tylko Rosja.

- Słusznie, Mike - mówi ojciec, zwracając się do syna jak mężczyzna do mężczyzny, stanowczym tonem dowódcy na placu defiladowym - ale nie należy mówić Rosja. Rosjanie są zwykłymi ludźmi, jak wszyscy inni. A nam chodzi o Sowietów.

„Sowietów". To słowo brzmi jak skomplikowana jednostka miary: *Jeśli Joyce ma pięć sowietów, a Johnny dwanaście, to ile sowietów mieliby razem, gdyby...* Madeleine nie drąży dalej tematu, ale ma wrażenie, jakby miasteczko domyślało się, że tylko na niby nazywa się Kitchener. Zmiana nazwy sugeruje, że jasne, czyste Kitchener skrywa w sobie ponury sekret: „Kiedyś nazywałem się Berlin. *Heil Hitler*".

Tata chrząka i mówi dalej: - Jest takie powiedzenie: „Kto nie pamięta przeszłości, ten powtórnie jej doświadcza".

Co dowodzi, że jeżeli miasteczko nazywa się Berlin, powinno przy tej nazwie pozostać. Ale Madeleine zachowuje tę uwagę dla siebie. Być mądrym a „być przemądrzałym" to nie to samo.

Przez środek prawdziwego Berlina biegnie teraz mur. Stanowi część żelaznej kurtyny. Madeleine wie, że to umowna kurtyna, ale mur berliński jest namacalny. Zapora z betonu i drutu kolczastego długości czterdziestu pięciu kilometrów. „Kiedy wyrósł mur", mówią dorośli, jakby powstał z dnia na dzień mocą jakichś czarów. „Jesteśmy świadkami historycznego wydarzenia", skwitował ojciec.

Zanim między zachodnim i wschodnim Berlinem wyrósł mur, granica przebiegała przez środek ulicy, przez cmentarze, budynki, mieszkania i łóżka. Można było pójść spać w strefie radzieckiej, przekreślić się na drugi bok i obudzić się w wolnym świecie. Przy goleniu było się komunistą, a przy śniadaniu wolnym człowiekiem. Mogliby wybudować miniaturę muru w środku Kitchener, gdyby zmienili jego nazwę z powrotem na Berlin. To nie jest zabawne. Komunizm nie jest zabawny.

- Tato, czy oni zamierzają wysadzić cały świat w powietrze? - pyta Madeleine.

Ojciec śmieje się w odpowiedzi, jakby po raz pierwszy słyszał coś podobnego. - Kto taki?

- Czy naciśną guzik?

- Jaki guzik? - pyta ojciec. Jaki potwór chowa się pod łóżkiem?

- To nie guzik - odzywa się Mike. - To metalowy przełącznik. Trzeba do niego użyć dwóch kluczy, a te klucze są rozdzielone. Najpierw jeden facet przekręca swój klucz, a potem ten drugi...

- Szanse, że do tego dojdzie - mówi tata głosem, który jasno daje do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych dyskusji na ten temat - są, praktycznie rzecz biorąc, nikłe.

- Co to znaczy „nikłe"? - pyta Madeleine.

- To znaczy, że bliskie zeru.

Ale nie łówne zełu, co, doktołku?

Na chwilę zapadło milczenie.

- Ale co by się stało, gdyby jednak wcisnęli guzik? - odzywa się Madeleine. - Chciałam powiedzieć, gdyby przekręcili te klucze? Czy świat wyleciałby w powietrze?

- Dlaczego tak się tym przejmujesz?

W głosie ojca brzmi lekka uraza. Madeleine robi się wstyd, jakby zachowała się nieuprzejmie. Nieuprzejmie jest martwić się tym, czy świat wyleci w powietrze, kiedy ma się przed sobą tatę, który prowadzi samochód. Kiedy zjadło się właśnie pyszne lody i doświadczyło jeszcze tylu innych przyjemnych rzeczy.

- Czy skóra stopiłaby się wtedy na człowieku?

Nie zamierzała o to pytać, samo jej się wyrwało. Wyobraźcie sobie tylko spływającą z was stopioną skórę. *Fuj, daj mi chusteczkę, doktołku.*

- Skąd ci to przyszło do głowy? - pyta ojciec niedowierzająco; ten sam ton przybiera, kiedy ona się boi, a on ją pociesza - jakby w życiu nie zetknął się z tak bezpodstawnym lękiem. I ten ton zwykle podnosi ją na duchu. Ale zawodzi, gdy w grę wchodzi stopiona skóra.

- Widziałam na zdjęciu - odpowiada.

- Gdzie?

- Na okładce czasopisma. Mieli stopioną skórę.

- Jej chodzi o Japońców - wtrąca Mike.

- Nie mówi się Japońców, tylko Japończyków - poprawia go ojciec.

- Nie możemy porozmawiać o czymś przyjemniejszym, *au nom du Seigneur?* - odzywa się Mimi, wyprowadzona z równowagi. - Pomyśl o miłych rzeczach, które cię czekają, Madeleine, pomyśl o tym, w co się ubierzesz na rozpoczęcie roku szkolnego.

Stopiona skóra.

Maman zapala papierosa. Jadą w milczeniu. Odświeżające cameo o smaku mentolowym.

Po chwili Madeleine spogląda na Mike'a. Zasnął. Może kiedy się obudzi, pobawi się z nią w zgadywanek. O ile ona znów nie palnie jakiegoś głupstwa. Nie zachowa się jak mała smarkula. Kiedyś często się ze sobą bawili, kapali się razem, gdy byli mniejsi. W pamięci Madeleine zachowały się wyraziste urywki - rozkołysane statki, bąbelki wylatujące z tonących kaczuszek, „SOS, wzywam Straż Przybrzeżną”. Przypomina sobie, jak delektowała się mydlaną wodą ściekającą z ręcznika, dopóki Mike nie wyrwał go jej z rąk: „Przestań, Madeleine, *c'est sale!*”.

Odrobina śliny zbierająca mu się w kąciку ust sprawia, że Mike wydaje się teraz

młodszy, jakby bliższy. Coś nagle drapie ją w gardle - kusi ją, żeby szturchnąć brata, rozłzść go, byle tylko przegnać to uczucie smutku, które opadło ją bez powodu.

Witamy w Lucan...

Stoją na starym cmentarzu przykościelnym. To jest starym według kanadyjskich standardów, nie europejskich. Nagrobki giną w wybujałej trawie, wiele płyt jest przewróconych. Jeden grobowiec wyróżnia się wśród innych. Czworokątny, wyższy od pozostałych, nadal trzyma pion, ale jest mocno poobłupwany. Na bokach widnieją imiona i nazwiska, w sumie pięć. Imiona są różne, ale nazwisko „Donnelly” powtarza się pięć razy. Każda z pochowanych tam osób urodziła się kiedy indziej, ale wszystkie umarły tego samego dnia: 4 lutego 1880. A po nazwisku następuje, wyryte w kamieniu, słowo „Zamordowany”, „Zamordowana”.

Rodzina Donnellych pochodziła z Irlandii. Jack opowiada im o tym, jak to oni i ich sąsiedzi przywlekli ze sobą dawną waśń rodową ze starego kraju do swej nowej ojczyzny.

- Trzeba zadać sobie pytanie - mówi - dlaczego, mając w Kanadzie tyle wolnej przestrzeni, postanowili znów osiedlić się tuż obok siebie.

Niewiele jest tu do opowiedzenia. To, co najistotniejsze, zostało wyżłobione w kamieniu. *Mord Mord Mord Mord Mord*.

- Madeleine, chodź - woła Mimi z samochodu. - Odjeżdżamy, *reviens au car*.

Ale Madeleine się ociąga.

- Jak oni zginęli? - pyta ojca.

- We własnym domu. Zabójcy wdarli się nocą.

- Ale jak?

- Zarąbali ich siekierami - wyjaśnia Mike.

- No, dzieciaki, do samochodu - mówi ojciec.

- Złapali zabójców? - pyta Madeleine, stojąc jak urzeczona przed nagrobkiem.

Nie, nie złapali.

- Więc oni nadal są na wolności?

Nie, przecież mówiłem wam, że to wydarzyło się dawno temu.

- Nie wiem, dlaczego się tu zatrzymałeś, Jack - mówi Mimi, ciągnąc córkę za rękę w stronę samochodu. - Mała będzie miała *les cauchemars*.

- Wcale nie - odzywa się Madeleine, dotknięta do żywego przypuszczeniem, że patrzenie na stare groby przyprawi ją o koszmary; a poza tym wcale nie jest mała. - Historia strasznie mnie ciekawi i już.

Jack chichocze pod nosem, a Mimi kwituje: - W jej żyłach płynie krew McCarthych, bez dwóch zdań.

Madeleine zastanawia się, dlaczego ktoś miałby sądzić co innego.

Próżno by dzisiaj szukać tego grobowca. Usunięto go przed wielu laty, gdyż zniszczyli go turyści, zabierając sobie po kawałku na pamiątkę. Rodzina McCarthych tak nie postępuje. Oni po prostu oglądają i snują refleksje; taki mają zwyczaj. Nie wyszukują „atrakcji” - w rodzaju pola do minigolfa czy gokartów - wbrew usilnym prośbom Mike'a i błaganiom Madeleine. Nie chodzi tylko o to, że takie rozrywki są „w złym guście”: za to, co najlepsze w życiu, nie trzeba płacić. Cuda natury, zabytki Europy. Nic tak nie bawi jak własna wyobraźnia, pismo to najwspanialszy wynalazek ludzkości, a twoje zęby są cenniejsze od pereł, więc dobrze o nie dbaj.

- Codziennie jabłko jedz, o trzeciej zdrzemnij się, na swoje zdrowie chuchaj, bo jesteś cały mój - no dalej, *les enfants, chantez avec maman...* - i Mike się do niej przyłącza.

Wysoko na niebie widać Księżyc, blady jak opłatek. Wylądujemy na nim jeszcze przed końcem tej dekady, obiecał prezydent Kennedy. Ojciec Madeleine przewiduje, że kiedy ona i Mike dorosną, ludzie będą latać raketami na Księżyc ot tak... jak dzisiaj podróżują samolotami. Kiedy Jurij Gagarin jako pierwszy człowiek poleciał w kosmos, przebywali na placówce w Niemczech. Wszyscy z wypiekami na twarzy słuchali relacji Waltera Cronkite'a, „głosu kosmosu”, nadawanych przez amerykańską wojskową stację radiową. Rosjanie wyprzedzają nas w podboju przestrzeni kosmicznej, ponieważ komuniści każą dzieciom uczyć się tylko i wyłącznie matematyki. Madeleine przymyka oczy, dostrzega Księżyc rysujący się na jej powiekach.

Przynajmniej tym razem Rosjanie wysłali człowieka, a nie psa, jak wtedy w Sputniku. Biedna psina udusiła się.

- Jak miał na imię ten pies?

- Jaki pies? - pyta ojciec.

Myśl o przyjemnych rzeczach. - Nieważne, tato.

Rok temu w lutym, kiedy John Glenn okrążył Ziemię, dyrektor szkoły przez radiowęzeł nadał transmisję z odpalenia rakiety. Wszyscy uczniowie wiwatowali, a kiedy porucznik Glenn wylądował cały i zdrowy, dyrektor oświadczył: - To doniosła chwila dla wszystkich miłujących wolność narodów świata.

Trzeba pokonać Rosjan w wyścigu na Księżyc, żeby przestali wystrzeliwać w kosmos Bogu ducha winne psy.

- Ile jeszcze zostało kilometrów, tato?

W ustach Mike'a pytanie to brzmi, jakby płynęło z czystego zainteresowania mapami i odległościami obliczanymi za pomocą triangulacji. W jej ustach brzmi to marudnie. Niestety, Madeleine nic na to nie może poradzić.

- Zobacz na mapie, Mike - odpowiada mu ojciec, jak mężczyzna mężczyźnie. Ten ton różni się od tego, jakim ojciec zwraca się do córki. Ten ton „między nami mężczyznami” jakby przydaje Mike'owi powagi, co drażni Madeleine. Ale pobrzmiewa też w nim nuta, która grozi tym, że Mike zaraz może oberwać, chociaż niczego nie przeszkrobał.

- *Voici la mappe, Michel.*

Matka odwraca się i podaje mu mapę.

- *Merci, maman.*

Mike z poważną miną rozkłada mapę, studiuje ją, po czym oświadcza: - Z moich obliczeń wynika, że dotrzemy na miejsce o godzinie tysiąc siedemsetnej.

- Według jakiego czasu, Mike? - pyta Madeleine.

- Marynarki wojennej USA.

- Akurat.

- Dla cywilów o piątej po południu.

- Ty też jesteś cywilem - zauważa Madeleine.

- To się niedługo zmieni.

- Masz dopiero jedenaście lat, a trzeba mieć dwadzieścia jeden, żeby wstąpić do wojska.

- Tato, można się zaciągnąć w wieku osiemnastu lat, prawda?

- Technicznie rzecz biorąc, tak, ale kto przy zdrowych zmysłach pchałby się do wojska?

- Chodzi mi o lotnictwo.

- No cóż, w czasie wojny...

W czasie wojny. Kiedy z ust ojca padają te słowa, to wiadomo, że ma zamiar wygłosić dłuższą przemowę, opowiedzieć im coś, co zapewne już wcześniej od niego słyszeli, ale i tak żadna inna historia nie jest równie zajmująca. Madeleine wtula się w siedzenie i spogląda przez okno, żeby wszystko ujrzyć wyraźniej w wyobraźni.

- Ale jak jest teraz? - przerywa mu Mike.

- Teraz wystarczy chyba mieć osiemnaście lat - odpowiada ojciec - ale w czasie wojny...

Mike słucha, z brodą opartą o nagłówek przedniego fotela. Mimi gładzi go po policzku, po włosach. Mike pozwala jej na te pieszczoty, a Madeleine dziwi się, jak sprytnie

udaje przed matką pieszczocha. Niczym groźny pies z mięśniami jak stal, który pozwala się głaskać tylko swojemu właścicielowi, a ten widzi w nim przerośniętą przytulankę.

- ...szkolili się na pilotów nawet szesnastoletni chłopcy - dodawali sobie lat, bo trzeba było mieć co najmniej siedemnaście i pół...

Ojciec zaciągnął się w wieku siedemnastu lat, ale nie walczył na wojnie. Rozbił się. Madeleine zamyka oczy i wyobraża sobie jego samolot.

- Mógłbym latać, gdybym miał osiemnaście lat? - znów wtrąca się Mike.

- Wiesz co, Mike, kiedy dojedziemy na miejsce, popytam się. Działa tam aeroklub i nie widzę przeszkód ku temu, żebyś sobie trochę polatał na lekkim samolocie na początek. Co ty na to?

- O rany, tato! - Mike wali się po udach. - Super!

Mimi gładzi męża po karku, a ten odpowiada jej spojrzeniem, które mówi: „To nic takiego”, ale tak naprawdę znaczy: „Kocham cię”.

Madeleine peszy się. To tak, jakby patrzyła przez uchylone drzwi, które ktoś zapomniał za sobą zamknąć. Mike chyba w ogóle nie zauważa takich rzeczy.

- Tato, opowiedz o tym, jak rozbił się twój samolot - prosi Madeleine.

- Tak, opowiedz nam - wtóruje jej Mike.

- Może usiądziecie sobie teraz wygodnie i pooglądacie widoki za oknem, a kiedy dojedziemy, pokażę wam miejsce, w którym to się zdarzyło?

- *O Mein Papa* - nuci Mini.

Mike pozwala Madeleine położyć nogi na jego połowie siedzenia. Wszyscy śpiewają całym sercem, aż w końcu zapominają, dokąd zmierzają, zapominają, skąd wyruszyli, i wydaje im się, że jadą jak we śnie, co w tamtych czasach w samochodzie w drodze było jeszcze możliwe.

Witamy w Paryżu, Witamy w Brukseli, Witamy w Dublinie, Nowym Hamburgu, Damaszku, Witamy w Neustadt, w Stratfordzie, w Londynie... Witamy w Ontario.

Tyle niewidzialnych przydrożnych towarzyszy podróży. Tyle nawarstwiających się ludzkich żywotów. Zbiorowa pamięć, która uniosła się z ziemi i zawisła nad Trójkątem niczym powała cumulusów. Pamięć rodzi pamięć, wydobywa ją z przybyszów, przyswaja ją. Gleba taka żyzna, woda taka obfita, plony takie bogate; ziemia po wielokroć wchłonęła nas w siebie, wydychając wszystko z powrotem, tak że samo powietrze utkane jest tu z pamięci. Pamięć spada wraz z deszczem. Pije się pamięć. Zimą lepi się śnieżne anioły z pamięci.

Niecałe czterdzieści kilometrów na północ od Londynu mieści się placówka Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych Centralia. RCAF Centralia. Daremnie by jej

teraz szukać, utraciła swoją pamięć. Tymczasowy przybytek przeznaczony dla tymczasowych mieszkańców, zaprojektowany tak, aby pamięć nie mogła doń przylgnąć, aby odchodziła tak łatwo jak jajko od patelni. Zaprojektowany, aby oprzeć się działaniu czasu.

Nazwę zawdzięcza pobliskiej miejscowości, ale na tym podobieństwo między nimi się kończy. Miejscowość jest stara i z upływem czasu przybywa jej lat. Ogrody zmieniają swój kształt, sklepy powstają i upadają, domy niszczeją, są odnawiane, ludzie rodzą się, wzrastają i umierają. A w bazie lotniczej wszystko jest nowe. I takie pozostaje przez cały okres jej działalności. Każdy dom, każdy budynek odmalowuje się wciąż na nowo w tych samych kolorach, elewi przebiegający żwawo przez plac defiladowy zawsze są młodzi i niebawem otrzymają swoje skrzydełka. Domy zawsze sprawiają wrażenie, jakby nikt wcześniej nie mieszkał pod ich dachem, dzieci w SKR-ach zawsze są mniej więcej w równym wieku. Tylko drzewa z wiekiem się zmieniają, rosną. Jak nadawane w telewizji powtórki, baza lotnicza nigdy się nie starzeje. Bytuje w ciągłej terażniejszości. Aż do ostatniego uroczystego przelotu samolotów. Potem następuje demobilizacja, denominacja, desakralizacja. Baza zostaje odsprzedana i nagle uwidacznia się na niej ukryte do tej pory piętno czasu. Więdnie w oczach, jak twarz przedwcześnie postarzałego dziecka. Pieniące się chwasty, odłóżąca płatami farba, niszczące wielkookie bungalowy...

Lecz zanim do tego dojdzie, króluje czas terażniejszy. A gdyby zagubiony w czasie wędrowiec powrócił w to miejsce, bez trudu trafiłby do swego starego domu i rozpoznał go. Otworzyłby drzwi, myśląc, że zaraz usłyszy głos mamy: „Położyłam na łóżku twój mundurek zuchowy, kochanie. Gdzie ty się podziewałeś?”.

Nie, ta część świata to nie trójkąt bermudzki. Ale od czasu do czasu zdarza się, że ludzie przybywają w te strony i giną.

WITAMY W CENTRALII

Wiem, że me słowa dziwią cię,

Lecz w Camelocie różne cuda dzieją się.

„Camelot”, Lerner i Loewe, 1960

- Obudź się, Madeleine. Jesteśmy na miejscu.

Placówka Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych Centralia. Sto trzydzieści osiem akrów rządowej ziemi wykrojone z bezkresnej szachownicy uprawnych pól. Znakomite miejsce do szkolenia pilotów, wszędzie dookoła nadające się do awaryjnego lądowania rolnicze tereny. Jack szkolił się tutaj w czasie wojny. „Witajcie w SŚW”, jak powiedział instruktor, pod którego okiem uczyli się pilotażu. W Samym Środku Wygwizdowa.

Jack zwalnia. Po prawej stronie głównej drogi okręgu Huron rozciąga się baza, po lewej rozmieszczone są kwatery mieszkalne, SKR-y.

- Przeprowadzimy małe rozpoznanie, dobrze? - mówi i skręca w prawo.

Tuż przed główną bramą, na stalowym cokole rwie się do lotu spitfire, legendarny myśliwiec z drugiej wojny światowej; jego śmigło jest przyspawane, maleńka jednoosobowa kabina przykryta przezroczystą osłoną. *Per ardua ad astra*, głosi napis na tablicy, dewiza RCAF: *Przez trudy do gwiazd*.

- Tato, pokażesz nam, gdzie to się stało? - pyta Madeleine.

- Zaraz tam dojedziemy, stary druhu.

Jack latałby bombowcem, gdyby nie ten wypadek. Ciężkim lancasterem z czterema silnikami typu Merlin, zupełnym przeciwieństwem zwinnego spitfire'a.

- Między innymi temu samolotowi zawdzięczamy życie i wolność - oświadcza Jack.

Nigdy dotąd tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym. Kiedy Churchill wypowiadał te słowa, miał na myśli pilotów walczących w bitwie o Anglię. Spitfire uchronił Wielką Brytanię przed niemiecką inwazją w 1940 roku. Kiedy Anglia toczyła samotną walkę w powietrzu, wspomagało ją dziewięćdziesięciu dziewięciu kanadyjskich pilotów*, odpierając potęgę niemieckiej Luftwaffe, a naród brytyjski śledził podniebne potyczki z ziemi.

Usadowiony na cokole spitfire to kolejny przykład różnicy między Kanadą a Niemcami. Tutaj pamiątki z toczonych bojów są eksponowane z dumą: odnowione czołgi i działa, na placach miast pomniki ku czci „naszych poległych bohaterów”, od wojny burskiej aż do Korei. A w Niemczech nie uświadczysz wypolerowanych messerschmittów wystawionych na pokaz. Tam mury budynków poryte są od pocisków, piętrzą się stosy gruzu - morze ruin, a dookoła „gospodarczy cud”, *Wirtschaftswunder*. To długi wyraz, jak wiele innych niemieckich słów, ale Madeleine zapamiętała go, ponieważ brzmi jak zaklęcie. Ojciec wytłumaczył jej, co oznacza, opowiedział jej o tym, jak Niemki gołymi rękami, cegła po

* Trzeba w tym miejscu wspomnieć o udziale polskich pilotów. Polacy walczyli w rodzimych dywizjonach 302 i 303 (myśliwskich) oraz 300 i 301 (bombowych), a także w wielu brytyjskich. Ich osiągnięcia w ciągu całej bitwy to 203 pewne zestrzelenia, 35 prawdopodobnych oraz 36 uszkodzonych maszyn przeciwnika, co stanowi 12% wszystkich samolotów utraconych przez Luftwaffe nad Wielką Brytanią. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

cegły, odbudowywały miasta po każdym nalocie, tak nieustraszone jak londyńczycy, kiedy na ich miasto spadały niemieckie bomby. Madeleine wyobraża je sobie jak na ekranie, w białoczarnej kronice filmowej, *die Trümmerfrauen* - „kobiety z ruin”. W chustkach na głowach, schylone nad kupami gruzu.

Jack zatrzymuje się przy wartowni, rozmawia żartem ze strażnikiem, który mówi: „Witamy w Centralii, panie majorze”, i saltuje uprzejmie, lecz swobodnie - co odróżnia etykietę obowiązującą w siłach powietrznych od wojsk lądowych. Jack przykładając dwa palce do skroni i rusza. Rambler wjeżdża powoli w Canada Avenue.

Gdyby jej ojciec siadł w czasie wojny za sterami bombowca, jeszcze więcej niemieckich domów ległoby w gruzach. Chyba że wcześniej by go zestrzelili. Hamburg, Drezno, Kolonia... Każda wzmianka o Dreźnie sprawia, że ojciec kiwa ze smutkiem głową. Nazwa tego miasta kojarzy się ze śliczną porcelaną i misterną architekturą. To wszystko zostało zburzone. „To Hitler wymyślił wojnę totalną”, tłumaczy ojciec. Pomyśleć tylko: ktoś wdzierając się do cudzego domu i tłucze wszystkie talerze: „Popamiętajcie mnie”. Wszystkie kobiety świata razem wzięte nie zdołałyby tego z powrotem poskładać.

Madeleine ogląda przesuające się w milczeniu za oknem budynki - białe elewacje, zielone obramowania okien i drzwi, z zadbanymi ogrodami - zaznaczone i zaksięgowane. Kaplica protestancka, kaplica katolicka, straż pożarna, biblioteka. Wózki na zakupy ustawione w rzędach przed supermarketem. Cisza, spokój, niedzielne popołudnie. Teraz skręcamy w Saskatchewan Street...

Jadą bardzo wolno. Jak podczas uroczystego, powolnego marszu, kiedy to odgłosy kroków stłumione są na znak szacunku lub żałoby.

Rodzina McCarthych ostrożnie, niemal nabożnie zaznajamia się z Centralią. Jakby lawirowała między leżącymi pokotem we śnie nieznanymi stworzeniami - swoją przeszłością. Nie wykonujcie żadnych gwałtownych ruchów, jeszcze nie czas na robienie zdjęć.

Mijają stojące przy Nova Scotia Avenue budynki administracyjne, gdzie pracują tatusiowie, potem niskie, rozgałęzione baraki, w których mieszkają nietatusiowie. Plac defiladowy tchnie żarem, czerń jego nawierzchni odcina się od bieli budynków niczym na szachownicy. Kino - właśnie grają *Rozmowy do poduszki* - stadion hokejowy; za ośrodkiem rekreacyjnym zabawa w najlepsze: dzieciaki skaczą do basenu „na bombę”. Madeleine chłonie przesuające się wolno za oknem widoki, skąpane w gorącym sierpniowym słońcu. To tutaj będzie to, co będzie.

Równie niespodzianie jak stado mew, przemyka obok zastęp młodzieńców w ciasno opiętych podkoszulkach i niebieskich spodenkach - złani potem elewi o wyraźnie

zarysowanych mięśniach i sterczących grdykach. Ich stopy w białych tenisówkach zgodnie unoszą się i opadają, posłuszne komendzie „Biegiem marsz”. Wśród nich są Murzyni i Azjaci, a reszta to istna mieszanka etniczna. Mimi odprowadza ich wzrokiem, potem, zwracając się do Jacka, na ułamek sekundy wymownie unosi brwi, na co ten mruczy pod nosem: „Kobieto, nie patrz tak na mnie”. Mimi uśmiecha się. Jack umacnia się w swoim wewnętrznym postanowieniu - na pewno zacznie biegać, kiedy już się urządzi.

Jack przyglądał się elewom posuwającym się niestrudzenie naprzód w bezlitosnym popołudniowym skwarze, w którym jakby nagromadził się żar całego dotychczasowego dnia. On też to przechodził. Tutaj. Obnosił upragnioną „białą błyskotkę” - trójkąt z płótna wsunięty za otok rogatywki, znak rozpoznawczy orląt. Należał do tych „chłopców malowanych”, których urokowi nie mogła się oprzeć nadobna płeć. Przeszedł szkolenie naziemne, namęczył się nad tablicą przyrządów w sali ćwiczeniowej, w otoczeniu dekoracji imitujących krajobraz i horyzont, starając się nie rozbić w zmyślnym małym symulatorze lotów, używanym zresztą po dziś dzień. *Zasuń pokrywę kabiny, lecisz bez widoczności, zdaj się na instrumenty* - wpajali im to na okrągło - *startujesz pod wiatr, miarowo przesuwasz manetkę, ręce, stopy i głowa...* Sprawdzenie na głos stanu przyrządów, sprzężenie się, z sercem walącym w piersi, do pierwszego solowego występu, lotu w pojedynkę - podczas pierwszego solowego występu czuwa nad tobą Bóg, później jesteś zdany tylko na siebie. A kiedy szczęśliwie wylądowałeś, wieczorem w mesie oficerskiej, mimo że nogi wciąż się pod tobą uginają z wrażenia, wznosisz wspólny toast: „Za tych, którzy są ponad to wszystko”.

Jack przeszedł szkolenie w Centralii, ale zadania bojowe wykonywałyby nad Niemcami - Mühlheim, Essen, Dortmund. Lot za lotem do „krajiny bez przyszłości”, jak lotnicy nazywali Zagłębie Ruhry, opokę przemysłowej potęgi Trzeciej Rzeszy, gdzie przewidywana dla załogi alianckiego bombowca długość życia była jeszcze krótsza niż na innych odcinkach frontu. Ale na szczęście wojna to przeszłość. Obecni elewi przeważnie będą służyć w siłach powietrznych NATO. Zostaną przydzieleni do dywizjonów rozmieszczonych w różnych stronach świata. Może nigdy nie zostaną skierowani do walki, ale będą czuwali, gotowi do natychmiastowego startu kilka minut po ogłoszeniu alarmu, w samolotach uzbrojonych w głowice atomowe, świadomi tego, że jeśli „bomba pójdzie w górę”, w ciągu kilku godzin może być po wszystkim. Nie tylko dla załogi samolotu, nawet nie dla setek czy tysięcy cywilów na ziemi. Dla całej ludzkości. Tak, żyjemy teraz w innym świecie. Jack skręca i wjeżdża między dwa ogromne hangary.

Po chwili wynurzają się z cienia na cichy, otwarty teren, z którego rozchodzą się wachlarzem betonowe pasy, tworząc rozległy trójkąt w obrębie trójkąta. Lądowisko.

Nieruchome, prażące się w słońcu.

Jack zatrzymuje samochód. Gasi silnik. W oddali migocze w słońcu pas startowy.

- Jesteśmy na miejscu wypadku - oznajmia. - Skurczybyk - dodaje tonem pełnym czułości, zastrzeżonym dla wysłużonych dowcipów o drogich zmarłych. Potrząsa głową. Mimi przygląda mu się. On odwraca się do niej i puszcza jej łobuzersko oko. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pochyla się i całuje ją.

Dzieci na tylnej kanapie wyglądają przez okno na lądowisko. Po chwili Jack i Mimi idą w ich ślady. To tak, jakby całą czwórką wybrali się do kina pod gołym niebem. Niemy film w biały dzień. Powietrze, niemal płynne od żaru, stanowi zamazany ekran.

Madeleine mruży oczy. Tutaj tata szkolił się na pilota. Tutaj się rozbił. Wodząc wzrokiem po gładkiej nawierzchni, Madeleine doświadcza wstrząsu, jaki następuje w wyniku konfrontacji naiwnych dziecięcych mrzonek z rzeczywistością, konfrontacji, która nieuchronnie prowadzi do przeistoczenia się dziecka w dziewczynkę. Do tej pory nosiła w sobie obraz Centralii ogarniętej wojną: weseli mężczyźni w skórzanych kurtkach lotniczych z kożuszkami, uwijający się po zakurzonych pasach startowych, sypiący dowcipami, dzielący się papierosami, zahartowani i nieulekli. Dookoła nich wybuchają bomby, tata uskakuje i pędzi do swego samolotu. Mimo że doskonale wiedziała, że Centralia leży w Kanadzie, jej umysł dziecka potrafił jednocześnie umiejscowić Centralię w samym środku działań wojennych.

Kiedy jest się dzieckiem, można wierzyć w dwie przeciwstawne rzeczy naraz. Madeleine często musiała sobie w myślach powtarzać, że jej ojciec nie zginął w samolocie - *przecież nie mógł, skoro właśnie opowiada mi o tym, jak się rozbił*. Lecz w jej umyśle, nie wiedzieć czemu, Historia o Rozbiciu się Samolotu Taty dała jednocześnie początek Historii o Ojcu, który Poległ na Wojnie. Madeleine uświadamia sobie całą niedorzeczność hołubionych przez siebie wyobrażeń, przenika ją dreszcz na myśl o tym, że ten drugi tytuł nie wywoływał u niej strachu, a nawet poczucia sprzeczności. Składał się wraz z innymi rojeniami na ten na poły halucynacyjny świat, który zamieszkiwała jako dziecko. Jeszcze pięć minut temu. Madeleine spogląda na lądowisko i ma wrażenie, jakby budziła się ze snu. Ani śladu podziurawionych pociskami samolotów, lejów po bombach; nigdzie nie widać lancasterów ani nawet topornych ansonów, na których odbywał loty ćwiczebne jej ojciec. Żadnej broni w zasięgu wzroku. W całej bazie najbliższy odpowiednik sprzętu wojennego stanowi wysłużony spitfire, unieruchomiony przed bramą. Albowiem na tłuczniowej smołowanej nawierzchni stoją, ustawione w rzędy, tutejsze maszyny latające: chipmunki.

Radosne żółte szkoleniowe samolociki. Elewi doznają pierwszych rozkoszy obcowania

z błękitnym przestworem w kabinie chipmunka, potem zaś przesiadają się na zgrabne, lśniące voodoo, myśliwce typu Sabre czy CF-104, potężne transportowe herculesy czy yukony. Ale nie w Centralii. Tutaj mieści się Szkoła Podstawowa Latania. I Centralna Szkoła Oficerska. Jeśli doliczyć do tego Szkołę Języków, Szkołę Inżynierską i Szkołę Kwatermistrzowską, Centralia ukaże się nam jako jedna ogromna szkoła.

Centralia odgrywa ważną rolę w systemie obrony NATO, ale daleko stąd do muru berlińskiego. Daleko do Zatoki Świń, Kanału Sueskiego, przylądka Canaveral, kosmodromu Bajkonur. Wszędzie stąd daleko. Sam Środek Wygwizdowa. Tutaj Jack otrzymał medal: Krzyż Lotniczy. „Za męstwo, odwagę i poświęcenie wykazane podczas lotu, chociaż nie w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem”.

Rząd zbudował Centralię w 1942 roku, w ramach śmiałego projektu premiera Mackenziego Kinga stworzenia rozległej sieci lotniczych ośrodków szkoleniowych, do którego nawiązał prezydent Roosevelt, nazywając Kanadę „aerodromem demokracji”.

Kanada wchodziła w skład północnoatlantyckiego trójkąta, którego pozostałe dwa wierzchołki wyznaczały Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Trójkąt ten niekiedy posuwał się do sprytnych wybiegów. W myśl ustawy o pożyczce i dzierżawie wiele samolotów biorących udział w działaniach wojennych zostało zbudowanych w USA - „arsenale demokracji” - ale przed oficjalnym przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny samoloty te nie mogły trafić drogą powietrzną do Kanady, stanowiłoby to bowiem pogwałcenie amerykańskiej ustawy o neutralności. Piloci latali zatem tymi nowymi maszynami do Montany czy Dakoty Północnej i lądowali tuż pod samą granicą. Tam, już po kanadyjskiej stronie, czekały na nich zaprzęgi konne. Doczepiano konie do samolotów, przeciągano je na drugą stronę do Kanady, a tam samoloty wzbijały się w powietrze i kierowały do placówek RCAF, żeby wspomóc wysiłek szkoleniowy Wspólnoty Brytyjskiej.

Ze wszystkich krajów Wspólnoty - z Wielkiej Brytanii i z odległych zakątków jej dawnego imperium - napływali ochotnicy; do Kanady ciągnęli też amerykańscy chłopcy, zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Z dala od bitewnego zamętu i poza zasięgiem niemieckich bombowców odbyło tu szkolenie sto tysięcy przyszłych lotników - pilotów, radiotelegrafistów, strzelców pokładowych i nawigatorów. Dostawali swoje skrzydełka i trafiali do podniebnej służby, gdzie ginęli jak muchy - przeważnie podczas nocnych lotów bombowych, całą załogą, w jasnym świetle księżyca.

W tamtych czasach Centralia stanowiła Ośrodek Szkolenia Lotników Służby Czynnej, ostatni przystanek przed szkoleniem bojowym w Anglii, po którym następowała wreszcie prawdziwa walka. Jack miał zostać niebawem wysłany za ocean, kiedy podczas lotu

ćwiczebnego dwusilnikowym ansonem wpadł w korkociąg i rozbił się na polu tuż poza obrębem lądowiska. Niemal na skraju rowu. Za drogą do kołowania widać ten pas wysokiej trawy. Nadali mu medal za męstwo, ponieważ postąpił słusznie. Wtedy w powietrzu działał niemalże odruchowo, ale jak się potem okazało, Jack błyskawicznie podjął odważną decyzję, „choć nie w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem”.

Kiedy w zeszłym roku w kwietniu Jack otrzymał powiadomienie o przeniesieniu na kolejną placówkę, zareagował śmiechem. Centralia. Niech to licho. Jack początkowo miał zamiar wystąpić o przedłużenie okresu służby w Europie, ale kiedy podzielił się tą wiadomością z Mimi, ta oświadczyła: „Chcę wrócić do domu, Jack”. Z całego okresu swego małżeństwa tylko cztery lata spędzili w rodzinnym kraju. „Chcę, żeby nasze następne dziecko urodziło się w Kanadzie”, dodała. Jack uśmiechnął się, nie było dla niego lepszej zachęty niż wyrażone przez żonę pragnienie urodzenia kolejnego dziecka. Mimi kochała Europę, ale nadszedł czas. Czas, żeby dzieci poznały swoją ojczyznę. Czas - jak się domyślił, gdyż Mimi nie powiedziała tego wprost - żeby nabrali dystansu do zimnej wojny. Kiedy rok wcześniej został wzniesiony mur berliński, Mimi stwierdziła: „Jesteśmy za daleko od domu”.

Jack nie odwiedzał Centralii od czasu tamtego wypadku. Przez sześć tygodni nosił wtedy opatrunek na oczach. Jego prawe oko jest bez zarzutu, ale w lewym utracił częściowo zdolność widzenia peryferycznego. Kiedy siada za kierownicą, zakłada zalecone przez optyka okulary przeciwsłoneczne; poza tym używa okularów tylko do czytania. Gdyby był wtedy lotnikiem w służbie czynnej, gdyby został zestrzelony podczas lotu bojowego nad Europą, wysłano by go z powrotem w powietrze, jak tyko doszedłby do siebie. Nadwerężone jedno oko nie przeszkadza przecież w zrzućaniu bomb. Ale nie pozwolono mu dokończyć szkolenia. Jak przestarzały samolot, został skreślony ze stanu jednostki. Zachował skrzydełka, ale rozstał się z kategorią lotnika. Dla niego wojna się skończyła. Przyjął to z wielkim rozgoryczeniem. Był młodym chłopcem.

Mimi bierze go za rękę.

I oto wraca do Centralii, która nadal jest ośrodkiem szkolenia lotników, tylko że obecnie elewi pochodzą z krajów członkowskich NATO. I mieszkają tu rodziny; widać pojemne samochody, ruszty i spryskiwacze na trawnikach. Panuje pokój.

Większość jego kolegów zginęła na wojnie.

Jack ściska dłoń żony, potem zapala silnik. Zawraca i wjeżdża wolno między hangary. Pora pokazać Mimi miejsce, w którym skupia się tutejsze życie towarzyskie. Na pewno będzie piękne, jak wszędzie indziej. Drewno na wysoki połysk, skóra, srebro, śnieżnobiałe obrusy i bukiety gardenii. Mesa oficerska. Dla niej warto wcisnąć się w galową marynarkę,

jeśli jest się oficerem, i warto przywdziać najlepszą atlasową sukienkę z dekoltem, jeśli jest się żoną oficera. Ale oficjalne przyjęcia zdarzają się rzadko. Dla panów obowiązującym strojem na cotygodniowych potańcówkach jest po prostu marynarka sportowa i krawat, a dla pań suknia wieczorowa; na spotkania towarzyskie przewidziany jest jeszcze swobodniejszy ubiór.

Mimi przygląda się swemu mężowi z profilu. Lubi się z nim przekomarzać, wytykać mu, że wygląda przy niej na młodzieniaszka, choć w rzeczywistości jest od niej o rok starszy. To pewnie te niebieskie oczy przydają mu niewinności, w oprawie kasztanowych rzęs, za długich jak na mężczyznę. Ma ochotę oprzeć mu głowę na ramieniu, kiedy on prowadzi, jak za dawnych czasów, kiedy byli narzeczeństwem. Wtulić usta w jego gładko wygolony policzek, wiedząc, że on czuje na twarzy ciepło jej oddechu, zastanawiając się, kiedy nie wytrzyma i zjedzie na pobocze... Nie widać po nim, aby się przejmował, ale Mimi domyśla się, co przeżywa. Jack żartem wypomina jej, że ona „dramatyzuje”, ale Mimi wie, że tu właśnie pękło mu serce. Nie z powodu kobiety, lecz samolotu.

Ale Mimi w swej mądrości nie porusza tego tematu, niczego po sobie nie okazuje, tylko radość: nie może się już doczekać, aby rzucić się w wir zajęć na nowym miejscu, urządzić wszystko od podstaw, rozpakować ich dobytek, eleganckie stroje wraz z garnkami, wstąpić do Koła Żon Oficerów, oddać do czyszczenia jego mundur... Nigdy by mu tego nie wyznała, ale cieszy się, że jej mąż nie jest pilotem. Owszem, piloci to sól tej ziemi, błyszczą w towarzystwie. Jack i Mimi mają wśród nich oddanych przyjaciół. Ale żony lotników zamartwiają się, kiedy ich mężowie są w powietrzu. I to wyczekiwanie w domu ich powrotu, kiedy odprężają się w gronie kolegów. Mocno drażliwy *esprit de corps*, pomimo przekonania żywionego przez jej męża, iż w porównaniu z armią lotnictwo jest dużo bardziej „na luzie”. Mimi wie, ale zachowuje to dla siebie, że mężowie, którzy świetnie bawią się w męskim towarzystwie, czasami po powrocie do domu zamieniają się w ponuraków. Jest szczęśliwa, że nie musi nikogo rozweselać. Mimi uważa, że przypadły jej w udziale zalety obu światów: ma męża wojskowego, który na pierwszym miejscu stawia rodzinę.

Odwraca od niego wzrok, nie chce, żeby czuł się skrępowany. Jack pogwizduje przez zęby. Wszystko będzie dobrze. *Mam wspaniałego męża*. Ta świadomość przepęlnia ją rozkoszą, żadna scena z hollywoodzkiego filmu nie przebije tego samochodu w słońcu, z tym mężczyzną za kierownicą i z jego dziećmi, z tajemnicą, której poza nią nikt nie zna: jego twarz zawieszona tuż nad jej twarzą, całkowicie bezbronna. Na łasce swej własnej siły... on potrzebuje jej, aby odebrała mu tę siłę i przechowała bezpiecznie. A potem zwróciła. Mimi kładzie mu rękę na udzie.

Jack skręca w lewo w Alberta Street i podąża jedynym łukiem w całej bazie. Półkolisty podjazd prowadzi do budynku z kamienia w otocze żywopłotu i kwietników. Niski budynek w stylu Franka Lloyda Wrighta odcina się okazałą granitową fasadą od panującej powszechnie urzędowej bieli.

- Proszę spojrzeć, moja pani - mówi Jack.

Kamienny chodnik prowadzi do dębowych drzwi. Przez ogromne uchylone okna w drewnianych ramach, między połami zasłon w rozpoznawczych barwach lotnictwa - purpurowo-niebieskich - dostrzec można ławy i krzesła. Połyskuje parkiet. Można po raz drugi zakochać się w swojej żonie, kiedy prowadzi się ją pod rękę do sali wypełnionej brzmieniem swingującej orkiestry, szczękiem kieliszków, woniami wyłożonych potraw, śmiechem mężczyzn i kobiet. Te czarodziejskie wieczory.

- *Bon* - mówi Mimi. I jadą dalej.

- A ty gdzie będziesz pracować, tato? - pyta Mike.

- Właśnie minęliśmy ten budynek, stary druho, tam z tyłu po prawej stronie.

We wstecznym lusterku ich ramblera widać malejący biały jednopiętrowy budynek, z zielonym dachem i betonowymi schodkami. Uroczy jak śniegowa forteca. Stamtąd Jack będzie zarządzał Szkołą Oficerską w Centralii. Tam będzie mieściło się jego centrum dyspozycyjne.

Mimi wyjmuje chusteczkę z kieszeni męża i ściera mu z ust ślady szminki, pozostałość po ich namiętym pocałunku na lądowisku. Potem całuje go i szepcze mu do ucha: - *Je t'aime*, skarbie.

Życie jest piękne. Odrywa rękę od kierownicy, która sama się przekręca, kiedy Jack zawraca niespiesznie na Canada Avenue. Jest szczęściarzem. Kocha to, co dostał od losu.

Wie, że gdyby trafił do służby czynnej w czterdziestym trzecim, pewnie nie przeżyłby wojny. Ten wypadek go ocalił. Jack otrzymał dar, którego wyrzekło się tak wielu jego przyjaciół. Ma dzieci. I koniec kropka, nie ma nic lepszego; nie umywają się do tego szybkie samochody i kawior czy króliczki z „Playboya” i forsa. Własne dzieci. I kobieta, która je urodziła.

- Zachowuj się, moja pani - upomina łagodnie żonę, która gładzi go po udzie.

Mimi zerka na jego rozporek i mówi: - To ty się zachowuj, mój panie - i uśmiecha się. Zadowolona ze skutku swych poczynań.

Kiedy rambler wyjeżdża przez bramę, wartownik salutuje, a Jack w odpowiedzi odrywa dwa palce od kierownicy.

Znów mijają spitfire'a, a Madeleine czuje, jak odzywa się w niej niepokój. W końcu

jedziemy do naszego nowego domu. Jaki on będzie? W Centralii są 362 do wyboru. W różnych kolorach.

Nieopodal spitfire'a sterczy z ziemi wysoki pał. Nie jest to słup telefoniczny, tyle Madeleine może o nim powiedzieć. Na jego wierzchołku widać spore gniazdo. A spośród ździebeł trawy wystaje coś metalowego. Niczym zardzewiały ryjek.

- To syrena alarmowa - mówi Mike.

Nie przypomina wcale tych, które Madeleine widziała w Niemczech - świeżo odmalowanych głośników umieszczonych na betonowych słupach. *Ptakom wstęp wzbroniony.*

- Zachowała się z czasów wojny - wyjaśnia tata.

- Słyszałeś ją kiedyś?

- Nie.

Madeleine wie, jak wyje syrena alarmowa. W bazie 4 Dywizjonu często ogłaszano próbne alarmy. Jej przeraźliwy odgłos sprawia, że człowiekowi robi się niedobrze.

- Ona wciąż działa? - pyta.

- Nie wiadomo - odpowiada tata. - Ale wrony na pewno by się ciężko wystraszyły, gdyby nagle zawyła.

Rambler przecina okręgową drogę. W polu widzenia żadnych samochodów, ani z jednej, ani z drugiej strony. SŚW. Madeleine odwraca się i spogląda na strzępiaste gniazdo. Mignięcie czarnego skrzydła, wrona unosi się i odlatuje.

Rambler wjeżdża do dzielnicy mieszkalnej i Canada Avenue przechodzi w Algonquin Drive. Otoczenie przypomina małe przedmieście, skupisko starannie rozplanowanych domów bliźniaczych i bungalowów we wszystkich kolorach tęczy. W czterdziestym trzecim było tu zupełnie pusto.

Każdy dom opasany jest szerokim trawnikiem, w zasięgu wzroku pola kukurydzy, które nigdy nie wydają się odległe. Trawnik potrafi zniewolić swego właściciela, ale tu w Centralii wystarczy tylko przycinać i podlewać, a trawa rośnie bujna i zielona. Podobnie jest z klonami, które zrzucają swe wirujące skrzydełka, wiązami obsypanymi kwieciami, szeroko rozgałęzionymi krzewami, które każdej wiosny wybuchają śnieżnobiałymi obłokami konfetti, *Niech żyje młoda para!* Nikt nie stawia tu płotów. Łuki i zakręty tworzą opływowe kształty, cała dzielnica tkwi w swych własnych objęciach. Madeleine spogląda przez okno na ten nowy jasny świat.

Rowery małe i duże, wózki dla lalek, włączone spryskiwacze, buczenie kosiarki, zapach świeżo ściętej trawy. Dzieciaki podnoszą wzrok znad zabawy, lekko zaciekawione,

dorośli machają ręką do przejeżdżającego samochodu, Jack i Mimi odpowiadają im tym samym.

- Co to za ludzie? - pyta Madeleine.

- Jeszcze nie wiemy - odpowiada tata.

- Ale wkrótce się dowiemy - mówi *Maman*.

Albo i nie. Ci, którzy im machali, może właśnie się stąd wyprowadzają. Można też natknąć się na znajomych z poprzednich placówek i wtedy następuje serdeczne powitanie po okresie rozłąki. Ale tak czy inaczej, warto rozpocząć od razu na przyjacielskiej stopie. Tak to już jest w lotnictwie. Człowiek szybko nawiązuje więzi, potem rusza dalej, i nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Mijają park z huśtawkami, bujawkami, zjeżdżalnią i karuzelą. Między domami biegną brukowane ścieżki prowadzące na otwarte tereny, które - ukryte przed wzrokiem dorosłych - stwarzają pełnię możliwości. Pośród Stałych Kwater Rodzinnych w Centralii są w sumie sześćdziesiąt cztery takie niezagospodarowane akry - trawiaste kręgi na tyłach domów. Tam zawsze jest się w zasięgu wzroku czyjejś matki. W Centralii nikt się nie boi o dzieci.

- Tato, dlaczego to miejsce nazywa się Centralia? - pyta Madeleine.

- Ponieważ tu jest centrum świata - odpowiada Jack, puszczając oko do syna w lusterku wstecznym.

- Każdy punkt stanowi centrum świata - mówi Mike - bo świat jest okrągły.

A krągłość wydaje się dominującą cechą Centralii - ulice tworzą tu pętle, pośrodku pętli schludnie przystrzyżone koliste trawiaste pola. Madeleine mruży oko i bierze za cel Centralię. Bach. Zburzona. Gruzowisko. Kobiety w chustkach podnoszą kolorowe kawałki domów. Klocki lego.

- Madeleine, przestań bujać w obłokach i rozejrzyj się po okolicy - mówi matka. - Jak myślisz, gdzie mieszka twoja najlepsza przyjaciółka?

O łety, doktołku. Może w tym pojemniku na śmieci razem z marynarzem Popeyem.

- Jeszcze nie wiem, *Maman* - odpowiada.

Gołe panienki mam na skinienie ręki, jestem dzielny marynarz Popeye. Nauczyła się tej nieprzyzwoitej piosenki od Mike'a. Przed oczami staje Madeleine jej ukulele, takie samo jak to, na którym gra Popeye. Jest w drodze do ich nowego domu, na ciężarówce, obok jej włosów i reszty ich dobytku - wraz z jej akordeonem, którego teraz jej brakuje.

- Madeleine?

- *Oui, Maman?*

- Powiedziałaś, wybierz dom, a później przekonasz się, czy trafiłaś.

Madeleine opiera się brodą o ramę okna i próbuje zgadnąć, gdzie mieszka jej najlepsza przyjaciółka. Której jeszcze nie poznała. W tym różowym domu, w zielonym...? Nagle uświadamia sobie, że przecież ma najlepszą przyjaciółkę, Laurie Ferry. Ale jej obraz już zaciera się w jej pamięci.

- Oto wasza nowa szkoła, dzieciaki.

Jack zatrzymuje samochód. Nowoczesny parterowy budynek, z białą tynkowaną fasadą i wielkimi oknami, nieco podwyższony z jednego końca, tam gdzie mieści się sala gimnastyczna. Szkoła imienia J.A.D. McCurdy'ego, dla przedszkolaków i uczniów od klasy pierwszej do ósmej. Teraz opustoszała, pogrążona w letnim śnie. Na maszcie nie powiewa flaga. Huśtawki wiszą nieruchomo, zjeżdżalnia i bujawki zamarły w oczekiwaniu.

- No, przeprowadźcie zwiad - mówi ojciec.

Mike otwiera drzwi po swojej stronie, Madeleine wysuwa się z samochodu za nim. Rodzice odprowadzają ich wzrokiem, a oni nie zatrzymują się przy huśtawkach ani przy zjeżdżalni, tylko przechodząc obok stojaków na rowery, kierują się do frontowych drzwi. Za dziesięć dni ustawią się tu w kolejce do wejścia razem z innymi uczniami; z niektórymi zdążą się już zapoznać. Ich nowymi przyjaciółmi.

Brat i siostra przykładają stulone ręce do oczu i zerkają do środka przez szybę w dużych dwuskrzydłowych drzwiach. Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do panującego wewnątrz półmroku, dostrzegają rozwieszane na ścianach fotografie w ramach. Mike odczytuje podpisy: „Sabre, CF-100, Lancaster...”.

Dwa ogromne zdjęcia wybijają się ponad pozostałe. Królowej Elżbiety II, „miłościwie nam panującej”, i jej małżonka, księcia Filipa. Ich portrety witają uczniów od progu w każdej kanadyjskiej szkole, w kraju i za granicą. Królowa i książę Filip, ich starzy znajomi. Rodzice chrzestni, w jakimś sensie.

Cześć, Wasza Wysokość. Madeleine spogląda na królową, myśląc sobie, to już mój ostatni rok w zuchach. Wiosną złożę przyrzeczenie i wstąpię do harcerek. Przepelnia ją przyjemne uczucie, że królowa jej wysłuchała i zgadza się z nią całkowicie: „Ależ oczywiście, Madeleine, już najwyższa pora, abyś wstąpiła do harcerek”.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

- Drobiazg.

Mike, kawałek dalej, wdrapuje się na parapet, żeby zajrzeć do sali lekcyjnej. Madeleine dołącza do niego, brat zeskakuje i podsadza ją. Madeleine zagląda do środka.

- Ciekawe, która sala będzie moja.

- Ta.

- Wcale nie, Mike.

W tej sali nad tablicą maszerują drukowane litery alfabetu i podskakują w parach radosne cyfry. Tu najwyraźniej uczą się przedszkolaki. Upewnia ją co do tego obecność sterty kolorowych mat do spania. Madeleine będzie chodzić do czwartej klasy, a w czwartej klasie nie ma leżakowania. Mike pójdzie do siódmej klasy.

- Ponieważ jestem nadzwyczaj inteligentny - oświadcza Mike tonem światowca.

- Ponieważ automatycznie przechodzi się do siódmej klasy, kiedy ma się dwanaście lat - odpowiada Madeleine z jadowitym sarkazmem. Ale Mike jest odporny na jad.

- Trzeba *zdać* do następnej klasy, tumanie.

- Ty zdałeś? Akurat - odpowiada Madeleine i dodaje, cedząc przez zaciśnięte zęby: - Coś ty, koleś? Z choinki żeś się urwał czy co?

Mike śmieje się z jej knajackiego popisu. - Zrób Elvisa.

Madeleine kołysze biodrami, ściąga brwi i niskim głosem zawodzi do wymyślanego mikrofonu: - *Love me tender, love me slow...*

- A teraz Barbie! - woła Mike, rechocząc na całego; jego siostra tak łatwo daje się ponieść. Madeleine wypina pierś i staje na czubkach palców, wyciąga przed siebie ręce i chodzi chwiejnie dookoła, mechanicznie mrugając, z twarzą jak plastikowa maska.

- Och, Ken, bądź tak miły i podnieś mi chusteczkę - wdzięczy się. - Nogi mi zeszywniały, ręce mi zeszywniały! Och, Ken, ratuj mnie. Mój bohaterze!

Mike pruje do niej na niby z karabinu maszynowego i Barbie pada skoszona.

- Hej, Mike. Mam zrobić Sylwestra? - pyta Madeleine, podnosząc się z ziemi. - „Pożreć tyciego ptafka, mniem, mniem”. Albo Elmera Fudda? „Pojeciemy na ów, na ów, tofaszyszu mój...”.

Ale Mike zniknął już za rogiem. Madeleine biegnie za nim. Goni go dookoła szkoły. Po trzech okrążeniach pędzą do bujawek i zawieszają się brzuchami na metalowej poprzeczce.

- Wsiadaj - mówi Mike i bujają się zawzięcie, a Madeleine, w strachu, trzyma się z całych sił. Nie skarży się na gwałtowne wstrząsy, a kiedy zbiera jej się na płacz, zawadiacko woła: - Juhu!

Mike zeskakuje w powietrzu. Madeleine opada na dół i odbija sobie kość ogonową, śmieje się i rusza za nim, przekonana, że jej tyłek promieniuje widzialnym bólem jak na filmie rysunkowym. Mike wspiął się już do połowy wysokości siatki rozpiętej za boiskiem do baseballu, kiedy Madeleine do niego dołącza.

- Dalej, za mną - krzyczy Mike, wydając z siebie odgłosy wybuchów, wyciągając

zębami zawleczkę granatu. - Kończy mi się amunicja!

Madeleine rzuca mu do góry pas z nabojami.

- Dzięki, kapralu - woła Mike wśród bitewnego zgiełku; zazwyczaj Madeleine jest prostym szeregowcem, więc puszy się dzisiaj, dumna z awansu.

- Uwaga, sierżancie! - krzyczy.

Mike odwraca się, widzi japońskiego żołnierza, który pnie się do góry. Madeleine bierze go na muszkę i strzela z ukrycia.

- Trafiłam go! - ogłasza, gdy martwy hitlerowiec runął na ziemię. - *Auf Wiedersehn!*

- To był Japonec, a nie szkop - mówi Mike.

- Mike! Rodzice nie pozwalają nam tak mówić.

Nagle Mike przechyla głowę. - Dostałem!

Coraz trudniej jest mu ucześcić się siatki, zsuwa się na dół, ciężko ranny.

- Ja cię uratuję, sierżancie!

Madeleine ześlizguje się, ledwo muskając metalowe ogniwa, i odrywa się od siatki na wysokości dwóch i pół metra nad ziemią, a po tym imponującym skoku prawidłowo przetacza się na bok.

- Nic mnie nie boli - oznajmia, uprzedzając pytanie brata.

Rodzice wciąż siedzą w samochodzie, rozmawiają. Mike i Madeleine są cali spoceni. Mike wyciąga na niby paczkę papierosów i częstuje siostrę. Oparci plecami o siatkę, wypuszczają dym i spoglądają w dal, na pole i rysujący się za nim las.

- Przy pierwszej okazji spenetruję ten las - oświadcza Mike.

- Zabierzesz mnie ze sobą? - prosi Madeleine, nieśmiało, bo a nuż przeciągnie strunę.

- Jasne. Czemu nie? - odpowiada Mike i z wprawą strzyka śliną.

Madeleine uwielbia takie chwile spędzone wspólnie z bratem. Nie śmie się poruszyć ani nawet odezwać, żeby nie zburzyć ich czaru. Ma wówczas wrażenie, jakby Mike zapominał, że ona jest dziewczynką, i traktował ją jak brata.

Za ich plecami słońce chyli się nad widnokregiem. Ich wydłużone cienie kładą się na ziemi na tle kratki siatki.

- Nabawiliście się już? - woła tata.

Wracają do samochodu, towarzysze broni. Nie odzywają się, nie ma takiej potrzeby - jak to mówią w piechocie morskiej, *czyny są ważniejsze niż słowa*. Rodzice uśmiechają się, rozbawieni. Madeleine zauważa, że czasami rodzice patrzą na dzieci z takim zadowoleniem, nie wiadomo dlaczego.

Mike i Madeleine gramolą się do samochodu. To dziwne, ale po raz pierwszy od

powrotu do Kanady nie ogarnia jej wrażenie, że wsiada do nowego samochodu w obcym miejscu. Samochód jest zwyczajnym samochodem. A to jest Centralia, tutaj mieszkamy, a to jest nasza szkoła, imienia J.A.D. McMurdy'ego.

- J.A.D. McMurdy jako pierwszy człowiek w Kanadzie wzbił się w powietrze pojazdem cięższym od powietrza, w 1919 roku - mówi tata.

Mam to zapamiętać, doktołku?

Rambler wyjeżdża tyłem z parkingu. Zrywa, się łagodny wiaterek, linki z brzękiem uderzają o pusty maszt. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego na maszt zostanie wciągnięta nasza flaga. To znaczy, ściśle mówiąc, nie nasza flaga państwowa, tylko czerwona chorągiew z godłem Kanady i brytyjskimi barwami narodowymi w rogu. Kanada nie ma swojej oficjalnej flagi, ponieważ nie jest państwem, ma status dominium. Co to jest dominium? Nie wiadomo. Tak nazywa się sieć sklepów spożywczych.

Madeleine się denerwuje. Jej ręce robią się zimne. Rambler wlecze się z powrotem do SKR-ów, przybliży McCarthych do ich nowego domu. Który to będzie? Wypatrujemy domu z odsłoniętymi oknami i pustym podjazdem. Algonquin Drive, Columbia Drive...

Na rogu Columbia Drive i St. Lawrence Avenue stoi budynek pomalowany na płowy kolor, w dwóch odcieniach, a przed nim pomarańczowa furgonetka marki Volkswagen. Na trawniku pulchna dziewczynka z kręconymi włosami bawi się w hula-hoop. Czy będę się kiedyś bawiła w hula-hoop razem z nią, zastanawia się Madeleine, kiedy rambler skręca w St. Lawrence Avenue. Czy przejadę się z nią jej furgonetką? A może ona właśnie się stąd wyprowadza?

Purpurowy budynek po lewej zwraca uwagę Madeleine, ponieważ podjazdy przed domami w SKR-ach z reguły nie są zastawione starymi samochodami i różnym żelastwem i nie wążają się po nich swobodnie wielkie owczarki niemieckie. Kto tam mieszka? Groźni ludzie? To też byłoby odstępstwem od normy.

- Ten pies jest nieuwiązany - stwierdza Mike.

Mimi spogląda i cmoka z dezaprobatą.

Tylko w takich chwilach Madeleine uświadamia sobie francuski rodowód swojej matki. Gdy cmoka, *Maman* składa usta w sposób, który Anglikom wydaje się seksowny. Madeleine niemal odruchowo wykrzywia kącik ust, w stylu Królika Bugsa. Przychodzi jej na myśl Bugs przebrany za Diablicę Tasmańską, z jaskrawo czerwonymi ustami i ogromnymi cyckami.

- Z czego się tak cieszysz, bąblu? - pyta Mike.

- To mój słodki sekhet, sphubój odgadnąć, *chérie* - odpowiada Maurice Chevalier,

dziękujący niebiosom za „uhocze dziewczęta”.

Rambler zatrzymuje się na podjeździe dokładnie naprzeciwko purpurowego budynku.

- Chodźmy przywitać się z domem - mówi tata.

Jednopiętrowy dom-bliźniak przy St. Lawrence Avenue. Czerwony dach, ściany z boku obłożone aluminiowym sidingiem.

Tata otwiera drzwi. - Zapraszam na inspekcję.

Madeleine podoba się biel jej nowego domu. Możesz ze mną zrobić, co chcesz, zdaje się głośnić. Nie musisz stroić się w żadne barwy, żeby zamieszkać pod moim dachem. Do ganku prowadzi asfaltowy chodnik. Ganek mieści się z boku domu, dla zapewnienia mieszkańcom poczucia względnego odosobnienia. Jack wyskakuje z samochodu, potem idzie otworzyć drzwi Mimi, która wysiada i bierze go pod rękę.

Rodzice zawsze idą na czele pochodu McCarthych do drzwi ich nowego domu. Mike posłusznie drepcze za nimi, z rękami w kieszeni i spuszczoną głową. Osiągnął już ten wiek, kiedy zaczyna go krępować ten rodzinny rytuał - rzecz tak intymna - odprawiany w miejscu publicznym. Madeleine zsuwa się z tylnego siedzenia i włącza w myślach kamerę filmową. Muszę to zapamiętać, po raz pierwszy wchodzimy do naszego nowego domu.

Ich tułaczka dobiega końca. Wciąż są bezdomni, odsłonięci i zagrożeni; jeszcze tylko przez kilka sekund pozbawieni dachu nad głową, wystawieni na deszcz, na ludzką życzliwość, na okrucieństwo. Jack wchodzi po betonowych schodkach na ganek, otwiera zewnętrzne drzwi i sięga do kieszeni po klucz. Mike biegnie po coś do samochodu, a Jack przekręca klucz w zamku.

Potem ojciec robi to, co stało się już uświęconą tradycją. Pomimo pisków i protestów Mimi bierze ją na ręce i przenosi przez próg. Madeleine zakrywa twarz ręką, ale patrzy przez palce na to widowisko, z udręką i rozkoszą. Wraca Mike i rzuca jej wyliniałego Bugsa.

- Dalej, mała - mówi.

Madeleine przytula Bugsa i wchodzi za Mikiem do środka.

Po lewej stronie w przedpokoju są schody do piwnicy. W głąb domu prowadzą trzy stopnie, dokładnie na wprost wejścia, a dalej, po prawej ręce, znajduje się kuchnia - meble pokryte funkcjonalnym laminatem, lodówka, w której nie osadza się szron, i piekarnik. Można w niej wygospodarować miejsce na mały stół i cztery krzesła. Okno nad zlewem wychodzi na frontowy trawnik. W oczach Mimi już wisi w nim firanka. Po lewej jest salon z kominkiem, a tuż za nim jadalnia. Zawsze wydaje się, że po wstawieniu stołu i krzeseł nie da się tam wcisnąć kredensu i szafki na zastawę porcelanową, ale w końcu jakoś się mieszczą. Przez wykuszowe okno w salonie widać podwórze i wielkie puste trawiaste pole, okolone

tyłami domów.

Mimi mruży oczy, w myślach ustawia już meble - kanapa pod oknem, nad kominkiem olejny obraz w ramie, panorama Alp, na ścianie w kuchni reprodukcja *Rąk złożonych w modlitwie* Dürera. Pierwsza pokonuje czternaście schodków prowadzących na skromne piętro, do trzech sypialni i łazienki. Mimi żegna się po wejściu do małżeńskiej sypialni. Kiedy już przywiozą im meble, zaprosi katolickiego księdza, żeby pobłogosławił dom. Mimi nie jest tak pobożna jak jej matka, ale przecież w sypialni małżeńskiej płodzi się dzieci.

Madeleine i Mike mają dość rozumu, żeby nie kłócić się o sypialnie. W domu oficerem dowodzącym jest *Maman* i ona przydziela kwatery.

Schodzą całą gromadą na dół, tupocząc, napełniając dom głuchą wrzawą. Biorąc się pod boki, Mimi odwraca się do Jacka.

- I co ty na to, moja pani? - mówi Jack.

- *Ça va faire* - odpowiada Mimi, przekrzywiając głowę.

Jack uśmiecha się. Inspekcja wypadła pomyślnie.

Cała czwórka stoi w nowym salonie. Zapach pustki. Świeża farba i środki czyszczące. Echo odbijające się od gołych ścian.

Dzisiaj będą nocować w motelu. Jutro przyjedzie ciężarówka z meblami i chociaż znów będą jeść w restauracji, położą się spać w nowym domu. A następnego dnia wieczorem Mimi przyrządzi wspianą kolację we własnej kuchni i od tej chwili mury zaczną tchnąć domowymi zapachami. Ilekroć rodzina McCarthy przekroczy próg domu, wzlatywać będzie ku nim, niczym prześcieradło na wietrze, niewidzialne powitanie. *Cześć*.

Tej nocy w motelu, skulona na łóżku polowym, Madeleine prosi matkę, aby opowiedziała jej historię Mimi i Jacka.

- *Oui, conte-nous ça, maman* - odzywa się Mike, wygodnie rozciągnięty na dostawce.

I Mimi rozpoczyna opowieść: „Dawno, dawno temu była sobie mała pielęgniarka z Akadii imieniem Mimi i przystojny młody oficer lotnictwa imieniem Jack...”.

Jeśli przez całe życie prowadziłeś wędrowny tryb życia, nie potrafisz wskazać na mapie miejsca swego pochodzenia. Wszystkie miejsca, które zamieszkiwałeś, są niczym więcej jak tylko miejscami. Ale ty nie pochodzisz z żadnego z nich; ty wywodzisz się ze splotu wydarzeń. A one utrwalone są na mapie twego umysłu. Zrządzenia kapryśnej, nieprzewidywalnej fortuny, którym zawdzięczamy swoje istnienie, tak mało prawdopodobne bez tego krzepiącego wsparcia, jakie daje otoczenie. Twoje przyjście na świat niemal graniczy z cudem. W oderwaniu od miejsca, twoimi korzeniami stają się wydarzenia toczące

się z wolna w czasie. Wzajemnie przenikające się opowieści. Początek dało rozbicie się samolotu. Wojna, która złączyła ze sobą twoich rodziców.

Snuj opowieść, spleć wydarzenia, powtarzaj. Ich wzór jest pochodną dbałości. W przeciwnym wypadku splot się rozluźnia, rozplata się na nici, porywane przez ptaki, które wiją sobie z nich gniazdo. Powtarzaj tę opowieść, bo się rozpadnie i żadna siła nie złoży jej z powrotem... Powtarzaj i przechowuj troskliwie każdy jej element, bo wydarzenia rozpięzchną się jak kule po marmurowej posadzce.

ZA TYCH, KTÓRZY SĄ PONAD TO WSZYSTKO

Organizacja ta działa w oparciu o skomplikowany system wartości i stosunków, który można ująć jako system społeczny. Liczba możliwych kombinacji, jakie mogą tworzyć występujące w niej zmienne, jest oszałamiająca. Możliwe kombinacje wydają się tak nieograniczone jak wszechświat fizyczny z miliardami galaktyk.

Teorie organizacji; przegląd i ocena

„Dziennik Akademii Zarządzania”, kwiecień 1961

Jack jest sam w swoim nowym gabinecie. Wcześniej zajrzał do oficera dowodzącego i przedstawił mu się w przelocie. Jack jeszcze się oficjalnie nie zameldował i nie objął dowództwa nad Centralną Szkołą Oficerską. Na to przyjdzie czas za kilka dni, kiedy już zadamowi się z rodziną na nowym miejscu. Baza nadal działa w oparciu o letni rozkład, wielu oficerów nie wróciło jeszcze z urlopów i życie toczy się dość niemrawo. Do spotkania z oficerami, z którymi będzie pracował, Jackowi zostało jeszcze trochę czasu, więc postanawia rozejrzeć się po swoim nowym królestwie.

Jest ubrany po cywilnemu. Mimi oddała już jego wojskowy strój do pralni i na koniec tygodnia, na ceremonii przekazania dowództwa, Jack będzie mógł wystąpić w nieskazitelnym mundurze. Ma na sobie jasnobrązowe spodnie i kremową sportową marynarkę, którą wyszukała mu w Paryżu Mimi. Marynarka jest z czystego jedwabiu, ale Jack udaje, że tego nie dostrzega; on sam nie wydałby tylu pieniędzy na ubranie dla siebie, lecz w kwestiach mody poddaje się od czasu do czasu wyrokom żony. W końcu to ona jest szefem.

Na solidnym regulaminowym dębowym biurku Jack ustawia oprawione w ramkę zdjęcie żony i dzieci, co zawsze czyni po objęciu w posiadanie nowego gabinetu. Ten niewiele różni się od gabinetu, który zajmował poprzednio, w bazie 4 Dywizjonu Myśliwskiego RCAF w Baden-Baden. A tamten z kolei od poprzedniego, w Albercie, który z kolei niewiele się różnił od jego wcześniejszego gabinetu w Pentagonie, gdzie Jack zajmował się koordynacją wymiany oficerów między armiami państw członkowskich NATO. Patrząc dalej wstecz, widział ciąg coraz to mniejszych biurków w gabinetach dzielonych z innymi oficerami, aż do swego pierwszego, w czasie wojny, w służbie kwatermistrzowskiej bazy RAF w Yorkshire. Biurko, które ma teraz przed sobą, zielone metalowe szafy do przechowywania akt, leżące na półce *Zalecenia i rozporządzenia królowej Wielkiej Brytanii*, zebrane w trzech opasłych tomach w niebieskiej oprawie, zdjęcie Jej Królewskiej Mości, zdjęcie generalnego gubernatora Kanady, mapa Ministerstwa Obrony Narodowej, białe ściany - uniwersalny wystrój, który można znaleźć we wszystkich innych bazach. Nawet ta sama woń unosi się w powietrzu - wosk do podłogi i ścinki ołówków, z domieszką wyrazistego zapachu pasty do butów i wełnianych mundurów. Widok z okna też podobny: zielone żywopłoty, białe budynki, błękit nieba, tylko że bez smug, jakie rysują na nim odrzutowce. W polu widzenia Jacka ukazują się jedynie lecący w przeczyle osamotniony żółty chipmunk.

Ceremonia przekazania dowództwa odbędzie się w tym gabinecie. Udział w niej wezmą oficer dowodzący - OD - oraz kadra Centralnej Szkoły Oficerskiej. Jack i oficer ustępujący ze stanowiska podadzą sobie ręce i złożą swoje podpisy na dokumencie, dając formalny wyraz zmianie na szczeblu dowódcy. Taka jest w wojsku Obowiązująca Procedura Działania - OPD: ciągłość dowodzenia nie może zostać przerwana. Potem, po krótkim spotkaniu zapoznawczym, przewidziany jest wspólny lunch w mesie, przy którym opracowany zostanie szczegółowy harmonogram odpraw z udziałem Jacka w roli nowego dowódcy i poszczególnych wyższych rangą oficerów, jego podkomendnych. Jack dokona inspekcji wszystkich szkolnych pomieszczeń i spotka się osobiście z personelem dydaktycznym i pomocniczym. W ten sposób pod koniec dnia wszyscy zainteresowani będą wiedzieć, że Jack objął stanowisko oficera dowodzącego Centralną Szkołą Oficerską - OD CSO. Kolejna OPD: podkomendni muszą znać z widzenia swego dowódcę i nie ma znaczenia, czy dowodzi on dywizjonem myśliwców odrzutowych, czy zespołem ludzi pracujących przy biurkach.

Jack dostrzega gazetę wciśniętą za grzejnik pod parapetem. Pochyla się, żeby ją wyciągnąć. „Niech to kule biją”. To magazyn wydawany przez 4 Dywizjon RCAF w Niemczech. „Schwarzwald Flieger - Lotnik z Czarnego Lasu”. Jaki ten świat mały. Na

okładce tego starego numeru, z lutego 1958, widnieją świeżo wybrani książę i księżniczka *Fasching Karneval*, Karnawałowych Zapustów, w triumfalnych pozach przed Radą Głupców - *Narrenzunft*. Poprzedzające wielki post ostatki obchodzone są w Niemczech jeszcze huczniej niż w Nowym Orleanie, są jeszcze bardziej zwariowane niż tamtejsze *Mardi Gras*. Zdjęcie zrobiono w Kurhausie w Baden-Baden. Jack i Mimi uczestniczyli w podobnej imprezie rok później, wraz z dziesiątkami innych wojskowych par, które postanowiły świętować wspólnie z miejscową ludnością. Jack przerzuca strony. Pośród doniesień o narodzinach kolejnych dzieci, dywizjonowych plotek, wyników małej ligi baseballowej i reklam zamieszczony jest cały program uroczystości - przyjęcie goni przyjęcie, *Dziecięcy bal przebierańców*, *Rosenmontag*... udział Kanadyjczyków mile widziany. *Willkommen*. Tyle miłych wspomnień. Tyle przyjemnych przeżytych tam chwil. Jack odkłada czasopismo na biurko. Na pewno należy do oficera odchodzącego ze stanowiska, a ten będzie chciał je zatrzymać przez wzgląd na stare dobre czasy

Kiedy dostaje się wiadomość o rychłym przeniesieniu na nową placówkę, dwa czynniki decydują o tym, czy zostanie ona przyjęta z radością, czy z rozczarowaniem, czy też wywoła reakcję pośrednią. Przede wszystkim bierze się pod uwagę osobę dowódcy. Oficerem dowodzącym Centralią jest obecnie pułkownik lotnictwa Harold Woodley, człowiek, którego zasługi wojenne sprzyjają swobodnemu stylowi zarządzania, skupiającemu w sobie najlepsze cechy sił powietrznych i tożsamemu z niezachwianym dążeniem do celu. Jack się ucieszył. Weterani wojenni - zwłaszcza piloci - z reguły zdają sobie sprawę, że chociaż odpowiadają przed wielką organizacją, to organizację tę tworzą jednostki ludzkie, nie systemy. Drugi czynnik jest natury geograficznej, i niech lepiej będzie korzystny, bo małżonka będzie niepokieszona - chociaż Mimi potrafiłaby zmienić stację nasłuchu radarowego na Wyspie Baffina w oazę bujnego życia towarzyskiego. W lotnictwie działa sprawna nieoficjalna sieć łączności, inaczej zwana pocztą pantoflową, i stąd Jack wiedział, że Centralia to wspaniałe miejsce dla dzieciaków i żony. Nie narzekają tam na brak zajęć. Do Londynu jest tylko kawałek drogi, tuż obok miasteczko Exeter, nie wspominając o niezliczonych wioskach, pchlich targach, aukcjach i tym ogromnym słodkowodnym śródlądowym morzu, czyli jeziorze Huron, wprost zapraszającym do pływania czy biwakowania. Jack słyszał, że tamtejsza mesa oficerska jest prowadzona bez zarzutu i całą placówkę łączą zdrowe więzi z miejscową społecznością - urządzone są wspólne imprezy sportowe, festyny czy akcje dobroczynne. Toteż chociaż z 4 Dywizjonem nic się nie mogło równać, otrzymaną zeszłej wiosny wiadomość o przeniesieniu Jack - pomimo początkowej zadumy nad ironią losu - przyjął z zadowoleniem. Ale gdziekolwiek zostałby posłany, poczucie nowego początku

towarzyszyłoby mu i tak - ten optymizm, z którym wita się każdą zmianę, w połączeniu z jego osobistym przekonaniem, że każdą sytuację da się naprawić. W końcu jeśli służy się w wojsku, jedyną stałą w życiu jest zmienność. Jack sięga po opasy niebieski segregator z naklejką *Administracja* i przegląda go.

Dzwoni telefon na biurku. Jack, zdziwiony, podnosi słuchawkę.

- Jack, tu Hal Woodley. Moja żona ma pytanie, na które domaga się odpowiedzi w trybie pilnym.

- Proszę śmiało pytać.

- Chodzi o imię twojej małżonki.

- Mimi.

- Cudownie.

Z tym stanowiskiem wiąże się awans. Z majora lotnictwa na podpułkownika. Podpułkownik McCarthy dowodzi obecnie ponad tysiącem słuchaczy, dyrektorów wydziałów, wykładowców, instruktorów i pracowników administracyjnych Centralnej Szkoły Oficerskiej. Kształcenie obejmuje wszystko - od doboru i ukierunkowania przyszłych lotników, zaopatrzenia i administrowania, inżynierii konstrukcyjnej i lotniczej, po kształcenie kadry kierowniczej różnych szczebli, dowodzenie i zarządzanie. Szkoła zawarła nawet porozumienie z Uniwersytetem Zachodniego Ontario w Toronto, w ramach którego jej słuchacze mogą uzyskać tam stopień magistra zarządzania. Jest Dział Techniczny, Językowy, Finansowy, Kierowniczy, Podstawowego Szkolenia Oficerskiego, jak również Biuro Standardów Szkolenia. Dostępna jest tu niemal cała wiedza niezbędna do służby w siłach powietrznych, z wyjątkiem samego pilotażu. Szkolenie naziemne.

Jack odstawia *Administrację* na półkę, między *Finanse* i *Dyscyplinę*. Otwiera szuflady biurka. Spinacze do papieru, gumki-recepturki. Potężny zszywacz, arkusze żółtego papieru w linie. Mosiężna temperówka w kształcie samolociku. Jack kręci małym śmigiełkiem.

Lotnictwu zawdzięcza to, że zdobył tytuł magistra zarządzania na Uniwersytecie Michigan, jednej z najlepszych uczelni świata - po roku wyteżonych studiów. W sektorze cywilnym Jack zarabiałby dwa razy więcej niż w wojsku. Jego funkcję w Centralii porównać można do wysokiego stanowiska kierowniczego w firmie, wiceprezesa odpowiedzialnego za działanie przedsiębiorstwa. Wprawdzie jego bezpośrednim przełożonym jest oficer dowodzący, ale Jack rozporządza swoim czasem według własnego uznania. Praktycznie rzecz biorąc, jest panem siebie.

W związku z tym opracował na swój użytek kilka zasad postępowania. Pytaj, zanim zadecydujesz. I mów mniej, a więcej słuchaj. Jego zadaniem jest rozeznanie się w

obowiązkach wszystkich pracowników, nadanie im właściwego kierunku działania, a potem usunięcie się z drogi. Z pewnością napotka na pewien opór - opieranie się zmianom leży w ludzkiej naturze - ale jeśli będzie uważnie słuchać, zorientuje się, co nie szwankuje i nie wymaga naprawy. A jeśli postawi odpowiednie pytania, jego podwładni sami dojdą do tego, jak ma być, a on nie będzie musiał im tego mówić. Jak wielu skutecznych kierowników, będzie zarządzał w sposób pozornie niewidoczny. Jack uśmiecha się do siebie i sięga do kieszeni po złożoną kartkę z wykazem pracowników. Zasada numer trzy: naucz się nazwisk swoich podkomendnych.

Następnym krokiem będzie odszukanie tutejszego chorążego - który stanowi odpowiednik inspektora nadzoru w fabryce, faceta, który jak nikt inny wie, co w trawie piszczy, i choć technicznie podlega Jackowi, w rzeczywistości jest pierwszym po Bogu - i zapoznanie się z nim. Jack zagląda do listy: chorąży Pinder. Składa z powrotem kartkę.

Trzecia rzecz: piątkowe spotkania przy piwie w mesie oficerskiej. Podczas wymiany zdań w luźnej atmosferze wyjdą na jaw wszystkie nowinki, które nie nadają się do druku czy do przedstawienia na naradach. Jack nigdy nie wypija więcej niż dwie, trzy butelki, pilnie nadstawia ucha i znakomicie się bawi, przestając z oficerami, nie zawsze będącymi ucieleśnieniem cnót.

W ciągu pierwszego tygodnia przejrzy akta osobowe personelu. Będą dla niego tym, czym mapy dla pilota przed lotem. Służą za przewodnik, ale nigdy nie należy ich mylić z rzeczywistością, którą opisują. Pod każdym nazwiskiem, rangą, numerem wojskowym kryje się ludzka istota. Wymuszanie posłuchu to rozwiązanie dobre dla pola bitwy, ale nie sprawdza się w czasach pokoju.

A Jack ma dojmującą świadomość tego, że Zachód przeżywa obecnie jeden z najdłuższych okresów pokoju i dobrobytu w swoich dziejach. Jeśli pominąć lęk. Życie codzienne przypomina balon napełniony ciepłym powietrzem, szybujący po bezchmurnym letnim niebie - z ziemi wygląda tak, jakby sunął bez najlżejszego wysiłku, ale zasila go ogień, w powietrzu utrzymuje go napięcie powłoki. Jack pamięta niepokojącą wzmiankę córki o „stopionej skórze”. On i Mimi starali się nie dopuścić do tego, aby dzieci zamartwiały się zagrożeniem, ale co z tego, skoro w 4 Dywizjonie wszystkie rodziny, włącznie z nimi, przechowywały w piwnicy tygodniowe zapasy żywności i wody; przygotowany był plan ewakuacji, a dzieci regularnie odbywały ćwiczenia alarmowe w szkole. Takie jest życie. Zimna wojna nasiliła się, a wraz z nią rozbudował się arsenał o niespotykanej dotąd sile niszczenia. Broń ta na ogół wpisana jest w struktury zawilego systemu odstraszenia, a zawiadywanie nim wymaga całej armii urzędników. W tej wojnie przede wszystkim prowadzi

się ewidencję, nie walczy.

Jack zdejmuje z półki postrzępioną książkę: *Zasady zarządzania w praktyce*. Stać nas na więcej. Jack zaczął już składać własny podręcznik zarządzania, gromadzi najnowsze artykuły na ten temat, powstające na czołowych uczelniach USA, na Harvardzie czy na jego macierzystym uniwersytecie. Wszystko wokół zmienia się w oszałamiającym tempie, a wojsko jako ogromna instytucja ma do wyboru: dołączyć do czołówki albo wlec się z tyłu jak przeżytek z odległej epoki. Dzisiejsi przywódcy muszą wreszcie docenić znaczenie pracy zespołowej. Jej przypisać należy najnowsze zdobycze nauki i techniki. Uporaliśmy się z groźnymi chorobami zakaźnymi, wystrzeliliśmy satelity na orbitę okołoziemską, niemal każdego dnia gazety donoszą o kolejnym przełomowym odkryciu. I ceną postępu nie jest u nas wolność jednostki - to dlatego tysiące mieszkańców Berlina Wschodniego przeszło na naszą stronę, zanim od zachodniej demokracji odgrodził ich mur.

Jack nie jest odosobniony w swym poglądzie, iż łańcuch dowodzenia w wojsku to coś więcej niż proste następstwo rozkazów i bezwarunkowych reakcji - to proces oparty na przepływie informacji i odpowiedzialności. Podzielają to przekonanie inni lotnicy, zwłaszcza weterani wojenni. Ważne jest jednak usystematyzowanie tej wiedzy i przekazywanie jej następnym pokoleniom, aby w ten sposób uniezależnić ją od niepisanych tradycji i indywidualnych upodobań. Jack wyrzuca stary podręcznik do kosza.

Chłodny umysł i lekka ręka to zalety tak samo cenne w gabinecie, jak w kabine samolotu. Kto daje się ponieść emocjom, nie jest zdolny do podjęcia trafnej decyzji. A chociaż kierowniczy styl Jacka można określić jako „na luzie”, to kiedy wysuwa sugestię, raczej nie zdarza się, aby potraktowano ją inaczej niż polecenie.

Nauczył się tego przed laty tu w Centralii, od swego instruktora pilotażu. Simon sływał ze swych sugestii, które wygłaszał w powietrzu z siedzenia obok nieszczęsnego adepta: „Jack, a może spróbujesz przeciągnąć samolot?”. A po dłużących się w nieskończoność sekundach grobowej ciszy: „Zobaczmy, czy uda ci się z tego wyjść przez obrót dookoła osi”. I po wykonaniu przez Jacka zasugerowanego manewru uwaga wypowiedziana opanowanym głosem, nienaganną angielszczyzną wyższych sfer: „Dobrze, a teraz przekonajmy się, czy postawisz tę maszynę na ziemi w jednym kawałku”.

W kwietniu 1943 Jack wraz z resztą kolegów z klasy pilotów nosił już skrzydełka i przystępował do następnego, bardziej zaawansowanego etapu szkolenia. Stroili śmiałków i palili się do lotów operacyjnych. Jack nie skończył nawet osiemnastu lat, najstarszy wśród nich miał ledwie dwadzieścia. I wtedy w klasie pokazał się Simon, z czapką RAF-u nasuniętą zawadiacko na tył głowy; w jej bokach widoczne były trwałe wgniecenia, skutek noszenia

hełmofonu wkładanego w kabinie na czas lotu - wyraźna oznaka statusu bojowego właściciela czapki. W poluzowanym krawacie, z wąsikiem à la David Niven, Simon siadł na ławce, zapalił papierosa i zwrócił się do nich, epatując swoim arystokratycznym akcentem niczym starym pamiątkowym szalem:

- Wydaje się wam, żółtodzioby, że potraficie latać. Otóż nie macie zielonego pojęcia o lataniu, podobnie jak większość małpoludów siadających za sterami samolotu. I ja nie będę was tego uczył. Moim zadaniem jest nauczyć was, żalosne ofermy, jak utrzymać się w powietrzu wystarczająco długo, żeby dać popalić Niemcom zdrowo i z fasonem. Pytania?

- Panie majorze, jeśli wolno...? - odezwał się nieśmiało szczupły chłopiec.

- Na imię mam Simon. Życie jest za krótkie - zwłaszcza wasze, no i moje, kiedy siądę w kabinie obok was - żeby tracić je na ceregiele, więc, chłopcze, do cholery, z łaski swej mów mi Simon.

Zwracali się do niego po imieniu i darzyli szacunkiem należnym starszemu, ponieważ Simon w wieku dwudziestu trzech lat był już starym wygą. Stanowił odstępstwo od reguły mówiącej, że „są starzy piloci i są odważni piloci, ale nie ma starych odważnych pilotów”. Jako jeden z nielicznych latał zarówno myśliwcami, jak i bombowcami. As przestworzy, odznaczony za zasługi podczas bitwy o Anglię, z własnej woli przesiadł się ze spitfire'ów na ogromne ociążałe lancastery. „Bo kiedy jestem w środku lancastera, czuję się jak w puszce od szynki, a czy jest coś wyborniejszego od szynki?”. Inny rodzaj zagrożenia, latanie z załogą - Simon potrzebował nowych wrażeń.

Zanim do nich trafił, odsłużył swoje w powietrzu - wykonał przepisowe trzydzieści lotów bombowych i przeżył.

Simon był znakomitym instruktorem, ponieważ nigdy za szybko nie przejmował kontroli. Czekał, żeby przekonać się, czy jego podopieczny poradzi sobie sam, ponieważ podczas wykonywanych samotnie lotów bojowych wypadki rozgrywały się w sposób zupełnie nieprzewidziany i było się zdany tylko na własną pomysłowość. Drżąca ręka na drążku sterowniczym, krew gwałtownie uderzająca do głowy przy ostrym pikowaniu z pięciu tysięcy metrów, wyrównanie na wysokości dwustu metrów, koła stykające się z ziemią najpierw z jednej strony, potem z drugiej, znów z jednej, znów z drugiej, wreszcie z obu stron naraz - „Paskudne lądowanie, Jack”.

Wypełził z kabiny, nogi niemal się pod nim ugięły, kiedy stanął na zbawczej nawierzchni lotniska, i wtedy spostrzegł, że Simon nadal siedzi przypięty w kabinie.

- Możesz teraz znów wzbić się w powietrze albo umierać na myśl o kolejnym starcie. Tak czy owak, przez następne dwa dni będziesz się trząsł.

- Wszystko jedno - wykrzesał z siebie Jack, nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu. Simon cisnął czapkę na trawę tuż obok płyty lądowiska. - Spróbuj zatrzymać samolot równo z nią przy lądowaniu.

Czyli zakładał, że wylądują, nie rozbiją się. Polecieli jeszcze raz.

Później w mesie, w gronie kolegów, Simon postawił mu piwo: - Za tych, którzy są ponad to wszystko.

Na tym etapie szkolenia adepci obowiązani byli wylatać z instruktorem łącznie około godziny, potem pocili się za sterami w pojedynkę. Ale dwójce czy trójce swoich podopiecznych Simon poświęcił więcej czasu. Dlatego że są do niczego, twierdził. Wśród nich był Jack. Wybijali się w zespole.

W nocnych goglach latał bez widoczności, z tablicą przyrządów jako jedynym układem odniesienia, słysząc głos Simona, który powtarzał mu: „Zdaj się na wskazania przyrządów”. Ponieważ kiedy nie widać horyzontu, mózg i ciało wmawiają ci, że prawa strona to lewa, a góra to dół. Odczuwany zwrot w lewo nadrobisz przechyłem. A kiedy przejdiesz w lot nurkowy, nawet nie poczujesz prędkości granicznej, będziesz spadał na oślep, a zanim zderzysz się z ziemią, samolot rozpadnie się wskutek naprężenia.

Simon czekał do ostatniej chwili, potem ściągnął Jackowi gogle, aby ten mógł zobaczyć, że jest w ślizgu bocznym, doskonale prowadzonym, gdyby nie to, że znajdowali się zaledwie sto metrów nad ziemią. „Nabierz wysokości, stary”.

Ćwiczenie podchodzenia do lądowania bez widoczności. Następnym razem Simon zdjął Jackowi gogle dopiero wtedy, kiedy ten wylądował bez wstrząsów. „Nieźle jak na Kanadyjczyka”.

Simon posiadał wiele ujmujących cech, ale wśród nich najwięcej zaufania budził jego niezmacony spokój, sprawiając, że jego podopieczny zdobywał się na swoje pierwsze kontrolowane przeciągnięcie na wysokości trzech tysięcy metrów. Cecha ta napawała jednocześnie lękiem, ponieważ nie sposób było miarodajnie ocenić groźącego niebezpieczeństwa. Korony drzew prześwitujące przez mgłę. Niezapowiadane chmury burzowe. „Nie wygląda mi to najlepiej”.

Latali dla czystej przyjemności. Celowo się gubili, potem wracali do bazy, kierując się „żelaznym kompasem” torów, ścigając się z pociągami towarowymi.

To dość dziwne myśleć tak o kimś, kogo widuje się raz na dziewiętnaście lat, ale gdyby go o to zapytano, Jack odrzekłby, że Simon Crawford jest jego najlepszym przyjacielem. Major Crawford, udekorowany Medalem za Wybitne Zasługi i dwukrotnie Krzyżem Lotnictwa. Według starego porzekadła chińskiego, gdy się komuś uratowało życie,

brało się odtąd za niego odpowiedzialność. Ale ten skurczybyk wcale nie musiał się do tego posuwać - Jack i tak by go uwielbiał.

Jack odchyła się w krzesło i splata ręce za głowę. Daleko zaszedł. Podpułkownik lotnictwa w wieku trzydziestu sześciu lat. Choć kiedyś byłoby to dla niego nie do pomyślenia, odpowiada mu praca kierownicza. Lubi takie życie, lubi ludzi, z którymi się styka. Znają się na swojej robocie, nie trzeba nad nimi stać. A jeśli latali w czasie wojny, to nic już ich nie zadziwi. Choć na ogół unika patetycznych deklaracji, Jack wprost kocha lotnictwo.

Dlatego z zaskoczeniem spostrzega, że błędzi wzrokiem gdzieś po bezchmurnym niebie, a w głowie roi mu się inny gabinet, w innym otoczeniu. W fabryce samochodów albo w szpitalu. Nawet w rafinerii ropy naftowej w Arabii Saudyjskiej. Zdolności kierownicze nie znają granic; mógłby znaleźć pracę gdziekolwiek. Czyżby był odrobinę znudzony? A może to odrętwiający wpływ słońca i tych niezmiernych pól kukurydzy dookoła, odległości całej półkuli dzielącej go od napięć Sektora Wschodniego, jak nazywali w Niemczech Związek Radziecki? Czyżby brakowało mu bliskości myśliwców Mk6 Sabre z 4 Dywizjonu? Życia na krawędzi? Zapachu paliwa odrzutowego, ryku silników nad głowami co rusz przypominającego mu, czemu służy praca, którą właśnie wykonuje? „Jeśli komuś marzy się ciche, spokojne życie, nie powinien był przychodzić na świat w dwudziestym wieku”, twierdził Lew Trocki. Jeśli komuś marzy się ciche, spokojne życie, powinien przyjechać do Centralii, zauważa Jack i uśmiecha się, ubawiony własną myślą.

Dobrze się złożyło, że los znów zetknął go z Simonem zeszłego lata w Niemczech. Bo kiedy wiosną tego roku Jack otrzymał oficjalne zawiadomienie o przeniesieniu, miał numer telefonu Simona i mógł podzielić się z nim tą wiadomością. „Nie uwierzyłybyś, dokąd mnie teraz wysyłają, Si...”. Obaj się roześmieli, kiedy Jack powiedział: „Do Centralii”.

Simon zadzwonił do niego kilka dni później. „Słuchaj, stary, chcę cię prosić o przysługę...”.

Jack sięga po telefon, ale przypomina sobie zalecenie Simona, żeby korzystać z publicznego telefonu. Odkłada słuchawkę, wstaje i wychodzi z gabinetu. Zapamiętał budkę telefoniczną stojącą obok supermarketu - zadzwoni stamtąd, a potem pójdzie do mesy na lunch.

Gdy wychodzi z budynku na świeże powietrze i zbiega ze schodków, zaraz mija znudzenie, które dopadło go w czterech ścianach gabinetu. Według określenia samego Simona przysługa ta miała polegać na „zabawie w niańkę, w gruncie rzeczy”, a chociaż powierzone Jackowi zadanie z pewnością nie jest tak pasjonujące jak inżynieria raketowa, niemniej zapowiadało się, że wniesie trochę urozmaicenia do jego służby w tutejszej

placówce. Mijając rosnące rzędem wzdłuż ulicy topole, kieruje się w stronę placu defiladowego. Wokół ani żywego ducha. Nawet chipmunki odpoczywają w tej chwili.

Podobno praca w wywiadzie bywa otepiająco monotonna, ale Jack nie potrafi sobie wyobrazić Simona dotkniętego apatią. Stara się stłumić podniecenie - niepotrzebnie obiecuje sobie po tym Bóg wie co. Jego zadanie prawdopodobnie okaże się mało ciekawe. Ale przynajmniej posłuży za pretekst do wychylenia kilku piw z Simonem. Wyciągnięcia z niego pikantnych historii związanych z zimną wojną.

Po wojnie Jack próbował odszukać Simona, ale ten po przejściu do cywila nie zostawił adresu kontaktowego. Aż tu natknął się na niego zeszłego lata w średniowiecznym miasteczku na północy Niemiec. Jack zabrał tam na wycieczkę Madeleine i przymierzał się właśnie, żeby zrobić jej zdjęcie przed pomnikiem słynnego Szczurołapa z Hameln*. Rodzina McCarthych postanowiła jak najlepiej wykorzystać ostatnie wakacje w Europie i wyruszyła w podróż Baśniowym Szlakiem - *Märchen Strasse*. Wcześniej zwiedzili pałac w Rainhard, gdzie mieszkali bracia Grimm; zawitali do Bremy, gdzie muzykujące zwierzęta wywiodły w pole rabusiów. A teraz przyszedł kolej na Hameln, znane z legendy o Szczurołapie. Mimi wybrała się gdzieś z Mikiem. Jutro zamienią się i Mike pobędzie trochę sam na sam z ojcem.

Jack nastawiał ostrość w swoim aparacie do slajdów marki Voigtlander, nakierowując obiektyw na Madeleine, która uśmiechnięta, stała przed pomnikiem Szczurołapa, mrużąc oczy w słońcu. Jack już miał zrobić zdjęcie, gdy ujrzał w kadrze mężczyznę, który przystanął, żeby zapalić papierosa. *Skurczybyk*.

- Simon! - krzyknął, opuszczając aparat.

Mężczyzna odwrócił się i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Jack? - odpowiedział, wychodząc zza pomnika i zmierzając w jego stronę. - Wciąż wolny jak ptak?

Przez osiemnaście lat człowiek może się mocno zmienić, ale Simona rozpoznawało się na pierwszy rzut oka. Nie tylko szczupła sylwetka, ale i głos, zachowanie - całe jego obejście zdawało się mówić: *spotkanie z tobą, stary, to najzwyklejsza rzecz pod słońcem*. Plasnęli się dłońmi, uścisnęli sobie ręce, roześmiani. Odruchowa reakcja to wiarygodny wskaźnik. Jack zareagował - wydawało się, że Simon też - żywiołową radością; jakby śmieli się z puenty dowcipu, którego nie zdążyli opowiedzieć sobie do końca w 1943.

- Ty żałosna ofermo - powiedział Simon, lecz zreflektował się, kiedy dostrzegł

* W roku 1284 Szczurołap uprowadził 130 dzieci z miasta Hameln, z czarowując je piękną grą na flecie. Według legendy wszystkie z wyjątkiem dwóch spóźnialskich zniknęły na zawsze w otwierającej się górze. A wszystko to z powodu skąpstwa mieszkańców, którzy nie chcieli Szczurołapowi zapłacić za jego usługi. Za: DPKWP/PNWM, Niemieckie abecadło, www.pnwm.org.

Madeleine. - Proszę o wybaczenie. Kim jest ta młoda dama?

- To nasza *Deutsches Mädchen* - odparł Jack.

- Jak się masz, *Fräulein*? *Sprechen Sie Deutsch*?

- *Ein Bisschen* - odpowiedziała Madeleine. Simon roześmiał się.

- Madeleine, to jest major Crawford.

- Na miłość boską, Jack, już dawno wystąpiłem z wojska - zaprotestował

Simon i przenosząc wzrok na dziewczynkę, dodał: - Madeleine, proszę, mów mi Simon.

Madeleine patrzyła na niego z wahaniem.

Z nami wszystkimi czas powinien obejść się tak łaskawie jak z Simonem. Błękitne oczy, spoglądające przenikliwie mimo wesołości. Zakonserwowana cera palacza, drobne zmarszczki rysujące się na opaleniznie, w której w 1961 roku mężczyźni jeszcze jest do twarzy. Kasztanowe włosy, zaczesane schludnie do tyłu. Dopiero przekroczył czterdziestkę, ale do sześćdziesiątego piątego roku życia raczej niewiele się zmieni w jego wyglądzie. W ręce tłący się papieros.

Uśmiechnął się do Madeleine i rzekł: - Rozumiem. No to może „wujku Simonie”?

- Wujku Simonie - zgodziła się dziewczynka. Obaj mężczyźni zaśmiali się pod nosem.

- Co zamierzasz robić, kiedy dorośniesz, Madeleine?

- Zostanę komikiem albo szpiegiem - odpowiedziała dziewczynka bez namysłu.

Simon roześmiał się w głos. Jack był rozpromieniony. - To mi się podoba, stary druhu.

Simon oświadczył, że obecnie jest dyplomatą.

- Żartujesz - odparł Jack. - Nie znam drugiego takiego nieogłędnego skur... skurkowańca jak ty.

- Stary, stoi przed tobą sekretarz ambasady Crawford.

- Co ty robisz w tej mieścinie?

- Prawdę mówiąc, jestem na urlopie. Umówiłem się tu z przyjacielem.

Jasne. Jack nie zamierzał go indagować.

Simon pracował obecnie w Berlinie, dokąd został oddelegowany z ambasady brytyjskiej w Moskwie.

- Jak było w Moskwie?

- Zimno.

Został tymczasowo przydzielony do Sztabu Naczelnego Dowództwa w Berlinie, gdzie katalogował archiwa zgromadzone przez aliantów - ogromny zbiór niemieckich akt osobowych, wojskowych i cywilów.

- Znasz niemiecki? - spytał Jack.

- Na pewno lepiej niż rosyjski.

Za rok zostanie przeniesiony do Waszyngtonu.

- Już szlifuję amerykański akcent.

Ten sam stary Simon. Traktujący własną osobę z ironicznym dystansem, zgrywający się na zmianę to na arystokratę, to na knajaka z Londynu, mieszający drwinę z czułością. Kiedy Jack pokazał mu fotografię Mimi, stwierdził z przekąsem: - Co ta bogini robi u boku takiego nieszczęsnego łamagi jak ty?

- Widać ktoś tam na górze nade mną czuwa - odparł Jack.

- Mogliśmy się o tym przekonać.

Wybrali się w trójkę do piwiarni. Madeleine upiła łyk od każdego z nich i rozśmieszyła ich wąsami z białej piany, które przyłgnęły do jej dziecięcej buzi. Kelnerka przynosiła kufel za kuflem dla *den Herren*, a dla *das Mädchen pommes frites* i *limonade*. Wybornie się bawili tego popołudnia.

W kwietniu tego roku Simon zadzwonił do niego i poprosił o „przysługę”. Jack słuchał uważnie. Wiedział, jak należy rozumieć tę pozornie zdawkową prośbę. Simon i jego słynne sugestie. Jak za dawnych czasów Jack czuł niemal jego obecność tuż obok, w fotelu instruktora...

Jack kroczy po czarnej nawierzchni placu defiladowego i tam dopada go spiekota. Przecina plac po przekątnej, kierując się do supermarketu i budki telefonicznej. Nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że Simon pracuje dla MI6. Brytyjskiego wywiadu wojskowego. Tajni agenci MI6 zachowują najdalej posuniętą dyskrecję; w swoim czasie nawet ich żony nie mogły nic wiedzieć. W przypadku Simona to żaden kłopot - jest starym kawalerem.

Jack szuka dziesięciocentówek w kieszeni i czuje przyływ podniecenia. Uciekinier ze Związku Radzieckiego jest w drodze. Uczony, który przeszedł na stronę Zachodu.

- Zajmiesz się nim trochę - powiedział Simon. - Biedny drań na pewno będzie chodził jak błędny. Zderzenie kultur, rozumiesz? Ugotuj mu tej waszej papki, jak się nazywają te gotowe potrawy z makaronem?

- Obiady Krafta.

- No właśnie.

Kolejny uczony dołączył do naszego obozu; tyle tylko Jack wie na tym etapie. Simon na swój sposób postawił sprawę jasno: „Najlepiej zatrzymaj to dla siebie”. W urzędowym języku mówi się na to „potrzeba wtajemniczenia”, ale Simon nigdy nie miał głowy do oficjalnych określeń. Mogłoby być ciekawie, gdyby powiedział o tym Mimi, ale nie ma

potrzeby jej wtajemniczać, poza tym Jack zawsze wyraźnie rozdzielał życie zawodowe i życie rodzinne. Hala Woodleya też nie ma potrzeby wtajemniczać. Simon podkreślił, że

Jack będzie występował jako osoba prywatna, otaczając opieką przyjaciela swojego przyjaciela, zupełnie nieoficjalnie.

W 4 Dywizjonie w Niemczech cała tamtejsza kadra, z Jackiem włącznie, miała ustalone „zadania na czas wojny”, które zobowiązana była wykonać w razie ataku ze strony Sektora Wschodniego. Jack został przydzielony do wywiadu. Jego zadanie wymagało świadectwa dopuszczenia do spraw niejawnych i polegało na przesłuchiwaniu pilotów po powrocie z misji i przekazywaniu uzyskanych wyników dowódcy bazy i najwyższemu dowództwu Sił Powietrznych. Jack obeznany jest z zasadami zachowania tajności. Przechodzi mu nagle przez myśl pytanie, czy Simon o tym wiedział.

Sięga do kieszeni i odlicza dziesięciocentówki. Sowiecki naukowiec. Albo według określenia Simona, „nasz przyjaciel ze Wschodu”. Jack wyobraża sobie mężczyznę o kwadratowej głowie z przylizanymi czarnymi włosami, w okularach w grubych czarnych oprawkach i w laboratoryjnym fartuchu. Jaka dziedziną się zajmuje? Fizyką jądrową? „Facet jest dla nas cenny”, powiedział Simon. *Nasz przyjaciel*. Dlaczego sprowadzają go akurat do Kanady?

Jack już ma otworzyć składane przeszkłone drzwi budki, gdy nagle ktoś odzywa się za jego plecami: - Pułkownik McCarthy?

Jack odwraca się. Otyły mężczyzna wyciąga do niego rękę.

- Vic Boucher - przedstawia się.

Jack ściska mu dłoń. - Miło mi cię poznać, Vic.

Major Vic Boucher. O posturze przywodzącej na myśl piłkę lekarską, pękaty i łysy jak kolano.

- Witamy w krainie gałek do drzwi, panie pułkowniku.

- I ograniczeń prędkości - dodaje Jack.

Kolega Jacka z 4 Dywizjonu był przyjacielem Vica Bouchera z dawnych czasów. Razem latali w czasie wojny. Boucher był strzelcem pokładowym na ogonie. Jak śmiesznie wyglądałby teraz Boucher wciśnięty w wieżyczkę na tyle lancastera. Ale wtedy na pewno był chudszy - jak wszyscy, spalał się ze strachu. Przeciętna długość życia dla załogi bombowca wynosiła sześć tygodni, dla strzelca pokładowego znacznie mniej.

- Przestrzegali mnie przed tobą, Boucher.

- Jestem słynny, nie da się ukryć - odpowiada Vic. - Nagadali panu kłamstw. Idzie pan do mesy? - Poprawia krawat. - Proszę dzwonić, ja poczekam.

Jego francuski akcent brzmi w uszach Jacka swojsko.

- Nieee, *macht nichts*, chodźmy.

Jack wymawia to jak „maks niks”, co znaczy „nic nie szkodzi” czy w języku lotniczym „wszystko jedno”. Mimo długiego stażu na niemieckich placówkach przyswoił sobie, tak jak wielu jego kolegów, zaledwie kilka wybranych najniezbędniejszych zwrotów: *danke schön, ein mal Bier bitte, Auf Wiedersehen*.

- Tak jest.

- *Oui, d'accord* - mówi Jack, co wywołuje u Vicka śmiech.

Od razu przypadł Jackowi do serca. Starszy oficer, odpowiedzialny za poziom szkolenia w CSO. A przede wszystkim, przewodniczący komitetu oficerskiego.

- Nie dam się wrobić w zasiadanie w komitetach, Vic.

Boucher znów się śmieje. - Zwolniło się stanowisko skarbnika.

- Nic z tego.

Jack zaprasza go z żoną do siebie na jutro na kolację. Mimi ucieszy się, że będzie mogła porozmawiać z kimś po francusku. Wraca z Vickiem przez plac defiladowy. Do Simona zadzwoni po lunchu. Publiczne telefony może są bezpieczne, ale dyskrecji nie zapewniają.

MAYFLOWER

Amerykanom odpowiada ich stan posiadania i pragną go powiększać.

Jak się czuje Ameryka, sondaż Gallupa, „Look”, 5 stycznia 1960

Oparta o zderzak ramblera stojącego na podjeździe, Madeleine wpatruje się w purpurowy dom po przeciwnej stronie ulicy. Nie widziała dotąd równie zagraconego podwórza. Z daleka lśni jakaś rzecz przed gankiem, której wcześniej tam nie było. Wózek inwalidzki.

Jest to jedyny niezardzewiały i nierozłożony na czynniki pierwsze przedmiot na całym terenie przylegającym do domu. Wyrósł tam nagle tego ranka, zanim rodzina McCarthych przyjechała z motelu. *Abrakadabra*.

Madeleine nie może się doczekać ciężarówka z meblami. Wypatrywała jej cały ranek i wygląda na to, że będzie musiała poczekać aż do popołudnia. Zjadła przed chwilą lunch razem z bratem i mamą. Mrożone danie Swansona. Wszystko w oddzielnych przegródkach na tacy, jak w samolocie. Ale jest już po lunchu, panuje upał i nie wiadomo, co z sobą zrobić. Mike przepadł gdzieś z jakimś chłopakiem - to niesprawiedliwe, już ma nowego kolegę. Madeleine ogląda swoje ulubione szorty z kieszonką z frędzelkami, szczupłe opalone nogi, kolana, gładkie i bez strupów, bo dawno porządnie się nie bawiła. Tylko jej czerwone tenisówki wyglądają na podniszczone. Matka próbowała je wyrzucić, ale przecież dopiero teraz nadają się do chodzenia, duże palce stóp w końcu przebiły się przez płótno. Można ten proces przyspieszyć, trąc wierzchem tenisówek o beton, gdy zjeżdża się z górki na rowerze. *Ale mój rower jest na ciężarówce z meblami, a ciężarówka nigdy tu nie dojedzie.*

Rower Madeleine ma grube opony - niespotykane w Kanadzie. Bardziej przypomina mały motocykl, z aerodynamicznym wybrzuszeniem w ukośnie położonej ramie, na której widnieje biały napis „Zippy Velo”. Nie wygląda ani na dziewczęcy, ani na wybrakowany chłopięcy rower. Po prostu europejski, Volksbike.

Słońce praży. Kilka domów dalej, po lewej stronie, matka dziewczynki kręcącej wczoraj obręczą wyjmując zakupy z pomarańczowej furgonetki, ale dziewczynki nigdzie nie widać.

Sąsiadów, z którymi rodzina McCarthych dzieli biały bliźniak, można spisać na straty. *Maman* mówi o nich „przemile młode małżeństwo”. Mają małego wrzeszczącego bachora, na którego gapią się bez przerwy jak sroka w gnat. Żona jest przy kości i wygląda jak zmokła kura - matka Madeleine twierdzi, że jest śliczna. Madeleine postanawia, że nigdy nie będzie mieć dzieci i nie wyjdzie za męża. Będzie mieszkać z bratem, nie zamierza zrobić z siebie pulchnej, rozmamłanej baby.

Ciężka, gorąca pieśczoła słońca uciszyła całą dzielnicę mieszkalną. Jakby wszyscy mieszkańcy królestwa zapadli w sen. Madeleine czuje na głowie ucisk lejącego się z nieba żaru. Spogląda na wózek inwalidzki. Słoneczne promienie igrają na jego metalowych poręczach.

Na widok wózka lekko ścisnęło ją w dołku, jak to bywa, gdy ma się do czynienia z tego rodzaju przyrządami, kulami, protezami. Dziwni powykręceni ludzie na wózkach - wzbudzają poczucie winy, a zarazem wdzięczność, że uniknęło się ich losu, że nie tkwi się w żelaznym gorsecie. *Pomódl się za nich*, nakazuje jej mama, *i nie przyglądaj się*. Ale teraz Madeleine może przyglądać się do woli, gdyż wózek jest pusty, nikogo w ten sposób nie urazi.

- Gdzie jest Mike? - spytał rano ojciec przed wyjściem do pracy. Już wtedy Madeleine zaczęła się przykrzyć wypatrywanie ciężarówki z meblami.

- Poszedł gdzieś z nowym kolegą.

- Ty też się rozejrzyj, na pewno znajdziesz koleżankę.

- Tu nikogo nie ma.

Ojciec roześmiał się łagodnie i niedowierzająco. - SKR-y roją się od dzieciaków, moja panno.

Tata jest taki rozbrajający. Uważa, że można podejść, ot tak, do grupki dzieci i powiedzieć: „Cześć, mogę się z wami pobawić?”. Opowiada, jak to za jego czasów chłopcy skrzykiwali się i grali w hokeja piłeczką na ulicy, włóczyli się całą paczką po lasach w Nowym Brunzswiku, chodzili na ryby, biegiem wracali ze szkoły, straszili biedne siostry zakonne, jednym słowem, dorastali wspólnie i znakomicie się bawili. Madeleine nikogo tu nie zna, a jak ma się z kimś zaprzyjaźnić, jeśli szkoła rusza dopiero za tydzień? Mike zawsze błyskawicznie znajduje kolegów. Chłopcom nie przeszkadza to, że widzą kogoś po raz pierwszy. Ale dziewczynki najpierw dokładnie się przypatrują nowej, jak jakiemuś robalowi, zanim zdecydują, czy zasługuje na ich przyjaźń.

Madeleine traci nadzieję na przyjazd ciężarówki i odchodzi. Powoli, drobnymi kroczkami, noga za nogą, bo w ten sposób przejście przez ulicę zajmie więcej czasu i skróci się okres wyczekiwania na ciężarówkę.

*Nancy Drew** i zagadka inwalidzkiego wózka. Może ich matka jest kaleką. Jak by to było, mieć kaleką matkę? „Podejdz, kochanie, żebym mogła cię ubrać”. Madeleine musiałaby posłusznie wykonywać wszystkie jej polecenia i ładnie odpowiadać, bo trzeba nie mieć serca, żeby pyskować albo wrywać się ułomnej matce. Już widzi, jak przygotowuje jej kanapki do szkoły swoimi słabymi rękami, podjeżdża na wózku do lodówki, żeby wyjąć majonez. Ten obraz sprawia, że Madeleine docenia swoją matkę. To dobrze, kiedy dziecko docenia matkę. Żeby docenić ją jeszcze bardziej, Madeleine wyobraża sobie, że jej mama nie żyje, i brat, ojciec i ona zostali sami na świecie. Co wieczór jedliby na kolację smażone kurczaki i chodzili na pokazy lotnicze. Nosiłaby rzeczy po Mike'u i wszyscy braliby ją za chłopca. Jednak kiedy Madeleine uświadamia sobie, że ceną tego ziemskiego rajku jest uśmiercenie matki, zaraz wraca na ziemię. Nie warto, jeśli ma to kosztować życie mamy.

Zrywa się i pędzi przed siebie. Dopiero w połowie St. Lawrence Avenue przystaje, żeby odsapnąć. Po lewej stoi pusty zielony bungalow. Podchodzi do niego i zagląda do

* Bohaterka poczytnych powieści z elementami kryminalnymi dla dziewczynek.

środka, do salonu.

Lśniące drewniane podłogi, świeżo pomalowane białe ściany. Kiedyś wprowadzą się tu nowi mieszkańcy, a Madeleine będzie pamiętać, że spenetrowała wzrokiem ich pusty dom. Kładzie się na wznak na trawniku, którego nikt od dawna nie kosił, i przesuwa ręce i nogi po trawie, w górę i w dół, jakby rysowała orła na śniegu. Czy są jeszcze inne zamieszkane planety? Czy można dopłynąć do krainy, w której są podwodne miasta i mówiące zwierzęta? Czasami Madeleine wierzy w to tak mocno, że w oczach stają jej łzy. Patrzy na chmury. Góra. A to wielbłąd. Milton Berle* - *Dobry wieczór państwu-draństwu*. Góra płynie po niebie - rozwiera swoje wrota, niczym usta. Co kryło się we wnętrzu góry, do której przywiódł dzieci Szczurołap? Czy jak jaskinia zbójców, była pełna skarbów? Góra spłaszcza się i rozpada na strzępki, a spoza niej prześwituje księżyc. Wygląda tam na niebie jak opłatek komunijny, błądy i mdły. Zamiast polecieć na księżyc, Madeleine wołałaby pojechać nad morze, zamiast podróży w przyszłość wołałaby wyprawę do przeszłości. Zakradłaby się do Hitlera w jego Orlim Gnieździe i zepchnęła z górskiego szczytu w przepaść, a on spadłby jak ten wózek w Heidi, i ostrzegłaby Annę Frank, żeby uciekła z Holandii. Wrywa trawę garściami i posypuje się. Jeśli pozostanie tutaj dość długo, trawa całkiem ją zakryje i nikt jej nie znajdzie. Madeleine wyobraża sobie, jak bardzo wszyscy będą się martwić, gdy nie wróci do domu. Zrozpaczony Mike będzie modlił się do Boga, żeby uratował jego siostrzyczkę. A potem nieopisana radość, kiedy okaże się, że Madeleine wcale nie umarła. A ona przecież nie chciała ich smucić, po prostu leżała sobie niewinnie w trawie... i zamknęła oczy... *Położył się Dyzio na łące...*

Na ganku z tyłu domu Mimi kończy pisać list do swej siostry Yvonne i zaczyna następny, do Domithilde, swej drugiej siostry. Mimi niczego nie ukrywa przed Yvonne, ale Domithilde przed laty wstąpiła do zakonu i nie można od niej oczekiwać zainteresowania szczegółami rodzinnego życia. *Chère Domithilde, on est enfin arrivés à Centralia...*

Napisawszy list do Domithilde, Mimi zabiera się do następnego, tym razem do przyjaciół z Niemiec. *Liebe Hans und Brigitte, nareszcie dojechaliśmy. Willkommen in Centralia!*

- Pani McCarthy!

Mimi podnosi głowę. Widzi szczupłą kobietę, nieco starszą od niej, w eleganckich pantoflach i nieskazitelnej sukience z paskiem, z gustownymi różowymi pasemkami w jasnych włosach.

* Zmarły w 2002 roku komik amerykański.

- Vimy Woodley. Witamy w Centralii.

Mimi wstaje, odruchowo poprawia włosy i podaje jej rękę. - Pani Woodley, bardzo mi miło. Proszę mi mówić Mimi.

Żona oficera dowodzącego, a ja w tych okropnych starych szortach!

- Vimy. Darujmy sobie formalności, kochana. - Trzyma w ręku półmisek przykryty folią aluminiową. - Przyniosłam małą przekąskę.

Śledź pod kołderką.

- *Oh, mais c'est trop gentil.*

Vimy uśmiecha się, a Mimi uświadamia sobie, że odezwała się do niej po francusku, i oblewa się rumieńcem.

- Dobrze trafiłaś, Mimi. Twój sąsiad, który mieszka kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy, też jest francuskojęzycznym Kanadyjczykiem. Poznaliście Boucherów?

- Jeszcze nie.

- Zaprosimy was, kiedy już się urządzicie. Co prawda ludzie się porozjeżdżali na wakacje, Koło Żon Oficerów rozkręci się dopiero za kilka tygodni, ale podrzucę ci do skrzynki na listy trochę materiałów, żebyś rozeznała się w sytuacji. Ciekawostki na temat bazy, okolicy, szkoły i tym podobne rzeczy.

- Bardzo ci dziękuję - Vimy?

- Tak jest, moja droga.

- Pochodzisz z francusko-kanadyjskiej rodziny?

- Dostałam imię po wuju, który walczył na wzgórzu Vimy. Chwała Bogu, nie nazwali mnie Passchendaele.

- Albo Gruba Berta - żartuje Mimi, która nagle spiekła raka, ponieważ trudno o mniej pasujące do Vimy określenie, a poza tym jeszcze za wcześnie na takie poufałości, ale Vimy Woodley śmieje się z tego.

- Vimy, może wejdiesz na filiżankę - na szklaneczkę?...

- Mimi, nie rób sobie kłopotu.

Obie kobiety zdają sobie sprawę, że w tej chwili Mimi mogłaby co najwyżej poczęstować ją napojem z termosu.

- Zadzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Wracając z Vickiem Boucherem z lunchu, Jack znów przechodzi przez plac defiladowy. Z ośrodka rekreacyjnego wysypują się elewi, z workami ze strojami gimnastycznymi przewieszonymi przez ramię, świeżo wyszorowani. Przed supermarketem stoi kilka samochodów, wśród kupujących głównie kobiety z dziećmi, niektóre pchają

sportówki, inne balansują z zakupami w jednej ręce, z bobasem w drugiej; przystają, żeby pogawędzić.

- Lepiej się upewnię, co mam kupić do domu - mówi Jack, jakby właśnie przyszła mu do głowy myśl, żeby skorzystać z telefonu.

Ale uprzedza go elew, który zamyka się w budce i wrzuca do aparatu po kolei całą garść monet. Malezyjczyk. Dzwoni do ukochanej w dalekiej ojczyźnie. To pewnie potrwa.

- Chodź ze mną do ośrodka. W świetlicy jest aparat, mam klucze.

- Nie trzeba, przypomni mi się w sklepie - odpowiada Jack i kieruje się w stronę supermarketu.

- *À demain* - mówi Vic.

Do jutra? Ach tak, zaprosił Boucherów na kolację. Jack musi pamiętać, żeby zaraz po przyjściu powiadomić Mimi. *Jutro przychodzą do nas goście*. Stoi w drzwiach i patrzy na półki z towarami. Spaceruje między regałami. Kupuje paczkę gumy do żucia.

Kiedy wychodzi ze sklepu, Vicka nie ma w polu widzenia. Drobne kłamstewka, niczym zadry; dla Simona to pewnie chleb powszedni. OPD. Jack spogląda w stronę budki - wciąż zajęta. Rusza do domu. Nie pali się.

Madeleine pędzi z całych sił przez trawnik, wzniesając za sobą zielony tuman skoszonych źdźbeł - nareszcie przyjechała! Widać z daleka żółty okręt Krzysztofa Kolumba kołyszący się wesoło na falach, wymalowany na zielonej ciężarówce firmy Mayflower, która przywiozła im meble. Tylne drzwi są otwarte, opuszczona kłapa służy za pomost, po którym mężczyzna w roboczym kombinezonie właśnie sprowadza jej rower. Madeleine już się cieszy na myśl, że zaraz poczuje sprężyny siodełka, mocne oparcie pedałów pod stopami, wypróbowaną kierownicę - mój kochany Zippy!

- Ciekawe, czyj to rower? - mówi pan od przeprowadzki, puszczając do niej oko, podnosząc mały niebieski dwukołowy pojazd. Mężczyzna pachnie smołą; to przyjazny zapach.

Madeleine śmiga przez trawnik i objeżdża dookoła dom; jej nogi pracują niczym tłoki. Kiedy w jej polu widzenia znów pojawia się otwarta ciężarówka, dziewczynka jest w rozterce - spoczywa tam przecież cały ich dobytek, w pudłach i pod kocami. Ale równie mocno nęci Madeleine otwarta przestrzeń. Przygląda się niezdecydowana, nogami opiera się swobodnie o ziemię; musi poprosić ojca, żeby podniósł jej siodełko - już jest dla niej za nisko.

Zwabiony widokiem ciężarówki, zjawił się Mike. Stoi ze swoim nowym kolegą, Royem Noonanem. Widać po nich, że starają się mówić grubszym niż zwykle głosem; siłą się

na niższy ton, po męsku ucinają zdania. Roy ma czarne włosy, ostrzyżone na jeża, i różowe policzki. Nosi spodnie na szelkach. Roy trzyma w ręku model samolotu z balsy, a Mike urządzenie do zdalnego sterowania. Obaj przybrali poważny obojętny wyraz twarzy. Madeleine nie łudzi się, że pozwolą jej się z nimi bawić. Ale co tam! Przecież przyjechała ciężarówka z meblami!

Pracownicy wynoszą olbrzymie pudła i sprzęty. Wyściółka z kołdry rozchyła się, odsłaniając toaletkę *Maman* - ten najintymniejszy z ołtarzy na krótko wystawiony zostaje na widok publiczny, niczym roznegliżowana dama za oknem. Rodzina McCarthych rozstała się ze swoimi meblami, kiedy przeniosła się do Niemiec. Zostały oddane do przechowania i wreszcie do nich wracają. Oto kanapa, na której Madeleine wylegiwała się u boku ojca i czytała z nim gazety, zanim jeszcze nauczyła się czytać. A ten pakunek z nalepką „OSTROŻNIE SZKŁO!” to na pewno ława ze szklanym blatem. A co kryje się w wielkim kartonie z napisem „RCA VICTOR TĄ STRONĄ DO GÓRY”? Telewizor! Skrzynka obfitości, która po raz ostatni rozbłysła cztery lata temu.

W tych pudłach schowane są przedmioty, o których istnieniu się zapomniało. Nasze mienie. Rzeczy, które zapakowaliśmy do nich w Niemczech, i rzeczy, które przez te lata drzemały w przechowalni; wreszcie nastąpił koniec rozłąki, odnalazły siebie i z powrotem trafiły do swych właścicieli. Zabawki i lalki po niesamowitej tułaczce wyłonią się żwawe i wypoczęte: „Oczywiście, że się nie dusiliśmy”. Przebudzi się zegar z kukułką, znów zawieszony nad kuchenką, a jego drzwiczki spowijając będzie atmosfera pełnego napięcia oczekiwania. Uśmiechną się do nas ze stołu nasze talerze: „Wyszliśmy z tego cało”. Sztuńce zasną w nowych, lecz znajomych przegródkach w kuchennej szufladzie. A pamiętacie te kieliszki do jajek w kształcie kur? Wyjmiemy je do śniadania jutro rano. A oto twoje łóżko, triumfalnie wniesione na barkach, a w tym kartonie drogocenne albumy ze zdjęciami, początkowo czarno-białymi, a później kolorowymi - następnym razem, kiedy do nich zajrzemy, zobaczymy utrwalone wspomnienia oddalone o kolejny krok od terażniejszości. Wszystkie te rzeczy szczęśliwie dotarły do swego miejsca przeznaczenia, domu przy St. Lawrence Avenue 72 w Centralii, w prowincji Ontario w Kanadzie. Nasze mienie.

Jak zwykle ciężarówka z meblami przyciąga dzieci z sąsiedztwa. Dwoje smarkaczy, którzy się nie liczą, bo są za mali - wciąż jeżdżą na czterech kółkach. I dziewczynka, która bawiła się obręczą w hula-hoop.

- Cześć.

- Cześć.

Przypatrują się przez chwilę ciężarówce. Dziewczynka od obręczy ma kręcone włosy

miedzianej barwy, piegi i okulary przeciwsłoneczne w kształcie kocich oczu. Odwraca się do Madeleine i pyta: - Jak się nazywasz?

- Madeleine McCarthy. A ty?

- Auriel Boucher.

Znów spoglądają na ciężarówkę.

- Skąd przyjechaliście? - pyta Auriel.

- Z Niemiec.

- My też tam mieszkaliśmy.

- Super. Ja się urodziłam w Edmonton.

- Super, ja się urodziłam w Anglii.

- Super.

Okazuje się, że Auriel ma wesołe usposobienie i zupełnie się nie przejmuje tym, że jest gruba. To znaczy pulchna. Właściwie wcale nie jest gruba, kiedy się ją bliżej pozna. A piegi są ładne.

- Masz fajny rower.

- Dzięki - odpowiada Madeleine. - A ty masz fajną bluzkę.

- Dzięki - mówi Auriel. - Podkreśla mój biust. Dziewczynki wybuchają śmiechem.

Raczej nie widać, żeby pod bluzką w kropki rysował się Auriel biust, ale to bez znaczenia. Dołącza do nich jeszcze jedna dziewczynka, Lisa Ridelle, w nowiutkich tenisówkach firmy Keds.

- Cześć, Auriel.

- Cześć, Lisa.

- Cześć - mówi Madeleine.

Z popielatymi włosami ostrzyżonymi na pazia, błękitnooka Lisa chichocze z wszystkiego, co mówi Auriel. Niebawem chichocze z wszystkiego, co mówi Madeleine.

- Masz śmiech zupełnie jak Muttly z *Penelope Pitstop* - stwierdza Madeleine i Lisa śmieje się po swojemu, zgrzytliwie.

- No jasne! - zgadza się Auriel i naśladuje Lisę. Madeleine dołącza do nich i cała trójka zanosi się rześącym śmiechem, jak pies Muttly z animowanej bajki. Znają się od pięciu minut, a już wiedzą, jaki każda z nich ma śmiech.

- Do której klasy będziesz chodzić?

- Do czwartej.

- Ja też!

- A ja do trzeciej!

Lisa potrafi wywrócić powieki na drugą stronę - upiornie to wygląda.

- Jeszcze raz, Lisa.

Auriel zna sztuczkę z wywołaniem paraliżu w ręce.

- Ściśnij palcami mój kciuk, jak najmocniej. Dobrze, a teraz puść, ale palce trzymaj zgięte... - Łaskocze lekko Madeleine po nadgarstku. - Teraz spróbuj rozprostować palce.

Madeleine z trudem rozgina palce. - O rany, jestem sparaliżowana.

- Teraz zrób to na mnie, Auriel.

- Może urządzimy stoisko z napojami, co?

Jest upalnie, mogły zarobić majątek. Ale Lisa i Auriel wybierają się na dwudniowe rozgrywki baseballowe; pojedą pomarańczową furgonetką Boucherów. Auriel przyjmuje piłki, a Lisa gra w obronie. Łatwo sobie wyobrazić Auriel w skórzanym napierśniku, masce ochronnej i czapce założonej daszkiem do tyłu - przypominałaby żółwia. Ale uroczonego.

- Auriel, chodź do domu na herbatę, złotko. Tatusz już wraca - woła mama Auriel z podjazdu przed domem Boucherów. Stoi obok otwartej furgonetki, z naręczem kijów do baseballu i nagolenników. Też ma kręcone włosy.

- Już idę, mamciu.

Madeleine z rozrzewnieniem wyobraża sobie, że jest na miejscu Auriel Boucher i mówi do swojej matki „mamciu”. Można poznać po akcencie, że pani Boucher jest Angielką, „wojenną zdobywcą”, którą mąż przywiózł do domu, do Kanady.

Ciężarówka jest już niemal pusta. Madeleine odprowadza wzrokiem koleżanki biegnące do domu Auriel. Wtem zza rogu wyłania się jej ojciec.

- Tato! - woła Madeleine i wskakuje na rower; gna ku niemu, pedałując zawzięcie. - Tato, popatrz!

Tata uśmiecha się i pochyla do przodu z otwartymi szeroko ramionami, jakby chciał ją złapać razem z rowerem.

Wszystko będzie dobrze, Centralia zapowiada się świetnie.

- Cieszę się, że tak myślisz, skarbie - mówi ojciec, a ona opiera rower o ganek i wchodzi za nim do środka. Witają ich stada mebli i pudeł zagracające pokoje; wkrótce zostaną uwiązane do ścian i kątów. - Mimi, wróciłem.

Echo ich głosów już tak nie rozbrzmiewa, wchłonięte przez sprzęty, które wreszcie ich dogoniły - brakujący członkowie rodziny. Ożywione atmosferą, którą przesiąkły przez te wszystkie lata, przedmioty te tchnąc będą wspomnieniem minionych czasów, napętniając wnętrza tymi dobrymi fluidami, które Niemcy określają nieprzetłumaczalnym *Gemütlichkeit*, za ich sprawą wnętrza przestaną być tylko wnętrzami i przeistoczą się w ognisko domowe.

Na kolację w postaci hamburgerów i koktajli mlecznych rodzina McCarthych wybrała się do miasteczka Exeter, położonego osiem kilometrów na północ. Exeter jest schludne i zamożne, lecz jeśli komuś zależy na posiłku w A&W, musi jechać w przeciwnym kierunku, w stronę Londynu. W Exeter można znaleźć za to porządną restaurację i cała czwórka zasiada za podłużnym stołem.

Goście od razu rozpoznali w przybyszach mieszkańców pobliskiej bazy lotniczej. Kiedy przychodzi pora na deser, rodzina McCarthych składa zamówienie przy ladzie. Jack i Mimi gawędzą z właścicielami. Obojętnie, czy są w Albercie, czy w Alzacji, zawsze nawiązują stosunki z miejscową ludnością. Życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać. Zwykle przyjmowani są życzliwie, nawet przez osoby nastawione raczej podejrzliwie do przewijających się przez okolicę tymczasowych sąsiadów, którzy wprawdzie zasilają miejscową kasę, ale potrafią wprowadzić zamęt do uregulowanego życia małej społeczności. Jack i Mimi szybko zostają uznani za swoich. Ale te więzi z założenia są krótkotrwałe, z reguły urywają się po wymianie jednej czy dwóch pocztówek ze świątecznymi życzeniami.

- A to ciasto? - pyta Jack.

- Domowy wypiek - odpowiada małomówna kobieta za ladą.

- Wszystko jasne - mówi Jack i prosi o kawałek, z plasterkiem żółtego sera.

Madeleine przygląda się mężczyźnie przy ruszcie, który przewraca na drugą stronę hamburgery. Czy to mąż kobiety stojącej za ladą? On jest chudy, a ona gruba. *Tyczka...*

- Co dla ciebie, Madeleine? - pyta ojciec.

Madeleine spogląda na nalaną twarz kobiety. - Eee.. czy są lody neapolitańskie?

- Mają być z wisienką? - pyta kobieta, bez cienia uśmiechu.

- *S'il vous plaît* - mówi Madeleine, której jakoś samo się to wyrwało.

- Kamątalewu - odpowiada z uśmiechem kobieta i pieszczotliwie szczypie Madeleine w policzek. Panie za ladą na całym świecie niczym się od siebie nie różnią. Lubią częstować dzieci, lubią poczuć między palcami kawałek ich twarzy.

Bycie swoim i bycie obcym. Przynależność i zarazem pozostawanie na obrzeżach. Madeleine przychodzi to tak naturalnie, tak bezwiednie, jak oddychanie. A gdyby tak dorastać w otoczeniu swojej przeszłości - pośród ludzi, którzy znają cię od samego początku i uważają, że wiedzą, z jakiej gliny jesteś ulepiona, na co cię stać - ta myśl przyprawia o duszności.

- A miejscowy supermarket? - pyta Mimi. - Mają tu dobrego rzeźnika?

Zaraz wywiązuje się ożywiona rozmowa. Omawiani są wszyscy okoliczni rzeźnicy, od Exeter aż po Londyn. Potem przychodzi kolej na dziecięce obuwie, radę szkoły, premiera Diefenbakera, ewentualną mroźną zimę i podbój kosmosu.

- Kennedy twierdzi, że wylądujemy na Księżycu, i nie zdziwiłbym się, gdyby dopiął swego - mówi Jack.

- A właściwie po co się pchamy na Księżyc? - pyta mężczyzna obsługujący ruszt.

- Bo jeśli nie dostaniemy się tam pierwsi, wyprzedzą nas Ruscy - tłumaczy Jack.

- Oto właśnie mi chodzi - mówi mężczyzna, wycierając ręce o biały fartuch. - Zrobi się tam tłok.

- Tato - odzywa się Mike - przecież to nie my, tylko Amerykanie.

- Otóż to, Mike, i nigdy o tym nie zapominaj.

- *Vive la différence* - mówi Mimi.

Kobieta stawia przed Madeleine wysoki wąski kielich na krótkiej nóżce, z lodami neapolitańskimi w polewie czekoladowej, z bitą śmietaną i wisienką.

- O rany, dziękuję - mówi Madeleine. Kobieta puszcza do niej oko.

Madeleine bierze łyżeczkę. Chociaż wszędzie czuje się jak w domu, niekiedy towarzyszy jej wrażenie, że coś się zapodziało, a może to ktoś. Kiedy rodzina siada do obiadu, Madeleine czasami ma uczucie, że kogoś brakuje. Ale kogo?

Jack pyta o najlepsze miejsce do pływania i biwakowania. Nad jeziorem Huron, pada odpowiedź. Jack wiedział to już wcześniej, ale wpytując ludzi o strony, w których mieszkają, sprawia się im przyjemność. Mimi uwielbia towarzyskie spotkania. Ujmuje ludzi swoim francuskim akcentem i cieszy ją to, że nie potrafią zgadnąć, skąd pochodzi. Z Francji? Z Quebecu? „Kuibek” - tak wymawiają nazwę tej prowincji. Nie, dwa razy pudło. Więc skąd? Z Akadii. *L'Acadie*. To tam przed dwustu laty miało miejsce *le grand dérangement* - wielkie przemieszczenie, które zainspirowało amerykańskiego poetę Longfellowa do napisania poematu *Evangeline*. Masowe wysiedlenie całego narodu ze wschodniego wybrzeża Kanady - ludzki strumień popłynął stamtąd na południe, rozlewając się po Luizjanie, gdzie zapłodnił tamtejszą kreolską kulturę, a potem po cichu sączył się z powrotem na północ, rozpraszając się wzdłuż kanadyjskiego wybrzeża w skupiskach, które swymi korzeniami sięgały jeszcze siedemnastego wieku.

- To dlatego z taką wprawą przenoszę się z miejsca na miejsce - powiada Mimi.

Śmieje się wraz ze swoimi słuchaczami, pomijając fakt, że to *maudit Anglais* przepędzili ich stamtąd. Amerykanie z większym zrozumieniem przyjmują ten rozdział historii niż anglojęzyczni Kanadyjczycy z tej racji, że sami uznali za stosowne przepędzić przeklętych Anglików ze swoich kolonii.

Jack lubi się z nią przekomarzać, kiedy są sami. „Jesteś moją branką”, mówi wtedy, „prawowitą zdobyczą”. Jeśli ma ochotę ją rozzłościć, przedstawia Francuzów jako pobity

naród i dodaje: „Całe szczęście, że Brytyjczycy was pokonali, bo inaczej nigdy byśmy się nie spotkali”. Triumfuje, kiedy uda mu się doprowadzić Mimi do rękoczynów. „To zawsze było zgubą Francuzów. Ich porywczość”. Cała Mimi. Ognisty temperament.

Jack i Mimi oboje pochodzą z wybrzeża, z Nowego Brunswiku. Ale nie tam się poznali - wywodzili się z różnych środowisk etnicznych, więc dlaczego mieliby się spotkać? On pracował w fabryce kartonów, wraz z trzema starszymi mężczyznami. Jako siedemnastolatek tylko on jeden spośród całej załogi nadal miał wszystkie palce u rąk. Rzucił tę pracę, kiedy zorientował się, że także tylko on jeden potrafi pisać i czytać. Zataił swój prawdziwy wiek, wstąpił do lotnictwa, rozbił się i zaciągnął na nowo. Kiedy spotkali się z Mimi na potańcówce w Yorkshire, on był oficerem zaopatrzeniowym, a ona pielęgniarką przydzieloną do Szóstego Pułku Bombowców. Świat wydał im się wtedy naprawdę mały. Mały świat, wielka wojna. A oni - dwoje szczęściarzy.

- To piękna okolica - mówi Jack do mężczyzny za ladą.

- Och, to raj na ziemi - odpowiada ten, dolewając mu kawy.

W gruncie rzeczy to takie proste; jeśli lubi się ludzi, oni zapewne odwzajemnią to uczucie. Na korzyść Jacka i Mimi przemawia to, że ich dzieci są dobrze wychowane i odpowiadają pełnymi zdaniami. Na ich korzyść przemawia też to, że ich córka jest ładna, a syn przystojny.

- Kim zamierzasz zostać, kiedy dorośniesz, młodzieńcze? - pyta od stolika nieznajomy, miejscowy gospodarz, w kaloszach i czapce z daszkiem.

- Będę latał myśliwcem, proszę pana - odpowiada Mike.

- No proszę - stwierdza gospodarz, kiwając głową.

- Tak trzymaj - mówi Jack.

Na korzyść Jacka i jego żony przemawia to, że są uroczy. Nie tylko dlatego, że Mimi jest szczupła i szykowna, w swych pantofelkach i obcisłej spódnicy do kolan. Nie tylko dlatego, że Jack ma niebieskie oczy i swobodny sposób bycia; ta niewymuszona ogłada świetnie przystaje do wyniesionego z rodzinnego miasteczka szacunku dla pracy i ludzi pracy. Ich urok bierze się stąd, że są w sobie zakochani.

Spełniło się. Marzenie o lepszym życiu. Powojenny rozkwit gospodarczy, dzieci, samochód, wszystkie te zdobycze techniki, które podobno mają uszczęśliwić ludzi, lecz niektórym zaczynają ciążyć - alkoholikom w eleganckich szarych garniturach, zbzikowanym gospodyniom domowym. Lecz Jack i Mimi spełnili swe marzenie. Nie zależy im na „posiadaniu” i może w tym tkwi sekret ich szczęścia. Są zamożni, są bajecznie bogaci. I wiedzą o tym. Trzymają się za ręce pod ladą i gawędzą z mieszkańcami miasteczka.

- A ja będę chyba tajnym agentem - oświadcza Madeleine, czym wywołuje powszechną wesołość. Uśmiecha się uprzejmie. To miłe uczucie, gdy dzięki tobie ludzie się śmieją, nawet jeśli nie bardzo wiesz, co ich tak rozbawiło.

Deser jest na koszt firmy. Witajcie w Kanadzie.

Kiedy zajeżdżają pod dom, słońce chyli się ku zachodowi. Na jego widok, powoli ginącego za dachami domów, w Madeleine przybiera na sile muzyka, towarzysząca jej wyimaginowanemu filmowi. Promyki słońca kłują w oczy, przesywają serce Madeleine. Dziś po raz pierwszy od powrotu z Niemiec będą spać we własnym domu w swoich łóżkach.

Ojciec szpera w pudle w piwnicy i na oczach Madeleine wyciąga z niego nie żywego królika, lecz coś o wiele cudowniejszego. „Rękawice do baseballu!”. Rzuca jej jedną i idą na tyły domu, na trawiasty krąg. Mike włącza się gdzieś z nowym kolegą, więc Madeleine będzie miała tatę tylko dla siebie. Piłka uderza w rozwartą dłoń; trochę piecze, ale nie za mocno. Madeleine bierze potężny zamach i odrzuca piłkę, którą ojciec wyłapuje bez trudu. Zachodzące słońce mają z boku, więc nie świeci nikomu w oczy; kiedy gra się z tatą, musi być sprawiedliwie.

O nie, wraca Mike z Royem Noonanem. Mają rękawice do baseballu, zepsują całą zabawę.

Ale okazuje się, że nie. Krąg się poszerza, teraz we czwórkę rzucają na zmianę piłkę; ustala się swobodny rytm - pac, przerwa, zamach, świst, piłka śmigająca łukiem od rękawicy do rękawicy, niczym delfin. Chłopcy wcale się nie wstydzą, że grają z dziewczynką, a osoba Madeleine nie wywołuje żadnych komentarzy; dopiero kiedy robi się ciemno i nie widać piłki, w drodze do domu po skończonej grze Madeleine słyszy, jak Roy mówi do Mike'a: - Twoja siostra jest niezła jak na dziewczynę.

- No, wiem - odpowiada Mike.

Czyż nie był to, bez wyjątku, cudowny dzień?

Kiedy dzieci poszły spać, Mimi zaparza herbatę, a Jack włącza zakupiony w Niemczech sprzęt hi-fi. Rozlegają się krystalicznie czyste dźwięki nadawanej przez radio muzyki. „Niezapomniana... taka właśnie jesteś”. Mimi kładzie filiżanki na podłodze, Jack rozkłada ramiona i tańczy na skrawku wolnej przestrzeni między pudłami, kołysząc się wolno pod sześćdziesięciowatową żarówką. „Niezapomniana, blisko czy daleko...”. Ich palce splatają się, Mimi wtula się twarzą w jego szyję, on obejmuje jej wąską talię - sama doskonałość.

- Chciałabyś dzidziusia z Centralii? - pyta.

- Nie miałabym nic przeciwko dzidziusiowi z Centralii.

- Sprawimy sobie małą wiewióreczkę?

- Kocham cię, Jack.

- Witaj w domu, moja pani.

Przyciska ją do siebie. Mimi muska ustami jego kark.

- *Je t'aime, Mimi* - szepcze Jack, zawstydzony swoją francuszczyzną, z wyraźnym angielskim akcentem; ona uśmiecha się, przywierając policzkiem do jego ramienia. „Dlatego, miła, to cud, że jak ze snu, jesteś tu...”.

Mógłby teraz zaprowadzić ją na górę, ale właśnie śpiewa Nat King Cole i zupełnie jak podczas ich miesiąca miodowego odwlekanie tej chwili i pewność, że nastąpi, sprawia im rozkosz. Mamy przed sobą całe życie, będziemy się kochać po wielekroć i jeszcze po wielekroć... „i mówisz, że zapomnieć mnie też nie da się...”.

- Tatusiu? - dolatuje go wołanie ze szczytu schodów. Patrzy do góry. - Jeszcze nie śpisz, stary druhu?

- Nie mogę zasnąć.

- Dlaczego?

- Denerwuję się.

Mimi rusza w stronę schodów. - Jesteś za lekko ubrana.

- Wcale nie! - protestuje Madeleine, która uwielbia swój strój do spania - podkoszulce i majtki. Steve McQueen też śpi w samych bokserkach i koszulce.

- A gdzie twój stary Bugs? - pyta Jack.

- Nie wiem - odpowiada Madeleine, ze ściśniętym sercem. - Miałam go ze sobą wczoraj, kiedy weszliśmy do domu.

- No i gdzie go położyłaś? - pyta Jack, rozglądając się dookoła.

- Nie pamiętam - mówi Madeleine i łzy napływają jej do oczu.

- *Mon Dieu*, nie rób szumu, Jack - mruczy *Maman*, ale przyłącza się do poszukiwań. Madeleine siedzi na schodach, przygnębiona.

Maman nie lubi Bugsa. Uważa, że jest niehigieniczny. Nigdy nie był myty, ponieważ ma w brzuchu mały magnetofon czy coś w tym rodzaju - po pociągnięciu za sznurek można usłyszeć kilka typowych dla Królika Bugsa odzywek. Ale teraz jego głos brzmi, jakby dochodził z oddali, zakłócenia zagłuszają jego słowa, jakby nadawał wiadomość z przestrzeni międzygwiazdnej: *Kto wyłoncył tu światło?*

Jack, schylony, zagląda za kanapę, gdy naraz rozlega się głos Mike'a a na piętrze: - Jest w moim pokoju tam gdzie go zostawiłaś.

- Michel - woła Mimi - ty też jeszcze nie śpisz?

- Jak można zasnąć przy takim hałasie? - odpowiada Mike, stając obok siostry w swej kowbojskiej piżamie.

Madeleine biegnie do pokoju brata. Bugs leży z twarzą przyciśniętą do podłogi, jak zastrzelony. Madeleine odwraca go i widzi jego znajomą łobuzerską minę: *O łety, doktołku, nie wiedziałem, że ci tak na mnie zależy.* Podnosi go i przytula. Ciekawe, czy Mike będzie się na nią gniewał, że zaglądała do jego pokoju. Bugs stanowi dowód.

Ale Mike się nie gniewa. Kładzie się z powrotem do łóżka i mówi: - Dobranoc, brzdącu.

Skąd się wziął ten miły Mike? Gdzie podział się tamten, który jeszcze nie dawno wściekał się na nią i wydzierał? Bawił się z nią i dręczył ją, a ona go gryzła, aż miał ślady na rękach? Po policzkach Madeleine spływają dwie łzy, kiedy ojciec zanosi ją na rękach do jej pokoju.

- Co ci jest, stary druhu?

Właściwie nie może obwiniać o to Mike'a, bo przecież był dla niej miły, że do rany przyłożył.

- Smutno mi z powodu Bugsa. Biedny staruszek.

Jack nakrywa ją kołdrą. - Według mnie trzyma się dziarsko. Jeszcze długo pociągnie. Poza tym Bugs się nie urodził, więc wiesz, co to oznacza.

- Co?

- Że będzie żyć wiecznie. A teraz - mówi, przysiadając na skraju łóżka - przytul się do poduszki i śpij, żebyś rano obudziła się rześka i wypoczęta, bo jutro urządzamy przyjęcie pod gołym niebem i będziesz mogła zaprosić nowe koleżanki.

- Dobrze, tato.

- Dobranoc.

- Zrobiłam ci coś ciepłego do picia - mówi Mimi i podaje mu filiżankę świeżo zaparzonej herbaty.

Jack upija łyk. - Ach, byłbym zapomniał. Zaprosiłem kogoś na jutro na kolację.

- Co takiego?

- Vicka Bouchera i...

- Och, Jack...

- Nie musisz się tak bardzo przejmować...

- Owszem, muszę - odpowiada Mimi, rozkładając ręce, wodząc wzrokiem po

pobojowisku. Dzisiaj porozwieszała ubrania, posłała łóżka, rozpakowała sprzęty kuchenne, wyszorowała wszystkie sztuce, garnki, talerze, ale reszta ich gospodarstwa... - Mam przyjmować gości w takim bałaganie?

- Przygotuję coś na ruszcie na świeżym powietrzu.

- Co ja mam tobie zrobić? - Kiedy Mimi jest zdenerwowana, ma kłopoty z angielską składnią.

- Nie wiem. A co zamierzasz mi zrobić? - drażni się z nią i puszcza do niej oko.

- *Tu sais c'que je veux dire*, jak możesz kogokolwiek zapraszać, kiedy... - Podnosi bezradnie ręce. - Och, Jack... co to za ludzie?

Idzie za nią na górę. Kiedy Mimi zamyka się w łazience, jej narzekanie przechodzi w szept. Jack wchodzi do ich małżeńskiej sypialni i stawia na toaletce drobny upominek, jeszcze z Europy, który przez cały czas ukrywał przed nią wśród swoich przyborów do golenia.

Mimi wraca z łazienki, sama rozpina sobie bluzkę, *nie licz na nic, mój panie*; nagle jej wzrok pada na flakon perfum Chanel N° 5 stojący na toaletce. Opuszcza ramiona. - Och, Jack.

- Jeszcze mi nie przeszło - szepcze, kiedy on gasi światło i kładzie się obok niej w łóżku.

Obejmuje ją, gładzi jej piersi, cudowne, jej skóra ciepła jak piasek, muska policzkiem jej szyję - ogolił się, żeby jej nie podrapać - wdycha jej aromat, a ona kąsa go w ramię.

- Chodź - mówi. - O, tak, kochanie. - To ich pierwsza noc w nowym domu. - O, tak.

To przychodzi gładko, jak taniec z nią, a kiedy leży pod nim i rozchyła się dla niego jak tulipan, wie, że ona jest od niego silniejsza, napawa Jacka radością; musi być silniejsza, żeby tak go przyjąć w sobie, tak miękko i zapraszająco, tylko czubki palców, twarde, mocno wpijają się w jego plecy. - Och, Jack... - Pozostaje miękka, gdy w nim wzbiera sztywność, jedynie jej paznokcie i sutki... - O, tak, o, tak... - Jej usta, język, na pół przymknięte oczy w blasku księżyca, twarz przechylona na bok, niewidoczna dla nikogo, tylko dla niego. - Bierz, co chcesz, kochanie, bierz. *C'est pour toi*.

Madeleine leży rozbudzona w swoim nowym pokoju. Jej pościel też jest spięta. Również dla niej te ściany wyglądają obco. Poduszka jest sztywna, nikt nie potrafi się tu rozluźnić. Do pokoju wpada poświata księżyca przez niczym nieosłonięte okno, przez które widać trawiasty krąg na tyłach domu. Madeleine zwalcza w sobie chęć ssania kciuka. Zerwała z tym dwa lata temu, przekupiona przez *Maman* i Tante Yvonne czarnowłosą lalką Barbie. Przestała ssać kciuk z dnia na dzień, nie dlatego, że zależało jej na Barbie, lecz ponieważ jej nie zależało, ale *Maman* sądziła, że kupuje córeczce coś nadzwyczajnego - to takie

wzruszające i smutne zarazem. Madeleine udawała, że jest zachwycona lalką, która po dziś dzień nie wyrzała na światło dzienne z różowego, wyściełanego atlasem pudełka. Śpi tam w ślubnej sukni, niczym wampirzyca. A Madeleine marzy się na Gwiazdkę zestaw rewolwerów z pasem i kaburami. Dziewczynki nigdy nie dostają nic fajnego.

Chce jej się siusiać. Wstaje, bierze Bugsa i wędruje z nim do łazienki. Stawia go na podłodze, z twarzą odwróconą od sedesu. Głośny plusk mąci ciszę wymarłego domu. Madeleine pociąga za spłuczkę - szumi wodospad Niagara - opuszcza deskę, wchodzi na nią i patrzy przez okno. Na ganku w purpurowym domu po drugiej stronie ulicy pali się światło. Wózek inwalidzki zniknął, za to pod lampą spowitą rojem komarów siedzi dziewczyna. Obok niej leży owczarek niemiecki, najwyraźniej śpi. Dziewczyna też powinna spać. Czy jej rodzice wiedzą, że ona nie jest w łóżku? Pozwalają jej wychodzić z domu w środku nocy? Pozwalają jej bawić się tym nożem? Dziewczyna struga jakiś kij. Ostrzy go.

WILKOMMEN, BIENVENUE, WITAMY

Następnego ranka Madeleine dostrzega przez okno w łazience pusty wózek inwalidzki znów na swoim dawnym miejscu.

- Tato, czyj to wózek?

Jack patrzy przez okno i mówi: - Nie mam pojęcia. Oboje wracają do golenia.

Madeleine wiernie naśladuje ojca, z tą różnicą, że podczas gdy jego brzytwa skrobie policzek z takim uroczym odgłosem tarcia, jej brzytwa, bez ostrza, przesuwa się bezgłośnie.

Wycierają twarz ręcznikami i wklepują w skórę old spice'a.

Przy śniadaniu Mimi informuje Jacka, że dzieci boją się tego wielkiego psa po drugiej stronie ulicy.

- Nie, nie boimy się - wyjaśnia Madeleine - ale denerwują mnie te rupiecie walające się po podjeździe.

Mimi życzy sobie, aby Jack pofatygował się i sprawdził, co za rodzina tam mieszka.

- Założę się, że to całkiem mili ludzie - mówi Jack z za gazety. - Tylko trochę ekscentryczni.

- Miałam ekscentryków po dziurki w nosie w domu, *merci*, dlatego wyszłam za ciebie, *Monsieur* - żeby uciec od ekscentryków. - Mimi łapie grzanekę w powietrzu, kiedy wyskakuje

z opiekacza.

Madeleine czai się za krzakami rosnącymi na trawniku przed ich domem.

Ojciec przechodzi przez ulicę. Wózek inwalidzki znów zniknął. Obok starego grata opartego na pustakach, z podniesioną maską, leży pełno porzucanych narzędzi. Madeleine robi z dłoni lunetę, widzi ojca pukającego do drzwi. A jeśli drzwi się uchylą i pokaże się długa, zielona macka i wciągnie go do środka? A jeśli ten, kto otworzy drzwi, będzie wyglądał zupełnie normalnie, ale tak naprawdę będzie przybyszem z obcej planety, który przybrał ludzką postać? A jeśli tata to obcy, który upodobił się do taty, a mój prawdziwy tata jest uwięziony gdzieś na odległej planecie? A jeśli wszyscy ludzie, poza mną, to obcy i tylko udają normalnych?

Otwierają się drzwi. Mężczyzna z czarną kręconą brodą podaje tacie rękę. Facet z brodą. W wyświechtanym fartuchu. Trudno o dziwniejszy widok w bazie wojsk lotniczych.

Jej ojciec znika za progiem. Madeleine wychodzi z ukrycia. Powinna za nimi pobiec? Powinna powiedzieć matce? Wraca do swojego stoiska z napojami przy ulicy. „Dwa centy”, informuje tabliczka. W pustym słoiku po ogórkach uzbierało się już dziewięć centów.

- Barman, dla mnie podwójna - powiedział Mike. A Roy Noonan zapłacił pięciocentówką i podarował jej resztę. Pozostałe dzieci są albo za małe na kieszonkowe, albo za duże, żeby zwracać uwagę na Madeleine. Po chwili podchodzą dwie dziewczynki w wieku Madeleine.

- Mam nadzieję, że chociaż myjesz te kubki - mówi jedna z nich. Dziewczyńskie dziewczynki.

Tata obiecał, że kupi trzy, więc będzie miała w sumie piętnaście centów. Wystarczy na cukierki nanizane na sznurek, które można nosić jako naszyjnik, dwa pixy stix i dwa batoniki Krafta z karmelowym nadzieniem, i jeszcze sporo zostanie.

Sąsiad Jacka stoi niemal na baczność, jego postawa śmiesznie kontrastuje z jego strojem, długim kitem, ze spłowiełym nadrukiem i świeżymi plamami od smaru, chroniącym nieskazitelną białą koszulę z długimi rękawami i wąskim czarnym krawatem.

- Dzień dobry. Jestem pańskim sąsiadem. Jack McCarthy.

- Henry Froelich - odpowiada mężczyzna, kłaniając się oficjalnie i wyciągając rękę na powitanie. Nie trzeba być geniuszem od silników raketowych, żeby się zorientować, że Froelich nie jest wojskowym. Ściskają sobie ręce.

- Pewnie niepokoi pana ten pies. Jest niegroźny.

- To dobrze - mówi Jack - ale po prostu wpadłem się przywitać. *Wie geht's, Herr*

Froelich? - dodaje z szerokim uśmiechem.

Na twarzy mężczyzny odbija się wahanie. - Wejdzie pan na kawę? - proponuje po chwili. Nie czeka na odpowiedź, odwraca się i kieruje do kuchni w głębi małego domu. Jack wchodzi do przedpokoju. Nad drzwiami wisi wyrzeźbiony w drewnie napis: *Willkommen*. W salonie ktoś nastawił płytę, słychać krystalicznie czyste dźwięki muzyki. To Jimmy Durante: *Codziennie jabłko jedz, o trzeciej zdrzemnij się...* Ciekawe, co to za sprzęt? Jack zerka do pokoju - Telefunken, taki sam jak jego. Pogwizduje sobie pod nosem i rozgląda się. Po prawej kosz z praniem na schodach. W salonie na podniszczonym fotelu piętrzą się gazety, zabawki rozrzucone po podłodze, przykrytej zakurzonym perskim dywanem, na którym widać pęki ciemnych psich kłaków. Na samym środku kojec, w którym dwójka niemowlaków w pieluchach wali grzechotkami i gryzakiem po głowie starsze dziecko, odwrócone do Jacka plecami. To dziewczynka, sądząc po włosach, o których Jack może powiedzieć, że nie są długie ani też krótkie - na tym wyczerpuje się jego wiedza na temat damskich fryzur. W rogu stoi gitara, na ławie leżą sterty pism i książek - jedna szczególnie zwraca jego uwagę. Jack po zapachu domyśla się, że coś się gotuje - zupa na cały dzień wstawiona o dziewiątej rano.

Pojawia się gospodarz z dwoma kubkami. - To dla pana - mówi, wręczając mu jeden.

- *Prost* - odpowiada Jack.

- Proszę mówić mi Henry.

Madeleine czuje ulgę na widok ojca wyłaniającego się z purpurowego domu. Z kubkami kawy w ręku, wraz z brodatym mężczyzną zaglądają pod maskę samochodu bez kół. Właściciel pojazdu pokazuje ręką na silnik.

Wtem ojciec odwraca się i spogląda na nią, nie przerywając rozmowy z brodatym mężczyzną, który również się odwraca. Obaj idą w jej stronę. Zatrzymują się przy stoisku z napojami.

- To nasza *Deutsches Mädchen* - oznajmia ojciec.

Rodzice tak ją nazywają, ponieważ przyswoiła sobie wiele niemieckich zwrotów dzięki swojej opiekunce, która wszędzie zabierała ją ze sobą - urocza Gabrielle, w okularach i z warkoczami, ta od jednorękiego dziadka i motocykla z przyczepką.

Pan Froelich przygląda się jej i mówi: - *Wirklich?*

- *Ja* - odpowiada zawstydzona.

- *Und hast du Centralia gem, Madeleine?*

- Ee... *Ich...* dosyć mi się podoba - mówi, przekonując się, że niemieckie słowa rozsypują się niczym pokruszone cegły, obracają się w gruz w jej pamięci, gdy próbuje coś z

nich sklecić.

- Przyjdź do nas, Madeleine, porozmawiamy sobie po niemiecku, ty i ja.

Kupuje szklanekę lemoniady, pije i mówi: - *Aber das schmecht.*

Jego czarne wąsy lśnią, usta ma czerwone i wilgotne. Kiedy się uśmiecha, przypomina Świętego Mikołaja. Chudego Świętego Mikołaja, z łysinką na czubku głowy, czarną brodą i czarnymi błyszczącymi oczami. Lekko przygarbionego, jakby pochylał się do przodu, żeby lepiej słyszeć swego rozmówcę. Wygląda nieco starszej niż inni tatusiowie.

- Państwo Froelichowie mają córkę w twoim wieku - mówi ojciec.

Jasne, myśli Madeleine, a ona ma nóż. Ale odpowiada uprzejmie: - Ach tak.

- *Ja*, może trochę starszą - dodaje pan Froelich.

- Pan Froelich jest nauczycielem.

- Lubisz matematykę, Madeleine? - pyta i uśmiecha się na widok jej skwaszonej miny.

- Pan Froelich może cię trochę poduczyć - mówi tata, po czym zwraca się do sąsiada. - Niemcy wszystkich nas wyprzedzają w dziedzinie matematyki, nie uważasz, Henry?

Jack kupuje szklanekę lemoniady, ogłasza, że to „niebo w gębie”, i wraca z Froelichem do królestwa porozkładanych części samochodowych we wszystkich kolorach tęczy, prawdopodobnie pochodzących z jakiegoś forda. Henry podwija rękawy białej koszuli, jeden raz, i gawędząc z Jackiem, majstruje przy silniku. Jack uśmiecha się pod nosem. Tylko Niemiec ubrałby się w białą koszulę z krawatem do takiej roboty.

Froelichowie mieszkają w SKR-ach od pięciu lat. Dłużej niż pracownicy wojskowi.

- Co sądzisz o tutejszej mesie, Henry? Warto się zapisać?

- Nie byłem w środku.

Jack jest zdziwiony. Nauczyciele i ważniejsze figury spośród cywilnej społeczności mają prawo przystąpić do klubu oficerskiego jako członkowie stowarzyszeni i zwykle z tego przywileju korzystają.

- Nie mam smokingu czy, jak to się u was mówi, „garniturę wizytową”.

- Niepotrzebnie się przejmujesz takimi bzdurami - mówi Jack. - Przyjdź w tym, co masz na sobie.

Froelich spogląda z powątpiewaniem na swój brudny kitel i obaj mężczyźni wybuchają śmiechem.

- Z jakiego regionu Niemiec pochodzisz? - pyta Jack.

Froelich szpera w swojej skrzynce z narzędziami. - Z północy.

- A dokładnie?

- Z Hamburga. - Podnosi świecę zapłonową. - To jest Champion.

- Naprawdę?

Jack nie draży dalej tego tematu. Hamburg został doszczętnie zniszczony w wyniku nalotów dywanowych w 1943. Jeśli Froelich przebywał wtedy w mieście, ma szczęście, że udało mu się przeżyć. Gorsza sprawa, jeśli mieszkał tam z rodziną; Jack musi uważać, żeby, broń Boże, nie rozgrzebywać starych ran.

- Widziałem, że czytasz *Silent Spring* - mówi, przypomniawszy sobie książkę leżącą na ławie w salonie. - Dobra jest?

- Żona ją czyta, dostała ją z klubu wysyłkowego.

- Założę się, że to też twojej żony - oświadcza Jack, wskazując jego fartuch.

Froelich uśmiecha się i wyciera ręce o spłowiały kwiecisty deseń.

- Nie trafiłeś.

Jack myśli o tym, jak wygląda wnętrze domu Froelichów - jak najbardziej zamieszkanego, łagodnie mówiąc - i oddaje się spekulacjom na temat gospodyni. Pani Froelich na pewno jest tęgą babą, z włosami barwy słomy, upiętymi w rozsypujący się kok. Chyba pracuje poza domem. Mimi ma rację, Froelichowie są ekscentryczni.

Patrzy na sąsiada, pochylonego nad silnikiem, z ustami zaciśniętymi w skupieniu. Kiedy się spotyka kogoś mniej więcej w równym wieku lub starszego, nie sposób powstrzymać się od domysłów na temat jego wojennych doświadczeń. I choć to prawda, że nie wypada za bardzo wnikać w wojskową przeszłość Niemców - nie mówiąc o ich wschodnioeuropejskich sojusznikach - na ogół byli to po prostu walczący na froncie żołnierze. Zwyczajni ludzie, tacy jak Jack. Henry Froelich, w każdym razie, do służby czynnej raczej nie został powołany - wydaje się na to nieco za stary.

- Posłuchaj, zaprosiłem na dziś wieczór kilka osób na grilla. Może wpadniesz, Henry?

Froelich podnosi na niego wzrok. - Przecież dopiero co się wprowadziliście. To my powinniśmy was podjąć.

Jack uświadamia sobie, że zapewne nieopatrznie wywołał trzecią wojnę światową z Mimi, ale brnie dalej. - To nic specjalnego. Po prostu przynieś coś do jedzenia. - Stawia kubek na dachu starego grata. - Do zobaczenia dziś wieczorem, dobrze, Henry? I nie zapomnij zabrać żony - dodaje, odwracając się do niego na środku ulicy.

- Zaproś od razu całą ulicę - mówi Mimi, z gwoździem do mocowania wykładzin w ustach. - Ja nie żartuję, Jack. *Je m'em fous*.

Kuchenne okno przesłonięte jest już firanką, nad kominkiem wisi wielki olejny obraz z widokiem Alp - jak ona tego dokonała w pojedynkę? Jack patrzy, jak Mimi wbija młotkiem gwóźdź w kuchenną ścianę, i podaje jej drewniany talerz.

- Trochę bardziej w prawo - mówi. - O, tak.

Wzdłuż krawędzi talerza biegnie wyrzeźbiony w drewnie napis, *Gib uns heute unser tägliches Brot*. W rogu salonu, pod ścianą przylegającą do schodów, stoi maszyna do szycia Singera, a nad nią, jak zawsze, zawieszony jest kilim wykonany własnoręcznie przez matkę Mimi, przedstawiający jaskrawoczerwone homary na falach.

- Dlaczego te homary są ugotowane, skoro pływają w morzu? - niezmiennie pyta Jack, za co ona szczypie go w ucho, co czyni również tym razem. - Auuu.

- Tato - woła Madeleine od progu - możesz nastroić telewizor?

- Nie ma oglądania telewizji w ciągu dnia - oświadcza Mimi.

- To się nie powinno liczyć jako dzień po zmianie czasu - odpowiada Madeleine.

- Mówię wam, że ona zostanie adwokatem - mówi Mimi.

- Ale przecież mogę nastroić telewizor - odzywa się Jack.

- Najpierw zrobisz zakupy. - Mimi schodzi z drabiny.

Madeleine zwiesiła ramiona; w rękę trzyma słoje z jedenastoma centami. - Nudzę się.

- Zaraz ci znajdę zajęcie - oznajmia mama. - Możesz przetrzeć listwy przypodłogowe.

Madeleine wybiega na dwór pobawić się. Jack napotyka spojrzenie Mimi.

- Psychologia przekory - wyjaśnia Mimi.

- Sztuka zarządzania - stwierdza Jack. Chce ją pocałować, ale ona go odtrąca i podchodzi do blatu kuchennego. Z puszkii po kawie Yuban wyjmując długopis i sporządza listę zakupów. Kuchnia Mimi - właściwie cały jej dom - to wzór uporządkowania, z wyjątkiem skrawka o powierzchni pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych przy telefonie, usłanego pomiętymi kopertami, tasiemkami elastycznymi, mnóstwem wkładów i - Jack daje głowę - niepiszących długopisów, i gdzie spoczywa jej książeczka z adresami ze stronami wyskakującymi po przyciśnięciu, zapisanymi jej zawiłym szyfrem. Dzwoni telefon, Mimi podnosi słuchawkę.

- Halo?... Tak... Dziękuję, pani Boucher... Betty... Proszę mi mówić Mimi... - śmieje się ze słów Betty. - O, tak, wiem!... Zgadza się... Ja również nie mogę się doczekać spotkania.

- Znow się śmieje. - Właśnie, wcześniej, niż przypuszczaliśmy - posyła Jackowi zabójcze spojrzenie. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami... Ależ nic nie musisz przynosić, mamy mnóstwo... O szóstej... I przyjdźcie z dziećmi... Dobrze, do zobaczenia.

Odkłada słuchawkę i odwraca się do Jacka, podpierając się pod boki.

- Masz szczęście, mój panie. Betty Boucher przyrządzi jakieś danie. Nie mieści się jej w głowie, jak Vic mógł przyjąć zaproszenie, doskonale wiedząc, że nasz dom jest jeszcze *toute bouleversée*.

Jack bierze listę sprawunków i całuje żonę. Kobiety poradziły sobie, zawsze znajdą wyjście. Kieruje się do wyjścia, wtykając kartkę do kieszeni pełnej monet. No właśnie, zupełnie wyleciało mu z głowy - powinien zadzwonić do Simona.

Z ogromnego trawiastego kręgu na tyłach domu Madeleine widzi ruszający ulicą samochód ojca i puszcza się biegiem, żeby zobaczyć, czy za nim nadąży. Ale gdy wynurza się zza węgła, dostrzega wózek po drugiej stronie ulicy. Wózek lśni. I nie jest pusty.

Madeleine zwalnia. Wsuwa ręce do kieszonek szortów, rozglądając się na boki jak gdyby nigdy nic, omijając wzrokiem wózek. Zmierza w stronę roweru porzuconego na chodniku, siada przy nim po turecku, wyciąga trzy kulki i zaczyna ryc trasę w żwirze, jakby miała to zamiar zrobić od samego początku. Spogląda ukradkiem. Na wózku siedzi dziewczynka.

Madeleine spuszcza wzrok i uderza kulką o kulkę, która, kręcąc się dookoła swojej osi, wpada do wykopanego w ziemi dołka. Znów zerka ukradkiem. Dziewczynka jest bardzo chuda, a jej głowa lekko się kiwa. Ma bujne jasnobrązowe włosy i białą cerę. Włosy są starannie wyszczotkowane, ale wydaje się ich za dużo na głowie, a i sama głowa wydaje się zbyt duża w stosunku do reszty ciała. Dziewczynka bez przerwy porusza rękami w zwolnionym tempie - jakby była zanurzona w wodzie. Nogi opatulone ma pledem, mimo że jest ciepło; Madeleine dostrzega czubki jej palców wystające z białych sandałów, jej stopy są skrzyżowane. Dziewczynka przypięta jest pasem. Inaczej pewnie zsunęłaby się z wózka na ziemię. Trudno ocenić jej wiek. Madeleine wpatruje się w kulki.

- Ejjj...

Madeleine podnosi głowę, słysząc ten dziwny odgłos przypominający postękiwanie. Dziewczynka na wózku podnosi rękę - zgiętą w nadgarstku, niezdarnie zaciśniętą. Macha do mnie? Przygląda się?

- Ejjj! - Załamujący się głos równie dobrze mógłby należeć do staruszki.

Madeleine podnosi rękę. - Cześć.

Kiwając głową, dziewczynka mówi - Ooczuuu.

- Słucham?

Dziewczynka odrzuca głowę do tyłu i nagle rozlega się donośne: - Haahaahaa!

Madeleine jest wystraszona. Czy tę dziewczynkę coś boli? Kącik ust ma zadarty do góry. Śmieje się? Z czego? No cóż, jest niedorozwinięta, może wszystko wydaje jej się zabawne. Madeleine wstaje. Teraz brzmi to jak jęk, ale to tylko ostatki śmiechu dziewczynki - nagi dźwięk, nieskończenie łagodny, który sprawia, że Madeleine ogarnia strach o

dziewczynkę: ktoś może nagle nadejść i zrobić jej krzywdę. Sprawia, że Madeleine pragnie zaszyć się w swoim domu. Ale dziewczynka macha zaciśniętą ręką i powtarza: - Ooczuuu!...
Chodź tu!

Madeleine wsiada na rower. Rano przyczepiła klamerką do szprych kartę - dzokera - która turkocze głośno w czasie jazdy. Z bliska widać, że nie jest to zwykły wózek. Jego koła zaopatrzone są w dwie potężne sprężyny amortyzujące. Może to jakiś ulepszony, podrasowany egzemplarz. Madeleine uświadamia sobie teraz, że dziewczynka nie machała do niej. Trzyma coś w ręku. Podarunek. Oby tylko nie usmarowany cukierek.

- O co chodzi? - pyta z życzliwością w głosie, opierając się na kierownicy. Oczy dziewczyny przesuwają się niczym kulki, broda opada jej na pierś i wydaje się, że dziewczynka szuka czegoś w trawie wzrokiem, kiwając głową z boku na bok. Podchodząc bliżej, Madeleine widzi, że w rzeczywistości dziewczynka przypatruje jej się kątem oka. Po ptasiemu.

Madeleine zbiera się do odwrotu...

- Aaczeekaaj!

Dziewczyna wyrzuca w górę rękę. Z ust cieknie jej przezroczysta ślina.

- Co tam masz? - pyta Madeleine, przysuwając się bliżej.

Wtem z impetem otwierają się drzwi frontowe i z purpurowego domu wyskakuje owczarek. Madeleine w panice szuka stopami pedałów, ale nogi zaplątują się jej w rower. Ryms... pada na ziemię jak długi. Pies rzuca się na nią, szczekając. Madeleine zakrywa twarz, czuje miękki jęzor na łokciach - dotyk jego różowości - i tępy ból w czaszce: rąbnęła tyłem głowy o twardą nawierzchnię podjazdu.

- Nigdy nie uciekaj przed psem, kiedy cię goni - odzywa się śmiertelnie poważny głos.

- To tylko jeszcze bardziej je rozjusza.

Madeleine odsłania twarz i podnosi wzrok. Dziewczyna z nożem. Niebieskie oczy. Jak u eskimoskiego psa.

Madeleine podnosi się. Jęzor psa drga niczym kawał mokrej szynki, wetknięty między kły; spogląda gdzieś ponad jej ramieniem, jak to psy mają w zwyczaju.

- Czego chcesz, mała? - pyta dziewczyna z nożem w jednej ręce, z zaostrzonym kijem w drugiej.

Madeleine przełyka ślinę. - Jak się wabi ten pies?

Dziewczyna mruży oczy i spluwa z wprawą kącikiem ust. Ciekawe, czy obcina sobie włosy tym nożem, zastanawia się Madeleine. Może stąd te postrzępione rdzawe kosmyki, ledwo zakrywające uszy.

- Łez - stęka dziewczyna na wózku, potrząsając głową przy próbie artykulacji.

- Jak?

- Przecież ci powiedziała - mówi dziewczyna z nożem.

Madeleine wstaje ostrożnie i spogląda na olbrzymiego czarnego, podpalanego wilczura. Czy może wabić się „Łez”? Pies odwraca się i podchodzi do wózka, kładzie się i opiera głowę o wykręcone stopy dziewczyny. Mruga, ale ani drgnie, kiedy dziewczyna głaszcze go roztrzęsioną ręką i dźga przy tym palcami w oczy.

- Co tu robisz? - pyta niebieskooka dziewczyna.

- Ona mnie zawołała.

To niegrzecznie mówić o kimś „ona” w obecności tej osoby, ale Madeleine nie zna jej imienia. Ta dziewczyna pewnie sama nie wie, jak ma na imię.

- Dokuczają ci? - zwraca się dziewczyna z nożem do tej na wózku.

Madeleine przysuwa się do roweru. *Moja chcieć do domu.*

- Neee - wzdycha dziewczyna na wózku, po czym cicho łąka, co jest u niej odpowiednikiem chichotu. - Czałam pojedźcz eej mooe ymiee.

- Ona chce ci powiedzieć, jak ma na imię - wyjaśnia dziewczyna z nożem.

Madeleine zatrzymuje się i czeka.

- Eetem Elywabef - przedstawia się dziewczyna na wózku.

Madeleine jest zakłopotana. Dziewczyna z nożem zdiera płat kory ze swojego kija. Wokół szyi ma zawiązany rzemyk, częściowo schowany pod jej usmoloną białą koszulką. Madeleine dostrzega cieniutką bliznę przy kąciku jej ust, która biegnie w dół do szczęki - jej blad różowy kolor odcina się od opalenizny twarzy. Madeleine wyczuwa u niej bojowego ducha. Jest gwałtowna, groźna. Jak pies.

- Eee... cześć - mówi Madeleine do niedorozwiniętej dziewczyny.

- Co jest? Nie możesz zwrócić się do niej po imieniu? - odzywa się właścicielka noża.

- Elywabef - dodaje Madeleine z wahaniem.

Dziewczyna na wózku odrzuca do tyłu głowę, powietrze przecina jej śmiech: - Aaa-aaa-aaa!

- Kpisz sobie? - pyta dziewczyna, przerywając struganie.

- Nie - odpowiada Madeleine, zgodnie z prawdą.

- Bo jeśli robisz sobie żarty, już jest po tobie.

- Wiem.

- Ona ma na imię Elizabeth.

- Aaaaa... Cześć, Elizabeth.

- Czeeee.

Madeleine spogląda na groźną dziewczynę. - A ty? Jak masz na imię? - pyta, zaskoczona własną śmiałością.

- A kto chce wiedzieć?

W Madeleine wzbiera nagle dziwna wesołość, korci ją, żeby odpowiedzieć w stylu Królika Bugsa, ale powstrzymuje się. - Madeleine.

Na pewno oczekiwana.

Dziewczyna znów spluwa i przedstawia się: - Colleen. - Potem składa nóż, chowa go do tylnej kieszeni obciętych džinsów i odchodzi, bosa, z kijem na ramieniu.

Madeleine podnosi rower. - To na razie, Elizabeth.

- Tuuuj!

Madeleine czeka z wyciągniętą ręką, aż Elizabeth wysunie dygoczącą dłoń, otworzy zaciśniętą pięść i wypuści jej tajemniczą zawartość. To nie cukierek. Madeleine patrzy na swoją dłoń. - O rany!

Piękna zielona kulka, z motywem morskiej mgły. Ze szkła. Będzie ozdobą jej kolekcji.

- Dzięki, Elizabeth.

Jack tkwi w dusznej budce przy supermarkecie. Garść dziesięciocentówek, którą wrzucił do aparatu, z powodzeniem wystarcza na połączenie z Waszyngtonem, ale Jack zaczyna się martwić, że limit się wyczerpie, zanim zdąży porozmawiać z...

- Crawford przy telefonie.

- Simon?

- Jack, jak się masz, stary?

- Nie najgorzej, a ty?

- Nie narzekam. Podaj mi swój numer, zaraz do ciebie oddzwonię.

Jack odczytuje na głos numer aparatu i odwiesza słuchawkę. Dotarcie do Simona, pierwszego sekretarza ambasady, było jak uporanie się z torem przeszkód. Musiał przebrnąć przez zaporę głosów informujących go angielszczyzną w najrozmaitszych odmianach, że dodzwonił się do ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie. Biurokracja, rozdęta, samozachowawcza. Dzięki Bogu, uchowali się jeszcze tacy ludzie jak Simon, którzy potrafią ją obejść. Dzwoni telefon w budce, Jack podnosi słuchawkę.

- Więc wróciłeś do naszej starej Centralii, co? Jak tam jest?

Jack spogląda przez szybę - lotnik z zakupami w ręku zmierza do kombi, w którym trójka dzieci dokazuje na tylnej kanapie, a za ich plecami ujada pies.

- Inaczej.

- Niewiele nowego mam ci do przekazania, Jack. Nasz przyjaciel nadal jest w poczekalni. Dam ci znać, kiedy przyjedzie.

- Kiedy to będzie, z grubsza?

- Trudno powiedzieć. Przeniesiemy go, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Ciekawe, jak go wydostaną? Chyba przez Berlin. Ukryją go w samochodzie? Jack słyszał historie o uciekinierach ze Wschodu przemyconych przez granicę w spreparowanym bagażniku trabanta.

- A kiedy już tu się zjawi, to co wtedy? Mam wyszukać dla niego mieszkanie w Londynie?

- Tym już się zajęliśmy.

- Dobrze, w porządku - kwituje Jack, który nie chce wyjść na nadgorliwca. - Skąd mam go odebrać, kiedy nadejdzie ta odpowiednia pora?

- Ty będziesz miał za zadanie po prostu doglądać naszego przyjaciela. Zadbać o jego dobre samopoczucie, zapewnić trochę rozrywki. Zabrać na spacer od czasu do czasu, żeby się dotlenił. Stosować wszystkie te zabiegi, których wymaga pielęgnacja pospolitej odmiany odstępcy od komunizmu.

- Czy nasz przyjaciel jest bezimienny?

- Przepraszam. Już podaję ci jego nazwisko - Fried, Oskar Fried. Przed oczami Jacka staje chudy mężczyzna, w okularach i muszce. Ze wschodnich Niemiec?

- Zgadza się. Ale ostatnich kilka lat spędził w dzikich ostępach.

- Gdzie? W Kazachstanie?

- W którymś z ichnich „stanów”, to na pewno. A właściwie możesz już teraz zanotować sobie jego londyński adres...

Jack przetrząsa kieszeń, trafia na świstek papieru, wyjmuje listę zakupów i zapisuje adres na odwrocie.

- Więc teraz mam po prostu siedzieć na tyłku i być w pogotowiu.

- Witaj w drużynie, Jack.

To pierwsza wzmianka ze strony Simona wskazująca na jego pracę w wywiadzie.

- Pierwszy sekretarz ambasady, co? Takie stanowisko zajmował też Donald Maclean, jeśli się nie mylę?

- W zasadzie tak - śmieje się Simon - ale ja nie zamierzam prysnąć do Rosji w najbliższym czasie.

Na pożegnanie umawiają się na spotkanie po zakończeniu sprawy uciekiniera ze

Wschodu.

Oskar Fried. Jack zakładał, że tym „sowieckim uczonym” będzie Rosjanin. To, że okazał się on Niemcem, pogłębia o wymiar towarzyski i tak już fascynującą perspektywę spotkania z uchodźcą - łatwiej będzie Jackowi i Mimi go ugościć. Nie wspominając o Henrym Froelichu, ich sąsiedzie z naprzeciwka - Jack zapomniał zapytać Simona, czy może zaprosić Frieda do siebie na kolację. Patrzy na adres zapisany na skrawku papieru. Ulica niedaleko uniwersytetu. W razie czego Oskar Fried prowadzi badania na Uniwersytecie Zachodniego Ontario. Ale nikt nie będzie pytał. Uczony mówiący z niemieckim akcentem to nie rzadkość. Poza tym w tych stronach bujnie rozwija się kultura niemieckich imigrantów, powojennych i jeszcze sprzed wojny. Simon wybrał dobre miejsce - facet wtopi się w tło i spokojnie dojdzie do siebie po tej drodze przez mękę, jaką stanowi przejście na stronę przeciwnika. To proste, dochodzi do wniosku Jack, wkładając do kieszeni listę zakupów: wystarczy umieścić człowieka w otoczeniu, w którym jego obecność nie będzie budzić pytań. Otwiera składane drzwi i wychodzi z budki. Rusza do domu przez plac defiladowy.

Oskar Fried to przypuszczalnie wybitny naukowiec. Ale dlaczego ma trafić do Kanady? W Ottawie działa Narodowy Komitet Badawczy. W Chalk River są zakłady wytwarzające ciężką wodę, oczyszczone ze szpiegów w 1945 roku - po aferze z atomową siatką szpiegowską, która przekazała Rosjanom plany bomby atomowej. Sama radość, konstatuje Jack, kiwając głową na wspomnienie zakapturzonego Igora Guzenki na konferencji prasowej po ucieczce z Rosji. Czarna karta w historii Kanady. Pośród zdrajców ujawnionych przez rosyjskiego szyfranta wybijał się Brytyjczyk, doktor Alan Nunn May - intelektualista z Cambridge, jak jego „kolega po fachu”, Donald Maclean - który w imię „światowego pokoju” przekazał Rosjanom wzbogacony uran. Jack przykładą dwa palce do skroni, w odpowiedzi na dziarski salut ze strony przechodzącego elewa, i przechodzi z nagrzanego czarnego placu na chłodniejszy chodnik. Z przyjemnością myśli o powrocie do domu. Wkłada ręce do kieszeni i miętosi z roztargnieniem jakiś papierek. „Zdejmijże te amerykańskie rękawiczki!” - zawołałby na pewno Simon.

Po prostu zachodni dobrobyt za bardzo ich rozpieścił. Ludzie pokroju Nudna Maya, Guya Burgessa czy Macleana padliby już podczas pierwszego dnia pobytu w radzieckim kołchozie. Ale to już historia; Sowieci wyprodukowali bombę atomową, a niedługo, kto wie, w ich ślady pójda Chińczycy. Teraz liczą się głowice jądrowe, przenoszone przez międzykontynentalne pociski balistyczne, i ma się rozumieć, zbudowanie systemu obrony przed atakiem raketowym. Czy nad tym właśnie będzie pracował Fried? Kanada ma w swoim arsenale broń jądrową, ale nie posiada głowic - tak przynajmniej utrzymuje premier

Diefenbaker. Nagle Jack staje jak wryty. Zakupy! Robi w tył zwrot i kieruje się do nieszczęsnego supermarketu, szukając po kieszeniach listy sprawunków. Z radością spotka się znów z Simonem i wreszcie przedstawi go Mimi, która przygotowuje im prawdziwą akadyjską ucztę. A potem w mesie wzniosą na koniec toast przy barze, jak za dawnych czasów - „Za tych, którzy są ponad to wszystko”. Spogląda na pognieciony świstek: *płatki śniadaniowe z pszenicy, mleko, groszek konserwowy...* Próbuje odcyfrować pismo żony. *Powioła* - nie, na pewno chodzi o powidła - *ziemniaki, parówki, dwanaście bułek, pianki* - i tu daje za wygraną - *gabotka*. To coś do jedzenia? A może rodzaj serwetek? Ze swoim charakterem pisma Mimi powinna zostać lekarzem, a nie pielęgniarzką. Zadzwoiłby do domu, żeby ją zapytać, ale jak się okazuje, skończyły mu się drobne. Oskar Fried. *Friede* znaczy „pokój”.

Wchodzi do sklepu, bierze wózek i wpatrzony w zaszyfrowaną listę, idzie powoli między półkami, uderzając prosto w czyjś wózek. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - odpowiada kobieta. - Pan tu mieszka od niedawna.

- Zgadza się. Jestem McCarthy.

- Chyba jesteśmy sąsiadami. - Kobieta wygląda na starszą od niego, o trzy, cztery lata, i na swój sposób jest ładna. - Karen Froelich.

Podają sobie ręce.

- Poznałem już pani męża.

Pani Froelich uśmiecha się. Tak, pomimo zmarszczek pod oczami, chociaż nieumalowana, wygląda ładnie. - Mam nadzieję, że poczęstował pana kawą.

- Zaproponował mi piwo - mówi Jack - ale zadowoliliśmy się kawą.

- To dobrze. - Odgarnia pasemko włosów z policzka i zakłada je za ucho. Jej włosy nie są ułożone we fryzurę, ale nie można o nich powiedzieć, że są potargane. Po prostu, jak określiłaby to Mimi, pani Froelich nie jest *bien tournée*. - Proszę kiedyś nas odwiedzić - mówi, spuszcżając na chwilę wzrok.

Nieśmiała, a może niezdecydowana. Tak czy owak, dalekie to od zaproszenia, jakiego można się spodziewać po żonie lotnika: *Musi nas pan koniecznie odwiedzić z małżonką, kiedy już się państwo urządzicie*. Lecz przecież jej mąż nie jest wojskowym, reflektuje się Jack.

- Obawiam się, że spotkamy się wcześniej, niż pani myśli, pani Froelich.

Jack powtarza słowa zaproszenia, które wcześniej tego ranka skierował do jej męża. Spodziewa się z jej strony kobiecych wymówek, na wzór obiekcji wysuniętych przez Mimi czy Betty Boucher, ale Karen Froelich odpowiada krótko: - Dziękuję - i grzecznie wycofuje się alejką.

Ma w sobie coś dziewczęcego, chociaż dobiega czterdziestki. Znoszone białe tenisówki,

obciste spodnie. I jak się wydaje, stara koszula męża.

- A co, ee... - nagle czuje się niezręcznie, gdy Karen Froelich przystaje i odwraca się do niego; stanowczo jest zbyt rozmowny. - Widziałem, że czyta pani *Silent Spring*.

Skinięcie głową.

- I jakie jest pani zdanie?

- To niepokojąca książka... tak - znów kiwa głową, jakby do siebie.

Jack potakuje, czekając, aż dowie się czegoś więcej, ale Karen ucina rozmowę: - Miło mi było pana poznać - i odchodzi.

Jack wpatruje się bezradnie w rzędy puszek na półkach, jak to mają w zwyczaju mężczyźni w supermarketach - *Namierzyłbym Drezno nocą z wysokości czterech tysięcy metrów, a nie mogę znaleźć głupiego groszku*. Rusza za sąsiadką.

- Pani Froelich? - woła, nieco zawstydzony. - Mógłbym prosić panią o pomoc?

- Proszę mówić mi Karen.

- Karen - powtarza, czerwieniąc się bez powodu, podając jej listę zakupów. - Nie mogę odcyfrować zapisków mojej żony.

- Morrow Street czterysta siedemdziesiąt dwa... - czyta na głos Karen.

Jack zabiera jej kartkę i odwraca na drugą stronę - *Simon, całe szczęście, że tego nie widzisz. Chryste Panie*.

Karen skupia się na miejscu, które Jack wskazuje palcem.

- Galaretka.

- Wielkie dzięki! - mówi Jack. *Przesadziłem z tym okrzykiem ulgi*. Kiedy się rozchodzą, serce wali Jackowi trochę za mocno w stosunku do gafy, jaką palnął - ten adres nic dla niej przecież nie znaczy. Nic złego się nie stało. Ale Jack ma nauczkę na przyszłość, żeby uważać na drobiazgi, to wszystko. Zresztą, to nieważne. Nawet nazwisko Oskar Fried nic by jej nie mówiło. W zasadzie niewiele mówi ono Jackowi. Ot, jakiś sowiecki profesorek w muszce.

Okazuje się, że owoce i warzywa usypane są w stosy na plastikowej trawie. Jack szuka wzrokiem bananów, jabłek i gruszek, i bezwiednie rwie w kieszeni na strzępki kartkę z zapisanym adresem. Ziemiaki... aha, tam są. Mimi nie napisała, ile worków. Na wszelki wypadek Jack bierze dwa i kładzie je do wózka. Co jeszcze chciała? Jack sięga do kieszeni, trafia palcami na płatki papieru - no właśnie, płatki śniadaniowe. Co jeszcze? Parówki. I bułki. Dla dzieciaków. No i galaretki...

Madeleine jest u siebie, siedzi pośród swoich świeckich dóbr: książek, zabawek, gier planszowych i jej ulubionych lalek, chociaż ona sama ich tak nie nazywa - jak inaczej można określić lalki, które nie są przeznaczone dla cikliwych dziewczynek? Królik Bugs zajmuje poczesne miejsce na łóżku, uszy ma dzisiaj ułożone po bokach niczym mysie ogonki. Po jego prawej ręce Madeleine umieszcza pluszową małąkę imieniem Joseph - nie wiadomo, dlaczego tak została nazwana, ale Madeleine pamięta, że gdy w Niemczech chorowała na zapalenie gardła, miała małąkę zawiązaną wokół szyi i w cudowny sposób wyzdrowiała.

- *Guten Tag, Joseph* - mówi Madeleine, a małąka spogląda na nią wesołymi oczkami.

Madeleine wchodzi na krzesło, żeby dosięgnąć górnej półki w szafie, i upycha na niej swoje wysłużone gry - *Snakes and Ladders*, *Monopoly*, angielską wersję, z funtami i londyńskimi ulicami, a na koniec chińczyka, tajemniczą grę z cennymi barwnymi kulkami w zestawie, *Nie wolno wynosić jej na dwór*. Ustawia po kolei na półce *Opowieści z Narnii*. Dostała je od kuzyna taty z Toronto, który wstąpił do zakonu jezuitów. „Dziękuję ci, ojciec jakiś tam. To najpiękniejsze książki, jakie do tej pory przeczytałam”.

Oddaje się temu zajęciu z ogromną przyjemnością, czekając na powrót Auriel i Lisy z rozgrywek baseballowych, i jest zdziwiona, kiedy matka woła do niej ze stopni kuchennych: - Madeleine, przyszła do ciebie koleżanka.

Zdziwienie przeradza się w niepokój, kiedy Madeleine próbuje odgadnąć, kto składa jej wizytę. Colleen? Elizabeth? Obydwie? Powoli schodzi na dół.

- Cześć. Jestem Sara Nolan - przedstawia się dziewczynka stojąca przy kuchennych stopniach. - Witaj w Centralii, Madeleine.

- Sara właśnie dowiedziała się od mamy, że ma nową sąsiadkę, małą dziewczynkę w jej wieku.

Madeleine spogląda na matkę. *Nie jestem małą dziewczynką.*

Matka bierze jej twarz w dłonie i całuje ją w głowę. - Idź się pobawić, *chérie*, na dworze jest dzisiaj piękna pogoda - mówi i klepie ją w pupę.

Sara Nolan uśmiecha się, ale Madeleine nie jest do niej przekonana. Sara ma złote włosy ułożone w loczki i mimo letniej wakacyjnej pory jest ubrana w sukienkę. Jej fryzura i krótkie bufiaste rękawy nadają jej dziwny, staroświecki wygląd, w stylu Polyanny. Madeleine nie chce być przykra, ale od razu widzi, że ona i Sara do siebie nie pasują.

- Chcesz, żebym cię oprowadziła po okolicy, Madeleine?

- Dobrze.

- Miłej zabawy, dziewczynki. Cieszę się, że cię poznałam, Saro.

Dziewczynki wychodzą. Sara wciela się w rolę przewodnika po dzielnicy mieszkalnej.
- Tam mieszka oficer dowodzący.

- Tak, wiem - stwierdza Madeleine. Przecież wiadomo, że w wolno stojącym domu z największym trawnikiem - i z masztem flagowym - zakwaterowany jest oficer dowodzący.

- Po drugiej stronie ulicy - Sara wyciąga w tamtym kierunku rękę - zaraz za purpurowym domem jest park, można się tam huśtać, bujać i robić różne inne rzeczy.

- Wiem, już byłam na placu zabaw.

Madeleine nie zamierza być opryskliwa, ale jest upała i wolałaby sobie poczytać albo ochłodzić się pod ogrodowym spryskiwaczem. Nie może jednak za szybko rozstać się z Sarą, więc proponuje: - Masz ochotę pobiegać pod spryskiwaczem?

Sara chichocze i patrzy na swoją sukienkę. - Raczej nie, Madeleine.

Brzmi to tak, jakby naśladowała dorosłą osobę, rozbawioną dziecięcym pomysłem.

- Tam dalej, po prawej, za drogą i torami kolejowymi - mówi Sara - jest Pops, sklep z napojami i słodyczami. Nie należy do bazy. Zbiera się tam młodzież. Lepiej tam nie zaglądać.

Madeleine spogląda z utęsknieniem na butelkę mountain dew, kuszącą z reklamy umieszczonej na drzwiach sklepu. Przenosi wzrok na złote loczki Sary. Na jej uśmiech, odęte, woskowate usta, jak u lalki. Sara - Siara, przychodzi jej na myśl, nie wiadomo dlaczego.

- Co chcesz teraz robić? - pyta Madeleine Siarę.

- To, co robimy, głuptasie - odpowiada Siara.

Madeleine postanawia ofiarnie wytrzymać jeszcze jedną pętlę dookoła domów, a potem ucieknie.

- Tutaj mieszka Grace Novotny - oświadcza Sara, zatrzymując się przed blad różowym bliźniakiem.

Zaszyły na drugi kraniec osiedla, po przeciwnej stronie szkoły od domu Madeleine, z założenia stanowiący wierną kopię tej części, w której mieszka rodzina McCarthy. Tutaj znajdują się kwatery podoficerów, chociaż to bez znaczenia. Liczą się umiejętności, nie stopnie. „Jesteśmy od siebie zależni jeden od drugiego”, jak mawia jej ojciec. „Chociaż pilot ma wyższą rangę niż jego załoga naziemna, jego życie spoczywa w jej rękach”. To nie wojsko, „gdzie wystarczy po prostu mieć ikrę”. Więc Madeleine z zaskoczeniem przyjmuje uwagę Sary: - Tata Grace jest zwykłym kapralem.

Nigdy przedtem nikt przy niej nie porównywał stopni. Ojcowie zawsze byli przedstawiani jako pan „Taki” czy pan „Owaki”, z pominięciem rangi.

- Mój tata jest majorem - oznajmia Sara.

Madeleine nie odpowiada, że jej jest podpułkownikiem, bo zabrzmiałoby to jak

przechwałka. Nic na to nie poradzi, że tylko oficer dowodzący jest wyższy stopniem od jej ojca, a zresztą, czy to takie ważne?

Bładoróżowy dom i porządnie przystrzyżony trawnik niczym się nie różnią od pozostałych. Oparte o ścianę stoją rowery, duże i małe, trzykołowe, na podjeździe zaparkowany jest ogromny mercury meteor ze składanym dachem, białymi skórzanymi siedzeniami i parą kostek do gry przyczepioną do wstecznego lusterka.

- To samochód chłopaka, z którym chodzi siostra Grace - wyjaśnia Sara. - Grace ma cztery starsze siostry, wszystkie puszczałskie.

Wypowiedziane przez nią na koniec słowo tnie powietrze. Madeleine patrzy na Sarę - może nie jest z niej aż taka straszna nudziara. Przenosi wzrok na wóz i wyobraża sobie bezczelnego osiłka w podkoszulku, rozpartego za kierownicą i obejmującego ramieniem siedzącą obok cieżę, i stłoczone na tylnej kanapie lalunie w sukienkach na ramiączkach i obcisłych sweterkach. *Puszczałskie*.

- W tej rodzinie jest zdecydowanie za dużo dzieciaków, jeśli chcesz znać moje zdanie - mówi Sara.

Matka Madeleine rzekłaby na to: „To tak, jakby powiedzieć, że może być za dużo miłości. Każde dziecko - *chaque enfant* - to dar zesłany przez Boga". Lecz Madeleine po kryjomu raduje się z tego, że w ich rodzinie jest tylko ona i Mike.

- Grace Novotny oblała czwartą klasę i będzie chodzić z nami, chociaż skończyła już dziesięć lat, i posłuchaj mojej rady, Madeleine: nie zadawaj się z nią. A właściwie - dodaje, chichocząc - to rozkaz.

To przesądza sprawę, Sara to skończona kretyńska. I nie zatrze tego wrażenia nawet to, że użyła słowa „puszczałskie”.

- Nie chcę być wredna, ale - Sara przytyka złożoną dłoń do ust i szepcze Madeleine do ucha - Grace śmierdzi.

Śmieje się głupio i patrzy z wyczekiwaniem na Madeleine. Madeleine z czystej uprzejmości odpowiada nikłym uśmiechem. Nagle Sara piszczy: - O, jest! Uciekamy!

Sara biegnie ulicą, lecz Madeleine nie rusza za nią i spogląda na różowy dom. Za zasłoną z siatki stoi w progu dziewczynka. Przez siatkę nie widać jej rysów twarzy, ale Madeleine dostrzega grzywę miodowych włosów opadających na ramiona. Na oko nie ma w niej nic dziwnego, przed czym należałoby uciekać - choć z tej odległości nic nie czuć. Ale z przykrym zapachem może uporać się zwykła kąpiel. Chyba że cały dom jest nim przesiąknięty albo Grace się moczy. Lecz w następnej chwili Madeleine widzi coś rzeczywiście dziwnego. Z początku wygląda to tak, jakby Grace podnosiła rękę, żeby

pokiwać Madeleine, więc Madeleine też jej macha. Ale Grace wtyka kciuk do buzi i ssie go na oczach Madeleine. Może Sara ma rację - najlepiej trzymać się z daleka od Grace Novotny. Nie wyśmiewać się z niej, w przeciwieństwie do Sary, ale też nie zaprzyjaźniać się z nią.

Sara czeka u wylotu ulicy. Kamienna ścieżka prowadzi stamtąd na tyły szkoły.

- Pożałujesz tego - mówi.

- Czego?

- Tego, że jej pokiwałaś, Maddy. Równie dobrze mogłabyś pogłaskać kundla, który się przybłąkał.

Maddy?

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadcza Madeleine.

Idą w milczeniu, najpierw po płytach, później po trawie, gdy obchodzą dookoła budynek szkoły.

- Jesteś na mnie wściekła? - pyta Sara, składając ręce, bijąc się nimi w pierś.

- A niby dlaczego?

- Masz zamiar zaprzyjaźnić się z Grace?

- Nie - odpowiada Madeleine tonem, który przypomina jej Mike'a; brzmi w nim to samo męskie zniecierpliwienie głupotą dziewczyn. Zawsze broni przed nim dziewczyn, ale czasami naprawdę zachowują się jak idiotki.

- Zostaniesz moją najlepszą przyjaciółką?

Madeleine nie wie, co odpowiedzieć. *Tłochę za wcześnie z tym wyskoczyła, co, doktołku?*

- Nie wiem - mamrocze.

Sara próbuje złapać ją za rękę! Madeleine wyrывa się i biegnie do huśtawek. Wskakuje na huśtawkę jak kowboj na wierzchowca, z wprawą balansuje ciałem i szybko nabiera wysokości.

Sara czeka cierpliwie pod huśtawką. - Pewnie poznałaś już Froelichów - woła swoim zgryźliwym tonem dorosłej.

Sara podnosi sukienkę za fałdy i robi w miejscu piruet niczym baletnica. Madeleine staje na huśtawce i stara się rozkołysać ją jeszcze mocniej.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że Froelichowie to hołota - mówi Sara. - Z wyjątkiem Ricky'ego, to chłopak-marzenie!

Sara wydaje okrzyk i pędzi do bujawki.

Madeleine odbija się, zatacza w powietrzu szeroki łuk i miękko ląduje na ziemi. Przyłącza się do Sary na bujawce - wreszcie normalnie się bawią. Wznoszą się i opadają,

uprzejmie unikając wstrząsów.

- Bez względu na okoliczności, Maddy, wystrzegaj się jego siostry, nie tej kaleki, mam na myśl tę groźną, Colleen. Ma nóż i może cię zarżnąć.

Madeleine czuje niesmak. Jeśli wierzyć Sarze, tutejsze SKR-y roją się od śmierdzących, niedorozwiniętych i niebezpiecznych dzieciaków, a Madeleine z kilkoma z nich zdążyła się już przez przypadek zapoznać. Nie mówiąc o Sarze. Madeleine ogarnia nagle dojmująca tęsknota za Niemcami, za bazą 4 Dywizjonu, błyszczącymi myśliwcami - młodymi pilotami, którzy podsadzali ją do kabiny i salutowali jej ojcu. Za pojawiającym się tam od czasu do czasu bombowcem B-52 - wchodzącym w skład Sił Powietrznych USA w Europie - ciężko przetaczającym się po pasie startowym. Eskadra B-52 przez cały czas krąży w powietrzu; w tej chwili też unoszą się nad nami te ogromne ślepe jaszczury, ich podwozie składa się niczym kleszcze, twarde, podzielone na komory brzuchy wypełnione mają bombami. Zapewniają nam bezpieczeństwo.

- I mają ostrego psa - mówi Sara, siadając w poprzek bujawki.

- Nieprawda, on jest łagodny.

- To wilczur, Maddy - oświadcza kategorycznie Sara. - A one mogą się rzucić na człowieka.

Madeleine zamyka oczy, ukazują się jej piękne drzewa, różane ogrody i fontanny Baden-Baden, miasta położonego niedaleko bazy 4 Dywizjonu, w samym sercu Czarnego Lasu, Schwarzwald. Uzdrowiska, w którym roi się od bogatych staruszek i ich piesków - i szpiegów, dodał tata, „czytających gazety z wyciętymi otworami na oczy”. Zapach ciasta w dzień, a wieczorem węgla drzewnego z rusztów ustawionych pod gołym niebem, smak wody z górskiego strumienia na niedzielnej przechadzce, tamtejsza mowa kojarząca się z żyzną ziemią i wyprawioną skórą, *du bist wie eine Blume...*

- Och, Maddy, tak mi ciebie szkoda, że masz Froelichów za sąsiadów. Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie.

- Muszę iść do domu - oznajmia Madeleine, schodząc z bujawki, uprzejmie przytrzymując ją przy ziemi dla Sary.

- Dlaczego?

- Mam lunch.

- Ale moja mama już przygotowuje coś do jedzenia dla nas - mówi Sara. - Poprosiłam ją. Upiekła babeczki.

- Ach tak. - Gdy tylko zrobi ci się kogoś żal, wpadłeś w pułapkę. - No dobrze.

To tylko pół godziny z jej życia, a potem wróci do siebie, do brata. Mike buduje model

samolotu do latania ze swoim kolegą, Royem Noonanem, który wydaje się całkiem normalny. I będzie tata. Zagrają w chińczyka, a ona będzie się napawać zdrową atmosferą swego domu. *Jak się wykręcę, kiedy Sara znów po mnie przyjdzie?*

Idą przez nagrzane trawiaste pole, a potem ulicą St. Lawrence Avenue. Madeleine na wszelki wypadek trzyma rękę w kieszeni. Sara mieszka w żółtym bungalowie naprzeciwko małego zielonego domku - wciąż niezamieszkanego. Wbiega po schodkach i otwiera drzwi. Madeleine przestępuje próg.

W środku panuje mrok. Po chwili wzrok przyzwyczajają się do ciemności. Jest duszno. Czuć papierosy, ale nie te odświeżające. Smrodliwe. Na meblach w salonie pokrowce, zasłony zaciągnięte.

- Tędy proszę - szczebiocze Sara. Rolety w kuchni też są opuszczone.

- Mamę często boli głowa - oznajmia Sara takim tonem, jakby chwaliła się, że mają służącą i fortepian w salonie.

Madeleine nie odzywa się. Siada przy stole z brązową okleiną i zastanawia się, czy Sara ma rodzeństwo. Stół nie jest nakryty. Ani śladu naczyń w suszarce, ani śladu walających się gazet, ani okruszka. Kiedy u Madeleine w domu robi się bałagan, rodzice mówią: „Nie martw się, przynajmniej widać, że mieszkają tu ludzie”. Dom Sary wygląda tak, jakby nikt w nim nie mieszkał.

Sara otwiera lodówkę. - Hm, popatrzmy.

Madeleine zagląda razem z nią do jasno oświetlonego wnętrza lodówki: półki z nierdzewnej stali są niemal puste.

Sara kroi cztery kromki jasnego chleba, odcina skórki i smaruje masłem orzechowym. Na wierzch kładzie oliwki z nadzieniem z pimentu. Babeczek nie ma.

Sara ociera usta ozdobną serwetką. - To było pyszne, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Madeleine nie czeka, aż Sara pokaże jej swój pokój.

- Dziękuję - mówi i ucieka. Przez całą drogę do domu biegnie.

- Zapomniałeś o mleku - stwierdza Mimi, rozkładając zakupy na kuchennym stole.

- Nie mogę odczytać twojego pisma. Bazgrzesz jak kura pazurem, moja pani - mówi Jack i wgryza się w jabłko.

Wyjmuje dwa worki ziemniaków. - A to dla kogo? Jack McCarthy, jak myślisz, ile ziemniaków potrzeba, żeby nakarmić twoją rodzinę?

Jack uśmiecha się szeroko. - W sam raz wystarczy na *poutine* albo coś w tym rodzaju.

- Ja ci zaraz zrobię *poutine*!

- To obietnica?

Do domu wpada Mike i kieruje się do kuchni. - Czy Roy może zjeść z nami lunch?

- *Bien sûr, mon pitou.*

Mimi rozlewa resztę zupy pomidorowej. Piramida kanapek z szynką na stole skurczyła się, Roy pałaszuje trzecią, a Mike sięga po następną, gdy w drzwiach staje Madeleine.

- Gdzie ty się podziewałaś? - pyta Mimi. - A co z koleżanką? Nie została na lunch?

- Koleżanką? - odpowiada Madeleine i po chwili dodaje: - Aha. Poszłam do niej na lunch.

- Jadłaś już?

- Tak, ale umieram z głodu.

Na półmisku została ostatnia kromka. Madeleine bierze ją i kładzie na swoim talerzu, na którym naraz pojawia się też druga. Madeleine patrzy na Roya, który mruczy: - To dla ciebie, ja już się najadłem.

- Dzięki - mówi i widzi, że mama z tatą wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. - O co chodzi?

- Śmiało, kochanie, wsuwaj - odzywa się tata. - Urosną ci od tego włosy na piersiach.

ACH, TA SŁODYCZ

Walka w przestrzeni kosmicznej i o przestrzeń kosmiczną będzie miała ogromne znaczenie podczas zbrojnego konfliktu w przyszłości.

Generał armii radzieckiej Pokrowski, dwa dni przed wystrzeleniem Sputnika I, 1957

W świecie, w którym w kluczowych dziedzinach wciąż trwa zimna wojna, ten, kto jest pierwszy w kosmosie, jest pierwszy, koniec kropka. Drugi w kosmosie jest drugi we wszystkim.

Lyndon B. Johnson do Johna F. Kennedy'ego, 1961

Wierzcie mi, drogie panie, to świetny sposób na rozbicie mięsa. Weźcie młotek męża.

Kuchenne porady Heloizy

Na podwórku McCarthych składkowe przyjęcie trwa w najlepsze. Betty Boucher przyniosła tacę hamburgerów gotowych do usmażenia na ruszcie, sałatkę ziemniaczaną i ciasto z nadzieniem kokosowym, a jej mąż Vic przytaszczył dodatkowy ruszt i worek wypełniony brzęczącymi przedmiotami. Kiedy Boucherowie przybyli całą rodziną, u McCarthych już skwierczały kiełbaski na grillu, na rożnie kręcił się kurczak, a Mimi czym prędzej wystawiła jajka na ostro, sałatkę z rodzynkami i cienko poszatkowaną marchewką, *poutine rapé** i placek z galaretką i ananasem - może nie najlepsze, na jakie ją stać, ale to dopiero jej drugi dzień w nowym domu, więc *arrête!* Vimy i Hal Woodleyowie zjawili się z lasagne, przekładaną sałatką i butelką niemieckiego wina, która uchowała się jeszcze od czasów służby Hala na placówce w Niemczech. Hal to postawny, krzepki mężczyzna po czterdziestce, ze szpakowatym wąsem i krótko obciętymi siwymi włosami. „Tak się cieszę z naszego spotkania, Mimi”. „Masz ochotę na dobre zimne piwo, Hal?”. Panie mówią mu po imieniu, panowie tak, jak nakazuje szacunek dla przełożonego - chyba że są na własnym podwórku lub na polu golfowym, ale nawet wtedy Hal pierwszy musi zaproponować przejście na „ty”. Najstarsza córka Woodleyów studiuje na uniwersytecie, a młodsza właśnie „wybrała się gdzieś z przyjaciółmi”. Auriel Boucher przyprowadziła Lisę Ridelle, a wraz z nią jej mamę, która przyszła się upewnić, że nikt nie ma nic przeciwko temu, i serdecznie uściskała matkę Madeleine.

- Elaine!

- Mimi!

Nie widziały się od czasów wspólnego pobytu na placówce w Albercie.

- Nawet nie poznałam twojej małej Lisy! - woła Mimi. - Świetnie wyglądasz, Elaine.

- Jestem gruba jak beczka.

- Który to miesiąc ciąży? Szósty?

- Piąty!

Mimi nalega, aby Elaine „poszła po Steve'a, jedzenia jest pod dostatkiem”. Elaine wraca z mężem, butelką wódki, półmiskiem kwadratowych ciasteczek i zdjęciem Lisy i Madeleine, nagusieńkich w kąpielu, kiedy miały roczek. Madeleine i Lisa, ku swojemu zdumieniu, odkrywają, że znają się od lat. Chichoczą z radością pomieszaną ze wstydem na widok krępującej fotografii, a Auriel przygląda się jej z przejęciem. Najwyraźniej pisane im było ponownie się ze sobą spotkać.

Steve i Jack klepią się po plecach, i Jack przywołuje swojego syna.

* Danie z Quebecu, utarte ziemniaki z twarogiem polane sosem pomidorowym.

- Mike, oto pan, który wyciął ci migdałki w Cold Lake. Przywitaj się z doktorem Ridellem.

Henry Froelich przyniósł butelkę wina swojej roboty i zabrał ze sobą córkę Elizabeth na wózku inwalidzkim. Jego żona zjawiła się z parą niemowlaków płci męskiej i garnkiem *chili con carne*. Mimi jednym spojrzeniem taksuje panią Froelich - biała koszula po mężu, spłowiałe czarne spodnie ze ściągaczem na końcach nogawek - uśmiecha się, odbiera od niej okopcony garnek i oznajmia, że maleństwa są urocze - mają na sobie ceratki i podkoszulki.

- Miło mi panią poznać, pani Froelich.

Jack przedstawia gości. Boucherowie i Ridellowie wymieniają uścisk dłoni z Froelichami i stwierdzają, że oczywiście już się znają. Woodleyowie najwyraźniej są z nimi w bardziej zażyłych stosunkami, gdyż Hal pyta Henry'ego, czy „ich chłopak” zagra w tym roku w szkolnej drużynie koszykarskiej, a Vimy pyta Karen o jej pracę. Chwilę później, gdy są sami w kuchni, wykładając na talerz zawartość zawiniątka z folii, Mimi stwierdza: - To dziwaczka.

- Kto taki? - pyta Jack, zajęty otwieraniem butelek piwa.

- Karen Froelich.

- Kto? O, czyżby?

- Od razu po niej widać.

Mimi zręcznie odrywa folię od warstwy galaretki, naszpikowanej groszkiem i cząstkami ananasa, tkwiącymi w trzęsącej się zielonej przezroczystej masie.

- Moim zdaniem wygląda całkiem normalnie - mówi Jack.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Posyła mu szybkie spojrzenie, sięga po papierosa, otrząsa popiół.

- Cóż, nie wszyscy mają taki gust jak ty, kochanie.

Częstuje ją piwem, Mimi najpierw kręci odmownie głową, potem bierze łyka i oddaje mu szklanę. Ubrana jest w czerwoną bluzkę bez rękawów, ze stójką, czarne rybaczki i płócienne pantofle. Ślad po szmince na ustniku papierosa tworzy idealną parę z całusem odcisniętym przez nią na szklance męża.

- Nie mówiąc już o jej *chili* - dodaje Mimi. - Smakowałaś?

- Nie, ale pachnie smakowicie - drażni się z nią. Puszczą do niej oko, Mimi oblewa się rumieńcem. Tak łatwo daje się podejść, jak ryba na mieliznie.

- Też mi *chili con carne*. Zapomniała dodać mięso - stwierdza Mimi, po czym gasi papierosa i bierze swoją galaretkę z ananasem. Jack szczerzy się od ucha do ucha i rusza za nią na podwórze.

Dorośli siedzą na krzesłach ogrodowych, z talerzami na kolanach i szklankami u stóp. Mama Lisy śmieje się ze wszystkiego, co mówi tata Lisy. Steve jest naczelnym lekarzem w bazie - „i miejscowym mistrzem golfa”, żartuje Vic. Dzieci siedzą przy zestawionych stolikach - Madeleine, Mike, Roy Noonan, Auriel Boucher, jej młodsza siostra i Lisa Ridelle. Maluchy Froelichów raczkują po trawie, w asyście dwuletniej siostry Auriel, Bei, w kostiumie do opalania i kapeluszu zawiązanym pod szyją. Karen Froelich karmi Elizabeth - na widok jedzenia wypadającego jej z ust Madeleine staje klucha w przełyku, więc stara się na to nie patrzeć, uważając jednocześnie, żeby nie okazywać zbyt ostentacyjnie braku zainteresowania.

Vic i Mimi spierają się po francusku; Vic obrywa rękawicą kuchenną i kuląc się przesadnie, woła: - *Au secours!*

- Vic, *parlez-vous le ding-dong?* - pyta Jack, który odziany w fartuch z napisem „CHEF” dumnie dogląda rusztu.

- Mówię po francusku, ale jakim językiem posługuje się twoja żona, nie mam pojęcia.

- *Ma grande foi D'jeu, c'est du chiac!*

Chiac, czyli akadyjski francuski, „twórczy *langage local*”, występujący w tylu odmianach, ile francuskojęzycznych społeczności rozsianych jest wzdłuż kanadyjskiego wybrzeża.

- *D'jeu"?! C'est quoi ça, „D'jeu?!*

Vic doskonale wie, że chodzi o *Dieu* - o Boga - ale droczy się z nią, naśladując jej śpiewną miękką wymowę, przeciągając artykulację głoski „r”, czym rozśmiesza Mimi do łez i unika kolejnego uderzenia rękawicą.

- Gdzieś ty ją znalazł? - zwraca się Vic do Jacka, charakterystyczną nosową wymową zdradzając, że pochodzi z okolic Trois-Rivières. - Ona mówi jakimś narzeczem.

- Poderwałem ją na bagnach Luizjany.

- Naprawdę? - dziwi się Henry Froelich.

- Nie! - krzyczy Mimi.

- Trafiłem na nią w Nowym Brunszwiku - mówi Jack, Mimi potakuje, a on dodaje: - W indiańskim rezerwacie...

- Jack! - wali męża rękawicą kuchenną - *allons donc!*

- Mimi, masz w sobie indiańską krew? - pyta Karen Froelich.

Serdeczne rozbawienie Mimi przechodzi w uprzejmy uśmiech. - Nie, jestem Akadyjką.

- To dlatego tak cudacznie mówi po francusku - stwierdza Vic, parodiując swój własny akcent.

Naraz odzywa się jego żona Betty: - Ty niewyparzona gębo! Sam kaleczysz piękną mowę Ludwika Czternastego swoją zaściankową gwarą.

- Akadyjką? - powtarza Karen. - To ciekawe. Podobno zdarzało się tam wiele mieszanych małżeństw Akadyjczyków z miejscowymi Indianami.

Jej ton świadczy o tym, że nie zdaje sobie sprawy z nietaktu towarzyskiego, jaki popełniła.

Zapada milczenie. Wszyscy się uśmiechają. Jack wie, że Mimi posądza Karen o podstępną złośliwość, ale on na twarzy sąsiadki nie dostrzega nic oprócz zainteresowania tematem. Karen wygląda w tym otoczeniu jak przybysz z obcej planety. Nawet jej mąż na swój sposób wydaje się znajomy - brodaty, ekscentryczny profesorek. Ale Karen, z nieułożonymi włosami, bez makijażu, rozprawia swobodnie o drażliwych obszarach kanadyjskiej historii.

- To dzięki temu wykręcili się od składania przysięgi na wierność Anglii, prawda? Przed wysiedleniem.

Mimi uśmiecha się i wzrusza ramionami.

- Powołując się na indiańskie pochodzenie - ciągnie Karen.

Jack spogląda na Mimi. Podejmie wątek? Uraczy gości historią o *le grand dérangement*? *To dlatego z taką wprawą przenoszę się z miejsca na miejsce.*

Niespodziewanie z odsieczą przybywa Vimy Woodley. - Tak mało w gruncie rzeczy wiemy o przeszłości naszego kraju, prawda? Przyznaję, że nigdy nie słyszałam o wysiedleniu.

Jack opowiada, jak przed dwustu laty Anglicy siłą wypędzili Akadyjczyków z ich rodzinnych stron, a Mimi dodaje: - To dlatego z taką wprawą przenoszę się z miejsca na miejsce.

Wybuch powszechny śmiech, a Betty bierze Mimi za rękę. - Cóż, jestem Angielką, skarbie - mówi ze swym chropawym akcentem z Manchesteru - i w imieniu angielskiego narodu proszę o wybaczenie.

Tymczasem przy dziecięcym stoliku Mike wstaje i energicznie macha ramieniem, które wiruje niczym śmigło. Po chwili przestaje, ręka mu nabrzmiała i poczerwieniała od popękanych drobnuteńkich naczynek włosowatych.

- O rany - mówi Lisa i wywraca powieki na drugą stronę.

- Nieźle.

Potem wszyscy ruszają za Royem Noonanem, który za węglem pokazuje, czego można dokonać za pomocą aparatu ortodontycznego i kłamry. Pochyla się do przodu, opierając ręce na kolanach, i wywija językiem, aż z ust wypływa mu strumień przezroczystej śliny.

- Dzieci - woła *Maman* - wracajcie na deser.

- „Cillit! Bez trudu usuwa kamień i rdzę!” - woła naraz Mike i intonuje piosenkę na melodię *Marszu pułkownika Bogeya* - „Weź cillit, gdy cię przypili! Masz cillit, rzygasz po chwili” - śpiewa, prowadząc całą gromadkę z powrotem do stołu. - „Więc, moi mili, kupujcie cillit”.

Betty sprząta naczynia i pyta Vimy, czy Marsha, jej córka, może w sobotę popilnować dzieci Boucherów. Mimi nakłada dzieciom lody do pucharków i zasięga rady Steve'a w sprawie usuwania wyrostka robaczkowego.

- Moja dewiza to - odpowiada Steve - „póki coś działa, nie tykać”.

- Zupełnie jakbym słyszała mojego męża - stwierdza z uśmiechem Mimi.

Hala Woodleya dzieci zaprzęły do sędziowania przy rozpoczęciu rozgrywki softballu. Steve z Vickiem idą do środka po piwo, a Jack gawędzi z Henrym Froelichem.

- A ty, Henry, jakie masz wykształcenie? Matematyczne? Techniczne?

Przy piwie w letni wieczór w Centralii Hamburg z czasów wojny wydaje się straszliwie odległym wspomnieniem - Jack nie widzi nic złego w tym, że chce się czegoś dowiedzieć o swoim sąsiedzie. A Froelich nie wygląda na urażonego pytaniem, sprawia wrażenie rozluźnionego pomimo krawata i sztywnej koszuli.

- Studiowałem inżynierię fizyczną - odpowiada, po czym unosi brwi, jakby próbował ocenić zainteresowanie Jacka tym tematem.

- O rany. A co to takiego, do diaska?

Froelich uśmiecha się, a Jack nalewa mu wina do kieliszka.

- Śmiało, Hank - mówi. - Zamieniam się w słuch.

- No cóż - zaczyna Froelich, krzyżując ramiona na piersi, a Jack już sobie go wyobraża w sali wykładowej, smar za paznokciami zastępuje kreda - poznawałem zasady działania urządzeń, a potem uczyłem o tym innych.

- Jakich urządzeń? Pojazdów? Kołowych, szynowych, latających?

- Owszem, tych również, ale i innych. Chodziło o napęd. Ale ja podchodziłem do rzeczy bardzo teoretycznie. Nie brudziłem sobie rąk, jak to się mówi.

- Za to teraz jest inaczej - stwierdza Jack, wskazując kciukiem starego łaciatego grata stojącego na podjeździe po drugiej stronie ulicy.

- Tak - potakuje Froelich. - Z wiekiem człowiek staje się pragmatykiem.

- Będę strzelał, Henry. Pracowałeś na uczelni, zgadza się?

- Zgadza się.

- Jako doktor... fizyki inżynierskiej.

- *Ja, genau.*

- Więc jakim cudem wylądowałaś na tym wygwizdowie jako nauczyciel tabliczki mnożenia?

Froelich kwituje to śmiechem.

- Co was tak rozbawiło? - pyta Vic, stając przy nich.

Jack ma zamiar puścić to pytanie mimo uszu, żeby nie stawiać Froelicha w kłopotliwej sytuacji, jeśli ten nie życzy sobie rozmów o swej przeszłości, ale Froelich sam odpowiada: - Fizyka. Moja pierwsza miłość.

- Poważnie? Pasjonujesz się nauką, Henry?

- Ma stopień doktora - wyjaśnia Jack.

Dołącza do nich Steve z nową butelką piwa.

- Proszę, proszę - mówi Vic. - Fizyki jądrowej?

- Inżynieryjnej.

Vic potrząsa głową. - Gdybym mógł jeszcze raz przeżyć swoje życie, tym właśnie bym się zajął, tam dokonują się najważniejsze odkrycia. Awionika. Napęd odrzutowy. Rakiety.

Jacka korci, żeby zapytać Vicka, czy nie sprzykrzyły mu się „rzeczy, które robią dużo huk”, kiedy jako strzelec pokładowy lancastera walił do wszystkiego, co się ruszało w powietrzu, ale ze względu na Froelicha powstrzymuje się i mówi tylko: - Ja zostałem astronautą.

- I jaką byś miał z tego frajdę? - dziwi się Vic. - To nie ma nic wspólnego z lataniem. Siedziałbyś po prostu w wielkiej bombie i modlił się, żeby nie wybuchła.

Froelich potakuje z uśmiechem.

- Na Księżyc, Alicjo! - woła Vic.

Wywołuje to ogólną wesołość, tylko na twarzy Froelicha maluje się lekkie zakłopotanie. Czyżby nigdy nie oglądał *The Honeymooners*?

- Księżyc doskonale nadaje się do gry w golfa - zauważa Steve. - Pomyśleć tylko, o ile dłużej trwałoby zaliczenie osiemnastu dołków w zerowej grawitacji.

Jack wie, że Steve jest o dwa lata od niego młodszy. Ale nawet gdyby nie znał wieku Steve'a, domyśliłby się po jego szczególnej odmianie beztroski, że Steve nie walczył na wojnie. Nie znaczy to, że weterani nie mogą odznaczać się beztroską - weźmy na przykład Simona. Ale przez nonszalancję Simona przebija twarda nuta. Podobnie jest z Vickiem i jego jowialnością - pije przy każdej okazji, ciesząc się, że żyje. Czy z Halem Woodleyem, który w tej chwili z tyłu domu jako sędzia podrzuca dzieciom piłkę. O to przecież się bili, Jack, Vic, Hal.

- Lepiej, żebyśmy tam dotarli pierwsi, bo wiecie, co tam znajdziemy - mówi Jack.

- Nie wiemy - oznajmia Steve.

- Rosjan.

Vic i Steve wybuchają śmiechem.

- Tak twierdzi Wernher von Braun, a on się zna.

- Co to za jeden? - pyta Steve.

Vic wywraca oczami, a Jack wyklada kawę na łąkę: - Von Braun to spec od pocisków balistycznych. Filar amerykańskiego programu badań kosmosu czy, jak wolisz, NASA.

- Ach, to ten von Braun - wykrzykuje Steve. - Tylko was sprawdzałem.

- Rzuuut! - woła jeden z uczestników gry na tyłach domu i zespoły zamieniają się miejscami.

- Nie rozumiem, po co w ogóle pchać się na Księżyc. Tam jest straszny ziąb.

Jak w Moskwie, myśli Jack, wspominając słowa Simona z ich rozmowy sprzed roku.

Bierze łyk piwa. - To co mamy robić? Pozwolić, żeby Ruscy nas wyprzedzili? Przy ich obecnym tempie rozwoju technicznego wylądują tam w 1965.

- Księżyc to... święty Graal, to zaczarowany pierścień... - mówi Vic, rozmarzony.

Froelich wzdycha zniecierpliwiony. - Zostawmy na razie Księżyc, chodzi przecież o przestrzeń okołoziemską, prawda? O ten pas zimnej i ciemnej pustki sto pięćdziesiąt kilometrów nad powierzchnią Ziemi, nieprzedstawiający żadnej wartości...

- Właśnie - wtrąca Steve.

- ...poza tym, że stanowi przedłużenie przestrzeni powietrznej i tam właśnie rozstrzygną się losy następnej wojny. - Jack dolewa Froelichowi wina. - Stamtąd - ciągnie Henry, wskazując ręką w górę - Sowietci mogą zakłócić pracę amerykańskich satelitów, mogą - jak to się mówi..?

- Zneutralizować - podpowiada Jack.

- *Ja*, zneutralizować pociski, zanim oderwą się od wyrzutni, umieszczonej na ziemi czy na łodzi podwodnej, wszystko jedno. Mogą też wystrzelić stację kosmiczną, uzbroić ją i śledzić stamtąd wszystko, co dzieje się na ziemi. Księżyc ma tu właściwie znaczenie drugorzędne...

- Drugoplanowe.

- *Genau*.

- USAF zamierza założyć na Księżycu stałą bazę.

- Do tego samego dążą Rosjanie - dodaje Vic. - Dlatego mają nad nami przewagę.

- Ale nam przyświecają inne cele - mówi Jack. - NASA jest agencją cywilną. Czysto

badawczą.

- Jeśli chodzi wyłącznie o badania - sprzeciwia się Steve - to dlaczego nie poprzestaną na budowie doświadczalnej stacji kosmicznej, po co zwracają sobie głowę Księżycem?

- Bo Księżyc to coś, co trafia do wszystkich - tłumaczy Jack. - Przemawia nawet do tubylca w najciemniejszym zakątku Afryki, nawet on będzie mógł docenić osiągnięcie, jakim jest lądowanie na Księżycu. A w tym kryje się prawdziwa potęga, kiedy uda się zawładnąć wyobraźnią świata. Stany Zjednoczone muszą udowodnić swoją wyższość, nie tylko na pokaz, ale z powodów jak najbardziej praktycznych. Nie można dopuścić do tego, żeby kraje Trzeciego Świata patrzyły na Związek Radziecki...

- Otóż to - wtrąca Vic, podkreślając to zamaszystym gestem ręki, w której trzyma butelkę piwa. - Na przykład, taki przeciętny mieszkaniec republiki bananowej, którą rządzi marionetkowy dyktator...

- A tu komuniści wysyłają pierwszego człowieka na Księżyc - mówi Jack - i obiecują każdemu pełny garnek...

- Sputnik to tylko czubek góry lodowej...

- Weźmy Wostok III i IV...

- Jak się nazywają ci kosmonauci? Nikołajew?

- I Popowicz - dopowiada Froelich.

- „Niebiańskie bliźniaki” - stwierdza Jack, kiwając głową.

Rosyjscy astronauci dokonali niedawno wyczynu rodem z powieści fantastycznonaukowych: w kosmicznych kapsułach, oddzielonych od siebie zaledwie o sto sześćdziesiąt kilometrów, okrążyli Ziemię w sumie 112 razy, co wynosi więcej niż pięciokrotna odległość Księżyca od Ziemi. Amerykanie w przyszłym miesiącu zaliczą dopiero ósmą orbitę, jeśli dopisze im szczęście. Jak dyktuje logika, następnym posunięciem Sowietów będzie niesamowity manewr polegający na zespoleniu dwóch statków i uzyskaniu pełnej kontroli nad przestrzenią okołoziemską.

- A to loty załogowe, o których nam wiadomo - kończy Jack.

Wraca Hal Woodley. Przesuwają się, żeby zrobić mu miejsce, prostując się ledwo dostrzegalnie.

- Ciekawe, co jeszcze Sowietci chowają w rękawie - mówi Vic.

- W dzisiejszych czasach rzeczywiste bitwy toczą się na łamach prasy i przed kamerami telewizyjnymi - stwierdza Jack.

- Miał się okazję o tym przekonać Nixon - zauważa Hal i wszyscy wybuchają śmiechem.

Jack otwiera piwo i podaje Halowi. - Proszę, to dla pana.

- *Prost.* Mów mi Hal, Jack.

Wznoszą swoje szklanki, ale nie zwracają się do Hala Woodleya ani „proszę pana”, co w tych okolicznościach brzmi nazbyt oficjalnie, ani po imieniu, co byłoby niestosowne, chyba że za wyraźnym przyzwoleniem dowódcy; jedynie Froelich się tym nie przejmuje.

- Ale pomyślcie, co ich czeka po wylądowaniu - mówi Jack z szerokim uśmiechem. - Bohaterowie Związku Radzieckiego, wielcy kosmonauci. Jak bogowie krążą nad Ziemią, cały świat mają u swoich stóp. A dokąd ich zabierają po wodowaniu? Z powrotem na głuchą pustynię w samym środku Kazachstanu!

- Ja zgodziłbym się nawet na tysiąc orbit wokół Ziemi, gdybym wiedział, że po powrocie spędzę kilka tygodni na Florydzie - żartuje Steve. - Nawet kelnerki są tam urodziwe.

- A jedzenie? Palce lizać! - wykrzykuje Vic.

Froelich czeka, aż ucichnie śmiech. - Ta strona, której uda się wylądować na Księżycu - mówi ze znanstwem, z lekkim rozdrażnieniem eksperta - udowodni tym samym, że wypracowała technikę natychmiastowego startu, co jest niezbędne na Księżycu. Jeśli dodać do tego przewagę Rosjan w dziedzinie naprowadzania i kierowania, w perspektywie są też międzykontynentalne pociski balistyczne, które będą wystrzeliwane na orbitę poza zasięgiem nieprzyjaciela, a stamtąd z powrotem wejdą w atmosferę ziemską, żeby uderzyć w cel...

Jack przysłuchuje się Froelichowi, jednocześnie oddając się spekulacjom. Jako doktor, Froelich mógłby wykładać na uniwersytecie, w tej swojej marynarce z łatami na łokciach. Może to dziwak, który nie lubi zgiełku i zaszył się na głębokiej prowincji. Ale przecież uwielbia tę tematykę. Dlaczego miałby od tego uciekać?

- Sputnik napędził Zachodowi porządnego stracha - mówi Froelich. - A co to właściwie jest Sputnik?

- Towarzysz podróży, tak chyba tłumaczy się nazwę - wtrąca Jack.

Froelich pomija tę uwagę i ciągnie wywód. - Mały nadajnik zamieszczony w głowicy raketowej. I ostatnie miejsce spoczynku psa, któremu nie marzyła się kariera astronauty.

Słuchacze chichoczą, ale Froelich mówi dalej z niewzruszoną powagą. - Sputnik to nie międzykontynentalny pocisk balistyczny; nie miał za zadanie zniszczenia określonego celu. Jego przeznaczeniem było po prostu... oderwać się od Ziemi. - Robi ręką ruch w powietrzu. - Rosjanie nie posiadali takich pocisków, my zbudowaliśmy je, to znaczy Amerykanie zbudowali je pierwsi, ale i tak przeciętny obywatel Zachodu boi się jak diabli, a ten strach to woda na młyn dla... - przerywa, marszczy brwi, szukając odpowiednich słów. Jego słuchacze

posłusznie czekają, aż podejmie wątek. Froelich to uosobienie roztargnionego profesora.

Wreszcie Hal Woodley podsuwa mu brakujące wyrażenie. - Aspirujących mocarstw światowych.

- *Ja*, dziękuję - mówi Froelich. - Ta strona, której uda się wylądować na Księżycu, udowodni też, że potrafi dokonać szczepienia dwóch orbitujących statków kosmicznych, a to jest niezbędne dla operacji wojskowych w przestrzeni.

Zapada milczenie. Wygląda na to, że Froelich skończył swój wywód.

- Masz rację, Henry - odzywa się Jack. - Lądowanie przedstawiciela Zachodu będzie dla nas powodem do dumy, ale najważniejsze jest bezpieczeństwo. Jankesi powinni przeznaczyć więcej środków na rozwój obrony powietrznej w przestrzeni.

- O wszystkim decyduje polityka - stwierdza Hal Woodley. - Wszyscy wiemy, jaki los spotkał Arrow.

Chwilą ciszy uczcili pamięć Avro Arrow, najnowocześniejszego myśliwca odrzutowego świata. Zbudowanego przez kanadyjskich konstruktorów, oblatanego przez kanadyjskich pilotów, skasowanego przez kanadyjskich polityków.

- I co kupiliśmy na jego miejsce? - mówi z niesmakiem Steve. - Bomarcka.

- Amerykański staroć - prycha Vic.

- Nie wiem, na co czeka ten McNamara - dziwi się Jack. - USAF opracowuje tyle świetnych wynalazków, jak ten... um-m... satelitarny system Midas, wykrywający wszelkie wystrzelwane przez przeciwnika pociski, albo ten załogowy szybowiec do lotów w przestrzeni, jak on się nazywa...?

- Dyno-Soar - podpowiada Vic.

- Właśnie, „Time” poświęcił mu całą rozkładówkę. NASA ma swojego Apollo, ale gdzie indziej też nie próżnują. Kennedy powinien lepiej dbać o USAF.

- Wujek Sam nie chce się upodobnić do Sowietów, pobrzękując szabelką w przestrzeni okołoziemskiej - mówi Vic.

- Wojskowi trzymają się od niej z daleka? Tak pan uważa? - ripostuje Henry.

- NASA to agencja cywilna - upiera się Jack. - W gruncie rzeczy, połowa naszych w Houston to twoi ziomkowie, Henry.

- Racja - mówi Hal. - Chociażby von Braun i ten drugi...

- Arthur Rudolph - dopowiada Jack. - To istny geniusz zarządzania.

Froelich wzrusza ramionami. - Przedtem pracowali dla Hitlera.

- Naprawdę? - dziwi się Steve.

- W zasadzie tak - mówi Jack, krzywiąc usta. - Ale to byli cywile. Uczni i marzyciele.

Vic wznosi kieliszek na cześć Henry'ego. - Za wkład Niemców w rozwój techniki!

Ale Henry nie reaguje, stoi przygarbiony z założonymi rękami. - Uczni i marzyciele doprowadzili do wybuchu pierwszej bomby atomowej w Los Alamos. Sklejali - skleili ją taśmą maskującą. Prawdziwi idealisci. Ta bomba mogła zatrzymać Hitlera. Zamiast tego uśmierciła ludność cywilną.

Następuje cisza, którą przerywa Jack: - Ale przecież przyspieszyła koniec wojny.

- Zastanawiam się jednak - wtrąca Hal - czy znalazłby się choć jeden generał, który chętnie wykonałby ten rozkaz.

Znów zapada milczenie.

- Jankesom zawsze przypada najbrudniejsza robota - wzdycha Vic.

- Właśnie - potakuje Jack, po czym dodaje z uśmiechem: - Wiecie co, Peter Sellers miał rację. Powinniśmy wypowiedzieć wojnę Amerykanom. Wkroczyliby, rozwalili nas, a potem pomogli w odbudowie i wiodłoby nam się lepiej niż kiedykolwiek.

Henry znów wzrusza ramionami i bierze łyk wina.

- Mamy szczęście - ciągnie Jack - że spece od fizyki nuklearnej w Niemczech nie spiknęli się w czasie wojny ze specami od rakiet, bo wspólnie skonstruowaliby pewnie pocisk z bronią jądrową.

- Ciekawe, dlaczego do tego nie doszło - zastanawia się Vic.

- Bo to żydowska nauka - odpowiada Henry.

Pozostali wpatrują się w niego, ale Froelich nie kwapi się z wyjaśnieniem.

- Co takiego? - pyta Jack.

- Fizyka atomowa.

- Jak pan to rozumie, „żydowska“? - drażni Hal.

- Einstein to Żyd - mówi Henry.

Jack wzdryga się na dźwięk tego słowa - brzmi tak obcesowo, grubiańsko: „Żyd”. Brzmi tak... antysemitcko. Jack zdaje sobie sprawę, że to niesprawiedliwe przypuszczenie - Froelich jest Niemcem, ale to nie oznacza wcale, że nienawidzi Żydów.

- Hitler lekcewał żydowską naukę - ciągnie Henry tonem, którego Jack jeszcze u niego nie słyszał; jest taki teutoński, oschły, kategoriyczny, niemal zarozumiały - poza tym brakowało mu wyobraźni, żeby skojarzyć raketę z głowicą jądrową.

- To ci dopiero - mówi Steve. - Więc antysemityzm Hitlera poniekąd uchronił nas przed zagładą.

Jack gwizdże cicho. Henry nie odzywa się.

- O czym tak rozprawiacie, chłopcy? - woła Elaine.

Jack posyła jej uśmiech. - O samych wesołych rzeczach, Elaine, o samych wesołych rzeczach.

- Rozmawiają o polityce - stwierdza Mimi, niosąc w ich stronę stół z czterema talerzami, na które nałożyła po kawałku ciasta z galaretką z ananasek. - Dumają nad tym, jak rozwiązać palące problemy świata. - Stawia stół i mruga porozumiewawczo do męża.

- To już dzisiaj trzeci deser! - protestuje Vic.

- Nie wiem, kiedy znalazłaś na to czas - dziwi się Betty.

Jack dostrzega Karen siedzącą nieco na uboczu, z wtulonymi w nią śpiącymi niemowlakami. Mimo to nie przedstawia sobą obrazu macierzyństwa, tylko... co? Jack próbuje to określić. Ona wygląda tak, jakby była na safari... jak ta kobieta, która ratuje zwierzęta... małpy... lwiątko? Jaki tytuł miała ta książka?

- Skończcie już z tymi nudziarstwami - woła do nich Elaine z leżaka - i chodźcie porozmawiać trochę z nami.

- Niech to z siebie wyrzucą, kochana - mówi Betty, nalewając herbatę, mimo że Elaine nie uporała się jeszcze ze swoim drinkiem.

Froelich próbuje ciasta. - Dziękuję, pani McCarthy - *entschuldigen Sie mich, bitte* - Mimi. Jest wyborne.

Pochyla głowę w oficjalnym ukłonie rodem ze Starego Świata i z werwą podejmuje wywód: - Moje stanowisko jest jasne: po co pchać się na Księżyc, skoro równie dobrze możemy sprowadzić na siebie zagładę tutaj?

Spojrzenia pozostałych zwracają się na niego, a Jack ripostuje: - Przecież chodzi nam o uniknięcie zagłady.

- To dlaczego się nie rozbroimy?

- Jesteś przeciwnikiem bomby jądrowej, Henry?

- Oczywiście, a dlaczego miałbym ją popierać?

- Zgadzam się z tobą - odzywa się Vic - ale wolałbym, żeby Rosjanie pierwsi się rozbroili.

- Nikt tak nie ceni pokoju jak wojskowi - stwierdza Jack. - W przeciwieństwie do wielu polityków wojskowi wiedzą, jak wygląda wojna.

- I niektórzy cywile też - dodaje Froelich. - Poznali wojnę na własnej skórze.

- Słusznie, Henry - przyznaje Hal, patrząc mu prosto w oczy. - Nie wolno nam o tym zapominać.

Wznosi kieliszek.

- Za przyjaźń - mówi Jack.

- Za przyjaźń - powtarzają za nim pozostali.

Przy ruszcie dzieci opiekają pianki nadziane na szpikulce. Mike zapalił swoją niczym pochodnię, twierdząc, że lubi dobrze przypieczone, *à point*.

- Chciałabyś spróbować pieczonej pianki? - pyta Madeleine, podchodząc do Elizabeth.

Elizabeth kiwa głową i wzdycha. Madeleine dmucha na piankę, potem podsuwa jej do ust na szpikulcu. Lisa i Auriel stają obok i przyglądają się, jak Elizabeth powoli, z na wpół przymkniętymi powiekami, delektuje się przypieczoną białą masą; jej górną wargę pokrywa kremowa smużka, niczym wąs.

- Smakuje ci? - pyta Auriel.

- Aaak.

Głowa Elizabeth opiera się niemal o jej ramię; naraz wolno zatacza półkole i znów opada. Madeleine podąża za nią z pianką zatkniętą na szpikulcu. Pianka wprost rozpływa się w ustach Elizabeth.

- Wiesz co, Elizabeth? - odzywa się Lisa. - Można wziąć piankę i ścisnąć ją w zębach, wtedy się kurczy i robi się z niej biała guma. Chcesz spróbować?

- Aaak.

Betty Boucher rozsiada się w krześle ogrodowym z niemowlakiem Froelichów na ręku. - Jeśli dopisze nam szczęście, do tego zielonego bungalowu kawałek dalej wprowadzi się rodzina z nastoletnią córką.

- Byłoby świetnie - stwierdza Elaine Ridelle. Dzieci w SKR-ach na ogół nie przekraczają wieku Mike'a, stąd niedobór dziewcząt nadających się do opieki nad dziećmi. Marsha nie może popilnować dzieci Boucherów w sobotni wieczór, ponieważ Woodleyowie wyjeżdżają na weekend.

- Ricky może popilnować - mówi Karen Froelich, która chyba opacznie interpretuje niezręczną ciszę jako niezrozumienie jej propozycji, gdyż wyjaśnia: - Mój syn.

- Ricky przyjaźni się z moją córką - wyjaśnia Vimy, zwracając się do Mimi. - To cudowny chłopak.

- Jak marzenie - dodaje Elaine.

Karen przytakuje. Pozostałe kobiety uśmiechają się i zmieniają temat.

Mimi nie poznała jeszcze Ricky'ego Froelicha. Więc nie może wiedzieć o nim tego, co wkrótce usłyszy od Betty i Elaine: że to urodziwy piętnastolatek, tak odpowiedzialny i dobrze ułożony, że kobiety w SKR-ach zadają sobie pytanie, jak mógł na takiego wyrosnąć w rodzinie Froelichów, która, niczego jej nie ujmując, daleko odbiega od normy. Ale to, że Ricky jest wspaniałym młodzianem, niczego nie zmienia. Chodzi o to, że chłopcy nie pilnują

dzieci. Jaka matka zgłosiłaby na ochotnika swego syna do zadania przeznaczonego dla dziewcząt?

Vic idzie po trawie w kierunku ulicy, ogląda się przez ramię i oświadcza: - Nie jestem pewny, ale chyba ma tylko dwie osoby na utrzymaniu.

- Kto? - pyta Betty.

Vic staje i odwraca się do niej. - Amerykanin, który będzie zakwaterowany w tym bungalowie. Z żoną i jednym dzieckiem.

- Nigdy o niczym mi nie mówisz!

- Bo nie pytasz!

- To nowy oficer, który trafił do nas w ramach wymiany - oznajmia Hal, dołączając do kobiet. - Instruktor pilotażu.

- Musimy ich do nas zaprosić - mówi Mimi. - Będą tak daleko od domu.

- Jak my wszyscy - stwierdza Betty Boucher.

Vic już szedł do siebie po akordeon, ale Mimi zatrzymuje go: - Nigdzie nie chodź!

Odwraca się do córki i wydaje jej polecenie: - *Madeleine, va chercher ton accordéon.*

Dziewczynka się buntuje, ale Mimi jest stanowcza: - *C'est pour monsieur Boucher, va vite, va vite.*

Madeleine wraca z wielkim czerwono-biało-czarnym pudłem. Vic siada na ogrodowym krześle, stawia sobie akordeon na kolanach, rozpina i rozciąga go, żeby nabrał powietrza, i dalejze wytrząsać i wyciskać z niego tony, łokciami urabiając miech, przebiegając klawisze serdelkowatymi paluchami. Wkrótce razem z nim śpiewają dzieci, potem dołączają kobiety i na koniec Steve Ridelle. Sąsiedzi McCarthych wyszli ze swoim maleństwem i przyglądają się zabawie.

Madeleine śpiewa *Alouette* wraz z innymi, zastanawiając się jednocześnie, gdzie podziewa się Colleen Froelich. Czyżby coś przeszkrobała i została za karę w domu? Obserwuje ich teraz z ukrycia?

Vic wycina skoczną melodię, a Mimi intonuje: *Swing la bottine dans l'fond d'la boîte à bois.* Mike pędzi za dom i wraca z pałką do baseballu. Trzyma ją za końce i przeskakuje przez nią do przodu i do tyłu w rytm muzyki, jak szalony, podrzuca ją do góry, łapie, stepuje. Mimi zagrzewa go okrzykami, reszta wyklaskuje rytm. Madeleine rozpiera duma. Tego lata oglądała takie same popisy w wykonaniu swoich kuzynów i jednego z ogromnych stryjów, a Tante Yvonne przygrywała im na akordeonie - tylko że w Akadii przeskakują przez trzonki od siekiery, nie przez pałki do baseballu.

Jack i Henry przyłączają się do ogólnych owacji. Później Henry napełnia cybuch

tytoniem, ubija go, dosypuje tytoniu, znów ubija. Jack wyjmując z pudełka cygaro marki White Owl i zapala je.

- Posłuchaj, Henry, sam niczego tak nie pragnę, jak pozbyć się tego cholerstwa. Całej tej broni jądrowej. Zostawiamy w spadku naszym dzieciom diabelski wynalazek. Ale z drugiej strony, nie możemy chować głowy w piasek. Co z przewagą Sowieców w sile rażenia?

- O ile wierzy się w tę ich przewagę.

Froelich przytyka płomień zapałki do cybucha i pykając energicznie, rozżarza tytoń.

- A możemy sobie pozwolić na niewiarę w tym przypadku? - pyta Jack.

- Nawet amerykański sekretarz obrony w to nie wierzy.

- Właśnie, McNamara szybko się z tego wycofał, co? Jednak nigdy nie wiadomo, co Sowieci chowają w zanadrzu. - Jack wypluwa okruszek tytoniu. - Co palisz, Hank? Znam skądś ten aromat.

Ostrzejszy od Amphory - wyraźnie europejski - jak gorzka czekolada w porównaniu z mleczną.

- Von Eicken. To niemiecki tytoń.

- No jasne.

- Eisenhower ostrzegał amerykańskie społeczeństwo przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą uprawianie wojennej gospodarki w czasach pokoju.

- Więc żyjemy w czasach pokoju? - pyta Jack, wydmuchując kłęb dymu w ciemniejące niebo.

- Tutaj i teraz? Oczywiście.

Jack kiwa głową w rytm muzyki - *Jeśliś rad i o tym wiesz, to klaśnij w dłoń, jeśliś rad i o tym wiesz, to klaśnij w dłoń, jeśliś rad i o tym wiesz, i okazać to chcesz...*

- *Friede* - mówi Froelich.

Jack przygląda mu się badawczo, nagle kojarzy. Oczywiście. *Pokój.*

- Wiesz, Henry, możemy wprowadzić rozbrojenie, możemy zrobić wiele dobrego dla świata, ale nie uda nam się zagłuszyć w człowieku pragnienia poznania.

- Mój przyjacielu, ty za wszelką cenę chcesz się dostać na Księżyc - stwierdza Froelich, trzymając w zębach lśniący ustnik fajki; na jego twarzy rysują się cienie zmarszczek.

- Daj spokój, Henry, sam jesteś naukowcem...

- Byłem.

- I to w ogóle do ciebie nie przemawia? Idea czystego poznania.

- Nie ma czystego poznania. Na jedne badania przeznaczają się fundusze, na inne nie.

Kto ma tyle pieniędzy, żeby tym się nie przejmować?

- Owszem, ale pomyśl tylko, jak zmieni się nasz ogląd świata, jeśli wylądujemy na Księżycu.

- Świat pozostanie niebezpiecznym miejscem, nawet jeszcze bardziej, gdy...

- I tu się mylisz - przerywa mu Jack, dym z cygara unosi się powoli w powietrzu. - Pomyśl, jak nikłe będą się wydawać stamtąd nasze wojny, z wysokości pięciuset tysięcy kilometrów. Pomyśl sobie, jakie to uczucie mknąć przez ciemną pustkę. Wyobrażasz to sobie? Wszędzie dookoła głucha cisza. A daleko w dole nasza Ziemia. Piękna niebieska drobina, błyszcząca jak szafir. Wtedy przestanie nas obchodzić, czyś jest Rosjaninem czy jankesem, czyś jest czerwony, biały, czarny czy zielony. Może w końcu zrozumiemy, że stanowimy po prostu jedną ludzką rodzinę i wszyscy mamy tylko tę jedną szansę. To swoje małe życie.

Spogląda na resztę towarzystwa, skupioną wokół akordeonu. Mimi, z zamkniętymi oczami, śpiewa z Vickiem: „*Un Acadien errat - Akadyjczyk-tułacz - banni de son pays - wygnany z ojczyzny...*”. W żałobnej molowej tonacji ludowych melodii świata.

- To piękna idea - stwierdza Froelich.

Jack patrzy na niego. Henry jakby nagle posmutniał i Jack zastanawia się, czego zaznał w życiu. W czasie wojny. Jego wiek wskazuje na to, że ma za sobą wiele doświadczeń. Grubo po pięćdziesiątce, niewykluczone, że pamięta pierwszą wojnę światową - Wielką Wojnę. Mężczyźni, którzy walczyli na froncie, z reguły o tym nie opowiadają, ale nie robią tajemnicy ze swej wojennej przeszłości, nawet wobec byłych żołnierzy walczących po przeciwnej stronie. W istocie panuje nawet swoiste poczucie więzi między pilotami, którzy kiedyś polowali na siebie w przestworzach. Ale trudno sobie wyobrazić Froelicha w mundurze. Pewnie wniósł swój wkład w wysiłek wojenny na szczeblu przemysłowym. Jack z łatwością może go sobie wyobrazić w fabrycznej hali: w białej koszuli, z notatnikiem w ręku, zagląda do środka silnika odrzutowego. Czyżby pokutował za dawne grzechy, a Centralia jest miejscem dobrowolnego wygnania?

- Ta twoja rakietka, Jack - ciągnie Froelich smutnym tonem, przystającym do jego czarnej brody - kto wie, może tego dokonać. To szczytna idea. I urzekająca. Jak poemat. Ale wcale nie zrodziła się w pięknym miejscu, zrodziła się w... - urywa nagle, jakby zgubił wątek. Rozgląda się, bierze głęboki oddech, marszczy brwi i podejmuje wywód. - Myślisz, że poniesie nas aż do niebios, *ja!* Ale nie stamtąd pochodzi, nie. - Stuka w cybuch fajki. - Poza tym jest bardzo kosztowna. I niestety, tylko taki zamożny mecenas jak wojna może zapłacić za ten urzekający poemat.

Froelich nalewa sobie wina.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, Jack? Że projekt Apollo został tak nazwany na cześć słońca? Ale wymierzony jest w Artemidę, siostrę Apolla, Księżyc?

Froelich spogląda wyczekująco na Jacka.

- Zagiąłeś mnie, Henry.

- Dawno, dawno temu była sobie jaskinia pośród gór. A we wnętrzu jaskini krył się skarb.

Oczy Froelicha lśnią. Jack nie odzywa się. Czyżby sąsiad był podpity?

- Widzisz, Jack, tylko trzewia ziemi mogą dostarczyć nam zasobów niezbędnych do wzniesienia się ku słońcu. Ktoś musi wykuć apolińskie strzały. Piramidy też nie zbudowały się same. Potrzebni byli niewolnicy, tak? A który anioł Boga ma tyle bogactw, żeby spełnić nasze kosztowne marzenie lotu w niebiosa, gdzie na mgnienie oka może odsłonić się przed nami oblicze samego Stwórcy? Jak myślisz?

Vic i Mimi śpiewają następną zwrotkę: „ *Un Acadien errant...* Akadyjczyk-tułacz... jeśli ojczyznę mą obaczysz, mój udręczony kraj, pozdrów ode mnie mych przyjaciół, rzeknij, że w pamięci ich mam...”.

- Powiedz mi, Henry, co ty tutaj robisz?

- Cóż, zaraz po wojnie poznałem w Niemczech moją żonę. Pracowała jako wolontariuszka w obozie ONZ, w którym...

- Nie. Chodzi mi o to, jak to się stało, że nie wykładasz na uczelni?

Jack obawia się, że uraził swego gościa - znają się ledwie dzień, a on już go sonduje. Ale Jack nie zwykł tracić czasu na podchody. W końcu żyje się tylko raz, a jeśli ktoś może cię oprowadzić po nieznanym, nie należy przepuszczać okazji.

- Przepraszam, Henry. To nie moja sprawa.

- Ależ skąd, pytanie jest jak najbardziej do rzeczy, a ja mam znakomitą odpowiedź - uśmiecha się Froelich, twardy błysk w oku znika. Przypomina teraz Jackowi wychudzonego świętego męża ze zdjęć, które oglądał w „National Geographic”. Pogodne, ascetyczne oblicze.

- Tutaj znalazłem wszystko, czego mi trzeba - mówi Froelich, przenosząc spojrzenie, a Jack za nim, na Karen, podnosząc niemowlęta z trawy. Na swoją córkę na wózku inwalidzkim.

- Twoje zdrowie, Henry.

- *Prost.* Obaj piją.

Naraz rozbrzmiewa nowa, żywsza piosenka. Betty wyśpiewuje z londyńskim

akcentem, a mąż przygrywa jej na akordeonie, „Czy twa miłość nie ostygnie, gdy mnie czasu zęb nadgryzie?”. Śmiech, brawa. I spokój - dzieciaki gdzieś przepadły. Kilka minut wcześniej, jakby wychwyciły sygnał niesłyszalny dla uszu dorosłych, pognały naraz ulicą w kierunku szkoły. Kobiety witają tę nagłą ciszę wspólnym westchnieniem ulgi.

- Milczenie jest złotem - stwierdza Elaine. Dwoje młodszych dzieci Betty śpi sobie smacznie na kanapie u McCarthych.

Karen Froelich, odstawiwszy niemowlaki do domu, wróciła po Elizabeth.

- Dziękuję, Mimi. Było naprawdę miło.

- Och, Karen, chyba nas nie zostawiasz.

- Niestety. Ale wpadnijcie do nas, kiedy tylko chcecie. Baw się dobrze, Hank - dodaje, zwracając się do męża.

Jack widzi, że Froelich, całując żonę na pożegnanie, szepcze jej coś do ucha i lekko ściska jej rękę. W wyrazie twarzy Karen pojawia się pewien rys, nie tyle smutku, co rozrzewnienia, jakby na wspomnienie czegoś odległego w czasie. Muska przelotnie ręką pierś męża, po czym odchodzi, pchając wózek po trawie, a Jack odprowadza ją wzrokiem. Jest ładna, kiedy się uśmiecha.

- Jack.

- Tak, Hank?

- Udane przyjęcie. Dziękuję.

Vic odkłada akordeon, rozprostowuje nogi i sięga do worka, który przydźwigał ze sobą.

- Nastawię czajnik - ofiarowuje się Betty.

Elaine podaje swoją szklankę mężowi. - Odrobinę poproszę.

Vimy i Hal Woodley żegnają się - wieczorem ma zadzwonić do nich starsza córka, która studiuje na uniwersytecie, poza tym nie wypada, żeby opuszczali przyjęcie ostatni. Po ich odejściu atmosfera staje się jeszcze bardziej swobodna.

Vic wysypuje zawartość grzechoczącego worka na trawę. Jack pyta Henry'ego, czy Vic Boucher wszędzie zabiera ze sobą swój zestaw do gry w podkowy, a ten odpowiada: - Nie wiem. Pierwszy raz mam okazję spotkać się z nim na gruncie towarzyskim. I z doktorem Ridellem też - ze Stevem.

Froelich mieszka tu najdłużej z nich, a tak mało udziela się towarzysko. Może po raz pierwszy ktoś zagadnął go o to, co go pasjonuje - „jak działają urządzenia”. Jack wyczuwa u swego sąsiada ogromne pokłady wiedzy, którą ten chętnie się dzieli. Można niemal poczuć przyjemne ciepło bijące od niego niczym od kominka, kiedy się rozgrzewa w dyskusji. I

sypiące się iskry zniecierpliwienia, kiedy chwyta byka za rogi. Typowy Niemiec. Jack z całą pewnością wykorzysta jego zamiłowanie do rozmów i przy pierwszej nadarzającej się sposobności znów pociągnie go za język; temat sam się nasunie. Tymczasem przygląda się, jak Vic wbija nogą w trawę metalowy palik, i konstatuje filozoficznie, że przykład Froelicha dobitnie świadczy o tym, że człowiek niczego się nie dowie, jeśli nie zapyta - Vic podchodzi do niego z naręczem złotych i srebrnych podków - można mieszkać obok kogoś na miarę Einsteina czy Picassa i być tego zupełnie nieświadomym. Dlatego warto poznać sąsiadów. Zwłaszcza jeśli służy się w siłach powietrznych, gdyż pod nieobecność rodziny i starych przyjaciół człowiekowi zostają tylko sąsiedzi.

Froelich bierze podkowę, unosi ją na wysokość oczu, mierząc. Rozlega się kobiecy śmiech, stalowa podkowa w ręku Henry'ego błyszczy w słońcu schyłku lata niczym skrzydło samolotu, i Jacka przepełnia błogie uczucie szczęścia. Czystego, bezbrzeżnego szczęścia, zrodzonego w ten ciepły letni wieczór, pod wpływem bliskości przyjaciół - całkiem nowych, lecz jakże znajomych - zapachu trawy i tytoniu, tłących się na ruszcie węgla, tej niebieskiej kopuły nad głowami, promyka słońca igrającego na srebrze w ręku sąsiada. Mruga, wpatrzony w ogromną tarczę nad horyzontem, gdyż do oczu napłynęły mu łzy, a do głowy same z siebie słowa wiersza, którego nauczył się na pamięć przed laty.

*Zerwałem więzy ziemi z mozołem,
I hen, w radosne płąsy ruszyłem,
Igrałem z obłokami, ku słońcu się piąłem,
Bezlik rzeczy na niebie czyniłem,
O jakich nie śniłeś - w górę i zwrot,
W krąg zaklęty wpadałem, wysoko tam.
Goniłem szumny wiatr, nietknięte grot
Ostępy śmiało przemierzałem sam.
Przez obłąkańczy, palący błękit,
Gdzie nie dofrunął skowronek ni orzeł;
Z polotem wzbiłem się na wietrzny szczyt,
Uskrzydłony, ufny w myśli potęgę,
Wnet w tym dziewiczym świętym przestworze
Ręką oblicza Boga dosięgłem.*

Młody lotnik, który napisał ten wiersz, też miał wypadek podczas szkolenia i nie odbył ani jednego lotu bojowego. Zginął. Jack śledzi wzrokiem podkowę rzuconą przez sąsiada.

SZCZUROŁAP

Dalej, wiara! Pędem na szkolny dziedziniec! Tam jest chłopak ze skuterem i daje się przejechać!

Tę wiadomość wyłapał dziecięcy radar, odrywając Madeleine i jej towarzyszy od grilla i od śpiewów, sprawiając, że pognali przed siebie niczym zwierzyna uciekająca z płonącego lasu. Już z daleka słyszeli silnik, warkoczący niczym podrasowana kosiarka do trawy. Na końcu ulicy skręcili między domy, wybiegli na świeżo skoszoną murawę, kierując się w stronę szkoły, gdzie zebrała się spora gromada, co najmniej pięćdziesięcioro dzieciaków w najróżniejszym wieku, na rowerach, rowerkach, dwukołowych, trzykołowych, czterokołowych; część przybyła pieszo. A za nimi śmiga rosły ciemnowłosy chłopak, jego głowa i ramiona wystają ponad tłum.

- O mój Boże! - krzyczy Auriel, nogi się pod nią uginają. Podobnie jest z Lisą. - Ricky Froelich!

Obie chichoczą, łapią się za ręce i biegną na dziedziniec.

- Madeleine, szybciej! - wołają, odwracając się do niej.

Madeleine dogania je, Auriel chwytą ją za rękę i pędzą teraz we trójkę w równym szyku, niczym lalki-wycinanki. Ricky Froelich odjeżdża właśnie na swoim czerwonym skuterze z pasażerem z tyłu, ginie im z oczu za węglem szkolnego budynku. Madeleine dostrzega Mike'a z Royem Noonanem, którzy przepchali się na przód. Skądś dolatuje muzyka - ktoś musiał przynieść radio tranzystorowe. Auriel ścisną Madeleine za ramię.

- Patrz tam, to Marsha Woodley.

- Pilnuje nas, kiedy rodzice wychodzą - oznajmia z emfazą Lisa.

- Nas też - pospiesznie dodaje Auriel.

Marsha Woodley. Córka oficera dowodzącego, odległa i pogodna, przy huśtawkach, z koleżanką u każdego boku. Wszystkie mają bluzki z rozpinanymi swetrami do kompletu, półbuty, włosy ściągnięte w kitkę. Marsha zarzuciła sweter na ramiona, zapinając go na guzik pod szyją; ubrana jest w plisowaną spódnicę i skarpetki. One nie chodzą do tutejszej szkoły, lecz jeżdżą autobusem do liceum. Gdzieś na boskich, niedosiężnych wyżynach Olimpu. Z odbiornika tranzystorowego Marshy płyną słowa piosenki. Dion przechwala się swoim magnetycznym głosem: „Już taki ze mnie typ, nigdy nie ustatkuję się...”.

Ricky Froelich wraca na skuterze, wysadza małego pasażera. Tłum napiera na niego.

- Ricky! Teraz ja! Teraz moja kolej!

Ricky zsiada ze skutera. Wysoki młodzieniec w spłowiałych dżinsach i czerwonej flanelowej koszuli. Jak z obrazka. Brat Colleen - i Elizabeth. O rany.

Auriel wypycha Madeleine do przodu. - Poproś, żeby cię przewiózł!

- Ty go poproś, ty się w nim podkochujesz.

- Wcale nie! - piszczy Auriel i daje kuksańca Madeleine.

Madeleine widzi, że Mike za pozwoleniem Ricky'ego siada sam na skuterze i podkręca gaz.

- On mnie nawet nie zauważa - mruczy Auriel.

Ricky biegnie obok skutera, pomagając Mike'owi utrzymać równowagę.

- Twój brat jest uroczy - stwierdza Lisa.

- Fuj! - woła Madeleine, zgorzozona.

- Och, Mikey! - mówi omdlewającym tonem Auriel i zaczyna całować się po ręce.

Lisa wybucha swoim zgrzytliwym śmiechem i w ślad za Auriel cmoka się w ramię. - Och, Ricky, och, Rock!

Auriel chichocze tak, że ledwie jest w stanie wykrztusić: - Och, Gary Grant! Och, Gina Lollobrigida!

Obie padają na trawę. Madeleine spogląda na swoje przyjaciółki. Najwyraźniej odjęło im rozum. Głos Diona niesie się w powietrzu - beztroski, ujmujący. Madeleine odprowadza wzrokiem Mike'a, który czerwony z przejęcia, z poważną miną odjeżdża na skuterze. „Mówią o mnie wędrowiec, bo ciągle jestem w drodze, włóczę się tu i tam...”.

- Załóżcie się, że się przejadę? - mówi nagle Madeleine.

Auriel i Lisa natychmiast trzeźwieją.

Kiedy Mike się zatrzymuje, Madeleine przeciska się przez tłum i podchodzi do Ricky'ego Froelicha: - Mogę spróbować?

- Ale nie sama - odzywa się Mike swoim najgrubszym głosem - ona jest jeszcze za mała!

- Wcale nie, Mike!

- To moja siostra.

Ricky wsiada na skuter i odwraca się do niej. Ma lśniące czarne włosy i brązowe oczy. Rozpięta pod szyją koszula odsłania grdykę, która przesuwana się, kiedy Ricky mówi do Madeleine: - Wskakuj, brachu.

Madeleine siada za nim i chwyta się metalowego oparcia za plecami. Ricky dodaje gazu i Madeleine czuje, jak jakaś siła szarpie nią do tyłu, kiedy mkną po chodniku, a potem na przełaj - tak właśnie Madeleine wyobraża sobie surfing, gumowe koła suną po trawiastych

falach, sprężyste siedzenie wibruje pod nią.

- Złap się mnie - woła Ricky przez ramię i przyspiesza. Madeleine obejmuje go w pasie, jej palce wędrują po jego brzuchu, ciepłym i twardym pod miękką koszulą. Ręce Madeleine wydają się takie drobne. Mięśnie naprężają się, gdy Ricky skręca w przechyle. Ich jędrność w dotyku przypomina Madeleine, jak chłopcy wyglądają w strojach kąpielowych - gładkie piersi, łuki żeber ledwo rysujące się pod skórą i ten rowek biegnący przez środek brzucha w dół...

- Dobrze ci tam z tyłu?

- Tak.

Madeleine jest rozpromieniona, uśmiecha się, z czołem przytkniętym do wzdymającej się koszuli; całe szczęście, że Ricky nie może na nią teraz spojrzeć. Jej włosy unoszą się na wietrze, wtula policzek w jego łopatkę, czuje zapach zasyпки dla niemowląt, brylantyny. Widzi, jak drgają ścięgna na jego opalonym przedramieniu przy każdym ruchu nadgarstka, kiedy podkręca gaz, ściska hamulec.

Wyjeżdżają z trawy na asfalt, pędzą dookoła huštawek; wszystko wydaje się takie odległe, tłum przyglądających się dzieciaków, grający odbiornik. Czy to właśnie czuje aktor występujący w filmie? Całkowite odosobnienie, a zarazem świadomość patrzącej na niego ogromnej widowni?

Madeleine przechyla się razem z Rickim, kiedy skręcają za róg budynku, przyciska mocniej ręce, czuje pod palcami wypukłe zatrzaski jego koszuli. Czasu nie ma, jest tylko terażniejszość, warkot silnika, wiatr owiewający jej ramiona, ciepło słońca emanujące z nagranych pleców Ricky'ego, jego odprężający głos, kiedy podśpiewuje sobie podczas jazdy. Wypadają zza szkoły prosto na pełny blask wieczornego słońca i przejażdżka dobiega końca.

Madeleine zsiada, nogi drżą jej w kolanach, jeszcze nieoswojone z grawitacją. Z wrażenia zapomina podziękować Ricky'emu. Nie dociera do niej podziw Auriel i Lisy. Z powrotem staje w tłumie obserwatorów, ale czuje się jak puste naczynie - zgaszona, jak widz, który wychodzi z kina w południe, z intymnego mroku filmowego poranka, przesyconego zapachem prażonej kukurydzy - zapachem spotęgowanych barw i dźwięków, zapachem ekscytującej historii - na jasne, rozmyte światło dnia. Z ciężkim sercem.

Ricky przewozi wszystkich chętnych, Auriel, szczęśliwą i całą w pąsach, Lisę, oniemiałą z rozkoszy. Nie odmawia Sarze Nolan, która drze się i bezwstydnie przyciska do niego, udając, że boi się spaść. I nie puszcza go po skończonej jeździe, uczeplona jego ramienia, próbuje ściągnąć go ze skutera.

Marsha Woodley przygląda się temu wszystkiemu, rozmawiając półgłosem z

koleżankami, które piszczą za każdym razem, kiedy Ricky pędzi dookoła huštawek. Marsha nie piszczy. Uśmiecha się i patrzy w bok. Wsuwa kosmyk włosów za ucho. Oblizuje kącik ust. Umalowanych blad różową szminką.

Wreszcie Ricky zajeżdża przed huštawkę, na której siedzi Marsha. Zsiada i przytrzymuje skuter. Marsha zajmuje miejsce z przodu, żeby nie musiała szorować spódnicy po siedzeniu. Ricky wskakuje za nią, wyciąga ręce, żeby dosięgnąć kierownicy, dodaje gazu i ruszają z kopyta. Wyjeżdżają z dziedzińca szkolnego, mkną po Algonquin Drive w złocistym świetle letniego wieczoru.

Madeleine czuje ból. W dziwnym miejscu; dotąd nawet nie wiedziała, że w jej ciele jest takie miejsce. Ma on swoje ognisko w pobliżu obojczyków i stamtąd promieniuje dalej. Dojmujący smutek, zrodzony pod wpływem woni skoszonej trawy i oleju silnikowego, jego wydętej koszuli, widoku łopoczącej na wietrze spódnicy Marshy Woodley. Dzieciaki się rozchodzą, trzy przyjaciółki ruszają przez trawę do domu.

- Strasznie mi się chce palić - oznajmia Auriel i Lisa Ridelle wyjmując pudełko słodkich papierosów do ssania z Popeyem na wieczku. Cała trójka podaje sobie ognia i zaciąga się z lubością.

- Cienkuję, skahbie.
- Dhobiazg, najdhoższy.
- Zafunduj sobie przezwę w codzienności.

Idą po trawie, oblizując z zapalem cukrowe pałeczki; czubki ich tenisówek powoli przesiąkają rosą. Kawalek dalej, celowo zachowując odstęp, maszeruje Sara Nolan; jej cień pada na Madeleine i jej koleżanki. Dlaczego po prostu nie przyłączy się do nas, jeśli chce z nami wracać, zastanawia się Madeleine.

- Znać ją? - pyta koleżanki.

Auriel przygląda się Sarze. - Raczej nie, dopiero co się tu sprowadziła. To dziwne, zważywszy, że Sara odgrywała dziś wobec Madeleine rolę wszechwiedzącej.

- A ty ją znasz? - pyta Lisa.
- Tak jakby.
- Wygląda dziwnie.
- Jak ma na imię? - tym razem pyta Auriel.
- Sara - odpowiada Madeleine i dodaje: - Siara.

Auriel i Lisa kwitują to śmiechem, a Madeleine czuje z tego powodu wyrzuty sumienia. Spogląda na Sarę, która uparcie nie patrzy w ich stronę. *Świetnie, nie patrz na nas, jeśli nie chcesz. Miałam zamiar zaproponować, żebyśmy szły razem.*

- Siara! - powtarza Lisa z przekąsem, a Madeleine ją ucisza.

- No właśnie, Ridelle, nie bądź taka wredna - odzywa się Auriel, po czym, zniżając głos, mówi: - Siara.

Madeleine śmieje się uprzejmie. Nie ma się czego obawiać, Auriel i Lisa zachowają to przezwisko dla siebie. Mimo to nie jest rzeczą przyjemną, gdy przedrzeźnia się tak czyjeś imię.

Mimi kończy zmywać naczynia. Jack wyciera.

- Wypadło całkiem nieźle - mówi.

Mimi nie patrzy na niego, ale się uśmiecha. Otrząsa rękę i sięga po płyn do mycia.

Do kuchni wchodzi Mike i otwiera lodówkę. Mimi głaszcze go po głowie, całuje jej czubek.

- *T'as faim? Assis-toi, là* - mówi.

Mike siada przy stole. *Maman* wyjmuje z lodówki to, co zostało z kolacji, a on wyciąga z kieszeni maleńki zielony czołg i zabiera się do naprawy gąsienic.

- Mike - odzywa się tata i potrząsa głową. Nie wolno się bawić przy stole.

- Ale tato, to nie jest kolacja.

- Matka przygotowała posiłek i trzeba to uszanować.

Mike odkłada czołg. Jack wraca do lektury „Time'a”. Mimi stawia przed synem kopiasty talerz. - *Et voilà, mon p'tit capitaine.*

- *Merci, Maman.*

Mimi zapala papierosa, opiera się o blat i patrzy, jak Mike pałaszuje jedzenie. Jeszcze rok i wyrośnie z dziecięcej rozmiarówki. Kształt głowy ma po ojcu i tak jak on przeżuwa powoli, miarowo, ten ruch żuchwy, barki i coś w oczach - chociaż syna są brązowe - tak samo długie rzęsy i ta otwartość, ta skupiona nieświadomość, w jakiej przejawia się męska niewinność. Mimi widzi niemal twarz mężczyzny wykształcającą się z twarzy chłopca. Jej spojrzenie ma swoją wagę, jest namacalne. Przestrzeni pomiędzy matczynym okiem a twarzą syna nie wypełnia powietrze. Wypełnia ją treść, niewidzialna i niezniszczalna. Żarliwy wewnętrzny nakaz, żeby go chronić, nigdy nie osłabnie u matki, chociaż - a może ponieważ - pójdzie od niej w świat. Z dziewczętami jest inaczej. One wiedzą więcej. I nie zrywają więzów.

- Jestem gotowa! - woła Madeleine z góry.

Mimi rusza w kierunku schodów, lecz Jack zrywa się ze słowami: - Zostań, ja do niej pójde.

„I tak dzieci zniknęły we wnętrzu góry i wszelki słuch po nich zaginął. Wszystkie z wyjątkiem jednego dziecka, które kulało i nie mogło nadażyć za resztą”.

Jack zamyka książkę. Madeleine przygląda się ilustracji na okładce - Szczurołap odziany jest w pelerynę w żółte i czerwone romby, ma spiczastą czapkę i piękną poważną twarz. Nie widać u niego okrucieństwa, tylko smutek, jakby na myśl o czekającym go przykrym zadaniu.

- A co było w środku góry? - pyta Madeleine, jak zawsze, kiedy tata kończy czytać, a on niezmiennie zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

- Cóż, tego można jedynie się domyślać. Ja uważam, że krył się w niej... cały świat, inny od naszego.

- Było tam niebo?

- Całkiem możliwe, tak. I jeziora i drzewa.

- I te dzieci nigdy nie dorastają.

- Pewnie masz rację. Biegają i bawią się, szczęśliwe jak norki.

Tymczasem w zwykłym świecie ich najbliżsi starzeją się i wszyscy umierają, myśli sobie Madeleine. Ale nie wypowiada tego na głos, żeby nie popsuć nastroju. Po raz pierwszy od wyjazdu z Niemiec poprosiła tatę, żeby poczytał jej do poduszki. Madeleine powoli przestaje być małym dzieckiem, ale obecność taty czytającego jej bajkę na dobranoc sprawia, że jej nowy pokój staje się przytulniejszy. Poza tym nikt nie musi o tym wiedzieć.

- Teraz już zaśniesz?

Obejmuje go za szyję. - Tato?

- Słucham, stary druhu.

- Czy Elizabeth urodziła się z upośledzeniem umysłowym?

- Elizabeth nie jest upośledzona umysłowo, skarbie.

Nie dawało jej to spokoju. Jak to możliwe, że Ricky jedną siostrę ma niedorozwiniętą, a drugą niebezpieczną dla otoczenia, i jest przy tym chodzącym ideałem?

- Więc co to za choroba?

- Porażenie mózgowe.

- I co ona powoduje?

- Elizabeth nie może poruszać mięśniami, ale z jej głową jest wszystko w porządku.

Madeleine mruga z wrażenia. Elizabeth jest pod względem umysłowym zupełnie normalną dziewczynką, uwięzioną w kalekim ciele. Jakie to uczucie przyglądać się swoim rękom, które usiłują coś podnieść? Słyszeć bełkotliwe słowa wydobywające się z własnych ust, wiedząc doskonale, jak się je wymawia? To tak, jakby się mieszkało w strasznie ciasnym

pokoiku z ogromnym oknem.

- Można się tym zarazić? - pyta.

- Nie, to choroba wrodzona.

- Aha.

- To jeszcze nie znaczy, że ktoś ma zmarnowane życie - mówi ojciec. - Elizabeth jest całkiem szczęśliwa, nie uważasz?

- ...No.

Dorosłych nie przerażają takie rzeczy - okropne wady, z którymi przychodzi się na świat. Za to kiedy masz ledwo dziewięć lat, wydaje ci się, jakby te potworności sprzed twoich narodzin wciąż jeszcze mogły cię dosięgnąć i złapać za nogę. Czujesz, że niemal otarły się o ciebie w pędzie, i jeszcze dźwięczy ci w uszach ich świst.

- Spij dobrze, stary druhu. - Całuje ją w czoło.

- Pocałuj też Bugsa - mówi Madeleine i tata spełnia jej prośbę.

Nie pyta go, czy pan Froelich to hitlerowiec. To zbyt obcesowe pytanie, zwłaszcza o tak późnej porze i po takim miłym dniu. Zresztą wiadomo, co tata by odpowiedział: „Nieeee. Skąd ci to przyszło do głowy?”. Wtedy musiałyby wydać Mike'a i bratu nie uszłoby to na sucho. Mimo to chciałyby usłyszeć od własnego ojca, że nie mają hitlerowca za sąsiada. „Hitler jeszcze żyje, wiesz”, oznajmił jej Mike. A potem opowiedział jej, jak Goebbels zabił własne dzieci, dając im do picia zatrute kakao. *Goebbels*: tak gulgoczą indyki. „Pan Froelich może być zbrodniarzem hitlerowskim, który ukrywa się wśród nas. Można poznać, czy służył w SS, bo esesmani mają tatuaż na ręce”. Ale u pana Froelicha nie widać żadnych tatuaży, bo nosi koszule z długimi rękawami.

Tata gasi światło. - Słodkich snów.

- Tato, Hitler umarł, prawda?

- Skonał w swoim bunkrze.

Wsuwa się pod kołdrę, napawając się zapachem płam od trawy na kolanach i łokciach. Wakacyjna letnia noc, a ona jechała na skuterze z prawdziwym żywym nastolatkiem, Hitler nie żyje, Elizabeth Froelich nie jest niedorozwinięta, a w przyszłym tygodniu zaczyna się rok szkolny.

Dawno, dawno temu, w państwie, które już nie istnieje, była sobie jaskinia pośród gór. A we wnętrzu jaskini krył się skarb. Niewolnicy harowali w pocie czoła, żeby wydobyć jak najwięcej tego skarbu. Harowali pod ziemią dniem i nocą, a z dóbr wyprutych z łona ziemi powstawał niebiański twór. Wykorzystano do tego zasoby ziemi: wydobywano i oczyszczano szczątki zwierząt wymarłych miliardy lat temu; długo spoczywające w ziemi i w powietrzu związki chemiczne przechwytywano, wytrącano i na nowo łączono - one posłużyły za paliwo. Minerale wydarte z trzewi ziemi hartowano w ogniu, aż stały się twarde i odporne, a następnie odlano z nich skórę, mózg i narządy tego tworu.

W ten sposób wszystko wzięło swój początek od Matki Ziemi. Samochody, pługi, telewizory, ubrania, elektryczność. My sami. Zebrane, poddane obróbce, ukształtowane, ożywione tchniętą weń iskrą. Gdyby wszystko to wydarzyło się błyskawicznie, nazwano by to czarami - lwy wrywające się z gliny, żołnierzy wyrastających ze smoczyc kłów, płomień spływający z koniuszka różdżki, mowę spływającą z naszych ust.

Ale to nie dokonało się błyskawicznie. Trwało długo. Żeby to wszystko powstało, ziemia musiała się postarzyć, potrzeba było ciał i umysłów wielu ludzi, dlatego nazywa się to nauką. Ludzie potrafią jedynie odwrócić te czary. Uwolnić to wszystko do ziemi i do atmosfery w jednym wielkim błysku.

BAJKOWE OGRODY

Nauczyciel: „Coraz trudniej w tych czasach nauczyć dzieciaki alfabetu”. Drugi nauczyciel: „No właśnie. Wszystkie myślą, że V następuje po T”.

Uśmiechnij się z rana, „The Globe and Mail”, 1962

Maleńki pomarańczowy namiot na podwórku Boucherów rozciąga w popołudniowym słońcu magiczną poświatę. Człowiek czuje się w nim niemal tak, jakby grał w filmie. Zapach płótna, stłoczone w ciasnej przestrzeni dźwięki, brzące obietnicą, dreszczyk towarzyszący kręceniu butelki, wyznaniom i wyzwaniom. Rozrzucone komiksy, ilustrowane wydanie *Wodnych dzieci* i ozdoba kolekcji Auriel: plik komiksów z serii *Prawdziwa miłość*, spadek po dziewczynie, która pilnowała jej na ostatniej placówce, podniszczone, ale nie naruszone, z rysunkami przedstawiającymi olśniewające blondynki i brunetki, mężczyzn ze szczękami znamionującymi bezwzględność, za kierownicami eleganckich samochodów. Kobiety na obrazkach zalewają się rześzystymi białymi łzami.

- To wygląda jak płyn do zmywania - orzeka Madeleine.

Sposobności do drwin są niewyczerpane i pochłaniają równie mocno, jak kuszące karty komiksów. Dziecięcy namiot zaczyna przypominać gniazdo występku. Madeleine zamiera i patrzy, urzeczona i przerażona, na Lisę, która przymyka oczy i krzyżuje ręce na piersiach, mówiąc: - Och, Ricky, umieram z tęsknoty, pocałuj mnie, proszę.

I Auriel całuje ją, w same usta. Potem zamieniają się rolami, Auriel umiera, a Lisa jako Ricky przychodzi jej na ratunek.

- Umówmy się, że ja jestem szpiegiem, a ty będziesz mnie na niby torturować - zwraca się Madeleine do Lisy. - Potem ja cię zabiję i ucieknę, a Auriel będzie na mnie czekać ze skradzionym hitlerowskim mundurem...

Co pół godziny pani Boucher woła do nich: - Wyjdźcie się przewietrzyć, dziewczynki.

Siedzenie bez przerwy w ciasnym namiocie przez całe popołudnie nie jest dobre dla zdrowia.

To już schyłek lata. Za tydzień o tej porze będziemy pisać wypracowanie pod tytułem

„Jak spędziłam letnie wakacje”. Ślady po ukąszeniach komarów nadal będą nas swędziały, kredoworóżowe od wcieranej w nie maści, ale będziemy miały na nogach buty i skarpetki i w nowych ubraniach zasiądziemy w ławkach ustawionych w równe rzędy, w sali lekcyjnej czwartoklasistów. Czwarta klasa. Czasy przedszkola, czasy zamętu, są takie odległe. Tracimy z oczu oddalający się brzeg wczesnego dzieciństwa. Kiedyś wypełniał cały świat, a był tylko drobiną. Na horyzoncie rysuje się ląd zwany wiekiem młodzięcym. Lecz pomiędzy nim a terażniejszością rozciąga się archipelag późnego dzieciństwa. Płyn od wyspy do wyspy, wyszukuj jadalne owoce, pław się w lagunach wyobraźni, ale nie daj się porwać odpływowemu prądowi, nie ulegaj ciepłemu nurtowi, bo poniesie cię razem z morskimi żółwiami, które są długowieczne, wypływają hen, daleko, i nie mogą utonąć. W dziewiątym roku życia z dnia na dzień stajesz się silniejsza. Oczy coraz bardziej otwierają ci się na prawdziwy świat, ale mimo to masz wrażenie, jakby twoją głowę nadal spowijały strzępki baśni, stłumione echa wiary w mówiące zwierzęta i ozywające filizanki. Złachmaniony woal marzeń.

Madeleine na kanapie masowała ojcu skronie, przy okazji zaglądając mu przez ramię do czasopisma, które czytał. - Tato, co to jest dewiacja? - zapytała.

- Odchylenie od kursu, jakie wykazuje igła przyrządu...

- Nie, tu chodzi o coś innego - mówi Madeleine i czyta fragment artykułu zamieszczonego na tej stronie: - „Uznawany powszechnie za dewiację, pociąg do osób tej samej płci...”.

- To jest coś... coś w rodzaju innej postawy wobec drugiego człowieka.

Nie jest do końca zadowolona z wyjaśnienia, ale nie okazuje tego, żeby nie urazić ojca.

Pyta o to matkę, kiedy wspólnie nakrywają do kolacji.

- To taka choroba, na przykład kiedy jedna kobieta kocha drugą - stwierdza stanowczo Mimi. - A właściwie skąd wytrzasnęłaś to słowo?

- Znalazłam je w czasopiśmie taty - odpowiada Madeleine obrażonym tonem niesłusznie posądzonej.

- Nie podnoś na mnie głosu. Jack? Co ona czytała?

Ten w odpowiedzi oznajmia, że pora włączyć telewizję. Madeleine przyjmuje tę wiadomość okrzykiem radości i wybiega na dwór poszukać brata.

Jack poprawia antenę i okazuje się, że telewizor doskonale odbiera nie jeden, lecz trzy kanały, a obraz na czwartym jest „zaśnieżony”, ale da się oglądać. Nadaje jedna stacja kanadyjska - Canadian Broadcasting Corporation, CBC - oraz trzy amerykańskie, ze stanu Nowy Jork: NBC, ABC i ta z zakłóceniami, CBS.

Zasada mamy: W tym domu nie jada się obiadów przed telewizorem.

Zasada taty: Żadnej telewizji, póki na dworze świeci słońce.

Wkrótce zbiera się cała rodzina, żeby obejrzeć *Cudowny świat barw Walta Disneya* w czarno-białym telewizorze.

Oglądanie małych aktorów, którzy na ekranie zaprzyjaźniają się z ciekawskimi, sprytnymi młodymi pumami i przybłąkanymi psami, przyprawia Madeleine o rozkoszną udrękę. Cała płonie, kiedy chłopcy w dżinsach zostają odcięci od świata w opuszczonych szybach kopalnianych, a dziewczęta pielęgnują ranne konie tak, że te niebawem tryskają zdrowiem. Jak im się udało dostać do filmu? Czy ja też mogłabym występować? Tamte dzieci są przecież Amerykanami.

- Kiedy dorośniesz, możesz się przenieść do Hollywood i spróbować sił w rozrywce - powiada ojciec. Ale Madeleine jest niecierpliwa. Już jej się marzy kariera. Artysty estradowego. Ta myśl nie daje jej spać po nocach. Telewizja jeszcze podsyca w niej zapał. Bob Hope i Bing Crosby w marynarkach w prążki, słomianych kapeluszach, z laseczkami. Sterują i śpią dowcipami. George Jessel z nieodłącznym cygarem. Złowrogi Rodney Dangerfield, smutny Red Skelton; warkliwy Don Rickles, jazgotliwa Phyllis Diller, Anne Meara z kamienną twarzą, chrypiąca Joan Rivers, zawodząca Lucille Bail. Madeleine na ogół nie rozumie telewizyjnych dowcipów, ale czuje, że są śmieszne, a to najważniejsze.

Później, w łóżku przy książce, czar telewizji słabnie w porównaniu z podróżą po stronicach. Zanurzyć się w książce. Wsunąć się w szczelinę na styku dwóch kartek, żyć tam, gdzie spojrzenie padające na słowa wyłania z nich świat zgiełku i zagrożeń, barwny i rozkoszny. Tej podróży nie można przerwać, przełączając na inną stację. Ta magia trwa. Madeleine otwiera *Piotrusia Pana*.

Upojenie telewizją, poryw nowych przyjaźni, tęsknota za Nibylandią, zapach nowych ubrań na wieszakach w domu towarowym Simpsona w centrum Londynu, w prowincji Ontario. Wszystko to sprzęga się i wzajemnie potęguje, unosząc ją jak na skrzydłach przez ten ostatni tydzień wakacji.

Zaopatrzeni w niezbędne wyposażenie na nowy rok szkolny, Mike i Madeleine z rodzicami udają się do Covent Market mieszczącego się w ogromnym budynku w śródmieściu, gdzie kupują lunch na wynos. *Wurst* i *Brötchen* w Delikatesach Bawarskich, których właściciele o rumianych twarzach rozplývają się nad Madeleine i Mikiem, mile łechcąc rodziców. Wędzone mięsiva i sery, świeżo pieczony chleb i musztarda - to znajomy zapach letniej przejażdżki w Schwarzwaldzie, i to pod samym nosem, na południu Ontario.

- Świat jest mały - stwierdza Jack na wieść, że właściciele delikatesów znają barmana

z mesy oficerskiej w bazie 4 Dywizjonu. Niech to lichu.

Jadą na piknik do Bajkowych Ogrodów. To park położony na skraju miasta, nad Tamizą, przypominający Disneyland w miniaturze. Jest tam drewniany zamek ze zwodzonym mostem, ciuchcia jeżdżąca po prawdziwych torach, przewożąca pasażerów do lat dwunastu. Spotkać tam można naturalnej wielkości figury postaci znanych z dziecięcych rymowanek - rzeźnika i piekarza w balii, Humpty'ego Dumpty'ego balansującego na murze, półmisek uciekający razem z łyżką. Wielki groźny wilk z gipsu czyha na trzy małe żywe świnki, które ryją sobie w ziemi i mieszkają w maleńkich domkach z cegły i drewna, krytych słomą, a Baba Jaga szczyrzy zęby z progu swej chatki z piernika. W przeciwieństwie do Szczurołapa, czarownica nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do swej złej natury. Madeleine niepokoi wyraźnie rzucający się w oczy brak Jasia i Małgosi. Oznacza to, że wiedźma zdążyła pożreć dzieci albo te jeszcze nie trafiły do jej chatki. Tak czy inaczej, czarownica zdaje się mówić: „Chodź do mnie, dziewczyno, ty też świetnie się nadasz”. Na terenie parku mieści się też palmiarnia z tropikalnymi roślinami, budzącymi ciekawość jedynie dorosłych.

Po powrocie do samochodu zauważają nalepkę na tylnym zderzaku ramblera. Mimi uznaje to za impertynencję - w Europie nikt by sobie na coś takiego nie pozwolił. Madeleine przygląda się naklejce: na jaskrawo żółtym tle widnieje zarys Bajkowego Zamku z wieżyczkami i prowadząca do niego ścieżka, kojarząca się jej z drogą, po której stąpiła Dorotka w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*.

W drodze do domu Jack wykorzystuje okazję i niby przypadkiem wjeżdża w Morrow Street.

- Dlaczego tu skręciłeś? - pyta Mimi.

- Trzeba rozeznac się w okolicy. Nigdy nic nie wiadomo, może przeniesiemy się tu na stare lata.

Mimi głaszcze go po głowie. Jack zwalnia, kiedy mijają niski dom z żółtej cegły na końcu ślepej uliczki, tonącej w drzewach. Numer 472. Wypieszczony trawnik i żywopłot, klomby z kwiatami. Do frontowych drzwi prowadzi kolista podjazd, wejście osłonięte jest daszkiem.

- Nie jestem pewna, czy dojrzałam już do tego rodzaju rozrywek - stwierdza Mimi.

Wokół martwa cisza, jak w grobowcu. Idealne miejsce. Budynek niknie w lusterku wstecznym, a Jack czuje lekki ścisk w żołądku.

- Kto ma ochotę na lody? - mówi.

Propozycja przyjęta jest owacyjnie na tylnym siedzeniu.

- Jack, chyba wystarczy tych przyjemności na dzisiaj - mityguje go Mimi.

Ale już jest za późno. Madeleine skanduje: - Lody, lody, komu lody dla ochłody!

Mimi unosi brwi i spogląda na męża.

- Manti, lecz! Zgago, precz! Już w porządku, mój żołądku! - ciągnie Madeleine.

Mimi i Jack patrzą po sobie, tłumiąc śmiech.

- Obyś chociaż w połowie tak dobrze pamiętała, co nauczyciel mówi w szkole - kwituje Mimi, zwracając się do odbicia córki w lusterku wstecznym.

WSPOMINKI

W niedzielny poranek w kościele Jack ratuje się przed zaśnięciem na kazaniu, rozpamiętując zeszłą noc z Mimi. Madeleine ratuje się, wyobrażając sobie, w jaki sposób wspięłaby się po ścianach kościoła do samego sklepienia. Jack oblicza w myślach, ile musiałby odkładać tygodniowo, żeby kupić żonie futro z norek. Za każdym razem, kiedy zabiera się do rozpakowania gwiazdkowego prezentu, Mimi ostrzega go: „Tylko żeby to nie było wiesz co”, a jeśli podarunek jest zbyt kosztowny, rzuca w niego pudełkiem. Zawsze rzuca pudełkiem, a czasami popłakuje, gdy prezent jest po prostu *trop beau*. Czyż nie jest to dla ofiarodawcy najwspanialsze podziękowanie? Trudno jednak chomikować pieniądze, kiedy to żona zarządza rodzinnymi finansami. Madeleine szarpie za uwierający ją w szyję kołnierzyk sukienki z organdy i fantazjuje o ucieczce na motocyklu ze Steve'em McQueen'em pośród gradu kul. „...Idźcie w pokój”, mówi do wiernych ksiądz.

- Chodź tu, Mimi.

- Co ty wyprawiasz, Jack?

- Wstawaj, kobieto.

- Och Jack.

Rodzice tańczą. Jest niedziela, trzecia po południu. Ksiądz przed chwilą wyszedł. Zjadł z nimi lunch, a po jego wyjściu Jack nastawił płytę ze ścieżką dźwiękową z filmu *South Pacific*.

- Lepiej się stąd ulotnić - mówi Madeleine do Mike'a.

- Podejdź tu.

- Ale tato! - protestuje Madeleine i rusza w taniec z ojcem.

- Tańczysz bosko, królewno.

- Jak drewno - rymuje Mike, rozparty na sofie, czym naraża się na wymowne spojrzenie ojca. Spojrzenie, które mówi, że męskość polega między innymi na rycerskości wobec dam, chociaż teraz może się ona wydawać zwykłą kokieterią. Madeleine spuszcza wzrok, nie po to, żeby obserwować swoje stopy, lecz dlatego, że wstydzi się szczęśliwości, jaka ją przepełnia, kiedy kładzie ojcu rękę na ramieniu, a drugą ujmuje jego dłoń. Gdy była mała, stawiała stopy na jego stopach, ale już z tego wyrosła i teraz jej nowe półbuty z lakierowanej skóry poruszają się w rytmie muzyki krok w krok za mokasynami ojca. Wciąż tkwi w tej sztywnej, obcierającej różowej sukience, ale przestała się skarżyć, gdyż *Maman* kazała jej ofiarować swoje cierpienie na odkupienie duszyczek pokutujących w czyścicu. O ile lat mogą skrócić komuś czyścicowe męki ośmioletnie dziewczynki w uwierających sukienkach? Jedyne, co ratuje ten strój, to białe rękawiczki, jeszcze od przyjęcia, karbowane od spodu, jak Królika Bugsa. *Ofiatuj to, doktołku*. Wymknęło mi się, przepraszam, Panie Boże.

- No właśnie - tłumaczy jej ojciec - nie myśl o tym. Odpręż się i poddaj muzyce.

Okrażają z wdziękiem ławę, z gramofonu płynie piosenka *Zaczarowany wieczór*, a Jack podśpiewuje do wtóru. Dołącza do niego Mimi.

- Mike, poproś mamę do tańca.

- *Voulez-vous danser, Maman?* - pyta, wyciągając szarmancko dłoń.

- *Que t'es beau, Michel*.

Mimi opiera się pokusie pocałowania syna. Puszczają się w taniec i Mimi uczy Mike'a prowadzić.

Nastawia płytę, którą kupiła jeszcze w czasach, kiedy chodziła na kurs dla pielęgniarek w Montrealu. Chicka Webba i jego orkiestry. Demona perkusji.

- Czas na parkietowe szaleństwo - oświadcza, odsuwając ławę.

Przyglądają się swingującym rodzicom, którzy o mały włos straciliby kryształowe koguty z Hiszpanii, ocierają się niemal o wiszący na ścianie obraz, wywołują niebezpieczne drgania wśród drogocennych zastaw stołowych Royal Doulton i Hummel.

Jak nitkami makaronu na widelcu, Mimi wywija na zmianę Mikiem i Madeleine uczeponymi jej ramienia - w jednej sekundzie na jej twarzy maluje się groźna powaga, a w następnej śmieje się niczym nastolatka; w takich chwilach bardziej wygląda na ich opiekunkę niż na matkę.

- Ale zwariowane przyjęcie! - krzyczy Madeleine i oboje z Mikiem wirują w szalonym pędzie. Tata ma ubaw po pachy i aż poczerwieniał na twarzy, szczerzy się tak szeroko, że błyska mu złoty ząb. Robi im zdjęcie. Może w tym roku na Gwiazdkę kupią sobie amatorską

kamerę.

Po kolacji odprawiany z namaszczeniem rytuał. Dla uczczenia miłości i utraty. Utraty przeszłości i jej przeobrażenia w cenne wspomnienia. Ten alchemiczny wyczyn niezmiennie wymaga dużej ilości prażonej kukurydzy.

Nic tak nie pobudza pamięci jak szmer rzutnika do przezroczy w ciemności. Łagodny szcęk towarzyszący ukazaniu się każdego barwnego slajdu. Z im odleglejszej przeszłości pochodzi wyświetlany obraz, tym dłuższe panuje milczenie, nim przerwie je wesół głoś taty stwierdzającego: - To był uroczy dzień, pamiętasz, *Maman*?

Piknik na łonie przyrody w Schwarzwaldzie: *Maman*, z podwiniętymi nogami, siedzi na kraciastym kocu, w okularach przeciwsłonecznych i białej chustce na głowie. Mike wygląda tu jeszcze dziecinnie, Madeleine, z długimi warkoczykami, zmrużonymi oczami wpatruje się w obiektyw.

Sz-czek. Właściwie to służy nie tyle przypomnieniu, co obronie przed zapomnieniem. Madeleine ogląda przezrocza w skupieniu. Z nabożnym przejęciem. Każde zawiera w sobie zaginiony świat. Drzwi, które na mgnienie rozwarły się w zboczu góry, na zawsze zapieczętowane.

Sz-czek. Monako. Różowy pałac księżniczki Grace.

- Urwał mi się wtedy obcas, a ty byłeś na mnie wściekły - mówi Mimi do Jacka. Z każdym slajdem wiążą się wspomnienia, które trzeba wyrazić słowami. Tu jedliśmy ciastka, tam Madeleine zgubiła się na plaży - „Nie zgubiłam się, tylko odeszłam na chwilę”.

- To były naprawdę udane wakacje, pamiętacie, dzieci?

Sz-czek. Biwak na Riwierze. Jack w pogniecionym słomkowym kapeluszu, z czterodniowym zarostem.

- Za najlepsze zakwaterowanie w Europie płaci się albo tysiąc franków, albo pięć.

Sz-czek.

- Placek!

Placek owocowy, który babcia wysłała im na święta z Kanady rok wcześniej, a który dotarł do nich dopiero na następną Gwiazdkę. Nawet nie wysechł.

- Mówię wam, kawałek tego placka codziennie na śniadanie i człowiek zachowałby wieczną młodość - żartuje tata, jak zawsze na widok tego slajdu.

- To były cudowne święta, pamiętasz, Jack?

- A jakże.

Sz-czek. Alberta.

- A to skąd się tu przyplątało? - dziwi się Jack.

Maleńka, szczerze opatulona Madeleine w wózku na szczycie śnieżnej zasy.

- Ja to pamiętam! - oświadcza Madeleine.

- Wcale nie - stwierdza Mike.

- Właśnie, że tak!

Sz-czek. Hameln. Tego przezrocza dotąd nie oglądali, więc nie ma jeszcze przypisanych do niego komentarzy. Przedstawia Madeleine i Jacka przed pomnikiem Szczurołapa.

- O, tam widać wujka Simona.

- Gdzie? - pyta Jack.

Madeleine wstaje i pokazuje ręką na ekran, na cień padający na nogawkę spodni ojca i spódniczkę Madeleine - zarys głowy i podniesionych łokci. Simon, uchwycony w chwili, kiedy robił zdjęcie.

Madeleine ma nad Mikiem tę przewagę, że osobiście poznała Simona. Uczył ich ojca pilotażu. Pozwolił jej mówić do siebie „wujku”. Bohater wojenny. Śmiał się z wszystkiego, co mówiła, i zaproponował jej pracę u siebie. Z wyglądu nie przypominał tak bardzo Davida Nivena, ale właśnie z nim jej się kojarzył - uroczy dżentelmen, który dla fantazji mógłby zaproponować ośmioletniej dziewczynce drinka i w ogóle się tym nie przejmować. „Najsprytniejszym szpiegiem drugiej wojny światowej była kobieta, wiedziałś?”. Opowiedział jej o członkini francuskiego ruchu oporu, Jeannie Rousseau, wymawiając jej imię z angielska - „Johnny”.

- Wiesz, jaki miała pseudonim?

- Nie.

- „Madeleine”.

Uśmiechnęła się nieśmiało, ale czuła odzywający się w niej zew przeznaczenia.

Johnny przekazała aliantom informacje o tajnej broni Hitlera.

- Rakiecie V-2 - mówił wujek Simon. - Dzięki temu mogliśmy zbombardować fabrykę, w której była produkowana.

- Operacja Hydra - wtrącił jej ojciec. - Brałeś w tej akcji udział, prawda?

- Ja i paru innych pilotów - uśmiechnął się Simon, potem znów spojrzał na Madeleine.

- Nigdy byśmy tego nie dokonali, gdyby nie Johnny.

- A ty ją znależ, wujku? - spytała.

- Obawiam się, że to tajemnica, moja droga - odparł i roześmiał się.

Sz-czek. Pusty ekran.

- No dzieciaki, pora spać.

- Jeszcze jeden rządek, tato - prosi Mike. - Możemy obejrzyć slajdy, na których gram w hokeja?

Nudne przezrocza z Cold Lake w Albercie. Podwórkowe lodowiska, Mike i jego koledzy z zamarzniętymi smarkami pod nosem, zastygli z kijami hokejowymi w ręku, *dziewczynom wstęp wzbroniony*.

- Tylko nie te nudziarskie slajdy! - woła Madeleine, nagle rozjuszona.

- Hola, nie tak ostro - upomina łagodnie tata.

- Tak, te z hokejem i koniec. Przyjęcie, strzał i krążek w siatce! Juuhuu!

- Zamknij się! - krzyczy Madeleine.

- *Allons, les enfants, c'est assez!*

- Chodź do mnie, stary druhu.

Madeleine posłusznie idzie. Ojciec bierze ją na ręce. Madeleine, ubrana w pizamę, oplata go w pasie nogami. Jest już za duża, żeby ją zanościć do łóżka. Wniebowzięta i zawstydzona, wtula twarz w ramię ojca, ale wcześniej spostrzega jeszcze, jak usta Mike'a składają słowo „dzidzius”, adresowane do niej wraz ze straszliwym zezem.

- Opowiedz mi coś, tato - prosi, nadając swemu głosowi jak najbardziej dorosłe brzmienie.

- Późno już, a jutro rano musisz wstać rześka i wypoczęta, żeby godnie zacząć naukę w czwartej klasie.

Czwórka. Pomyślna liczba, brązowa i rozsądna. Jej szkolna sukienka i skarpetki rozłożone są na krześle, nowe półbuty stoją na podłodze. Wygląda to tak, jakby Madeleine usiadła na krześle i rozplynęła się, i zostało po niej tylko ubranie.

- Tylko jedną historię, tato, proszę.

Ramionami oplata jego szyję, odkąd pochylił się, żeby pocałować ją na dobranoc. Jest jej jeńcem.

- Tylko jedną - zastrzega się ojciec.

- O tym, jak się rozbiłeś.

- Znowu mam ci to opowiadać? Może lepiej poczytamy... - sięga po jej tom z baśniami.

- Nie, tato, opowiedz mi o swoim wypadku.

„Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami” dziś nie wystarczy, ten wieczór wymaga innej oprawy.

- Niech ci będzie, ale potem - *schlafen*.

Są opowieści, których nigdy nie ma się dosyć. Te same słowa za każdym razem brzmią inaczej w uszach słuchacza, który przecież się rozwija. Dzięki temu może on zrozumieć upływ czasu.

Ojciec siada na skraju łóżka. - To zdarzyło się tutaj, w Centralii...

Już sam jej początek pokazuje, że zmienia się wraz ze swoim słuchaczem; kiedyś zaczynała się tak: *Zdarzyło się to w małym ośrodku szkoleniowym o nazwie Centralia, położonym daleko stąd, niemal na krańcu świata.*

- Leciłem pierwszy w szyku...

Za sterami treningowego ansona. Przystępując do manewru dołączenia do sznura bombowców rozciągniętego nad kanałem La Manche.

Madeleine opiera się policzkiem o poduszkę i wpatruje w sprzączkę od ojcowskiego pasa, muchę doskonale zachowaną w bursztynie. Dobrze jest skupić na czymś wzrok, gdy się słucha opowieści.

- Podchodziłem do lądowania...

Za miesiąc miał zacząć loty bojowe. Lancasterem, prawdziwą bestią niepozabawioną swoistego piękna. W pełnym rynsztunku lotnika, z pękatą kamizelką ratunkową na dokładkę, spełniająca swe zadanie, o ile miało się szczęście i skakało z trafionego samolotu nad wodą.

- Byłem już na prostej...

Po nim miały lądować jeszcze cztery samoloty. Zwykle zabierał kilkusobową załogę szkolącą się na pokładzie, ale tego dnia nikt mu nie towarzyszył.

- Leciłem starym dwusilnikowym ansonem...

Uległa maszyna, jeśli pilot nie zarzucił ją po wylądowaniu - cudowna w powietrzu, ale dość niesforna na ziemi.

- Niebo było czyste jak lza...

Pochmurno wprawdzie, ale pułap wysoki, widoczność dobra. Większość lotów bojowych odbywa się w świetle księżyca: bombowce suną statecznie nad kanałem La Manche, z ciężkim brzemieniem sześciu ton bomb, które mają zostać zrzucone na cel odległy o pięć godzin lotu. Wypatrując niemieckich myśliwców, głównie messerschmittów, piloci dostrzegają cienie swoich samolotów, rysujące się na wzburzonej powierzchni szarego morza. Ukazuje się płat lądu, to Europa; poniżej szachownica pól i wież kościelnych niczym na dioramie, mrok rozjaśniają snopy niemieckich szperaczy, płomienie wzbijające się z samolotów, które więzną w tej świetlnej sieci, nawałnica przeciwlotniczego ognia. Daleko w dole, zwolnione z pochylni, niczym kostki domina, obłe bomby mknące jedna za drugą, wzbijające bezgłośnie kopuły dymu. Niektórym lotnikom uda się szczęśliwie dotrzeć do bazy -

lepiej zostać trafionym w drodze powrotnej, z mniejszym zapasem paliwa w zbiorniku i z pustym lukiem na bomby. Jeśli ma się tyle szczęścia, że po trafieniu samolot zachowuje sterowność, można ugasić płomienie w locie nurkowym. Jeżeli to zawiedzie, a załoga wciąż jeszcze żyje, czeka ją przeprawa przez wąską, zawaloną sprzętem kabinę do zbawczego wjazdu, czołganie się pod górę w samolocie, który wirując, spada ku ziemi. Rzadko kto wśród braci lotniczej o tym myśli. Nikt o tym nie mówi.

- Otrzymałem pozwolenie od wieży kontrolnej, więc skręciłem w lewo i zacząłem naprowadzać maszynę...

Za miesiąc o tej porze będę już w Anglii.

- Zobaczyłem w dole ansona, który toczył się po płycie lotniska, byłem pewny, że zabiera się do kołowania...

Nawierzchnia lotniska jest czarna i mokra od deszczu, ale już przestało padać; trochę ślisko, ale to nic strasznego. Najbardziej boi się tego, że zamiast trafić za ocean do służby czynnej, ugrzęźnie w Centralii jako instruktor pilotażu - cała sztuka w tym, aby być dobrym, ale z nadto się nie wyróżniać...

- Na wysokości pięćdziesięciu metrów spostrzegłem, że anson przeciął drogę do kołowania i kieruje się na pas startowy, dokładnie tam, gdzie zamierzałem postawić maszynę...

Nie bacząc na nic, jak robak pełznący po liściu, żółty samolot powoli skręca w prawo na pas startowy i zaczyna się rozpędzać.

- Mówię sobie, co on do licha wyprawia?

Coś się komuś pochrzało.

- Ale nie było czasu na rozmyślanie...

Za późno na jeszcze jedno okrążenie i na wysokości trzydziestu metrów jego centralny układ nerwowy podejmuje decyzję, sprawiając, że jego ręka szarpie za manetkę i wychyla drążek w prawo.

- Pomyślałem, że dodam gazu, skręcę i poderwę dziób do góry... Maszyna obraca się o sześćdziesiąt stopni w lewo, ale nie wznosi się; leci za nisko i za wolno na tego rodzaju manewr. Lewe skrzydło ścina krawędź płyty lądowiska, koła złobiać ziemię, w powietrzu fruwiąją strzępy żółtej dykty, *niech się toczy, myśli, może nie stanie w płomieniach*, bo ma teraz mnóstwo czasu na rozważanie, całe pięć wirujących sekund.

- Ale samolot kręcił się po polu jak bączek, z ogonem zadartym do góry, i w końcu zarył dziobem w ziemię.

Walnął głową w tablicę przyrządów - „Nabiłem sobie porządnego guza na czole” -

prawdopodobnie w gałkę radiostacji. O mało co nie stracił oka. „Ale widocznie ktoś tam na górze mnie lubi...”.

Gdyby ten wypadek zdarzył się po jego przejściu do służby czynnej, nie cofnięto by mu kategorii lotnika...

- Ale z oka leciała ci krew - dopowiada Madeleine.

- Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, myślałem, że tylko uderzyłem się w głowę.

...doskonały wzrok przydaje się, lecz nie jest konieczny; po to przecież lata się z załogą. Tak naprawdę wystarczy, że widzi się tablicę przyrządów, a Jack dostrzega ją wyraźnie, jest mocno wgięta. A on wisi nad nią, przyczepiony pasami do fotela, krople krwi rozpryskują się na roztrzaskanych pokrętlach i gałkach, wskazówka poziomu paliwa opadła nisko, to dobra wiadomość, ale skąd płynie ta krew? Dotyka twarzy. Czuje rozrywający ból za lewym okiem...

- Uratował cię wujek Simon - mówi Madeleine.

- Tak jest.

Trzask, jakby rozpinanego ogromnego zamka błyskawicznego. Simon przecina krępujące go pasy i wywleka z kabiny. Jack szoruje pośladkami o ziemię, która zdaje się uciekać od niego - przed oczami ma swoje podskakujące buty. Jak długo tak mnie taszczy?

- Widział, co się stało, i pierwszy przybiegł na miejsce wypadku.

Simon wlecze go po falującej trawie.

Miałem wypadek, słyszy własny głos Jack.

Zgadza się, kurwa. Miałeś wypadek, cholerny głupcze.

To ty, Simon. Przykro mi.

Słyszy, jak Simon wybucha śmiechem w tej samej chwili, kiedy on podnosi głowę, żeby zobaczyć swoją maszynę - stojącą na głowie jakieś dziesięć metrów dalej, z opuszczonymi szczątkami skrzydeł - z której nagle strzelają języki ognia, niczym płatki rozwijającego się kwiatu, a płonący pyłek roznosi się w powietrzu.

Budzi się w szpitalu. Dlaczego pielęgniarka się uśmiecha? Dlaczego Simon częstuje go whisky?

- Postąpiłeś jak należy, stary.

Nie ma czego świętować. Dla niego wojna już się skończyła. Gdy rozbił się trzydzieści metrów od pasa startowego w Dziewiątym Ośrodku Szkolenia Lotników Służby Czynnej, w Aerodromie Centralia, 7 kwietnia 1943. SNWS. Sytuacja w Normie Wszystko Schrzaniłone.

- Dostałeś medal - mówi Madeleine.

- Tak, nadali mi Krzyż Lotniczy.

- Ale nie mogłeś dalej latać.

- Nie mogłem, co zresztą wyszło mi na dobre, bo inaczej nie poznałbym *Maman* i nie byłoby ciebie na świecie, a co ja bym zrobił bez mojej *Deutsches Mädchen*?

Jack wstaje i nakrywa ją kołdrą.

- A teraz o Jacku i Mimi - prosi Madeleine.

- Jedna historia, taka była umowa - śmieje się tata.

- Przecież to jest jedna historia, to się łączy z tamtą.

- Jak dorośniesz, na pewno zostaniesz adwokatem.

Gasi światło.

- Tato, jak się nazywało tamto miejsce?

- Jakie?

- Gdzie Hitler produkował tajną broń. Johnny powiedziała o nim aliancom.

- Johnny...? Aha, chodzi ci o Peenemünde. Nazwa kojarzy się Madeleine z czymś bolesnym.

- Czy Niemcy ją złapali?

- Chyba tak.

- Torturowali ją?

- Nie, nie... uciekła im.

- Tato?

Odwraca się w progu. - Słucham?

- Co by się stało, gdybyś zginął w tym wypadku?

- ...Przecież żyję.

- Ale gdybyś zginął?

- Cóż, wtedy nie byłoby ciebie na świecie.

- A gdzie bym była?

- Chyba nigdzie.

Co jest gorsze? Umrzeć? Czy w ogóle się nie urodzić? Dlaczego boimy się śmierci, a nie boimy się tego, co poprzedza narodziny?

- Tato?

- Dobranoc, kochanie. Pomyśl sobie o czymś przyjemnym.

Jack zostawia drzwi niedomknięte, żeby do jej pokoju wpadało światło z korytarza. Idzie do swej sypialni i po ciemku kieruje się do komody. Tamten anson nie powinien był dostać pozwolenia na start. Jack otrzymał Krzyż Lotniczy w dowód uznania za podjętą w

powietrzu decyzję, aby z narażeniem życia wykonać manewr skrętu, prowadzący do niechybnego zderzenia z ziemią, zamiast próbować wyprzedzić samolot na pasie startowym i lądować tuż przed nim - gdyby wskutek kolizji doszło do wybuchu pełnego zbiornika paliwa tamtego ansona, śmierć poniosłaby cała jego załoga - pilot, instruktor, nawigator i radiotelegrafista. No i oczywiście Jack. *Za męstwo, odwagę i poświęcenie wykazane podczas lotu, chociaż nie w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem.*

Jack sięga do szuflady i wyjmuje rzecz, po którą przyszedł.

Zanosi to do pokoju syna. Na ścianie zdjęcie lecących w szyku kanadyjskich myśliwców Sabre, mieniących się złotem i czerwienią w promieniach słońca. Starannie posłane łóżko, chłopak lubi porządek. Jednak na widok nowego plakatu kręci głową: skąd on to wytrzasnął? *Piechota Morska USA czeka na ciebie.* Jack ma dla syna prezent na nowy rok szkolny: czapkę baseballową z nadrukiem „4 Dywizjon Myśliwców RCAF”, jeszcze z Niemiec. RzUCA ją na łóżko i czapka odbija się. Kołdra naciągnięta jak struna. Jack uśmiecha się i schodzi na dół.

Żona z synem grają w remi przy kuchennym stole. Mimi wstaje i nastawia wodę.

- Napijesz się herbaty, Jack?

Jack wyciąga swojego „Time'a” spod sterty pism kobiecych z fryzurami i przepisami kuchennymi i rozsiada się wygodnie na kanapie. We wschodnim Berlinie podczas próby ucieczki przez „Mur Hańby” zostaje zastrzelony chłopiec, umiera dopiero po godzinie, a przez cały ten czas tłum zebrany po zachodniej stronie wrzeszczy na strażników, żeby go ratowali. Przerzuca kartki - szmer głosów żony i syna dochodzący z kuchni działa kojąco, ponieważ Jack nie rozumie francuskiego - prezydent Kennedy w kąpielówkach, w otoczeniu kobiet w bikini. Wewnętrzne spory w NASA. Jackie Kennedy na nartach wodnych. Gwizdże czajnik w kuchni. Rakiety i bikini, do czego ten świat zmierza? Wernher von Braun z dumą pokazuje prezydentowi pomocniczy silnik raketowy. Amerykańscy doradcy wojskowi wspomagają Wietnam Południowy „w najbardziej udanej z dotychczasowych operacji przeciwko komunistycznemu Wietkongowi”. W dokach Hawany kontenery wielkości raket...

Mimi stawia obok niego na stoliku filiżankę i spodek. Jack odnotowuje ten fakt jakby z oddali - z mrocznej głębi kosmosu, więc to, że nie podziękował, nie wynika z nieuprzejmości, to po prostu skutek praw fizyki. „Time” jest zdania, że Castro mógł z łatwością zostać „usunięty”, gdyby rok temu Kennedy stanął na wysokości zadania w czasie inwazji w Zatoce Świń, która w ujęciu tegoż czasopisma stanowi obecnie „synonim fiaska”. Jack sięga po filiżankę. Mądrale z „Time'a” zarzucają Kennedy'emu ustępstwa na rzecz komunistów, a co proponują? Zbrojną napaść na inny kraj, i to niczym niesprowokowaną? Jeżeli sami będziemy

stosować taktykę Sowietów, przestaniemy się od nich różnić. Na następnej stronie czyta: „Stany Zjednoczone będą broniły Kanady, bez względu na to, czy Kanada życzy sobie tego, czy nie...”.

- Jack?

- Słucham?

Podnosi wzrok znad czasopisma, jak ktoś, kto wynurza się ze snu. Mimi stoi przy nim z imbrykiem. - Pytałam, czy napijesz się czegoś ciepłego?

- Ach. Tak, oczywiście. *Merci*.

Nocną lampkę w pokoju Madeleine osłania klosz z namalowaną twarzą chłopca z Bawarii, ze zdziwieniem patrzącego na trzmiela, który usiadł mu na nosie. Jutro pierwszy dzień szkoły, świt nowej wspaniałej ery. Madeleine przymyka powieki. Przed oczami przesuwają jej się barwne plamy. Unosi się na łóżku, rozkołysanym jak żaglówka. Czy Piotruś Pan naprawdę istniał? Czy jeśli się mocno wierzy, można usłyszeć jego nawoływanie? Czy żyją jeszcze gadające kruki? *Kiedy będę duża, kupię sobie psa. Kupię sobie czerwony sportowy wóz. Łóżko sunie łagodnie z prądem... kiedy będę duża...*

Wrony czekały, aż tam w dole zapanuje spokój. Kiedy niebieska sukienka okrywająca dziewczynkę stała się tym właśnie i niczym więcej, sfrunęły - jedna, druga, trzecia - na ziemię, zachowując taktownie dystans. Potem zabrały się do bransoletki. Szarpały za ozdoby. Urwały jedną. Wrona, która tego dokonała, wzbiła się w powietrze ze srebrzystą błyskotką w dziobie. Z wygrawerowanym imieniem dziewczynki. Za nią odleciała reszta i dziewczynka została sama.

WITAJ, SZKOŁO!

Napiszcie „all right”. Zarówno „all right”, jak i „all wrong” pisze się oddzielnie. Napiszcie „all right” i „all wrong” jeszcze raz.

Ćwiczenia ortograficzne Macmillana, 1962

Ojciec nie musiał już odprowadzać Madeleine do szkoły, ale dotąd stanowiło to ich rodzinną tradycję w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. Ulica St. Lawrence roi się od dzieci w nowych ubraniach - dziewczynek w bawełnianych sukienkach i podkolanówkach, chłopców we flanelowych koszulach i sportowych butach z wysokimi cholewami. Stroje są starannie wyprasowane, włosy ostrzyżone, zaplecione w warkoczyki, wyszczotkowane. Niektórym dzieciom, młodszym od Madeleine, towarzyszą rodzice. Madeleine zamierzała pójść do szkoły razem z Lisą i Aurielle, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie, gdyż tacie na pewno byłoby smutno, że jego stary druh wybiera się do szkoły bez niego.

Jack pogwizduje przez zęby i chłonie wzrokiem tę odświętną paradę w promieniach porannego słońca. Madeleine chwyta jego rękę - ten gest ma mu wynagrodzić to, że w czwartej klasie wolałaby, żeby nie widziano jej idącej z tatą za rękę.

- Nie denerwuj się, stary druha - mówi tata i puszcza do niej oko.

Madeleine nie zamierza wyprowadzać go z błędu - niech sobie myśli, że to dlatego wzięła go za rękę. Uśmiecha się do siebie z tego powodu.

Mijają po lewej pustej zielony bungalow. Jeśli wśród jego przyszłych mieszkańców będzie dziecko w wieku szkolnym, to opuści pierwsze dni nauki. Mike idzie z przodu z Royem Noonanem, w nowej czapce baseballowej zasłaniającej krótko przycięte włosy. W szkolnym tornistrze niesie komiks ze Spidermanem - Madeleine widziała, jak go tam wkładał, ale nie wypaplała rodzicom. Jej sukienka nie ma kieszonek. Przód jest marszczony, a dół ozdabia krzykliwy nadruk przedstawiający Afrykańczyków grających na bębnach - który na sukience nie razi. Madeleine niesie biały zapinany sweter przerzucony przez ramię i zaczepiony na palcu - tak jest bardziej zawadiacko, tak nosiłoby się, na przykład, skórzaną kurtkę. Marzyła o eleganckich czółenkach, ale *Maman* kupiła jej nową parę sportowych

półbutów. Niestety, nie da się tego ukryć.

Madeleine jest rozpalona i jednocześnie w środku czuje chłód. Trema. Ojciec mówi, że daje się ona we znaki przed premierą nawet najwybitniejszym artystom. Dzisiaj jest premierowy występ. Nowe zeszyty. Nowi koledzy i koleżanki. Nowy nauczyciel. Nowe „ja”. Kusi ją, żeby puścić ojcowską rękę i odfrunąć w bok niczym latawiec.

- Tato?

- Tak?

- Możemy spotkać się po szkole i razem wrócić do domu?

- Nie będziesz chciała pobyć trochę z koleżankami?

- Nie.

- No dobrze, zobaczymy. Ale namyśl się jeszcze. Powiesz mi w czasie przerwy na lunch, zgoda?

Madeleine spogląda na niego, rondo kapelusza zacienia mu oczy. - Zgoda.

Ojciec włożył dziś letni mundur, który od tego drugiego różni się tym, że jest w kolorze khaki, a nie granatowy. W słoneczne dni nosi kapelusz nasunięty mocniej niż zwykle, ze względu na dawny uraz oka, który wciąż potrafi przyprowadzić go o dotkliwy ból głowy. Madeleine uwielbia ojcowskie mundury, khaki i tamten granatowy. Najbardziej podoba jej się kapelusz, z piękną odznaką nad rondem: czerwoną aksamitną koroną w złotej obwódce i, tuż pod nią, mosiężnym albatrosem w locie, z dziobem zwróconym w lewą stronę. Niektórzy twierdzą, że to orzeł, i w mesie toczą się na ten temat zażarte spory, ale według jej ojca każdy słusznie myślący lotnik wie, że to albatros. Ptak wróżący pomyślność. Chyba że się go przypadkiem zabije, wtedy jest inaczej. Poza tym orzeł to amerykański symbol.

Nad lewą kieszenią marynarki ma naszyte skrzydełka. Nawet jeśli lotnik już nie lata za sterami samolotu, zachowuje swoje skrzydełka. Na wiosnę przyszłego roku, gdy Madeleine zbierze wystarczającą liczbę zuchowych sprawności, „wzięci” na wyższy stopień i zostanie przyjęta do harcerek. Wtedy ona też będzie mogła z dumą nosić na piersi przypięte skrzydełka.

- Jesteśmy na miejscu - mówi tata.

Dziedziniec szkolny. Wrzawa tłumu unosi się jak stado mew nad turbulencją falujących głów, nad pasiastymi, kropkowanymi i kraciastymi zawirowaniami, ponad które od czasu do czasu wybija się, niczym dźwigar płata, postać dorosłego. Jack rozgląda się, wciąż trzymając Madeleine za rękę. Dostrzega w ciżbie Mike'a i przytyka rękę do ronda kapelusza. Mike odwzajemnia się, dotykając daszka czapki.

- Chyba lepiej już pójde - oznajmia Madeleine, bo zanosi się na to, że tata będzie

czekał aż do dzwonka.

- W porządku - mówi tata i pochyla się nad nią. - Daj się poznać od jak najlepszej strony, skarbie. Bądź sobą.

Całuje go w gładki policzek, pachnący old spicem. - Cześć, tato.

Madeleine zanurza się w tłum, który otacza ją ze wszystkich stron. Wyobraża sobie, że gdyby stanęła na palcach, porwałby ją niczym patyk wrzucony do rzeki. Zgiełk dochodzi z oddali i jednocześnie dźwięczy jej w uszach. Madeleine przystaje obok huśtawek i spogląda za siebie na ojca, który odchodzi ulicą Algonquin Drive. Powinna była odwrócić się wcześniej i pomachać mu na pożegnanie. Nigdy nie wiadomo, kiedy widzi się tatę po raz ostatni. Może właśnie teraz. Tył głowy, kapelusz, mundur khaki leżący jak ulał. *Kiedy żył mój tata*. Ma ochotę pobiec za nim, złapać go za rękę...

- Madeleine.

Odwraca się. - Och. Cześć, Sara.

Madeleine zgina się i udaje, że poprawia sznurowadła, w nadziei, że Sara pójdzie sobie dalej, ale ta zostaje i mówi: - Y-cz dziejsz-przy od niem siaj-dzi an czlan?

- Co?

Sara chichocze. - To na wspak, głuptasie. Eń miesz-ro-zu?

- Ach tak.

Madeleine patrzy jej przez ramię na Colleen Froelich, która nie spiesząc się, z twarzą lekko odwróconą w drugą stronę, kieruje się w stronę budynku szkoły. Ubrana jest w spódnicę i bluzkę, które podkreślają jeszcze jej opaleniznę, jej nogi wydają się jeszcze szczuplejsze i mocniejsze. Jak u dzieciaka, którego ktoś znalazł w lesie i przyodział. Colleen ma na nogach eleganckie czółenka na płaskim obcasie. Madeleine jest ciekawa, czy zabrała do szkoły swój nóż. Colleen chodzi do szóstej klasy.

- Dziejsz-przy ycz eń?

- Co?

- Przyjdiesz do mnie na lunch? - mówi Sara, wywracając oczami z udawanym zniecierpliwieniem; ubrana jest w przewiewną żółtą sukienkę.

- Mama będzie na mnie czekać - mamrocze w odpowiedzi Madeleine, lustrując plac zabaw, wypatrując Auriel i Lisy jak zbawienia.

- A jutro?

- Nie wiem.

Są... przy bujawkach.

- Muszę iść. - Odchodzi i dodaje, siłąc się na grzeczność: - Na razie.

Ale nie dane jest jej dołączyć do przyjaciółek, gdyż naraz rozbrzmiewa dzwonek.

Madeleine pędzi wraz z innymi do wejścia. Wyrasta przed nimi rząd nauczycieli, słysząc niewyraźne polecenia przez megafon, pierwsza klasa ma się ustawić po prawej - ale czyjej prawej? Kto wchodzi pierwszy? Przedszkolaki już zostały zagonione do środka oddzielnym wejściem, inaczej groziłoby im stratowanie.

- Spokój, chłopcy i dziewczęta!

Rok szkolny już oficjalnie się rozpoczął. Madeleine staje przez pomyłkę w rzędzie z piątoklasistami. Niejasno zdaje sobie sprawę, że coś jest nie tak, wszyscy przerastają ją o parę centymetrów.

- Psst! - Odwraca się i widzi Auriel, która pokazuje jej na migi: „Tutaj, ty ofermo!”.

Madeleine wycofuje się z szeregu piątoklasistów i Auriel łapie ją za sweter, przyciągając ją do siebie, do bezpiecznej przystani klasy czwartej.

- Ale dałaś plamę, McCarthy! - szepcze Auriel.

Lisa Ridelle, zgięta w pół, dławi się bezgłośnym śmiechem. Cała trójka zatyka sobie usta i chichocze, słysząc gwizdek, kolejne oddziały uczniów idących gęsiego znikają za ogromnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Madeleine podąża za karawaną w przyszłość. Kto będzie nas uczył? Czy nasza pani będzie ładna? Czy będzie miła? Czy będę rozumieć ułamki? *Que será, será...*

- Dzień dobry, chłopcy i dziewczęta. Nazywam się March.

Jest gruby, ubrany w szary garnitur; może okazać się całkiem miły. Grubi ludzie na ogół są życzliwi dla innych.

- Dzień dobry panu - rozlega się odwieczna śpiewka uczniów.

Na nogach ma ciężkie brązowe półbuty, nieco zakurzone. Może pan March ma za duży brzuch, żeby się zgiąć i je przetrzeć. To było okrutne z mojej strony, wybacz mi, Panie Boże.

Na samym początku lekcji pan March przesadza chłopców do przodu.

- Już ja wiem, do czego są zdolni chłopcy - mówi, przeprowadzając zmiany w rozmieszczeniu uczniów. Nie widzi potrzeby przesadzania dziewczynek albo nie wie, do czego są zdolne, to też możliwe. Madeleine się cieszy, ponieważ jej ławka położona jest idealnie: tuż przed Lisą i obok Auriel siedzącej w drugim rzędzie.

Szurają krzesła, wszyscy wstają, żeby odśpiewać hymn na cześć królowej brytyjskiej, a potem na cześć klonowego liścia, godła Kanady, i na koniec zmówić Modlitwę Pańską. Krzesła znów chroboczą, uczniowie siadają, zaczynają się pogawędki.

- Może tak przestaniemy się wzajemnie zagłuszać, co? - mówi pan March.

Uchwyty okularów pana Marcha przyprószone są łupieżem, zauważa Madeleine, gdy

nauczyciel chodzi między rzędami ławek, rozdając uczniom nowe zeszyty do ćwiczeń ortograficznych. Różowe.

- Gordon Lawson - wyczytuje z dziennika pan March. - Jak się pisze słowo „chrząszcz”?

- C-H-R-Z-Ą-R, nie, S-Z-C-Z.

- Świetnie, mój panie - mówi pan March. - Reszta niech bierze przykład z pana Lawsona i stara mu się dorównać.

Madeleine chciałaby, żeby pan March jej również kazał przeliterować jakieś słowo. Na jej ławce łąduje różowy zeszyt. Na okładce widnieje wybitą tłustą czcionką napis „Hilroy”; wesołe litery naśladowują krój pisma ręcznego.

Dziewiczy, otwarty po raz pierwszy zeszyt. Zapach nowości. Połysk papieru. To już nie ten zeszyt dla maluchów w szerokie linie. To zeszyt dla klasy czwartej. Przepiszcie te piękne pisane literki, które zdobią ścianę nad tablicą, każda występuje w parze, duża i mała, mama i dziecko, klacz i źrebię. Przypatrzcie się mapie świata, która rozciągnięta jest na tablicy. Kanada i kraje Wspólnoty Brytyjskiej zaznaczone są na różowo. Podziwiającie wycinanki, które przystrajają ścianę między ogromnymi oknami - szynka i mleko, owoce, drób i inne zdrowe produkty; miary objętości i długości; równoramienne trójkąty hasają obok dzikich zwierząt i dzieci z różnych stron świata w eskimoskich kurtkach z kapturami i meksykańskich sombreroach. A nieco z przodu, przy ciężkim dębowym biurku, wyłożona filcem tablica ogłoszeń na sztalugach. Jedyna niezagospodarowana powierzchnia w całej klasie.

Madeleine kładzie nowe pudełko kredek świecowych obok linijki i nowego piórnika w kratkę. Powietrze jaśnieje obietnicą, szkoła przesycona jest bukietem zapachów: świeżych ołówkowych ostrużyn, skórek od pomarańczy, wosku do podłogi. Nikt jeszcze nie zwymiotował na korytarzu, więc nie trzeba go było wysypywać barwnymi trocinami; płaszcze na hakach z tyłu sali nie przeszły jeszcze wilgocią i stęchlizną od deszczu i śniegu - haki są teraz puste, jeszcze jest za ciepło na płaszcze. Trudno uwierzyć w nadejście zimy, gdy spogląda się przez ogromne okna na plac zabaw i dalej, na jasne domy w SKR-ach. Ale patrząc przez to okno, będę widzieć, jak zmieniają się pory roku, patrząc przez to okno, skończę dziewięć lat...

- Jak się nazywa stolica Borneo, dziewczynko? - pyta pan March.

Madeleine wzdryga się. To o nią chodzi?

- Słucham?

Pan March wywraca oczami i intonuje: - „O, piękny marzycielu...”.

Klasa się śmieje. Nauczyciel rozdaje zeszyty do geografii. Zielone.

- Ochotnicy? - mówi pan March.

Nikt się nie zgłasza.

- A może ty... - zagląda do dziennika. - Lisa Ridelle? Jak się nazywa stolica Borneo?

- Nie wiem - odpowiada Lisa, ledwo słyszalna zza swej opadającej jasnej grzywki.

Madeleine rozgląda się po sali. Nikt nie wie. Nawet Sara Nolan.

- Cóż, zaręczam ci, że będziesz wiedziała, zanim skończy się ten rok szkolny, podobnie jak wszyscy pozostali.

Tuż przed Madeleine siedzi Grace Novotny. Przedziałek w jej włosach jest krzywy, a warkoczyki związane zwykłą gumką. To prawda, Grace śmierdzi - kiedy Madeleine pochyła się do przodu, dolatuje ją przykry zapach. Może moczy się w nocy. Ten zapach jest przygnębiający. Madeleine prostuje się i zwalcza pokusę wtulenia nosa w zagięcie swego nowiuteńkiego zeszytu. W tym roku będzie dbała o to, żeby zeszyty wyglądały schludnie, bez skreśleń i oślich uszu. Nie będzie robiła błędów w pisowni i będzie uważała, żeby w drodze ze szkoły do domu nie upuścić tego zeszytu do kałuży.

- Kiedy była wojna 1812 roku?

Madeleine podnosi wzrok, nic jej nie grozi. Głowa nauczyciela obraca się na wszystkie strony jak peryskop, wypatrując uniesionych rąk. Po chwili pan March odzywa się lekko znużonym tonem: - To był żart, chłopcy i dziewczęta, jeśli sami się nie domyśliliście.

Rozlega się uprzejmy śmiech.

Nauczyciel wręcza każdemu uczniowi gruby czerwony podręcznik. To czytanka dla klas czwartych. Madeleine otwiera ją na chybił trafił i od razu wciąga ją historia policyjnego psa imieniem Dale. To owczarek niemiecki w służbie Kanadyjskiej Policji Konnej. Strzeże policyjnego dobytku i nie pozwala starszym dziewczynkom dokuczać młodszym. Pewnego dnia zgubiła się mała dziewczynka. „Pan Dale'a dał mu do powąchania jej sweterek. Dale zrozumiał w lot, że musi szukać kogoś, kto ma taki sam zapach”. Dale znalazł dziewczynkę, która spała sobie na polu. Jej rodzice zamartwiali się jej zniknięciem. Dale przypomina do złudzenia Łeza od sąsiadów po drugiej stronie ulicy. Niebieski podręcznik ląduje z hukiem na jej ławce, Madeleine zamyka książkę; ma wrażenie, że czytając z wyprzedzeniem, w jakiś sposób oszukuje.

- Powinienem od razu postawić sprawę jasno - oświadcza pan March. - Nie będę tolerował tu śmichów-chichów, fiu-bździu ani grubiaństwa.

- Sam jest gruby jak beczka - szepcze Madeleine do Auriel.

- Co powiedziałaś?

Madeleine podnosi wzrok, purpurowa na twarzy.

Nauczyciel zagląda do dziennika. - Madeleine McCarthy... no proszę. Aliteracja. Możesz podać mi definicję aliteracji?

Pewnie na mnie patrzy, myśli Madeleine, bo wymienił moje nazwisko. Ale trudno to stwierdzić, gdyż w szklach jego okularów odbija się światło, a po wyrazie jego nalanej twarzy nie sposób się domyślić, na czym w tej chwili jest skupiony.

- Um-m... - zaczyna Madeleine.

- Nie zastanawiaj się na głos - odzywa się nauczyciel znudzonym głosem.

- Jest to...

- Pełnym zdaniem, proszę.

- Aliteracja występuje wtedy, gdy ktoś nie umie czytać ani pisać.

Nikt się nie śmieje, ponieważ żaden z uczniów, z Madeleine włącznie, nie ma pojęcia, co to jest aliteracja.

- Mamy w klasie dowcipnisia - mówi pan March.

Madeleine przeżywa udawkę, ale jednocześnie czuje ulgę, gdyż pan March chyba zapomniał, o co w ogóle ją pytał. Dalej rozdaje uczniom niebieskie podręczniki, *Życie z arytmetyką*, co brzmi, jakby arytmetyka była chorobą; właściwie nią jest. Madeleine zerka do środka. Jak było do przewidzenia, nęcące rysunki, intrygujące zestawienia karabinów i ciastek, samochodów i kapeluszy. „Na ile zbiorów po ośmiu dzieci do każdego tanecznego czworoboku* można podzielić grupę 120 dzieci?”. Jakich dzieci? Gdzie one mieszkają? Czy mają rodziców? „Na strzelnicy Bob uzyskał 267 punktów. Jego ojciec uzyskał 423 punkty...”. Kim jest Bob? Kto pozwolił mu strzelać? Kłamlive opowiadki o pani Johnson piekącej ciastka, o panu Green układającym jabłka w skrzynkach, ładującym świnię do ciężarówki, wszystko to bałamutna narracyjna warstwa przysłaniająca nagie matematyczne fakty - ile, kiedy, jak długo, a pod zmyślonymi postaciami ukrywają się liczby.

- Jaki jest pierwiastek kwadratowy z czterdziestu siedmiu? - pyta pan March, przechadzając się między ławkami. Madeleine wpada w popłoch - nie wiedziałam, że w czwartej klasie przerabia się pierwiastki kwadratowe. Nauczyciel staje przy dziewczynce z długimi lśniąco czarnymi włosami.

- Nie wiem - odpowiada uczennica.

- Coś takiego - kwituje pan March. Jego głos brzmi tak, jakby nie panował nad swoimi mięśniami. Jak coś ciężkiego toczącego się z górki.

* W oryginale chodzi o popularny taniec zwany *square dancing*, który wykonują cztery pary tworzące czworobok.

Dziewczynka, którą zapytał, popłakuje cicho w ławce!

- Nie trzeba zaraz wylewać łez, dziewczynko.

Rozlega się dzwonek. Przerwa.

- Boczny wyjściem, chłopcy i dziewczęta - przekrzykuje zgiełk pan March.

Bocznymi drzwiami wychodzi się prosto na plac zabaw, więc hurmem wylewają się na światło słońca, drąc się radośnie, jak to dzieciaki. Przed nimi całe szalone piętnaście minut swobody. Chłopcy wyprzedzają dziewczynki, zajmują boisko do baseballu, szukają gładkiej nawierzchni nadającej się do gry w kulki albo po prostu gonią się i tłuką jeden drugiego. Lisa, Madeleine i Auriel splatają ręce i kroczą noga w nogę jak roboty, skandując: „Nikt nas nie zatrzyma!”. Zmierzają prosto na bujawkę, przewracają się o poprzeczkę. Udają, że płyną. Udają, że lecą.

Dzwonek rozlega się stanowczo za wcześnie; czwartoklasiści maszerują gęsiego z powrotem do sali, gdzie zastają dziewczynkę, tę, która się rozplakała na lekcji. Ściera tablicę gąbką. To wyróżnienie, widocznie pan March starał się być dla niej miły, przecież nie jest potworem. Dziewczynka nazywa się Diane Vogel. Jest bardzo ładna. Pan March wspaniałomyślnie pozwolił jej napisać kredą na tablicy temat obecnej lekcji: Botanika. Diane Vogle ma piękny charakter pisma.

Gdy Madeleine siada z powrotem na swoim miejscu, ogarnia ją po raz pierwszy pokrzepiające poczucie własności: moja ławka. Kałamarz, z którego już się nie korzysta. Ojciec mówił jej, że dawniej, kiedy wypełniano kałamarze atramentem, chłopcy maczali w nich warkocze koleżanek. Madeleine spogląda na mysie ogonki Grace i zastanawia się, czy któryś z kolegów miałby ochotę tak się z nią podrażnić. *Maman* twierdzi, że chłopcy w ten sposób zalecają się do dziewczynek: kto się lubi, ten się czubi. *Dziwny sposób okazywania sympatii, doktołku.*

Pan March wręcza uczniom kredki i blok techniczny. Do przerwy na lunch obywa się bez incydentów. Przerysowują ze zdjęć liście i kwiaty polne, takie jak ziele królowej Anny, które „powszechnie występuje w tych stronach”, wyjaśnia pan March.

- To po prostu dzika marchew, i do tego cuchnie - szepcze Madeleine do Auriel, ale na szczęście pan March nie patrzy w jej stronę. Jest zajęty. Gdy wszyscy w ciszy rysują, nauczyciel kreśli coś skrzypiącym pisakiem na żółtych arkuszach brystolu.

- Jak początek nauki w nowej szkole, skarbie? - pyta Jack, gdy pałaszują lunch, na który składają się kanapki z sałatką z tuńczyka, krem z grzybów Campbella i, na deser, *pête-*

de-nonne, akadyjskie wypieki. Ta niewinna nazwa po francusku znaczy „pierdniecia zakonniczy”, dlatego pewnie nie tłumaczy się jej na angielski.

- Świetnie.

- To dobrze.

Tym razem ojciec nie odprowadza jej do szkoły, poranna udreka już się nie powtórzy. Madeleine pędzi na spotkanie z Lisą i Auriel; na końcu podjazdu odwraca się i macha na pożegnanie tacie, a potem z przyjaciółkami biegnie przez całą drogę powrotną do szkoły; rękawy sweterków zawiązały sobie wokół szyi i teraz sweterki powiewają im z tyłu niczym peleryna Batmana.

- Potrzebny mi ochotnik - oznajmia pan March tuż przed końcem lekcji. Uczniowie się zgłaszają. Przeważnie dziewczynki. Madeleine nie podniosła ręki, ale czuje, że tak nie wypada, więc z grzeczności unosi ją lekko. Sara Nolan dźga ręką powietrze, za każdym razem podkreślając ten gest natarczywym „Och!”.

Pan March zagląda do dziennika. - Sara Nolan, zostaniesz na przerwie w sali i zrobisz coś dla mnie.

Sara rozgląda się z dumą po klasie, jakby spodziewała się ujrzeć zazdrość wypisaną na twarzach kolegów i koleżanek. Madeleine cieszy się, że to nie ona została wybrana, gdyż straciłaby przerwę, a jej radość jest podwójna, ponieważ padło na Sarę, więc Madeleine nie będzie się martwić, że ją urazi, jawnie unikając jej na boisku. Dzwonek.

- Pojedynczo, chłopcy i dziewczęta. Nie przepychajcie się.

Po powrocie do klasy zastają Sarę siedzącą przy biurku pana Marcha. Wycina z żółtego brystolu owalny kształt, ostatni już. Pan March przypina je jeden pod drugim wzdłuż lewej krawędzi filcowej tablicy. Na każdym owalu widnieje imię wypisane czarnym mazakiem. Każdemu uczniowi odpowiada jeden owal, a ponieważ w klasie jest wiele dziewczynek o imieniu Cathy, Debbie, Diane czy Carol i wielu Michaelów, Bobbych, Davidów i Stephenów, więc po tych imionach następuje pierwsza litera nazwiska. U góry, w poprzek tablicy, nauczyciel przypina kolejne owale, po jednym dla każdego przedmiotu. Czytanie, pisanie, arytmetyka, geografia, historia, plastyka.

- Uwaga, chłopcy i dziewczęta - mówi pan March, po czym odwraca się do tablicy i coś do niej przyczepia. Kiedy odsuwa się na bok, widać trzy wycięte z filcu zarysy: zająca, delfina i żółwia.

- To zależy od was - podkreśla nauczyciel.

Czy będziecie szybkożonogim zającem? Poprawnym delfinem? Czy głupim żółwiem? Ze

wszystkich zwierząt tylko żółw jest uśmiechnięty, co Madeleine wydaje się dziwne, chyba że to prawda, co mówią o „błogiej niewiedzy”.

- Te wycinanki są dziełem pani March, a ja przekonałem się, że świetnie się sprawdzają - mówi pan March.

Jakby zachwalał środek na przeczyszczenie, myśli Madeleine, i żeby odegnać obraz pana Marcha na sedesie, wyobraża sobie panią March, dobroduszną kobietę uczesaną w kok, zgarbioną nad stołem z nożyczkami w ręku, schnącą z tęsknoty za własnymi dziećmi. Jakoś nie zastanawia jej to, dlaczego zakłada, że państwo March są bezdzietni.

Odwracając się do uczniów szerokimi plecami, pan March przyczepia u dołu tablicy delfiny, żółwie i zające, które po kolei odrywa z miękkiej, różnobarwnej sterty i przyciska palcami do filcowej powierzchni. Czają się tam, zbite w gromadę, gotowe skoczyć, popłynąć czy przywlec się do dowolnego uczniowskiego imienia pod każdym przedmiotem. Madeleine jest pewna, że przynajmniej w czytaniu okaże się zającem.

- Ale ostrzegam was lojalnie, chłopcy i dziewczęta - mówi pan March swoim grudkowatym głosem. - Chociaż wielu z was uważa się za zające, nie zapominajcie o przypowieści o żółwiu i zającu...

Błysk okularów nie jest skierowany do żadnego z uczniów, nauczyciel patrzy na nich i przez nich zarazem, jak iguany w filmie *Świat dzikich zwierząt*.

- Zając był szybki, ale nie potrafił się skupić...

Iguany mają grudkowatą skórę i spoglądają tak jak pan March.

- ...podobnie jak Madeleine McCarthy.

Madeleine mruga. Uczniowie chichoczą. Wszyscy mają otwarte podręczniki do ortografii otwarte na stronie - której? Jak mogłam to przegapić? Zerka na bok w stronę Auriel, która usłużnie przechyliła książkę - strona dziesięć. Madeleine otwiera podręcznik: *wahadło, bohater, hamak, hotel, holownik, druh, hojny...*

- ...wojskowego, zarządzania i finansów, jak również kurs administracji dla młodszych oficerów...

Jack jest na zebraniu z kadrą kierowniczą. Haki na wieszaku obrośły lotniczymi czapkami; na parapecie leżą czapki, dla których nie starczyło miejsca na wieszaku. Oprócz Jacka jest jeszcze dwóch nowo przybyłych oficerów, również ze względu na nich zwołał tę dzisiejszą naradę. Vic Boucher omówił już ważniejsze wydarzenia zaplanowane na ten rok - wyjazdy do siedziby Dowództwa Szkolenia Lotniczego w Winnipeg i przyjazdy przedstawicieli Dowództwa do Centralii, wyjazdy do Szkoły Sztabowej w Toronto, zawody

międzyuczelniane w piłce siatkowej i curlingu. Teraz major Nolan podsumowuje tegoroczny nabór słuchaczy. Major mruczy pod nosem, jakby zwracał się do notatnika, który trzyma przed sobą. Jack pochyla się do przodu, żeby lepiej słyszeć - „sześciuset studentów na kierunku matematyczno-technicznym, stu czterdziestu siedmiu elewów na księgowości, w tym trzydziestu ośmiu z NATO” - ale jego spojrzenie wędruje w kierunku okna - „około tysiąca siedmiuset naszych kandydatów będzie kształcić się dalej, na Uniwersytecie Ontario”.

Jack odrywa wzrok od błękitu nieba i skupia się na naradzie. W samą porę. Nolan właśnie skończył.

- Dobra robota - stwierdza, stukając ołówkiem o blat. - Wiecie panowie, na czym polega tak zwana metoda analizy konkretnych przypadków?

Słyszało o niej paru młodszych oficerów.

- Czy ktoś może podać mi przyjętą w siłach powietrznych definicję dowodzenia?

Podnosi rękę młodszy wykładowca, który zapisał się na studia magisterskie z zarządzania.

- Panie pułkowniku, sądzę, że standardowa definicja jest następująca - sprawia wrażenie nieco zagubionego w tym mundurze lotnika, czyżby samoloty go nudziły? - Dowodzenie to sztuka oddziaływania na innych w celu osiągnięcia celu.

Wyuczył się na pamięć. Asem przestworzy to on nie będzie. Nazywa się Vogel, jak na ironię.

Jack kiwa głową. - Nieźle. Ale co to właściwie znaczy? „Oddziaływanie”. W jaki sposób? Kto ustala „cel”? Jak postępować, gdy zmiana budzi opory?

Zabiera głos major Lawson, szef zespołu wykładowców: - O ile wiem, w wojsku stawia się sprawę tak: „Zmień się, bo jak nie...”. Zebrani się śmieją.

- Właśnie - stwierdza z rozbawieniem Jack. - „To nic nie boli. Bolało?”.

Znów rozlega się śmiech.

- W wojsku - ciągnie Jack - istnieje łańcuch dowodzenia i nawet w gorączce bitwy jest jasne, kto wydaje rozkazy. Ale w czasie pokoju - gdy nastaje długotrwały pokój, jakim cieszymy się obecnie - zaznacza się tendencja do biurokratycznego rozděcia, zatracenia poczucia, czemu to wszystko właściwie służy.

- Chociaż nie wolno nam zapominać - dodaje Jack - że nawet podczas wojny zawsze jakiś generał w zaciszu swego gabinetu przesuwa pionki na mapie.

Mruczają potakująco, mimo że z wyjątkiem Vica - no i w pewnym sensie Jacka - nie ma wśród obecnych weteranów wojennych. Jeśli nie liczyć ich dwóch, wiek pozostałych wskazuje, że nie mogli walczyć na wojnie.

Jack wznawia swój wywód. - Zamierzam tu wprowadzić podejście nieco bardziej socjologiczne. Już od jakiegoś czasu jest ono propagowane przez czołowe uczelnie wykładające zarządzanie i takie nastawienie panuje w świecie. Odbiega to trochę od tradycyjnego „tak jest, rozkaz”. Chodzi o to, żeby wnikać głębiej, poznać całą złożoność tego zagadnienia, bo świat wokół nas z dnia na dzień staje się trudniejszy do ogarnięcia.

- Święta prawda - odzywa się Vic.

- Wyobraźcie sobie wojsko jako korporację - mówi Jack. - Jaką działalność prowadzimy? Działamy na rzecz pokoju. Kim są nasi udziałowcy? To obywatele Kanady. Naszym celem jest obrona państwa. Wymaga on rozpoznania i określenia konkretnych zadań, takich jak współpraca z naszymi sojusznikami w ramach przeciwdziałania zagrożeniu ze strony Sowietów; śledzenie rozwoju wydarzeń i reagowanie na groźne sytuacje powstające w obrębie naszych granic i na całym świecie; ocena niebezpieczeństwa w perspektywie użycia broni masowego rażenia. Co jest kluczowym pojęciem? Komunikacja, przepływ informacji.

Przerywa i rozgląda się. Jego podwładni siedzą w wygodnych pozach na krzesłach wypożyczonych z sąsiednich gabinetów. Zasłuchani.

- Możecie mieć świetnego pilota, ale jeśli obsługa naziemna przykręciła złą nakrętkę skrzydełkową, bo inżynier złożył właściwe zamówienie w niewłaściwym wydziale, którego oznaczenie zostało zmienione tydzień wcześniej, a goniec, znudzony papierkową robotą, nie wnika w takie drobiazgi, możecie liczyć się z potencjalnie zabójczym efektem domina.

- A wszystko to z braku hufnala - odzywa się Vogel.

Jack milczy. Vogel spuszcza wzrok.

- Otóż to - mówi po chwili Jack. - Powstaje pytanie, czy nasza kadra potrafi kierować ludźmi i przepływem informacji tak, aby skutecznie dowodzić? Naszym zadaniem jest nauczyć ich tego.

Jack wstaje i podchodzi do regału z książkami.

- Kilku z was będzie mogło zapisać się na kurs administracji na Uniwersytecie Zachodniego Ontario w Londynie, poza tym służę zgromadzonymi przez siebie materiałami z nowych książek, które zaczynają pokazywać się na rynku.

Wyciąga opasły tom powielonych materiałów i rzuca go na biurko. Przewraca kartki, przy okazji wywołując przewiew w małym pomieszczeniu.

- To nie są dyrdymały, te artykuły to przewodnik po każdym aspekcie funkcjonowania *prawdziwych przedsiębiorstw*. *General Electric*, *American Motors*... Cele organizacji można wywnioskować przez analizę jej działań - zamyka wachlarz z kartek.

- Ludzkie zachowania - stuka w okładkę i posyła zebrany chytre spojrzenie. -

Możecie uznać Tomka Sawyera za pierwszego geniusza zarządzania.

- Jak namówić kogoś, żeby pomalował za ciebie parkan? - odzywa się oficer siedzący z tyłu.

- I jeszcze oddał ci jabłko - dodaje ktoś z drugiego końca pomieszczenia, wzbudzając ogólną wesołość.

- Do tej pory administracja wojskowa zbyt gorliwie skupiała się na działaniu praktycznym - stwierdza Jack. - Zamierzamy to naprawić. Nie wolno jednak dopuścić do tego, żeby wahadło za bardzo wychyliło się w drugą stronę. Żeby obciążenie analizami - rozważanie każdej ewentualności przewidzianej w podręcznikach - paraliżowało zdolność działania. Nie każdy dowódca potrafi pogodzić jedno z drugim. Facet, z którym polecilibyście do samego piekła i z powrotem, może na ziemi okazać się beznadziejny.

Jack wsuwa tom na miejsce, odwraca się, opiera dłońmi o biurko i mówi, patrząc im w oczy: - Musicie zadać sobie pytanie, gdzie jest moje miejsce w tym układzie? Czy odpowiadam za całość, czy tylko za wycinek? Co stanowi sferę mojego oddziaływania?

Po chwili odzywa się jeden z wykładowców rachunkowości: - Inaczej mówiąc, jak duża jest moja działka?

- Dokładnie.

Uchylają się drzwi, do środka wtyka głowę młody porucznik lotnictwa: - Panie pułkowniku, kapitan Fleming do pana, czy mam...?

- Proszę mu powiedzieć, że zaraz oddzwonię - mówi Jack.

- Tak jest - odpowiada porucznik i wycofuje się.

- Dorabia pan sobie w armii? - żartuje Vic; pozostali chichoczą. W kanadyjskich siłach powietrznych nie ma stopnia kapitana.

Jack uśmiecha się szeroko. - Pewnie jakaś oferta w kwaterze głównej Obrony Narodowej ma zamiar zwiększyć udział wojsk lądowych w szkoleniu pilotów.

- Pilot wojsk lądowych? Przecież to sprzeczność sama w sobie - zauważa jeden z zebranych.

Jack już wie, że dobrze będzie mu się pracowało z tym zespołem. Zerka na porządek zebrania i oddaje głos majorowi Baxterowi, który ma omówić wybrane sprawy personalne elewów. Rozsiada się wygodnie. *Kapitan Fleming*. Jack utkwiał wzrok w mówiącym, ale ma podzieloną uwagę i z łatwością może skupić się na dwóch rzeczach naraz.

- ...elewów z Nigerii, a jeśli chodzi o elewów z Egiptu, chociaż nie wszyscy obchodzą święta Bożego Narodzenia, przygotowaliśmy dla nich na ten czas specjalne...

Oskar Fried na pewno jest już w drodze. Błękitne niebo za oknem, rząd czapek na

parapecie, zapach wosku do podłóg i ołówkowych ostrużyn charakterystyczny dla szkół i rządowych instytucji, wszystko to w umyśle Jacka stapia się w jedno w promieniach popołudniowego słońca i ogarnia go nieoczekiwane uczucie głębokiego zadowolenia. Nie spieszy mu się do rozmowy z Simonem. Jeśli dzwoni jako „kapitan Fleming”, to znaczy, że to nic pilnego. Jeśli przedstawia się jako „major Newbolt”, to sprawa niecierpiąca zwłoki, innymi słowy, „rzucaj wszystko i gnaj do telefonu”. Jacka rozbawił szyfr ustalony przez Simona. O ile w przypadku „kapitana Fleminga” odniesienie jest oczywiste, komiczne wręcz, to jeśli chodzi o „Newbolta”, musi koniecznie zapytać Simona, skąd wytrzasnął to nazwisko. Jack sięga po ołówek i zaczyna stukać nim w biurko, słuchając.

- ...rachunkowość, analiza statystyczna...

Czytanie, pisanie, arytmetyka, geografia, historia, plastyka. Filcowe zwierzątka wyruszyły na wędrowną podróż po tablicy. Madeleine bez zdziwienia przyjmuje to, że jest zajęciem w czytaniu. Jednak mimo że świetnie sobie radzi z ortografią, w pisaniu określona została jako żółw. To kara za charakter pisma. Nie dość, że jej literki wciąż za bardzo przypominają drukowane, to choćby nie wiadomo jak się starała, zawsze zabraknie jej miejsca na końcu linijki i wciśnięte tam słowa wyglądają jak rząd samochodów, które zderzyły się na autostradzie.

Jest za pięć trzecia. Pan March wybrał najładniejsze rysunki kwiatów i przygotował je do naklejenia: jaskry Sary Nolan, tulipany Cathy Baxter i mleczce Joyce Nutt. Madeleine narysowała cudowne stokrotki z buźkami i długimi rzęsami - jedna pali fajkę, druga łobuzersko puszcza oko, a trzecia jest w okularach i z wąsami. Jest zawiedziona, że jej dzieło nie zostało docenione, ale to uczucie mija, kiedy uświadamia sobie, że delfin z plastyki to i tak dużo za takie fantazyjne kwiaty. Dopiero teraz bowiem, gdy rozgląda się po klasie, dociera do niej, że chodziło o realistyczne przedstawienie. Od niechcenia zasłania rękami swoje stokrotki.

- Diane Vogel, podejdź tu, proszę - odzywa się pan March. Bierze ją pod pachy, podnosi do góry, a ona przyklepa trzy rysunki do szyby w drzwiach prowadzących na korytarz.

- Dziękuję, dziewczynko - mówi nauczyciel, stawiając ją na ziemi. - Możesz wracać do ławki. Tak oto pokazujemy się innym od naszej najlepszej strony - dodaje, wyciągając rękę w stronę drzwi, jak pani w reklamie ajaksu.

Madeleine zerka na zalepione okienko. Kartki zwrócone są obrazkami w stronę korytarza. Przynajmniej nie musimy oglądać jaskrów Sary Nolan.

- Będziesz miał towarzystwo - oznajmia Simon.
- Przyjechał Oskar Fried.
- Jeszcze nie. Wyniknęło coś innego, dość niespodziewanie.

Jack tkwi w budce telefonicznej przy supermarkecie. Trochę dziwnie się czuł, odbierając tam telefon; a gdyby ktoś go przyuważył? Na szczęście nikt nie widział, ale gdyby tak się stało, jak Jack wytłumaczyłby się z tego, że tak długo rozmawia w budce przez telefon? Napawa go niepokojem jedyna odpowiedź, jaka mu się nasuwa: małżeńska zdrada.

- Wysyłają drugiego człowieka - mówi Simon. - Będziesz miał oficera do pary.
- Do pary?
- To będzie twoje drugie „ja”, twój odpowiednik z ramienia USAF.
- Dlaczego mieszają się w to Amerykanie?

Zadawszy to pytanie, uświadamia sobie, że Simon i tak mu nie wyjaśni.

- Współpraca w ramach NATO, drogi chłopcze. Trzeba na coś wydawać pieniądze podatników - odpowiada wymijająco Simon.

Jack wyczuwa rozdrażnienie w zdawkowym na pozór tonie Simona. Jeśli teraz trochę go przyprze, może coś z niego wyciągnie.

- Po co nam drugi człowiek?
- Tak jak natura, siły powietrzne USA nie znoszą próżni. Nie znoszą też sytuacji, kiedy muszą polegać na innych.
- To jest wspólna akcja?
- O tak. „Proszę, ty pierwszy”, jak mawia Abbott do Costella.
- Nie wiedziałem, że MI6 łączą takie ścisłe więzi z amerykańskim wojskiem.
- Jeszcze trochę, a urwiesz mi język.

Jack chichocze pod nosem. - Więc na czym będzie polegał udział tego drugiego człowieka?

- Po prostu ma być pod ręką, na wszelki wypadek.
- Na wypadek, gdyby co się działo?

Simon wzdycha zniecierpliwiony. - Nie chcą powierzyć Frieda wyłącznej pieczy Kanadyjczyka.

- Przecież cały czas pracujemy z jankesami, więc o co chodzi?
- Cóż, chociażby to, że Kanada nie jest szczelna. Zdarzają się przecieki.

Jackowi staje przed oczami zakapturzony Igor Guzenko, sypiący nazwiskami w Ottawie. Ale to przecież stare dzieje. Podobnie jak ta siatka szpiegowska w zakładach w Chalk River...

- Przecieki?

- Macie tam istne rzeszoto.

- I kto to mówi?

- Trafiony - mruczy Simon. - Panowie Burgess i Mclean ostatnio zniesławili dobre imię Anglii. Ale ja, kolego, studiowałem w Oksfordzie, nie w Cambridge.

- To gdzie mam się spotkać z tym facetem z USAF?

- Przyjmujecie u siebie pilota-obcokrajowca w ramach wymiany, zgadza się?

- To prawda. Mamy takie stanowisko oficerskie w bazie, obsadza je na zmianę Amerykanin albo Brytyjczyk - odpowiada Jack ze zdziwieniem. Nie przyszło mu do głowy, że mogą amerykańskiego wysłannika umieścić tu, w Centralii, pod samym jego nosem. W takim razie pułkownik Woodley musi być wtajemniczony w sprawę.

- Tym razem ma to być Amerykanin, ale się spóźnia.

- To dlatego, że w ostatniej chwili odwołali pierwotnego kandydata i wstawili na jego miejsce swojego człowieka.

- Kogoś z wywiadu?

- Nie, nie. To człowiek spoza układu. Trochę młodszy, trochę szybszy niż lotnik, którego zamierzali wypuścić u was na pastwisko.

- Si, w końcu jesteśmy ośrodkiem szkoleniowym, i to nie najgorszym - mówi z przekąsem Jack.

- Bez obrazy, stary, ale jak by na to nie patrzeć, wasze maszyny to navigatory i chipmunki, a ten pilot trafia do was prosto z USAFE.

Z Amerykańskich Sił Powietrznych w Europie.

- Z Wiesbaden? - pyta Jack, który już zaczyna się domyślać: amerykański pilot wylatał swoje na myśliwcach Sabre i F-104 Starfighter i właśnie wrócił do kraju. - Więc jaka teraz jest procedura?

- Tak naprawdę niewiele się zmienia, bo Amerykanin nie zna szczegółów.

- Dlaczego?

- Zasugerowałem im, że nie musi z góry wszystkiego wiedzieć, i oni w końcu się zgodzili.

Jack nie pyta, kim są „oni”. „Oni” to członkowie komisji, wyodrębnionej z jakiegoś wydziału amerykańskiego wywiadu wojskowego. Opatrzona jest akronimem, jak niezliczone inne komisje, które mnożą się i krzyżują ze sobą nawzajem w obrębie wielkiego biurokratycznego ustroju. Oficjalnie być może wcale nie istnieje. Gdzieś tam za literami skrótu kryją się ludzie, równie ulotni jak sama nazwa. Jeśli cele organizacji rzeczywiście

można wywnioskować przez analizę jej działań, konstatuje Jack, to celem biurokratycznej maszyny jest gmatwanie.

- Tak więc twój amerykański kolega nie orientuje się w sprawie - stwierdza Simon.

Czyli łańcuch dowodzenia biegnie od Simona przez Jacka do Amerykanina.

- Oni sugerują, żebyś wprowadził go już na samym początku.

- Nie ma sprawy - mówi Jack.

- Ja sugeruję, że możesz uznać za stosowne zaczekać z tym do ostatniej chwili.

- To czyjej rady mam według ciebie posłuchać? - śmieje się Jack.

- Spokojnie możesz posłuchać mojej. Jeśli Amerykanie będą się rzucać, wezmę to na siebie.

Ten kapitan USAF, wyjaśnia dalej Simon, będzie wiedział tylko to, że podczas swojego rocznego pobytu w Centralii zostanie mu powierzone specjalne zadanie do wykonania.

- Na czym będzie polegało to zadanie?

- Oczywiście, Amerykanie zlecą swojemu człowiekowi przeprowadzenie Frieda przez granicę, kiedy nadejdzie stosowna pora.

- Więc Fried ma być przerzucony do Stanów.

- No i dzięki Amerykanom wiesz więcej, niż potrzebujesz - wzdycha Simon. - Czasami nachodzi mnie zwątpienie w sens moich starań.

- Spokojna głowa, Si. Przed kim miałbym się wygadać? Do tej pory nikomu nie powiedziałem o twoim nalocie na bursę pielęgniarek w Toronto. To czym będzie się zajmował Fried? Silnikami odrzutowymi, pociskami?

- Wysztywaniem obrusów.

Jack wybucha śmiechem i uchyla nogą drzwi od budki, żeby wpuścić do środka trochę powietrza. Jest słoneczne, upalne popołudnie.

- Więc ten Amerykanin wie tylko, że w pewnym momencie zwróci się do niego kanadyjski oficer i wprowadzi w sprawę.

- Zgadza się.

- Nie wie, że to będę ja.

- Nikt nie wie, że to ty.

Jack zdejmuje kapelusz, ściera pot z czoła i zakłada z powrotem kapelusz, gdyż słońce razi go w oczy.

- Nikt oprócz Woodleya - mówi.

- Kto to taki?

- Tutejszy oficer dowodzący.

- Nie, jak mówiłem, nikt z zewnątrz nie jest dopuszczony do tajemnicy - odpowiada Simon tonem beztroskim jak zawsze.

Jack milczy. Do tej pory sądził, że działa jako osoba prywatna, wyświadczając Simonowi przysługę. Ale teraz okazuje się, że do Centralii przybywa z misją oficer obcego kraju, a bezpośredni przełożony Jacka o niczym nie ma pojęcia. Niemniej ten człowiek będzie pełnił rolę instruktora pilotażu; obejmie stanowisko, które i tak zostałyby obsadzone przez Amerykanina. Poza tym nie jest on przecież wysłannikiem wrogiego mocarstwa.

- ...tylko my dwaj wiemy, gdzie zatrzyma się Oskar Fried - mówi Simon. - Tylko my dwaj znamy go pod tym nazwiskiem.

No jasne. Nazwisko jest zmyślone. Jack od razu powinien się połapać.

- Jeden człowiek ma go doglądać, drugi, nieorientowany, ma czekać w pogotowiu, żeby we właściwej chwili odstawić go za granicę. Simon, nie sądzisz, że to zbytek troski?

- To tak, jakbyś dla jednej zapalki ścinał drzewo - tym razem w głosie Simona nie słychać rozbawienia. - Po co przenosić biednego chłopaka do Kanady, skazywać jego rodzinę na roczny pobyt w obcym kraju. Żeby mógł wykonać zadanie, które i tak zajęłoby mu nie więcej niż jeden dzień? Nie podoba mi się to.

Jackowi zaraz przypomina się Simon z dawnych czasów, wygłaszający swoje uwagi z instruktorskiego fotela: *Nie najlepiej mi to wygląda*. Nigdy tak stanowczo jak teraz: *Nie podoba mi się to*. Przez moment Jack jest zbity z tropu, jak pilot, któremu w powietrzu nagle gaśnie silnik, lecz szybko odzyskuje przytomność umysłu pragmatycznym spostrzeżeniem: - To marnotrawstwo pieniędzy podatników, nie da się ukryć.

- Zwiększając liczbę kanałów dostępu do danej misji, traci się kontrolę. Wtedy zaczynają się wpadki - głos Simona jest szorstki, urywany, niczym wykładowcy kreślącego równania na tablicy. - Ten jankes to na pewno porządny chłop, ale Amerykanie w swojej zwyczajowej nadgorliwości powiększyli obszar rażenia. Tym samym wzrasta prawdopodobieństwo, że coś się spieprzy. To niechlujstwo, przerost formy nad treścią. Jestem wkurzony jak jasna cholera.

Jack nie odzywa się, licząc, że dowie się czegoś więcej, ale Simon milczy.

- Przydałbyś się nam tutaj w szkole zarządzania, Si.

Simon śmieje się i znów przybiera swój znajomy ton: - Dam ci dobrą radę, Jack. Po pierwsze: kiedy wybuchnie konwencjonalna wojna, wstąp do wywiadu. Będziesz miał jak u Pana Boga za piecem i na dodatek będziesz się mniej więcej orientował, co naprawdę jest grane. Po drugie: obserwuj uważnie poczynania Amerykanów. Potem rób dokładnie

odwrotnie.

Jack wybucha śmiechem. - A tak w ogóle to kiedy ten facet tu przyjedzie?

- Lada dzień. Nazywa się McCarroll.

- Chodziło mi o Frieda.

- Ach tak. Niedługo.

- Dlaczego właśnie tu, Simon?

- Ale z ciebie dociekliwy drań.

- Nic na to nie poradzę, że mnie to ciekawi. - Jack opiera się o przeszkloną ścianę i spogląda w stronę supermarketu. - Powiedzieć ci, co mam teraz przed oczami?

- Oświeć mnie.

- Pałki kurczaka trzydzieści dziewięć centów za pół kilograma, mleko homogenizowane cena promocyjna, a przy wejściu czerwona rakietka, wrzucasz pięć centów i zabiera cię aż na Księżyc. Właśnie wsiadł do niej czteroletni astronauta.

- Odbiło ci?

- Neeee. To świetne miejsce, ale nic się tu nie dzieje. A ty, co widzisz z okna? Pentagon? Biały Dom?

- Zasada domina w praktyce: zdradzę ci jedną rzecz, o której nie potrzebujesz wiedzieć, a ty zaczniesz gmerać przy niej i podważać łomem. Nic więcej ode mnie nie usłyszysz, złotko.

- Dalej, Si. Nie odmawiaj mi tego łakomego kąska, ty skurkowańcu.

Simon wzdycha ciężko. Jack czeka.

- Cóż, wybór miejsca podyktowany jest przede wszystkim twoją osobą, ma się rozumieć.

Jack delektuje się jego słowami w milczeniu.

- Następnie przemawia za tym rola, jaką odgrywa twój kraj, o czym zapewne wiesz - przystanku dla znużonych wędrowców.

- Masz na myśli uchodźców?

- W pewnym sensie. Z Kanady łatwo dostać się do USA. W tym przypadku jest to kolejna korzystna okoliczność.

- Ale po co umieszczać go tutaj? Nie lepiej od razu wysłać go do Stanów?

- Kanada jest jednocześnie na tyle odległa od Wielkiej Brytanii i USA i na tyle blisko z nimi sprzymierzona, że nadaje się na bezpieczną przystań.

- Ponieważ Fried pracuje nad czymś, na czym zależy i Sowiecom, i Amerykanom - domyśla się Jack. - To znaczy, że Sowieci najpierw będą szukali go w Stanach. Ale Fried

dotrze do Stanów dopiero wtedy, gdy Amerykanie spreparują mu nową tożsamość. Przekroczy granicę jako stuprocentowy Kanadyjczyk.

Jack zdaje sobie sprawę, że Wielka Brytania, Kanada i USA świetnie ze sobą współpracują w dziedzinie wymiany danych wywiadowczych - współpraca międzypaństwowa często układa się lepiej niż na szczeblu krajowym, gdzie na przeszkodzie staje rywalizacja między poszczególnymi służbami.

- I co będziemy z tego mieli?
- Do widzenia, Jack.
- Czekaj, jeszcze jedno.
- Chryste, co znowu?
- Kim do licha jest major Newbolt?
- Musisz sam do tego dojść, chłopcze - śmieje się Simon.
- Daj znać, kiedy będę mógł ci postawić tego drinka.

Odwracając się do wyjścia, Jack widzi, że przed budką utworzył się ogonek. Zachowując należyne dystans, elewi czekają grzecznie na swoją kolej. Oddają mu honory, Jack dotyka runda kapelusza i kieruje się przez plac defiladowy do domu. *Fried pracuje nad czymś, na czym zależy i Sowietom, i Amerykanom...* Jack nie musi patrzeć na niebo, wiadomo, że to coś jest tam w górze - nawet jeśli go nie widać.

„Uważam, że naród nasz powinien dołożyć wszelkich starań, aby jeszcze w tym dziesięcioleciu postawić człowieka na Księżycu i zapewnić mu bezpieczny powrót na Ziemię”. Kennedy wypowiedział te słowa przed rokiem, ale Sowieci nadal wyprzedzają Amerykanów w tej dziedzinie, sprawiając, że radzieccy kosmonauci postrzegani są jak bohaterowie, a ich uśmiechnięte twarze spoglądają z okładek anglojęzycznych czasopism. Łunuk, Wostok, rakiety z załogą, ziejące ogniem, mknące w przestworza z czerwoną gwiazdą na pancerzu, dwie wyrzutnie do lotów załogowych w kosmodromie Bajkonur w Kazachstanie w porównaniu z samotną wyrzutnią Pad 14 na przylądku Canaveral. Kiedy pierwsza próba Amerykanów wystrzelenia satelity na orbitę okołoziemską zakończyła się niepowodzeniem i rakietę wybuchła na wyrzutni, brytyjska prasa przechrzczyła ją „Klapnik”. Oskar Fried jest naukowcem ze zwycięskiego obozu i sprowadzenie go na pewno kosztowało USAF wiele wysiłku. Kiedy Jack przypomina sobie artykuły, jakie ostatnio czytał, mówiące o tym, że amerykańskie lotnictwo za wszelką cenę chce dorównać NASA, wszystko układa się nagle w przejrzystą sieć powiązań. Przyspiesza kroku, prężne mięśnie nóg pracują niestrudzenie - z łatwością dobiegłby do domu.

Sowieci różnią się od nas; kiedy nam badanie kosmosu dopiero się śni, oni zaprzęgają

najęższe umysły do rozwiązania problemu lotu kosmicznego, przeznaczają na ten cel z kasy państwowej nieograniczone fundusze, nie krępuje ich żaden kongres czy parlament. To dlatego prezydent Kennedy zatwierdził miliardowe wydatki z budżetu na rzecz NASA. To dlatego Siły Powietrzne USA domagają się finansowego wsparcia, w przeświadczeniu, że nie należy całkowicie zdawać się w tym przedsięwzięciu na agencję cywilną. Jack spogląda na niebo; jest, blady krążek. Dolecieć tam. Z mroku kosmosu ujrzeć naszą Ziemią, mlecznobłękitny, kruchy klejnot. Któż pozostałby obojętny wobec ogromu takiego dokonania? Toteż oprócz niesłychanej przewagi strategicznej, jaką by zapewnił, wyczyn ten wzbudziłby podziw całego świata. Poruszyłby serca i umysły. Jack jest już pewny, że USAF dąży do tego, aby w osobie Oskara Frieda pozyskać swojego własnego Wernhera von Brauna. Odprowadza wzrokiem mijającą go ciężarówkę, zmierzającą w kierunku hangarów, w jadącym za nią oldsmobilu dostrzega Vimy Woodley za kierownicą i chyba całą drużynę harcerek. Odpowiada kiwnięciem ręki na jej powitanie. Wśród tych dziewczyn jest pewnie jej córka. Po powrocie do domu Jack poprosi Mimi, żeby zamówiła ją do popilnowania dzieci w piątek wieczorem. Czas najwyższy, żeby zabrał żonę na uroczystą kolację, tylko we dwoje. Zerka na zegarek. Dwadzieścia po piątej; Mimi już na niego czeka. Przyspiesza, czuje się, jakby miał sprężyny w obcasach i skrzydła przyczepione do stóp. Kiedy był mały, uwielbiał Flasha Gordona. Fantastyka naukowa, tak się do tego podchodziło. Obecnie to tylko kwestia czasu.

Jack pamięta, jak wtedy na przyjęciu Henry Froelich wysuwał zastrzeżenia co do statusu von Brauna jako osoby cywilnej. Owszem, von Braun pracował dla hitlerowców podczas wojny, ale był naukowcem. Co stoi na przeszkodzie, aby Amerykanie wykorzystali teraz jego umiejętności z pożytkiem dla siebie? Nie każdy uczony to wzór cnót - Josef Mengele nie był pierwszym tego dowodem. Ale von Braun nie eksperymentował na ludziach, zajmował się bronią. Pod tym względem nie różni się od twórców bomby atomowej, którzy pracowali po naszej stronie - a na pewno nie wypada gorzej na ich tle. Froelich mówił prawdę, faktycznie skleili ją taśmą maskującą przed tym pierwszym próbnym wybuchem w Los Alamos; mężczyźni i kobiety w szortach khaki, jajogłowi, cywile - Jack oglądał ich fotografie. Von Braun jest tego samego pokroju. Einstein techniki raketowej. To on był pomysłodawcą „tajnej broni” Hitlera, rakiety V-2, od której pochodzi Saturn i każdy interkontynentalny pocisk balistyczny na tej planecie. Powstała w Peenemünde. W zakładach doświadczalnych, które zostały zbombardowane przy udziale Simona w 1943. Jack kręci głową - jaki ten świat mały.

Idąc różnym krokiem, mija spitfire'a. Spieszno mu do żony. Na pewno przygotowała

dla niego kieliszek martini *avec un twist*. Ich rozłąka trwała zaledwie kilka popołudniowych godzin, a Jack ma wrażenie, jakby wracał z lotniska - *nie mogłem się doczekać spotkania z tobą, kochanie, zobacz, co ci przywiozłem z...* Kiedy przechodzi przez okręgową drogę, oddzielającą bazę od kwater mieszkalnych, nasuwa mu się nader wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego ktoś odbiera telefon w publicznej budce - oprócz małżeńskiej zdrady, rzecz jasna. Mógł mu nagle wpaść do głowy pomysł, gdy mijał budkę. Mógł wejść do środka i zadzwonić do sklepu - domu towarowego Simpsona w Londynie, dajmy na to - żeby zapytać o gatunek perfum na prezent dla żony. Może sprzedawca musiał przejść na inne piętro i potem oddzwonił do niego z innego telefonu...

SKR-y tętnią życiem, dookoła mnóstwo dzieci i rowerków. Dolatujące przez kuchenne okna aromaty przygotowanych wieczerzy zaostrzają apetyt Jacka, drażnią żołądek. Podrywa głowę na dźwięk swego imienia i odwzajemnia powitanie Betty Boucher.

- Co słyhać, Betty?

- Mam nadzieję, że traktują cię godnie w nowym miejscu pracy, Jack.

- Nie narzekam.

- Tato! Łap! - Syn rzuca w biegu piłkę, zagradza mu drogę drugi chłopak i obaj przewracają się na ziemię. Jack przyjmuje podanie, biegnie dwadzieścia pięć metrów, odwraca się i ciska z powrotem piłkę przez trzy trawniki. Chłopcy dają szczupaka.

- Mimi, wróciłem.

Wita go uśmiechem, kiedy Jack staje w progu, zamierza się i trafia kapeluszem w wieszak. Nie pyta, dlaczego się spóźnił, to nie w jej stylu. Włożyła pończochy i spodnie, po piątej nigdy nie chodzi w domowych pantoflach. Jest w białym fartuchu, którego tasiemki dwukrotnie owinięte są wokół talii. Podaje mu martini, gasi papierosa i całuje go.

- Coś tu smakowicie pachnie - mówi Jack.

- *Fricot au poulet*.

Wystarczy tylko podgrzać. Fryzura Mimi jest nienaganna; stara sukienka ciężowa i gumowe rękawice, jej uniform wkładany do szorowania podłogi, tkwią schowane głęboko w szafce pod zlewem. Clark Kent przywdziewa strój Supermana w budce telefonicznej. Superkobiety przebierają się o wiele dyskretniej.

- Gdzie Madeleine? - pyta, obejmując ją w talii.

- Bawi się na dworze.

- Co zamierzasz robić przed kolacją?

Mimi szepcze mu odpowiedź do ucha.

- Co by powiedziała twoja *Maman*? - Gładzi ją po pośladkach i przyciąga do siebie.

Mimi opiera łokcie o jego ramiona i patrzy mu w oczy. - A jak wytłumaczysz to, że moja *maman* urodziła trzynaścioro dzieci?

- Przed tobą jeszcze jedenaście, moja pani - śmieje się Jack. - Co z ciebie za katoliczka?

Kąsa go delikatnie w szyję. - Mądra.

Idzie za nią po schodach. Podnosi po drodze jej fartuch, potem bluzkę i but. Czeką, aż rzuci mu drugi - i nagle przypomina sobie słowa Simona, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. *Nikt nie wie, że to ty*. Jak to rozumieć? Dosłownie? Czy to możliwe, że nikt w Ottawie - ani w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ani w gabinecie premiera - nie wie o uczestnictwie Jacka w tej akcji? Ale musieli zostać powiadomieni o udziale amerykańskiego kapitana, nawet jeśli Woodley nie jest wtajemniczony. Bliskie współdziałanie struktur wojskowych Kanady i USA to rzecz powszechnie wiadoma, USAF mogłoby wysłać tu swojego człowieka bez podawania powodów. Ale Ottawa musiała zostać zapoznana z planem przechowania na terytorium Kanady ważnego uciekiniera z bloku wschodniego. Jak inaczej Simon mógłby uzyskać upoważnienie do przeprowadzenia tej operacji? Nie mówiąc o kanadyjskim paszporcie dla Oskara Frieda.

- Łap - mówi Mimi, trzymając w ręku drugi but.

I Jack łapie.

MIEŚNIE

Dlaczego w każdej klasie zawsze trafia się jeden uczeń, który śmierdzi? Przed którym wszyscy uciekają? Uczniowie, którzy powtarzają klasę, należą do innego świata. Chociaż są tuż obok, wydaje się, że skazani zostali na wygnanie na pustyni, błakają się gdzieś daleko, zagubieni na pozbawionej wody planecie. Z końcem pierwszego tygodnia nauki to już jest przesądzone. W piątek na przerwie Sara podbiega do Madeleine, dotyka jej i woła: „Zarazki Grace! Igła!”, po czym na niby robi sobie zastrzyk.

Madeleine nie włącza się do zabawy, chociaż widzi, że inni, gotowi do biegu, czekają, aż przekaże zarazki jednemu z nich, a potem sama szybko się zaszczepi. Idzie za róg, tam dotyka muru, żeby pozbyć się zarazków, i po kryjomu robi sobie zastrzyk, mrucząc pod nosem: - Igła.

Grace jest nieświadoma tego, że nikt jej nie lubi. Szczerzy zęby do każdego, ssie kciuk, potem pociera usta, żeby je zwilżyć. Dłubie w nosie i zjada smarki, inaczej nie można tego określić. Gdybyście byli przybyszem z Marsa, może uznalibyście, że Grace jest ładna. Ogromne błękitne oczy, jak u lalki, naturalnie sfalowane włosy, płowe z pasemkami blond; gdyby tak jeszcze były umyte. Usta wygięte w łuk amorka; przyjmijcie, że akurat nie są spękane. I na koniec wyobraźcie sobie, że Grace patrzy na was, jej oczy nie są rozbiegane na wszystkie strony, a ręce nie majstrują bez przerwy przy usmolonych mankietach.

Sara postąpiła podle, zapoczątkowując tę głupią zabawę w zastrzyk, ale już wcześniej było jasne, że Grace pisany jest los klasowego wyrzutka. We wtorek po południu zjadła klej z różowej bibułki, którą uczniowie dostają na zajęcia z plastyki. A kiedy w środę dłużyła sobie w nosie, a potem na oczach wszystkich wytarła palec o ławkę, pan March kazał jej zostać po lekcjach na „zajęcia wyrównawcze z higieny”. Madeleine spogląda na filcową tablicę. Nic dziwnego, że Grace dostaje same roześmiane żółwie z każdego przedmiotu.

- Otwórzcie czytanki na stronie szesnastej - mówi pan March i wszyscy wyjmują książki. - Madeleine McCarthy, zacznij czytać od miejsca, w którym ostatnio skończyliśmy.

Chociaż wielu uczniów drży ze strachu przed czytaniem na głos, Madeleine uwielbia czytać, dlatego cieszy się, gdy nauczyciel wyznacza jej to zadanie. Otwiera czytanekę i zaczyna płynnie czytać: „*Mięśnie i lody...*”. Jest to opowieść o Susan, dziewczynce poruszającej się na wózku inwalidzkim, która idzie do szpitala, aby tam na nowo nauczyć się chodzić, „...jedna z pielęgniarek pokazała nam ćwiczenia. Powtarzała wciąż: «Mocno się staraj, Susan, a niedługo urosną ci silne mięśnie, ale teraz zjedz trochę lodów»”. Madeleine wyobraża sobie Elizabeth, która umięśniona niczym Herkules, podrywa się i roztrzaskuje swój wózek. „Jeśli chcesz, żeby urosły ci silne mięśnie - czyta dalej Madeleine - pokażę ci, jak to osiągnąć - powiedział Bill”. Bill to taki starszy chłopiec, który jest miły dla młodszych dziewczynek, literackie zmyślenie, oczywiście, bo wiadomo, jacy są chłopcy. A Ricky Froelich to wyjątek. „Bill pokazał Nancy dobry sposób na wzmocnienie mięśni”.

- Dziękuję, panno McCarthy - mówi pan March, przechadzając się między rzędami z prętem do wskazywania szczegółów na mapie; gdy zastuka nim w ławkę, to znaczy, że siedzący przy niej uczeń ma czytać dalej. Wszyscy modlą się, żeby nie zastukał w ławkę Grace, bo Grace okropnie duka. Nauczyciel wybiera Lisę.

Lisa czyta, ledwo słyszalnie.

- Głośniej, dziewczynko - powtarza pan March, ale Lisa czyta coraz ciszej, coraz bardziej czerwienieje na twarzy, aż wreszcie zacina się i spuszcza wzrok. Madeleine boi się, że Lisa będzie musiała zostać po lekcjach na „zajęcia wyrównawcze z czytania”. Albo, co

gorsza, zostanie przesunięta w dół, z delfina na żółwia.

Pan March stuka w ławkę Grace. W klasie rozlega się zbiorowy jęk. Grace garbi się nad książką i sylabizuje: „J-aky-i-e... jakie zn-a-sy-zy znasz za-ba-wy, k-t-ó-re sp-ry-zy...”.

- Pomóżcie koleżance - zwraca się nauczyciel do uczniów.

- Sprzyjają - odpowiada zgodnym chórem klasa. Oby tylko nie kazał Grace męczyć się dalej.

- Gordon Lawson, czytaj dalej.

Co za ulga. Gordon to zajęc we wszystkich przedmiotach.

W czasie przerwy Madeleine i Auriel pocieszają rozdygotaną Lisę, więc po powrocie do klasy Madeleine doznaje wstrząsu, widząc, że sama została przemianowana z zajęcia na żółwia. I to w czytaniu. *Co jest głane, doktołku?*

Pan March widocznie dostrzegł jej oburzenie, ponieważ gdy wszyscy usiedli na swoich miejscach, oświadcza: - To dla twojego dobra, dziewczynko. Czytanie na głos to jedna sprawa. Zrozumienie tego, co się czyta, to druga. To wymaga koncentracji.

Koncentracja. Madeleine robi się niedobrze. Żółw. To nie w porządku. Jak z powrotem wspiąć się do zajęcia? Po szkole zapyta o to tatę. On będzie wiedział, co zrobić.

Nie przejmuj się tym teraz. Jest piątkowe popołudnie i do sali weszła śliczna młoda przedszkolanka.

- Witajcie, czwartoklasiści, nazywam się Lang.

- Dzień dobry, pani Lang - odpowiadają wszyscy uczniowie.

Przyszła, żeby zwołać dziewczynki na pierwszą zbiórkę zuchową w tym roku szkolnym. Jest taka ładna, że chłopcom nawet nie zbiera się na śmiechy.

- Ile mamy szóstkowych w klasie?

Kilka dziewcząt podnosi ręce, między innymi Cathy Baxter - nic dziwnego, to ona dała się poznać jako przywódczyni dziewczyńskich dziewczyn - i Sara Nolan, która nie utworzyła jeszcze swojego zespołu ani do żadnego się nie przyłączyła. Madeleine nie jest szóstkową ani nawet dwójkową, woli być samotnikiem wśród zuchów, nie ma ochoty sprawdzać innym paznokci ani zapisywać wydatków - pomimo że dostaje się do tego elegancki notes i ołówek. Może w tym roku pojedą na biwak. Madeleine przygląda się pani Lang w sukience na ramiączkach i wyobraża ją sobie, jak siedząc przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami, piecze kiełbaski.

- O rany - mówi pani Lang, widząc las rąk w górze. - Wygląda na to, że mamy całkiem sporo wodzów na tak małą liczbę Indian.

Klasa śmieje się, autentycznie rozbawiona. Pani Lang ma zgrabną figurę. Ale co

więcej, ma wdzięk. To niebywałe szczęście, że to właśnie ona, a nie czyjaś nudna matka w podeszłym wieku, będzie ich druhną, Wielką Sową - „ptakiem wróżącym szczęście”. Jak albatros.

- Ile z was spodziewa się otrzymać skrzydełka na wiosnę?

Wszystkie dziewczynki podnoszą ręce, nawet Grace. Grace powinna już wzlecieć na wyższy stopień i wstąpić do harcerek, albo chociaż wgramolić się, jeśli nie wzlecieć. Ale przecież ona powinna też chodzić już do piątej klasy. Nie zdobywa się zuchowych sprawności za obcinanie sobie mankietów nożyczkami na zajęciach z plastyki.

- Świetnie - stwierdza pani Lang głosem, który kojarzy się Madeleine z płytą jazzową z kolekcji rodziców, *Vibes on Velvet*. Okładka przeznaczona jest dla dorosłych widzów: półnagie panienki przy mikrofonie, w zmysłowych pozach. Zmysłowych, czyli podniecających, ale nie sprośnych. Jednak okładka tej płyty bije pod tym względem katalog bielizny Searsa, chociaż i tu, i tam jest mniej więcej tyle samo golizny. Być może wynika to stąd, że kobiety reklamujące bieliznę sprawiają wrażenie, jakby myślały, że są ubrane - hmm, chyba pójde wywiesić pranie w tym biustonoszu.

- Madeleine McCarthy?

Wszystkie spojrzenia, a szczególnie ślicznej pani Lang, skierowane są na nią. Madeleine oblewa się rumieńcem. - Goła... gła... zgłaszam się... - bąka.

Klasa wybucha śmiechem. Pan March za biurkiem wywraca oczami. *O nie, znowu mi się oberwie.*

- Czyli ty też się zgłaszasz? - uśmiecha się pani Lang. *Boże, ale do czego?*

Ale pani Lang się nie gniewa. Potrafi sprawić, że każda dziewczynka, z którą rozmawia, ładnieje w oczach. Kiedy zwraca się do Grace Novotny: „Zobaczysz, że ty też na wiosnę przypniesz sobie skrzydełka”, nawet Grace w tej chwili wydaje się okazem czystości.

Pięć minut przed trzecią pan March wstaje i ogłasza: - Następujące dziewczynki zostaną dziś po lekcjach... - sprawdza w dzienniku. - Grace Novotny...

Nikogo to nie dziwi. Grace jest zółwiem tylko dlatego, że nie ma gorszej kategorii, na przykład larwy. Madeleine zastanawia się, dlaczego nauczyciel musi zaglądać do dziennika, żeby przypomnieć sobie jej nazwisko - przecież Grace powtarza klasę.

- ...i Madeleine McCarthy - mówi pan March, nie odrywając wzroku od dziennika.

Przez Madeleine przetacza się fala gorąca. Ogarnia jej nogi, twarz. Czym sobie na to zasłużyłam? Rozmarzyłam się na temat pani Lang. Wyobrażałam ją sobie w biustonoszu. Ale przeczytałam bezbłędnie - głupią czytanekę o Susan i mięśniach. Nie dość, że zostałam

ukarana żółwiem, to jeszcze muszę zostać po lekcjach...

Rozlega się dzwonek. Uczniowie wstają, szurając krzesłami; wokół Madeleine, która nie rusza się ze swojego miejsca, już zagęszcza się atmosfera porażki. Nauczyciel kazał jej zostać razem z Grace Novotny. *Zarazki Madeleine! Igła!* Madeleine napotyka spojrzenie odchodzącej Auriel, uśmiecha się wisielczo i przesuwa palec po szyi, jakby podrzynała sobie gardło.

- I nie zapomnijcie przygotować na poniedziałek pokazu, chłopcy i dziewczęta. - Głos pana Marcha brzmi, jakby uczniowie już sprawili mu zawód.

Lisa i Auriel czekają na Madeleine na skraju placu szkolnego, siedząc na trawie i plotąc bransoletki z mleczy.

- Co się stało? - pyta Auriel.

Lisa żuje łydżkę mlecza, podaje jedną Madeleine. Nie ma się czym przejmować. Madeleine ssie delikatny słodki miąższ.

- Zostałam zatrzymana - wyjaśnia nonszalancko, niczym Kirk Douglas. - Oczywiście, na początku woła do mnie: „Podejź tu, dziewczynko” - Madeleine robi przy tym potrójny podbródek, wybałusza oczy i parodiuje angielski akcent, chociaż pan March nie mówi z akcentem. Lisa wije się na trawie, nie wydając dźwięku, a Auriel chłonie chciwie każde słowo.

- Co ci kazał robić?

- Ćwiczenia - tłumaczy Madeleine, przewracając oczami.

- Ćwiczenia?!

- „Musimy popracować nad twoją kooncentracją, dzieewczynkoo” - cedzi Madeleine.

- Wstrętny typ! - orzeka Auriel.

- Bałwan! - wtóruje jej Królik Bugs i oddaje głos Woodyemu Woodpeckerowi. - Hii-hii-HA-ha...!

- Jak babcię kocham, Madeleine. Zupełnie jakbym słyszała Woodyego!

- ...hii-hii-hii-hii-hii!

Auriel i Lisa przyłączają się do niej. Mimo że mało kto tak naprawdę potrafić naśladować Woodyego, wszyscy z ochotą próbują swoich sił. - Hii-hii-HA-ha!

Zaczynają kulać się po murawie - mogłybyśmy doturlać się aż do domu, chcecie? Zatrzymują się, leżąc na wznak, a niebo nad nimi wywraca koziołki.

- Powinni mu zbadać głowę - oświadcza Auriel, po czym wstaje i zaczyna kręcić się dookoła własnej osi.

- Powinni mu zmniejszyć głowę - mówi Lisa, idąc w jej ślady.

- Powinni mu zmniejszyć żołądek - woła Madeleine i teraz we trójkę się kręcą. A teraz biegiem do domu! Pęd jest zawrotny, chodnik kołysze się i wiruje pod stopami.

Przystają na rogu i ustalają zbiórkę w tym miejscu za pięć minut w ubraniach do zabawy.

- Zsynchronizujmy zegarki, miłe panie - zarządza Auriel.

Już zrobione. Wcale nie przeszkadza im to, że żadna nie ma na ręku zegarka.

- Co robiłaś po szkole? - pyta *Maman*.

- Bawiłam się z Lisą i Auriel - odpowiada Madeleine, kierując się do kuchni - mama upiekła pierniczki, mniam!

- Madeleine, spójrz na mnie. Madeleine robi zeza i patrzy na matkę.

Mimi śmieje się wbrew własnej woli. - Nie masz się bawić po lekcjach. Masz wracać prosto do domu i się przebrać, wtedy możesz wyjść na dwór.

- *Oui, Maman, comme tu veux, Maman* - mówi Madeleine, podkradając pierniczek.

Mimi unosi brew i zaciąga się mentolowym papierosem - widać, że mała wdrożyła się do szkolnego życia. Nie powinno z nią być kłopotów. Pochyla się i całuje córkę w czoło. - To nagroda za to, że odezwałaś się po francusku.

Madeleine jęczy, ale w gruncie rzeczy się cieszy. Niech żyje wolność. Jest piątek, będzie się bawić z koleżankami w chowanego o zmierzchu, a potem z rodziną obejrzy *Między nami jaskiniowcami*, a jutro pojedą na piknik nad jezioro Huron. Czuje się nagle, jakby miała trzy metry wzrostu, nikt jej teraz nie pokona. Wylatuje na dwór, ledwo muskając stopami ganek, pędzi zakosami po ulicy z rękami wyciągniętymi w bok, niczym spitfire - mogłabym tak biec i biec, w ogóle się nie męcząc. Zakręćcie ziemię pod moimi stopami niczym ogromną bilę.

A oto co zaszło po dzwonku.

W klasie panowała cisza. Pan March usiadł i szorując krzesłem, przysunął się aż do krawędzi swego ogromnego biurka. Grace zachichotała.

- Wstań, dziewczynko.

Jego okulary lśniły w popołudniowym słońcu. Madeleine nie mogła stwierdzić, czy nauczyciel kierował te słowa do niej, ale ponieważ Grace wyraźnie nie zamierzała się podnosić, Madeleine wstała.

- Musimy popracować nad twoją koncentracją, dziewczynko - powiedział nauczyciel.

- Przepraszam.

- Nie masz za co przeproszać, dziewczynko. Spróbujemy coś na to poradzić.

- Dobrze.

- Chodź tutaj.

W jego głosie nie ma złości. Może to nie jest kara. Może to pomoc poza programem zajęć. Madeleine idzie w kierunku biurka. Słyszy chichot Grace za plecami. Zatrzymuje się przed biurkiem.

- Czy wiesz, jak się nazywa stolica Borneo, dziewczynko?

- Nie, proszę pana.

- Podejdź bliżej.

Madeleine staje z boku biurka, które wygląda jak duża przegroda zamknięta z trzech stron - z łatwością można pod nim ukryć tort. Pan March wyjmując z kieszeni na piersi chusteczkę.

- Możesz dotknąć palcami stóp?

- Tak.

- No to proszę.

Madeleine posłusznie się zgina.

- To powoduje lepsze ukrwienie mózgu - wyjaśnia pan March.

Madeleine się prostuje.

- Umiesz zrobić mostek, dziewczynko?

Madeleine wygina się w łuk, podpira się z tyłu rękami, jej opadające włosy przypominają falujące żdźbła trawy - potrafi w tej pozycji chodzić, ale powstrzymuje się, obawiając się, że zostanie to uznane za głupi popis. Poza tym, chociaż wie, że jej sukienka nie jest nieprzyzwoicie zadarta, to jednak czuje się dziwnie, robiąc mostek w klasie po lekcjach, ubrana w błękitną, marszczoną sukienkę bez rękawków. Słyszy, że pan March poruszył się na krześle, ale nic nie widzi poza odwróconymi do góry nogami drzwiami z rysunkami przylepionymi do szyby.

Kiedy znów staje w pozycji wyprostowanej, pan March oświadcza: - Musisz jeszcze poćwiczyć, dziewczynko. Pokaż mi swoje mięśnie.

Korci ją, żeby spojrzeć za siebie, ponieważ ma wrażenie - chociaż błysk z jego okularów znikł - że nauczyciel spogląda na kogoś innego. Kogoś, kto stoi za nią i nazywa się „dziewczynka”. Chwyta ją za ramię. Madeleine próbuje naprężyć mięśnie, ale kiedy ma się ściśnięte ramię, nic z tego nie wychodzi.

- Powiedz „mięśnie”.

Nawet nie chce, żeby przeliterowała to słowo; *to łatwizna, dokołku.*

- Mięśnie - mówi Madeleine.

Przygląda mu się z boku i czeka. Nauczyciel ugniata jej ramię.

- Auu - wrywa się Madeleine cichy jęk.

- Przecież to cię nie boli.

Puszcza ją. - Potrzymaj ramię. Szybciej przejdzie. Madeleine wykonuje polecenie.

- Trzyj - szepcze pan March, zapatrzony gdzieś przed siebie. Siedzi sztywno wyprostowany na krześle, brzuch przyciśnięty ma do krawędzi biurka. Ciężko sapie. Może choruje na astmę.

Nagle wzdycha, odwraca się do niej i oświadcza: - Nie widzę powodu, żeby powiadamiać rodziców o twoim roztargnieniu na lekcjach, dziewczynko. A ty?

- Ja też nie, proszę pana.

- Zobaczymy później. A teraz zmykaj do domu.

Madeleine wraca do ławki, żeby się spakować. Grace wstaje i też zbiera swoje zeszyty i podręczniki - już zdążyła pozaginać ośle rogi na kartkach.

- Nie ty, dziewczynko.

Grace siada z powrotem.

- Ty zostaniesz i zetrzesz tablicę - mówi pan March.

Madeleine wychodzi z sali na opustoszały korytarz, zastanawiając się nad tym, jak poprawić swoją koncentrację na lekcji. Samo brzmienie tego słowa przyprawia o ból głowy. Kojarzy się z obozami koncentracyjnymi. A gdzie leży to Borneo?

Madeleine zatrzymuje się przed portretem królowej wiszącym przy wejściu. Wszystko to przedstawiało się tak tajemniczo i zachęcająco tego odległego dnia, kiedy wraz z Mikiem zaglądała do środka przez szybę. Nie wiedziała wtedy, że okaże się niesfornym uczniem i zostanie przetrzymana w sali po lekcjach. Spogląda na królową i oświadcza: - Już więcej nie będę, słowo harcerza - chociaż jest dopiero zuchem. Ale „słowo harcerza” kryje w sobie większą moc; tak mówi Mike, kiedy przyrzeka coś uroczyście.

Po wyjściu z budynku widzi, że Auriel i Lisa czekają na nią na trawie.

Pędzi do przyjaciółek, a przykre uczucie ulatnia się na owiewającym ją wietrze.

Apetyt nie dopisuje jej przy kolacji, mimo że jak w każdy piątkowy wieczór jest pyszna ryba z frytkami.

- *Viens*, sprawdzę, czy masz ciepłe czoło - mówi do niej mama.

Ale nie ma temperatury.

- Mogę zjeść twoje frytki? - pyta Mike z pełnymi ustami.

- Mike - upomina go ojciec.

- Co? - Mike jest zaskoczony, urażony.

Mimi przygląda się córce. - Co ci jest, *map'tite? Regarde-moi.*

Madeleine rumieni się pod wpływem spojrzenia *Maman*. Ma wyrzuty sumienia, chociaż nic złego nie zrobiła. Ale wszyscy zachowują się, jakby naprawdę stało się coś złego. Coś jest nie tak?

- Hm? *Dis à maman* - prosi mama, gładząc ją po włosach.

Jack skinieniem głowy daje znak Mimi. Madeleine, odwrócona od niego, tego nie zauważa. Już otwiera usta, żeby przyznać się matce, że została po lekcjach na ćwiczeniach, ale Mimi pyta: - O co ci chodzi, Jack?

Jack przewraca oczami i uśmiecha się. - Dlaczego kopnęłaś mnie pod stołem?

- Przepraszam - mówi Mimi.

Madeleine i Mike nic nie rozumieją, ale tak to już jest z dorosłymi. Jack zabiera talerz Madeleine i podaje go Mimi.

- Powiedz no, stary druhu, zmieścisz jeszcze deser? - pyta.

Madeleine kiwa twierdząco, policzki przestają ją palić, kryzys minął.

Po kolacji Jack zaprasza Madeleine do wspólnego czytania wesołych historyjek w czasopiśmie. Córka przytula się do niego na kanapie, a on tłumaczy jej dowcip w „Blondie”, a potem od niechcenia zagaduje: - Jak poszło ci dzisiaj w szkole, skarbie?

- Dobrze.

- Tylko dobrze?

- Zwyczajnie.

- Co cię gryzie, mój mały druhu?

- Dostałam żółwia za czytanie - mamrocze Madeleine.

Jack się nie śmieje, domyśla się, że to poważna sprawa. Prosi córkę, żeby wytłumaczyła mu system oceniania stosowany przez nauczyciela, a potem pyta:

- Za co przeniósł cię do żółwi?

W Madeleine znów wzbiera oburzenie, pamięta teraz, że z początku zamierzała o wszystkim opowiedzieć tacie, ale później rozmyśliła się, wdzięczna panu Marchowi za to, że obiecał na razie nie informować rodziców.

- Kazał mi zostać po lekcjach - wyznaje Madeleine z ulgą.

- Po co?

- ...Na ćwiczenia.

- Jakie ćwiczenia?

Madeleine nie mówi, że chodziło o „mostki”. Teraz kiedy siedzi z tatą na kanapie, ma uczucie, że zachowała się niewłaściwie, wyginając się do tyłu w sukience przed panem Marchem w klasie; nawet nie byli wtedy w sali gimnastycznej.

- Na poprawę koncentracji - wyjaśnia.

- Przecież ty doskonale czytasz.

- Wiem.

Tata zastanawia się chwilę. - Może nie uważałaś na lekcji. Jaki jest ten wasz nauczyciel? - pyta, odkładając gazetę.

- Bardzo wolno mówi. Nosi okulary. I nie lubi nas.

- Chyba wiem, co jest grane - uśmiecha się Jack.

- Co?

Tata już wie o mostkach. Ale w jego głosie nie słychać złości. Jego głos brzmi tak, jakby zaraz miał oświadczyć: *Pan March kazał ci robić mostki, żeby twój mózg był lepiej ukrwiony. To zupełnie normalne*, a Madeleine spada kamień z serca - nic złego nie zrobiła.

- Nudzisz się w szkole - mówi tata.

- Aha.

- Einstein nie zdał do czwartej klasy, bo się nudził. Churchill oblał łacinę. Prezydent Kennedy potrafi przeczytać książkę w dwadzieścia minut, ale w szkole był kiepskim uczniem.

Nudzę się. I to wszystko.

- Nie twierdzą wcale, że nuda to coś dobrego. To stanowi problem. Musisz wzbudzić w sobie zainteresowanie. Potraktuj to jak wyzwanie dla siebie i postaraj się mu sprostać.

- Dobrze.

- A więc do czego będziesz dążyć?

- Hm... żeby wrócić do zajęcy.

- Od czego zaczniesz?

- Hm... przestanę myśleć o niebieskich migdałach.

- No tak - mówi Jack, kiwając głową, biorąc to pod rozwagę. - Ale jak zamierzasz tego dokonać, skoro twój nauczyciel jest takim okropnym nudziarzem?

- Mogłabym nosić w kieszeni gwóźdź i ścisnąć go w dłoni - odpowiada Madeleine po namyśle.

Jack śmieje się, chociaż nie tak bardzo, jakby chciał. - Tak, to na krótką metę by zadziałało, ale w dłuższej perspektywie, kiedy przywykniesz do bólu, co wtedy?

Na to Madeleine nie ma odpowiedzi.

Jack splata ręce na piersi. - No cóż... - mierzy córkę wzrokiem - jest pewien sposób,

ale to będzie wymagało z twojej strony sporego wysiłku.

- Jaki sposób? - dopytuje się Madeleine, gotowa podjąć wyzwanie.

Jack patrzy na nią badawczo. - Spraw, żeby pan March był przekonany o twoim zainteresowaniu. Kiedy mówi, patrz prosto na niego - tata wskazuje na nią ręką - nie wyglądaj przez okno, nie odrywaj od niego oczu, dopóki nie skończy. To będzie dla ciebie najlepsze ćwiczenie na koncentrację. Rzadko trafia się dobry nauczyciel, to dar od losu.

- Jak wujek Simon.

Jack chichocze i głaszcze ją po głowie. - Otóż to, stary druhu. Ale tobie przypadł biedny stary pan March. Widziałem go.

- Naprawdę?

- Jasne, kiedy poszliśmy z mamą zapisać cię do szkoły. Dlatego cię rozumiem. Orłem to on nie jest. Ale coś ci powiem - to szczęście, że masz takiego nauczyciela.

- Szczęście?

- Tak, bo na świecie jest mnóstwo takich panów Marchów, a za to wujków Simonów jak na lekarstwo. Musisz opanować sztukę uczenia się od panów Marchów, a to zależy tylko od ciebie. Bo później, w dorosłym życiu, kiedy przyjdzie co do czego, nic ci nie pomoże obwinianie pana Marcha. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak.

- Bądź dzielna - mówi stanowczo, jakby zwracał się do młodego pilota. - Wiesz, co się mówi żołnierzowi, który został ranny, a wokół toczy się bitwa?

Madeleine czeka na odpowiedź.

Tata utkwiał w niej wzrok, w jego prawym oku maluje się śmiertelna powaga, w lewym nie mniejsza, nawet jeśli doprawiona smutkiem - ale to oko nic nie może na to poradzić.

- Pochyl głowę i cierp przez chwilę. Potem wstawaj i wracaj do walki.

Madeleine będzie patrzeć panu Marchowi prosto w oczy, nie uroni ani jednego jego słowa. Będzie zdobywać same filcowe zajęcia. Pan March otworzy szeroko oczy ze zdumienia. I nie będzie miał innego wyjścia, taka będzie skupiona.

Jack uśmiecha się, widząc jej minę. Krew, nie woda.

Sięga po „Globe and Mail” i czyta dowcip zamieszczony na pierwszej stronie: *Uśmiechnij się rano: W przeciętnej rodzinie mężczyzna nadal nosi spodnie jako oznakę swojej władzy. Jeśli nie wierzysz, zajrzyj mu pod fartuch.* Musi pokazać to Froelichowi. Prześlizguje się wzrokiem po stronie. *200 migów na Kubie.* Przewraca kartkę: *Zimna wojna ogarnia Amerykę Łacińską...* Same wesołe rzeczy.

Wieczorem, w łóżku, Mimi odkłada „Chatelaine”, czasopismo, które czytała, i pyta Jacka: - Dowiedziałeś się, co było nie tak?

- Z czym?

- Z Madeleine.

- Ach - mówi Jack. - Bujęła w obłokach na lekcji. I dostało jej się za to od nauczyciela, pana Marksa.

- Marcha - poprawia go Mimi. - To coś poważnego?

- Nieee. Mała panuje nad sytuacją.

Mimi wtula policzek w jego ramię, gładzi go po piersi. Jack bierze jej dłoń w rękę, ściska ją lekko. Dalej czyta swoją książkę, *Mężczyźni i decyzje*.

- Wyglądała na mocno zdenerwowaną - stwierdza Mimi.

Jack nie odrywa wzroku od książki. - Och, nie wiem, myślę, że może...

- Co?

- Może bardziej ją zdenerwował twój krzyżowy ogień pytań - mówi Jack, jakby snuł abstrakcyjne rozważania.

- Ja wzięłam ją w krzyżowy ogień pytań? - dziwi się Mimi, lekko unosząc głowę.

- Częściowo - odpowiada tonem, który daje jej do zrozumienia, że nic się nie stało. Nie zamierza jej ganić.

Mimi nie odzywa się, kładzie głowę Jackowi na ramieniu.

- Jesteś najwspanialszym tatusiem - stwierdza, muskając palcami jego sutek.

- Tak? - uśmiecha się Jack.

Mimi podnosi się na łokciu; Jack zamyka książkę i gasi światło.

- Chodź tutaj, moja pani.

Piaszczyste wydmy w parku Pinery stanowią wymarzoną scenerię do zabawy w wojnę. Mike i Madeleine wcielają się w „szczury pustyni”. Brat bawi się z nią przez cały weekend. Walczą, uciekają i umierają w wymyślnych pozach, staczając się z piaszczystych stoków - tutaj nie można zrobić sobie krzywdy, choćby się skakało z najwyższej wydmy. Piasek we włosach, zamek z piasku pieczołowicie wznoszony cały dzień, piasek w kanapkach. A teraz do czystej wody jeziora Huron! Ujeżdżają fale przez całą wietrzną sobotę, a wieczorem, leżąc w śpiworze obok Mike'a, kiedy Madeleine zamyka oczy, na ekranie pod powiekami ukazują się jej spienione wody rozbijające się bez końca o brzeg. Och, napawać się zapachem płótna starego pocziwego namiotu, przyjazną piżmową wonią dmuchanego materaca, a kiedy w obozowisku zapanuje cisza i z sykiem przygasa, zalane wodą, ostatnie ognisko na ostatnim

biwaku w tym roku, wsłuchać się w niedostrzegalne dotąd tło nieustannie towarzyszące ciszy: szum fal w uszach, ścieżkę dźwiękową do przyboju wyświetlanego pod powiekami.

W niedzielę wieczorem, wracając do domu, widzą ciężarówkę do przewozu mebli stojącą na podjeździe do małego zielonego bungalowu.

SPOKOJNI AMERYKANIE

Kanadyjczyków dręczy kwestia natury ich narodowej tożsamości... Zapytani o nią, potrafią jedynie opisać ją przez zaprzeczenie. Choć nie wiedzą dokładnie, kim są jako naród, jedno jest pewne: nie są Amerykanami.

„Look”, 9 kwietnia 1963

- Uczniowie, przywitajcie się z Claire.

- Dzień dobry, Claire.

To dziwne, jak nowy uczeń w klasie sprawia, że pozostali czują się ze sobą zżyci, jakby znali się od dawna. Nagle tworzą zespół, podczas gdy przybysza oddziela od nich jakby poduszka powietrzna. Nie pasuje tutaj. A nawet Grace pasuje, na swój sposób.

Claire McCarroll weszła do sali tuż po dzwonku, razem ze swoim ojcem. Za rękę. Pan McCarroll z wyglądu przypominał innych tatusiów-wojskowych z Centralii, ale gdyby ktoś dokładniej przyjrzał się odznace na jego lotniczej czapce, dostrzegłby orła z rozpostartymi skrzydłami, z trzynastoma gwiazdkami wokół głowy, trzymającego w szponach jednej nogi gałązkę oliwną, a w szponach drugiej pęk strzał. Nad lewą kieszenią na piersi naszyte miał skrzydełka, odchodzące od godła Stanów Zjednoczonych, zwieńczone gwiazdą. Jego niebieski mundur był ciemniejszy od mundurów, jakie noszą kanadyjscy tatusiowie-lotnicy, a gdy pan McCarroll się poruszał, splot materiału mienił się szarozielono. Całość robiła miłe dla oka wrażenie obcości pomieszanej ze swojskością.

Claire ubrana była na błękitno, od podkolanówek po wsuwkę do włosów. Na nadgarstku miała zawieszoną niczym portmonetkę pudełko śniadaniowe w stylu Frankiego i Annette. Nikt nie zostaje w szkole na lunch, więc Madeleine ciekawa była, co kryje w sobie to pudełko. Auriel podała Madeleine karteczkę, na której napisane było: „Czy to twoja

utracona przed laty siostra?". Rzeczywiście, są do siebie podobne. Obie mają krótkie, ciemnobrązowe włosy z grzywką, trójkątne twarzyczki i drobne nosy. Tylko że Madeleine jest wyższa, a nowa dziewczynka ma niebieskie oczy, nieśmiało spuszczone. Nie wydobyła dotąd z siebie ani jednego słowa. Skojarzyła się Madeleine z porcelanową figurką - ładnym bibelotem, który stawia się na półce kominkowej.

Pan March uściśnął rękę jej ojcu, potem zaprowadził Claire do jej ławki - potrafi być miły. Tatuś w mundurze amerykańskiego lotnika zatrzymał się w progu i pomachał córeczce. Claire też mu pomachała i oblała się rumieńcem. Madeleine rozumiała, co czuje. Ojciec, który stawiał ją w takiej niezręcznej sytuacji, wreszcie wyszedł. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Claire, która usiadła i złożyła ręce na ławce. Nie było w klasie osoby - a przynajmniej dziewczynki - która nie zauważyłaby jej pięknej srebrnej bransoletki z ozdobami.

Mimi, Betty Boucher, Elaine Ridelle i Vimy Woodely stoją na ganku bungalowu McCarrollów i są w trakcie wysuwania stanowczych protestów.

- Ależ nie śmiałybyśmy - mówi Vimy.

Sharon poprosiła je do środka, ale panie wpadły tylko na chwilę, żeby się z nią przywitać, wręczyć pakiet informacyjny i półmisek ciasteczek oraz przekazać oficjalne zaproszenie do Koła Żon Oficerów. Sharon z miejsca je sobie zjednała, ponieważ od razu kazała im wejść, co pozwoliło im energicznie się wymawiać. Ślicznotka z niej. Przypomina Mimi aktorkę... tylko którą?

Z ganku widać wyraźnie, że dom McCarrollów zastawiony jest w środku mnóstwem pudeł i zabłąkanych mebli, ale Sharon jest ładnie ubrana, w pumpy i bluzkę z krótkimi rękawami, na ścianie w korytarzu, obok pamiątkowej tabliczki dywizjonu, w którym służył jej mąż w Wiesbaden, wisi już drewniany talerz z napisem *Wilkommen*, a w kuchni, sądząc po zapachu, już się coś piecze. Robi wrażenie, ale nie dziwi w przypadku żony amerykańskiego oficera w służbie czynnej. Do legendy przeszła ich umiejętność rozbijania i zwijania obozu na komendę, w blasku chwały własnego wypieku i z wszystkimi możliwymi szykanami.

Natomiast zadziwiające jest to - i panie omówią to później w swoim gronie - że Sharon McCarroll nie odpowiada typowemu wizerunkowi żony pilota myśliwskiego. Zwłaszcza amerykańskiego. Jest nieśmiała. Małomówna. Na jej tle Mimi i pewnie pozostałe panie wypadają tak... amerykańsko.

- Przybywamy po prostu jako komitet powitalny - wyjaśnia Elaine Riddelle, w rybackach i tenisówkach, której mimo szóstego miesiąca ciąży wciąż udaje się zachować dziewczęcy wygląd.

- Nie ma potrzeby, żebyś zaraz biegła do kuchni nastawić czajnik - mówi Betty. Betty niezmiennie nosi sukienki - tym razem jest to rozpinana sukienka do kolan. Nie wynika to z wyniesionego ze Starego Świata przekonania o godnym kobiecym przydzwiewku - Betty po prostu wie, jak podkreślić swoje przyjemne dla oka krągłości. „W spodniach wyglądałabym jak kaszalot wyrzucony na brzeg”, oświadczyła kiedyś. To oczywiście przesada, ale Mimi szanuje kobiety, które zdają sobie sprawę ze swoich dobrych i gorszych stron. Mimi z kolei ma na sobie żółte rurkowane spodnie i biały bezrękawnik ze stójką.

- I tak masz pełne ręce roboty - mówi, wręczając nowej sąsiadce owinięty folią aluminiową półmisek i uprzedzając zastrzeżenia Sharon, dodaje: - To tylko *fricot au...* gulasz jagnięcy.

Sharon jest taka młoda. Betty i Mimi, oczarowane, gotowe są wziąć ją pod swoje skrzydła, a Elaine pyta: - Czy twój mąż gra w golfa?

Na co Sharon uśmiecha się, spuszcza wzrok i lekko potrząsa głową przecząco.

- Daj dziewczynie odsapnąć, Elaine - wtrąca Vimy.

- Nic nie szkodzi - mówi Sharon, a w jej słowach pobrzmiwa łagodne westchnienie, charakterystyczne dla mowy południowca. Lee Remick, to ją przypomina Sharon, uznaje Mimi.

- Oto twój niezbędnik, moja droga - oświadcza Vimy. - Mój numer telefonu znajdziesz tu na samej górze, a dom przy końcu ulicy - wskazuje ręką wolno stojący biały budynek z masztem flagowym na trawniku. Wręcza młodej gospodyni segregator i dodaje: - Jeśli będziesz potrzebowała opieki do dziecka na kilka godzin, trudni się tym moja córka. I to chyba na razie wystarczy.

Mimi bacznie przygląda się Vimy. Jej maniery, sposób, w jaki wytwarza wokół siebie swobodną atmosferę - wszystko to świadczy o obyciu i jest nieodzowne u żony oficera dowodzącego. Mimi wiele wyniosła z rodzinnego domu w Buoctouche w Nowym Brunzwicku, ale ani matka, ani liczne rodzeństwo - miała w sumie dwanaścioro sióstr i braci - nie wpoili jej tego, czego Mimi mogła się nauczyć od kobiety pokroju Vimy. Pewnego dnia Jack też obejmie dowództwo jakiejś placówki i wtedy Mimi przypadnie rola podejmowania u siebie miejscowych „szych”, jak mawia Jack. Ona także awansuje. Mężczyźni najpierw muszą zdać egzaminy i zaliczyć kursy, żeby pójść w górę; ich żony muszą z marszu przyuczać się do pracy na nowym stanowisku. Mimi zwraca uwagę na ujmujący uśmiech Vimy i na to, że nie podaje Sharon całej dłoni, tylko lekko ścisną jej palce.

Oczywiście, na koniec wszystkie przekraczają próg małego zielonego bungalowu, ponieważ Sharon na to nalega - nie czyni tego serdecznymi namowami ani głośnym

podkreślaniem południowej gościnności, po prostu rumieni się i wycofuje do kuchni, żeby zaparzyć kawy i zdjąć z patelni świeżo upieczone ciasteczka z melasą i goździkami.

- To jest Bugs. Jest królikiem.

Śmiech. Madeleine czeka, aż ucichnie. Oczy wszystkich w klasie zwrócone są na nią. Pan March kazał jej pierwszej wystąpić z pokazem. Spojrzała mu prosto w oczy i poszła pod tablicę. Czysty umysł. Skupienie.

- Lubię Bugsa, bo mówi to, co naprawdę myśli. - Jej głos brzmi głośno i wyraźnie.

Śmiech. Madeleine nie chciała, żeby to wypadło zabawnie. Po prostu opowiada rzeczowo i pokazuje. *Bez picu, płoszę pani.*

- Jego ulubionym pożywieniem jest marchew, a ulubionym powiedzonkiem: Co jest głane, doktołku?

Śmiech. Madeleine czuje, jak na twarzy występują jej rumieńce. Zagląda do prostokątów z kartonu, na których z pomocą taty rozpięła swoją prezentację w punktach.

- Jest przebiegły. Kieruje się własnymi zasadami i nigdy nie daje się złapać Elmerowi Fuddowi. Raz przebrał się za panią i zaśpiewał *Królik w czerwonym stroju*.

Chichoty.

Madeleine odrywa wzrok od notatek i zaczyna nieśmiało śpiewać głosem Królika Bugsa: „Królik w czerwonym stroju ja-da-da-da...”. Założył sztuczne rzęsy, a nawet, wiecie - rozczapierza palce i przesuwając dłońmi po piersi; klasa wyje ze śmiechu. Madeleine unosi brwi, wykrzywia usta w stylu Bugsa i zaczyna improwizować: - „Atłapy, jak mniemam”.

A teraz śmiało naprzód, nie wolno zgubić rytmu. - Albo wtedy, gdy udawał Diablicę Tasmańską z wielkimi czerwonymi ustami? - zakłada rękę za głowę, a drugą trzyma na biodrze - „Ach, witaj, mój bohaterze”, a zamiast zębów ma w buzi potrzask do łapania niedźwiedzi i ciach! - „Auuu!”.

Madeleine jest w swoim żywiole. Ale pan March gasi ogólną wesołość: - Dość tej zabawy. Proszę wracać na miejsce, panno McCarthy.

Madeleine natychmiast trzeźwieje, podnosi kartoniki spod biurka pana Marcha, gdzie pospadały, i idzie do swojej ławki. W sumie to dobrze, że nauczyciel jej przerwał. Przynajmniej nie musi dawać innym Bugsa do potrzymania - co stanowi obowiązującą procedurę podczas pokazu. Strach pomyśleć, że Bugs przechodziłby z rąk do rąk. Chociaż Bugswi pewnie by to nie przeszkadzało. Po nim wszystko spływa jak po kaczce.

Grace Novotny przyniosła lalkę szmacianą o imieniu Emily. Wykonaną domowym sposobem. - Starsza siostra mi ją zrobiła.

Któraś z tych puszczałskich, stwierdza mimowolnie Madeleine, a potem robi jej się okropnie żal Grace Novotny, że ma siostrę puszczałską. Grace sepleni. Mówi „starsa”.

Grace szepcze coś do Emily, nachylając się do jej miękkiej brudnej łepety. Potem Emily wędruje po sali. Niektórzy uczniowie jawnie okazują obrzydzenie, łapiąc lalkę końcami palców i zatykając nos. Do Grace jakby to w ogóle nie docierało. Madeleine bierze lalkę w obie ręce. Emily jest usmarowana, ale taki los często spotyka lalki, które są kochane. A jeśli wsiąkły w nią siki? To prawdopodobne, jeśli Grace śpi z nią w łóżku. Ma tylko jedną brew i naszyte wargi z czerwonej wełny. Jednak zamiast sprawiać wrażenie ust, wygląda to tak, jakby Emily na usta miała założone czerwone szwy i nie mogła ich otworzyć. Ubrana jest w bikini, żółte w kropeczki, jak w tej piosence *Yellow Polka-dot Bikini*.

Gdy Emily z powrotem trafia do Grace, ta wsuwa ją sobie pod pachę i ni z tego, ni z owego, zaczyna śpiewać: *Itsy Bitsy Teenie Weenie Yellow Polka-dot Bikini*.

Rozśmieszać a robić z siebie pośmiewisko to dwie zupełnie różne rzeczy. Klasa ryczy tak głośno jak podczas pokazu Madeleine, ale ten śmiech jest inny i tym razem pan March nie kwapi się, żeby uciszyć uczniów. Madeleine wcale to nie cieszy, ale próbuje się śmiać, chcąc okazać, że Grace jest zabawna, w przeciwieństwie do reszty uczniów, których śmiech wyraża: „Grace jest niedorozwinięta”, ale jej to nie wychodzi i daje za wygraną. Czeką, aż Grace skończy śpiewać. Na szczęście Grace nie zna słów i po kilkakrotnym odśpiewaniu pierwszej linijki siada z powrotem w swojej ławce.

Pan March odczytuje nazwisko następnego ucznia na liście: „Gordon Lawson”. Schludny, piegowaty Gordon opowiada o wędkarstwie i pokazuje sztuczne przynęty. Jego występ Madeleine przyjmuje z ulgą, mimo że jest przeraźliwie nudny.

Jack kieruje się do budynku, w którym mieści się Szkoła Lotnicza. Zamierza zapytać o lekcje latania dla syna w cywilnym aeroklubie, ale ma tam również do wypełnienia pewną misję. Idzie wyłożonym szarym linoleum korytarzem, do złudzenia przypominającym korytarz w budynku, w którym on urzęduje, do drzwi z napisem „Przedstawiciel USAF”, wymalowanym drukowanymi literami na szybie z matowego szkła. Przez uchylone drzwi dostrzega czapkę amerykańskiego pilota wiszącą na wieszaku. Puka w szybę. Spodziewa się zwyczajowej gromkiej odpowiedzi w rodzaju „Otwarte” i obmyśla na powitanie jakiś dowcip - coś o rozpoznaniu: swój czy wróg. Przygotowany jest na spotkanie z wylewnym, hałaśliwym amerykańskim asem przestworzy. Tymczasem drzwi otwierają się na oścież i staje przed nim młody pilot. Jego pełen werwy salut przypomina cios karate.

- Witam, panie pułkowniku - mówi Amerykanin, bez cienia uśmiechu.

Wygląda na harcerzyka, ocenia go Jack i przedstawia się: - Pułkownik McCarthy.

Wymieniają uścisk dłoni.

- Witamy w Centralii, panie kapitanie.

- Miło mi pana poznać, panie pułkowniku.

- To jajko rudzika. - W stulonej dłoni Claire widać błękitną skorupkę. To ono spoczywało w pudełku śniadaniowym w stylu Frankiego i Annette, zawinięte w miękką bibułkę. - Wypadło z gniazda i znalazłam je.

Słysząc u niej amerykański akcent? Trudno stwierdzić, tak cicho mówi.

- Głośniej, dziewczynko - odzywa się pan March.

- Znalazłam je - powtarza Claire i rzeczywiście, słysząc w jej słowach lekki zaśpiew.

Claire podchodzi do Philipa Pintera siedzącego w pierwszej ławce, żeby mu pokazać błękitne jajko, ale pan March ją zatrzymuje. Delikatne jajko łatwo uszkodzić.

- Zwłaszcza gdy trafi do rąk Philipa Pintera i jemu podobnych.

Klasa śmieje się, dzieląc zdanie nauczyciela. Philip Pinder też się śmieje. Madeleine czuje ulgę na myśl, że Claire uniknie udręki, o jaką przyprawiliby ją rozbite jajko rudzika. Pan March ma w sumie dobre serce.

Wszyscy pragnęliby jeszcze posłuchać amerykańskiego akcentu Claire, ale ona podsumowuje swoje wystąpienie zwięzłym: „Czasami je zbieram”, przeciągając ostatnią samogłoskę, i tym zjednuje sobie klasę. Na przerwie dziewczynskie dziewczyny chcą się z nią zaprzyjaźnić, a kilku chłopaków kręcących się w pobliżu Claire próbuje jej zaimponować. Philip Pinder drze się na całe gardło:

Oh my darling, oh my darling,

My darling Claire McCarroll,

You are lost for me forever,

Dreadful sorry, dear Claire.

- Philip - mówi znużonym tonem Cathy Baxter, opierając rękę na biodrze, i Philip Pinder ucieka, warcząc jak samochód wyścigowy. Cathy Baxter jest przywódczynią dziewczynskich dziewczyn i rządzi skakankami, a Joyce Nutt, najładniejsza z nich, jest jej zastępczynią. Wszystkie skupiają się wokół Claire, podziwiając jej bransoletkę. Claire nie chwali się, nawet się nie odzywa, tylko posłusznie trzyma wyciągniętą rękę, gdy Cathy ogląda po kolei doczepione do łańcuszka ozdoby.

- Nie wpychaj się, Sara.

- Przepraszam, Cathy.

A zatem, choć Madeleine widzi fizyczne podobieństwo, to jednak obserwując z huśtawki otoczoną wianuszkami ciekawskich dziewczynkę z lśniącymi włosami i krótką grzywką, uświadamia sobie, że ona i Claire McCarroll całkowicie się od siebie różnią.

- Następujące dziewczynki zostaną po lekcjach - nauczyciel zerka do dziennika, mimo że zna już nazwiska wszystkich uczniów - Grace Novotny...

Nikogo to nie dziwi. Grace nie opowiadała podczas pokazu, tylko śpiewała, i to raczej fatalnie.

- Joyce Nutt...

Joyce Nutt? Za co? Ona przecież należy do dziewczęcych dziewczyn, tych od skakanki, które do tej pory niczym nie naraziły się nauczycielowi...

- Diane Vogel...

Diane też jest jedną z nich, ale tak się nie panoszy. Wygląda na to, że potrzebne jej są ćwiczenia na koncentrację, gdyż jak właśnie spostrzegła Madeleine, Diane została przeniesiona do żółwi za ortografię.

- I Madeleine McCarthy.

Mimo że tak się starała skupić, musi zostać po lekcjach. Za wesołość. Żołądek przeszywa jej chłód. Popisywała się przed klasą i podpadła nauczycielowi. Ale przecież nie chodziło jej o to, żeby zwracać na siebie uwagę. Jaka to różnica?

Stoi razem z koleżankami w szeregu pod ścianą z wieszakami, podczas gdy pod tablicą Diane Vogel robi mostek. Pan March przytrzymuje ją kolanami, żeby nie upadła i nie zrobiła sobie krzywdy.

- Wiesz, jak się pisze Missisipi, dziewczynko?

- Dziękuję - mówi Blair McCarroll, gdy Jack przesuwając w jego stronę po kontuarze szklanek piwa.

Siedzą przy barze w mesie oficerskiej. McCarroll, zgodnie z przewidywaniami, jest spoza układu. Świeża twarz, szczeka jakby dopiero co wyciosana, profil czysty i gładki. Przez zmarszczki i zagięcia munduru przezierają ciężka młodość i upłynie jeszcze dużo czasu, zanim na jego szyi sterczącej ze sztywnego kołnierza pokażą się fałdy tłuszczu. O jego czynnej służbie w lotnictwie myśliwskim świadczą skrzydełka naszyte na lewą kieszeń na piersi oraz belki na mankietach marynarki. Ale w jego sposobie bycia nie widać zadzierzystości charakterystycznej dla tej profesji. McCarroll wyraźnie nie czuje potrzeby gniewienia kłap swojej marynarki, nasuwania czapki na tył głowy, poluzowania krawata ani

siłowania się z Jackiem wzrokiem. A jego policzki rumienia się z byle powodu.

- Co cię sprowadza w nasze strony, McCarroll? - pyta Jack. - Chcesz pobierać u nas lekcje latania?

Oficerowie przybyli do mesy na spotkanie z nowym pilotem - dwaj czy trzej instruktorzy pilotażu oraz paru wykładowców - wybuchają śmiechem.

McCarroll studiuje przez chwilę wysoki połysk baru, po czym podnosi głowę. - Cóż, kanadyjscy piloci należą do najlepszych w świecie - mówi, lekko przeciągając samogłoski. - To dla mnie zaszczyt pomagać wam w szkoleniu elewów.

Kilku oficerów spogląda po sobie, kiwa głowami. Może być.

- Sprawia pan wrażenie rozsądnego człowieka - oświadcza Jack z szerokim uśmiechem.

- Proszę mi mówić po imieniu, panie pułkowniku - McCarroll spogląda na pozostałych. - Wy, panowie, również.

Vic Boucher zamawia smażone plastry cielęciny. - Kto z panów ma ochotę coś przekąsić?

- Co pan powie na *einmal Bier*? - zwraca się Ted Lawson do Jacka.

Wszyscy kupują po piwie i przenoszą się do stołu. Omawiają sprawy związane z pracą i najbliższym wydarzeniem towarzyskim - bankietem i potańcówką na cześć wicemarszałka lotnictwa, który przyleci z kwatery

Dowództwa Szkolenia Lotniczego w Winnipeg do Centralii na uroczyste obchody z okazji rocznicy bitwy o Anglię. Jack jęczy w duchu na myśl o tym, że będzie musiał się wcisnąć w galowy mundur - strój obowiązujący na takie okazje. McCarroll nie będzie miał z tym kłopotu; szczupły, łagodny w obejściu, kojarzy się Jackowi z klerykiem. Za sterami chłopak jest pewnie niewzruszony niczym skała, ma doskonały, niezmacony brawurą refleks - maszyny, na których latają dzisiejsi piloci, wymagają chirurgicznej precyzji. W niczym nie przypominają bestii z dawnych lat, które ujarzmił Jack.

Dołącza do nich Hal Woodley; zdejmuje czapkę, poluzowuje krawat; oficerowie prostują się i robią mu miejsce. - Witamy, panie komendancie.

Zjawia się kelner z czystą popielniczką dla niego i szklaneczką szkockiej.

Jack zapada się w miękkim krześle; wokół wywiązuje się wymiana zdań. McCarroll grzecznie słucha. Dziwne uczucie, wiedzieć o kimś coś, co dla niego samego pozostaje tajemnicą, myśli Jack. Zwłaszcza gdy rzutuje to również na jego rodzinę. Oczywiście, to nic groźnego - obaj mają do wykonania specjalne zadanie, niemal banalnie proste. Tyle że McCarroll o tym nie wie, zostanie wtajemniczony dopiero wtedy, gdy Simon da sygnał

Jackowi. A tymczasem McCarroll i jego żona będą jeść, spać, może spłodzą następne dziecko na tej placówce. Ich córka będzie chodzić do tutejszej szkoły, nie do innej, a McCarroll nie będzie wiedział dlaczego. Do czasu. Ten sekret nurtuje Jacka, ta wiedza, która trąci nadmierną intymnością. Jak zapach skłębionej pościeli w cudzej sypialni.

- Co nowego, Jack? - pyta Woodley.

- Jak na razie wszystko gra. Chorąży Pinder odwała za mnie właściwie połowę roboty.

- Lepiej uważaj na Pindera - śmieje się Hal - bo zapcha ci zamrażarkę sarniną i będziesz ją wcinał przez cały miesiąc.

Rozmowa schodzi na temat wędkarstwa. Jack dzieli się swoimi doświadczeniami z łososiami w Nowym Brunzswiku. Hal Woodley opowiada o swojej przygodzie z indiańskim przewodnikiem w Kolumbii Brytyjskiej. *To nie w porządku*. Jack przesuwają się na krzesła. Woodley powinien znać prawdziwy cel przyjazdu McCarrolla. Jak wszyscy przy tym stole, Amerykanin służbowo podlega Woodleyowi i powinien wykonywać rozkazy wydawane wyłącznie przez niego, a przynajmniej przez niego przekazywane. Jack ma obok siebie amerykańskiego pilota, który w gruncie rzeczy jest wyrwany z łańcucha dowodzenia. *To niedobrze*.

- ...a on mówi, „Trzeba tu było być wczoraj, panie Woodley... Brały, aż miło”.

Wybuchają śmiech. Nawet McCarroll na tyle się wyluzował, żeby uczestniczyć w ogólnej wesołości. Jack czuje, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. Dopóki nie zjawił się McCarroll i sprawa nie ukazała się we właściwym świetle, myśli Jack, nie zdawałem sobie sprawy, że działam za plecami Woodleya. Mój udział miał być „nieoficjalny”. Sący szkocką, znajdując słabą pociechę w tym, że przynajmniej ustalił, co go trapi. Nie, nic nie przebiega tu zgodnie z regulaminem, a Jack jeszcze się z tym nie oswoił. Niemniej, ważne jest to, że należymy do tego samego obozu. Wyświadczy tę przysługę Simonowi; to nie potrwa długo i nikt inny nie musi o tym wiedzieć.

Pochyla się do przodu, żeby dźwignąć się z krzesła, i ogarnia go niemiłe uczucie, jakby wokół szyi ktoś zawiesił mu dodatkowy ciężar, ściskający gardło przy wstawaniu. Wznosi szklaneczkę: - Za tych, którzy są ponad to wszystko.

Czuje, jak pod wpływem whisky rozkurcza mu się gardło.

- Na zdrowie - mówi na odchodne i kieruje się do drzwi.

Wiedzieć o innych coś, co dla nich samych jest tajemnicą... dochodzi do wniosku, że właściwie nie jest to dla niego nowe doświadczenie. Przecież w Niemczech, w Czwartym Dywizjonie, z wyprzedzeniem otrzymywał informacje o szkoleniach, ćwiczeniach, a nawet o przeniesieniach na inne placówki. Wiedział, kto nie wyjedzie na urlop, czyja żona przeżyje

rozczarowanie, kto dostanie przydział na upatrzoną placówkę, a komu przypadnie stacja nasłuchu radarowego w Arktyce. Na tym, między innymi, polegało jego zadanie, a czasami również na samodzielnym decydowaniu o takich sprawach. Wtedy w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Czym tak naprawdę różni się obecna sytuacja? Przy drzwiach odwraca się na chwilę, żeby raz jeszcze spojrzeć na towarzystwo. Z dała od innych oficerów, samotnie siedzi przy stole Nolan - co samo w sobie nie jest niczym niezwykłym, żadne prawo nie nakazuje, żeby „panowie oficerowie trzymali się razem”. Dziwne natomiast jest to, że Nolan po raz kolejny je kolację w mesie. Na początku Jack sądził, że żona Nolana gdzieś wyjechała, ale niedawno dowiedział się od Vicka Bouchera, że pani Nolan nie domaga. Jack przeciska się przez ciężkie skrzydła dębowych drzwi i pełną piersią wdycha świeże powietrze. Oczyszcza płuca przesiąknięte dymem z cygar i papierosów, wyziewami mocnych trunków i mundurów. Lubi przebywać w gronie kolegów, lubi swoją pracę, ale to są tylko środki do celu. Jego prawdziwe życie to dom i żona przyrządzająca mu w tej chwili kolację.

Madeleine wychodzi z klasy bocznymi drzwiami i widzi, że Lisa i Auriel nie czekają na nią, lecz idą przez trawiaste pole, wolnym krokiem, aby mogła je dogonić. Już puszcza się biegiem przez plac zabaw, gdy wtem Sara woła do niej z huśtawki: - Hej, Madeleine!

Madeleine nie zatrzymuje się. - Hej.

- Zaczekaj.

- Nie mogę.

Ale zwalnia; nie chce doścignąć przyjaciółek z Sarą, przyczepioną do niej jak rzep do psiego ogona.

- Dlaczego musiałaś zostać po lekcjach? - Sara ledwo łapie oddech, wyęzając się, żeby nadażyć za Madeleine.

- Bo tak - odpowiada Madeleine.

- Ale po co?

- Na ćwiczenia.

- Zostaniesz dyżurną klasową?

- Nie. Nie wiem.

- Mogę się pobawić z tobą, Auriel i Lisą?

Madeleine wzrusza ramionami. - Żyjemy w wolnym kraju.

Sara spuszcza wzrok.

- Proszę - mówi Madeleine, podając jej czekoladową różyczkę.

Sara patrzy na różyczkę i pyta głosem pełnym podziwu: - Och, Maddy. Skąd ją masz?

- Od pana Marcha - mamrocze Madeleine.

Sara wpycha sobie czekoladkę do buzi, a Madeleine, nie czekając na podziękowania, rusza z kopyta niczym Struś Pędziwiatr, wzbijając za sobą rysunkowy tuman pyłu.

Dogania przyjaciółki.

- Co ci dzisiaj kazał robić? - pyta Auriel.

Madeleine spogląda na nie wzrokiem pełnym powagi. Przyciska brodę do piersi i strzelając oczami na wszystkie strony, oświadcza: - Mm-bedi-bedi, to wszystko na dziś!

Biegąc zygzakami do domu z przyjaciółkami, zerka przez ramię na Sarę, wlokącą się z tyłu. Madeleine i tak nie miała ochoty na tę czekoladkę.

- Jak było dzisiaj w szkole, stary druhu?

Siedzą na kanapie. Przytuleni do siebie, czytają gazetę przed kolacją.

- Świetnie. Mamy nową uczennicę w klasie.

- Domyślam się.

- Ze Stanów.

- Mm-hm.

Czytają razem historyjkę obrazkową *The Wizard of Id*.

- Jak wygląda sytuacja? - pyta Jack; postanowił nie poruszać tego tematu przy stole, gdyż wie, że to dla córki drażliwa sprawa.

- Wróciłam z powrotem do delfinów - mówi Madeleine.

- No widzisz. Za tydzień znów zostaniesz królikiem.

- Zającem.

- Robiłaś tak, jak się umówiliśmy?

- Tak.

- Patrzyłaś mu prosto w oczy i uważałaś przez cały czas?

- Tak.

- Dobra robota.

Madeleine czeka, aż zapyta ją, czy znów musiała zostać po lekcjach, ale na próżno. Zresztą dlaczego miałby pytać? Chodziło o to, żeby ją wyciągnąć z żółwi, i cel został osiągnięty. Skąd miałby podejrzewać, że nauczyciel znów przetrzymał ją w szkole? W każdym razie zasłużyła sobie na to. Nieopatrznie wdepnęła na kolejną minę, musi się nauczyć, gdzie można się na nie natknąć. Zły nauczyciel to dar. Naprawdę chcesz opowiedzieć tacie, jak zakłóciłaś zajęcia, wzbudzając w klasie ogólną wesołość? I to po naszej wspólnej naradzie wojennej poświęconej koncentracji? Wiesz, co musisz zrobić. Masz

zadanie do wykonania. Operacja Koncentracja.

- Tato?
- Tak?
- ...Czy ćwiczenie mostków jest dobre dla zdrowia?
- Chyba tak.

Jack przewraca stronicę. *OŚWIADCZENIE CHRUSZCZOWA: BRONŃ ZGROMADZONA NA KUBIE WYŁĄCZNIE DO CELÓW OBRONNYCH...*

- Czy to poprawia koncentrację?
- Ale co, stary druhu?
- Mostki.
- Och, nie wiem. A dlaczego miałyby poprawiać?
- Krew napływa wtedy do mózgu.
- Cóż, może poprawiają. A dlaczego pytasz? Robiłaś ostatnio mostki?
- Tak.
- Kiedy?

- Po szkole. W drodze do domu - dodaje. Właściwie to nie jest kłamstwo. Przecież biurko pana Marcha stoi na jej drodze do domu, Madeleine musi je minąć, żeby dostać się do drzwi.

- Nie wysilaj się za bardzo, skarbie - odkłada gazetę, gdyż widzi, że twarz córki przybrała nagle poważny wyraz. - Posłuchaj - mówi, biorąc ją na kolanach - może czas trochę przyhamować, co? Jak sądzisz?

Każę jej przestać przejmować się na jakiś czas zółwiami i zajęcami, ponieważ: - To, co się tutaj dzieje - puka się w tył głowy - kiedy bawisz się na podwórku albo śpisz sobie w łóżku i śnią ci się różne rzeczy, to połowa wygranej. Musisz uważać, żeby nie przeciążać umysłu.

Tata nic nie wie o mostkach. Przytulona do taty, Madeleine stara się teraz o nich nie myśleć. Przy nim wydają się czymś niestosownym. I te kolana pana Marcha ściskające jej biodra niczym szczęki imadła.

- Mogę pooglądać telewizję?
- Może wyjdiesz się pobawić? Ciesz się słońcem, póki jest ładna pogoda.
- Ale dzisiaj jest *To Tell the Truth*.
- Za tydzień też będzie następny odcinek, nie uważasz?
- No tak. - Odwzajemnia jego uśmiech i schodzi z kanapy. Nogi ciążyą jej jak ołów.

Kiedy wyobraża sobie, że mówi mu o mostkach, widzi siebie wykonującą mostek na

jego oczach i robi jej się żal taty, ponieważ miałby taką speszoną minę. Ale najważniejsze, że wy dostała się z żółwi.

Jack zagłębia się w lekturze. Brytyjscy zwolennicy rozbrojenia wylegli na ulicę: *Precz z bombą atomową!* Samozwańczy komuniści. Przed wojną takie skrzywienie można było jeszcze zrozumieć. Czy ci głupcy nie słyszeli o Stalinie? Przewraca stronę. Widzi, że córka ciągle stoi na środku pokoju, jakby nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Może poprzytykała się z przyjaciółkami?

- Mówiłaś, że masz nową koleżankę w klasie?

Madeleine kiwa głową.

- Przejdź się do niej. Pomóż jej odnaleźć się w nowym miejscu.

- Dobrze.

Nogi ma jak z kamienia, a słońce tak mocno świeci. Droga do małego zielonego bungalowu dłuży się w nieskończoność. Madeleine mruży oczy, niedobrze jej.

- Witaj, Madeleine, kotku. - Pani McCarroll ma taki sam uroczy wirginijski głos jak jej córka.

Pokój Claire McCarroll zastawiony jest zabawkami, na których nie widać śladów używania. Półki pełne są lalek jak spod igły, w grach nie brakuje ani jednego pionka. To dlatego, że Claire ma to rzadkie szczęście być jedynaczką. Nie tyle bawi się z Madeleine, co przygląda się jej zabawie. Sprawia wrażenie przybysza z obcego kraju, który wyuczył się kilku uprzejmych zwrotów: „Możesz się nią pobawić”. Claire nie wyrobiła w sobie nawyku bronienia swoich skarbów. Pozwala Madeleine wziąć do ręki ptasie gniazdko. W środku gniazdko leży błękitne jajko.

- O kurczę! Masz piekarnik do wypiekania ciasteczek.

- Możesz się nim pobawić.

- Kenner to świat zabawek! - woła Madeleine i skrzeczy jak animowany ptak z reklamy.

Claire chichocze, co brzmi jak ulatniające się bąbelki. Ten nagły, radosny odgłos rozśmiesza Madeleine.

- Pociągnij mój sznurek - mówi Madeleine.

Claire pociąga na niby za sznurek i odzywa się Królik Bugs: - Co jest głane, doktołku?

Claire znów się śmieje.

- Pociągnij jeszcze raz.

Claire ciągnie.

Szkoda marnować taki ładny dzień na siedzenie w domu, więc pani McCarroll pozwala im wynieść piekarnik na dwór. Dziewczynki siedzą na trawie, zaglądając do środka przez szybkę, czekając, aż upiecze się miniaturowy torcik beżowy. Madeleine ubrana jest w strój do zabawy, lecz Claire wciąż ma na sobie szkolną sukienkę.

Rozmowa jakoś się nie klei.

Torcik jest gotowy. Madeleine pieczołowicie dzieli wypiek i obie dziewczynki jedzą powoli, z namaszczeniem, z talerzyków upamiętniających amerykańską wojnę o niepodległość. Potem fikają koziołki, żeby lepiej im się trawiło. Madeleine mimowolnie dostrzega majtki Claire, chociaż stara się nie zwracać na nie uwagi. Wyobraża sobie Claire wygiętą do tyłu przy biurku pana Marcha i przymyka oczy, żeby odsunąć od siebie ten obraz. Lecz chociaż z całych sił zaciska powieki, wciąż stoi jej przed oczami malujący się na nich wyraźny wzorek. Chmara żółtych motyli.

Przez cały ten tydzień Claire cieszy się w szkole wielkim wzięciem. Ale to mija. Ona jest naprawdę taka, jaka się wydaje - cicha, nieśmiała - i nie ma sensu dalej starać się o jej względy albo walczyć o nią z innymi. Żadnej dziewczynki nie wybiera na swoją najlepszą przyjaciółkę, a tego właśnie wszyscy od niej oczekują. Dzielą się z nią słodyczami: - Claire, chcesz jednego?

- Poproszę. Może masz ochotę na ciastko?

Obojętnie, kto ją częstuje, Claire nigdy nie odmawia i zaraz się czymś odwzajemnia. Nie rozumie tego, że nie powinna wdawać się w żadne wymiany z Grace Novotny, że to uwłaczające. Po prostu nie dociera to do niej, nawet po upływie całego tygodnia. Nie przyłącza się do żadnej grupy, hušta się samotnie, ostrożnie. Czasami zsunie się ze zjeżdżalni, hamując po drodze rękami. I codziennie jeździ do szkoły rowerem, chociaż SKR-y są tak blisko, że można chodzić piechotą.

Opony przy jej rowerze są takie grube jak przy rowerze Madeleine i niewykluczone, że pod nałożoną domowym sposobem farbą kryje się Zippy Velo. Ale ojciec Claire przemaalował go na biało-różowo: błotniki i osłonę łańcucha upiększa ozdobny wzorek w romby, jak na pelerynie Szczurołapa. Rower ma różowe siodełko, różowy dzwonek i różowy plastikowy koszyk, a jego perłę w koronie stanowi przymocowana do kierownicy para lśniących różowych plastikowych wstęg.

Claire z pewnością nie jest klasowym wyrzutkiem, a ponieważ wszyscy dosyć ją lubią i u nikogo nie budzi niechęci, nikt nie zauważa tego, że Claire nie ma przyjaciół.

ŚRODKI ZAPOBIEGAWCZE

Jako rodzicom bez wątpienia zależy wam na tym, aby uchronić swoje dzieci przed potknięciami i nieszczęściami w sferze seksualnej. Bez wątpienia pragniecie zadbać o ich należytą edukację seksualną i nie dopuścić do powstania u nich zahamowań mogących rzutować na ich przyszłe życie małżeńskie.

„Chatelaine”, sierpień 1962

Inaczej wychodzi się rano do szkoły, a inaczej wraca po lekcjach do domu. Najprzyjemniejsze są środy, ponieważ w ten dzień Madeleine nigdy nie zostaje po lekcjach. Nikt nie zostaje. Pan March prowadzi szkolny zespół muzyczny i w środy po południu uczniowie ćwiczą pod jego kierunkiem od trzeciej do wpół do piątej. Lisa i Auriel chodzą na próby, Lisa gra na trójkacie, a Auriel na flecie. Madeleine udało się wymigać; musiała jednak za to obiecać mamie, że przyłoży się do nauki gry na akordeonie. Zaczęła pobierać lekcje u pana Bouchera.

Każdego ranka Madeleine po wyjściu z domu dołącza do Lisy i Auriel i razem śpiewają przez całą drogę do szkoły. Madeleine rozpościera szeroko ręce i wyje smętnie na cały głos: *Whe-e-e-re the Boys Are...!* Auriel też się nie krępuje i daje popis taneczny na poboczu drogi, a czasami wydaje im się wręcz, że pora jest za wczesna na to, żeby tak mocno rechotać. Nazwały się The Songelles. Kręcą dłońmi nad głowami, strzelają palcami, po drodze ani na chwilę nie ustają w płasach.

Niekiedy starcza im czasu na to, żeby cofnąć się do skrzyżowania Algonquin Drive z drogą okręgową, punktu zbiórki nastolatków dojeżdżających autobusem do liceum, i spojrzeć ukradkiem na Ricky'ego Froelicha i Marshę Woodley trzymających się za ręce. Ricky nosi jej podręczniki.

Rano, kiedy po dzwonku zaczynają szurać krzesła, polekcyjne ćwiczenia wydają się odległe, odsunięte na dalszy plan przez znajomy, przyjemny porządek szkolnego dnia, który rozpoczyna się odśpiewaniem *Boże, chroń królową* - jeśli uważnie się przyjrzeć, można zauważyć, że Claire McCarroll do tej melodii śpiewa inne słowa, ale po cichu. Amerykańskie. Co więcej, klasa wzbogaciła się o myszokoczka, umieszczonego w klatce z tyłu sali, rozsiewającego przyjazny zapach gryzonia, przypominający drewniane wiórki. Wabi się Sputnik.

- Otwórzcie ćwiczenia ortograficzne Macmillana na stronie dwudziestej piątej...

Radość przerw mać konieczność unikania Sary Nolan, która wciąż jeszcze błąka się niestowarzyszona. „Chcesz przyjść do mnie na lunch, Madeleine?”. Dlaczego tak się do mnie przyczepiła?

Jest wiele dziewcząt pokroju Sary, nadętych i złośliwych, których sukienki nawet pod koniec dnia wciąż są nieskazitelne; niech sobie poszuka przyjaciółki wśród nich. Dlaczego Cathy Baxter nie przyjęła jej do swojej paczki? One skaczą przez podwójne skakanki i na pewno nie narzekają na nadmiar dziewczynek do trzymania sznura - Sara mogłaby zacząć od kręcenia skakanką i stopniowo awansować. Ważniaczki. Zawsze mają jakiś sekret, którego zazdrośnie strzegą: „To nasza sprawa, a tobie nic do tego!”. Piłką baseballową rzucają od dołu, a ich prace trafiają w piątek na klasową wystawę. Są w sam raz dla Sary. Lecz chociaż Sara świetnie skacze, robi z papieru wspaniałe wróżby i niemal z każdego przedmiotu jest zajęcem, to kiedy chcąc się im przypodobać, mówi: „Masz śliczny sweter, Cathy”, dziewczynskie dziewczyny milkną na chwilę, a Cathy przewraca oczami, po czym podejmują na nowo rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Madeleine zaczyna nękać poczucie odpowiedzialności. Będę musiała się z nią zaprzyjaźnić, skoro nikt inny nie chce?

- Otwórzcie śpiewniki na stronie dwunastej. - Pan March dmucha w piszczalkę do podawania tonu, unosi gruby paluch, opuszcza go i klasa zaczyna śpiewać: „Kraino żółtej brzozy, gdzie bóbr żeremia stawia, a łoś, wolny wciąż, wędruje poprzez knieje...”.

Mijają kolejne zajęcia, a Madeleine śledzi ruchy filcowych zwierzątek po tablicy.

- Następujące dziewczynki zostaną dziś po lekcjach...

Raz lub dwa razy na tydzień. Czasami wszystkie naraz, czasami niektóre. Co dziś przeszkrobały inne uczennice? Piękna i smutna Diane Vogel, bystra Joyce Nutt i Grace Novotny. Nawet Grace Novotny nie jest aż tak beznadziejna przez cały czas, żeby wymagała ciągłego doksztalcania, ale i tak za każdym razem nauczyciel ją wyczytuje.

Stoją w rzędzie wzdłuż ściany z wieszakami na płaszcze. Kiedy przychodzi jej kolej, Madeleine idzie pod tablicę, a on patrzy na nią niewidząco, co skłania ją do refleksji: *Może jestem tylko wymysłem jego wyobraźni?* Auriel i Lisa przestały ją wypytywać o szczegóły, nikt o to nie pyta. Są po prostu dziewczynkami, którym nauczyciel każe zostawać po lekcjach. Na ćwiczenia.

Pozostali uczniowie nie wnikają w to, na czym polegają te ćwiczenia. Stały się czymś powszednim.

Z łatwością można dotrzeć do domu nie później niż dwanaście po trzeciej, ponieważ pan March nigdy nie przetrzymuje dziewczynek dłużej niż dziesięć minut, więc nie wywołuje

to żadnej reakcji; nie wracają ze szkoły aż tak późno, żeby rodzice zaczęli coś podejrzewać.

- Jeśli wy im nie powiecie, ode mnie też się nie dowiedzą - powtarza pan March. - Oczywiście, wszystko zależy od waszych postępów w ćwiczeniach.

To miło z jego strony. Mają dość kłopotów z nauczycielem. Kto by jeszcze do tego chciał się narażać rodzicom?

Mijają tygodnie nauki w szkole, a wydaje się, jakby upłynęły miesiące; dni, jeszcze niedawno pełne swobody, wypełniają teraz lekcje, a potem rozliczne popołudniowe zajęcia: sport, zbiórki ruchowe, taniec. Madeleine uczy się z przyjaciółkami szkockich tańców ludowych, stepowania, swingu i baletu pod kierunkiem kościstej pani Jolly, która w swoim obcisłym kostiumie przypomina tyczkę. Madeleine z całych sił stara się poruszać z wdziękiem, lecz jej wysiłki wywołują u pani Jolly serdeczny śmiech.

- Jesteś nad wyraz giętka, Madeleine, ale taniec nie należy chyba do twoich najmocniejszych stron.

Gdy każe im tańczyć twista, Madeleine symuluje ból brzucha. Myśl o tym, że ma zmysłowo się wyginać razem z pozostałymi dziewczynkami, przyprawia ją o niesmak kojarzący się z polekcyjnymi ćwiczeniami.

Życie towarzyskie dorosłych również idzie pełną parą. W piątkowe wieczory w domach odbywają się zakrapiane spotkania, a w każdą sobotę w mesie wydawane jest przyjęcie. Rodzice Madeleine zaczęli grywać w curling w sobotnie poranki, a w ciągu tygodnia panie zapraszają się nawzajem na małą czarną albo na wieczorki brydżowe. Te ostatnie są szczególnie pożądane, ponieważ wiążą się z mnóstwem przekąsek i wypieków, które następnego dnia wędrują jako przysmaki do uczniowskich tornistrów.

W pewien czwartkowy wieczór pod koniec września Mimi podejmuje u siebie cztery zespoły brydżowe i dla każdego przygotowuje oddzielny stolik. Pozwala Madeleine posiedzieć dłużej i przywitać się z paniami. Madeleine z utęsknieniem wpatruje się w pełne czekoladek kryształowe czarki, ustawione na każdym stoliku, na półmiski, na których warstwami ułożone są przepyszne łakocie upieczone przez mamę. Poczesne miejsce na paterze zajmuje pomarańczowy placek drożdżowy, stół zastawiony jest zimnymi i ciepłymi zakąskami: parówkami, klopsikami w sosie, koreczkami. Salon rozbrzmiewa śmiechem, grona pań zajętych pogawędką skrzą się niczym szal z wełny kaszmirskiej w zestawieniu z świeżo umyтыми włosami. Srebrna zastawa lśni na bufecie obok maleńkich kieliszków z likierem miętowym; szminka ozdabia krawędzie filiżanek, a torebki z lakierowanej skóry warują na podłodze jak zaparkowane samochodziki. Wraz z wonią perfum i dymem

papierosów tworzy to iście upojną mieszankę.

Madeleine jest w krótkiej piżamie i pikowanym szlafroku.

- Witaj, Madeleine, skarbie. Jak ci się układa w szkole?

Serdeczna, elegancka pani Woodley.

- Bardzo dobrze, dziękuję.

Pani McCarroll przy kominku słucha pani Lawson, która gładzi ją po ręce - matka Gordona jest niemal tak opiekuńcza jak pani Boucher, widać po niej łagodne usposobienie. Pani Noonan jest miła, ale ma lekkiego zeza. Madeleine dolatują z kuchni słowa pani Ridelle; „Daj spokój, Betty, przestań się tak umartwiać!”. Słychać grzechot potrząsanego termosu. John Mathis na płycie śpiewa, że chciałby mieć dzieci. Madeleine jest urzeczona tą sceną. Gdy siedzi zupełnie nieruchomo i nie skupia się na niczym szczególnym, wszystko dociera do niej naraz:

- ...tanio, za pół ceny...

- ...przestań. Naprawdę?!

- ...potrafi pokazać się od najlepszej strony...

- ...na placówkę do Brukseli...

- ...jeszcze nie wstąpiła.

- Kto?

- Sylvia Nolan, jeszcze nie wstąpiła do Koła Zon Oficerów.

- ...zszargane nerwy...

Sylvia Nolan. Matka Sary, ta od bólów głowy. Madeleine rozgląda się szybko - jest tu gdzieś pani Nolan? Powie wszystkim o ćwiczeniach? Oczywiście, że jej nie ma. *Jeszcze nie wstąpiła do Koła Zon Oficerów.* A poza tym, czy w ogóle jest o czym mówić? Nagle wyrasta przed nią rozpromieniona pani Baxter, tęga kobieta z szopą blond włosów i wydatnymi czerwonymi ustami.

- Pewnie przyjaźnisz się z moją Cathy.

Madeleine uśmiecha się półgębkiem, nie wiedząc, co na to powiedzieć.

- Chodzisz do klasy razem z Joyce. Jak się czujesz w roli czwartoklasistki, złotko? - zwraca się do niej szczupła kobieta u boku pani Baxter, pani Nutt.

- Świetnie, dziękuję.

Pani Nutt zajmuje swoje miejsce przy stoliku i mówi coś do pani Vogel, która wygląda zupełnie jak Judy Garland - piękna, z miną, jakby zaraz miała się rozplakać ze szczęścia. Czy Joyce Nutt i Diane Vogel powiedziały swoim mamom o ćwiczeniach? Czy o tym rozmawiają teraz ich mamy? Czy matka Madeleine dowie się od nich wszystkiego?

- Madeleine.

- *Oui, Maman.*

Pora spać. Mimi zawija w serwetkę czekoladowy paluszek i daje go Madeleine. - A teraz do łóżka, bo przyjdzie po ciebie *bonhomme sept heure*.

Mama była dzisiaj u fryzjera. Jej włosy są nienagannie ułożone, ma na sobie doskonale skrojoną czarno-zieloną sukienkę bez rękawów. Madeleine wlecze się na górę, odprowadza jeszcze wzrokiem *Maman*, która lawirując między gośćmi, podchodzi do gramofonu i zdejmuje igłę z płyty. Odwraca się do zebranych i klaszcząc dwa razy w dłonie, oznajmia: - *Alton, les femmes*, zabierzmy się wreszcie do dzieła.

Panie śmieją się i posłusznie kierują do stolików. Madeleine ociąga się; wpatrzona w panią Vogel i panią Nutt, nakazuje im w myślach, aby się rozdzieliły. Siadają osobno. Całe szczęście, że nie ma pani Nolan, ale ciekawe, dlaczego jest nieobecna pani Novotny. Nagle Madeleine przypomina sobie słowa Sary: *Tata Grace jest zwykłym kapralem*. Pani Novotny nie jest żoną oficera, więc wygląda na to, że *Maman* raczej nie dowie się od niej o ćwiczeniach.

- *Madeleine, vite, vite. Bonne nuit, ma p'tite.*

- Wiesz, dziewczynko, jak się nazywa stolica Borneo?

Madeleine przekazuje ojcu tylko dobre wiadomości. Trzyma przed nim fason. Nie chce, żeby pomyślał, że z ich planu nic nie wychodzi. Plan się sprawdza. Madeleine najwyżej na kilka dni spada do żółwi, a potem wraca do delfinów. Ale nigdy do zajęcy. Smutno byłoby ojcu na myśl, że nie rozwiązał problemu. Bo rozwiązał. A w jego obecności polekcyjne ćwiczenia stają się czymś nikłym i oderwanym od jej życia.

Pomaga mu w koszeniu trawy; razem kierują kosiarką i prowadzą długie rozmowy, przekrzykując warkot silnika. Madeleine opowiada mu o swoich koleżankach i kolegach z klasy - o dziewczynskich dziewczynach, o dokazujących chłopcach, którym przewodzi Philip Pinder, i o całej reszcie, pomijając, rzecz jasna, zespół od ćwiczeń - a on wzbogaca jej słownictwo o takie pojęcia jak „nacisk ze strony rówieśników”, „dynamika grupy”. Pomaga jej napisać wystąpienie na temat humoru, śmiech jako wspaniałe „panaceum”. W szkole Madeleine staje się przedmiotem bezlitosnych drwin za użycie takiego wymyślnego słowa i w odpowiedzi szafuje nim przy lada okazji. Z ojcem roztrząsają ważne zagadnienia, na przykład dlaczego Bóg dopuszcza do wojen, raka i cierpienia niewinnych psów, zastanawiają się, co będzie robić, kiedy dorośnie, rozważając plusy i minusy różnych zawodów - przeprowadzają, jak on to nazywa, analizę opłacalności. Pyta ją, co chciałaby osiągnąć w

ciągu najbliższych pięciu lat, dokonują oceny celów krótkofalowych i długofalowych, i jak mogą doprowadzić ją w końcu do programu Eda Sullivana. Pewnej soboty zabierają lunch i wędrują kilometrami po polnych drogach daleko od bazy, tylko we dwójkę, zaopatrzeni w kakao Nesquik w termosie i zapas kanapek z masłem orzechowym. Takie chwile niemal natychmiast przeradzają się we wspomnienia, odchodzą w połączoną przeszłość, która jakby współlistniała z terażniejszością. Przeżycia, które rozpamiętuje się już wtedy, kiedy się ich doznaje, gorzko-słodkie i skąpane w słonecznym świetle, tracącym z wolna blask i wpadającym w spłowiałą sepię - zawieszony we wrześnieowym powietrzu tuman kurzu, wzniecony przez jedyny przejeżdżający samochód, woń żółknących liści, błękit nieba odbijający się w słonecznych okularach taty.

Wciąż postanawia zapytać go o stolicę Borneo, ale zawsze zapomina.

- Następujące dziewczynki zostaną po lekcjach: Diane Vogel, Grace Novotny, Joyce Nutt, Madeleine McCarthy i Sara Nolan.

Sara spogląda dumna po klasie i w jej policzkach pokazują się dołki. Gdy napotyka wzrok Madeleine, odwraca wyniośle głowę. Tylko Siara Nolan mogła uważać za wyróżnienie to, że została wyznaczona do ćwiczeń. Madeleine oblewa gorąco, kiedy uświadamia sobie, że Sara nie ma pojęcia, na czym tak naprawdę polegają te ćwiczenia. A jeśli na nas doniesie? *Co doniesie?*

Stają w rzędzie wzdłuż ściany z wieszakami na płaszcze. Madeleine odchyła się do tyłu, czuje, jak wieszak wbija jej się w kręgosłup, a potem przesuwają się nieco w bok i trafia między żebra. Jak rzeźniczy hak.

Czekasz pod ścianą z wieszakami, aż cię wywoła. Albo każe ci się z powrotem w ławce i zaznaczyć poprawne odpowiedzi na zadane pytania.

Potem kładzie czekoladowe różyczki na biurku i wszyscy podchodzą, częstują się i wychodzą. „Bocznymi drzwiami, dziewczynki”.

Za potężnym dębowym biurkiem jest z nim teraz Diane Vogel. Madeleine przygląda się i czeka. Ciekawe, jakie ćwiczenia muszą robić inne dziewczynki? Zaliczają się do mądrych czy do głupich? Czy może do niegrzecznych? A ja do której grupy należę?

Grace Novotny robi mostki za biurkiem, a on trzyma ją mocno kolanami, żeby się nie przewróciła. Pan March uważa, żeby nic się im przypadkiem nie stało.

Joyce Nutt też robi mostki, ale obok biurka, nigdy za biurkiem. A on jej nie przytrzymuje. Nie martwi się, że upadnie?

Madeleine spogląda na boki. Jest nas w sumie pięć na ćwiczeniach. Niewiele brakuje

do zuchowej szóstki. Wszystkie jesteście zuchami, ale na wiosnę dostaniemy skrzydełka i wlecimy do harcerek. Z wyjątkiem Grace - ona co najwyżej się doczłapie.

Nikt się nie odzywa, nawet Sara. Usta ma zaciśnięte, jakby nie chciała, żeby coś jej się mimo woli wyrwało. Domyśliła się, że taka panuje tu zasada, a kiedy Sara już zna zasady, zachowuje się, jakby była prawą ręką nauczyciela.

Wszyscy czekają, aż Grace skończy. Słychać tylko chrobotanie myszokoczka w klatce i ciężkie sapanie pana Marcha - to musi być dla niego męczące.

Trzy minuty po trzeciej. Na ścianie wiszą indyki wycięte z kolorowego papieru, znak, że niedługo będziemy obchodzić Święto Dziękczynienia. Uśmiechnięte i ubrane, jak szczęśliwi pielgrzymi, którzy je pożrą. Myślał indyk o niedzieli, a w sobotę mu łeb ucieli. Na ścianie widnieją też rogi obfitości z wysypującymi się patisonami i ziarnami kukurydzy.

Grace Novotny idzie już w stronę wieszaków.

- Podejdz tu, dziewczynko - mówi nauczyciel. Nie wiadomo, do której się zwraca, dopóki nie doda: - Ty w białej bluzce.

Madeleine kieruje się pod tablicę.

- Wiesz, jak się nazywa stolica Borneo, dziewczynko?

- Nie, proszę pana.

- Wymień nazwy okrętów floty Krzysztofa Kolumba.

- „Nina”, „Pinta” i „Santa Maria”.

- Dobrze. A teraz przekonamy się, czy odpowiesz chociaż na dwa z trzech pytań, które ci zadam. Jak się mówi na samicę pawia?

- Nie wiem.

- Odpowiedź brzmi: pawica. Powtórz.

- Pawica.

- Podejdz bliżej. Bliżej. O tak. Zobaczmy, czy przybyło ci sił. Musisz dalej pilnie ćwiczyć, bo nie będę mógł ci wystawić dobrej oceny ze zdrowia, stój spokojnie.

Nie mamy takiego przedmiotu „zdrowie”; on zwariował.

- Sprawdzę, jakie masz mięśnie. O, całkiem duże. Przecież to cię nie boli.

Trzęsą mu się fałdy na policzkach, spogląda na nią, ale tak, jakby jej nie widział. Gdzie się podziała Madeleine? Dotyka jej świeżo wyprasowanej bluzki z broszką, na której widnieje flaga Akadii, biało-czerwono-niebieska. *Maman* przypięła jej dziś rano, biedna *Maman*.

- Sprawdzę twoje mięśnie na piersiach. Rosną, prawda, pocierasz je codziennie? I na brzuchu, i na... jesteś cała przesiąknięta potem.

Pan March dotyka jej majtek. To przyjemne uczucie.

- Wiesz, co się stanie, kiedy rodzice odkryją, jaka z ciebie niegrzeczna dziewczynka?

Jej głowa jest cała rozpalona. Madeleine potrząsa nią przecząco.

- Wypędzą cię.

Do lasu. Madeleine czuje, jak serce tłucze jej w piersi - widzi w wyobraźni, jak olbrzymie i czerwone serce rozsadza klatkę z żeber.

- O, pomacaj mój mięsień... właśnie... ściśnij, zobacz, jaki twardy. Jak guma. Czuć jego zapach. Nie myśl o tym, bo wymiotujesz.

- Jesteś silna? Zobaczymy, ile masz siły. Ściśnij jak najmocniej. Z wierzchu luźna skóra, pod nią twarde, żywe mięso.

- Potrzymaj.

Zaciska dłoń na ręce Madeleine, takie tarcie musi być dla niego bolesne, skóra zsuwa się z czubka, przypomina indyczą szyję; przez tę dziurkę się sika.

Potem ją odpycha i może zawoła następną dziewczynkę, a może nie.

Madeleine idzie z powrotem pod wieszaki. Zabiera jej to dużo czasu, ale przecież po drodze ani na chwilę nie przestała poruszać stopami, więc trwało to pewnie tak długo jak zwykle. Przywiera kręgosłupem do haka. Potem spostrzega Sarę już za biurkiem, chociaż nie pamięta tego, że została wywołana ani że odchodziła od wieszaków; po prostu ni z tego, ni z owego Sara znalazła się za jego biurkiem. Madeleine nogi ma odrętwiałe, zmęczone, jakby stała tam od dawna. A dopiero jest siedem po trzeciej.

Sara ma wyciągnięte ręce, a pan March kładzie do nich słodycze - nie tak się to do tej pory odbywało.

- Ja jestem od rozdawania cukierków - oznajmia Sara, która jakby wyrosła spod ziemi. Kroczy dumnie wzdłuż szeregu, a kiedy dochodzi do Madeleine, mówi: - Cukierki są dla mądrych, a nie dla głupich, więc nie masz co marzyć, Madeleine.

„Wypchaj się”, ma ochotę odpowiedzieć, ale zaschło jej w gardle. Sara oblizuje czerwoną drażetkę, bawi się nią jak szminką, potem wrzuca do ust i głośno rozgryza.

- Jeszcze pożałujesz, Madeleine.

Bocznym wyjściem razem z innymi dziewczynkami. Całe szczęście, bo gdyby tak natknęła się na korytarzu na dyrektora, pana Lemmona, albo pana Froelicha, na pewno zdziwiłoby ich, co robiła w klasie po lekcjach - za drzwiami z szybą zaklejoną najładniejszymi indykami.

Rozchodzą się. W milczeniu, jak zwykle. Tylko Sara szczebiocze, jak nowo przyjęty członek elitarnego klubu. Madeleine ignoruje ją.

- Cześć - wita ją Claire McCarroll, która jeździ po placu szkolnym na rowerze; różowe wstęgi lśnią i powiewają na wietrze.

Madeleine szumi w głowie, czuje, że jej majtki w kroku są wilgotne, staje jej przed oczami ich wzorek w żółte motyle, ale uświadamia sobie, że to majtki Claire, majtki Madeleine są w biedronki, *Maman* kupiła je u Woolwortha; kto by pomyślał, że będzie ich dotykał nauczyciel, a przecież to się dzisiaj stało. Poza tym, zwykle czują jego narząd wypychający mu spodnie, kiedy robią mostki, które pod każdym innym względem są zwyczajnym gimnastycznym ćwiczeniem, a trącanie może być dziełem przypadku albo też nie jest to jego pałka, tylko scyzoryk w kieszeni. A teraz Madeleine nie będzie mogła tak po prostu oznajmić: „Och, robimy mostki, nic więcej”. Nic nie będzie mogła powiedzieć.

- Gdzieś sobie tak otarła skórę? - pyta Mimi, oglądając ramiona Madeleine.

- Wygłupiałyśmy się na podwórku - odpowiada Madeleine. - Robiłyśmy sobie z Auriel pokrzywki.

Co nie jest kłamstwem, bo zdarzało im się to robić. Mama mruży oczy. - *Vraiment?*

Madeleine oblewa się rumieńcem. Czy *Maman* zauważy, że na ramieniu odcisnięta jest dłoń dorosłego? Ale Mimi pyta tylko: - Na pewno nie bawiłaś się z tą dziewczuchą?

- Którą?

- Colleen.

- Nie.

- Ale na przyszłość pamiętaj, że Colleen Froelich nie jest dla ciebie odpowiednią towarzyszką do zabawy.

Mimi odwraca się w samą porę, mało brakowało, a przypaliłby się sos.

- Jak było w szkole? - pyta tata przy kolacji.

- Dobrze.

- Co dzisiaj robiliście?

- Wycinaliśmy indyki.

Madeleine sięga po swój kubek z mlekiem i strąca go ze stołu. Mama łapie kubek w powietrzu, a Jack odsuwa szybko krzesło, żeby ratować spodnie.

- Dziurawe ręce - woła Mike.

- Michael, pomóż matce - komenderuje Jack. Łzy napływają Madeleine do oczu. - Przepraszam.

- Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, skarbie.

Mimi bierze ręcznik, przykłęka na jedno kolano i osusza nim bluzkę Madeleine. Jej córka wybucha płaczem. Mimi obejmuje ją i poklepuje po plecach, a Madeleine zakrywa oczy

i lka.

- *Madeleine, qu'est-ce qu'il y a?* - odsuwa ją łagodnie i patrzy na nią badawczo. - *Eh?*

Dis à maman.

Ale jej córeczka odwraca się i podchodzi do ojca, który czeka na nią z otwartymi ramionami. Siada mu na kolanach i w ojcowskich objęciach znajduje ukojenie. Jack mruga do żony, Mimi uśmiecha się w odpowiedzi i wraca do zmywania naczyń.

Mike, przewracając wymownie oczami, wyciera mleko. Upokorzenie Madeleine pogłębia świadomość, że Mike ma rację; jego siostra ryczy bez powodu, dowodząc tym samym, jakie są dziewczyny.

- Co ci jest, serduszko? - pyta Jack.

- Nie chcę, żebyś umierał - mówi Madeleine, zalewając się na nowo łzami.

- Wcale nie mam zamiaru umierać! - chichocze Jack, targając jej włosy.

Każę jej zadać mu cios, żeby pokazać, jaki z niego twardy zawodnik.

- Tacy twardzi zawodnicy jak ja szybko nie umierają, o właśnie, walnij mnie z całych sił.

Po kolacji Jack baraszkuje z dziećmi - oddają się jej ulubionej zabawie z czasów, kiedy ona i Mike byli mali. Tata jest pajakiem. Zwija powoli swoje pajęczę palce w powietrzu, narasta napięcie, czeka się, aż zaatakuje, chce się uciekać przed nim, chce się wytrzymać do ostatniej chwili. „Mam cię!”. Potem łaskocze swoją ofiarę, aż boli ją brzuch ze śmiechu, dopóki nie pocałuje go ten, kto w tej chwili jest na wolności.

- Mike, Mike! Pocałuj tatę!

Ale Mike nie chce, już jest za duży, żeby się całować z ojcem.

- To niesprawiedliwe! - woła Madeleine. - Ja go pocałowałam, żeby cię ratować!

- I co z tego? - mówi Mike, który przegląda „The Economist” na kanapie. - *C'est la guerre.*

Pająk złapał ją za kostki, Madeleine próbuje się wyrwać, zapiera się rękami o dywan. - *Maman! Donne un bec à papa! Vite!*

Chwila wytchnienia. Potem pająk znów ją dopada. Madeleine uwielbia łaskotanie, to czyste szaleństwo...

- Mike! - tym razem pająk chwytą ją za ręce. - *Maman!* Śmiech - pająk wciąga ją w potrzask - „Ratunku!”.

Ścisną ją teraz między kolanami jak w imadle. Madeleine przestaje być wesoła. Uśmiech ma przyklejony do twarzy, ale żołądek podchodzi jej do gardła. Tata ją łaskocze, a ona wije się i śmieje, lecz płonie w środku, robi jej się niedobrze, jest uwięziona. Jej biodra

tkwią między kolanami ojca jak w kleszczach.

- Włochaty pająk złapał cię w sieć - mrućzy tata, jak zawsze.

Puść mnie.

- *Maman!* - woła Madeleine, śmiejąc się jak dziewczynka, która baraszkuje z tatą.

Ma przed sobą spodnie ojca. A jeśli go tam dotknie? Otacza ją gorąca woń, pokój nagle ciemnieje. Tata pochyla się i pociera ją baczkiem.

- O co tyle hałasu? - *Maman* staje w progu, z jej żółtych gumowych rękawic kapią krople wody.

- Pocałuj tatę - mówi Madeleine, już spokojnie, przywołując uśmiech na twarz.

Maman całuje go i włochaty pająk wypuszcza ją na wolność. Madeleine uśmiecha się do niego w podziękowaniu za wspólną zabawę. Ojciec z wesołą miną głaszcząc ją po głowie i sięga po gazetę. Madeleine zmierza do wyjścia.

- Madeleine, *attends une minute* - woła *Maman*, spoglądając na nią ze szczytu trzystopniowych schodków.

- Tak, mammo?

Mimi schodzi do niej i mówi łagodnym tonem: - Jesteś już za duża na takie zabawy z ojcem.

Madeleine biegnie na drugą stronę ulicy, przecina trawnik Froelichów, kierując się w stronę parku, do huśtawek i karuzeli. Siada pod ogromnym drzewem. To jest dąb. Słyszy ją. Ona jest za duża. *Maman* domyśliła się, że w tej zabawie jest coś złego. Jeśli bawisz się z tatą, a on na ciebie wpadnie i ty poczujesz jego narząd, to dlatego, że jesteś za duża, żeby baraszkować z tatą.

Ale Madeleine nie dotknęła go. Do niej należy jednak zadbanie o to, żeby nigdy do tego nie doszło, ponieważ to nie ojciec byłby winny. Ona ponosiłaby odpowiedzialność. Matka wie, tak samo jak Madeleine. Kiedy trzyma cię uwięzioną między swoimi kolanami, to już nie są zwykłe igraszki. Ale ojciec jest taki niewinny, niczego nie podejrzewa. Nie wie, do czego taka brzydka zabawa może doprowadzić. Nie wie tego, co ona wie. Byłby bezradny, gdyby trąciła go w krocze, byłby zawstydzony narządem w swoim rozporoku. Madeleine przywiera plecami do poczciwej kory i płacze, z twarzą wtuloną w kolana. Dąb ją słyszy.
Biedny tata. Biedny tata.

- Jack - zagaduje go Mimi, kiedy leżą w łóżku.

- Tak?

- Madeleine jest za duża na takie zabawy.

- Jakie zabawy? - pyta, prześlizgując się wzrokiem po stronie „Time'a”. *Polityka Stanów Zjednoczonych zmierzająca do ukrócenia zapędów Kuby przyniosła opłakane rezultaty...*

- Łaskotanie. Widziałam jej minę.

Jack odrywa się od lektury. - Masz na myśli włochatego pająka?

- Tak. Ona jest już za duża, wstydzi się.

- Wstydzi się?

- Właśnie. Sądzę, że bawi się tylko dlatego, żeby zrobić ci przyjemność.

- Naprawdę? - Jack mruga z niedowierzaniem.

- Przykro mi to mówić, tatusiu - śmieje się Mimi - ale twoja dziewczynka dorasta.

- Myślisz, że ją zawstydziłem?

- Odrobinę, tak.

Jack zastanawia się nad jej słowami. - Ale inne zabawy nadal są dozwolone - mówi.

- Nie musisz jeszcze się rozstawać ze swoim starym druhem - śmieje się Mimi. - Ale powoli gotuj się na przyjęcie swojej młodej damy.

Mimi całuje go i podnosi swoje czasopismo, „Chatelaine”. Przerzuca stronie - *...przeciętne wynagrodzenie wypłacane kobietom stanowi połowę tego, ile zarabia mężczyzna...*

- Wdała się w swoją *Maman* - stwierdza Jack.

- Mnie to mówisz? - śmieje się Mimi.

- Jest jak wulkan - całuje żonę i dodaje: - Nie chciałem jej zawstydzić.

- Wiem.

Wracają do lektury.

On czyta: *Od października zeszłego roku Stany Zjednoczone zwiększyły swój kontyngent doradców wojskowych w Wietnamie do ponad dziesięciu tysięcy i wydają obecnie milion dolarów dziennie na pokonanie Wietkongu...*

Ona czyta: *Przepisy na świąteczne dania, które sprawią radość twoim bliskim.*

Dawno, dawno temu, w państwie, które już nie istnieje, żył sobie urodziwy i błyskotliwy młodzieniec. Nazywał się Wernher von Braun, pochodził z rodziny pruskich arystokratów i podzielał pasję swojego pokolenia. Rakiety. Wtedy jeszcze były ledwie marzeniem; w nich upatrywano szansy ludzkości na wzniesienie się wysoko ponad burze ziemskiego istnienia, gdzie nasze małosłowne właśnie rozpląnęłyby się w ogromie przestrzeni kosmicznej. Marzenie o bliskim nastaniu pokoju. Wernher studiował fizykę i wstąpił do stowarzyszenia takich jak on zapaleńców, którzy w wolnych chwilach budowali modele rakiet i w weekendy odpalali je.

Zwrócił na siebie uwagę oficera, również miłośnika rakiet, członka organizacji dość zasobnej, aby finansować badania w tej dziedzinie. W 1936 roku Niemcy odbudowywały gospodarkę, zrzucając z siebie jarzmo biedy. Do władzy doszli ludzie - prostacy być może - którzy wiedzieli, jak dopiąć swego. Warto było być w tych czasach młodym, obiecującym naukowcem.

Wernher miał dwadzieścia pięć lat, kiedy został postawiony na czele zespołu, który miał urzeczywistnić tajny wojskowy projekt zbudowania rakiet, jakich świat dotąd nie widział. Ale najpierw trzeba było znaleźć bezpieczne miejsce, w którym marzenie mogło przeobrazić się w rzeczywistość. „Może pojedziesz i obejrzysz Peenemünde? Twój dziadek polował tam na kaczki”, podsunęła mu myśl matka podczas świątecznej kolacji. Wernher od pierwszego wejrzenia zakochał się w tamtejszej przyrodzie, w lasach pełnych ptactwa i zwierzyny, w dziewiczych piaszczystych plażach, w morskiej bryzie wiejącej od Bałtyku. Pierwsze drzewa zwalone przez buldożery padły 1 kwietnia. Wzniesiono rusztowania i stanowiska do prób, położono tory, postawiono baraki, zbudowano osiedle domów w neoklasycznym stylu na kwatery dla konstruktorów, fizyków, inżynierów, specjalistów od aerodynamiki, techników, pracowników administracyjnych i wszystkich tych zdolnych młodzieńców, którzy mieli urzeczywistnić to marzenie.

Niewolników przywieziono później.

OKTOBERFEST

Przed ołtarzem przyszłość rysuje się w pięknych barwach, w postaci piętrowych domów wyposażonych w nowoczesne urządzenia, rumianych dzieci i przystojnych mężów zachowujących młodzieńczy urok. W okresie kiedy po raz pierwszy w dziejach, według najnowszych przewidywań, dziewczyna może dożyć nawet stu lat, ona planuje swoje życie właściwie tylko na najbliższe czterdzieści lat... Społeczeństwo stawia je na starcie małżeńskiego maratonu.

„Chatelaine”, lipiec 1962

W pierwszym tygodniu października liście jeszcze nie osiągnęły pełni swej barwnej chwały, ale wyraźnie ku temu zmierzały. Pojawiły się szkarłaty i złociste żółcie, patisony mieniły się zielenią i ochrą, pomarańczowe dynie i sękate tykwy piętrzyły się w koszach wystawionych przed sklepami i na przydrożnych stoiskach. Rzepa i ostatki tegorocznych zbiorów kukurydzy, ziemniaki, buraki, marchew i rzodkiewki, miejscowe plony, dar urodzajnej ziemi. W małym miasteczku Exeter z nastaniem chłódów tamtejsza piekarnia rozsiewała jeszcze bardziej upojne zapachy, zimne poranki tworzyły cudne zestawienie z gorącymi podmuchami przynoszącymi woń bułeczek cynamonowych i dyniowych placków. Za starą stacją kolejową urządzono jesienny jarmark, na który Jack wybrał się razem z dziećmi; zaliczyli wszystkie atrakcje wesołego miasteczka - elektryczne samochody, gry i przejażdżkę niezgorszą kolejką górską, w czasie której trzeba mocno trzymać swoją wate cukrową, zwłaszcza jeśli już się ją zjadło. W SKR-ach zaś żony myły okna, zapisywały dzieci na łyżwiarstwo figurowe i hokej i przypominały mężom, żeby wstawili dodatkowe okna zewnętrzne na zimę, a ci rozważali już zmianę opon w samochodach na zimowe.

Gdyby pokazać znacznie młodszej Mimi McCarthy - czyli Margeurite Leblanc, jak się wówczas nazywała - migawki z jej obecnego życia: tańce na sali balowej oświetlonej ogromnym kryształowym kandelabrem, z przystojnym mężem w mundurze u boku; dom wyposażony we wszystkie nowoczesne urządzenia; dzieci, każde we własnym pokoju; podróże po Europie; nazwisko na wspólnym z mężem rachunku oszczędnościowym,

wydałoby jej się to z bajki wzięte. Nie dlatego, że do tego nie dążyła. Margeurite przeistoczyła się w Mimi na długo przedtem, zanim poznała Jacka. Właściwie już kiedy była w wieku Madeleine. Mimi sięga po płyn Palmolive i splukuje wodą naczynia po śniadaniu.

Ona jedna spośród wszystkich sióstr opuściła rodzinne miasteczko, zdobyła wykształcenie policealne, ona jedna wyjechała za granicę, do Europy. Wojna pomogła wielu młodym się uniezależnić, a miary dopełniła przedsiębiorczość Mimi. Kocha swoje siostry, kocha nawet większość swych szwagierek, cieszy ją ich szczęście, ale za nic nie zamieniłaby się z nimi miejscami. Zachowała zgrabną figurę, wciąż jest zakochana w swoim mężu i w wieku trzydziestu sześciu lat marzy z utęsknieniem o następnym dziecku.

Pragnienie ma podłoże romantyczne, niemal erotyczne - ma w tym swój udział jej uczucie wobec męża, który nadal zabiega o jej względy, bawi ją i należy wyłącznie do niej. Mimi wyobraża sobie, o ile łatwiej byłoby jej wychować następne dziecko; tyle już zdążyła się nauczyć. Oczywiście, pierwsza dwójka dostarczyła jej mnóstwo radości, ale Mimi była wtedy tak daleko od rodzinnego domu. Najpierw Waszyngton, potem Alberta. Nikt jej nie uprzedził, jak wygląda opieka nad małymi dziećmi. Nie było nikogo, kto by ją na chwilę odciążył, kto wiedziałby, co trzeba zrobić, i zrobiłby to, zwłaszcza w te dni, kiedy dom przypominał szpital wariatów - nic tylko płacz, wylane zupki i wyplute jedzenie, aż ona sama załamywała się i płakała. Nie miała żadnej wyreki. Tylko rodzona matka i siostry mogą spełnić tę rolę, a dzieliła ją od nich połowa kontynentu. Żony lotników ofiarnie pomagają sobie nawzajem, nie oczekując, że ktoś odpłaci im tym samym na tej placówce, ale wiedząc, że kiedyś im też ktoś pomoże w potrzebie. Ale przyjaciółki nie zastąpią rodziny.

Nie każda kobieta stworzona jest do takiego życia. Niektóre źle to znoszą - rozwody należą do rzadkości, ale napięcie daje o sobie znać w inny sposób. Mimi widziała już takie przypadki: wesolutki głos w słuchawce telefonu wczesnym popołudniem; pierwszy drink w nagrodę za oporządzenie domu, drugi, żeby umilić sobie oglądanie *As the World Turns*; drzemka przed powrotem męża; aż pewnego dnia nie obudzi się na czas i mąż sam upitrasi coś dla siebie i dla niej i jeszcze zaparzy jej kawę, zanim zjawią się pierwsi goście - „Żona niezbyt dobrze się czuje”. Gwoli ścisłości, mąż mężowi nie równy. Nieudane małżeństwo jest dziełem obojga. A Mimi się poszczęściło.

Spogląda przez kuchenne okno, szorując patelnię; gumowe rękawice chronią jej ręce. Tuż obok przelatuje ptaszek, jaskółka ze żdźbłami trawy w dzióbku. Po drugiej stronie ulicy chłopak Froelichów wsadza siostrę do starego kombi, potem wkłada do tyłu wózek inwalidzki, jak co ranka. Całuje matkę na pożegnanie i puszcza się biegiem przez park, żeby zdążyć na autobus szkolny. Dzieci Mimi już wyszły do szkoły i chociaż lekcje w liceum

zaczynają się później, Ricky zawsze wsiada w ostatniej chwili. Karen Froelich przypina dwójkę niemowlaków do siodełek i wyprowadza samochód z podjazdu.

Pracuje chyba gdzieś poza domem. To by tłumaczyło stan, w jakim znajduje się gospodarstwo domowe Froelichów - Mimi zyskała pewne wyobrażenie o tym, kiedy oddawała Karen jej garnek po *chili non carne*. Karen pewnie zawozi dzieci do opiekunki, a potem jedzie do pracy. Nie wygląda raczej na to, żeby Froelichowie żyli z dwóch pensji, mimo to... Mimi kładzie druciak z boku zlewozmywaka, postanawiając, że kupi jakąś podstawkę do niego następnym razem, kiedy będzie w mieście. Niemowlaki są jej przybranymi dziećmi, tyle wiadomo. Betty, Elaine i Vimy były świadkami ich przybycia. Może wzięła je na wychowanie od jakiejś niezamężnej matki? Państwo chyba płaci rodzinie zastępczej za utrzymanie takich dzieci? W takim razie, dlaczego Karen Froelich jeździ do pracy? Froelichowie nie chodzą do kościoła. Ani do jednego, ani do drugiego. To ateści? Musi pamiętać, żeby zapytać Vimy Woodley.

Mimi wyjmuje namoknięty chleb i pokruszone skorupki z odpływu zlewozmywaka i odgarnia do tyłu nadgarstkiem niesforny kosmyk włosów. Mimi rzuciła pracę, kiedy wyszła za męża, a zresztą która kobieta chciałaby pracować poza domem po urodzeniu dziecka? Z początku dziwiła się, jak Karen Froelich daje sobie radę, z dwójką niemowlaków i kaleką dziewczynką, ale teraz Mimi podejrzewa, że po prostu sobie nie radzi. Z wyboru. Biedny Henry.

Kiedys rano Mimi spostrzegła Colleen idącą ulicą nie w kierunku szkoły, lecz w zupełnie przeciwnym. Nie zdejmując mokrej rękawicy, Mimi podniosła słuchawkę, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież Karen nie ma w domu. Zadzwoiła więc do szkoły i poprosiła do telefonu pana Froelicha. Była zakłopotana, ale poczuwała się do odpowiedzialności za dziewczynę, nawet jeśli jej matka się nią nie przejmowała. Henry wyjaśnił, że Colleen nie poszła do szkoły, bo źle się czuła. Kiedy Mimi napomknęła, że dziewczyna wybrała się na spacer z psem, odpowiedział, żeby się nie martwiła, świeże powietrze dobrze zrobi Colleen. Cóż, *chacun à son aouit*. Nic dziwnego, że dziewczyna włóczy się samopas jak łobuziak. Mimi wróciła do sprzątanania.

Zastanawia natomiast to, że Ricky jest tak dobrze ułożony. Vimy zażartowała kiedyś, że nie mogą z Halem doszukać się w nim ani jednej wady, chociaż trochę się niepokoiła, kiedy jej Marsha zaczęła chodzić z Rickym. On pochodzi z rodziny „innego” rodzaju, skwitowała Elaine Ridelle podczas partii brydża, na co Vimy odparła, „Jak my wszystkie”. Tak czy owak, Woodleyowie na wiosnę przenoszą się do nowej placówki i to załatwi sprawę. Następna korzyść płynąca z wędrownego trybu życia.

Mimi odkłada miotłę i zagląda do kalendarza nad lodówką, w którym każde kwadratowe pole pokryte jest jej drobnym pismem - Oktoberfest, bal w mesie, odpust, hokej i łyżwiarstwo figurowe, jej praca wolontariuszki w szpitalu w Exeter, przyjęcie u Vimy na cześć wicemarszałka lotnictwa, wizyty u dentysty, zbiórki zuchove, harcerskie, wyjazd Jacka do Winnipeg, wyjazd Jacka do Toronto, pierwsze zawody w curlingu, fryzjer... Zakreśla Dziękczynienie i nanosi nazwisko Boucherów, ponieważ Betty powiedziała, że przyjdą na sto procent. Mimi z wahaniem dopisuje „McCarrollowie?“, po czym sięga po telefon, żeby zadzwonić do swej młodej sąsiadki, Dot Bryson. Słyszy w słuchawce jej dziewczęcy głos, a w tle ryk niemowlęcia. Mimi zaprasza ją do siebie z dzieckiem, żeby dotrzymała jej towarzystwa: - Wyświadczysz mi przysługę.

Mimi uśmiecha się do siebie - w płaczliwym głosie dziewczyny wyraźnie przebija ulga.

Nastawia wodę na herbatę, potem nachyla się i z szafki pod zlewem - gdzie zawsze chowa swój okropny strój roboczy - wyciąga słoiki i ustawia je w rzędzie na blacie. Przez następne pięć dni będzie robić marynaty. Jarzyny, koper, pikle i ulubiony przysmak Jacka, ogórki w zalewie z ziarnami gorczycy. W przyszłym tygodniu kolej na *confitures*.

W tym roku Dziękczynienie wypada 8 października i jak zwykle w mesie odbędzie się konkurs, w którym nagrodami są indyki. Ptaków jest tyle, że każdy z pewnością wróci do domu objuczony. Jednak głównym wydarzeniem towarzyskim w październiku jest Oktoberfest. Wyrazna obecność niemieckich imigrantów wśród miejscowej ludności, w zestawieniu z tą okolicznością, że wielu wojskowych wraz z małżonkami ma za sobą pobyt na placówce w Niemczech, oznacza, że Oktoberfest na pewno będzie obchodzony w Centralii hucznie. Przygotowania w mesie trwają już od tygodni. Jack próbuje namówić Henry'ego Froelicha do przyjścia na bal wraz z żoną.

- Ach, nie mam...

- Nie potrzebny ci smoking - odpowiada Jack i dodaje, puszczając oko: - Poza tym to Oktoberfest, możesz włożyć spodenki na szelkach.

Henry Froelich uśmiecha się i kręci głową. - Raczej nie.

- Przepraszam, zapomniałem - mityguje się Jack. - Ty pochodzisz z północnych Niemiec, prędzej byś skonał, niż włożył tyrolskie spodenki.

Popijali domowej roboty wino Henry'ego na podjeździe przed domem McCarthyh. Henry rozłożył na części kosiarkę Jacka.

- Co na to twoja lepsza połowa?

- Moja...?

- Twoja żona, Karen. Lubi tańczyć?

- Woli mniej oficjalne spotkania.

Jack kiwa głową. - Jak to - stwierdza, wdychając pełną piersią wczesnojesienne wieczorne powietrze.

- Właśnie - mówi Henry i zabiera się do pracy, ścierając z ostrza trawę i smar. Jack przygląda mu się chwilę bez słowa: nieskazitelne mankiety podwinięte tylko raz, usmarowane palce, koszula i krawat pod ochronną warstwą starego fartucha.

- Powiedz mi, Henry, zamierzasz kiedyś jeździć tym gratem czy planujesz przekazać go w darze Smithsonian Institution? - pyta, wskazując głową w kierunku podjazdu Froelichów po drugiej stronie ulicy, gdzie coraz więcej części gromadziło się wokół łatanego podwozia, w którym można już było rozpoznać zarys forda coupé, model z 1936 roku; drzwi i zderzaki, stopnie nadwozia, niski przód, wszystko wyniesione ze złomowiska i na nowo zespawane. I pośród tej zbieraniny syn Henry'ego, pochylony nad silnikiem.

- Odziedziczył smykałkę po ojcu, co?

Froelich uśmiecha się, uwaga Jacka wyraźnie sprawiła mu przyjemność. - To dla mojego chłopaka, kiedy skończy szesnaście lat. Ja już zupełnie posiwieję do tego czasu, kiedy on siądzie za kierownicą.

- Hank, zaczynam się martwić. Ile razy spojrzę na ten samochód, mam wrażenie, że go przybywa. To jakieś cudowne rozmnożenie. Jedyna nadzieja w tym, że moja kosiarka nie zafascynuje cię tak jak ten samochód, bo na przyszły rok będę brodził po kolana w trawie.

- Nie bój się, Jack. Twój Lawn-Boy jest dużo mniej zajmujący niż Froelich-wagen. A dla twojej wiadomości, kiedy go skończę, będzie się składał z części pochodzących z samochodów również innych marek i będzie zaopatrzony w tajemne urządzenie wyjęte z pralki, które poprawi wydajność spalania.

- O rany, naprawdę?

- *Nein*.

Jack wybucha śmiechem.

- Potem zabiorę się do twojego samochodu - mówi Henry.

- *Nein* - protestuje Jack.

Popija wina i krzywi się - brrr, cierpkie jak diabli.

- Jak ci smakuje wino? - pyta Froelich. - Z owoców ałyczy. Sami zrywaliśmy.

Jack kiwa głową. - Z ałyczy, co? Niezły sikacz.

- Sikacz?

- To najwyższe słowa uznania pod adresem wina, jakie mogą przejść przez usta lotnika. To znaczy, że jest wyborne.

- Dobrze już, dobrze. Przyniosę ci butelkę, mam ich całą piwnicę. Jack przybiera zdawkowy ton. - Henry, przyjmij ode mnie zaproszenie na bal z okazji Oktoberfest. Przyjdziecie z Karen jako moi goście...

Froelich wsuwa ostrze na oś, bierze płaski klucz i w milczeniu dokręca śrubę. Jack boi się, że popełnił nietakt, sugerując, że Froelichów nie stać na opłatę za wstęp, chociaż wcale nie miał tego na myśli.

- Zrobisz nam przyjemność. Ten bal nie może się obyć bez prawdziwego Niemca, a poza tym będzie wyśmienite jedzenie. Kiedy ostatni raz jadłeś porządny *bratwurst*, co?

Jack czuje, że znów palnął głupstwo. Henry mógł pomyśleć, że podaje w wątpliwość talent kulinarny jego żony.

Froelich odrzuca na bok klucz i przetrząsa swoją skrzynkę w poszukiwaniu wkrętaka.

- To bardzo wspaniałomyślna propozycja, Jack, i przy innej okazji na pewno bym ją przyjął, ale nie jestem Niemcem.

Zatrząskuje pokrywę silnika.

Jack się czerwieni. Czyżby coś mu umknęło?

Henry dokręca palcami śruby motylkowe. - Jestem Kanadyjczykiem - oświadcza z uśmiechem. Pociąga za sznurek i silnik zapala się za pierwszym szarpnięciem.

W piątek przed Świętem Dziękczynienia Jack wrócił ze spotkania przy piwie w mesie, przynosząc do domu ogromnego mrożonego indyka.

- Mimi, wróciłem!

- Och, Jack! - zawołała. - Wygrałeś!

- Tak jest - odparł, rzucając łup na kuchenny stół.

- Cześć, Jack. Mimi, lepiej już pójdę - oznajmiła młoda sąsiadka z dzieckiem na ręku, zrywając się z krzesła.

- Co u ciebie...? - Jack zawiesił głos.

- Dot, zostań jeszcze - wtrąciła Mimi, taktownie podsuwając mężowi imię dziewczyny.

- Przyzwyczailiście się już do nowego miejsca, Dot?

Tak, jej mąż pracuje w księgowości, nazywa się Bryson.

- O tak, Jack. Jest po prostu świetnie - powiedziała dziewczyna, płonąc się, po czym, jak nakazuje domowa etykieta, ruszyła do wyjścia. Mimi odprowadziła ją do drzwi, potem wróciła do męża - taki dumny był z tego indyka.

- Reszta należy do ciebie, moja pani. Ja go tylko przywlokłem - oświadczył, wzruszając ramionami.

Nalała mu piwa i żartobliwie wypomniała mu, że nie zapamiętał imienia sąsiadki, ciesząc się w duchu, że ledwo zwrócił uwagę na tę małą ślicznotkę. Jack wziął z półki drugą szklankę i odstąpił połowę piwa żonie.

- Wypiłem już dwa w mesie. Chyba nie chcesz obudzić we mnie bestii, co? - powiedział, mrużąc oko.

- To zależy. - Tręcili się szklankami.

Niektórzy mężczyźni, jeśli w ogóle zdążą do domu na piątkową kolację, są za bardzo „rozochoceni” albo w zbyt wojowniczym nastroju, żeby siąść razem z dziećmi do stołu. Pochrapują w mundurach na sofie albo wpatrują się szklistym wzrokiem w telewizyjny ekran. Całkiem mili faceci. Dzięki Bogu, Mimi taki się nie trafił, ale jej siostrze Yvonne tak; poślubiła mężczyznę z rodzaju tych, którym koledzy nie mają nic do zarzucenia.

Madeleine patrzyła, jak w południe mama wsuwa olbrzymiego indyka do piekarnika, a kiedy jak zawsze *Maman* oświadczyła: „*Bon. Żegnaj, Monsieur* Indyk”, Madeleine nie mogła się uchronić od spostrzeżenia, że to blade mięso wygląda jak goły tyłek. Kogoś, kto zawstydzony, zwinął się w kłębek, żeby zasłonić twarz. A wcześniej, gdy *Maman* zebrała luźną skórę wokół jego szyi i wetknęła ją pod spód, Madeleine odniosła wrażenie, jakby indyka krępowało to, że jest nagi i martwy.

- Zawołałam was, kiedy upiecze się szyja - powiedziała *Maman*.

Na świąteczny obiad zaproszeni zostali McCarrollowie. Amerykanie obchodzą Święto Dziękczynienia dopiero w listopadzie. „Nie możemy pozwolić, żebyście jako jedyni nawet nie posmakowali w ten dzień indyka”, oświadczyła Mimi w rozmowie z Sharon. Mieli też przyjść Boucherowie i na tę okoliczność wypożyczone zostały dodatkowe stoliki, ale w ostatniej chwili Betty zawiadomiła Mimi telefonicznie, że obowiązuje ich ścisła kwarantanna: „Steve Ridelle zagroził, że namaluje nam na drzwiach frontowych krzyżyk, jeśli nie będziemy siedzieć w domu przez cały weekend”. Ich najmłodsza, Bea, zachorowała na świnkę.

Dziesięciokilogramowy indyk i tylko czterech dorosłych i trójka dzieci.

- Ale uczta! - stwierdził Jack.

Madeleine poczęstowała wszystkich krakersami Ritza z wędzonymi ostrygami i pałeczkami selera do maczania w pysznym sosie. Jack po raz pierwszy w tym sezonie rozpałił w kominku ogień, po czym nalał Blairowi whisky z wodą sodową. Mike dołączył do nich w salonie ze szklanką piwa imbirowego w rękę; panie w tym czasie zajęte były

przygotowaniami w kuchni. Jack cieszył się z obecności syna, gdyż Blair mimo upływu tygodni nie stał się ani odrobinę rozmowniejszy - trzeba się mocno namęczyć, żeby coś z niego wyciągnąć. Mike zasypywał go pytaniami na temat latania i Jack odniósł wrażenie, że McCarroll, rozmawiając z chłopcem, jest w swoim żywiole, zupełnie inaczej niż w mesie w towarzystwie innych oficerów. Szkoda, że nie urodził mu się syn.

- Jakie masz plany na przyszłość, Blair? Rozumiem, że u nas będziesz bawił tylko przez rok.

- Ohio, panie pułkowniku.

- Mów mi Jack - zachęcił go, na co Blair skinął głową i poczerwieniał. - Baza lotnicza Wrighta-Pattersona?

- Tak jest.

- Podobno mają tam przyzwoity ośrodek badawczo-rozwojowy.

- Tym właśnie będę się zajmował. Testowaniem czynników ludzkich.

- Czym, do licha?

Blair niemal się ożywił. - Będę testował skafandry ciśnieniowe przeznaczone na duże wysokości. Kosmiczne skafandry.

- O kurczę! - zawołał Mike.

- Oczywiście, moim celem jest dostać się do ośrodka NASA w Edwards, a potem... kto wie, może do Houston.

Jack uniósł z uznaniem brwi i pokiwał głową - McCarroll przymierza się do roli astronauty.

- Ja na wiosnę zapiszę się do aeroklubu - odezwał się Mike, spoglądając na ojca.

- Oczywiście, Mike. W przyszłym tygodniu przejdę się tam i wybadam grunt.

W kuchni Mimi przyrządzała sos, a Sharon podgrzewała na patelni kandyzowane słodkie ziemniaki, które ze sobą przyniosła.

- Pachnie cudownie, Sharon. Musisz mi dać przepis.

- Dobrze - odparła nieśmiało Sharon. Cała ich rozmowa przebiegała w taki sposób: po zagrywce Mimi piłka pozostawała na polu Sharon. Przy brydżu nie odczuwało się tego tak bardzo, ale gdy były sam na sam, stawało się nieco uciążliwe. Mimi bez przerwy nachodziła ochota, żeby przytulić Sharon, ale ile razy można przytulić kogoś, kogo się nie da bliżej poznać. Mimi z dużym wyprzedzeniem przygotowała świąteczną ucztę, więc poza sosem niewiele było do zrobienia, ale wyznaczyła Sharon zadanie pokrojenia rzodkiewek w ćwiartki, żeby milczenie nie dawało się tak we znaki.

- Może nastawisz płytę, Jack? Charles Aznavour byłby wybawieniem.

Claire wręczyła Madeleine upominek - pudełko z krakersami w kształcie zwierzątek. Pudełko zaopatrzone było w pasek, więc można było udawać, że to teczka lub torebka.

- O rany, Claire, dzięki.

Madeleine zaprowadziła Claire do swojego pokoju i pokazała jej książki, zabawki i piękną szklaną kulkę, którą dostała od Elizabeth, a także pleśń, którą hodowała pod łóżkiem w szczelnie zamkniętym plastikowym woreczku. W ich wieku milczenie nie wywołuje zakłopotania. Madeleine zdjęła z półki książkę *Green Eggs and Ham* i zaczęła czytać na głos, chociaż niemal całą znała już na pamięć. Siedziały na podłodze, Claire oparła się o Madeleine - wydawało się to najzwyklej normalne - słuchała i śmiała się po swojemu.

- Madeleine! Claire! *Venez*, przyjdźcie na coś pysznego - zawołała Mimi.

W kuchni Mimi wyjęła z sosu szyję i podroby, położyła je na talerzu i powiedziała dzieciom, żeby się częstowały. Rodzice Madeleine twierdzą, że to najsmaczniejsze części indyka, może dlatego, że podaje się je prosto z patelni, kiedy człowiek jest wygłodzony i kuszące zapachy pieczeni przyprawiają go o udrękę. A może w czasach Wielkiego Kryzysu trzeba było się zadowalać byle czym - żołądkami drobiowymi na kolację, a na deser smażonym chlebem z melasą. Madeleine zawsze smakowały te kąski, więc z chęcią przyjęła kawałek podany jej na widelcu przez *Maman*. Ale na tym poprzestała; nagle bowiem uświadomiła sobie, że żuje czyjś żołądek. Kiedy Mike chciał podzielić się z nią szyją, odmówiła. Z założonymi rękami patrzyła, jak Claire McCarroll z wdziękiem ogryza mięso z szyjki.

Usiedli przy wspólnym stole i Jack nalał dorosłym przyniesionego przez Blaira niemieckiego wina.

- Pycha, co? - powiedział Jack.

Jednak Madeleine ze zdziwieniem odkryła, że wcale nie czuje głodu. Rodzice zlitowali się nad nią i ograniczając się do łagodnej perswazji, nie zmuszali jej, żeby zjadła wszystko ze swojego talerza. Z uprzejmości przełknęła kawałek placka dyniowego pani McCarroll i trochę wyśmienitego czekoladowego tortu upieczonego przez *Maman*, żeby nie było jej przykro, a kiedy po wyjściu gości położyła się do łóżka, bolał ją brzuch.

- Tak to się kończy, kiedy ktoś je tylko deser - oświadczyła *Maman*, ale przyniosła jej piwa imbirowego i siedziała przy niej, głaszcząc ją po głowie, dopóki nie usnęła.

W łóżku Jack i Mimi wreszcie mogli się pośmiać.

- Duszą towarzystwa raczej nie są, co?

Pocziwi ludzie, ci McCarrollowie, że do rany przyłoż, ale *mon Dieu*, milczenie nie zawsze jest złotem.

- Myślisz, że rozmawiają ze sobą w domu?

Na przyszłość będą pamiętać, że gdy podejmują u siebie McCarrollów, muszą zaprosić jeszcze nie jedną parę, ale dwie - na wypadek świnki. Wyciągają się z ulgą w łóżku i sięgają po coś do czytania. Jej lektura: *Jak uświadomić swoje dziecko*. Jego lektura: *Rozstrzygnięcie sprawy doktora Oppenheimera*.

We wtorek po długim weekendzie Madeleine idzie szkolnym korytarzem z wycinankowym indykiem w ręku. Święto Dziękczynienia minęło, a następnym świętem, które upamiętnia prace uczniów, będzie Halloween. Indyki i rogi obfitości zostały zdjęte, nawet te nalepione na okno drzwi na korytarz; te ostatnie pan March zastąpił patriotyczną kompozycją z czerwonych liści klonu i przezroczystej folii.

Jest dziesięć po trzeciej. Pan March jak zwykle kazał im wyjść bocznymi drzwiami, ale Madeleine oświadczyła, nie oglądając się za siebie: „Muszę iść do łazienki”, i wyszła na korytarz. Nauczyciel nic nie powiedział. Nawet nie zawołał jej z powrotem do klasy, żeby dodała: *proszę pana*. Wcale nie musiała iść do łazienki, po prostu nie chciała być obecna przy tym, jak Sara rozdaje słodycze. Więc odruchowo skłamała.

Po drodze mijają salę ósmoklasistów i widzi pana Froelicha, który ściera tablicę. Widnieją na niej ułamki, ikсы i liczby poprzedzone minusami, kredowe zarysy rozpadające się na biały pył i znikające za dotknięciem gąbki. Madeleine obserwuje z ukojeniem wprawne ruchy ręki pana Froelicha, nie zdając sobie sprawy, że się zatrzymała, aż nagle słyszy: - Co ty tutaj robisz o tej porze, Madeleine?

Rękawy ma podwinięte do łokci. Przedramiona, chude i blade, odcinają się od porastających je czarnych włosów.

- Chcesz mi pomóc zetrzeć tablicę? - pyta. - Albo lepiej biegnij do domu. Twoja *mutti* będzie się martwić.

Ale Madeleine podchodzi bliżej i staje u jego boku, wodząc wzrokiem za jego ręką, która zatacza szerokie łuki po tablicy.

- Co to jest? - pyta, chociaż wie, że to niegrzecznie pytać o znaki na czyimś ciele. Tak postępują źle wychowani ludzie. Ale zadała to pytanie mimowolnie, bez zastanowienia, ponieważ po ćwiczeniach często opada ją wrażenie, jakby budziła się ze snu, jakby otrząsała się z gorączkowych majaków i jeszcze niezupełnie oprzytomniała. A kiedy człowiek śni, mówi, co tylko przyjdzie mu do głowy.

Pan Froelich nie wygląda na obrażonego. Spogląda w dół na niebieskie znaczki na swoim przedramieniu.

- To mój dawny numer telefonu - mówi i zaczyna odwijać rękaw, ale Madeleine dotyka dłonią jego obnażonego przedramienia. To dziwne zachowanie z jej strony, a ona przygląda się temu, jakby była świadkiem, a nie wykonawcą czynności - nie wolno łąpać ludzi za ręce, zwłaszcza dorosłych, to niegrzecznie. Ale Madeleine trzyma dłoń na przedramieniu pana Froelicha; wpatruje się w drobne niebieskie cyferki.

- Czy to zejdzie? - pyta.

- Nie.

- To tatuaż?

Froelich kiwa głową.

- Należał pan do SS? - pyta Madeleine, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz pod słońcem.

- Nie - mówi, potrząsając głową.

Madeleine podnosi wzrok. - Czy wśród hitlerowców trafiali się dobrzy ludzie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale ludzie to ludzie.

- Wiem.

Froelich nie odzywa się. Patrzy na nią łagodnie. Trwa to dłuższą chwilę. On jest jak balsam, jak miły ksiądz. Zapach kredy jest przyjemny.

- Dobrze się czujesz? - pyta. - *Was ist los, Mädele?*

- *Nichts.*

Sprawdza jej czoło. Ma suche i zimne palce. Madeleine zaczyna budzić się ze snu.

- *Du bist warm* - stwierdza Froelich.

- Wszystko w porządku? - Madeleine słyszy za plecami męski głos. Ogląda się za siebie, nie zdejmując dłoni z przedramienia pana Froelicha.

W drzwiach stoi dyrektor, pan Lemmon. Zawsze ma sinawy ślad zarostu na twarzy i zmartwioną minę.

Pan Froelich gładzi ją po policzku i mówi, zwracając się do pana Lemmona: - Kto wie, czy nie ma lekkiej gorączki.

- Nic ci nie jest, Madeleine? - pyta pan Lemmon.

Madeleine potwierdza skinieniem.

- Odprowadzić cię do domu? - proponuje pan Froelich.

- Nie, dziękuję. Będę przez całą drogę biegła - oświadcza Madeleine.

Froelich uśmiecha się. - Dobrze. No to śmigaj.

Wychodzi z klasy, obok pana Lemmona. Korytarz jakby pojaśniał - więcej go widać. Chyba ktoś otworzył okno, bo jest chłodniej. Nie wolno biegać po korytarzu i Madeleine wie,

że pan Lemmon ją obserwuje, więc opanowuje się i kroczy powoli, dopiero za rogiem puszcza się biegiem przez foyer. Obok portretu królowej Elżbiety, księcia Filipa, obok myśliwców. Nie hamuje przed przeszkłonymi drzwiami, lecz w pełnym pędzie uderza w nie, wysuniętymi do przodu dłońmi napiera na metalowy pręt, który otwiera kłamkę. Zeskakuje w biegu ze schodków, wyciągając nogi jak najdalej przed siebie - człowiek-sprężyna! Gna z rozpostartymi ramionami, papierowe indyki w jej ręku furkoczą na wietrze.

Gna przez trawiaste pole, z daleka dostrzega jakąś postać wynurzającą się z zagonów wyschniętej kukurydzy po drugiej stronie Algonquin Drive. Colleen Froelich. Trzyma coś w ręku, sznur, żółto-zielony, za krótki na skakankę. Poza tym Colleen Froelich nie bawi się skakanką. Madeleine woła ją, ale Colleen nie zwraca na nią uwagi, idzie dalej. Madeleine biegnie za nią i woła po raz drugi: - Hej, Colleen, co tam masz?

Colleen nie odpowiada.

Madeleine próbuje jeszcze raz. - Jak tam Łez?

Colleen puszcza to mimo uszu.

- Słuchaj! - wrzeszczy Madeleine; ze złości pali ją w gardle. - Zadałam ci pytanie!

Plecy Colleen ani drgną. Madeleine przyspiesza, żeby ją dogonić.

- Spytałam, jak tam Łez! - krzyczy, upojona siłą swego głosu.

Colleen nagle zatrzymuje się i odwraca, Madeleine nieomal wpada na nią i niesiony przez nią sznur, który okazuje się węzem. Z Madeleine ulatuje cała złość. Nie cierpi węży.

- Co ty bredzisz, do cholery? - mówi Colleen.

Madeleine cofa się o krok i wyjaśnia cicho: - Pytałam o waszego psa.

Colleen mruży swoje zimne błękitne oczy. Teraz dopiero dociera do Madeleine, na co się poważyła, zadzierając z Colleen.

- Jesteś niedorozwinięta czy co? On się wabi Rex, nie Łez. - mówi Colleen, owijając węża wokół swego nadgarstka.

Madeleine doznaje wstrząsu. Colleen użyła wobec niej słowa, którym obcy określają jej własną siostrę. Madeleine otwiera usta, żeby powiedzieć coś miłego o wężu, żeby ratować sytuację, ale Colleen odwraca się do niej plecami i odchodzi.

W Madeleine znów wzbiera gniew, podnosi garść piachu z pobocza i ciska nim jak szrapnelem.

- Wszyscy cię nienawidzą, dziewczucho!

Wieczorem pyta ojca: - Tato, czy dawniej ludzie zapisywali swoje numery telefonów na rękach?

- Dawniej nie było telefonów. - Jack wstaje i odkłada na półkę książkę z baśniami. -
Widziałaś u kogoś numer telefonu na ręce?

- U pana Froelicha.

- U pana Froelicha?

- Tak. - Jest w rozterce. Nie chce, żeby przez nią ojciec uznał, że pan Froelich to
hitlerowiec, ale musi tę kwestię jednoznacznie rozstrzygnąć. - On ma tatuaż.

- Tatuaż? - dziwi się Jack i siada z powrotem na łóżku. - Jak wygląda?

- Jest niebieski. O, tutaj - wskazuje na swoje przedramię.

Jack bierze oddech. Niech to kule biją. Uśmiecha się do córki i mówi: - To ma sens.
Słyszałaś przecież o roztargnionych profesorach?

- Tak.

- To właśnie wypisz, wymaluj pan Froelich - całuje ją w czoło. - Dobranoc, skarbie.

- Czy to znaczy, że on był hitlerowcem?

- Nie - odpowiada, reflektuje się, że zbyt ostro, i dodaje dużo łagodniejszym tonem: -
Nie, nie, kotku, nic podobnego. Nawet nie wolno ci tak myśleć.

Gasi światło i wychodzi. Madeleine, z uczuciem ulgi, przytula Bugsa. Kiedy zamyka
oczy, przechodzi jej przez myśl, jakie to dziwne, że w ciągu zaledwie kilkunastu minut
przeżyła takie przyjemne chwile w towarzystwie pana Froelicha i zaznała czegoś zupełnie
przeciwego w obecności Colleen. Jak to możliwe, że Colleen i Ricky są rodzeństwem?
Jedynym członkiem rodziny, z którym Colleen wydaje się spokrewniona, jest Rex.

Mimi wstaje od stołu kuchennego i nalewa Jackowi herbaty. Właśnie wypisywała
czeki, porządkowała rachunki.

- Jasny gwint - mówi Jack.

- Co się stało?

- Okazuje się, że Henry Froelich ma żydowskie pochodzenie.

- Och, Jack. To żadna tajemnica.

- Zależy dla kogo.

- Ja dowiedziałam się od Vimy. Zapytałam ją, dlaczego Froelichowie nie chodzą do
kościółka, i powiedziała mi o żydowskim pochodzeniu Henry'ego. Ale ona jaką ma wymówkę,
nie wiem.

- Kto taki?

- Jego żona.

- Nikt mi o tym nie powiedział.

- A jakie to ma znaczenie?

- Właściwie żadne, tylko...

Mimi zabiera się do sporządzania domowego budżetu. Odkłada na bok zasilek na dzieci - Michel już wyrósł ze swoich nowych adidasów.

- Henry przeżył obóz zagłady - kończy Jack.

Mimi kreśli znak krzyża na piersi.

Jack wzdycha i kiwa głową. - Niech to kule biją.

- Jakie to szczęście, że nas to nie spotkało...

Takie słowa jak „Auschwitz” nawet nie chcą przejść jej przez gardło.

- *Pauvre* Henry - stwierdza Mimi ze łzami w oczach.

Jack bierze jej dłoń. - Po co te łzy, moja pani? Wojna się skończyła. Henry ma się dobrze, jest szczęśliwy.

Ta wiadomość nie powinna jej tak rozstroić. Mimi właściwie musiała liczyć się z taką możliwością, odkąd dowiedziała się o żydowskim pochodzeniu Henry'ego, jest więc zaskoczona, że słowa więzną jej w gardle. Może zaczyna jej się okres - co samo w sobie jest dość nieprzyjemne - i stąd ta przesadnie emocjonalna reakcja. Z powodu dławiącego ją smutku nie może wydobyć z siebie, że Henry ma się dobrze, ale jego rodzina zginęła. Jego pierwsza rodzina. Nie tylko rodzice i krewni, ale także dzieci - Mimi nagle nabiera co do tego pewności. Wydmuchuje nos, już jej przeszło. Przegląda rachunki.

Jack odtwarza w myślach swoje rozmowy z Froelichem. *Einstein to Żyd*. To stwierdzenie miało taki antysemicki wydźwięk w ustach Froelicha. Oczywiście, nie ma nic złego w słowie „Żyd” - zwłaszcza jeśli samemu się nim jest - ale brzmi ono tak grubiańsko w porównaniu z bardziej oględnym wyrażeniem „mieć żydowskie pochodzenie”. Może ten rzeczownik ma antysemicki wydźwięk, ponieważ, jak mówi Jackowi doświadczenie, używają go na ogół antysemita. Jackowi zapadły w pamięć radiowe transmisje przemówień Hitlera, grzmiących przeciwko „*die Juden!*”. I w kronikach filmowych po wojnie, kiedy zaczęły wychodzić na jaw te potworności, poważny głos lektora mówiący o „prześladowaniu Żydów”... nawet jego ton skażony był piętnem - haniebnej zagłady. Jack spotkał w swoim życiu kilku Żydów... kilka osób żydowskiego pochodzenia. W jego rodzinnym miasteczku w Nowym Brunzwicku mieszkali niejacy Schwartzowie - grali w rugby jak wszyscy, łowili ryby, co prawda nigdy nie stroili choinki na święta, ale nikt się nad tym nie zastanawiał. Jack zetknął się z dziwnym osobnikiem pochodzenia żydowskiego podczas służby w lotnictwie, ale to był Kanadyjczyk. Trudno teraz spotkać niemieckiego Żyda. Trochę pali go wstyd na wspomnienie, jak często docinał Froelichowi, że jest „typowym Niemcem”. Nie mówiąc o

tym wygłupie z tyrolskimi spodenkami. Chryste. Cóż, ten tatuaż wyjaśnia, dlaczego Froelich jest zadowolony z tego, że osiadł w Centralii i uczy w szkole podstawowej.

- Doris Day ma żydowskie pochodzenie - mówi Mimi.
- Naprawdę?
- Mm-hm.

NAUKOWE SPOJRZENIE NA ŻYCIE DOMOWE

Jeśli jesteś nader pobudliwą matką z określonymi potrzebami, harmonijne współżycie pod jednym dachem z córką o podobnym temperamencie i potrzebach może przerastać twoje możliwości.

„Chatelaine”, lipiec 1962

Przez następne półtora tygodnia Madeleine bacznie wypatruje Colleen Froelich, bojąc się, że Colleen lada chwila napadnie na nią z ukrycia. Ale nic się nie dzieje. I chociaż czuje ulgę, jest też, co dziwne, lekko zawiedziona.

Życie toczy się swoim zwykłym trybem i w sobotę 20 października Mimi prosi córkę, żeby pomogła jej się przygotować na bal z okazji Oktoberfest.

Madeleine asystuje mamie przy kąpieli. Klęczy przy wannie, a jej mama w połyskującym gumowym czepku na głowie myje się w pianistej wodzie. *Maman* prosi ją, żeby wyszorowała jej plecy gąbką z luffy - „która sprawia, że skóra jest gładka i miękka” - a potem pokazuje jej, jak usuwać skórki przy paznokciach, żeby nie tworzyły się zrogowacenia.

Madeleine przytrzymuje jej ręcznik, potem patrzy, jak *Maman* posypuje sobie talkiem pachy, świeżo wygolone elektryczną maszynką Lady Sunbeam.

- Ty też możesz zacząć się golić, kiedy skończysz dwanaście lat, Madeleine.

Madeleine nie sprostowuje, że już od lat goli się razem z ojcem. Idzie z matką do sypialni, tam przygląda się, jak mama wkłada majtki, drapiące, sądząc po wyglądzie, i dopasowany do nich koronkowy biustonosz; lekko pochylona do przodu, wsuwa się w niego, z wprawą zapina go z tyłu. Potem przychodzi kolej na pas i pończochy - „zawsze najpierw je zroluj, o tak, potem ściągnij palce” - *Maman* jedną stopą opiera się o kuferek, „*comme ça*”,

muskając nogę, delikatnie podciąga pończochę do uda, „w ten sposób nie robią się oczka”, mocuje ją gumowym zapięciem do pasa.

- Pomóż mi z gorsetem, Madeleine.

Nie ma znaczenia, że jest się szczupłą: „Kobieta bez gorsetu nie jest do końca ubrana”. Gorset zaopatrzony jest w milion haczyków i pętelek. W końcu *Maman* wciąga na siebie przez głowę jedwabną halkę i siada na miękkim stołku przed toaletką.

- *Donne-moi le hair-spray, s'il teplaît, ma p'tite.*

W tym momencie zjawia się Mike i przysiada na skraju łóżka rodziców z książką w rękę. Tego jednego zwyczaju nie zarzucił dotąd: nadal przychodzi, żeby popatrzeć, jak *Maman* szykuje się do wyjścia na przyjęcie, i pogawędzić z jej odbiciem w lustrze. Madeleine nie potrafi zrozumieć, dlaczego Mike nie uważa tego za szczeniackie.

Rozmawiają ze sobą po francusku, płynnie, szybko. Madeleine stara się wyłapać zasadniczą treść tego, co mówią. *Maman* nazywa go jej „*p'titgentil-homme*”, i kiedy z nią przebywa, Mike rzeczywiście zachowuje się jak mały dżentelmen. Zwierza się jej ze swych triumfów: pierwsze miejsce w sprincie na sto metrów, wybór na rozgrywającego w drużynie hokejowej, najwyższy stopień w klasie z fizyki. Będzie grał w NHL. Potem zostanie lekarzem. Który lata myśliwcami Sabre.

- *Tu peux faire n'importe quoi, Michel.*

Madeleine spogląda na brata i kiedy mama tak mówi, wydaje się to prawdą: może w życiu zostać, kim tylko zapragnie.

Madeleine zapuszcza się do otwartej garderoby rodziców, przechodzi między garniturami i koszulami jak przez kurtynę, napawa się mieszanką zapachów - wełny, skóry butów, cygar, świeżej bawełny. Głos matki dochodzi do niej jakby z oddali. - *Madeleine, où vas-tu?*

Wychodzi i staje u boku mamy przed okrągłym lustrem. Przygląda się, jak mama odchyła głowę do tyłu, opuszcza powieki i nanosi pędzelkiem wokół oczu czarną obwódkę, „tylko na wieczór, Madeleine”, potem pochyla się, żeby nałożyć tusz do rzęs, ale „*fais attention, pas trop*”. Szminkuje usta, „nigdy nie wychodź poza zarys warg”. Madeleine kiwa głową matczynemu odbiciu w lustrze, wyobrażając sobie swoje policzki i nos umazane czerwoną szminką. Fajtłapa.

Maman przyciska do ust chusteczkę kosmetyczną i gotowe. *Aimes-tu cette couleur, Michel?*

Mike odrywa się od *Tajemnicy w Devil's Paw* i odpowiada, że kolor jest bardzo ładny. Madeleine patrzy na chusteczkę z odcisniętym całusem i przed oczami staje jej Marilyn

Monroe z oszołomionym wzrokiem. Martwa teraz i leżąca w grobie.

- Zapnij mi zamek, Madeleine.

Madeleine posłusznie zapina i węża perfumy, którymi skropiła się *Maman* na ten wieczór - „My Sin” Lanvina. Zmieszany z zapachem lakieru do włosów VO-5. Zagadkowy i kuszący.

- *Comment vous me trouvez, les enfants?*

Maman ma na sobie sukienkę z krótkimi rękawami, z dopasowanym, ozdobionym haftem stanem i marszczoną biało-czerwoną spódnicą. Przywieziona z Niemiec, kosztowała majątek.

- *Très chic* - oświadcza Mike.

- *Sehr schön* - mówi Madeleine i Mimi przygarnia ją do siebie.

Na dole Jack stwierdza: - Frau McCarthy, wyglądasz olśniewająco.

On włożył garnitur z szewiotu szkockiego, prążkowany krawat, półbuty i zielony tyrolski kapelusz z piórkiem. Przed wyjściem Mike robi im zdjęcie aparatem z fleszem.

Jak zwykle zostają pod opieką Marsha Woodley i jak zwykle Mike zachowuje się tak, jakby Marsha przyszła zajmować się wyłącznie Madeleine. Obciąga bonzurkę i gładzi się po brodzie, pytając, jaki program Marsha chciałaby obejrzeć.

Marsha jest taka miła, Madeleine czuje, że po prostu nie wypada odrzucać jej propozycji, żeby pobawiły się lalkami Barbie.

- Kiedy byłam w twoim wieku, też szalałam za lalkami, Madeleine.

Marsha przyniosła kabriolet Barbie, co stawia całą sprawę w znacznie korzystniejszym świetle, ale upiera się, że Ken będzie prowadził. Kiedy Mike zaprasza Marshę do swego pokoju na oglądanie modeli samolotów, Madeleine przyjmuje to jak wybawienie.

- Jasne, Mikey - mówi Marsha.

Na twarzy Mike'a widać niezmaconą powagę. - Panie mają pierwszeństwo - oświadcza, puszczając ją przodem. Zupełnie mu odbiło.

Ktoś puka do drzwi wejściowych. Madeleine biegnie, żeby otworzyć. Za progiem, na ganku stoi, opierając się ramieniem o ścianę, Ricky Froelich.

- Siemasz - mówi.

Madeleine odwraca się i krzyczy: - Marsha! Przyszedł Ricky! - i dodaje, zwracając się do niego: - Wejść do środka.

- Dzięki, ale zaczekam tutaj.

- Cześć - odzywa się Marsha za plecami Madeleine.

- Cześć. Nie zaprosisz mnie do środka?

Marsha przewraca oczami. - Oczywiście, że nie - mówi tonem bardziej pytającym niż oznajmującym.

Madeleine płonie w środku. Marsha, proszę, zgódź się.

- Ricky, ja tu się zajmuję dziećmi - oświadcza Marsha, modulując głos tak, że brzmi to jak ostrzeżenie i zaczepka jednocześnie.

Ricky uśmiecha się szeroko. - Mogę poczytać im bajki na dobranoc. Mike ukazuje się na szczycie kuchennych schodów. - Cześć, Rick - mówi, nadając głosowi niski ton.

- Cześć, Mike. Jak sobie radzi Marsha?

- Dobrze. Chcesz obejrzeć z nami film?

- Pewnie, ale to jest *verboten*, nie?

- Jak to?

- Szefowa mi nie pozwala.

- Och, Marsha, nie bądź taka - mówi Mike.

- Właśnie - popiera go Madeleine.

- Dosyć tego dobrego, zmykajcie - oświadcza Marsha, zwracając się do Mike'a i Madeleine.

Wycofują się, ale zajmują stanowisko obserwacyjne przy oknie na piętrze. Widzą, że Marsha wychodzi na ganek do Ricka. Nie słyszą, co dokładnie mówią do siebie Ricky i Marsha, ale śledzą uważnie rozwój wydarzeń, toczącą się poniżej subtelną grę. Marsha, z rękami splecionymi na piersi i spuszczonego wzrokiem, stoi w zasięgu ręki Ricky'ego, podniesionej i opartej teraz o drzwi. Głowa Ricky'ego pochylona jest nad jej uchem. Marsha potrząsa głową, słysząc jej chichot. W następnej chwili Ricky rozgląda się szybko na boki, po czym całuje ją. Marsha odchyła głowę, Ricky wtula się w nią. Potem odrywa się i biegnie przez ulicę do domu. Marsha opiera się plecami o drzwi, obejmując się ramionami, zagryzając dolną wargę.

- Marsha, film się zaczyna - woła Madeleine.

Oglądają *Thomasinę*. Madeleine stara się powstrzymać łzy; pociesza ją to, że Marsha też płacze. Mike nie wygłasza podczas filmu ani jednej kpiącej uwagi, a kiedy film dobiega końca, oświadcza: - Niezły jak na wyciskacz łez.

Madeleine ma ochotę wrzasnąć na niego.

Później, z okna łazienki, Madeleine dostrzega Ricky'ego Froelicha, który siedzi na schodkach przed domem i brzdąka na gitarze. Madeleine otwiera okno i wyteżza słuch, dolatują ją łagodne akordy i ciepły głos Ricky'ego śpiewającego piosenkę Hanka Williamsa o samotności. Klęcząc na zamkniętym sedesie, kładzie ręce na parapecie, opiera się o nie brodą

i długo pozostaje w takiej pozycji, zasłuchana. Ricky śpiewa piosenkę za piosenką, niektóre dziwnie brzmiącą francuszczyzną. Same smutne, żeby nie pobudzić sąsiadów.

Krótko po północy do sypialni Madeleine wchodzi Mimi. Córka smacznie śpi, przytulając przez sen obrzydliwego starego Bugsa. Mimi wsuwa Bugsowi do łapki małą parasolkę do drinków w tęczowe paski.

Następnego dnia rano Madeleine wpada do kuchni ze swoim znaleziskiem.

- Mamo, zobacz, co tata mi przyniósł!

Mimi zestawia gwizdzący czajnik, już ma odpowiedzieć, że to od *Maman*, ale gryzie się w język.

- Masz najukochańszego tatusia pod słońcem - mówi i nalewa herbatę.

Madeleine kręci w palcach małą parasolkę i nuci: - *Singing' in the rain...*

- Pomóż mi nakryć stół do śniadania, *ma p'tite*; zaraz wychodzimy do kościoła.

- Dlaczego Mike nigdy nie musi ci pomagać? - jęczy Madeleine.

- Przestań się stawiać, Madeleine, tylko weź się do roboty - upomina ją Mimi ostrym tonem.

Ciocia Jemima uśmiecha się życzliwie z pudełka z ciastem naleśnikowym w proszku. Szkoda, że to nie ona jest moją mamą.

Po mszy Jack odpoczywa przy gazecie, dopóki Mimi nie woła go na późne niedzielne śniadanie.

- Pachnie smakowicie - stwierdza i odwraca się, żeby zawołać syna: - Mike, chodź na coś pysznego.

Pojawia się Mike, z dodatkiem sportowym w ręku, obaj z ojcem siadają przy stole i chowają się za płachtami gazet, a Mimi i Madeleine stawiają przed nimi talerze z jajkami na bekonie i naleśnikami. *Wysunięty przyczółek Sowietów na Kubie. Rozgrywki hokeja: Toronto w Bostonie, Montrealu w Nowym Jorku.*

Madeleine opada na krzesło. Dlaczego matka robi z niej niewolnicę? Pomiotło, jak w tych baśniach z niegodziwą macochą. Podnosi widelec, spostrzegając, że *Maman* jak zawsze nałożyła sobie najmniej udane, rozlane jajko.

- Koniec tego czytania - oświadcza rażno Mimi.

Mike i Jack, z minami niewiniątek, odkładają gazety i zabierają się do jedzenia. Mimi puszcza oko do Madeleine, która rozciąga kąciki ust w sztucznym uśmiechu, wyrażającym jednoznacznie, że wcale nie jest jej wesoło.

Mimi popija kawę, opiera się pokusie zapalenia papierosa. Nabiera widelcem trochę

jajecznicy, przegryza grzanką, pamiętając, jak ważne jest spożywanie wspólnych posiłków z rodziną, chociaż samo przyrządzanie jedzenia często zagłusza w niej apetyt i skutek jest taki, że nie zaspokaja głodu i dojada między posiłkami. Od tego właśnie kobiety tyją. Mimi zastanawia się, czy jej szczupłość nie ma czasem wpływu na to, że nie może zajść w ciążę. Może gdyby bardziej przypominała pod tym względem matkę czy Yvonne, swoją siostrę... Ale kto powiedział, że Mimi nie zajdzie po raz trzeci w ciążę? Jeszcze nic straconego. Uśmiecha się do córki. Są chwile, kiedy Mimi również chciałaby usiąść sobie na kanapie i poczytać, czekając, aż ktoś podstawia jej obiad pod nos. Albo wyprasuje jej bluzkę. Czasami czuje się jak w kieracie. To normalne. Nie wolno natomiast dawać odczuć swego niezadowolenia córce - bo to przekreśliłoby jej szanse na szczęście w przyszłym małżeństwie. Trzeba zaszczepiać w niej dumę z wykonywania tego bądź co bądź najważniejszego zadania na świecie. Sęk jednak w tym, że mała za bardzo wdała się w matkę.

CHOWAJ SIĘ W MIG

Czy naprawdę można sprowadzić wojnę jądrową do poziomu uciążliwego zjawiska i wierzyć, że kilka metrów betonu i zapas jedzenia w puszkach wystarczy, żeby ocalić nasz mały świat, kiedy na cały kraj spadają bomby o mocy pięćdziesięciu megaton i zasięgu rażenia trzydziestu kilometrów?

„Chatelaine”, luty 1962

*Był sobie mały żółw imieniem Nick,
I żółw ten czujny był jak nikt.
Gdy coś mu groziło, on robił unik,
Z opresji wychodził cało ten smyk.
On chował się w migi
Chował się w mig...*

Chór głosów brzmi jak na płycie ze ścieżką dźwiękową z filmów Walta Disneya. Nick to animowany żółw, który w filmie raz po raz chowa głowę pod skorupę, aż rysunkowa część się kończy i pojawiają się prawdziwe dzieci w świeżo wyprasowanych bluzkach, które biegają

z podwórka do drzwi, żeby schować się w mig. Następnie odzywa się poważny męski głos, który mówi: „Nie patrzcie na błysk”. Dzieci zasłaniają oczy.

Pan March pokazuje im ten film, ponieważ wolny świat znalazł się w niebezpieczeństwie.

O siódmej wieczorem Madeleine przyglądała się ojcu z profilu, kiedy telewizja nadawała wystąpienie prezydenta Kennedy'ego. „Witam was, moi rodacy...”.

Jest przystojny, pomyślała Madeleine. W przeciwieństwie do naszego premiera, Diefenbakera, który wygląda tak, jakby zamiast włosów miał czepek kąpielowy.

„...Obecny rząd, zgodnie z obietnicą, z najwyższą czujnością śledził rozbudowę radzieckich baz wojskowych na Kubie...”.

Madeleine była rozczarowana, ponieważ poniedziałkowy program Lucille Ball został odwołany, aby - jak oświadczył spiker - „mogli państwo wysłuchać orędzia prezydenta Stanów Zjednoczonych”. Zaciśnięte usta ojca przypominały kreskę, cały jego profil przypominał kreskę. Rodzina siedziała na kanapie, wpatrzona w ekran.

Z Kuby pochodzi Ricky Ricardo. Lucille Ball to „prawdziwa piękność”, jak wyraził się ojciec, ale tego nie widać, bo jest taka zabawna. A ty wolałabyś być piękna czy zabawna?

„...Zgromadzone w ciągu ostatniego tygodnia niezaprzeczalne dowody jasno wskazują, że na tej zniewolonej wyspie powstaje ciąg wyrzutni pocisków raketowych...”.

- Co się dzieje? - spytała Madeleine. Zbudowali następny mur?

- Ciii - uciszył ją Mike.

Prezydent Kennedy mówił dalej ze swym charakterystycznym bostońskim akcentem. „Celem tych baz nie może być nic innego jak stworzenie możliwości uderzenia jądrowego w zachodnią półkulę, daleko na północ, aż do Zatoki Hudsona w Kanadzie...”.

- Czas spać - oświadczyła *Maman*.

- Dopiero siódma!

- *Allons!* - Mimi wzięła ją za rękę. Mike'owi wolno jeszcze zostać.

Madeleine zaczekała, aż *Maman* zejdzie na dół, potem wyslizgnęła się z łóżka i zakradła na podest, gdzie telewizor słychać było jeszcze głośniejsze niż w salonie. Prezydent Kennedy wciąż wygłaszał swoje przemówienie. „...Rząd radziecki oświadczył 11 września, że, cytując: «Wysyłane na Kubę uzbrojenie i sprzęt wojskowy przeznaczone są wyłącznie do celów obronnych...»”. Madeleine podpełzła do krawędzi schodów i zsunęła się o stopień niżej. Przez szczeble balustrady widziała teraz całą swoją rodzinę i mogła wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby ona nie żyła.

„...To oświadczenie jest niezgodne z prawdą”.

W tle brzmiał głucho głos prezydenta, a ona puściła wodze fantazji - a gdyby naprawdę była niewidzialna? A może już umarła i wcale o tym nie wie?

„...Broń jądrowa o tak niszczycielskiej sile, przenoszona za pomocą pocisków balistycznych rozwijających ogromną prędkość...”. A jeśli jest tylko duchem?

„My nigdy nie rozmieściliśmy na terytorium innego państwa naszej broni strategicznej pod osłoną pozorów i kłamstw...”.

A gdyby się odezwała, a oni jej nie słyszeli? Wtedy wiedziałyby, że nie żyje.

„...I nasza historia, w przeciwieństwie do poczynań Związku Radzieckiego w powojennym świecie, jasno pokazuje, że nie jest naszym dążeniem podbijanie innych państw ani narzucanie innym narodom naszego ustroju...”.

Otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku; nagle odeszła ją ochota, żeby to sprawdzić.

„...Dlatego pociski gromadzone na Kubie zwiększają i tak już poważne zagrożenie...”.

Nie była w stanie się poruszyć. Siedziała zziębnięta, z rozchyłonymi ustami, niezdolna wydobyć z siebie słowa.

„...cena ogólnoswiatowego konfliktu nuklearnego, która sprawia, że nawet owoce zwycięstwa pozostawiają gorycz popiołu w naszych ustach...”.

Zamieniała się w posąg. Jeśli ktoś zaraz na nią nie spojrzy, będzie za późno. Będą próbowali ją ożywić i odłamię się jej ręka.

Maman spojrzała do góry. - Madeleine.

Żyję.

- Co ty tam robisz?

Madeleine zdziwiła się, że mama nawet jej nie skrzyczała. Otuliła ją kołdrą i jeszcze zaśpiewała cicho na dobranoc *Un Acadien Errant*. Madeleine wiedziała, że to ma jej poprawić samopoczucie i pomóc zasnąć. A niby skąd u niej złe samopoczucie? Zamknęła oczy.

Po godzinie zakradła się do pokoju Mike'a.

- Mike, o co w tym wszystkim chodzi?

- Rosjanie mają na Kubie rakiety z bronią jądrową i te rakiety są wycelowane prosto w nas.

- Aha. I co?

- Pstro. To oznacza trzecią wojnę światową.

- Aha. I tata będzie musiał walczyć?

- Wszyscy prawdopodobnie spłonimy, chyba że schowamy się w schronie.
- A mamy schron?
- Nie, ale ja go zbuduję.
- Mogę ci pomóc?
- To nie jest zabawa, Madeleine.
- Wiem.

Przy śniadaniu z radia zamiast muzyki rozbrzmiewały męskie głosy, poważne i uroczyste, jak czarne garnitury: „...kto ugnie się pierwszy. Castro zapowiedział, że wszelkie próby...”. *Maman* wyłączyła radio.

- Tato, czy wybuchnie wojna?
- Kto ci to powiedział?
- Mike.

Ojciec posłał mu znaczące spojrzenie. - Nie sądzę.

Cisza.

Mimi dołała mężowi kawy. Jack przewrócił stronicę „Globe and Mail”. Madeleine rzucił się w oczy nagłówek: *MARYNARKA USA NIE PRZEPUŚCI KONWOJÓW PŁYNAJĄCYCH Z DOSTAWAMI BRONI NA KUBĘ.*

- Kennedy nie jest głupcem - powiedział ojciec.

- To dobry człowiek - dodała matka i jak Madeleine ze zdziwieniem spostrzegła, nakreśliła znak krzyża na piersi i odwróciła się, mrużąc coś pod nosem - modlitwę. Prezydent Kennedy jest katolikiem, oczywiście, że dobry z niego człowiek.

- Czy Kanada ogłosi stan pogotowia? - spytał Mike.
- A niby dlaczego, Mike? - odparł ojciec zza gazety.
- Amerykanie zarządzili gotowość obronną.
- To coś poważnego? - spytała Madeleine.
- Zwykła procedura - odparł ojciec.

Maman posmarowała grzankę masłem, przekroiła ją.

- Czy mimo to dziś wieczorem odbędzie się mecz w Exeter? - spytał Mike.
- Oczywiście, a dlaczego miałby zostać odwołany? - W głosie ojca słychać było rozdrażnienie, ale może po prostu zwracał się do Mike'a jak mężczyzna do mężczyzny.
- Tato, kiedy będę mógł polecieć chipmunkiem? - odezwał się po chwili Mike.
- Co takiego? - spytał ojciec z roztargnieniem, jakby nigdy wcześniej nie słyszał o chipmunkach.

Mike zwiesił ramiona. - Nic.

Madeleine wpatrywała się w gazetę ojca, wyobrażając sobie dziury do podglądania wycięte w twarzy prezydenta Kennedy'ego. Przebiegła wzrokiem szpaltę... *ogłosił kwarantannę*. Tak postępuje się wtedy, gdy któryś z domowników zachoruje, znaczy się drzwi krzyżykiem, żeby nikt nie mógł wchodzić ani wychodzić. Teraz Kuba została objęta kwarantanną. Madeleine przypomniała sobie zdjęcie z podręcznika historii dla klas szóstych, które ją swego czasu zafascynowało. Wynędzniałe, bezzębne ludzkie twarze w kapturach; morowa zaraza.

- Czy na Kubie panuje zaraza?

Ojciec opuścił gazetę. - Co? Nie... chociaż można by to tak określić - dostrzegł utkwiony w nim wzrok Mimi i dodał: - Stany Zjednoczone po prostu pilnują, żeby żadna broń nie trafiła już na Kubę, to wszystko.

Gdy skończył, przełknął ślinę.

Madeleine głośno chrupała swoje cheerios. Gazeta w ręku ojca ani drgnęła. Mike posypał cukrem swoje sugar crisps.

- Bardziej martwiliśmy się, kiedy postawili mur berliński - odezwał się ojciec po chwili.

- To na pewno - stwierdziła *Maman*, zapalając papierosa, i wszystko wróciło do normy.

Pan March zdejmuje ekran projekcyjny i rozwija mapę świata.

- Tu leży Kuba - wskazuje ją na mapie - a tu Centralia.

Znów uderza w mapę. - Jeśli ktoś myśli, że radzieckie rakiety nie doleczą do Centralii, to się srodze myli.

Przeprowadza na lekcji próbny alarm powietrzny dla klas czwartych. Na jego znak wszyscy uczniowie chowają się w mig pod ławki i zakrywają głowy rękami, naśladując żółwia Nicka.

- Dobrze - mówi nauczyciel, dodając: - W tym ćwiczeniu wyjątkowo spodziewam się, że wszyscy będziecie żółwiami.

Uprzejmy śmiech.

Jack idzie do pracy. Dzień wygląda normalnie. Dzieci w drodze do szkoły, pranie suszące się na sznurkach. Kiedy pocałował Mimi na odchodne, zapytała go, czy się martwi, a on odparł: „Nieee, to tylko pobrzękiwanie szabelkami, nic więcej”. Ona uśmiechnęła się i spytała, co życzy sobie na kolację, a on odszedł pokrępowany myślą, że podniósł ją na duchu.

Teraz może skupić się na czekających go zadaniach. Jack rwie się do pracy. Zajęcie to najlepsze lekarstwo.

A będzie wiele do zrobienia. Centralia jest szkołą lotniczą, w której elewi zdobywają skrzydełka. Miejscem, w którym oficerowie doskonalą swoje umiejętności w zakresie dowodzenia i zarządzania. Nie jest ośrodkiem o znaczeniu taktycznym, ale to przecież placówka wojskowa. Mogą tu zostać przerzucone samoloty sił powietrznych Kanady i USA, daleko od przypuszczalnych celów ataku. Jack spodziewa się usłyszeć od komendanta o podwyższeniu gotowości obronnej, co w tej sytuacji będzie zwykłym działaniem rutynowym, zgodnym z postanowieniami porozumienia NORAD. To tylko jeden etap w całej serii elastycznych posunięć, zapewniających gładkie przejście z pokoju w stan wojny. Bierze głęboki oddech. To tylko kwestia dobrej organizacji.

Po wyjściu z dzielnicy kwaterunkowej przechodzi przez drogę okręgową, zmierzając w stronę spitfire'a. Utrzymuje marszowe niemal tempo, wypowiadając w duchu swoje myśli w rytm kroków - *wsparcie logistyczne, transport powietrzny, pomoc ludności cywilnej w razie ataku, w razie ataku, w razie ataku...* Oddaje salut wartownikowi przy bramie, którego powitanie dziś wypadło niezwykle sztywno.

Z dnia na dzień zmienił się świat. Powszedniość nagle stała się cenna. Znajome uczucie. Jack pamięta je z zeszłego roku w Europie, kiedy wyrósł mur. Lecz pomimo przewidywanych okropności, spodziewanych skutków użycia broni jądrowej i konwencjonalnej, panowało wtedy poczucie, że Europa doświadczyła już w swoich dziejach wielu wojen. Tym razem jest inaczej. Tym razem celem jest nasz dom. Atak obcego mocarstwa na północnoamerykańską ziemię... Nic już nie będzie takie samo. Jack spogląda do góry na starą syrenę przeciwlotniczą. Niewinny zabytek. Przydaje się jedynie wronom, które uwiły tam gniazdo. Wiadomość przekaże nam wysunięta wysoko na północ linia systemu wczesnego ostrzegania. Będziemy mieli piętnaście do osiemnastu minut na ukrycie się. Ale gdzie?

Po drugiej stronie placu defiladowego zbierają się oficerowie, między innymi Vic Boucher i Steve Ridelle. Wcześniej są w pracy. Jack przyspiesza kroku.

Pierwsza wojna światowa miała „położyć kres wszelkim wojnom”. Trzecia wojna światowa oznacza kres wszystkiego. Najbardziej prawdopodobny scenariusz przewiduje zniszczenie kluczowych miast po obu stronach, potem zmasowane uderzenie na Związek Radziecki, a w dłuższej perspektywie powszechne choroby, głód, śmierć. Życie w obecnej postaci nie będzie w stanie utrzymać się dłużej na tej planecie. A to jedyna planeta, jaką znamy... Łzy cisną mu się do oczu - co przyjmuje ze zdziwieniem - na myśl, że dzieje

człowieka dobiegną końca, nim dosięgnie gwiazd. Mimowolnie zawstydzony mruży oczy, nie zdając sobie sprawy, że jego umysł stosuje wybieg, w którym umysły celują - nie dopuszcza do świadomości najstraszniejszych myśli, zastępując je znośniejszymi: udaremnione poszukiwania innych światów na miejsce zagłady własnych dzieci.

Dołącza do kolegów. - Cóż, jak mawiają Chińczycy, „obyś żył w ciekawych czasach”. Śmieją się.

Wśród nich jest chorąży Pinder. Spięty wygląd, jeżąc się na głowie szczecina, złamany nos boksera zapowiadają gotowość do walki, co w jego rozumieniu oznacza skrupulatny przegląd każdej nakrętki, śrubki, każdego koca i silnika w bazie.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - wita Jacka i salutuje.

Zjawia się sam dowódca. Oddają mu honory. Woodley przekazuje im wiadomość, że w kanadyjskiej armii nie zarządzono żadnej zmiany w stanie gotowości bojowej. Następuje chwila milczenia, którą przerywa Jack. - To się nie mieści w głowie.

- Nieoficjalnie mówi się, że mamy zacząć przygotowania, ale po cichu. Premier nie chce wywołać paniki wśród ludności - wyjaśnia Woodley.

- To tak, jakby w czasie pożaru domu podawało się zupę, żeby nie niepokoić gości - stwierdza Vic Boucher.

Stoją tam całą grupą, zagubieni. W mundurach, gotowi do akcji. Skazani na bezczynność. Jakby spóźnili się na autobus.

Mimi podnosi się z klęczek. Modliła się w kuchni. Panu Bogu nie sprawia różnicy, gdzie człowiek się modli. Nie wymaga kapelusza czy komży, nie zwraca uwagi na gumowe rękawice i na pewno zależy Mu na przetrwaniu Jego stworzenia. Mimi ma na sobie okropny strój do prac domowych. Wysprząta cały dom, a potem przyrządzi Jackowi ulubione danie: *bouillie* z żeberkami, ziemniakami, kapustą, rzepą, marchewką i fasolką szparagową. Dziś nie jest odpowiedni dzień na to, żeby wpaść do sąsiadki na kawę. Mimi nie zamierza dać się porwać fali lęku i spekulacji. To nie pomaga mężczyznom w ich pracy, stanowi dla nich tylko dodatkowy powód do zmartwienia. Tego ranka jak zwykle pocałowała męża na pożegnanie, a kiedy zapewnił ją, że nie ma się czym przejmować, uśmiechnęła się i powiedziała, że będzie czekać na niego z pyszną kolacją. Poprawił mu się nastrój. I o to jej chodziło.

W południe Jack idzie do mesy. Od jutra Amerykanie stosować będą ścisłą blokadę morską wszelkich dostaw uzbrojenia na Kubę, chyba że Chruszczow zgodzi się rozebrać tamtejsze wyrzutnie raketowe. Wielka Brytania poparła kwarantannę, podobnie jak wszystkie inne państwa wolnego świata - z wyjątkiem Kanady. Premier Diefenbaker od rana nie robi nic

poza nawoływaniem „do zachowania spokoju i usunięcia przeszkód, które nas rozdzielają” - ma na myśli Kanadę i USA - jednocześnie wysuwając propozycję wysłania na Kubę misji ONZ w celu „potwierzenia” obecności broni zaczepnej. Daje do zrozumienia, że Kennedy kłamie. Albo po prostu gra na zwłokę.

- Jesteśmy o krok od wojny, a on chce powołać kolejną komisję - stwierdza Steve Ridelle.

- Nie ma nic gorszego od niezdecydowanego kierownictwa - oświadcza Vic.

- Wóz albo przewóz - mówi Jack i wszyscy wybuchają śmiechem.

Przynieśli ze sobą do mesy drugie śniadanie, ale tak naprawdę zebrali się, żeby porozmawiać, bo tylko to im pozostało w obliczu światowego kryzysu. W zachodnią półkulę wymierzone są pociski z bronią masowego rażenia, radzieckie statki płyną w stronę Kuby. Amerykańska armia przeprowadza w Berlinie Zachodnim największe powojenne manewry, w tamten rejon zmierzają sowieckie pancerne kolumny, a oni wyjmują kanapki.

- Z czym masz, Steve?

- Wygląda na kiełbasę myśliwską.

- To chyba piment.

- Co mam powiedzieć? Ja się na tym nie znam.

- Dief igra z bezpieczeństwem narodowym - mówi Jack - bo nie chce być postrzegany jako marionetka w rękach Amerykanów.

- Nie rozumiem - odzywa się sąsiad Jacka, Bryson. - Przecież wszystkich nas obejmuje ten sam tor lotu. Znajdujemy się w tym samym obszarze rażenia.

Jack domyśla się, że młody oficer niepokoi się o swoje małe dziecko w domu - wszyscy mężczyźni przy tym stole są ojcami. Sięga po kawę i dostrzega Nolana wchodzącego do sali. Unosi rękę, żeby go przywołać, lecz Nolan jakby nie zauważył. Siada przy stole w drugim końcu i otwiera książkę.

- Kto jego zdaniem nas obroni, skoro brakuje nam odwagi, żebyśmy sami się bronili? - pyta Lawson. - Wielka Brytania?

- Wątpliwe - stwierdza Vic.

- A to przecież my ratowaliśmy im skórę w dwóch wojnach światowych - mówi Ted Lawson.

- Dief wolałby stać na baczność i śpiewać *God Save the Queen*, a tymczasem komunizm zalałby cały świat - wtrąca Baxter.

Vic pochyla się do przodu, a gdy zabiera głos, wyraźnie uwidacznia się jego francuski akcent: - Jeśli nie być... nie będziemy gotowi zadbać o bezpieczeństwo własnych granic, to

równie dobrze możemy przyłączyć się do Stanów Zjednoczonych jako pięćdziesiąty pierwszy stan.

- Amerykanie będą nas bronić, czy nam się to podoba, czy nie - zauważa Woodley.

- Żegnaj, suwerenności - mówi Jack. - Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił.

Zabierają się do jedzenia. Barman przynosi im półmisek marynowanych jajek na koszt firmy.

- A co z bomarczkami? - pyta Vogel. - Na pewno są już uzbrojone w głowice.

Nikt się nie odzywa. Ta uwaga dowodzi naiwności. Diefenbaker unika zajęcia jednoznacznego stanowiska - nie chce potwierdzić, że samoloty są uzbrojone w amerykańskie głowice, ani tego nie wyklucza.

- Mówcie coś - przerywa milczenie Vic.

- Dief nie chce sobie zrazić żadnej ze stron - zauważa Steve.

- Próbuje wypracować stanowisko pośrodku - dodaje Jack.

- To niemożliwe, gdy w grę wchodzi broń jądrowa - stwierdza Vic. - To, jakby komuś powiedzieć: „Jesteś trochę w ciąży”.

Steve się śmieje, pozostali też. Jack tylko się uśmiecha, a twarz Woodleya zachowuje spokojny wyraz. Dowódca zapala papierosa i rzuca paczkę na stół. Jack dochodzi do wniosku, że nawet jeśli Kanadzie przyjdzie stracić atomowe dziewictwo, Kanadyjczyków będzie nękać pytanie, na czyj rozkaz odpalane są przestarzałe pociski? Naszych władz czy też nie? Tylko premier to wie.

- Tego rodzaju skrytość jest niebezpieczna dla demokracji - stwierdza Hal Woodley, jakby czytał w myślach Jacka.

- To się nazywa kłamliwość - dodaje Jack.

Jedzą w milczeniu. Chyba każdy z nich z chęcią napiłby się teraz piwa, ale czekają, aż Woodley zamówi pierwszy. Kelner dolewa Woodleyowi kawy, a ten po chwili mówi z rozważą: - Bezpieczeństwo USA oznacza bezpieczeństwo Kanady, i odwrotnie. Wynika to nie tylko z porozumienia NORAD, ale z Podstawowego Planu Obronnego. Dief musi się do niego stosować.

Jacka nachodzi ochota przeprosić Blaira McCarrolla za marną postawę Kanady. McCarroll jak zwykle jest małomówny. Jack widzi, jakim wzrokiem ten wpatruje się w śniadanie, które zapakowała mu żona - bułkę z szynką i serem, babkę orzechową. Jeśli Jack czuje się nieprzydatny, to co dopiero McCarroll. Powinien teraz siedzieć za sterami taktycznego myśliwca przechwytyjącego, patrolując wybrzeże Florydy. Jacka kusi, żeby

zapalić. Rzucił palenie przed laty, kiedy przyszła na świat jego córka.

- Na co Dief czeka? - mówi, kręcąc głową.
- Potrzeba nam człowieka pokroju Mackenziego Kinga, St. Laurenta - stwierdza Vic.
- Potrzeba nam Francuza - żartuje Steve.
- Każdy by się lepiej nadał niż ten wiejski mamon - mówi Vic.
- Gamoń - poprawia go Jack z przymrużeniem oka.
- Nie mam mu za złe jego pochodzenia - tłumaczy Vic. - W Saskatchewan nie brak

porządnych ludzi...

- Biada tym, którzy myślą inaczej - odzywa się Hal Woodley.
- ...ale wkurza mnie, że facet nie wie, czego nie wie, i wcale nie chce się dowiedzieć.
- Obudzi się z ręką w nocniku - stwierdza Jack. I to wyczerpuje temat.

- „To świat pełen łez i świat pełen śmiechu, świat pełen nadziei i świat pełen strachu...”.

Pan March uznał, że nie ma piękniejszego przejawu patriotycznego ducha niż śpiew w obliczu zagrożenia. Klasa rozbrzmiewa chórem dwudziestu dziewięciu uczniowskich głosów: „...To nasz mały świat, w sumie mały świat!...”.

Elaine Ridelle dwa razy dzwoniła do Mimi i w końcu odwiedziła ją osobiście. Jest przerażona. Pyta, gdzie Mimi trzyma sherry. Mimi nalewa jej kieliszek i wykręca numer Betty Boucher. Stara się zachować dyskrecję, mówi niemal szyfrem, ale Betty od razu odgaduje, co jest grane - Elaine już do niej wpadła i poczęstowała się likierem.

Mimi zatyka karafkę i zdejmuje robocze ciuchy. Zaraz potem zjawia się Betty z czteroletnią córką i koszem jabłek do obrania. Do piątej wspólnymi siłami doprowadzą Elaine do jakiegoś takiego porządku. Jest w siódmym miesiącu ciąży i boi się, że nie zdąży urodzić tego dziecka. Betty mówi jej, że powinna się raczej martwić tym, żeby to dziecko nie okazało się opojem, i nastawia wodę. Nie omawiają obecnego kryzysu, przyjmując jedynie do wiadomości oświadczenie Betty, że nie pozwoli, żeby te „sowieckie podchody” zepsuły jej dzień.

Wkrótce dołącza do nich Dot z niemowlakiem i Mimi przychodzi na myśl, żeby zadzwonić do Sharon McCarroll. Elaine jest być może najśłabszym ogniwem, ale to Sharon McCarroll znalazła się najdalej z nich od rodzinnych stron - jeśli nie liczyć Betty, ale ta przeżyła hitlerowskie naloty. Sharon szłocha w słuchawkę, ale nie wpada w histerię. Składa zdania tak samo opornie jak zawsze.

- Po prostu martwię się o rodzinę, Mimi, no wiesz, o moich bliskich w Wirginii.

Mimi przenosi telefon do jadalni i ścisza głos, a Betty w kuchni stara się zająć czymś myśli Elaine. - To naturalne, że się martwisz, ale wszystko będzie dobrze.

- Przynajmniej oni tam nie muszą się tak bać o nas na północy - mówi Sharon, już mniej posępna.

- No właśnie.

- Modłę się, Mimi.

- Jak my wszystkie, kochana, i modlimy się za waszego prezydenta.

Mimi słyszy ciche łkanie po drugiej stronie: - Dziękuję.

- Słuchaj, *ma p'tite*, kryzys minie, a my musimy swoje przejść i przydałoby mi się teraz towarzystwo.

- Och, Mimi, mogę cię odwiedzić?

- Od razu poczułabym się lepiej.

Grają we czwórkę w brydża i dzielą się swoimi zawodowymi sekretami, między innymi opisują swój strój do prac domowych - brzydkie stare ciężowe bluzki, chustki z serwetek, wytarte papacie, mężowie doznaliby wstrząsu, gdyby przyłapali je w takim przyodziewku. Wszystkie, poza Sharon, która przyparta do muru wyznaje, że przebiera się w luźne spodnie i stary sweter z wycięciem w szpic. Zapada cisza, a potem pozostałe panie wybuchają śmiechem. Sharon patrzy na nie z zakłopotaną miną, a Mimi wstaje i przytula ją.

Po wyjściu z mesy dołącza do Jacka McCarroll. - W pewnym sensie cieszę się, że tu jestem. Bezpieczniej dla mojej rodziny - stwierdza prosto z mostu; Jack kiwa głową, a McCarroll mówi dalej: - Ale czuję się jak cholerny głupiec.

Jack znów kiwa głową.

- Nie wykonuję zadania, do którego zostałem wyszkolony - dodaje McCarroll, zaciągając po swojemu jak wiejski chłopak.

Jack chciałby zdradzić mu prawdziwy cel jego pobytu, powiedzieć, że czemuś to jednak służy. Ale klepie go tylko w ramię.

- Stoimy za wami murem, McCarroll. I masz rację co do rodziny. Dobrze wyszło, co? Jest bezpieczniejsza na tym odludziu.

Blair odwzajemnia jego stoicki uśmiech.

- Następujące dziewczynki zostaną po lekcjach...

Może panu Marchowi leży na sercu ich przetrwanie. Zatrzymał je w klasie, żeby poćwiczyły chowanie się w mig pod jego potężnym dębowym biurkiem, „które w razie nalotu na pewno okaże się dobrym schronieniem”.

Sara piszczy i gna pod tablicę. Grace szczyrzy zęby, ogląda się na pozostałe dziewczynki stojące w szeregu pod wieszakami i idzie za przykładem Sary. Nauczyciel każe obu dziewczynkom naraz chować się pod biurkiem. Potem przychodzi kolej na Madeleine.

Jack wpatruje się w aparat telefoniczny w swoim gabinecie. Zastanawia się, czy przejść się do budki na skraju placu defiladowego i zadzwonić do Simona. Jeśli w odpowiedzi Sowietci ustanowią blokadę wokół Berlina, to wszelkie szanse uciekinierów na przedostanie się na Zachód wezmą w łeb. I koniec nadziei na pozabawienie Rosjan fachowej wiedzy, której nosicielami są ludzie w rodzaju „naszego przyjaciela”, Oskara Frieda.

Do tego właśnie sprowadza się nowoczesna wojna. Technika. Umiejętności. To się liczy. Zachód się rozkleja: czytamy podręczniki wychowania dzieci, prowadzimy kursy wyplatania koszyków na uniwersytetach, gapimy się godzinami w telewizor. Tymczasem w Związku Radzieckim dojrzewa nowe pokolenie inżynierów. Chruszczow ma rację. Z łatwością mogliby nas pogrzebać.

Jack wyciąga ze stosu spięty plik kartek i wsuwa go do segregatora, w którym gromadzi artykuły i eseje na temat zarządzania pochodzące z różnych amerykańskich źródeł. Trzeba czymś się zająć. Wpada mu w oko nagłówek: *Naukowcy i inżynierowie*. Czyta dalej: *Naukowcy i inżynierowie nastawieni są bardziej na pracę i wykonywanie swego zawodu niż na pracodawcę - to ma sens. Czysta nauka to szczytne powołanie. Są bardziej rzeczowi, ale raczej małowolni, i mało się udzielają, również towarzysko*. Ten opis na pewno nie pasuje do Henry'ego Froelicha - co prawda jest nieśmiały, ale kiedy się go skłoni do opuszczenia swojej skorupy... Czy Oskar Fried też się taki okaże? To znaczy, o ile wydostanie się za żelazną kurtynę? *Prawdziwy naukowiec gotowy jest pracować w swojej dziedzinie niezależnie od okoliczności, a fakt, że został zatrudniony przez określonego pracodawcę, ma dla niego znaczenie drugorzędne*. To dlatego uczeni pokroju Wernhera von Brauna zachowują się tak, jakby doraźne konflikty ich nie dotyczyły - chociaż Henry Froelich zareplikowałby, że taka niezależność to fikcja. Ale rakiety to rakiety. Teraz przyjęły postać międzykontynentalnych pocisków balistycznych, których użycie spędza nam sen z powiek, i modlimy się, żeby nigdy do tego nie doszło, i silników, które napędzały Saturna, a teraz mają ponieść człowieka na Księżyc. A von Braun zmienił chlebobawców - teraz pracuje dla nas, to znaczy dla Amerykanów. *Świadomy swych umiejętności i zasług, naukowy pracownik aspiruje do osiągnięcia wysokiego statusu społecznego, co może prowadzić do pewnego niezadowolenia i frustracji*. Jack przenosi spojrzenie na okno i zaczyna tworzyć sobie w myśli obraz - profil psychologiczny Oskara Frieda.

Może ucieka na Zachód nie tylko z powodów ideologicznych, ale ponieważ nie może już znieść tamtejszego rozdętego ustroju, który promuje skorumpowanych aparatczyków, zbiegłych angielskich szpiegów i kosmonautów - nie mówiąc o okresowych czystkach, które niekoniecznie należą już do przeszłości. Czy to możliwe, że Friedowi obrzydło ponure życie wypełnione strachem i harówką bez uznania? Że łaknie dóbr i zaszczytów, jakimi może obsypać go Zachód? Życia na przyzwoitym poziomie? Kto by go za to winił? Przyjedzie sam. Może jest kawalerem albo wdowcem. Może nic go nie trzyma w ZSRR.

Wzrok Jacka pada na zdjęcie Mimi i dzieci. Gdyby ktoś wdarł się do jego domu i groził jego rodzinie, Jack by go zabił. Proste. Obraca w palcach spinacz do papieru. Ale w tej sytuacji nic nie jest proste. Ludzie na drugim końcu świata mogą zniszczyć dom Jacka, nie wychodząc za próg swojego. Dawniej ochronę zapewniały narodom góry. Rozległe obszary wodne, pustynne, a jeszcze w nie tak odległej przeszłości sama odległość. To dzięki temu tysiące alianckich lotników mogło odbyć bezpieczne przeszkolenie między innymi tu, w Centralii, zanim wyruszyło za ocean, aby tam walczyć z faszyzmem. Dziś nie ma już takiego pojęcia jak „poza zasięgiem”. Globalna wioska. Wystarczy tylko jeden dureń...

Tymczasem obrona Kanady nie została postawiona w stan gotowości. Jack ma związane ręce. Nie może nawet wydać polecenia zdjęcia pokrowców z koców, na wypadek gdyby zaszła konieczność udzielenia pomocy ludności cywilnej. Jego własny rząd uznał, że nie trzeba chronić jego dzieci. Już dawno nie czuł takiego rozgoryczenia, nie czuł się taki bezużyteczny. Od 1943 roku, tu w Centralii.

Dzwoni telefon. Jack sięga po słuchawkę. - Tu McCarthy.

W głosie żony po drugiej stronie nie słychać napięcia. Zwyczajny dzień.

- Wal - mówi Jack, jego rozczarowanie jest tylko chwilowe. Brzmienie jej głosu ko niczym zimny okład przyłożony do czoła, pod jego wpływem odpływa gorąco z jego twarzy, uspokaja się pulsująca żyła w szyi.

- Mleko?... no tak... masło.

Wypuszcza spinacz i sięga po ołówek.

Madeleine wychodzi ze szkoły bocznymi drzwiami. W ręku trzyma misia z brystolu, którego sama zrobiła. Miś ma prostokątną głowę - chociaż mocno się starała, nie udało jej się narysować i wyciąć kółka.

Popołudniowe niebo jest szare, zasnuwane mgłą, obecność słońca zdradza brudna żółta plama z jednego krańca nieba - jedyny wskaźnik nadal pozwalający odróżnić wschód od zachodu, jakby to miało jakieś znaczenie.

Pali ją tam w środku pewnie dlatego, że palec miał ubrudzony od kredy, ale to tylko pieczenie, szybko minie - chociaż po raz pierwszy przytrafiło jej się takie dźgnięcie, Madeleine nie widzi powodu, dla którego miałoby ją wiecznie piec, nic przecież nie trwa wiecznie.

Inne dziewczynki się rozchodzą, odwijając słodycze. Madeleine nie przyjmuje cukierków. Jej koleżanki wyciągają ręce i chociaż przez chwilę Sara Nolan może napawać się poczuciem władzy, kiedy mówi: „Ty dostaniesz tego”.

Madeleine nie zdawała sobie sprawy, że można zostać tak mocno dźgniętym i nie umrzeć od tego; nie musi nawet iść do szpitala. Nie wiedziała, że można tam coś wetknąć - tamtędy chyba wylatują siki. Madeleine już przeczuwa, że przy sikaniu będzie ją jeszcze bardziej szczypało, ale może chociaż przy okazji się odkazi, bo przy odkazaniu zawsze szczypie.

Teraz martwi się głównie tym, że jej głowa już się nie skurczy do pierwotnego rozmiaru. Kiedy wychodziła ze szkoły, głowa jej spuchła, stała się ogromna, jak szara chmura, która napęczniała i spowiła całe popołudniowe niebo. Gdy Madeleine zamyka oczy, ma wrażenie, że rośnie hen wysoko i staje się lekka jak piórko, jej głowa wznosi się do góry niczym balon, jej stopy są daleko w dole, wydają się malutkie.

Idź szybko, niech chłodny wiatr uśmierzy piekący ból, w powietrzu jest wilgoć, to pomoże; osuszą się też majtki, mokre i skłębione jak opatrunek.

Madeleine nie kieruje się w stronę domu, przecina parking i rusza ulicą Algonquin Drive, po lewej ma SKR-y, po prawej uprawne pola.

Dźganie ma tę jedną zaletę, że Madeleine odtąd przestała się bać zastrzyku; igła to pestka w porównaniu z dźgnięciem. To kara, która spotyka dziewczynkę za to, że po cichu pragnęła, żeby dotknął jej majtek.

Idzie środkiem ulicy. Usłyszy nadjeżdżający samochód. Mogłaby wejść między te zagony buraków, powędrować polną drogą. Natknęłaby się na farmera ze strzelbą. Udawałaby stracha na wróble albo weszłaby mu prosto pod lufę, kule by się od niej odbijały. Farmer nie jest panem świata, nikt nie jest, *wysadź go w powietrze, Ziemianinie*.

Gdyby szła tak prosto przed siebie, w końcu, po wielu latach, dotarłaby do domu na kolację. Co trzyma ludzi na miejscu? Dlaczego nie staczają się z pochyłej Ziemi niczym kulki? Skąd w ogóle wiadomo, że jest się sobą? Zaczyna iść zakosami, lawirując między wymalowanymi żółtymi kreskami. Może dlatego matki zawsze każą dzieciom wracać prosto do domu. Bo wiedzą, że inaczej mogłyby pójść, gdzie je oczy poniosą. Madeleine wchodzi na drogę okrężową.

Po prawej ciągną się białe budynki bazy, po przeciwnej stronie kwatery mieszkalne, domy w stonowanych barwach, bez wyrazu, a z przodu spitfire na cokole, doskonale obojętny. Madeleine postrzega wszystko naraz, na nic szczególnego nie patrząc. Wszystko wydaje się ponure i rozmyte, odarte z jednej powłoki światła, odarte z odległości i różnic pod jednolitą szarością, która zakrywa niebo - pułap, jak mówią na to lotnicy. Ponad tą warstwą dzień jest zawsze słoneczny, niebo zawsze błękitne - ta szarość odmienia dla nas oblicze świata, ale w gruncie rzeczy jest niczym więcej jak kurtyną, elementem wystroju sceny. Gdzieś tam po prawej znajduje się jej ojciec, a po lewej matka. Są znikomymi drobinami, słowami.

Wyraz twarzy pana Marcha się nie zmienia, jego okulary połyskują jak zwykle. Patrząc na niego, nikt by się nie domyślił, że włożył dziewczynce rękę pod spódnicę. Madeleine nawet nie myśli o niej „moja sukienka”. Jakby postrzegała jej fałdy z poziomu obrębka - widzi swoje gołe nogi i wetknięty między nie szary rękaw, jakby była kukiełką. Piecze ją. Siła woli sprawia, że ból spływa z niej jak lód z patyka. Nie odzywaj się, twój głos przebywa daleko w obcym kraju. Nie ruszaj się, twoje ręce i nogi są odłączone od bólu, nie pozostaje im nic innego jak czekać.

Jej stopy nie chcą się zatrzymać - minęła skrzyżowanie z drogą prowadzącą do SKR-ów - jak Karen w *The Red Shoes*, będzie musiała znaleźć zyczliwego drwala, który je odrąbie. Zaczyna biec, uderzając piętami w ziemię, bo w ten sposób można się przekonać, że nie trzeba będzie odrąbywać stóp. Powietrze jest jak wilgotne chusteczki przylegające do twarzy jedna po drugiej. W biegu Madeleine zaciska i rozwiera pięści, wykręca ręce w nadgarstkach, bo w ten sposób można się przekonać, że nie trzeba będzie odrąbywać dłoni ani nie oderwą się same, nie odfruną jak kawałki Pinokia. *Stój spokojnie, dziewczynko.*

Ochryple krakanie wrony, jakby ktoś nagryzmolił coś w powietrzu czarnym atramentem. Madeleine podnosi głowę. Widzi wronę wracającą do gniazda na szczycie sosnowego słupa, gdzie spod gałązek i siana wystaje zardzewiała syrena, niczym usta otwarte w niemym krzyku czy wyschła fontanna. Madeleine mija w biegu spitfire'a, z dziobem zadartym w niebo, z zacopowanymi i zamalowanymi wlotami luf. Dzięki niemu wygraliśmy bitwę o Anglię. Jak to się stało, że nikt nie zabił Hitlera? Nie podszedł do niego i nie zastrzelił? Anna Frank żyłaby teraz. Gdyby tak Madeleine mogła cofnąć się w czasie i zabić Hitlera. Gdyby tak nadjechał teraz samochód z obcym mężczyzną w oficerskiej czapce, który powiedziałby: „Wsiadaj, dziewczynko”, Madeleine zabiłaby go, rozbiłaby mu głowę drzwiami. Zbliży się samochód, niech to będzie porywacz: *Rozwalę mu łeb kamieniem.*

Ale samochód przejeżdża obok niej. Madeleine podnosi kamień i rzuca w kierunku

samochodu, potem skręca i biegnie dalej, wzdłuż lądowiska po prawej, szorując czubkami adidasów o ziemię, niszcząc je, w ten sposób można wylądować złość na kimś, kiedy nie ma go w pobliżu. *Obejmij rękami moją szyję, dziewczynko. Teraz ściśnij. Tak. Mocniej.* Stoi przy jego biurku. Wyczuwa naprężone mięśnie pod fałdami tłuszczu, i tę dziwną rzecz wystającą z szyi. On wytrzeszcza oczy, dlaczego nie wytrze sobie porządnie okularów? Pewnie dlatego, że używa chusteczki do swego narządu. Sterczy przykryty białym płótnem niczym kielich ofiarny. Madeleine nie chciała tak pomyśleć, samo jej się to skojarzyło, a Bóg rządzi wszystkim, „Więc nie wiń mnie za to!”, wrzeszczy, wysuwając brodę do przodu, maszerując teraz. Ale nikt jej nie słyszy, baza została daleko w tyle, a dachy kwater mieszkalnych zapadają się za łagodnie pofałdowanymi jesiennymi polami.

Jej głowa skurczyła się do normalnego rozmiaru, tworzy jedną całość z resztą ciała, powietrze znów nabrało głębi. Trawa wygląda na prawdziwą, kamienie przydrożne wyglądają na prawdziwe, tak jak namacalny stał się znów papierowy miś zmięty w jej dłoni. Okrągowa droga przeszła w szpaler brzoź i klonów, gospodarstwa otwierają się po bokach niczym stronicie w książce. Zmieniło się światło, już nie twarde jak krzemień, lecz płynne. Pogłębiła się chłodna szarość, mnożąc cienie siana, sprasowanej słomy znaczącej pola niczym kropki. Wytrawione złoto suchych łądyg, nagle wyrosła zielona rzeka dyniowego pola, z cudownymi pomarańczowymi przeblaskami, darami ziemi wielkości piłki plażowej pod każdym szerokim liściem. Grube, mięsiste kłosa więdnącej trawy na poboczu, niczym brudne kosmyki napierające na ogrodzenie. Rzepa leży dokładnie tam, gdzie spadła z ciężarówki, mlecznopurpurowa niczym wewnątrz muszli. Gdybym nie wróciła do domu, nie umarłabym z głodu, myśli sobie Madeleine.

Czuje w powietrzu deszcz i zwalnia krok. Jedwabista woń siana, wyskubane pastwisko po prawej; odwraca się do niej ogromna brązowa głowa i patrzy na nią zza płotu, lśniące matczyne oko. Gdzieś w pobliżu odzywa się kos, jego rzewna piosenka w zamglonym powietrzu niczym na filmie. Nad jej głową krzyżują się druty telefoniczne, artyści cyrkowi na trapezie przenoszący ludzkie głosy od słupa do słupa, zręcznie podtrzymujący gniazda i rozmowy. Madeleine przystaje i spogląda na pole po prawej. Za rowem porośniętym chwastami rozciągają się zagony kukurydzy. Pożółkłe, prężą się niczym oddział odznaczonych weteranów, przeredzony, ale maszerujący kolumnami naprzód, z pustych łądyg odwijają się proporce.

Spada pierwsza wielka kropla. Ciężkie, ogromne, rozpryskują się o ziemię w szerokich odstępach. Madeleine odchyła głowę do tyłu, wystawiając twarz na krople, które mają słodkawy i zarazem metaliczny posmak; uderzają niczym koniuszki palców, szybkie niczym

myśl, nie sposób przewidzieć, gdzie spadnie następna. Madeleine znów patrzy przed siebie, przemoknięta grzywka przylega do czoła, woda spływa jej po nosie do ust. Gdyby nigdy nie wróciła do domu, nie zaznałyby pragnienia.

W oddali, w miejscu, gdzie droga okrągowa krzyżuje się z bezimienną polną drogą, zamiata ziemię rosochata wierzba. Drzewo jest lekko pochyłe, jakby skłoniło się w bok przy powitaniu i tak zastygło, barwy podmorskiej zieleni, przemijające jak jesień, rozedrgane deszczem, który gdy Madeleine podchodzi bliżej, brzmi jaśniej w zderzeniu z mrowiem drobnych listków, jak sopran długowłosej śpiewaczki. Połyskuje w deszczu, drzewo w całości złożone z witek. Może pod nim Madeleine spędzi noc, szeroki i płaski konar posłuży jej za łóżko. Rozsuwa zieloną zasłonę i perełki wody ześlizgują się jej po ramieniu i po karku, gdy wstępuje do suchego chłodnego podcienia, w którym nagle wszystko brzmi inaczej. Tak jak w namiocie podczas deszczu. Węch, wcześniej niż oczy, informuje ją o czyjejś obecności. Mokre zwierzę. Znajome.

U stóp drzewa leży Rex, jego futro paruje, światełka błyskają wokół jego karku, na czubkach uszu. Tuż obok na ziemi stoi stara nieprzemakalna torba z uchem. „Cześć, Rex”. Pewnie się zgubił. Uderza ogonem o ziemię, widząc podchodzącą Madeleine, która staje jak wryta, ponieważ dostrzegła coś kątem oka. Białe adidasy, brązowe nogi. Colleen. Siedzi na gałęzi. Trzyma w ręku długi, giętki kij, który zwisa niczym bicz.

Zeskakuje na ziemię. Madeleine odsuwa się o krok. Colleen sięga do torby i nie odrywając wzroku od Madeleine, wyciąga płócienny piórnik, z którego wyjmuje garstkę tytoniu i białą bibułkę. Madeleine przygląda się, jak Colleen zwija bibułkę z tytoniem, oblizuje i zakleja, potem wkłada skręconego papierosa do ust. Wyciąga pudełko zapalek, zapala. Napis na pudełku obiecuje „karierę bez studiów”. Colleen zaciąga się, mrużąc oczy przed dymem, i opiera się o drzewo. Jej przybrudzona biała koszulka lśni jasno w zielonym półmroku. Rzemyk zawiązany wokół szyi ginie pod bluzką, wypychając ją nieznacznie na piersi.

- Pokażesz mi swój nóż? - pyta Madeleine.

Colleen sięga do kieszeni dzinsów z obciętymi nogawkami. Nóż ma rękojeść wyrzeźbioną z żółtej kości.

- Z niedźwiedzia - mówi Colleen, otwierając ostrze, wypolerowane i cieniutkie - skutek częstego używania i dbałości. Nóż spoczywa płasko na jej dłoni. Madeleine wyciąga do niego rękę.

- Nie dotykaj go - ostrzega Colleen, nie zamykając dłoni.

- Dlaczego?

- To nie zabawka - mówi Colleen, z twarzą lekko odwróconą, jasnymi oczami jak szparki. U kącika jej ust Madeleine dostrzega biały ścieg blizny, który nadaje twarzy Colleen lekko nadąsany wyraz.

- Wcale się ciebie nie boję - oświadcza Madeleine.

- Gównu mnie to obchodzi.

- Wiem - mówi Madeleine, zgorzozona, a jednocześnie dziwnie opanowana.

- Panna wszystkowiedząca, co?

- Chodź tu i powtórz to - odparowuje Madeleine bez namysłu.

- Jestem tutaj, idiotko. - Colleen unosi kącik ust, w oczach igrają jej ogniki kpiącego rozbawienia.

- W rzeczy samej - mówi Madeleine, wykrzywiając się jak Królik Bugs. Porywa nóż, Colleen ani drgnie.

- Broń się! - woła Madeleine, siekąc powietrze jak Zorro. Colleen tylko się przygląda. Madeleine podnosi swojego zmoczonego misia z rozmazanym uśmiechem i nadziewa go. - A masz!

Wtyka czubek noża pod brodę i woła Colleen, żeby przyszła i pchnęła go z całej siły. Potem śmieje się rozpaczliwie, zwieszając ramiona, sflaczałe jak nitki makaronu: - Żegnaj, okhutny świecie! - zatacza się, zezuje i wymachuje nożem, udaje, że kłuje się w serce. Rex zrywa się i szczeka.

Colleen zaciąga się, wyrzuca niedopałek i wyciąga rękę po nóż. Madeleine oddaje go jej, osłabiona od śmiechu. Colleen składa nóż i stwierdza, kręcąc głową:

- Jesteś stuknięta, McCarthy.

Madeleine odpowiada rażno, jakby czytała na głos: - *Oui, je suis folle, je suis une maniaque* - i zaczyna mechanicznie podrygiwać.

- *C'est ça quoi ja di, ya crazy batar* - mówi Colleen.

W ten sposób Madeleine dowiadyje się, że Colleen mówi po francusku.

- To nie francuski, to michif - wyjaśnia Colleen.

Michif. Nazwa kojarzy się Madeleine z psotą.

Colleen wiesza torbę na kiju i wychodzi spod drzewa na deszcz. Rex rusza za nią.

- Colleen, zaczekaj.

Madeleine dogania ją i idą razem w milczeniu. Zdejmuje buty i skarpetki. Deszcz tłucze o ziemię nieprzerwanymi strugami. W takim deszczu łatwo jest biec, kałuże zmieniają się w trampoliny, pędzi się jak po leśnej dróżce, nie sposób się zmęczyć. Widmowe stodoły majaczą na polach, piorun wstrząsa drzewami przy drodze dojazdowej do gospodarstwa.

Łapy, bosc stopy, przesiąknięte adidasy. Czuć zapach mokrego psa. Żaden inny zapach nie jest tak kojący, z wyjątkiem obozowego ogniska. Lecz ognisko napawa też smutkiem, ponieważ siedzi się wokół niego z rodziną pośród głębokich ciemności, wiedząc, że ta miłość i poczucie własnej jaźni nie rozpościerają się dalej niż na kilka kroków w mrok.

- Dokąd idziemy? - pyta Madeleine.

- Rock Bass.

To nie bicz, to wędka.

Tam na dole uratowało się jeszcze nieco lata. Zieleń jest żywa, choć mieni się jak stara skóra. Żdźbła trawy, wciąż wysokie, łatwo się gną i łamią, przydepnięte, już się nie podnoszą. Liście nadal mięsiste u nasady, przyczepione do gałązek, ale tylko tygodnie dzielą je od tej chwili, gdy być może od razu wszystkie zostaną zdmuchnięte. Kiedy nastaje ta chwila? Są lata, że wichry wzmagają się stopniowo, odrywając po kilka liści naraz, ale zdarza się też cicha, spokojna jesień i jeszcze w listopadzie drzewa są okryte liśćmi, wielobarwne, i wystarczy jeden podmuch, żeby w jednej chwili je obnażyć.

- To tutaj? - pyta Madeleine, gdy zatrzymały się na skraju wąwozu. Jego dnem płynie strumień, który wiosną wzbierze, ale nie na tyle, aby stać się rzeką. Na drugim brzegu potoku rośnie klon.

To niesamowite, że kiedy my jesteśmy w szkole, śpimy albo oglądamy telewizję, las tkwi tutaj, szumi, oddycha, przemienia się, z majestatycznym wdziękiem, na który składają się niezliczone rzesze gorączkowych istnień, a każdy ich szelest, każdy płacz wtapia się w ten kołyszący, wszechogarniający rytm. Wdech, jest lato. Wydech, już jesień. Nie ruszaj się, zima. Otwórz oczy, wiosna.

Ten klon jest taki cichy, lecz przemienia się z pasją. Częstka jego obumiera. Ta ładna. Niebawem odsłoni przed światem swój smutek, swą starość i mądrość, wznosząc sękatę konary jak do modlitwy. Na tym polega jego piękno.

- To jest Rock Bass - oznajmia Colleen i ześlizguje się po zboczu do strumienia, a Rex za nią. Madeleine idzie w jej ślady. Można przejść po kamieniach, ale one przeprawiają się na drugą stronę, brodząc w wodzie.

Pod klonem leży płaski głąz, nieopodal widać pozostałości ogniska. Colleen wyciąga z torby puszkę po kawie, zdejmuje przykrywający ją woskowany papier i wyławia tłustego robaka. Nadziewa go na końcówkę żyłki - robak wije się w męczarniach - i zarzuca. Potem stoi nieruchomo na kamieniu i czeka. Madeleine kuca i czeka razem z nią, z rękami założonymi za kolana. Podnosi patyk zwęglony z jednego końca i wypisuje nim swoje imię na

powierzchni głazu. Imię przypomina jej twarz i Madeleine żałuje, że nie wygląda groźniej. Samogłoski, z szeroko rozwartymi oczami, jakby zapraszały do tego, żeby je ukraść, poza tym za dużo w nim sylab - każda stanowi słabe ogniwo, łatwo się odrywa, jak staw. Chciałaby mieć jednosylabowe imię, zwarte, nienaruszalne. Jak Mike.

- Dlaczego wtedy mnie nie stłukłaś? - pyta, zwracając się do pleców Colleen.

- Nie jesteś tego warta - odpowiada Colleen, wpatrzona w strumień.

Madeleine rozciera na dłoniach sadzę z patyka.

- Dlaczego?

- Bo ja tam nie wracam, dlatego. - Colleen odchyła wędkę za siebie i ponownie zarzuca.

- Dokąd nie wracasz?

- Nie twój zasmarkany interes. - Jej głos brzmi spokojnie. Pogodnie. Madeleine pociera dłońmi, jakby zamiast sadzą wysmarowała je mydłem, potem obwąchuje je. Pachną ogniskiem. Czysto.

- Dlaczego twoi rodzice by cię odesłali?

- To nie rodzice. - Colleen przenosi na nią wzrok i Madeleine uprzytamnia sobie, że boi się tej dziewczyny.

Madeleine formułuje pytanie inaczej. - Dlaczego zostałąbyś odesłana?

- Za stosowanie przemocy.

Przemoc. Słowo rozbłyskuje w umyśle Madeleine czerwienią i czernią. Madeleine widzi mięśnie prężące się na łydkach Colleen, zakurzonych i szczupłych - wciąż opalonych, choć lato już dawno się skończyło. Kurczą się, gdy Colleen przesuwa się do przodu. Coś skubie haczyk. Colleen wyciąga małą rybkę. Podryguje na końcu żyłki, szarozółta, patrzy nieruchomym wzrokiem. Colleen ściąga ją z haczyka i wrzuca z powrotem do wody.

- Słyszałaś kiedyś o Towarzystwie Pomocy Dziecku?

- Nie.

- To masz szczęście.

Zza szarej zasłony deszczowego popołudnia wychodzi słońce, w samą porę, żeby zacząć swą wieczorną wędrówkę za widnokrąg. Madeleine nie ma pojęcia, która jest godzina. Po lewej ukazuje się lotnisko i ogarnia ją wrażenie, jakby budziła się ze snu. Wtedy dopiero spostrzega, że jest bez butów.

- A gdzie ty właściwie się wybierałaś? - pyta Colleen.

- Nigdzie.

- Skoro tak mówisz.
- Po prostu uciekałam - wyjaśnia Madeleine.
- Mnie też się to zdarzało.
- Tak?
- Wiele razy.
- I dokąd uciekałaś?
- Raz nawet do Calgary - mówi Colleen. - Ukradliśmy konia, ja i mój brat.
- Ricky?
- A kto inny?
- I jechaliście całą drogę z Centralii do Calgary na koniu?
- Nie z Centralii. Z Alberty.
- A co robiłaś w Albercie?
- Nie twój zasmakany interes.

Idą w milczeniu.

- Ja się urodziłam w Albercie - mówi Madeleine. Colleen nie odzywa się. - A ty gdzie się urodziłaś? - pyta Madeleine.

Nie spodziewa się odpowiedzi, więc jest zaskoczona, gdy po chwili Colleen mówi: - W samochodzie.

- W drodze do szpitala?
- Nie. Gdzieś niedaleko granicy. Albo w Montanie, albo w Albercie.

Madeleine wyobraża sobie, jak pan Froelich zjeżdża na pobocze zagubionej na pustkowi autostrady i stara się zagotować trochę wody na ognisku, a tymczasem pani Froelich rodzi dziecko w samochodzie na tylnym siedzeniu. Wyciąga rękę, czuje, jak Rex trąca ją wilgotnym noskiem.

- Czym się zajmuje Towarzystwo Pomocy Dziecku?

Colleen spluwa z wprawą kącikiem ust. - Przychodzą i zabierają cię do poprawczaka, kiedy uznają, że schodzisz na złą drogę.

- Aha. A co to jest poprawczak?

Colleen wzrusza ramionami. - Więzienie dla dzieciaków.

Rysujące się przed nimi domy mieszkalne wydają się potulne jak zwierzęta w korralu. Spitfire znów ma przyjazny wygląd, a białe budynki bazy zapraszają serdecznie niczym salony fryzjerskie. Ale Madeleine ścisza coś w żołądku. Obawa.

- Oberwie ci się za to?

- Za co?

Madeleine nie chodzi ani o palenie, ani o przekleństwa, ponieważ Colleen przypuszczalnie powstrzymuje się od jednego i od drugiego w obecności rodziców. Ale nijak nie da się ukryć tego, że związała się z lekcji. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że Colleen była pod wierzbą dużo wcześniej od niej, w stroju do zabawy?

- Byłaś na wagarach?

- I co z tego? Moja sprawa.

Madeleine spogląda na jej profil - poważne usta, zmrużone błękitne oczy zapatrzona w dal - i zastanawia się, czy to oznacza, że ona i Colleen Froelich zostały przyjaciółkami.

- Ale ty dostaniesz!

To Mike, pedałuujący wściekle, nadjeżdżający w jej kierunku ulicą Columbia Drive.

- Mama cię zabije! - gwałtownie hamując, z popisowym zarzuceniem tylnego koła. - Gdzieś ty się podziewała do jasnej anielki?

- Wypchaj się!

Mike ocenia wzrokiem jej stan, potrząsa głową. - *Va-t'en dans la maison, toi.*

Roy Noonan i starszy, groźnie wyglądający brat Philipa Pindera, Arnold, nadjeżdżają z przeciwnych kierunków.

- Mam ją - wrzeszczy do nich Mike.

- Gdzie ją znalazłeś, Mike? - pyta Arnold, jakby była zablakowanym kociakiem.

- Wcale się nie zgubiłam! - krzyczy Madeleine.

- Czyżby? No to co robiłaś? Lepiłaś babki z dziewczynkami? - ironizuje Mike.

Koledzy Mike'a przyglądają się jej. Roy proponuje, że ją podwiezie do domu - przecież jej dom jest o żabi skok stąd, z choinki się urwał czy co?

- Ja ją doprowadzę - mówi Mike. - Dzięki, chłopaki.

- Nie ma za co - mruczą i odjeżdżają.

Madeleine odwraca się do Colleen, żeby oszacować głębię pogardy, z jaką przyjęła jej upokorzenie, ale Colleen zniknęła.

- Tata wrócił już z pracy? - pyta Madeleine, wlokąc się za nim na miejsce stracenia.

- Lepiej dla ciebie, żeby go nie było - odpowiada jej brat, stawiając rower pod domem, biorąc ją za łokieć, jakby była jeńcem. Wrywa mu się i otwiera drzwi.

Jej matka wyłania się z kuchni i zatrzymuje przy schodkach; rozmawia przez telefon.

- Już nieważne, Sharon, właśnie wróciła - odkłada słuchawkę. - *Dieu merci.*

Ma zapuchnięte oczy. Wyciąga do niej ręce. Za dotknięciem córki jej ulga przeradza się w gniew, wciąga ją po schodkach, wymierzając jej solidne klapsy, gna ją przed sobą przez

salon, w kierunku schodów. W kuchni mijają Mike'a, który niewzruszony nalewa sobie mleka z lodówki.

- Ona była z Colleen Froelich - informuje Mike. - *Elle a perdu ses souliers, Maman.*

Wymieniają zdania po francusku w takim tempie, że Madeleine nic z tego nie rozumie, chociaż nietrudno się domyślić, co mówi matka - obdzwoniłam połowę SKR-ów, właśnie odeszłam od telefonu, gdzie są twoje buty? I po angielsku: - Nie wolno ci się bawić z tą dziewczuchą, słyszysz?

Wpycha ją do jej pokoju i zatrzaskuje drzwi.

- *Bouges pas! Attends ton père!*

Madeleine siada na skraju swego łóżka. Blask popołudniowego słońca złoci kwieciste nakrycie i poduszkę z frędzelkami. Jej ogromne plastikowe lalki z popękаныmi buziami patrzą na nią wesoło - świąteczne prezenty od Tante Yvonne. Spycha je na podłogę i sięga po Bugsa, głaszcze go i zakłada mu uszy na tył głowy, żeby mógł się odprężyć. „Dobry Bugs”. Madeleine spogląda na dół, na swoje bose ubłocone stopy, umazaną sukienkę, usmolone ręce. Nawet na twarzy odkrywa zaschnięte kropki błota. Czeka w nienaturalnej rażącej ciszy, zamknięta w swojej sypialni. Kładzie się na łóżko. Ma zziębnięte stopy, chociaż w pokoju jest ciepło. Bugs wtula się w jej ramię.

Słyszy, jak na dole otwierają się frontowe drzwi. Przytłumiony głos ojca, radosny, jak zwykle po pracy. Milknie. Jego miarowe kroki na schodach. Nadchodzi. Brzuch Madeleine przeszywa chłód. *Poczekaj, aż ojciec wróci do domu.* Jego gorzkie rozczarowanie, smutne lewe oko; wściekłość, którą dotąd objawiał tylko w stosunku do innych kierowców i do instrukcji obsługi kosiarki do trawy. I czasami wobec Mike'a. Gałka w jej drzwiach wolno się obraca, do środka zagląda tata. Nie zdążył zdjąć swej lotniczej czapki. Patrzy na nią zagadkowo.

- Co ty robisz na górze w łóżku o tej porze, skarbie? Źle się czujesz?

- Nie.

O niczym nie wie. *Maman* nie powiedziała mu.

- To zejdz na dół, poczytamy sobie razem dowcipy. Mama przyrządziła pyszną kolację.

Stał się cud.

Podczas kolacji nie pada ani jedno słowo na temat wykroczenia popełnionego przez Madeleine. Nawet nie gra radio, gdy Madeleine wchodzi do kuchni. Ojciec zwykle słucha wiadomości przed modlitwą. Tymczasem *Maman* nastawia płytę Maurice'a Chevaliera, ale

kiedy tata mruczy, że nie życzy sobie „tego kolaboranta”, zamienia go na Charlesa Treneta. Madeleine bez marudzenia zjada wszystko ze swojego talerza, nawet tłuczone ziemniaki z rzepą - dlaczego *Maman* upiera się, żeby w ten sposób psuć smak pysznych ziemniaków?

Po kolacji Mimi zabiera Mike'a na mecz koszykówki w Exeter. Ricky Froelich gra w drużynie South Huron Braves. Jack wybierał się z synem na ten mecz, ale zostaje w domu z Madeleine. *Maman* całuje ją na pożegnanie i szepcze: - To prawdziwe szczęście mieć takiego cudownego tatę.

Ojciec nie ogląda telewizji, tylko gra z Madeleine w warcaby przy kuchennym stole.

- Mama mówi, że późno wróciłaś ze szkoły - odzywa się po chwili.

Więc wie. Ale nie jest na nią zły.

- Tak - potwierdza Madeleine, nie odrywając wzroku od planszy.

- Gdzie poszłaś? - Tata też zastanawia się nad następnym ruchem.

- Na spacer.

- Ach tak. A dokąd?

- Do Rock Bass.

- Gdzie to jest?

- To taki wąwóz. Idzie się do niego polną drogą.

- Rozumiem. - Zbija jej pionka, a Madeleine w odpowiedzi zbija mu dwa. - Byłaś sama?

- Spotkałam Colleen.

- Tę od Froelichów?

- Tak. Łowiła ryby.

- Złapała coś?

- Okonia.

- Okonia. Proszę, proszę.

- Ale go wypuściła. Ona ma nóż.

- Naprawdę?

- Ale nie popisuje się nim, to narzędzie, a nie zabawka.

- I słusznie.

Grają dalej. Madeleine zwycięża.

- Co zaszło dzisiaj w szkole, stary druhu?

- Mm... oglądaliśmy film.

- O czym?

- O chowaniu się w mig.

- O chowaniu się w mig?
- Gdyby wybuchła bomba atomowa.
- Aha. - Składa planszę do warcabów. - I pan March kazał ci się schować pod ławkę?
- M-hm.
- I dlatego uciekłaś?

Madeleine otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, więc kiwa głową.

- Chyba się rozmówię z twoim nauczycielem.
- Nie - mówi Madeleine.
- Dlaczego?

Wiesz, co się stanie, kiedy rodzice odkryją, jaka z ciebie niegrzeczna dziewczynka?

- On jest dla nas dobry.

Madeleine wstrzymuje oddech. Nie rusza się - oby tylko ten zapach nie rozszedł się w powietrzu.

- Może i jest - mówi ojciec. - Ale posuwa się za daleko.

Madeleine czeka. Ojciec domyśla się? Wyczuwa ten zapach? *Odeślą mnie.*

- Posłuchaj, serduszeko.

Zabierze mnie Pomoc Dzieciom i wsadzi do więzienia.

- Pan March wyolbrzymia niebezpieczeństwo. Prezydent Kennedy musi pokazać Sowiecom, kto tu rządzi, to wszystko.

Prezydent Kennedy. Zna pana Marcha? *W Centralię wymierzony jest pocisk nuklearny. Ja ci dopiero dam powód do płaczu, dziewczynko.*

- Świat czeka, żeby się przekonać, kto pierwszy się ugnie. I możesz być pewna, że tym razem to będą Sowieci, bo my teraz nie żartujemy.

Madeleine mruga.

- Nie można się płaszczyć przed tyranem - dodaje tata.

Płaszczyk za krótki, zbyt duże butki... Zuzia lalka nieduża.

- Trzeba mu się przeciwstawić. Tego nauczyła nas wojna. Po co kryć się i chować? - w jego głosie słychać obrzydzenie. Tchórze kryją się i chowają. Kolaboranci.

- Jak Maurice Chevalier? - pyta Madeleine.
- Co takiego?
- Nic.

Ojciec odkłada gazetę i wstaje, dając jej znak, żeby poszła za nim. Dostanę teraz za swoje? Nie, to pan March dostanie. To Sowieci.

Rozkłada mapę świata na stole w jadalni. Wskazuje miejsca w Europie, które

odwiedziła. Kopenhagę, Monachium, Paryż, Rzym, francuską Riwierę...

- Następnym razem kiedy pan March będzie cię pytał o stolice, możesz mu to powiedzieć.

Pyta ją, dokąd ze wszystkich miejsc na całym świecie najbardziej chciałaby pojechać. Madeleine nie może się zdecydować, więc tata wodzi palcem po mapie wzdłuż narysowanej na niej Amazonki, opisując ludy i zwierzęta, jakie by tam napotkała.

- Mogłabyś popłynąć z przewodnikiem bambusową tratwą. Podobnie obrysowuje Nil, z rzędami piramid po obu brzegach.

- Mogłabyś przejechać się na wielbłądzie po pustyni.

A tu, zaznaczony na różowo, nasz ogromny kraj ojczysty.

- Wyprawa kajakiem po Jukonie, to dopiero - łowić łososie i szukać w rzece złota.

Cały świat stoi przed nią otworem.

- Kiedy dorośniesz, możesz zostać, kimkolwiek zechcesz; co tylko ci się zamarzy.

Możesz zostać astronautą, ambasadorem...

- Mogę grać w filmach?

- Co tylko sobie postanowisz.

- Mogę wystąpić w programie Eda Sullivana?

- Chcę, żebyś mi coś obiecała - mówi tata, patrząc jej prosto w oczy.

- Dobrze.

- Wiem, że uwielbiasz włączyć się po lesie z koleżankami, ja też lubiłem, kiedy byłem w twoim wieku. Ale za moich czasów po drogach jeździło dużo mniej samochodów i wszyscy się znaliśmy w promieniu wielu kilometrów. My jesteśmy nowi tu, w Centralii - *wszędzie jesteśmy nowi* - i *Maman* zamartwia się, kiedy nie wracasz na czas i nie wie, gdzie się podziewasz. Wiesz co, obiecaj mi, że będziesz przychodzić do domu prosto ze szkoły, przebierzesz się i powiesz mamie, dokąd idziesz, a potem będziesz mogła do woli wędrować po Rock Bass, pod warunkiem, że wrócisz na kolację.

- Zgoda.

- To mi się podoba.

- Tato?

- Słucham?

- Ja uciekałam.

Tata się śmieje. Madeleine nie zdawała sobie sprawy, że to jest zabawne. Uśmiecha się, wszystko chyba jest w porządku. Idzie za nim do kuchni.

- Zdradzę ci tajemnicę - mówi ojciec, otwierając lodówkę. - Ja wiele razy uciekałem,

kiedy byłem chłopcem. Napychałem kieszenie ciastkami i śmigałem przez pola.

- Po co?

Dziwi go to pytanie. - Dla hecy. - Nakłada im lody waniliowe. - Jesteś podobna do mnie - mówi, wręczając jej porcję. - Masz zamiłowanie do przygód.

Madeleine je lody i uśmiecha się, jak przystało dziewczynce jedzącej lody. Tata nic nie wie o ćwiczeniach po lekcjach. Inaczej nie pokazywałby mi mapy i nie rozmawiał o tym, co będę robiła, gdy dorosnę. Tata przyjął mnie dziś do plemienia dziarskich łobuziaków w krótkich spodenkach z dawnych czasów; czasów najpyszniejszych słodczy pod słońcem, kiedy domy różniły się od siebie, a jeden był nawiedzony, i przy głównej ulicy mieścił się sklep z napojami gazowanymi. I złożył u jej stóp świat, który czeka, aż będzie dorosła. Nie wolno dopuścić, żeby mrok ćwiczeń po lekcjach kiedykolwiek zetknął się z jasnym pogodnym światem chłopięcych lat taty. Na szczęście jedynym łączącym ogniwem jest ona. A ona potrafi te dwa światy rozdzielać. Jak tajny agent odpierający z obu stron ściany kurczącego się pokoju.

- Tato?

- Tak, stary druhu?

Wszystko jest w porządku.

- Mogę zobaczyć twój order?

Idzie za nim na górę. Tata wyjmuje z górnej szuflady małe drewniane pudełko, schowane za stosem wyprasowanych chusteczek. Otwiera wieczko i daje jej pudełko. Wewnątrz, na wyściółce z niebieskiego aksamitu, z przyczepioną białą i czerwoną wstążką, spoczywa srebrny krzyż: dwa pioruny ze skrzydełkami, z nałożonymi na nie łopatkami śmigła. Po środku widnieje Hermes, skrzydlaty bóg. *Za męstwo, odwagę i poświęcenie wykazane podczas lotu...*

- Nadał ci go wujek Simon - mówi Madeleine.

- Nie, to nie on. Ale miał w tym swój udział.

- Bo nauczył cię latać.

- Właśnie.

- I uratował cię.

Madeleine głaszcze order. Zaraz się rozpłaczę. Dlaczego? Przecież wszystko dobrze się ułożyło, nie płacz, Madeleine, tata nie zginął w tym wypadku. Zagryza fałdę policzka i wpatruje się w medal. Tata jeszcze długo pożyje.

- Tato?

- Tak?

- Gdzie jest Borneo?
- Chodźmy na dół, poszukamy na mapie.

Borneo wcale nie jest państwem. To wyspa na Oceanie Indyjskim. I nie ma stolicy.

Tata przykrywa ją kołdrą i mówi: - Mam coś dla ciebie.

Podniszczoną książkę z oderwaną tylną okładką. Na przedzie jest obrazek przedstawiający chłopca w staroświeckich spodniach, z puszką białej farby, za jego plecami widać pomalowany do połowy parkan. *Przygody Tomka Sawyera*.

- Jest stara. Ale na pewno jeszcze nadaje się do czytania. Madeleine otwiera książkę. Na wyklejce widnieje napis, skreślony niewprawną jeszcze ręką: *Ta książka należy do Johna McCarthy'ego*.

- Kiedyś była moja. Teraz przekazuję ją tobie.

- Super. Dzięki, tato.

Madeleine trzyma ją ostrożnie. Czuje jej zapach, charakterystyczny zapach starych książek, przypominający grzyby.

- Poczytasz mi ją na głos?

Ma ochotę poczytać w samotności, ale nie chce urazić taty, jeśli nastawił się na czytanie.

- Nie - mówi, wstając z łóżka. - Myślę, że książkę tego rodzaju najlepiej czyta się samemu w wolnych chwilach. A gdy ją skończysz, możesz zabrać się do *Przygód Hucka Finna*.

- Tato?

- Tak?

- Mama zabrania mi bawić się z Colleen Froelich.

Tata zastanawia się chwilę, po czym mówi: - Mama strasznie się martwiła, gdy nie przyszedłeś do domu.

- Wiem.

- Uważa pewnie, że Colleen Froelich nie ma na ciebie dobrego wpływu.

- Colleen w ogóle nie ma na mnie wpływu - oświadcza Madeleine, z całą szczerością i szacunkiem, na jakie może się zdobyć.

Tata uśmiecha się. - Umie łowić ryby, co?

- Tak.

- To chyba nie jest taka zła. Zostaw to mnie, dobrze?

Zagryza wargę, tym razem, żeby stłumić radość.

- Dobrze.

Całuje ją w czoło i zostawia w łóżku z książką.

Schodzi na dół. Żeby tak wystraszyć dzieciaki, co z niego za nauczyciel? Kryj się i chowaj! Psu na budę, koleś... jeśli wybuchnie, to *sayonara*, całuj swoją dupę na pożegnanie, diabła warte są te podwórkowe schrony przeciwoatomowe, które jankesi sprzedają w zestawach z basenem. Gdyby Kennedy miał odwagę odwołać tę niedowarzoną inwazję w Zatoce Świń półtora roku temu, może nie doszłoby do tego całego zamieszania - Jack wyjmując piwo z lodówki - albo gdyby miał odwagę, żeby dokonać inwazji z prawdziwego zdarzenia.

Przechodzi do salonu. Zatoka Świń była wręcz podręcznikowym przykładem fiaska procesu decyzyjnego. Nie chodzi o to, że podjęto złą decyzję, ale o to, że nie podjęto wystarczająco jasnej decyzji. Kennedy jedynie zaostrzył wtedy sytuację - jak ktoś, kto wetknął kij w mrowisko. Ale teraz postępuje słusznie. Zasięga rady najtęższych umysłów - w przeciwieństwie do naszego premiera, który wykazuje chorobliwy wstręt do cudzych rad. Jack zgina się i włącza telewizor, potem siada na kanapie i czeka, aż kineskop się nagrzej. Kennedy nie ustępuje, ale też nie atakuje pierwszy. „Przemawiaj łagodnie, ale trzymaj w ręku pałkę”. Wojna nerwów. Trzeba być twardym. A Kennedy’emu hartu nie brak, o czym świadczą jego zasługi na wojnie. To nie zwykły paniczyk o gładkiej buzi. Wywodzi się ze starego rodu irlandzkich przemysłowców i na tym opiera swoje nadzieje Jack i każdy, kto ma trochę oleju w głowie - gołe pięści w połączeniu z wykształceniem wyniesionym z Harvardu. Ile Jack oddałby za to, żeby móc znaleźć się w gabinecie w Białym Domu podczas narady Komitetu Wykonawczego. Być świadkiem tworzenia historii.

Na ekranie ukazuje się program stacji CBC. Pierre Salinger mówi kanadyjskiemu reporterowi, jak to sekretarz stanu MacNamara i jego zespół, posilając się kanapkami i kawą, bezustannie opracowują plany w przewidywaniu wszelkich ewentualności. W całych Stanach Zjednoczonych gospodynie domowe gromadzą zapasy puszkowanej żywności, a gadające głowy tłumaczą, jak przeżyć atak jądrowy, nie wyjaśniając, dlaczego w ogóle warto go przeżyć. Tymczasem w Kanadzie wszystkie głowy są głęboko schowane w piasek. Bez zmian. Jack przełącza na CBS, gdzie Walter Cronkite „wykłada kawę na ławę”. Jeśli ma dojść do wojny atomowej, lepiej usłyszeć to prosto od niego.

Jednak liczba wiadomości, jaką można przyswoić nawet w trakcie ostrego kryzysu międzynarodowego, jest ograniczona. Jack zmienia kanał i czuje, jak mimowolnie rozluźniają mu się mięśnie barków, gdy ogląda Wayne’a i Shustera.

Madeleine w swym pokoju jest pochłonięta czytaniem. *W chwilę potem Tomek spotkał młodego włóczęgę Hucka Finna...** . Wie, że kiedy wróci mama, będzie musiała zgasić światło. *Wszystkie matki serdecznie go nienawidziły i bały się jak ognia...* To pierwsza poważna książka, z którą Madeleine obcuje bez pośrednictwa własnego głosu ani ojca. Takie czytanie jeszcze mocniej upaja. *Huck chodził sobie, jak chciał. Sypiał na progach domów, gdy było ładnie - a kiedy padał deszcz - w pustych beczkach. Nie musiał chodzić do szkoły ani do kościoła, nie miał żadnego pana i nikogo nie słuchał. Mógł chodzić na ryby i kąpać się, kiedy i gdzie mu się podobało, i siedział tam, ile tylko dusza zapragnęła. Mógł się też bić, ile chciał, i nie musiał wcześniej chodzić spać. Na wiosnę zawsze pierwszy wychodził boso, a jesienią ostatni wkładał buty. Mógł w ogóle się nie myć i nie nosić czystej bielizny. A kłąć umiał cudownie...*

Czy jeśli wierzy się dostatecznie mocno i modli do Boga o cud, można przenieść się do książkowego świata? Czy Bóg może sprawić, że trafi się do dziewiętnastowiecznego St. Petersburga nad Missisipi? W znoszonym ubraniu i chłopięcej skórze? Madeleine zaciska powieki i modli się. *Proszę, miłościwy Boże, zamień mnie w chłopca.* Bóg może wszystko. Tylko nie może zamienić się w skałę bez żadnej mocy, a potem z powrotem w siebie, bo to by znaczyło, że nie był prawdziwą skałą. Nie zastanawiaj się nad tym - to tajemnica, tak jak nieskończoność; zakręci ci się w głowie od tego. Po prostu ufaj. Czytaj dalej, a kiedy obudzisz się rano, kto wie, może okaże się, że cud się dokonał...

Kiedy Mimi i Mike wracają do domu, Jack zajęty jest oglądaniem kolejnego programu publicystycznego z kolejnym mędrkiem: „...ale czy dysponujemy skutecznym planem działań nadzwyczajnych? Mogę się jedynie domyślać...”. Jack wyłącza telewizor. Mimi całuje go i pyta: - Jak Madeleine?

- Wszystko gra, ale oświadczam ci, muszę rozmówić się z jej nauczycielem, jak mu tam?

- Panem Marchem. Dlaczego? Stało się coś na lekcjach?

- Faceta trzeba trochę ukrócić.

Mimi zastyga w do połowy zdjętym płaszczu. - A co takiego zrobił?

- Sieje wśród dzieciaków strach z powodu tego kubańskiego zatargu, to dlatego mała uciekła po szkole.

- Aha. - Mimi zsuwa płaszcz. - Ale nie podoba mi się to, że zadaje się z tą dziewczuchą od Froelichów.

* Tłumaczenie Kazimierza Piotrowskiego, Warszawa 1973.

- Dziewczyna jest niegroźna, to przecież jego żony nie znosisz - mówi Jack, puszczając do niej oko.

- Tato?

- Tak, Mike?

- Czy został ogłoszony stan pogotowia?

- Jeszcze nie. Jak mecz?

- Świetny. Ricky wrzucił dwa kosze.

- Nieźle.

Mike kieruje się do kuchni, żeby wziąć sobie *bouillie* z lodówki.

- Jack, ale uważaj, żebyś, no wiesz...

- Nie wiem.

- Chcę, żebyś się pilnował. Nie przynieś wstydu Madeleine, kiedy będziesz rozmawiał z jej nauczycielem.

- Dlaczego miałbym przynieść jej wstyd?

- Bo się wściekniesz. Sam wiesz, jak cię ponosi.

- Nie wścieknę się - śmieje się Jack.

- Może lepiej ja pójdę.

- Nieee. Rozegram to spokojnie, nie martw się. Zajrzę do niego do sali jutro, punkt trzecia, kiedy dzieciaki rozejdą się do domów. Zastukam do drzwi.

Mimi całuje go jeszcze raz.

Jest już dobrze po północy, kiedy Madeleine wymyka się po cichu ze swej sypialni.

- Co ty robisz? - To Mike, w piżamie, w drodze do łazienki.

- Nic - szepcze Madeleine, skradając się z naręczem zmiętej pościeli.

- Zmoczyłaś łóżko.

- Wcale nie. - Wybucho płaczem.

- Przestań się mazać - mówi Mike. - Przebierz się.

Wchodzi do jej pokoju, odwraca materac na drugą stronę, zabiera pościel i zanosz na dół. Wkłada do pralki i włącza.

Rodzice się obudzili i Mike wyjaśnia im, że Madeleine zwymiotowała.

- Źle się czujesz, stary druhu? - pyta tata, biorąc ją na ręce. Madeleine opiera głowę o jego ramię i na chwileczkę wkłada kciuk do buzi. *Maman* nie da się zwieść. Nie pada ani jedno słowo, ale na łóżku Madeleine pojawia się cerata. Madeleine domyśla się po szeleście.

NIE POTRAFIĘ KŁAMAĆ

Nie widzę w tej chwili innego rozwiązania poza zbrojną interwencją.

Generał Curtis Lemay do prezydenta Kennedyego, 19 października 1962

Najlepsza rada: podciągaj policzki do góry. Zaczynij od lekkiego uśmiechu. To napręża mięśnie twarzy, podnosi kąciki ust i rozluźnia mięśnie na czole.

„Chatelaine”, 1962

Przy śniadaniu Jack dzieli się z rodziną wiadomością, którą wyczytał w gazecie: - Dzisiaj wypróbują wszystkie syreny w południowym Ontario. Pamiętasz, jak w Czwartym Dywizjonie parę razy zabrzmiały syreny, kiedy zarządzili próbny alarm? - pyta Madeleine.

Owszem, Madeleine pamięta - to znaczy, jej brzuch pamięta. Jej kolana.

- Teraz będzie tak samo - mówi ojciec. - Nie ma się czego bać. Mimi woła córkę: - Madeleine, chodź tutaj. Co to jest?

Stoi w łazience przy otwartej pralce. Trzyma w ręku majtki Madeleine. Widać na nich brązową plamę.

- Mm... nie wiem.

- Miałaś jakiś wypadek? Madeleine się czerwieni. - Nie!

Mimi wacha majtki. Madeleine odwraca się; *Maman* jest obrzydliwa.

- To krew - stwierdza Mimi.

Madeleine zasycha w gardle. Patrzy bez słowa na matkę.

- Ty krwawisz? Sprawdzę - wsuwa rękę pod szkolną sukienkę córki, ściąga jej majtki...

- *Maman!*

- Żadne „*Maman*”, *je suis ta mère*.

Ogląda uważnie majtki Madeleine - nieskazitelne - i podciąga je z powrotem.

- Co się stało?

- Nic. - Madeleine czuje, że płoną jej policzki.

- Usiądź.

Madeleine siada na desce sedesowej.

- Spójrz na mnie - mówi Mimi.

Madeleine posłusznie patrzy.

- Co ci się stało, *chérie*?

Madeleine przełyka ślinę. - Przewróciłam się.

Widzi, że powietrze wokół niej zaczyna odpływać na boki, jakby przechodziło w stan ciekły.

- Jak do tego doszło?

Madeleine mruga, żeby osadzić powietrze na miejscu. Udało się. *Maman* nie spuszcza z niej oczu.

- No powiedz, *Maman* nie będzie się gniewać.

- Jechałam na rowerze.

Mimi wzdycha. - Madeleine, znów wzięłaś bez pytania rower brata? Madeleine kiwa potakująco - to nie kłamstwo, brałam kilka razy jego rower bez pytania.

- I zraniłaś się o ramię.

Madeleine znów kiwa głową. To prawda, przytrafiło się to jej raz i naprawdę bolało.

- Naprawdę mnie bolało - mówi.

- Domyślałam się - odpowiada mama, gładząc ją po policzku. - Och, Madeleine, kiedy ja byłam dziewczynką, ojciec nie pozwalał mi jeździć na rowerze.

- Dlaczego?

- Właśnie dlatego. - Podnosi do góry majtki. - *Écoute bien*. Tyle razy ostrzegałam cię, żebyś nie jeździła na rowerach dla chłopców, rozumiesz teraz dlaczego? Następnym razem, kiedy zobaczysz ślady krwi na swojej bieliźnie, *ma p'tite*, musisz powiedzieć o tym *Maman* - wrzuca majtki z powrotem do bębna. - To będzie znaczyło, że już dorastasz.

Kłęką przed Madeleine i głaszcze jej krótką grzywkę.

- Za kilka lat co miesiąc będziesz trochę krwawić. W ten sposób Bóg przygotowuje twoje ciało na to, żebyś mogła wyjść za mąż i rodzić dzieci.

- Aha.

- Ale masz jeszcze na to dużo czasu, więc po co ta wystraszona mina?

- Nie chcę wychodzić za mąż.

Maman puszcza do niej oko i nuci: - *Pewnego dnia zjawi się mój książę...*

Wychodzi z łazienki. Madeleine zostaje, żeby się wysikać. Trwa to trochę, ponieważ czuje przy tym szczypanie.

Mimi podaje w progę Jackowi kapelusz i mówi: - Kocham cię.

- Ja też cię kocham, moja pani.

- O której dziś wracasz?

- A co, zabawiasz mleczarza?

- Stać mnie na więcej.

- I to właśnie mnie martwi - śmieje się Jack.

Wczoraj w nocy się kochali. Pora była sprzyjająca. Nie wiadomo, czy decydując się na poczęcie dziecka w tych czasach, dali dowód swej lekkomyślności czy też ufności, w każdym razie ta kwestia nie ma znaczenia wobec tego, co Mimi teraz czuje na tę myśl. Jest taka szczęśliwa.

Jack całuje w drzwiach żonę - nie jest to zwykle muśnięcie, lecz namiętny pocałunek, jakby wyruszał co najmniej na wojnę. Mimi śmieje się i odpycha go.

- Wróć dziś wcześniej, po drodze zajdę do szkoły.

- Dziś o godzinie dziesiątej zaczęła obowiązywać kwarantanna - oznajmia pan March.

- Nie muszę wam wyjaśniać, co to oznacza.

Uczniowie milczą. Ktoś ma poważne kłopoty.

- Każdy okręt radziecki - mówi pan March - który przekroczy linię wyznaczającą obszar kwarantanny, zostanie zatopiony. - Uderza się prętem do wskazywania po dłoni. - Ilu z was ma schron przy domu?

Nikt nie podnosi ręki.

- Na co czekają wasi rodzice? Na nuklearną zimę?

Uprzejmy śmiech.

Wali prętem w biurko i wszyscy chowają się pod ławkami.

- Ricky Froelich pilnował mnie w domu wczoraj wieczorem - oznajmia na przerwie Sara.

- Akurat, Nolan - mówi Auriel.

Lisa i Madeleine ostrożnie przetykają czerwone sznurowadła przez dziurki w adidasach Auriel.

- Naprawdę - zapewnia Sara, rozwierając szeroko swe błękitne oczy. - Słowo Indianina.

Sara zapisała się do zespołu mażorettek. Przyniosła swoją pałeczkę na zajęcia pokazowe, a teraz wywija nią łuki nad głową. Popisuje się.

- To takie zabawne, że aż zapomniałam się zaśmiać - stwierdza Lisa.

- Dla twojej wiadomości - oświadcza Madeleine. - Ricky Froelich grał wczoraj wieczorem w koszykówkę.

Pałeczka wypada Sarze z rąk i odbija się od asfaltu gumowym czubkiem. Madeleine podnosi wzrok i za plecami Sary dostrzega Grace Novotny.

- Cześć, Grace.

Madeleine czuje się trochę podle, bo wie, że przywitała Grace tylko dlatego, żeby sprawić sobie przyjemność ujrzenia złości Sary, gdy ta zorientuje się, że depcze jej po piętach klasowy wyrzutek. Lecz Grace odwzajemnia jej powitanie, a Sary jej obecność jakby wcale nie zdziwiła.

- Po prostu jesteście zazdrosne i tyle - stwierdza Sara.

- Zazdrosne o co? Bądź łaskawa nam wyjaśnić - głos Madeleine ocieka pogardą.

- O mnie, bo jestem dziewczyną Ricky'ego.

Lisa, Auriel i Madeleine śmieją się szyderczo. - Ha-ha-ha!

- A poza tym - krzyczy Sara - to ja rządę grupą od ćwiczeń!

- Przymknij się - mówi Madeleine, wstając i niespiesznie odchodząc, nakazując w myślach przyjaciółkom pójść w jej ślady. Idą za nią.

- A ty nie - skanduje Sara. - A ty nieeeee... Madeleine staje i odwraca się do niej twarzą.

- A co takiego wspaniałego jest w grupie od ćwiczeń?

To niebezpieczne pytanie. Sara uśmiecha się głupkowato, odchyła do tyłu głowę i okręca się na pięcie.

- Wiesz co, Sara? - mówi Auriel. - Byłabyś groźna, gdybyś miała mózg.

Auriel umie wygarnąć.

- Dalej, dziewczyny, idziemy na bujawki - zwraca się do Lisy i Madeleine.

Kiedy rozlega się dzwonek, Madeleine dostrzega Colleen, ale nie wita się z nią. Przecież Colleen chodzi do szóstej klasy. A poza tym nie sposób sobie wyobrazić, żeby bawiły się razem na przerwie. Colleen jest jej towarzyszką w zajęciach popołudniowych. A popołudniowe zajęcia są tak odległe od czwartej klasy szkoły imienia J.A.D. McCurdy'ego jak rzeka Missisipi od Centralii.

Jack wychodzi z gabinetu za kwadrans trzecia. W sam raz, żeby zdążyć. Przyspiesza kroku, żeby ominąć oficerów wracających grupkami do domu przez plac defiladowy; wie, o czym rozmawiają, a on już ma po dziurki w nosie gadaniny. Rano w całej bazie panował ochoczy nastrój, niemal radosny - żwawość charakterystyczna dla lotnictwa w obliczu

zagrożenia. Ale w miarę upływu czasu, gdy z Ottawy wciąż nie nadchodziły żadne zapowiedzi zmian, zastąpiło go ogólne zniechęcenie. Dief musi opowiedzieć się za „atomową dyplomacją” Kennedy'ego albo postawić wojsko w stan pogotowia. Ale gra na zwłokę. Czeką na posunięcie Brytyjczyków. Jack potrząsa głową: jesteśmy państwem czy kolonią?

Chociaż wszystkie pozostałe kraje członkowskie NATO, z Wielką Brytanią włącznie, wydały oświadczenia popierające Amerykanów, żaden europejski sojusznik nie kwapi się z zarządzeniem wyższej gotowości bojowej, co da się wytłumaczyć - jakkolwiek gwałtowny ruch w Europie łatwo może stać się zarzewiem konfliktu w Berlinie. Ale Kanada to nie Europa. Dwadzieścia pięć okrętów z bloku komunistycznego i kilka łodzi podwodnych zmierza w stronę Kuby. Jeśli złamią „kwarantannę”, Amerykanie pierwsi użyją broni. Nie czas teraz, żeby Kanada bawiła się w chowanego.

- *Bonjour*, Jack.

Jack kiwa ręką w odpowiedzi, ale nie zatrzymuje się. Amerykańskie siły zbrojne przeszły w drugi stopień gotowości obronnej: Dowództwo Lotnictwa Strategicznego stoi na straży amerykańskiego nieba, ponad czterdzieści okrętów i dwadzieścia tysięcy żołnierzy otoczyło pierścieniem Kubę. Amerykański dowódca NORAD, sił wspólnej obrony powietrznej Ameryki Północnej, wystąpił do Kanady, aby podwyższyła stan gotowości swoich myśliwców Voodoo oraz zezwoliła na rozmieszczenie samolotów USAF w bazach kanadyjskich i uzbrojenie ich w głowice jądrowe. To wszystko są rzeczy powszechnie wiadome; widoczne czarno na białym, dostarczone pod drzwi razem z porannym mlekiem. Ale wojsko kanadyjskie zmuszone jest sposobić się do wojny ukradkiem, starając się jednocześnie rozszyfrować nieśmiałe sygnały płynące od ludzi wybranych na przywódców narodu, którzy chcą, żebyśmy w jakiś sposób byli przygotowani, a z drugiej strony, żeby wcale na to nie wyglądało. Jack zaciska i rozwiera pięść.

Dief igra z ogniem. Nie dość, że wszystkim nam grozi zagłada, to jeszcze przez swoje dwuznaczne wystąpienia naraża rząd na ryzyko utraty zwierzchności nad siłami zbrojnymi, a przynajmniej doprowadza do rozdźwięku między wojskiem a społeczeństwem. Jeśli premier chce, żebyśmy byli czujni, zvarci i gotowi, dlaczego nie powie tego wprost? I to publicznie? „The Globe and Mail” dziś rano tak to podsumował: *Wszelkie próby siedzenia z założonymi rękami w czasie tego kryzysu, zachowania postawy niezaangażowanej, będą odebrane w świecie jako nagana dla Stanów Zjednoczonych i jako pomoc i zachęta dla ich wrogów. Taki kurs jest nie do pomyślenia.* Niestety, takim właśnie kursem obecnie podążamy.

Jack zerka na zegarek, kiedy przechodzi obok supermarketu i budki telefonicznej. Nadal jest zły, ale nie czuje się tak bezużyteczny jak rano. Ma zadanie do wykonania.

- Następujące dziewczynki zostaną dziś po lekcjach...

Madeleine stoi pod wieszakiem i czeka na swoją kolej. Jeśli znów będzie krwawić, jak się z tego wytłumaczy przed *Maman*?

Jack wchodzi do budynku garażowego, mija kosiarkę, autobus i kilka wózków widłowych, kierując się w stronę czarnych służbowych samochodów. Wybiera jeden i kwituje jego wypożyczenie.

Wyjeżdża wprost na rażące popołudniowe słońce. Sięga do kieszeni na piersi, ale niestety, nie wziął ze sobą przeciwsłonecznych okularów - nie mógł przewidzieć, że będzie dziś prowadzić. Nie warto wracać po nie do domu, bo to wiązałoby się z wymyśleniem jakiejś bujdy na użytek Mimi. Poza tym w tym fordzie są przyciemniane szyby, a Jack ma kapelusz. Nasuwa rondo na oczy, poradzi sobie.

Wjeżdżając na drogę okrężową, skręca na południe. Ładny dzień na wyprawę samochodem. Gdyby ktoś go pytał - do czego na pewno nie dojdzie - wyrwał się do Londynu na spotkanie z gościnnym wykładowcą tamtejszej uczelni.

Simon zadzwonił dziś do niego. Przyjechał Oskar Fried.

- Wystąp na środek sali, dziewczynko. Tak, ty. Z grzywką.

Spitfire wciąż odbija się w jego lusterku wstecznym, gdy Jack przenosi spojrzenie na drogę i spostrzega chłopaka Froelichów nadbiegającego z naprzeciwka. Pcha przed sobą siostrę na wózku inwalidzkim z własnoręcznie wykonanymi przez Henry'ego amortyzatorami - sprytne urządzone - a obok niego truchta ogromny wilczur; cała ekipa wzbija za sobą tuman kurzu. Jack uśmiecha się i przytyka dwa palce do ronda kapelusza. Ricky macha mu ręką.

Jack przygląda się ich ginącym postaciom w lusterku wstecznym i uświadamia sobie, że chłopak Froelichów urwał się z popołudniowych lekcji - chyba że gania po polach ze swoją siostrą w ramach treningu atletycznego - bo dopiero co minęła trzecia. Poprawia lusterko i opada go uczucie, że o czymś zapomniał. O czym?

Madeleine wyszła bocznymi drzwiami i pędzi przez trawiaste pole; jest już na środku pola, gdy zaczyna wyć syrena. Jej nogi jakby zwalniają i - chociaż nadal czuje wiatr rozwiewający jej włosy, nadal widzi swoje śmigające po trawie adidas - wszystko odbywa się jak w zwolnionym tempie. Syrena odmieniła powietrze, sprawiła, że zgęstniało, a jej nogi są ociężałe, uda jak ulane ze świeżego betonu; zawroscenie syreny wciąż narasta; Madeleine

mruży przed nim oczy jak przed ostrym światłem, nie wolno patrzeć do góry, syrena wymazuje niebo, pokrywa je warstwą metalu, od wycia syreny tężeją płyny w jej ciele i rozpuszcza się to, co do niedawna było w nim stałe. Madeleine przeszywa chłód, głos syreny tchnie przeraźliwym smutkiem, objawia prawdę o tym, co oznacza żyć w czasie wojny, jak Anna Frank, i nic nie może cię uratować, nawet ptaków nie da się ocalić, nawet trawy... Przystaje wyć. Znowu jest zwykły słoneczny dzień.

Jack włącza radio w samochodzie, kręci gałką, szukając stacji nadających wiadomości na temat kubańskiego kryzysu... *świadczy o znaczącym przesunięciu w układzie sił...* Spotkanie z Oskarem Friedem, przyprowadzające go o dreszcz podniecenia, teraz ukazuje się w innym wymiarze. Przestało być przygodą, która miała urozmaicić stateczne dojrzałe lata Jacka McCarthy'ego. To już nie jest kwestia teoretyczna, jak ująłby to Henry Froelich. Przybywając tu, Oskar Fried stanął po naszej stronie w tej wojnie, którą my nazywamy pokojem. Kiedy w słuchawce odezwał się „major Newbolt”, Jack od razu pognął do budki i oddzwonił do Simona. „Przyjechał nasz przyjaciel”, oznajmił mu Simon. Jack przyjął to ze zdziwieniem. Oskar Fried jest w Londynie? Czterdzieści kilometrów stąd? Simon musiał zadziałać błyskawicznie - Berlin otoczony jest już pewnie szczelnym kordonem. Mimo wszystko Jack spodziewał się jeśli nie powiadomienia z wyprzedzeniem, to chociaż przyjazdu Simona do Centralii. Cieszył się na myśl, że przedstawi go Mimi, z dumą pokaże mu swoją rodzinę, potem wychyli z nim kilka głębszych w mesie. Ale Simon ulotnił się tak potajemnie, jak przybył. Bez urazy, stary...

...11 września, kiedy Gromyko stanowczo zaprzeczył, jakoby gromadzona broń miała charakter zaczepny... Jack nastawia radio głośniejsze.

Madeleine biegnie przez całą drogę do domu, a potem po schodach, do swojego pokoju; sprawdza majtki, czyste. Wiedziała, że nic się nie stanie. Dzisiaj nie było dżgania. Tylko duszenie. Jego.

„Dobrze byłoby, gdybyś odwiedził go dziś wieczorem”, powiedział Simon.

Jack domyślił się, że to coś więcej niż sugestia. W każdym razie nie zamierza czekać do wieczora. Rwie się do spotkania z tym człowiekiem - powitania go w tych szczególnych okolicznościach - a poza tym nie może sobie pozwolić na wyjazd na cały wieczór do Londynu bez słowa wyjaśnienia. Musiałby to jakoś wytłumaczyć, a co za tym idzie, musiałby okłamać żonę. Kłamstwa są jak zakłócenia na ekranie radaru: przesłaniają cel.

...i pierwsza bezpośrednia konfrontacja obu mocarstw...

Jack zapytał Simona o procedurę. - Mogę zaprosić go do domu na niedzielny lunch? Są jakieś obowiązujące zalecenia, jeśli chodzi o bliższe poznanie na gruncie towarzyskim?

- Ty decydujesz, stary. Radzę ci najpierw spotkać się z nim osobiście.

- Jak mam go przedstawiać ludziom?

- Staraj się w miarę możliwości mówić prawdę. Nazywa się Oskar Fried i jest niemieckim naukowcem.

- Pracuje na uniwersytecie?

- Właśnie. Obecnie jest na urlopie. Za dużo nie wymyślaj.

- Jak go poznałem?

- W Niemczech, przez niemieckich znajomych - miałeś chyba przyjaciół wśród Niemców?

- Oczywiście.

Tylko że Jack i Mimi mieli wspólnych przyjaciół. Jeśli ten naukowiec jest na tyle bliskim znajomym Jacka, żeby go odwiedzić po przyjeździe do Kanady, Mimi powinna przynajmniej znać go ze słyszenia. W ustach Simona brzmi to tak prosto, ale on jest starym kawalerem. Simon poinstruował Jacka, jak ma odebrać pieniądze, które wyśle mu przekazem. Nie więcej niż sześćset dolarów miesięcznie. Dla Jacka to kupa forsy, a dla kogoś, kto ostatnie siedemnaście lat życia spędził za żelazną kurtyną, to prawdziwy majątek. Pewnie trudno tam o porządny posiłek. Pod tym względem podobnie jest w Anglii. Jack uśmiecha się na tę myśl i obiecuje sobie, że wspomni o tym Simonowi podczas ich następnej rozmowy.

...grozi wojną, chyba że Chruszczow zgodzi się rozebrać wyrzutnie...

Madeleine ściąga przez głowę sweter, rozpina niewygodną szkolną bluzkę, w locie obwąchuje dłonie - pachną ładnie - i woła ze szczytu schodów: - Mogę pójść na ryby?

Wprawdzie Colleen jej nie zapraszała, ale Madeleine jeszcze nie chce bawić się z Auriel i Lisą, więc...

- Nie krzycz tak, Madeleine.

Gdyby wolno było jej oglądać telewizję zaraz po przyjściu ze szkoły, rozwiązałyby to wszystkie jej kłopoty, ale tata nie pozwala. Mogłaby obejrzeć *Mickey Mouse Club* albo *Razzle Dazzle*, z żółciem Howardem i piękną Michele Finney, i splukałby się z niej ten nieprzyjemny osad, jaki zostawiają ćwiczenia po lekcjach.

- Mogę?! - zbiega po schodach, pokonuje ostatnie pięć stopni jednym skokiem, owija się niebezpiecznie wokół poręczy...

- *Doucement, Madeleine!*

Staje sztywno wyprężona przed matką, ma wrażenie, jakby była wiązką twardych patyków wetkniętą w jej strój do zabawy, tak pewnie czuje się drewniana kukielka...

- Szeregową McCarthy melduje się gotowa do wyjścia. - Salutuje, waląc się w głowę, zezując jednym okiem.

Mimi parska śmiechem; Madeleine traktuje to jako zgodę i już pędzi do wyjścia.

- *Attends, Madeleine!* Gdzie masz zamiar łowić? Madeleine zatrzymuje się i odwraca.

- W Rock Bass.

- *C'est où, Rock Bass?*

- Idzie się pełną drogą, prawie widać stamtąd lądowisko. To blisko.

Nie wspomina o wypalonych ogniskach, nie wspomina o Colleen Froelich.

- Z kim się wybierasz?

- Mm... Mogę pójść po Colleen?

- Wiesz przecież, jakie jest moje zdanie o Colleen Froelich.

Madeleine wydaje stłumiony jęk, bo wyczuwa, że matka gotowa jest ustąpić w sprawie Colleen.

- No dobrze. Ale za godzinę masz być z powrotem.

- Yabba-dabba-doo! - Wybiega z kuchni.

- Ale żadnej telewizji u Froelichów - woła za nią matka. Madeleine zeskakuje ze schodków i gna do wyjścia - ma ochotę przedrzeć się przez drzwi tak, jak bracia Cartwrightowie przedzierają się przez papierową planszę w czołówce *Bonanzy*. Biegnie przez ulicę jak kukła, ale zwalnia i zamienia się z powrotem w prawdziwą żywą dziewczynkę na widok Ricky'ego Froelicha. Ricky piję wodę z węża ogrodowego. Ma na sobie czerwone dżinsy i białą przepoconą koszulkę. Po koszulce spływa woda, przyklejając ją do jego piersi; jego grdyka wysuwa się i cofa, kiedy Ricky przełyka, kości obojczyka wznoszą się i opadają w rytm oddechu.

- Cześć. - Ricky podaje jej wąż, Madeleine bierze łyk; woda jest lodowato zimna. Potem częstuje Reksa, który chłepce wodę, obnażając różowe dziąsła i białe kły. Nic tak nie gasi pragnienia.

- Cześć, Elizabeth - mówi Madeleine.

- Esz, Ademin.

Madeleine podchodzi do drzwi frontowych Froelichów i puka.

- Wchodź, śmiało - zachęca ją Ricky.

Ale Madeleine czeka. Jakby drzwi frontowe cudzych domów otaczało pole niewidzialnej siły, nie można tak po prostu ich otworzyć. Tak jak nie zagląda się do cudzej

lodówki.

W progu ukazuje się pani Froelich. - Witaj, Madeleine. Wejdz, proszę.

Madeleine ma na końcu języka pytanie: „Czy Colleen może wyjść na dwór”, ale pani Froelich odwraca się i wchodzi do środka, a Madeleine wędruje za nią posłusznie aż do kuchni. Na blacie stoją brudne naczynia. Ze stołu jeszcze nie zostały sprząnięte talerze od śniadania.

- Pani Froelich?

- Mów mi Karen, dziecko.

Madeleine otwiera usta, ale nie przechodzi jej to przez gardło. Teraz już nie może zwracać się do pani Froelich ani przez „pani”, ani po imieniu. Przygląda się w milczeniu, jak matka Colleen karmi oba maluchy, usadowione na podniszczonych wysokich krzeselkach. Na jej kamizelce widać zaschniętą skorupę papki dla niemowląt. To długa wełniana kamizelka, luźna i elegancka. Madeleine powoli, nieśmiało siada na krześle z rozdartym winylowym obiciem i zastanawia się, co będzie dalej. Pani Froelich ma długie proste włosy z siwymi pasemkami, przedzielone pośrodku. Różni się wyglądem od innych matek. Trudno ją sobie wyobrazić siedzącą przed toaletką. Bez obrazu, ale pani Froelich przypomina młodą czarownicę czy raczej dobrą wróżkę.

Przez kuchnię przechodzi Colleen, mrużąc pod nosem powitanie, i ulatnia się tylnymi drzwiami. Madeleine nie jest pewna, czy ma do niej dołączyć, więc nie rusza się z miejsca. W kuchni pojawiają się Ricky z Elizabeth; Ricky sięga po telefon. Dzwoniąc, smaruje sobie kanapkę masłem orzechowym i pałaszuje ją całą od razu. Robi następną i podaje Madeleine. Rozmawia z Marshą Woodley.

Nawet spocony, Ricky Froelich wygląda tak, jakby dopiero co wziął prysznic. Goli się już, na brodzie i wzdłuż szczęki widać lekki zarost, jego policzki są rumiane od świeżego powietrza i wysiłku. Nogi, długie i szczupłe, ma założone jedna na drugą. Jego ręce wykonują wszystko swobodnie i nienagannie, na przykład kiedy przyrządza kanapkę siostrze i przytrzymuje ją, żeby Elizabeth zjadła. Nawet jeśli jego dom pachnie starym gulaszem i kąciaki ust Elizabeth ociekają masłem orzechowym, Ricky jest czysty. Jak nastolatek w telewizji, wydaje się beztroski. Jest taki... amerykański.

Wchodzi pan Froelich, z fajką w ustach i niemiecką gazetą pod pachą.

- *Madeleine, wie geht's, hast du Hunger?*

- Nie, właśnie zjadłam kanapkę z masłem orzechowym, *danke*.

- Świetnie. *Komm mit mir, wir haben viel Lego in den salon.*

Jego ciemne oczy migoczą, czerwone wilgotne usta zaciśnięte na cybuchu lśnią jak u

Świętego Mikołaja.

Madeleine idzie za nim do salonu. Koło kojca dla maluchów leżą rozrzucone klocki lego. A obok na podłodze siedzi Claire McCarroll. Claire w salonie Froelichów - to tak, jakby ujrzało się krasnala pod kapeluszem grzyba. Ze swą bransoletką z ozdobami. Buduje domek z klocków lego.

Madeleine przyłącza się do niej i szuka kółek, żeby przed domkiem postawić samochodzik. Pan Froelich nastawia płytę. Kobieta śpiewa niskim głosem piosenkę, którą Madeleine знаła, ale po francusku: *Qui peut dire, où vont les fleurs...* Madeleine nuci wraz z nią.

- Lubisz Dietrich? - odzywa się pan Froelich z fotela.

Madeleine kiwa z grzeczności potakująco. Kto to jest Deetrick?

Słychać cichy szcęk łączonych klocków i raz po raz szelest gazety pana Froelicha. Madeleine śpiewa sobie pod nosem po angielsku: *...gone to soldiers, every one. When will they ever learn? When will they e-e-e-ver learn?*

Maman niepotrzebnie się martwiła. Froelichowie nie mają telewizora.

Jack wjeżdża w łukowatą ślepią uliczkę, jaką okazała się Morrow Street, i zatrzymuje wóz przed wypielegnowanym trawnikiem niskiego budynku z żółtej cegły. *..A oto inne doniesienia; Sekretarz generalny U Thant wysiał jednobrzmiące noty do przywódcy ZSRR Chruszczowa i prezydenta Kennedy'ego...* Jack wyłącza radio.

Wysiada i podchodzi do osłoniętych daszkiem drzwi frontowych. Przedsiónek jest pusty, na ścianie wisi aparat telefoniczny. Za przeszkloną ścianą po prawej widać równie opustoszałe małe pomieszczenie. Kanapa, skórzane fotele, ława z rozłożonymi czasopismami. W kącie stoi donica z zakurzonym fikusem beniamina.

Jack przebiega wzrokiem spis lokatorów i odnajduje wśród nich tego, którego szukał: *O.E mieszkanie #321*. Wykręcając numer, spogląda na rząd małych metalowych skrzynek na listy. Również na skrzynce powtarzają się inicjały O.E Oczywiście! Nasz przyjaciel to po angielsku „our friend”. Oskar Fried. Simon ma pomysły. Jack kręci głową.

Dopiero po trzecim dzwonku odzywa się piskliwy głos: - *Ja?*

- Halo, pan Fried? Tu pułkownik McCarthy. Pański komitet powitalny.

Jack czeka na odpowiedź, ale na próżno. Wzdryga się, gdy nagle rozlega się głośne brzęczenie. Szybko odwiesza słuchawkę i niemal w ostatniej chwili łapie za gałkę przeszklonych drzwi. Do windy prowadzą dwa schodki. Jack przesadza je jednym susem.

Winda rusza, ale już na pierwszym piętrze zatrzymuje się i wchodzi do niej starsza

pani. Jack kłania się, lecz kobieta jakby nie zauważyła jego obecności. Dopiero gdy winda jedzie do góry, starsza pani zaszczyca go swym spojrzeniem i mówi oskarżycielsko: - Ja jadę na dół.

Jack wysiada na drugim piętrze. Woń lawendy podąza za nim korytarzem, gdzie miesza się z przytłaczającym zapachem zawieszistego sosu. Ktoś pitrasi obiad, choć do piątej jeszcze daleko.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że kiedykolwiek wejdzie do takiego mieszkalnego budynku i stąpając po puszystej wykładzinie w pomarańczowo-czerwone wzorki, w otocze kuchennych aromatów i starczych perfum, będzie zmierzał na spotkanie oko w oko z nietuzinkowym uciekinierem z sowieckiego bloku. Simon wybrał otoczenie zapewniające Friedowi całkowitą niewidoczność.

Drzwi oznaczone numerem 321 znajdują się na końcu korytarza. Narożne mieszkanie. Jack zdejmuje kapelusz, staje przed wizjerem i puka. Odczuwa treść. Simon był nader powściągliwy w opisie całej sprawy, ale fakty mówią same za siebie. Powierzono jego opiece człowieka, którego byt, dzieło i obecność tutaj są wynikiem zawilego splotu międzynarodowych układów decydujących w tej chwili o życiu każdego mieszkańca tej planety, i Jack zaraz pozna go osobiście. Bierze głęboki oddech. Waha się, czy zapukać jeszcze raz.

Cierpliwość Jacka zostaje wynagrodzona. Po drugiej stronie ktoś gmera przy drzwiach, słysząc szcęk zwalnianej zasuwki, gałka się obraca i drzwi uchylają się na dziesięć centymetrów. Ponad łańcuchem w szczelinie ukazuje się skrawek białego oblicza, migają rzadkie siwe włosy. Okulary.

- Herr Fried? Jestem Jack McCarthy. *Wilkommen in Kanada.*

Drzwi zamykają się. Słuchać chrobotanie odczepianego łańcucha i drzwi otwierają się ponownie, nieco szerzej.

Jack wyciąga rękę. - Moje uszanowanie panu.

Oskar Fried ściska mu lekko dłoń. Sprawia wrażenie słabowitego.

Jack patrzy na jego jasne szare oczy. Ma twarz, lekko zarysowaną zmarszczkami, niczym pergamin, bladą. Równie dobrze może mieć pięćdziesiąt co siedemdziesiąt lat.

- Mogę wejść? - pyta Jack, ponieważ Fried nie wykonał żadnego ruchu. Wydaje się porażony. Musi mieć za sobą straszliwe przejścia.

Fried odwraca się i powoli, niemal powłócząc nogami, zmierza w kierunku salonu, a Jack za nim. Zapach tytoniu. Znajomy. Zgaszone światła, zaciągnięte zasłony, jakby się ukrywał przed światem - bo właściwie tak jest, chociaż Sowieci na pewno nie mają zielonego

pojęcia, gdzie go szukać. Jack rozgląda się dookoła: mdłe zielenie i brązy w pełni umeblowanego mieszkania. Tytoń ma za zadanie zagłuszać odświeżacz powietrza, który ma za zadanie zagłuszać samotność - typowy zapach wiodącego samotnicze życie mężczyzny. Nijaki klosz z upływem lat przyżółcony od nikotyny, tania reprodukcja z wodospadem Niagara nad całkiem porządną sofą. Jack będzie musiał jak najszybciej zaprosić tego człowieka do prawdziwego domu.

- Jak się panu tu mieszka? - pyta Jack. - *Ee, brauchst du, ee, brauchsten Sie etwa?*

Fried przyjmuje jego nieporadną niemczyznę bez uśmiechu i odpowiada pytaniem: - Przyniósł pan pieniądze?

Głos ma cienki, mówi po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem, wyraźniejszym niż Henry Froelich. Bez naleciałości.

Jack uśmiecha się. - Oczywiście, mam dla pana pieniądze.

Wyjmuje brązową kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręcza ją Oskarowi Friedowi.

Fried bierze ją i dziękuje z lekkim ukłonem głowy, charakterystycznym dla mieszkańców Starego Świata, i Jackowi znów przypomina się Froelich.

- Ależ nie ma za co - odpowiada Jack.

Oskar Fried jest chudy i blady - jakby ktoś nakreślił jego postać ołówkiem. Jego okulary mają druciane oprawki, a nie grube czarne ramki, w jakich wyobrażał go sobie wcześniej Jack. Nie mylił się co do muszki, ale poza tym Fried nie ma nic wspólnego z wizerunkiem, jaki stworzył sobie Jack - tęgiego, wypomadowanego fizyka. Biała koszula Frieda zapięta jest pod szyją, ale jej luźny kołnierzyk nie zasłania wąskich ścięgien i obwisłej skóry, skutku niedożywienia i podeszłych lat. Fried przedstawia znajomy Jackowi widok zagłodzonego Europejczyka, któremu żadna ilość pożywienia nie jest w stanie wynagrodzić lat wojny. Podobny wygląd ma Henry Froelich, ale jego twarz, przy całej jego przygarbionej posturze i mimo zapadniętych policzków, sprawia wrażenie cieplej i żywej. Oblicze Frieda wydaje się wryte w piaskowcu. Siedemnaście lat życia za żelazną kurtyną odcisnęło na nim swe piętno. Jego garnitur uszyty jest z niezniszczalnej brązowej wełny, wyprodukowanej w ciągu ostatniego półwiecza, trudno określić kiedy. Ale nawet w fartuchu laboratoryjnym wyglądałby jak... urzędnik. Jack jest rozczarowany, lecz zaraz opadają go wyrzuty sumienia. Facet jest krańcowo wyczerpany. Sponiewierany. Obcy w obcym świecie.

Jack podchodzi do okna. - Mogę...? - i rozsuwa zasłony, mrużąc oczy przed blaskiem słonecznym.

Fried zrywa się na równe nogi. - *Nein, bitte.*

Jack zaciąga zasłony, odwraca się i widzi, że Fried trzyma w ręku kubek od lodu. Kiedy jego wzrok znów dostosowuje się do półmroku, Jack spostrzega, że kubek wypełniony jest kawałkami kory i kamykami. A spośród nich wyrasta kwiat, przywiązany do podpórki z wieszaka. Purpurowy, niemal czarny.

- Storczyk - mówi Fried.

Jack kiwa głową z uśmiechem.

- *Dunkel*. Nie światło.

- Rośnie w ciemności - domyśla się Jack. Fried kiwa głową, niemal się uśmiecha.

Jacka ogarnia nagła litość dla tego nieszczęśnika, rzuconego przez los tak daleko od rodzinnych stron. Ciekawe, czy w Związku Radzieckim choć przez chwilę czuł się jak u siebie? Niewykluczone, że pod koniec wojny znalazł się w niewłaściwej części ojczyzny, uwięziony w powstałych z dnia na dzień Niemczech Wschodnich. Zmuszony jakoś sobie radzić. Dopóki nie pojawiła się szansa wyrwania się na wolność. Chwyając się jej, ten strzęp człowieka wykazał nie lada odwagę. A może i wielkoduszność.

- Herr Fried, chciałbym, żeby pan wiedział, jak bardzo cenimy to, co pan robi.

Fried słucha uważnie, kiwając głową.

- Pragnę panu podziękować za przybycie do nas - ciągnie z namaszczeniem Jack.

- Proszę bardzo - odpowiada Fried.

Biedny skurczybyk, zapuszkowany tutaj, odbierający podziękowania w imieniu wolnego świata, które składa na jego ręce jakiś obcy kanadyjski lotnik, nieznający nawet jego prawdziwego nazwiska.

- Proszę posłuchać, kiedy się pan urządzi, zadzwoni pan do mnie do pracy, dobrze?

Jack bierze od Frieda kopertę z pieniędzmi i zapisuje na niej numer służbowego telefonu, a pod spodem domowego.

- To jest mój domowy numer - wyjaśnia Jack, wskazując palcem. - Na wszelki wypadek, w razie nagłej konieczności, *verstehen Sie?*

- *Ja*. W razie nagłej konieczności.

Potem, gdy Fried odwiedzi ich w Centralii - może uda się go ściągnąć na lunch w najbliższą niedzielę - nie będzie przeszkód ku temu, żeby dzwonił do Jacka do domu. Ale dopóki Jack nie wymyśli wiarygodnej historyjki o znajomym znajomego i nie przedstawi „przyjeźdnego wykładowcy” swojej żonie, najlepiej niech Fried kontaktuje się z nim tylko w pracy.

- Ma pan ochotę na małą rundę po mieście?

- Rundę?

Jack przesuwa ręce, jakby kręcił kierownicą. - *Ein Auto*. Oprowadzę pana.

- Tak, ja prowadzę.

- Nie, czy chce pan pojechać ze mną? Teraz?

Fried potrząsa przecząco głową.

- Może kiedyś zmieni pan zdanie, okolica jest piękna - *sehr schön*. - Jack wskazuje smętne malowidło na ścianie. - Wodospad Niagara. Wspaniały. A skoro lubi pan kwiaty - Fried kiwa potakująco - w Bajkowych Ogrodach jest palmiarnia. Nie dziwiłbym się, gdyby mieli tam storczyki.

Jack zaciera ręce i rozgląda się - sprzęt hi-fi, to dobrze, ale nie ma telewizora, chociaż na parapecie stoi pokojowa antena. Szkoda, bo Herr Fried mógłby poćwiczyć swój angielski.

- Ma pan dość jedzenia?

Jack wchodzi do ciasnej kuchni i otwiera lodówkę. Fried staje przy nim. Jest dobrze zaopatrzona - Simon o to zadbał - ale facetowi na pewno sprzykrzą się te samotne posiłki, dzień po dniu.

Na usta ciśnie się Jackowi pytanie, nad czym Fried będzie pracował, co sądzi o obecnym kryzysie kubańskim; chciałby wciągnąć go w dyskusję o programie badań kosmosu. Ale niestety ten temat na razie jest zakazany, Simon postawił sprawę jasno, a poza tym facet jest już dostatecznie przytłoczony. To musi być dla niego wstrząs kulturowy.

- Chciałbym pana zaprosić do siebie w tę niedzielę na...

Fried kręci przecząco głową, lecz Jack nie zraża się i mówi dalej: - Moja żona świetnie gotuje i przyzwicie mówi po niemiecku, *besser denn mein*. Co pan na to? Mamy też sąsiada Niemca, naukowca jak pan...

- Nie robię tego - odpowiada Fried, wciąż potrząsając głową.

- To zależy tylko od pana. Chcę, żeby pan wiedział, że jest mile widziany w Centralii, a pan Crawford nie ma nic przeciwko temu... to znaczy Simon.

- *Ja*. Si-mon - mówi Fried, wypowiadając imię jak dwa słowa.

- Wie pan, co odpowiedzieć, gdy ktoś zapyta pana o cel pobytu w Kanadzie? - upewnia się Jack, nakładając i poprawiając kapelusz.

- Naukowiec, przyjechałem na zaproszenie Uniwersytetu Zachodniego Ontario.

- Zgadza się.

Jack rozgląda się po raz ostatni. Nie ma tu już nic do roboty. Lodówka pełna, w łazience papier toaletowy, na stole w jadalni mapa Londynu. Simon postarał się o wszystko. Z wyjątkiem telewizora. Po namyśle Jack podchodzi do stołu i zaznacza kółkiem na mapie Bajkowe Ogrody.

- Storczyki - oświadcza, wywołując błądy uśmiech u Frieda. - *Auf Wiedersehen* panu.

- Do widzenia - mówi Fried.

Drzwi zamykają się za nim i Jack słyszy szcęk ryglowanej zasuwki. Potem zapada cisza. Wyczuwa, że Fried przygląda mu się przez wizjer, czekając, aż odejdzie. Jack idzie z powrotem tym samym korytarzem, po wygłuszającej kroki czerwono-pomarańczowej wykładzinie, odsuwając od siebie poczucie lekkiego zawodu. A czego właściwie się spodziewał? Schnapsa i pogawędki o lotach w kosmos? Dajmy mu trochę czasu, po tygodniu Fried zatęskni za towarzystwem. Jack zaprosi go wtedy do domu na kolację, ten usiądzie sobie odprężony z fajką - właśnie dymem z fajki przesiąknięte było mieszkanie, uświadamia sobie Jack. Fried i Froelich palą ten sam gatunek tytoniu. Mogliby się ze sobą dogadać - Niemcy, naukowcy, wskutek wojny wypędzeni z kraju. Przecież Henry jest pochodzenia żydowskiego, przypomina sobie Jack, stając przed windą. Czy to ma jakieś znaczenie dla Oskara Frieda? Jack już raz popełnił ten błąd, posądził Henry'ego o antysemityzm tylko dlatego, że ten jest Niemcem. Przywołuje windę i czeka. Fried jest naukowcem. Właśnie jego takie rzeczy nie powinny obchodzić - co za różnica, czy jest się czarnym, zielonym czy niebieskim, kiedy rozszczepia się atom? Może parę szklanek dobrego lowenbrau rozwiąże im języki i zaczną rozmawiać o polityce - jeśli nie o nauce. Jack przedstawi go dzieciom; kiedyś będzie im mógł powiedzieć, że poznały prawdziwego uciekiniera z komunistycznego bloku, naukowca z ZSRR, prosto z kart podręcznika historii najnowszej.

Winda otwiera się, Jack wchodzi do środka. Słyszysz dolatujące z głębi budynku szczekanie małego psa; poza tym ani śladu żywego ducha.

Madeleine zbudowała czołg i samochód kombi. Claire skończyła swój domek i zabrała się do kościoła, który, jak uzgodniły, będzie służył też za szkołę i supermarket. Wokół nowego budynku rozstawiają zwierzęta hodowlane, kiedy w kuchni dzwoni telefon.

- Halo?... Cześć, Sharon - mówi pani Froelich. - Tak, jest u nas - śmieje się. - Nawet gdyby, to nic by się nie stało... Jasne, odeślę ją do domu.

Przez okno salonu państwa Froelichów Madeleine odprowadza wzrokiem Claire. Na końcu podjazdu stoi Marsha i rozmawia z Rickym. Claire podaje rękę Ricky'emu, Marsha bierze ją za drugą rękę i cała trójka odchodzi St. Lawrence Avenue w kierunku domu Carrollów, jakby Ricky i Marsha byli rodzicami, a Claire ich małą dziewczynką.

Jack odstawia służbowy samochód i wraca do swojego gabinetu, gdzie zastaje notatkę z poleceniem, żeby zadzwonił do dowódcy. Pyta asystenta, kiedy przyszła ta wiadomość. Zauważono jego nieobecność?

- Przed godziną, panie pułkowniku - pada odpowiedź.

Jack wybiera wewnętrzny numer komendanta - co powie Woodleyowi, gdy ten zapyta, gdzie się podziewał? Jackowi nie uśmiecha się perspektywa okłamania przełożonego.

Niepotrzebnie się martwił. Woodley chciał mu przekazać, że premier wreszcie zarządził podwyższenie gotowości obronnej. Kanadyjskie siły zbrojne są postawione w stan „czujności” - co w praktyce oznacza poziom gotowości nieco niższy od obecnego amerykańskiego. I przygotowania należy przeprowadzić potajemnie.

- Chyba żartujesz - mówi Jack.

Nasze myśliwce „mogą być lub nie” uzbrojone w pociski jądrowe Genie, które „mogą być lub nie” na wyposażeniu kanadyjskiej armii.

- Same wesole rzeczy, co? - stwierdza Hal.

- Politycy rządzą sobie z nas kpiny.

- Poczekajmy na rozwój wydarzeń. A staremu Diefowi potrzebne jest teraz z naszej strony poparcie.

Jack wie, co Hal ma na myśli. W ciągu ostatnich kilku dni wypowiedziano wiele krytycznych słów pod adresem rządu. Społeczeństwo Kanady wybrało Diefenbakera na dobre i na złe, i on pozostaje zwierzchnikiem sił zbrojnych. Nowo ogłoszony stan czujności niewiele zmieni w codziennej działalności placówki Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych w Centralii. Przed nimi kolejne dni wyczekiwania w napięciu; tym bardziej więc nie należy wyrywać się z narzekaniami na postawę rządu.

- Racja - kwituje Jack.

- *Wiedersehen.*

Jack przecina drogę okręgową i kieruje się w stronę kwater mieszkalnych. Czuje się znużony. Dzieci bawią się na dworze. Na podjeździe Boucherów ktoś wyłożył do przewietrzenia sprzęt hokejowy, którego starczyłoby dla całej drużyny, a na swoim własnym podjeździe Jack dostrzega krzywo zaparkowanego ramblera, po czym można poznać, że Mimi wyjeżdżała na zakupy. Wszystko dookoła wygląda normalnie. Ale to tylko fasada. „Normalnie” nabrało ostatnio nowego znaczenia: w ciągu kilku godzin wszyscy możemy zostać starci z powierzchni ziemi. Jack wdycha głęboko jesienne powietrze. *Nigdy nie miałeś tak dobrze.* Kto to powiedział? Jak to możliwe, że coś może być prawdą i jednocześnie fałszem?

Widzi córkę wychodzącą z domu Froelichów w towarzystwie owczarka niemieckiego. Jack wolałby, żeby nie zbliżała się do tego wilczura - potrafią rzucić się na człowieka. Ale

ona się nie boi, kroczy naprzód z ręką wczepioną w jego sierść i z zaciśniętymi powiekami, a pies-przewodnik przeprowadza ją przez ulicę. Jack przypomina sobie teraz, co miał dzisiaj zrobić. Zająć do szkoły do pana Marksa.

Madeleine otwiera oczy dopiero przed frontowymi schodkami. Pies pędzi z powrotem do swojego domu. Madeleine odwraca się, spostrzega ojca i biegnie do niego. On rozpościera ramiona, łapie ją i okręca.

- Tato, zrób mi karuzelę.

Chwyta ją za kostkę i za nadgarstek i obraca się dookoła własnej osi.

Madeleine jest w świetnym humorze. Zapomniała o „chowaniu się w mig”. A on nie będzie jej niepotrzebnie straszył, wracając do tego tematu, z jego nieodłącznym widmem zagłady.

- No jedz, Mike - mówi Jack. Ale syn dłubie widelcem w talerzu. Na wszystkie pytania ojca odpowiada jednym słowem.

- Jak ci poszło w szkole?

- ...Dobrze.

- Usiądź prosto, chłopcze, i zjedz obiad, który ci ugotowała matka.

Jack zdaje sobie sprawę, że jego rozdrażnienie jest niewspółmierne do sytuacji. Chciałby winić za to obecny kryzys światowy, ale wie, że to zaczęło się już wcześniej. Chłopak stroi fochy. Mimi mówi, że wkroczył w „trudny wiek”. Jack odpowiedział jej: „Za moich czasów nie mogliśmy sobie pozwolić na «trudny wiek», zbyt wiele zachodu kosztowało nas zdobywanie żywności”. A ona odparła z tą francuską cierpkością: „Przecież chcesz mu zapewnić to, czego ty sam nigdy nie miałeś. To właśnie jest przykład”. Dotknęło go to, ale stwierdził z zadowoleniem, że żona radzi sobie w tych sprawach o wiele lepiej od niego. To pozwala mu na odgrywanie roli „dobrego tatusia”. Ponieważ od pewnego czasu ma wrażenie, że zupełnie nie wie, jak postępować z synem. Jego własny ojciec nie zniósłby tych wojowniczych odburknień. Z drugiej strony jednak Jack nikomu nie życzyłby takiego ojca, jakiego miał on.

- *Qu'est-ce-que tu as, Michel?* - pyta Mimi.

Chłopiec podnosi wzrok i patrzy ojcu w oczy. - Tato, jesteśmy w pogotowiu?

Jack dźga widelcem tłuczone ziemniaki. - Już ty się o to nie martw, Mike. Powód do zmartwienia mają tylko te biedne wrony, musiały się okropnie wystraszyć, kiedy wczoraj zawyła syrena - mówi, puszczając oko do Madeleine.

- A jeśli zacznie się wojna, będziemy tu siedzieć z założonymi rękami? - pyta Mike.

Madeleine spodziewa się odpowiedzi, że nie będzie żadnej wojny, ile razy mam ci tłumaczyć...? Ale ojciec spokojnie żuje ziemniaki, usta ma ściągnięte. Komuś chyba zaraz się dostanie.

- A czego cię uczy historia, Mike?

- To znaczy?

- „To znaczy, to znaczy” - przedrzeźnia naburmuszonego syna. - Chodzi mi o to, co zrobiliśmy, kiedy w 1914 wybuchła wojna?

- Walczyliśmy.

- No właśnie. A w 1939?

- Też, ale...

- Stanęliśmy u boku Brytyjczyków, walczyliśmy, ginęliśmy i zwyciężyliśmy.

- Tak, ale Amerykanie...

- Amerykanie przystąpili do wojny późno, za pierwszym i za drugim razem.

- Tak, ale teraz Amerykanie...

- Amerykanie odgradzają nas od komunizmu.

- Jack - mruży Mimi.

- Nawet nie potrafimy się sami obronić. Tata Arnolda mówi...

- Nie interesuje mnie zdanie taty Arnolda...

- Boimy się nawet przejść w stan gotowości!

Jack wgniała warzywa w ziemniaki, nie odzywa się.

- Madeleine, wiesz już, za kogo się przebierzesz na Halloween? - pyta Mimi.

Madeleine dziwi to pytanie. W ogóle nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby odstawić do lamusa ukochany strój klauna, który nosiła w dwóch ostatnich latach. Nie można z lekkim sercem zmienić przebrania na Halloween, ono jest jak... szata liturgiczna.

- Za klauna - odpowiada.

- *Encore? Mais il est trop petit maintenant pour toi.*

- A nie można go powiększyć?

Mimi wzrusza ramionami. - Owszem, ale myślałam, że w tym roku zrobimy ci coś nowego. Mogłabyś przebrać się za baletnicę...

- Chcę być klaunem...

- Jesteśmy tchórzami, i tyle - mówi Mike.

- Mam dla ciebie wiadomość, Mike... - Ojciec odkłada widelec. Madeleine wstrzymuje oddech - Mike dostanie burę? Ale tata mówi spokojnie: - Przeszliśmy w stan gotowości.

- Jack...

- To prawda - zwraca się do Mimi. - W gazetach o tym nie piszą, ale chłopak ma prawo wiedzieć. Wszyscy mamy prawo wiedzieć. Jako obywatele Kanady.

Madeleine przysłuchuje się z wypiekami na twarzy, chłonie każde słowo ojca. Ten przybiera ton, jakby wyjaśniał rzeczy oczywiste dla każdego, z wyjątkiem skończonego osła: - Podwyższenie stanu gotowości sił zbrojnych to rutynowy środek ostrożności. To się nazywa opanowywanie kryzysu, takie posunięcie dyktuje zdrowy rozsądek. Przekazujemy w ten sposób Rosjanom wiadomość: „Słuchajcie - wskazuje widelcem w stronę Mike'a - my nie żartujemy, więc odczepcie się od naszych kumpli, bo zadzierając z nimi, zadzieracie również z nami”.

Wbija widelec w ziemniaki raz za razem, w krótkich odstępach czasu. - Cała sprawa rozejdzie się po kościach. Castro to marionetka, a jego naród szybko się o tym przekona.

Castro to marionetka. Madeleine hamuje śmiech.

- Ale niepokoi mnie to - mówi tata - że mamy w rządzie komediantów, którzy hołdują kanadyjskiemu nacjonalizmowi w najniższym wydaniu.

Zawiesza głos. Madeleine zagryza wewnętrzną fałdę policzka, żeby powstrzymać ogarniającą jej wesołość.

- O antyamerykańskim zabarwieniu.

Jego słowa zapadają w nich głęboko.

- Czy możemy teraz zjeść deser, *ma grande foi D'jeui* - przerywa w końcu milczenie Mimi.

- Powinnaś kierować Komitetem Wykonawczym, moja pani - śmieje się Jack.

Po kolacji Jack wysyła córkę do sutereny, żeby pobawiła się z bratem. Nie chce dopuścić do tego, żeby była świadkiem, jak jego optymistyczne zbagatelizowanie obecnego kryzysu zostaje podważone przez wieczorne wiadomości. Przygląda się U Thantowi, który opanowanym głosem wystosowuje na forum ONZ rozpaczliwy apel, i zastanawia się, czy nie przeholował przy kolacji - Madeleine może nabawić się koszmarów. Wsłuchuje się w odgłosy dochodzące z piwnicy, ale tam na dole panuje spokój. Dzieciaki ze wszystkich stron bombardowane są alarmistycznymi informacjami. Chociaż w domu powinny zapoznać się z faktami - nie z ponurymi prorocत्वami, lecz z rzeczywistym obrazem, na tyle, żeby je podbudować.

Na ekranie widać zdjęcia lotnicze, wykonane przez samoloty szpiegowskie U-2: wyrzutnie rakietowe, gdzieś pośród kubańskich wzgórz. Jack wyłącza telewizor i oznajmia Mimi, że wychodzi na dwór rozprostować nogi.

Po drugiej stronie ulicy, na podjeździe Froelichów stoi wystawiona z pokoju lampa z kloszem. Rzuca różowe światło na odsłonięty silnik pośród stosu samochodowych części. Froelich, w białej koszuli i fartuchu, zagląda z synem pod maskę. Pracę umila im muzyka płynąca z brzęczącego tranzystorowego radjka. Jack podchodzi do nich.

- Jak wam idzie, Hank?

- Nie najgorzej, Jack.

Ricky podnosi wzrok i pozdrawia go.

- Widziałem, jak ganiałeś z siostrą po polach, Rick - mówi Jack. - Daleko się z nią wypuszczasz?

- Aż jedno z nas się zmęczy. Dziesięć, jedenaście kilometrów.

- Proszę, proszę.

Froelich nabija fajkę usmarowanymi palcami, Jack wyjmuję cygaretkę.

- Daj sobie spokój z tym samochodem, Henry. Lepiej zbuduj wielką bombę i skieruj ją prosto na Ottawę.

Froelich rozpala fajkę. - Jesteś zły, Jack.

Jack dziwi się. - Nie, nie jestem zły. Po prostu nie mogę przeboleć tego, jak nasz nieustraszony przywódca stawia czoło sytuacji. Czy raczej chowa głowę w piasek. - Wypuszcza kłęb dymu. - Tak, masz rację. Jestem zły jak cholera.

Ricky znika pod samochodem i Jack zwraca się do Froelicha ściszonego głosem: - Jakie twoim zdaniem są widoki na to, że za tydzień o tej porze nie wylecimy wszyscy w powietrze?

Sam jest zaskoczony tym pytaniem - tym, jak je sformułował. W pracy nigdy by się tak nie wyraził. Jak jego koledzy w mundurze, nie popada w alarmistyczny ton - nie są przecież Amerykanami. W każdym razie, jeszcze nie. Ale bez ogródek zadał to pytanie Froelichowi, bo chyba wyczuł, że Henry jest daleki od czarnowidztwa.

- Możesz podać mi płaski klucz? - mówi Froelich. - Ten środkowy, *ja. Danke* - pochyla się nad silnikiem. - Jack, przede wszystkim uważam, że ten kryzys był do przewidzenia.

Jack kiwa głową. - Zatoka Świń.

- Poza tym Amerykanie wciąż mają swoją bazę na Kubie.

- Tak, w Guantanamo.

- I Ameryka zgromadziła spory zapas pocisków pod nosem Sowietów.

- W Turcji. Ale to przestarzała broń. I jankesi nie umieścili ich tam potajemnie.

- Nie wiem, czy to jakaś pociecha dla ludzi mieszkających w zasięgu rażenia.

- To prawda. Ale pod tym względem ufam Amerykanom, pierwsi ich nie użyją.

- Już kiedyś użyli.

- Słusznie. - Jack zaciąga się cygaretką. - Ale to miało przyspieszyć koniec wojny, a nie rozpocząć następną. Nie ufam Sowietom ani odrobinę.

- Ja im nie ufam - mówi Froelich i Jack zastanawia się, znając składniowe osobliwości angielszczyzny Froelicha, czy ten ma na myśli „Ja też nie ufam Sowietom”, czy „Nie ufam jednym i drugim”. Takie pułapki tkwią w tłumaczeniach. Co by się okazało, gdyby poddać analizie najnowsze wystąpienie Chruszczowa? Wszyscy wyparujemy z powierzchni ziemi z powodu jednego przyimka. Ale Froelich tłumaczy: - Uważam, że prowadzą niebezpieczną grę, Amerykanie i Rosjanie, i prowadzą ją razem.

- Mogę wziąć spawarkę, tato? - pyta Rick.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Hank?

Froelich odwraca się do syna. - Tak, nie, najpierw poszukaj okularów ochronnych - potem znów spogląda na Jacka. - Zgadzam się z Eisenhowerem.

- Lubieś starego Ike'a?

- Ostrzegał przed nadmiernym rozwojem przemysłu wojennego. Zmuszamy Rosjan, żeby dotrzymywali nam kroku. Ludzie robią w tym przemyśle fortuny i zyskują polityczne wpływy.

- To wyścig zbrojeń - mówi Jack.

- Jeśli się nie mylę, Brytyjczycy nazywają to „cholerną głupotą”. - Ściera osad węgla ze starej głowicy rozdzielacza.

- Więc nie spodziewasz się bliskiego końca świata? - śmieje się Jack.

- Już wiele razy następował koniec świata, mój przyjacielu.

Jackowi przechodzi przez myśl tatuaż na ramieniu Froelicha, przykryty długim rękawem białej koszuli. Chciałby jakoś przeprosić go za to... że się wtedy tak wygłupił. Ale nawiązanie do tematu, którego Froelich dotąd nie uważał za stosowne poruszyć, mogłoby tylko przysporzyć mu udreki... i jeszcze bardziej pogrążyć Jacka.

- Podaj mi tego czerwonego robertsona - mówi Henry i Jack podaje mu śrubokręt. Nad ich głowami gwiazdy świecą jasno i wyraźnie. Jack spogląda na księżyc, zimny, niewzruszony. Gdyby popatrzeć dłużej na niebo, zobaczyłoby się satelitę. Tranzystorowy odbiornik Ricky'ego wychwytyje niewidzialne sygnały rozchodzące się w powietrzu, jakby łapał ryby w sieć, i przekłada je na męski głos, śpiewający falsetem o dziewczynie, którą kocha - w mieście Mekka.

- USA też prowadzi potajemne działania, weźmy na przykład, U2 - stwierdza Froelich.

- A jak inaczej moglibyśmy się dowiedzieć, że Rosjanie zbroją Kubę po zęby?
- A Gary Powers, który naruszył przestrzeń powietrzną ZSRR w maju zeszłego roku?
- W Niemczech często to robiliśmy - wyznaje Jack z szerokim uśmiechem.

Froelich patrzy na niego pytająco.

- Nasi chłopacy wskakiwali do sabre'ów - wyjaśnia Jack - i śmigali do Sektora Wschodniego, żeby sprawdzić, jak szybko Sowieci zareagują. Rosjanie wysyłali migi i przeganiali nas z powrotem. Sami też naruszali naszą przestrzeń.

- Jeśli to były takie niegroźne podchody - mówi Froelich - to dlaczego Eisenhower twierdził, że to samolot meteorologiczny NASA?

Rozpała na nowo fajkę.

Aromat tytoniu wydaje się Jackowi swojski. Kojarzy mu się z pobytem w Niemczech. Z domem. On i Mimi i ich mała rodzina - swoiste poczucie pełni życia, jakie im tam towarzyszyło. Wrażenie, że z każdym dniem świat staje się coraz ładniejszy. Goiły się blizny miast, cegła po cegle, wieża po wieży, w oknach rozkwitały rośliny. Może to zwykła tęsknota... za uśmiechami, z jakimi witali ich mieszkańcy, gdy dowiadawali się, że są Kanadyjczykami. Zawiązywał się między nimi nowy sojusz, oparty na wspólnocie wyrosłej z dawnej wrogości. Przeszłość i teraźniejszość zawarły przymierze, które zaowocowało przyszłością. Może po prostu byli tam szczęśliwi. Zaskakuje go ta myśl, ponieważ wynikałoby stąd, że teraz czuje się inaczej. Ale nawet obecny kryzys świata nie mąci jego poczucia szczęścia. Przecież wiedziałby, gdyby nie był szczęśliwy. Strzepuje popiół z cygara i patrzy, jak powoli opada na ziemię.

- Prawda jest taka, Henry, że Castro to marionetka, a Kennedy to przywódca wybrany przez naród.

- Szkoda, że Amerykanie nie darzą takim uwielbieniem demokracji poza granicami swojego kraju.

Z tyłu samochodu lecą iskry od spawania.

- Nie masz racji, Henry. A plan Marshalla? Spójrz na... - Jack chce powiedzieć Niemcy, ale gryzie się w język - Europę Zachodnią, spójrz na Japonię.

- Spójrz na Amerykę Środkową, spójrz na Indochiny...

- Wuj Sam nie jest w stanie rozwiązać problemów całego świata...

- Część świata nie życzy sobie, żeby się wtrącał...

- Wolałbyś mieszkać w Związku Radzieckim, Henry?

- Kwestionowanie poczynań USA nie oznacza miłości do Związku Radzieckiego. Socjalista to nie to samo co komunista.

- Jesteś socjalistą?
- Jesteśmy obaj.
- Socjalistą i komu...?
- *Nein!* Ty i ja obaj jesteśmy socjalistami.
- Jak to rozumiesz, Hank?
- Chorujesz, idziesz do szpitala, tam cię leczą i nie puszczają cię z torbami.
- Państwowa służba zdrowia...
- To socjalizm.
- Słusznie - śmieje się Jack. - Najlepsze rozwiązania w naszej polityce społecznej są...
- Poza tym Związek Radziecki nie jest państwem komunistycznym, tylko totalitarnym.
- Froelich spogląda na klucz, jakby to on był sprawcą nieszczęść tego świata. - Ricky, gdzie podziąłeś kombinerki?

Snop iskier przygasa, Ricky wychyla głowę i ściąga okulary spawalnicze na czoło. - Masz je przy sobie, tato, przyczepione do paska.

- Aha. *Danke.*

Ricky wsuwa się pod samochód i znów sypią się iskry. Jeśli dobrze pójdzie, chłopak nigdy nie będzie musiał walczyć na wojnie.

- Stalin zgładził więcej ludzi niż Hitler - mówi Jack i natychmiast żałuje. A właściwie dlaczego ma się tak cackać z Froelichem? Facet nie domaga się litości - nie bez powodu zakrywa ten tatuaż.

- I co z tego? - odpowiada Henry. - Jeden człowiek, stu ludzi, sześć milionów zabitych... czy to ma poprawić komuś samopoczucie? To rzeźnicy, i koniec kropka.

- Zgadzam się z tobą, Hank. I dlatego nie widać Amerykanów szturmujących mur berliński, żeby dostać się do Berlina Wschodniego. Dlatego drenaż mózgów jest jednokierunkowy.

- Drenaż mózgów?

Jack nie odpowiada od razu. Taką rozmowę mógłby prowadzić niezależnie od tego, czy kiedykolwiek słyszał o Oskarze Fredzie. Wszystko gra.

- Chodzi mi o to, że gdyby dać im szansę, wielu naukowców radzieckich chętnie opuściłoby swój kraj, żeby popracować dla nas.

- Och - Froelich kiwa głową - masz na myśli uciekinierów.

- Powiedzmy. - Jack wciąga dym razem z ostrym powietrzem, Froelich prostuje się, nie odrywając wzroku od silnika, i drapie się po karku, zostawiając smugę smaru nad białym kołnierzykiem.

- Czy można ufać zdrajcom?

Jack jest zdumiony. Odpowiada tonem niemal rozdrażnionym: - To niekoniecznie zdrajcy. Czasami robią to z pobudek idealistycznych.

- Ci angielscy szpiedzy też tak o sobie mówili. Idealiści...

W tym momencie otwierają się drzwi frontowe i poza kręgiem światła padającego na samochód Jack dostrzega nadchodzącą ku nim dziewczynę.

- Ricky...

To Karen Froelich.

- Tak, mam?

- Lizzie chce, żebyś się nią zajął, skarbie. Chłopak wyciera ręce w szmatę i idzie do domu.

- Co słyszała, Karen?

- U mnie wszystko w porządku. A co u ciebie, Jack? Martwisz się?

- Kto, ja? Niee. A co ty sądzisz o tym całym zamieszaniu?

Karen nie wysuwa zastrzeżeń w rodzaju, że „to nie na nasze babskie głowy”, lecz odpowiada wprost: - Nie ma co się przejmować takimi pierdołami.

- Co przez to rozumiesz? - pyta Jack po chwili.

Ubrana w niechlujną męską marynarkę, skutecznie maskującą jej kobiecość, Karen zakłada ręce na piersi i może dlatego nie sposób nie dostrzec zarysowujących się nagle przy tym krągłości.

- Bo we dwójkę mogą już teraz rozpirzyć ten świat w drobny mak. - Zdawkowy ton, jakim wypowiada te słowa, kontrastuje z ich wymową. - Nie potrzebują do tego Kuby jako pretekstu.

- Naprawdę uważasz, że o to im chodzi? - pyta Jack.

- Nie, myślę, że chcą nas nastraszyć. Odwrócić uwagę od innych spraw, rozumiesz?

Jack kiwa głową, ale nie rozumie. Zerka na Froelicha, który spogląda na żonę. Jest w niej zakochany. Trzeba wiele miłości, żeby prowadzić ten dom, wychowywać te dzieciaki.

- Kuba z racji położenia została wzięta w dwa ognie - mówi Karen. - Pod rządami Batisty była dziwką Ameryki. Fidel to wybawienie dla tego kraju.

Jack nie potrafi określić, jakie wyrażenie bardziej go zaszokowało w jej ustach: „dziwka” czy „Fidel”. Nie mówiąc o „pierdołach” czy „rozpirzaniu”.

- Doceniam osiągnięcia Kennedych w kraju - jej głos w ciemnościach brzmi zaskakująco młodo - ich zaangażowanie w dziedzinie praw obywatelskich. Ale prawicowa prasa od miesięcy domaga się głowy Castro, więc... Przynieść wam coś do jedzenia?

Jack potrząsa głową. - Nie, ja nie... Dzięki, Karen.

Odprowadzają wzrokiem Karen wchodzącą do domu.

Jack wypluwa okruch tytoniu. - Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że Chruszczow zdemontuje wyrzutnie. Jak powiedział generał MacArthur: „Nie zaczynaj wojny, której nie zamierzasz wygrać”.

- Ach, wygrać, przegrać... Interes i tak się kręci, mam rację?

- Tu chodzi o coś więcej, Hank. Wiesz dobrze.

- O co, mój przyjacielu?

- O demokrację. O to, że ty i ja, chociaż pochodzimy z tak różnych światów, znaleźliśmy się w końcu tutaj i sprzeczamy się o rzeczy, o których w innym państwie nie wolno nam byłoby pod groźbą więzienia nawet wspomnieć. I to dotyczy też Kuby.

Froelich wydmuchuje biały kłęb i w powietrzu rozchodzi się ostry aromat fajkowego tytoniu. Jack puszcza kółka z dymu, które unoszą się do góry i płyną po październikowym niebie. Obaj spoglądają na usianą gwiazdami kopułę. Piękna noc na ziemi.

- Masz ochotę na *ein Bier*, Jack? - mówi Henry.

- *Ja, danke*.

- Co to jest, do diaska?

Jack zszedł do piwnicy swego domu i rozgląda się po poboju, jakie w niej zastał. Z kartonów, które schludnie poskładał po sierpniowej przeprowadzce, powstały tunele przykryte kocami i wzmocnione książkami z regałów oraz samymi regałami. Ciężkie tomy w twardej oprawie zabezpieczają rogi - wspomnienia Churchilla, wszystkie sześć tomów, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy* wraz ze skrzętnie przechowywanymi rocznikami „National Geographic”, *Encyclopaedia Britannica*, książką telefoniczną okręgu Huron i Bóg wie czym jeszcze. Śpiwory, jeszcze niedawno starannie zwinięte, teraz zasłaniają łukowate wejście, zrobione z boku starego metalowego łóżeczka dziecięcego. Jack wyciąga z papierowej strzechy kawałek dzisiejszej gazety.

Między śpiworami dostrzega głowę Mike'a, zaraz potem wyłania się Madeleine.

- Cześć, tato. Chcesz wejść do środka?

- A co tam macie? - pyta Jack.

- Racje żywnościowe i wodę - odpowiada córka.

- Co ty wyprawiasz, Mike?

Mike wyłącza latarkę i wyczołguje się na zewnątrz. - Budujemy schron.

- Schron przeciwiatomowy - mówi córka, zachwycona.

Traktuje to jak zabawę, i tak powinno być.

- Marsz do łóżka, kotku.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy, tato...

- Dalej, na górę.

- Czy chcesz, żeby twoja siostra znów miała koszmary? - zwraca się do syna, gdy Madeleine znika z pola widzenia.

- Nie - odpowiada chłopiec, rumieniąc się.

- Co mówiłem przy kolacji?

- Że jesteśmy w pogotowiu.

- To nie jest na niby, to się dzieje naprawdę. Powiedziałem ci, bo myślałem, że dorosłeś na tyle, żeby to zrozumieć.

- Dorosłem - mruczy chłopiec.

- W takim razie co to za zabawę tu urządzasz, Mike?

- To nie zabawa. Tak się robi, pokazywali w telewizji.

- Pokazywali w telewizji. A ty wierzysz we wszystko, co widzisz w telewizji?

- Nie.

Jack odwraca się w kierunku schodów. - Rozbierz ten bezsensowny schron i ułóż wszystko z powrotem tak, jak było.

- Tato...

- Raz-dwa.

- Ale...

Jack zatrzymuje się na schodach. - Wyraziłem się chyba jasno - mówi, wskazując palcem tekturowe umocnienia. - Chcę, żeby to zniknęło. Nie ma pozostać po tym ani śladu.

Kładzie się do łóżka obok Mimi i opowiada jej o „schronie przeciwoatomowym”, jaki zbudował w piwnicy Mike. Teraz kiedy jej to opisuje, sam pomysł wydaje się nawet dość zabawny. Mimi całuje Jacka i mówi: - Jest zupełnie jak jego ojciec.

Chłopak stara się robić to, co do niego należy. Czasami człowiek zapomina, że to jeszcze dziecko.

- Przypomnij mi jutro - prosi żonę. - Po południu chcę zabrać Mike'a na lodowisko. Pogramy w hokeja.

Mimi gładzi go po piersi i opiera głowę o jego ramię.

- Rozmawiałaś z panem Marchem? - pyta Mimi, gdy Jack sięga do wyłącznika nocnej lampki.

- Panem...? Nie, coś mi wyskoczyło na koniec dnia, ale mała doszła już do siebie, nie uważasz?

- Tak myślę.

Dalsze słowa przychodzą łatwo. - Musiałem pojechać do Londynu. Na spotkanie z gościnnym wykładowcą szkoły oficerskiej. Trochę się spóźniłem.

- M-hm - mruczy Mimi.

Jack zamyka oczy.

- Jack? Jesteś pewny, że Madeleine może zadawać się z dziewczuchą Froelichów?

- Colleen? Jasne, czemu nie?

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, bo pozwoliłam jej dzisiaj do niej pójść.

Właśnie, miał to omówić z Mimi. Dobrze, że sama poruszyła ten temat.

- W porządku - mówi.

Leży, nasłuchując, a kiedy jej oddech staje się wolny, ostrożnie przekręca się na bok. Pierwsze kłamstwo. Ale czym się różni od innych wypowiedzianych przez niego w ciągu ostatnich dni? „To tylko pobrzękiwanie szabelkami, nic więcej”. Tak naprawdę to nie są kłamstwa. To znaczy tyle co: „Troszczę się o ciebie”, „Kocham cię”, wyrażone innymi słowami.

Otulony ciemnością, w ciepłe domowych pieleszy i bliskości śpiącej smacznie rodziny, Jack powraca myślami do samotnego Oskara Frieda w wynajętym mieszkaniu. Właśnie w ten sposób wygramy tę wojnę - w ten sposób zapewnimy przyszłość świata, który przekażemy w spadku naszym dzieciom. Pozyskując jak najwięcej Oskarów Friedów, skłaniając ich do przejścia na naszą stronę. I Jack ma w tym swój udział, niewielki, lecz bezpośredni. Zamknąwszy oczy, rozważa osobę Oskara Frieda z innej, bardziej trzeźwej perspektywy. Niech sobie wiedzie pustelniczy żywot w swoim apartamencie, jeśli taka jego wola. Jego zadaniem nie jest urozmaicenie życia Jacka McCarthy’ego. Przybył tu po to, żeby pomóc nam zwyciężyć w tej zimnej wojnie, która jest ledwie o krok od punktu wrzenia.

Ale oczy Jacka nie pozostają długo zamknięte. Ma wrażenie, jakby w jego powiekach tkwiły sprężyny. Wstaje, wychodzi po cichu na korytarz i zagląda do pokoju córki. Śpi. Wilgotna dziecięca brew, zagięta flanelowa piżama i brudny stary Bugs. Moje dziecko jest bezpieczne.

WOJNY I WOJENKI

*Rosjanin rzekł całkiem niedawno:
„My lepszą mamy telewizję barwną.
Wasz obraz się mieni
Mnogością odcieni,
Lecz nasz jest najlepszy - cały w czerwieni”.*

„TV Guide”, jesień 1962

Następnego dnia przez całe popołudnie siąpi deszcz. Madeleine poszła do Lisy Ridelle, z którą bawiła się nagimi lalkami Barbie. Auriel po lekcjach pojechała do dentysty. We dwójkę jest zupełnie inaczej niż we trójkę. Siedziały, jakby nieco zagubione, na podłodze w pokoju Lisy i przeglądały czasopisma filmowe jej mamy. Wtem, ku zgorzeniu Madeleine, Lisa wyjęła Barbie i Kena - nawet się wcześniej nie pochwaliła, że je ma - i rozebrała obie lalki do naga. Wetknęła Kenowi między nogi szpilkę jako jego narząd i położyła go na Barbie. „Przypomniało mi się, muszę już iść”, oświadczyła Madeleine. Kiedy Lisa zaczęła z przeraźliwą beztroską spekulować, jak to jest między dorosłymi, w Madeleine z głębi żołądka wezbrał przemożny, lepki strach, niczym cuchnący ściek. Miała nadzieję, że zdążyła wyjść, zanim ten zapach się z niej wydostał i rozniósł po domu Ridellów.

Teraz Madeleine jest na dworze. Niebezpieczeństwo minęło. Powietrze przesiąknięte jest łagodną dżdżystą wonią, na powierzchnię wyległy dżdżownice, skuszone mżawką. Madeleine i Colleen, przykucnięte, zbierają je z pobocza drogi przed domem Madeleine. Nagle wyrasta przed nimi para żółtych gumowych butów. Sara.

- Wiesz co, Colleen?
- Co? - Colleen od niechcienia spogląda do góry.
- Madeleine wcale się z tobą nie przyjaźni. Wykorzystuje cię.
- Zmykaj stąd, Sara. - Madeleine nawet nie zaszczyca jej spojrzeniem spod swego czerwonego kaptura nieprzemakalnej kurtki. Nie tyle zbiera dżdżownice, co je trenuje. Za pomocą patyczka od lodów zagania jedną do zagrody zbudowanej z kamyków i błota. Tak

naprawdę nie przepada za dżdżownicami, ale nie chce, żeby Colleen posądziła ją, że się ich boi.

- Wykorzystuje cię, żeby zbliżyć się do twojego brata - oświadcza Sara.

Colleen puszcza to mimo uszu.

- Zamknij się - mówi Madeleine obojętnym tonem do pary żółtych butów przed sobą i przenosi całą swą uwagę na dżdżownicę, przykładając patyczek to z jednego jej końca, to z drugiego, patrząc, jak powoli pełźnie - skurcz-rozkurcz, skurcz-rozkurcz - do zagrody, marsz.

- To prawda! Sama mi powiedziała - zaperza się Sara, tupiąc nogą.

- To prawda. Ja też słyszałam - odzywa się głos za jej plecami.

Tym razem Colleen parska śmiechem, bo trudno zachować powagę, słysząc seplenienie Grace, zwłaszcza jeśli się do tego jeszcze nie przywykło. W polu widzenia ukazują się buty Grace - za duże dla niej, zgniłozielone kalosze.

Madeleine obserwuje poczynania Colleen, która wyciąga dżdżownicę z ziemi z wprawą godną rudzika. Przewiduje, że Colleen rozerwie ją przy tym, ale wyjmuje ją całą, otrząsa z ziemi i wrzuca do puszki po kawie, gdzie na dnie kotłuje się jej dzisiejszy plon, *dobry do ostatniej kropli*. Madeleine skupia się na swojej dżdżownicy, podśpiewując sobie kowbojską piosenkę.

Sara podnosi głos niemal do krzyku. - Mogłabyś się wreszcie zamknąć, Madeleine McCarthy, bo Ricky jest mój i ty dobrze o tym wiesz!

Madeleine się śmieje. Sara nie daje za wygraną. - Zaprosił mnie na piknik do Rock Bass.

Madeleine trąca dżdżownicę, która pokonuje ciągnący się w nieskończoność ostatni centymetr do zagrody. Zaraz zabarykaduje wyjście patyczkiem, taki patyczek to przydatna rzecz, można go zaostrzyć i użyć jako noża, można też wykonać z nich śliczne pagody i lampki. Nagle jej rozmyślenia przerywa opadający z plaśnięciem żółty but, który unicestwia dżdżownicę, zagrodę, maleńki świat. Madeleine podnosi wzrok.

- Przykro mi, Madeleine, ale zasłużyłaś sobie na to - oznajmia Sara.

Colleen odchyła się do tyłu na piętach i oświadcza, patrząc Sarze w twarz: - Mój brat nie dotknąłby cię nawet trzymetrowym drągiem.

Sara powoli się wycofuje, choć w głosie Colleen nie słychać gniewu ani też Colleen wcale nie myśli się podnosić. Sara jest już na środku ulicy - Grace drepcze za nią - kiedy z jej ust, niczym strzyknięcie śliny, bluzgają słowa: - Niemyta Indianka!

Zaraz potem odwraca się i pędzi ulicą, wrzeszcząc, jakby ktoś ją gonił i tłukł, ale jedynie Grace wlecze się za nią, klapiąc swoimi kaloszami.

Madeleine zrywa się na nogi. - Nie przyłożysz jej?! - dziwi się i krzyczy za uciekającą Sarą: - *Mange d'la marde!*

- *Ci pa gran chouz* - mówi Colleen i dodaje, jakby wrzucała rybę z powrotem do wody: - Nie warto.

Madeleine spogląda na rozgniecioną dżdżownicę, sinawą pośrodku, wijącą się na końcach. Colleen bierze patyczek od lodów, zeszkrobuje ją z ziemi i umieszcza w puszcze.

- Jeszcze się nada - oświadcza.

Jack pozbył się swojego asystenta, zlecając mu jakieś zadanie, i teraz ślęczy nad jego maszyną do pisania, wystukując na kopercie imię i nazwisko Oskara Frieda. Wkłada do koperty pustą kartkę, zakleja ją i nalepia znaczek. Powtarza tę samą procedurę z dwiema następnymi kopertami, różniącymi się wielkością i odcieniem. Trzeba stwarzać pozory, że Oskar Fried dostaje listy jak normalny człowiek. Trzeba stwarzać pozory, że Oskar Fried jest normalny pod każdym względem - w ten sposób w ogóle nie będzie się rzucał w oczy. Jack wsuwa listy do wewnętrznej kieszeni i wychodzi na deszcz.

Samochody wolno przejeżdżają obok, uważając, żeby go nie ochlapać. Lśni czarna nawierzchnia placu defiladowego. Na przekór sobie Jack znajduje pociechę w siąpiącej mżawce, w zasnutym szarością niebie. Wie, że to złudna pociecha - dzisiejsze samoloty i pociski nie potrzebują widoczności, żeby trafić w cel. Napięcie nie osłabło, ale też nie wzrosło. Chruszczow wycofał kilka okrętów z rejonu objętego blokadą, ale przyspieszył prace nad budową wyrzutni. Lotnictwo i marynarka kanadyjska tropią radzieckie łodzie podwodne u Wschodniego Wybrzeża. Stany Zjednoczone przechwyciły pierwszy sowiecki okręt z dostawą, obyło się bez incydentów. Jack zatrzymuje się przy budce telefonicznej.

- Jak sprawy przedstawiają się z twojego punktu widzenia, Si?

- Widok z okna przesłaniają mi pomniki, ale na ile mogę dojrzeć, na razie nikt tu, w Waszyngtonie, jeszcze nie odetchnął z ulgą.

- Wszyscy czekamy, aż Chruszczow się ugnie.

- Raz czy dwa razy drgnął, ale kto wie, może igra z ogniem.

Dziwne, jak szybko potrafimy przywyknąć do zagrożenia. Nie wolno tak sobie pokpiwać z widma zagłady. Ale my się przystosowujemy. To błogosławieństwo czy klątwa? - zastanawia się Jack.

- Wy Kanadyjczycy raczej się nie rwaliście.

Jack wyczuwa przytyk.

- Zasługa naszego wodza, co? - Dief w końcu ujawnił podwyższenie stanu gotowości i

wyłosił przemówienie w parlamencie, popierające Kennedy'ego.

- Nie mieści się w głowie, że w obecnych czasach premier Kanady czeka na instrukcje z Londynu.

- Prawda, ale wy zawsze łądjecie między młotem a kowadłem. Poza tym Amerykanie wykazują niezdrową obsesję na punkcie Kuby.

- Ja też bym szalał, gdyby sto pięćdziesiąt kilometrów od naszych granic rozmieszczone zostały rakiety uzbrojone w głowice jądrowe.

- Może i tak. Ale ten kryzys jest przewidywalny.

- Zupełnie jakbym słyszał mojego sąsiada - stwierdza Jack.

- Naprawdę? Inteligentny facet.

- Przynajmniej Kennedy pokazał Sowietom, że nie da sobie w kaszę dmuchać.

- Wolałbym, żeby ukrocił swojego brata - mówi Simon zdawkowym tonem.

- Co masz na myśli?

- Nie chodzi tylko o Roberta, oni wszyscy mają bzika, jeśli chodzi o Kubę. To niemal zbiorowa histeria. Fidel odrzucił propozycję gry w New York Giants i Amerykanie nigdy mu tego nie wybaczyli.

Fidel. - Żartujesz.

- Jak bum-cyk-cyk.

- Niech mnie kule! - Jack śmieje się ubawiony w równym stopniu zwrotem, którego użył Simon, co myślą o Castro w drużynie New York Giants.

- I żaden inny szanujący się przywódca środkowoamerykańskiego państwa na jego miejscu nie zniósłby zakusów na swoją brodę.

- Co takiego? - Jack widzi elewa czekającego grzecznie na swoją kolej i odwraca się, uniemożliwiając czytanie z ruchu warg. - Kto próbuje wyskubać mu brodę?

- A jak myślisz? W czyjej głowie uroiłby się taki niedorzeczny pomysł? CIA ma na Kubie zbieraninę różnej maści agentów, którzy od lat tam węszą, szukając sposobu na usunięcie czy zabicie Castro i wzniecenie powstania. Amerykanie utracili źródło zysków, teraz chcą je odbić.

Jack słyszy, jak po drugiej stronie Simon zaciąga się swoim camelem. Opiera się o szybę. - Jaki przewidujesz rozwój wydarzeń, Si?

- Już widać pierwsze oznaki. Chruszczow spuści z tonu, a pozycja Kennedy'ego wzrośnie na jego własnym podwórku i w NATO. Jeden zero dla nas, stary.

- Ty niepoprawny cyniku.

- Mówię szczerą prawdę - ton Simona jest ożywiony. - Kennedy wycofa z Turcji

rakiety Jupiter, które nadają się tylko na złom, żeby Chruszczow mógł zachować twarz, ale prestiż Związku Radzieckiego i tak zostanie poważnie zachwiany. To błyskotliwy pokaz *realpolitik* w wydaniu Kennedy'ego. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zginiemy w płomieniach, to będzie znaczyło, że konflikt na dłuższy czas został zażegnany. - Simon wydycha papierosowy dym, Jack niemal czuje jego zapach. - Byłbym zapomniiał, Friedowi przydałoby się parę listów...

- To już załatwione.
- Chyba o tym nie wspominałem?
- Nie, ale sam na to wpadłem.
- Masz smykałkę do tego fachu, kolego - stwierdza Simon, parodiując własny akcent.
- Kiedy do nas przyjedziesz? Mimi marzy, żeby cię wreszcie poznać.
- Wtajemniczyłeś ją w nasze małe przedsięwzięcie?
- Nie, ale wie, że spotkałem się z tobą zeszłego lata...
- Jak się miewa nasza *Deutsches Mädchen*?
- Świetnie. To iskra, nie dziewczyna.
- Ma to po ojcu, co? Trzymaj się, Jack.
- Trzymaj się.

Simon się rozłącza i Jack odkłada słuchawkę. Wychodzi i wrzuca do skrzynki przy supermarkecie listy zaadresowane do Frieda.

Fach.

Następnego ranka Jack wychodzi na ganek i podnosi gazetę. Wraca powoli do kuchni, wpatrzony w stronę tytułową: *ZSRR I USA ZGADZAJĄ SIĘ NA WSTĘPNE ROZMOWY W SPRAWIE KUBY.*

- Mleka dziś nie przywieźli? - dziwi się Mimi.
- Chyba nie, nie widziałem - odpowiada Jack.

Mimi wymija go i kieruje się na ganek, skąd przynosi butelkę mleka.

Przy stole Madeleine wyciąga rękę po świeżo upieczoną słodką bułkę z nadzieniem bananowym. Ojciec unosi gazetę, żeby przewrócić stronę. Madeleine zamiera. Nad stołem rozpościera się ogromne zdjęcie uczniów chowających się w mig pod ławkami. Robią ćwiczenia po lekcjach. Madeleine czuje skurcz w żołądku.

- *Madeleine, qu'est-ce qui va pas?*
- Nic.
- Więc podaj bratu masło.

- Prosiłem ją tylko dwa razy - mówi Mike.

Madeleine ma dziwne wrażenie, że jeśli spróbuje wyciągnąć rękę, jej prawdziwa zostanie nieporuszona, a po masło sięgnie jakaś inna, widmowa. Unosi rękę, która, o dziwo, posłusznie wykonuje ten ruch, ale przed podniesieniem masła Madeleine nie może się oprzeć impulsowi powąchania swoich palców. Mike wybucha śmiechem.

- Co w tym zabawnego? - pyta.

- Stary Wąchacz.

- Przestań!

Płachta gazety opada na dół.

- Ona bez przerwy tak robi - chichocze Mike i naśladuje ją, obwąchując ukradkiem rękę.

- Odczep się!

- Uspokójcie się - mówi ojciec. - Mike, nie dokuczaj siostrze.

Twarz Madeleine jest gorąca niczym płytka grzejna, musi pójść do łazienki. Rodzice przyglądają się jej.

- To Diane Vogel - wyznaje Madeleine, wskazując dziewczynkę na stronie tytułowej, która zakrywa głowę rękami.

- To uczniowie z Florydy - wyjaśnia ojciec. Amerykańskie dzieci. To nie jest zdjęcie naszej klasy.

Ojciec cmoka przez zęby i wstaje od stołu. - Cóż, wygląda na to, że sprawy idą ku lepszemu. Miłego dnia, moi drodzy.

Czwartoklasiści recytują chórem: - Z braku hufnala zginęła podkowa, z braku podkowy zginął koń, z braku konia zginął jeździec...

W piątek zawsze są zajęcia z plastyki. Najładniejsze obrazki zostały wywieszane na ścianie i na szybie w drzwiach.

- ...Z braku jeźdźca przegrano bitwę, z braku bitwy przegrano wojnę...

Madeleine nie odrywa oczu od dziennika na biurku pana Marcha - gdyby tak mogła przywoździć go wzrokiem, nie dopuścić do tego, żeby nauczyciel go podniósł i wyczytał nazwiska. „...A wszystko to z braku hufnala”.

Pan March sięga po dziennik. - Następujące dziewczynki...

Po kolacji stukot i szmer maszyny do szycia ściera się z telewizyjnym programem *Śpiewaj razem z Mitchem*. Madeleine przygląda się, jak matka przesuwając jaskrawy materiał pod poruszającą się niczym tłok igłą, naciskając stopą pedał, jakby dodawała gaz. Przedłuża

kostium klauna, plisowany, pozszywany ze starych zasłon z niezniszczalnego muślinu z tropikalnymi kwiatami, szmaragdowej, karmazynowej i kanarkowej barwy. Madeleine z utęsknieniem patrzy na czapkę z pomponem - będzie mogła ją włożyć dopiero na Halloween - wykonaną ze zwiniętych kolorowych czasopism, polakierowaną i wyściełaną od środka, spiczastą niczym czapka błazna. Przypomina sobie, że gdzieś na tych kartkach jest Anna Frank, stłamszona. Bierze głęboki oddech i odwraca wzrok.

- Z takim przebraniem bez trudu znalazłabyś pracę w cyrku - stwierdza ojciec. - Masz najmądrzejszą *Maman* na świecie.

W sobotę nad Kubą został zestrzelony samolot szpiegowski U-2, jego pilot zginął, i wszyscy cofnęli zegarki o godzinę w związku z jesienną zmianą czasu mającą na celu oszczędność energii. Madeleine dzielnie znosi lekcje łyżwiarstwa figurowego na lodowisku, gdzie męki ósemek i podskoków na czubkach łagodzi obecność Auriel, która według własnego opisu wygląda w swym obcisłym stroju „jak aksamitny serdelek”. Obie na widok Sary wściekle podrygującej przy każdym ruchu do przodu zrywają po cichu boki ze śmiechu. Madeleine mężnie ćwiczy pływanie na krytym basenie, po którym niesie się wyraźny pogłos, wytrzymuje parny zaduch przebieralni, po czym z kubkiem gorącej czekolady w ręku wynurza się z radością na świat, żeby uderzając obcasami w poryte spłowiałe deski bandy lodowiska, popatrzeć na hokejowy trening Mike’a. Mike gra w obronie. Madeleine napawa się każdym soczystym świstem i zgrzytem jego łyżew, podziwia wyraz skupienia malujący się na jego twarzy, policzki zaróżowione od wysiłku. Potem z urzeczeniem przygląda się, jak maszyna leczy nawierzchnię lodowiska. Jej brat i Arnold Pinder wychodzą z szatni, za nimi wlecze się Roy, z ciężkim ekwipunkiem bramkarza. We czwórkę śledzą poczynania starszych chłopaków, którzy z hukiem wjeżdżają długimi, zgrabnymi ślizgami na lodowisko, miotają krążek potężnymi wymachami ramion, obracają się w mgnieniu oka i śmigają do tyłu. Jest wśród nich Ricky Froelich, który swobodnie, ryzykownie blisko, sunie wzdłuż band, ruchem głowy odrzucając do tyłu grzywkę opadającą mu na oczy. W zeszłym roku został zawieszony za bijatykę na lodowisku, ale od tamtej pory się pilnuje.

Po południu rodzina McCarthych jedzie na zakupy do Londynu. Przed zatłoczonym wejściem do Covent Market Madeleine dostrzega młodzieńca i starszą panią z transparentami: *Precz z bombą i Owady posiadają Ziemię*.

Tego wieczoru Jack razem z żoną i synem siedzą na kanapie i oglądają specjalne wydanie *Newsmagazine* na CBC. Knowlton Nash rozmawia w Waszyngtonie z rzecznikiem Białego Domu Pierrem Salingerem, a potem jeden dygnitarz za drugim chwali Chruszczowa

za podjęcie „godnej męża stanu” decyzji o rozebraniu wyrzutni. Czuje się niemal namacalną ulgę.

- Odwaga popłaca, tego uczy nas historia, Mike.

Madeleine siedzi po turecku na podłodze, czekając, aż skończą się wiadomości telewizyjne. Ojciec zawołał ją i Mike’a, żeby byli świadkami „historycznego wydarzenia”. Prowadzący program Norman DePoe podsumowuje: „...wciąż jeszcze giną ludzie na polach ryżowych Wietnamu, w parnych dżunglach Laosu i w rozrzedzonym powietrzu na szczytach Himalajów. Małe wojny toczą się nadal, ale przynajmniej odsunęliśmy od siebie, chociaż na jakiś czas, groźbę wielkiej wojny, i wreszcie rysuje się nadzieja na to, że może uda nam się też położyć kres tym małym”.

- Gdzie leży Wietnam? - pyta Mike.

- W południowo-wschodniej Azji - odpowiada ojciec.

- Nie wiedziałem, że tam trwają walki.

- Zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna, na mniejszą czy większą skalę.

Czekają przed telewizorem na program rozrywkowy Eda Sullivana.

Później Jack oświadcza Madeleine: - Zagrożenie minęło, mój mały druhu. Nie ma się już czego bać.

- Za naszego życia nie będzie wojny jądrowej.

- Jutro obudzisz się rześka i pomaszujesz do szkoły z lekkim sercem - mówi ojciec. -

Pan Marks nie będzie was więcej straszył.

Gasi światło. Ale Madeleine nie zamyka oczu.

FANT CZY FIGIEL

31 października to najprzyjemniejszy dzień w roku: Halloween. Wszyscy przychodzą do szkoły w kostiumach. Przebranie sprawia, że praca na lekcji, nawet na arytmetyce, wydaje się łatwiejsza. Każda klasa urządza własne przyjęcie: czwartoklasiści zrywali podwieszane jabłka i spalaszowali tort z pomarańczową polewą, przyniesiony przez pana Marcha. Ale Madeleine sercem rwie się do punktu kulminacyjnego tego święta - obchodzenia domów po zmroku i do łakoci wyproszonych od dorosłych. Zerka na zegar, gotowa zerwać się na dźwięk dzwonka.

- Następujące dziewczynki...

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że będą musiały wykonywać ćwiczenia ubrane w kostiumy na Halloween. To jest bez sensu. Stoi pod wieszakiem, pocąc się pod swoją spiczastą czapką z pomponem, i czeka.

- Nie chcę być klaunem.

Na dworze robi się ciemno. Młodsze dzieci już chodzą po domach, w asyście rodziców i starszych braci i sióstr. Jack jest w pokoju córki, która wbrew namalowanemu jaskrawemu uśmiechowi stoi ze skwaszoną miną, miętosząc w ręku czapkę. Jack ma straszną ochotę się roześmiać, ale zachowuje powagę.

- Ale dlaczego, skarbie?

- Wyrosłam z tego - odpowiada Madeleine po namyśle.

- Uważam, że ten strój do ciebie pasuje.

Córka spogląda w dół.

- A za kogo wolałabyś się przebrać? - pyta.

- Za golfiarza.

- Za golfiarza? Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiada zgodnie z prawdą.

- No dobrze, mam zestaw kijów do golfa i torbę. Moglibyśmy dołożyć ci czapkę, dorysować wąs i nie wiem, co jeszcze...

Wąs? Madeleine nagle się ożywia.

- Tylko czy mamie nie będzie smutno?

Och. O tym Madeleine nie pomyślała. Nagle robi jej się okropnie żal *Maman*, kiedy przypomina sobie, jak pan March dotykał swoimi paluchami tego ślicznego kostiumu, uszytego przez mamę.

- Mogłabym być klaunem, który idzie grać w golfa - oświadcza.

- Mogłabyś - przyznaje tata.

- Z wąsem.

- Jasne.

Idą do łazienki i Jack ściera jej z buzi czerwoną szminkę, bierze ołówek do podkreślania brwi i rysuje Madeleine nad górną wargą wąsik. Madeleine wraca do swojego pokoju, skąd bierze poduszkę. Wypycha nią sobie kostium na brzuchu i przegląda się w ogromnym lustrze w sypialni rodziców. Wygląda jak pan March przebrany za klauna, z dorysowanym dla niepoznaki wąsikiem, w drodze na pole golfowe.

- Dzięki, tato - uśmiecha się.

Zarzuca worek na ramię i idzie po Auriel i Lisę. Auriel jest hawajską tancerką z biustonoszem ze skorup orzecha kokosowego, a Lisa Judy Jetson w błyszczących kozaczkach. Madeleine zabrała tylko jeden kij, żeby worek nie był za ciężki - przyda się do fantów. W jej skarbonce z nadrukiem UNICEF pobrzękują już drobne monety, które dostała od taty „na rozkręcenie interesu”. SKR-y jarzą się wyszczerzonymi dyniami, roją się od duchów, kościotrupów, kowbojów, Indian, piratów i wróżek. Mike przebrał się za najemnika, chociaż ojciec ofiarował się, że zrobi z niego asa przestworzy z pierwszej wojny światowej. Arnold Pinder ma na sobie maskujący strój myśliwski ojca i wywija wiatrówką. Obaj chłopcy wysmarowali się pod oczami spalonym korkiem. Roy Noonan udaje hot-doga.

Obchodzą wspólnie kilka domów, lecz Madeleine odciąga od przyjaciółek dziwna, przemożna chęć poćwiczenia w parku zamachów kijem golfowym.

- Naprzód! - krzyczy i z całej siły uderza kijem w ciemnościach. Ciężar żelaza porywa ją i obraca o trzysta sześćdziesiąt stopni. Obok przemykają Grace i Sara. Sara jest kobietą w ciąży, a Grace nastolatką z wydatnym biustem i rozmazaną szminką. Sara odwraca się i strofuje ją: - Uważaj, co robisz, Madeleine!

Madeleine wymachuje kijem, aż kręci jej się od tego w głowie. Odkrywa nowy rodzaj szalonego śmiechu - zbuntowanej marionetki brzuchomówcy; rozwiera i zaciska mechaniczne szczęki, podrzucając głowę w rytm złowieszczonego rechotu. Nie przestając się śmiać, wybiega z parku, pędzi ulicą St. Lawrence Avenue, mija Claire McCarroll w kostiumie króliczka, idącą za rękę ze swoim ojcem.

Na końcu ulicy wpada na misia, czy raczej kogoś, kto chce uchodzić za takiego, w starym futerku z szopa i w papierowej torbie na głowie z wyciętymi otworami na oczy. Jakby powiedział pan March, nie wysilił się zbytnio.

- Co pana tu sprowadza o tej porze? - siląc się na brytyjski akcent, pyta pan March przebrany za klauna, z dorysowanym dla niepoznaki wąsikiem, w drodze na pole golfowe.

- Darmowe słodycze. A co innego?

Colleen Froelich. Kto by pomyślał, że zniży się do czegoś tak zwykłego i przyjemnego jak zbieranie fantów po domach?

Są na placu szkolnym. Przed wyjściem z domu Madeleine wsunęła do torby kostkę mydła, jakby przewidywała, że przyda jej się tego wieczora, chociaż nie miała pojęcia, do czego. Wysypuje z worka na ziemię nędzne fanty wraz z mydłem. Zgubiła gdzieś skarbonkę. Bierze mydło i na wszystkich oknach sali czwartej klasy maże nim słowo PAWICA, zataczając się przy tym i skrzecząc jak papuga z filmu o piratach: - Pawica! Pawica! *Groook!*

- Odbiło ci - stwierdza Colleen.

Madeleine przewraca się na ziemię obok niej, zanosząc się chichotem. - Ależ dziękuję, Pawico.

- Co to w ogóle znaczy „pawica”?

- Hmm, *qu'est-ce quid c'est la „pawica”*?

Colleen odchodzi. Madeleine leży na plecach na boisku szkolnym, śmiech sączy się z niej teraz niczym ciemna strużka z kącika ust. Podnosi się, zarzuca worek na ramię i idzie ulicą Algonquin Drive na tyłach domów, wywijając po drodze kijem, rozpryskując kamyczki na wszystkie strony. Jeden z nich z łoskotem uderza w pojemnik na śmieci. Madeleine zastanawia się, jakby to było usłyszeć brzęk tłuczonego szkła, i dalej wali na odlew kijem. Skręca do parku i z pasją zaczyna okładać rosnący tam dąb. Fruwają strzępki kory, odłaniając jasną pręgę nagiego pnia. Madeleine tnie raz za razem, każdy cios odbija się boleśnie na jej drętwiejącej dłoni, rozchodzi się po ręce i wstrząsa w posadach jej głowę; tnie, aż pot występuje jej na czoło, zlepiając grzywkę, aż omdlewają jej ramiona, i spostrzega, że o mało nie ścięła drzewa.

Mimi ze zdumieniem przegląda pusty worek Madeleine. - Co robiłaś cały wieczór, zamiast zbierać fanty?

- Oddaliśmy nasze słodczyce chłopczykowi, który zgubił swoje.

Nie ma poczucia, że okłamuje matkę, ponieważ nie namyślała się nad odpowiedzią. Chowa pogięty kij do golfa za piecem i kładzie się do łóżka z bólem brzucha.

- Boli cię brzuch, bo zjadłaś wszystkie słodczyce, więc nie wymyślaj *des petits histoires* o biednym chłopczykku.

Następnego dnia rano okna w sali czwartej klasy są czyściutkie. Może Madeleine wcale nie pomazała ich mydłem. Może to się jej tylko przyśniło. Ale po odśpiewaniu hymnu narodowego i zmówieniu Modlitwy Pańskiej dyrektor, pan Lemmon, informuje uczniów przez szkolny radiowęzeł, że w parku dopuszczono się aktu wandalizmu - „bezmyślnego wandalizmu” - i ucierpiał budynek szkolny. „Winowajcy niech wystąpią i przyznają się do swego czynu. W przeciwnym razie wstydzcie się”.

Madeleine czuje mrowienie, cała się klei, jakby zmoczyła majtki; ma wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie jak zmiażdżona dynia.

Przed kolacją.

- Tato, gdyby ktoś dopuścił się wandalizmu, zostałby wysłany do poprawczaka?

- To zależy, co by zniszczył i ile ma lat.
- A jaka jest granica wieku dla młodocianych przestępców?
- Dwadzieścia jeden lat.
- Aha.
- Od dwunastu lat. Dlaczego pytasz?
- Ale gdyby ten ktoś miał tyle lat co ja, nie trafiłby do poprawczaka, prawda?
- A co przeskrobał ten ośmiolatek?
- Mam już prawie dziewięć lat.

Jack powstrzymuje uśmiech. - A więc co takiego zrobił ten prawie dziewięciolatek?

- Nic. Ale, na przykład, gdyby coś zniszczył?

- No cóż, powiedziałbym, że o ile nie było to coś szczególnie cennego, coś, czego nie da się naprawić - *to da się naprawić, okna się umyje, kora na drzewie odrośnie* - o ile nikomu nie stała się krzywda... powiedziałbym, że wystarczyłyby przeprosiny ze strony winowajcy.

- Ale nikt nie wie, że to on.

- Tym bardziej powinien zrzucić z siebie ten ciężar.

- Przyznać się?

- Właśnie. Postąpić tak, jak należy.

Madeleine czuje, że znów ulatnia się z niej ten zapach, i wacha palce, żeby upewnić się, że są czyste.

AMERYKAŃSKIE ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA

Madeleine wie, że uwolni się całkowicie od tego zapachu, jeśli przyzna się panu Marchowi, że to ona pomazała okna. Potem pójdzie do dyrektora i powie mu o drzewie.

Oczy pana Marcha robią się wielkie i okrągłe; patrzy na Madeleine tak, jakby widział ją po raz pierwszy - niczym słoń, który zauważył mrówkę.

- Przepraszam za to, co zrobiłam, panie March.

To niesamowite, gdyż on odpowiada: - Nie ma o czym mówić, Madeleine.

Użył jej imienia, zamiast zwrócić się do niej bezosobowo, przez „dziewczynko”. Do tej pory zdarzało się to tylko wtedy, gdy wyczytywał jej imię i nazwisko z dziennika.

Jest przerwa na lunch. Stoją na korytarzu przed salą. Madeleine wyznała, że to ona

napisała mydłem „pawica” na wszystkich oknach sali czwartej klasy. Wyznała też, że przebrała się za pana Marcha jako klauna idącego grać w golfa. Przez cały ten czas nauczyciel nie odrywał od niej oczu. Chociaż raz są widoczne za okularami, duże i szare. Wyrzucając to z siebie, Madeleine miała wrażenie, że spłukuje ją od głowy do stóp strumień zimnej wody, chociaż głos trochę jej drżał.

Pan March spogląda na opustoszały korytarz.

- Powiedziałaś o tym komuś? - pyta.

- Nie.

- Więc nikomu więcej nie mów.

- Ale muszę pójść do pana Lemmona.

- Nie musisz.

Madeleine jest zdziwiona, ale po chwili domyśla się, że pewnie nauczyciel sam przekaze to dalej. A potem zadzwoni do jej rodziców.

- Sama powiem rodzicom - oświadcza Madeleine.

- Po co? Tylko niepotrzebnie ich zmartwisz.

Madeleine kieruje się do wyjścia, bo przecież jest przerwa, ale nauczyciel woła za nią:

- Zaczekaj, Madeleine.

Staje i odwraca się do niego. Traci cały apetyt na drugie śniadanie, ponieważ uświadamia sobie, że za chwilę pan March zmusi ją do robienia ćwiczeń, chociaż to jeszcze nie koniec lekcji. Jak przedtem nie wyobrażała sobie, że można ćwiczyć w przebraniu na Halloween, tak teraz osacza ją perspektywa ćwiczeń podczas przerwy na lunch. *W burzę czy pogodę, czy słońce, czy deszcz...*

Wchodzi za nim do sali, ręce zwieszają jej się bezwładnie, ale on tylko kieruje się do biurka i wyjmuje kartkę z szuflady. Pisze coś na niej i wręcza ją Madeleine.

- Dostałaś bardzo dobrą ocenę ze sprawdzianu z czytania ze zrozumieniem. Co ty na to?

Na przerwie Madeleine puka do drzwi gabinetu pana Lemmona. Mówi mu, co zrobiła z drzewem. Dyrektor nie odzywa się, więc Madeleine myśli: „O nie, zaraz zło mi skórę”.

- Podejdz do mnie, Madeleine - mówi wreszcie pan Lemmon. Siedzi za biurkiem, więc Madeleine myśli: „Jednak nie zło mi skóry, ale za to każe mi robić ćwiczenia”. Ogarnia ją znużenie, ponieważ odtąd będzie musiała też litować się nad panem Lemmonem. Zbliża się do biurka i wzdycha - powinna była przewidzieć, że tak to się skończy. Staje przy nim tak, żeby dosięgnąć jego ramienia i ścisnąć mu mięśnie. Ale on wyciąga do niej rękę i bierze jej

dłoń. Potrząsa nią.

- Jestem pod wrażeniem, Madeleine, naprawdę.

Bo zmasakrowałam drzewo?

- Mało kto w twoim wieku miałby odwagę się przyznać tak jak ty.

Odwaga. Śmigające nad głową kule. Uratowanie psa porwanego przez bystry nurt.

Bycie młodocianym przestępcą. Wyznanie winy.

- A teraz wracaj do koleżanek, Madeleine.

Przez cały następny tydzień pan March nie każe nikomu zostawać po lekcjach na ćwiczenia. I dopiero w drugim tygodniu listopada ogłasza: - Następujące dziewczynki zostaną po dzwonku: Diane Vogel, Joyce Nutt, Grace Novotny...

Madeleine czeka, aż nauczyciel wyczyta jej nazwisko. Pali ją w kroku, ściska w żołądku.

- ...Sara Nolan... i Claire McCarroll. Co?

Rozlega się dzwonek. Szurają krzesła, wszyscy oprócz wyczytanych dziewczynek zrywają się z miejsc i gnają do wyjścia, żeby nacieszyć się swobodą aż do następnego dnia. Madeleine też zostaje w ławce i zerka na Claire, zaróżowioną na twarzy. Kiedy sala opustoszała, dziewczynki wyznaczone do ćwiczeń wstają i ustawiają się w szeregu pod ścianą z wieszakami. Claire dołącza do nich i zajmuje puste miejsce obok Sary. Madeleine dostrzega z ławki, że kolana Claire też zrobiły się różowe. Ciekawe, czy Claire wie, co zaraz nastąpi. Znalazła się w jaskini. Z zewnątrz wygląda ona jak zwyczajna góra.

- Na co czekasz, Madeleine? - pyta pan March.

Madeleine podnosi się, podchodzi do wieszaków i staje na końcu szeregu przy Claire.

- Na litość boską, dziewczynko - mówi pan March, przewracając oczami. - Czy ja ciebie wyczytałem?

- Nie, proszę pana - odpowiada Madeleine.

- No więc?

Słychać czyjś chichot. Madeleine powoli zmierza do swojej ławki, żeby zebrać zeszyty.

- Jak mucha w smole - stwierdza pan March.

Madeleine kieruje się do wyjścia. Sara znów chichocze. Diane Vogel patrzy jej prosto w twarz, z powagą spotykaną tylko na fotografiach w książkach. Kojarzy jej się z Anną Frank i Madeleine już wie, za co tak uwielbia Diane Vogel. Claire spogląda przez okno.

Madeleine nie idzie prosto do domu. Ze szkoły wysypują się uczniowie, ale Madeleine

ma wrażenie, że powietrze wokół niej otula ją niczym wyciszająca, tłumiąca kaszmirską wełna. Pędzące na oślep dzieciaki wydają się odległe, jak na filmie. Przepycha się przez ciżbę w stronę huśtawek. Cała płonie, jakby zrobiła coś złego. Wie, że gdy wróci do domu, wystarczy, że *Maman* spojrzy na nią tylko raz i wszystkiego się domyśli. „Co masz na sumieniu?“, zapyta. Jest oszołomiona i podniecona, jakby popełniła czyn, którego powinna się wstydzić - jak oglądanie sikającego chłopca, który zaproponował, że zrobi to na jej oczach, a ona w odpowiedzi powiedziała tylko: „Jeśli masz ochotę”. Patrzyła kiedyś, jak Philip Pinder sika. To był grzech. Ale dzisiaj przecież nie zgrzeszyła.

Siada na huśtawce. Głupia Claire McCarroll - przez nią, przez to, że została wybrana, Madeleine czuje się teraz winna. Jak Adam i Ewa, wygnani przez Boga z raju. *I zobaczyli swoją nagość*. Jacy musieli być durni, żeby tego wcześniej nie zauważyć?

Siada na huśtawce i odpycha się, szorując czubkami butów o ziemię, a rozwrzeszczany plac szkolny stopniowo cichnie i pustoszeje. Wyobraża sobie pana Marcha z szarymi obwisłymi policzkami: ona robi przed nim mostki, a on obmacuje jej „słodkie migdałki” w kroku. Zamyka oczy i ukazuje jej się oblicze Jezusa, pełne smutku. Jezus się smuci, bo cierpi przez ciebie. Jezus często ma taką minę, jakby ktoś właśnie puścił baka. Madeleine kładzie ręce na kolanach i opiera o nie czoło, wpatrując się w skrawek świata między jej dyndającymi nogami.

Jeszcze wczoraj oglądała w domu na kanapie *The Beverly Hillbillies*, z Mikiem i Królikiem Bugsem; wydawało się wtedy, że w ogóle nie istnieje coś takiego jak ćwiczenia po lekcjach. Wszystko to tkwiło w wyznaczonych ramach. Jakby te jedenaście minut po końcowym dzwonku było zapieczętowane i przechowywane oddzielnie - tak jak zawija się w folię resztę jedzenia, żeby się nie zepsuła. Co prawda worek przedtem był trochę nieszczelny, ale teraz zupełnie się rozerwał i ten zapach unosi się wszędzie. Ponieważ dzisiaj została odsunięta od ćwiczeń, a teraz spogląda na ten wycinek ziemi, który przesuwają się w dole tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Czubki butów są już mocno zdarte. Madeleine prostuje się i wyciąga przed siebie nogi. Myśli sobie, każdy bierze mnie za dziewczynkę w białych podkolanówkach. Nic nie wiedzą o ćwiczeniach po lekcjach. Jak to jest, kiedy wbijasz kręgosłup w wieszak, czekając, aż cię wywoła. Napierasz kręgosłupem tak mocno, że czujesz to jeszcze do końca ćwiczeń. Nic nie wiedzą o panu Marchu. Jego zapachu. Zapachu chlorowego wybielacza. Ale ja będę mknąć niczym wiatr, aż cały jego zapach ze mnie się ulotni. Madeleine natęży siły, żeby się rozhuścić.

- My dostaliśmy czekoladki, a ty nie-ee! Mniem, mniem, mniem! - skandują Sara i

Grace, trzymając się za ręce, wymachując nimi do przodu i do tyłu. Sara ma usmarowaną buzię, jakby na dowód, że naprawdę jadła czekoladki po ćwiczeniach.

- Też masz się czym chwalić - odpowiada Madeleine, ściskając łańcuchy huśtawki.

- A ty nie dostałaś! - Sara wytyka język, brązowy od czekolady.

Madeleine przestaje zwracać na nie uwagę i huśta się zapamiętane.

- A gdzie twoja przyjaciółka, Madeleine?

Madeleine wznosi się coraz wyżej, powietrze chłodzi jej rozgrzane nogi, jej rozgrzaną twarz.

- Właśnie! - odzywa się Grace, co dla Grace jest wyczynem nie lada.

- Kto? - woła wyniośle Madeleine z wyżyn.

- No wiesz - odpowiada Sara i zaczyna bębnić dłonią o usta i wyć jak Indianin w filmie o kowbojach. Madeleine puszcza łańcuchy, szybuje łagodnie w powietrzu, ląduje niczym pocisk i *tup, tup, tup!*

- Masz za swoje, Saro Nolan!

Sara krzyczy, z nosa poleciała jej strużka krwi, mieszając się z warstwą czekolady wokół ust.

- Przykro mi! - wykrzykuje jej prosto w twarz Madeleine, niemal równocześnie z ostatnim ciosem.

Bo jest jej przykro. Chłopcy bez przerwy to robią. Tłuką się nawzajem. Madeleine jest zdumiona, gdyż ludzie sprawiają takie żałosne wrażenie, kiedy ktoś ich bije. Kto by chciał dalej się nad nimi znęcać? Poklepuje Sarę po głowie.

- Proszę - ściąga białą skarpetkę i przytyka ją Sarze do nosa. Biedna Sara, jest taka obrzydliwa, niczego nie potrafi powstrzymać, krwi, smarków, łez ani swojego jęzora. Wciąż szlocha spazmatycznie. Madeleine nagle ogarnia przejmujący żal.

- Wszystko powiem! - zapowiada Sara, podnosząc się. Odwraca się i pędzi do domu, z głową zadartą do góry, młóćąc powietrze rękami, zawodząc histerycznie; słysząc, że to nie jest prawdziwy płacz, i tym bardziej brzmi to żałosnie w uszach Madeleine - okropnie jest być Sarą.

Madeleine rozgląda się, ale po Grace też już nie ma śladu. Grace w zeszłym roku zsiadła się w majtki w szkole i nic więcej o niej nie trzeba wiedzieć.

- Przykro mi - powtarza cicho Madeleine.

Nadal nie ma ochoty wracać do domu. Nawet nie może założyć z powrotem skarpetki, bo jest cała upaprana. Madeleine ściąga drugą skarpetkę i wkłada buty na gołe stopy. Wyrzywa kępki ciemnej listopadowej trawy z korzonkami, do których przylega ziemia; rozciera ją o

kostki. Rysuje wilgotną ziemią obwódki wokół nadgarstków, smaruje nią policzki. Dostrzega Claire McCarroll wychodzącą powoli bocznymi drzwiami, ze spuszczoną głową, z różowymi kolanami. Niesie swoje dzieło wykonane na plastyce.

- Cześć, Claire.

Claire zatrzymuje się, ale nie podnosi głowy.

- Co to jest?

- Indyk - odpowiada Claire.

- Mogę zobaczyć?

Claire, ze wzrokiem wbitym w ziemię, podaje indyka Madeleine. Indyk jest uśmiechnięty, na głowie ma purytański kapelusz, a na szyi białą kryzę.

- Bardzo ładny.

- Dziękuję.

- A właściwie dlaczego zrobiłaś indyka?

- Jestem Amerykanką.

Madeleine zupełnie zapomniała. Przecież Amerykanie obchodzą Święto Dziękczynienia w listopadzie. Druga ręka Claire zaciśnięta jest w pięść.

- Co tam masz? - pyta Madeleine.

Claire rozwiera dłoń. Jest umazana, a pośrodku widnieje topniejąca bryłka. Madeleine dotyka ją palcem i oblizuje - to czekolada.

Pan March zatrzymuje Claire po lekcjach, razem ze złymi uczniami. To tylko ostrzerzenie. Nie próbujcie ustalać mojej tożsamości. Jestem waszym przyjacielem. Nawet nie znam Claire.

*Podpisano,
Żywa Tarcza*

Pani McCarroll pokazuje kartkę mężowi. - Leżała na ganku obok mleka.

- Claire. - Ojciec przywołuje ją łagodnie.

Claire jest usadowiona na kanapie w salonie państwa McCarroll. Matka stoi przy niej z założonymi rękami, ojciec siedzi obok córki i głaszcze ją po głowie.

- Claire, kotku, masz ostatnio kłopoty w szkole?

Claire czerwieni się.

- Nie bój się, skarbie, możesz powiedzieć tatusiowi i mnie.

Claire patrzy w dół i poprawia palcem opaskę na głowie. Blaire i Sharon wymieniają

spojrzenia.

- No, żabko? - zachęca córkę Blaire.

- Pan March nie jest zadowolony z twoich postępów w nauce, słonko? - pyta Sharon.

Lecz Claire nie podnosi wzroku i nie odzywa się. Siedzi nieruchomo i wielkie łzy kapią jej na kolana.

Madeleine spodziewa się przyjazdu karetki z Pomocą Dziecku, która zabierze ją do poprawczaka za „przemoc”, ale nic takiego się nie dzieje. Sara Nolan nie doniosła na nią. A w klasie na filcowej tablicy widać wyraźnie, że Madeleine przoduje ze wszystkich przedmiotów. Nawet w arytmetyce jest zającym. *Wszystko jasne, doktorku.*

Pomaga ojcu w grabieniu liści, zwierza mu się, że poharatała drzewo. Ojciec pyta, czy przyznała się do tego w szkole, a ona odpowiada, że tak. Tłumaczy jej, że w ten sposób wyładowywała złość na nauczyciela za to, że straszył ich chowaniem się w mig, i może też złość na cały dorosły świat za to, że niemal doprowadził do wybuchu wojny: „Czasami kiedy się boimy - kiedy czujemy się bezradni - postępujemy irracjonalnie. Wiesz, co to znaczy «irracjonalnie»?”. Madeleine nie wie. Wyjaśnia jej.

Źle zrobiła, niszcząc drzewo; jej postępek nie był „konstruktywny” i nie był racjonalny. Ale wykazała odwagę, mówiąc prawdę - „Postąpiłaś słusznie, skarbie”. Ojciec jest z niej dumny.

- Zraniłam drzewo - mówi Madeleine i chlipie niepocieszona.

Budzi się z krzykiem. Okładała drzewo pięściami i po rękach spływała jej czekoladowa krew.

Na resztę nocy przenosi się do pokoju Mike'a.

- A jeśli nie będzie wojny? - pyta go, rozkoszując się zapachem płótna twardego polowego łóżka. - Nie będziesz mógł walczyć.

Rozmawiają o swojej przyszłości.

- Zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna, na mniejszą czy większą skalę - odpowiada Mike w ciemności. - I są do wykonania skrytobójcze zadania tak tajne, że nawet się o nich nie słyszy.

- Kiedy jest się zamachowcem?

- Najemnikiem.

To jak płatny zabójca, myśli Madeleine. Jak można na zlecenie zabijać z zimną krwią ludzi, nawet nie swoich wrogów?

- Uczucia nie grają tu żadnej roli - mówi Mike. - Jesteś zawodowym żołnierzem i w

ten sposób zarabiasz na życie. Poza tym najemnikiem zostanę dopiero w trzeciej kolejności - gdyby coś mi się przytrafiło, na przykład uszkodziłbym sobie wzrok, jak tata.

Madeleine dostrzega zarys oprawionego zdjęcia na ścianie nad łóżkiem Mike'a, ze zgrabnym myśliwcem CF-104 w locie. Pilot spogląda w obiektyw przez okienko w kabinie, twarz zakrywa mu maska tlenowa - wydłużony, pobrużdżony pysk i wypukłe okulary.

- A kim najbardziej chcesz zostać? - pyta Madeleine, chociaż zna odpowiedź. Wciąga Mike'a w rozmowę, żeby nie zasnął.

- Pilotem myśliwca, bez dwóch zdań - mówi Mike. - Za sześć albo siedem lat będę już latał na myśliwcu.

- A w drugiej kolejności?

- Hokeistą.

- Na jakiej pozycji?

- W ataku.

- Ja w obronie.

- Dziewczyny nie grają w hokeja.

- Umówmy się, że jestem chłopakiem.

- Ale nie jesteś.

- No dobrze, tylko na niby.

- Na niby...

- Tak, i mam na imię Mike, to znaczy Mitch, zgoda? I jestem chłopakiem.

- W głowie ci się pomieszało.

- Będę udawała twojego brata, zgoda?

- Mitch?

- Słucham, Mike?

- Nic, tylko czy na pewno chcesz mieć na imię Mitch?

- A jak byłoby lepiej?

- ...Robert.

- Dobrze.

Mike nie odzywa się przez chwilę i Madeleine podejrzewa, że zasnął. Ale naraz słyszy jego szept: - Hej, Rob?

- Tak? - Jej głos brzmi jakoś inaczej. Nawet nie grubiej. Bardziej dziarsko. Jest jak piłka do koszykówki odbijająca się od twardej nawierzchni podjazdu. Jak para czerwonych dzinsów. Madeleine czeka na dalszy ciąg. Po chwili Mike pyta: - Co myślisz o Marshy Woodley?

Madeleine jest tak zawstydzona, że ma ochotę zapisać i schować głowę pod kołdrę, ale przypomina sobie, że jest Robem.

- Kurczę, Mike. Nie wiem. A co?

- Uważasz, że jest... No wiesz... wyjątkowa?

- Tak - Madeleine kiwa głową w mroku. - To prawdziwa dama.

- Właśnie, też tak myślę.

Po chwili wahania Madeleine stwierdza: - A Rick to prawdziwy dżentelmen.

- No.

W ciszy, która zapadła, Madeleine czeka, aż Mike dokończy, ale jego oddech się zmienia i tym razem naprawdę już śpi. Ona też zasypia i nie dręczą ją koszmary. Rob nigdy nie ma koszmarów.

Kapitan McCarroll i jego żona oddychają z ulgą, kiedy wezwany do gabinetu dyrektora nauczyciel ich córki zapewnia strapiionych rodziców, że Claire to pogodna i przemiła uczennica, tylko że niekiedy buja w obłokach.

Kapitan McCarroll rumieni się, a pani McCarroll z uśmiechem stwierdza: - Ma to po tatusiu.

Pan Lemmon pokazuje panu Marchowi znaną przez nich na progu kartkę. - Domyśla się pan, kto to mógł napisać?

Nauczyciel zastanawia się chwilę, po czym potrząsa głową. - Mogę zapytać uczniów - proponuje.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - mówi Sharon, cała w pasach.

- Nie chcemy stawiać córki w niezręcznej sytuacji - dodaje kapitan McCarroll.

Pan Lemmon pyta nauczyciela, czy kiedykolwiek kazał zostać Claire po lekcjach, na co ten odpowiedział, że istotnie zatrzymał ją i kilkoro innych dzieci na kilka minut, żeby poćwiczyć z nimi pisownię, „ale z pewnością nie za karę za złe zachowanie”.

Dyrektor podziękował rodzicom za zgłoszenie mu tej sprawy, a panu Marchowi za jej wyjaśnienie.

Odtąd Claire nigdy więcej nie zostaje w klasie na ćwiczenia.

To Sara Nolan pierwsza czuje zaciśnięte na szyi jego ręce. Potem Grace Novotny wraca do domu z sińcami, które nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. I nic więcej nie trzeba wiedzieć o mamie i tacie Grace.

Część druga

PASOWANIE

BABIE LATO

Które zdanie jest poprawne? a) Babie lato to inaczej złota jesień, b) Babia jesień to inaczej złota jesień, c) Babie lato to złoty tydzień, d) Babie lato zapowiada złotą jesień.

Rozwijanie umiejętności czytania ze zrozumieniem, Mary Eleanor Thomas, 1956

Wieniec złożony w Exeter pod pomnikiem ku czci poległych już zwiędły, filcowe maki pospadały ze szpilek i przywarły do krawężników, złagodzonych przez nawarstwiające się jesienne liście, wilgotne i wydające z siebie ostatnie zbutwiałe tchnienie przed nadejściem zimy, która ułoży glebę i wszystkie wonie do snu. W górze zaś niedobitki liści straciły połysk i przeredzone i postrzępione trzymają się kurczowo drzew, rysujących się w całej wspaniałej złożoności na ostrym tle pomarańczowego nieba o piątej po południu. Listopad. Dwie minuty ciszy o godzinie jedenastej jedenastego dnia jedenastego miesiąca, dla upamiętnienia końca wojny, która miała położyć kres wszystkim wojnom w 1918 w roku, a także w przyszłości. Upamiętniły też one początek głębokiej hibernacji, w jakiej z wolna pogrąża się kraj. Cicho, sza, nadchodzi zima. W powietrzu niezawodnie czuć zapach śniegu.

Madeleine go czuje i Colleen pewnie też, jak sądzi. W parku jest zimno i zapada zmrok. Tak zimno, że przydałyby się rękawiczki, ale kto by zakładał rękawiczki, zanim spadnie pierwszy śnieg? Colleen nadal chodzi bez pończoch, w podniszczonych tenisówkach. Madeleine skończyła dziewięć lat. To przewrotny wiek, początek samodzielności. Rodzice urządzili jej przyjęcie urodzinowe. Madeleine miała wyrzuty, że nie zaprosiła Colleen, ale nie mogła sobie jej wyobrazić razem ze swymi koleżankami, z lalkami i lokówkami, wygłupiającymi się i plotkującymi o chłopakach. Madeleine nie wiedziałyby, w które „ja” się wcielić. Poza tym czas spędzany wspólnie z Colleen to odrębny rozdział jej życia. Zastrzeżony.

Kucają teraz obie na skraju parku za domem Colleen. Przylegają do niego tam podwórka kilku domów, między innymi podwórko Philipa Pindera, gdzie tego wieczoru na drzewie wisi do góry nogami zabita sarna. Krew kapie jej z pyska prosto do metalowego wiadra. Jej szeroko otwarte oczy spoglądają nieruchomo, do jej nozdrzy przylega

przezroczysta kropla. Wyciekają z niej wszystkie płyny. Kiedy tak obraca się powoli na linie przeciągniętej przez krążek, widać, że została rozplątana - wygląda to tak, jakby była postacią z filmu rysunkowego i rozpięła swój kostium sarny. Jej zielone, brązowe i różowe wnętrzości spoczywają w plastikowym wiadrze. To ohydne. Nie sarna. Ale to, co jej zrobiono.

Z punktu obserwacyjnego na bujawce w parku wydawało się, że sarna nie do końca jest prawdziwa. A przynajmniej można było powiedzieć: „To sarna, którą upolował ojciec Philipa Pindera”, i nie budziło to większych emocji, bo polowanie to zwyczajna rzecz. Lecz kiedy Madeleine podeszła bliżej i zobaczyła obracającą się sarnę, zawieszoną za tylne kostki, jej napięte nogi, które, zdawało się, lada chwila, pękną i odskoczą niczym cięciwa, przedstawiało się to inaczej. Nie można było już zachować wobec tego obojętności, jakby to było coś normalnego. Tymczasem Philip, jego starszy brat Arnold, ich ojciec, matka i wuj Wilf wszyscy krzątają się po podwórku, sprawiają sarnę i zachowują się normalnie; chociaż roztaczają aurę głębokiej powagi, jak ktoś, kto na przykład ćwiczy wjazd tyłem nową przyczepą na swój podjazd: „Wcale nie chcę się popisywać. To jest praca”.

- Ładna sztuka, Harve - zauważa sąsiad, ale Madeleine widzi, że jest nieco zakłopotany, stara się być uprzejmy, wygłasza na temat zabitej sarny uwagę, która pasuje raczej do ogrodu: „Ładny rododendron, Harve”.

Colleen i Madeleine ociągają się z odejściem, a w międzyczasie nadchodzi kilku tatusiów, którzy nie kryją uśmiechów i chcą usłyszeć całą historię. Ich spojrzenie ma taki wyraz, jaki Madeleine widziała na filmach w telewizji - spojrzenie wilka, który zaraz zagwiżdże na śliczną dziewczynę idącą ulicą. Ojciec Philipa jest zajęty pracą i nie zwraca większej uwagi na widzów. Zwięźle, cicho opowiada o polowaniu, i przyjmuje piwo niemal po zastanowieniu.

- Do licha! To prawdziwe cudo, Harve - stwierdzają, wpatrzni w sarnę.

Philip szczerzy się dziwnie i usłużnie podaje różne rzeczy ojcu. Podnosi kubek z bebeczami, wymiotuje do niego na niby i podstawia pod nos Madeleine i Colleen.

- Philip - upomina go łagodnie tata. Philip kładzie wiadro i patrzy na ojca, który zaczął już odrąbywać mięso z sarny. - Pomagasz mi czy bawisz się z dziewczynami?

Philip robi się czerwony jak burak i odtąd zupełnie nie dostrzega Madeleine i Colleen. Podobnie postępują pozostali mężczyźni i chłopcy - nie ma już między nimi kobiet w zapadającym zmroku. Niebo jest piękne i smutne, naznaczone pomarańczowymi smugami chowającego się słońca. Gdzieś gra muzyka, płynie z otwartego okna dwa, trzy domy dalej. „Bali Hai” przyzywa...

Arnold Pinder siedzi na drzewie z przedłużaczem w ręku, ustawia żarówkę dokładnie nad sarną. Mężczyźni zapomnieli o Madeleine i Colleen, które ich podglądają.

Madeleine wie, że tutaj dziewczynkom wstęp wzbroniony. Kobietom również. Przyrządzą mięso i podadzą je na stół, ale nie wypada, żeby panie były obecne przy tych czynnościach. Nie z powodu ćwiartowanej sarny - teraz odcinają jej głowę - „Uwaga. Mam ją, w porządku... Waży chyba z tonę” - ale tak jak nie przystoi dziewczynom ani kobietom wchodzić do zakładu fryzjerskiego dla panów. Nie mówiąc o gospodzie. To męskie przybytki. Madeleine zdaje sobie sprawę, że wkrótce ojciec przestanie ją zabierać ze sobą do fryzjera. To podwórko stało się męskim przybytkiem.

Wydają z siebie okrzyk, kiedy odcinają to, co zostało z sarny, i kładą na brezentowej płachcie. Tata Philipa pochyla się nad okrojonym trupem z piłką do metalu. Dziewczynkom zasłaniają widok mężczyźni i chłopcy, zebrani wokół brezentowej płachty, odprężeni już, z butelką piwa albo coca-coli w ręku. Ale widzą za to wychodzącego zza domu Arnolda Pindera, który prowadzi psa, Buddy'ego, za obrozę. Buddy właściwie idzie na tylnych łapach, ciągnie Arnolda w stronę płachty. Pan Pinder prostuje się i rzuca psu patyk, który ten porywa w mgnieniu oka. To nie patyk, to noga.

Madeleine szturcha Colleen, ale ona tylko wzrusza ramionami. Madeleine wie, że popełniono na sarnie zbrodnię. Lecz Colleen nigdy tego nie przyzna. Rzadko wyraża swoje poglądy - nawet gdy widać po niej, że ma wyrobiony pogląd na daną sprawę. Nie tylko pogląd, ale właściwą odpowiedź. Sęk w tym, że nie chce się nią podzielić. „Jeśli sama nie wiesz, to nie ma sensu, żebym ci mówiła”. Madeleine niedawno zdobyła się na odwagę i odparła: „To głupia odpowiedź”.

Na to Colleen uniosła brwi i kącik ust w uśmiechu.

Colleen potrafi celnie strzykać śliną z koniuszka języka. Robi to, ilekroć zajmuje stanowisko, w milczeniu albo nie. Tym razem też spluwa i mówi: - Mój brat też zastrzelił kiedyś sarnę.

Przez chwilę Madeleine zastanawia się, kogo ma na myśli, ponieważ nie może pogodzić ze sobą obrazów Ricky'ego Froelicha i zabijania zwierząt.

- Ricky?

- A ilu mam braci?

Madeleine wie, że Roger i Carl się nie liczą. To niemowlaki. Przetyka ślinę. - Po co?

Colleen nie odzywa się.

- Żeby zjeść?

Colleen wstaje i odchodzi, Madeleine podąża za nią. W mroku wita ich chłód,

posuwają się w górę łagodnym zboczem, stąpając po trawie, która z nadejściem przymrozków wydaje się bardziej sprężysta.

Madeleine idzie w ślad za Colleen w stronę drabinek i karuzeli połyskujących na tle nocy kusząco i tajemniczo. Na dębnie jaśnieją nagie pręgi, przechodząc obok niego, Madeleine głaszcze ranę - *Wyzdrowiej szybko*.

Huśtawki po zmroku jakby urosły - ogromne metalowe boki w kształcie litery A i łącząca je poprzeczka. Bujawki zadzierają do góry belki z siodełkami niczym wierzgające mustangi, lśniąca, chuda zjeżdżalnia nęci, wszystko zdaje się rzucać wyzwanie: „Chodź, spróbuj swoich sił”. Madeleine przebiega dreszcz, gdyż pora jest późna, dopiero teraz uświadamia sobie, że już dawno powinna była wrócić do domu. Straciła poczucie czasu, przez ten zachód słońca, sztuczne oświetlenie na drzewie, muzykę, mężczyzn i chłopców. I przez sarnę.

- Musiał ją zabić - mówi Colleen, przesuwając się po belce, aż łapie równowagę pośrodku bujawki.

Madeleine idzie w jej ślady. - Dlaczego?

- Żeby skrócić jej cierpienia.

Stają zwrócone do siebie plecami w punkcie podparcia belki i zacierają powoli w stronę jej końców, niczym pojedynkujący się dżentelmeni, starając się utrzymać belkę w równowadze. Potem ostrożnie odwracają się do siebie twarzą. Chodzi o to, żeby bez ostrzeżenia zeskoczyć, sprawiając, że jeśli przeciwnik się w porę nie spostrzeże, uderzy z hukiem o ziemię. Skaczą na zmianę. Wokoło lśni ciemność. Jedyne światło dociera z odległych domów i ulicznych latarni - i z sierpowatego księżyca, który wydaje się na czarnym niebie jeszcze bardziej niedostępny niż zwykle. W tych okolicznościach można zadać pewne pytania, niedopuszczalne w jasny dzień. Madeleine słyszy własny głos - jak przecina chłodną, jasną noc niczym trzaśnięcie z bata. - Czy wy jesteście Indianami?

Colleen jakby nie usłyszała pytania. Stoi na końcu belki.

Madeleine przełyka ślinę. - To dla mnie bez różnicy, bo i tak lubię Indian.

Wyraz twarzy Colleen jest nieodgadniony w mroku. Jej skóra wydaje się ciemniejsza w nocy, błękitne oczy jaśniejsze.

- Jesteśmy Metysami - odzywa się w końcu.

Madeleine spodziewa się dowiedzieć czegoś więcej, ale Colleen milczy, przygląda się jej. Prowadzi grę.

- Co to znaczy?

- Wiesz, kto to jest mieszaniec?

Madeleine kiwa głową.

- Nigdy nie używaj tego słowa.

Madeleine nie odzywa się.

- Słyszałaś o Louisie Rielu?

Madeleine potrząsa głową.

- Był buntownikiem. Walczył z osadnikami.

- Co się z nim stało?

- Powiesili go.

Madeleine zastygła w wyczekującej pozie niczym myśliwy albo sarna, gotowa do skoku...

- *Dieu merci!*

Odwraca się na dźwięk głosu swojej matki w chwili, kiedy Colleen zeskakuje z bujawki; Madeleine z hukiem uderza o ziemię, ale nie wydaje z siebie nawet jęku, gdyż natychmiast porywa ją w górę silny uścisk ramion. Madeleine, przyciśnięta do matczynej piersi, czuje ich miękkość i sprężystość, czuje łomoczące pod jedwabiem serce, zapach lakieru do włosów i perfum. W następnej chwili matka odsuwa ją od siebie, obraca, daje jej klapsa i ciągnie bezceremonialnie za rękę do domu. Matka płacze i zapowiada, że ojciec sprawi jej tęgie lanie - czczy pogróżka, jak Madeleine dobrze wie, ale stanowi miarodajny wskaźnik stanu psychicznego matki:

„*Maman* odchodzi od zmysłów ze zmartwienia”. Jej obcasy z kości słoniowej przy każdym kroku wbijają się w ziemię, przesywając bryłki błota i darń.

Dochodzą do chodnika i Madeleine ogląda się za siebie, ale Colleen zniknęła.

Pięć dni później następuje zmiana pogody. Rano jest łagodna śnieżycą. Grube płatki wirują za oknami szkoły imienia J.A.D. McCurdy’ego, a po południu nadciąga ciemna chmura i wzmaga się wiatr, który rozdmuchuje śnieg niczym piasek po całym placu szkolnym, usypując małe wydmy przy zjeżdżalni, wzgórku miotacza, stojaku dla rowerów i kołach samochodów. Czwarta klasa robi na plastycie płatki śniegu. Weźcie kawałek białego brystolu, złożcie dokładnie na pół, narysujcie połowę płatka śniegowego, wytnijcie, potem ostrożnie przekłujcie nożyczkami w wielu miejscach, żeby powstały otworki, i rozłóżcie. Jakie śliczne.

Pierwszy śnieg zawsze zaskakuje. Pada przez noc, a rano rodzic budzą dzieci: „Spójrzcie przez okno!”. Zakrywa wszystko - drzewa, budynki, podwórka i rowery. Zespała ludzi i rzeczy w jedną całość, nawet dźwięki - świeży, biały, wyciszony świat, gdzie nawet

chrzęst opon brzmi intymnie, każdy szept i ptasi krzyk opowiada tę samą historię. Domy i pojazdy wyglądają spod białych obrusów, które tworzą fałdy na okapach dachów i na reflektorach samochodowych, spływają i zastygają w sople. Ponad trawnikami jeden wielki przestwór, zarysowują się krzywizny i kontury, zagadkowe wypukłości.

Po śniadaniu dzieci wkładają zimowe kombinezony i wysokie czapki; pękate figurki z ramionkami jak pingwinie skrzydełka drepczą w zimowym słońcu, ochoczo i zarazem z żalem robiąc pierwsze ślady. Wyprzedziły je ptaki, zostawiając trójpalczaste odciski, ale poza tym śnieg jest nieskalany. Wkrótce będzie poryty i brudny; dzieci ulepią bałwany i zbudują śnieżne forty, narysują orły na białej powierzchni, odstąpią gdzieś kępy trawy. Zapach gleby przefiltrowany przez przemoczoną wełnę szalików, najeżonych sopolkami zamrzniętych oddechów jest jedyny w swoim rodzaju, tak jak smak śniegu zjadanego z rękawiczek.

Pod koniec dnia z lśniących czarnych podjazdów wznosi się para, białe czapy zsuwają się ciężko ze skrzynek pocztowych, z balustrady na ganku. Przegrzane dzieci zdejmują czapki i rozpinają kombinezony, brodząc przez śnieg w drodze do domu.

- Ptaki zupełnie zgłupieją - stwierdza pani w supermarkecie, gdzie Jack kupuje węgiel drzewny.

- To ostatni grill, na pożegnanie sezonu - wyjaśnia Jack.

Wieczór jest ciepły. I choć Madeleine krępuje to, że są jedyną rodziną, która wyprawia sobie ucztę pod gołym niebem na topniejącym śniegu, z ustawionego przed tylnym wyjściem różna, na którym obraca się kurczak, dochodzi kuszący zapach. Zachowanie rodziców, ilekroć wprowadzają w czyn tego rodzaju szalony pomysł, potęguje jej udrękę i dopełnia miary jej szczęścia. Matka śmieje się nie wiadomo z czego, ojciec wciąż puszcza do niej oko. *Maman* obejmuje go od tyłu w pasie, jak to ma w zwyczaju, kiedy tata gotuje albo robi coś, co uważa się za zajęcie dla kobiet. On z dumą ogłasza, że wszyscy znamienici szefowie kuchni to mężczyźni, a ona kąsa go w płatek ucha. Madeleine i Mike wymieniają wymowne spojrzenia i przewracają oczami.

WIZYTY DOMOWE

Pewnego dnia Willie pisze wiadomość dla mleczarza i z przerażeniem odczytuje, co napisała: jedno słowo - „Ratunku”.

„TV Guide”, omówienie filmu *Gospodyni w potrzasku*, z Michaeliem Kane'em
jako „Głosem Lekarza”, 1962

Jack zaczął się czuć niemal jak szofer. „Chłopiec na posyłki” to stwierdzenie za daleko posunięte, zważywszy na to, że jest jedyną osobą, z którą Oskar Fried ma kontakt. Ale nie zaszkodziłoby, gdyby ten człowiek był bardziej towarzyski. Jack wozi go wszędzie swoim ramblerem. Nawet po mieście. Fried nigdzie nie chce chodzić pieszo, a za nic nie zamówi taksówki. Nęka Jacka, jak może, aby ten w końcu skapitulował i oddał mu kierownicę. Ale Jack nie pozwoli Friedowi prowadzić bez prawa jazdy - a jeśli zatrzyma ich policja?

Jazda samochodem sprzyja rozmowom, ale Fried rzadko się odzywa. Jack znosi jego milczący profil na tle przesuającego się za szybą krajobrazu... Wodospad Niagara, Ogrody Botaniczne, palmiarnia w Bajkowych Ogrodach; raz czy dwa razy w tygodniu wycieczka, a raz nawet kolacja i mecz hokejowy w Toronto - Jack powiedział wtedy Mimi, że został zaproszony na przyjęcie, które wydał tamtejszy uniwersytet. Tim Horton był w świetnej formie, a Gordie Howe przechodził samego siebie; mogło być wesoło, ale Fried jest marnym kompanem i Jack gorzko żałował, że zamiast niego nie wziął na mecz syna. Komentował przebieg gry w sposób godny Dicka Irvina, podczas gdy Fried oglądał swój pierwszy mecz hokejowy z natężoną uwagą iguany. Ale nie było po nim widać, czy sprawia mu to przyjemność. W drodze powrotnej do Londynu Fried oświadczył naraz: „Biorę ten samochód”. „Co proszę?”. „Pan pożycz mi ten samochód”. „Nie, proszę pana, przykro mi”. Po tej wymianie Fried popadł w jeszcze głębsze milczenie.

Fried osusza do dna butelkę wina, pałaszuje stek po nowojorsku, ale nic nie jest w stanie rozwiązać mu języka. Jack płaci rachunki - Fried chyba nie nosi ze sobą pieniędzy. I nigdy nie omieszka złożyć zamówienia przez telefon, więc Jack niezmiennie zjawia się u Frieda obładowany zakupami. Koniak, woreczek tytoniu fajkowego... sporo się tego zawsze

uzbiera.

Simon zwraca mu poniesione koszty, ale raz Jack znalazł się w kłopotliwym położeniu, którego Simon nie zdołał przewidzieć. Pensję Jacka księgowy przekazuje bezpośrednio do banku na wspólny rachunek Jacka i Mimi. Nie każde małżeństwo posiada wspólny rachunek bankowy, ale w związku opartym na prawdziwym partnerstwie jest to rzecz oczywista, a taki jest związek Jacka i Mimi. Nieuzasadniony wydatek rzędu stu dolarów na pewno dałby Mimi do myślenia.

Jack wybrnął z opałów, prosząc porucznika z księgowości o zaliczkę. Nic nadzwyczajnego, nic podejrzanego. Otrzymał ją bez problemu. Tydzień później Simon przysłał mu pieniądze i Jack zdążył złożyć je na rachunku tego samego dnia, kiedy wpłynęła reszta jego wynagrodzenia. Ale kiedy dwa tygodnie później Mimi przy stole w jadalni podliczała budżet - Jack jest magistrem zarządzania, ale to Mimi rządzi finansami w domu - podniosła wzrok i zapytała, dlaczego tego samego dnia na konto dokonano dwóch różnych przelewów, których suma stanowiła wysokość jego zwykłej pensji. Jack powiedział jej, że księgowy się pomylił - policzył mu o sto dolarów za mało, a potem wyrównał. Mimi uwierzyła, a dlaczego by nie?

Ale w Jacku pozostawiło to lekki niesmak.

Kiedy przyjechał do domu po pierwszym popołudniu spędzonym z Friedem, oniemiał wprost, gdy żona spytała go przy kolacji, co porabiał w Bajkowych Ogrodach. Jak się domyśliła? Była w Londynie? Widziała go z Friedem? Czuł, jak fala gorąca napływa mu do twarzy. Odpowiedziała, zanim zdążył ją o to zapytać. Okazało się, że na tylnym zderzaku tkwiła ta nieszczęsna nalepka. Czarny zarys wieży zamkowej na jaskrawożółtym tle. Nie zauważył jej, kiedy wrócił na parking, naczekawszy się najpierw na Frieda, który w palmiarni jak zaklęty, bez końca gapił się na stojące w rzędzie rośliny w doniczkach. Powiedział Mimi, że wyrwał się tam w przerwie między spotkaniami, żeby coś przekąsić i rozprostować nogi. Nie wypytywała go dalej, a w jej późniejszym zachowaniu nie było widać oznak podejrzliwości. A dlaczego miałyby go podejrzewać?

Mimo to Jack jest zły na siebie za to, że przy własnym stole poczuł się jak winowajca. To nie był nawet „taktyczny wybieg”, to było po prostu... podłe kłamstwo. Drażni go upór, z jakim Oskar Fried odmawia przyjazdu do niego w gościnę; zerwaliby wreszcie z tą bzdurną konspiracją, a Fried mógłby spotkać się z jego rodziną pod jakimś wiarygodnym, towarzyskim pozorem, żeby Jack mógł potem otwarcie i bez budzenia niczyich podejrzeń od czasu do czasu pomóc przybyszowi. „Uzdrowić stosunki”. Nosił się z zamiarem wtajemniczenia Mimi, ale najpierw musiałby to uzgodnić z Simonem; wygłupiłby się, gdyby

zwrócił się do Simona o pozwolenie, podając jako uzasadnienie, że czuje się jak mały krętaacz. Poza tym Mimi ma dość na głowie i nie musi dodatkowo martwić się zbiegiem ze Związku Radzieckiego ukrywającym się przed KGB - zwłaszcza po tym, co ostatnio tu przeżyli z powodu Kuby.

Zastrzegł sobie weekendy dla rodziny i nie odbija się to na jego pracy, ale przegapił pierwszy występ syna w rozgrywkach hokejowych w tym sezonie. Kiedy wyjechał do Winnipeg na serię narad w Dowództwie Szkolenia Lotniczego, odetchnął z ulgą - przez całe cztery dni Fried nie będzie mu zawracał głowy. Żadnego biegania po zakupy, żadnego łgania. Nie był niczym służącym. Niczym szoferem.

Uczeni są podobno dociekliwi. A Fried nie zadał Jackowi ani jednego pytania na temat jego pracy czy też życia w Ameryce, które wykraczałoby poza czysto użytkowy wymiar. Jack ma wrażenie, jakby był niewidzialny. Zastanawia się nad tym, co wyczytał o zatrudnionych naukowcach. *Małomówni, nietowarzyscy*. W obejściu Frieda zaczął dostrzegać coś nieprzyjemnego. Co początkowo brał za przejaw lęku, przeobraziło się w coś na kształt pychy. Może to zwyczajna uraza, frustracja wywołana tymi wszystkimi latami niewdzięcznego wysługiwania się sowieckiemu reżimowi. Może ten biedny drań nie potrafi odczuwać szczęścia. Przecież Fried to specjalista od rakiet, a nie kandydat na Miss Uprzejmości, reflektuje się Jack.

Gdyby tak jeszcze lubił rozmawiać o tych cholernych rakietach, chociażby najbardziej ogólnikowo. Jack zagadnął go o USAF, ale Fried odparł tylko: „Wolę NASA”. Przez chwilę Jack był wniebowzięty - oto miał przed sobą uczonego, którego marzeniem była praca w cywilnej agencji badawczej, idealistę całym sercem dążącym do wysłania człowieka na Księżyc dlatego tylko, że po prostu jest na niebie, niemal w ludzkim zasięgu. Ale uniesienie Jacka szybko minęło. Nie udało mu się wydusić z Frieda ani słowa więcej na ten temat. Kiedy Simon uprzedzał go, że będzie miał za zadanie „dogłądać” uciekiniera ze Wschodu, Jack nie przypuszczał, że stanie się jego gosposią. Tato, a co robiłeś, kiedy trwała zimna wojna? Nosilem zakupy.

Jack trzyma za ogon trzy sroki naraz - rodzinę, pracę i jeszcze Frieda na boku. Pod koniec listopada zaczyna odczuwać znużenie, nie tyle wskutek nawału zajęć, co towarzyszących temu drobnych kłamstewek. Zostawiają osad. Kiedy Mimi, przejęta tym, że tak się ostatnio przepracowuje, masuje mu wieczorami kark, Jack nie potrafi się poddać jej kojącemu dotykowi. Znow opadają go wyrzuty sumienia, mimo że właściwie w żaden sposób nie grzeszy - nie zdradza żony. Niemniej zdaje sobie sprawę, że wszystkie okoliczności wskazywałyby na to, że ma romans - tylko że chociaż zadaje sobie tyle samo trudu, nie jest on

wynagradzany. Ta ostatnia myśl jest niegodna i ma sobie za złe, że coś takiego przyszło mu do głowy.

Ponieważ jest baczny obserwatorem tak własnych zachowań, jak i innych ludzi, zauważa, że zmienił się jego sposób myślenia. Wie, że tworzy sieć wygodnych bruzd, oszukańczych przesmyków, które przysięgł sobie wykorzystać tylko raz i tylko w tym celu - lecz przesmyki zostają. Ile czasu trzeba, żeby zarosły trawą i zniknęły? Bagatelizuje to jednak, pocieszając się, że pod tym względem jest okazem zdrowia. Normalnym facetem obdarzonym wrażliwym sumieniem. Po prostu nie cierpi okłamywać żony.

W końcu Jack znajduje rozwiązanie, przynajmniej połowiczne: telewizja. Sugeruje Simonowi, że Friedowi przydałby się telewizor, chociażby po to, żeby poćwiczył swój angielski, poza tym nie doskwierałaby mu tak samotność. Przemilcza przed Simonem, że Fried jest praktycznie tak samowystarczalny jak jego storczyki - z wyjątkiem dziedziny transportu. Simon przesyła pieniądze i Jack przynosi Friedowi nowy odbiornik marki RCA Victor, a ten zaraz zabiera się do odplątywania storczyków od anteny pokojowej. Gdy Jack wychodzi, Fried siedzi wpatrzony w ekran, beznamiętny jak zawsze. „To na razie, Oskar. Zadzwoń w razie czego”. Jack uśmiecha się pod nosem, zamykając za sobą drzwi. Fried nawet się nie pofatygował, żeby zaryglować za nim drzwi.

Po północy dzwoni telefon. Mimi schodzi na dół wcześniej od niego. Pyta ją, kto to, ale ona nie wie. - Zaraz odłożył słuchawkę.

Telefon odzywa się ponownie. Jack łapie słuchawkę i mówi Friedowi, że dodzwonił się pod niewłaściwy numer. Potem oświadcza żonie: - Czuję, że teraz nie zasnę. Przejdę się trochę.

- O tej porze?

- Dlaczego nie? Jest cicho i spokojnie.

Wkłada spodnie i wychodzi. Zmierza w stronę bazy, za zakrętem puszcza się biegiem. Oddzwania do Frieda z budki przy placu defiladowym.

Fried miał mu do przekazania, że coś się zepsuło w jego nowym telewizorze. Na ekranie widnieje Indianin, którego nie daje się usunąć. W innych okolicznościach Jack by się roześmiał. - To jest obraz kontrolny, Oskar. Telewizja nie nadaje już żadnych programów. Idź spać.

FRÖHLICHE WEIHNACHTEN

Jeśli lekkoatleta łapie grzybicę, to co opuszcza astronauta? Przyłbicę.

„Schwarzwald Flieger" (Lotnik z Czarnego Lasu),
pismo 4 Dywizjonu Myśliwskiego RCAF, RFN, 1962

W parku za domem Froelichów zjeżdżalnia z powodu śniegu jest niższa o połowę, a huśtawki tkwią w zaspach. Na podwórkach małe dzieci, wykręcając kostki do wewnątrz, ślizgają się na łyżwach po maleńkich lodowiskach, które wylali im tatusiowie. Również Claire McCarroll na niedawno zakupionych łyżwach kieruje swe nieśmiałe kroki w stronę ojca, który czeka na nią z szeroko otwartymi ramionami - to jej pierwsza zima w Kanadzie. W jadalni McCarthych, pod wpływem ciepła wydzielanego przez płonące świece, wirują mosiężne aniołki, szybciej z niedzieli na niedzielę, gdy zapalana jest następna świeczka. Madeleine i Mike na zmianę każdego dnia otwierają kolejne malutkie tekturowe drzwiczki na sfatygowanym kalendarzu adwentowym, piąty rok z rzędu przyczepionym przez Mimi do lodówki. Czekoladki ukryte pod każdym dniem miesiąca dawno zniknęły, ale obrazki zostały: pies, świeca, choinka... I tak po kolei aż do dwudziestego czwartego dnia, kiedy to odsłonięte będzie Dzieciątko Jezus. Na górze napisane jest gotycką czcionką *Fröhliche Weihnachten*. Życzenia wesołych świąt z krainy *O Tannenbaum*. Mimi proponowała, że kupi im nowy kalendarz, ale dzieci nie chcą o tym słyszeć.

Jack wraz z Mimi idzie na wywiadówkę do szkoły i tam opada trochę z niego napięcie, w jakim żył od kilku miesięcy. Mike radzi sobie dobrze, ale stać go na więcej. „Musi bardziej się przyłożyć", mówi pani Crane. Martwi ją, że Mike spędza więcej czasu z Arnoldem Pinderem, niż jest to być może wskazane. Ale ona lubi Mike'a. Powinna równo traktować uczniów, lecz ma wyraźną słabość do Mike'a. To miły chłopiec. Dobroduszny. Jack zerka na Mimi, która promienieje.

Madeleine po niezbyt udanym starciu teraz wyszła na prowadzenie - jej cenzurkę warto by oprawić na pamiątkę. Jack przenosi spojrzenie z narzucających się filcowych zwierzątek na tablicy na siedzącego przed nim bezbarwnego nauczyciela. Sflaczały facet z

maślanymi oczami - pasowałyby do niego wąsiska morsa. Tacy jak on w dzieciństwie zawsze obrywają na przerwach, a gdy dorastają, odgrywiają się na mniejszych. Jakimś cudem córce Jacka udaje się czegoś nauczyć od tego błazna. Tym bardziej jest z niej dumny.

W ciągu drugiego tygodnia na sznurkach rozciągniętych między salonem a jadalnią przybywają świąteczne karty, a nad kominkiem zostają zawieszane długie skarpety, wszystkie opatrzone mianami, które Mimi wyhaftowała przed laty w Albercie: *Papa, Maman, Michel, Madeleine*. Na półce nad kominkiem rozstawiony jest żłóbek Pański, wymoszczony śniegiem z waty. Madeleine nigdy nie może się dość napatrzeć na to cacko, kupione jeszcze w Niemczech w 1958. Nad drewnianą stajenką, z podłogą usłaną słomą, unosi się anioł; wokół niej i w środku śpią i pasą się malowane ceramiczne owieczki i krowy, podczas gdy Józef i Maria klęczą z przeciwległych końców pustego koryta - Dzieciątko Jezus spoczywa w szufladzie maszyny do szycia *Maman* aż do Bożego Narodzenia. Przed stajenką tkwią pasterze; Madeleine codziennie przesuwają ich figurki, podobnie jak zwierzątka. Mocno ją kusi, żeby dodać ze dwa żołnierzyki Mike'a. Trzej Mędrcy zdążają do stajenki na wielbłądach z drugiego końca półki, lecz Madeleine improwizuje, każe im przemierzać rozległe przestrzenie stołu w jadalni, pustkowieia kuchennej podłogi; zamienia ich w rozbitków, ciśniętych na biegun północny na lodówce - *chyba w Albuquerque skręciliśmy nie tam, gdzie trzeba*. Przepraszam, Panie Boże. Jeden z Trzech Mędrców jest czarny, odziany w purpurową szatę, jej ulubioną. *Dzisiaj w Ottawie, dzisiaj w Ottawie wesola nowina, sto odrzutowców, tysiąc bombowców leci do Berlina. Hitler na dachu kona ze strachu...* Te słowa nasuwają się jej mimowolnie, gdy wpatruje się w scenę narodzenia Pańskiego. Madeleine odpędza bluźnierczy tekst, skupiając się na Dzieciątku Jezus; przepełniona jest żarliwą miłością do niego. Klęczy przed maszyną do szycia, opierając się głową o szufladę, w której ukryty jest mający niebawem przyjść na świat Jezus. Jej oczy zachodzą łzami, kiedy modli się, aby tym razem nikt Go nie skrzywdził.

Po domu rozchodzą się świąteczne zapachy. Mimi przygotowuje wypieki: kruche, okrągłe maślane ciasteczka posypane cukrem pudrem i lukrowane placki daktylowe, przypominające z wyglądu zapiekankę z mięsem. Z pomocą foremek dzieci wycinają z ciasta dzwonki, gwiazdki i bałwanki, przystrajając je okruchami kandyzowanych dzikich czereśni nasączanych likierem. Na blatach w kuchni piętrzą się ozdobne puszkę, spod ich wieczek wystaje woskowany papier. Mimi wyjmuje z piekarnika pierwsze placki z mięsny m farszem - pikantne i pyszne, na ich widok ślinka leci z ust, mieszkańcy Quebecu nazywają je *tourtières* - a potem zajmuje się *les crêpes râpées*. W stosownej chwili każdy po kolei zostanie wysłany przez nią do piwnicy, żeby przemieszczać ciasto na świąteczny placek, fermentujące tam od

listopada.

Mimi i Jack czytają list napisany przez Madeleine do Świętego Mikołaja i śmieją się w głos. Ich dziewczynka prosi o pistolet na kapiszony i kaburę albo „inny, obojętnie jaki pistolet” oraz wrotki i krótkofalówkę. List zaopatrzony jest w postscriptum, w którym autor uprzejmie dziękuje Mikołajowi za wszystkie ładne lalki otrzymane od niego w przeszłości i prosi, aby więcej ich jej nie przynosił.

Na drabinie pożyczonej od Henry'ego Froelicha Jack rozwiesza przed domem świąteczne lampki, sporadycznie tylko klnąc pod nosem, i liczy przepalone żarówki do wymiany. Zabiera dzieci do szkółki leśnej ustanowionej na terenie parku w Exeter. Śnieg pada grubymi płatkami jak na filmie Franka Capry. Wybierają drzewko, które jest dalekie od ideału, gdyż nie mogą znieść myśli, że ta dzielna, acz ułomna choinka nie trafi do niczyjego domu i nie zostanie otoczona miłością w te święta. Zawsze można ją postawić łysym miejscem do ściany.

Jack wyciąga stojak - co roku zarzeka się, że wywali go na śmietnik, gdyż na pewno zaprojektował go jakiś Francuz, żeby maksymalnie uprzykrzyć ludziom życie - i zaprzęgając do pomocy syna, dokonuje corocznego cudu inżynierii, co wymaga poziomowania, przycinania, piłowania i prostowania. „Uważaj, Jack, nie chcę, żebyś znów przez święta udawał pirata”. Jack potrząsa głową, z udawaną boleścią, podczas gdy oboje z Mimi wspominają, jak to kiedyś igła świerka ukłuła go w zdrowe oko i musiał nosić opaskę aż do Nowego Roku. Tamtego roku wszyscy złapali przeziębienie, a Madeleine ząbkowała. „To były naprawdę udane święta, pamiętasz, moja pani?”. Całuje ją, a ona mówi: „Wciąż przechylona trochę w prawo”. Jack zakłada na czubku elektryczną gwiazdkę, rozwiesza światełka, na koniec podłącza do prądu i żona z dziećmi biją mu brawo.

Dwa tygodnie przed Gwiazdką rodzina McCarthych wyjeżdża w sobotę do Londynu. Rozdzielają się, Jack zabiera Madeleine, która ma wybrać prezent dla matki, a Mimi Michela, który ma kupić upominek ojcu. Potem spotkają się przed sklepem Simpsona i wymieniają prezenty. Madeleine kupuje mamie ceramiczną żabkę, z rozwartym pyszczkiem na skrobak do naczyń.

Zapalają się latarnie uliczne, a wraz z nimi elektryczne gwiazdki i ogromne świece, rozpięte łąkiem nad głowami i rzucające na przechodniów migotliwy, wielobarwny blask. Z głośnika umieszczonego przed wejściem do hali targowej płynie kolęda *Wśród nocnej ciszy...* Madeleine trzyma ojca za rękę okrytą wielką czarną rękawiczką i oboje wpatrują się w witrynę sklepu Simpsona, gdzie na wystawie przez bajkowy zimowy krajobraz mknie pociąg z zabawkami, pluszowe misie ślizgają się po zamarzniętym stawie, a pod choinką gra złożony

z kotów zespół jazzowy.

Madeleine starannie dobiera słowa. - Niektórzy uczniowie z mojej klasy nie wierzą w Świętego Mikołaja.

Jack wie, że córka go sonduje. - Czyżby? A dlaczego?

Madeleine przedstawia dowody przemawiające przeciw istnieniu Mikołaja: jedno sanie nie pomieściłyby tych wszystkich prezentów, jedna osoba nie objechałaby całej kuli ziemskiej w ciągu jednej nocy. Jack w odpowiedzi wciąga ją w rozważania na temat natury czasu. Może to, co uznajemy za teraźniejszość, tak naprawdę stanowi przeszłość. Może jesteśmy w stanie dostrzec rzeczywistość dopiero po tym, jak zaistniała, i pod tym względem przypominamy gwiazdy: odbicia tego, co minione.

- To dlatego niektórzy ludzie mają dar jasnowidzenia - widzą przyszłość. A inni z kolei mogą podróżować w czasie. Jak Święty Mikołaj.

- Więc... może już jesteśmy martwi? - pyta Madeleine.

- Nie, nic podobnego - śmieje się Jack. - Chodzi mi o to... - urywa i spogląda na córkę. Zagięła go. Nagle przesywa go wspomnienie dnia z odległej przyszłości - a może już przeszłego - gdy córka będzie dorosła i go opuści. Przestanie być jego małą dziewczynką, przekonaną, że tatuś ma na wszystko odpowiedź. Wilgotnieje mu oko, to nadwerężone, lecz on opanowuje wzruszenie i mówi: - Moim zdaniem trzeba przyjąć, że wszystko jest możliwe. Ale nawet gdyby Święty Mikołaj nie istniał, powinniśmy go wymyślić i cieszyć się ideą.

- A ty wierzysz w Mikołaja?

- Wierzę w ideę.

- Ja też - odpowiada Madeleine z ulgą: święta ocalone, a ona nie musi kłamać.

Niedaleko bije dzwon, odwracają się od wystawy i widzą kwestora z Armii Zbawienia. Jack sięga do kieszeni po drobne i w tej samej chwili z hali targowej wychodzi Oskar Fried z gazetą wetkniętą pod pachę i z fajką w ustach. Skurkowaniec jednak rusza się z domu, po prostu nie chce mu się robić codziennych zakupów. Jack ma na ustach powitanie, lecz nagle zjawiają się żona i syn - „Nikommu nie wolno zaglądać do tych torebek aż do Gwiazdki” - oznajmia Mimi z udawaną surowością, a on uśmiecha się w odpowiedzi: - Jak wam poszło? Zadanie wykonane?

Fried przechodzi przez ulicę, lecz na widok Jacka odwraca wzrok. W Jacku, ku jego zdziwieniu, wzbiera nagły gniew. Czuje się, jakby dostał policzek - jego dobra wola, jego obecność tu z całą rodziną przechodzą niezauważone. Korci go, choć wie, że to nierozsądne, żeby zawołać: „Wesołych świąt, Oskarze, *Fröhliche Weihnachten!*”, wymusić na nim odzew. Fried przechodzi obok niego, tak blisko, że Jack widzi jego gazetę, „Frankfurter Allgemeine

Zeitung", zakupioną na niemieckim stoisku. Jack nie odzywa się. Pozwala Friedowi odejść i zniknąć w tłumie.

- Co ci jest, Jack? - pyta Mimi.

- Nic. Wydawało mi się, że kogoś zobaczyłem, ale przywidziało mi się.

Po powrocie do domu o czwartej zabierają się do strojenia choinki. Świerk stoi od tygodnia, obwieszony światełkami, pora go przyozdobić. Mimi przyniosła z piwnicy pudełka; leżą teraz otwarte na ławie, ich zawartość lśni. Te ozdoby ukazują w przekroju dzieje rodziny McCarthych - lameta pochodząca jeszcze z trzech placówek wstecz, z którą dzieci ani myślą się rozstać; filigranowe ptaszki z czubkami z piórek z pierwszego roku małżeństwa Jacka i Mimi, bombki z narciarzami wrytymi w sztucznym szronie. Jack nalewa Mimi ajerkoniak, kiedy dzwoni telefon. Mimi odbiera. - Znowu głuchy telefon.

- Jakiś wariat - kwituje Jack i podaje Mimi kieliszek. Nie zbiera się do wyjścia „na krótki spacer”, żeby oddzwonić do Frieda, lecz kiedy sięga po ozdobę, czuje, że żona mu się przygląda. A właściwie zerka na niego. To ulotne wrażenie - że żona czeka, żeby się przekonać, czy on znajdzie pretekst, żeby nagle wyjść z domu. Palą go policzki i przezornie się nie odwraca.

- Nastaw płytę, co, Mike? - prosi syna.

Wybiera bombkę w kształcie żołędzia i zabiera się do naprawy jej metalowego uchwytu. Ten podły drań znów zadzwonił, mimo że Jack zastrzegł jasno i wyraźnie, że może telefonować do domu tylko w nagłych wypadkach. Jeśli czuje się samotny, mając w perspektywie smętne święta, wystarczy, żeby przyjął zaproszenie Jacka i spotkał się z jego rodziną. Ale nie, on woli postępować jak złodziej pod osłoną nocy, zboczeniec skradający się w mroku.

- Au! - Jack powstrzymuje przekleństwo cisnące mu się na usta; krew leci mu z kciuka, w którym utkwiał odłamek kruchego żołędzia.

Mimi biegnie do łazienki po bandaż, a Madeleine podaje mu jedną z nietłukących się śnieżynek, którymi dzieci musiały się zadowolić, kiedy były małe.

- To moje ulubione - oświadcza córka, a on gładzi ją po głowie.

Bingowi Crosby marzą się białe święta, a jego głos uśmierza wzburzenie Jacka.

Następnego dnia Jack dzwoni z pracy do Frieda i dowiaduje się, że tamtemu skończył się tytuń. - I dlatego wykreśliłeś mój domowy numer?

Cisza.

- Przecież wczoraj byłeś w hali targowej, Oskar. Mogłeś sobie kupić.

Fried nie odzywa się i Jack widzi go niemal, jak po drugiej stronie wzrusza ramionami. Co mu chodzi po głowie? W zeszłym tygodniu Jackowi przypadła rola praczki: zwiózł brudne rzeczy Frieda do piwnicy budynku, bo ten rzekomo nie rozumiał zasad działania pralki na monety. „Do tego nie trzeba być geniuszem, to nie silnik raketowy, Oskar”.

Jack musiał zsynchronizować swoje poszukiwania prezentu dla Mimi z cyklem płukania.

- Jutro ci przywiozę - mówi i odkłada słuchawkę. Tak czy owak musi jechać do miasta - na najprawdziwsze pod słońcem spotkanie z autentycznym gościnnym wykładowcą - i podrzuci mu tytoń po drodze.

Dzwoni telefon. Jack, rozdrażniony, podnosi słuchawkę. - McCarthy.

- Jack.

- Cześć, kotku.

Mimi pyta go, czy wybiera się do Londynu. Jack najpierw mówi, że nie, potem, że może, a wreszcie: - Czy mam ci coś kupić w mieście?

Mimi potrzebuje marcepanu do tortu, który piecze na kiermasz dobroczynny organizowany przez Koło Żon, ale to nic pilnego. Pyta go, na co ma ochotę na kolację, a on odpowiada lekkim tonem: „*Macht nichts*”. To zwykła rozmowa, lecz on przyłapuje się na tym, że zastanawia się, czy aby żona nie zadzwoniła, żeby go sprawdzić. Ile razy do tej pory nie zastała go w pracy? Ile razy mówiła jego asystentowi: „To nic ważnego. Nie musi pan przekazywać mężowi, że dzwoniłam”? Ile razy asystent odpowiadał: „O ile wiem, mąż właśnie wyjechał do Londynu, pani McCarthy”?

Jack próbuje się skupić na pliku sprawozdań z przebiegu szkolenia. Dzisiaj znów zabierze ze sobą pracę do domu. Nie za to mu płacą. Jacka ogarnia poczucie, jakby oszukiwał rząd, zamiast uczciwie dla niego pracować.

Świąteczny urlop rozpoczyna się w przyszłym tygodniu. Zajmowanie się Friedem pod przykrywką obowiązków służbowych było istnym koszmarem z technicznego punktu widzenia. W czasie wolnego tygodnia stanie się to praktycznie niewykonalne. Coś się musi zmienić. Nie chce mu się zakładać śniegowców na buty. Idzie przez zasypany świeżym śniegiem plac defiladowy w kierunku budki telefonicznej.

Ostatni dzień w szkole przed świąteczną przerwą. Sala jest radośnie przystrojona, okna pokrywa sztuczny szron, nosek Rudolfa połyskuje przed saniami Świętego Mikołaja, a ścianę nad tablicą ozdabiają obrazki dzieci obchodzących święta Bożego Narodzenia w innych krajach. Meksykańskie dzieci z zawiązanymi oczami próbują strącić patykami zawieszzone

wysoko słodycze. Holenderskie zaglądają do swoich chodaków w poszukiwaniu prezentów. Niemieckie w skórzanych spodenkach lub tradycyjnych sukienkach zapalają świece na sosence, zwyczajnie wyglądający mali Brytyjczycy ozdabiają kłodę spalaną w kominku w pierwszym dniu świąt, a gdzieś w Kanadzie mali Indianie klęczą nabożnie przed rozjarzonym żłóbkiem w lesie.

Pan March dyryguje, wymachując prętem do wskazywania na mapie, a jego uczniowie śpiewają kolędę Huronów. „Było to zimową porą, kiedy cichy stał bór, wielki Gitchee Manitou anielski zesłał chór...”.

Pieśń ta jest piękna, urzekająca, i całe szczęście, że Madeleine nie będzie musiała jej śpiewać razem z innymi w szkolnym zespole. Stoczyła ciężki bój z matką, która chciała ją zapisać do chóru, tłumacząc, że miałyby próby w środy po południu, co stanowiłoby dla niej dodatkowe obciążenie, ponieważ tego dnia pod wieczór chodzi na zbiórki zuchów, a ponadto uszczupliłoby to jej cenny czas przeznaczony na naukę gry na akordeonie. Żeby nie być gołosłowną, Madeleine ćwiczyła niestrudzenie na akordeonie przez trzy kolejne dni. Skończyło się na tym, że została wyznaczona do zagrania *Jingle Bells* na bożonarodzeniowym koncercie w szkole, ale nie była to wygórowana cena za wywalczoną wolność.

„Narodził się nam Zbawiciel...”.

Szybciej i gwałtowniej niż kiedykolwiek osaczają Madeleine samoistne, natrętne myśli. Na przykład „narodzenie” nieuchronnie kojarzy jej się z pierdzeniem. A gdyby tak poszła do domu i wyrzuciła figurkę Dzieciątka Jezus do śmietnika? To świętokradztwo i Madeleine zakrywa twarz rękami.

- Senna jesteś, dziewczynko?

Madeleine natychmiast podnosi głowę i otwiera książkę na wskazanej stronie.

„Betlejem, miasteczko w Judzie, sławnym będzie, pamiętnym się stanie w tym kraju i wszędzie...”.

A gdyby tak przytknęła Dzieciątka Jezus sobie do tyłka? Co ona może poradzić na te myśli? Modlić się. Próbuje, śpiewając jednocześnie kolędę, prosić Boga, aby uwolnił ją od tych nikczemnych myśli, lecz zamiast białych obłoków i aniołów ukazuje jej się obraz jej samej, jak roztrzaskuje młotkiem główkę dzieciątka. Ratuje ją Rudolf. Widok jego czerwonego noska, niczym u klauna; wspomnienie jego odwagi w obliczu wstrętnego bałwana; jego pokora i triumf w wigilię Bożego Narodzenia... Wie, że nie powinna modlić się do Rudolfa, ale myśl o nim ją uspokaja, koi niczym wazelina oparzenie, chroni ją od świętokradczych rojeń.

- Powinnaś zapisać się do chóru, dziewczynko, ładnie wyciągasz wysokie tony - mówi pan March.

Jack nie spodziewał się, że tak przyjemnie będzie znów usłyszeć Simona. Przedstawił mu sprawę jakby mimochodem, uważając, żeby w jego głosie nie zabrzmiał nawet cień skargi: może warto by już na tym etapie wprowadzić McCarrolla. Zapewnić Friedowi większe poczucie bezpieczeństwa, gdy ten będzie wiedział, że w razie czego jest drugi samochód, następny numer, pod który może zadzwonić. A jeśli nie McCarrolla, to być może pora wtajemniczyć Mimi. Mogłaby naprawdę pomóc, zaglądać do Frieda w ciągu dnia, zrobić małe zakupy, ugotować co nieco... ten pomysł coraz bardziej podobał się Jackowi.

- Skurczybyk daje ci popalić - odparł Simon.

Jack się roześmiał.

- Nie ostrzegłem cię, Jack, bo nie chciałem cię zrażać do faceta. Ale wcale ci się nie dziwię. Traktuje cię jak gosposię, psiamać.

- Dobrze to ująłeś.

- Nie pozwolę, żeby cię wykorzystywał. Rozmówię się z nim i...

- Daj spokój, Si. Chyba wiem, do czego zmierza.

- Czyżby? Zamieniam się w słuch.

- Chce mieć swój samochód.

- Chryste - jęknął Simon. - Od samego początku o to mu chodziło.

Zaraz po przyjeździe Fried zażądał od Simona samochodu.

- Powiedziałem mu, żeby wybił to sobie z głowy. Niepotrzebne ryzyko, niepotrzebne komplikacje. Mógłby wjechać do rowu i...

- Albo zostać zatrzymany za przekroczenie prędkości.

- Kto wie, jaka chryja może z tego wyniknąć. Nie wspominając o kosztach.

Cały zestaw fałszywych dokumentów, pomyślał Jack, prawo jazdy, dowód rejestracyjny, akt nabycia, polisa ubezpieczeniowa, a do tego jeszcze tablice rejestracyjne.

- Na kogo zarejestrujesz wóz?

- Nie zarejestruję i tyle.

- A co z...?

- Niech cię o to głowa nie boli.

- Słuchaj, Si, może wprowadzę McCarrolla w sprawę? W końcu po to tutaj go ściągnęliśmy, a tak między nami...

Ale zamiast zezwolić na wtajemniczenie Amerykanina odrobinę wcześniej, niż to było

konieczne, Simon wolał dla świętego spokoju załatwić Friedowi samochód. Zależało mu na utrzymaniu wokół całej operacji nieprzepuszczalnej osłony, tak uzasadnił swoją decyzję. Wprowadzenie McCarrolla rozszczelniłoby powłokę, powstałyby dziury powietrzne.

- A wiesz, co to oznacza.

- Turbulencję - odparł Jack.

- I spróbuj mi kiedyś wypomnieć, że nie dałem ci prezentu pod choinkę.

W środku tygodnia Jack leci do Toronto na spotkanie przy lunchu ze swym odpowiednikiem w tamtejszej Akademii Sztabowej, z którym ma uzgodnić wymianę oficerów w ramach stażu. Potem jedzie taksówką na międzynarodowe lotnisko, a tam, stosując się do wskazówek Simona, kieruje kroki do północno-wschodniego krańca parkingu. Simon jak zwykle zadziałał szybko. Tak jak przewidział, na wskazanym miejscu stoi niebieski ford galaxy coupé, najnowszy model, 1963, z nowiutkimi tablicami rejestracyjnymi prowincji Ontario. Jack otwiera drzwi, klucze leżą schowane pod wycieraczką. To zwykły wóz, taki Jack chciałby sprawić Mimi, gdy będzie ich stać na drugi samochód.

Wsiada, zakłada przeciwsłoneczne okulary i wyjeżdża na oślepiające słońce grudniowego popołudnia. Jazda do Londynu nie zabiera mu wiele czasu, a gdy o zmierzchu wchodzi do mieszkania Frieda i wsuwa mu do otwartej ręki kluczyki, Fried nawet lekko się uśmiecha i mówi: - *Danke*.

- *Fröhliche Weihnachten, Oskar*.

- *Fröhliche Weihnachten, Herr McCarthy*.

Wróciwszy do Centralii, wysiada z taksówki w centrum miasteczka, poza zasięgiem wzroku ciekawskich, daje kierowcy porządny napiwek i wraca do bazy piechotą.

Zapalają się uliczne latarnie, rozpraszając gęstniejący mrok. Jack rażno maszeruje po śniegu, który skrzypi pod jego gumowcami. Wciąga do płuc czyste rześkie powietrze. Jutro pierwszy dzień urlopu. Spostrzega Henry'ego Froelicha, który stoi przed domem i wbija gwóźdź do frontowych drzwi. Elizabeth siedzi opatulona na wózku, śnieżne kulki piętrzą się na jej kolanach. Rzuca je psu za każdym razem pod innym, niedającym się przewidzieć kątem, a ten łapie je w locie i kłapnięciem szczęk zamienia w biały pył.

Słowa same wyrywają się z ust Jacka: - *Fröhliche Weihnachten, Henry!*

Czuje, że czerwienieje na twarzy. Trzeba wziąć byka za rogi. Podchodzi do sąsiada.

- Hank, przepraszam.

- Za co?

- Taki ze mnie... baran.

- A to dlaczego?

- Chodzi o to... - znów oblewa się rumieńcem. Nie może przeprosić go wprost za to, że kiedyś palnął głupio: „Jesteś typowym Niemcem, Henry”. Zahaczyłby znów o bolesny, zastrzeżony obszar - przecież przypadkiem tylko dowiedział się o jego obozowym tatuażu.

- Wszystko w porządku, Jack?

- Tak, Henry. Ja tylko... słuchaj, dopiero co uświadomiłem sobie, że wy nie świętujecie Bożego Narodzenia, więc przykro mi, jeśli...

- Alez świętujemy. - Froelich wiesza wieniec na drzwiach. - Moja żona lubi obchodzić zimowe przesilenie.

- Przesilenie?

- Święto światła. Jak Chanuka.

- Ach tak. Więc przyjmij ode mnie najlepsze życzenia z okazji Chanuki.

Na twarzy Froelicha pojawia się śmiech. - Jack, jestem Żydem, ale niewierzącym. Nie przejmuj się tak.

Z Jacka ulatuje napięcie. Jego uwagę zwraca chrobot szufli; odwraca się i z zadowoleniem spostrzega, że Mike po drugiej stronie ulicy odśnieża podjazd. A u Froelichów ogromny pies właśnie tarza się w śniegu. Jacka niespodziewanie ogarnia poczucie błęgiego szczęścia.

- Henry, nie obchodzi mnie, czy jesteście poganami, muzułmanami, hindusami czy przybyszami z Marsa. Zapraszam ciebie i Karen na noworoczny bal w mesie. Przyjdziecie jako nasi goście, Mimi i moi.

- Nie, nie, tego nie zrobimy.

- *Aber ja!* - woła Jack, wyliczając na palcach, uderzając nimi o rozwartą dłoń. - Naprawiłeś mi samochód, kosiarkę do trawy, częstowałeś winem własnej roboty, pora, żebym ci się odwdzieczył.

Froelich ma zamiar sprzeciwić się po raz drugi. Stoją naprzeciwko siebie, mierzą się wzrokiem, w oczach Henry'ego naraz błyska rozbawienie. Wzrusza ramionami. - Ach, co mi tam. To znaczy, dziękuję za zaproszenie.

Kiedy oznajmia Mimi, że Froelichowie przyjdą na noworoczny bal, żona posyła mu uśmiech Mony Lisy i kieruje się z powrotem do kuchni.

- O co chodzi? - pyta Jack.

- *Rien du tout*. To ładnie z twojej strony, że ich zaprosiłeś.

Jack idzie za nią. - Wcale tak nie uważasz. O czym teraz myślisz?

Mimi staje przed kuchenką, zagryza dolną wargę - odrobina złości nadaje jej seksowny

wygląd - i mówi: - Ciekawa jestem, co ona na siebie włoży, *c'est tout*.

- Jesteś okropna.

Mimi unosi brew, potem odwraca się i pochyla, bardziej, niż jest to potrzebne, żeby sprawdzić placki z mięsnym farszem.

W sobotę dwudziestego trzeciego na gwiazdkowym przyjęciu w ośrodku rekreacyjnym dzieci szaleją przy piskliwych, jak po zażyciu helu, zawodzeniach The Chipmunks z ich świątecznej płyty. Zarumienione policzki nabrzmiewają przeżuwanymi słodyczami, głosy dorosłych przekrzykują wrzawę: „Nie biegaj z pełną buzią!”. Wokół strzelistej choinki usypana jest góra podarunków, każda paczka opatrzona jest etykietką „dla chłopca” albo „dla dziewczynki”. Madeleine jest za mądra na to, żeby zadać sobie trud otwarcia paczki przeznaczonej „dla dziewczynki”, ale zarazem przezornie unika publicznego upokorzenia przez sięgnięcie na oczach wszystkich po paczkę „dla chłopca”. Oddaje się z zapałem dzikim harcom i wrzaskom. Wszystkie dzieci z SKR-ów są obecne, a także wiele dzieciaków z miasteczka i okolic - w tym cały zastęp sierot, dowiezionych autobusem przez zakonnice, które - wygląda na to - dobrze znają panią Froelich. Chociaż raz Madeleine bawi się jednocześnie ze wszystkimi koleżankami, włączając w to Colleen. Przeżywa chwilę trwogi na widok autentycznie grubego Świętego Mikołaja. Ale to nie pan March, to pan Boucher. „Ho ho ho, wesołych świąt, *Joyeux Noël!*”.

W świąteczny poranek Mimi otwiera pudło z domu towarowego Simpsona, wypowiadając zwyczajową formułkę: - Lepiej, żeby to nie było, no wiesz co...

Nie znajduje w nim futra z norek, ale i tak Jack igrał z ogniem, kupując jej przepyszny jedwabny szlafrok. Mike otrzymuje wymarzone walkie-talkie. Madeleine wprawdzie nie dostaje pistoletów, ale nie zostaje też obciążona nowymi lalkami. Do jej łupów należą Pan Bulwa, magiczna tablica, tobogan, jo-jo, teatrzyk dla marionetek, *Alicja w krainie czarów* i inne skarby, których nie sposób wyliczyć - poczesne miejsce wśród nich zajmuje zestaw „Mały psycholog”, ze sztuczną bródką i okularami.

Tylko jeden prezent wymaga odegrania małej komedii. Spoczywa w małym niebieskim pudełeczku i *Maman* ma taką szczęśliwą minę, kiedy Madeleine go rozpakowuje, że ogarnia ją dojmujący smutek. Tego rodzaju smutek występuje tylko w świąteczny poranek: kochana mamusia uśmiecha się, w nadziei, że jej córce przypadnie do serca specjalny upominek, który dla niej wybrała.

Kosztowna srebrna bransoletka - z dołączoną już jedną ozdobą.

- To na początek - mówi tata, uradowany, że może wręczyć swojej małej dziewczynce

podarunek stosowny dla młodej damy.

- *Merci, Maman.* - Madeleine rozciąga usta w uśmiechu, z trudem przełykając ślinę.

Matka zapina ją na nadgarstku Madeleine i wszyscy podziwiają jej nową bransoletkę. Madeleine ściąga ją po powrocie z kościoła, gdyż chce wyjść na dwór pojeździć na toboganie. Umieszcza ją w niebieskim pudełku na komódce. Zastanawiając się, kiedy znów będzie musiała ją założyć, zatrzaskuje wieczko nad srebrną bransoletką i jedyną ozdobą - z wygrawerowanym jej imieniem.

FOR AULD LANG SYNE*

W ostatni wieczór starego roku Jack już o piątej jest gładko ogolony, wykąpany i wypomadowany. Ściera parę z lustra w łazience, osusza ściany wanny, wyklada nowy ręcznik i krzyczy: - Łazienka wolna, moja pani.

Mimi, w halce, wyciąga z włosów lokówki, kiedy dzwoni telefon. Jack woła: - Ja odbiorę! - i uprzedzając dzieci, podnosi słuchawkę.

- Halo?... Ojej... och, to smutne, Vimy. Tak, nie martw się, przekażę jej. Wtyka głowę do sypialni i oznajmia żonie siedzącej przed toaletką: - To Vimy Woodley. Martha zachorowała.

Mimi zwiesza bezwładnie ręce, wyjęta przed chwilą lokówka wypada jej z dłoni i odbija się od podłogi. - *Merde!*

Bez opiekunki do dzieci, i to za pięć dwunasta.

- Marsha - mówi, patrząc na Jacka gniewnym wzrokiem.

- Co takiego?

- Och, nieważne, Jack. Niech to cholera! - wyrzuca z siebie najcięższe akadyjskie przekleństwo, bijąc się otwartymi dłońmi w uda. Wyszarpuje lokówki i ciska je na toaletkę, między srebrne grzebienie i szczotki.

- Spokojnie, skarbie, nie załamuj się, mam pomysł. - Całuje ją w odsłonięte ramię. - Skrop się na dzisiejszy wieczór Chanel nr 5. To moje ulubione.

Jack wręcza Mike'owi aparat Kodaka i lampę błyskową. Chłopiec ustawia rodziców na tle kominka i obrazu Alp. Jack ma na sobie galowy strój - krótką niebieską marynarkę, czarną

* Tytuł tradycyjnej pieśni śpiewanej w sylwestrową noc.

muszkę, białą koszulę i czarną szarfę wokół bioder. Niebieskie spodnie ze złotymi lampasami zwięzają się w kostkach, a usztywnione końce sprawiają, że przylegają dokładnie do lśniących butów, którym niewiele brakuje do pełni elegancji. Mimi ubrana jest w jedwabną sukienkę bez rękawów, mieniającą się odcieniami zieleni i złota, na ramionach ma udrapowany migotliwy satynowy szal. Jej fryzura jest gotowa, oczy błyszczące, rzęsy długie, dekolt w granicach przyzwoitości, niebudzący nieskromnych myśli. *Błysk*.

Potem Mike uwiecznia na zdjęciu rodziców razem z Froelichami: Henry w świeżo odprasowanej marynarce z brązowego tweedu, z zamszowymi łatami na łokciach, w zwyczajowej białej koszuli z czarnym krawatem. Mimi dyskretnie lustruje każdy szczegół wieczorowego stroju Karen: luźno utkany szal zarzucony na suknię, która w zasadzie wygląda jak golf, tyle że sięgający aż do kostek. Szal jest czarny, choć nierównomiernie, za to na suknię składają się różne odcienie matowej czerwieni i purpury, które wydają się ze sobą zlewać. Wyszczotkowała włosy i nałożyła na usta dwie poziome kreski czerwonej szminki. Do uszu przyczepione kolczyki z paciorkami, na nogach haftowane chińskie pantofle. Suknia, choć nie jest gustowna, podkreśla jej figurę. Widać, że Karen nie nosi gorsetu; co z tego, że jest szczupła, tu chodzi o kształt, nie o szczupłość.

Kiedy zjawili się u nich Froelichowie, Mimi poczęstowała Karen sherry. - Śliczna suknia, Karen.

- Tak sądzisz, Mimi? Dziękuję - odparła, jakby Mimi wręczyła jej prezent. - Kupiłam ją w Toronto na wyprzedazy.

Nerwowym ruchem założyła kosmyk włosów za ucho. Ładne dłonie, paznokcie krótkie, niepolakierowane.

Henry ucałował Mimi w oba policzki. - *Aber schön*, Frau McCarthy, wygląda pani olśniewająco.

- Naprawdę, Mimi. Henry ma rację - powiedziała Karen i choć Mimi mocno się starała, nie mogła się dopatrzeć cienia złośliwości w jej głosie.

- Dobranoc, dzieciaki - mówi teraz Jack, po czym zwraca się do Ricka jowialnie, jak mężczyzna do mężczyzny: - Czuj się jak u siebie, Rick, jeśli masz na coś ochotę, bierz.

- Tylko nie z barku - żartuje Karen.

Mimi ma nadzieję, że jej uśmiech nie wygląda na zbolały.

Panowie pomagają paniom włożyć płaszcze, biorą ich torby z obuwem na przebranie i cała czwórka gramoli się do ramblera. Zebrani w salonie Mike, Madeleine, Colleen, Ricky, Elizabeth i Rex spoglądają po sobie. Bliźniaki już smacznie śpią w małżeńskim łóżu Jacka i Mimi, odgradzone bezpiecznie poduchami.

- Macie jakieś pomysły? - pyta Ricky.

Nikt z początku się nie odzywa - Colleen i Elizabeth pewnie są przyzwyczajone do obecności Ricky'ego, ale Mike'owi i Madeleine wydaje się, jakby bóg zstąpił do nich z Olimpu.

Wcinają hot-dogi i gotowe dania obiadowe Krafta. Ricky i Mike grają w hokeja figurkami umocowanymi na żelaznych prętach, szarpiąc gwałtownie pokrętłami, komentując jednocześnie z kabiny nad stadionem Montreal Forum: „Wieczór hokeja w Kanadzie!”. Ricky przyniósł swoje płyty. Madeleine i Colleen prażą kukurydzę, gdy Jay and the Americans rzną na całego. Ricky przetrząsa garderobę na piętrze w poszukiwaniu koców i wlecze je do piwnicy, gdzie opróżnia regał książkowy i opiera pod kątem o ścianę, żeby powstała przybudówka. Madeleine patrzy na Mike'a, który stoi obok, niepewny.

- Tata nam na to nie pozwala - mówi po chwili Madeleine.

- Na co? - pyta Ricky, otwierając worek marynarski, w którym przechowywany jest sprzęt biwakowy.

- Na budowanie schronów.

- To nie schron, tylko fort. - Rozwiesza koce i śpiwory nad regałem i piwnicznymi półkami. - Poza tym to wszystko się posprząta, zanim wrócą rodzice.

Rzuca Mike'owi latarkę. - Gonisz - ogłasza i gasi światło. Bawią się w szukanego po ciemku w całym domu - z wyjątkiem sypialni Jacka i Mimi. Madeleine musi zmienić dół od piżamy - przydarzył jej się mały wypadek, do którego walnie przyczyniły się pospołu przerażenie i radość. Skaczą po łózkach, strzelają do siebie na zmianę pistoletem na kapiszony Mike'a, konając w wymyślnych pozach. Walczą po kolei z Rickim, ale on jest niezwyciężony i przewraca każdego napastnika na materac. Biją się jaškami w jadalni, malowidło przedstawiające Alpy przekrzywia się od uderzenia, poduszki z kanapy w salonie walają się po podłodze. Rex, wyczerpany akcjami ratunkowymi i próżnym wysiłkiem zapędzenia wszystkich do jednego pomieszczenia, w końcu ulega pokusie i upojony zabawą, jak wszyscy pozostali uczestnicy, żuje gumową łopatkę Mimi. Tymczasem Elizabeth podśpiewuje sobie, drzemie, budzi się, słucha, jak Madeleine czyta jej książkę o przygodach Cherry Ames, a raz nawet wypada z wózka podczas próby sięgnięcia do butelki orange crush.

- Jesteś pijana, Lizzie! - oświadcza Ricky, wycierając plamę, otwierając jej następną butelkę, tym razem pysznego mountain dew. - To ci dogodzi! - wyje.

Impreza dopiero się rozkręca.

W ogromnym kamiennym kominku w mesie oficerskiej trzaskają polana. Lśni kryształowy kandelabr, odbijając płomyki świec na stolikach, na których na białych obrusach pośród bogatych kwiatowych kompozycji połyskują srebra. Dla każdego gościa przewidziany jest dzwonek i fantazyjny tekturowy fez z chwostem. Bufet jest oszałamiający. Homary w kapelusikach, lukrowane figurki symbolizujące Stary i Nowy Rok, półmiski zastawione wymyślnie rzeźbionymi tropikalnymi owocami sąsiadujące z dymiącymi, drażniącymi nozdrza daniami. Wystrojeni na biało kucharze stoją w pogotowiu za pieczoną wołowiną i jagnięcina. Z wyłożonego lustrami baru płyną drinki, kelnerzy krążą z winem, w kryształowych czarach przygotowany jest poncz, a na wypolerowanym parkiecie snują się w parach jedwabne motyle i lotnicy w niebieskich mundurach w rytm muzyki granej przez big band Gerry'ego Taita, który przyjechał aż z Toronto. *Pennsylvania Six-Five Thousand!* Nad podestem dla orkiestry rozpięty jest srebrny transparent: *Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt trzy.*

- Ładnie pachniesz - mówi Jack. Wyczuwa jej uśmiech, brodą muska w tańcu czubek jej włosów.

To wszystko warte jest tych drobnych niedogodności. Uwierającego wykrochmalonego kołnierzyka, lekko za ciasnych w pasie spodni, to jego wina, niczyja inna - jeszcze w zeszłym roku czuł się całkiem swobodnie w tym galowy stroju. Dojrzewa w nim noworoczne postanowienie, związane z piłkami lekarskimi i sportowym obuwiem, gdy wtem Henry Froelich odbija mu partnerkę.

Mimi uśmiecha się i oddala się z Froelichem. Wszyscy pozostali cywile ubrani są w stroje nakazane przez etykietę. Ale Hank przecież też, stwierdza Jack, podziwiając europejską dystynkcję, z jaką jego sąsiad porusza się po parkiecie. Prawdziwa ogłada płynie z wnętrza, a Henry, pomimo łąt na łokciach, zakasowuje wszystkich. Jack śledzi ich wzrokiem, a gdy wtapiają się w tłum, odwraca się i idzie do baru. Stawia drinka Blairowi McCarrollowi i prosi do tańca Sharon.

Prowadzi ją na parkiet. Czuje się tak, jakby był na szkolnej potańcówce i tańczył z ładną koleżanką, która na szczęście go nie pociąga. Sharon uśmiecha się nieśmiało, gdy Jack nadaje im rytm w sambie, odpowiada na jego pytania półsłówkami, ze skromnym wdziękiem; lekkie stworzenie, podatne, ale nie łamliwe, śmieje się pogodnie, gdy Jack zakręca nią i oddaje mężowi. Słodka kobieta.

Jack trąca się z Blairem szklaneczkami.

- Wszystkiego najlepszego, panie pułkowniku.

- Dziś wieczorem po prostu „Jack”, synu.

Jack próbuje sobie wyobrazić wyraz twarzy McCarrolla, gdy ten wreszcie się dowie,

po co tu jest. Będzie miał mu za złe, że Jack nie wtajemniczył go wcześniej? Jack odstawia szklaneczkę i omiata wzrokiem parkiet. McCarroll zapewne kiwnie po prostu głową i wykona swoje zadanie.

Orkiestra się rozgrzewa: *In the Mood*. Vic i Betty Boucher pokazują, na co ich stać, inne pary odsuwają się, żeby zrobić im miejsce. Jack dopycha się do żony, kiedy orkiestra kończy grać, ale Vic go wyprzedza. - Biorę ją w niewolę na następne pięć minut, Jack.

Jack dostrzega Steve'a Ridelle'a, który w galowym mundurze sprawia wrażenie tak wyluzowanego, jakby miał na sobie strój do golfa. Elaine promienieje; blond włosy ma zaczesane do tyłu, fałdy jasnoniebieskiej satynowej sukni ani trochę nie maskują ośmiomiesięcznej ciąży. Wygląda tak dziewczęco, nawet w tej sukni, można by pomyśleć, że jest za młoda na ciążę. Sączy krwawą Mary.

- Ma mnóstwo witamin - oznajmia Jackowi, klepiąc się po brzuchu, gdy ten podchodzi się przywitać. Jack porywa Elaine na parkiet, przy wtórze śmiechu Steve'a i protestów branki. - Nie, Jack! Co będziemy robić? Odstawimy taniec słońi?

Jack kręci nią, a Elaine porusza się tak zgrabnie, jakby była w dżinsach i wolna od ciężaru nowego życia, który w sobie dźwiga.

Steve przechwytuje Mimi i Jack uznaje się za pokonanego. - Jak tak dalej pójdzie, nie uda mi się więcej zatańczyć z żoną.

- Niech cię zapisze w karneciku, Jack - śmieje się Hal Woodley.

Jack podaje rękę jego żonie. Taniec z Vimy Woodley jest jak taniec z prawdziwą damą. Rozmawia w sposób przystający damie, lecz swobodnie, daje mu odczuć, że jest kimś szczególnym - pnącym się w górę młodym człowiekiem. Jack wie, że jej postawa wobec niego stanowi odbicie męzowskiej, i nie może się oprzeć uczuciu zadowolenia.

Po powrocie do stolika zastaje tam samotną Karen Froelich pieszczącą w dłoni butelkę coca-coli. Z ust starła jej się szminka. Jack ułożył sobie w myśli szarmanckie zaproszenie, że nie wypada siedzieć, gdy ma się przed sobą piękną kobietą, ale mówi po prostu: - Masz ochotę zatańczyć, Karen?

- Jasne.

Podaje jej lewą rękę, a prawą obejmuje w pasie. Jest szczupła. Ale silna. Nie ma na sobie gorsetu i Jack nie jest do końca pewny, czy powinien kłaść na niej rękę. Gerry Tait odkłada trąbkę i śpiewa *Fly Me to the Moon*.

Tańczą. Karen pachnie mydłem. I czymś jeszcze... drzewem sandałowym? Jej usta oglądane z góry pod tym kątem wydają się smutne, delikatne zmarszczki w kącikach, cień uśmiechu. Jedyne jej ozdoby stanowią kolczyki z paciorkami. Jeśli nie liczyć lekko

podkreślonych oczu. Nordyckich.

- Twoja rodzina pochodzi z Islandii? - pyta Jack.

- Z Finlandii. Gdzieś z tamtych rejonów.

- Pasowałyby do ciebie sanie. Z zaprzęgiem reniferów. - To chyba whisky przez niego gada.

- Pomyliłeś mnie ze Świętym Mikołajem - odpowiada Karen.

Jack się śmieje.

- Świetna fucha, gdyby się załapać. Dzieciaki za tobą szaleją, żyjesz wiecznie, masz mnóstwo pomocników.

Jack znowu się śmieje.

Odprowadza Karen do stolika w chwili, gdy zjawia się tam Henry z jedzeniem dla ich dwojga. Patrzy, jak Froelich pochyla się i całuje żonę. Henry siada za stołem i wznosi kieliszek. - Jack, wspaniałe przyjęcie. Dziękuję ci.

Jack uśmiecha się i odchodzi, żeby mogli w spokoju zjeść, sami, we dwoje, odmłodzeni przez światło świec o całe lata.

Mimi spogląda na niego znad swojego martini i pyta: - O czym rozmawiałeś z Karen Froelich?

Jack przyciąga ją do siebie, jej suknia szeleści w zetknięciu ze sztywną koszulą.

- O Świętym Mikołaju - szepcze jej do ucha. Ona szczypie go lekko w płatek małżowiny. Jack odbiera jej drinka, kładzie go na stole i prowadzi ją na parkiet, przyciskając dłoń do jej ciepłych pleców. Orkiestra gra zamówiony przez Jacka utwór. Mimi wtula się w niego i tańczą razem. „Niezapomniana, blisko czy daleko...”.

- Kocham cię - szepcze Jack. Jej zapach, miękkie włosy, suknia, piersi, nie drażni go już nawet pijący kołnierzyk koszuli. - Zróbmy sobie dzidziusia.

Mimi głaszcze go po karku.

Tuż przed północą Mimi ulega powszechnemu żądaniu. Wygląda na to, że wieść o jej piosenkarskim talencie dotarła tu za nią z Czwartego Dywizjonu. Wykazawszy najpierw stosowny opór, wchodzi na scenę, naradza się z Gerrym Taitem, bierze mikrofon i śpiewa: „*Bei mir bist du schön*, pozwól, że ci wyjaśnię...”.

Brawa, śmiech. Wtórjuje jej Henry Froelich, sunąc z Karen po parkiecie niczym narciarz po stoku.

„...*bei mir bist du schön* znaczy, że jesteś piękna...”.

Mimi wczuwa się w rolę, podkreślając słowa gestami. - Można by rzec *bella, bella*, a

nawet *wunder barr* Każdy język dobry jest, by twą urodę opiewać!

W salonie McCarthy Elizabeth i Rex smacznie śpią. Colleen, Madeleine i Mike siedzą po turecku na podłodze, przytuleni do siebie, okryci wspólnym śpiworem. Ani razu przez cały wieczór nikomu nie przyszło na myśl, żeby włączyć telewizję. W czarownym blasku świec adwentowych Ricky trąca struny i śpiewa cicho: „Postawcie żagle na słupie „John B.". Patrzcie, jak łopocze grot. Wezwijcie z łądu kapitana, bo do domu spieszo mi...".

Colleen, Madeleine i Mike nucą razem z nim. Śpiewają cicho, jakby byli w środku lasu, głuchego, jeśli nie liczyć szmerów i nawoływania nocnych łowców. Śpiewają cicho, żeby ukoić niedźwiedzie w matecznikach, wilki w jamach, zające w norach, a nie wyrwać je ze snu. Śpiewają tak, żeby ani nie zagasić, ani nie podsycić płonącego ogniska czy sprowadzić więcej chłodu z granatowoczarne zimowego nieba.

„Tak ciężko mi na duszy, do domu wrócić chcę...".

Ricky wytrzymuje najdłużej z nich wszystkich, pobrzdkując na gitarze, gdy pozostali śpią na stercie koców i poduszek rozłożonych na podłodze. Lecz kiedy rambler podjeżdża wolno pod dom, tylko Reksa budzi ze snu chrzęst kół na śniegu.

Jack i Mimi na paluszkach wchodzą po schodach, tuż za nimi Froelichowie. Dostrzegają pobojowisko w kuchni, gdzie na podłodze zalegają garnki i patelnie, na których zostało odbębniowane powitanie Nowego Roku.

Stają w progu salonu. Mimi przywołuje gestem Karen. Bierze ją pod rękę i obie kobiety razem przyglądają się swoim śpiącym pociechom. Czerwone twarze z wąsami po orange crush, ręce zaciśnięte na zabawkach, wdeptana w dywan prażona kukurydza. Ricky drzemie na fotelu, z gitarą na kolanach. Trzepocze powiekami, unosi głowę, rozgląda się i mówi: „Przepraszam za ten bałagan".

Tydzień po Nowym Roku Jack zabiera córkę na wycieczkę do Londynu. Idą na przechadzkę do Bajkowych Ogrodów. Zwierzęta zostały wywiezione na zimę i tylko palmiarnię można zwiedzać. Most zwodzony zamku jest podniesiony, ale Madeleine z tatą przekradają się przez zaśnieżony żywopłot i spacerują wśród niemych swawolnych figurek. Humpty Sumpty balansuje na murze, w spiczastej śnieżnej czapie; Baba Jaga przywołuje dzieci, do jej wyciągniętej dłoni napadał biały puch - Madeleine przezornie unika jej spojrzenia. Kostur nieszczęsnego pastuszka obrósł sopłami, krowa przeskakuje księżyc, a półmisek i łyżka uciekają razem w swych baśniowych strojach, nie bacząc na sezon.

W drodze powrotnej Jack objeżdża zaśnieżoną dzielnicę, zahaczając o ślepą uliczkę Morrow Street spowitą zapadającym zmrokiem. Już od kilku tygodni nie był tu wzywany. Na

drugim piętrze w narożnym mieszkaniu przez odsłonięte okno na suficie i ścianach widać sinawą poświatę. Na ulicy stoi równo w rzędzie z innymi zaparkowanymi samochodami niebieski ford galaxy - na tylnym zderzaku ma żółtą naklejkę z Bajkowych Ogrodów. Jack odjeżdża. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

To Rex ją odnalazł. Na łące za wąwozem w Rock Bass, w połowie odległości między polem kukurydzy a lasem. Owczarki niemieckie są urodzonymi tropicielami. To straszne, jak zmienia się twarz po śmierci przez uduszenie. Rex rozpoznał jej zapach jako znajomy i nieznajomy zarazem. Na jej widok zaszczeakał, ponieważ dla Reksa wyglądała tak, jakby założyła maskę na Halloween.

Pod jej plecami płatanina zeszłorocznego sitowia i kępek polnych kwiatów, wiosennych nowalijek wzbudzonych kwietniowymi opadami. Opaska na głowie nawet nieprzekrzywiona. Oczy zamknięte. Oczy nie zamykają się same po śmierci wskutek uduszenia.

W twarzach uduszonych osób nie ma nic spokojnego ani naturalnego. Wyglądają przerażająco. Zastygłe dziecięce ciało, łagodna grzywka i potworna twarz. Tak jakby wstąpiło w jej twarz całe zło sprawcy jej śmierci. Już nie przypomina niczyjego dziecka. Już nie przypomina nikogo.

SZYBUJĄC HEN PO NIEBIE

Jeszcze w marcu wydaje się, że zima nigdy się nie skończy. Ale ziemia wie, kiedy musi nastać wiosna, i choć wciąż niewidoczne, dzwonki i konwalie już zaopatrzone są w zielone koniuszki, delikatnie zwinięte, lecz napierające od spodu na glebę. Sarny wyczuwają płynącą nieśmiało wodę i przeorują kopytami brzegi w poszukiwaniu pędów, a ptaki wyczekują w gniazdach cudu, jakim są pierwsze dzióbki przebijające się przez skorupki.

Do Wielkanocy jest jeszcze dwa i pół tygodnia, ale wciąż czuć zimę. Wczoraj trochę się ociepliło i padał deszcz, ale dziś znów jest mróz, jak to w marcu. Na drodze widać kilka dżdżownic, które zamarzły. *Lodownice*. Kałuże na poboczu przykrywa lód, cienki, przypominający szkło, który zarysowuje się niczym tafla z cukru, gdy stąpa się po nim delikatnie, i rozpryskuje się z trzaskiem jak przednia szyba w samochodzie, gdy się na niego skoczy. Później, kiedy zrobi się cieplej, będzie można lekko ściętą powierzchnię kałuży przesuwając butem i przyglądać się, jak się marszczy i zagina niczym prześcieradło. Tam gdzie prześwituje goła ziemia i zbita stara trawa, kępy połyskują chłodno i skrzypią przygniecione butami, a szkliste bryłki roztapiają się pod wpływem lekkiego ciepła wydzielanego przez stopy. Takie to rzeczy dzieją się w marcu.

W parku Madeleine zauważa zielone szpice przekłuwające brązowe i żółte płyty ziemi odślonięte przez ustępujący śnieg, małe dzielne krokusy. W powietrzu niesie się woń odmarzających psich kup, wyłaniających się spod grubej warstwy starego sypkiego śniegu. Nadal jest zimno, ale nie tak zimno, że nie czuć smaku jabłka, które je się na dworze. Nie tak zimno, że ścinają się smarki w nosie. Dorośli mówią, że marzec przychodzi jak lew, a odchodzi jak baranek. Co to właściwie znaczy?

Dziś wypada ostatni czwartek marca. Do Wielkiego Czwartku jeszcze dwa tygodnie. Potem będzie Wielkanocna Niedziela, czyli czekoladowe zajaczki i szukanie ukrytych jajek - koniec wielkiego postu. *Maman* jest pełna podziwu dla wytrwałości Madeleine w odmawianiu sobie słodyczy. Lecz przecież Madeleine nabrała w tym wprawy na czekoladkach pana Marcha. Madeleine ma wrażenie, jakby oszukiwała, ponieważ wielki post podobno stanowi ciężką próbę. Uświadamia sobie, że gdyby naprawdę chciała wyrzec się czegoś ważnego, powinna rozstać się na czterdzieści dni z Bugsem.

Zatrzymuje się w połowie St. Lawrence Avenue, w drodze do szkoły, i bierze głęboki oddech. Bugs by się nacierpiał, bo dokąd by trafił? Do garderoby? Do ciemnej szuflady? Nie. Jak Madeleine może przypuszczać, że Bugs nadal będzie jej przyjacielem, po tym, jak skaże go na czterdzieści dni dogorywania w samotności, bez bratniej duszy, którą mógłby rozweselać? To byłaby prawdziwa ofiara. Zupełnie wyrzec się Bugsa. Oddać go potrzebującemu dziecku z biednego kraju. Kochać Jezusa mocniej niż Bugsa. O nie.

Rozgniała kaloszami zmrożone błoto na mleko z czekoladą. Nigdy dotąd nie myślała o tym w ten sposób. Jeśli nie chce się rozstać z Bugsem, czy to znaczy, że jest jej droższy od Jezusa? Droższy od samego Boga? Kim jest Bóg? Rozgniewaną istotą, która cię kocha. Czy On oczekuje od niej, że poświęci Bugsa? Bóg poświęcił swego Syna Jednorodzonego, dlatego obchodzimy Wielkanoc. Samo zestawienie Jezusa z Bugsem jest bluźnierstwem. Bugs na krzyżu. *Wszystko słyszałem, doktołku.* Przemieniający bochenki chleba w marchewki. Madeleine idzie przed siebie, starając się odegnać te myśli, *przepraszam, Panie Boże.* To Jezus powinien być u twego boku, nie Bugs, to do niego powinnaś się zwracać. Tak jak anioł stróż zawsze czuwa przy tobie. Skrzydlaty stwór, który unosi się w powietrzu, czekając, aż przejedzie cię samochód albo spadniesz z mostu. Madeleine wie, że choć ma za zadanie cię chronić, anioł stróż niczego tak nie pragnie, jak zabrać cię prosto do nieba, póki jesteś dziecieniem z czystą białą duszyczką. Bóg najbardziej kocha dziecięce duszyczki. To jego ulubione. Mniam. Jak ten olbrzym w bajce o Jasiu i ziarenku fasoli. I znowu przyplątała jej się brzydka myśl, gdyż nie powinno się tak myśleć o Bogu. Skup się na łagodnym Jezusie. *Strzeżcie się, małe dzieci. Nadchodzi olbrzym.* Madeleine zwalania kroku, nie zdąży wrócić do domu, a do szkoły wciąż ma za daleko - może czyjaś mama pozwoli jej skorzystać z łazienki? Musi się załatwić.

A jeśli Bóg ją sobie upatrzył? Kiedy Bóg sobie kogoś upatrzy, to nie ma rady. Nie można przed Nim nigdzie się schować, to jak nalot, tylko jeszcze gorzej, bo Bóg jest wszędzie, a zwłaszcza w schronie przeciwlotniczym. Kiedy ludzie czują powołanie, słyszą głos mówiący: „Zostań zakonnicą” czy „Zostań księdzem”, jeśli są chłopcami - i nic nie mogą na to poradzić, muszą zostać zakonnicą lub księdzem. Ponieważ to Bóg do nich przemówił. Nieważne, że chciałaś dostać się do programu Eda Sullivana, zamiast wstąpić do zakonu. Nieważne, że jesteś za młoda, żeby umierać, tyle jest małych męczenników, bez przerwy sprawiają cuda, okropne szczęśliwe małe umarlaki. Madeleine puszcza się biegiem.

Biegnie w stronę placu szkolnego, na którym dzieciaki kłębią się i podrygują jak drażetki na talerzu podczas trzęsienia ziemi. Szkolny tornister obija jej się o plecy, marcowy wiatr świszcz w uszach, a ona nasłuchuje usilnie uczniowskich wrzasków, które zagłuszą

głos Boga. Pędzi tak szybko, że zaczyna drapać ją w gardle, pozostawiony daleko w tyle anioł stróż ze smutnym obliczem mocno macha skrzydłami, żeby ją dogonić, przejęty tym, że Madeleine zaraz zginie, a jej czysta biała duszyczka zostanie troskliwie zanesiona przed oblicze Boga. Na tę myśl Madeleine zwalnia, dalej już idzie, serce nadal w niej łomocze. Rozpina kurtkę z podpinką - mimo że w ten sposób można nabawić się zapalenia płuc, kiedy jest się zgrzanym i wystawia się na zimne powietrze.

Madeleine łapie oddech, nie odwraca się, żeby sprawdzić, czy jej anioł stróż za nią podąża. Ponieważ w najbliższym czasie nie grozi jej śmierć ani nawet powołanie. Wszystko gra. Przypomniała sobie, że jej duszyczka już nie jest czysta i biała. Jest żółtawa. Jak stara pościel. Sprawily to wydarzenia ostatniej jesieni. Kiedy była mała. Ćwiczenia po lekcjach. Nie wdawaj się teraz w rozmyślanie o nich, po prostu pamiętaj, nie ma się czego bać. Twoja dusza nie jest nieskazitelnie czysta.

Zbliża się do szkoły, serce się uspokoiło. Czuje, że jej majtki w kroku są wilgotne, ma nadzieję, że tylko od potu. W chwili gdy wchodzi na podmokłe pole, rozlega się dzwonek. Madeleine dostrzega rzędy uczniów znikających w drzwiach. Zaczyna po drodze podskakiwać, gdyż kiedy jest się zdyszczanym od biegu, to niesamowicie, jak łatwo się podskakuje i w ogóle nie czuje zmęczenia, posuwa się naprzód niemal tak szybko, jakby się biegło. Dopada końca szeregu czwartoklasistów w chwili, gdy jej koledzy i koleżanki wchodzi gęsiego do środka obok pana Marcha, który stwierdza: - Wyglądasz dziś szczególnie rześko, panno McCarthy.

Idąca z przodu Auriel odwraca się i zatyka nos, a Lisa naciąga sobie fałdy skóry pod brodą, więc trudno Madeleine zachować powagę.

- Dziękuję panu - odpowiada i słyszy we własnym głosie lizusostwo obrzydliwego Eddiego Haskella.

W sali, kiedy siada w ławce, z ulgą stwierdza, że majtki już wyschły. Przed nią na biurku pana Marcha spoczywa ogromny placek z jedenastoma świeczkami, które wyglądają na nim jak drzewa rzadko rosnące na prerii.

- Moja żona go upiekła.

Pani March. Ciekawe, jak to wygląda, gdy on się na niej pokłada. Ściąga folię i oblizuje kciuk. - Niech wstanie dziewczynka, która ma dzisiaj urodziny.

Wstaje Grace Novotny, zagryza kącik ust i wbija wzrok w podłogę. Klasa śpiewa *Happy Birtbday* z zapalem dziewięciolatków, którzy wiedzą, że zaraz zostaną poczęstowani ciastem. Philip Pinder z kilkoma chłopakami nuca: „Wyglądasz jak małpa i pachniesz jak ona”.

Pan March zapala świecek. - Niech dziewczynka, która ma dzisiaj urodziny, wystąpi na środek.

Grace urosła. Zwykle dopiero po letnich wakacjach zauważa się, że ktoś jest wyższy, ale Grace wystrzeła tak nagle - przynajmniej teraz pasują na nią niektóre ubrania, które musi nosić.

Madeleine jest szczęśliwa, że jest sobą. Być Grace Novotny wydaje się udręką nie do zniesienia. Zaokrągliły jej się piersi. Rysują się na niej jak czapeczki. Cycki. Philip Pinder już wypróbował na niej wykręcanie sutków. Grace się rozplakała. Wykręcanie sutków strasznie boli, chłopcy robią to sobie bez przerwy, ściskają fałdy skóry wokół sutków i szarpia. Sterczące od niedawna piersi Grace to zupełnie co innego, na ich tle nawet Sara i Philip sprawiają wrażenie czystych. Natomiast w Grace dojrzewa coś obmierzłego.

Na biurku pana Marcha płoną świecek wetknięte w placek. - No nie stój tak, dziewczynko, dmuchaj.

Grace dmucha i dmucha, aż pokrywa zarazkami całą powierzchnię ciasta.

Pan March kroi je na trzydzieści kawałków, oświadczając: - Pani March nigdy dotąd nie musiała piec takiego olbrzymiego placka.

Madeleine zastanawia się, jak wygląda jego żona. Też jest gruba? Nie jada chudego?

Wszyscy kolejno podchodzą po kawałek placka na bibułce. Jedzą w milczeniu. Niektórzy nie ruszają polewy, wiadomo dlaczego: zarazki Grace. Madeleine nie może się zmusić, żeby chociaż spróbować. Dwa rzędy dalej Claire McCarroll zjada samą polewę.

Madeleine zamyka oczy i stara się nie zauważać zapachu ciasta.

- Co z tobą, dziewczynko, nie lubisz placka z polewą czekoladową?

- Nie jestem głodna - odpowiada Madeleine. Poza tym wielki post jeszcze się nie skończył.

Stoi obok niej. - Od kiedy to głód ma znaczenie, gdy w grę wchodzi placek z polewą czekoladową? Klasa śmieje się uprzejmie.

Pan March bierze jej kawałek, dzieli go na połowę i częstuje Sarę i Grace.

Pół godziny później wykonują w skupieniu ćwiczenie ortograficzne, gdy naraz Grace wstaje z krzesła, żeby naostrzyć ołówek, i Madeleine dostrzega plamę krwi z tyłu jej spódnicy,

- Grace - mówi głośno Madeleine.

Pan March podnosi wzrok.

Grace odwraca się do Madeleine. - Co?

I wtedy nauczyciel widzi to co wcześniej Madeleine, a wraz z nim uczniowie siedzący

w przednich ławkach. Z gardeł wyrywa się mimowolny jęk.

- Skaleczyłaś się - stwierdza Madeleine, w miarę możliwości grzecznie.

- Dziewczynko - mówi pan March i Grace domyśla się, że to do niej, więc odwraca się do niego twarzą i teraz rozlega się jęk uczniów siedzących z tyłu. Grace odwraca się błyskawicznie, jakby ukąsiła ją pszczoła, luźne fałdy fruują w powietrzu. Wykręcając szyję, widzi tył swojej spódnicy i krzyczy. Zawodzi. Dołączają do niej niektóre dziewczynki w klasie, a kilku chłopców rechocze. Pozostali po prostu się gapią. Krew. Z tyłka. Lisa Ridell wsunęła głowę między kolana - jej ojciec jest lekarzem, powiedział jej, co ma robić, kiedy zrobi jej się słabo. Grace szlocha z szeroko otwartymi ustami, przezroczysta ślina spływa jej z kącików ust, jej spojrzenie wędruje od krwawej plamy do Madeleine, jakby Madeleine miała z tym coś wspólnego.

- Cisza - nakazuje pan March, a potem wstrząsające *tup!*, pręta uderzającego o blat biurka. Grace milknie. - Miejsce tej dziewczynki jest w domu - mówi. - Chętni?

Pyta, czy ktoś odprowadzi do domu Grace z zakrwawionym tyłkiem, dlaczego nie wezwie karetki? Grace wpatruje się w Madeleine, jakby Madeleine była drobiną na linii horyzontu, okrętem. Och, nie. Madeleine już to przeczuwa. Zgłosi się na ochotnika. *Widzisz? Trzeba było wyrzec się Bugsa na czas wielkiego postu, a teraz musisz się poświęcić i pójść z Grace Novotny do domu.* Jej ręka już się podnosi z ławki...

- Sara Nolan - mówi pan March. - Ty odprowadzisz tę dziewczynkę do domu.

Spojrzenia wszystkich przenoszą się na Sarę. Ta ani drgnie. Wszyscy jakby zastygli. Grace, kwiląc, idzie wolno w stronę wiszących kurtek. Ścisza sukienkę z tyłu, żeby nie widać było plamy.

- Jak mucha w smole - stwierdza pan March i klasa śmieje się z wdzięcznością. - Panno Nolan?

Sara zrywa się i różnym krokiem podchodzi do wieszaków, nakłada kurtkę, zapina i czeka z założonymi rękami, a Grace zdejmuje z haczyka zapinany sweter i zawiązuje go sobie na biodrach, żeby zasłaniał plamę.

- W porządku. Koniec przedstawienia, czwartoklasiści. Otwórzcie podręczniki ortografii na stronie czterdziestej pierwszej.

Madeleine zerka do tyłu. Grace zamarznie bez swetra. Madeleine wstaje bez pozwolenia, bierze swoją kurtkę i daje ją Grace. Ta wkłada ją bez słowa, jak lunatyczka, i wychodzi z sali.

Madeleine wraca do ławki. Teraz wszystkie spojrzenia skierowane są na nią.

- Oto prawdziwa samarytanka - stwierdza pan March.

Śmiech. Napięcie zostało rozładowane. Madeleine kłania się w pas.

- Dziękuję, panno McCarthy. Możesz już usiąść.

W jego głosie nie słyhać złości. Brzmi tak jak zawsze. Jakby zmuszony był drwić z czegoś, co w gruncie rzeczy okropnie go męczy.

Po lunchu Grace pojawia się w szkole w nowej sukience. Na przerwie zostaje w klasie i karmi sałatą myszokoczka - Philip Pinder o mało go nie wykończył, przeganiając go po podłodze, jakby był zabawką na kółkach. Od tamtej pory myszokoczkiem opiekuje się Grace. Dwie minuty przed trzecią pan March otwiera dziennik. „Następujące dziewczynki...”. Uczniowie wyciągają z szuflad swoich ławek podręczniki - wszyscy z wyjątkiem Joyce Nutt, Diane Vogel, Sary i Grace. Utało już się nawet wobec nich określenie „dyżurne”. Pozostałych przestało obchodzić, co one robią, stało się to nieodłącznym elementem życia klasy pana Marcha.

Madeleine chowa ćwiczenia ortograficzne i wyjmuję podręcznik arytmetyki, z przerażeniem myśląc o odrabianiu zadania domowego - z czyścica zadań z treścią czwartoklasiści przeszli bowiem do piekła liczb całkowitych. „Joyce Nutt” - żegnaj, miła otoczko fabularna. Jak zadanie z treścią mogłoby ująć to, co wyprawiają te liczby? One przechodzą na drugą stronę lustra. Duchy prawdziwych liczb wiodą żywot w krainie cieni - „i Diane Vogel”.

Madeleine podnosi wzrok. Coś się zmieniło. Pan March siada za biurkiem. Rozlega się dzwonek. Szaleńcze szuranie krzesel...

- Spokój, chłopcy i dziewczęta.

Madeleine zapina kurtkę, widzi, że Sara i Grace nie ruszyły się z miejsc. Nauczyciel ich nie wyczytał, na tym polega zmiana. Mimo to Sara czeka z dłońmi splecionymi na ławce. Grace, z lekko rozdziawionymi ustami, miętosi kosmyk włosów i patrzy na Sarę.

Madeleine wkłada kalosze, kiedy pan March pyta: - Czy ja wyczytałem wasze nazwiska, dziewczynki?

Grace chichocze. Widoczna z profilu twarz Sary robi się różowa.

- No więc? Zmykajcie - mówi nauczyciel kpiącym tonem. - Wasza obecność nie jest wymagana.

Sara powoli wstaje, a Grace w ślad za nią. Kiedy Sara się odwraca, jej spojrzenie spotyka wzrok Madeleine, która ze zdziwieniem spostrzega, że zwyczajowy wyraz zadowolenia z siebie nagle opuścił Sarę. Zastąpiła go całkowicie zbaraniała mina. Madeleine mimo woli robi jej się żal, lecz w następnej chwili Sara złośliwie zwięża oczy w szparki i

pokazuje język. Madeleine wychodzi szybko bocznymi drzwiami.

Na dworze jest ciepło, prawie jak latem. Madeleine dostrzega Claire McCarroll na huśtawce. Jej różowy płaszcz przeciwdeszczowy leży złożony w kostkę obok tornistra. Claire huśta się, niezbyt wysoko, lecz radośnie. Madeleine ciska na ziemię kurtkę i tornister. Podjęła decyzję. Nie będzie miła dla Sary, ale też nie będzie jej dokuczać. To obraca się przeciwko niej. Sztuka w tym, żeby traktować ją jak powietrze. Nagle robi jej się lżej i gramoli się na huśtawkę obok Claire.

- Cześć, Madeleine.

- Cześć, Claire.

Madeleine wznosi się wyżej, jednocześnie zrzucając w powietrzu czerwony kalosz. Claire się śmieje i naśladuje ją. Madeleine zrzuca drugi kalosz. Claire robi to samo.

Grace i Sara przemykają obok huśtawek, oglądają się przez ramię i posyłają Madeleine wymowne spojrzenia, szepczą coś do siebie, zasłaniając usta. Sara zapisuje coś w swoim zuchowym notesie, ale co to obchodzi Madeleine? Dlaczego kiedyś się tym przejmowała? Odchyła się do tyłu, zawisa w powietrzu do góry nogami, wybija się coraz wyżej, czując, jak powiewają jej włosy. Claire McCarroll idzie za jej przykładem, obie śmieją się w głos, gdyż łatwo o śmiech, kiedy wisi się do góry nogami.

UPIORY PRZESZŁOŚCI

Człowiek raz poddany torturom na zawsze pozostaje ofiarą.

Primo Levi, *I sommersi e i salvati*

- Dora! - Henry Froelich wykrzykuje słowo, które jakby z pominięciem umysłu samo ciśnię mu się na usta. Mężczyzna odwraca się i patrzy na niego, obok niego, nie poznaje go, przeskokuje wzrokiem zatłoczoną halę targową, próbując ustalić, kto wypowiedział to słowo, na dźwięk którego mimowolnie się obrócił. Froelich pokazywał swojemu maluchowi zwinięte w kłębek szczenięta, śpiące na wystawie sklepu zoologicznego, a gdy odwrócił się, ujrzał tę twarz.

- Dora! - To słowo znów wrywa mu się z gardła, jakby wypychała je od środka jakaś

siła. Tym razem mężczyzna spogląda prosto na niego. Jego jasnych oczu nie rozjarza nagły błysk rozpoznania, widać w nich tylko strach. Mężczyzna odwraca się i pospiesznie oddala.

Froelich podąża za nim, ale gubi go w tłumie - to nic, wiadomo, dokąd się kieruje. Przyciska do piersi dziecko i zaczyna przepychać się pod prąd do szerokiego wyjścia hali targowej Covenant Market w Londynie. Gdy tam dociera, mężczyzna już jest po drugiej stronie ulicy, z nisko pochyloną głową, w kapeluszu, wsiada do samochodu - forda galaxy coupé, model 1963. Tyle Froelich potrafi stwierdzić nawet bez okularów, ale jaki jest numer rejestracyjny? Sięga po okulary, przeczesuje palcami kieszenie na piersi, prawą kieszeń, lewą, w gorączkowym pośpiechu wsuwa rękę do wewnętrznej - i o mało nie wypuszcza dziecka.

Widzi, że samochód wjeżdża na chodnik na wstecznym biegu, gwałtownie hamuje przed parkometrem i natychmiast wrywa do przodu. Pal licha okulary. Froelich wypada z budynku, biegnie po chodniku za samochodem, który nabiera prędkości. Dziecko w jego ramionach zaczyna płakać. Froelich przyspiesza, ślizgając się na oblodzonej powierzchni. Okrywa dłonią główkę niemowlęcia - które drze się wniebogłosy - i wyteża wzrok, próbując dojrzeć numer rejestracyjny. Przejeżdżające samochody punktują obraz, jaki ma przed oczami, na podobieństwo klatek w filmie. Kręci mu się od tego w głowie. Migają mu rozmazane niebieskie cyfry i litery - wóz zarejestrowany jest w Ontario - ale czy to jest OX, czy OY? Obok tablicy, na zderzaku, w dopiero co powstałym wgnieceniu nalepka. Froelich poznaje ją bez pomocy okularów. Jaskrawo żółte tło, czarny zębaty zarys zamku. Bajkowe Ogrody.

Samochód przejeżdża przez skrzyżowanie na żółtym świetle. Froelich staje jak wryty; znalazły się okulary. Leżą stłuczone na chodniku u jego stóp. Przez cały czas miał je nasunięte wysoko na czoło. Dziecko ma czerwoną buzię, mokrą od łez i śluzu.

- *Cii, kleiner Mann, sie ruhig, ja, Papa ist hier.*

Ale to nic nie daje. Froelich sam też zanosi się płaczem.

Wracając do swego samochodu, postanawia, że opowie o tym spotkaniu żonie. Ale nikomu więcej. A zatem nie powiadomi policji, mimo że ten człowiek na pewno przebywa w Kanadzie pod fałszywym pretekstem, czyli tym samym nielegalnie - podobnie zresztą jak tysiące innych. Rząd przymykał na to oczy, a niekiedy nawet zachęcał tych ludzi do osiedlenia się w Kanadzie: nieważne, kim byli, byle nie komunistami. Henry wie to z własnego doświadczenia; całe lata czekał, aż nadarzy się możliwość wyjazdu, podczas gdy byłym esesmanom opłacano podróż i zapewniano zatrudnienie. Ale on i bez tego ma dość zmartwień, jego dzieci też, więc nie będzie odgrzebywał przeszłości. Zawiadomienie policji byłoby nie tylko daremne; oznaczałoby wywlekanie na światło dzienne czegoś, co tchnie

zimnem i nigdy się nie zagoi. Obarczanie jego nowej rodziny niepowetowanymi krzywdami, jakie spotkały starą.

Zapina dziecko, śpiące już, w foteliku na tylnym siedzeniu. Zastanawia się, gdzie miał teraz jechać. Do sierocińca, po Karen. Siada za kierownicą. Jego żona, dzieci - on sam - żywe pomniki nadziei. Jedynej możliwej postawy. Henry Froelich jest ateistą. Zanim rusza, ze łzami w oczach dziękuje Bogu za te błogosławieństwa.

W lutym został odwołany rząd Diefenbakera, o czym przesądziło odrzucenie przez niego propozycji Amerykanów rozmieszczenia amerykańskiej broni jądrowej na terytorium Kanady. Ósmego kwietnia w poniedziałek odbywają się wybory. Jack wrócił właśnie z ośrodka rekreacyjnego, gdzie urządzono lokal wyborczy. Rozpiera go uczucie dobrze spełnionego obowiązku, jakby oddając swój pojedynczy głos, przeważył szalę.

Jack wrócił z weekendu, który spędził z Mimi, on i ona tylko we dwoje. Oddali dzieciaki na przechowanie do Boucherów i wybrali się nad Niagarę, żeby tam uczcić rocznicę ślubu. Jack jest wypoczęty i szczęśliwy, zawitała wiosna, a Matka Natura, jak pracujący po godzinach zespół w hollywoodzkim studiu, niemal z dnia na dzień ożywiła niedobitki ponurej zimy. Wysoko na topolach grube pąki lada chwila pękną pod wpływem ciepłego tchnienia. Na grządkach przed budynkiem Jacka kwitną tulipany, a przez plac defiladowy przemyka zastęp elewów w spodenkach gimnastycznych. Wkrótce odbędzie się uroczystość nadania skrzydełek i młodzi lotnicy wyfruną z gniazda w Centralii. W tym tygodniu Jack przekona się, czy reżim, jaki sobie narzucił, przyniósł wyniki, gdy znów włoży strój galowy na bankiet na cześć bawiącego z wizytą wicemarszałka lotnictwa.

Po powrocie do gabinetu zastaje wiadomość leżącą na biurku. „Dzwonił pan Freud. Prosił, żeby jak najszybciej się z nim skontaktować”, oraz numer telefonu Frieda. Jack potrząsa z niedowierzaniem głową - „Freud”. To ci dopiero. Sam Freud miałby uciechę, na pewno powiedziałby, że to wina matki Frieda. To niesamowite, ale Jack nawet się stęsknił za piszczącym głosem Frieda w słuchawce - to chyba przez tę wiosenną pogodę - i zastanawia się, czemu zawdzięcza ten zaszczyt. Wykręca numer. Ciekawe, jak wyglądała matka Frieda - pewnie jak Fried w damskim kapeluszu.

Fried podnosi słuchawkę już po pierwszym sygnale. - Halo? - pyta ostrożnie.

- Cześć, Oskar. Tu Jack.

Lubi drażnić Frieda, zwracając się do niego po imieniu. Nie dość, że Fried nie proponował mu, żeby przeszli na „ty”, to jeszcze „Oskar”, jako przybrane imię, musi podwójnie działać mu na nerwy.

- Jestem rozpoznany - mówi Fried.
- Co takiego? Rozpoznany? Przez kogo?
- Nie wiem.
- Jak to?
- Zabij mnie, a nie powiem.

Jack o mało nie wybucha śmiechem - Fried za dużo naoglądał się telewizji.

- Gdzie, kiedy?
- Poszedłem do hali targowej i zaraz potem do ciebie dzwonię i przez cały

Wochenende... jak to się mówi?

- Weekend.
- *Ja*, ale ty nie jesteś w domu.
- Powiedz mi wreszcie, co się stało, Oskar.
- Ja uciekam, nie waham się.
- Więc ktoś cię zobaczył, a ty nie masz pojęcia, co to za jeden ani skąd jest?
- Wiem, skąd jest.
- Skąd?
- Nie mówię ci.
- Oskar, jak mam ci pomóc, skoro ty...
- Ty powiedz Simonowi, że jestem rozpoznany.
- Czy ten ktoś zawołał na ciebie po nazwisku?
- On wymienia nazwę.
- Jaką nazwę?
- Ja ją znam i dlatego wiem, że...
- Czy ta nazwa odnosi się do ciebie, czy nie?

Cisza.

- Słuchaj - mówi Jack. - Nie obchodzi mnie, jak się naprawdę nazywasz, i nie musisz mi tego mówić, ale chcę wiedzieć, czy ten facet zna twoje nazwisko.

- Nie - odpowiada Oskar, a Jack słyszy niemal, jak oblizuje suchą dolną wargę. - On nie zna mojego nazwiska.

Jack wyczuwa strach z drugiej strony. Przemawia do Frieda łagodnym tonem: - Dobrze, to dobrze, a teraz powiedz mi, jakiej nazwy użył?

Ponownie cisza.

Jack jest zaniepokojony, ale zarazem i znużony. Oskar Fried nie rozumie, co to jest łańcuch dowodzenia; pod nieobecność Simona Jack praktycznie występuje w jego imieniu,

nie jest jedynie chłopcem na posyłki.

- Dora - odpowiada Fried z wahaniem.
- „Dora”? Po co by wołał do ciebie „Dora”?
- On jest od Dory.
- Dora go wysłała? Kto to jest Dora?

Jego żona? Agent KGB? Jack czeka na odpowiedź. - Oskar? Kto to jest Dora?

- Ty nie upoważniasz... ty nie jesteś upoważniony do zadawania mi pytań.

Jack przygryza język i mruży oczy. Zachowaj spokój. Fried jest przerażony.

Przerażony perspektywą powrotu do ZSRR.

- Powiedz Simonowi „Dora” - mówi Fried. - On zrozumie. Przekaż mu, żeby do mnie zadzwonił.

- Jasne, a tymczasem waruj na miejscu, Oskar.
- Waruj?
- Nie ruszaj się z mieszkania. Koniec z przejazdami.
- Ja nie jadę, on widzi samochód.
- Samochód?
- Ja biegnę do samochodu, on za mną, widzi samochód.

Tablica rejestracyjna. Ten, kto ją zobaczył, może znów ją zobaczyć. Może jej szukać. Może ją znaleźć na Morrow Street, przed domem, w którym mieszka Fried...

- Gdzie stoi samochód teraz, Oskar?

- Parkuję z tyłu budynku.

- Dobrze. Nie ma czego się bać. Ktoś cię spostrzegł - rozpoznał - w sobotę. To dwa dni temu. Gdyby coś miało się wydarzyć, to już by się wydarzyło...

Jack chciałby mieć co do tego taką pewność, z jaką przemawia, ale przecież nie jest to nieuzasadnione domniemanie. Opada go poczucie winy - to błąd z jego strony, że pozwolił panującemu przez ostatnie kilka miesięcy spokojowi uśpić jego czujność. Powinien mieć się na baczności. Być w pogotowiu. Powinien dać Friedowi numer telefonu apartamentu dla nowożeńców w Holiday Inn nad wodospadem Niagara.

Jack ma zamiar odłożyć słuchawkę, musi skontaktować się z Simonem...

- Potrzebna mi żywność - oświadcza Fried.

Jack zwiesza głowę. - Przecież byłeś w sobotę na zakupach.

- Tak, ale jestem rozpoznany, zanim kupuję.

Jack wzdycha, sięga po ołówek i kartkę, uświadamiając sobie jednocześnie, że Simon prawdopodobnie każe mu natychmiast przerzucić Frieda przez most w Buffalo - nie będzie

czasu na zakupy. Już zaczyna wymyślać wymówkę dla Mimi, dlaczego musi wieczorem jechać do Londynu, zwracając się do Frieda: - Wal.

- Słucham?

- Co mam ci przynieść do jedzenia?

Z drugiej jednak strony zadanie Jacka może ograniczyć się jedynie do wprowadzenia w sprawę McCarrolla. Jak zwykle, stwierdza Jack smętnie, Amerykanin wkroczy do akcji w ostatniej chwili i zgarnie laury. McCarroll odstawi Frieda do amerykańskiej bazy lotniczej Wright-Patterson, gdzie przyjmą go jak bohatera. Nieważne. Teraz chodzi o to, żeby chronić Frieda. Zadbaj o jego potrzeby. Jack słucha i zapisuje.

- Masło, mam... musztarda, tak, wiem, pikantne...

Lista jest długa i szczegółowa - przygoda z „Dorą”, jak widać, nie odebrała Friedowi apetytu.

- Wolnego, już... camembert i... co? Gdzie ja teraz zdobędę czereśnie? O tej porze roku na pewno kosztują fortunę... no, dobrze, co jeszcze?

Podnosi wzrok i dostrzega Vicka Bouchera w progu, z szerokim uśmiechem na twarzy, długo tak stoi?

Jack mruga porozumiewawczo do Vicka i mówi do telefonu: - Tak, sprawdzę, czy są świeże...

Vic wchodzi do gabinetu, z plikiem dokumentów pod pachą, od niechcenia zerka na leżącą do góry nogami listę sprawunków. Jack dopisuje do niej „seler” zamiast nazwy tytoniu, o który prosił Fried, i żałuje, że nie zamknął drzwi.

- I kawior - dodaje po drugiej stronie Fried.

- Kawior? - powtarza Jack mimowolnie.

Vic zadziera głowę do góry i składa usta jak do gwizdu. Jack śmieje się i kiwa głową w odpowiedzi.

- To wszystko - mówi Fried i rozłącza się.

Jack, wciąż z uśmiechem wypisanym na twarzy, szczebiocze: - Ja ciebie też. Pa, kochanie - i odkłada słuchawkę.

- Trzeba przyznać, że Mimi ma wykwintny gust - stwierdza Vic.

- Ja też nie oszczędzam na piwie.

Vic przyszedł zasięgnąć jego opinii w sprawie wyboru najlepszego przykładu do omówienia na koniec semestru. Jack gani się w duchu za swoje rozdrażnienie - przecież na tym polega jego prawdziwa praca. To Fried wprowadza zakłócenie, nie Vic. Po odejściu Vicka Jack wyjmuje listę zakupów z kieszeni. Seler? Nie pamięta, żeby Fried o niego prosił -

ach tak, „seler” to zaszyfrowany tytoń fajkowy, ale jak się nazywał ten jego ulubiony gatunek?

Wkłada listę do kieszeni, sięga po służbową marynarkę i wychodzi z gabinetu, roztrząsając drobiazgowo nowo powstałą sytuację tak, aby jak najprościej i najjaśniej zapoznać z nią Simona. Przychodzi mu do głowy kilka powodów przemawiających przeciwko popadaniu w panikę. Jeśli ten nieznajomy w hali targowej był agentem KGB i Sowieci od dawna mieli Frieda na oku, to dlaczego zaczepili go tak otwarcie i do tego w miejscu publicznym? A gdyby nawet, to raczej mało prawdopodobne, aby agent KGB tak łatwo zgubił Frieda w tłumie kupujących. Zbiegając po schodkach, Jack wdycha głęboko kwietniowe powietrze i spogląda ponad czubki drzew na błękit usiany białymi kłębkami, które wciąż jeszcze mogą zamienić się w śnieg. To pewnie nie było KGB. Chyba że prośba o dostarczenie żywności to pułapka. Topole szeleszczą jak zwykle, wykorzystując nawet najlżejszy powiew. Jack jest rozpalony na twarzy, ale rozważa sprawę chłodno. „Dora” może oznaczać kogokolwiek. Albo cokolwiek. Co wiadomo Jackowi o całej tej operacji? Właściwie nic konkretnego. Simon powiedział mu, że Fried jest radzieckim naukowcem, a Jack założył, że specjalizuje się w raketach. Podobnie przyjął, że Simon pracuje dla MI6, ale uświadamia sobie nagle, że Simon nigdy nie określił tego dokładnie: chytrze wzbudzał w nim te domysły, nie potwierdzając ich ani też nie burząc. Tylko jedną sprawę postawił jasno: żeby nie wtajemniczać Blaira McCarrolla do czasu, aż będzie to konieczne.

Dochodząc do placu defiladowego, Jack wzdycha w duchu i wygrzebuje z kieszeni garść monet. Ta przygoda przydarzyła mu się za późno w życiu. Jego myśli zaprzęta troska o Mimi i dzieciaki: co zrobią, jeśli, nie daj Boże, coś mu się przytrafi?

- Dzień dobry, tu ambasada brytyjska - wita go uprzejmie kobiecy głos angielszczyzną wyższych sfer.

- Dzień dobry, proszę mnie połączyć z pierwszym sekretarzem Crawfordem.

- A kto dzwoni, jeśli wolno spytać?

- Major Newbolt.

Jack czuje się głupio używając kryptonimu, ale tego wymaga ustalona przez Simona procedura. „Newbolt” oznacza, że sprawa jest pilna. A wszystko na to wskazuje.

- Jak leci, Jack?

- Si, mamy kłopoty.

- Jesteś w pracy?

- W budce.

Rozłączają się. Jack czeka, aż Simon oddzwoni. Jest przedpołudniowa pora, plac

opustoszały - elewi pilnie się uczą w salach wykładowych albo za sterami. Spogląda przez oszkloną ścianę budki na niebo, patrzy, jak trzy chipmunki lecące w szyku robią zwrot. McCarroll pewnie jest w powietrzu, w fotelu instruktora któregoś z tych małych żółtych latawców. Jack wzdryga się, gdy naraz dzwoni telefon. Podnosi słuchawkę.

- Cześć.
- Wal, stary.
- Nasz przyjaciel został rozpoznany.
- Przez kogo?
- Nieznanego mężczyznę w hali targowej.
- Czy zwrócił się do Frieda po nazwisku?
- Fried twierdzi, że ten ktoś wymienił nazwę „Dora”.

Czeka na odzew ze strony Simona, ale ten milczy, więc Jack ciągnie dalej: - Tylko tyle udało mi się z niego wydobyć. Nie chciał mi zdradzić, kto kryje się pod tą nazwą. Mówił, że ty będziesz wiedział.

- Kiedy to się stało?
- W sobotę.
- Cóż, ten nieznajomy nie był Rosjaninem, bo dotarłaby do nas wieść, więc jeden zero dla nas. Ale na wszelki wypadek niech nasz przyjaciel nie rusza się z miejsca.
- Tak mu powiedziałem.
- Świetnie. Trzeba teraz nadać sprawie nieco szybszy bieg.

Pokrzepiająco działa na Jacka lekki, zrównoważony ton Simona, energiczny, ale nie naglący.

- Mam wprowadzić do akcji Amerykanina?
- M-hm.
- Kiedy?
- Teraz jest chyba odpowiedni moment.

Jack wyczuwa, że Simon ma na tym zamiar zakończyć rozmowę, więc mówi szybko: -
Widzę, że nie przejąłeś się zbytnio tą kobietą?

- Dora to nazwa fabryki, stary - śmieje się Simon.
- Fabryki? Gdzie, w Niemczech?
- Tak.
- W czasie wojny?
- Zgadza się.
- Nigdy o niej nie słyszałem.

Jack żałuje, że nie może cofnąć tych słów, zdaje sobie sprawę, że to zabrzmiało napastliwie, a nawet podejrzliwie.

- Nic dziwnego. Tak się składa, że to kryptonim. Dla fabryki rakiet.

- V-2? Przecież mieściła się w Peenemünde.

- Zbombardowaliśmy Peenemünde, więc przenieśli ją do podziemi i nazwali Dora.

Jack się cieszy. Jego domysł był trafny: Fried to specjalista od rakiet.

- Przy okazji, co tam u was? Kto jest górą?

- Kto jest górą?

- Diefenbaker utrzyma się przy władzy?

- Niece - odpowiada Jack. - Jego godzina już wybiła. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Słuchaj, Fried prosił mnie, żebym podrzucił mu trochę żarcia. Mam to odwołać i kazać mu się pakować?

- Nic mu nie mów. Ja się tym zajmę. Chyba wiem, co się wydarzyło. Zawieź mu to, czego potrzebuje, tak jak zwykle, bez paniki.

- Simon.

- Słucham?

- Skąd ta pewność, że ten facet od Dory to nie Rosjanin? Może do tej pory nie zgarnęli Frieda po prostu dlatego, że się nie spieszą. Wzięli go pod obserwację.

- Sowieci nie wiedzą, że Fried uciekł - odpowiada Simon z leciutkim wahaniem. - Myślą, że nie żyje.

- ...Aha.

- Dzięki temu udało nam się go wydostać i zatrzeć za nim wszystkie ślady. Gdyby KGB mimo to go szukało, nasi ludzie na Wschodzie daliby nam znać. Rozeszłyby się fale, a oni trzymają rękę na pulsie.

- ...Więc w zasadzie wszystko jest w porządku - mówi Jack.

- Wszystko gra i buczy.

Rozłączają się. Simon nie sprawiał wrażenia szczególnie przejętego. Jak zawsze zresztą.

Jack wychodzi z budki, ale nie wraca do siebie; idzie w przeciwnym kierunku, do budynku Szkoły Lotniczej - gdzie urzęduje McCarroll.

Więc się nie mylił. Fried pracował nad rakieta V-2 - pierwszym pociskiem balistycznym, pierwowzorem rakiety Saturn, w której Zachód pokłada swoje nadzieje wysłania załogi Apolla na Księżyc „przed końcem tej dekady”. Przechodzi go dreszcz - czuje przypływ energii, pobudzony dodatkowo rześkim wiosennym powietrzem. Oskar Fried

musiał pracować u boku Wernhera von Brauna. Ta wiadomość z nawiązką wynagradza Jackowi drobne przykrości, jakie spotkały go ze strony Frieda. Zbliży się do ogromnych hangarów na skraju płyty lądowiska, kieruje się do hangaru numer 4, w którym mieści się Szkoła Latania.

Dora. Podziemna fabryka. Niemcy zbudowali ich kilkanaście - dwunastopiętrowych pałaców pod sosnami, zawzięcie wypuszczających messerschmitty do samego końca. Cuda nad cudami techniki. I jeszcze większe cuda czystego zarządzania - zasługa geniuszu Alberta Speera. Jack wchodzi do hangaru; rozpinające się wysoko nad głową stalowe krokwie sprawiają, że gdy spogląda w górę, ma wrażenie, jakby wisiał w powietrzu. Ale pod stopami ma gładki solidny beton. Idzie prowizorycznym korytarzem między ścianami z prefabrykatów.

Czy Frieda rozpoznał ktoś z Dory? Kolega po fachu? Fried cierpi na manię prześladowczą, życie w sowieckim reżimie wyrobiło w nim nawyk ciągłego oglądania się przez ramię, ale niewykluczone, że mężczyzna w hali targowej zareagował spontanicznie - na widok znajomej twarzy, do której po tylu latach nie potrafił już przypisać nazwiska. Może to był rodzaj przyjacielskiego pozdrowienia, a znając Frieda, ten nie wyczułby różnicy.

Przez uchylone drzwi do sal lekcyjnych Jack dostrzega części samolotów rozłożone na ławkach, tablice zapisane terminami meteorologicznymi, a w jednej nawet stary pocziwy symulator lotów - z opuszczaną zasłoną do ćwiczenia podchodzenia do lądowania bez widoczności. Niewiele się zmieniło od czasów Jacka. Zatrzymuje się przed gabinetem McCarrolla i puka w przeszklone drzwi.

Z gabinetu obok wygląda pracownik administracyjny.

- Jeśli szuka pan kapitana McCarrolla, to wyjechał i wróci dopiero w środę.

- Wyjechał, tak? A dokąd?

Jaki pożytek z cichego wspólnika, jeśli nie ma go pod ręką wtedy, kiedy jest potrzebny?

- Do Bagotville, panie pułkowniku.

- Do Bagotville?

- Wylatać swoje godziny na voodoo, jak sędzę.

Oczywiście. Bagotville to placówka operacyjna w której mieści się jednostka szkoleniowa. Przy prędkości półtora tysiąca kilometrów na godzinę, McCarroll utrzymuje swoje umiejętności pilotażu w najwyższej sprawności. Wiele zmieniło się od czasów Jacka.

- Pewnie tak - kwituje Jack.

Po powrocie do swojego budynku Jack idzie korytarzem, wsłuchując się w odgłos

kroków tłumiony przez linoleum. To pewnie typowe podłogi. Hole Pentagonu na pewno też są wyłożone takimi samymi burymi nakrapianymi prostokątami. Nie wspominając o Kremlu. Dostawca zbił na tym fortunę.

Już się nie spieszy, a kiedy rzuca kapelusz na wieszak, odnotowuje uczucie lekkiego zawodu. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wtajemniczy McCarrolla. Ujrzy błysk w jego oczach, gdy wspomni mu o raketach. Zadowolenie, kiedy dotrze do niego, że przeniesienie do Centrala to nie odstawienie na boczny tor, lecz w gruncie rzeczy wyróżnienie. Niestety, trzeba to odłożyć do środy.

Jack dzwoni do Frieda, który po rozmowie z Simonem wyraźnie się uspokoił. Jack pyta go, czy nic się nie stanie, jeśli przywiezie mu zakupy dopiero w środę - właśnie przypomniał sobie o pierwszym występie syna w tym sezonie w rozgrywkach baseballu, jutro ma naradę za naradą, a wieczorem wychodzi z Mimi na brydża. Poza tym do tego czasu wróci McCarroll i Jack będzie mógł mu przedstawić Frieda. Dwie pieczenie przy jednym ogniu...

- Oczywiście, poczekam do środy - odpowiada Fried.

Jack ze zdumieniem odnotowuje w głosie Frieda nie tylko uprzejmą, lecz wręcz przyjazną nutę. Facet odczuł niewymowną ulgę albo ogłupiał ze strachu.

Jack odchyła się do tyłu w obrotowym dębowym krześle, opiera nogę o krawędź biurka i spogląda przez okno. Wysoko na niebie biała smuga spalonego paliwa odrzutowego zwija się i rwie na strzępy. Gdzieś tam w przestworzach McCarroll wylatuje swoje godziny na myśliwcu Voodoo.

Grace przestała być zahukanym popychadłem. Odkąd obie z Sarą zostały wykluczone z ćwiczeń polekcyjnych, bez przerwy coś knują. Sara nie próbuje już wkraść się w łaski Cathy Baxter, a Grace ma nowy paskudny nawyk oblizywania palców, skubania języka i rozsmarowywania śliny wokół ust. Jej wargi bez przerwy wyglądają na podrażnione, są niezdrowo czerwone i pewnie ją szczypią. Jej oczy są rozbiegane, jakby została przyłapana na gorącym uczynku i w popłochu rozglądała się za kimś, na kogo mogłaby zrzucić winę. I wystarczy, że dorosły wypowie jej imię pytającym tonem, żeby Grace stanęły w oczach łzy.

Sara wyjęła notes zuchowy i ołówek. - Piszemy na ciebie raport, Madeleine.

- Raport? A do kogo, jeśli łaska? - odpowiada Madeleine pogardliwie.

- Nie twój interes - mówi Sara, podrzucając sztywnymi złotymi loczkami. Grace chichocze. Trzyma w ręku pałeczkę mażoretki, własność Sary.

Do południa zachmurzyło się, a o trzeciej zaczęło padać. Wszyscy uczniowie pobiegli do domów, ale Madeleine nie chce, żeby wyglądało na to, że ucieka.

- Ostrzegam cię, Madeleine McCarthy.

Najlepiej nie zwracać na nie uwagi.

- Właśnie - dopowiada Grace.

Madeleine przyjmuje to ze zdziwieniem. Osoba, której ostatnio okazała tyle dobroci, nagle odnosi się do niej tak lekceważąco?

- Śmierdziś, Madeleine.

- Słyszysz, co mówię? - odzywa się Sara.

- Słyszysz, co mówię? - powtarza Madeleine.

- Masz przerąbane, Madeleine.

- Masz przerąbane, Madeleine.

- Zamknij dziób!

- Zamknij dziób!

Madeleine wie, że powinna oprzeć się pokusie dokuczania Sarze. Biedna Sara, prymuska z mnóstwem sprawności zuchowych, która spiknęła się z kretynką. Jeśli ktoś chce być naprawdę dobry, powinien przestawać z tymi, których nie znosi, i polubić ich. Tak postępował Jezus. Z nierządnicami i poborcami. Madeleine rozważa radykalne posunięcie, polegające na wyciągnięciu przyjaznej dłoni z uśmiechem świętej męczennicy na ustach, lecz słyszy głos Sary za plecami: - Dowal jej, Grace.

Cios trafia ją między łopatki, zapierając dech w piersiach i popychając do przodu. Madeleine odwraca się i widzi Grace, która wymachuje pałeczką jak kijem do baseballu, w jej rozbieganych oczach widać błysk podniecenia. Sara stoi z założonymi rękami, na jej twarzy maluje się rezygnacja, a nawet żal. „Sama się o to prosiłaś”. Madeleine ma otwarte usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, cały świat jakby na chwilę zamilkł. Wszystko jawi się w ostrzejszych barwach. Jakby siła uderzenia przeniosła całą trójkę w inne miejsce.

Grace zerka na Sarę, jakby czekała na przyzwolenie, żeby zadać kolejny cios. Madeleine wodzi wzrokiem od jednej do drugiej i słowa same wyrywają się jej z gardła: - Co jest głane, doktołku?

Grace chichocze.

- Przestań, Madeleine - mówi Sara.

- Przestań - powtarza za nią Grace.

Madeleine podryguje i ciska się jak małpa: stulonym językiem wypycha górną wargę, wybałusza oczy, drapie się zwiotczalnymi rękami pod pachami.

- Dość tego! - wrzeszczy Sara.

Grace bierze zamach i celuje w tyłki Madeleine. Madeleine czuje piekący ból i łyzy

napływają jej do oczu. Prostuje się, wznosi groźnie palec: - Wiesz chyba, że to oznacza wojnę.

Sara rzuca się na nią, orząc paznokciami twarz, szarpiąc za włosy. Madeleine zasłania się łokciami i ni z tego, ni z owego zanosi się śmiechem jak Woody Woodpecker. „Hi-hi-HA-ha”, wyrzuca z siebie odruchowo z prędkością karabinu maszynowego.

- Zamknij się, Madeleine! - krzyczy Sara.

- Zamknij się, Madeleine! - przedrzeźnia ją Madeleine.

Grace dopada do wciąż skulonej Madeleine, ciągnie ją za płaszcz, za tornister, próbuje przewrócić na ziemię.

- Mamy cię zabić, Madeleine? - wrzeszczy Sara.

- Zabić cię, Madeleine? - piszczy w odpowiedzi jelonek Newton. - Zabić cię, Madeleine?

Grace więzi jej nogi swoim ciężarem, Madeleine ma wrażenie, jakby ugrzęzła w bagnie. *Za nic nie daj się zwalić na ziemię!* Zaczyna szczekać jak pies i rechotać, aż opada z sił. Czuje mokrą plamę pod okiem, cieplejszą niż krople deszczu, nagle znów robi się lekka jak piórko. Grace puściła ją i płacze. Sara napiera na nią dłońmi, ale Madeleine trzyma się w pionie jak niezatapiający klaun.

- Jeszcze oberwiesz! - dyszy Sara.

Madeleine pochyla się do przodu i wykrzykuje: - Yabba dabba doo! W oczach ma kosmyki włosów i krew.

Grace i Sara wycofują się, odgrzając się ze znużeniem, złorzecząc płaczliwie. Potem odwracają się i oddalają biegiem.

Madeleine stoi w miejscu, łapiąc oddech. Trwa to nieskończenie długo. W końcu Madeleine spostrzega, że wcale nie dyszy, tylko wydaje z siebie ciche dźwięki. Popłakuje - to znaczy, jej oczy popłakują, jej ciało. Nie szkodzi. I tak pada deszcz. Jej urywane łkanie przypomina kwilenie dziecka - które budzi jej litość. Potem odzywa się ból i rozchodzi się po niej niczym echo uderzeń. Ból jest czysty, pomocny. Pozwala jej skupić wzrok na budynkach za polem i ruszyć w stronę domu. Pozwala jej przestać płakać.

- Goniałam psa i się przewróciłam. Kłamstwo weszło jej w krew.

- Jakiego psa?

- Chyba się przybłąkał.

- Dlaczego tak sobie podrapałaś twarz?

- Miałam ręce schowane pod płaszczem, kiedy się potknęłam.

- Och, Madeleine, a co to znowu za pomysł?

- Udawałam pingwina.

Ponieważ *Maman* wciąż wygląda na zatroskaną, Madeleine dodaje: - *Ci pa gran chouz.*

- „*Ci*” *quoi? Qu'est ce que tu dis?* Co to za francuszczyzna?

- To Michif.

- „*Mi*” - *quoi?*

- Nauczyłam się od Colleen.

- Jak było naprawdę? To Colleen Froelich cię popchnęła?

- Nie!

Maman przykleja jej plaster z opatrunkiem na oko, a drugi pod okiem. Po skaleczeniu może zostać leciutka blizna. Potem zawiadamia żandarmerię o wałęsającym się groźnym psie.

Jack zabiera najnowszy numer „The Globe”, żeby przejrzeć wiadomości na temat wyborów, a w drodze powrotnej do domu, przebytej szybkim truchtem, zasłania się nim przed deszczem - rano nie zanosilo się na to, że będzie padać. Mecz Mike'a zostanie odwołany. Może jednak powinien wybrać się do Londynu dziś wieczorem. Ale sklepy będą pozamykane, a poza tym jak o tej porze tam dojedzie?

Wychodząc zza rogu, dostrzega Henry'ego Froelicha z parasolem, zagląającego pod maskę swego składanego samochodu, oddającego się swej obsesji. Jack wita go z daleka, a sąsiad w odpowiedzi unosi fajkę.

- Hank, jak się nazywa ta trucizna, którą się raczysz?

- Von Eicken. Chcesz spróbować?

- Nie, potrzebuję trochę na prezent dla przyjaciela.

- Ja się zaopatruję w sklepie Union Cigar naprzeciw hali targowej.

- Dzięki - mówi Jack, odwraca się i odchodzi. Otwiera drzwi frontowe i woła od progu: - Mimi, wróciłem. - Wbiega po schodkach. - Ale smakowite zapachy!

- Gdzie moje czereśnie? - pyta Mimi, całując go na powitanie.

- Czereśnie? - Uśmiecha się do niej, zdejmując kapelusz, otrząsając się z deszczu.

- Betty chciała wiedzieć, gdzie dostałeś czereśnie i ile zapłaciłeś.

Vic Boucher. Na twarzy Jacka wciąż widnieje uśmiech, gdy oświadcza: - Nie udało mi się zdobyć czereśni.

- Vic ostrzegł ją, żeby nawet nie próbowała pytać o kawior.

- Co też Vickowi chodzi po głowie, nie wiesz, moja pani?

Trzyma żonę w objęciach. Ciekawe, jakie szczegóły dotarły do Betty? Że Vic podsłuchał, jak „Mimi” dyktuje Jackowi przez telefon listę sprawunków? Czego dowiedziała się od Betty Mimi? Czy Betty zreflektowała się, widząc, że Mimi nie ma pojęcia, o czym ona mówi? Czy Vic i Betty podejrzewają go, że coś ukrywa przed żoną?

Całuje ją przelotnie w usta.

- Lepiej nie przynos mi kawioru, mój panie. Przygotowałam na kolację *ragoût* - mówi Mimi i odwraca się do kuchenki. Nie wydaje się przejęta - sprawia normalne wrażenie.

- Nie wiem, skąd przychodzą Vickowi do głowy takie pomysły. - Zagląda jej przez ramię, podnosi pokrywkę garnka i wacha. - Może to pobożne życzenia. Mmm.

Mimi odbiera mu pokrywkę, kładzie ją z powrotem na miejsce, podnosi drugą i zanurza w garnku łyżkę.

- Kawior nie umywa się do tego - stwierdza Jack. - Nie ma to jak porządne *bouilli*.

- *Cassoulet* - poprawia go Mimi, dmuchając na łyżkę i ostrożnie smakując.

- Jeśli masz ochotę na kawior, moja pani, kiwnij tylko palcem.

Podaje mu łyżkę, chroniąc ją od spodu dłonią. - Wiem.

Jack smakuje. - Jeszcze szczyptę soli.

Nalewa sobie szkockiej i idzie z gazetą do salonu - *PRZEWIDYWANA REKORDOWA FREKWENCJA*. Wygląda na to, że wielu Kanadyjczyków uznało, że ich głos będzie miał decydujące znaczenie. Jack sączy whisky i spogląda przez okno. Niebo przejaśnia się, skąpane w pomarańczowej łunie - mecz Mike'a jednak dojdzie do skutku. Tym bardziej się cieszy, że przełożył spotkanie z Friedem na środę.

Po obu stronach drogi okręgowej, zielone i połyskujące, falowały młode pędy kukurydzy; między rzędami prześwitywały czarne bruzdy. Od spieczonej drogi zaginało się powietrze. Za gorąco jak na kwiecień. Droga biegł chłopak w czerwonych dżinsach. Z daleka wyglądał jak plama szkarłatu, drgająca i malejąca. Zmierzająca w kierunku wierzby, która pulsowała w widocznym skwarze i omiatała skrzyżowanie drogi okręgowej z polną drogą prowadzącą do Rock Bass. Stalowe koła wózka inwalidzkiego jego siostry, który pchał przed sobą, rzucały na jego stopy refleksy. Obok niego pędziła na rowerze mała przyjaciółka, niebieska sukienka marszczyła jej się na kolanach, a kroku dotrzymywał im zaprzęgnięty do roweru pies.

Dziewczynka nie wróciła do domu. W końcu ją odnaleźli. A chociaż chłopak jak zwykle zameldował się w domu, razem z siostrą i psem, tego wiosennego dnia zaginął bezpowrotnie.

ŚRODOWE DZIECI

Jasnożółty motylek fruwał sobie tu i tam, racząc się nektarem kwiatów rosnących w dżungli. Przeleciał beztrosko nad grzbietem krokodyla, który drzemał sobie cicho, leżąc na suchym brzegu...

Motyle i krokodyle, zeszyt ćwiczeń do ortografii, 1951

Na biurku pana Marcha leży wymoszczony papierową słomą koszyk, wypełniony po brzegi jajkami w błyszczących papierkach. Sam widok czegoś takiego przed Wielkanocą, kiedy trwa jeszcze wielki post, budzi dreszcz, taki jak ten, który towarzyszy zagłądaniu pod łóżko rodziców, żeby zobaczyć prezenty gwiazdkowe. Człowiek się cieszy, rwie się, żeby się nimi pobawić, ale ostatecznie żałuje, że w ogóle zaglądał.

Wielkanoc, choć nie tak ważna, również jest wyczekiwana z niecierpliwością. W poprzedzający ją wieczór maluje się ugotowane na twardo jajka w skorupkach, a rano na stole zjawia się zając z czekolady, z wesołymi paciorkowatymi oczkami i koszykiem na plecach. Madeleine zawsze dostaje zająca, a Mike koguta. W pokojach na parterze ukryte są czekoladowe jajka - w butach, w wysuwanych głośnikach, pod podstawą lampy... Potem wielka bitwa na pisanki, żeby zobaczyć, czyje jajko jest najtwardsze. Ale pamiętajmy, że te wszystkie uciechy zawdzięczamy temu, że w Wielki Piątek Jezus został ukrzyżowany, umarł i został pogrzebany, a trzeciego dnia zmartwychwstał. I nie wypada objadać się w klasie wielkanocnymi smakołykami, zanim jeszcze Jezus został przybity do krzyża.

Wydaje się jednak, że czwartoklasiści będą obchodzić Wielkanoc, chociaż dzisiaj jest dopiero środa - nawet nie Wielka Środa. Wielkie rzeczy zaczynają się od czwartku.

Ale najpierw sprawdzian ortograficzny. Pan March czyta słowa powoli, z namaszczeniem, wyraźnie wymawiając każdą sylabę. „Fruwać... dżungla... grzbiet... drzemać... cicho... suchy... brzeg... powierzchnia... niebezpieczeństwo... uciec... dmuchnąć”.

Jedyne trudne słowo to „powierzchnia”. Madeleine pisze „powierzchnia”, ale zaraz przypomina sobie symbol z podręcznika, czerwonego diabełka, który widełkami wskazuje na stronie słowa o zawilej pisowni, i poprawia na „powieżchnia”.

Nauczyciel zbiera kartki, a potem udaje zdziwienie na widok koszyka na swoim biurku. - Wygląda na to, że zając wielkanocny zawitał do nas wcześniej.

Uczniowie kwitują to uprzejmym „ooo”.

- Kto potrafi kicać jak zając?

W mig wyrasta las rąk. Nieważne, że kicanie jak zając to zajęcie godne przedszkolaków, każdy chce położyć rękę na koszyku - to znaczy, prawie wszystkie dziewczęta i Philip Pinder. Widząc podniesioną rękę Philipa, inni chłopcy idą w jego ślady, bo skoro Philip się zgłasza, to nie ma się czego wstydzić.

Pan March unosi brwi. - Chciałbym zobaczyć tyle samo rąk w górze, gdy trzeba wymienić nazwy dziesięciu naszych prowincji i ich stolic.

Nawet Auriel i Lisa uniosły ręce, a także Gordon Lawson, grzecznie opierając łokieć o ławkę. Tylko Madeleine się nie wyrывa. I Claire. I Grace też, bo wie, że nie zostanie wybrana.

- Zajączki są małe i cichutkie, jak trusie, inaczej nie są zajączkami - oświadcza nauczyciel tonem, jakby opowiadał bajkę, dalekim od sarkazmu, po czym można poznać, że potrafi być miły.

Wszystkie ręce nagle opadają i w klasie zapada cisza jak makiem zasiał. Uczniowie kurczą się na krzesłach, zasłaniają głowy rękami jak przy chowaniu się w mig. Madeleine opiera się brodą o ławkę i mruga. Nie chce sprawiać przykrości nauczycielowi, ale też nie uśmiecha się jej zostać zającem czy jeść czekoladki od pana Marcha. Oprócz niej jedynie Claire McCarroll nie naśladuje zająca.

- Claire McCarroll - mówi nauczyciel. - Przykicaj na środek klasy, proszę.

Nikt nie ma za złe Claire, że została wybrana na zająca wielkanocnego. Przecież jest najcichsza z całej klasy. I najmniejsza. Claire kica na środek klasy, z rękami złożonymi pod brodą niczym łapki, i wszyscy się śmieją, ale radośnie, nie złośliwie. Claire zachowuje powagę. Wcieliła się w rolę. Kiedy zatrzymuje się przy biurku, pan March głaszcze ją po głowie.

- Wskocz mi na kolana, zajączku. Zajączek posłusznie wskakuje.

Pan March uśmiecha się do zajączka. Do myszokoczka także ma słabość.

- A teraz, wielkanocny zajączku, chciałbym, żebyś rozdał jajka, każdemu uczniowi jedno. Poradzisz sobie z tym?

Zając kiwa głową.

- Potrafisz poruszyć uszami?

Claire zamienia łapki w sterczące uszy i wywija nimi. Klasa bije brawo.

- Potrafisz poruszyć ogonkiem?

Claire kręci pupą, wywołując powszechną wesołość, ale Madeleine czuje, że płoną jej policzki. Przed oczami stają jej majtki Claire, które mignęły jej tamtego odległego dnia, kiedy robiły z Claire koziołki na trawie. Nauczyciel wkłada zajęcowi do łapek koszyk. - No to ruszaj zajęczym szlakiem.

Gdy Claire zsuwa się z kolan pana Marcha, zadziera się jej błękitna spódniczka. Madeleine zamyka oczy, pod powiekami ukazuje jej się wzorek, rozmazany, niewyraźny. Żółte plamki, może kurczaczki...

Gdy Claire skacze między rzędami, uczniowie, pod dyktando nauczyciela, śpiewają piosenkę o Peterze Cottontailu, „co ruszył zajęczym szlakiem”. Claire staje przy każdej ławce i kładzie na niej czekoladowe jajko. Madeleine czuje pieczenie w żołądku, ma zwilgotniałe dłonie i zziębnięte palce. Przykłada palce do czoła, żeby je ostudzić.

Przechodzi jej trochę, do czasu kiedy Claire zatrzymuje się przy jej ławce, gdyż wszyscy odnoszą się do zajęczka życzliwie, dziękują mu, nawet głaszczą go. Bransoletka Claire połyskuje na jej nadgarstku, gdy podaje jajko Madeleine, przywodząc Madeleine na myśl jej własną, pogardzaną przez nią bransoletkę, spoczywającą w niebieskim pudełeczku w domu. Może powinna ją założyć na dzisiejszą uroczystość. Bierze od Claire jajko i szepcze kącikiem ust: - Dzięki, doktołku, my kłóliki musimy trzymać sztamę.

Claire uśmiecha się do niej.

- Wszystko, co dobre, niestety kiedyś się kończy - stwierdza pan March, a Claire kica z pustym koszykiem z powrotem do biurka. - Czy zajac wielkanocny pamiętał o tym, żeby odłożyć jajko dla siebie? - pyta.

Zajac potrząsa przecząco głową.

- A to dlaczego?

Claire spuszcza wzrok. - Ja lubię tylko prawdziwe - odpowiada swoim uroczym łagodnym głosem.

- Oczywiście. Jak mogłem zapomnieć: nasz miejscowy ornitolog. - Lustruje wzrokiem klasę. - Kto zatem jest szczęśliwym posiadaczem dwóch czekoladowych jajek?

Gordon Lawson podnosi rękę, uśmiecha się i wzrusza ramionami.

Rozlega się jęk dezaprobaty. Gordon i Claire oboje się czerwienią. Auriel szepcze Madeleine, że Sara ma minę, jakby właśnie polizała cytrynę, a nie zjadła czekoladkę, i to prawda, Sara tak wygląda.

- Nie zamierzasz zjeść swojego czekoladowego jajka, dziewczynko?

Madeleine spogląda na owinięty w kolorowy papierek owal leżący na jej ławce. - Nie,

dziękuję, panie March.

- Dlaczego? Czy ja jestem obcy?

Uprzejmy śmiech uczniów.

- Nie.

- Więc?

- Ze względu na wielki post.

- Ach tak, mamy wśród nas żarliwą chrześcijankę.

Głośniejszy śmiech.

- Nie wydaje mi się, abym powiedział coś zabawnego - oświadcza nauczyciel, rozglądając się po sali. - Twoja samodyscyplina jest godna podziwu, panno McCarthy, ale do Wielkanocy zostało już tylko kilka dni. Co stoi na przeszkodzie temu, żeby uczcić zbliżające się święta wspólnie z kolegami i koleżankami?

Madeleine przełyka ślinę.

- Coś mi się widzi, że panna przesadza. A to zadanie ogrodnika - dodaje i czeka, po czym wywraca oczami. - To gra słów. Przesadzać ma dwa znaczenia.

Niepewny śmiech.

- Jak nazywamy słowa, które brzmią identycznie, ale oznaczają różne rzeczy? Panno McCarthy?

- Bliźniaki.

- Źle. - Pisze odpowiedź na tablicy i trzęsą mu się przy tym pośladki. - Homofony. - Podkreśla wyraz i odwraca się do klasy. - Klasa?

Uczniowie chórem: - Homofony.

- *Homo-fony* - drze się Philip Pinder. Mało kto się śmieje, bo mało kto rozumie ten dowcip.

- Rany - mówi Auriel, gdy wychodzą bocznymi drzwiami. - Kto to słyszał, żeby wpaść w kłopoty z powodu niezjedzenia czekolady?

- Właśnie, to prześladowanie na tle religijnym - dopowiada Lisa.

- Hej, dziewczyny, będziemy się turlać przez całą drogę do domu? - proponuje Madeleine.

Ale nie mogą. Lisa i Auriel mają próbę zespołu szkolnego. Madeleine toczy się sama, szybko jak rozpędzona kłoda, ponieważ dziś o siódmej wieczorem na szkolnym dziedzińcu odbędzie się ceremonia pasowania na harcerki. Będzie poczęstunek, przyjdą rodzice i narzeczony panny Lange, i jeśli Madeleine się pospieszy i przebierze w strój do zabawy, a potem przybiegnie z powrotem, to zdąży pomóc w ustawieniu ogromnego muchomora i

ławek, a także w rozwinięciu chodnika z żółtej krepy, co do którego utarło się określenie „złota ścieżka”.

W przedsionku budynku, w którym mieszka Fried, brzęczy domofon. Jack otwiera drzwi i szybkim krokiem przecina hol, w którym nic się nie zmieniło, jeśli nie liczyć nowego numeru czasopisma „Look”. Okładka przykuwa jego uwagę: dwa zdjęcia obok siebie - Fidel Castro i kanadyjska flaga.

Winda pnie się mozolnie do góry i Jack żałuje, że nie poszedł schodami. Wykręca nadgarstek, przez który przewieszoną ma torbę z zakupami, i zerka na zegarek: piętnaście po trzeciej. Zmarnował sporo czasu, stojąc w kolejce do niemieckich delikatesów, a sprzedawca, rodowity Bawarczyk, wraz z żoną zabawiali rozmową po kolei każdego klienta. Jack był wściekły, ale nie okazywał po sobie zniecierpliwienia, żeby nie rzucać się w oczy. Wychodzi na to, że przez następny tydzień czy dwa Mimi nie może pokazać się w hali targowej - ale jak to sprawić? Jeśli odstęp będzie za krótki, sprzedawca się zdziwi: „Już pani do nas wraca? Przecież mąż dopiero co robił u nas zakupy”. Ale nie może też minąć zbyt wiele czasu, bo powiedzą: „Nie widzieliśmy pani, od czasu kiedy był u nas mąż”. Jak ludziom udaje się utrzymać w tajemnicy pozamażeńskie związki? Upodabniają się do domokrażców.

Jack idzie po wzorzystej wykładzinie na drugim piętrze do końca korytarza. Liczył na to, że zabierze się do miasta z McCarrollem, ale kiedy go szukał, dowiedział się, że McCarroll ma wrócić dopiero wieczorem. Simon nie przejął się tym, że wtajemniczenie McCarrolla się odwlecze. Stwierdził, że Friedowi nie grozi niebezpieczeństwo, ale nie wolno mu się ruszać z mieszkania ani na krok. „Facet, który go wypatrzył, nie ma pojęcia, gdzie go szukać”.

Jacka zdziwiła ta pewność Simona, ale nie zamierzał zawracać sobie tym głowy - miał inne zmartwienia, przede wszystkim transport. Założył, że nie będzie mu potrzebny rambler, więc uzgodnił z Mimi, że ona pojedzie ich samochodem po południu do Exeter, żeby zrobić zakupy i - no jasne - zawieźć do fryzjera Sharon McCarroll, która chciała sobie ułożyć włosy, ponieważ jej mąż wracał dziś wieczorem do domu. Cóż, Jack miał informację na temat dokładnego czasu powrotu McCarrolla pod samym nosem. Gdyby tylko potrafił ją rozszyfrować! Rozmyślał o skuteczności kobiecych kanałów łączności, powątpiewając przy tym, czy znalazł się kiedykolwiek mężczyzna, który potrafił w pełni wykorzystać ich potencjał.

Skierował kroki do hangaru z zamiarem wypożyczenia służbowego wozu, lecz przekonał się, że wszystkie samochody zostały oddane na użytek bawiącego z wizytą wicemarszałka lotnictwa. Zawiadujący hangarem sierżant powiedział mu: „Major Boucher

jedzie do Londynu na spotkanie. Jeśli pan pobiegnie, panie pułkowniku, jeszcze go pan złapie". Ale Jack nie pobiegł. Nie mógł nawet sobie wyobrazić pajęczej sieci kłamstewek, jaką musiałby utkać, żeby przekonać Vicka, że on też jest umówiony na spotkanie - rzecz jasna, nie na uniwersytecie, dokąd wybierał się Vic - więc gdzie? Z kim? Z osobą, o której Vic nigdy nie słyszał? Co gorsza, drażniło go jego własne, zupełnie nieuzasadnione, przeświadczenie, że natknie się na Vicka w hali targowej, objuczony podejrzanymi sprawunkami. Od czasu wpadki z „kawiozem i czereśniami" zaczął baczniej śledzić zachowanie Vicka - starając się wybadać, czy Vic posądza go o to, że okłamał żonę. Wyprawa do Londynu w środku dnia pod błahym pretekstem... Vic na pewno opowiedziałby o tym Betty.

Jack wyszedł z hangaru, pocąc się w wełnianym mundurze - taki upał w kwietniu, kto by pomyślał - i już uznał, że nic nie wyjdzie z tego wyjazdu, kiedy naraz zatrzymał się przy nim czarny służbowy wóz i żandarm siedzący za kierownicą zapytał, czy podrzucić go do miasta. Miał wracać dopiero późnym wieczorem, i to z pasażerami, więc „mogę panu zaproponować podróż tylko w jedną stronę, panie pułkowniku".

- Dobre i to - odparł Jack i wskoczył na tylne siedzenie. Poszcęściło mu się. W samą porę przypomniał sobie o fordzie galaxy Frieda. Przyjedzie nim do Centralii.

- Jak się nazywacie, kapralu?

- Novotny, panie pułkowniku.

Kawał chłopa. Jack rozsiadł się i zapytał, kogo obstawia jako zdobywcę Pucharu Stanleya w tegorocznych rozgrywkach.

A teraz puka do drzwi Frieda. I czeka. Wreszcie słyhać znajome szuranie kroków, potem przez chwilę cisza, kiedy Jack czuje na sobie spojrzenie Frieda przyglądającego mu się przez wizjer. Szmer łańcucha, szcęk zasuwki i otwierają się drzwi. Fried bez słowa odwraca się do niego plecami i idzie do zaciemnionego pokoju z siną poświatą telewizora. Od progu uderza Jacka zaduch panujący w mieszkaniu przesiąkniętym dymem z fajki. Ma ochotę od razu podejść do okna i otworzyć je szeroko, ale światło słoneczne jest *verboden* ze względu na storczyki Frieda - storczyki-wampiry, takie miano nadaje im w myślach Jack. Jest ich już pięć, pną się w górę po wieszakach, ciemne, delikatne, pieniające się stwory.

Jack stawia torbę na blacie kuchennym. Żeby zrobić dziś te zakupy, musiał znowu wziąć zaliczkę na poczet pensji. Pozostaje mu tylko mieć nadzieję, że stara wymówka, że w księgowości znów się pomylili, nie wzbudzi podejrzeń Mimi, kiedy zobaczy na wyciągu wpłatę na konto w dwóch ratach. Dobrze, że chociaż nie musi się martwić śladami szminki na kołnierzu.

Nigdy nie rozważał zdrady małżeńskiej. Teraz myśl o niej nasza go nieproszona; sprawiła to absurdalna sytuacja, w jakiej się znalazł: wykradanie się z pracy w środku dnia, rozrzutne zakupy dokonywane po kryjomu, schadzki w mrocznych wynajętych pokojach. Rozpakowując sprawunki w maleńkiej kuchence Frieda z jarzącą się w półmroku lodówką, Jack oddaje się mimowolnym fantazjom, w których uprawia seks z inną kobietą - tu, w tej ciasnej kuchence. Na stojąco. Wyjmuje koniak i stawia go w kredensie, obok identycznej wypełnionej do połowy butelki, wściekły, a do tego nie w porę podniecony. Owszem, łączą go potajemne stosunki. Z NATO.

Wraca do salonu. Fried ogląda *Secret Storm*. Jack potrząsa głową z niedowierzaniem - śmiechu warte. Marzy o tym, żeby opowiedzieć o nim Mimi, na pewno miałaby ubaw; w końcu kiedyś będzie mógł ją wtajemniczyć. Na ekranie pojawia się reklama dezodorantu Ban, a Fried wciąż wpatruje się w ekran jak urzeczony. Jack czuje nagły, dziwny przypływ serdeczności dla tego człowieka. Widzi się z nim po raz ostatni przed jego wyjazdem do USA, gdzie Fried ma pracować dla USAF - a ostatecznie, jeśli postawi na swoim, dla NASA. Prawdziwy z niego dziwak, ale braki w oglądzie nadrabia odwagą i determinacją. *Musiło być panu ciężko*, Jack ma ochotę powiedzieć.

- Co pan powie na partyjkę szachów?

Fried jakby go nie słyszał. Dopiero kiedy rozlegają się potężne akordy muzyki organowej, zwiastujące wznowienie mydlanej opery, zwraca się do Jacka. - Ciii.

Jack czuje się dotknięty do żywego. Oblewa go gorąco, bierze głębszy oddech. Chciałby wynieść z tej misji coś więcej niż tylko niesmak i mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Profil Frieda rysuje się niewzruszony w blasku i cieniu telewizora. Słysząc kobiece wyznanie: „Bo to ja - ja jestem tą drugą kobietą”, po czym następuje szloch.

To ostatnia szansa dla Jacka. Następnym razem odwiedzi Frieda w towarzystwie Blaira McCarrolla, a potem pewnie więcej go już nie ujrzy.

Więc wali prosto z mostu: - Szkoda, że von Braun nie zabrał cię ze sobą do Ameryki w czterdziestym piątym, już byś pracował dla NASA.

Fried posyła mu piorunujące spojrzenie. Złapał przynętę.

- Wiesz, gdzie leży Kazachstan? Wiesz, co to jest Bajkonur? Słyszałeś o Helmutie Gröttrupie? - odzywa się, dobierając i składając słowa z zaskakującą dokładnością i płynnością. Podnosi głos ponad płacz i oskarżenia dochodzące z telewizora. - Wyprzedzamy was o lata, odpalamy, wysyłamy na orbitę, bijemy was, a wiesz dlaczego? - wskazuje z odrazą na telewizor. - Bo bardziej wam zależy na tym niż na tamtym - podnosi rękę do góry. Jack domyśla się, że chodzi mu o Księżyc i o kosmos w ogóle.

- Sowieci przychodzą, kiedy koniec wojny. Pod lufami wypędzają nas i pracujemy dla nich. - Napinają mu się cienkie ścięgna na szyi.

Jack siada, ostrożnie, jakby bał się zbudzić śpiącego.

- Zabierają mnie i wielu innych.

Jack trafnie odgadł: Fried nie zdążył uciec. Wernher von Braun miał dość rozumu, żeby pod koniec wojny umknąć przed sowiecką nawałnicą i oddać się w ręce Amerykanów, a ci mieli dość rozumu, żeby go zatrudnić u siebie. Von Braun dobrał sobie współpracowników spośród kolegów, z którymi pracował w Niemczech nad raketami V-2 - między innymi swojego brata, a także Arthura Rudolpha, specjalistę od zarządzania - najzdolniejszych i najlepszych, obecnie stanowiących trzon NASA. Ale zabrakło wśród nich Frieda, który wpadł potem w ręce Rosjan. Fried musiał się przed nimi wykazać nie byle jakimi osiągnięciami.

- Gröttrup też jest naukowcem z Dory - ciągnie Fried. - Wysokiej rangi. Nie tylko von Braun potrafi budować rakiety, Gröttrup potrafi, ja potrafię. Pracujemy w Związku Radzieckim, wielu nas, żaden luksus. Nie tak jak w Ameryce - mruczy pod adresem kobiety i mężczyzny splecionych na ekranie w grzesznym uścisku. - Zostałem jedynym Niemcem w zespole badawczym. Sowieci usuwają - jak to się mówi...?

- Zabijają?

- *Nein* - prycha zniecierpliwiony Fried, w jednej chwili okazując więcej pasji, niż Jack miał okazję zaobserwować u niego przez wszystkie te miesiące łącznie. - Wyrzucają. Jak śmieci. „Teraz zastąpią was Rosjanie”, mówią.

- Ach. Skreślają ze stanu jednostki.

- *Wie?*

- Jak przestarzałe, wyeksploatowane samoloty. Wycofują z użycia.

- Właśnie. Wycofują z użycia.

- Z wyjątkiem ciebie.

- *Ja* - Fried kiwa głową, unosząc dolną wargę w grymasie oznaczającym upór albo zadowolenie z siebie.

- Dlaczego, Oskar?

- Ja pracuję, obserwuję innych - odpowiada Fried, dźgając się palcem w chudą pierś, porośniętą siwymi włosami, wystającymi zza rozpiętej koszuli. - Widzę, kiedy dochodzi do sabotażu, wiem, kto jest zdrajcą - mówi ze ściągniętą twarzą.

- A teraz sam jesteś zdrajcą.

Fried bierze głęboki oddech, ale siedzi bez ruchu. - Nie zależy mi na pieniądzach - odzywa się po chwili. - Jeśli robiłeś coś przez całe życie, pragniesz to robić dalej, nic więcej.

Pracować z najlepszymi. Nie obchodzi mnie, kto wygra wyścig na Księżyc. Ale chcę mieć w tym swój udział. Rosjanie nie pozwolą mi dalej uczestniczyć. Dla nich zawsze jestem cudzoziemcem.

Jack kiwa głową, nieco wzruszony szczerością Frieda.

- Na pewno wniosłeś ważny wkład w rozwój radzieckiej kosmonautyki - mówi łagodnym tonem.

Twarz Frieda nie zdradza żadnych emocji, ale Jack wie, że usłyszał jego słowa i delektuje się nimi jak dziecko.

- Nic dziwnego, że Sowieci tak poszli do przodu - dodaje z rozmysłem Jack - jeśli pracowali dla nich uczeni twojego formatu.

Fried pochyla się i wyłącza telewizor. Sięga po fajkę. Jack podaje mu nowy woreczek z tytoniem.

- Wyście wysyłali Sputnika na orbitę, a my wciąż walczyliśmy z wybuchami na stanowisku do prób.

Fried wzrusza ramionami - jest pewnie w siódmym niebie, choć jego twarz tego nie zdradza - i zapala fajkę, przesuwając płomień zapalniczki nad cybuchem, dmuchając.

- Chyba cieszysz się, że spotkasz tam swoich starych kolegów, co? Na pewno trafi się ktoś znajomy w bazie Wrighta-Pattersona... w jednostce badań i rozwoju?

Fried nie odzywa się. Może, tak jak Jack, nie wie, dokąd go przeniosą.

- Nie mówią o Houston - dodaje Jack.

Fried ściąga fajkę, uspokoił się już.

- Poznałeś osobiście von Brauna?

- *Natürlich.*

- W Peenemünde?

- Później też go widziałem, w Dorze. Przyjeżdżał na inspekcje.

Jack przypomina sobie, że czytał gdzieś, jak to von Braun miał zwyczaj odwiedzać zakłady, w których produkowano pociski balistyczne dla potrzeb armii USA. Wizjoner z zamiłowaniem do ciężkiego sprzętu.

- Więc pracowałeś w fabryce. Co dokładnie robiłeś?

- Nadzoruję, że rakiety na pewno są budowane prawidłowo.

- Pilnowałeś, żeby przestrzegano norm.

- Tak można powiedzieć.

- Zajmowałeś się właściwą produkcją. Rakiet V-2?

Fried kiwa głową.

Jacka przechodzi dreszcz. - O, kurczę.

- To piękna maszyna.

Jack kiwa głową. - Tajna broń Hitlera. Powstrzymuje uśmiech; tak długo czekał na tę chwilę.

- Zdalne kierowanie i kontrola - mówi Fried. - To jakby mózg maszyny. Delikatny. Trzeba było wiele lat. Rakieta ma piętnaście przecinek dwa metra długości, idealny skład paliwa, na to też trzeba było lat. Produkuje trzysta na miesiąc, ale nie wszystkie są doskonałe. SS nie wie, jak zapewnić odpowiednią produkcję tej rakiety.

- SS?

- Dzięki tej rakiecie moglibyśmy wygrać wojnę.

Jack nie chce wyprowadzać go z błędu - V-2 nie byłaby w stanie przeważać losów tej wojny bez względu na to, jak sprawnie przebiegałaby jej produkcja. Pierwszy pocisk balistyczny w dziejach świata skutecznie się groź, ale pod względem niszycielskiej siły należał do broni konwencjonalnej. Niebosięzna kula armatnia. Hitler musiałby wdrożyć równoległe badania nad bronią jądrową, a następnie połączyć bombę atomową z rakieta V-2. Jack przypomina sobie słowa Froelicha - że Hitler odnosił się z niechęcią do fizyki nuklearnej, ponieważ to była „żydowska nauka”.

Ale Fried pewnie przypomina Wernhera von Brauna - pasję do rakiet zrodziło w nim marzenie o locie w kosmos. Zastosowanie wojskowe w ogóle go nie obchodziło.

- Myślisz, że nam się uda, Oskar? Amerykanie polecą na Księżyc jeszcze przed końcem dekady?

Fred stuka fajką. - Możliwe. Jeśli Sowieci nie dotrą tam pierwsi.

- Ale teraz to my mamy ciebie. - Jack uśmiecha się szeroko i po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy Frieda. - Może to jakiś dawny kolega zobaczył cię w hali targowej?

Fried znów zamyka się w swojej skorupie, ale Jack nie daje za wygraną. - Inżynier, który pracował z tobą? Fried potrząsa przecząco głową.

- Podobno nie wiesz, kto to był?

Fried daje się złapać. - Nie wiem kto, ale wiem co.

- Ach tak - stwierdza Jack zdawkowo. - Cóż, Simon uważa, że ten facet nie zna twojego nazwiska, więc czego się boisz? Może po prostu chciał się przywitać...

- On chce mi założyć stryczek na szyję - mówi Fried, blednąc nagle, wytrząsając popiół.

- Dlaczego? - pyta łagodnie Jack. - Co takiego zrobiłeś?

- Wykonywałem swoją pracę.

Fried wstaje, bierze z parapetu spryskiwacz i zaczyna zraszać swoje kwiaty.

Jack nic więcej z niego nie wydobył. Idąc na dół po schodach z ręką w kieszeni, przesuwa palec po ząbkowanej krawędzi klucza do samochodu Frieda. „Simon kazał mi go przestawić”, skłamał. Wychodzi z budynku bocznymi drzwiami i mruży oczy w ostrym świetle popołudniowego słońca. Ciekawe, dlaczego Fried miałby się obawiać, że zawiśnie na szubienicy za wykonywanie swojej pracy? Był naukowcem. Pracował nad rakieta V-2, podobnie jak Wernher von Braun i połowa NASA. Przez siedemnaście lat Fried pracował pod bezlitosnym nadzorem GRU, radzieckiej tajnej policji. Jeśli cierpi na manię prześladowczą, to może dlatego, że jest jak ptak, który spędził zbyt wiele czasu zamknięty w klatce - drzwi są otwarte, a jemu nawet nie przyjdzie do głowy, że może wylecieć. Do wolności trzeba przywyknąć. Górnik też musi się oswoić z dziennym światłem. Fried, który pracował w podziemnej fabryce rakiet, zapewne o tym wie. Teraz Jack rozumie, skąd u niego zamiłowanie do storczyków: są stworzeniami mroku. Okrążając budynek, Jack czuje nagły przyływ litości. Ford galaxy stoi na tyłach, wciśnięty między dwa kubły na śmieci; Jack wsiada do środka i patrzy na zegarek. Właśnie minęła czwarta.

Nieco wcześniej, piętnaście po trzeciej, Colleen i Madeleine rozmawiają na dziedzińcu szkolnym, na którym oprócz nich kręci się jeszcze kilkoro dzieci i dorosłych.

- Co chcesz teraz robić? - pyta Madeleine. Colleen opiera się o stojak do rowerów. Madeleine ostrzy o ziemię patyczek od lodu.

- Nie wiem - odpowiada Colleen. - A ty?

- Nie wiem. Może pójdziemy do Rock Bass?

- Może.

Na drugim końcu placu Cathy Baxter i inne dziewczynki z zapalem pomagają pannie Lang w przygotowaniu wieczornej uroczystości pasowania. Zerkając na Colleen, Madeleine stara się stłumić rozpierające ją podniecenie.

Zamierzała się zgłosić do pomocy, ale na widok Colleen przeszła jej ochota. Nie dlatego, że wstydzi się być zuchem, ale wolałaby nie afiszować się z tym przed Colleen.

- Może się wypiszę - oświadcza, sprawdzając czubek patyczka. Dzień jest pogodny, słońce przyjemnie grzeje ją w gołe ramiona i nogi. „Gorąco jak na tę porę roku”, jak określono to w prognozie pogody - innymi słowy, cudownie.

Przez uchylone okna sali gimnastycznej dolatują urywane frazy muzyki w wykonaniu szkolnej orkiestry. Madeleine poznaje melodię i odruchowo zaczyna nucić w duchu słowa: *To nasz mały świat, w sumie mały świat...* Gdyby rodzice zmusili ją, żeby się zapisała do zespołu,

tkwiłaby tam teraz w środku, uwięziona.

Colleen żuje źdźbło trawy i wpatruje się zmrużonymi oczami w ogromnego muchomora, ustawianego właśnie przed rzędami ławek na boisku do baseballu. Jak ołtarz polowy, myśli Madeleine. Ołtarz Wielkiej Sowy. Dziś wieczorem zuchy otrzymają sakrament uskrzydlenia i wzlecą do harcerek. Z wyjątkiem Grace Novotny, która dokuśtyka tam po żółtym chodniku, prowadzona przez drużynową. I z wyjątkiem Claire McCarroll, która dopiero teraz przeistoczy się w zucha z prawdziwego zdarzenia.

- Przyjdiesz popatrzeć dziś wieczorem?

- Nie, mam inne plany.

To dobrze.

Oto nadjeżdża Claire McCarroll na rowerze ze ślicznymi różowymi wstęgami. Nadal ma na sobie błękitną sukienkę, którą włożyła do szkoły.

- Lubisz jaskry? - pyta, zrywając żółty kwiatek, których całe mnóstwo wyrosło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pośród zielonej trawy.

Zachowuje się bardzo swawolnie jak na Claire. To jej wielki dzień - została wybrana na zając wielkanocnego w klasie, a wieczorem otrzyma odznakę zucha. Podtyka kwiatek Colleen pod brodę i oświadcza: - Tak, ty lubisz jaskry.

Nie sposób wyobrazić sobie, żeby Colleen puściła to komuś innemu płazem, ale Claire uchodzi to na sucho. Chichocząc, Claire podtyka kwiatek Madeleine i mówi: - Ty *kochasz* jaskry.

- Kocha, nie kocha. Kocha...

O, nie, przyplątała się Sara Nolan i odrywa płatki ze stokrotki, odliczając głośno, a wraz z nią nieodłączna Grace. Sara podsłuchiwała, co mówi Claire, i oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie wymyśliła jakiejś innej zabawy z kwiatem.

- Pojedziecie ze mną na piknik? - pyta Claire, zwracając się do Colleen i Madeleine.

Madeleine widzi, że Sara oszukuje, licząc ostatnie dwa płatki, odrywając je jako jeden.

- Ricky mnie kocha! - oświadcza Sara.

Stoi trochę za blisko i mówi za głośno jak na kogoś, kto rzekomo nie zwraca uwagi na Colleen i Madeleine.

- A dokąd się wybierasz? - pyta Colleen.

- Do Rock Bass z Rickym - odpowiada Claire.

Madeleine nuci pod nosem piosenkę *Niepoprawny marzyciel* i napotyka spojrzenie Colleen. Colleen uśmiecha się kącikiem ust. Nie chcą być przykre, ale wiedzą dobrze, że to ze strony Claire tylko pobożne życzenie. To nic. *Śnij dalej, doktołku.*

- Chcecie pójść ze mną? - pyta Claire. - Poszukamy gniazd.

Colleen i Madeleine odmawiają grzecznie, więc Claire wyjmuję z koszyka na rowerze firmowe pudełko z lunchem, Frankie and Annette, i otwiera je. Dzieli się z nimi tu i teraz. Krążek sera w czerwonym wosku, ciasteczko czekoladowe, jabłko. Pamięta, żeby zostawić trochę „dla zwierzątek”. Madeleine przykleja sobie czerwone usta z wosku, czym rozśmiesza Claire.

- Widziałam młode króliki w Rock Bass - mówi Colleen, ocierając usta dłonią. - Mają norę pod samym drzewem.

- Dzięki, Colleen - mówi Claire i odjeżdża.

- Dzięki, Colleen - wygłupia się Madeleine.

Colleen zakłada jej podwójnego nelsona i trze mocno knykciami o czubek jej głowy.

- Auu!

To Colleen zawsze decyduje, kiedy Madeleine dość się nacierpiała, i przerywa, tym razem po prostu spokojnie od niej odchodząc.

- Hej, Colleen, zaczekaj!

W powietrzu niosą się końcowe nuty piosenki, ale Madeleine nie pozwala im się doścignąć. *To w sumie mały świat. To nasz mały, mały świat.*

Kiedy Claire zajeżdża pod dom Froelichów, Ricky myje samochód, przy nim na wózku inwalidzkim siedzi Elizabeth, a Rex wybiega na skraj trawnika, żeby przywitać gościa.

- Cześć, Ricky.

- Siemasz.

- Cześć, Elizabeth - mówi Claire.

- Eeesz.

Elizabeth jest otulona lekkim żółtym pledem. W ręce wetknięty ma kubeczek dla dzieci, z wieczkiem i dzióbkiem.

- Co tam masz? - pyta Claire.

- Eeemoaae - odpowiada Elizabeth swoim nieważkim głosem, z szerokim, pocziwym uśmiechem.

- Lemoniadę - tłumaczy Ricky Claire.

- Dobra jest? - pyta Claire.

Elizabeth kiwa głową na wszystkie strony.

Ricky ma na sobie czerwone dżinsy, białą koszulkę i adidas.

- Ładnie wyglądasz, Ricky.

- Naprawdę? Dzięki.
- Co robisz?
- Myję samochód.
- Masz ochotę wybrać się na piknik?
- Nie mogę, obiecałem Lizzie, że poganiam z nią trochę.
- Aha.
- Chcesz się napić? - pyta Ricky.
- Tak, chętnie.

Ricky daje jej się napić prosto z węża. Nic nie może się równać tej wodzie zaprawionej gumą, smakowi lata. Potem sam pije. Claire przygląda mu się przez chwilę i odjeżdża.

- Na razie.

Rex kładzie się na ziemię u stóp Elizabeth, w cieniu wózka, szczerząc do niej zęby, dysząc. Elizabeth opuszcza rękę, muska palcami jego sierść, pociera go po głowie.

- Gotowa do przejażdżki, Lizzie?
- Łez ydże namy?
- Nie wiem, dziś chyba za gorąco dla Rekxa.
- Zaaerz oodę.
- Dobra myśl - mówi Ricky i idzie do domu po manierkę, którą napełnia lodowatą wodą z węża.

Dopiero po dziesięciu minutach Claire dojeżdża do drogi okręgowej za zakrętem, ponieważ po drodze zatrzymała się, żeby popatrzeć, jak kilku chłopców z tatusiami próbuje odpalić miniaturowego gokarta. W powietrzu czuć było benzynę i snuły się małe kłęby białego dymu.

Drugi raz przystanąła przed domem Boucherów, na rogu ulicy St. Lawrence i Columbia, ponieważ wydawało się jej, że słyszy, jak ktoś woła ją cicho po imieniu. Spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos, ale zobaczyła tylko rów i stalową rurę odpływową. Zsiadła z roweru, położyła się ostrożnie na brzuchu i zajrzała do mrocznego wnętrza rury, żeby sprawdzić, czy jest tam uwięzione jakieś stworzonko, na przykład elf, które potrzebuje pomocy.

- Hej, tam - wyszeptała Claire, zwracając się do ciemności. Nic, cisza.
- Wszystko w porządku? - spytała, podnosząc trochę głos. Żadnej odpowiedzi.

Dostrzegła biedronkę sunącą po jej nadgarstku i pochyliła się nad nią.

- To ty mnie wołałaś?

Sądząc po tym, jak Claire nasłuchiwała, musiała otrzymać jakąś odpowiedź, gdyż odparła: - Nie martw się, biedroneczko, twoim dzieciom nic nie grozi. A teraz leć do domu.

I biedronka poleciała.

Była wtedy 3.45.

Kiedy już dotarła do drogi okręgowej, zdążyła zapomnieć o tym, że nie wolno jej samej wypuszczać się poza obręb dzielnicy mieszkalnej. Nie miała zamiaru wypuszczać się samotnie, po prostu ubzdurzyła sobie, że pojedzie na piknik z Rickym Froelichem, i tak się utwierdziła w tym przekonaniu, że chociaż, jak się okazało, Ricky nie mógł jej towarzyszyć, nie widziała powodu, żeby zrezygnować z wyprawy. Najważniejsze, żeby wrócić do domu na czas, zjeść kolację i przebrać się w zuchowy mundurek. Zaczyna pedałowac z całych sił. Minęła pierwsze gospodarstwo i wjeżdża w szpaler wysokich drzew, gdzie dogania ją Ricky Froelich, biegnący z Elizabeth na wózku, z Reksem u boku. Claire sapie z wysiłku. Ricky staje, zdejmuje pasek i przypina Rekxa do roweru Claire, po czym mały konwój rusza dalej, śmigając drogą okręgową nr 21 w kierunku wierzby wyznaczającej skrzyżowanie, na którym skręca się w lewo, jeśli chce się dojechać do szosy nr 4, lub w prawo, jeśli chce się dotrzeć do Rock Bass. Idąc prosto, dochodzi się do kamieniołomów - dzisiaj jest tak ciepło, że można popływać.

Madeleine i Colleen postanowiły przejść się do wierzby na rozstajach. Wybrały drogę na przełaj, przecinając trawniki i pola uprawne. Przemykają od topoli do topoli, przesadzają płot i tory kolejowe - stają przy sklepiku, żeby zaopatrzyć się w napój winogronowy. Colleen płaci, a Madeleine pyta ją, czy dostaje kieszonkowe.

- Ricky daje mi na drobne wydatki z pieniędzy zarobionych na roznoszeniu gazet.

Nie zatrzymują się przy automacie z colą, gdzie jest otwieracz; nie ma chwili do stracenia, gra idzie o ich życie. Wybiegają na otwarte pole i padają na ziemię na brzuch. Ostrożnie wypatrują przez trawę agentów wroga.

- Fiu, fiu, mało brakowało.

- A jeśli nas złapią?

- To koniec.

- Zamkną nas w pudle.

- Postawią pod murem i trach.

Colleen ściąga kapsel tępą krawędzią noża i podaje butelkę Madeleine. Madeleine pociąga łyk, wyciera szyjkę koszulką i oddaje Colleen, która pije, ale nie wyciera butelki, bo to jej napój i jej zarazki.

- Droga wolna.

- Jazda, musimy ruszać.

Posuwają się po ciężkim terenie, równoległe do drogi okręgowej, wystrzegając się min - placków twardego, grudkowego śniegu, zalegającego w cieniu.

- Padnij!

Turlają się do rowu, Madeleine mierzy z wymyślnego karabinu w nieprzyjacielski konwój, który składa się z Ricky'ego, pchającego przed sobą Elizabeth na wózku, i Rekxa, ciągnącego Claire na rowerze.

- Wstrzymać ogień - mówi Colleen.

Z daleka wózek wygląda jak rydwan - Ricky, w swoich czerwonych dżinsach, jest rzymskim woźnicą, Rex koniem biegnącym z przodu, a Claire, z boku, jakby siedziała w przyczepce. Madeleine i Colleen leżą w ukryciu parę metrów od drogi, a kiedy mała kawalkada zrównuje się z Madeleine, ta rzuca kamieniem, który z brzękiem odbija się od koła inwalidzkiego wózka. Colleen daje jej kuksańca w ramię.

- Auu! Nie celowałam w nią - mówi Madeleine, zgodnie z prawdą. - Już wszystko wiem.

- Co mianowicie?

- Claire naprawdę umówiła się na piknik z Rickym. Na Ricknik, *plószę, doktołku, oto bilet.*

- Wątpliwe - oświadcza Colleen.

- Tylko w jeden sposób możemy się przekonać - mówi Madeleine. - Poczekamy tu i zobaczymy, czy skręci z nią w kierunku Rock Bass, czy nie.

- Mam ciekawsze zajęcia - stwierdza Colleen, wrywając źdźbła trawy.

- Założę się o piąta, że skręci do Rock Bass.

- Zżera cię zazdrość, co?

- Wcale nie, chodzi o zakład, o nic więcej.

- Nie biorę pieniędzy od smarkaczy.

- Nie jestem smarkaczem.

- A do tego jeszcze zadurzonych po uszy.

Madeleine robi się czerwona jak burak.

- *T'an amor avec mon frer com tou l'mand* - mówi drwiąco Colleen, zatyka kciukiem opróżnioną do połowy butelkę i rusza biegiem przez pole, omijając krowie placki, kierując się po dnie płytkiej rozpadliny do najbliższej kępy drzew. Madeleine ociąga się. To prawda, wszystkie dziewczyny kochają się w Rickym. W powietrzu nadal wisi tuman kurzu, wzniecony przez ich mały konwój, a ich postaci rysują się w oddali, drgające w niezwyklej

jak na tę porę roku spiekocie. Madeleine śledzi wzrokiem plamę szkarłatu, jaką wydają się z tej odległości spodnie Ricky'ego, pulsującą i oddalającą się w kierunku drzewa na skrzyżowaniu dróg. Potem odwraca się i biegnie za Colleen.

Żadna z nich nie dowie się już, czy Ricky zatrzymał się, odpiął Reksa od roweru Claire i wraz z siostrą na wózku i psem skręcił w lewo, czy też skręcił w prawo w polną drogę, towarzysząc Claire McCarroll do Rock Bass.

Po obu stronach drogi okręgowej pod rażącym kwietniowym słońcem przebijają się przez pokrywą ziemi zielone pędy. Stalowe koła wózka inwalidzkiego, który Ricky pcha przed sobą, rzucają na jego stopy refleksy. Obok niego biegnie pies zaprzężony do roweru małej dziewczynki; jej błękitna sukienka i różowe wstęgi powiewają na wietrze. Zmierzają w kierunku wierzby, która omiata skrzyżowanie drogi okręgowej z polną drogą prowadzącą do Rock Bass.

Sądząc po położeniu słońca, niedawno minęła czwarta, ale dokładnego czasu nigdy nie udało się ustalić.

Gdy Jack „jadąc szosą nr 4” minął Lucan i zbliżał się do Centralii, ogarnęły go wątpliwości, czy to rozsądnie z jego strony wjeżdżać fordem galaxy na teren placówki. Sprawa nabrałaby niepotrzebnego rozgłosu. Już słyszał Vicka Bouchera: „To nowa maszyna dla żony, Jack?”. Postanowił pojechać dalej, do Exeter, tam wziąć taksówkę, wysiąść w miasteczku i wrócić pieszo do domu - to tylko pół kilometra. Jazda fordem galaxy to sama przyjemność - to szafowy wóz, szkoda, że Fried wgniół ten tylny zderzak.

Promienie popołudniowego słońca padają Ricky'emu przez ramię. Znów podążają sami, on, jego siostra i pies, polną drogą, jakich setki przecinają ogromne połacie okręgu Huron. Wibracje od rączek wózka rozchodzą się aż do jego ramion. Czuje zapach świeżo umytych włosów Elizabeth. Ricky wie, że na jej twarzy maluje się uśmiech. Z przodu truchta Rex z wywieszonym jęzorem - Ricky za minutę zrobi postój i da mu się napić, za gorąco dzisiaj dla futrzaków.

Skręca na szosę nr 4, która biegnie o kilka kilometrów na wschód od bazy - nacieszy się jej gładką nawierzchnią, a potem za Lucan poszuka jakiejś bocznej drogi i zatoczy ogromne koło z powrotem do Centralii. Ricky woli polne drogi - mniej ruchu, ładniejsze widoki. Czasami nie mijają ich ani jeden pojazd. Ale teraz biegnie szosą i właśnie nadjeżdża samochód. Ricky od razu poznaje, że to ford. Samochód zjeżdża na środek szosy, żeby zachować szeroki odstęp, a w chwili, gdy mijają Ricky'ego i jego rydwan, od jego przedniej szyby odbija się słońce, zacierając twarz mężczyzny siedzącego za kierownicą, który podnosi

rękę i macha do Ricky'ego. Ricky odwzajemnia powitanie. Chociaż twarz kierowcy była niewidoczna, Ricky wie, że to ktoś znajomy. Rozpoznał zarys kapelusza, jaki noszą lotnicy.

Ricky zatrzymuje się, ściąga koszulkę i wyciera nią twarz i pierś. Bierze manierkę z wodą, przewieszoną przez oparcie wózka, i częstuje nią siostrę i psa. Mógłby ruszyć na północ, w stronę kamieniołomu. Dzieciaki na pewno się tam dzisiaj kąpią - to zakazane, ale nikt się tym nie przejmuje. Elizabeth szarpie go za ramię. Przytrafił jej się mały wypadek.

- To nic - pociesza ją Ricky. Zawracają i ruszają z powrotem do domu tą samą drogą. Polne drogi mają swoje minusy, uświadamia sobie - wytrzęsły siki z biednej Elizabeth.

- Nic się nie stało.

- Taoo szee, taoo - mówi Elizabeth.

Działo się to około 4.45, sądząc po tym, ile czasu zajął Ricky'emu powrót. Ale nigdy tego nie udowodniono.

Jack wchodzi na teren SKR-ów tuż przed piątą trzydzieści. Zazwyczaj wraca do domu parę minut po piątej, ale pół godziny różnicy to nic nadzwyczajnego. Skręcając w ulicę St. Lawrence, podejmuje w myślach postanowienie, że jutro rano wyjdzie do pracy wcześniej, żeby nadrobić zaległości. Między wielobarwnymi domami miga białe pranie wywieszane na sznurkach. Trawa nabrała od rana żywszego zielonego koloru. Miło się szło z miasteczka, ale Jackowi doskwierał brak okularów przeciwsłonecznych. Mimo że z nieba leje się żar, powietrze jest rześkie. Wchodzi na swoje podwórko i zastanawia się, czy zdąży porozmawiać przed kolacją z McCarrollem. Zarzuca ten pomysł, kiedy czuje zapachy dolatujące od drzwi frontowych - niech się Amerykanin nacieszy rodziną i zje kolację w spokoju. Będzie mnóstwo czasu, żeby potem porozmawiać przy kawie.

Jack otwiera delikatnie drzwi i wsuwa się do środka jak złodziej; rzuca kapelusz na wieszak, bezgłośnie wchodzi po stopniach do kuchni. Mimi stoi przy zlewie, w popielniczce jest papieros ze śladami szminki na ustniku, gra radio. Jack podkrada się i obejmuje ją w pasie ramieniem, Mimi wzdryga się, wydaje okrzyk, odwraca się: - *Sacrebleu!* Nie rób mi tego!

Śmieje się i wali go w pierś.

Jack wyjmuje zza siebie drugą rękę.

- Och, Jack, *c'est si beau!*

- Kupiłem je w miasteczku.

- Poszedłeś pieszo do miasteczka po kwiaty dla mnie? *T'es fou.*

- Wiesz, dokąd bym zaszedł, żeby zaciągnąć cię do łóżka?

Mimi przywiera do niego. - Przygotowuję kolację, zostaw mnie.

- Nie.

Całuje go. - Co ty sobie myślisz? Wpadasz tak i rządzisz się w kuchni.

Bierze w rękę jego krawat.

- Daj mi tylko posmakować tych pyszności - kładzie jej rękę na biodra, upuszcza kwiaty na podłogę.

- Deser dopiero po kolacji, musisz poczekać - gładzi jego krawat, wsuwa palec w węzeł.

- Nie ma mowy.

- *Lâche-moi les fesses.*

- Naprawdę? Każ mi to zrobić po angielsku. Dalej.

- Zabierz rękę z mojego tyłka - przesuwa rękę po jego pośladkach.

Całuje ją. - Gdzie dzieciaki?

- Bawią się na dworze. - Zakłada rękę za klamrę jego paska, szarpie go lekko. - Chodź.

Odwraca się i kieruje na górę, na schodach rozpina z tyłu suknię.

Proszę, proszę, co ona ma na sobie pod spodem. Białe, lecz doskonałe, koronki tyle, ile trzeba, wszystkiego tyle, ile trzeba. Jackowi wydaje się pewnie, że każda żona nosi taką wykwinną bieliznę. Jack idzie za jej przykładem, zrzuca z siebie marynarkę w progu, opuszcza spodnie, ona przyciąga go do siebie, na łóżko, rozpina mu koszulę, zadziera do góry podkoszulek, przyciska dłonie do jego piersi, zanurza paznokcie w jego bicepsach. Jack ściąga jej majtki, podciąga nogi, rozsuwa szeroko kolana. Ona jest marzeniem każdego mężczyzny, dziewczyną z okładki - on przechodzi od razu do rzeczy, ona tak właśnie chce - jest kobietą, która uwodzi cię przez opuszczoną szybę samochodu i nawet nie pyta o imię, a ty zapominasz, że się z nią kochałeś czy ją znałeś - on spieszy się jak chłopak, ona przyzwala i wyzwala - jest kobietą, którą kochasz mocniej niż siebie, urodziła ci dzieci, zawsze ciebie pożąda...

- Och, Jack, och... och, kochanie, jesteś wielki, och, daj mi... O, Boże.

- O, Boże - sapie Jack i przestaje, zsuwa się z niej w zwolnionym tempie. - Niech mnie... - mówi.

Mimi leży na boku, muska palcami jego pierś, paznokcie są idealne, pomalowane na czerwono. - *Je t'aime.*

- *Je t'aime, Mimi* - odpowiada.

Jack odpywa. Niedługo trzasną drzwi frontowe. Dzieci wrócą do domu. Pora kolacji.

- Coś tu smakowicie pachnie - stwierdza, odwracając się do niej twarzą.

- Nabrałeś apetytu? - uśmiecha się. - *Passe-moi mes cigarettes.*

Jack wyjmując papierosa z paczki leżącej na stoliku przy łóżku. Zapala go i podaje żonie, podnosi się. Mimi patrzy, jak wkłada domowe ubranie. Wydmuchuje dym i puszcza do niego oko, ramiączka jej biustonosza zsunięte są na ramiona. Mimi zrzuca stopą majtki z prawej kostki i krzyżuje nogi. - Zaraz zejść. Wyłączyć pod ziemniakami.

Nie chce od razu wstawać. Chce jeszcze poleżeć, pomóc w ten sposób temu, co dokonuje się w jej wnętrzu. Pamięta, co mawiały szybkie dziewczyny - *les guidones* - w jej rodzinnym miasteczku: „Jeśli robisz to na stojąco, nie zajdziesz w ciążę”. Ale jej siostra Yvonne w ten sposób wpadła; swoją drogą, ciekawe, ilu pierwotnych potomków zostało poczętych w pozycji pionowej. I choć Mimi zdaje sobie sprawę, że to zwykły przesąd, podnosi się dopiero po półgodzinie, kiedy słyszy łomot drzwi na dole - dzieci wróciły na kolację.

Podciąga spódnice, zapina bluzkę, podnosi spodnie Jacka, ciśnięte na podłogę. Przed powieszeniem ich w szafie na wieszaku wyjmując z nich klucze, drobne - majątek w dziesięciocentówkach - końcówki ołówków, spinacze, kredę - gromadzi w kieszeniach w ciągu dnia tyle przedmiotów, zupełnie jak jego ukochany bohater z dzieciństwa, Tomek Sawyer - i zmięty skrawek papieru. Już ma odłożyć go na komodę - kto wie, może zawierać jakiś diagram Jacka, plan restrukturyzacji szkoły - ale najpierw odruchowo go wygładza i czyta: *czereśnie, koniak, kawior...* Czuje, jak jej twarz oblewa się gorącym, i przykładą rękę do szyi.

Nie próbuje wymyślać na własny użytek historyjki tłumaczącej treść tego świstka papieru. Odkłada go do szkatułki. Żona wie, kiedy najlepiej jest nic nie mówić.

Kwiaty stoją w wazonie na kuchennym stole, „niczym ozdoba biesiadnego stołu”, stwierdza Mimi, wręczając Madeleine koszyczek z *biscuits chauds*, świeżo wyjętymi z piekarnika.

Jack słucha wiadomości i jednocześnie czyta „Look”. Mike rozłożył swoje karty baseballowe na stole w jadalni. Madeleine czeka, aż ktoś zwróci na to uwagę. Jak to jest, że on tam sobie siedzi, a ona musi pomagać matce?

- *Tiens, Madeleine* - podaje jej masło.

Mimi wyłącza radio, Jack otrząsa się z transu, odrzuca czasopismo i mówi, zacierając rękę: - Popatrzcie tylko na to. O rany.

Râpé, wyśmienita akadyjska potrawa, pieczeń wieprzowa z tartymi ziemniakami i cebulą. Jack klepie się po brzuchu pod stołem i postanawia, że zje najwyżej jeden *biscuit chaud*. Gdyby miał dziś ze sobą strój gimnastyczny, wepchnąłby mundur do plecaka i przebiegłby te pięć kilometrów z Exeter, zamiast brać taksówkę. Podnosi nóż i widelec.

Mając taką kobietę jak Mimi za żonę, nie wolno się zaniedbywać.

Mimi uśmiecha się do niego, siadając do stołu, i Jack uprzytamnia sobie, że się jej przyglądał. Odwzajemnia uśmiech i odkłada sztucce, kiedy Mimi żegna się i zaczyna modlitwę: - *Au nom du Père, du Fils et du Saint-Esprit...*

Jack dołącza się, mówiąc szybko: - Błogosław nam, Panie, i błogosław te dary, które spożywamy dzięki szczodrości Chrystusa, Naszego Pana, podaj masło, Mike, czego dzisiaj nauczyliście się w szkole?

W połowie kolacji dzwoni telefon. Jack podnosi wzrok, lekko rozdrażniony. Mimi podnosi słuchawkę. Jack czeka; jeśli to głuchy telefon, będzie musiał znaleźć jakąś wymówkę, żeby przejść się do budki.

- Ach, cześć, Sharon - mówi Mimi. Jack, odpreżony, zabiera się do jedzenia.

- Nie, nie ma jej u nas - odpowiada Mimi. - Nie, nie widziałam jej... Ależ oczywiście, Sharon. To żaden kłopot, zaraz ją zapytam.

Madeleine podnosi wzrok.

- Wiesz może, gdzie jest Claire McCarroll? - pyta ją matka.

- Nie.

Mimi odwraca się do aparatu. - Nie, przykro mi, Sharon. A sprawdzałaś u Froelichów?... No cóż, w takim razie założę się, że bawi się u jakiejś koleżanki... Jasne... Nie omieszkam, Sharon... Dobrze, do widzenia.

Mimi siada przy stole, a Jack oświadcza: - *Madame*, tym razem przeszłaś samą siebie. Nie odejdę od stołu na własnych nogach.

- Nie odkładaj widelca, mój książę. Teraz będzie ciasto.

Tarte au butter-scotch.

- Mniam! - woła Mike.

Jack poluzowuje pas. - Czyń swoją powinność.

- Madeleine, *aide-moi* - mówi Mimi, wręczając jej czajnik.

- Dlaczego ja muszę parzyć herbatę? Dlaczego Mike nigdy nie parzy herbaty? Dlaczego Mike nigdy nic w domu nie robi?

Mike się śmieje.

- On jest chłopcem, ma inne zadania - tłumaczy Mimi.

- Jakie na przykład? - zaperza się Madeleine i nagle czuje, jak piecze ją ucho, które *Maman* ścisnęła czerwonymi paznokciami.

Ojciec uśmiecha się szeroko i mruga porozumiewawczo do syna: - On tylko by przypalił herbatę, mam rację, Mike?

Mike odwzajemnia mu się uśmiechem, co doprowadza Madeleine do szału.

- Herbaty nie można przypalić!

- Nie odszczekuj się ojcu - upomina ją ostro matka.

- Chodź do mnie - mówi Jack i Madeleine siada mu na kolanach. Mimi, oparta o blat kuchenny, zapala papierosa. - No, no, no. Mój tata zdrowo by mi za coś takiego przylał.

Jack gładzi córkę po grzywce. - Twoja pomoc jest potrzebna *Maman*. My z Mikiem nie nadajemy się do takich rzeczy. Wiesz, jaką radość mi sprawiasz za każdym razem, kiedy przynosisz mi herbatę?

Madeleine potrząsa głową. Nie śmie się odzywać, mogłaby się rozplakać.

To nie był nikt obcy. To było potworne, gdyż Claire myślała, że idzie zobaczyć ptasie gniazdo. Jajka rudzika, koloru jej sukienki. Niektórzy chłopcy rozbijają jajka rudzika, ale tutaj nic takiego im nie groziło.

Jedno jajko spoczywało w wyciągniętej otwartej dłoni. Było puste w środku.

W skorupce widać było otwór, tam gdzie przebił ją zębem wąż, który wyssał zawartość. - Tam są żywe.

Więc oparła rower o klon rosnący na dnie wąwozu w Rock Bass i poszła.

PASOWANIE

Zuch słucha starszych. Zuch nie słucha siebie.

Regulamin zuchowy, 1958

To najłagodniejsza pora dnia; zaczęły się już gromadzić miękkie cienie, ciepłe niczym sweter z kaszmirskiej wełny, zgrabne i wonne. Trawa wciąż jest wilgotna od tak niedawno wchłoniętego śniegu. Dnie się wydłużają, o wpół do siódmej jeszcze jest jasno. Promienie słońca, już nie tak szorstkie jak płótno, głaszczą skórę jak flanela, nawet żwir wydaje się gładki. Plac szkolny skąpany jest w blasku, biała fasada budynku obsypana różem w leniwie chylącym się ku zachodowi słońcu. Huśtawki odpoczywają, bujawki zawisły niczym wyciągnięte nogi damy, na które zaraz wciągnie pończochy, *hej, przystojniaku*.

Dziś wieczorem zuchy wzleczą do harcerek. Na boisku baseballowym obok placu szkolnego rozstawiono ławki. Madeleine już zajęła miejsce, włosy wsunięte ma schludnie pod brązowy beret, na rękawie mundurka rząd naszywek, niektóre zdobyte z trudem, jak ta z igłą i nitką. Okupione ofiarami. Za chwilę wraz z koleżankami - bez Colleen, rzecz jasna - otrzyma skrzydełka. W ten sposób w gospodarstwie domowym McCarthych przybędzie druga para skrzydełek.

Uroczystość zabarwiona jest nutą żalu: panna Lang żegna się z zuchami, gdyż wychodzi za mąż. Mało prawdopodobne, żeby zastąpiła ją równie piękna, życzliwa i roześmiana Wielka Sowa. Panna Lang jest jedyna w swoim rodzaju. Na dzisiejszy wieczór też włożyła mundur, jej szarfa błyszczy od odznak i herbów.

Madeleine przykładowie zjawiła się przed czasem i siedziała zapatrzona w ogromnego czerwono-czarnego muchomora zajmującego poczesne miejsce na piedestale. Teraz z takim samym przejęciem przygląda się pannie Lang rozmawiającej z narzeczoną. Madeleine przełyka ślinę i mruga. Panna Lang spuszcza wzrok i uśmiecha się, rozbawiona słowami narzeczonego. On chce ją złapać za rękę, ale ona delikatnie się odsuwa i sięga po swój notes, leżący za muchomorem. Madeleine mierzy narzeczonego wzrokiem - ciemne krótko ostrzyżone włosy, przedramiona szczupłe i umięśnione, zarysy jego bawełnianej koszuli,

luźne kremowe spodnie, buty z wysokimi cholewami. Tylną kieszeń wybrzusza lekko portfel.

Madeleine rozgląda się za mamą - o, jest, stawia półmisek z różowo-zielonymi bułkami na stole z przekąskami. Mike też przyszedł, z Royem Noonanem. Rzucają sobie dysk. Ale nigdzie nie widać taty. Zuchy z rodzinami kręcą się w pobliżu. Nawet matka Grace jest obecna. Wbrew oczekiwaniom Madeleine, która sądziła, że pani Novotny roztyła się od urodzenia tylu dzieci, matka Grace okazała się chudą kobietą, z rękami jak patyki i zapadniętymi policzkami.

W powietrzu czuje się podniecenie. Na długim składanym stole ułożone są żółte papierowe skrzydła, gotowe do przypięcia do pleców dziewczynek, które wywiązały się z zuchowych obowiązków. W przejściu rozwinięta jest złota ścieżka prowadząca pod samego muchomora. Madeleine oddaje się marzeniom, w których jest panną Lang w mundurze Wielkiej Sowy, z dołączonym długim trenem. Idzie między ławkami na spotkanie z narzeczonym, który czeka na nią przed ołtarzem, ubrany w smoking i promiennie uśmiechnięty. „Państwo młodzi mogą się teraz pocałować”, oświadcza ksiądz. Z rozmarzenia wrywa Madeleine spostrzeżenie, że w chwili pocałunku, zamiast być panną Lang, sama składa pocałunek na ustach panny Lang. Odwraca w myślach bieg wydarzeń tak, że to ona całuje narzeczonego, ale czar pryska i Madeleine nie może się skupić na swych fantazjach.

- Obiecuję starać się ze wszystkich sił, wypełniać swoje obowiązki względem Boga, królowej oraz ojczyzny oraz codziennie pomagać innym, zwłaszcza w domu.

Przysięga zuchów. Czterdzieści dwie dziewczynki w wieku od ośmiu do dziesięciu lat wypowiedziały ją idealnie zgodnym chórem, powaga wydarzenia wyostrzyła ich zmysły.

Panna Lang wyczytuje nazwiska swoich podopiecznych.

- Sheila Appleby.

- Obecna.

- Cathy Baxter.

- Obecna.

- Auriel Boucher.

- Obecna.

Dziś wieczorem głos każdej z nich brzmi żarliwiej - nie ma wśród nich dziewczynki, której serca nie ujęłaby panna Lang. Zaznacza wyczytane dziewczynki w notesie. Madeleine rozgląda się, ale nie widzi swego ojca...

- Claire McCarroll.

Panna Lang podnosi wzrok. Głowy obracają się, wszyscy szukają wzrokiem Claire, ale jej nie ma. Madeleine spogląda na pole, ale Claire nie nadchodzi. Na stole obok skrzydełek

leży zapinka przeznaczona dla Claire, która dziś wieczorem zostanie zuchem z prawdziwego zdarzenia, kiedy panna Lang przypnie ją do jej mundurka.

- Madeleine McCarthy.

- Obecna, proszę pani.

Panna Lang kwituje to przelotnym uśmiechem i serce Madeleine kraje się ze szczęścia.

- Sara Nolan.

- Obecna.

Nigdy pani nie zapomnę, pani Lang, aż do śmierci...

- Grace Novotny.

- Obecna.

- Joyce Nutt.

- Obecna.

Grace nie zasłużyła na skrzydełka, ale dla mundurków zuchowych nie są przewidziane takie rozmiary, które były odpowiednie dla niej w przyszłym roku szkolnym, więc Grace „dokuśtyka” do harcerek w specjalnie wykonanych na tę okazję czarodziejskich pantofelkach z krepy. Madeleine widzi siedzącą przed nią Grace: wtyka do buzi palce i wyjmuje. Grace Novotny - posłuszne narzędzie Sary Nolan.

- Grace? - woła pani Lang.

Grace powstaje i drepcze między rzędami, spoglądając na swoje papierowe buty, które szeleszczą. Dołącza do niej Sara. Właściwie to Cathy Baxter jako zastępowa powinna prowadzić Grace, ale pani Lang odstąpiła od tej reguły, ponieważ Sara jest najlepszą przyjaciółką Grace. Grace bierze Sarę pod rękę i obie wolno kroczą po żółtym papierowym chodniku - jakby Grace niedomagała. Tak jak w *Heidi*, myśli Madeleine. Grace zrywa się i biegiem pokonuje ostatnie kilka metrów, wpadając na panią Lang, która po odzyskaniu równowagi przygarnia serdecznie Grace.

Zuchy po kolei wzlatają, a Madeleine co chwilę kieruje spojrzenie w stronę ulicy, w nadziei, że ujrzy wreszcie podjeżdżającego ramblarem ojca. Czyżby miał się spóźnić i nie zobaczyć swojej córki paradującej ze skrzydłami? Przy wjeździe na plac szkolny jest betonowa rura do odprowadzania deszczówki, która wychodzi na pole po drugiej stronie szosy. Można do niej krzyknąć, ale wstępu broni żelazna krata, obrośnięta trawą i chwastami, oblepiona szczątkami niesionymi wezbraną podczas odwilży wodą - jeśli utkniesz tam wiosną, utoniesz. Podobno kiedyś utopiło się tam dziecko i dlatego wstawiono kratę. Obwąchuje ją teraz pies - jamnik - Madeleine zastanawia się, czy się zgubił. Patrzy, jak jamnik przeciska się przez kraty.

- Ten pies jest w pułapce.

Madeleine powiedziała to na głos. Dziewczynka siedząca przed nią odwraca się i pokazuje jej na migi, żeby zamknęła buzię. Cathy Baxter, ty mną nie rządysz.

Pies szczeka i Madeleine podnosi rękę. Ale panna Lang nie zauważa; przypina Auriel do pleców parę papierowych skrzydeł. Auriel biegnie po złotej ścieżce. Madeleine opuszcza rękę. Wzlatują jedna po drugiej, niczym dumne motyle. Pies znowu szczeka. Madeleine nie dostrzega go w mrocznym wnętrzu rury. Szczekanie przechodzi w stłumione ujadanie, oddalające się coraz bardziej. Madeleine już ma zawołać pannę Lang, lecz wtem na dziedziniec szkolny skręca samochód i jedzie przez plac zabaw, przez trawę, aż pod muchomora.

Kapitan McCarroll wrócił do domu z wyjazdu szkoleniowego z upominkiem dla córki, nową ozdobą do bransoletki, ale zaraz wyszedł i dziesięć minut przed szóstą zaczął pukać do drzwi sąsiadów.

- Nie, mój drogi - odparła pani Lawson w progu; McCarroll zdjął na jej widok kapelusz. - Ale proszę poczekać, zapytam Gordona...

Potem do Pinderów.

- Owszem - powiedział Harley, wsuwając gazetę pod pachę. - Widziałem ją. Stało się coś? Oddaliła się samowolnie z miejsca zakwaterowania?

Ale jego ton nie był żartobliwy.

- Kiedy pan ją widział, panie Pinder?

- Przed kolacją. Grzebaliśmy na dworze przy gokarcie, a ona mijała nas na rowerze, chwileczkę... Arnie! - zawołał przez ramię. - Arnie, Philip, dalej, meldować mi się tu, chłopcy!

Bracia wynurzyli się z piwnicy z minami, na których malowało się ogólne poczucie winy.

- Znacie Claire McCarroll?

- Kogo? - spytał Arnold.

Philip milczał, łypiąc na boki oczami. Harvey pacnął go w ucho.

- Przejeżdżała przed naszym domem, kiedy naprawialiśmy gokarta. Na rowerze. Czy któryś z was widział ją potem?

- Nie, tato - mruknął Arnold.

Philip potrząsnął przecząco głową.

- Przykro mi - powiedział Harvey.

- Kiedy to było w przybliżeniu? - spytał kapitan McCarroll.

- Och, po południu, piętnaście po trzeciej, za piętnaście czwarta? O czwartej?

- Dziękuję.

McCarroll ruszył dalej.

Harvey wziął kurtkę i poszedł po samochód ze słowami, że rozejrzy się po okolicy, „bo mała mogła wybrać się gdzieś na wycieczkę”. Do Froelichów.

Wiedział, że żona dzwoniła już do nich. Nie zastał w domu dzieci Karen, które mogłyby mu pomóc - Ricky grał w koszykówkę w Londynie, a Colleen zabrała siostrę do biblioteki na terenie bazy. Karen zawołała męża z piwnicy. Henry Froelich wyłonił się z podziemi ze skrzynką z narzędziami w ręku, a kiedy żona wyjaśniła mu powód wizyty Blaira McCarrolla, zdjął fartuch i poszedł szukać kluczy od samochodu wśród drobiazgów leżących na stole w kuchni. McCarroll pognał do domu sprawdzić, czy córka wróciła w międzyczasie.

I tak to się odbywało, aż ulice SKR-ów zaroily się od tatusiów za kierownicą wolno sunących samochodów, chodzących od domu do domu, od boiska do boiska, zagląających między domy, a wreszcie i do rowów.

Jack uchylił okno, żeby wpuścić do środka ciepłe wiosenne powietrze, po czym ruszył St. Lawrence Avenue, w ślad za żoną i dziećmi. Po drodze zauważył samochód McCarrolla stojący na podjeździe. A więc wrócił. Będzie obecny na wieczornej uroczystości ze swoją córeczką i wtedy Jack w odpowiedniej chwili zamieni z nim na osobności kilka słów. Wystarczy, że powie: „Mam dla pana specjalne zadanie, kapitanie McCarroll, dotyczące naszego wspólnego przyjaciela”. McCarroll się domyśli, że to Jack jest tym „wyższym rangą oficerem”, który tak długo zwlekał z wtajemniczeniem go w sprawę. W ten sposób Jack wyświadczy Simonowi obiecaną przysługę i na tym zakończy swój udział. Koniec, kropka.

Zbliżając się do zielonego bungalowu, Jack zobaczył wychodzącego z domu McCarrolla, który - nadal w mundurze - wrzucił kapelusz na siedzenie obok kierowcy i wsiadł do samochodu. Pojechał ulicą w kierunku Jacka, który pomachał mu ręką. Wóz McCarrolla zahamował przy nim z szarpnięciem. Jack pochylił się, żeby przez opuszczoną szybę przekazać Amerykaninowi tę prostą wiadomość, ale słowa zamarły mu na ustach. McCarroll był blady jak upiór.

Jego córeczka nie wróciła jeszcze do domu. Jack wsiadł do samochodu, przekładając kapelusz McCarrolla na tylne siedzenie. Policja oświadczyła Blairowi, że nie może uznać jej za „zaginioną” po upływie zaledwie trzech godzin. Jack nie skomentował głupoty takiej postawy, gdyż nie chciał przysparzać McCarrollowi dodatkowej udręki. Zapytał za to: „Czy zawiadomił pan żandarmerię?”. Podjechali na posterunek żandarmerii i kapral Novotny zaraz

wskoczył do swojego wozu patrolowego i wezwał przez radio jeszcze jeden do pomocy w poszukiwaniach.

Posuwając się na południe drogą okręgową, minęli właśnie wierzbę, gdy Jack poradził Blairowi, żeby zawrócił i zajechał na plac szkolny, gdzie odbywała się uroczystość pasowania zuchów. Może zebrane tam koleżanki Claire wiedzą, gdzie ona się podziewa.

Samochód zatrzymuje się przy muchomorze i natychmiast otwierają się drzwi od strony kierowcy. Madeleine widzi, że wysiada z niego pan McCarroll oraz jeszcze jeden mężczyzna. Jej tata. Skrzydlaty zuch stanął w połowie złotej ścieżki; wszyscy czekają, gdy pan McCarroll rozmawia po cichu z panną Lang. Za ich plecami słońce szybko chyli się ku zachodowi. Ściemni się, zanim nadejdzie pora na poczęstunek. Madeleine szuka wzrokiem spojrzenia ojca, ale on spogląda za nią na mamę.

- Uwaga, zuchy - mówi panna Lang. - Pan McCarroll chciałby wiedzieć, czy któraś z was widziała ostatnio Claire?

Ostatnio. W słowniku dziewięcio- czy dziesięciolatków „ostatnio” oznacza przed minutą. Z pewnością nie odnosi się do wydarzeń sprzed kolacji czy odległych rubieży popołudnia. Nikt się nie zgłasza.

Teraz pan McCarroll się do nich zwraca. - Chłopcy i dziewczęta...

Madeleine patrzy na Lisę Ridelle, Lisa na nią, i obie parszczą śmiechem pod nosem. *Chłopcy?! Przecież to uroczystość dla dziewcząt!* Madeleine podnosi wzrok. Jej ojciec utkwiał w niej spojrzenie, lekko unosząc brew. Madeleine przestaje chichotać.

- Byłbym wdzięczny za informację - ciągnie pan McCarroll, nieświadomy gafy, jaką popełnił - czy któreś z was widziało dziś Claire w ciągu dnia.

Podnoszą się ręce. Prawie każdemu Claire rzuciła się dzisiaj w oczy w szkole. A po lekcjach na placu szkolnym widziała ją Madeleine, Sara - która szturchnięciem pobudza pamięć Grace - i jeszcze Cathy Baxter i inne dziewczynki, które pomagały pannie Lang. Diane Vogel zauważyła z okna salonu, jak Claire mówi coś do rury w rowie u zbiegu ulic Columbia Driver i St. Lawrence - było to na pewno między wpół do czwartej a czwartą, bo jej mama oglądała *Secret Storm*.

Madeleine wciąż trzyma w powietrzu wyciągniętą rękę.

- Tak, Madeleine? - zwraca się do niej panna Lang.

- Ja i Colleen, to znaczy Colleen i ja, widziałyśmy ją na drodze okręgowej.

- Szła na południe? - pyta jej tata.

- Wybierała się do Rock Bass.

Ojciec Claire podchodzi do niej tak nagle, że Madeleine się wzdyga. Klęka przed nią na *jednym kolanie*, przysuwa twarz trochę za blisko - Claire jest w tarapatkach czy co? Nie, to pan McCarroll jest w tarapatkach. Czoło przecinają mu bruzdy, jego grdyka sterczy pod skórą, kiedy przełyka i pyta swoim miękkim głosem południowca: - Gdzie to jest, skarbie?

- M-m, skręca się w polną drogę.

- Jaką polną drogę?

- Przy wierzbie. Przed kamieniołomem.

- Kamieniołomem?

- Tam, gdzie dzieciaki chodzą się kąpać.

- O, mój Boże... - Pan McCarroll podnosi się i zakrywa usta ręką.

Nagle pojawia się przed nią tata. Nachyla się i pyta, jakby zwracał się do niej w obcym języku i chciał mieć absolutną pewność, że doskonale rozumie: - To tam skręciłabyś w prawo, gdybyś szła do Rock Bass? Jest na mnie wściekły?

- Tak.

Dołączyły do nich panna Lang i *Maman* i stoją tuż przy niej; spojrzenia wszystkich zuchów są skierowane na nią i Madeleine ogarnia dziwne uczucie, jakby coś ukrywała - Claire w worku. Dlaczego tak na nią napierają?

- Rock Bass położone jest niecały kilometr na zachód od drogi okręgowej - tłumaczy jej ojciec panu McCarrollowi. - Jeśli tam się wybierała, skręciłaby dużo wcześniej przed kamieniołomem, Blaire. Dziewczyna jest daleko od wody.

Pan McCarroll kiwa głową i marszczy brwi.

- Wynika stąd, że była tam około czwartej, czwartej trzydzieści, tak? - ciągnie tata. - Możemy tam dotrzeć w ciągu dziesięciu minut.

- Może Ricky coś wie - odzywa się Madeleine.

Znów wszyscy się w nią wpatrują. Pan McCarroll rozchyła zaciśnięte dotąd mocno usta, klęka przed nią. Madeleine dostrzega sinawy zarost na jego twarzy, kościstej i niemal tak młodzieńczej jak Ricky'ego Froelicha; biała skóra czaszki prześwituje między obciętymi na jeża włosami. Spogląda na nią tak, jak nigdy nie patrzył na nią żaden dorosły. Błagalnie. Niczym wierni modlący się u stóp krzyża.

- Była z Rickym i Elizabeth. I Reksem - odpowiada, zadowolona, że podsunęła im rozwiązanie.

Na wzmiankę o Rickym twarze dorosłych przybierają nieco mniej zatroskany wyraz. Jeśli była z nim, to na pewno nic jej nie jest.

Tata głaszcząc ją po głowie. - Dobra z ciebie dziewczynka - mówi i wraca w ślad za

panem McCarrollem do samochodu.

- Umówiła się z nim na piknik - piszczy naraz Sara Nolan.

Mężczyźni zatrzymują się i odwracają.

- Wcale nie - wtrąca Madeleine. - Claire pewnie zmyślała.

Patrzy na pana McCarrolla, przejęta, czy nie zabrzmiało to niegrzecznie. - Po prostu czasami lubi udawać - tłumaczy.

Pan McCarroll uśmiecha się do niej i idzie do samochodu, a tata za nim.

Samochód toczy się tyłem po trawie, zarzuca nim trochę, kiedy przyspieszając, wyjeżdża z parkingu na ulicę, potem ginie im z oczu.

Sara Nolan podnosi rękę. - Proszę pani, czy mogłaby mi pani już przypiąć skrzydełka?
- mówi sarkastycznym tonem, który ma być zabawny.

Kilka dziewczynek chichocze, a panna Lang się uśmiecha. Zapanowuje ogólne odprężenie. Znajdą Claire. W towarzystwie Ricky'ego Froelicha nie mogło jej spotkać nic złego.

Samochód McCarrolla zatrzymuje się przy dziurze w ogrodzeniu i obaj mężczyźni ruszają ścieżką, która doprowadza ich do krawędzi wąwozu.

Ześlizgują się po zboczu, nad strumieniem rozdzielają się i rozchodzą w przeciwnych kierunkach. O tej porze roku strumień jest głębszy, a nurt bystrzejszy, lecz i tak woda nie sięga dziewięciolatki powyżej pasa, a poza tym leży w nim sporo kłód i płaskich głazów. Niemniej, posuwając się brzegiem strumienia, mężczyźni nie tylko rozglądają się na lewo i prawo, ale lustrują też wodę.

Zapada zmrok i Jack przeczesuje z McCarrollem okolicę aż do późnej nocy; reflektory chryslera posuwającego się ślimaczym tempem omiatają puste połacie pól po obu stronach jednej polnej drogi za drugą, coraz szerszym kołem, które obejmuje Goderich, siedzibę władz okręgu, i ociera się o wschodni brzeg wielkiego jeziora migoczącego ponad pasem wydm. I znów w głąb lądu, mijając oświetlone zabudowania, stając na stacji benzynowej, skąd McCarroll dzwoni do domu - czy Claire już wróciła? - wyraz twarzy McCarrolla, gdy odwiesza słuchawkę i podchodzi do samochodu: całkowite zagubienie, jakby dopiero co przybył na tę planetę. I znów jada, między kolumnami drzew, których cienie ożywają z upływem minut, aż w końcu Jackowi udaje się przekonać McCarrolla, żeby „ze względu na żonę” wrócił do domu.

Jack nic nie wspomina o tym, że widział Ricky'ego Froelicha, jak biegł szosą nr 4 tuż po wpół do piątej. Na tym etapie niewskazane jest pozbawianie McCarrolla złudzeń

informacją, że Claire nie było z Rickym.

RANEK

O dziewiątej rano policja prowincji Ontario nadała przez lokalną rozgłośnię radiową rysopis Claire i wszystkie wozy patrolowe w okolicy zostały postawione w stan pogotowia, chociaż oficjalnie jeszcze nie uznano Claire za zaginioną. Dla każdego, kto ją znał, jej niestawienie się na najważniejszą w całym roku zbiórkę zuchów było wystarczającym dowodem tego, że zaginęła. Lecz policjanci nie znali Claire. Wypowiadali gładkie formułki w rodzaju: „Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo, przychodzą im do głowy dziwne pomysły, może nocowała u krewnych”.

- Wszyscy nasi krewni mieszkają w Wirginii.

- Ach tak. No cóż, pani McCarroll, nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Nasze patroli obserwują okolicę. Niech się pani prześpi i zadzwoni rano.

Rano. To odległa kraina; żeby do niej dotrzeć, trzeba pokonać noc, a pani McCarroll nie ma pojęcia jak. Siedź bez ruchu, a noc przejdzie wokół ciebie i przez ciebie. Potem nastanie ranek. I wtedy Claire będzie „zaginiona”.

Ta pierwsza noc pozostawia w matce osad zimnego popiołu. Matka spędziła ją w sypialni Claire przy zapalonym świetle, siedząc z założonymi rękoma przy jej łóżku, nie odrywając od niego wzroku. Wygładziła kołdrę. Zajrzała do szafy, w której wiszą ubrania córki, popatrzyła na regał, na którym ustawione są lalki, książki z baśniami i wypchane zwierzątka - rzeczy Claire są tutaj, więc to niemożliwe, żeby do nich nie wróciła. Już w pani McCarroll rodzi się myśl: „Dlaczego zamknęłam książkę, którą czytała?” - *Czarny królewicz* - „Dlaczego podniosłam ją z podłogi? Niepotrzebnie zmywałam dziś rano. Powinnam była zachować okruszki po jej śniadaniu”. Okruszki są żywe i bliskie, mówią: „Osoba, która jadła tę grzanekę, nie mogła odejść z tego świata”. Ubrania, lalki, okruszki, kosz z bielizną, wszystkie zdają się mówić: „Ona zaraz wróci”. Jej życie toczy się dalej, to tylko chwilowa przerwa. Te okruszki, ta stronica z książką, ta koszulka w koszu z bielizną to nie są rzeczy ostateczne.

Kiedy nastaje ranek? Czy jest już rano, kiedy widać pierwszą rosę na trawie? Kiedy gazeta ląduje na ganku? Kiedy blask lampki nocnej ginie w mdłym świetle padającym przez

okno? Wyłącz ją. Na kołdrze na łóżku ani zmarszczki. Już życie odpływa z pokoju. Wszystko, co tkwiło w stanie zawieszenia, dopiero co zostało odłożone albo zaraz miało być podniesione, wydaje się bardziej znieruchomiałe; powidok ruchu ulatuje z przedmiotów, z kartek książki uchodzi dech, ubrania wiszą ciszej w szafie. Jak sznur szalików wylatujących z rękawa sztukmistrza, opuszczają pokój i wszystko, co się w nim mieści, duchy i prądy poruszające rzeczami. Tego życzy sobie ziemia. Kiedy nastaje ranek?

Jeśli czekasz, aż rozjaśni się na tyle, żeby władze mogły wszcząć poszukiwania twego dziecka, ranek zaczyna się dopiero o szóstej, a teraz jest piąta trzydzieści. Sharon McCarroll nie miała pojęcia, jak przetrzyma tę noc, ale gdy się patrzy wstecz, ciemność okazuje się łagodna, ponieważ tej nocy mniej godzin dzieliło ją od zniknięcia córki po południu - wczoraj po południu. A teraz nadszedł następny ranek, wypierając poprzedni, zawiewając, syjąc ziarenkami, zacierając z wolna.

- Nie martw się, skarbie.

Blair McCarroll ma na sobie szlafrok. Włożył na noc piżamę, żeby tym pozorem normalności pocieszyć nieco żonę. Żeby oszczędzić jej dodatkowej udreki, został w domu u boku żony, zamiast przetrząsać okolicę samochodem, rozświetlać pobocza i podmokłe rowy. Cierpiał w milczeniu w salonie, zaglądając od czasu do czasu do żony w sypialni Claire, żeby zapytać: - Napijesz się herbaty, kochanie?

Sharon w ogóle się nie rozbierała, ale za każdym razem, gdy zaglądał do niej mąż, odgrywała swoją rolę, przyglądając włosy, składając usta do uśmiechu, mówiąc - Już dobrze, kochanie, może prześpisz się trochę?

Oboje modlili się w nocy, ale czeka ich jeszcze wspólna modlitwa. Oboje przełknęli wydzielinę pustki wzbierającą z trzewi, zdławili to w sobie, skowyt czegoś niezgłębionego, bezdenne. Uwaga, bo ono wyczuwa waszą rozpacz. Może je zbudzić nadmiar modlitwy. Może je zbudzić niedostatek modlitwy.

Jak mogła zasnąć? Na całe czterdzieści minut na krześle. Po przebudzeniu z całą mocą wraca ból otwartej rany, to nie sen. Wstaje z krzesła, puste łóżko, *nie ma mojego dziecka*. Krótki przesmyk do kuchni; idąc, podpira się ręką o ścianę, pieką ją stopy, spała w szpilkach, które pasują do chustki na szyi - mąż lubi, kiedy ona ładnie wygląda - w głowie odzywa się naraz chór, przebija się przez wszystkie racjonalne przyczyny nieobecności jej dziecka w domu, przenika przez poczynione w myślach ustalenia, listę zadań na dzisiaj, co zrobię, kiedy wróci moje dziecko, te święta Bożego Narodzenia spędzimy u siebie w Wirginii, mama i siostry nie uwierzą, jak Claire wyrosła, wyjąć z zamrażarki mięso na kolację. Wszystko to odsuwa na dalszy plan dźwięk rozbrzmiewający w głębi - *basso*

continuo, fala opóźniona - jedyny pogrzejający głos, ponieważ obiecuje koniec tego budzenia się i wyczekiwania; uporczywie i cierpliwie nuci swój refren, aż matka gotowa jest rozpoznać słowa, wyśpiewywane z takim żalem: „Twoje dziecko nie żyje”.

Pojechała na rowerze polną drogą do Rock Bass. Zsiadła i przeciągnęła go na drugą stronę przez dziurę w ogrodzeniu, której farmer w swojej życzliwości nie załatał. Poszła dalej nikłą dróżką, prowadząc rower.

Ostrożnie zeszła na dół wąwozu po zboczu, ześlizgując się trochę, ściągana przez ciężar roweru. Położyła go na ziemi nad brzegiem strumienia, uważając, żeby nie pognieść migotliwych różowych wstęg, i przeszła po kamieniach na drugą stronę.

Claire usiadła pod klonem, na ulubionym miejscu wszystkich odwiedzających Rock Bass, otworzyła pudełko z lunchem z podobiznami Frankiego i Annette i rozsypała przed sobą resztę jedzenia na ziemi, tworząc z niego półokrąg. Zawsze trafiała się jakaś śmiała wiewiórka, która podchodziła i porywała łakomy kąsek, ale Claire wyobrażała sobie, że z ukrycia przyglądają jej się trwożnie inne stworki, a kiedy ona odejdzie, zbliżą się i skubną trochę jedzenia. Wyobrażała sobie, że już ją znają i pewnego dnia odwiedzą ją w domu. Może porozmawiają z nią i zaprzyjaźnią się. A może tylko przycupną sobie na parapecie i popatrzą, jak ona śpi, gawędząc sobie cicho o cudownym podarunku, jaki dla niej przygotowują.

Wytarła ręce serwetką, którą włożyła z powrotem do pudełka na lunch. Spojrzała na Frankiego i Annette, ich promienne twarze okolone ciemnymi włosami w oprawie różowego serca. Ricky i Claire.

Zaczęła wspinać się po przeciwległym zboczu wąwozu. Tam warto było rozejrzeć się za ptasimi jajkami, które wypadły z gniazd i czekały na ratunek. Do podkolanówki przyczepił jej się rzep i schyliła się, żeby go oderwać.

Kiedy się wyprostowała, ujrzała przed sobą znajome stopy.

- Cześć, dziewczynko.

- Cześć.

- Zobacz, co mam.

- Co?

- Chodź zobacz.

- Claire podeszła i spojrzała na wyciągniętą otwartą dłoń, na której leżało błękitne jajko.

- Jajko rudzika - wysapała. Tak rzadko można znaleźć je w nienaruszonym stanie.

- Możesz je wziąć.

Jajko nic nie ważyło w dłoni Claire, gdyż było puste.

- Chcesz zobaczyć więcej, dziewczynko?

Widać było nakłucie w skorupce, przez które wąż wyssał zawartość.

- Tam są żywe.

Więc Claire ruszyła. Nigdy nie oddaliłaby się z kimś obcym.

- Gniazdo jest za polem kukurydzy. A gdy przeszli przez pole kukurydzy...

- Za łąką, na skraju lasu.

A gdy dotarli do lasu, Claire powiedziała: - Nie. Mama nie pozwoliłaby jej zapuszczać się w las.

- Pole kukurydzy jest straszniejsze niż las, Claire. Ale okazuje się, że to łąka jest najstraszniejsza.

Kiedy zaczęło się ugniatanie, Claire oświadczyła: - Muszę wracać do domu.

- Dobrze, Claire.

A ona nie domyśliła się od razu, że nie było dobrze.

WIELKI CZWARTEK

Ojciec Madeleine wrócił do domu bardzo późno. Swoje nowe skrzydełka z mosiądzu Madeleine specjalnie zostawiła na wierzchu na komodzie, żeby mógł je obejrzyć. Wszedł do jej pokoju i usiadł na skraju łóżka. Madeleine przebudziła się, ale udawała, że śpi. Otulił ją szczerze kołdrą i odgarnął jej grzywkę z czoła.

- Mój stary wierny druhu - szepnął.

Madeleine westchnęła „przez sen”.

Pocałował ją w czoło i bezszelestnie wycofał się z sypialni. Madeleine korciło, żeby go zawołać i zapytać, gdzie podziewała się Claire i co powiedziała, kiedy ją znaleźli. Ale nie chciała burzyć nastroju tej chwili, gdy tak sobie leżała i rozpamiętywała, jak tata otulał ją, myśląc, że ona śpi. Dowie się jutro. Zapyta Claire.

Madeleine wsypuje do swej miseczki dmuchany ryż, godząc się na ten suchy pokarm ze względu na plastikowy miecz z pochwą, dodawany do ogromnej paczki. Mike słodzi swoje płatki, a nawet jajko.

- Wypadną ci wszystkie zęby do czasu, kiedy będziesz miał dwadzieścia lat - mówi ojciec zza gazety.

Mike ma przypalone rzęsy. Rodzicom powiedział, że osmalił je sobie na zbiórce harcerskiej, ale Madeleine wie swoje.

- *Maman, j'ai besoin d'une chemise blanche pour ce soir, c'est le banquet de hockey.*

- *Oui, Michel, je sais, mange tout, c'est ça le bon p'tit garçon.*

- *Maman* - jęczy Mike. - Już nie jestem małym chłopcem.

Bierze jego twarz w dłonie. - *T'es toujours mon bébé, toi, mon p'tit soldat* - przemawia do niego pieszczotliwie, drocząc się z nim, i całuje go po policzkach. Mike wrywa się, ale uśmiecha się szeroko, ścierając ślady szminki.

- Tato? - pyta Madeleine.

- Tak, skarbie? - Przewraca stronę gazety.

- Gdzie znaleźliście Claire?

Gazeta ani drgnie.

- Nie znaleźli jej - oświadcza Mike.

Ojciec kładzie gazetę na stole i posyła synowi wymowne spojrzenie, a potem zwraca się do córki: - Nadal trwają poszukiwania.

I dodaje swoim pokrzepiającym tonem, w którym słycać nutkę lekkiego rozbawienia: - Pewnie schowała się gdzieś na noc przed deszczem i wróci do domu cała przemoczona i głodna.

Mike wpatruje się w swój talerz.

Jack muska ustami Mimi, głaszcząc ją po głowie Madeleine i kieruje się do wyjścia. - Miłego dnia wszystkim.

Mike zwraca się do matki po francusku, za szybko, żeby Madeleine coś zrozumiała. *Maman* odpowiada, nieco wolniej, więc Madeleine jest w stanie sformułować pytanie: - Dlaczego tata nie chce, żebym się martwiła? Czym miałabym się martwić?

Mimi patrzy na córkę i sięga po paczkę swoich *carneo*.

- A teraz proszę, żebyś zmówiła modlitwę za Claire McCarroll - mówi i zapala mentolowego papierosa. - Ty też, Michel.

- A po co? - pyta Madeleine.

- Przestań ciągle pytać „po co”, Madeleine. - Zaciąga się orzeźwiającym papierosem. - Bo znalezienie jej może okazać się trudne. Ale znajdą ją. Teraz idź się ubrać. *Attends, Michel, je veux te dire un mot.*

Co dziwne, bardziej uspokajająco działa na Madeleine drażliwość matki niż ojcowska łagodność. Mimo to w głębi jej duszy rodzi się strach, jak zawsze, kiedy matka każe jej się modlić za kogoś. To oznacza, że ten ktoś się dograł.

Madeleine z zachwytem przyjęła propozycję Mike'a, żeby razem poszli dziś do szkoły. Teraz stara się nadażyć za nim, Arnoldem Pinderem i Royem Noonanem, stawiając dwa kroki na ich jeden. Roy Noonan przywitał się z nią, za co oberwał w ramię od Arnolda Pindera. W ramach wielkopostnej pokuty Mike postanowił, że nie będzie się spotykał z Arnoldem. Mama i tata uznali, że postąpił bardzo dojrzałe. Nie mają pojęcia, że Mike przerwał „post” wczoraj, a rzesy osmalił sobie, kiedy Arnold podpalił oblaną benzyną żabę, włożoną do słoika.

- Mike?

Nie zwraca na siostrę uwagi i mówi dalej: - Ricky Froelich ma model z balsy, my też byśmy mogli taki zrobić.

- Jasne - mówi Roy. - Trzeba by tylko zmienić skalę i...

- Wystarczy pójść na złomowisko, tam na pewno coś się trafi - wtrąca Arnold.

- Mike - powtarza Madeleine.

- Co? - odpowiada rozdrażniony.

- Gdzie może być Claire?
- A skąd mam wiedzieć?
- Została porwana, tak powiedział mój tata - mówi Arnold.
- Przymknij się, Pinder - mówi Mike.

Arnold, zjeżony, zaciska rękę w pięść. Mike pokazuje wzrokiem na siostrę i Arnold łagodnieje.

- Zgubiła się - oświadcza Mike.
- No właśnie - wtóruje Arnold.
- Nie martw się, Madeleine - mówi Roy Noonan.
- Wy chyba macie mnie za idiotkę - stwierdza Madeleine, zwalniając kroku.

Bez oglądania się do tyłu Mike łapie ją za rękę w nadgarstku.

- Idziesz ze mną - mówi, ciągnąc ją za sobą.
- Bo co?
- I masz zaczekać na mnie po szkole.
- Akurat!
- *Maman* kazała.

Przynajmniej już wie, co naprawdę przytrafiło się Claire: została *porwana*. W tej chwili siedzi gdzieś w zasnutej pajęczynami szopie, z rękami skrępowanymi za plecami i kneblem w ustach. Gdyby to spotkało Madeleine, uciekłyby porywaczom. Przetarłaby sznury na krawędzi kamienia, jak bracia Hardy. Przewróciłaby porywacza albo wyskoczyła z pędzącego samochodu i przeturlała się do rowu, a potem dotarłaby pieszo do domu. Ale nie sposób wyobrazić sobie Claire inaczej niż siedzącej potulnie ze związanymi rękoma.

Madeleine nie wybiega myślą dalej. Dalej nic nie ma. Zastanawia się jednak, kiedy przyjdzie list z żądaniem okupu. Czy porywacze uważają, że dostaną za Claire dużo pieniędzy, bo jej rodzice są Amerykanami? Może sam prezydent Kennedy zapłaci okup.

Kiedy wreszcie Jackowi udało się dodzwonić do gabinetu pierwszego sekretarza przy ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie, rozpadało się na nowo. Szarzyzna pomazała szyby budki telefonicznej i przesłoniła widok na świat. Gdzieś tam tkwi dziewczynka McCarrollów. Biedactwo, w najlepszym razie upadła i złamała sobie nogę; przerażona i zagubiona, nie jest w stanie wrócić o własnych siłach do SKR-ów. To całkiem możliwe.

- Tu Crawford.
- Si, zaginęła dziewięcioletnia córka McCarrolla.
- Cholerny pech - odzywa się po chwili Simon.

Zgodził się z Jackiem, że nie należy wtajemniczać Amerykanina, dopóki i jeśli nie odnajdzie się jego dziewczynka, cała i zdrowa.

- Zadzwoń na mój nocny numer zaraz, jak czegoś się dowiesz. Nad tą operacją zawisło jakieś fatum - dodał, wzdychając ciężko.

- Co mam zrobić z samochodem, Si?

- Aha, jeszcze ten przeklęty samochód. Weź go sobie.

- I jak wytłumaczę to żonie? Że obrabowałem bank?

- Wyślę kogoś po ten wóz albo... Chryste Panie. Gdzie on teraz stoi?

- Odstawiłem go do Exeter. Trzeba będzie go stamtąd przenieść, bo w końcu ktoś odholuje go na złomowisko.

- No i dobrze. Znaleźne będzie jego.

- Mam nadzieję, że to pójdzie w koszty CIA.

- Będę za tobą tęsknić, promyczku.

Jack wyszedł z budki z uśmiechem na twarzy, ale wesoły nastrój nagle prysł, gdy zobaczył radiowóz policyjny podjeżdżający pod hangar nr 4. W drzwiach ukazał się McCarroll i wsiadł do samochodu. Jack miał na sobie służbową pelerynę przeciwdeszczową i kalosze. Szybko dołączył do grupy poszukiwawczej, która zebrała się w hangarze. Wszyscy mężczyźni, z pracownikami kuchni włącznie, zostali postawieni na nogi.

Panna Lang zastępuje pana Marcha, który rozmawia z policją. Policjanci próbują wpaść na jakiś trop, wypytując kadrę nauczycielską. Przesłuchują pana Marcha już pół godziny. Ktoś zapukał do drzwi sali lekcyjnej i pan March poszedł je otworzyć ze śpiewem na ustach, nucąc: „Kto to puka do mych drzwi?”. Lecz głos uwiązł mu w gardle, gdy ujrzał w progu umundurowanego policjanta. „Wezmę tylko moje okulary”, wydukał. Okulary leżały na biurku, wrócił po nie, wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł soczewki. Po raz pierwszy Madeleine widziała, jak używa chusteczki do czegoś innego niż tej swojej parówki.

Panna Lang pyta uczniów, na co mają ochotę, i wybór jest jednomyślny: zajęcia z plastyki. Nigdy dotąd nie zdarzało się, żeby czwartoklasiści mieli plastykę w czwartek po południu; przynajmniej coś dobrego wyniknęło z zaginięcia Claire McCarroll. Nawet Grace podnosi rękę i głosuje za plastyką, chociaż nie wiadomo, jak utrzyma kredkę w swoich zabandażowanych palcach. Ręce ma grubo owinięte białą gazą, która zdążyła już postrzępić się i poszarzeć. Pan March nie zwrócił na to uwagi, lecz panna Lang pyta Grace, czy skaleczyła się w ręce. Grace zdobywa się na wyjaśnienie, że jej ojciec miał dość ciągłego oglądania jej z palcami w buzi. „Albo je połamię, albo zabandażuję”, zagroził.

W klasie panuje cisza. Panna Lang pozwoliła im rysować, co tylko zechcą, pod warunkiem, że będzie to związane ze świętami wielkanocnymi. Wolno im stosować różne środki - pastele, akwarele, wszystko oprócz farb, które nakłada się palcami. Madeleine wybrała kredki świecowe, a jako temat dzień z życia Dynamicznego Duo. W zaciszu szkolnej sali z jej swojskimi zapachami, wonią skórek pomarańczy, ostrużyn ołówkowych, wilgotnej wełny i kredy, z kojącym biciem deszczu o szyby okienne, panna Lang nastawia przyniesioną z domu płytę. Mantovani Strings roztaczają swój czar powolną kaskadą dźwięków: *There's... a sum-mer place...*

Madeleine pochyla się nad swoim dziełem i napierając językiem na ząb trzonowy, który zaczął jej się ruszać, skupia się na przebrany za niemowlę Cudownym Chłopcu w wózku dziecięcym o napędzie rakietowym, w pościgu za Jokerem. Na dworze szaruga, mimo że dopiero wpół do trzeciej. Niestrudzony deszcz pokrywa drobnym ściegiem kałuże, które powstały w płytkich wgłębieniach przy bujawkach, pod huśtawkami i u podnóża zjeżdżalni. W oddali za boiskiem do baseballu bungalowowy i bliźniaki SKR-ów kulą się przed deszczem, lecz ich tęcze barwy malują się jeszcze radośniej na tle ołowianego nieba.

Wzrok Madeleine wędruje na pola uprawne po drugiej stronie Algonquin Drive - strzeżone przez farmera z osławioną strzelbą. Dzieje się tam coś. Na poboczu stoją zaparkowane samochody, zwykłe i kilka czarno-białych radiowozów policyjnych, i wciąż nadjeżdżają nowe.

Madeleine nagle przychodzi na myśl nieszczęsny psiak uwięziony w rurze. Wydostał się jakoś? Utopił się? Wzbiera w niej dojmujący smutek, ale pociesza się myślą, że zapyta ojca. On na pewno będzie wiedział, co się stało z tym psem. Jej spojrzenie pada na ukończony rysunek; Madeleine przypomina sobie, że przecież miał być związany z nadchodzącymi świętami. Dorysowuje Robinowi do ust dymek, w którym umieszcza napis: „Dzisiaj Wielki Czwartek, Batmanie!”.

Podnosi oczy, zadowolona ze swego dzieła, i wpatruje się w tył głowy i ramiona Grace Novotny. Jej profil jest częściowo widoczny, gdy siedzi głęboko pochylona nad rysunkiem, jak ktoś, kto zawzięcie koloruje. Oblizuje spękane usta i oddycha przez usta, bo ma zatkany nos. Cokolwiek by robiła, Grace zazwyczaj strzela na wszystkie strony oczami, ale dziś jest wyjątkowo skupiona, może dlatego, że ma zabandażowane ręce. Z jej zaciśniętej brudnej ręki wystaje żółta kredka. Ciekawe, co ona rysuje?

Madeleine znów wygląda przez okno, widzi samochody, teraz już zaparkowane po obu stronach drogi. Ukazuje jej się rząd mężczyzn w pelerynach, idących po polu powoli szeroką ławą, ramię w ramię. Szukają jakiegoś drobiazgu, myśli Madeleine. Cennego. Zegarka albo

brylantu.

Ławka Claire pod oknem stoi pusta. Jakby Claire była przeziębiona i została w domu. Jutro przyjdzie do szkoły.

Madeleine podnosi rękę. - Pani Lang, czy mogę naostrzyć ołówek?

- Oczywiście, że możesz, Madeleine.

Wracając po naostrzeniu na swoje miejsce, Madeleine zwalnia przy ławce Grace i z zachwytem przygląda się jej obrazkowi. Nawałnica żółtych motyli.

Jest ich mnóstwo, tyle, że aż się w głowie kręci, każdy doskonale nakreślony i pokolorowany, zarys każdego skrzydełka wyczelowany, nie ma wśród nich dwóch jednakowych, niepowtarzalne jak płatki śniegu. Obrazek jest taki ładny, że nadawałby się chyba na tapetę.

Pani Lang podnosi igłę gramofonu i cała klasa ma wrażenie, jakby przez te zaczarowane pół godziny bawiła na dworze Śpiącej Królowy. Uczniowie podnoszą niepewnie wzrok, rozczocharani i ukojeni. Oddają swoje prace; okazuje się, że tego dnia na plastyce wzniesli się na wyżyny swoich umiejętności.

- Szukali Claire - mówi Colleen. - Ja też ich widziałam.

- Wybrali głupie miejsce. Pod gołym niebem? W szczerym polu? - dziwi się Madeleine.

Idą razem ulicą St. Lawrence Avenue. Chociaż nigdy nie czekają na siebie po szkole, ich drogi zazwyczaj się krzyżują, jeśli Madeleine wraca sama, bez koleżanek z klasy

- Wcale nie - stwierdza Colleen.

Świat połyskuje po deszczu, powietrze jest łagodne i aromatyczne, wszystko ukazuje się w żywych i obiecujących barwach; jakby końcowy dzwonek obwieścił nagłe poszerzenie świata, otworzył przyszłość, nieznaną, lecz ujętą w ramy, na podobieństwo kinowego ekranu. Madeleine delectuje się rozkosznym przecuciem. Coś się wydarzy. Coś wspaniałego.

- Właśnie że to głupota, Colleen, bo na otwartym polu Claire byłaby na widoku i zaraz by ją zobaczyli, chyba że się schowała, ale kto by się chował na polu, a poza tym ona się zgubiła, a nie można się zgubić na polu naprzeciwko szkoły.

Madeleine bierze oddech i dodaje: - Ciemna masa.

Cofa się, licząc na reakcję Colleen, ale ona ignoruje jej zaczepkę.

Madeleine ogląda się za siebie, na Mike'a i jego kolegów, trzymających się w bezpiecznej odległości, niczym jej obstawa. Już ma ich pokazać Colleen, ale ta niespodziewanie się odzywa i to, co mówi, nie od razu dociera do Madeleine.

- Co powiedziałaś?

- Nie liczą już na to, że ją znajdą żywą, to dlatego - powtarza Colleen.

Wysłuchując się w jej słowa, Madeleine ma wrażenie, jakby ziemia nagle zapadła jej się pod stopami. W jednej chwili świat przestał delikatnie migotać i nabrał twardego, metalicznego połysku. Ulotniło się kojące uczucie, że wszystko dzieje się na ekranie. Madeleine nie jest już w kinie. Teraz jest po prostu w deszczu. A on nie ma granic, które cokolwiek by znaczyły.

Jako lekturę na dobranoc Madeleine życzy sobie *Kubusia Puchatka*. Nie należy się wstydzić powrotu do dawnych ulubionych książek. A ojciec twierdzi, że wielką literaturę ceni się niezależnie od tego, ile ma się lat. Chociaż zwykle czytali *Kubusia* z podziałem na głosy, Madeleine prosi tatę, żeby sam przeczytał całość. Wyobraża sobie wrzucony do strumienia patyk przepływający pod mostkiem i to działa na nią kojąco. Lecz gdy przychodzi pora zgaszenia światła, pyta:

- Tato, czy oni liczą na to, że znajdą Claire żywą?

Jack nieruchomieje z ręką na wyłączniku. Wraca do córki i siada na skraju łóżka.

- Oczywiście.

- To dlaczego szukali jej na polu?

Ojciec odwraca się i rozgląda po pokoju. - Gdzie jest stary Bugsy?

Wyciąga go spod łóżka, zdejmując włos, który przyczepił się do uszu królika, i wsuwa go pod kołdrę u boku Madeleine, mówiąc: - Myślą, że upuściła coś na polu, coś, co pomoże im do niej trafić.

- Może zostawiła za sobą ślady.

- Może. - Jack pochyła się, żeby ją pocałować, a ona obejmuje go za szyję, nie pozwalając mu odejść; często droczy się z nim w ten sposób. Tata ją łaskocze i Madeleine go wypuszcza. Pytanie Madeleine zatrzymuje go w połowie drogi do wyjścia.

- A jeśli została porwana?

- ...Porywacze wysłaliby list.

- Tak przypuszczałam.

- Nie martw się o Claire, wróci do domu, zanim się obejrzysz. - Gasi światło.

- Tato?

- Tak?

- Czy ty niedługo umrzesz?

- Chyba żartujesz - śmieje się Jack. - Tacy starzy wyjadacze jak ja szybko nie umierają.

- Wszyscy kiedyś umierają.

- Wiesz co, Madeleine? - mówi, zwracając się do niej już nie uśmierającym, lecz rzeczowym tonem. - Ten dzień jest tak odległy, że nawet nie warto zaprzętać sobie tym myśli.

- A jeśli będzie nalot? Syrena zawyje tak jak wtedy w październiku?

Patrzy jej prosto w oczy. - Słyszałaś kiedyś o NORAD? - opiera się o framugę, otacza go światło padające z korytarza. - To potężny system wczesnego ostrzegania, który zadziałałby z dużym wyprzedzeniem, nie dopuszczając tu żadnego samolotu z bombą. Wysłalibyśmy naszego myśliwca, który rozwaliliby go w drobny mak, i po sprawie.

- Tato?

- Spij już, stary druhu.

- Czy Claire nie żyje?

- Ależ skąd - chichocze. - Nie przejmuj się tym teraz. Wiesz co?

- Tak?

- Jest takie przysłowie: „Nie podawaj diabłu ręki, dopóki go nie spotkasz”.

Madeleine pozwala mu odejść w przekonaniu, że ją uspokoił. - Dobranoc, tato.

Jack schodzi na dół i kieruje się do wyjścia, oświadczając Mimi, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Co jest zgodne z prawdą. Ale oprócz tego musi jeszcze zadzwonić.

Madeleine odgarnia Bugsowi długie uszy z wesołego czółka. - Nie martw się, Bugs.

Ale nie powtarza przysłowia, które przytoczył jej ojciec na pożegnanie, gdyż mimo że ma ono za zadanie pocieszyć odbiorcę, że diabła nigdzie w pobliżu nie ma, to jednak wynika z niego, że spotkanie z nim jest nieuniknione.

WIELKI PIĄTEK

Zdjęcie Claire widnieje na okładce „London Free Press”. Madeleine od razu je dostrzega, gdy otwiera drzwi, żeby wziąć z ganku mleko. Fotografia jest trochę zamazana, ponieważ to czarno-biała odbitka szkolnego zdjęcia, jakie wszyscy uczniowie zrobili sobie w sali gimnastycznej w listopadzie zeszłego roku. Ale z łatwością można poznać Claire śmiejącą się na okładce leżącej obok butelki z mlekiem. Jej zdjęcie opatrzone jest podpisem: ZAGINIONA DZIEWCZYNIKA. Claire jest teraz sławna. Madeleine niesie gazetę wraz z mlekiem, wołając: - Sensacja z ostatniej chwili, tylko u nas.

Matka odbiera jej gazetę i rzuca ojcu ze słowami: - Nie życzę sobie tego w moim domu - jakby żądała usunięcia z królestwa wszystkich kołowrotek.

Jack nie jest ani zaskoczony, ani obrażony, po prostu wkłada gazetę do aktówki, a kiedy Mike schodzi na dół i nastawia radio, żeby posłuchać wiadomości, Jack natychmiast je wyłącza. Jedzą śniadanie, Mimi jak zwykle w pełnym stroju i w makijażu, oparta o blat popija kawę i ćmi papierosa. Przy stole panuje milczenie, jak podczas kryzysu kubańskiego. Tym razem jednak ciszy nie maćci nawet szelest przewracanych stron. Słychać tylko chrupanie. Madeleine spogląda na Mike'a. Przybrał taki sam niewinny wyraz twarzy jak ojciec. Madeleine przebija skorupkę i wypływa białko.

Dzisiaj jest święto. Ale to Wielki Piątek, co oznacza, że zbytnia radość jest niewskazana. Nie ma oglądania telewizji wieczorem - Jezus wisi na krzyżu, więc nie wypada śmiać się dziś z wygłupów Trzech Popychadeł na ekranie. Mike'owi nie wolno nawet grać w hokeja na ulicy. *Maman* co roku ustala zasady. Na kolację ryba. Ale nie smażona ryba z frytkami, tylko kawałek wodnistego białego rybiego mięsa, do tego zwiotczały groszek konserwowy i gotowane ziemniaki. Bez deseru. Odmawiamy sobie słodkości przez wzgląd na cierpienia Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Gdy był spragniony, podano mu do picia ocet. Pamiętajmy o głodujących dzieciach w Afryce. Pada deszcz, jak zawsze w Wielki Piątek.

Madeleine idzie w odwiedziny do Auriel, ale na trawniku Froelichów dostrzega Colleen w pelerynie przeciwdeszczowej, z puszką po kawie, przykucniętą i przeczesującą palcami źdźbła trawy. Madeleine wycofuje się po cichu na tyły domu, biegnie przez podwórka, dobiega z powrotem do ulicy i przechodzi na drugą stronę, do domu Boucherów. Będą słuchały płyt Very Lynn z kolekcji mamy Auriel i wypuszczą z klatki papużkę, żeby sobie pofruwała. Potem pójda do mieszkających obok Ridelle'ów i pobawią się z małym braciszkiem Lisy. Będą snuć domysły na temat niesamowitej przygody Claire. Auriel przypuszcza, że może wybrała się na własną rękę do Disneylandu.

Pukając do drzwi frontowych, Madeleine ogląda się na widoczną z daleka Colleen, posuwającą się powoli i cierpliwie przez trawnik.

- Witaj, kotku, wejdź, bo przemokniesz - mówi pani Boucher. Madeleine wyczuwa aromat pieczonych bułeczek z cynamonem - mama Auriel jest wyznania anglikańskiego, wyznawcy tej wiary nie muszą się tak umartwiać w Wielki Piątek. Wyraz jej twarzy zmienia się, gdy spogląda ponad głowę Madeleine na ulicę. Madeleine odwraca się i widzi radiowóz policyjny nadjeżdżający ulicą St. Lawrence Avenue. Mija ich powoli i wjeżdża na podjazd Froelichów. Colleen Froelich podnosi się z puszką po kawie w rękę.

- Pakuj się do środka, moja droga - mówi pani Boucher i odwracając się, woła: -

Auriel, przyszła Madeleine.

WIELKA SOBOTA

Helikopter policyjny z warkotem przesuwa się na tle szarego nieba nad SKR-ami. Dzieciaki przerywają swoje zajęcia i zadzierają głowy do góry. Wszystkim już wiadomo, że śmigłowiec szuka Claire. Podobnie jak jaskrawożółte chipmunki, które latają na niskiej wysokości, trzymając się lotniczej siatki geograficznej, z pilotem i obserwatorem na pokładzie, starającym się dojrzeć coś przez zasłonę deszczu. Dorośli nie potrafią dłużej ukrywać lęku. Dzieciaki otwarcie wygłaszają domniemania, że Claire utopiła się w rowie, wpadła do szybu wentylacyjnego - chociaż w pobliżu nigdy nie było żadnych kopalń - albo padła ofiarą szaleńca uzbrojonego w hak. „The Exeter Times-Advocate” wezwał farmerów, aby przeszukali swoje stodoły i przybudówki, i poświecili latarkami w głąb studni. W drodze do samochodu po sobotniej mszy świątecznej Madeleine dostrzega sznury mężczyzn w pelerynach przeciwdeszczowych ciągnące się od lądowiska do łąk i lasów. Owczarki niemieckie wrywają się do przodu na smyczach i węszą gorączkowo przy ziemi. Madeleine domyśla się, że dostały do powąchania jakąś rzecz należącą do Claire. Tak jak pies policyjny Dale, który odszukał dziewczynkę śpiącą na polu kukurydzy. Powinni wziąć do pomocy Reksa.

Jack nie ukrywa, że zamierza przyłączyć się do poszukiwań, a Mimi każe dzieciom przykłęknąć w salonie i zmówić z nią różaniec w intencji bezpiecznego powrotu Claire McCarroll.

Ricky Froelich też uczestniczył w poszukiwaniach. Przyproceedził nawet Reksa, ale policjanci kazali mu odstawić go do domu, ponieważ Rex nie był szkolony w tropieniu. Rick miał ochotę zapytać, skąd o tym wie, gdyż na temat przeszłości Reksa, zanim pojawił się w schronisku w Goderich, nic nie było wiadomo. Ale nie chciał grać cwaniaka przed gliniarzami. Wyrósł już z tego.

W piątek dwójka policjantów, których Ricky widział wcześniej w szeregach ekipy poszukiwawczej, przyszła do niego do domu zadać mu te same pytania, na które już odpowiedział innej dwójce poprzedniego dnia. Jeśli ich działania się nakładały, oznaczało to, że stają na głowie, żeby odnaleźć zaginioną dziewczynkę. Powtórzył im to, co wcześniej

usłyszeli ich koledzy: wyszedł pobiegać z siostrą i psem, Claire McCarroll spotkał na drodze okręgowej, kierowała się na południe. Oznajmiła mu, że wybiera się do Rock Bass.

Ricky przypiął do jej roweru psa i dalej pędzili razem, aż do skrzyżowania. Tam Claire skręciła w prawo w polną drogę, zmierzając na rowerze do Rock Bass, a on z siostrą i psem skręcili w lewo w kierunku szosy.

Ricky dopiero co wrócił do domu z trwających cały ranek poszukiwań i właśnie przygotowuje sobie i wcina kanapki, kiedy w sobotnie popołudnie zjawia się u niego ta sama para gliniarzy.

- Czy po tym, jak ty i Claire się rozdzieliliście, spotkałeś kogoś na szosie? - pytają tym razem.

To nowy wątek w śledztwie. Widocznie policja zaczęła podejrzewać, że ktoś mógł skrzywdzić Claire.

- Nie, żałuję, ale nikogo nie spotkałem.

Zabierają go na przejażdżkę, żeby pokazał im dokładnie, w którym miejscu zostawił Claire. Kiedy z nimi wychodzi, w progu ukazuje się matka.

- Chwileczkę, Ricky, zawołam tatę, żeby ci towarzyszył - mówi.

- Nie trzeba, mam, zaraz wracam.

- Zaczekaj jeszcze minutę, skarbie - nalega Karen. - Tata jest w piwnicy.

Rick uśmiecha się, trochę skrepowany w obecności policjantów.

- Pani Froelich, chcemy tylko pożyczyć chłopaka na kilku minut, żeby pokazał nam dokładnie, w którym miejscu odłączył się od dziewczynki, może w ten sposób łatwiej sobie przypomni, czy zauważył kogoś w pobliżu - odzywa się jeden z nich, ten, który zadawał Ricky'emu pytania.

Karen przygląda się policjantom z wahaniem, potem odwraca się i ponownie woła męża: - Hank!

Ale Ricky odchodzi z funkcjonariuszami, pocieszając ją: - Zaraz wrócę, mam.

Karen odprowadza wzrokiem odjeżdżającego radiowozem syna.

Ale na drodze okręgowej samochód nie skręca na południe, tylko kieruje się na północ, w stronę Exeter. Wycieraczki przesuwają się po przedniej szybie z łoskotem. - To przecież z drugiej strony - stwierdza Ricky.

- Robimy okrążenie. Powiedziałaś, że tędy biegłeś, zgadza się?

- Ach tak - mówi Ricky i rozsiada się na tylnym siedzeniu. W oparciu o jego wskazówki przemierzają w odwrotnym kierunku drogę, którą przebył w środę po południu. Policyjne radio w samochodzie trzeszczy niezrozumiale.

- Jeśli przypomni ci się, że widziałeś kogoś, cokolwiek, mów śmiało, młodzieńcze - zwraca się do niego gliniarz siedzący na miejscu obok kierowcy.

Kiedy dojeżdżają do szosy nr 4 - jej odcinka biegnącego na północ od Lucan - Ricky oświadcza naraz: - Widziałem samochód.

Policjant spogląda na jego odbicie w lusterku wstecznym.

- Jechał na zachód, jak my teraz - mówi Rick. - Minął mnie w tej okolicy.

Radiowóz zwalnia, zjeżdża na pobocze i staje. Policjant wpatruje się w odbicie Ricka w lusterku i pyta: - Jaki to był samochód?

- Ford galaxy.

- Poznałeś, co?

- Jasne, przejechał tuż obok mnie, nowiuteńki.

- Lubisz samochody?

- Uwielbiam.

- Ja też - chichocze gliniarz. - Jakiego koloru był ten Chevrolet?

- Ford - poprawia go grzecznie Rick. - Galaxy, nówka. Niebieski.

- Nówka, co?

- Taaa, model 1963. Zauważyłem, że miał ścięty tył.

- Co jeszcze zauważyłeś?

- Widziałem, że miał z tyłu wgnieciony zderzak.

- Tak? - Policjant wyciąga notatnik z kieszeni na piersi i zaczyna zapisywać. Za to kierowca jakby był nieobecny duchem. Tył jego głowy, byczy kark, ani drgnął.

Rick pochyla się do przodu i wyteża pamięć; może gdzieś w zakamarkach jego umysłu tkwi jakiś drobiazg, który okaże się pomocny. - Na zderzaku była nalepka.

- Jaka nalepka?

- Żółta. Wie pan, taka jak z Bajkowych Ogródów.

Policjant uśmiecha się pod nosem, kiwa głową i powtarzając je powoli, zapisuje słowa Ricka: - Baj...kowe... Ogrody.

Ricka opadają nagle wyrzuty sumienia. - Nie sędzę, żeby to wiele pomogło.

- A to dlaczego?

- No bo ten, który jechał tym samochodem, miał na głowie kapelusz lotnika i...

- Tak?

- Słońce tak świeciło, że nie widziałem jego twarzy, ale prawdopodobnie to nie jego szukacie.

- A kogo szukamy, Rick?

Ricky się waha. - No, wiecie, panowie. Tego, kto ją porwał.

- Myślisz, że została porwana?

- Może. Nie wiem.

Gliniarz uśmiecha się do niego w lusterku. - To jedziemy na tym samym wózku, bo my też nie wiemy. - Przenosi wzrok na notatnik. - Niech się upewnię - mówi, trzymając długopis nad kartką. - Nie widziałeś twarzy, ale widziałeś kapelusz.

- Raczej kontur kapelusza.

- Słusznie - mówi policjant, po czym zwraca się do kolegi: - Rudy, nie wiesz, jak się pisze „kontur”? Przez „ą” czy „on”?

- Mnie nie pytaj.

Rick śmieje się z nimi i przyznaje, że sam ma z tym problemy. Gliniarz kłaska głośno w zamyśleniu, potem mówi: - Próbuję to obliczyć... ile czasu twoim zdaniem zabrałoby przebiegnięcie stąd i z powrotem do skrzyżowania, na którym się rozdzieliliście?

- U-mm... wróciłem do domu około wpół do szóstej, za piętnaście szósta... to mniej więcej taka sama odległość... więc myślę, że około godziny?

Gliniarz podnosi brwi ze zrozumieniem i zapisuje odpowiedź, pytając: - Skąd ta pewność, że o tej godzinie wróciłeś do domu?

- Grałem w meczu. W koszykówkę.

- W jakiej drużynie występujesz?

- Huron County Braves.

- Świetnie.

Nie było widać, żeby policjanci się między sobą jakoś porozumieli, ale radiowóz nagle odrywa się od pobocza i nabiera prędkości. Jadą bez słowa w deszczu. Milczenie przerywa gliniarz siedzący za kierownicą. - Jesteś pewny, że to był kapelusz lotnika? Może policjanta?

- Nieee - mówi Rick.

- Skąd wiesz?

- Kierowca mi pomachał.

- Podobno nie wiesz, kto to był.

- Nie widziałem jego twarzy - wyjaśnia Rick - ale to musiał być ktoś znajomy.

- Chyba każdy lotnik tutaj zna wszystkie lotnicze bachory, co? - wtrąca drugi z uśmiechem.

- Nie jestem lotniczym bachorem.

- Nie chciałem cię obrazić.

- Wiem - mówi Rick. - Chodzi mi o to, że mój ojciec nie służy w lotnictwie, uczy w

szkole.

Jadą dalej, po chwili odzywa się kierowca: - To, że facet nosi mundur, wcale nie znaczy, że jest święty.

- Otóż to - stwierdza Rick.

- Co masz na myśli?

- Nic takiego.

Drugi gliniarz mruga do niego w lusterku.

Kiedy wysadzają Ricka przed domem, ten stuka w dach wycofującego się radiowozu i przytyka dwa palce do czoła tak, jak oddają sobie honory lotnicy. Gliniarz siedzący obok kierowcy wykonuje na pożegnanie taki sam gest.

W łazience na piętrze Colleen przytrzymuje w wannie Elizabeth, a matka ją myje. Drzwi są zamknięte, żeby bawiący się obok maluch nie wydostał się na zewnątrz i nie nabroił. Drugi jest na dole, smacznie śpi na piersi ojca drzemiącego przy płycie Joan Baez.

Karen słyszy odgłos zamykanych drzwi frontowych i mówi do Colleen: - Wszystko w porządku, kochanie.

Elizabeth wyciąga do niej rękę, Karen chwyta ją w nadgarstku i całuje. - Widzisz? Ricky już jest w domu.

Chociaż wolno oglądać telewizję w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego, *Perry Mason* jest zawsze *verboden* bez względu na okoliczności, lecz Madeleine nie dostarcza to tyle zdrożnej przyjemności, ile powinno, ponieważ panuje całkowite rozprężenie. Kiedy tata wrócił do domu z bezowocnych poszukiwań, matka sama włączyła jej telewizję i kazała siedzieć przed ekranem. Teraz rozbrzmiewa muzyka towarzysząca czołówce filmu, agresywna i seksowna, ale rodzice wciąż się naradzają przy stole kuchennym, nie bacząc na nic.

Madeleine wyłapuje końcówkę zdania wypowiedzianego przez matkę: -...nie pozbierają się z tego.

- Kto się nie pozbiera? - woła Madeleine z salonu.

- Nieważne, oglądaj telewizję.

Śledzi przygody Perry'ego Masona na polecenie matki. Świat zupełnie zwariował. Madeleine zwiija się w kłębek na kanapie, z poduszką pod brodą, i opanowuje przemożną chęć possania kciuka.

Perry, Paul, Della i dziewczyna do towarzystwa w siatkowych pończochach, z lśniąco włosami, siedzą w barze. Dziewczyna flirtuje z Paulem, przewraca rzęsami i

zadziera podbródek, żeby podkreślić swój ogromny biust. Przecież to Wielka Sobota, czy nikogo to nie obchodzi? Madeleine posyła tęskne spojrzenie w stronę kuchni, lecz jej rodzice pogrążeni są w rozmowie w zapadającej ciemności. Dwadzieścia pięć minut później dziewczyna do towarzystwa ginie i przenosimy się na salę sądową.

- Co ty do diaska oglądasz?
- Ale tato, *Maman* mi pozwoliła.
- *Maman* pozwoliła ci oglądać telewizję, a nie to.
- Już prawie koniec.
- Chcesz powiedzieć, że zdążyłaś wchłonąć prawie całą tę chałę?
- Zaraz się dowiemy, kto zabił.
- Ach tak - mówi tata, siadając na kanapie. - No to popatrzmy.

Oglądają, Madeleine wtulona w jego bok. Po dwóch minutach Jack oświadcza: - To ogrodnik.

Dwadzieścia minut później Perry wskazuje ręką mężczyznę o kościstej twarzy, który składa zeznania przed sądem, miętosząc w ręku kapelusz. - Udusił pan pannę Delaney węzem, który służył panu do podlewania ogrodu, a potem pozbył się pan narzędzia zbrodni w Fairment Country Club!

- Jak na to wpadłeś, tato? - pyta z podziwem Madeleine.
- Taki stary wróbel jak ja nie da się wziąć na plewy. A teraz marsz na kolację.

Rick zabrał siostry do kina na terenie placówki. Po filmie w drodze powrotnej zatrzymuje się przed hangarem nr 4, w którym urządzono ośrodek koordynacji poszukiwań, i każe im zaczekać chwilę.

Spogląda na powiększoną ścienną mapę okręgu Huron i widzi, że obszar, na którym prowadzono poszukiwania, został poszerzony o trasę jego środowej wyprawy. Rick zastanawia się, czy skierowane tam wysiłki policji nie pójdą na marne - wobec raczej nikłego prawdopodobieństwa, że któryś z lotników miał związek ze zniknięciem Claire. Ale z drugiej strony personel placówki liczy ponad tysiąc osób - Rick nie zna ich wszystkich. Nikt nie zna wszystkich tutejszych pracowników.

Wielka Sobota zapowiada się obiecująco. Madeleine, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, stara się wzbudzić w sobie żal, że *Maman* nie spędza jej razem z nimi; nie ma jej w domu, gdyż „dotrzymuje towarzystwa pani McCarroll”. Przykro byłoby powiedzieć to na głos, ale czasami więcej uciechy daje przebywanie z samym tatą.

Malują ugotowane na twardo jajka na świąteczne śniadanie, a potem wyprawiają się do

Exeter po smażone kurczaki do restauracji Dixie Lee. *Pachnące! Smaczne! Delikatne!*

Jack zostawia dzieciaki przy ladzie, żeby odebrały zamówione danie. - Zaraz wracam.

Jedzie główną ulicą, mija opustoszałe wesołe miasteczko na peryferiach i skręca do opuszczonej stacji kolejowej. Jest zabita deskami, między szynami wyrosło zielsko. Zajeżdża na tył. Ford galaxy stoi na swoim miejscu.

Szkoda, że nie może posłuchać rady Simona. Samochód trafi pewnie na licytację. W wielkim mieście, takim jak Nowy Jork, już dawno zostałby ukradziony lub co najmniej ogołoceny. Ale to Exeter - tutaj przestępczość nie kwitnie. Wracając, Jack przypomina sobie o dziewczynce McCarrollów i zmienia zdanie.

Miary radości dopełnia, kiedy Mike na koniec dnia zawiązuje sznurek wokół luźnego zęba Madeleine, drugi koniec wokół gałki w drzwiach swego pokoju, a potem zatrzaskuje drzwi.

- *Voilà!* Wart co najmniej dziesięć centów! - oświadcza, wręczając jej wiszący na sznurku zakrwawiony ząb.

Mimi czeka na Karen Froelich, nie chce zostawiać Sharon McCarroll samej. Wkrótce się ściemni. Potrawa, którą przyniosła, stoi nietknięta w piekarniku. Nie zdołała namówić Sharon, żeby coś przegryzła, lecz ma nadzieję, że Blair coś przekąsi po powrocie do domu z dzisiejszych poszukiwań. Nie wolno dopuścić, żeby powszedniość zakradła się do opisu takich zjawisk, oswajała je - „po powrocie do domu z dzisiejszych poszukiwań”. Jakby stanowiło to codzienne zajęcie Blaira McCarrolla.

Steve Ridelle zapisał Sharon leki, które Elaine zaniosiła jej, idąc na „dyżur”. Na razie trzy dawki. Lepiej, żeby nie miała więcej pod ręką. Mimi widziała fiolkę na umywalce w łazience - valium.

- Czyni cuda - powiedziała jej Elaine.

Mimi zmniejsza temperaturę w piekarniku i nagle rozlega się pukanie do drzwi. Kłuje ją w sercu, kiedy widzi, jak oczy Sharon rozbłyskują nadzieją, która gaśnie, gdy drzwi się otwierają i w progu ukazuje się Karen Froelich. Mimi przed odejściem zamienia z nią kilka słów i ściska jej rękę - nadal uważa, że Karen nie jest osobą, którą wybrałaby na przyjaciółkę, ale jak powiada Jack, różni ludzie chodzą po świecie. Chmury już się przecierają na niebie, odsłaniając jedną czy dwie gwiazdy, ale mimo to panują gęste, nieprzeniknione ciemności. Mimi idzie w stronę oświetlonych okien swego domu. Blair McCarroll powinien już wracać. Nie sposób prowadzić poszukiwań w takich warunkach.

Na widok Mimi Jack wstaje z kanapy i mówi: - Przejdę się do bazy. Policja zawiesiła

akcję do poniedziałku. Blair jest załamany.

Madeleine siedzi przy biurku Mike'a pod oknem. Mike, na łóżku, usiłuje przywiązać piłkę baseballową do nowej rękawicy. Pozwolił siostrze nalepić kalkomanię na model bombowca typu Lancaster i ostrzegł ją, żeby nie wdychała oparów kleju modelarskiego. Madeleine wacha go ukradkiem i zakręca wieczko, po czym wbija wzrok w karbowany dziób lancastera. Ojciec latałby takim, Madeleine wyobraża go sobie, jak siedzi za sterami w tym maleńkim kokpicie z plastikowymi okienkami. Podnosi samolot i kiedy bawi się nim przy oknie, dostrzega ojca idącego do samochodu. - Tata wychodzi - oznajmia.

To znaczy, że wróciła *Maman*. Madeleine nagle przypomina sobie, że miała się wykapać. W drodze do łazienki przystaje, gdy dociera do niej odgłos tak dziwny, że mija chwila, nim Madeleine uzmysławia sobie, co to jest. *Płacz Maman*.

NIEDZIELA WIELKANOCNA

Rano pod poduszką Madeleine nie ma pieniędzy, jest tylko ząb, z rozgałęzionym korzeniem. Madeleine nie wypomniała tego rodzicom; skarżenie się na Zębową Wróżkę, gdy zając wielkanocny przeszedł samego siebie, byłoby z jej strony czarną niewdzięcznością. Ona i Mike odnaleźli wszystkie ukryte czekoladowe jajka, tata został zwycięzcą w bitwie z udziałem ugotowanych na twardo jajek. Madeleine obgryzła uszy czekoladowemu zającowi, delektując się wybornym smakiem po długiej przerwie, odkąd z powodu ćwiczeń wyrzekła się we wrześnie czekolady. Tego ranka przez mękę i zmartwychwstanie Pana Naszego Jezusa Chrystusa czekolada została odkupiona wraz z duszami wierzących.

Mike zajada głowę świątecznego koguta, kiedy dzwoni telefon. Mimi podnosi słuchawkę i chwilę później Madeleine widzi, jak matka opada na kuchenne krzesło, przynosi spojrzenie na nią i na Mike'a w salonie i wykonuje ręką ruch, jakby odgradzała ich niewidzialną kotarą. Mike zastyga, z wzniesioną do ust ręką z czekoladowym dziobem, a Madeleine odrywa kawałek zająca i pochłania go; cukier zagłuszył jej system ostrzegawczy.

- Kiedy? - pyta matka rozmówcę po drugiej stronie linii.

Jack staje przy niej, Mimi podnosi głowę, a on pochyla się i otacza ją ramieniem, zasłaniając przed wzrokiem dzieci. Po chwili wkracza dziarsko do salonu. - Idźcie przebrać się do kościoła.

Posłusznie wędrują na górę. Madeleine zastanawia się, co jest nie tak. Mieli przecież zachować post jeszcze przez godzinę przed mszą, ale *Maman* zapomniała o tym. Madeleine zlizuje roztopioną czekoladę z dłoni i zbiera siły duchowe, żeby znieść udrękę paradowania w drapiącej i uwierającej sukience z tiulu, do tego jeszcze w kapelusiku.

Madeleine jest przekonana, że coś zbroiła, kiedy *Maman* oświadcza jej po mszy: - Ojciec chce z tobą porozmawiać.

W samochodzie Mike wyraźnie unika jej spojrzenia. W milczeniu studiuje talię kart z asami baseballu. Madeleine wpatruje się w tył ojcowskiej głowy w oczekiwaniu na jakiś znak, ale ojciec siedzi nieporuszony. Równie nieprzenikniony jest biały czepek *Maman* z szarymi różami z jedwabiu.

Mike trąca ją w bok. Trzyma w ręku nowiuteńką kartę, jeszcze przyproszoną pyłkiem od gumy do żucia - Roger Maris z pałką, zdjęcie jest podpisane przez niego własnoręcznie. Mike kiwa do niej głową - *weź, jest twoja*. Madeleine waha się, nie dowierzając, potem bierze kartę. Mike odczekał cały rok, zanim otworzył tę paczkę gum. Jest złota. Teraz należy do niej. Dlaczego?

Wjeżdżają na podjazd i w Madeleine budzi się niepokój. Mike i *Maman* wchodzą do domu, a tata zostaje na dworze i mówi: - Chodźmy na mały spacer.

To może oznaczać tylko jedno, uświadamia sobie Madeleine, wysiadając powoli z samochodu. Rodzice dowiedzieli się o panu Marchu. Sądziła, że to zamierzchnia przeszłość, wydawało się, jakby to był sen, a oto powraca do niej w całej swej odrażającej okazałości. Odnaleźli Claire McCarroll, a ona wszystko wygadała. Madeleine już wie, dlaczego Claire uciekła. Kiedy pan March wybrał ją na zajęcia wielkanocnego, bała się, że znów będzie musiała zostawać na ćwiczenia. A Madeleine wie, że Claire w ogóle nie trafiłaby do grupy ćwiczących dziewczynek, gdyby Madeleine się z niej nie wyrwała. To wszystko jej wina. Czuje, jak w środku cała rozpływa się jak czekolada, uda nagle zaczynają jej ciążyć. Podnosi wzrok na ojca, bierze jego rękę w drobną dłoń odzianą w białą rękawiczkę i mówi: - Dobrze.

Są tacy uprzejmi i cisi - zostanie odesłana, innego wyjścia nie ma. Jak mogliby żyć z nią pod jednym dachem po tym, co zrobiła? Wyrzekną się jej. Madeleine idzie z ojcem za rękę ulicą St. Lawrence Avenue w kierunku Columbia Drive.

Powietrze jest rześkie, lecz Madeleine w swojej zbroi z tiulu w kolorze łososiowym, w kapelusiku zawiązanym pod brodą, płonie i przeżywa katusze, jakby całej jej ciało ugniatała od środka warstwa rzepów.

W takim stroju zabierze ją Pomoc Dzieciom. Słońce razi, tak jaskrawe, że nie ratuje

przed nim nawet mrużenie oczu, budynki bazy po drugiej stronie drogi okręgowej wydają się olśniewająco białe, niczym pokrywa śnieżna w górach. Ojciec zakłada okulary.

- Może pójdziemy na lądowisko? - pyta.

Kiedy macocha Królowy Śnieżki chciała się jej pozbyć, odprawiła ją z drwalem z toporem w rękę. „Przynies mi z powrotem jej serce”, zażądała królowa. Lecz kiedy doszli do lasu, drwal zlitował się nad Królową Śnieżką i zostawił ją w lesie. Przyniósł niegodziwej królowej serce jelenia.

- Zgoda - mówi Madeleine.

Maman powiedziała: *Zaprowadź ją na lądowisko. A potem? Wsadź ją do samolotu.* Przecinają drogę okręgową. Przy bramie wronie gniazdo, wciąż tkwiące na słupie, jeży się w słońcu. Jest nieco przeredzone, ale niewiele ucierpiało wskutek zimy; po środku sterczy bezceremonialnie zardzewiały pysk syreny. Po przeciwnej stronie stary spitfire odbija płatom słońce.

Madeleine wchodzi w cień jego skrzydeł. - Jestem zmęczona - oznajmia.

- Nie musimy iść aż na lądowisko - stwierdza ojciec.

Madeleine czuje ulgę. Więc nie zamierzali odsyłać jej samolotem. Siada na trawie, opierając się plecami o cokół.

- Madeleine - mówi ojciec. - Musimy porozmawiać o Claire McCarroll.

Madeleine spuszcza wzrok. Kapią jej łzy. Miała rację, dowiedzieli się. Wiedzą o haczykach na płaszcze i o ćwiczeniach, o wszystkich jej okropnych uczynkach. Tyle ich się uzbierało, że nie można jej tego wybaczyć. Jej dłonie lepią się, korci ją, żeby usunąć z nich tę przykrą woń, wessać ją, zanim dotrze do nosa ojca.

- To moja wina, że ją wybrał - mówi ledwie słyszalnym głosem.

- Co? - pyta Jack. - Kto? - Kuca przy swojej córeczce. Ona nie patrzy mu w oczy. Jest roztrzęsiona. Musi się domyślać, co ma jej do przekazania.

- Dlatego napisałam ten list.

- Jaki list?

- *Jako Żywa Tarcza. Żeby ją ratować.*

Jack lekko potrząsa głową. Mała żyje w swoim własnym świecie, świecie niewinności. A on zaraz go zburzy. Nie wie, jak wyrazić to, co musi jej powiedzieć.

Przemawia do niej najłagodniej, jak potrafi: - Madeleine, Claire McCarroll spotkało coś złego.

Madeleine kiwa głową i zaczyna szlochać: - Wiem. Żal mi jej.

Jack głaszcze ją po głowie. - Nie trzeba, kochanie.

Madeleine mówi coś, ale Jack nie rozumie jej słów, zagłuszonych przez szloch.

- Posłuchaj, Madeleine.

Jack żałuje, że nie ma z nim Mimi. Madeleine płacze. Głowę oparła o kolana, jej ciałem wstrząsa boleść.

- Madeleine.

- Prze...pra...szam... tatusiu - wyrzuca z siebie, targana czkawką.

Jack bierze w dłonie jej twarz, lśniąca od łez i śluzu.

- Nie masz za co przepraszać, stary druhu.

Trzymając ją za brodę, sięga do kieszeni po chusteczkę. Wyciera jej twarz.

Nacisk ojcowskiej dłoni, tarcie chusteczki działają na nią kojąco. Podsuwa jej chusteczkę, Madeleine wydmuchuje nos, w środku cała obolała, ale już spokojniejsza.

- Posłuchaj - mówi ojciec. - Claire nie żyje. Płacz urywa się nagle.

Jack czeka. Córka spogląda na niego z rozchyłonymi ustami. Oddałby wszystko, żeby oszczędzić jej tej prawdy o okrutnym świecie, która spada na nią w tak młodym wieku.

- Tato? - pyta Madeleine.

- Tak, stary druhu? - Ma już przygotowaną odpowiedź. Zdaje sobie sprawę, że nie uchroni jej przed tym, jutro w porannych wiadomościach dowie się o tym cały kraj. Ale przynajmniej może wybrać słowa, w jakich jej to przekaze. *Claire została uprowadzona przez szaleńca. Została zabita.*

- Wracamy już do domu? - pyta Madeleine.

Jack przygląda się jej przez chwilę, żeby się upewnić, ale mała najwyraźniej doszła do siebie. Chyba dobrze, że usłyszała to od własnego ojca. Postanawia pominąć na razie resztę szczegółów. Jutro rano będzie na to czas. Poza tym Mimi będzie na miejscu, żeby ją pocieszyć.

- Jasne.

Jack wstaje, chowając chusteczkę do kieszeni.

Przechodzą przez drogę okręgową, kierując się z powrotem do SKR-ów.

- Jestem głodna jak wilk - oświadcza Madeleine, biorąc go za rękę.

Jack poklepuje ją po głowie. Ach te dzieciaki. Spływa po nich jak po kaczce. Dzięki Bogu.

Wchodząc za ojcem po schodkach i przez drzwi frontowe, Madeleine ma wrażenie, jakby wracała do domu po długiej nieobecności. W jadalni stół jest już nakryty do

niedzielnego późnego śniadania. Jajka na bekonie, naleśniki i syrop klonowy, krwawa kiszka dla taty. Nigdy jeszcze nie czuła takiej radości z powrotu do domu.

- Coś tu smakowicie pachnie! - stwierdza.

Ale *Maman* i Mike milczą, oczywiście, przecież ktoś umarł, przypomina sobie Madeleine, muszą być cicho. Ale i tak jest głodna, i szczęśliwa: prawda o ćwiczeniach z panem Marchem nie wyszła na jaw. Zajmuje miejsce przy stole, czuje się czysta i świeża jak obrus świąteczny.

Dołącza do niej reszta rodziny, lecz chwilę po tym, jak *Maman* nałożyła mu jedzenie, Mike pyta: - Czy mogę odejść?

Rodzice patrzą po sobie współczującym wzrokiem i ojciec kiwa głową. Mike wstaje od stołu i całuje matkę. - *Merci maman, j'ai pas faim.*

Idzie na górę do swojego pokoju.

- Mogę dostać bekon z jego talerza? - pyta Madeleine.

Matka posyła jej karcące spojrzenie, lecz ojciec oświadcza: - Jasne, najedz się, skarbie. I przekłada bekon.

Wcześniej tego dnia, o szóstej rano, zanim jeszcze się rozwidniło, Rick wyszedł pobiegać z Reksem. Zdążyłby wrócić do domu na ósmą, żeby poszukać jajek z dziećmi. Potem prysznic i migiem do domu Marshy, na świąteczne śniadanie. Szybko zostawił za sobą SKR-y i skierował się drogą okręgową na południe; Rex przez cały czas pędził kłusem u jego boku.

Pora na bieg była znakomita: świat przesiąknięty trzydniowym deszczem, wschodzące odślonięte słońce, cała okolica parująca jak wełniany koc. Rick przeciął skrzyżowanie przy wierzbie; błoto przyskało mu spod butów, pstrząc jego nagie łydki, sklejjąc Reksowi sierść na brzuchu.

Rick wcale jej nie szukał, po prostu wyszedł pobiegać.

Kiedy dotarł do kamieniołomów, słońce kładło się na stawie delikatną mgiełką, niczym welon, z wyjątkiem środka, gdzie światło migotało wyraziście na ostatniej cienkiej powłoce lodu; woda tam, ciemniejsza i bardziej połyskliwa, odcinała się od reszty stawu, który już jaśniał w otoczce wczesnego lata, z owadami śmigającymi po powierzchni. Jeszcze za zimno na pijawki. Doskonale.

Zdjął koszulkę, ściągnął obcięte džinsy i tenisówki, i wskoczył do wody.

Wstrząs towarzyszący czystemu doznaniu życia - Rick wydał głośny okrzyk i młócąc wodę, obrał kurs na środek stawu. Rex tymczasem okrążył staw, znalazł dogodny zejście po

przeciwnej stronie i zsunął się do wody; chlapiąc i rozgarniając wodę łapami, zmierzał na środek, na spotkanie z panem. Rick dotarł na skraj kruchej skorupy. Wiedział, że nie wolno za długo przebywać w zimnej wodzie. Wpłynął żabką w lodową powłokę, pruł niczym lodołamacz, broda służyła mu za dziób; lód rozstępował się przed nim jak zasłona, połyskiwał za nim z tyłu jak powłóczysta szata.

Rex, dysząc, pływał w kółko, nadgryzając lód, znacząc łapami świetliste smugi. Rick przekreślił się na plecy, zmrużył oczy przed słońcem, rozpostarł ramiona i zrobił orła w trzaskającej wodzie. Potem wygiął się do tyłu i zanurkował, żeby nie zniszczyć nakreślonego na powierzchni zarysu. Wypłynął na powierzchnię kilka metrów dalej. Głowa Reksa obracała się na wszystkie strony niczym peryskop, wypatrując Ricka. Pies dojrzał go i rzucił się ku niemu ze skomleniem, a Rick ruszył potężnym kraulem do brzegu.

Ramiona mu mdlały, zamiast dłoni jakby miał cegły, zamiast barków odporne zawiasy, kiedy złapał się kawałka skały i wydzwignął na brzeg. Rex u jego boku ociekał wodą, przemoczoną sierść pokrywały drobinki lodu, jego postać jakby się skurczyła. Rick podniósł się, całe jego ciało płonęło z zimna. Dostrzegł na środku stawu swojego orła, unoszącego się na powierzchni, pęczniejącego; jedno skrzydło przesunęło się wyżej. Jakby machał.

Wbił stopy w tenisówki, naciągnął spodenki, chwycił koszulkę i razem z Reksiem wspinał się po poszarpanym zboczu kamieniołomu. Płuca rozciągnęły mu się niczym trawiasty przestwór prerii, piekł go każdy por skóry na czaszce. Rick zaczął truchtać i podskakiwać w miejscu, niczym bokser. Rex podskubywał mu ręce, warcząc, oddając ciosy.

Rick odwrócił się i pobiegł na grudowate pole porośnięte przygniecioną trawą i młodymi pędami, kierując się w stronę lasu. Lawirując między drzewami, wydostanie się na ugór, potem pobiegnie wzdłuż nowo założonego pola kukurydzy, które przylegało do Rock Bass, tam dobieje do drogi prowadzącej z powrotem do SKR-ów.

Biegł, wymachując rękami, w których wciąż czuł mrowienie, naciągając sobie twarz, z lubością śmigając przez witki siekące po łydkach, przedzierając się przez splątane gałęzie napierające na twarz, omijając kamienie i wiatrołomy.

Nie dotarł jeszcze do skraju lasu, gdy zobaczył, że pędzący z przodu Rex staje jak wryty na łące i z zapalem zaczyna obwąchiwać usypany z roślin stos. Pod rozłożystym wiązem. Ricki zwolnił. Z odległości około ośmiu metrów dojrzał jej rękę, rąbek błękitnej sukienki wystający spośród sitowia i zeschniętych polnych kwiatów. Zbliżał się, oddychając płytko przez usta, sapiąc niemal; wiedział, że ona jest martwa. Ale nie mógł się oprzeć, to było jak odwieczny zew natury, potrzeba pewności. Jakaś jego część już gnała na przełaj przez podmokłe pole, ale zbyt nikła i ulotna częśćka, żeby dobiec daleko. Podszedł bliżej.

Była martwa. Coś przykrywało jej twarz. Łachman. Słyszał cichy szloch - swój własny oddech, kiedy pochylił się, podniósł szmatę i opuścił ją.

Rex zaczął czekać.

Mimi wyjmuje szynkę z piekarnika i kładzie ją skwierczącą na metalowym trójnogu. Uciera ciasto w makutrze na podokiennym blacie. Widzi radiowóz policyjny zajeżdżający pod dom Froelichów. Odstawili Ricky'ego do domu. Najwyższy czas. Chłopak w jego wieku nie powinien mieć za dużo do czynienia z takimi okropnościami. To Steve Ridell zawiadomił McCarthych, że Ricky Froelich znalazł ciało. Mimi przeszła się do McCarrollów, żeby posiedzieć z Sharon, lecz Sharon uparła się, że pojedzie z mężem do Exeter na rozpoznanie zwłok. Policja postanowiła, że nie będzie wszczynać postępowania przeciwko Blairowi: wczoraj wieczorem złamał komuś nos, kiedy dowiedział się, że odwołują poszukiwania.

Chłopak Froelichów wysiada z samochodu, unosi rękę na pożegnanie, potem odwraca się i wchodzi do domu ze zwieszoną głową. *Pauvre p'tit.*

Madeleine jest w tym czasie u Colleen. Zbudowały razem fort z klocków lego. To dziwne, że gdy u Froelichów bywała też Claire, Madeleine ledwo zauważała jej obecność. Natomiast teraz, po jej śmierci, Madeleine nieustannie spodziewa się ją ujrzeć, gdy tylko się odwróci, a gdy jej nie widzi, ma wrażenie, jakby po Claire pozostała pusta przestrzeń, niczym po wyrwanej stronie. Gdzie podziewa się Claire? To niemożliwe, że już nigdy nie będzie bawić się klockami lego na dywanie u Froelichów.

Zjawia się Ricky i od razu idzie na górę do swojego pokoju. Colleen wyjaśnia Madeleine dlaczego: „Widział jej zwłoki”. Wkrótce potem Madeleine wraca do siebie. Do domu Froelichów zawitała śmierć. Ciemność i zapach minionej jesieni, czego Madeleine właściwie nie potrafi wytłumaczyć - zapach wstydu, jakby bycie martwym było najwstydlivszą sprawą pod słońcem. Madeleine musi jak najszybciej wrócić do swej własnej czystej rodziny.

Policja przyjechała po Ricka o dziewiątej rano, pół godziny po tym, jak ojciec w jego imieniu zgłosił znalezienie zwłok. Chłopak był blady jak płótno i ojciec chciał mu towarzyszyć, gotów był pojechać za radiowozem swoim starym kombi, ale policjanci mu odradzili: - Proszę pana, niewykluczone, że udajemy się na miejsce zbrodni. Im mniej osób, tym lepiej.

Henry Froelich zrozumiał, lecz kiedy wszedł do domu, Karen się zdziwiła.

- Myślałam, że jedziesz z Rickim?

Rick siedział na tylnym siedzeniu radiowozu. Radio zatrzeszczało i kierowca, posługując się cyfrowym kodem, nadał informację, że właśnie skręcili z drogi okręgowej na zachód i zmierają ze świadkiem na miejsce oględzin.

Kiedy dotarli do dziury w ogrodzeniu, doleciało ich wycie syreny. Rick dojrzał w bocznym lusterku nadjeżdżający radiowóz i jeszcze jeden samochód, nieoznakowanego forda. Za nimi nadjechała furgonetka, błyskając czerwonym światłem.

Poprowadził ich do wąwozu, w dół zbocza i przez strumień, obok klonu, do góry po przeciwległym stromym stoku, między brzdami kielkującej kukurydzy, na łąkę, i przystanął niemal pod samym wiązem.

Wskazał ręką i nagle zrobiło mu się słabo. Przysiadł na pośladkach i zwiesił głowę między kolanami. Zostawili go i ruszyli w stronę ubranka przysypanego uschniętymi dzwonekami i zeszłorocznym sitowiem.

Kiedy Rick otworzył oczy, ujrzał przed sobą parę ciężkich czarnych półbutów. Podniósł wzrok. Stał przed nim ubrany po cywilnemu mężczyzna w beżowym prochowcu i kapeluszu. Ostre rysy twarzy, szczupła sylwetka, ale sprawiająca wrażenie ciężkiej. Jak stalowy pręt.

- Jestem inspektor Bradley, Rick.

Rick wstał, uściśnął mu rękę, zataczając się, odszedł na stronę i zwymiotował.

Inspektor przyglądał mu się. Ten chłopak ostatni widział zaginioną. Ten chłopak znalazł zwłoki, czego nie zdołała dokonać armia poszukiwaczy w mundurach, policjantów i lotników. Nie świadczyło to, że chłopak jest winny, ale z pewnością warto było go przesłuchać.

Rick wrócił i przeprosił.

Policja odgradzała teren. Na miejsce dotarł doktor Ridelle. Rick patrzył, jak pochyła się pod drzewem, żeby się przyjrzeć, a potem kiwa twierdząco. Mężczyzna w trenczu zaczął fotografować i kazał Rickowi się przesunąć. Potem zjawił się lekarz sądowy i wszyscy się cofnęli.

Rick poszedł za inspektorem do nieoznakowanego samochodu i usiadł z przodu. Bradley poczęstował go papierosem, ale Rick odmówił; jest sportowcem, rzucił palenie w wieku dwunastu lat. Ale trząsł się cały i nie mógł się uspokoić, więc w końcu poprosił inspektora o papierosa. Nikotyna ukoiliła jego nerwy. Jak za dawnych czasów.

Opowiedział inspektorowi to, co wcześniej mówił innym policjantom. Bradleya szczególnie zainteresował ten buick. „Ford”, poprawił go Rick. Chętnie zgodził się na propozycję inspektora, żeby porozmawiali w zaciszu jego wygodnego gabinetu na posterunku

w Goderich.

Rick czekał już ponad godzinę w pomieszczeniu z gołymi, pomalowanymi na zielono ścianami, pieszcząc w rękach butelkę coca-coli, zanim pokazał się inspektor i kazał powtórzyć wszystko w obecności stenografa.

Rick po raz kolejny opowiedział całą historię, coca-cola wżerała się w jego pusty żołądek i to właśnie głód przypomniał mu o domu.

- Proszę pana, powinienem zawiadomić rodziców.

- Nie martw się, zadzwonimy do nich. Jaki to numer?

Inspektor Bradley i stenograf wyszli i Rick został sam. Na kolejne pół godziny. Wreszcie zajął do niego, żeby się przywitać, znajomy policjant, ten rozmowniejszy, który siedział obok kierowcy. Ciekaw był szczegółów dokonanej przez Ricka odkrycia i chciałby posłuchać, „jeśli nie masz nic przeciwko temu”. Więc Rick zaspokoił jego ciekawość. Gliniarz zapytał, czy Rick od tamtej środy widział gdzieś tego chevroleta.

- Forda. Nie, proszę pana. Nie wie pan, czy ktoś dzwonił już do moich rodziców?

- Chyba tak, do licha. Pójdę sprawdzić.

Wrócił po pięciu minutach. - Jesteś wolny, chłopcze. Zawiozę cię do domu.

W całych SKR-ach matki kontaktowały się osobiście lub telefonicznie, zapewniając jedna drugą, że będą wyglądały przez okna, śledziły poczynania każdego dziecka jak własnego. Ojcowie postawili sprawę jasno, a dzieciaki słuchały grzecznie, jaka procedura postępowania obowiązuje aż do odwołania. Nie wolno tracić swojego rodzeństwa z pola widzenia. Jeśli jedno dziecko odwiedza drugie, zaraz po przyjeździe do obcego domu musi zadzwonić do swoich rodziców i drugi raz tuż przed wyjściem. „Nawet jeśli jest to tuż po drugiej stronie ulicy”. Powrót do domu ze szkoły natychmiast po dzwonku, żadnych zabaw na dworze po zmroku, a przede wszystkim nie wychodźcie poza teren SKR-ów.

- Chcieli się tylko dowiedzieć, jak na nią trafiłem, i pytali o ten dzień, kiedy się rozdzieliliśmy na skrzyżowaniu - mówi Rick.

Karen zdołała przekonać syna, żeby zszedł na dół i coś zjadł. Dołącza do nich Colleen, wciskając się w krzesło między ścianą a stołem kuchennym.

- To nic takiego, mam. Powiedziałem im, co widziałem.

- Po to trzymali cię tam cztery godziny? - pyta Henry. Przez całe popołudnie wydzwaniał na posterunek w Goderich, ale durny policjant, który miał akurat dyżur, musiał

być chyba głuchy, niemy i ślepy.

- Powtarzałeś im to już z pięćdziesiąt razy - stwierdza Karen.

- Głównie siedziałem tam sam i gapiłem się w pustkę, mamó, oni są strasznie zapracowani.

- *J'mi fi pa a ci batar la* - wtrąca Colleen.

Rodzice puszczaają mimo uszu przekleństwo, lecz Rick karcii siostrę: - *Sacripa a la table*.

- Więc co takiego chcieli wiedzieć? - pyta Karen.

Widząc zatroskanie rodziców, Rick stara się zbagatelizować całą sprawę. - Dali mi coca-colę i gadało się o tym i owym dla zabicia czasu, aż zjawił się szef.

Uracza rodziców drobiazgową relacją z przebiegu przesłuchania. Na wzmiankę o niebieskim fordzie galaxy z wgniecionym zderzakiem i żółtą nalepką ojciec zapada się w krzesło i potrząsa głową, zaciskając kilka razy powieki.

- Co ci jest, Hank? - pyta Karen.

- Karen, to ten człowiek - samochód człowieka, którego zobaczyłem w hali, to jego samochód.

Jack dzwoni na nocny numer Simona. Żadnego przełączania, żadnych ugrzecznionych pośredników, od razu Simon.

- Chryste - mówi, kiedy Jack przekazuje mu wiadomości. Westchnienie. - A nasz przyjaciel?

- Zdrów jak ryba.

Przez oszkloną ścianę widać zimny księżyc wysoko na niebie. Córka McCarrolla żyłaby, gdyby jej ojciec nie został tu przeniesiony.

- Jack, jesteś tam, stary?

- Słucham cię.

- Na nic teraz się nie zda wtajemniczenie zrozpaczonego ojca. McCarroll nie wie, dlaczego dostał przydział do Centralii. I nigdy się nie dowie.

WIELKANOCNY PONIEDZIAŁEK

Inspektor Bradley przyjął gościa w swym wygodnym gabinecie, zaproponował mu

kawę i poprosił, żeby spoczął.

- Może papierosa, panie Froelich?

- Nie, dziękuję.

Bradley zapala papierosa i zaciąga się. Facet jest wyraźnie wzburzony; jego syna przetrzymali na posterunku kilka godzin i odesłali do domu głodnego i wystraszonego - na pewno w środku kipi z wściekłości. Ale Bradley gotów jest okazać wyrozumiałość.

Henry siedzi sztywno wyprężony. - Inspektorze Bradley, przychodzę, ponieważ mam informację na temat mordercy grasującego w tej okolicy.

- W związku z jaką sprawą? - pyta Bradley, mrugając.

- Z jaką...? No z tą, tego dziecka, Claire.

- Uważa pan, że została zamordowana?

Froelich jest zaskoczony. Próbuje odpowiedzieć, ale Bradley mu przerywa: - Pański syn to panu powiedział?

- Znalazł ją na polu, tak? - mówi z wahaniem Froelich. - Policja...

- Nie mamy jeszcze orzeczenia lekarza sądowego.

- ...A pan myśli, że to wypadek?

Inspektor milczy.

Henry kiwa głową. - Rozumiem. Nie wolno panu niczego ujawniać. W końcu kim ja jestem? Ale mówię panu, na własne oczy widziałem mordercę.

Bradley nie daje poznać po sobie przejęcia. - Kogo pan widział?

- Hitlerowca... zbrodniarza wojennego.

- Zbrodniarza wojennego? - Bradley sięga po długopis. - Jak on się nazywa?

Ton Froelicha zdradza, że odpowiedź jest oczywista. - Nie znam jego nazwiska.

- A skąd pan wie, że to zbrodniarz wojenny?

- Bo jestem... byłem więźniem.

- Gdzie?

- Najpierw w Auschwitz, potem w Dorze...

- Dora? Nic mi to nie mówi.

- To nazwa fabryki.

- Twierdzi pan, że widział tego człowieka w tej okolicy?

- Tak, tak, to właśnie panu mówię.

Froelich pochyla się do przodu, jest roztrzęsiony. Opowiada inspektorowi o tym, że widział, jak ten mężczyzna wsiadł do niebieskiego forda galaxy przed halą targową w Londynie, jak wycofując, uderzył w parkometr, a potem odjechał w siną dal. Opowiada o

żółtej nalepce, o częściowo odcyfrowanym numerze rejestracyjnym, łapie oddech, a policjant skrzątnie to zapisuje.

- Mój syn widzi ten sam samochód tamtego popołudnia, kiedy to dziecko ginie... zaginęło. - Froelich ma trudności z gramatyką angielską. - *Ist klar* teraz, *ja*?

- Pana syn twierdzi, że za kierownicą siedział lotnik z tutejszej bazy. Widział jego kapelusz.

- Tak... i tego właśnie nie rozumiem... może to inny kapelusz, nie?

- Pana syn był co do tego pewny. Powiedział, że kierowca mu pomachał.

- Może... jest ich dwóch.

- Lotnik i hitlerowiec używają tego samego samochodu?

Froelich potrząsa głową, opuszcza wzrok.

- A w ogóle co zbrodniarz wojenny robiłby w Kanadzie?

- Ach, są ich tutaj tysiące - mówi Froelich, podkreślając słowa gestem ręki.

Bradley oblizuje dolną wargę i odkłada ołówek. Froelich zmienia ton. Nie chce stawiać w wątpliwym świetle swych informacji przez wygłaszanie obraźliwych uwag pod adresem rządu Kanady i jej służb stojących na straży prawa. - W niektórych przypadkach pomija się może niechlubną przeszłość wojenną, ponieważ potrzeba naukowców.

- Z jakiej dziedziny?

- Fizyki atomowej czy silników raketowych, na przykład ten człowiek...

- Nie wiedziałem, że w Kanadzie prowadzi się badania nad lotami w kosmos.

- Mamy przecież energię nuklearną, wzbogacony uran...

- Dlaczego nie zgłosił pan tego od razu?

Froelich starannie dobiera słowa. - Ponieważ uważam, że przebywa tu... na takich zasadach jak inni. Przyjął obywatelstwo kanadyjskie. Więc jaki sens? Zresztą to minione dzieje. Ja - szuka odpowiedniego wyrażenia - ich nie rozpamiętuję.

Bradley przygląda się swojemu rozmówcy, blademu, z rozwichrzoną bujną brodą. Oczy ma nabiegłe krwią, ubranie wymięte. Zaglądał do kieliszka?

Ręce Froelicha są jak bryłki lodu, ale wstąpiła w niego nadzieja. Inspektor okazuje zainteresowanie, a możliwość, że w sprawę zamieszany jest lotnik, nadaje jej sensowniejszy charakter.

- Zaraz po wojnie Brytyjczycy i Amerykanie często wyławiali w obozach dla dipisów - przesiedleńców, *ja*? - uchodźców starających się o wyjazd do Kanady. Chociaż mieli na sumieniu przestępstwa wojenne, byli cennym źródłem informacji wojskowych, wielu było silnych i zdrowych, tych nagradzano pozwoleniem na osiedlenie się w Kanadzie.

- Skąd pan o tym wie?

Henry stara się nie dopuścić wzburzenia do głosu. - Ja też byłem uchodźcą. Staram się o wyjazd do Kanady, ale mi nie pozwalają.

- Dlaczego?

Henry wzrusza ramionami. - Jestem Żydem. Mam za dużo lat, za wysokie wykształcenie. Nie potrafię ścinać drzew, obsługiwać maszyny do szycia. Straciłem rodzinę, a władzom zależy przede wszystkim na antykomunistach...

- A pan popiera komunizm?

- *Nein, nein*, jestem Kanadyjczykiem. Chodzi mi o to, że władze czasami chętniej widzą kogoś o poglądach faszystowskich niż socjalistycznych...

- A pan ma poglądy socjalistyczne?

- Przecież żyjemy w socjalistycznym państwie.

Bradley zachowuje powagę.

- Jedynie komuniści przeciwstawili się Hitlerowi, kiedy...

- I Kanada. My też się przeciwstawiliśmy.

- *Ja, genau*, Kanada, *natürlich*, ale początkowo... Inspektorze Bradley, walczył pan na wojnie?

- Ma się rozumieć.

- W takim razie obaj wiemy, że niczego nie należy brać za pewnik.

Bradley milczy. Na końcach wąsów jego rozmówcy zebrały się kropelki śliny. Bradley czuje jego oddech - paskudny. Wreszcie pyta: - Może pan opisać jego wygląd?

- Zwyczajny. Miał na sobie brązowy garnitur.

Długopis w ręku inspektora ani drgnie. Froelich wyteża pamięć, szukając konkretów.

- Okulary. Jasne oprawki. Wiek około sześćdziesięciu lat, raczej niewysoki. Siwe włosy. *Ja*, siwe. I rzadkie. Chudy.

- A oczy?

- Jasne... chyba niebieskie.

- Dziękuję panu za wizytę.

Froelich z ociąganiem wstaje z krzesła. - Panie inspektorze, musi pan zwrócić się do dowódcy - Woodley to zacny człowiek - musi pan ustalić, czy znają tego osobnika. To sadysta, widać, że sprawiało mu przyjemność, rozumie pan? Źle się stało, że nie zgłosiłem tego wcześniej.

Bradley odprowadza go do drzwi, a potem kończy spisywać notatkę z przesłuchania świadka nazwiskiem - sprawdza pisownię na sporządzonym na maszynie do pisania raporcie -

Froelich. Zapala papierosa marki John Player's i obmyśla następne posunięcie. Już wcześniej zarządził sprawdzenie wszystkich fordów galaxy model 1963 zarejestrowanych w Ontario, a teraz dzięki numerom podanym przez Froelicha można zawęzić zakres poszukiwań. Bradley otrzyma raport lekarza sądowego jutro rano, lecz patolog już orzekł, że zgon nastąpił w zeszłą środę między czwartą a piątą po południu. W tym czasie chłopak podobno widział ten samochód.

Są trzy możliwości. Froelich mówi prawdę i tutejszy lotnik jest, świadomie lub nie, współnikiem zbrodniarza wojennego, którego samochód widziano w pobliżu miejsca zbrodni w czasie, kiedy zostało popełnione morderstwo. Albo Froelichowi coś się przywidziało - jest Żydem, który przeszedł obóz zagłady, może nie pierwszy raz wmówił sobie, że rozpoznał twarz z przeszłości, i przypisuje jej wyolbrzymione okropności. Albo kłamie.

Jeśli to pierwsze jest prawdą, jak wtedy należy postąpić? Zbrodniami wojennymi zajmuje się Królewska Kanadyjska Policja Konna i wystarczyłoby, żeby Bradley podniósł słuchawkę. Ale to morderstwo zdarzyło się na jego terenie; nie zamierza wyrzekać się za nie odpowiedzialności ani też nie uśmiecha mu się zapraszanie do udziału nikogo z zewnątrz, zanim nie okaże się to konieczne; po co mącić niepotrzebnie wodę? Mógłby zwrócić się do pułkownika Woodleya, zapytać prosto z mostu, czy wie coś o jakichkolwiek związkach łączących lotnictwo kanadyjskie z niemieckim naukowcem. A jeśli rząd świadomie zatrudnił przestępcę wojennego do ściśle tajnych celów? Czy Woodley skłonny będzie to przyznać? W takim przypadku Kanadyjska Konna byłaby wtajemniczona - więc nie ma po co do nich dzwonić. Bradley nie zamierza się cackać; jeśli ten domniemany zbrodniarz hitlerowski kręci się gdzieś tutaj, to jest podejrzany i trzeba go wytropić; albowiem Bradley, choć z jednej strony odrzuca przesadne stwierdzenie Froelicha mówiące o „tysiącach”, to jednak zdaje sobie sprawę, że garstce hitlerowców udało się przedostać do Kanady. Wskazuje na to ostatnie doniesienie o Josefie Mengele, który jakoby zrywał tytoń przy drodze w okręgu Oxford. I choć nie wiadomo, czy Mengele zdążył w porę czmychnąć, czy też nigdy go tam nie było, jego przypadek nie jest odosobniony. Tylu hitlerowców wciąż jeszcze krąży po świecie. Bradley zapala papierosa i rozsiada się w krześle. Musi pogłównkować, jak przedstawić sprawę Woodleyowi, jednocześnie nie odsłaniając przed nim kart...

W końcu Bradley zatrząskuje aktówką i wychodzi z gabinetu. Ostatni wraca do domu, dyżur objęła już nocna zmiana. Bradley z przyjemnością myśli o czekającej na niego kolacji. Wsiadając do samochodu, zadaje sobie pytanie, dlaczego, jeśli Froelich kłamie, wyskoczył z historyjką właśnie o „zbrodniarzu wojennym”, a nie inną. Nasuwa się oczywista odpowiedź, że sprytny kłamca nie odbiega za daleko od prawdy, a to, że Froelich jest byłym więźniem

obozu zagłady, raczej nie budzi wątpliwości. Może ma też ciągoty do komunizmu - a Sowieci lubią wyolbrzymiać liczbę zbrodniarzy wojennych rzekomo cieszących się wolnością na Zachodzie. Tak czy owak, Froelich sprawił na Bradleyu wrażenie człowieka rozgoryczonego; nie uśmiechało mu się ścinanie drzew, nie uśmiechało mu się obsługiwanie maszyny do szycia - a ojciec Bradleya harował w kopalni azbestu - jeśli ci ludzie nie potrafią docenić wolności, którą wywalczyliśmy dla tego kraju, niech sobie szukają innej ojczyzny, droga wolna. Ale to jest subiektywny punkt widzenia Bradleya, który nie może rzutować na prowadzone przez niego dochodzenie.

Przejeżdżając przez śródmieście Goderich - gdzie wokół siedziby sądu właśnie zakwitają pierwsze drzewa - rozważa prostsze rozwiązanie: Froelich wysmażył tę historyjkę, bo wie, że jego synalek kłamie i potrzebuje alibi na czas morderstwa. A jak inaczej chłopak mógłby wiedzieć, kiedy popełniono zbrodnię, jeśli nie stąd, że sam jej dokonał? Froelich zapewnił przy tym uzasadnienie powodu, dla którego nigdy nie da się potwierdzić tego alibi, ponieważ skoro ten domniemany lotnik dla jakichś niecznych celów spiknął się z przestępcą wojennym, to na pewno się nie ujawni. Czy Froelich nie zdaje sobie sprawy, że może wyjść na wariata? Na oszusta? Czy też jest na tyle przebiegły, że podsunął im bajeczkę, która z racji swej dziwaczności nie wygląda na wymyśloną wyłącznie na własny użytek, a przez to staje się do przyjęcia? Kieruje ich na fałszywy trop, który niczego nie przyniesie, w nadziei, że stworzy to dla przysięgłych przesłanki do „uzasadnionych wątpliwości”.

Bradley szanuje czyjeś wątpliwości nawet wtedy, gdy ich nie podziela. Jego zadanie polega na rozłożeniu wątpliwości na czynniki pierwsze. Podważeniu na tyle, że przestają wydawać się uzasadnione. Jak dobry naukowiec, Bradley do wszystkiego odnosi się sceptycznie, a szczególnie do skłonności dostrzeganych u siebie samego. Wyjeżdżając z miasta, włącza długie światła.

Zginęło dziecko. Lecz zanim Bradley uruchomi procedurę, która może zaprowadzić piętnastolatka na szubienicę, zastanowi się bardzo dokładnie, w jaki sposób zbadać historyjkę Froelicha dyskretnie i tak gruntownie, jakby dawał jej wiarę.

Bradley też jest ojcem.

POMAGAJĄC POLICJI W ŚLEDZTWIE

Napiszcie słowa „rower” i „straszne” z podziałem na sylaby. W każdym słowie podkreślcie ostatnią sylabę. Napiszcie oba słowa jeszcze raz.

Podręcznik ortografii Macmillana, 1962

We wtorek rano po świątecznej przerwie dzieci wchodzą do sali lekcyjnej ciekawe, czyje rysunki zostały powieszony na ścianie i komu z tych wybrańców przypadła złota gwiazdka. Zgodnie z przypuszczeniami na wystawę trafiły prace Cathy Baxter i jej podkomendnych, Gordona Lawsons i Sary Nolan. Rysunek Sary ma uniwersalną wymowę religijną, co autorka dobitnie zaznaczyła, opatrując go podpisem „Mojżesz w sitowiu”. Jednak wstrząs wywołuje nie tylko to, że praca Grace Novotny wisi na ścianie, lecz na dodatek otrzymała zaszczytne wyróżnienie w postaci tak pożądanej złotej gwiazdki. Zdumiewa nie to, że jej motylki zostały uznane za najładniejsze - bowiem są najładniejsze - ale to, że są dziełem obrzydliwej Grace. Jej obandażowanych rąk jakby prosto z filmu *Kłątwa grobowca mumii*. Wciąż są owinięte. Brudne i postrzępione.

Tuż przed przerwą dyrektor szkoły, pan Lemmon, ogłasza przez radiowęzeł: - Dziewczęta i chłopcy, mam wam do przekazania bardzo smutną wiadomość. Odeszła wasza szkolna koleżanka, Claire McCarroll. Uczcijmy jej pamięć dwiema minutami ciszy. Kto chce, może po cichu się pomodlić.

Pan March każe im wstać i pochylić głowy. Dwie minuty. Jak 11 listopada. Cisza dłuży się, a kiedy wreszcie nastaje koniec i zwykłe odgłosy znów powoli przesączają się do rzeczywistości, trudno zachować w pamięci obraz tej wysepki milczenia. A Claire zniknęła. Rozmyła się. Jak wyrwa zatarta przez fale, przez którą znów płynie niezmacona woda. Madeleine próbuje wyobrazić sobie twarz Claire, ale ta rozciąga się i wykrzywia jej przed oczami.

Jej twarz zakryta była majtkami. Inspektor Bradley przestudiował zdjęcia, raport z sekcji zwłok i wyniki z laboratorium. *Cechy szczególne... d) Skóry: mocne zsinienie twarzy i szyi; mocno zsiniałe paznokcie i czubki palców...* Choć nie znaleziono w ciele śladów spermy

ani superfosfatów, miała miejsce, jak to określił patolog, „brutalna i bardzo nieudolna próba penetracji”. Mógł nastąpić wytrysk na ziemię, napastnik mógł zmusić ją, żeby patrzyła, jak się onanizuje - tak często postępują pedofile - ale deszcz wszystko zmył. Morderca usiłował ją zgwałcić, a potem ją udusił.

Żołądek: brak szczególnych oznak

Jelita: brak szczególnych oznak

Trzustka: brak szczególnych oznak

Wątroba: brak szczególnych oznak

Błona dziewicza: naruszona...

Wejście do pochwy: rozwarte...

To zboczenie, tyle przynajmniej wiadomo. Zwyrrodnialec z osobowością niedorozwiniętą w dziedzinie seksualnej. Do tego dochodzi jeszcze to, jak pozostawił ciało: niemal ozdobione. Jak gdyby tylko spała, a całe zajście było zabawą - chociaż sitowie ułożone w kształt krzyża sugeruje, że był świadomy zabójstwa.

Policja poszukuje niedojrzałego osobnika, który styka się na co dzień z dziewczynkami, nieporadnego w sferze seksualnej, znanego ofierze, bo nie ma śladów walki, oznak świadczących, że została uprowadzona. Może być nauczycielem. Albo studentem. Znajomym. Bradley przesłuchał już nauczyciela zamordowanej dziewczynki, a teraz kiedy ustalony został czas zgonu, jutro przesłucha ponownie jego oraz wszystkich pozostałych mężczyzn pracujących w szkole niezależnie od tego, co przyniosą dzisiejsze poszukiwania tutejszego lotnika, rzekomego kierowcy forda galaxy. Potem inspektor zakreśli okrąg wokół miejsca zbrodni i porozmawia z każdym farmerem mieszkającym w promieniu dziesięciu kilometrów.

Uwaga dotycząca czasu zgonu: autor niniejszego raportu stwierdza, że zgon nastąpił między 16 a 17 w środę, 10 kwietnia 1963 roku, w oparciu o następujące spostrzeżenia i przestanki:

1. zaawansowanie rozkładu...

2. stopień stężenia pośmiertnego...

3. niski stopień strawienia treści żołądkowej...

Jeśli Richard Froelich między czwartą a piątą po południu istotnie biegł szosą nr 4 i pomachał kierowcy w kapeluszu lotnika, nie zdążyłby zabić dziewczynki i zjawić się z powrotem w domu w czasie potwierdzonym przez kilkanaście osób, nie tylko przez członków rodziny.

Bradley na czas śledztwa zajął gabinet oficera odpowiedzialnego za rozrywkę i

wypoczynek w bazie w Centralii, z oknami wychodzącymi na lodowisko. Przesłucha każdego z osobna, tak gruntownie zamierza przeprowadzić dochodzenie. O domniemanym zbrodniarzu wojennym nie wspomniał ani swoim pracownikom, ani przełożonym, a tym bardziej Woodleyowi czy komukolwiek z kadry lotniczej.

Bradley jest skrupulatny. On i jego zespół dochodzeniowy przesłuchają w sumie ponad tysiąc dwustu mężczyzn z miejscowej bazy. Zaczynają będą o ósmej rano. Bradley jest skrupulatny, lecz jednej osobie powiedział o nowym wątku w śledztwie. Ojcu zamordowanego dziecka. Historyjka Froelicha okazała się podwójnie przydatna; Bradley mógł zgodnie z prawdą oświadczyć kapitanowi McCarrollowi, że poszukuje zbrodniarza wojennego w związku ze śmiercią jego córki. McCarroll poturbował już policjanta. Kto wie, co strzeliłoby mu do głowy na wieść, że chłopak z sąsiedztwa znajduje się w gronie podejrzanych o zgwałcenie i zabicie jego córki?

- Wszyscy są tacy mili, mają dla nas tyle serca - stwierdza Blair McCarroll.

- Tyle serca - powtarza Sharon z uśmiechem.

- Cieszę się - mówi Jack. Siedzi na kanapie w salonie McCarrollów, którzy nalegali, żeby został na chwilę.

- Zwłaszcza ty i twoja wspaniąta żona - dodaje Blair.

- Och, Mimi to prawdziwy anioł - przyznaje Sharon.

Blair ma na sobie domowe ubranie, Jack jest w mundurze; dochodzi 10 rano. Na ławie leży karta pokładowa na nazwisko pani McCarroll i trasa jej podróży; Jack użył swoich wpływów jako oficer wyższej rangi, żeby zapewnić Sharon podróż z mniejszą ilością przesiadek. Nic więcej zrobić dla nich nie może.

Sharon wpatruje się w ławę, jakby zatopiła się w jej lśniącej powierzchni, uśmiech błąka się na jej wargach. Cała trójka milczy. Jackowi przechodzi przez myśl, że nie powinien przedłużać tej wizyty. Na szklany blat padają łzy. Skądś - z wnętrza Sharon - dobywa się dziecinny jęk. Jej twarz przesłonięta jest grzywą opadających jasnobrązowych włosów. Jęk narasta, spokojnie, swobodnie wręcz, aż przechodzi w zawodzenie; Sharon nawet nie zakrywa twarzy, przestała się przejmować takimi drobiazgami. Jack przenosi spojrzenie na jej męża, a Blair przygląda się jej przez chwilę, po czym obejmuje ją ramieniem i bierze jej rękę. Sharon czubkiem głowy dotyka jego podbródka. McCarroll patrzy w bok; tylko jedno z nich naraz może płakać.

Jack waha się i podnosi ostrożnie. Lecz Blair przechodził to już ze sto razy, podobnie jego żona. Ich ruchy są wyćwiczone, ich cierpienie czymś szokującym i intymnym tylko dla

oczu postronnego widza. Jack czeka na odpowiednią chwilę do wyjścia. Dlaczego ziemia otwiera się i pochłania niektóre istnienia, a inne pozostawia nietknięte? Ziemia otworzyła się i pochłonięła ich córkę. Mojej córki nie spotkał taki los. Sięga po kapelusz leżący na sofie...

- Napij się kawy, Jack? Właśnie miałem zaparzyć - odzywa się Blair.

Jack jest zaskoczony, nie wie, co na to powiedzieć - na pewno nie powinien zostać ani chwili dłużej. Lecz Sharon wyciera nos, podnosi głowę i z uśmiechem zwraca się do męża: - Ja to zrobię, kochanie.

O wpół do jedenastej Jack ma się stawić na przesłuchanie, ale nie zamierza opuścić tych dwojga nieszczęśliwców, jeśli potrzebują teraz jego towarzystwa. Sharon odwraca się i idzie do kuchni, oddalanej ledwie o kilka kroków w tym maleńkim bungalowie. Jack słyszy odgłos puszczanej wody. Siada z powrotem na kanapie. Policja wzywa wszystkich po kolei na rozmowy do gabinetów w mesie, szkole językowej i hali do curlingu - ma to związek z dochodzeniem. Pewnie chodzi o jakieś podstawowe ustalenia, gdyż przesłuchania zaplanowane są co kilka minut. Jack dyskretnie zerka na zegarek - pięć po dziesiątej.

Z kanapy Jack dostrzega krzątającą się w kuchni Sharon, jej nagie ramiona, ciemną suknię, włosy odsłaniające twarz, gdy unosi głowę, żeby zdjąć coś z górnej półki kredensu. Żona McCarrolla wygląda przy tym tak ślicznie, że człowiekowi serce się kraje. Jack czuje, jak ściska go w gardle; pochyla się do przodu, odkrztusza.

- Tak więc, Blair, jak rozumiem, wkrótce dołączysz do Sharon.

- Zgadza się, na lotnisku odbierze ją rodzina, a ja przylecę później razem z Claire.

Lekkie zaburzenie zwyczajnego toku rozmowy. Z *Claire*. Mężczyzna przyleci do żony, przywożąc ich córkę. Jack jest spięty. Blair jest spięty.

- Sharon ma dogodne połączenie - mówi Jack.

- Tak, dzięki, Jack.

- Nie dziękuj mi, szczęśliwy traf, to wszystko.

Zawstydzony swoją głupotą, Jack dodaje szybko, żeby zatrzeć wrażenie, jakie wywołały jego słowa: - Podobno Wirginia jest piękna.

- To raj na ziemi.

Milczenie. W kącie pokoju stoi pudło opatrzone czerwonym napisem „Zabawki”. Niebawem McCarrollowie wyjadą. Jack ma przed oczami ten pokój, pusty, pobielony i wyczekujący, jak przed wprowadzeniem się McCarrollów. Takim zastaną go następni mieszkańcy i przytwierdzą tymczasowo do ścian, do podłóg swój dobytek.

Ta rozmowa chowa swe prawdziwe oblicze pod przebraniem. Stroi się w tony i wydźwięki innej, zdawkowej, po to, aby nadać oswojalny kształt... czemu? Zjawie. Boleści.

- Informują nas na bieżąco - mówi Blair, kiwając głową.
- Słucham?
- Policja informuje nas na bieżąco. Naprawdę się stara.

Opada przebranie. *Informują nas na bieżąco*. Przez maskę przeziiera to, co przez cały czas było wyczuwalne w tym pokoju: nieobecność. Utrzymują ją przy życiu pogawędką, zapowiedzią kawy, która ma być za chwilę podana, kartonem z jej zabawkami. Policja, śledztwo, poszczególne zadania - nawet osobiste odstawienie jej zwłok do Stanów - to nic innego jak pieczołowicie wznoszone rusztowanie, solidne ramy dla jej przedłużonego istnienia. Wkrótce wszystkie zadania zostaną wykonane i cała misternie wzniesiona konstrukcja będzie stała pusta. Niema. *Informują nas na bieżąco*. Nie sposób dzielić się ojcu wynikami sekcji zwłok swej córki - wynikami, o których poinformowała go policja. Nie sposób też jednak nie opowiadać o swej córce. W zeszłym tygodniu upiekła ciasteczka na zajęcia pokazowe, otrzymała osiem punktów na dziesięć ze sprawdzianu z ortografii, pomógł jej napisać sprawozdanie z lektury *Czarnego królewicza* - nauczyciel jeszcze go nie ocenił, ale ojciec jest pewny, że zasłużyła na dobrą ocenę. Dwa dni temu odniosła obrażenia pochwy i krwawiła tuż przed śmiercią, na szyi miała odcisnięte ślady kciuków; została opisana w raporcie z sekcji zwłok jako „zdrowa, normalna dziewczynka przed okresem pokwitania”. To coś nowego. To przydarzyło jej się ostatnio. Ojciec musi rozmawiać o córce. Ale musi uważać, to wszystko.

- Znają się na rzeczy, ci z ekipy śledczej - mówi Jack.
- Tak - podchwytuje Blaire. - Są bystrzy.
- To pewne.
- Mam nadzieję, że dorwą tego cholernego zbrodniarza wojennego i śledztwo posunie się naprzód...

Jackowi osunął się grunt pod nogami. Spozstrzega, że wpatruje się w McCarrolla, mrugając bezmyślnie.

- Co takiego? - pyta.
- Podobno chłopaka Froelichów minął wtedy na szosie samochód, niebieski ford, a jego ojciec twierdzi, że to wóz jakiegoś zbrodniarza wojennego, którego widział w zeszłym tygodniu - nic z tego nie rozumiem, ale mniejsza z tym... - McCarroll urywa i zwiesza głowę.

Jack z trudem otwiera usta, jakby miał sklezione wargi.

- Nic o tym nie słyszałem.
- Widać policja o tym nie rozpowiada.

Z kuchni dolatuje odgłos otwieranych drzwi lodówki, nalewanego płynu, pewnie

mleka.

- Myślałem, że Henry wspomniał ci o tym - mówi Blair.

Twarz Jacka płonie. Spogląda na ławę mokrą od łez Sharon, przełyka ślinę.

- Co dokładnie mówił Hank?

Blair rozsiada się wygodniej na krześle - to przynosi ulgę, pośród tych wszystkich obrzydliwości ta część jest przynajmniej przyzwoita, nawet ciekawa. - Mówi, że ten samochód, nowiutki niebieski ford - znasz chyba ten model, galaxy coupe - nadjechał szosą, po której biegł jego syn - wiesz, chłopak jak zwykle wyszedł pobiegać z siostrą i psem. No i minął go ten samochód, za kierownicą siedział jakiś lotnik, który mu pomachał, ale chłopak go nie rozpoznał, bo w przedniej szybie odbijało się słońce...

- Z czym pijesz kawę, Jack?

Sharon stoi przed nim z tacą. Oczy ma podpuchnięte, ale się uśmiecha. Jack zrywa się, żeby jej pomóc, ale Sharon stawia tacę.

- Wy mężczyźni posiedźcie i pogadajcie sobie.

Claire mogła wyrosnąć na taką śliczną kobietę, myśli Jack, na ten tak rzadki i cenny okaz: pogodną i szczęśliwą żonę. Na pewno jeszcze zdecydują się na dzieci.

- Ze śmietanką i cukrem - mówi Jack. - Dziękuję, Sharon.

- Dzięki, skarbie - mówi Blair.

Mężczyźni patrzą, jak Sharon przyrządza im kawę, kręcąc nadgarstkiem, stukając łyżeczką o krawędź. Podnoszą kubki, a Sharon odwraca się i idzie do kuchni z tacą, przystaje w połowie drogi, jakby o czymś zapomniała. Stoi przez chwilę nieruchomo, zwrócona do nich plecami. Mężczyźni przyglądają się jej. Po chwili Sharon rusza dalej.

- Więc co z tym... zbrodniarzem wojennym? - zagaduje Blaira Jack. - Dobrze cię zrozumiałem?

- Tak, ale sam nie wiem - mówi McCarroll. - Henry Froelich twierdzi, że widział tego typa parę tygodni temu w Londynie. Wszystko się zgadza, ten sam wóz, to samo wgniecenie, nawet nalepka na zderzaku i jedna czy dwie cyfry numeru rejestracyjnego. Powiedział o tym policji, stąd wiem. Podobno ten gość to hitlerowiec. Froelich zetknął się z nim w obozie w czasie wojny.

- Biedny Hank. - Serce wali Jackowi jak młotem, ale głos ma spokojny.

- Tak - mówi Blair, popijając kawę. - Więc nie wiadomo, kto mu pomachał, ale wiadomo, że to lotnik. Chłopak widział jego kapelusz.

- No to go znajdą.

Blair wzrusza ramionami. - Nie wiem. To wszystko brzmi jakoś dziwnie. Jakby

polowali na grubszą zwierzynę... Cała ta historia z tym cholernym zbrodniarzem wojennym... Po co taki miałby napadać na dziecko?

- Policja po prostu robi swoje, musi sprawdzić każdy trop. Każdego obcego w tym rejonie - mówi Jack, sięgając po kapelusz. W ustach ma paskudny smak.

Blair wstaje, żeby go odprowadzić. Idą razem do drzwi.

- Nie chcę przeszkadzać Sharon. Pożegnasz ją ode mnie?

Blair kiwa głową. Jack wkłada kapelusz, zerkając przy tym na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej.

- Jack, chcę ci za wszystko podziękować - mówi Blair, podając mu rękę. - Wiesz, miałem tu być tylko przez rok.

Jack kiwa potakująco. Czeka.

- Nie mogę przestać o tym myśleć, gdybyśmy w ogóle nie przyjeżdżali do Kanady... - urywa, łapie spazmatycznie oddech, ale udaje mu się powstrzymać płacz. Kiedy się odzywa, jego ton wywołuje u Jacka wstrząs.

- Nienawidzę tego przeklętego kraju - mówi Blair dobitnie i z goryczą, mrużąc oczy. Podbródek mu się trzęsie, gwałtownie ociera łzy, najpierw jedną ręką, potem drugą, i opanowuje się. - Przepraszam za ten wybuch.

- Blair, to ja cię przepraszam. Wszyscy ci współczujemy.

Jack szybkim krokiem wychodzi z SKR-ów. To Froelich. Jezu Chryste. I dlaczego nazwał Frieda zbrodniarzem wojennym? Hitlerowcem? Froelich był więźniem obozu zagłady - świadczy o tym numer wytatuowany na ramieniu. Fried to naukowiec, pracował w fabryce rakiet. Jakim cudem ich drogi się skrzyżowały? Froelich wymienił nazwę fabryki, Dora. *On chce mi założyć stryczek na szyję.* Jackowi staje przed oczami pobladła twarz Frieda, kiedy mówił te słowa.

Dziś znowu świeci ostro słońce, jego pozbawiony ciepła blask razi w oczy. Jack idzie ulicą Canada Avenue; ma jeszcze pięć minut. Zakładał dotąd, że policja chce ustalić alibi wszystkich zatrudnionych w bazie mężczyzn, ale teraz jest pewny, że chodzi im o tego cholernego forda galaxy i Oskara Frieda. Zaraz po przesłuchaniu zadzwoni do Simona i przekaze mu tę wiadomość. Zapyta go przy okazji, dlaczego tak stuprocentowo wiarygodny człowiek jak Henry Froelich uważa Frieda za wojennego zbrodniarza. Jack reflektuje się, że właściwie nie ma prawa domagać się wyjaśnień; to on jest odpowiedzialny za ten galimatias. *Gdybym nie brał tego nieszczęsnego samochodu dla własnej wygody...* Wie, co powie Simon: pozbadź się tego wozu.

Jack przecina plac defiladowy, zmierzając w stronę hali do curlingu. Przed wejściem

stoi Steve Ridelle - Jack nie wiedział, że Steve pali. Witają się krótkim, ponurym „cześć”. Jack przypomina sobie, że to Steve zidentyfikował ciało, asystował przy sekcji zwłok. Wkracza do środka, odpychając solidne podwójne drzwi, wita go chłód ciągnący od lodowiska. Jack wbiega po schodach, ale gabinet szefa pionu wypoczynku i rozrywki jest zamknięty. Policjanci mają dziesięć minut spóźnienia; przed nim czeka jeszcze jedna osoba: Nolan. Wymieniają ukłony. Dzisiaj milczenie Nolana wydaje się jak najbardziej na miejscu.

Na przerwie panuje mniejszy hałas niż zazwyczaj i część dziewczynek popłakuje w grupkach. Madeleine, oparta o poprzeczkę bujawki, ma dziwne uczucie, jakby przyglądała się koleżankom z oddali. Otworzyła się kolejna przepaść; dopiero teraz Madeleine uświadamia sobie, że brak jej czegoś - tego, co Ariel, Lisa i inne chlipiące dziewczynki biorą za coś oczywistego. I zastanawia się, czy ktoś poza nią to dostrzegł: płaczące dziewczynki są normalne, a ona nie.

- Podpułkownik McCarthy, witam pana. Jestem inspektor Bradley.

Inspektor siedzi za biurkiem szefa pionu rozrywki i wypoczynku. W rogu gabinetu stoi umundurowany policjant z notatnikiem.

- Nie chcę panu zabierać zbyt dużo czasu. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie przebywał pan w zeszłą środę po południu?

- Oczywiście, byłem tutaj w bazie, najprawdopodobniej w moim gabinecie.

- Czy wychodził pan z gabinetu?

- Chyba raz. Przeszedłem się do sklepu.

- Czy wychodził pan poza teren bazy?

- Nie ruszałem się z bazy, nie.

Kątem oka Jack widzi, jak policjant w mundurze zapisuje jego odpowiedzi.

- Czy jeździł pan ostatnio samochodem po okolicy?

- Raz czy dwa razy wybrałem się do Londynu, a moja żona...

- Więc w ciągu ostatniego tygodnia korzystał pan z szosy nr 4?

- Jasne.

- Widzi pan, liczymy na to, że ktoś zauważył coś dziwnego w okolicy, może podejrzaną postać. Jak panu wiadomo, szukamy zabójcy.

Jack kiwa potakująco.

- Czy ma pan dzieci?

- Tak.

- Niezmiernie cenne są dla nas zeznania kogokolwiek, kto przebywał w pobliżu bazy tego popołudnia. Czasami ludzie coś widzą, ale nie uświadamiają sobie znaczenia tego, co zauważyli. Ja ich naprowadzam. Ale, rzecz jasna, nie mogę wykonać swojego zadania, jeśli nie uzyskam pomocy. Czy dostrzegł pan cokolwiek czy kogokolwiek, kiedy jechał pan szosą nr 4 w zeszłą środę?

- Nie, ja... żałuję, że nie mogę panu pomóc, ale prawda jest taka, że siedziałem tu na miejscu przez całe popołudnie.

- Dziękuję panu za czas, jaki mi pan poświęcił, i przepraszam za kłopot.

- Nie ma za co. Powodzenia.

Jack zbiera się do wyjścia.

- Pułkownika McCarthy?

Jack odwraca się, z ręką na klamce.

- Proszę zachować treść naszej rozmowy dla siebie.

- Ma się rozumieć - mówi Jack. I wychodzi.

Zatrzymuje się przed budką telefoniczną obok supermarketu i bierze głęboki oddech. Simonowi się to nie spodoba. Wchodzi do budki, w środku waha się - a jeśli ktoś zobaczy, jak dzwoni gdzieś zaraz po przesłuchaniu? Ogląda się przez ramię, żeby upewnić się, że nikt nie patrzy, gdy wrzuca do aparatu tyle monet, żeby starczyło na połączenie z Waszyngtonem.

- Tu major Newbolt. Chciałbym rozmawiać z sekretarzem Crawfordem.

Jack czeka. Przy wejściu do supermarketu kręcą się ludzie, budkę mijają elewi z łyżwami przewieszonymi przez ramię - nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Wzdryga się, słysząc głos Simona: - Jack, zaraz do ciebie oddzwonię.

Obaj odkładają słuchawki. Jack znowu czeka, tym razem ma wrażenie, że rzuca się w oczy. Wertuje książkę telefoniczną - Exeter, Clinton, Crediton, Goderich, Lucan - czego właściwie tam szuka, gdyby ktoś pytał?

Ktoś puka w szklane drzwi. To Vic Boucher.

- Wpuścisz mnie na chwilę, Jack? Muszę pilnie zadzwonić.

Jack zbyt skwapliwie wychodzi z budki.

- Wchodź śmiało, Vic - ja tylko szukałem... szukałem szkółki jeździeckiej dla Madeleine.

- Tak? - mówi Vic, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu monety, wchodząc do środka. - Za cholerę nie mogę sobie przypomnieć, czy żona kazała mi kupić sałatę czy kapustę.

Jack wręcza mu z uśmiechem dziesięciocentówkę i mówi: - Sałatę. Kapusty nigdy nie

każą przynosić.

Vic wykręca numer, a Jack spogląda na zegarek - nic się nie dzieje, linia przez chwilę będzie zajęta i Simon zadzwoni później, to wszystko. Czasu jest dość. Policja, zajęta przesłuchiowaniem personelu, jeszcze nie przetrząsa terenu w poszukiwaniu samochodu. Ciekawe, czy porozumiała się z Kanadyjską Konną. Froelich musiał podać rysopis Frieda - czy jego podobizna zostanie wywieszona w każdym urzędzie pocztowym południowego Ontario? Jezu.

Kiedy Vic z zapalem rozmawia przez telefon, Jack wraca myślami do Frieda. *Co takiego zrobiłeś, Oskar?*, zapytał wtedy. *Wykonywałem swoją pracę.* Jak mogła się ona wiązać ze zbrodniami przeciwko ludzkości? Co prawda Niemcy podczas wojny wysyłali ludność z okupowanych państw na przymusowe roboty do swoich fabryk. Weźmy na przykład zakłady Volkswagena, Zeppelina, Kruppa; nawet Oświęcim był po części fabryką amunicji. Dora pewnie też opierała się na niewolniczej pracy, to przypuszczenie wydaje się sensowne. Froelich mógł zostać przeniesiony tam z obozu. Niemniej „praca” Frieda powinna się ograniczać do kwestii czysto technicznych i choć robotnicy umierali, chodziło przecież o to, aby utrzymać ich przy życiu i na tyle zdrowych, żeby mogli pracować.

Vic odwiesza słuchawkę i przeciska się przez wąskie drzwi, dając głośny upust swemu niezadowoleniu. - Niech mnie gęś kopnie. Skąd wiedziałeś, że to sałata?

Dzwoni telefon. Vic unosi brwi. - Ktoś do ciebie?

Jack chichocze z żartu, zanim uświadamia sobie, że to żart. Szybki refleks. Jak się szkoli ludzi do tej roboty? A może trzeba po prostu być urodzonym kłamcą? Kłamcą z niezachwianym poczuciem lojalności.

Telefon dzwoni po raz drugi.

Vic podnosi słuchawkę.

- Halo, to ja - żartuje i odwiesza słuchawkę. - Głuchy telefon.

Wychodzi i kieruje się do sklepu.

Jack na powrót zajmuje budkę i dalej kartkuje książkę telefoniczną. Rozlega się dzwonek. Vic odwraca się w progu supermarketu. Jack napotyka jego spojrzenie, wzrusza ramionami, podnosi słuchawkę i zaraz odkłada ją na widełki.

Vic znika w głębi sklepu.

Dzwoni telefon i Jack szybko łapie za słuchawkę.

- Jakież trudności? - pyta Simon.

- Mała kolejka, to wszystko.

- Co nowego?

- Si, to mój sąsiad rozpoznał Frieda, mówi o nim, że jest zbrodniarzem wojennym.

- Rany - kwituje Simon, niemal z zadumą w głosie. - Kiedy ci to powiedział?

- Nie powiedział. Dowiedziałem się przypadkiem... Si, ile jest w tym prawdy?

- Mogę cię zapewnić, że sam osobiście prześwieciłem faceta.

Słowa Simona przynoszą Jackowi ulgę, ale musi jeszcze zapytać o jedno: - Dlaczego Fried tak się bał, że zawiśnie?

- Na pewno by tak skończył, gdyby rozeszła się wieść, że przeszedł na naszą stronę i Sowietom dostaliby go w swoje ręce.

No jasne.

Pora zacisnąć zęby i przekazać Simonowi najważniejszą wiadomość.

- Si, policja poszukuje Frieda w związku ze śmiercią córki McCarrolla.

Cisza. Wreszcie: - Jak? Podają jego nazwisko?

- Raczej nie.

- Mają jakieś podstawy, żeby go ścigać?

Pytanie zaskakuje Jacka. - Nie, był u siebie, tam go zostawiłem. Prawda jest taka, Simon, że to ja nawaliłem.

Jack wyjaśnia, że tego popołudnia, kiedy zaginęła córka McCarroll, jechał fordem galaxy do Exeter i minął na szosie chłopaka Froelicha. Chłopak widział wóz, a jego ojciec skojarzył go z Friedem.

- W ten sposób policja dowiaduje się o „zbrodniarzu wojennym” i podejrzewa, że w okolicy może kręcić się ktoś zdolny do... popełnienia takiego czynu.

- Super - stwierdza Simon, jakby podziwiał cud techniki.

- Ale nie wiedzą, że to ja prowadziłem. Pomachałem chłopakowi, ale w przedniej szybie odbijało się słońce, dostrzegł tylko mój kapelusz.

- Więc punkt dla nas.

- Przepraszam, Simon.

- To moja wina, stary. Ten cholerny samochód, nie powinienem się na niego zgodzić.

Od początku miałem co do tego złe przeczucia.

- Spokojna głowa, pozbędę się go.

- Twój sąsiad nie wie, że znasz Frieda, jak sądzę?

- Nikt nie wie.

- Mógłbyś przypomnieć mi jego nazwisko?

- Froelich. Henry Froelich. Niczego się nie domyśla. Sam dowiedziałem się o tym przypadkiem od McCarrolla. A on dostał cynk od policji. Dzięki temu jakoś wybrnąłem,

kiedy zapytali mnie na przesłuchaniu, co robiłem w zeszłą środę.

- Cóż, w każdym razie McCarroll przydał się na coś.

Uwaga Simona kłuje jak odprysk spod koła pędzącego samochodu, lecz Jack nie zważa na to. - Co z Friedem?

- A co ma być?

- Co dalej z nim robimy?

- Ty już nic nie robisz, wykonałeś swoje zadanie.

Promienie słońca przesywają budkę niczym szkło powiększające, nagrzewając wnętrze. Jack mruży oczy. - Myślałem, że skoro McCarroll wypadł z gry... Mam odstawić Frieda do granicy? Czego ode mnie oczekujesz?

- To już nie twoje zmartwienie.

To koniec, Jack powinien się cieszyć. - Zaraz do niego zadzwonię.

- Nie radziłbym - mówi Simon. - Jego telefon może już być na podsłuchu.

- No to pojedę jutro do Londynu i sprawdzę, co z nim.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił.

Jack nie okazuje swego rozczarowania. Na tym etapie rozwoju wydarzeń Simon ma prawo podawać w wątpliwość jego kompetencje.

- Porzuć gdzieś samochód i na tym kończy się twoja misja, chłopcze. Zrobiłeś swoje. Ja przejmuję sprawę.

- Simon, kiedy będziesz w okolicy...

- Wiem, butelka już się chłodzi.

Jack odchodzi od telefonu z dziwnym poczuciem pustki. Fried przekroczy amerykańską granicę i Jack więcej już o nim nie usłyszy. Fried otrzyma nowe nazwisko, zacznie nowe życie. Jego umiejętności wesprą program badań kosmicznych USAF, aby mógł dorównać badaniom prowadzonym przez jego kolegę z dawnych czasów, Wernhera von Brauna, w NASA.

Jack szybkim krokiem idzie do księgowości i bierze sto dolarów zaliczki. Potem kieruje się do hangaru z pojazdami, skąd wypożyczy służbowy samochód. Całkiem możliwe, że Froelichowi coś się przywidziało - w końcu znosił straszliwe cierpienia podczas wojny. Każda twarz kojarzona z tamtym okresem musi budzić grozę.

- Wybrałeś jaką szkółkę?

Jack podnosi wzrok. Widzi Vicka Bouchera z naręczem toreb z zakupami, między innymi z sałatą, a obok niego Elaine Ridelle, podobnie objuczona sprawunkami, pchającą wózek z dzieckiem. Oboje wpatrują się w niego wyczekująco. O co chodzi Vickowi? Jaka

szkółkę? Z zakamarków jego umysłu wytacza się myśl, opornie niczym ciężarówka, niosąc potrzebną mu informację.

- Tak, znalazłem coś ciekawego, Stadnina Hicksa, przy szosie nr 4 w stronę Goderich.
Za dużo paple.

- Rozmawiałeś dziś z McCarrollem? - pyta Vic.

Jack czuje, jak oblewa się rumieńcem. - Zajrzę do nich później. Zaniosę Sharon kartę pokładową.

Zmienia temat, pochylając się nad wózkiem. - Co my tutaj mamy?

Niemowlę wygląda, jakby zapadło w błogi sen, rozczapierzone paluszki poruszają się leciutko pod bródką, na ściągniętych ustach widać białawy osad.

- Kawał chłopca - mówi Jack z szerokim uśmiechem. - Wykapany Steve.

- To pocieszające - odpowiada Elaine, puszczając do niego oko.

Nie sposób nie dostrzec głębokiej szczeliny między pełnymi piersiami karmiącej matki. Jack czuje mrowienie i lekką sztywność, wkłada ręce do kieszeni. Elaine to flirtiera, ale niegroźna. W jego reakcji też nie ma nic zdrożnego - uprzejmy ukłon w stronę Matki Natury. Cóż może być bardziej pobudzającego od widoku kobiety, czy to ciężarnej, czy karmiącej, czy każdej innej? To siła, która napędza świat.

- Czeka na mnie robota - oznajmia.

Żegna się i odchodzi ulicą Nova Scotia Avenue, prowadzącą do jego biurowca. Traci cenny czas, ale nie chce, żeby Vic Boucher zobaczył, że odjeżdża służbowym samochodem. Z tęsknotą myśli o swojej żonie. Ogarnia go ochota, żeby wrócić prosto do domu.

Dochodząc do zakrętu, ogląda się przez ramię i widzi Vicka oddalającego się pomarańczową furgonetką, a dalej Elaine, pchającą wózek. Jack robi w tył zwrot, zapuszcza się między baraki, w których mieszkał przed laty jako adept lotnictwa, zmierzając na skróty do hangaru z pojazdami.

Patrzy na zegarek, obliczając, ile czasu mu to zajmie, gdyż wie, dokąd musi zabrać forda galaxy, jeśli wóz naprawdę ma przepaść bez śladu.

Przyciemniane szyby służbowego samochodu łagodzą nieco ostry blask słońca. Jack salutuje strażnikowi i wyjeżdża przez główną bramę, mija spitfire'a i skręca w drogę okręgową, kierując się na północ.

Mierzi go kłamstwo, a na myśl, że policja marnuje czas, uganiając się za widmem zbrodniarza wojennego, zamiast szukać rzeczywistego sprawcy, robi mu się niedobrze. Przejżdża przez miasteczko Centralia i przyspiesza na drodze do Exeter.

Z drugiej strony ten, kto zabił dziewczynkę, pewnie już dawno się ulotnił. Bawił tu przejazdem. Pewnie to jakiś zwyrodnialec mieszkający samotnie na którejś z okolicznych farm. Gdy spogląda na pola ciągnące się po obu stronach drogi, naraz zastanawia go, czy tubylcy coś wiedzą i czy policja też ich przesłuchuje. Miejscowa ludność. Może kryje się wśród niej jakiś domorosły zboczeniec, znany wioskowy przygłup, który nie porwałby się na tutejsze dziecko, ale przyjezdne dzieciaki z bazy lotniczej uznał za łatwiejszą zdobycz.

Na gołej ziemi rysują się pierwsze smugi zieleni. W zagłębieniach i wzdłuż drogi widnieją jeszcze strupy brudnego śniegu, ale krowy zostały już wypuszczone na pastwiska, a ich brązowa sierść jest oznaką lata, jakby same w sobie stanowiły źródło słońca i upału. Z przodu, poboczem, wlecze się traktor, wzniesając pierwszy kurz. Ciekawe, czy policja sprawdzała każdą farmę, przemierzając te niekończące się dojazdy. Kto tu właściwie mieszka? W końcu to sąsiedzi Jacka; co to za ludzie? Czy dochodzenie prowadzone byłoby inaczej, gdyby nie chodziło o córkę lotnika?

Jest wpół do jedenastej. Przy odrobinie szczęścia wróci do domu przed zmrokiem.

Na świeżo odmalowanej tablicy przydrożnej witają Jacka w Exeter Rotarianie, Królewska Legia Kanadyjska i Ziomkowie. Jeśli nie znajdzie forda tam, gdzie go zostawił, może być przynajmniej pewien, że wóz nie trafił w ręce policji. Ma cichą nadzieję, że został skradziony - złodziej raczej nie wystąpi z dowodem popełnionego przez siebie przestępstwa, żeby pomóc w znalezieniu sprawcy innego. Wokół pomnika poległych wyrosły krokusy, a przed salonem fryzjerskim znów wystawione są dwa składane krzesła, zwiastując trwające przez całe lato rozgrywki w warcaby. Jack podąża główną ulicą, tuż za granicami miasta skręca i zajeżdża na tyły starej stacji kolejowej, gdzie dostrzega niebieskiego forda galaxy, lśniącego i nietkniętego, jeśli nie liczyć wgniecionego zderzaka. Nadzieja, że padł łupem złodzieja, okazała się płonna. Jack zatrzymuje się w cieniu zabitego deskami budynku i wychodzi na zimowy niemal chłód. Wyjmuje z bagażnika skrzynkę z narzędziami, łom i podnośnik. Wkłada je do forda, wsiada i zdejmuje służbowy kapelusz, marynarkę i krawat. Powodzenie swego planu opiera na przekonaniu, że policja nie zabierze się do poszukiwania forda galaxy, zanim nie przesłucha całego męskiego personelu bazy do końca dzisiejszego popołudnia. Do tego czasu Jack będzie już w drodze powrotnej, a samochód zamieni się w kupę złomu, czekającą na następne wcielenie w postaci pralki. Jeśli zgarnie go policja, ma przy sobie numer Simona. A jeśli wbrew podjętym środkom ostrożności cała sprawa wyjdzie na jaw, *c' est la guerre*. Nie podawaj diabłu ręki, dopóki go nie spotkasz.

Odnaleźli rower Claire. Widać go w bagażniku radiowozu zaparkowanego przed małym zielonym bungalowem. Pan McCarroll stoi w progu. Madeleine patrzy, jak jeden z policjantów wyjmuje rower z bagażnika i pokazuje go panu McCarrollowi, a ten kiwa głową.

Mike jak zwykle nie odstępował Madeleine.

- Przestań się gapić, ruszaj - mówi teraz.

Policjant wkłada rower Claire z powrotem do bagażnika.

- Wcale się nie gapię, tylko idę wolnym krokiem - oświadcza Madeleine, doganiając brata. - Dlaczego zabierają jej rower?

- Bo stanowi dowód - wyjaśnia Mike.

- Jaki dowód?

- Przeciwno temu, kto to zrobił.

- Co zrobił?

- Zamordował Claire, a co myślałaś? Co ty znowu wyprawiasz?

Madeleine usiadła na żwirowanym poboczu. *Zamordował.*

- A co jej się niby przytrafiło według ciebie? - pyta Mike.

Madeleine nie ma pojęcia.

- Wstawaj, idziemy.

Claire umarła, tyle Madeleine wie. To spotyka dzieci, które włączają się samotnie zbyt długo. Daleko od domu, po kolacji. Czasami nie wracają. Zostają na dworze po zmroku, a kiedy się je znajduje, nie żyją. *Odeszły.*

- Madeleine.

Wcześniej nie zastanawiała się nad tym. Stało się coś okropnego i Claire zginęła; określenie „coś okropnego” wydawało się jej dotąd dostatecznie jasne. Ale okazało się mgliste. Inaczej Madeleine nie padłaby przy drodze jak skoszona stokrotka.

- No chodź - ponagla Mike. - Dobrze, to zostań tutaj.

Rusza do domu, oglądając się przez ramię, upewniając się, że nikt nie morduje Madeleine.

Madeleine siedzi po turecku na żuźłowatym żwirze. Ręce ma schowane. Głowa zwraca się w stronę domu Claire, sprzed którego odjeżdża policyjny samochód. *Claire została zamordowana.*

Co się ze mną stanie?, zawołała dziewczynka, kiedy ptaki wyjadły jej resztę pożywienia. Stało się z nią coś złego. Madeleine ma wrażenie, że opada ją ten obmierzły zapach. Jak przedtem, tylko jeszcze wstrętniejszy. Jakby zrobiła jakąś paskudną rzecz - *ale nic nie zrobiłam.* Jakby zobaczyła martwą Claire, leżącą w swej błękitnej sukience - *ale nie*

zobaczyłam. Po prostu tak leżeć to najbardziej hańbiąca rzecz dla dziewczynki, każdy może wtedy zadrzeć jej sukienkę. Ten obrzydliwy zapach.

Policjant przytyka palce do kapelusza, a pan McCarroll unosi rękę. Pani McCarroll na pewno jest w domu, robi coś z zuchowym mundurkiem Claire, podkolanówkami, jej zabawkami, które wyglądają jak nowe. Pani McCarroll nie ma dokąd pójść, cały świat stał się dla niej otwartą raną.

Radiowóz jedzie wolno w jej stronę. Gdy ją mija, Madeleine dostrzega kierownicę roweru Claire sterczącą spod klekoczącej klapy bagażnika.

- Ma tylko jedną wstążkę - oznajmia Madeleine niewiedomo komu. Czyjeś ręce wbijają się jej pod pachy i dźwigają w górę.

- Wskakuj - mówi Mike.

Madeleine gramoli się na niego i Mike niesie ją na barana do domu.

- Worek ziemniaków - stwierdza, kiedy Madeleine zsuwa mu się z pleców przed frontowymi drzwiami.

Maman staje w progu, spogląda na Madeleine i przykłada jej rękę do czoła.

- Marsz do łóżka.

Jack zatoczył łuk na zachód od Exeter, kluczył po polnych drogach, niezaznaczonych na żadnej mapie; kiedy nabrał pewności, że jest już na południe od Centralii, wjechał na szosę nr 4. W Londynie skręci w „dwójkę” prowadzącą do Windsoru, miejsca narodzin i ostatniego spoczynku tyłu samochodów. Uświadamia sobie, że silnie mruży oczy; próbuje dać im trochę wytchnienia w ostrym południowym słońcu. Dobrze wie, gdzie są teraz jego okulary: na biurku w gabinecie.

Może nadszedł czas, żeby Simon rozmówił się z kim trzeba w Ottawie - stamtąd poszedłby sygnał do policji w Ontario, że ścigając domniemanych zbrodniarzy wojennych, obrała niewłaściwy kurs. Naprowadziłby ją z powrotem na trop, póki jeszcze świeży. Jack żałuje, że nie zasugerował tego Simonowi przez telefon; podsunie mu ten pomysł dziś wieczorem.

Ośłania oczy ręką, tęskni do swego kapelusza ze zbawczym ciemnym rondem. Ale nie sięga po kapelusz leżący na siedzeniu obok - zbyt łatwo go rozpoznać - i kieruje forda galaxy na zachód.

Madeleine przekonała matkę, że nie jest chora. Sama jest zdziwiona swoim postępowaniem - jej nieobecność na popołudniowych lekcjach byłaby przecież usprawiedliwiona. Ale ogarnął ją chorobliwy nastrój - miała wrażenie, że gdyby położyła się

na łóżku czy nawet na sofie przed telewizorem, zaszklilyby jej się oczy, głowa rozpalilaby się niczym piec, i Madeleine już nigdy by się nie podniosła. Wróciła więc do szkoły, ale jej wzrok bez przerwy wędrował w stronę okna, nie potrafiła skupić się na niczym, a monotonię urozmaicał jedynie widok pomarszczonych rąk Grace Novotny.

Po lunchu Grace pojawiła się w klasie bez bandaży. Ma na palcach zwiotczalą białą skórę, jakby dopiero co brała kąpiel. Ktoś zawiadomił Towarzystwo Pomocy Dziecku. Tata Grace bardzo chciałby wiedzieć kto.

Jack zaciska powieki raz, potem drugi, i przyspiesza, jadąc prosto w popołudniowe słońce. Jeśli policja wywiąże się ze swojego zadania i znajdzie wiarygodnego podejrzanego, historia ze zbrodniarzem wojennym może nie zostanie nagłośniona; przycichnie, nie wykraczając poza lokalne ramy. Jack zachowuje czujność, często spogląda w lusterko wsteczne. Na przedmieściach Chatham zwalnia - jeszcze tylko brakowało, żeby jakiś patrol zatrzymał go za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Na przerwie Madeleine odchodzi od koleżanek i kieruje się w stronę rury odpływowej, zdecydowana ostatecznie przekonać się, co kryje jej wnętrze, ale dostrzega Colleen siedzącą pod nasłonecznionym szkolnym murem, gdzie na białym stiuku igrają promyki słońca. Pochylona jest nad kawałkiem szkła i stronicą z gazety, którą wiatr przywiął pod ścianę. Z kartki unosi się smużka dymu. Madeleine podchodzi bliżej. Nagle papier podrywa się i zwija, znika pochłonięty przez ulotny pomarańczowy płomyk.

Madeleine nie odzywa się, Colleen również, lecz wkrótce obie, powodowane jedną myślą, znikają na tyłach budynku, zostawiając zwęglone nagłówki na łasce wiatru, *Przeciwnicy bomby wdzierają się do tajnego portu.*

Nigdy nie rozmawiały ze sobą na terenie szkoły, kiedy jeszcze trwały lekcje. Teraz też niewiele mówią. Madeleine przedstawia Colleen swój plan.

Do godziny drugiej Bradley otrzymuje zestawienie wszystkich fordów galaxi zarejestrowanych w Ontario o numerach podanych przez Froelicha. Na liście figuruje jedenaście wozów: pięć z Toronto, dwa z Windsor, dwa z Kingston, jeden z Ottawy i jeden z Sudbury. W dziesięciu przypadkach między czwartą a piątą po południu w zeszlą srode właściciel przebywał w miejscu pracy, wraz ze swoim samochodem. Natomiast jedenasty wyjechał za granicę.

Jack dodaje gazu. Przesłuchania w gabinecie przy lodowisku dobiegają już końca. Tuż przed wjazdem do Windsoru serce podchodzi mu do gardła, gdy w lusterku wstecznym dostrzega biało-czarny radiowóz. Który go dogania, wlecze mu się na ogonie. Doigrał się. Czeka, aż błysnie na niego światłami, gotowy zatrzymać się na poboczu. Nic nie powie i zażąda dostępu do telefonu. Ale biało-czarny radiowóz zjeżdża na prawy pas, żeby go wyminąć. Jack patrzy przed siebie. Jaka reakcja jest bardziej naturalna - zerknięcie na wyprzedzającego kierowcę czy gapienie się na drogę? Czuje, że winę ma wypisaną na twarzy. Policjant jakby w ogóle się nie spieszył z wyprzedzaniem - zgłasza go już przez radio do centrali? W końcu przejeżdża obok Jacka, powoli nabierając prędkości, oddalając się. Jack bierze oddech.

Witamy w Windsorze. Jack kieruje się do nabrzeża. Po drugiej stronie rzeki z zakładów General Motors w Detroit wznosi się dym - Stany Zjednoczone są niemal o rzut kamieniem. Trafia na to, czego szuka, na skraju miasta.

Rozciągają się przed nim pola pełne wraków, pordzewiałych, rozbitych - z potłuczonymi przednimi szybami, zięjącymi maskami, zgniecionymi przodami. Jedno wielkie cmentarzysko samochodów. W oddali rzędy równo sprasowanych podwozi piętrzą się w pobliżu szopy w cieniu zgniatarki, której suwnica z uchwytem magnetycznym przypomina ogromne wahadło. To istny raj dla Henry'ego Froelicha i jego chłopaka, myśli Jack, wyjmując narzędzia z bagażnika. Już spokojny, przystępuje do pracy. Może mimo wszystko nadaje się do tego. Ściąga pokrywę z piast i posyła je niczym latające spodki na cztery strony świata. Potem przychodzi kolej na opony. Odkręca kolumnę kierownicy i wyszarpuje ją razem ze stacyjką i przewodami. Usuwa świece, odrywa zderzaki, które zaraz fruną w powietrzu. Wsypuje ziemię do zbiornika paliwa, zdejmuje pasek wentylatora, akumulator, po czym, dzierżąc łom w ręku niczym kij do baseballu, zabiera się do karoserii. Na koniec tłucze szyby.

W Detroit na pewno są większe złomowiska, ale Jack nie chciał ryzykować, że zostanie zatrzymany na granicy, teraz kiedy policja wszczęła już oficjalnie poszukiwania forda galaxy. Nie mówiąc o powrocie pieszo przez most godzinę później - chociaż wątpliwe, aby zwrócił na siebie uwagę strażników po obu stronach tej najdłuższej niestrzeżonej granicy na świecie. Sześć tysięcy kilometrów wolności.

Tablice rejestracyjne wrzuca do rzeki.

Z gabinetu w hali lodowiska wychodzi już ostatni umundurowany lotnik, zamykając za sobą drzwi. Posterunkowy Lonergan chowa notatnik i zwraca się do przełożonego: - Czy mam teraz zarządzić poszukiwania tego forda galaxy, panie inspektorze?

Inspektor Bradley mierzy wzrokiem podwładnego - nie daje poznać po sobie, co sądzi o zasadności zadanego właśnie pytania - po czym odpowiada: - Nie było żadnego forda galaxy.

Jeśli pana Marcha ciekawi, gdzie podziewa się Madeleine, kiedy pozostali uczniowie wrócili po przerwie do klasy, to w żaden sposób tego nie okazuje. Nie zawiadamia dyrektora ani nie dzwoni do matki uczennicy. Wybiega myślą do tego, co powie, gdy rodzice zapytają, dlaczego nie zgłosił nieobecności ich córki w tej szczególnej sytuacji. Może Madeleine sama postara się o to, żeby rodzice się nie dowiedzieli; oszczędziłoby mu to udręki odpowiadania na ich pytanie, dlaczego uciekła z jego zajęć.

Może pana Marcha nie obchodzi los Madeleine. Albo nie uważa, żeby coś jej groziło.

Jack każe taksówkarzowi zawieźć się do przedstawicielstwa Hertza w centrum Windsoru - tam spróbuje obmyć ręce ze smaru. Zaczyna odczuwać ból głowy, promieniujący od lewego oka. Ale postanowił, że nie będzie szukał apteki - w domu łyknie aspirynę. Wypożycza samochód - już nie trzeba przekradać się oplotkami. Pomknie szosą 401 prosto do Londynu i przy odrobinie szczęścia dojedzie na miejsce jeszcze przed zapadnięciem zmroku, chociaż i tak wie, że jego rodzina jest bezpieczna. Nie jest w stanie myśleć o swej córce; na jej twarz nakłada się twarz dziewczynki McCarrollów i Jacka przeraża niemal łaska Fortuny, jaką się cieszy. Jego córka żyje i jest szczęśliwa. A w tej chwili znajduje się w szkole. Trudno o bezpieczniejsze dla niej miejsce.

REQUIEM

Znajdźcie w opowiadaniu i wyjaśnijcie wyrażenie: „Błądziła myślami gdzieś daleko”.

Rozwijanie umiejętności czytania ze zrozumieniem,

Mary Eleanor Thomas, 1956

Muszą odszukać drugą wstęgę. To ich zadanie. Ale Madeleine zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę zależy jej na tym, żeby dowiedzieć się, gdzie przez te trzy dni i noce leżała Claire. Rex ją znalazł. „Zuch z ciebie, Rex”.

Przerwę przeczekały we dwójkę pod pozbawioną okien ścianą sali gimnastycznej i po dzwonku wymknęły się ze szkolnego placu. Colleen zostawiła Madeleine przy torach obok sklepu z napojami Popa i poszła do domu po Rekxa. Potem ruszyły polami do Rock Bass.

Pójście na wagary nie wydaje się Madeleine czymś nagannym. To tak jak nieobecność usprawiedliwiona, na przykład, uczestnictwem we mszy. Czy pobytem w szpitalu. W każdym razie nie urwały się z lekcji dla wygłupów. To chyba dostatecznie ważny powód, że narażając się na kłopoty, próbują odnaleźć drugą wstęgę z roweru Claire. I ujrzeć miejsce jej śmierci. To ofiara, którą należy złożyć. Colleen przeciska się za nią przez wyrwę w ogrodzeniu.

Zabrały ze sobą Rekxa na wypadek, gdyby cziął się tam morderca. Mordercy zawsze wracają na miejsce zbrodni. Może trzeba było się uzbroić. Spokojnie, Colleen nigdy nie rozstaje się z nożem. Poza tym w razie potrzeby znajdzie się jakiś kamień. Przez myśl przemknęła Madeleine strzelba Mike'a, ale to przecież zabawka, a one nie bawią się w wojnę.

Colleen pierwsza schodzi w dół wąwozu. Nie zabrały jedzenia; nie wybierają się na piknik. Zdjęły buty i skarpetki, i przeprawiają się przez lodowaty strumień, nogi cierpną im w kostkach. Potem wspinają się na drugi brzeg, ich przemarznięta skóra jest niewrażliwa na osty, i wychodzą na pole kukurydzy. *Uwaga.*

Wkładają buty i długo idą gęsiego między bruzdami, czując ciężar błota na podszwach. Rex prowadzi, jego zad podryguje przed nimi, kojąca sierść lśni w słońcu. Nie odzywają się. Zagony kukurydzy przechodzą w łąkę.

Jest wtorek, dzień słoneczny i ciepły, ale w brzuchu Madeleine panuje ziąb. Wszystko jest takie wyciszone, jak to w dniu szkoły. Wypatrujemy czegoś różowego, lśniącego w zeszłorocznej zwiędłej trawie albo powiewającego na lepkich pędach mlecza lub wysokich łądogach rogoży zakończonych brązowymi pałkami, których pękające czubki rozsiewają puch. A może zobaczą to, jak niesione wiatrem muska koronkowe baldachy krwawnika, rozrzucone po łące jak serwetki - cały krajobraz to obrus rozłożony do uczyty - a może w dole między szaroburymi rzepami, które czepiają się skarpetek - coś migocącego w słońcu, to będzie jej wstęga. Musimy ją odnaleźć, bo należała do Claire. I wciąż jest gdzieś tutaj, samotna, zagubiona. Dalej, naprzód. Rex zna drogę.

Posuwa się zygzakami; od czasu do czasu ogląda się za siebie, przystaje, pozwala im wysforować się do przodu. Zagania je. Wokół unosi się zapach rosnących w świeżej trawie konwalii, zgniatanych ich butami.

Teren staje się błotnisty. Przed nimi wznosi się samotny wiąz, przednia straż lasu.

To tu, stop. Nie zapuszczaj się dalej. Pozostań na obrzeżu. Jakbyś znieacka natknął się na staw - a przecież nie chcesz zamoczyć nóg. Gdyby to był staw, mógłbyś spojrzeć na

swoje odbicie, spekulować na temat istnienia podwodnego świata, który z kolei przygląda się tobie. Ale to nie jeziorko, tylko krąg udeptanej trawy i zielska, jakby miejsce na majówkę. Nie większe od kałuży. W sam raz, żeby pomieścić zgiętą postać. To tutaj leżała. Ale już widać wychodzące z ziemi koniuszki młodej trawy. Wkrótce nie będzie tu nic szczególnego do oglądania. Na skraju walają się kwiatki ciśnięte między połamane sitowie, zwiędłe dzwonki i mleczki z białym sokiem zaschniętym na zerwanych łodygach. Ani śladu różowej wstęgi.

- Może pochowają ją z jedną wstęgą albo zatrzymają sobie na pamiątkę - mówi Madeleine.

Gdy Madeleine dorośnie, Claire nadal spoczywać będzie w skrzyni zakopanej w ziemi. Wciąż będzie mała, ubrana w tę samą sukienkę co w dniu pogrzebu.

Obojętnie, co będę robić, obojętnie, gdzie trafię, Claire będzie tkwić w jednym i tym samym miejscu.

- Tak się nie robi z dowodami - oświadcza Colleen.

Dowody. Pomyśleć, że twój rower albo tenisówka czy cokolwiek z używanego przez ciebie na co dzień przedmiotu nagle zmienia się w *dowód*. Policja. Nie dotykać. Ścisłe tajne.

Przeszukują uważnie okolicę niczego nie ruszając. Odzywają się z rzadka, ściszonymi głosami. Stapają delikatnie. To przecież grób.

- Powinniśmy urządzić pogrzeb.

- Jasne.

Kiedyś Mike i Madeleine uroczyście pochowali muchę. Włożyli ją do pudełka od zapalek, zmówili modlitwę, a Madeleine ułożyła wierszyk: *Odeszła mucha, istota krucha. Nie będzie już bzyzczeń nam do ucha, biedna mucha.* Teraz słowa same jej się rymują: „Claire, jej ciało w bliznach, niech przyjmie je ojczyzna...” . Na tym przerywa, gdyż jedyne słowo rymujące się z „blizna” i „ojczyzna”, jakie przychodzi jej na myśl, to „bielizna”. „Ach, Claire, gdzież podziała się twa bielizna?”. Zginęła na wieki.

- Miała zdjęte majtki - odzywa się Colleen.

- Skąd wiesz? - pyta Madeleine.

- Słyszałam, jak pani Ridelle mówiła mojej mamie.

- To obrzydliwe.

- Właśnie.

Stoją w milczeniu, wpatrzone w zacierający się już krąg. Rex waruje obok.

- Może to morderca zabrał drugą wstęgę - mówi Madeleine.

- Mogła ją gdzieś zgubić.

- Nie, miała obie wstęgi. Pamiętasz? Obserwowałyśmy ją wtedy na drodze, kiedy jechała do Rock Bass z Rickym i Elizabeth.

- Wcale z nimi nie jechała.

- Wiem, ale widziałyśmy, że do kierownicy były przyłączone dwie wstęgi - Madeleine wbija wzrok w ziemię - i to było tego dnia.

Wyciąga rękę, żeby zerwać roślinkę i pożuć, ale powstrzymuje się - nie chce żuć ani jeść niczego, co stąd pochodzi.

- To my ostatnie oglądałyśmy ją żywą - mówi. Wszystkim na tym świecie pisane jest to, że jakaś osoba będzie ostatnią, którą ich widzi, którą oni widzą. Kto okaże się nią dla mnie?

- Nie, przecież Ricky i Elizabeth byli z nią potem - zauważa Colleen.

- No, tak.

- I jeszcze ktoś.

Colleen wyjęła nóż, ale nie otwiera go ani nie podrzuca i łapie, jak to ma w zwyczaju.

- Kto? - pyta Madeleine.

Colleen nie odpowiada, jej oczy są jak szpareczki, odwraca wzrok. Madeleine domyśla się: *morderca, oto kto*.

Madeleine słyszy cykanie pasikoników wspinających się po źdźbłach trawy. Słońce pali ją w czubek głowy. Pobliski las jest ciemny i chłodny. Rex obwąchuje skraj wydeptanego kręgu, ale on też nie zapuszcza się dalej. Colleen przesuwając ręką po przygniętej trawie. - Żeby sprawdzić, czy ziemia jest jeszcze ciepła.

- Jest?

- Trochę. Sama sprawdź.

Ale Madeleine nie chce. - Wracamy już, Colleen?

- Nie, najpierw ci coś powiem, ale jeśli kiedyś się wygadasz, zabiję cię.

Rex nastawia uszu i unosi głowę.

- Co jest, staruszkę?

Ich spojrzenia idą za wzrokiem Reksa w kierunku lasu. Trzask - w Madeleine zamiera serce, chwytając za ramię Colleen. Colleen nie odpycha jej, obie stoją jak skamieniałe. Odgłos ciężkich kroków. Trzęsą się liście. Madeleine wpija się palcami w ramię Colleen.

- Ciii - mówi Colleen.

Niedaleko nich, w zielonym cienistym gąszczu, między gałęziami prześwituje płowa peleryna - sarna. Zza cętkowanej zielonoczarnej zasłony - granicy lasu - przygląda się im ogromnymi brązowymi oczami. Niczym stworzenie z podwodnego świata, które wychynęło

na powierzchnię, aby zaczerpnąć tlenu, tej niebezpiecznej i nieodparcie kuszącej nicości.

Rex podkurcza łapy, warczy cicho. Jego łopatki drgają, przesuwa się do przodu.

- Spokój, Rex.

Zatrzymuje się.

Sarna wychodzi na łąkę. Pochyla łeb i zaczyna skubać trawę. Obserwują ją, we trójkę, przez długi czas, całe pięć minut, aż wreszcie sarna podnosi głowę i pędząc niczym wezbrany potok, przepada z powrotem w mrocznej gęstwinie.

Tak odprawiony został pogrzeb Claire.

- Co chciałaś mi powiedzieć? - pyta Madeleine.

Odwróciły się plecami do lasu, do ubitego kręgu, zostawiając za sobą miejsce zbrodni. Madeleine dostrzega kawałek błękitnej skorupki w trawie - jakby rozbitego jajka rudzika. Pochyla się, żeby go podnieść, ale Colleen łapie ją za nadgarstek i przyciąga do siebie. Stoją twarzą w twarz. Colleen trzyma otwarty nóż. Wpycha rękojęść w dłoń Madeleine i zaciska na niej jej palce. Potem wyciąga otwartą dłoń i mówi: - No, dalej.

- Co?

- Tnij - wyjaśnia Colleen. - A potem ja ciebie.

- Po co?

- Bo inaczej nie usłyszysz ode mnie ani jednego zasmarkanego słowa.

Madeleine waży w rękę rzeźbioną rękojęść i patrzy na otwartą dłoń Colleen.

- Tylko nie nacinaj głęboko, wystarczy, żeby pokazała się krew.

Colleen wpatruje się w nią. Madeleine się waha. Colleen sprawia wrażenie zahartowanej jak stal, ale jej dłoń wydaje się taka miękka. Madeleine opiera ostrze o mięsisty fałd na dłoni Colleen. Potem przyciska i przesuwa ostrze do siebie. Skóra rozchyła się i wyrasta z niej rząd czerwonych nasionek, które sączą się w zagłębienie na dłoni Colleen.

Colleen wyciąga rękę po nóż. Madeleine oddaje go jej. Colleen czeka, w stulonej dłoni zbiera się krew. Madeleine unosi lewą rękę, otwartą dłonią do góry, podtrzymując ją w nadgarstku drugą ręką, jakby bała się, że jej ucieknie.

Colleen podnosi nóż. Madeleine, sycząc, zamyka oczy, potem je otwiera. Colleen przygląda się jej, wykrzywiając usta w kpiącym uśmiechu.

- Jesteś gotowa, Mężna Myszko?

Madeleine kiwa głową. Zmusza się, żeby patrzeć, ale zanim udaje się jej przybrać zuchowatą minę, już jest po wszystkim. Nóż ledwo drgnął, a ona nic nie poczuła, lecz na jej dłoni jak wyczarowana wykwitła czerwona strużka, wzbierająca, z wdziękiem przelewająca się przez swoje brzegi. Colleen z płaskim uderza dłonią w dłoń Madeleine, przyciska mocno.

Madeleine też napiera, mimo to nie czuje bólu.

Colleen cofa rękę. - Już - mówi. - *On ai seurs de san.*

Ich ręce są umazane krwią niczym farbą. Pozwalają Reksowi wylizać skaleczenia, bo wiadomo, że ślina psów działa odkażająco.

Colleen rusza, Madeleine za nią. Colleen jakby o niej zapomniała. Idą w milczeniu.

- Hej, Colleen, co chciałaś mi powiedzieć?

- Nie tutaj - odpowiada Colleen.

W Rock Bass Colleen siada obok płaskiego głazu nad strumieniem. Spod kołnierzyka białej szkolnej bluzki wyciąga rzemyk, który nosi zawiązany wokół szyi; żółtobrazowy, wytrawiony przez czas, ledwo odróżniający się odcieniem od jej skóry. Koniec rzemyka zaciska w dłoni - tej nierozciętej.

- Zobacz - mówi. Rozwiera palce, pokazując maleńki zawiązywany woreczek z jeleniej skóry. Colleen otwiera go, pociągając za węzełki. Kciukiem i palcem wskazującym wyciąga na światło dzienne kryjący się w nim sekret. Zmięty świstek.

- Co to jest?

- Kartka z katalogu - wyjaśnia Colleen, wygładzając pognieciony papier.

Niegdyś błyszczący, teraz wytarty i spłowiały. Madeleine dostrzega kawałek czerwonego rowerka - chłopięcego rowerka - a pod spodem napis „Pony Express”.

- Jestem adoptowanym dzieckiem - oświadcza Colleen.

Ziemia drży bezgłośnie w posadach, klon przechyla się w bok, w jednej chwili pozbawiony oparcia w korzeniach.

Adoptowane dziecko. Madeleine skupia się na osmolonym płaskim głazie, który je rozdziela. Za Colleen otwiera się pustka, nie, za Colleen stoją zmarli rodzice. Wtedy adoptuje się dzieci.

- Jesteś sierotą?

- Przecież mam rodziców, głupolu.

- Wiem, ale chodzi mi o... przedtem.

- Moi biologiczni rodzice nie żyją.

Madeleine szumi w głowie. Colleen spotkało to, czego tak panicznie boją się wszystkie dzieci - że ich rodzice zginą w wypadku samochodowym - bo tak umierają rodzice.

Wszystko spowija tren śmierci, ma wrażenie Madeleine. A w jego fałdach tkwi uwięziony, niczym we flakonie, ten zapach. To zapach McCarrollów i Colleen, ćwiczeń polekowych, Madeleine i pana Marcha. Większość ludzi jest od niego wolna. I nawet nie

wyczuwa go u innych. Szczęściarze. *Jak mój tata. Myśli, że jestem słoneczkiem.* Jej matka raz czy dwa zwietrzyła coś, jakby woń dymu, ale zlekceważyła to, uznając, że to u kogoś innego się pali.

- To dlatego twoja mama pracuje społecznie w sierocińcu - stwierdza Madeleine, widząc swoje słowa jakby starannie napisane na czystej kartce. Słowa są czyste.

Kreseczka blizny w kąciu ust Colleen pobladła, wargi nabrały jasnioletowej barwy.

- Tak, między innymi.

- Ale byłaś zupełnie mała, kiedy cię adoptowali - mówi Madeleine.

- Nie, byłam już starsza.

- Ale nic nie pamiętasz.

- Dobrze pamiętam, kurwa, wszystko dobrze pamiętam.

Nie czas teraz na wnikanie, co znaczy „kurwa” - nie czas na pytania, które chlapią i mącą, lecz na słowa zapadające z łagodnym pluskiem.

- Dla mnie nie ma znaczenia, że jesteś adoptowanym dzieckiem.

Colleen wpatruje się w dal bez słowa.

- Dla twoich rodziców też.

- Wiem.

- Nikt z twojej rodziny nie przejmuje się tym, że jesteś adoptowana.

- Wszyscy jesteśmy adoptowanymi dziećmi, bałwanie.

Colleen zrywa źdźbło trawy i zaciska na nim zęby.

Przed oczami stają Madeleine wszystkie pociechy Froelichów, widziane jakby po raz pierwszy. To prawda, że są do siebie niepodobne, ale ona i Mike też nie wyglądają na rodzeństwo. Tylko że Mike jest podobny do taty, a Madeleine do *Maman*.

- Nawet Elizabeth?

- Tak - mówi Colleen, odwracając się do Madeleine. - Uważasz, że to zabawne?

- Nie - zagryza od środka policzek, żeby się nie uśmiechnąć, nie dlatego, że ją to śmieszy, ale tak, z przekory.

Colleen łapie się za kolana i zaczyna się lekko kołysać.

- Tylko Rick. Tylko z nim łączą mnie więzy krwi.

- To znaczy, tak... - Madeleine urywa i pokazuje świeżą ranę na dłoni.

- Nie, on jest moim rodzonym bratem.

To by się zgadzało. Jeśli się nad tym zastanowić, są do siebie podobni, tylko że jest to podobieństwo ukryte pod powierzchnią. Różnią się wyglądem - Rick ma czarne włosy i oczy i jasną karnację, w przeciwieństwie do Colleen z jej bladobłękitnymi oczami psa husky i śniadą

cerą. Poza tym Rick to dżentelmen w każdym calu. Ale ich oczy i kości policzkowe mają taki sam kształt, i oboje są szczupli.

- Pellegrim to nasze rodowe nazwisko - mówi Colleen.

Pellegrim. Madeleine zaraz skojarzyło się z „pielgrzymem”.

W chwili zderzenia Ricky i Colleen znajdowali się w tyle samochodu. Siedząc w kucki na podłodze, przeglądali katalog Searsa.

- To moja strzelba - oświadczył Ricky. Strzelba-zabawka, z białym zarysem kowboja na kolbie, pędzącego na koniu.

- To mój rower - oświadczyła Colleen. Czerwony „All American Pony Express” z lśniącem dzwonkiem i kierownicą.

- To rower dla chłopców - powiedział jej Ricky.

- Taki właśnie chcę.

- Jasne, czemu nie, jesteś całkiem sprawna jak na dziewczynkę.

On miał dziewięć lat, a ona sześć. Przeżyli dlatego, że siedzieli na podłodze. Kartka z katalogu paskudnie rozcięła Colleen twarz. Ricky doznał wstrząsu mózgu i musiał nosić przez pewien czas kołnierz ortopedyczny, ale w końcu wyzdrowiał. Rodzice wylecieli przez przednią szybę. Maskę plymoutha była rozbita, ale silnik tkwił na swoim miejscu.

Colleen wydostała się z samochodu o własnych siłach i podeszła do matki.

Zamiast drugiego samochodu zobaczyła na jezdni konającą łanię. W bagażniku był sztucer. Trzeba go wyjąć i dobić łanię, pomyślała Colleen. Nie mogła patrzeć na zwierzę, bo jeszcze żyło i okropnie cierpiało. Nie mogła patrzeć na matkę, bo była martwa. Nigdzie nie widać było ojca. Siła zderzenia cisnęła go aż między drzewa. Podeszła kawałek, dojrzała go, ale się nie zbliżała. Wróciła do matki i długo siedziała przy niej, kołysząc się na piętach. W rękę ścisnęła zmiętą stronicę z katalogu.

Kiedy Ricky się ocknął i wysiadł z samochodu, zobaczył, że łania wciąż daje oznaki życia. To było przeraźliwie smutne, te jej brązowe oczy. Colleen zastanawiała się, co się teraz stanie z jej małą córeczką zabłąkaną w lesie. Ricky wyjął z bagażnika sztucer i zastrzelił łanię. Przykrył ciało matki kocem, który własnoręcznie utkała. Znalazł ciało ojca i przysłonił jego twarz liśćmi. Potem wziął siostrzyczkę za rękę i oboje ruszyli szosą, wlokąc za sobą sztucer.

Silnik samochodu zgasł dopiero, kiedy skończyło się paliwo.

- Co teraz? - pyta Colleen, wstając.

- Nie wiem - mówi Madeleine. - A ty na co masz ochotę?

Płuczą stopy w strumieniu. Woda jest tak zimna, że nogi wystawione na słońce zaraz są suche. Wkładają skarpetki i buty, Madeleine swoje adidas, a Colleen zdarte wsuwane półbuty.

- Chodźmy - mówi Colleen. - Chce mi się palić.

Rozpoczęli nowe życie - w sierocińcu. Lecz wkrótce brat Colleen poszedł w świat. Wspomnienia o nim przetrwały jakiś czas, lecz w końcu Colleen zapomniała, że miała brata - rodzzonego brata. Miała teraz nowe imię - Bridget. Może jej poprzednie imię uznano za indiańskie i dlatego je zmieniono; taki los często spotykał dzieci, które trafiły do sierocińca. Te, które były Indianami. Dla personelu ona również była Indianką, choć pozostałe dzieci uważały ją za mieszzańca. Nie pochodziła z rezerwatu, nie należała do plemienia - kiedyś rodzina jej matki posiadała piękny domek na przydrożnej działce, ale straciła go i rozproszyła się po świecie. Colleen wywodziła się z samochodu.

Początkowo mówili o niej „niemowa”, później „niedorozwinięta”. Dzieciom w sierocińcu zabraniano posługiwać się własną mową, uznawaną za pogańskie narzecza. Kiedy wreszcie odezwała się w swoim *michif*, wywołała burzę. *Michif* w ogóle nie było językiem, a Metysi nie stanowili uznawanej społeczności.

W końcu określono Colleen jako „jednostkę o niepoohamowanej gwałtowności”. Kiedy Colleen wylądowała w szpitalu, do akcji wkroczyła opieka socjalna, która skierowała ją do ośrodka dla trudnej młodzieży niedaleko Red Deer, w prowincji Alberta. Umieszczano tam matolów i młodocianych przestępców. Wielu miało w sobie krew indiańską, czystą lub mieszaną. W nagrodę za dobre sprawowanie pozwalano im pracować na farmie. Colleen przywiązywano pasami do łóżka, dla bezpieczeństwa jej samej jak i pozostałych wychowanków. Ale uniknęła sterylizacji, nie przebywała tam dostatecznie długo. Pewnego dnia z sektora dla chłopców po drugiej stronie ogrodzenia ktoś zawołał: „Colleen!”. Odwróciła się, reagując na swoje zapomniane imię, którego od tak dawna nie słyszała. To był jej brat.

Karen Froelich uświadomiła sobie, że dłużej nie może pracować tam jako ochotniczka. Tej placówce nie potrzebna była pomoc, tę placówkę trzeba było po prostu zamknąć. Kiedy z Henrym adoptowali te dwa „ciężkie przypadki”, kazano im podpisać pisemne zobowiązanie, że nie wyjadą do innej prowincji i będą regularnie zgłaszać się do kuratora. Karen zajmowała się pomocą humanitarną z ramienia ONZ, Henry był uchodźcą. Oboje wiedzieli, jak działa biurokracja. Zapakowali dzieciaki do chevroleta i wyruszyli na wschód, przemierzając trzy tysiące kilometrów. Henry znalazł pracę w bazie lotniczej w Ontario, gdzie nikt nie

zapuszczał korzeni na dłużej i przez swój krótki okres pobytu nie wnikał za bardzo w cudzą przeszłość.

PRAWO DO ZACHOWANIA MILCZENIA

Zgarniają Ricka na szosie nr 4 we wtorek po południu, kiedy biegnie do domu ze szkoły w Exeter, z wojskowym plecakiem z książkami i przytroczonymi do niego butami na zmianę. Radiowóz powoli się z nim zrównuje. Rick widzi w środku parę znajomych policjantów i saltuje im beztrosko. Ten siedzący obok kierowcy pochyla się i mówi: - Wskakuj, synu.

Rick nie przerywa biegu. - Nie, dzięki. Trenuję.

- Wsiadaj do samochodu - odzywa się drugi, kierowca.

Rick zatrzymuje się. - Dlaczego? Co się stało?

Z rodzicami, dziećmi? Może z Elizabeth jest coś nie tak?

- No wsiadaj, do cholery - mówi pierwszy gliniarz.

Rick waha się. Drzwi od strony pasażera otwierają się i niczym byk z zagrody wyskakuje rozjuszony policjant. Rick obraca się i gna, na przełaj, przez pola, posłuszny pierwotnemu odruchowi. To szaleństwo, nie zrobił przecież nic złego, ale pędzi przez zagony wschodzących buraków, po twardniejących w słońcu skibach, książki obijają mu się o plecy, buty wałają w bok, pali go w gardle. Gliniarz jest daleko z tyłu, upewnia o tym Ricka spojrzenie przez ramię. Pędzi ile sił w nogach, ma przed sobą las, jeśli dobiegnie do linii drzew - znów oglądając się w biegu za siebie widzi, że zwalisty gliniarz stoi zgarbiony, podparty o kolana, bez tchu - wesołość wykrzywia kąciki ust Ricka, irracjonalne poczucie triumfu: „Spróbujcie mnie dogonić, *maudi batars!*”. Zanosi się śmiechem, broda do góry, pierś wyprężona, w ogóle nie jest zmęczony, mógłby tak biec bez końca - kolejne spojrzenie, z naprzeciwka sunie na niego radiowóz, podskakując na brzdach, wzniesając za sobą obłok kurzu. Nabiera prędkości, zmierza prosto na niego. Rick staje.

Dwadzieścia po siódmej Jack płaci taksówkarzowi i wysiada przed pomnikiem ku czci poległych w Exeter. Nadal jest widno, kiedy wraca pieszo do służbowego samochodu czekającego na niego na tyłach starej stacji kolejowej.

Nigdy nie czuł się tak dobrze za kierownicą, wreszcie może wygodnie rozsiąść się w

fotelu, nie tak jak w fordzie galaxy, w którym siedział dosłownie jak na szpilkach. Od taksówkarza, który wioził go z Londynu, gdzie zostawił wynajęty samochód, dostał dwie aspiryny. Czuje, że ból głowy powoli przechodzi, więc już bez przeszkód oddaje się przyjemności prowadzenia, rozkoszując się miękkim zawieszeniem wozu i błogim poczuciem wykonanego zadania - mimo smaru za paznokciami. Ma teraz ręce zupełnie jak Henry Froelich.

Niebieski ford był jedynym ogniwem łączącym Oskara Frieda z tą okolicą. Wkrótce nie zostanie z niego nic poza metalową skorupą. Jack wywiązał się ze swojego obowiązku wobec ojczyzny i królowej; teraz pora na analizę kosztów i zysków. Do zysków należy to, że Oskar Fried jest bezpieczny i nic nie stoi na przeszkodzie, aby wniósł swój cenny wkład w walkę Zachodu o osiągnięcie wojskowej i technicznej supremacji. Po stronie kosztów jest to, że przez niego policja rozproszyła swoje wysiłki i zmarnowała tyle cennego czasu, no i to ciągle okłamywanie żony. Co do drugiego punktu, wkrótce nie będzie już potrzeby uciekania się do kłamstw wobec Mimi, za to pierwsze zaś Jack robi sobie wyrzuty, ale pociesza się, że może Simon odpowiednio zadziała i znów naprowadzi władze na właściwy trop.

Wjeżdża przez bramę, nie mogąc się doczekać, żeby zdać służbowy wóz, umyć się i popędzić do domu. Zadzwoił do Mimi z Windsoru i powiedział, że utkwiał na przeciągającej się naradzie w Londynie. Ostatnie kłamstwo.

- Muszę zawiadomić rodziców, proszę pana - powtarza Rick.

- Każę komuś zadzwonić w twoim imieniu - odpowiada inspektor. - Jaki to numer?

Rickowi burczy w brzuchu. Znów trafił do tego samego pomieszczenia z gołymi zielonymi ścianami. Siedzi przy drewnianym stole, naprzeciw inspektora. Rickowi jest zimno. Odebrali mu plecak, w którym miał kurtkę, i do tej pory nie oddali.

- Dlaczego to zrobiłeś, synu? - pyta inspektor.

- Ale co?

Rick nie do końca jest świadomy swej sympatii, jaką zwykle okazuje dzieciakom. Krąży wokół niego niczym ptactwo. Nie zawsze dostrzega ich obecność, lecz gdy je zauważy, daje temu wyraz w różny sposób. Pokuśta malucha, gdy znajdzie się na placu zabaw i ten go o to poprosi. Postrzelać na bramkę, czemu nie, możesz przymierzyć moją kurtkę, jeśli chcesz. Jest jak gość z torbą prażonej kukurydzy dzielący się nią z gołębiami, które akurat przed nim siadają. Dlatego nie rozumie, co ma na myśli inspektor Bradley, gdy mówi: - Lubisz, kiedy są młode, co, Rick?

Białe budynki bazy połyskują w świetle ulicznych latarni. Jackowi spieszo do domu. Napawa się rześkim, jakby odświeżonym powietrzem; od dawna nie było mu tak lekko na duchu. Ominął go dzisiaj lunch i wybiega myślą do obiadu, który poda mu Mimi, cokolwiek by to miało być; poza tym stęsknił się za dziećmi.

Białe chmury na niebie odbijają księżyc; możliwe, że jeszcze spadnie śnieg, ale będą to ostatnie podrygi staruszki zimy. Wkrótce Jack zmieni swój granatowy mundur na letni, lekki, w kolorze khaki. Już cieszy się na wyjazd do Nowego Brunswiku w sierpniu - czas, żeby Mimi znów odwiedziła matkę, a Jack odprężył się trochę, grając ze szwagrami w karty.

Mija punkt informacyjny po lewej - gdyby nie zajrzał do niego wczoraj, żeby odebrać kartę pokładową dla Sharon McCarroll, gdyby nie wręczył jej osobiście, nigdy by się nie dowiedział, że to Froelich wypatrzył Frieda. Tak wiele w tej dziedzinie zależy od przypadku i umiejętności wykorzystania szczęśliwego obrotu wydarzeń. Ludzka inteligencja. Simon ma rację, to niedoceniany czynnik.

Kiedy zostaje zestrzelony samolot szpiegowski albo na światło dzienne wychodzi ktoś pokroju Igora Guzenki, na mgnienie oka odsłania się to, co zwykle skrzętnie jest skrywane, staje się widoczne dla wszystkich. Ale setki takich Simonów pracują na okrągło za kulisami, toczą niewidzialne bitwy, odnoszą ciche zwycięstwa po to, aby każdego ranka świat wyglądał tak samo jak dzień wcześniej. Abyśmy mogli dalej traktować zastany świat jako coś oczywistego i zachować wiarę: słońce znów wszędzie, niebo nie zaroi się od samolotów, nie unicestwi go wycie syreny przeciwlotniczej.

Przechodzi obok zadziornego spitfire'a, z dziobem zadartym do gwiazd, i przecina drogę okręgową. Jack należy do garstki osób, które wiedzą, jak cenny i kruchy jest cały ten ład. Pod spokojną powierzchnią codzienności narastają siły zamętu, siły, które chcą przywrócić panowanie chaosu. A on, na swój skromny sposób, przyczynił się do tego, że jego rodzina i miliony innych na razie się o tym nie dowiedzą. Rozpiera go duma, kiedy wchodzi na teren SKR-ów.

- Więc dlaczego ten twój lotnik się nie ujawnił, jeśli cię widział?

- Może został przeniesiony - odpowiada Rick. Głód przeszedł w mdłości, która to już jest godzina? Myśla, że udusiłem Claire McCarroll. - Może nie pracuje w tej bazie, może brał udział w szkoleniu i wyjechał następnego dnia.

- Nie wiesz, czy jacyś znajomi wojskowi niedawno odeszli z bazy?

- Nie wiem.

- Ale przecież cię znał - podobno ci pomachał - jak to wytłumaczysz?

- Nie wiem.

- Niewiele wiesz - wtrąca gliniarz, który ścigał Ricka po polu i walnął w brzuch, kiedy go w końcu dorwał. Teraz kiwa się na krześle, robi notatki.

- Chcę porozmawiać z tatą.

- Masz pecha, kolego - mówi zwalisty gliniarz. - W tamtym tygodniu nikt nie został przeniesiony, nie kończył się żaden kurs, nikt nie wyjeżdżał na urlop. Sprawdziliśmy. I co ty na to?

Rick wpatruje się w poryty blat.

- Jak to wytłumaczysz, młodzieńcze? - pyta Bradley.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Za to ja mogę.

Rick czeka, aż Bradley dokończy: - Nikt cię nie mijał na szosie.

To jakiś koszmar.

- Chcę się zobaczyć z mamą - mówi Rick i zagryza wargi, czując, że się czerwieni, jest bliski płaczu, osaczony. Podnosi wzrok. Na twarzy zwalistego gliniarza maluje się szeroki uśmiech.

Jack wbiega po schodkach, przesadza próg. - Co na kolację? Umieram z głodu.

Ale kuchnia jest pusta. Żadnych smakowitych zapachów, stół nienakryty.

- Mimi?... Dzieci?

Co się stało? *Coś im się przydarzyło, kiedy wyjechałem.* Wzdryga się, kiedy zegar z kukułką wybija godzinę; sięga po telefon, po notes Mimi - chociaż nie ma pojęcia, jak rozszyfrować jej zapiski - i spostrzega karteczkę przyczepioną do lodówki: „Jesteśmy u Froelichów”. Jack bierze oddech. Marzy mu się piwo. Może Henry ma schłodzonego löwenbräu.

Już ma zapukać do drzwi sąsiada, kiedy wypada na niego ten sakramencki owczarek.

- Rex! - Colleen łapie psa za obrozę. - Myślał, że znowu dobija się do nas jakiś gliniarz.

Dziewczyna odwraca się i odchodzi korytarzem. Jack przestępuje próg. Gra głośno gramofon. *Jelonek Bambi.*

- Tata! - Madeleine zrywa się z podłogi i biegnie do niego.

- Cześć, stary druhu.

- Cześć, tato - odzywa się jego syn, pochłonięty wznoszeniem budowli z klocków.

Salon Froelichów przedstawia pobojowisko - kosz z bielizną, gazety, kojec, zabawki.

Dziewczyna na wózku chyba nie odnotowuje jego przybycia, więc Jack się z nią nie wita. Mimi jest w kuchni, zajęta karmieniem obu niemowlaków, z których jeden drze się wniebogłosy. Ten widok wywołuje na jego twarzy szeroki uśmiech; pożartuje sobie z niej później. Dobrze wygląda w tej roli, z łyżką w każdej ręce, do której rwie się niemowlak umazany przecierem z brzoskwini. Ale ona nie odwzajemnia uśmiechu, oznajmia po prostu: - Na kuchence jest zupa. Policja aresztowała Ricky'ego.

- Co takiego? - Jack waha się, ale zupa pachnie kusząco. Podnosi pokrywę z garnka. - Za co?

- Za Claire - mówi Mimi.

Metal jest gorący, ale dociera to do niego po sekundzie, wtedy dopiero czuje, że ma poparzone opuszki palców.

- Claire? - powtarza Jack, nagle robi mu się sucho w ustach. To słowo rozpuszcza się w jego wnętrzu niczym kapsułka, rozchodzi się po całym ciele. *Claire*. Bierze głęboki oddech. Siada przy kuchennym stole; maluchy bębnią piąstkami w tacki do jedzenia. Mimi zgarnia im z policzków brzoskwiniową maź, z wprawą kieruje ją do otwartych buziek. Jack widzi, że jego żona porusza ustami. Wyteża się, żeby zrozumieć, co ona mówi - Froelichowie pojechali szukać syna; policjanci zabrali jego rzeczy, twierdząc, że nie wiedzą, gdzie Rick jest przetrzymywany. Mimi podchodzi do zlewu i płucze miseczki.

- Dlaczego? - mówi Jack. Jego pytanie zagłusza łoskot wody. - Dlaczego? - powtarza.

- Nie wierzą w jego alibi.

Jack studiuje słowo „alibi” - niczym osobliwą rybę na końcu wędk. Spostrzega stojącą w progu Colleen, jej spojrzenie jest czujniejsze niż zwykle.

- Położę ich spać, tylko zmienię im pieluchy - mówi dziewczyna, ledwo poruszając ustami.

- Cieszę się, że jesteś taka chętna do pomocy, Colleen - odpowiada Mimi. - Ale razem się nimi zajmiemy, dobrze?

Jack został sam w kuchni. Z salonu dolatuje rzewna piosenka w wykonaniu Shirley Tempie, jej głos brzmi tęsknie i zarazem zalotnie. *Jego alibi*. Jak to się stało, że mu to umknęło? Powinien przecież się domyślić. Chłopak na szosie z siostrą i psem... odwrócona perspektywa. Jack uświadamia sobie, że zapamiętał przebieg tego zdarzenia z punktu widzenia Ricka: niebieski samochód jadący pod słońce, odbłysek światła na przedniej szybie zacierający wszystko prócz zarysu kapelusza nad kierownicą; ręka wzniesiona na powitanie, machający mężczyzna. A gdy samochód odjeżdża w dal, wgniecenie w tylnym zderzaku, żółta nalepka.

Teraz Jack odtwarza to samo wspomnienie z własnej pozycji obserwacyjnej za kierownicą. Widzi Ricka biegnącego drogą, z psem, pchającego wózek inwalidzki z siostrą. Chłopak osłania oczy przed nagłym oślepiającym błyskiem. Potem kiwa ręką, nieśmiało, odwzajemniając powitanie. Środa po południu. Wtedy zaginęła córka McCarrollów.

Policji nie obchodziło to, co chłopak widział. Interesowało ich tylko, czy ktokolwiek widział chłopaka. „W środę po południu, dziesiątego kwietnia”, to chciał ustalić Bradley. Czyli w czasie, kiedy zostało popełnione morderstwo. Samo myślenie czy mówienie o „czasie, kiedy zostało popełnione morderstwo”, jakby narzucało ład wydarzeniu urągającemu wszelkiemu łaadowi. Nie powinno w ogóle się go określać; nazywanie go sprawia, że staje się częścią świata, a nie powinien do niego należeć.

Jack wpatruje się w blat kuchennego stołu; szare ciapki okleiny zlewają się z okruszkami, ślad po butelce z mlekiem. Splata ręce i kładzie je obok zwiłki rachunków przezroczytych od masła.

Wykonywał po prostu swoje zadanie... nigdy nie przyszło mu do głowy... Ale kto przy zdrowych zmysłach pomyślałby, że policja podejrzewa Ricky'ego Froelicha? Potrząsa głową - udział „zbrodniarza wojennego” zostaje wykluczony i wszystko nagle ukazuje się w całej ostrości: *Rick był ostatnią osobą, którą widziano z Claire. Rick znalazł ciało* - wiedział, gdzie szukać, jak twierdzi policja. A teraz, przez Jacka, mogą powiedzieć: *Rick kłamał, nie ma żadnego alibi na czas morderstwa*. Doszli do takiego przekonania, nie zważając na to, że Ricky Froelich to miły chłopak. W ich oczach jest po prostu nieletnim.

Coś syczy - Jack podnosi wzrok, zupa kipi. Wstaje, wyłącza gaz. Ogrzewa sobie ręce nad zabrudzonym palnikiem.

Z głośnika w salonie rozlega się dziarska komenda: - Zbudź się, Sowo! Zbudź się, przyjaciółko!

Oblicze inspektora Bradleya jest nieprzeniknione, jego głos pozbawiony wyrazu, jakby czytał na głos instrukcję obsługi.

- Zostawiłeś siostrę na wózku inwalidzkim i biorąc ze sobą psa, zważyłeś Claire McCarroll na pole, gdzie usiłowałeś ją zgwałcić, a kiedy groziła, że na ciebie doniesie, zabiłeś ją.

- Co cię tak bawi, Rick? - pyta gliniarz siedzący pod ścianą.

- Nic.

- Musi być w tym coś zabawnego, bo się śmiejesz.

- To czysty obłąd.

Próbował zachować powagę, ale okazało się, że łatwiej powstrzymać napływające łzy. Jest wpół do dziewiątej wieczorem, tkwi w tym pomieszczeniu od pięciu godzin, nie puszczono go do łazienki, nie dano nic do jedzenia, w kółko zmusza się go do powtarzania tej samej historii. Wmawiają mu, że zostawił swoją siostrę na wózku bez opieki.

- Nigdy nie zostawiłbym siostry samej na... - zanosi się histerycznym śmiechem, aż łzy spływają mu po policzkach. Opiera głowę o ręce złożone na stole. Piersią targają konwulsje.

- Co powiedziałaś?

- Dlaczego jej nie zapytałeś? - mówi Rick, ocierając łzy.

- Kogo, Rick? - pyta inspektor Bradley.

- Mojej siostry. Była ze mną przez cały czas. Ona wie.

Inspektor Bradley nie odzywa się. Zwalisty gliniarz bierze łyk coli. - A co by to dało, Rick? - pyta.

- Ona może wam powiedzieć, że ja tego nie zrobiłem.

- Ona może nam guzik powiedzieć, Ricky.

- Właśnie, że może. Była...

- Jest niedorozwinięta umysłowo.

Ricka ogarnia znużenie. Przenosi spojrzenie z mężczyzny w garniturze na mężczyznę w mundurze i mówi do niego: - Chyba cię popieprzyło.

Madeleine sięga do puszek po słodyczach, którą Mike zabrał z domu, i wyjmuje zielonego żołnierzyka, który zamierza się, żeby rzucić granatem. Z muzyczną bajką o Jelonku Bambi jest tak jak z dobrą książką, nie sposób się nią znudzić. Dorosły głos Shirley Tempie przykuwa uwagę i każe wysłuchać opowieści aż do jej gorzko-słodkiego końca, głos rozedrgany, lecz pełen odwagi, jakby to przemawiało twoje własne serce. „Kiedy Bambi i jego mama doszli do skraju łąki, posuwali się naprzód bardzo ostrożnie, gdyż łąka była szeroka i rozległa”.

Madeleine przygląda się nieprzepuszczalnej zaporze, jaką postawiła wokół wózka Elizabeth, przestawia leżącego snajpera i czuje, jak na kark spada jej mokra kropelka. O nie, ślina Elizabeth. Ale nie wolno się na nią złościć, ona nic nie może na to poradzić. Madeleine podnosi głowę.

To nie ślina. To łza.

- Nie martw się, Elizabeth - mówi Madeleine, przybierając przesadnie życzliwy ton, jakim zwraca się do kotków i małych brzdąców. - Ricky niedługo wróci.

Rozebrali go do naga. Szukają śladów na jego ciele.

- A to skąd się wzięło, młodzieńcze?

Rick milczy. Spogląda na klęczącego przed nim lekarza, który szpatułką uniósł do góry jego prącie.

- Przytrzasnąłeś go sobie drzwiami? - pyta gliniarz.

Lekarz obrzuca go spojrzeniem i gliniarz zakłada ręce, mrużąc: - Niedobrze się od tego robi człowiekowi.

Z boku, tuż poniżej żołądki, otarcie wielkości dziesięciocentówki. Lekarz zapisuje coś, potem pyta: - Co to jest?

- *Ci qouai ca?* - mówi Rick.

- Słucham?

- Coś ty, do cholery, powiedział? - wtrąca się gliniarz.

Rick milczy. Inspektor Bradley czeka niewzruszony. Drugi umundurowany policjant fotografuje członka Ricka. Za drzwiami słychać zamieszanie.

Rick wie, że to otarcie od spodni, dżinsów z obciętymi nogawkami. Od kąpieli w lodowatym jeziorze w niedzielę i wkładania ich w pośpiechu z powrotem na gołe ciało. Nic nie mówiąc, zapina rozporek.

Lekarz ogląda przez szkło powiększające ramiona Ricka, twarz i szyję. Szukają na jego ciele oznak walki. Poddali dokładnym oględzinom jego ubranie, szukając jakiegoś śladu, plamki, czegokolwiek.

- Zaczniemy od początku, Rick - odzywa się inspektor Bradley. - W którą stronę pobiegłeś, gdy dotarłeś do skrzyżowania? Wyteż pamięć.

- *Asseye de ti rappeli.*

Wracają mu wspomnienia żelaznych łóżek. Kobiet z surowymi głosami, w białych butach, wlokących go za ręce. Szaroburego linoleum, zapachu gotowanej fasoli, odoru szczyń.

- Jak namówiłeś tę dziewczynkę, żeby z tobą poszła?

- *En pchit fee.*

- Przestań - mówi gliniarz siedzący pod ścianą.

- Mamy przed sobą całą noc, Rick - oświadcza Bradley. - Nie zapominaj o tym, synu.

Pamięta to dziwne uczucie, jak co pewien czas wracało do niego wspomnienie siostry, którą kiedyś miał. Słowo „siostra” jakby zaczęło dla niego oznaczać coś, co utracił. Posiadanie siostry było stanem przejściowym. Siostry nie umierały, tylko naturalną kolejną rzeczą znikwały. Kiedy brat i siostra znów się spotkali, Rick miał wrażenie, jakby ocknął się z zaczarowanego snu. Przysiągł sobie, że nigdy już nie pozwoli, aby podobne odrętwienie

odebrało mu kogoś z bliskich.

Kiedy on i Colleen będą pełnoletni, sami zadecydują o tym, czy wrócić do swojego pierwszego - prawdziwego - nazwiska - Pellegrim. Jego ojciec grał muzykę francuskich Kreolów i śpiewał. Rick nie wie, skąd pochodził, ojciec nigdy nie powiedział; nigdy jednak nie nazwał się Amerykaninem ani Kanadyjczykiem, twierdził, że w jego żyłach płynie indiańska krew. W czasie drugiej wojny światowej walczył na Pacyfiku. Nie miał paszportu, ale ich rodzina często przekraczała granicę - były wtedy takie miejsca. Zagubione wśród bezkresnych łąk. Matka Ricka miała długie czarne włosy, miękkie łagodne rysy twarzy. Po niej Rick odziedziczył czarne lśniące oczy. Genevieve.

Jeździli od jednego rodeo do drugiego. Ojciec nosił kowbojski kapelusz i skórzaną kurtkę z frędzlami, na której matka własnoręcznie wyszyła mu koralikami orła. Wywodziła się z Red River Valley; pewnego dnia Rick wróci tam i zobaczy, czy żyją jeszcze jacyś jego krewni. To wszystko, co mu zostało. Zmieściłoby się do węzełka, który można by przyczepić do kija, gdyby nagle trzeba było ruszyć w drogę. *Ousque ji rest? Chu en voyaugeur, ji rest partout.*

- Mów po angielsku - upomina go gliniarz.

Zostali sami. Inspektor i lekarz wyszli. Słysząc gwar na korytarzu - Rick poznaje głos matki. Odwraca się i jednocześnie zgina w pół z bólu. Gliniarz rąbnął go kolanem w jądra: nogę, ciasno opiętą niebieskim materiałem, nadal trzyma zgiętą, gotową do następnego uderzenia. Lecz nie dane mu jest dokopać Rickowi, gdyż otwierają się drzwi i do środka wkracza inspektor Bradley. Inspektor informuje Ricka, że jest aresztowany pod zarzutem zgwałcenia i zamordowania Claire McCarroll, i odczytuje mu jego prawa. Zaraz potem wchodzi rodzice Ricka. Ricka pociesza myśl, że zdążył włożyć ubranie przed przyjściem matki.

Matka obrzuca go szybkim spojrzeniem i wrzeszczy na inspektora Bradleya: - Co wyście mu zrobili, bydlaki!

Ale umundurowany policjant już się ulotnił i na nic zdają się głośnie nalegania matki, żeby oddali jej syna, ani perswazje ojca, wygłaszane z profesorskim oburzeniem. Nie odnosi to żadnego skutku.

W gabinecie Bradley sporządza notatkę służbową dla komendanta, w której domaga się, aby policjant, który uderzył Richarda Froelicha, został przeniesiony do innej jednostki. Bradley nie lubi przemocy. Jego zadaniem jest służyć aparatowi sprawiedliwości najlepiej, jak potrafi. To delikatna sprawa. Richard Froelich jest nieletni, ale popełnił zbrodnię na miarę dorosłego i powinien być sądzony jak dorosły. Pogłoski o znęcaniu się policji nad

„bezbronnym dzieckiem" mogą jedynie zaszkodzić.

Jack przechodzi przez ulicę, próbując nadążyć za Madeleine i Mikiem, którzy gnają do domu na telewizję.

- Tato, możemy oglądać *Jaskiniowców*? - pyta córka.

- Jasne.

Źle się dzieje na niskim szczeblu. Ale Simon ma wpływ na wysokim szczeblu. Jack zadzwoni do niego z domu i powie, żeby natychmiast interweniował.

- Tato, możemy się napić oranżady? - pyta syn.

- Weźcie sobie - mówi Jack i podnosi słuchawkę. Kiedy Simon uporządkuje sprawy na wysokim szczeblu, poprawi się też sytuacja na niskim szczeblu. Już ma wykręcić numer, kiedy przypomina sobie, że powinien użyć nocnego, który przechowuje w portfelu. Razem z kluczem do forda galaxy. Miał się go pozbyć na złomowisku. Rozwija kartkę z numerem, wybiera numer i wsłuchuje się w sygnał połączenia. Kiedy Simon odbiera, Jack mówi do telefonu ściszym głosem. Dobrze się składa, że w pokoju obok ryczy telewizor.

- Syn sąsiada został aresztowany za zabicie córki McCarrolla.

- Wielkie nieba.

- Właśnie. Policja w ogóle nie zainteresowała się Friedem, chodziło im o chłopaka.

- To o tym chłopaku mi wspominałeś - mówi Simon. - Mijałeś go na szosie.

- Tak.

- Okropność. Cóż, przynajmniej go złapali, to chyba jakaś pociecha.

- Co? Nie, Simon, chłopak jest niewinny. A ja stanowią jego alibi.

- Aha - kwituje Simon po króciusieńkiej chwili.

Siedząca w salonie Madeleine widzi, jak ojciec odwraca twarz i opiera się o lodówkę. Głowę ma pochyloną, wolną ręką trzyma się za kark.

Jack niemal przytyka słuchawkę do ust. - Policja powinna skupić się na szukaniu tego zwyrodnialca, a nie marnować czas na...

W pokoju dzieciaki sprzeczą się o coś. Jack odsuwa się w głąb kuchni tak daleko, jak sięga sznur.

- Trzeba im powiedzieć, że mogę zaręczyć za chłopaka. Trzeba jak najszybciej wyjaśnić to całe zamieszanie, oczywiście dyskretnie. Si, musisz się rozmówić z kim trzeba.

- Czyli?

Jack czuje, że naraża się na śmieszność. Oblizuje wargi. - Nie wiem, może z kimś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Służby Bezpieczeństwa - kimś, kto ma dojścia do

tutejszej policji.

- Prawda jest taka, mój przyjacielu, że taka osoba nie istnieje.

- ...Co to znaczy?

- To, co powiedziałem - wyjaśnia Simon, lekkim niemal tonem. - Sprawa jest już zamknięta. Sowieci myślą, że Fried nie żyje. Musiałem ograniczyć liczbę wtajemniczonych do minimum. Jesteś jedynym Kanadyjczykiem, który brał w tym bezpośredni udział. Uprzedzałem cię przecież.

Tylko ty o tym wiesz. Mówił to w dosłownym znaczeniu.

- A co z... no wiesz, jak ci się udało - Jack potrząsa głową - jak ci się udało, na Boga Ojca, załatwić dla Frieda kanadyjski paszport? Jak możesz działać na terytorium Kanady bez porozumienia z naszymi władzami?

- Pozbyłeś się samochodu?

- W tej chwili to już kupa złomu. Simon, zadałem ci pytanie.

- To, co robimy, mieści się w ramach naszych zobowiązań wynikających z postanowień NATO.

- Gówno prawda. Co tu jest grane?

Jack przeklął niczym elew, w swojej własnej kuchni. Ogląda się przez ramię, ale dzieciaki siedzą jak urzeczzone przed ekranem, ich twarze skąpane są w niebieskiej poświacie. Wszystko zagłusza jazgot z odbiornika.

- To fakt - mówi Simon. - Decydenci wolą nie wnikać w szczegóły albo stwarzają pozory, że ich nie znają, ale zasady prowadzonej przez nich polityki pośrednio upoważniają nas do tego rodzaju działań, oni wręcz oczekują ich od nas, w przeciwnym razie już dawno zostalibyśmy przyłączeni do ZSRR.

Czy to zgodne z prawem? To, co robi dla Simona? Co mu tak naprawdę wiadomo o Oskarze Friedzie?

- Dla kogo ty właściwie pracujesz, Simon?

- Chyba już czas, żebym ci postawił tego drinka.

Oskar Fried to obywatel Związku Radzieckiego, jasny gwint. A Jack przygarnął go, wierząc na słowo przyjacielowi z dawnych lat. Człowiekowi, z którym widuje się raz na dwadzieścia lat.

- Mówiłeś, że to wspólna akcja Amerykanów, Kanadyjczyków i Brytyjczyków.

- Nie określałem tego dokładnie. Mogę cię tylko zapewnić, że nie sowiecka.

- Zdajesz sobie sprawę, chłopie, że po okolicy grasuje zabójca?

Jack ściska słuchawkę, aż zbielały mu palce. Ale Simon odpowiada mu cichym

głosem: - Nie jest to teraz zbyt radosne miejsce, co? Ta Centralia? Nie podoba mi się to, że będzie sądzony niewinny chłopak, Jack. Nie uśmiecha mi się to, że mordercy dzieci hasają na wolności.

Z pokoju dochodzi odgłos serii z broni maszynowej.

- Nie temu służy moja praca.

Jack nie odzywa się.

- Nie o to się biliśmy, Jack.

Biliśmy. My.

Jack słyszy westchnienie na drugim końcu linii i czuje się zawstydzony. Wreszcie oddycha pełną piersią. Simon nie jest wrogiem. Wróg czai się gdzieś tam za oknem. Jack spogląda w połyskującą czerń kuchennego okna i widzi mężczyznę, z pochyloną głową, przy telefonie. Podchodzi i zaciąga zasłony - Mimi uszyła je w Niemczech.

- Wasza policja kiepsko się spisuje - mówi Simon. - Widać, że nie mają zielonego pojęcia, kto się za tym kryje.

- Na myśl o tym robi mi się niedobrze, Simon. To ja skierowałem policję na fałszywy trop.

- Naprawdę sądzisz, że tylko ty jesteś za to odpowiedzialny? - Simon w fotelu instruktorskim obok niego. Stawia odpowiednie pytania. - Oberwaliśmy trochę. Ale wykaraskamy się z tego. Nie podawaj diabłu ręki, dopóki go nie spotkasz.

Jack bierze kolejny głęboki oddech, jak najostrożniej, żeby nie spotęgować bólu głowy. Simon ma rację. Policja uczepiła się Ricky'ego Froelicha, bo nie ma innych podejrzanych. Ciekawe, czy w domu jest jakaś aspiryna.

- Jak wygląda sytuacja, Jack? Czy twój sąsiad...

- Froelich.

- Rozmawiał z kimś? Pojawiły się jakieś wzmianki o Dorze w gazetach?

- Nie. Będą się rozpisywać o aresztowaniu, ale... Gdybym był jego prawnikiem, poradziłbym mu, żeby nie wychylał się z tą historią o zbrodniarzu wojennym. To tylko obciąża chłopaka.

- Słuszna uwaga.

- Simon, jeśli sprawy wezmą zły obrót, będę musiał się zgłosić.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło.

W salonie wyje syrena przeciwlotnicza.

- Wspominałeś o tym komuś? Friedowi? - dodaje Simon, jakby po namyśle. - Że jechałeś tym samochodem?

- Nie...

- Żonie?

- Nikomu.

- To dobrze. Postąpiłeś, jak należy, stary.

Ból głowy powraca ze zdwojoną siłą. Pulsuje mu lewe oko, nagle przecina je srebrny błysk i z pola widzenia Jacka znika spory obszar.

- Będę cię informował na bieżąco.

Kładzie słuchawkę na widełki, ale jeszcze przez chwilę nie wypuszcza jej z rąk. W pokoju obok jego córka śpiewa piosenkę z reklamy: „Na zęby stałe i mleczne pepsodent działanie ma skuteczne!”. Gdzie Mimi trzyma aspirynę? Przeszukuje szuflady. W szafce pod zlewem trafia na starą, znoszoną suknię, Mimi na pewno jej nie nosi, co ona tutaj robi? Czy to możliwe, żeby nikt w rządzie kanadyjskim nie wiedział o pobycie Frieda? Czyżby Kanada dawała wolną rękę amerykańskim i brytyjskim służbom? Tuż za jego plecami wybucha granat. Jack obraca się i w dwóch susach dopada do salonu.

- Ścisż to cholerne pudło!

Madeleine podnosi wzrok. Ojciec stoi w progu, mierzy wzrokiem jej brata.

- Ale, tato, prawie nic nie słyhać - mówi Mike.

Twarz ojca przybiera dziwny wyraz. - Coś ty powiedział, mój panie?

- Nic.

Madeleine siedzi na sofie, przytulając poduszkę, a Mike wlecze się do telewizora i ścisza głos. Ojciec nie odrywa od niego oczu.

- A w ogóle co ty oglądasz, na miłość boską?

Madeleine od początku przeczuwała, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe - półnadzy hitlerowcy, piersiasta panienka...

- *Na polu walki* - odpowiada Mike.

- I pozwalasz siostrze oglądać tę chałę?

- To dobry film.

- Amerykańska chała.

- Jeśli nie ma kanadyjskiej...

Prask! Mike obrywa od taty w ucho.

- Au - krzyczy Mike i robi się czerwony.

Jack staje przed telewizorem. - Powiem ci coś: do jednej i do drugiej wojny Amerykanie przystąpili późno i lubią sobie przypisywać zasługi, a wiesz, kto walczył na pierwszej linii od samego początku za pierwszym i za drugim razem?

To pytanie retoryczne.

- My Kanadyjczycy - usta ojca zamieniają się w cienkie, sine kreski. - Wiesz, ilu kanadyjskich lotników zginęło w czasie ostatniej wojny?

Ogień z broni maszynowej - „Dostałem!”, woła na ekranie Sarge. Mike odruchowo wychyla się, żeby dojrzeć coś obok ojca, który odwraca się i wyłącza telewizor. Mike uderza pięścią w poduszkę.

- Dwóch na trzech lotników nie wróciło z wojny - mówi Madeleine.

- Zgadza się. - Jack łapie Mike'a za ucho i ściąga go z sofy.

Mike piszczy.

- Marsz do łóżka! - komenderuje ojciec, zgrzytając zębami.

- Au! Tato!

Jack prowadzi syna za ucho. Mike, bosy i w piżamie, sprawia nagle wrażenie bardzo drobnego. Kark ojca poczerwieniał. Mike powstrzymuje łzy. Madeleine spuszcza wzrok.

- Ja nie chodzę spać o tej porze, tato! - ostatnie sylaby wyrzuca z siebie ze szlochem, który stara się w sobie zdusić.

Ojciec popycha syna w stronę schodów. Mike potyka się na pierwszym schodku. Jack dogania go, chwytając za włosy, wlecze go do góry. Mike krzyczy: - Tato, przestań, proszę.

- *Qu'est-ce qui se passe ici?* - woła *Maman* z kuchennego progu, upuszcza torebkę na podłogę. Jack zwalnia uścisk i Mike pędzi do góry - słysząc trzaśnięcie drzwi od jego sypialni.

Jack przykłada rękę do czoła i mówi: - Mimi, nie mogłem znaleźć, ee... - bierze głęboki oddech, Madeleine słyszy drżenie w głosie taty. - Gdzie jest aspiryna?

Madeleine siedzi nieruchomo, przyklejona do poduszki. Zapomnieli o jej istnieniu?

Mimi patrzy na niego. - Co ci jest, Jack?

- Boli mnie głowa - mówi łagodnie, siląc się na uśmiech. Rozsadza mu czaszkę.

- Usiądź na chwilę.

Jack wraca do kuchni, siada na stołku i czeka, a Mimi idzie na górę po lekarstwo. Madeleine widzi, że ojciec się nie rusza. Podpiera lekko czoło palcami. Mimi wraca.

- *Tiens*. - Podsuwa mu tabletki i szklanekę z wodą do popicia.

Jack wkłada je do ust i dla niej zdobywa się na uśmiech. - *Merci* mówi i połyka tabletki.

Wstaje, ból wali go w czoło jak obuchem, ale Jack nie siada z powrotem. Przez chwilę kuchenne światło migocze mu przed oczami. - Idę się przewietrzyć - oświadcza.

Mija Mimi, schodzi po stopniach, które jakby się zwężyły i zatarły, ktoś wyłączył

światło? Poczucie się swobodniej na dworze, gdzie panuje ciemność. Przeszkuje próg i odzyskuje wzrok w lewym oku; nad przywróconym obszarem widzenia rozciąga się teraz drgający łuk, jakby oko częściowo zanurzone było w wodzie. To przedzie. Byle tylko znaleźć się tam, gdzie nie ma ulicznych latarni. Uliczne latarnie pieką, świetlne otoczki przyćmiewają wszystkie widzialne kształty, rażą nawet przez przymknięte powieki, wwiercają się pod czaszkę. Dzisiejsza jazda pod słońce, bez okularów. Bez kapelusza. Bez kolacji. To tylko ból głowy.

Jack ma wrażenie, jakby oprzytomniał w zbawczym mroku nocy, kiedy spogląda na jarzące się jasno domy i budynki bazy, rozpościerające się przed nim już w bezpiecznej odległości, cekiny migoczące na czarnym tle nieba. W odległym końcu bazy błyska miarowo czerwone światełko na szczycie wieży kontrolnej. Przeszedł chyba ze dwa kilometry. Czuje zapachy pól. Ziemi i nieba. Teraz kiedy doszedł już trochę do siebie, uświadamia sobie, jak mało brakowało, żeby zupełnie się rozłożył, gdy wychodził z domu dziesięć, dwadzieścia minut temu. Stalowy odłamek przecinający lewą połowę głowy, rozszczepiający oko. Niedługo zacznie topnieć, rwać. Najgorsze już minęło. Jeszcze parę aspiryn i szklaneczka szkockiej.

Kieruje się z powrotem do domu. Oczy ma zażawione. Pali go w gardle. Może złapał wirusa. Staje, wyciąga rękę i opiera ją o rozmiękły, drewniany słupek. Zaczyna łkać. To pomoże uśmierzyć ten przeklęty ból. Po policzkach spływają mu łzy, cieknie z nosa.

To niesamowite, co ból głowy może zrobić z człowiekiem. Dobrze, że wyszedł na dwór, oszczędził Mimi zmartwienia. Zapytałaby, co jest nie tak, a chociaż wszystko się strasznie pogmatwało w związku z ostatnimi wydarzeniami, to jednak nie na tyle, żeby nie dało się wyprostować.

Poza tym że mała dziewczynka jest martwa.

Jack opiera się czołem o rękę, ciężarem głowy naciska na słupek w ogrodzeniu. Zginęło dziecko. Oczami wyobraźni widzi dziewczynkę z brązowymi potarganymi włosami, leżącą na wznak w polu. Ma twarz jego córki. Jack wybucha płaczem. Wokół ani żywego ducha. Słyszy w myślach głos Madeleine, *Tato*. Szłocha w zgięte ramię. *O, Boże*. Zginęło dziecko. Zakrywa twarz dłońmi - *dobry Boże. Dziecko*.

- O, Boże - mówi na głos, pociągając nosem, wycierając nos rękawem - słowa dobywają się z jego piersi zmięte jak papier. Wciąga powietrze ustami, twarz ma umazaną. Nie moja córeczka, lecz przecież słodkie dziecko. Zabrane. Ot tak. Jack wali pięścią w słupek, *Jezu* - i jeszcze raz, *Jezu* - zostawcie mnie na chwilę z *tym...* brak słów na określenie tego bydlaka - szarpie za słupek, który chwieje się jak luźny ząb - a *zatlukę, rozerwę* go na strzępy.

Gołymi rękami.

Odrywa rękę od gładkiej powierzchni palika. Z oczu wciąż płyną mu łzy. Wyciąga koszulę ze spodni, żeby wytrzeć twarz, wydmuchać nos. Chusteczkę zostawił w służbowej marynarce wiszącej na kuchennym krześle, wyszedł z domu w niebieskiej koszuli i dopiero teraz uzmysławia sobie, że jest zimno, chłodny kwietniowy wieczór.

Całe szczęście, że nikt tędy nie przejeżdżał i nie zobaczył go w takim stanie, zapłakanego, bez marynarki, krawata i kapelusza. *BKM*. Mimowolnie przychodzi mu na myśl ten skrót, może dlatego, że przedstawia teraz sobą żałosny widok. *Brak kręgosłupa moralnego*. Kiedy Jack szkolił się na pilota, znał jednego faceta, który właśnie za to został wyrzucony z lotnictwa. Mogło to oznaczać cokolwiek. Zwykle oznaczało tchórzostwo. Brak odwagi. Załamanie po nalocie bombowym albo, podczas szkolenia, niemożność powtórzenia lotu.

Madeleine stoi jak skamieniała pod drzwiami sypialni Mike'a. Są zamknięte, ale słychać cichy śpiew *Maman*. Mimo że głos jest przytłumiony, Madeleine rozpoznaje melodię. *Un Acadien errant*. Ulubiona piosenka Mike'a. *Maman* mu jej nie śpiewała, odkąd przeprowadzili się do Centralii. Mike'owi niepotrzebne były piosenki, potrzebne mu było odosobnienie, aby w zaciszu swego pokoju mógł kleić i podziwiać tak przez siebie hołubione modele samolotów.

Madeleine domyśla się, że *Maman* masuje mu plecy pod ciepłą piżamą. Mike leży na brzuchu i swymi piwnymi oczami wpatruje się spokojnie w mrok. Madeleine nasłuchuje, stojąc tak nieruchomo, jakby poruszenie choćby małym palcem mogło zdradzić jej obecność pod drzwiami.

To jak wyczekiwanie przed salą operacyjną, żeby dowiedzieć się, czy pacjent przeżyje. Za półtora tygodnia Mike skończy trzynaście lat. Ukatrupiłby ją, gdyby się dowiedział, że szpieguje go teraz. Ale w tej chwili jest dotkliwie zraniony i ani mu w głowie zabijanie. *Maman* opatruje mu rany. Jej głos wznosi się i opada, snując opowieść o Akadyjczyku tułaczem wygnanym z ojczyzny.

Henry Froelich widzi Jacka wychodzącego zza rogu St. Lawrence Avenue. Stoi na schodkach przed wejściem, światło nad drzwiami jest zgaszone.

- Dobry wieczór, Jack.

Jack patrzy zmrużonymi oczami na dom Froelichów, osłaniając je przed blaskiem ulicznej latarni, który rozlewa się w plamę.

- To ty, Henry?

- *Ja.*

- Jak Karen to znosi?

- Nie najlepiej.

Jack nie ma wyboru. Podchodzi do niego, wciąż oślepiiony smugą światła. Dostrzega częściowo sylwetkę Henry'ego Froelicha na skraju żółtego kręgu.

- Jeśli mogę wam jakoś pomóc... - mówi cienkim, piskliwym głosem. Czy Froelich to zauważa?

- Jack?

- Tak? - Przełyka ślinę.

- Kiedy policja przesłuchiwała dziś wszystkich, przesłuchiwała też ciebie, *ja?*

- Zgadza się.

- O co ciebie pytają?

- Niech pomyślę, pytali, czy w zeszłą środę jechałem samochodem. Szosą nr 4. Pytali, czy widziałem kogoś.

Jack kaszle.

- Jesteś chory.

- Widocznie krąży w powietrzu jakieś cholerstwo.

- Pytają cię o znajomość z jakimś zbrodniarzem wojennym?

Zaskoczenie Jacka zadany bez ogródek pytaniem jest szczere. Nie musi udawać, nie musi kłamać, gdyż policja nie indagowała go o to.

- Nie, nie pytali - uśmiecha się blado, co wywołuje u niego łupanie w skroni. - Na pewno bym pamiętał. A dlaczego?

- Masz ochotę na lampkę wina, Jack? - Froelich kładzie rękę na klawce.

- Hank?

To żona woła go z okna na piętrze.

- *Ja, mein Liebling?*

- Lizzie domaga się, żebyś przyszedł, kotku. Cześć, Jack.

Jack przysłania oczy ręką, spogląda do góry i dostrzega zarys jej postaci na rozświetlonym ekranie.

- Cześć, Karen.

- To jakaś farsa - mówi Karen i po raz kolejny zdumiewa Jacka to, jak młodo brzmi jej głos. - Godzinami przetrzymywali Ricka na posterunku, dopiero potem postawili mu zarzuty, nie wezwali obrońcy, nawet nas nie powiadomili.

- To powinno wystarczyć, żeby od razu ukrećić sprawie łeb.

- Mój znajomy pracuje w redakcji „Stara”. Namówię go, żeby tu przyjechał i... - rozlega się płacz dziecka i zarys Karen wycofuje się w głąb pokoju.

- Przepraszam cię, Jack, ale muszę iść - mówi Froelich.

- Prześpij się trochę.

- Ty też, przyjacielu.

- Co mówi obrońca?

- Jutro się z nim spotkamy. Przed rozprawą o wyznaczenie kaucji.

- Daj znać, jeśli będę mógł wam w czymś pomóc.

- Mimi już tak wiele dla nas zrobiła.

Żółty krąg skurczył się do rozmiarów kleksa i Jack widzi już dość dokładnie niemal całą postać sąsiada. Froelich ma w oczach łzy. Wyciąga do Jacka rękę, Jack ją ściska.

- Dobry z ciebie sąsiad - mówi Henry Froelich.

Od siedzenia w kucki pod drzwiami sypialni Mike'a zdrętwiała jej stopa. Bugs przysnął, z uszami założonymi na oczy, żeby nie raziło go nocne oświetlenie. W zamieszaniu wywołanym dziś przez aresztowanie Ricky'ego Froelicha nikt nie zauważył, że Madeleine ma rozciętą dłoń, to jedyny pożytek z tego smutnego wydarzenia. Madeleine ukrywała ranę. Skaleczenie pokryło się ładnie strupkiem i przestało szczytać. Przygląda mu się teraz w półmroku - na jednym końcu ranki połyskuje wilgotna drobina, Madeleine kusi, żeby sprawdzić, jak szeroko może otworzyć dłoń, nie odnawiając przy tym rany. Słyszy odgłos otwieranych drzwi frontowych i cichutko jak myszka przemyka się na zdrętwiałej nodze z powrotem do swojej sypialni. Tata wrócił.

Mimi zostawiła w kuchni włączone światło. Przygotowała mu kanapkę z siekanym kotлетem i przykryła przezroczystą folią. Jack chowa ją do lodówki. Sięga do kredensu i wyjmuje butelkę szkockiej. W tym domu butelka starcza na długo. Ta, otwarta zeszłej jesieni, jest jeszcze do połowy pełna. Johnie walker z czerwoną nalepką. Jack nalewa sobie whisky i od razu ją wypija. Wrzuca kostkę lodu do szklanki i nalewa sobie kolejną porcję.

Ściąga buty i skrada się do góry po schodach. W korytarzu pali się światło. Drzwi do sypialni córki są niedomknięte; Jack zagląda do środka. Śpi na plecach, głowę okala jej aureola włosów rozrzuconych na poduszce. Jack ociera lewe oko, które zawsze mu łzawi, gdy mija ból głowy. Dobrze, że się wypłakał, przecież nie jest z kamienia. Lód w szklance pęka z cichym trzaskiem, lecz Madeleine ani drgnie. Pokój wypełniają jej dziecięce zapachy, oddechu, flanelowej piżamy, pasty do zębów, marzeń. Moja mała dziewczynka jest cała i zdrowa.

Przygody Tomka Sawyera leżą na nocnym stoliku obok podniszczonego wydania *Pinokia*. Gagatek. Może zostać, kimkolwiek zechce, świat stoi przed nią otworem. Mój mały wulkan.

- Dobranoc, skarbie - szepcze.

Madeleine nie odpowiada ani nie otwiera oczu, gdy czuje jego dłoń na czole. Myśli, że jego córeczka śpi, a ona nie chce sprawiać mu zawodu.

Wydaje jej się, że słyszy, jak na pożegnanie tata mówi: - Kocham cię.

Dziwi ją to, gdyż zwykle mawiał: „*Maman* i ja bardzo was kochamy, dzieci”. Ale dziś tak właśnie do niej powiedział, nie przesłyszała się, i tym bardziej nie może dać mu poznać, że nie śpi. Przez leciutko rozwarłe powieki widzi jego plecy na tle nocnej poświaty, i bezgłośnie porusza ustami: - Ja też cię kocham, tatusiu.

To też ją trochę dziwi, gdyż chociaż to dziewczynki z reguły nazywają ojców „tatusiami”, ona, w przeciwieństwie do Mike'a, nigdy nie używa tej pieśczołliwej formy.

W powietrzu za nim unosi się, niczym zjawa, ulotna ostra woń, rozsiewana przez bursztynowy płyn w jego szklance. Madeleine dodaje ją do zestawu zapachów kojarzonych z osobą taty - cygar i niebieskiej wełny, skóry, old spice'a i gazet, i jego często przez nią masowanego karku.

W sypialni Jack zrzuca z siebie spodnie, uważając, żeby sprzączka paska nie uderzyła o podłogę. Osusza do końca szklankę, ściąga skarpety i wsuwa się pod kołdrę; jest w siódmym niebie. Włosy żony pachną lakierem, czuć jeszcze trochę rozkoszne perfumy, jakimi dziś się skropiła - odwraca się do niego.

- Zajrzałeś do Mike'a?

Mruga zaskoczony. - Po co?

- Nie mógł zasnąć, był taki roztrzęsiony.

Roztrzęsiony? No tak, przypomina sobie kłótnię z synem. I o co? O telewizję. Niech diabli wezmą ten kretyński wynalazek.

- Jack, zbiłeś go?

- Co? Kiedy?

- Wczorem.

- Nie, nie. Puściły mi nerwy, to wszystko.

- Idź go przykryć - mówi, gładząc go po ramieniu.

Mimi na pewno się domyśla, że coś jest nie tak. Wszystkimi wstrząsnęła śmierć dziewczynki, wszyscy przejęli się aresztowaniem chłopca, ale ona na pewno się domyśla, że trapi go jeszcze coś innego.

- No dalej. - Przywiera do niego ustami w ciemności, całuje go.

Jack wstaje z łóżka. Zawsze starannie rozdzielał pracę i dom. Praca to jedno - stamtąd przynosi do domu tylko wypłatę - a rodzina drugie, w domu poświęca jej całą uwagę. Czasami mężczyźni muszą samotnie zmagać się z przeciwnościami, nie mogą obarczać żon dodatkowymi kłopotami - Jack wkłada szlafrok - i tak mają dość na głowie. Wie, że Mimi nie będzie wnikać w jego sprawy. O ile jutro on, Jack, zachowa się, jak należy.

Idzie do pokoju syna. Przez zasłony w pojazdy kosmiczne i planety otoczone pierścieniami sący się do środka blask księżyca. Na ścianie kanadyjskie myśliwce Golden Hawk nadal zajmują poczesne miejsce, ale rośnie zagrożenie ze strony grubych pancerzy i ciężkiego uzbrojenia na coraz liczniejszych wycinkach z czasopism. Bombowce B-52 zastygły na pasie startowym. Masywna sylwetka czołgu typu Sherman przeziera przez tropikalne listowie, zza palmowych liści błyskają oczy amerykańskiego żołnierza, którego poczerniona twarz stapia się z tłem. *Silni i zwarci...*

Jack przenosi spojrzenie na syna, skulonego w płataninie prześcieradła i kołdry, marszczącego czoło przez sen. W kogo on się wdał? W swojego dziadka, ojca Jacka? Może; Jack nie pamięta zbyt dobrze swego ojca. Dziś wieczorem potraktował syna trochę za surowo. Trudno, taki los chłopców. Chłopcy muszą się nauczyć. Jutro wybierzemy się gdzieś razem - jaki to dzień? Środa. Przejdziemy się na lodowisko, wyciągniemy sprzęt do hokeja.

Podnosi czapkę z podłogi - „4 Dywizjon Myśliwców” - i zawiesza ją na lustrze nad komodą. Przed wyjściem zerka jeszcze raz na łóżko. Jego syn to strzała, a on ją może wycelować, napiąć cięciwę i wystrzelić. Chce nadać chłopakowi właściwy kierunek. Mike jest silny, kocha matkę. Jack po prostu chce zapewnić mu możliwości, jakich sam w życiu nie miał.

- Przykryłeś go? - pyta Mimi, kiedy wsunął się z powrotem pod kołdrę.

- Śpi jak suseł - mówi Jack, głaszcząc ją. Mimi wtula się w jego plecy, obejmuje od tyłu w pasie. Muska ustami płatki uszu. Jack ani drgnie. Całuje go w szyję.

- Jack? - szepcze.

- ...branoc, najdroższa - mamrocze. - Kocham cię.

I natychmiast zapada w sen.

W areszcie w Goderich Ricky Froelich nie śpi. Za oknem umieszczonym tuż pod sufitem na tle granatowocznego nieba widzi poruszające się gałęzie. Jeśliby podskoczył, złapał się prętów i podciągnął, zobaczyłby kamienny mur, który oddziela dziedziniec od drzewa i rozciągającego się dalej miasteczka. Słoneczny dzień albo ciemna noc, taka jak ta,

nadaje budynkowi okręgowego aresztu malowniczości albo lekko niepokojącego gotyckiego uroku. Tak czy inaczej, to najstarsze więzienie w prowincji Ontario, ważny zabytek Goderich, stolicy okręgu Huron, *najładniejszego miasta w Kanadzie*.

Kilka razy zdarzyło się Ricky'emu zdrzemnąć, ale niezmiennie budzą go słowami: „Jeszcze nie śpisz, synu, masz ochotę pogadać?”.

Wyprowadzają go z celi, dają butelkę coli i powtarzają to samo pytanie: „Co zrobiłeś, kiedy dotarłeś do skrzyżowania, Rick?”.

Tej nocy Madeleine śni się grobowiec Donnellych, ale zamiast wrytych imion i nazwisk członków rodziny Donnellych, po których następuje *Zamordowany*, *Zamordowana*, widnieją na nim imiona i nazwiska dzieci Froelichów, a po każdym z nich *Adoptowany* lub *Adoptowana*.

Ricky Froelich: *Adoptowany*

Elizabeth Froelich: *Adoptowana*

Colleen Froelich: *Adoptowana*

Roger Froelich: *Adoptowany*

Carl Froelich: *Adoptowany*

W tym śnie występuje też Rex, liżący lody różowym jęzorem, a ktoś za plecami Madeleine mówi: „Rex jest Indianinem”. Madeleine nie odwraca się, gdyż wie, że to Claire, a ten sam głos mówi: „Popatrz na moje różowe lody”, i w tej samej chwili Madeleine spostrzega, że to nie lody, tylko różowa wstęga od roweru...

Budzi się z okrzykiem, który więźnie jej w gardle. Znów zmoczyła łóżko, o nie. Wstaje i maca pościel - nawet poduszka jest wilgotna. Obwąchuje odciśniętą w prześcieradle wilgotną plamę w kształcie swego ciała. To tylko pot. Spogląda przez okno na niewzruszony księżyc. Księżyc nie odtrąca nikogo. Madeleine wpatruje się w niego, a jego chłodny blask studzi w niej gorączkowy niepokój. To przyjazny chłód.

Dawno, dawno temu była sobie jaskinia pośród gór. Była głęboka i ciemna, ciemna jak przestrzeń kosmiczna, a we wnętrzu jaskini krył się skarb. Niewolnicy pracowali dzień i noc, żeby tego skarbu przybywało. Gołymi rękami powiększyli jaskinię, wygarniając wnętrzości ziemi, harując w pocie czoła, pozbawieni widoku słońca i księżyca, tak więc czas odmierzały im głód i zmęczenie. Bito ich, wieszano, dziesiątkowały ich choroby i głód. Żyli z tym skarbem i spali u jego boku w tym wilgotnym podziemnym świecie. I choć sami byli brudni, skarb był czysty. Ich okrutni panowie nazwali skarb Zemstą. Wszystko to zdarzyło się w nie tak odległym kraju, kraju Goethego i braci Grimm. Jaskini nadano miano „Dora”, co znaczy „złoto”.

Tymczasem na powierzchni toczyła się sroga bitwa. Zli panowie zostali pokonani; dobrzy panowie odkryli jaskinię, uwolnili niewolników i zagarnęli skarb. Aby nikomu nie kojarzył się z nieczystościami jaskini, w której powstał, z cierpieniem niewolników, których był dziełem, i z okrucieństwem panów, którzy złupili ziemię, żeby go posiąść, nowi panowie przenieśli skarb do swej ojczyzny i tam jeszcze bardziej go oczyścili. Zabrali też ze sobą kilku wybranych spośród złych panów i ich również oczyścili. Ale niewolników nie zabrali, gdyż ich nic już nie mogło oczyścić. Skarb nazwali Apollem, od imienia boga Słońca. Nie miało to nic wspólnego z Ziemią. Ziemię wykreślono z tej historii.

Mogło to wzbudzić jej gniew.

UCZYNNE UCZENNICE

Tuż obok butelki mleka stojącej przy drzwiach wejściowych dwa szkolne zdjęcia umieszczone na pierwszej stronie, jedno przy drugim. Do fotografii Claire - tej samej, którą zamieścili wczoraj - dołączyła fotografia Ricky'ego. On też jest uśmiechnięty, czarne lśniąco włosy ma zaczesane gładko do tyłu, wykrochmalony kołnierzyk koszuli rozpięty pod szyją. Zawsze przedstawia się w ten sposób zabitego i oskarżonego, w niezwiązanych ze sobą ujęciach, ponieważ nie można już postawić obojga w nowych pozach.

Nad ich wizerunkami nagłówek: *Chłopak z miejscowej bazy aresztowany w związku z morderstwem dziewczynki*. Jego nazwisko przekreślono: Richard Frolick. Jack szybko podnosi gazetę z progu, żeby schować ją przed wzrokiem córki, i wraca do kuchni, zapoznając się pobieżnie z treścią artykułu. Żadnej wzmianki o zbrodniarzu wojennym. „Niesprawdzone twierdzenia” o „tajemniczym kierowcy” - w kapeluszu lotnika, prowadzącym samochód typu sedan, najnowszy model, z nalepką Bajkowych Ogrodów. Doniesienia te sprawiają, że Jackowi napływa krew do twarzy.

Mimi nalewa mu herbaty: - *'tention, Jack, c'est hot*.

Wiadomości nadawane przez radio wtórują prasowym: „Policja aresztowała wczoraj młodego chłopaka oskarżonego o zamordowanie...”. Mimi wyłącza radio. Jack siada za stołem i nie odrywając wzroku od gazety, sięga po filiżankę. Dziś po południu rozprawa o wyznaczenie kaucji. Wieczorem Ricky będzie w domu. Jack zastanawia się, co się stanie, jeśli już po oczyszczeniu Ricky'ego z zarzutów Froelich powiadomi opinię publiczną o swoim „odkryciu”. Ale to zmartwienie Simona, nie jego.

- *Papa* - odzywa się Mimi. Jack podnosi wzrok. Mimi naprowadza jego spojrzenie na syna, zgarbionego nad miską płatków w mleku, z podpartą brodą.

- Zdejmij łokcie ze stołu, Mike - upomina go Jack i w następnej chwili, zaskoczony, widzi, że Mimi próbuje przekazać mu ponad głową chłopca jakiś bezsłowny komunikat.

Jackowi nagle wraca pamięć. - Mike, co powiesz na hokeja dziś po południu?

Chłopak mamrocze coś w odpowiedzi.

Jack powstrzymuje cisnącą mu się na usta reprimendę i pyta spokojnie: - Co mówisz, kolego?

- Dziś wieczorem baseball.

- Właśnie, poważne rozgrywki, świetnie.

Jacka korci, żeby samemu usunąć łokieć syna ze stołu, ze słowami: „Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię”, ale napotyka wymowne spojrzenie Mimi nalewającej wody do czajnika i znów zagłębia się w lekturze. Gdzieś na dworze, jakby u Froelichów, zaczyna szczekać pies, ale ich pies nigdy tak nie szczeka - długo, bez wytchnienia.

Do kuchni wchodzi Madeleine. - Przed domem Froelichów stoi policyjny radiowóz - oznajmia.

Mimi wygląda przez okno. Rzeczywiście, stoi. Pies jest uwiązany i ujada, szarpiąc się w kierunku domu.

- Pewnie Ricky wrócił - mówi Madeleine.

Ojciec zerka na nią, ale nie odzywa się. Rex zawzięcie szczeka. Matka włącza radio i nastawia je na stację nadającą właśnie rock and rolla! Jazgot saksofonów i potężne dudnienie bębnów - Martha and the Vandellas płoną z pożądania. Madeleine nie dowierza, kiedy ani mama, ani tata nie fatygują się, żeby zmienić stację. Mike robi papkę ze swoich płatków. Madeleine wsypuje sobie ryżowe chrupki i przystawia ucho do miseczki, żeby posłuchać, jak pękają i zanurzają się z leciutkim pluskiem. Seksowna muzyka do śniadania, ten świat oszalał. Madeleine zaczyna podrygiwać na krześle. Piosenka budzi w niej wspomnienie Ricky'ego i Marshy całujących się na progu i czuje, jak w jej piersi rozlewa się gorąco.

Kończy się piosenka i radosne głosy śpiewnie namawiają słuchaczy, żeby już dziś skorzystali z usług wypożyczalni samochodów Hertz. Jack wstaje, wkłada marynarkę i wsuwa gazetę pod pachę. Sięgając po kapelusz, sprawdza, czy ma jakieś monety w kieszeniach, ale jego palce trafiają jedynie na nieszczęsny klucz do forda galaxy. Pozbędzie się go w pracy.

- No to trzymajcie się ciepło.

- Jack - odzywa się Mimi.

- O co chodzi, moja pani?

Mimi odwraca się do dzieci. - Ricky jeszcze nie wrócił do domu. Policja uważa...

Jack wpada jej w słowo, przemawiając najbardziej cierpliwym tonem, na jaki może się zdobyć.

- Policja uważa - mówi wolno, chodzi o to, żeby wyłożyć to dzieciom przejrzyście, żeby wyszło to z ust rodziców - że Ricky Froelich może być zamieszany w to, co się przydarzyło...

- Myślą, że to on ją zabił - przerywa mu syn.

Jack bierze oddech. Kiedy się odzywa, jego głos brzmi niebezpiecznie cicho. - Po prostu wykonują swoje zadanie. Mylą się, ale wkrótce zrozumieją swój błąd - energicznie nasuwa kapelusz na głowę - i Ricky wróci do domu.

Zaskakuje go nagłe ściśnięcie w gardle. Nie dowierza sobie na tyle, żeby powiedzieć coś żonie na pożegnanie; boi się, że jego głos przybierze ten sam piszczący ton co wczoraj wieczorem. Czyj to głos?

Całuje żonę w policzek, ale ona odwraca się i całuje go w usta - nie chce, żeby poszedł do pracy rozgniewany albo w przekonaniu, że ona się na niego gniewa.

Odpowiedź spada na niego, jeszcze zanim dochodzi do ulicy: to głos starego człowieka.

Kiedy dziesięć minut później Madeleine wychodzi do szkoły, samochód policyjny wciąż stoi przed domem Froelichów. Mike nie zaczekał na nią - chyba zapomniał, że jest jej aniołem stróżem. Rex nie przestaje ujadać i napinając smycz, rwie się do domu.

- Spokojnie, Rex - woła Madeleine.

Na pysku zebrała mu się piana. Madeleine martwi się, żeby policjanci przez pomyłkę nie zastrzelili go jak wściekłego psa. Może powinna poczekać, aż wyjdą, i wyjaśnić im, że Reksowi nic nie jest.

- Madeleine!

Odwraca się. To matka woła do niej z okna w kuchni. - *Va à l'école, tout suite!*

Madeleine dogania Auriel i Lisę. Pocieszają się nawzajem przewidywaniami swoich tatusiów, że Ricky Froelich niedługo zostanie zwolniony z aresztu. Madeleine pyta Auriel, skąd wie, że jej ojciec zapisał ją na naukę jazdy konnej.

- Jak babcię-drapcię, McCarthy, chyba się wygadałam! To miała być niespodzianka.

Lisa zapisała się na naukę jeździectwa i jest zachwycona końmi. - Och, Madeleine, powinnaś zobaczyć Socksa, jest taki śliczny, a jego matka... Nagle słychać głos Colleen. - Madeleine.

Madeleine przeżywa wstrząs. Colleen woła ją po imieniu w drodze do szkoły, w obecności koleżanek...

- No idźcie - nakazuje Colleen pozostałym dziewczynkom. Auriel już ma się sprzeciwić, ale Madeleine mówi: - Poradzę sobie.

Colleen czeka, aż Auriel i Lisa będą za daleko, żeby ją usłyszeć, i zwraca się do Madeleine: - Co powiesz, kiedy cię zapytają?

- O co?

- Czy go widziałaś?

- Kogo?

- Ricky'ego, przecież nie Świętego Mikołaja.

Colleen patrzy jej prosto w oczy.

- Co masz na myśli?

- W zeszłą środę, z Claire.

Madeleine nie chce więcej rozmawiać o Claire. To jak okolica, z której się wyjechało i do której nie ma się ochoty wracać. Madeleine rusza, Colleen idzie przed nią tyłem.

- Musisz powiedzieć, że widziałas, jak skręca w lewo przy wierzbie.

- No dobrze, ale nie widziałam - mówi Madeleine.

- No dobrze, ale przecież skręcił w lewo.

Madeleine mruży oczy i wykrzywia usta. - Dlaczego mam mówić, że widziałam coś, czego nie widziałam? - pyta, naśladując Humphreya Bogarta.

- Bo myślę, że to on ją zgwałcił i zamordował.

Madeleine staje jak wryta.

- Co to znaczy „zgwałcił?” - Pytanie wyrzywa jej się niczym słaby, wychudzony ptak, który zdołał precyzyjnie się przez kraty.

Spuszcza wzrok, gdyż wcale nie chce, żeby Colleen jej odpowiedziała. To mroczne, cierpkie słowo. Madeleine wie, co oznacza, żałuje tylko, że poznała na to określenie. Czuje zapach tytoniu i podnosi głowę. Colleen zapala papierosa, osłaniając płomyk w stulonej dłoni. Madeleine rozgląda się dookoła; ulica roi się od dzieci, w każdym kuchennym oknie czujna matka.

Colleen wydmuchuje dym kącikiem ust i mówi: - Ale z ciebie niewinne dziecko, McCarthy.

Madeleine czerwieni się. - Tata i mama mówią, że to pomyłka i Ricky wróci do domu na kolację.

W chwili gdy wypowiada te słowa, ma wrażenie, jakby rozstawała się z czymś na zawsze. Coś odleciało na niewidzialnych skrzydłach i nigdy nie wróci. *Mama i tata nie mają racji.*

- Wierzysz we wszystko, co mówią tatuś i mamusia? - pyta Colleen.

Madeleine popycha ją. Colleen traci na chwilę równowagę, ale zachowuje spokój i nie odpłaca jej tym samym. Madeleine zrywa się i pędzi do szkoły.

- Ęczył eewoo! Eewoo! Oo foszy!

Elizabeth miota się na wózku, strzela dziko oczami. Ma zaślinione usta, jej szloch

niemal zagłusza Reksa, który ochryplł od ujadania. Henry Froelich podnosi ją z wózka i zabiera z pokoju. - Cii, cii, Lizzie, ja, *ruhig*.

- Słyszał ją pan - mówi Karen Froelich. - Powiedziała, że skręcił w lewo. W stronę szosy. Ile razy ma to powtarzać?

Inspektor Bradley wstaje z podniszczonej kanapy Froelichów i odhacza kolejny punkt na liście, którą ułożył sobie w głowie. Nawet jeśli sędzia zgodzi się, żeby to dziecko zeznawało jako świadek, jego zeznania nie będą miały zbyt dużego znaczenia - to przecież siostra oskarżonego. Ale Bradley ją przesłuchał, żeby nikt nie mógł mu zarzucić, że cokolwiek pominął. Już i tak w całym kraju głośno jest o tej sprawie; do redakcji prasowych zaczynają napływać listy pełne oburzenia. Kiedy zacznie się rozprawa, zaleje je istna powódź. Ludziom nie chce się wierzyć, że dziecko zdolne jest do tego, żeby zgwałcić i zamordować drugie dziecko. Gdybyśmy żyli w idealnym świecie, taka myśl nigdy by nikomu nawet nie zaświtała. Ale na tym polega praca Bradleya. Poza tym to nie dziecko, to nastolatek, który osiągnął pełną dojrzałość płciową. Niemniej, chociaż Bradley nie podziela niedowierzania zwykłych ludzi, potrafi je zrozumieć. Nie może za to ścierpieć bolejących humanitarystów, bezpiecznie zamkniętych w swoich wieżach z kości słoniowej i niedopuszczających do siebie brutalnej prawdy o współczesnym świecie, gotowych rozgrzeszyć najgorszego nikczemnika, powołując się na nieszczęśliwe dzieciństwo i garść niedowarzonych freudowskich wymysłów. Prawda jest taka, że wiele ludzi zaznaje straszliwych cierpień w dzieciństwie i wcale nie wyrasta na morderców. Bradley pokaże im, kto ma rację.

- Przykro mi, że tak zdenerwowałem dziecko, pani Froelich.

- Nazywam się Froelich, a ona nie jest dzieckiem, ma szesnaście lat.

Ta kobieta nie dba o wygląd. Może sama jest bezpłodna i stąd to poczucie posłannictwa. Pomyśleć, że adoptowała takie dziecko... Nie mówiąc o pozostałych. Bradley szukał świadectwa urodzenia Richarda Froelicha i trafił na dokument adopcyjny.

- Richard i jego młodsza siostra są Indianami, zgadza się?

Choć jej wahanie trwa ledwie sekundę, Bradley poznaje po niej, że jest zaskoczona.

- Nie, nie zgadza się. Są Metysami.

Bradley już rozgryzł Froelichów: świętsi od samego papieża, prowadzą krucjatę przeciwko światu. Podnosi kapelusz z zaśmieconej ławy.

- Wniosem oskarżenie przeciwko policjantowi, który dokonał aresztowania - oświadczą Karen Froelich.

- Co pani mu zarzuca?

- Pobił mojego syna.

- Chłopak nie odniósł obrażeń.
- To jeszcze dziecko.
- Stawiał opór podczas aresztowania. A to jest równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Karen Froelich nie może zaprotestować, gdyż Bradley nie dopuszcza jej do głosu.

- Zapewne wie pani, że nie został wypełniony nakaz sądowy dotyczący Richarda Froelicha i jego młodszej siostry... - Bradley przenosi spojrzenie na umundurowanego policjanta w progę, który zagląda do notatek i mówi: - Colleen.

Bradley widzi, że jego rozmówczyni blednie. Nie chodzi mu o to, aby uprzykrzać jej życie, lecz przydałoby się, żeby traktowała go z należytą powagą. Wygląda na to, że osiągnął ten cel.

- Niech pani zwróci się po radę do swojego prawnika. Przypuszczam, że powie pani to co ja: lepiej skupić się na obronie syna, zamiast marnować pieniądze, próbując postawić przed sądem policję.

Wychodzą, przezornie omijając szerokim łukiem warczącego owczarka. Umundurowany policjant odwraca się i mówi: - Niech pani pilnuje psa.

- Niech pan pilnuje siebie - odcina się Karen Froelich.

Twarz Bradleya nie wyraża żadnych uczuć, ale Karen widzi, że jego towarzysz się uśmiecha. Karci sama siebie w duchu. Taką postawą nie przysłużyła się synowi. Albo córce - czy ten inspektor porozumiał się już z kuratorem w prowincji Alberta? Może po prostu wywiera na nią nacisk. Pragnęłaby podzielać optymizm męża, który wciąż powtarza: „Przecież to Kanada”. Dziś mają się spotkać w Londynie z prawnikiem, jeszcze przed rozprawą o wyznaczenie kaucji. Prawniki zapewnił ich, że oskarżenie opiera się na wątplych podstawach. Może nie powinna rozdmuchiwać sprawy pobicia przez policjanta - przynajmniej przez ten czas, kiedy Rick będzie za kaucją przebywał na wolności.

Patrzy, jak radiowóz wyjeżdża na ulicę. Kiedy zniknie jej z oczu, pójdzie odwiązać Reksa, ale nie wcześniej; boi się, że pies pogna za samochodem. Rex ciężko dyszy, obnażone dziąsła mają ciemnoróżową barwę, jego pysk jest mokry, rozjarzone oczy zdradzają strach. Karen kuca i przytula go, dopiero wtedy jej ciekawość budzi fakt, że zamiast wyjechać z SKR-ów, radiowóz zmierza ulicą St. Lawrence Avenue w stronę szkoły.

Za oknem sali lekcyjnej Madeleine widzi Colleen, która siedzi na huśtawce i kołysze się wolno, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Madeleine zna to uczucie. Żałuje teraz, że ją popchnęła. Zwieszona głowa Colleen przywodzi Madeleine na myśl piosenkę *Pochyl swą*

głowę nisko, *Tomie Dooley*. Dlaczego dyrektor nie wyszedł i nie przywołał jej do porządku? Może jej współczuje z powodu tego, co spotkało jej brata. Nagle Colleen podnosi głowę i spogląda w stronę jezdni. Zsuwa się z huśtawki i ginie Madeleine z pola widzenia, a zaraz potem na parking wjeżdża policyjny samochód.

- I co przydarzyło się nieszczęsnemu księdzu? - pyta pan March.

- Został spalony żywcem.

- Właśnie.

Czwartoklasiści uczą się o misjonarzach nawracających Indian. Ściany sali nadal ozdabiają wielkanocne rysunki. Prace wszystkich uczniów zostały wywieszane, ale motyle Grace wciąż królują pośród tłumu zajęczków i niezliczonych pisanek.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi i do klasy wchodzi policjant, Madeleine, w przeciwieństwie do pana Marcha, nie jest zaskoczona jego widokiem. Policjant mówi mu coś po cichu, a nauczyciel słucha ze spuszczoną głową, potem odwraca się do klasy i pyta: - Kto z was przyjaźnił się z Claire McCarroll?

Nikt nie podnosi ręki. To trudne pytanie. Claire nie miała przyjaciół, ale wrogów też nie. Poza tym pytanie, w przekładzie na język baśni, brzmi trochę tak, jakby ktoś pytał: - Kto z was miałby ochotę towarzyszyć Claire w drodze do wnętrza jaskini?

Madeleine przypomina sobie, jak w zeszłym tygodniu Claire częstowała ją jedzeniem, które wzięła na piknik, i ten dzień na huśtawkach, kiedy śmiały się głośno odwrócone do góry nogami, i podnosi rękę. Zwracają się w jej stronę wszystkie głowy, Madeleine czuje, że się rumieni, jak ktoś przyłapany na tym, że się przechwala, a nie o to jej przecież chodziło. Druga zgłasza się Grace Novotny. Nikt wielkodusznie nie zniża się do tego, żeby wytknąć Grace, że nigdy nie przyjaźniła się z Claire. Łączyła je tylko wiara w Świętego Mikołaja, nic więcej. Natomiast kiedy rękę podnosi Sara Nolan, to już jest bezwstydnym kłamstwem. Madeleine jest pewna, że nauczyciel zaraz ją upomni: „Przecież nie byłaś jej przyjaciółką”, ale ten się nie odzywa.

Policjant wychodzi, a pan March wyciąga chusteczkę i ociera nią czoło, a potem policzki. *Tante Yvonne* wciąż opowiada o „falach gorąca”, które ją oblewają - może pan March cierpi na to samo. Dzwonek. Przerwa na lunch.

Uczniowie oblegają wieszaki na płaszcze. Philip Pinder mówi, że Ricky skończy na krześle elektrycznym, Cathy Baxter wrzeszczy na niego, żeby się zamknął. Nie mieści im się w głowie, że Ricky został aresztowany, ale wszyscy już się do tej myśli przyzwyczajają. Po placu szkolnym krążą spekulacje na temat „alibi” Ricky'ego, „tajemniczego kierowcy”, lotnika prowadzącego samochód z nalepką Bajkowych Ogrodów. Niektórzy uczniowie są

zdania, że to samochód-zjawa, inni, że jechał nim prawdziwy morderca, przebrany za tatę któregoś z nich.

Wszystko tak się zmieniło od ostatniego tygodnia, ale czy Madeleine jako jedyna zauważa tę drugą różnicę? Minęło osiem dni, odkąd pan March na zakończenie lekcji ogłosił: „Następujące dziewczynki zostaną dziś po lekcjach...”. Po raz ostatni zrobił to w zeszłym tygodniu, kiedy Claire była... Kiedy w ogóle była jeszcze Claire. W ostatnią środę siedziała tu w klasie tak jak inni uczniowie. Kto mógłby przypuszczać, że znalazła się na skraju przepaści? Kto jeszcze spośród nich wędruje skrajem przepaści, z głową wypełnioną myślami, niczym strzałami wycelowanymi w przyszłość, a tu nagle - pustka?

Madeleine podnosi wzrok; idzie na przełaj przez pole, choć nie pamięta, jak wychodziła ze szkoły. Zastanawia się, czy panu Marchowi sprzykrzyły się już ćwiczenia. A może postanowił z tym skończyć. Jak ten olbrzym z baśni, który pożerał dzieci, ale odkrył, że mniej doskwierałaby mu samotność, gdyby zamiast zjadać dzieci, zaprzyjaźnił się z nimi.

Madeleine spostrzega Grace, która na chodniku przed domem Sary Nolan rysuje kredą pola do gry w klasy. Grace spóźni się na lunch. Przechodząc obok niej, Madeleine widzi, że to nie kreda, tylko kawałek wyschniętego zbielełego psiego łajna. Słyszy, jak za jej plecami Sara woła z progu: - Idź sobie, Grace. Sio.

Na lunch są gotowe dania z puszek. *Maman* cały ranek pilnowała maleństwa Froelichów i nie miała czasu na przygotowanie *ben bon déjeuner*. Madeleine uważa, że kluski smakują obrzydliwie - jak skóra ściągnięta z topielca, ale nie wypada mówić tego na głos. Specjalnie dla niej *Maman* podgrzała zupę pomidorową Campbella ze słonymi krakersami.

Siedzą we czwórkę przy stole i jedzą. Mimi zadowolona się zestawem na ciężkie czasy, przypaloną grzanką i herbatą. Pomaga na strapienia. Dom Froelichów to przygnębiające miejsce, a ona chciałaby się uwolnić od prześladowającego ją tamtejszego zapachu starego gulaszu i brudnej bielizny. Zapachu biedy. Zmawia w duchu modlitwę, prosząc Pana Naszego, aby wybaczył jej, jeśli te myśli nie są godne chrześcijanki, oraz aby czuwał nad policją w prowadzonych przez nią poszukiwaniach tego *maudit* szaleńca, który wciąż przebywa na wolności. Potem atakuje znienacka: - Gdzie byłaś wczoraj po południu, Madeleine?

Madeleine zamiera. Opuszcza łyżkę. *Wczoraj po południu.*

- Na polu - odpowiada, wpatrując się w czerwoną zupę.

- Jakim polu? *Dis-moi la vérité*, Madeleine.

W jej głosie nie słychać gniewu, tylko troskę - tym gorzej.

- No, odpowiedz mamie - odzywa się tata.

Madeleine przełyka ślinę. - Szukałam tej drugiej wstęgi od jej roweru.

- Czyjego roweru? - pyta *Maman*.

- Claire.

Słowo ulatuje niczym balonik.

Maman zakrywa twarz dłońmi - płacze, przez polakierowane na czerwono paznokcie sączą się łzy.

- Przepraszam, *Maman*.

Mike przerywa jedzenie i spogląda na matkę. Wstaje z krzesła, waha się przez chwilę, po czym dolewa jej herbaty do filiżanki.

- *Tiens, Maman*.

Mimi podnosi wzrok, pociąga nosem i uśmiecha się do syna, wycierając twarz serwetką.

- Czy poszłaś aż do Rock Bass, skarbie? - pyta ojciec łagodnym tonem.

Madeleine kiwa głową. *Maman* łapie ją, przygarnia do siebie, przyciska jej głowę do ramienia i zaczyna się kołysać.

- Słuchaj, stary druhu - mówi ojciec. - Patrz mi w oczy.

Maman przestaje się kołysać, ale nadal trzyma Madeleine w żelaznym uścisku.

- Wiesz, że źle zrobiłaś, okłamując nauczyciela i uciekając ze szkoły, prawda?

Madeleine kiwa głową.

- A wiesz, co jest sto razy gorsze?

Madeleine potrząsa głową.

- To, że poszłaś w tak niebezpieczne miejsce. Została zabita mała dziewczynka. Wiesz, co to znaczy?

- Jack - mówi Mimi cicho.

- Tak - odpowiada Madeleine wyraźnie, żeby *Maman* nie pomyślała, że ją też, jak Mike'a, trzeba ratować przed tatą.

- Najgorsze, co możesz zrobić mnie, *Maman* i Mike'owi, to narazić się na niebezpieczeństwo. Jak byś się czuła, gdyby umarła mama?

- Okropnie - szepcze Madeleine.

- A gdybym ja umarł?

- Strasznie.

- A teraz pomnóż to przez tysiąc i będziesz wiedzieć, jak my byśmy się czuli, gdybyśmy stracili ciebie. Chcę, żebyś przyrzekła, w obecności całej rodziny, że nigdy nie

wyjdiesz poza teren SKR-ów sama, beze mnie, *Maman* czy Mike'a. Nigdy. Przysięgnij na swój honor.

- Przysięgam.

Maman całuje ją siarczyście, stawia na ziemi, podnosi się z krzesła i sięga po kosmetyczkę.

- Nie poszłam tam sama - zaczyna Madeleine, myśląc, że to poprawi im samopoczucie, ale już wie, że tak się nie stanie, kiedy zmuszona jest dodać: - Poszłam z Colleen.

Maman wymierza jej mocnego klapsa - jednego, ale to wystarczy. Tata uspokaja ją gestem ręki i *Maman* zapala papierosa.

- Dokończ jedzenie - zwraca się do Madeleine.

Madeleine zabiera się do zupy. *Maman* włącza radio. Kojące brzmienie Boston Pops miesza się z orzeźwiającym mentolowym aromatem.

Odczekawszy dla przyzwoitości dłuższą chwilę, Madeleine pyta: - Tato, będę uczyła się jeździć na koniu?

Jack spogląda na córkę.

- Auriel powiedziała, że mnie zapiszesz. Będę jeździć tak jak Lisa.

Mimi posyła mu spojrzenie, a on wzrusza ramionami.

- To miała być niespodzianka? - pyta Madeleine.

- Nic podobnego - mówi Jack. - A chciałabyś się nauczyć jeździć konno?

- Jasne.

Jack ma ochotę wyjść z domu, wrócić do pracy; czuje pierwsze oznaki niestrawności. Co za paskudztwem karmi go Mimi? Cholerny Vic Boucher, wszędzie wtyka swój nochal. Co jeszcze wypaplał swojej żonie, dzieciakom? Że Jacka McCarthy'ego widziano za kierownicą niebieskiego forda galaxy? Miesza herbatę widelcem - nie widać żadnej łyżeczki na stole - i dochodzi do wniosku, że właściwie nie powinien się wściekać na Bouchera. Gdyby jego córka nie spytała wczoraj po południu Mimi, czy może odwiedzić „chorą” Madeleine, nigdy by nie odkryli, że ich pociecha wyprawiła się na miejsce zbrodni. Jack z chęcią walnąłby pana Marksa w jego głupawą gębę. Kretyn powiedział Mimi przez telefon, że Madeleine zwolniła się z lekcji z powodu wizyty u lekarza. Po co takiemu wykształcenie pedagogiczne, jeśli nie potrafi się zorientować, kiedy dzieciak wstawia mu kit? Jack zwrócił się od razu do samego dyrektora i powiedział mu, co sądzi o tym żalonym sukinsynu. I jeszcze ten francuski jazgot przy stole...

- Po angielsku, żebyśmy wszyscy zrozumieli - strofuje syna.

Mike czerwieni się. - Po prostu dziwi mnie to, że się do tej pory nie ujawnił.

- Kto?

- Ten lotnik. Dlaczego się ukrywa, zamiast oświadczyć, że widział Ricky'ego na szosie?

- Mam już po dziurki w nosie tego tematu, może dla odmiany porozmawiamy o czymś przyjemniejszym. Czego się dziś uczyliście w szkole?

Po powrocie do pracy Jack wręcza notatkę służbową szefom podlegających mu działów i do trzeciej po południu do jego gabinetu wraca w sumie sześć wypełnionych kapeluszy. Jack opróżnia ich zawartość i szybko zlicza banknoty; przypominają mu się stare dzieje, kiedy sam pracował w księgowości. Ma do przekazania Henry'emu Froelichowi czterysta siedemdziesiąt dwa dolary. Dorzuca jeszcze dwieście na rachunek Simona. Froelich wynajął najlepszego adwokata w Londynie, a to kosztuje.

- Następujące dziewczynki zostaną dziś po lekcjach...

Madeleine podnosi wzrok. Już zbiera zeszyty z ławki, gotowa zerwać się na dźwięk dzwonka, jak wszyscy pozostali uczniowie.

- Madeleine McCarthy... Madeleine zastyga.

- Sara Nolan i Grace Novotny.

Czyżby przeniosła się w czasie do zeszłego października? Czy jeśli spojrzy za okno, zobaczy złote i czerwone liście na drzewach? Nie, ponieważ ławka Claire McCarroll świeci pustką. Nadal jest kwiecień. Pan March znów wyznaczył ją do odrabiania ćwiczeń i ona nic nie może na to poradzić.

Auriel odwraca się i patrzy na nią pytająco, ale Madeleine mięśnie odmówiły posłuszeństwa i nie może odwzajemnić jej spojrzenia. Tylko jej oczy się poruszają.

Reszta uczniów wychodzi, trwa to całe wieki, a Madeleine tkwi w ławce, tak jak Sara i Grace. Pan March siedzi za biurkiem i przeciera okulary. Słychać pukanie. Pan March otwiera drzwi, do środka wchodzi policjant. Widok jego przyjaznego munduru przynosi ulgę, lecz w ślad za nim pojawia się drugi mężczyzna. Ubrany jest w płaszcz, narzucony na garnitur, w rękę trzyma kapelusz. Ma ostre rysy twarzy. Madeleine zdaje się, jakby widziała go we śnie, ale to chyba niemożliwe. Czy oni poprowadzą ćwiczenia razem z panem Marchem?

- Panowie z policji chcą wam zadać kilka pytań dotyczących waszej przyjaciółki Claire.

Madeleine czuje, jak jej ciało ożywa, niczym zwiędły liść pod wpływem wody. Pan March wysyła ją na korytarz, żeby zaczekała tam razem z Grace Novotny.

Sara zakłada mu stryczek na szyję.

- Ricky prosił mnie, żebym poszła do Rock Bass.

- Naprawdę?

- M-hm.

Inspektor Bradley usadowił się za biurkiem, naprzeciwko dziewczynki. Nauczycielowi kazał usiąść w ławce, za plecami dziewczynki, żeby nie zwracała się do niego po podpowiedzi. Posterunkowy Lonergan stoi przy drzwiach i protokołuje.

- Kiedy? - pyta Bradley.

- Eee, to było tego dnia.

- Którego dnia?

- Dnia, w którym... w którym ona zaginęła.

- Kto? Claire?

- M-hm.

- Mów dalej.

Sara się uśmiecha, poważny pan pochyla się do przodu. Stykają się niemal kolanami.

- Ciągle zapraszał mnie na wycieczki - oświadcza Sara beztroskim tonem.

Inspektor unosi lekko brew. Sara spuszcza wzrok, składa ręce w małdrzyk i dodaje: -
No nie zawsze, może raz czy dwa.

- W jaki sposób cię zapraszał?

- Po prostu mówił: „Hej, Sara, masz ochotę wybrać się ze mną do Rock Bass? Pokażę ci gniazdo”.

- I co ty na to?

- Odpowiadałam, że mama mnie nie puści.

- Dlaczego mama miałaby cię nie puścić?

- Po pierwsze - mówi Sara - moja matka jest chora, potrzebuje mnie do opieki. A poza tym - dodaje wesoło - Ricky Froelich jest ode mnie dużo starszy!

I chichocze.

Inspektor Bradley się uśmiecha, nie odrywa od niej oczu. Sara przygląda włosy i odwzajemnia uśmiech.

- Saro - zaczyna inspektor, opierając łokcie o kolana - czy Ricky kiedykolwiek -
starannie dobiera słowa - postępował tak, jakby...

Krzesło z tyłu skrzypi, kiedy nauczyciel zmienia pozycję.

Inspektor uśmiecha się do dziewczynki konfidencjonalnie i mówi dalej: - Czy Ricky
kiedykolwiek zachowywał się wobec ciebie tak, jakby był twoim chłopakiem?

- O tak - odpowiada Sara z powagą.

- W jaki sposób?

Dziewczynka odwraca się, szukając oparcia w nauczycielu, ale inspektor upomina ją: - Patrz na mnie, Saro, nie na nauczyciela. Możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

Sara wybucha płaczem.

Inspektor Bradley podaje jej chusteczkę.

- Mówiłam mu, że nie mogę - ociera oczy - że jestem za młoda.

- Czy Ricky cię dotykał?

Sara zastanawia się chwilę, z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem potrząsa głową.

- Już dobrze, Saro - mówi inspektor Bradley. - Nie musisz już nic mówić. Bardzo mi pomogłaś.

Sara posyła inspektorowi uśmiech i dziękuje mu za chusteczkę.

- Bocznym wyjściem, dziewczynko - przypomina pan March.

Grace zaciska pętlę.

- Wejdz, Grace.

Grace ociąga się w progę. W kraciastym sweterku, w białej bluzeczce, z zaplecionymi warkoczykami, wygląda dziś bardzo schludnie. Wchodzi do sali, ponaglona przez pana Marcha, i spogląda na dwóch nieznanym mężczyznom. Obaj są potężni, jeden jest stary, widać, że się złości.

- Grace, ci panowie chcą ci zadać parę pytań - mówi pan March i siada na miejscu Philipa Pindera.

- Cześć, Grace - mówi ten zły, robiąc krok w jej kierunku.

Grace jęczy, bezwiednie zasłaniając ręką krocze.

- Grace - upomina ją pan March i Grace łapie się za rękę. - Usiądź. Posłusznie zajmuje miejsce na krześle, splatając palce jak do młynka. Zły mężczyzna przysuwa sobie krzesło i siada.

- Jak się dzisiaj czujesz, Grace?

- Odpowiedz, Grace - mówi pan March.

- Dobrze.

Mężczyzna uśmiecha się i pochyla w jej stronę. Czuje zapach jego twarzy. Czego on od niej chce?

- Znałaś Claire McCarroll, prawda?

Grace wzdycha ciężko i obejmuje się ramionami, zaczyna się lekko kołysać.

- Nie bój się, Grace - mówi pan March. - Odpowiesz tylko na kilka pytań, a potem możesz gnać do domu.

Grace kiwa głową, wzrok ma wbity w podłogę, wciąż się kołysze.

- Grace, bawiłaś się z Claire w zeszłą środę? - pyta zły mężczyzna.

Grace wydaje z siebie jęk, po czym zaczyna wyć, czoło ma zmarszczone, usta szeroko otwarte, jak u małego dziecka...

- Grace - strofuje ją pan March.

Grace wbija sobie pięści do oczu, wyciera nos nadgarstkiem.

Nauczyciel podaje jej chusteczkę. - Uspokój się.

Drugi policjant, który stoi w rogu przy drzwiach, zapisuje coś w notatniku.

- Możesz teraz odpowiedzieć panu na pytanie, Grace? - pyta pan March.

Na pograżonym w półmroku zielonym korytarzu panuje cisza. Uczniowie rzadko doświadczają tego dziwnego uczucia, jakby byli w akwarium - tylko wtedy gdy nauczyciel pozwala im pójść do łazienki w czasie lekcji i płyną sami po pustym holu.

- Co im odpowiesz?

Śniada twarz Colleen wydaje się ciemniejsza niż zwykle; stoi tak blisko, że niemal napiera na Madeleine pod drzwiami do sali, do której przed chwilą weszła Grace.

- To zależy od pytania.

- Powiedz, że widziałas, jak Ricky skręcił w lewo w stronę szosy.

- Ale nie widziałam.

- No tak, ale on skręcił w lewo.

- No tak, ale ja tego nie widziałam.

Colleen oblizuje sucho dolną wargę, jak to ma w zwyczaju. - Lepiej powiedz, że widziałas, bo inaczej go powieszają.

Madeleine wpatruje się w oczy Colleen - niebieskie krzemyki, wąskie, niemal skośne.

- Nie powieszają go - odpowiada i widzi wolno opadającego ptaka, bladego, odartego z piór.

- Powiedz, że widziałas, bo inaczej koniec z naszą przyjaźnią - mówi Colleen.

- Widziałas Claire w zeszłą środę? - pyta inspektor.

- Tak - odpowiada Grace, zwracając się do rogu ogromnego biurka.

- Bawiłaś się z nią?

Grace kiwa głową, wciąż ma rozchylone usta. Jej nos jest zaczerwieniony, oczy szkliste.

- Kiedy to było, Grace?
- W środę - odpowiada Grace biurku.
- O jakiej porze?
- Eee, na placu szkolnym.
- Przed lekcjami czy po?
- Po.
- Mów dalej.

Grace zerka na niego ukradkiem spod brwi. Odchyła się do tyłu na krześle; Grace wyobraża go sobie z narzędziem na wierzchu.

- Widziałam ją na placu szkolnym, bo razem z Sarą pomagałam pani Lang. *Łazem z Salą.*

- To było po lekcjach? - Teraz on zapisuje coś w notatniku.
- Tak, po lekcjach, i Claire spytała: „Pójdziecie ze mną do Rock Bass?”.
- Ale ty nie poszłaś z nią do Rock Bass? - Inspektor spogląda na nią.

Grace odwraca wzrok, żeby się nie domyślił, że patrzy na jego narząd. - Nie, ja nie chciałam pójść.

- Czy mówiła, że wybiera się z kimś do Rock Bass?
- Tak, z Rickym.
- Rickym Froelichem?
- Tak, wszyscy to wiedzą.
- Ty znasz Ricky'ego Froelicha?
- Tak.
- Czy Ricky Froelich cię dotykał?

Grace podnosi wzrok, jakby wyrwana z transu. Nauczyciel nagle zanosi się kaszlem. Inspektor Bradley podnosi rękę, żeby go uciszyć. Grace wykręca głowę do tyłu, jakby właśnie przypomniała sobie o obecności pana Marcha.

- Proszę odpowiedzieć mi na pytanie - nalega mężczyzna.

Już się na mnie nie złości, jest zły na pana Marcha za to, że kaszłał.

- Dobrze, proszę pana - mówi Grace, prostując się na krześle. - Dotykał mnie. Twarz złego mężczyzny rozjaśnia uśmiech.

- Przecież nie mogę skłamać - szepcze Madeleine.

- To nie jest kłamstwo. Chcą wiedzieć, czy skreślił w lewo, a ty wiesz, że skreślił, więc powiedz im to.

- Ty im powiedz.
- Jestem jego siostrą, nie uwierzą mi.

Madeleine zerka na drzwi do klasy. Widzi cień przesuwający się za wielkanocnym zającem przyklejonym do szyby.

Odwraca się do Colleen. - A ty widziałaś, że skręcił w lewo?

Colleen nie odpowiada.

- Łączy nas wspólna krew. Jesteśmy jak siostry - mówi po chwili. *Seurs de san.*

- Wiem.

- Więc?

- Więc co?

Colleen chwytą ją za nadgarstek. - To znaczy, że ty też jesteś jego siostrą.

- Gdzie cię dotykał? - pyta mężczyzna. Pachnie metalowymi obrzynkami, ale nie jest to przykry zapach.

- Na placu szkolnym.

- Chodzi mi o to, w jakie części ciała, Grace.

- Tutaj - wskazuje na dolną część pleców. - Żeby mnie rozbijać na huśtawce.

Pan March znów kaszle i inspektor, nie odrywając oczu od dziewczynki, upomina go cicho: - Proszę pana.

I dalej pyta Grace: - Czy Ricky dotykał cię tak, jakbyś była jego dziewczyną?

Grace się waha. Jej język natrafia na kącik ust.

- Powiedz prawdę, Grace - mówi inspektor.

Ale jego głos dociera do niej jakby ze środka samochodu przez szybko podniesioną szybę. Grace pochyla głowę, omiata spojrzeniem podłogę.

- Tak... czasami... robimy ćwiczenia.

- Jakie ćwiczenia? - Ma miły głos. Jest uprzejmy, jak lekarz.

- Och - wzdycha Grace. - No wie pan. Mostki.

- Co jeszcze?

- I ugniatanie. - Jej głos łagodnie wznosi się i opada, jak podczas melodeklamacji.

- Ugniatanie czego? Znów się kołysze.

- Jego mięśnia. - Linoleum na podłodze jest całe w szarych obrzydliwych smugach. -

On tak na to mówi, ale tak naprawdę to jego narząd.

- Wiem, Grace, że to dla ciebie bardzo trudne - mówi inspektor.

- Wcale nie.

- No cóż... - Jego ręka trzymająca pióro zawisała nad kartką. - Czy wspominałaś komuś o tym, co ci robił Ricky?

Grace kiwa głową.

- Komu?

- Sarze.

Mężczyzna zapisuje to w notatniku.

- To jeszcze nie wszystko - mówi Grace.

Inspektor podnosi na nią wzrok.

- Ricky dusi.

Bradley zastyga na ułamek sekundy, po czym notuje dalej. Grace, już odprężona, czeka, aż skończy pisać, po czym dodaje: - Dał mi jajko.

- Jajko? - Na twarzy inspektora maluje się autentyczne zdziwienie. Nie trudzi się już, żeby je zamaskować, w końcu to ludzka rzecz. - Kiedy?

- Tego dnia.

- W środę?

- Tak.

- Jakie jajko? Grace milczy.

- Gotowane?

- Nie, niebieskie.

- Co to za jajko?

- Specjalne - odpowiada dziewczynka.

Bradley spogląda na rysunki wiszące na ścianach. Dzieła dziewięcioletnich i dziesięcioletnich artystów. Są wśród nich zajęczki i kurczaczki - nawet Batman i Robin - ale królują pisanki, radośnie ozdobione paskami, plamami i kropkami we wszystkich kolorach tęczy i spoza niej. Przenosi spojrzenie z powrotem na dziewczynkę.

- Wielkanocne jajko? - pyta. Dziewczynka kiwa głową.

- Czekoladowe?

Grace znów kiwa głową i wyznaje: - Powiedział, że wie, gdzie jest ich więcej.

- Dziękuję ci, Grace - mówi inspektor Bradley. Studiuje swoje zapiski, gdy nauczyciel odprowadza uczennicę do bocznych drzwi. Chłopak zwabił ofiarę za pomocą czekolady. Każdy pedofil wie, jak słodczyce działają na dzieci.

Madeleine robi się gorąco. Chce się uwolnić od Colleen. *Nie jestem twoją siostrą, a on nie jest moim bratem.* Colleen puszcza jej nadgarstek i bierze jej rękę, przyciska dłoń do jej

dłoni, mocno, aż Madeleine czuje, że jej świeża blizna wilgotnieje. Drzwi otwierają się. Colleen zabiera rękę z dłoni Madeleine i odchodzi korytarzem.

- Nie pamiętam. Nie wiem, czy go widziałam.

- Popatrz na mnie, Madeleine. Madeleine spogląda mu w twarz.

- Widziałas go czy nie?

- Co się z nim stanie? Powiesicie go?

Inspektor unosi brwi. - A twoim zdaniem zasługuje na to?

- Nie!

Rozsiada się w krześle, pochyla głowę i mierzy ją wzrokiem. Madeleine splata palce. Ten policjant, który położył swój płaszcz i kapelusz na biurku pana Marcha, to on tu rządzi, a ten miły w mundurze, którzy stoi przy drzwiach i pisze w notatniku w skórzanej oprawie, jest jego podwładnym. Inspektor Bradley jest jak nauczyciel, który z góry wie, jak poszedł ci sprawdzian, nawet jeśli jeszcze go nie napisałaś, więc jaki to ma sens? Madeleine i tak wie, że nie zda.

- Czy Ricky lubi się bawić z młodszymi dziećmi? - pyta.

To trudne pytanie. Ricky się nie „bawi”, on gra, naprawia swój samochód, dzieciaki czasami kręcą się przy nim, a jemu na tym nie zależy.

- Nie zależy mu na tym.

Twarcz inspektora przecinają blade czerwone kreseczki, jak na mapie. Jest kwadratowa, dwie podłużne bruzdy biegną od kości policzkowej do szczęki po obu jej stronach. Rzadkie rude włosy. Piwne oczy, przekrwione, które mówią: *To nie są żarty. W życiu nie ma miejsca na żarty.* Chyba nie dosłyszał odpowiedzi Madeleine, bo pyta: - Czy Ricky ugania się za młodszymi dziećmi?

Madeleine wie, że inspektorowi nie chodzi o zabawę w ganianego, ale celowo udaje przed nim nierozgarniętą. - Chodzi o to, czy bawi się z nimi w ganianego?

- Nie.

Inspektor spogląda na nią. Madeleine wydyma policzki, podnosi brwi i wybałusza oczy.

- Madeleine - upomina ją pan March.

Madeleine przestaje się wygłupiać.

- Czy Ricky kiedykolwiek zachowywał się wobec ciebie tak, jakbyś była jego dziewczyną? - pyta inspektor

Madeleine prychnęła, ale to poważne pytanie.

- Proszę mi odpowiedzieć.
- Nie - mówi Madeleine.
- Obawiam się, że to nie wystarczy...
- Chciałam powiedzieć, że nie, on nigdy...

Inspektor Bradley postępuje metodycznie. Wie, że dziewczynka ma to, czego on szuka, ukryła to gdzieś w kieszeni albo w bucie, a on będzie ją obszukiwał, aż w końcu to znajdzie.

- Czy zaprosił cię kiedyś na wycieczkę?
- Madeleine potrząsa głową.
- Czy zaproponował, że cię przewiezie na rowerze?
 - Na swoim skuterze?
 - Wszystko jedno.
 - Raz kiedy wszyscy byliśmy na placu szkolnym...
 - Czy zabrał cię kiedyś na przejażdżkę, gdy byliście sami?
 - Nie.
 - Czy dotykał cię kiedyś?
 - Słucham?
 - Czy dotykał cię kiedyś?

- M-mm... raz położył mi rękę na głowie i powiedział, żebym spróbowała go uderzyć, ale nie mogłam go dosięgnąć.

- Czy dotykał cię tam, gdzie nie powinien, albo czy zmuszał cię, żebyś ty go dotknęła?

Madeleine ogarnia lepkie uczucie. Za plecami ma lepkiego człowieka, pana Marcha. Co on nagadał inspektorowi?

Inspektor Bradley wznawia poszukiwania. - Czy zachowywał się nieprzyzwoicie?

Madeleine siedzi nieruchomo. Potrząsa głową. Gorąco promieniujące z żołądka napływa jej do twarzy. Madeleine czuje ten zapach. Nikt inny go nie czuje?

- Czy rozpinał przy tobie spodnie?

Silny nurt wewnątrz jej ciała szarpie ją za żołądek.

- Madeleine?

Siła ciężenia rozkłada się nierównomiernie na jej ciele, zaraz wysie jej trzewia, a głowa odpadnie i odfrunie.

- Tego dnia, kiedy ty i Colleen Froelich widziałyście Ricky'ego i Claire na drodze okręgowej...

- I Elizabeth, i Rekxa... - jej usta wydają się mizerne i ulatujące z nich słowa wydają się mizerne.

- Widziałaś, jak Ricky skręca z Claire w stronę Rock Bass.

- Nie - zaprzecza Madeleine i przełyka ślinę. - Nie widziałam, jak odchodził z Claire.

- Chcesz powiedzieć, że widziałaś, jak skręca w lewo w stronę szosy? Dowiem się, jeśli kłamiesz, Madeleine.

- On tego nie zrobił.

- Widziałaś go czy nie?

Spogląda na nią tak, jak patrzył na nią od początku; jak na rzecz - miotłę w kącie.

- Skręcił w lewo, w stronę szosy. - Wytrzymuje jego spojrzenie, jej powieki nawet nie drgną. - Widziałam.

Ciszę panującą w pokoju mąci jedynie skrzypienie pióra protokołującego policjanta.

- No to zmykaj do domu.

Madeleine wstaje; podchodząc do bocznego wyjścia, zwalcza pokusę i nie ogląda się za siebie, żeby sprawdzić, czy zostawiła na krześle kałużę potu.

Wcześniej tego dnia Bradley kazał wszystkim nauczycielom zostać w szkole po lekcjach. Zamierza ich ponownie przesłuchać. Nie może sobie pozwolić na żadne niedociągnięcia w śledztwie. Bradley nie wierzy w historyjkę małej McCarthy, ale ławnicy mogą się na nią nabrać.

MORALNOŚĆ Z LOTU PTAKA

Budowanie rakiety przypomina trochę urządzanie domu. Kiedy postanowisz zmienić wystrój pokoju, idziesz na zakupy. Lecz kiedy zestawisz ze sobą swe nowe nabytki, od razu widzisz, że coś jest nie tak - zastawy nie pasują do narzuty. Podobnie jest z raketami... Dlatego osobiście nadzoruję produkcję. Chcę znać wygląd mojego przyszłego dziecka.

Wernher von Braun, „Life”, 1956

Mike pozwala jej wyłapywać niskie i wysokie piłki na trawiastym polu z tyłu domu. Rozgrzewa się przed dzisiejszym meczem w Exeter. W tym roku po raz pierwszy występuje

jako zagrywający. Madeleine założyła jego starą rękawicę do baseballu, ale mocno uderzone piłki, choć tak kuszące, przepuszcza, gdyż boi się, że jej skaleczenie znów się odnowi.

Uważnie obserwuje dom, wypatruje ojca; zależy jej na rozmowie z tatą na osobności jeszcze przed kolacją. Musi mu zadać pytanie, a właściwie dwa: Czy Ricky'ego Froelicha powieszają? I czy wolno skłamać po to, żeby ktoś poznał prawdę? Poza tym chce mu opowiedzieć o pytaniach, jakie zadawali jej policjanci w szkole po lekcjach. *Maman* nie zauważyła, że Madeleine wróciła później niż zwykle, ponieważ zajmowała się maleństwami Froelichów. Madeleine dostrzega ojca między domami i woła: - Tato!

Jack odwraca się, widzi swoje dzieciaki na polu za domem, bez troskie, baraszkuje na trawie. Macha do nich, potem kieruje się do domu Froelichów. Składany wóz jest niemal gotowy, brakuje mu tylko opon, ale nigdzie nie widać starego kombi - pewnie jedno z nich pojechało do Goderich po Ricky'ego. Puka do drzwi, licząc na to, że zastanie Henry'ego.

W progu ukazuje się Betty Boucher.

Jack uśmiecha się. - Przez chwilę myślałem, że pomyliłem domy.

- Ja też się zgłosiłam do pomocy. Mimi miała dyżur rano. Froelichowie cały dzień są poza domem.

Kobiety szybko się zorganizowały. Najmłodsza pociecha Betty trzyma się jej spódnicy, a jeden z chłopczyków Froelichów podryguje jej na rękę. Drugi krzyczy w głębi domu.

- Nie mam pojęcia, jak oni sobie radzą, Jack. A myślałam, że jestem zaprawiona w bojach.

- Kiedy koniec służby?

- Już dawno powinni być z powrotem. Która to godzina? - Betty przesuwając malucha, próbując zerknąć na zegarek.

- Dziesięć po piątej - mówi Jack, wchodząc do środka. - Hank powiedział mi, że bez przerwy nachodzą ich dziennikarze.

Po minie Betty widać, co ona o tym sądzi. - Dziś po południu przyszło trzech - wylicza na palcach - z Toronto, Windsoru i aż z Detroit, dasz wiarę? Wszyscy chcieli wiedzieć, co sądzę o Rickym Froelichu - spogląda na niemowlaka - jako podejrzanym. Powiedziałam im, że chłopak jest czysty jak łąka i w całej bazie nie znajdą nikogo, kto myśli inaczej.

- Oby tak było - mówi Jack.

- Henry - z ust dziecka kapie ślina, Betty bierze ściereczkę i wyciera sobie sweter na ramieniu - Henry dzwonił z sądu, tuż przed rozprawą o wyznaczenie kaucji.

Rozprawa. Kaucja. Podejrzan. Jeszcze w zeszłym tygodniu nie słyszało się tu takich

określeń - to zadziwiające, jak gładko wślizgnęły się do sąsiedzkich rozmów. Życie rozciągnęło się, żeby pomieścić to, co jest nie do pomyślenia. Życie zaczęło się toczyć wokół tego - wokół wcześniejszej tragedii i obecnej pomyłki - jak woda opływająca głaz, która go rozmiękcza, rozkrusza, aż zostaje po nim ledwie blizna na powierzchni, pozornie bez znaczenia. Ale nic już nie będzie takie jak przedtem. Rzeka zmieniła bieg.

- Biedaczysko... - Betty urywa, jej spojrzenie wędruje w stronę okna. - Zaraz, a to kto znowu?

Jack ogląda się i widzi wyjeżdżającą zza rogu, zbliżającą się powoli taksówkę.

- Co jest grane? - dziwi się Betty. W środku jest tylko jeden pasażer. Henry Froelich.

Froelich płaci taksówkarzowi i podchodzi do stojących w progu Betty i Jacka. Karen jest jeszcze w więzieniu w Goderich. Sędzia nie zgodził się na wypuszczenie Ricky'ego za kaucją.

- Henry, tak mi przykro, złociutki - mówi Betty.

Jack zostaje po odejściu Betty. W kuchni Henry ma pełne ręce roboty, a Jack stara się mu pomóc, przytrzymuje jedno dziecko - w miejscu, w którym pupa malucha styka się z jego marynarką, Jack czuje nagle podejrzaną ciepło. Henry podgrzewa mleko. Podwija rękaw koszuli, żeby sprawdzić jego temperaturę na przedramieniu. Jack dostrzega wytatuowany numer.

- Gdzie w tym czasie był twój prawnik? - pyta.

- Na sali sądowej.

- Zna się na rzeczy?

- Ma tytuł.

- Królewskiego adwokata? To znaczy, że może występować w sądach wyższej instancji. Na pewno odwoła się od tej decyzji?

- Tak, ale mówi, że ten sędzia jest z tego znany, więc niewiele można zdziałać. Cała palestra nie może się doczekać, kiedy ten sędzia wreszcie umrze.

- A co z... Policja dokonała aresztowania niezgodnie z prawem, czy twój prawnik nie może...?

- Próbuje, ale Ricky podobno zgodził się z nimi rozmawiać. Mój prawnik mówi, że może co najwyżej postarać się, żeby zeznanie Ricky'ego nie zostało dopuszczone do przewodu sądowego.

- A po co? Przecież w jego zeznaniu nie ma nic obciążającego.

Froelich wzrusza ramionami. Odwija rękaw.

- Henry, byłeś więźniem obozu zagłady w czasie wojny, zgadza się?

- Tak.

Wyciąga rękę po malucha. Jack przekazuje mu go.

- Szkoda, że nie domyśliłem się wcześniej. Nie palnąłbym tyłu cholernych głupstw.

- Jakich głupstw?

- No, o twojej pracy, o tym, że jesteś typowym Niemcem, i jaki to piękny kraj...

Froelich wtyka butelkę w wymachujące rączka i przykłada smoczek do ust dziecka. Mały zaczyna ssać, zapatrzony w czarną brodę, jego paluszki błądzą po miękkim policzku. Jack czeka w milczeniu. W końcu Froelich kiwa głową w kierunku drugiego niemowlaka, który już smacznie śpi na swoim krzeselku, głowa opadła mu pod kątem urągającym prawom anatomii, jego twarz stulona jest niczym kwiat. Jack ostrożnie podnosi dziecko, wiedząc, że to drzemiący wulkan, i idzie za Henrym na górę.

Kładą dzieci jedno obok drugiego w łóżeczku w małżeńskiej sypialni Froelichów, w której panuje taki sam bałagan jak w pozostałych pomieszczeniach. Nieposłane szerokie łóżce bez wezgłowia, na ścianie nieoprawiony obraz - szarobure plamy - rozrzucona garderoba, książki, ręczniki. Charakterystyczna dla domu Froelichów woń - zasypki dla niemowląt, moczu i tytoniu. Jack stara się nie przyglądać, nie chce dojrzeć niczego nieprzeznaczonego dla cudzych oczu. Bielizny Karen - halki...

Po powrocie do kuchni Froelich karmi Elizabeth, Jack dyskretnie usiłuje na to nie patrzeć. Froelich odkłada łyżkę.

- Nie jesteś głodna, mała?

Wyciera jej usta ściereczką, bierze jej twarz w dłonie i całuje w policzek.

- Ale deser chyba jeszcze zmieścisz, co?

Głowa Elizabeth przemieszcza się po przekątnej z jednej strony na drugą. Henry przystawia ucho do jej ust, nasłuchuje, po czym odpowiada: - Niedługo, *ja*, nie martw się, Lizzie. Popatrz na tatusia. Czy ja wyglądam na zmartwionego?

- Aaaak - jęczy dziewczyna i Froelich się śmieje. - No dobrze, ty urwisie - mówi i Elizabeth się uśmiecha. - Ty gagatku - i dźwiga ją do góry.

Kiedy wynosi ją z pokoju, ich ręce splatają się na jego plecach.

Po chwili Jack słyszy, że Henry nastawia płytę. Poznaje ochryply alt: *Du, du, du, mach mein kleines Herz in Ruh...* Znana niemiecka piosenka o miłości. Przypomina mu, jaki to piękny język w kobiecych ustach. Jak kobieta w męskiej koszuli.

Froelich wraca do kuchni i z szafki pod zlewem wyciąga butelkę czerwonego wina. Napełnia dwa różne kieliszki, podaje jeden Jackowi, który z grzeczności unosi go do ust, choć

z góry wie, jak zawarte w tym sikkachu kwasy taninowe podziałają na jego żołądek.

- Co na to twój prawnik? - pyta. - Jakie są szanse na to, że... że dojdzie do normalnej rozprawy?

- Myślę, że potrzebny nam detektyw - oświadcza Froelich, rozsiadając się w krześle, przyciskając do obojczyka kieliszek. - Myślę, że tak będzie lepiej.

- Chcesz wynająć prywatnego detektywa? Po co?

- Ponieważ policja nie może znaleźć tego człowieka z obozu. „Obóz”.

Dlaczego Froelich tak to określa? Przecież Dora to nazwa podziemnej fabryki.

- Czy to ten... ten „zbrodniarz wojenny”, o którym wspomniałeś mi wczoraj?

Jack wzdryga się, czując gorący oddech na ręce, którą trzyma pod stołem. Pies wszedł do domu.

Froelich zaczyna mówić, ze wzrokiem wbitym w kuchenną ścianę, jakby opisywał rozgrywającą się na niej scenę, opowiada o tym, jak zobaczył Oskara Frieda w hali targowej.

- Gdybym od razu zawiadomił policję, może dziewczynka by nie zginęła.

- Dlaczego?

- Bo to morderca.

- Powiedziłeś o tym policji?

- Tak, ale oni mi nie wierzą.

- Dlaczego? Po co ktoś miałby wymyślać takie kłamstwo?

- Myślę, że chronię mojego syna, potwierdzam jego alibi.

Jack bierze głęboki, spokojny oddech, modląc się, żeby jego twarz zachowała chłód, a w jego głosie brzmiała jedynie troska.

- Jak się nazywał ten obóz, Henry, jeśli wolno zapytać?

- Dora.

- Dora? - powtarza Jack, jakby słyszał to po raz pierwszy, co w pewnym sensie jest prawdą.

Froelich przygryza wąża, który zachodzi mu na kącik ust, wilgotny od wina.

- Policja nie szukała... nie znalazła go - sięga po butelkę, napełnia kieliszki - i nie znajduje tego lotnika też. Wybacz, Jack, ale mój angielski dziś wieczorem mnie zawodzi.

- Chciałbym choć w połowie tak dobrze mówić po niemiecku, Hank. Pewnie ci zbrzydło to ciągle mówienie po angielsku?

- Raczej nie. Tęsknię za ojczystym językiem, ale on i tak jest martwy, *nich wahr?* - mówi Froelich i bierze łyk wina.

- Jak to „martwy”?

- Nie można używać języka do wyrażania wielu rzeczy z wyjątkiem prawdy, nie można... - Froelich wpatruje się w Jacka, a potem mówi, jakby wypowiadał zaklęcie: - *Deutsch*.

Jack w odpowiedzi ostrożnie kiwa głową.

- Oni się znęcają nad nim. Hitlerowcy. A teraz jest tak wiele słów, które już nie pamiętają swojego prawdziwego znaczenia. To drugie znaczenie, fałszywe, przyłgnęło do nich jak płaszcz, jak... *nein, wie ein Schatten...*

- Jak cień.

- *Ja*. Ale ja niczego nie zapominam. I w ten sposób pomogę synowi

Dolewa Jackowi wina.

- Ten człowiek z Dory przebywa tutaj, i jest w bazie ktoś, kto o tym wie. - Podnosi wzrok. - Ale oni tego nie rozpowiadają. Wiem dlaczego.

Jack nie przełyka wina. Czeka.

- Zachód potrzebuje tych ludzi.

- Jakich ludzi?

- Naukowców, którzy zajmowali się raketami.

Jack mężnie wytrzymuje spojrzenie Froelicha. Zna odpowiedź na następne pytanie, ale wypada je zadać. - Ten facet to specjalista od rakiet?

- *Ja*.

- Jakich? V-2?

- *Ja*.

- Z Peenemünde.

- Z Dory.

- Z Dory?

- Peenemünde jest zbombardowane.

- Słusznie. Myśmy je zbombardowali, Kanadyjczycy - mówi Jack i czuje się jak uczeń, który się przechwala. Nie brał w tym udziału. Siedział sobie za biurkiem w Anglii, jako kwatermistrz.

- Po nalotach fabryka została przeniesiona pod ziemię, do jaskini w górach. Hitlerowcy nazwali ją Dora. Ja w niej pracowałem.

- Nad raketami V-2?

Froelich kiwa głową, nie odzywa się.

Ciekawość, jaka rozpiesza Jacka, niemal zagłusza w nim niepokój. Gdyby tak mógł po prostu popijać sobie wino z Henrym Froelichem, słuchając opowieści o podziemnej fabryce

rakiet. Staje mu teraz przed oczami: nieskazitelne betonowe korytarze, dwanaście poziomów w głąb. Piętnastometrowa rakietka na wózku, z odsłoniętym mózgiem i trzewiami, zaopatrzona w potrójny żyroskop, który ma ją prowadzić przez przestrzeń i czas w powolnym menuecie. Jack widzi w wyobraźni rakietę toczącą się po szynach do góry, na spotkanie z nocnym niebem, przez włazy zamaskowane skałami i sosnami; wojna jest babką wynalazku. Za pomocą wyciągarki rakietka stawiana jest ostrożnie w pozycji pionowej, wycelowana w gwiazdy, jej zbiorniki pełne są sekretnej mieszanki, która wytworzy siłę ciągu wystarczającą do tego, żeby ponieść ją przez kanał La Manche do Londynu. Vengeance-2. Tajna broń Hitlera. To ona zabierze nas teraz na Księżyc. Ona zapewni nam wolność. A Henry Froelich nad nią pracował.

- Miałeś bezpośrednią styczność z rakietami?

Froelich kiwa głową.

- Jasny gwint - mówi Jack cicho, po czym dodaje, gdyż nie może się oprzeć: - Widziałeś, jak je odpalają?

Froelich potrząsa głową. Pod stołem pies sapie ciężko i opiera brodę o stopę Jacka.

- Kiedy zobaczyłem Dorę, przestało być tajemnicą, jak wzniesiono piramidy. Rakiety budowali niewolnicy.

- Niewolnicza praca - stwierdza Jack. Określenie to w jakiś sposób łagodzi wydzźwięk poprzedzającego je słowa i Jack zastanawia się, czy właśnie to miał na myśli Froelich, mówiąc o słowach zatracających pamięć.

- Tajna broń Hitlera - mówi Froelich, osuszając swój kieliszek, podnosząc się z krzesła. - Jedyne zaufanymi pracownikami są niewolnicy, bo my przyjeżdżamy i już nie opuszczamy fabryki. - Uśmiecha się niemal przy tym. - Chyba że przez komin. - Podkreśla swoje słowa gestem naśladującym ulatujący dym.

- Mieli tam krematorium? W Dorze? - Jack przełyka ślinę. - Nie wiedziałem, że to był... obóz zagłady.

- Nie, nie zagłady, ale wielu robotników umiera i palą ich zwłoki, bo inaczej więcej chorób. - Froelich podnosi pokrywkę i miesza w garnku. - Więc widzisz, nie bali się, że zdradzimy tajemnicę, ale przerażała ich myśl o sabotażu. I słusznie, bo jest sabotaż, ale często wieszają nie tych co trzeba. - Bierze butelkę i widząc, że jest pusta, schyla się po następną. - Rano, kiedy kończę zmianę, widzę wisielców. Wiesz, jak ich wieszają?

Jack nie odpowiada.

Froelich wkręca korkociąg. - Kawałek drewna między zęby - pokazuje palcem - więc nie ma krzyków. Obwiązują mu szyję sznurem; jego drugi koniec jest przymocowany do

deski, połączonej z ramieniem dźwigu...

Opisuje mechanikę układu z precyzją inżyniera, którym przecież jest.

- Każą nam na to patrzeć, bo inaczej nas też powieszają, to ma nam pokazać, co czeka sabotażystów. Dźwig powoli ich podnosi... SS obmyśliło to dokładnie. Ręce z tyłu skrepowane, ale nogi są wolne i kopią w powietrzu, bo to przedstawienie, rozrywka, *ja?* Słyszałem raz, jak sekretarka mówiła do koleżanki z biura: „Pospiesz się, bo spóźnisz się na wierzganie”.

Proponuje następną butelkę, Jack podsuwa kieliszek.

- Wieszają przy wejściu do tunelu, może półtora metra od ziemi, więc musimy przechodzić między nogami - opadają im spodnie, więc przechodzi się jak przez zasłony. Esesmani mają z tego uciechę. - Znow podnosi pokrywkę, z garnka bucha para. - Nalać ci zupy? - pyta z chochlą nad talerzem.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Froelich wraca do stołu z talerzem.

- Kiedyś to była kopalnia - mówi i zaczyna jeść.

- Co?

- Dora. W Górach Hartzu.

- Fabryka rakiet?

- We wnętrzu górskiej jaskini.

Sekret, we wnętrzu górskiej jaskini, nad którym pracują niewolnicy. To jakby wzięte z baśni.

- W pobliżu Buchenwaldu - wyjaśnia Froelich. - Niedaleko domu Goethego. Przywożą *Häftlinge* - jeńców - żeby pogłębili jaskinię. Kopią gołymi rękami, wielu umiera. Najpierw nie ma Żydów, są Francuzi, Rosjanie, Niemcy, Anglicy, Polacy, Czesi. Noszą trójkąty, różnych kolorów, ale wszyscy w jednakowych pasiakach. Drewniane trepy na gołych nogach, również zimą. Na początku niewolnicy muszą spać pod ziemią z rakietami i wielu umiera. - Froelich podnosi łyżkę do ust, ale jego ręka zawisa w powietrzu. - Widzisz, hitlerowcy mieli dwa cele i one ze sobą nie współgrały, ale do jednego i drugiego celu dążyli równie skutecznie.

We Froelichu znow odzywa się profesor, kiedy wylicza na palcach.

- *Erste*, zbudować rakiety. *Zweite*, zabić robotników, *ja*.

- Henry...

- Kiedy trafiam do Dory z drugiego obozu...

- Jakiego drugiego obozu?

- Z Auschwitz *Drei*, Auschwitz *Trzy*, *ja?* Nie mam sił, ale nauczyłem się powtarzać

„elektryk mechaniczny”, więc nie umieram przy noszeniu skorupy rakiety, czy jak wy to nazywacie?

- Obudowa.

Henry ścisza głos. - Mam też szczęście, bo omija mnie straszliwa dyzenteria, ale jest wiele dzieci i oni zabierają je i katują na śmierć. Mam szczęście, bo nie przeszedłem pieszo całej drogi z Auschwitz do Dory, jechałem w wagonie, otwartym, bez dachu. To dobrze, bo jest zima i piję śnieg, który napadał mi na ramiona, rozumiesz? I mogę oddychać. Nie zamrzam, bo dookoła mnie umierają, a ja chowam się pod ich ciałami. Jestem wycieńczony, ale kiedy przyjeżdżam do Dory, mam szczęście, bo nie buduję baraków, inni muszą budować i wielu umiera.

Słowo „Auschwitz” syczy w powietrzu wokół Jacka jak rozlany kwas. Jego dom jest po drugiej stronie ulicy. Jego łóżko. Dzieci leżące w swoich łóżkach. Jego żona. Czuje gorąco na twarzy i nie jest to przyjemne uczucie. Za blisko się przysunął. Powinien się cofnąć, ale nie jest w stanie.

- Śpiewamy strażnikom.

- Co takiego?

- Jest zima, straciłem rachubę czasu, wiem tylko tyle, że pada śnieg i każą nam śpiewać *Stille Nacht*.

- *Cicha noc*.

- Więc domyślałam się, że jest grudzień 1944.

Froelich odrywa kawałek chleba i daje do zjedzenia psu, którego czarny nos lśni pod stołem. Przed Jackiem otwiera się w myślach nowa płaszczyzna. Fried pracował w zbrodnictwym miejscu, więc to zrozumiałe, że jego twarz Froelichowi kojarzy się z bestialstwem, ale niekoniecznie wynika to z tego, że Fried popełniał zbrodnie. Niemniej musiał wiedzieć o wieszaniu więźniów. A Simon wie? *Osobiście prześwieliłem faceta*.

- Więc to naukowiec?

- Kto?

- Ten facet, którego rozpoznałeś, z Dory.

- Naukowiec? To zwykły inżynier. *Es macht nichts*. To zbrodniarz.

- Chcesz powiedzieć, że co? Należał do SS?

- W Dorze nie widziało się mundurów - mówi Froelich. - Tylko strażnicy byli umundurowani. Von Braun nigdy nie nosił munduru.

- Von Braun?

- *Ja*. Przyjeżdża oglądać swoje rakiety.

- Von Braun był w SS?

- *Natürlich*. Ale ten drugi, zawsze na brązowo.

- Nie rozumiem.

- Ten inżynier - zawsze nosi garnitur z brązowej wełny. I małe okulary, okrągłe jak kamyczki. Bez twarzy, to znaczy bez wyrazu, twarz bez wyrazu. Jego spojrzenie się nie zmienia, jego głos się nie zmienia, zawsze cichy. U niego *alles ist normal*. Pamiętam to. - Odsuwa talerz i rozsiada się w krześle. - Zupełnie przeciętny człowiek.

Jack popija wino, żeby zwilżyć wyschnięte wargi.

- Gdyby nie ten kwiat - ciągnie Froelich. - Rzadki gatunek. Rośnie w tunelu. - Potrząsa głową. - Ludzie nie są nudni, zgodzisz się ze mną, Jack?

- Co on robił?

- Był inżynierem w fabryce.

- Nie, chodzi mi o co innego.

- Nadzorował produkcję w swoim dziale. Nie mógł ścierpieć, że to my budujemy jego rakietę. Byliśmy tylko chochołami. Wszędzie węszy sabotaż, często słusznie. Chce zrobić wrażenie na przełożonych, *verstehen*?

Jack pochyla się do przodu. - Na czym polegały jego zbrodnie?

Froelich też się pochyla. - Wiesz, ilu ludzi w sumie zabiły rakiety V-2?

- Nie wiem - odpowiada Jack. Ich twarze dzieli nie więcej niż trzydzieści centymetrów.

- Pięć tysięcy - Froelich uderza dłonią w blat, Jack ani drgnie. - A wiesz, ilu ludzi zginęło przy produkcji rakiety, która tak cię fascynuje, Jack? *Mehr als* - ponad dwadzieścia tysięcy.

Froelich znów wali dłonią w stół, pusty kieliszek podskakuje. Szczeka pies, otwierają się kuchenne drzwi, do środka wchodzi koleżanka Madeleine.

- *Colleen, Schatzi, hier zu Papa, bitte komm*.

Dziewczyna podchodzi, Froelich ją przytula, gładząc jej rozczochrane włosy. Ponad jego ramieniem wpatrują się w Jacka wąskie błękitne oczy.

- Cześć, Colleen - mówi Jack.

Dziewczyna nie odpowiada. Jack dostrzega cienką bliznę w kąciu jej ust.

Froelich nalewa jej zupy, dziewczyna idzie z talerzem do pokoju. Pies rusza za nią. Po chwili w pokoju rozbrzmiewa muzyka - kobieta śpiewa po niemiecku *Micky Majcher*.

- W obozie nie jestem młody ani silny, ale wiem co nieco. Jeśli pomożesz drugiemu przetrwać, to może sam przetrwasz. W Auschwitz zabrałem chłopakowi okulary, kiedy

wywiekali nas z wagonów. Pałają światła, szczekają psy, wrzeszczą strażnicy, pozorny zamęt, ale pod spodem wszystko jest zorganizowane, widzisz to, jeśli nie jesteś zbyt przerażony, a ja mam szczęście, nie boję się tak strasznie, bo wiem, że moja żona jest bezpieczna. Poza tym - spogląda na Jacka, jakby wyjawiał mu sekret - mam na to sposób. Wyobrażam sobie, że żyłem wcześniej, zanim mnie to spotkało.

Froelich wpatruje się w niego wyczekująco, więc Jack kiwa głową.

- Ten chłopak - ciągnie Henry - pewnie student, strącam mu okulary i każę powtarzać „elektryk mechanik”. Spychają go na prawo. Po prawej jest praca. Po lewej śmierć. Ja już mam za sobą *Bühne*, więc wiem. Może ten chłopak przeżył. - Froelich przymyka oczy. - O nalotach dowiaduję się dopiero po wojnie, to też pomaga mi przetrwać.

- O jakich nalotach?

- Na Hamburg.

Jack przypomina sobie - rodzinne miasto Froelicha. - Twoja żona? - pyta cicho.

Henry oddycha cicho, z przymkniętymi oczami. Wzbiera fala pamięci. Szept muszli, muśnięcia milczących wodorostów i zabłąkanych butów, czy to perły, czy zęby połyskują tam w dole, kamyki czy kości? Wyrzucone na brzeg zagubione rzeczy, wspomnienia oderwane od swych właścicieli i unoszone przez prąd, wspomnienia uwolnione przez śmierć. Gdyby miał oczy zamknięte dostatecznie długo, czy wszystkie zaginione wspomnienia odnalazłyby swoją powrotną drogę przez Henry'ego Froelicha, niczym przez żywą bramę?

- Mojej żonie nie groził obóz zagłady. Mnie również, do czasu.

Jacka opada dziwne wrażenie, że gdyby teraz wstał, jego ciało pozostałoby na miejscu, przy stole, pusta powłoka.

- Hitlerowcy zaszeregowali ją jako Aryjkę. Ironia losu, bo kiedy przedstawiłem ją mojej matce, ta nie chciała się zgodzić na małżeństwo. Moja matka była *sehr raffiniert*. - Na jego twarzy pojawia się uśmiech. - Annie pochodziła ze wsi.

- A jak się zapatrywał na to twój ojciec?

- Zginął podczas pierwszej wojny światowej.

- Mój ojciec walczył na tej wojnie. Mój wuj poległ.

Froelich kiwa głową. Jack wzdycha. Zawiązała się między nimi nić porozumienia, więc Jack uznaje, że ma prawo zapytać: - Henry, dlaczego nie wyjechałeś z Niemiec, kiedy Hitler doszedł do władzy? Dlaczego zostałeś?

- Jestem Niemcem. To się nie zmienia. I masz rację, Jack, to piękny kraj, to *moja ojczyzna*. Byliśmy u siebie, rozumiesz. A potem powoli przekonujemy się, że tak nie jest. To się nie dzieje z dnia na dzień, to nie inwazja. Przyjaciele - ci, z którymi jadaliśmy przy

jednym stole, tak jak my teraz - zdajesz sobie sprawę, że są twoimi wrogami, ale za późno, niestety.

Jack czuje zbliżający się ból głowy. Niczym stłumione kroki na metalowych schodach.

- Moja matka ani myślała wyjeżdżać z Niemiec - ciągnie Froelich. - Po jej śmierci próbowaliśmy dostać się do Kanady, ale nas nie wpuszczono.

- Kanada was nie przyjęła?

- Wszędzie odprawiano nas z kwitkiem, a moja żona nie chciała wyjechać beze mnie.

- Przecież byłeś wykładowcą, powinni cię witać z otwartymi ramionami.

- Byłem Żydem, co prawda niezbyt przykładowym Żydem, ale od 1933 roku to nie miało żadnego znaczenia. Przykładowy czy nie, kiedy w środku nocy wałę do twoich drzwi, jesteś po prostu Żydem.

- Jak trafiłeś do obozu?

- Mieliśmy przyzwoite mieszkanie w Hamburgu. Gospodarz domu nie miał takiego ładnego mieszkania. Zgłosił na policję, że słucham BBC. Aresztowali mnie i wywieźli w kwietniu 1942. W lipcu 1943 na Hamburg spadły bomby.

Jack przypomina sobie kryptonim tej operacji: Gomora. W ciągu trzech dni brytyjskie i kanadyjskie bombowce zrzuciły na miasto dziewięć tysięcy ton ładunków wybuchowych. W morzu ognia zginęły czterdzieści dwa tysiące ludzi - spalonych, uduszonych, zmiażdżonych, porwanych przez wiatry termiczne. Jack nie śmie pytać, czy Henry miał dzieci.

- Kocham Kanadę - oświadcza naraz Froelich.

Wygląda na to, że nie w głowie mu teraz Oskar Fried. Jack odsuwa krzesło od stołu, ale Henry mówi dalej. - Nie należałem do ruchu oporu. Ale w Dorze robiłem, co mogłem.

Na wzmiankę o fabryce Jack bezszelestnie opada z powrotem na wytarte winylowe siedzisko kuchennego stołka.

- Nikt nie ogląda całej rakiety, tylko ten odcinek, nad którym pracuje, a ja jestem w *Elektriker Komando*. Moje zadanie polega na spawaniu powłoki... obudowy, i naprawianiu spawarek, więc jestem blisko rakiet i mam... okazję.

- Do sabotażu?

- Wkłada się złą część zamiast dobrej, poluzowuje się śrubę, można nasikać na przewody, żeby zardzewiały. Nie zawsze dokładnie spawa się na łączeniu. To pomaga mi przetrwać. Znałem Polaka, którego powiesili za to, że zmajstrował sobie łyżkę. Ale ja bardziej boję się kapo.

- To on był kapo?

- Co? - Froelich kręci głową, zniecierpliwiony. - Kapo to... kapo. To też więzień, w

pasiakach, w łachmanach, *ja?*. Ale z zielonym trójkątem, to oznacza przestępcę. On ma władzę. Ten próbuje mnie zabić. Każdego dnia, za pomocą *Gummi* - grubego, czarnego węża. „W moim *Kommando* nie ma miejsca na Żyda”, mówi. Chce, żeby jego oddział był *judenrein*. Nie tylko strażnicy i kapo, inżynierowie też znęcają się nad więźniami dla przyjemności. Nie trzeba wieszać, większość głoduje, a chorych przeznacza się do eksterminacji.

- Czy ten człowiek, którego widziałeś w hali, ten inżynier... czy on też znęcał się nad więźniami? Czy na jego osobisty rozkaz powieszono kogokolwiek?

- Gdyby nie on, ten kapo by mnie zabił.

- Uratował ci życie? W jaki sposób?

- Widzisz, ten inżynier znał moje umiejętności. Kapo stanowił zagrożenie dla cennego pracownika, więc inżynier wskazał jego. Na kogo inżynier wskazuje, tego odprowadzają strażnicy, i wkrótce, pewnego ranka, znów spotykasz tego więźnia, przy wejściu do tunelu, kiedy przechodzisz pod jego nogami. Wskazywał wiele razy, byłem świadkiem. Raz kiedy więzień chciał poczęstować go papierosem. Innym razem za to, że ktoś powiedział mu „dzień dobry”. Więc kiedy wiesz o tym kapo, ja mu nie dziękuję.

- Henry... czy policja nadal szuka tego człowieka?

- Nie, mówiłem ci, że mi nie wierzą.

Froelich ma obrzmiałe powieki, usta zabarwione na purpurowo od wina.

Jack wstaje, sięga po kapelusz. - Ja tobie wierzę.

Froelich podnosi się, ściska mu rękę. - Dziękuję ci, Jack. Za wszystko. Teraz to moja ojczyzna. Zadzwoń do redakcji, powiem, co widziałem i kto żyje wśród nas w tym wolnym kraju. Powiem, że policja uwzięła się na mojego syna, i pošlę tego człowieka za kratki.

- Co na to twój prawnik?

Froelich przewraca oczami. - Mój prawnik? Radzi, żebym siedział cicho, bo to może zaszkodzić sprawie. On chyba też mi nie wierzy.

Jack zatrzymuje się w połowie drogi do wyjścia, przypominając sobie o pieniądzach, które zebrał; zmienione na banknoty o dużych nominałach w ogóle nie ciąży mu w kieszeni. Wsuwa rękę pod marynarkę i wyjmuję małą brązową kopertę.

- Co to jest? - pyta Henry.

- Przyjmij to, proszę...

- Nie, nie mogę.

- Wielu porządnych ludzi się dołożyło. Nie mogę im teraz tego oddać.

Kładzie kopertę na stole, między rachunkami.

Froelich wpatruje się w kopertę. - Mój prawnik mówi, że nawet jeśli to prawda, to alibi

jeszcze bardziej pograża mojego syna, skoro ja twierdzę, że widziałem ten sam samochód. - Bierze głęboki oddech. - Kiedy patrzę na to oczami obcych... Oni nie znają mojego syna. Nie znają mnie. Jesteśmy z... innego świata. Jego alibi... myślę, że brzmi dla nich jak *Märche*... jak bajka.

- Pewnie masz rację - mówi Jack. Wsuwa rękę do kieszeni i z przerażeniem wyczuwa w niej ten nieszczęsny klucz do samochodu.

- Chyba posłucham mojego prawnika - oświadcza Henry.

- Wie, co mówi.

- Potem zwrócę się do prasy, powiem, co widziałem. A ten lotnik, kimkolwiek jest, jeszcze mnie popamięta.

Henry odprowadza Jacka do drzwi. - Ja nigdy nie zapominam twarzy, Jack. W kwietniu wyzwolili nas Amerykanie. Pamiętam żołnierza, który wyciągnął do mnie rękę, i każdego dnia powtarzam sobie: *Mam nadzieję, że temu chłopakowi powiodło się w życiu. Mam nadzieję, że los obdarzył go dziećmi.*

- Tak mi przykro, Henry.

- Dlaczego?

- Przeze mnie znów do ciebie wróciły te wspomnienia.

- *Ibergekumene tores iz gut tsu dertseylin.* Dobrze jest opowiedzieć o kłopotach, z których się wybrnęło. - Froelich się uśmiecha i w jego oczach znów pojawia się błysk. - Tak mawiała moja babcia, w jidysz. Typowa Żydówka.

Jack wychodzi na wieczorny chłód. Klucz w zaciśniętej ręce wbija mu się w dłoń. W domu naprzeciw w kuchennym oknie pali się światło. Jack czuje, że nagle ogarnia go żal - wyobraża sobie żonę siedzącą przy stole z filiżanką herbaty, ze wzrokiem utkwionym w czasopiśmie, nasłuchującą jego powrotu. Jakby Jack był na wojnie - chociaż gdyby faktycznie tkwił w okopach daleko od domu, scena ta nie tchnęłaby takim smutkiem. Wystarczyłoby umieścić w tym obrazku jeszcze dziecko, siedzące przy matczynym boku i pijące kakao, oraz podpis: „Co robiłeś na wojnie, tatusiu?”.

Jego uwagę zwracają światła samochodu skręcającego w ulicę St. Lawrence. Karen Froelich wraca do domu sama. Jack odwraca się i zapuszcza w przesmyk między domem Froelichów i ich sąsiadów - pójdzie na skróty przez park. Szybciej byłoby samochodem, ale nie chce martwić Mimi, gmatwać sytuacji niepotrzebnymi wyjaśnieniami. A tak będzie myślała, że jeszcze jest u Froelichów.

Truchtem mija huśtawki. Czy to możliwe, że Simon znał całą prawdę o Friedzie? Jack przyspiesza; biegnie, żeby dotrzeć w krótkim czasie do budki telefonicznej i jednocześnie dać

ujście buzującej mu w żyłach adrenalinie. Fried to morderca, człowiek, który zataił swoją przeszłość i w odpowiedniej chwili przeszedł na drugą stronę - skąd wiadomo, że znów tego nie zrobi? Na ile prawdopodobne jest to, że Simon świadomie zwerbował takiego człowieka w imieniu całego zachodniego świata? Na skraju parku Jack zatrzymuje się, gdyż spostrzega linę i krządek zwisające z drzewa na tyłach czyjegoś domu. Czemu to ma służyć? Zwalnia kroku w kręgu światła ulicznych latarni.

Człowiek pokroju Frieda splugawiłby tę perłę zachodniej nauki: program badań kosmicznych. Okryłby niesławą nasze dążenia do osiągnięcia raketowej przewagi, byłby wodą na młyn sowieckiej propagandy. Sowietci nas wyprzedzają, bo stosują ucisk wobec własnego narodu - cały ten kraj to obóz koncentracyjny. Jack rozluźnia węzeł krawata, powietrze chłodzi mu szyję. Przecina drogę okręgową, przechodząc pod skrzydłem wysłużonego spitfire'a.

Idzie wolno ulicą Canada Avenue, a potem obok hangarów. Daleko z przodu, tam gdzie przycięta trawa z odległego krańca lądowiska przechodzi w zielsko zarastające wyschnięty rów, panują nieprzeniknione ciemności. Na wszelki wypadek wolałby nie oddalać się w nocy od swoich bliskich na tyle, żeby nie słyszeć, co się u nich dzieje - chociaż ten, kto popełnił tę zbrodnię, pewnie już dawno się stąd wyniósł. Tak jak McCarrollowie, którzy przebywają teraz w Wirginii. Willa na przedmieściach, salon pełen krewnych i przyjaciół. Fotografie w ramkach. Kanapki i łyż. *Tak nam przykro*. Przecina lądowisko, wyjmuje klucz z kieszeni. Bierze zamach i zastyga, wstrząśnięty myślą, która przychodzi mu do głowy: *lepiej jego dziecko niż moje* - ponieważ w tej chwili Jack nabiera pewności, że gdyby nie McCarroll, ofiarą padłaby jego córka. Jak gdyby jakaś siła zażądała dziecka w ofierze. Wyrzuca klucz daleko w mrok.

Po przeciwnej stronie placu defiladowego lśni budka telefoniczna. Jack podbiega, napiera na przeszkłone drzwi, wykręca zero. Słyszy, jak po drugiej stronie rozlega się sygnał.

- Centrala.

Jack wyjmuje świstek papieru z portfela, podaje nocny numer Simona i słucha dźwięku wybieranych cyfr, który kojarzy mu się z kieliszkiem objającym się o ściany sejfu. Spogląda przez szybę na srebrzysty księżyc i uświadamia sobie nagle: Simon przez cały czas jest w służbie czynnej. Nie zaznał pokoju od 1939 roku. Gdy skończyła się jedna wojna, dla Simona zaraz rozpoczęła się następna. Jack wcale nie zazdrości Simonowi tej pracy - mimo że Simon wciąż wykonuje „zadania bojowe”. I choć nie można obecnej misji uznać za udaną, starania Simona nie poszły na marne, jeśli chodziło w niej o pozbawienie Sowietów wiedzy fachowej Frieda i uderzenie w ten sposób w ich prace nad lotami kosmicznymi. Nawet jeśli

Fried zostanie odesłany, gdy prawda wyjdzie na jaw, raczej nie wróci na swoje stanowisko. Prawdopodobnie zostanie rozstrzelany. Jack nie rozczuła się nad jego losem, ale następna myśl mrozi mu krew w żyłach: Fried w rzeczywistości jest rosyjskim szpiegiem. Jack bierze głęboki oddech - lepiej nie uprzedzać wypadków. Gdzieś w Waszyngtonie rozbrzmiewa dzwonek telefonu.

Madeleine broniła się przed zaśnięciem, ale sen zmógł ją, niczym za dotknięciem niewidzialnej czarodziejskiej różdżki - dlaczego nigdy nie pamięta się chwili, kiedy zapada się w sen? Teraz kiedy leży rozbudzona, nie ma pojęcia, która już jest godzina, wie tylko, że jest późno. Ojciec na pewno wrócił już do domu, a ona jeszcze przed jutrzejszymi lekcjami musi go zapytać o te dwie rzeczy.

Skrada się korytarzem. Leciutkie pchnięcie odsłania przed jej oczami sypialnię rodziców. Poślone łóżko. Serce podchodzi jej do gardła - rodzice gdzieś wyjechali! Oczywiście, że nie. Siedzą do późna, to przywilej dorosłych. Stąpając na palcach, zbliża się do szczytu schodów. Na dole jest jasno, światło dochodzi z kuchni. Madeleine posuwa się na dół ostrożnie, po jednym schodku; wreszcie dostrzega matkę siedzącą samotnie przy kuchennym stole. Jeszcze się nie przebrała do snu, wpatruje się w rozłożone na stole karty. Stawia pasjansa. Madeleine patrzy, jak matka dokłada karty. Kuchnia jest wysprzątana. Czerwone paznokcie matki odcinają się od srebrzystych cętek blatu. Z kryształowej popielniczki snuje się dym.

- *Maman?*

Matka podnosi wzrok i uśmiecha się. - *Eh, ma p'tite fille, qu'est-ce que tu as, viens à Maman.* - Otwiera szeroko ramiona.

Madeleine podchodzi do niej, zawijając pasemko włosów wokół palca, zdając sobie sprawę, że plecy ma lekko wygięte, brzuch wypchnięty do przodu, jak wtedy, gdy była mała. Wspina się na kolana matki. Matka też zapomniała, że Madeleine ma już dziewięć lat. Obejmuje ją ramionami i kołysze. Madeleine wtula głowę w jej ramię i zwalcza chęć possania kciuka.

- *Maman, urodzisz jeszcze jedno dziecko?*

Mimi się uśmiecha. - *Może, jeśli Bóg mi ześle.*

- *Jak mu dasz na imię? Jeśli to będzie dziewczynka.*

- *Och, nie wiem, a ty jak uważasz? Moglibyśmy dać jej na imię Domithilde.*

- *Nie!*

Mimi wybucha śmiechem. - *Dlaczego? Na cześć twojej Tante Domithilde. Co w tym*

złego?

- A może Holly?
- Dlaczego?
- Bo to przypomina Hayley, jak Hayley Mills.
- Holly to ładne imię, ale nie ma świętej Holly.
- A była święta Claire?

Mimi gładzi ją po czole. - Cii, *ma p'tite*. Jest święta Klara i patrzy teraz na naszą małą przyjaciółkę. Claire jest w niebie z Bogiem.

To dlaczego wszyscy są tacy przejęci? Madeleine wyobraża sobie tę trójkę, odchodzącą w dal. Claire w środku między świętą Klarą i Bogiem, trzyma ich za rękę i spogląda do góry na ich twarze. Dorośli w szatach i chustach, odprowadzają ją z powagą, rozmawiają ze sobą ponad jej głową. Gdzie się podziwiali, kiedy zginęła Claire? Patrzyli na to spokojnie?

- Zmów teraz modlitwę - nakazuje *Maman*, składając jej ręce. I modlą się obie. - Aniele, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...

- Muszę zapytać o coś tatę - oświadcza Madeleine zaraz po skończonej modlitwie.
- Zapytasz go rano, dobrze?

Madeleine zamyka oczy i matka kołysze ją do snu. Madeleine wkłada kciuk do buzi i rozmyśla o Bogu i świętej Klarze. Duchowych istotach, które witają zamordowane dzieci na lotnisku w niebie.

- Simon, właśnie rozmawiałem z Froelichem, moim sąsiadem. Opowiedział mi o Friedzie, co wyprawiał w Dorze. Kazał wieszać ludzi, Simon, posyłał ich na śmierć... Simon?

- Mów dalej.

- Jeśli to wszystko prawda - a myślę, że tak - to udzieliliśmy schronienia zbrodniarzowi wojennemu. Trzeba go deportować.

Po drugiej stronie rozlega się szcęk, nie na łączach, to szcęk zapalniczki. Słychać, jak Simon zaciąga się dymem.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę. Przeszłość wojenna Frieda nie ma tu nic do rzeczy.

Jack sądził, że jest na to przygotowany. Mylił się. - Chcesz powiedzieć, że o tym wiedziałeś?

Bez odzewu.

- To dla mnie nie do przyjęcia, Simon.

- Wiedziałem, że nie jest niewiniątkiem. Co można też powiedzieć o kilku innych z jego branży.

Ton Simona - beztrojski, ten sam, który Jack zawsze u niego tak podziwiał - teraz go mierzi. Jack z zaskoczeniem przyjmuje wzbierające w nim uczucie - nie gniew, tylko dojmujące rozczarowanie. Jakby na jego oczach świat wokół Simona uległ przeobrażeniu, dookoła niego wyrosły nagle stopy ciał. A Simon, po kolana we krwi, przyjmuje to z właściwym sobie spokojem, z lekkim uśmieszkiem.

- Zamierzam zgłosić się na policję - mówi cichym głosem Jack. - Powiem, że widziałem chłopaka, że to ja prowadziłem, i skieruję ich na twój trop.

- Wiesz, co to jest Operacja Spinacz?

- Słyszałeś, co powiedziałem, Simon?

- A kryptonim Zapalniczka? Obiło ci się to o uszy?

Jack nie odzywa się.

- To powiązane operacje - ściśle tajne, oczywiście. Pierwszą prowadzą Amerykanie, drugą Kanadyjczycy. W razie potrzeby włączają się Brytyjczycy. Jak Donald Maclean. Miałeś rację, Jack, przejąłem po nim schedę. Utrzymuję ścisły kontakt z Amerykanami i namierzam dla nich zagranicznych naukowców, których mogą zwerbować. Tyle że Maclean służył nie temu panu co trzeba.

- A jeśli tak się składa, że ci naukowcy to wojenni zbrodniarze, przemykasz na to oko.

- Prawda, kilku wymagało lekkiego wypucowania przed przyjazdem do Stanów - Jack słyszy, jak Simon zaciąga się mocno i wypuszcza dym - chociażby von Braun.

Zrobiło się zimno. Jack widzi, jak jego oddech zamienia się w parę. - Co było z von Braunem?

- Cóż, rzadko robiono mu zdjęcia w mundurze SS, ale miał stopień Hauptsturmführera. Kapitana.

- ...Wielu naukowców zmuszono, żeby wstąpili do SS.

- Nie wyobrażam sobie, żeby von Braun dał się do czegokolwiek zmusić.

- Ma na sumieniu jakieś zbrodnie?

- Widziałem protokół z narady, która miała miejsce w Dorze. Wzięli w niej udział kierownicy, szefowie zespołów naukowych i wyżsi oficerowie SS, z von Braunem włącznie - mówi Simon, cicho, niespiesznie, jak na rutynowej odprawie. - Rozważano użycie większej liczby francuskich cywilów do niewolniczej pracy w fabryce, mowa jest o konieczności noszenia przez pracowników więziennych pasiaków. Nikt z obecnych się nie sprzeciwił. Jeśli przyjrzesz się zapisom z procesu w sprawie zbrodni popełnionych w Dorze, zobaczysz

nazwisko naczelnego dyrektora fabryki oskarżonego o ludobójstwo. Wspomina on, że von Braun był częstym gościem w fabryce i dokładnie wiedział, co tam się dzieje, wiedział też o egzekucjach.

- To powinno trafić do prasy.

- Nie wolno udostępniać tych materiałów. Są ściśle tajne.

Jack obserwuje mgiełkę swego oddechu osadzającą się na czarnej tarczy aparatu. - Ale von Braun osobiście nie zarządzał egzekucji - Jack słyszy we własnym głosie żalosną nutkę.

- Cóż, wszyscy oni tak twierdzili, ale w przypadku von Brauna bez wątplenia to była prawda. Za to Rudolph to co innego.

- Arthur Rudolph?

- Sam szef programu raketowego Saturn w NASA. Kierował produkcją w Mittelwerk....

- Mittelwerk?

- Mittelbau. Czasami nazywane też Nordhausen, od pobliskiego miasteczka.

- O czym ty mówisz, Simon?

- O Dorze. Nadawano jej wiele określeń z wyjątkiem tego właśnie. I nadal się nadaje.

Czy jest skuteczniejszy sposób na zmylenie przeciwnika niż ciągłe wprowadzanie do obiegu nowej biurokratycznej nomenklatury?

- Wiedziałaś o wszystkim.

- Na tym polega moje zadanie.

Jack spogląda na mgłę gęstniejącą za szybą. Słabo widoczne ponad hangarami czerwone światło na wieży kontroli lotów pulsuje miarowo, w długich odstępach.

- Operacja Spinacz ma trzy cele - ciągnie Simon. Pozbawianie Sowietów kadry naukowej. Pozyskiwanie na rzecz Zachodu kadry naukowej - zwykle za pośrednictwem Ameryki. I po trzecie: wynagradzanie osób, które wzbogaciły zachodnią wiedzę wojskową.

- Wynagradzanie hitlerowców.

- W niektórych przypadkach, owszem - przyznaje Simon. - Byłych hitlerowców. Pewna ich liczba osiadła w Kanadzie. Wiodą tu spokojne życie. Dyskretnie przyjęliście ich do siebie na prośbę USA czy Wielkiej Brytanii.

- Zbrodniarzy wojennych.

- W gruncie rzeczy teraz są już raczej nieszkodliwi. Przycinają swoje krzewy różane, płacą podatki. I nie są sympatykami komunizmu.

- To nie znaczy, że ich przeszłość jest nieważna.

- Zgadzam się. W świecie doskonałym dawno by zadyndali. Albo poszli za kratki.

Jack milczy. Drażni go ta śpiewka o względności rzeczy, ponadto zdaje sobie sprawę, że przekazywanie mu tych poufnych informacji to forma pochlebstwa, za pomocą którego Simon chce go przeciągnąć na swoją stronę.

- Poza tym to nie to samo co kanał przerzutowy dla prawdziwych zbrodniarzy hitlerowskich, których CIA z pomocą Watykanu przemyciła do Ameryki Południowej. Takich drani jak Barbie czy Mengele. Zostali uznani za cenne źródło informacji, ale ja mam na ten temat inne zdanie. Zresztą w USA istnieje potężny kompleks wojskowo-przemysłowy, któremu zależy na utrzymaniu armii w stanie niepokoju. Na górze, wśród dowódców, jest przepychanka, liczy się tylko to, komu uda się wyrwać dla siebie większy zastrzyk środków z budżetu. Służby bezpieczeństwa rywalizują między sobą w dostarczaniu jak najbardziej alarmistycznych informacji wywiadowczych, w pozyskiwaniu najcenniejszych nabytków osobowych z wrogiego obozu. Te pogłoski o tym, kto ma najwięcej pocisków raketowych, to wszystko pożywka dla przemysłu zbrojeniowego, napędza koniunkturę. Nazywa się to rozdmuchiowaniem zagrożenia. Ale dokładnie wiadomo, kto jest przeciwnikiem, i jankesi odwalają dobrą robotę.

- Kto kieruje Operacją Spinacz?

- Agencja Połączonych Celów Wywiadowczych. Przy Pentagonie.

- Amerykańskie przedsięwzięcie, które ma na celu obejście amerykańskich przepisów imigracyjnych. To zamach na demokrację.

- To walka o jej uratowanie. W najgorszym razie można to uznać za wstydlivy sekret demokracji.

- Traktujecie społeczeństwo, jakby było wrogiem. Tak postępują komuniści. Faszyci też.

- W amerykańskim dowództwie jest wielu oficerów, którzy podzielają twoje uczucia. Słyszałem, jak jeden mówił, że oddałby Sowietom tę całą zgraję byłych hitlerowców za puszkę kawioru. A amerykańscy naukowcy niechętnie patrzą na to, że najlepsze stanowiska zagarniają cudzoziemcy. Nawet w waszym Narodowym Komitecie Badawczym macie ich kilku.

- W porządku, Simon, rozumiem. Ale nie pozwolę na to, żeby ten chłopak poszedł do więzienia tylko dlatego, że wam potrzebny jest jakiś hitlerowiec, i nie obchodzi mnie, ilu ich macie już na swoich usługach.

- W Centrum Lotów Kosmicznych Marshalla działa szpieg.

W NASA. Jack nie odzywa się.

- Fried go rozpoznał. Fried zostanie przydzielony do programu raketowego USAF, a

potem zostanie przeniesiony do Centrum Marshalla. Tam nawiąże kontakt z tym człowiekiem i poda się za sowieckiego agenta. Przekaze mu fałszywe informacje, które mają trafić do rąk jego bezpośredniego zwierzchnika w Stanach.

Jeszcze tydzień temu ta wiadomość wprawiłaby Jacka w podniecenie. Teraz mówi tylko: - Gotów jesteś poświęcić tego chłopaka po to, żebyśmy mogli wprowadzić Sowietów w błąd?

Budkę telefoniczną otula nieprzenikniona mgła. Czerwone pulsujące światelko na wieży kontrolnej jest już niewidoczne - Jackowi trudno będzie odnaleźć drogę do domu.

- W naszej akcji bierze udział wywiad amerykański - mówi Simon. - Ale przynajmniej to są służby sił powietrznych. Jeśli CIA się połapie, załatwi sowieckiego kreta i będzie punkt dla niej, chyba że zdecyduje się go wykorzystać dla swoich potrzeb, żeby zdobyć mocny przyczółek w programie badań kosmicznych. A tego nikt sobie nie życzy.

- Wybacz, ale mało mnie wzruszają wasze wojny terytorialne, Simon. A nawet jeśli ja będę siedział cicho, nie ręczę za poczynania Froelicha.

- Jeśli nasza mała misja wyjdzie na jaw, nie tylko Sowietci zaczną się temu przyglądać.

- Co masz na myśli?

- Nie będę miał na to wpływu.

- Mówisz o CIA?

- Stwierdzam tylko, że nie potrafię przewidzieć, czym to się skończy. Jakie działania może podjąć CIA? Froelich jest imigrantem. Żydem o lewicowych poglądach. Era McCarthy'ego to wciąż bliska przeszłość. Rozpętają na niego nagonkę? Doprowadzą do deportacji z kraju?

- CIA nie ma upoważnienia do działań na obszarze Kanady.

Bez odzewu.

- Simon, to morderstwo. Mogą chłopaka powiesić.

Po drugiej stronie panuje trudna do zniesienia cisza. Cisza jak ta, kiedy podczas nocnego lotu tracisz kawał kadłuba. Wreszcie Jack dodaje: - To najgorszy obrót wydarzeń.

- Pozwól, że ja ci przedstawię najgorszy obrót wydarzeń, Jack - mówi Simon, nadal tonem człowieka rozsądnego. - W Związku Radzieckim zaczną ginąć nasi ludzie - dzielni ludzie, nasi agenci działający w ich strukturach - z dala od twojego wrażliwego sumienia. Informacje przekazane nam przez Frieda, dotyczące zamierzeń i potencjału Sowietów, ze szczególnym uwzględnieniem ich programu rozwoju rakiet dalekiego zasięgu - wyniki testów, plany przedsięwzięć, struktura organizacyjna - staną się bezwartościowe. Prasa będzie miała używanie, rozpisując się o hitlerowcach pracujących w NASA. Fundusze rządowe

zostaną okrojone, co odbije się na naszych pracach nad lotem na Księżyc, nie mówiąc już o następstwach dla zachodniej myśli wojskowej i walki o zachowanie technologicznej przewagi w pewnych dziedzinach, dzięki której możecie sobie bezpiecznie urządzać wasze pieprzone przyjęcia w ogródkach.

- No dobrze, Simon, ale ja jestem tu i Fried też, a ty jesteś daleko. Wystarczy, że zadzwonię, i zaraz po niego przyjadą.

- Fried już dawno stamtąd wybył.

Oczywiście. Jack ze spokojem przyjmuje upokorzenie.

- Kiedy? - pyta, dodając: - Wiem, że mi nie powiesz, ale chcę tylko wiedzieć, czy już go tam nie było, kiedy zaproponowałem, że do niego zajrzę?

- Obawiam się, że tak - przyznaje Simon, tonem niemal przeprasającym.

Jack opiera się ręką o chłodną szybę.

- Jack - odzywa się Simon po chwili, cichym głosem. - Powierzyłem ci to zadanie dlatego, że nauczyłem się ufać tylko nielicznym - znów zwraca się do niego jak do przyjaciela. - Nie obchodzi mnie, jakie mają upoważnienia ani skąd pochodzą. Wśród najgorszych sprzedawczyków byli moi rodacy. Nie prosiłbym cię o nic dla Oskara Frieda, ale przecież, kurwa, tu nie chodzi o niego. - Słysząc westchnienie. - Ta wojna, którą teraz prowadzimy, sprawia, że z rozrzewnieniem myślę o tej ostatniej. Każdy głupiec może oddać życie za ojczyznę.

- Nie uważam, że czterdzieści tysięcy Kanadyjczyków było głupcami.

- Nie ujmuję niczego ofierze, jaką złożyli moi i twoi przyjaciele - jak mój rodzony brat, na miłość boską. Chcę tylko podkreślić, że ani ty, ani ja nie możemy polec na polu chwały. Musimy żyć i musimy podejmować decyzje. Podczas ostatniej wojny też musieliśmy podejmować decyzje, ale na ogół były one jawne. Dzieliliśmy winę, upadki i wzloty, i nazywaliśmy to obowiązkiem...

Jack nie może wypowiadać się na temat ostatniej wojny. Był i zarazem nie był jej uczestnikiem. *Nie mam prawa o tym rozmawiać.* A ci, którzy mają prawo, zwykle milczą.

- Pewnego dnia umilkły strzały i ogłosiliśmy zwycięstwo. Przeszliśmy do cywila, wróciliśmy do pracy, założyliśmy rodziny, spłodziliśmy dzieci. Mówiliśmy, że nastał czas pokoju. Ale to nie do końca jest prawda. A ty tkwisz w tym po uszy.

- Simon, ja kieruję organizacją, która uczy innych zarządzania. Jeżdżę sobie kombi, kocham moją żonę, w niczym nie tkwię po uszy.

- Mylisz się, chłopie. Wykonujesz zadanie bojowe, czy to ci się podoba, czy nie. - W tonie Simona słychać ożywienie. - Wiesz, że naszymi nalotami zdruzgotaliśmy niemiecki

przemysł wojenny. Bombardowaliśmy Zagłębie Ruhry noc w noc - powinieneś tam być, stary, masz czego żałować.

Kpi sobie z niego czy co?

- Wiesz, że byłem nad Peenemünde.

Jack potrafi wyłuskać prawdziwe znaczenie: *Zwyciężyłem w nierównej walce z losem, wróciłem żywy z lotu bombowego. Cel: Peenemünde.*

- Rozpirzyliśmy w drobny mak rakiety V-2, cacko Hitlera...

- O tak.

- ...więc przenieśli fabrykę pod ziemię, ściągnęli niewolników, wypruwali z nich żyły w Dorze, głodzili, wieszali, nie dawali za wygraną.

- To nie była nasza wina.

Simon mówi dalej, opanowanym głosem - Jack uświadamia sobie, że tłumia wściekłość. - Podczas nalotów na Hamburg zginęły tysiące ludzi. Ja też brałem w tym udział. Oprócz zwykłych bomb burzących zrzucaliśmy zapalające, i to na kogo? Na ludność cywilną. Skazywaliśmy ich na śmierć, niemal tak niechybną, jakbyśmy ustawili ich pod ścianą i rozstrzelali, i wygraliśmy wojnę, dzięki temu albo pomimo tego. Podejrzewam, że raczej pomimo tego, bo wiem, kto odbudował te miasta, kobiety, cholera jasna, cegła po cegle, i bądź tu, człowieku, mądry. Ale przecież załatwiliśmy Hitlera... A wiesz, co nie daje mi spokoju, Jack? Stalin wykończył więcej cywilów niż Hitler, ale Niemcy są teraz innym państwem, a Rosja nie. Zwracam się teraz do ciebie - twoja ojczyzna, twoja zafajdana cywilizacja zwraca się do ciebie, żebyś, być może, poświęcił życie jednego chłopca - pewnie nawet nie jego życie, tylko wolność - w imię pokoju, w imię naukowych dokonań, które mogą przesądzić o naszym przetrwaniu i odsunąć widmo zagłady, dla dobra twojej własnej córki. Ty cholerny durniu... - Simon urywa, kiedy znów się odzywa, w jego głosie nie słychać gniewu. Tylko smutek. - Zabiłem setki, może nawet tysiące ludzi. Ale nie robiłem tego potajemnie i nie widziałem z bliska ani jednej ofiary. Z wysoka patrzy się na to inaczej, to jest moralność z lotu ptaka. Dostałem nawet za to medal. Ty masz zdecydować o losie jednej osoby. Różnica polega na tym, że ty ją znasz. Ja nie znałem kobiet, które biegły szukać schronienia przed bombami, kiedy zawyły syreny, nie znałem dzieci, które ginęły pod gruzami albo przyklejone do stopionego asfaltu, nie znałem ludzi w szpitalach i kościołach, ani tych, którzy rzucali się do kanału. Nie łudzę się, że na to zasłużyli, nie rozdieram też poniewczasie szat ani nie oddaję się świętoszkowatemu gdybaniu, mądrzejszy po fakcie. Spełniłem swój pieprzony obowiązek, Jack. Teraz kolej na ciebie.

Mgła zatarła czas i miejsce. Równie dobrze Jack mógłby teraz znów lecieć trzy tysiące

metrów nad ziemią, *zdaj się na wskazania przyrządów...*

- Jest takie chińskie przysłowie - mówi Simon. - Gdy ocalisz człowiekowi życie, stajesz się za niego odpowiedzialny.

- O mnie nie musisz się martwić, Simon.

- Moi koledzy wiedzą, że w akcji bierze udział wysoki rangą kanadyjski oficer, wiedzą, że służy w Centralii. Nie znają twojego nazwiska, ale z łatwością mogą do ciebie dotrzeć. Ale w tej sprawie jedno jest najważniejsze, Jack. Jak dotąd nie mają pojęcia, że zamierzasz przerwać milczenie.

Jeśli Simon myśli, że Jack w tej chwili przejmuje się swoją karierą, to grubo się myli.

- Czy ty mi grozisz, Simon?

- Nie. - W jego głosie brzmi autentyczne zdziwienie.

Kiedy odzywa się po chwili, przyjmuje poufale, niemal urażony ton. - Daję ci słowo, że nie dowiedzą się ode mnie.

Jack przetyka ślinę. - Simon, nie pozwolę, żeby powiesili tego chłopca. On jest niewinny - mówi.

- Więc nie ma się czego obawiać.

Nie wiem, co mam robić. Jack nie wypowiedział tego na głos. Ale Simon usłyszał. Simon siedzi naprzeciw niego przy stole, o jedną whisky od niego. Pochyla się do przodu i mówi: „Zrób to, co należy”.

Ten zwrot budzi w Jacku wspomnienia, usadowione tuż za jego lewym okiem... Słowa, jakimi Simon go przywitał, kiedy Jack ocknął się w szpitalu, żeby usłyszeć, że dla niego wojna się skończyła: *Postapiteś, jak należy, stary.*

- Trzymaj się, Jack.

Jack zdejmuje rękę z zaparowanej szyby, lecz odcisk pozostaje, czarny i przejrzysty. Spogląda przez niego na zewnątrz. Niebo jest czyste. Księżyc lśni, widoczny przez ślad odcisniętej dłoni. Mgła zebrała się tylko w budce, z jego własnego oddechu. Jack otwiera drzwi i czuje, jak chłód przenika przez wełnianą warstwę munduru. Pada śnieg. Płatki muskają jego rzęsy, topnieją na wardze. Wkłada kapelusz. Nogi niosą go same przez bezgłośną biel. W połowie drogi przez plac defiladowy uświadamia sobie odgłos stłumionych kroków za plecami. Przyspiesza, lecz podobnie czyni jego prześladowca - już słyszy oddech nieznanego, czuje, że zaraz klepnie go w ramię: *Usunąłeś samochód, Jack. Nawet jeśli się zgłosisz, policja ci nie uwierzy, tak jak nie uwierzyła Henry'emu Froelichowi. Żaden Oskar Fried nigdy nie istniał.* Jack przystaje. Kto by mu uwierzył? Jego żona. Sowieci. I CIA.

Jack nigdy nie bał się postępować słusznie. Ale czasami trudno się człowiekowi

połapać. *Pokażcie mi, co jest słuszne, a ja to zrobię.* Gdzie jest góra? Gdzie jest dół? Chciałby zwierzyć się Mimi, ale nie wolno mu do tego mieszać żony. To on wstąpił do sił zbrojnych, nie ona.

Odwraca się, chociaż wie, że z tyłu nie ma nikogo. Po przeciwnej stronie placu defiladowego połyskuje pusta budka telefoniczna, znów przezroczysta. Płatki śniegu osiadają mu na ramionach, gęstniejąc niczym pierze. Stoi bez ruchu, na jego kapeluszu tworzy się biała otoka, a na barkach szron rysuje epolety. Nie wie, co ma robić. Wie natomiast, co już zrobił.

*I nie dla wstęgi, co pierś okręci,
Czy w nadziei przelotnej chwały,
Lecz głos kapitana słyszy w pamięci
„ Trwaj i graj! Zagraj mecz cały!”*

Sir Henry Newbolt, 1862-1938

ELASTYCZNOŚĆ REAKCJI

- *Bobby?*

- *Tak?*

- *Nie chcę, żeby wyglądało na to, że daliśmy dupy...*

Nagranie rozmowy JFK z bratem Robertem
w czasie kryzysu kubańskiego, 23 października 1962

Mimi budzi się pierwsza. Wstaje po cichu i sięga po mundur Jacka, który leży zmięty na podłodze - trzeba go będzie odprasować. Kiedy podnosi marynarkę, uderza ją dziwna woń. Przytyka materiał do nosa i wącha - to mocz. Mija zaledwie chwila, gdy Mimi uświadamia sobie, że jej mąż na pewno nosił na rękę niemowlę Froelichów. Patrzy na męża, bladego, pograżonego we śnie, z otwartymi ustami, i widzi go jako starca, w którego zmieni się pewnego dnia. Musi obchodzić się z nim delikatnie.

Wczoraj wieczorem czekała na niego do późna, a kiedy w końcu przyszedł, nie był

głodny i nie chciał z nią rozmawiać. Dała mu dwie aspiryny, które popił szkocką, i od razu położył się do łóżka. Mimi zajrzała do córki, a kiedy wróciła do sypialni, Jack już spał. Miała nadzieję, że odwróci się do niej, ogrzeje jej stopy, które zawsze miała lodowate, ale on był stracony dla świata. Nie poszedł na mecz Mike'a. Nie pora teraz wnikać w to, co się stało u Froelichów. Cokolwiek tam zaszło, Jack się od tego rozchorował. Jack miał trzydzieści sześć lat; nie wolno jednak zapominać, że mężczyźni tak wiele w sobie tłumią, a to może się odbić na ich zdrowiu. Mimi wiedziała, jak odprężyć męża, ale w jego obecnym stanie nie wchodziło to w grę. Jej okres się spóźnił. Może tym razem... Usłyszała, jak Jack zgrzyta zębami przez sen. Nie chciało jej się spać. Leżała, wpatrując się w biały sufit, na którym migotały cienie płatków śniegu wirujących w blasku księżyca za oknem. Mogła wstać po jeszcze jedną koldrę, ale było jej za zimno.

Nieobecność na meczu baseballu to jeszcze nie koniec świata, ale ich syn niedługo dorośnie. Mimi bała się, że Mike'owi za szybko przestanie zależeć na tym, żeby ojciec kibicował mu z trybun. Już udawał, że to nic wielkiego - wkroczył, jak gdyby nigdy nic, obwieścił swoją wygraną od niechcienia i oświadczył, że nie jest głodny; ojciec Arnolda Pindera zabrał ich po meczu na hamburgery. Kiedy to usłyszała, łzy napłynęły jej do oczu, co można wytłumaczyć jedynie napięciem, w jakim żyła przez ostatni tydzień.

Mimi składa marynarkę na krzesło - trzeba będzie oddać ją do czyszczenia - i kieruje się do łazienki. Przypomina sobie, że nie widziała wczoraj wieczorem samochodu Froelichów na podjeździe, i dopiero teraz zastanawia ją, komu Jack dotrzymywał towarzystwa Henry'emu czy Karen?

Na papierze toaletowym, którego użyła, zauważa smużkę wodnistej czerwieni. Jest zaskoczona. Przecież nie miała skurczów ani nie czuła się nabrzmiąta. Pociesza się, że nieregularna miesiączka to przypadek wielu kobiet, ale rozum mówi jej co innego: ona nigdy do nich nie należała. Dlatego udawało im się z Jackiem unikać „niespodzianek”. Jeśli zmienia się jej cykl miesięczkowy, to dlatego, że ona sama się zmienia i nie ma znaczenia, jak młodo się czuje i wygląda. Spryskuje twarz wodą - nie wolno jej płakać. Ma dwójkę pięknych zdrowych dzieci, a sąsiadka straciła swoje jedyne. To niedobrze rozpaczać nad dzieckiem, które nawet jeszcze nie zostało poczęte. Poza tym kto wie, nie jest wcale powiedziane, że do tego nie dojdzie. Nie zakręcając wody, siada na brzegu wanny i chowa twarz w dłoniach. Wtem Madeleine wali w drzwi: - Mamo! Wpuść mnie do łazienki!

Przy śniadaniu namawia Michela, żeby opowiedział ojcu o meczu. Deszcz splukał resztki spóźnionego śniegu, odslaniając sinozieloną trawę. Mimi ubrała się dziś staranniejsz niż zwykle, a kiedy Jack wychodzi do pracy, całuje go, a potem kąsa lekko w ucho, żeby

wywołać na jego twarzy uśmiech.

Madeleine nie miała okazji zapytać ojca o sprawy, które ją nurtowały, gdyż Mike niepodzielnie zawłaszczył dla siebie porę śniadania, szczegółowo relacjonując przebieg wczorajszej gry. Zresztą to i tak bez znaczenia, bo policja już więcej nie pojawia się w szkole. Kiedy Colleen dopada ją na przerwie, Madeleine powtarza jej to, co powiedziała policji, a potem biegnie z powrotem do koleżanek - jej beztrudnych koleżanek - nie czekając na podziękowania czy na wyrzuty ze strony Colleen. Strup na dłoni zaczyna się łuszczyć i Madeleine skubie go coraz śmielej.

Przez następne trzy dni Jack czeka po prostu na rozwój wydarzeń, w nadziei, że sprawa zostanie oddalona, ale w piątek zostaje wyznaczona data wstępnej rozprawy. Korona nie zwleka w przewidywaniu, że niektórzy świadkowie mogą zostać przeniesieni jeszcze przed końcem lata. Sędziowie mają może też na względzie młody wiek Ricky'ego i to, że przebywa w areszcie, ponieważ rozprawa ma się odbyć już za trzy tygodnie. Prawnik Froelichów z zadowoleniem przyjmuje tak szybkie tempo, z uwagi na wątłe podstawy, na których opiera się oskarżenie. Korona będzie dążyć do tego, żeby sądzić Ricky'ego jak dorosłego, ale w czołowych dziennikach Toronto już ukazały się artykuły potępiające to jako „niehumanitarne” i jako „nadużycie litery oraz naruszenie ducha prawa”.

Jack nie zgłasza się od razu na policję. Tłumaczy sobie, że celem wstępnej rozprawy jest ustalenie, czy są dostateczne przesłanki do wszczynania postępowania sądowego. A na ile jest to prawdopodobne? Jack podejmie działanie, ale nie będzie się pochopnie wyrывał. A to oznacza, że wystąpi dopiero wtedy, kiedy i jeśli okaże się to absolutnie konieczne.

Do kierownicy obitego roweru Grace Novotny przyczepiona jest różowa wstęga. Grace siedzi na siodełku i podpira się nogami. Zatrzymała się na skraju trawiastego pola, które graniczy z podwórkiem Madeleine. Znów pada deszcz. Dzieciaki mogłyby skandować: „Kto jeździ na rowerze przy takiej pogodzie?”, jak to mają w zwyczaju, kiedy chcą, żeby ktoś poczuł się jak odmieniec. Grace nawet nie włożyła peleryny przeciwdeszczowej. Trzyma rękę między nogami - często bezwiednie łapie się za krocze. Przypomina Madeleine starą gumową lalkę, z rozplecionymi włosami, gołą, odzianą tylko w jeden bucik, leżącą w zapomnieniu na dnie pudełka z zabawkami. Jest piątkowe popołudnie, Madeleine ma na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy i nieprzemakalny kapelusz. Jest zajęta rozcinaniem piłki golfowej znalezionej w trawie. Mike powiedział jej, że w środku piłki jest nitrogliceryna. Może uda jej się zbudować bombę.

- Cześć, Grace.

Grace jakby nie zauważała, że pada. Rąbek jej przemoczonej sukienki jest nierówno przyszyty.

- Hej, Grace. Skąd masz tę wstęgę? - pyta Madeleine.

Grace przeczesuje palcami różowe plastikowe pasemka i odwraca wzrok. - Dostałam.

- Od kogo?

- Od kogoś.

- Ukradłaś ją - mówi Madeleine.

- Nieprawda! - zaperza się Grace, tupiąc przy tym nogą, zupełnie w stylu Sary, jakby spodziewała się, że przepłoszy ją jak kota. Ale w wykonaniu Grace ten gest wcale nie jest groźny, tylko niezgrabny.

- Więc skąd ją wzięłaś? - pyta nieustępliwie Madeleine.

- Dała mi ją.

- Kto? Claire?

- Znalazłam ją.

- Kłamczucha. - Madeleine czuje się trochę podle, Grace to taki łatwy cel. - No gadaj, Grace.

Grace wsiada na rower, a odjeżdżając, z rozmysłem podskakuje na siodełku i ciężko opada - to na pewno ją boli.

- Madeleine. *Viens, c'est l'heure du diner.*

Wieczorem przy kolacji panuje cisza. Madeleine czeka, aż coś się stanie, lecz daremnie.

- Podaj mi groszek, proszę - mówi Mike. Ojciec nie karci go za to, że posypuje groszek cukrem.

Żeby chociaż radio było włączone, nawet nudne wiadomości. Deszcz bębniący o okno wcale nie podnosi na duchu, jego monotony odgłos przypomina, że nie ma o czym rozmawiać.

- Dziś wieczorem idziesz na zbiórkę, Mike, zgadza się? - pyta Jack.

Mike chrząka na potwierdzenie, ale ojciec nie upomina go. Wszystko to wygląda mocno podejrzanie. Ojciec jest milusi, jak do rany przyłóż, chyba coś ukrywa, czeka, żeby w stosownej chwili oznajmić im coś strasznego - jest nieuleczalnie chory. A jeśli został mu tylko rok życia?

- Poproszę masło, skarbie.

Tego już za wiele. Twarz jej się marszczy, łyzy kapią na kuleczki mdłego

konserwowego groszku; mimo że jest ogarnięta rozpaczą, Madeleine odnotowuje ten fakt i zastanawia się, czy uda jej się uniknąć ich zjedzenia.

- Co ci jest, stary druhu?

- *Madeleine, qu'est-ce que tu as?*

Mike przewraca oczami.

- Przestań! - krzyczy przeraźliwie Madeleine. Ojciec posyła Mike'owi spojrzenie, potem otwiera ramiona na przyjęcie córeczki. Madeleine wdrapuje mu się na kolana i szlocha, wtulając się w jego ramiona. - Tak mi smutno!

- Dlaczego jest ci smutno, stary druhu? - zwraca się do niej rozbawionym głosem, a to znak, że trzeba się martwić, bo on chce ją pocieszyć.

- Bez powodu!

Madeleine łka, trąc piąstką o policzek. Kiedy podnosi wzrok, spostrzega, że została przy stole sama z ojcem.

- Co robiłaś dzisiaj w szkole?

Na lekcjach Madeleine głównie wypatrywała przez okno policji.

- Nic - odpowiada.

- Śpiewałaś? Liczyłaś? Rysowałaś?

- Zajęcia z plastyki mieliśmy w zeszłym tygodniu w czwartek.

- Powiedz mi, co narysowałaś.

- Nie dostałam gwiazdki.

- Nie szkodzi, sztuka jest subiektywna. Wiesz, co to znaczy „subiektywna“?

- Nie.

- To znaczy, że to rzecz gustu. Sztuka to rzecz gustu.

- Wygrały motylki.

- Motylki? To oklepany motyw.

- Były żółte i naprawdę ładne.

- A ty co narysowałaś?

Opowiada mu o Robinie, który woła: „Dzisiaj Wielki Czwartek, Batmanie!“.

Ojciec się śmieje. Madeleine powoli wraca do samopoczucia.

- Ludzie nie doceniają humoru - stwierdza ojciec. - A rozśmieszanie innych to najtrudniejsze zadanie.

Opowiada jej o karierze Boba Hope'a, który zaczął od występów w rewiach i mozolnie piął się do góry, aż doszedł do trzyminutowego solowego popisu pełnego dowcipów niezawodnie budzących śmiech. - Komik estradowy to wśród wykonawców odpowiednik

chirurga mózgu.

- Czy powieszą Ricky'ego Froelicha?

- Nie, nie, nie, tego nie zrobią.

- Hm... A skąd wiesz? - Madeleine stara się, żeby to zabrzmiało grzecznie, nie chce obrazić ojca, podważając jego osąd.

- Cóż, przede wszystkim to młodociany.

- Przestępca?

- Nie, nie, „młodociany” znaczy, że jeszcze nie jest dorosły i nie może być ukarany jak dorosły.

- Czy zdarza się, że wieszają dzieci? - pyta Madeleine, wiedząc, że ojciec zaraz każe jej „myśleć o rzeczach przyjemnych”.

Kiedy się odzywa, słychać, że jest trochę urażony. - Oczywiście, że nie. Szanse, że w obecnych czasach do tego dojdzie, są, praktycznie rzecz biorąc, nikłe.

Tak jak szanse na to, że zrzucą na nas bombę.

- Przede wszystkim prawdopodobnie nawet nie będzie procesu. Widzisz, najpierw musi odbyć się rozprawa wstępna, a kiedy sędzia powie: „Słuchajcie, panowie, brak w tej sprawie bezpośrednich dowodów...”.

- Sprawa poszlakowa - wtrąca Madeleine. Takimi zajmuje się Perry Mason.

- Otóż to. I oddali sprawę.

- Pooglądasz ze mną *Łosia Superktoś*? - mówi Madeleine.

Wspólnie śledzą przygody Borisa Badenova i jego niegodziwej rosyjskiej narzeczonej, Nataszy, którzy organizują zamach na cyrk, ale plany krzyżuje im Latająca Wiewióra i jej zaufany towarzysz Łoś Superktoś. W czasie przerwy na reklamy Madeleine pyta: - A jeśli nie wypuszczą Ricky'ego?

- Żadna rozsądnie myśląca ława przysięgłych nie skarże go bez dowodów.

- No dobrze, a gdyby jednak do tego doszło?

Ojciec patrzy jej prosto w oczy i po raz pierwszy przemawia do niej tak jak mężczyzna do mężczyzny. Madeleine wie, co to znaczy: ojciec uważa, że potrafi to przyjąć jak mężczyzna. Czuje, jak prostuje się jej kręgosłup.

- Gdyby skazali Ricky'ego Froelicha za morderstwo - mówi - w najgorszym razie dostałby dożywocie.

Madeleine wyobraża sobie Ricky'ego w więziennym stroju w czarno-białe paski, za kratkami, w czapce więziennej do kompletu... *idź prosto do więzienia, nie zatrzymuj się po drodze...*

Ojciec odstawia swoją filiżankę, wstaje i podchodzi do kredensu w kuchni. Nalewa sobie szkockiej.

Zaczyna się *Ukryta kamera*.

- Ale nawet do tego nie dojdzie - oświadcza Madeleine, tonem stosownym do ich męskiej rozmowy.

- Co mówiłaś, kotku? - Siada z powrotem na sofie. - Pomasuj głowę tatusiowi, co?

Kłęką obok niego i trze go po głowie, mówiąc: - Nawet nie pójdzie do więzienia.

- Nie pójdzie - przyznaje ojciec i pociąga łyk whisky.

Radosne głosy wołają z ekranu, zachęcając widzów, żeby się uśmiechnęli: „Jesteście w *Ukrytej kamerze!*”.

- Bo on tego nie zrobił - mówi Madeleine. Ojciec wstaje, żeby podkręcić głoś w telewizorze. - Tak powiedziałam policji.

- Co takiego? - odwraca się do niej, zgięty nad telewizorem. - Mówiłaś coś o policji, kochanie?

- Przyszli do szkoły. Ojciec prostuje się. - Kiedy?

- Wczoraj.

- Po co?

- Żeby nas zapytać.

- O co?

Madeleine żałuje, że poruszyła ten temat. Jak przyzna się ojcu, że okłamała policję? Czerwienieje na twarzy.

- Kto przy tym był?

- Tylko ja - odpowiada Madeleine. - I pan March.

- Kto zadawał pytania?

- Taki pan w garniturze.

- Inspektor Bradley?

- Tak.

- Na miłość...

Kładzie szklaneczkę na ławie szybkim ruchem, po którym Madeleine poznaje, że jest wściekły. Ojciec idzie do kuchni, wyjmując książkę telefoniczną z szuflady - nie trzaska niczym, tylko ślini palec i niespiesznie zaczyna wertować stronicę. Wygląda na to, że jednak się nie rozgniewał. Tak czy owak, Madeleine przekroczyła próg zamaskowany trawą i wpadła w pułapkę, nie sposób przewidzieć, gdzie dorośli je zastawiają. Patrzy, jak ojciec wybiera numer.

- Halo, czy to pan George March? Mówi Jack McCarthy, ojciec Madeleine...

Madeleine jest tak porażona, że nie może nawet sięgnąć po poduszkę.

- Chciałbym, żeby wytłumaczył mi pan jedną rzecz...

Madeleine ogarnia uczucie lękliwego oszołomienia, jak zawsze, kiedy tata się na coś wścieka, ale nie na nią - na te cholerne śledzie do namiotu! Jego wzrok pała teraz niepohamowanym oburzeniem. Mówi do telefonu: - Niech mi pan poda choć jeden powód, który powstrzyma mnie przed przyjazdem do pańskiego domu i pogruchotaniem panu kości.

Madeleine zagryza policzek i sięga po poduszkę.

- ...A mnie się wydaje, że dobrze wiesz dlaczego, mój panie. *Mój panie! W pija się zębami w materiał.*

- „Ćwiczenia”? Nie chodzi mi o naukę, kolego. Chodzi mi o to, co miało miejsce wczoraj w klasie po lekcjach.

Oczy Madeleine robią się wielkie jak spodki.

- Gwiżdżę na to, co mówiła policja, zgodnie z prawem przy przesłuchaniu dzieci muszą być obecni rodzice. - Ścisła słuchawkę zbiełałymi palcami. - Wiem, że powiedziała prawdę. Tak ją wychowałem, ale mniejsza o to...

Madeleine szczyrzy się do poduszki, śmiech uwiązał jej w gardle.

- Módl się, żebyś nie stracił pracy do czasu, kiedy zrobię z tym porządek... Masz rację, że to się więcej nie powtórzy. - I odkłada słuchawkę.

Jack zaznacza palcem numer miejscowego biura komendy prowincji Ontario, ale zmienia zdanie i wertuje białe stronice, szukając wśród abonentów niejakiego Thomasa Bradleya - zaskoczy drania w domu i przyprze go do muru.

Jednak zanim wykręca numer, odwraca się do córki: - O co cię pytali?

Całe zawrotne podniecenie mija. Madeleine odsuwa poduszkę od ust i mówi prawdę.

- Czy widziałam Ricky'ego, Elizabeth i Claire na drodze.

- Na jakiej drodze?

- Okręgowej.

- Ach tak. - Kiwa głową. - I co im powiedziałaś?

- Powiedziałam, że... że ich widziałam.

- Pytali o coś jeszcze?

Madeleine znów odpowiada zgodnie z prawdą. - Pytali, czy widziałam, w którą stronę skręcił Ricky.

Na ekranie volkswagen „garbus” pęka wzdłuż na dwie połowy, objeżdża słup telefoniczny i składa się z powrotem w jedną całość. Salwa śmiechu.

Madeleine jest skupiona. - A ja na to, że... tak, to znaczy, widziałam.

To też odpowiada prawdzie, bo tak właśnie powiedziała policji. Madeleine nie okłamuje ojca.

Jack czeka.

- I powiedziałam, że Ricky nie poszedł z Claire, bo widziałam, jak skręcał w lewo, z Elizabeth i Reksem.

Ojciec wygląda teraz inaczej. Już nie patrzy na nią jak na swojego starego druha - ale też nie jak na swoją małą córeczkę, która była niegrzeczna. Madeleine nie poznaje tego spojrzenia, więc przez chwilę nie poznaje sama siebie. Na kogo on teraz spogląda?

W głowie Madeleine ukształtowały się słowa, spływają do ust: *ale to było kłamstwo, bo nie widziałam, w którą stronę poszedł Ricky*. Już otwiera usta, żeby je z siebie wyrzucić, ale klepięcie ojcowskiej ręki wpycha je z powrotem do środka. Tata targa jej włosy, nacisk jego dłoni sprawia, że głowa Madeleine kiwa się na wszystkie strony.

Podnosi na niego wzrok. Ojciec uśmiecha się od ucha do ucha. Madeleine idzie za jego przykładem.

- Pierwszy pilot do drugiego - mówi tata. - Zgłoś się. Odbiór.

- Tu drugi pilot.

- Świetnie. Dalej, ruszaj się, przejedziemy się trochę.

Tata nic nie mówi, kiedy Madeleine bierze z wieszaka kurtkę Mike'a i wkłada ją na siebie. Tę z podszewką w kratkę. Teraz będą tworzyli dobraną parę.

- Jutro w szkole nie rozpowiadaj, że twój tata zadzwonił do wychowawcy i na niego nakrzyczał. Już dostał za swoje.

- W porządku - odpowiada Madeleine po męsku. Ciekawe, jak ojciec by zareagował, gdyby poprosiła go, żeby mówił na nią Rob.

Przestało padać. Jadą do Crediton z opuszczonym szybami; zapach ognisk i pól przypomina im Niemcy. Na dworze zapada zmrok; szary zmierzch zstępuje na ziemię - lecz nie jest to mglista ani złowróżbna szarość, lecz dająca nadzieję - przejrzysta, srebrząca obory, zarysowująca płoty. W miasteczku zatrzymują się przy lodziarni, ojciec wysiada i podchodzi do lady. Tylko dla mięczaków i małych dzieci jest za zimno na lody. Madeleine czeka w samochodzie, patrząc na świat jako Rob. Nieco dalej stoi przy ulicy ładny mały dom - bungalow - z rabatkami i karmnikiem dla ptaków na trawniku. Otwierają się drzwi frontowe, z domu wychodzi pan March z torbą ziaren dla ptaków i dosypuje je do karmnika. Rob siedzi jak sparaliżowany. Kiedy ojciec wraca z lodami, pan March jest już z powrotem w swoim domu.

- Wiesz, co to jest „dyskrecja”? - pyta, wręczając jej lody.

- To znaczy, że się nie papie na lewo i prawo.

Madeleine wybrała swoje ulubione, waniliowe.

- Owszem - przyznaje ojciec, oblizując swoje lody o smaku orzechowym. - Ale to odnosi się również do sposobu załatwiania rzeczy, bez robienia wokół tego szumu i zamieszania. Rozprawiliśmy się z panem Marchem, ale nie musimy mu o tym przypominać.

- On też ma swój honor - stwierdza Rob.

- Otóż to - przytakuje ojciec. - Zadanie wykonane.

- Siedzą z łokciem wystawionym za okno, rękawy kurtek marszczą się na wietrze.

Czy kłamie się, jeśli nie mówi się komuś kłamstwa, ale pozwala mu się w nie wierzyć?

- Możemy podejść do tego na luzie - mówi tata.

Czyli „dyskretnie”?

Madeleine odgryza lodowy kęs i przetrzymuje go w ustach. Łzy stają jej w oczach, lody są tak zimne, że ranią jej podniebienie. To dziwne, że kiedy jej usta odtają, podniebienie będzie szczypać jak poparzone.

Ojciec zwalnia i pozwala jej pokierować.

Kiedy po powrocie do domu Jack dowiaduje się, że Mike został wyrzucony z harcerskiej zbiórki, ponieważ pobił się z Royem Noonanem, jest w stanie omówić tę sprawę na spokojnie. Uwolniony od przytłaczającego brzemienia, potrafi zaradzić temu niegroźnemu kryzysowi w rodzinie. Jego córka zapewniła Ricky'emu Froelichowi alibi.

Część trzecia

ŁASKA KRÓLOWEJ

KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI

Rodzina ofiary po prawej. Rodzina oskarżonego po lewej. Dziwny orszak weselny. Drewniane ławki. Na dużym stole z przodu, ustawione niczym upominki, dowody rzeczowe.

Słoik z treścią żołądka. Koperta zawierająca bawełniane majtki. Lewy but. Prawy but. Pudełko na kanapki. Srebrna bransoletka w kopercie. Niebieska sukienka. Zdjęcie posterunkowego Lonergana w miejscu, w którym znaleziono ciało. Zdjęcie Claire McCarroll podczas sekcji zwłok. Sitowie przekazane koronerowi. Pojemnik z larwami. Pojemnik z krwią pobraną z ciała Claire McCarroll. Sitowie zabrane przez posterunkowego Lonergana.

Nad głowami, pod sufitem, wolno obraca się wentylator. Na jednej ścianie sali sądowej są uchylone okna, ale w środku panuje duchota. Jest gorąco jak na połowę czerwca - ma się wrażenie, że to środek lata. Za oknami rynek wysadzany drzewami, obsypany różami. *Witajcie w Goderich, najładniejszym mieście Kanady.*

- Wysoki Sądzie, wnoszę o rozpoczęcie rozprawy Richarda Plymoutha Froelicha.

Prokurator królewski siada z powrotem na swoim miejscu i ociera czoło chusteczką. Jest dziesiąta rano. Sąd Najwyższy prowincji Ontario zasiada dziś w budynku sądu okręgowego w Goderich.

- Doprowadzić więźnia do ławy oskarżonych - nakazuje sędzia. Jego stanowisko spowijają z boków dwie flagi: brytyjska i kanadyjska. Na ścianie nad jego głową wisi portret Jej Królewskiej Mości Elżbiety II. Królowa Elżbieta. Przeciwnik Ricka.

Pod nadzorem strażników Rick wkracza na salę w nowym granatowym garniturze i w kajdankach. Z rękawów wystają mu kościste nadgarstki; w więzieniu sypnął mu się zarost. Oficer sądowy zdejmuje mu kajdanki. Rick siada.

- Oskarżony, proszę wstać - mówi sekretarz.

Rick wstaje. Na policzku widać zadrapanie, a na brodzie kroplę zaschniętej krwi - żyłotka, którą dostał rano, wcześniej posłużyła kilku innym więźniom, poza tym woda była zimna, a jego zdenerwowanie dopełniło reszty. Odnotowano to skrzętnie w jego aktach, gdyż każde skaleczenie należy udokumentować. Tuż za nim zajmuje miejsca rodzina, państwo Froelichowie z Colleen.

Kilka rzędów dalej siedzi Jack, w letnim mundurze. Poświęcił dzień urlopu, żeby być

obecnym na rozpoczęciu procesu. Urlop jest rzeczą cenną, ale Mimi to zrozumie. Jack przywiera plecami do twardego oparcia. Czuje ulgę z powodu zbliżającego się końca. Ostatnie dwa miesiące upłynęły mu w spokoju, ale nie przyniosły pocieszenia - „odrętwienie”, tak należy określić jego stan. Świeciło słońce, na oko nic nie odbiegało od normy - poza tym, że zniknął chłopak sąsiadów. Kilka dni temu skończył się rok szkolny i Jack zafundował dzieciakom lody. Jeździli na zakupy, Jack przyszytył trawnik, zbudował basenik, bawił się w kucharza na świeżym powietrzu - i kochał się z żoną.

Lecz kiedy wraca myślą do tych dwóch miesięcy, na wszystkim odciska się niedola Froelichów - rozpościera się nad Centralią niczym niebo, szara błona nałożona na błękit, która sprawia, że nieco trudniej się oddycha, nieco trudniej się porusza. Więzi czas jak w pułapce. Czas płynął dookoła Jacka, a on wykonywał swoje zadania, lecz jak ogniwo ludzkiego łańcucha, przekazującego z rąk do rąk wiadra z wodą podczas pożaru, nie ruszył się z miejsca. Obchodził nawet swoje urodziny, ale to była tylko kartka w kalendarzu, świeczki na torcie dla taty. W duchu w ogóle nie czuje się starszy o te dwa miesiące. Co nie znaczy, że czuje się młodo. Czekał, aż czas znów zacznie dla niego płynąć. Od dzisiejszego dnia.

Sekretarz odczytuje akt oskarżenia. - Richardowi Plymouthowi Froelichowi zarzuca się, iż w dniu 10 kwietnia 1963, w powiecie Stephen, w okręgu Huron, zamordował Claire McCarroll, który to czyn stanowi pogwałcenie Kodeksu Karnego Kanady. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Na sali obecni są dziennikarze siedzący daleko z tyłu - rząd spoconych mężczyzn w wymiętych garniturach - ale nie wolno im przekazywać żadnych sprawozdań. Za to - w przeciwieństwie do publiczności - zakazano wstępu fotografom, którym nie wolno zbliżać się do siedziby sądu na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów. Jack widział rano podjeżdżający pod drzwi sądu radiowóz, ale napierający gapie zasłonili mu Ricka. Słyszał jedynie wznoszone okrzyki, obelgi pod adresem chłopaka. „To on!”. „Ty draniu!”. „Obyś smażył się w piekle”. To przypomnienie, że pomimo artykułów utrzymanych we współczującym tonie i ubolewających nad tym, iż w takim cywilizowanym kraju jak Kanada piętnastolatek może być sądzony jak dorosły, ogół społeczeństwa, nieznający Ricka, nie ma powodu wątpić w słuszność policji. Chłopak nie jest stąd, nawet nie z miejscowej bazy lotniczej, został adoptowany - to wyszło na jaw na rozprawie wstępnej - i tak naprawdę nie jest biały. To Metys, „mieszaniec”.

Scena ta wywołała w Jacku głęboki niesmak. I była dla niego zaskoczeniem - tak bardzo przywykł traktować Ricka jak chłopaka sąsiadów, że nie przeszło mu nawet przez myśl, iż niektórzy mogą w nim widzieć oczywistego winowajcę. Jest dla nich obcy.

Po drugiej stronie siedzi inspektor Bradley, a obok niego McCarrollowie.

- Nie przyznaję się - odpowiada Rick.

- Będzie pan reprezentował oskarżonego, panie Waller? - pyta sędzia.

Zza stołu zajmowanego przez obronę podnosi się mężczyzna ubrany w czarną jedwabną szatę.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy oskarżony czuje się na siłach stanąć przed sądem? - pyta sekretarz.

- Tak - odpowiada Rick.

Zostają zaprzysiężeni ławnicy. Jacka uderza kontrast między oficjalnym - nawet nieco teatralnym - językiem a bezbarwnym tonem, jakim wygłaszane są kwestie. Ci ludzie mają za sobą setki podobnych rozpraw. Dla Ricka to debiut. I dla ławy przysięgłych też. W jej składzie nie ma kobiet. Daremnie by szukać wśród nich osoby poniżej pięćdziesiątki. *Chłopak już wisi* - słowa same narzucają się Jackowi, ale odsuwa je od siebie, niemal oburzony; w końcu to najzupełniej porządni ciężko pracujący mężczyźni, filary miejscowej społeczności. Każdy z nich przypomina Jackowi jego rodzzonego ojca; ciasny pogląd na zamknięty w wąskich ramach świat. Tę myśl też od siebie odsuwa.

- Oskarżony, proszę wstać - mówi sekretarz.

Rick znów się podnosi.

- Panowie przysięgli - ciągnie sekretarz - przyjrzyjcie się więźniowi i wysłuchajcie stawianych mu zarzutów.

Jack nie odrywa wzroku od sekretarza. Po drugiej stronie Charon McCarroll składa ręce i zwiesza głowę. Jak podczas nabożeństwa. Ubrana jest w jasnożółty kostium, który kupiła w Denver, kiedy jeszcze żyła Claire. Wszystko, co działo się w ich życiu wcześniej niż dwa miesiące temu, można zawrzeć w tych słowach: „kiedy żyła Claire”. Nie zdobyli się dotąd na to, żeby oświadczyć: „kiedy umarła Claire”. Jednak Claire nie umarła, ona zginęła, ale czy przeszłoby im przez usta: „kiedy Claire zginęła”? Ludzie giną w wypadkach samochodowych czy podczas powodzi. Claire została zamordowana. I nigdy nie nadejdzie taki czas, kiedy jej rodzicom przejdzie przez usta: „kiedy Claire została zamordowana”. „Kiedy straciliśmy Claire”, tak to określa.

„...Akt oskarżenia został mu odczytany, on zaś nie przyznał się do winy i niniejszym zdaje się na wyrok państwa, którego wy jesteście przedstawicielami”.

Sharon zakłada kosmyk włosów za ucho. Będzie zeznawać, potem wróci do Wirginii. Dzisiejszy dzień przypomina ostatni dzień nauki przed wakacjami. Przed wyjazdem jeszcze ustny sprawdzian. Sharon wymieni, co włożyła do pudełka śniadaniowego córki, i opíše jej

strój. Przedstawi dokładnie przebieg ostatniego dnia życia córki: „Claire przyszła i poprosiła, żebym zapakowała jej coś do zjedzenia, a ja powiedziałam, może pomożesz mi upiec jabłecznik na dzisiejszą uroczystość? Zapytała mnie, czy może pojechać na wycieczkę rowerową, a ja odpowiedziałam, jasne, ale nie zapomnij przed kolacją przebrać się w mundurek, a ona na to: «Nie zapomnę, mamó»". Wspomnienie to wywołuje na twarzy Sharon uśmiech. Claire jest z nią na sali sądowej. Razem ze swoim ubraniem i pudełkiem na śniadanie, dowodem numer 23.1 srebrną bransoletką. Blair obejmuje żonę ramieniem i pochyla się, żeby spojrzeć jej w twarz.

- A zatem, panowie przysięgli - mówi sędzia - zostaliście zaprzysiężeni i macie obowiązek rozpatrzeć tę sprawę. Ten oto młodzieniec, którego będziecie sądzić, oskarżony jest o morderstwo, co stanowi najcięższe przestępstwo w myśl naszego prawa...

Na sali jest obecny patolog ze Stratford. Złoży zeznanie na temat oznak wskazujących na to, że umarła w miejscu, w którym znaleziono jej ciało, oraz czasu, kiedy nastąpił zgon. Przesłał słoik z treścią żołądka do Prokuratury Prowincji Ontario, gdzie zespół od bioanalizy odtworzył posiłek, jaki Claire spożyła w dniu śmierci, włącznie z ciastkiem, które upiekł według przepisu dostarczonego przez panią McCarroll. Członkowie zespołu zjedli ciastko, a także plaster żółtego sera oraz kawałek jabłka, a następnie wszystko zwymiotowali, żeby porównać to z treścią żołądka ofiary.

- ...i jeśli słyszeliście jakiegokolwiek pogłoski dotyczące tej sprawy, a jestem pewny, że słyszeliście - mówi sędzia - to raczej niemożliwe, żeby komuś nie obity się o uszy, jeśli przebywał w okręgu Huron w ciągu ostatnich dwóch czy trzech miesięcy...

Kilka rzędów przed Jackiem siedzi pochylony do przodu Henry Froelich - ociera czoło. Jack widzi tył głowy Karen. Proste popielate włosy. Wręcz mysie. Wtem Karen się odwraca, Jack spostrzega jej profil i czuje nagłe szarpnięcie tuż poniżej mostka. Usta niektórych kobiet są lepiej zarysowane bez szminki. Kreski w kąciach ust, rozchylone wargi, szepczące Henry'emu do ucha słowa pociechy.

- Proszę więc, abyście je od siebie odsunęli - mówi sędzia.

Jack był obecny na wstępnej rozprawie. Zabrała jeden dzień. Biorąc pod uwagę wątle podstawy, na których opierało się oskarżenie, to cud, że doszło do procesu. Rick znalazł ciało. Rick ostatni widział ją żywą. Rick uciekał przed policjantem, który go zastraszył. Czas zgonu. I cała historia. Niczego nie dowodzi. „...Zalecam też, abyście powstrzymali się przed czytaniem publikacji prasowych na temat tej sprawy, a także słuchaniem lub oglądaniem audycji radiowych i telewizyjnych o podobnej treści...”.

To istne kpiny. Dwie rodziny przeżywają koszmar z powodu niedorzecznego śledztwa.

Miejscowa ludność może spać spokojniej w przekonaniu, że morderca został schwytany, ale rodzice w SKR-ach nadal mają się na baczności, „...w hotelu w Goderich, gdzie jeśli warunki nie będą wam odpowiadały, nie wahajcie się, panowie, zwrócić się do tutejszych władz...”. Do tych, którzy dopuszczają winę Ricka, należą też McCarrollowie. Trudno mieć im za złe to, że pragną szybkiego rozstrzygnięcia tego bolesnego aspektu sprawy, „...jeśli krzesła te okażą się twarde, panowie, zamówiłem dla waszej wygody poduszki, ponieważ ważne jest, aby cała wasza uwaga skupiona była na...”.

Jack złożył wniosek o wcześniejsze przeniesienie. Pomijając drogę służbową, zwrócił się do wysokiej rangi oficera, którego znał z czasów, kiedy służył w 4 Dywizjonie w Niemczech. Dwa lata temu Jack stanął na głowie, żeby załatwić w ostatniej chwili miejsca dla jego rodziny w służbowym samolocie, czym zaskarbił sobie jego: „jeśli tylko będziesz czego potrzebował, Jack...”. Pułkownik ten jest obecnie dowódcą eskadry w Ottawie. „Jak mogę ci pomóc, Jack?”.

Jack zabierze stąd rodzinę, gdy tylko otrzyma decyzję na piśmie.

Właściwie wyjedzie zaraz po zakończeniu procesu, zapakuje rodzinę do ramblera i ruszy na wschód, do Nowego Brunswiku - zaczęły się szkolne wakacje i trudno będzie utrzymać Madeleine w obrębie SKR-ów i z dala od okolicznych lasów.

- Wysoki Sądzie - podnosi się prokurator królewski, też w czarnej szacie, tyle że wełnianej, cięższej - oraz panie i panowie, członkowie... ach przepraszam, panowie, członkowie ławy przysięgłych...

Jack spogląda przez okno na cichy rynek, jak z obrazka. Może powinien rozstać się z lotnictwem, przejść do cywila. Przenieść się do Europy. Znalazłby pracę jako konsultant... w jakiejś korporacji... w branży farmaceutycznej czy innej, to nie ma znaczenia. Kupią sobie dom, będą podróżować. Jak za dawnych czasów, „...od czasu spożycia ostatniego posiłku do czasu zgonu. Ważny jest również czas pozostałych czynności...”. Jack ściąga marynarkę i prostuje się, jego mokre plecy przylegają do oparcia. Prokurator królewski przedstawia stanowisko oskarżenia, „...kiedy wyszła z domu. Wtedy jej matka po raz ostatni widziała ją żywą. Ale usłyszycie, iż potem przebywała na placu szkolnym, gdzie miała się odbyć uroczystość pasowania na harcerki. Usłyszycie zeznania dwóch dziewczynek, Sary Nolan i Grace Novotny, które mogą okazać się dla was niezwykle istotne”. Jedno z nazwisk brzmi znajomo. Czy to koleżanki Madeleine? Co one mogą wnieść do sprawy? Nie były obecne na wstępnej rozprawie, dzieci w ogóle nie były dopuszczone, „...to dziewczynki z klasy, do której chodziła Claire McCarroll, i wspólnie bawiły się tego popołudnia na placu szkolnym, a usłyszycie o tym z ich własnych ust... .

Dokładny czas, kiedy Claire odjechała z placu szkolnego, dokładny czas, kiedy spotkała Ricky'ego i Elizabeth. Połowa dzieciaków z SKR-ów zostanie powołana na świadków, żeby potwierdzić to, czego nikt nie podważa: Claire podzieliła się kanapkami z Madeleine i Colleen o tej godzinie. Opuściła plac szkolny o tej godzinie. Spotkała się z Rickym i wyjechała poza teren bazy, i tak dalej. Dlaczego dzieci muszą przez to przechodzić?

Prokurator królewski ciągnie monotonnym głosem: - ...miejsce to stanowi część okręgu Huron zwaną przez dzieci z miejscowej bazy Rock Bass. To nazwa wymyślona, panowie, i nie figuruje na żadnej mapie. Prowadzi do niego droga, którą świadkowie określać będą w swoich zeznaniach jako „drogę polną”; biegnie ona ze wschodu na zachód pomiędzy szosą nr 4 - nie należy jej mylić z drogą okręgową nr 4, z którą przecina się nieco dalej w kierunku północnym - jak więc mówiłem, między szosą nr 4 a rzeką Ausable. Tę polną drogę przecina - a skrzyżowanie to może okazać się ważne - odcinek drogi będącej południowym przedłużeniem drogi okręgowej nr 21, o której podczas tego procesu będzie się mówić po prostu „droga okręgowa”...

Czy to celowe działanie prokuratora? Przyjęta strategia? Jack spogląda na ławę przysięgłych: dwunastu sennych mężczyzn. Dalej następuje szczegółowy wywód na temat tego, ile czasu potrzeba na to, żeby przebiec z SKR-ów do Rock Bass, pchając przed sobą wózek inwalidzki, pozostać tam dostatecznie długo, żeby zgwałcić i zamordować dziewczynkę, a następnie powrócić o określonej godzinie do SKR-ów. Sędzia krzywi się i poprawia na krześle.

Jest fizyczną niemożliwością, żeby Rick popełnił zbrodnię w Rock Bass i zdążył wrócić do domu - trasą, którą, jak twierdzi, obrał - na godzinę, którą potwierdzą członkowie jego rodziny oraz kilku świadków - włącznie z trenerem koszykówki; Rick dzwonił do niego od siebie z domu, co na pewno wykaże rejestr rozmów telefonicznych. Nikt nie podważa czasu rozpoczęcia przez Ricka jego codziennego biegu oraz czasu powrotu. Wątpliwości budzi tylko to, dokąd się udał i co wtedy robił, „...usłyszycie, że oskarżony utrzymuje, iż na szosie nr 4 minął się z kierowcą samochodu, lotnikiem, i pomachał mu ręką na znak powitania, a ten ów gest odwzajemnił, i usłyszycie od inspektora policji, że pomimo gruntownego dochodzenia...”. Jack mruga gwałtownie, słone krople potu pieką go w oczy.

SŁONECZNE DNI, LIZAKI I DZIECIĘCE NAMIOTY

Mimi oświadczyła Madeleine, że wolałaby, żeby „na razie” nie bawiła się z Colleen Froelich i żeby nie spędzała za dużo czasu u Froelichów. Nie dlatego, jak wytłumaczyła córce, że z Colleen czy rodziną Froelichów jest coś nie tak; Froelichowie mają teraz zbyt wiele na głowie. Madeleine przyjęła to z ulgą, niepozbawioną poczucia winy. Dom Froelichów okrył się w jej świadomości mrokiem. Podobnie jak Colleen - która nieodparcie kojarzy jej się z Claire.

Letnie wakacje. *Koniec lekcji, koniec kucia! Koniec belferskiego trucia!* Cudowny lipiec. Całe przedpołudnie Madeleine spędziła w towarzystwie Auriel i Lisy. Najpierw ganiały w strojach kąpielowych pod spryskiwaczem na trawniku, potem założyły nowiutkie jaskrawe klapki plażowe, ze sprężystymi podeszwami, zabrały ręczniki, okulary słoneczne i radio tranzystorowe Auriel, i poszły na basen. Tam przez trzy godziny się chlapały, skakały na bombę, krztusiły się od piekącej wody, która wlewała im się do nosa. „Nie wolno biegać wokół basenu!”. Opalały się na Riwierze z Troyem Donahue i piszczwały ze śmiechu, kiedy kąpielówki Roya Noonana wzdęły się w wodzie jak balon. Kiedy zgłodniałe i nagrzane od słońca wróciły do SKR-ów, zastały na podjeździe do domu Lisy ciężarówkę firmy zajmującej się przeprowadzkami.

Teraz siedzą sobie we trójkę w namiociku Auriel i odrywają z jej opalonych ramion łuszczący się naskórek. Czują się dużo starsze i mądrzejsze niż wtedy, gdy ostatni raz zebrały się w tym zaczarowanym pomarańczowym półmroku i oglądały drobinki kurzu przesuwające się na tle siatki trójkątnego okienka. Mama Auriel pozwoliła im wnieść do środka stertę kanapek z masłem orzechowym i dżemem; w ten sposób mają uczcić rozstanie z Lisą. Wiedziały, że dziś zjawi się ciężarówka do przeprowadzki, ale i tak jej widok mocno je poruszył: żółty okręt prześlizgujący się po falach. Ridellowie przenoszą się do Kolumbii Brytyjskiej.

Madeleine zachwyca się przezroczystym pasemkiem, które oderwała Auriel z barku. - Widać na nim odciski palców, ma nawet małe dziurki jakby od włosów, i w ogóle.

We trójkę studiują cieniutki płatek, rozcierając go w palcach na proch.

Wymieniły się komiksami i zapewniły o dozgonnej przyjaźni. Ustały, że będą do

siebie pisać i że żadna z nich nie zacznie golić nóg ani chodzić z chłopakiem bez porozumienia z pozostałymi.

- Już wiem - oświadcza Madeleine. - Spotkajmy się na placu szkolnym w 2000 roku.

Auriel otwiera szeroko oczy, jeszcze bardziej niebieskie w zestawieniu z piegami, które jakby zbrązowiły na tle jej opalenizny. Lisa rozdziawia usta w niemym zachwycie, jej włosy niemal zbieleły na słońcu.

Auriel wyciąga rękę, Lisa przykrywając swoją, Madeleine kładzie dłoń na ręce Lisy. *Wszystkie za jedną.*

Madeleine ma na końcu języka propozycję, żeby zawarły ze sobą związek krwi, ale się waha. Trąci to nielojalnością wobec Colleen. Poza tym jest jeszcze ukryta przyczyna: skaza wiedzy - swoistej hańby - jaką Madeleine wiąże z Colleen, chociaż nie powiedziała jej o ćwiczeniach po lekcjach. W środku tego namiociku Madeleine zachowuje się jak zwykła beztroska dziewczynka. Nie ma tu miejsca na krew.

Przyniosły swoje pamiętniki. Madeleine przegląda kartki, na których wpisały się jej koleżanki z Niemiec - charakter pisma trzecioklasistów jest uderzająco dziecinny. Jej wzrok natrafia na podpis *Laurie Ferry*, lecz dopiero po chwili udaje jej się skojarzyć to imię i nazwisko z twarzą... *twoja najlepsza przyjaciółka.*

Lisa wpisuje się do pamiętnika Madeleine: *Prędej chmur zabraknie na niebie, niż ja zapomnę Ciebie, twoja najlepsza przyjaciółka (nie licząc Auriel) Lisa Ridelle.*

Madeleine odwzajemnia się jej wierszykiem: *Na górze róże, na dole maki, niech Cię kochają wszystkie chłopaki, twoja na zawsze Madeleine.*

A Auriel pisze: *Lasy zetnie piła, papier zniszczy czas, ale żadna siła nie rozłączy nas.*

Zapach chloru i płótna stanie się odtąd zapachem przyjaźni i słodkiego lata.

Auriel i Lisa się ściskają. Madeleine odwraca wzrok, nie chce się roztkliwiać - *rozkoszna męka pożegnań, doktołku.* Wpatruje się w okruszyny na podłodze, czuje pod stopami przygniecioną trawę - *ostatni raz siedzę w tym namiocie.* Boucherowie też się przeprowadzają. Jutro pan Boucher złoży namiot i zapakuje go do furgonetki.

Nagle Lisa wyznaje, że jest w kimś zakochana i że nigdy więcej już go nie zobaczy.

- W kim? - dopytują się Madeleine i Auriel.

Lisa potrząsa głową, lecz w końcu wyrzuca z siebie: - W Mike'u McCarthym!

- Zadurzyłaś się w moim bracie?

Lisa chowa twarz w dłoniach i kiwa głową.

Teraz Auriel ogłasza, że kocha się w Royu Noonanie, „choć jest taki drętwy!”. Madeleine spogląda na nie ze zdumieniem i włącza radio. Jakby na znak, że na zawsze

pozostaną przyjaciółkami, rozbrzmiewa naraz ich ulubiona piosenka *It's my party*. Spoglądają na siebie, rozdziawiając usta w zachwycie i w niedowierzaniu, i całym sercem śpiewają z Leslie Gore, popłakując sobie przy tym. Łzy pieką podrażnione chlorem oczy Madeleine, a ona śpiewa jeszcze głośniejsze.

Tego popołudnia ciężarówka objuczona dobytkiem Ridelle'ów niczym ogromna bestia znika za rogiem, a dom Ridelle'ów stoi opustoszały i porzucony.

KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI

- Czy znał pan Claire McCarroll?

- Tak, panie prokuratorze. Mieszkała przy tej samej ulicy, St. Lawrence Avenue, cztery domy dalej. Ona i moja córka Lisa należały do tej samej drużyny zuchowej i miały wziąć udział w ceremonii pasowania tamtego dnia wieczorem.

Steve Ridelle zeznaje przed sądem jako świadek. Jest ubrany w mundur.

- W czasie tamtych wiadomych wydarzeń, panie doktorze, jakie zajmował pan stanowisko?

- Byłem naczelnym lekarzem w bazie Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych w Centralii.

Jack powinien być w pracy, ale znowu wziął dzień urlopu. Jest kilka minut po dziesiątej, na dworze trzydzieści stopni upału. W środku jeszcze więcej. Siedzący przed nim ludzie już zaczęli wachlować się kapeluszami i gazetami. Pod ścianą dziennikarze pochylają się i skrzętnie notują.

- Doktorze Ridelle, czy znane jest panu miejsce nazywane Rock Bass? - pyta oskarżyciel.

- Owszem, panie prokuratorze, znam to miejsce.

- Czy był pan około pół kilometra na zachód od tego miejsca, pomiędzy polem kukurydzy a lasem, na polu leżącym odłogiem, w niedzielę czternastego kwietnia rano?

- Byłem.

- Czy widział pan tam zwłoki?

- Widziałem.

- Zechce pan nam opisać, co pan zaobserwował?

Jack jest na sali, ponieważ dowiedział się od Henry'ego Froelicha, że tego dnia przedstawione zostaną wyniki badań i orzeczenia lekarzy. Pragnie usłyszeć, że brak jest jakichkolwiek dowodów wiążących Ricka z tą sprawą. Jest na sali, ponieważ nie potrafi trzymać się z dala.

Wczoraj oskarżyciel próbował odczytać zeznanie, które Rick złożył zaraz po aresztowaniu, ale obrona zgłosiła sprzeciw, ponieważ nie było wtedy przy nim ani adwokata, ani opiekuna prawnego. Sędzia kazał ławie przysięgłych opuścić salę sądową na czas odczytania zeznania Ricka. Zgodnie z przewidywaniami Jacka nie zawierało ono nic, co nawet w najmniejszym stopniu mogło zaszkodzić chłopakowi, Rick jedynie w paru miejscach się zaplątał, najwyraźniej z wyczerpania. Przysięgli wrócili na salę i Jack przypatrywał się ich twarzom, gdy zapoznawali się z decyzją sędziego o niedopuszczeniu tego zeznania do przewodu; na pewno uznają, że musiało być w nim coś obciążającego chłopaka - w przeciwnym razie po co obrona zgłaszałaby sprzeciw? Czy sędzia nie mógł tego przewidzieć?

- Ciało było ułożone na plecach, z dolnymi kończynami, nogami, rozchylonymi. Pod drzewem, a dokładnie pod więzem. Było ubrane w niebieską sukienkę...

Wszyscy świadkowie powtarzają to, co stwierdzili już wielokrotnie, i wyrażają się możliwie jak najprościej - tak jak uczy się żołnierzy przekazywać wiadomości w wojsku. Nie ma tu miejsca na literackie zabiegi, które mają przykuć uwagę słuchacza czy zapowiedzieć zwrot w akcji.

- Było ono... ciało było przykryte trzciniami, czy raczej sitowiem, a także kwiatami, polnymi kwiatami, chociaż w wyniku działania deszczu i jak sądzę, zapewne zwierząt...

- Czy twarz była widoczna?

- Twarz była zasłonięta.

- Czym?

- Majtkami.

- Bawełnianymi majtkami?

- Tak.

Steve Ridelle otrzymał zawiadomienie o przeniesieniu na nową placówkę już w maju i nie tracąc czasu, wyprowadził się wraz z rodziną. Przyjechał tu, żeby zeznawać.

- Czy to te majtki?

- Tak.

Jack patrzy, jak prokurator odkłada na stół żółtawy łachman. Dowód rzeczowy numer 49.

Sharon McCarroll nie bierze udziału w rozprawie. Wróciła do matki do Wirginii.

Przedstawione zostają zdjęcia, ława przysięgłych opuszcza salę, następuje zaprzysiężenie świadków, przysięgli z powrotem zajmują swoje miejsca, wezwany zostaje patolog.

- Żołądek został wyjęty w całości, następnie nad sterylnym pojemnikiem został rozcięty, a jego zawartość trafiła prosto do pojemnika, który został szczelnie zamknięty i opisany...

Jack rozgląda się po sali, dostrzega Blaira McCarrolla. Ojciec ofiary nie powinien tego wszystkiego słuchać.

- ...pojemnik pod światło, żeby zobaczyć, co da się zaobserwować, i zaobserwowaliśmy niewielką ilość brązowego...

Następne pół godziny upływa na analizie spożytego przez Claire jedzenia. Ustalanie czasu zgonu na podstawie treści żołądka nie zawsze się sprawdza. Trawienie mało ma wspólnego z rygiorem nauk ścisłych. Może ulec przyspieszeniu lub spowolnieniu, w zależności od okoliczności - takich jak strach.

McCarroll wpatruje się w oparcie ławki przed sobą, jego twarz nic nie wyraża.

Pobrano jej z serca krew. Zważono jej serce. Było w normie. Jej wzrost, jej waga, wszystko było w normie.

- Na szyi pacjenta widoczne były obrażenia...

Pacjenta? Jack podnosi wzrok.

- ...sińce na tchawicy, ale bez śladów zacisku, a twarz mocno przekrwiona, sinoczarna.

W każdym razie, zsiniała...

Para rąk. Znaki kciuka na tchawicy. Zbadano rany, które nie spowodowały zejścia śmiertelnego. Ponownie został wezwany Steve.

- ...brak owłosienia łonowego, a na większej wardze sromowej, po prawej stronie, stwierdziłem obszar wielkości mniej więcej mojego paznokcia, na którym naskórek został otarty...

- Po prawej stronie, czy tak pan powiedział? - pyta Wysoki Sąd.

- Powiedziałem „po prawej”. O ile dobrze pamiętam, to była prawa strona.

- Pańska prawa czy dziewczynki?

- To była prawa dziewczynki, przepraszam.

Jack wyczytał w gazetach, że Claire została zgwałcona, mimo to...

- ...i był otarty, a całe wejście do pochwy nadmiernie rozszerzone.

- Słucham?

- Nadmiernie rozszerzone.

Czy Jackowi zabrakło wyobraźni, że nie przewidział tych wszystkich detali? Zerka dookoła i zastanawia się, czy inni też są zaskoczeni. Z tyłu dostrzega znajomą twarz. To nauczyciel, pan Marks. Wygląda jak przerośnięty dzieciak. Takemu nawet nie warto byłoby dokopać. W tym samym rzędzie siedzi śliczna młoda nauczycielka, która prowadzi drużynę zuchową Madeleine. Czy przeszło im przez myśl, że kiedykolwiek usłyszą, jak ktoś w ten sposób opisuje ich uczennicę?

- ...skupiska larw w tym punkcie, a po usunięciu larw okazało się, że cały ten obszar był głęboko otarty...

Jack powiedział Mimi, żeby szykowała się do przeprowadzki za kilka tygodni. Już odwołała wizyty dzieci u dentysty zaplanowane na jesień. Madeleine stanie przed sądem w przyszłym tygodniu, a jej zeznanie położy kres tej kpinie ze sprawiedliwości.

- Biorąc pod uwagę obrażenia sromu i pochwy - pyta prokurator Steve'a Ridelle'a - o czym to według pana świadczy?

- U dziewczynki w tym wieku wejście do pochwy zarośnięte jest błoną dziewiczą, co sprawia, że nie można wsunąć do środka nawet małego palca, a ta błona została przerwana, nie było jej...

Jack ucieka myślami daleko stąd. Jego wysoko postawiony znajomy z Ottawy zadzwoni lada dzień. Na Królewskiej Akademii Wojskowej w Kingston zwolnił się etat dla wykładowcy. Jack jest pewnym kandydatem na to miejsce.

Chociaż teraz z zadowoleniem przyjąłby niemal każdą ofertę.

- Co, pana zdaniem, spowodowało te obrażenia? - pyta prokurator.

- Moim zdaniem...

- Wysoki Sądzie - odzywa się obrońca - nie chciałbym bez potrzeby przerywać, ale jeśli wolno mi zasugerować, zważywszy na te zmiany, pośmiertne zmiany, które świadek wykrył na tym obszarze, byłoby dla niego wysoce ryzykowne wypowiadać na tym etapie jakąkolwiek opinię, ponieważ, jak sam twierdził, wykrył na tym obszarze bardzo poważne pośmiertne zmiany...

Czy obrona posługuje się pokrętną logiką, czy Jackowi po prostu trudno się skupić? Znowu odpływa myślami. *Zmiany*. Łagodne słowo, ale bynajmniej nie eufemizm. Przechodzimy zmiany od samego poczęcia i nie przestajemy się zmieniać, dopóki z powrotem nie zmienimy się w ziemię. To swoisty cud, myśli Jack. Ten powrót do ziemi... *postawić człowieka na Księżycu i zapewnić mu bezpieczny powrót na Ziemię*. To byłby nie lada wyczyn, ale dużo bardziej złożonym zadaniem jest przywrócić człowieka ziemi po jego śmierci.

- Nie, niech świadek odpowie na zadane pytanie...

Taki sam cud jak poczęcie. Żmudne oddzielanie jednej cząsteczki po drugiej, zanikanie naszych ciał. Trwa latami. Dłużej niż ciąża i narodziny.

- Czy te uszkodzenia mogły powstać wskutek rozszerzenia tego obszaru dużym przedmiotem?

- Wysoki Sądzie - przerywa obrońca - sugeruję, że pan doktor wypowiadałby się zbyt pochopnie na ten temat, pan doktor nie jest patologiem.

- Może pan wykazać później, że jego opinia nie ma szczególnego znaczenia - odpowiada sędzia. - Ale uważam, że doktor ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie na temat przyczyn powstania tych zmian, jako że brał udział w sekcji zwłok, a z opinią patologa zapoznamy się później.

Jack spogląda na obrońcę, spodziewając się, że ponowi sprzeciw, ale ten się nie odzywa. Sprawy nabierają szybszego tempa. Kroci się zmiana...

- Doktorze Ridelle? - pyta prokurator.

- Mógłby pan powtórzyć swoje pytanie?

Z jakiej racji Steve staje przed sądem? Jest lekarzem ogólnym, a nie...

- Czy to możliwe, że te obrażenia wskazują na bardzo nieporadną próbę penetracji?

- To jest możliwe - odpowiada doktor Ridelle.

- Podjętą, na przykład, przez niedoświadczonego czy niedojrzałego mężczyznę? - pyta prokurator.

- Wysoki Sądzie - wtrąca się obrona.

Sędzia zwraca się do ławy przysięgłych: - Panowie, macie puścić w niepamięć ostatnie pytanie oskarżyciela królewskiego. Przerwa na lunch.

NA FRONCIE DOMOWYM

Jack wjeżdża ramblerem na teren SKR-ów, rozglądając się w nadziei, że wypatrzy gdzieś swoje dzieciaki. Ma już dość na dziś tego procesu. Poza tym wyniósł z dzisiejszej rozprawy to, co dla niego najistotniejsze: brak dowodów na obecność Ricka na miejscu zbrodni. Nie znaleziono nawet nasienia ani śladów związku, w jaki sperma zmienia się, gdy ulegnie rozkładowi. Deszcz mógł wszystko usunąć. Albo larwy. Ale coś by zostało wewnątrz

jej ciała, a tu nic. Gdyby zostało, laboratorium określiłoby grupę krwi i w zależności od wyników, Rick zostałby wykluczony z grona podejrzanych albo do niego zaliczony. Tymczasem nie ma ani skrawka namacalnego dowodu. Obrona na pewno ustali to po przerwie, podczas przesłuchania świadków. Ile właściwie Hank płaci temu facetowi? Niech się w końcu coś wykaże.

Jack skręca w St. Lawrence, spostrzega ciężarówkę na podjeździe Boucherów. Może by tak jeszcze raz zrobić zbiórkę pieniędzy, zanim wszyscy się rozjadą. Zwalnia przed swoim domem i widzi, że trawnik Froelichów żółknie - po południu weźmie spryskiwacz i podleje go porządnie. A najpierw go przystrzyże. Staje na podjeździe.

Wobec braku nasienia nie sposób udowodnić, że nastąpiło wprowadzenie członka do pochwy. Dziewczynka została zgwałcona, ale może czym innym. Tępym narzędziem, którym mógł się posłużyć jakiś zwyrodnialec dybiący na małe dziewczynki, bo mu nie staje - albo ma problemy z wytryskiem i nie może szczytować. Ani jedno, ani drugie nie pasuje do zdrowego nastolatka. To na pewno nie ujdzie uwagi przysięgłych, wszyscy oni byli przecież nastolatkami. Chłopcy w tym wieku potrafią być brutalni, ale to przemawia za jakimś starym zbrodnicem, impotentem. Jack wysiada i zatrząskuje drzwiami, wyobrażając sobie żalostnego osobnika po pięćdziesiątce, z grubymi paluchami, *znaki kciuka na tchawicy* - zamyka drzwi na klucz - potem je otwiera, gdyż nigdy nie zamyka samochodu na klucz, nikt tego nie robi - potem znów przekręca klucz w zamku, ponieważ Mimi może wziąć samochód wieczorem i kto wie... Ostatecznie postanawia nie zamykać go na klucz, bo to czysty absurd.

W domu nikogo nie ma. Oczywiście, są naprzeciwko u sąsiadów. Rzuca kapelusze na wieszak. Dziś Mimi dyżuruje u Froelichów. Kobiety spisują się na medal - choć po wyjeździe Ridelle'ów jest ich mniej do pomocy, a niebawem zabraknie też Betty. Vimy ofiarnie wypełnia swoje zadanie, ale Woodleyowie też się wkrótce wyprowadzają. Na placu boju zostanie Mimi.

Do września jedna czwarta domów w SKR-ach zostanie zajęta przez nowo przybyłe rodziny. Nie będą znać Froelichów osobiście. Będą wiedzieć na ich temat tylko to, co wyczytali w gazetach. Jack nalewa sobie szkockiej i idzie poczytać na sofie.

Mimi pochyla się nad nim.

- Co się stało? - pyta go.

- Co?

Jack w pierwszej chwili nie wie, gdzie jest. Na sofie, w salonie. Musiał się zdrzemnąć.

- Co robisz o tej porze w domu?

Jack uśmiecha się szeroko - zaschło mu w gardle - i wstaje.

- Urwałem się z pracy - odpowiada, kierując się do kuchni z pustą szklaneczką.

- Byłeś na procesie.

- Zajrzałem rano. - Odkręca zimną wodę.

- Znowu wzięłeś dzień urlopu.

- Mamy dla siebie całe popołudnie, co ty na to, moja pani? - Puszczą do niej oko i bierze łyk wody.

Mimi staje przy zlewie obok niego, naciąga gumowe rękawice, otwiera szafkę, pochyla się, wyjmując pogniecioną sukienkę i wkłada ją na siebie. Owija sobie głowę starą pieluchą, zrzuca buty na wysokich obcasach, które lądują w kącie. Jack przygląda się, jak jego żona napełnia wiadro wodą, z łoskotem stawia je na podłodze, zanurza szczotkę w pianie, a potem na czworakach zaczyna szorować.

- Przesuń nogi - mówi do niego.

- Cześć, tato. To Mike.

- Dlaczego nie jesteś w szkole?

Mike przewraca oczami, a Jack natychmiast się reflektuje; przecież są już letnie wakacje.

- Nie bądź taki cwany - upomina syna. - Gdzie twoja siostra?

- A skąd mam wiedzieć?

- Co powiedziałaś, bratku? - mówi Jack, niemal odruchowo podnosząc rękę.

- Jack - odzywa się Mimi, a on hamuje się.

Mike wymyka się z kuchni. Strumyk mydlanej wody rozlewa się obok butów Jacka.

- Rano bawiła się przed domem - mówi Mimi. - Potem Mike zabrał ją na basen, a teraz jest na podwórku u Boucherów. Jestem jej matką i jeśli chcesz wiedzieć, gdzie ona jest, pytaj mnie, a nie swojego syna.

I szoruje dalej.

Jack wychodzi z domu. Koniec końców trafia do mesy; o tej porze dnia jest tam spokojnie. Siada przy oknie, z widokiem na krzewy i trawiaste zbocze ciągnące się aż do kortów tenisowych. Popija whisky i czyta „Time'a”. Prezydent Kennedy wysłał do Wietnamu szesnaście tysięcy żołnierzy.

Po powrocie do domu zastaje stół nakryty dla dwojga, nigdzie nie widać dzieci, a Mimi mówi: - Przepraszam, Jack.

Jest zmęczony, boli go głowa, ale przyrządziła specjalnie dla niego *coq au vin*. Musi

być głodny, przecież nie jadł lunchu.

- Niech mnie licho, to prawdziwa uczta - stwierdza.

Nalewa mu wina. - Jack, nie chcę się zachowywać jak wiedźma, po prostu się martwię.

- Moim zdaniem nie skażą go, skarbie, naprawdę tak uważam. Poproszę szklankę wody.

- Martwię się o Mike'a.

- Mike'a?

- Wypisał się.

- Z czego?

- Z drużyny baseballowej. I wybił szybę w oknie.

- Wybił szybę...?

- Nie denerwuj się. Przez przypadek. W ośrodku rekreacyjnym.

Jack wzdycha, kiwa głową.

- I martwię się o... - łzy napływają jej do oczu.

- Co się dzieje, najdroższa?

- O nasze wakacje - chlipie. - Wykorzystujesz swój urlop na... a ja chcę odwiedzić matkę.

Bierze ją w ramiona.

- Wyjedziemy zaraz po procesie, obiecuję. Zostało mi jeszcze mnóstwo wolnych dni.

- Jack - mówi Mimi. Skropiła się perfumami. Kładzie się do łóżka obok niego, Jack czuje jedwab ocierający się o jego plecy - to zielony szlafrok, który dał jej w prezencie na święta.

- Jack. - Gładzi go po ramieniu.

Wtarła krem w dłonie, żeby je zmiękczyć. Czuje się okropnie, że pokazała się mężowi w tym roboczym stroju - ale on musi wiedzieć, że to nie krasnoludki sprzątają dom.

- Ładnie pachniesz - mamrocze Jack.

- Jack... - Muska ustami jego ucho.

- Możesz przynieść mi aspirynę, skarbie?

Mimi wstaje i po chwili wraca ze szklanką wody i dwiema tabletkami.

- Mocno cię boli?

- Neeee - odpowiada, przekręcając się na boku twarzą do ściany.

- *Pauvre bébé.* - Masuje mu kark.

Jack wyciąga do tyłu rękę i głaszcze ją po biodrze. - Dzięki za pyszną kolację. I

zasypia.

Kiedy Mimi budzi się rano, Jacka już nie ma w łóżku u jej boku - na podłodze leży jego piżama. Mimi składa ją i idzie do łazienki. Ktoś kosi trawnik, słysząc buczenie silnika i czuć ten charakterystyczny zapach - spalin i świeżo ściętej trawy, który kojarzy się jej z weekendem, a nie z piątkowym rankiem. Mimi myje zęby i kątem oka dostrzega, że ktoś kosi trawnik przed domem Froelichów. Zerka w jego stronę i zastyga; to jej mąż. Naciera na kurczący się kwadrat wybujałej trawy pośrodku doskonałej zielonej murawy. Otwierają się drzwi wejściowe, w progu ukazuje się Karen Froelich z dymiącym kubkiem w ręku. Podaje go mężowi Mimi.

Madeleine siedzi wraz z Reksem na ziemi oddzielającej trawnik od ulicy. Kieruje starą ciężarówką po drogach, które wyżyłobiła kawałkiem dachówki. Zdaje sobie sprawę, że już jej nie wypada bawić się samochodzikiem, do tego w towarzystwie cudzego psa - może jestem opóźniona w rozwoju, choć nic o tym nie wiem.

Przed domem Froelichów stoi wypożyczona przyczepa. Ojciec Madeleine też ją zobaczył, przez okno w kuchni, przy śniadaniu, i powiedział, że pójdzie „zorientować się w sytuacji”. Ale matka nieoczekiwanie wymyśliła, że wybiorą się na biwak i że będzie jej potrzebna jego pomoc przy pakowaniu.

Madeleine ma cichą nadzieję, że może Colleen wyjdzie się przywitać. Codziennie siedzi w sądzie, a potem zagląda do Ricka i wraca do domu późnym wieczorem. Ale dziś jest sobota, a obecność przyczepy wskazuje na to, że Froelichowie w każdej chwili mogą wyjść i zacząć ją załadowywać. A może zamierzają coś kupić. Nową kanapę. Madeleine słyszy, że ktoś woła jej imię - „Madeleine, *on y va* - i dołącza do brata i rodziców siedzących już w samochodzie.

- Nikt mnie nawet nie zapytał o zdanie - mruczy Mike na tylnym siedzeniu do ojcowskiego karku. Przez całą drogę ignoruje Madeleine i wali pięścią w rękawicę do baseballu.

Kiedy wracają w niedzielę wieczór, przyczepy już nie ma, podobnie jak wystrzałowego składaka Ricka. Dom Froelichów stoi opustoszały.

- Co tu jest grane? - dziwi się Jack, biorąc się pod boki i spoglądając na purpurowy domek po przeciwnej stronie ulicy.

Z początku Madeleine myślała, że ojciec się obraził, ponieważ Froelichowie zdecydowali się wyprowadzić, nikogo nie uprzedzając. Ale okazało się, że dostali nakaz zwolnienia kwatery.

HOUGH

Ousque ju rest? Chu en voyaueur, ji rest partou.

Gdzie ja mieszkam? Jestem wędrowcem. Mieszkam wszędzie.

Métis voyageur, Minnesota, 1850

- Dzwoniłem do dowództwa - mówi Hal Woodley - ale mam związane ręce.

Hal opróżnia swoje biurko. Uroczystość przekazania odbędzie się w przyszłym tygodniu. Dowodzenie placówką Kanadyjskich Sił Powietrznych oficjalnie obejmie nowy oficer. Będzie przygrywała orkiestra wojskowa, wszyscy wystąpią w mundurach, mienić się będą złoczone galony, a żony przywdzieją nowe kapelusze wiosenne. Jack nic nie wie o nowym oficerze dowodzącym, ale czy jakieś racjonalne przesłanki pozwalają przypuszczać, że ten ujmie się za Henrym? Hank nawet nie należy do personelu wojskowego.

- A czy chociaż powiedzieli ci, dlaczego wyrzucili go na bruk? - pyta Jack.

- Froelichowi przestało przysługiwać zakwaterowanie, ponieważ już nie jest zatrudniony w szkole.

- Zwolnili go?

- „Postanowili nie przedłużać kontraktu”, tak brzmi oficjalna wersja.

Hal zdejmuje ze ściany fotografię awro arrow i chowa ją do pudła.

- Jak się czuje wasza córka, Marsha?

- No cóż... jest młoda, dojdzie do siebie. Wysłaliśmy ją na zachód do ciotki.

Jack wie, że zabrali Marshę ze szkoły jeszcze przed końcem roku. Jak mówiła Mimi, musieli dziewczynie podać środek uspokajający, kiedy dowiedziała się o Ricku; Elaine powiedziała jej, że Steve zapisał dziewczynie lek przeciwdepresyjny. Ale czas leczy rany, a za niecały miesiąc Woodleyowie odlecą do Europy, do Brukseli; Hal otrzymał posadę w dowództwie NATO. Jack czuje ukłucie zazdrości, ale zaraz opadają go wyrzuty sumienia, gdy przypomina sobie o Froelichach. Przykuci do jednego miejsca i praktycznie pozbawieni dachu nad głową.

- Hal... jakie widzisz szanse na to, że telefon od osoby takiej jak ty mógłby...?

- Szczerze mówiąc, Jack, to chyba najlepsze rozwiązanie w tej sytuacji. Co czekałoby tutaj Froelichów po tym, co zaszło?

- Przecież chłopak zostanie uniewinniony, nie uważasz?

- Zapewne. Ale to nie naprawi wyrządzonej krzywdy.

Jack kiwa głową. Podaje Halowi rękę. - Wychył za mnie kufel dobrego niemieckiego piwa, obiecujesz?

- Obiecuję, Jack.

Mimi i Mike wybrali się razem na film, wyświetlany w ośrodku rekreacyjnym - *Piaski Iwo Jima*, z Johnem Wayneem w roli zahartowanego w bojach sierżanta piechoty morskiej. Jack zauważył, że „jak na faceta, który nigdy nie walczył, Wayne cieszy się sporą sławą”, ale Mike tylko wzruszył ramionami. Jack zabronił mu wychodzić z domu, ale Mimi stwierdziła, że chociaż nie przepada za filmami wojennymi, słyszała, że ten jest dobry. Jack spojrzał na nią wymownie - jaki sens ma karanie chłopaka, skoro ty podważasz moje decyzje i go rozpieszczasz? - ale Mimi udała, że tego nie zauważa, i wyszła z synem.

Jack odprowadza ich wzrokiem, a kiedy zniknęli za rogiem, odwraca się i woła przez ramię: - Gdzie się podziewa mój mały druh?

A potem: - Wskakuj do samochodu, jadę się przystrzyc.

W Exeter Madeleine wdaje się w pogawędkę z fryzjerem i mężczyznami, którzy grają w warcaby przed salonem. Na ich życzenie wciela się w Sammy'ego Davisa. Fryzjer daje jej słodką nagrodę i oboje z tatą kierują się do sklepu spożywczego.

Kupowanie jedzenia z tatą to niezła zabawa. Ładuje do kosza przeróżne rzeczy, których *Maman* nawet by nie tknęła: ciastka pieczone w sklepie, puszki gotowanej szynki, kurczaka z rożna, gotową sałatkę ziemniaczaną i kilka butelek Winka, najlepszej lemoniady na świecie. Uwijają się szybko, nie zwracając uwagi na to, ile co kosztuje, a na koniec tata każe jej wybrać coś dobrego z zamrażarki. Madeleine wyjmuje tęczowe lody na patyku, które na parkingu po zderzeniu z krawężnikiem przełamują się na pół.

- Dokąd jedziemy? - pyta Madeleine, gdyż tata skierował samochód na północ zamiast na południe w stronę Centralii.

- Wpadniemy na chwilę do starych znajomych.

Śmigają szosą nr 4, potem skręcają w „ósemkę” prowadzącą do jeziora Huron.

- Jedziemy do Goderich? - dziwi się. *Czyżby mieli odwiedzić Ricka w więzieniu?* Ale przed wjazdem do Goderich odbijają od jeziora, najpierw jadą po chrześzczącym żwirze, a potem ubitą drogą, na koniec docierają do farmy - przynajmniej kiedyś była to farma. Obora, do połowy zapadnięta w ziemię, chyli się ku upadkowi, a budynek mieszkalny z żółtej cegły ma oczy zabite deskami. Na polu zamiast zagonów zboża stoją rzędy przyczep. Ręcznie wypisany szyld obwieszcza „Ośrodek Mieszkalny Bogiego”. Jadą powoli przez koleiny, Jack

rozgląda się na lewo i prawo. Mijają szopę z nagryzmołonym napisem „Biuro”, z długim „Regulaminem Ośrodka” pod spodem, rządki upchanych ciasno liter ledwo mieszczą się na tablicy. Niektóre przyczepy ozdobione są skrzynkami z kwiatami i lampionami. Gdzieś widać nawet połączenie trawy. Inne nie mają nawet płóciennych daszków, a stojące przed nimi ruszty są pordezwiązałe. Mijają prysznice, opatrzone kolejnym regulaminem.

- Patrz, tam jest Colleen - mówi Madeleine. Dotąd nie przejmowała się tym, jak powinna zachować się wobec Colleen, ponieważ nie wiedziała, dokąd jada z ojcem. Teraz zaczyna się zastanawiać. Czy Colleen jest na nią wściekła? Czy należy zapytać o Ricka, czy w ogóle o nim nie wspominać? Czy Madeleine przystoi całkowita powaga? Czy wręcz przeciwnie, nieskrępowana wesołość?

Jack zatrzymuje samochód i wtedy dostrzega Colleen. Niesie wiadro z wodą.

- Jak ci się mieszka w nowym miejscu? - woła Jack.

- Może być.

Madeleine postanawia zachowywać się normalnie, ale z szacunkiem. Jak na pogrzebie; nie wypada patrzeć na nieboszczyka, ale trzeba pamiętać o jego obecności.

- Cześć, Colleen - mówi.

Colleen prowadzi ich porytą koleinami „ulicą” do drewnianej rampy biegnącej zygzakiem pod drzwi wejściowe brudnego pudełkowatego domku z aluminium, z płatami rdzy sypiącymi się z okapu. Rex szczeka na ich widok i podnosi się.

- Dlaczego jest przywiązany? - pyta Madeleine.

- Regulamin - mruczy Colleen, wnosząc wiadro do środka.

Madeleine przytula Rekxa, jego ciepły oddech owiewa jej plecy. Och, jak dobrze znów poczuć jego futro na twarzy, jego oddech. Obnażone w uśmiechu kły Rekxa lśnią w różowych dziąsłach.

- Nie przysuwaj twarzy tak blisko psa - upomina ją cicho tata, kiedy otwierają się drzwi. - Witajcie, nieznajomi.

- Jack - mówi Karen Froelich i podchodzi do niego z wyciągniętymi rękami.

Za nią ukazują się Henry i podaje mu rękę. - Prosimy do środka, napijemy się wina.

- Usiądźmy przed domem, Henry, tak będzie przyjemniej - mówi Karen.

- Masz rację, na dworze jest przyjemnie.

- Jak się miewasz, Madeleine? - pyta.

- Świetnie, dziękuję, pani... - rumieni się, gdyż przypomina sobie dawną prośbę pani Froelich - ...Karen.

Karen śmieje się i obejmuje ją ramieniem. - Idź poszukaj Colleen, twoje towarzystwo

na pewno poprawi jej nastrój. Śmiało, dziecińo.

Madeleine waha się, potem podchodzi do drzwi, otwiera je. W środku dochodzi ją głos ojca mówiącego: - Wpadliśmy tylko na chwilę.

Jack wyjmuję zakupy z samochodu i nie zważając na protesty Henry'ego i Karen, stawia je na drewnianej rampie. Podsuwa Henry'emu szklanę, żeby nalał mu czerwonego wina. Stara się skupić na nim wzrok, świadomy, że jego spojrzenie bez przerwy wędruje do Karen. Mimo zakurzonych japońek i brudu między palcami u nóg jakoś udaje jej się sprawiać wrażenie eleganckiej, te smukłe palce, blade i zgrabne, bransoletka z paciorkami...

- Co u ciebie, Jack?

Znów uderza go ta jej cecha - z którą nie zetknął się do tej pory u kobiet - zwracania się do niego z taką bezpośredniością, jakby postrzegała go takim, jakim jest w istocie, bez żadnych dodatków.

- Nie narzekam - odpowiada i znów przenosi spojrzenie na jej męża.

Madeleine wchodzi do przyczepy, uważając, żeby nie nadepnąć na walające się zabawki i ubrania; nie wolno obudzić maluchów, które smacznie śpią w łóżeczku. Wnętrze jest całkiem wdechowe, wszystko miniaturowe - lodówka z prawdziwą bryłą lodu, chowane łóżka i regały. Piec kuchenny, okopcony garnek. Nie ma prądu ani kranu nad zlewem. Froelichowie są na nieustającym biwaku.

- Cześć, Elizabeth.

- Esz, Ademin.

- Co tam masz?

Elizabeth pokazuje jej. Pamiątkowy przycisk do papieru znad wodospadu Niagara. Gdy nim potrząsnąć, płatki śniegu szybują nad stateczkiem o wdzięcznej nazwie „Panna z mgieł”. Oczywiście gdy Elizabeth trzyma go w dłoni, śnieg pada tam bez przerwy.

- Piękny.

Colleen odwraca się do Madeleine w półmroku. - Chcesz coś zobaczyć?

Wychodzi tylnymi drzwiami, Madeleine rusza za nią. To cudowne uczucie podążać za przyjacielem „górami i doliną”, w wysokiej trawie, o tej porze dnia i roku, w zmierzchającym świetle wczesnego lata, kiedy upał nie daje się jeszcze we znaki. Colleen jest bosa, Madeleine ma na sobie nowe tenisówki, jej odsłonięte kostki są już mokre od bąbelków owadziej „śliny”. Nie woła do Colleen, żeby na nią zaczekała, gdyż Colleen gna przed siebie, połyskując w promieniach zachodzącego słońca niczym miedziak. Przystaje przed drucianym ogrodzeniem i mówi: - Ciii.

Wsuwa się między biegnące poziomo przewody, uważając, żeby ich nie dotknąć, szepcząc: - Są pod napięciem.

Madeleine zgina się i przeciska między drutami, podniecona niebezpieczeństwem - śmierć czai się dziesięć centymetrów nad nią i pod nią.

- Nie bój się, to nie zabija, tylko odstrasza krowy - wyjaśnia Colleen, gdy Madeleine przedostaje się na drugą stronę.

Ale nie widać krów na polu, skąpanym już nie w złocie, lecz jasnej purpurze. Są tylko kucyki. Trzy. Colleen podchodzi do nich, a te jakby jej wyczekiwały, natychmiast odwracają się i podbiegają. Poważne przerośnięte psiska, przepychają się, żeby potrzeć nosem Colleen, która wyjmuje coś z kieszeni i głaszcze je po miękkich chrapach. Chwyta się oburącz za szyję kuca i dosiada go ruchem tak lekkim, niezdradzającym najmniejszego wysiłku, jakby na filmie puszczone od tyłu. Gładzi go po karku.

- Wskakuj.

Madeleine nie śmie pytać jak. Colleen pochyla się do niej, Madeleine łapie ją za przedramię i odbija się od ziemi, a Colleen ją podciąga.

- Trzymaj się.

Trochę boli, ale gdy z początku idąc stępa, przechodzą w kłus, Madeleine nie zamieniłaby tej przejażdżki na nic innego.

- Dociskaj łydki - mówi Colleen.

Przez pole, potem ścieżką między drzewami, uchylając się przed gałęziami, znów na otwartą przestrzeń, na łąkę, po świeżej lucernie, mieniącej się zielenią i karmazynem. Madeleine trzyma się z całych sił, ściskając udami szeroki grzbiet kuczka, rękami opasując żebra Colleen. Dziwi się, jak Colleen potrafi usiedzieć na kucu i jednocześnie nim kierować.

- Rick mnie nauczył - mówi Colleen.

Zwalniają, Madeleine ogląda się do tyłu na ślad, jaki po sobie zostawiają, ciemnozielone rozcięcie już się za nimi zasklepia. Powoli zmierzają do łagodnego zbocza porośniętego drzewami, wśród nich stoi najwspanialsza wierzba, jaką Madeleine widziała w życiu, pałac, nie drzewo, z zachodnim skrzydłem, wschodnim skrzydłem, wieżyczkami i fosą.

- To jest mój obóz - oznajmia Colleen.

Jest kamienny krąg na ognisko, a w skrytce pod głazem tytoń, bibułka i zapalki. Colleen zapala papierosa. Kucyk chłepcze wodę ze strumyka. Odchylają się do tyłu i patrzą na pierwsze gwiazdy pojawiające się na ciemniejszym niebie. *To dopiero jest życie.*

- Hej, Colleen, czy to jakiś indiański zwyczaj, to znaczy Metysów?

- Co takiego?

- Jak my ze sobą, taki pakt krwi.
- Skąd mam wiedzieć? Widziałam to na filmie.

Colleen podaje jej papierosa, Madeleine bierze go, uważając, żeby nie dać po sobie poznać zaskoczenia. Trzyma dymiącego papierosa między wskazującym i środkowym palcem; podnieca ją zakazana rozkosz, ale opiera się pokusie odegrania Zsa Zsa Gabor czy Bogarta. Po prostu zaciąga się i natychmiast chwyta ją kaszel, oczy jej łzawią. Cierpiąc, dziwi się, jak coś tak ulotnego jak dym może palić niczym rozgrzane ostrze. Kiedy wraca jej oddech, oddaje papierosa Colleen, ze słowami: - *Ci pa gran chouz.*

Colleen kwituje to śmiechem.

Madeleine zrywa źdźbło trawy. - Mogłybyśmy stąd prysnąć - mówi, przezuwając delikatny pęd - wyruszyć na wyprawę na terytoria*.

- Jakie terytoria?
- No wiesz, mogłybyśmy po prostu pojechać, gdzie nas oczy poniosą.

Colleen zaciąga się papierosem. - Zawsze na kogoś wpadniesz, obojętnie, dokąd pojedziesz. Okazuje się, że w końcu i tak gdzieś trafiasz. Wypuszcza dym. - Wiesz, o co mi chodzi?

Madeleine czuje, że na jej twarzy maluje się osłupienie, ale kiwa głową i odpowiada tonem, który, jak ma nadzieję, wyraża zarówno znużenie, jak i zrozumienie: - Jasne.

Ma zamiar zaproponować, żeby rozpałyły ognisko, ale Colleen oświadcza naraz: - Tak właśnie było, kiedy nawialiśmy z Rickym z zawodówki.

- Wtedy właśnie pojechaliście do Calgary?
- Tak. - Colleen wypluwa okruch tytoniu, oblizuje koniuszkiem języka dolną wargę i dodaje, zwężając oczy: - Ale zgarnęli nas i znów tam wylądowaliśmy.
- A dlaczego... uciekliście?
- Przez takich kilku chorych skurwieli...

Nagle Madeleine odchodzi chęć rozpalenia ogniska, żałuje tylko, że nie zabrała ze sobą kurtki. Kiedy się odzywa, pozoruje obojętność, lecz tym razem nie po to, żeby przekonać Colleen, że wie, co ona ma na myśli, ale żeby samej sobie wmówić, że nie wie.

- Co im było? - pyta uprzejmie.
- To nie była choroba, *Dummkopf* - odpowiada Colleen.

Madeleine przetyka ślinę, czeka. Nie zna drogi powrotnej do samochodu. Nie ma pojęcia, gdzie się teraz znajdują i ile czasu zabrało im dotarcie tutaj.

* Aluzja do zakończenia powieści *Przygody Hucka Finna*, gdzie Huck oświadcza, że zamierza wyruszyć na terytoria zajmowane przez Indian.

- Mieli coś z głową - wyjaśnia Colleen. - Gustowali w dzieciakach.

Madeleine wpatruje się w kamienny krąg, milczy.

- Wiesz, o czym mówię? - pyta Colleen.

Madeleine kręci głową.

- To dobrze. I obyś nigdy się nie dowiedziała - mówi Colleen i mocno zaciąga się papierosem.

Madeleine przechodzą dreszcze. Skupia wzrok na żarzącym się ogniku na końcu papierosa Colleen. Świat nagle stał się ogromnym i zimnym miejscem, w którym mogłaby turlać się i stukotać bez końca, niczym kula bilardowa. Patrzy, jak czerwony punkcik zatacza łuk od palców Colleen do strumyka, w którym przepada z sykiem. Madeleine ma ochotę wrócić do domu i pooglądać telewizję, uznaje, że życie w przyczepie jednak nie jest dla niej.

Colleen wstaje i cmoka, kucyk odwraca się i idzie truchtem w ich stronę. Madeleine podnosi się z ziemi. Czeka, aż Colleen wsiądzie pierwsza, ale Colleen mówi: - Wskakuj.

Madeleine czuje, że tym razem nie da rady, jest zbyt ciężka, ale Colleen już ją podsadza. Przerzuca nogę przez grzbiet kuczka i pochyła się do przodu, wczepiając się w jego grzywę, gdy konik przestępuje z nogi na nogę.

- Trzymaj się - mówi Colleen i puszcza się biegiem. Kucyk rusza za nią, a Madeleine trzyma się z całych sił.

Gdy docierają z powrotem do przyczepy, jest już ciemno, cykają świerszcze. Madeleine wciąż ma nogi jak z waty, a serce nie przestaje tłuc jej w piersi.

- Wpadaj do nas pojeździć na kucyku, kiedy tylko chcesz - oświadcza Colleen.

Dorośli siedzą przed domem na kuchennych krzesłach, popijają wino. Elizabeth, owinięta kocem, śpi w swoim wózku. Pali się lampa naftowa, a pani Froelich brzdąka na gitarze i śpiewa cichym głosem: „Gdzie podziały się wszystkie kwiaty, ach gdzie, gdzie podziały się wszystkie kwiaty, któż to wie...”.

Madeleine czuje kluchę w gardle. Pozostając w głębokim cieniu przyczepy, patrzy, jak Colleen wkracza w krąg światła i jak otacza ją ojcowska ręka. Ostrożnie przesuwając się na granicy cienia, Madeleine staje za plecami ojca. Opiera się o jego krzesło, a on pyta: - Dobrze się bawiłaś, skarbie?

Madeleine kiwa głową, mimo że tata i tak tego nie widzi. Czekają na koniec piosenki, potem Jack wstaje z krzesła.

Karen obejmuje go i szepcze mu do ucha: - Dziękuję.

Jack czuje, że zaraz się od niego odsunie, i przytrzymuje ją chwilę, ona odwzajemnia jego uścisk, potem się odwraca. Trwało to zaledwie kilka sekund. Henry Froelich bierze jego

dłoń w ręce. - *Danke*, Jack. Jesteś *Mensch*.

Kiedy odjeżdżają, Madeleine kładzie łokcie na opuszczonej szybie, opiera się brodą i odprowadza wzrokiem niknących w mroku Froelichów. Colleen unosi rękę, Madeleine idzie w jej ślady i macha jej na pożegnanie.

Ale Colleen wcale nie macha. Trzyma wzniesioną rękę nieruchomo. Jak Indianin w westernie: *Hough*. Pewna, że nie urazi Colleen, naśladując ją w ten sposób, Madeleine przestaje machać. Jej ręka zawisa w powietrzu i wtedy Madeleine uświadamia sobie, że Colleen nie przekazuje jej indiańskiego *Hough*. Pokazuje Madeleine bliznę na dłoni.

Rambler wchodzi w zakręt i oświetlony skrawek świata zajmowany obecnie przez Froelichów ginie jej z oczu.

Kiedy zajeżdżają pod dom, Madeleine oznajmia ojcu: - Przypomniało mi się coś.

- Mianowicie?

- Nie wolno mi się bawić z Colleen.

- Nie wolno? A kto ci zabrania?

- *Maman*.

Jack zastanawia się, co odpowiedzieć. Światła w domu są pogaszone, Mimi i Mike jeszcze nie wrócili.

- Cóż, jeśli ty nic nie powiesz, ja też o tym nie wspomnę.

Kiedy tej nocy kocha się z żoną, wyobraża sobie kobietę szczuplejszą - jej włosy nie są tak gęste, kształty nie tak bujne, policzki niemal zapadnięte - kobietę niedorównującą urodą jego żonie.

MÓWIĆ PRAWDĘ

- *Huck, nikomu nie dasz się pociągnąć za język i nie wygadasz, co?*
- *Wygadamy? Wiesz, jak będę chciał, żeby ten mieszaniec z piekła rodem mnie utopił, to się dam pociągnąć za język. Inaczej nie!*
- *No to wszystko w porządku. Ja też uważam, że póki trzymamy język za zębami, nam nie grozi. Ale przysięgnijmy jeszcze raz, na wszelki wypadek.*
- *Zgoda.*

Mark Twain, *Przygody Tomka Sawyera**

Dom Boucherów stoi pusty na rogu Columbia i St. Lawrence. Podobnie jak dom Lisy, Colleen czy Claire, nie pamięta już Madeleine ani tego, jak często przekraczała jego próg i bawiła się w jego murach albo na podwórku z tyłu domu. Odciski jej stóp i stóp jej przyjaciółek, echa ich głosów wryte w powietrzu, wszystko się rozplynęło. Domy te czekają na zasiedlenie przez nowe rodziny, które zajmą je, wierząc, że biorą je w posiadanie, że cokolwiek robią pod ich dachem czy na tych trawnikach, ich zabawy, posiłki, święta i marzenia, są czymś trwałym, niezatartym. Dokąd odchodzą? Te wspólnie przeżyte chwile?

W przeddzień wystąpienia Madeleine w roli świadka na procesie Ricky'ego Mimi przyrządza jej ulubione danie: sznycel po wiedeńsku. Zdejmuje go prosto z patelni i kładzie na talerzu Madeleine, mówiąc: - Co chciałabyś jutro na siebie włożyć, *ma p'tite*?

- Coś, co nie będzie za bardzo uwierało - mówi Madeleine.
- Dlaczego ja nie mogę z nią jechać? - pyta Mike.
- Masz trening baseballu - wyjaśnia Jack.
- Wypisałem się.
- Tak ci się tylko wydaje - mówi Jack i soli swój sznycel.

Madeleine spogląda na ojca, żeby wy badać, czy bardzo się gniewa, a on posyła jej uśmiech.

- Madeleine chce, żebym pojechał - burczy Mike. - A wy nie?

* Przekład Kazimierza Piotrowskiego, Warszawa 1973.

Madeleine przenosi wzrok z ojca na brata i mruczy: - Niech jedzie.

- No właśnie - mówi Mike.

Jack puszcza to mimo uszu.

- Dlaczego muszę zeznawać w sądzie, skoro wszystko powiedziałam policji? - pyta Madeleine.

- To jedna z zasad, na których opiera się nasz wymiar sprawiedliwości - tłumaczy Jack. - Oskarżony i osoby postronne mają prawo zapoznać się z wszystkimi dowodami w trakcie jawnego procesu sądowego.

Wkrótce będzie po wszystkim.

- Będziesz zeznawać pod przysięgą.

- Kaza mi przysięgać na Biblię?

- Tak jest - odpowiada Jack. - Powiedz po prostu prawdę. Jak po ostatnim Halloween.

Madeleine ma ściśnięty żołądek.

- A co się stało w Halloween? - pyta Mimi.

- Tajemnica - mówi Jack i puszcza oko do Madeleine, która uśmiecha się półgębkiem.

Jack poklepuje ją po głowie. - Jesteśmy z ciebie dumni, złotko.

- Boli mnie brzuch - wyznaje Madeleine.

- Masz, jak to się mówi, motyle w żołądku - mówi tata. - To normalne.

Madeleine widzi motyle - całą chmurę, i do tego żółtych...

- Powiedz po prostu prawdę.

- Bo go powieszają - wtrąca Mike.

Jack uderza dłonią w stół, aż sztuce - i Mimi - podskakują. - To nieprawda. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wszyscy tak mówią.

- Jacy wszyscy? Ojciec Arnolda Pindera? No słucham.

- Jack - odzywa się Mimi.

Jack bierze głęboki oddech i zwraca się do żony: - Co jest na deser?

Jack otula kołdrą Madeleine i Królika Bugsa. Żeby zrobić córce przyjemność, całuje Bugsa w plastikowy policzek.

- Może coś poczytamy? - pyta, odstawiając szkocką i sięgając po książkę leżącą na stoliku, *Przygody Alicji w krainie czarów*.

- Tato?

- Tak? - odpowiada, wertując książkę.

- Czy jest czasami tak...? Czy kłamstwo może czasem być dobre?

Jack podnosi wzrok. - Co takiego, skarbie? Co masz na myśli?

- Na przykład... na wojnie.

- Kiedy żołnierz trafia do niewoli i jest przesłuchiwany? O to ci chodzi?

- Tak.

- Cóż, w takiej sytuacji najlepiej nic nie mówić - podać tylko nazwisko, stopień i numer wojskowy. Jeśli się kłamie, można się zaplątać we własne kłamstwa.

- A jeśli nie ma wojny?

- Wierz mi, kłamstwo raczej nigdy nie jest słuszną drogą. Kłamstwa same się powielają. Wiesz, co to znaczy?

- Nie.

- Jedno kłamstwo prowadzi do następnego, aż w końcu powstaje tak zwany efekt domina.

Domino to taka gra. Dostaje się ją na Gwiazdkę. Nie wiadomo, jak się w to gra. Nie czas teraz pytać o domino.

- Ale, tato?

Nie czas teraz wspominać o tym, że czyjeś życie zależy od kłamstwa na sali sądowej. Tata się domyśli, że Madeleine chodzi o Ricky'ego Froelicha, i nie pozostanie jej jutro nic innego jak powiedzieć, co naprawdę widziała - to znaczy, czego nie widziała. Nawet pytania przez nią zadawane to kłamstwa, które mają za zadanie ukryć jej prawdziwe intencje.

- A jeśli trzeba skłamać po to, żeby ludzie uwierzyli w prawdę?

Jack opuszcza szklanekę i patrzy na córkę. *Z ust dzieci i niemowląt...* Mała nie może przecież o niczym wiedzieć. Odkłada książkę. - Skąd to pytanie?

Madeleine przełyka ślinę.

- Czytałaś coś ostatnio, stary druhu? Oglądałaś w telewizji coś, co dało ci do myślenia?

Madeleine kiwa głową, tak - w gruncie rzeczy nie kłamie. Czytała coś. Oglądała różne rzeczy w telewizji. I często się nad nimi zastanawia.

Jack bierze głęboki oddech i uśmiecha się do niej. - Zostaniesz adwokatem, jak dorośniesz.

- Ale ja nie chcę być adwokatem, tato.

- Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz, możesz zostać kosmonautą albo inżynierem...

- Chcę zostać komikiem estradowym.

- Ach tak, słusznie - śmieje się Jack i czochra jej włosy. - Poruszyłaś zawiłą kwestię. Masz głowę nie od parady.

Madeleine robi się żal taty. Uważa, że ona ma głowę nie od parady. Jego *Deutsches Mädchen*. Jego mały wulkan. Nie wie, że jest kłamczuchą. Jego chore oko patrzy smutno.

- Dzięki - mówi Madeleine.

Przygląda mu się, niczym przez szparę w drzwiach szafy ubraniowej. Madeleine tkwi w środku, pośród płaszczy i pudełek ze starymi gramy planszowymi, a on siedzi niewinnie na skraju jej łóżka, otula ją do snu. Kiedy Madeleine wychodzi z szafy, cienie podążają za nią, ale on ich nie dostrzega. Ponieważ jest dobry.

- Jest to kwestia etyczna - mówi tata.

Etyczna. To słowo kojarzy jej się z żywieniem.

- Czasami prawda leży gdzieś pośrodku. Czasami trzeba dokonać całościowej oceny sytuacji. Przeprowadzić analizę opłacalności, jak to się nazywa. Żeby ustalić, jak najlepiej przysłużyć się prawdzie. Na tym polega sztuka dyplomacji.

Tak to bywa z tatą, zamiast jednej definicji zaraz zasypuje człowieka całym słownikiem.

- Jednak w dziewięciu przypadkach na dziesięć prawdę widać całkiem wyraźnie.

- Jak wtedy po Halloween? - pyta Madeleine.

- Po Halloween?

- Waliłam w drzewo kijem do golfa i wypisywałam mydłem różne rzeczy.

- Wypisywałaś mydłem różne rzeczy?

- Tak - potwierdza Madeleine, czerwieniąc się.

- Nic takiego nie pamiętam... Pisałaś mydłem po szybach?

- Tak.

- Ach tak. Po czyich szybach?

- ...Nauczyciela.

- Rozumiem - kiwa głową. - Chyba mi o tym nie wspominałaś? Madeleine potrząsa głową. - Ale sama się zgłosiłam.

- To dobrze. Powiedziałaś nauczycielowi? I co on na to?

- Że nikomu nie powie, jeśli ja nie powiem.

- No cóż, dotrzymał słowa. A co takiego napisałaś?

Madeleine spogląda na narzutę. Szosa z kordonku, górskie ścieżki rozchodzące się we wszystkich kierunkach. - Takie słowo.

- Jakie słowo?

- Nazwę ptaka.

- Napisałaś nazwę ptaka? Co to za ptak? Madeleine przełyka ślinę. - Pawica.

- Pawica? - uśmiecha się tata. - Dlaczego to napisałaś? Madeleine wzrusza ramionami.
- Usłyszałaś to na lekcji od pana Marksa?
- Marcha.
- Uczyliście się o tym na przyrodzie?
- Na higienie.
- Higienie? Co to ma wspólnego z higieną?
- Robiliśmy ćwiczenia.
- Jakie znowu ćwiczenia?
- Na mięśnie.
- A co ma do tego pawica?
- To samica pawia.
- Wiem, co to jest, po prostu nie rozumiem, jaki to ma związek z tym przedmiotem.

Madeleine milczy. Jack przygląda się córce. - Nic dziwnego, że pomazałaś mu okna mydłem.

Madeleine nadal się nie odzywa.

- Zrobiłaś źle, ale przyznałaś się do tego.

Madeleine kiwa potakująco.

- Czasami trzeba sporo odwagi, żeby powiedzieć prawdę. Ty masz w sobie odwagę. Słuchaj, stary druhu. Za każdym razem, kiedy trudno ci będzie określić, co stanowi słuszny wybór - bo kiedy dorośniesz, przekonasz się, że nie zawsze to, co wydaje się prawdą, nią jest - kiedy staniesz przed poważnym dylematem, zadaj sobie pytanie: „Co najtrudniej byłoby mi teraz zrobić? Jakiego wyboru najciężej byłoby mi dokonać?”. W ten sposób poznasz różnicę między prawdą a garścią zwyczajnych... wymówek. Prawda zawsze przychodzi najtrudniej.

Ścisła zbielałymi palcami szklanę z kosteczkami lodu pływającymi w bursztynowym płynie.

- Dobranoc, kochanie.

KRÓLOWA PRZECIWKO RICHARDOWI FROELICHOWI

Składaj to zeznanie - powiedział Król - i nie bądź taki nerwowy, bo każę cię od razu ściąć.

Lewis Carroll, *Przygody Alicji w krainie czarów**

Madeleine stoi przed sądem. Miejsce wydzielone dla świadków mocno przypomina ławkę kar.

- Mów głośniej.
- Słucham?
- Pytałem, jak się nazywasz, moje dziecko?

Madeleine spogląda na sędziego. Ma szeroką zabią twarz.

- Madeleine McCarthy.
- Ci panowie też chcieliby cię słyszeć...

Z boku, na krzesłach ustawionych w rząd jak leżaki, siedzą starsi panowie, którzy bacznie jej się przyglądają. Już widać po nich rozczarowanie.

- Ława przysięgłych musi cię słyszeć - mówi sędzia. - Jak się nazywasz?
- MADELEINE MCCARTHY.

Chyba wystraszyła sędziego. Na sali rozlegają się chichoty. Madeleine patrzy w stronę publiczności: uśmiechnięte twarze. Gdzie tata? Gdzie jej matka?

- No dobrze, Madeleine. A ile masz lat?
- DZIEWIĘĆ.

Śmiech.

- Proszę o spokój.

Stara się być posłuszna, nie zabawna.

Jednak w głosie sędziego nie słyhać złości. - Nie musisz aż tak krzyczeć, Madeleine.

- Przepraszam.
- Nic nie szkodzi. Czy wiesz, co to znaczy złożyć przysięgę?

* Przekład Roberta Stillera, Warszawa 1990.

- Tak.

- Więc co to znaczy?

Madeleine widzi Ricky'ego Froelicha siedzącego za stołem. Urósł, ale schudł. Patrzy na nią, lecz wydaje się, jakby spoglądał na kogoś obcego. Madeleine uśmiecha się do niego.

- Chyba nie dopuszczę do tego, żeby to dziecko składało zeznania przed sądem - oznajmia sędzia.

Madeleine podnosi wzrok - jak brzmiało pytanie? Jest w tarapatkach. Żółt na dworze króla Artura.

- Będzie tak, jak zadecyduje Wysoki Sąd - odzywa się pan Waller; to obrońca Ricky'ego. Ma worki pod oczami, ale jego czarna toga mieni się i powiewa przy każdym jego ruchu. - Ale ja chciałbym, żeby to dziecko zostało zaprzysiężone, jeśli to możliwe.

- Wiem, czego by pan chciał, panie Waller, ale nie jesteśmy tu po to, żeby spełniać pana zachcianki. Do której chodzisz klasy, Madeleine?

- Przeszłam do piątej.

Nie za głośno, nie za cicho, patrz sędziemu w oczy, uważaj, bo inaczej nie zostaniesz zaprzysiężona na świadka.

- Wysoki Sądzie.

- Słucham?

- Do sędziego należy się zwracać „Wysoki Sądzie”.

- Wysoki Sądzie - dodaje Madeleine, z mimowolnym angielskim akcentem. *Nie zgrywaj się.*

Jest tata. Siedzi obok *Maman*, kilka rzędów za panem Froelichem i Colleen. Puszczą do niej oko. Madeleine uśmiecha się do niego możliwie najdyskretniej; czuje się jak kukielka.

- Co to znaczy złożyć przysięgę, Madeleine?

- To znaczy, że przysięga się mówić prawdę.

- Mówić prawdę. Na czym to polega? - pyta sędzia.

Czy to podchwytliwe pytanie? Chodzi mu o teleturniej o nazwie „*Mówić prawdę*”. *Prawdziwa Madeleine McCarthy, proszę wstać.* Co on ma na myśli?

- Na czym polega „mówić prawdę”?

- Znasz różnicę między kłamstwem a prawdą?

- Tak, Wasza Wy... Wysoki Sądzie.

Wasza Wysokość?!

- No to wyjaśnij nam tę różnicę.

- Kiedy ktoś pyta, prawdę mówi się wtedy, gdy mówi się, co się stało, i niczego się nie

pomija, nie próbuje się dać mu do zrozumienia, że stało się coś innego, i nie postępuje się tak, jakby pytał nas tylko o tę jedną rzecz, trzeba powiedzieć wszystko, i to właśnie znaczy „powiedzieć całą prawdą”.

Madeleine bierze głęboki oddech. Czuje się rześko, jakby dopiero co się obudziła.

Sędzia kiwa głową z aprobatą. - Szkoda, że nie każdy dorosły wykazuje takie zrozumienie. Do której klasy chodzisz, Madeleine - a właściwie, kto cię uczy?

- W zeszłym roku moim nauczycielem był pan March.

- Lubiałaś swojego nauczyciela?

- Nie - odpowiada Madeleine i wszyscy się śmieją.

- Proszę o spokój, panie, panowie. Pamiętajcie, że znajdujecie się na sali sądowej.

Sędzia z powrotem przenosi spojrzenie na Madeleine. - Jesteś szczerą, Madeleine, to dobrze.

Siedzący w środkowym rzędzie Jack uśmiecha się, czuje, jak jego twarz - zastygła, napięta na kościach policzkowych, jak poparzona - rozluźnia się i znów zmienia się w żywą tkankę. To, co usłyszał z ust wcześniej zeznającej pod przysięgą dziewczynki, wstrząsnęło nim, jak zresztą wszystkimi obecnymi na sali.

- Mieszkasz ze swoją rodziną na osiedlu Stałych Kwater Rodzinnych?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Chodzisz do szkoły niedzielnej?

- Uczę się katechizmu.

- Jakiego jesteś wyznania?

- Rzymskokatolickiego, jak cała moja rodzina.

- Rzymskokatolickiego... rozumiem. Myślę, że ta dziewczynka się nadaje.

Do kogo on się zwraca?

Jack oblizuje wargi. Dziewczynka w wieku jego córki, dziecko jeszcze - jej koleżanka, jeśli się nie myli - całkiem ładna smarkula; Sara. Skąd ona wytrzasnęła tę potworną historię? Widział, że ława przysięgłych skamieniała, słuchając jej zeznań. Ale jeśli Madeleine zostanie zaprzysiężona, jej świadectwo będzie się liczyć. Rickowi potrzebna jest tylko uzasadniona wątpliwość co do jego winy. A tę wywoła u przysięgłych Madeleine. Potwierdzi to, co Elizabeth Froelich z takim przejęciem starała się przekazać ławie przysięgłych przed południem. Karen tłumaczyła jej wypowiedź. Prokurator obrócił tę okoliczność na swoją korzyść, utrzymując, że matka wkłada słowa w jej usta, ponieważ ona jedna była w stanie zrozumieć to, co mówiła ta biedna dziewczyna. Na koniec Elizabeth się rozpląkała, jej zeznanie zostało skreślone, a pan Waller - a zatem pośrednio też Karen Froelich - otrzymał od

sędziego reprimendę za to, że naraził „nieszczęsne kalekie dziecko” na taką udramę.

- Czy wiesz, że masz obowiązek mówić prawdę? - zwraca się sędzia do Madeleine.

- Wiem, Wysoki Sądzie.

- Rozumiesz, co to oznacza?

- Tak.

- Co przedstawia ta broszka, którą sobie przypięłaś?

- Latarnię.

- Z jakich stron jest ta broszka?

- Z Akadii, moja mama jest Akadyjką.

Biedna broszka, dotykał jej swoimi paluchami pan March. Nigdy by jej nie dotknął, gdybym nie wstydziła się mówić po francusku.

- My mówimy po francusku.

- Uważam, że powinniśmy zaprzysiąc tę dziewczynkę.

Zdałam.

Jack ściera strużkę potu ze skroni. Już tak blisko końca. Marzy o tym, żeby rozpiąć koszulę na szyi, ale nie chce niepokoić siedzącej tuż obok Mimi. Trochę brakuje mu tchu. Ta dziewczynka, Sara, wypadła tak przekonywająco. I to zeznanie, jakie złożyła ta druga, dziś nieobecna, Grace... Przechodzi go dreszcz. Niewinne dzieci. Skąd znają takie rzeczy?

- Oficer sądowy? - odzywa się sędzia.

Do Madeleine podchodzi ubrany na czarno mężczyzna z wydatnym brzuchem. Przypomina pana Plodda, policjanta z *Noddyego*. U pasa ma kajdanki, niesie wielką księgę.

Jack wpatruje się w tył głowy Froelicha, przenosi wzrok na Ricka. Froelich to poczciwy chłop, ale naiwny. Skąd pochodzi ten chłopak? Co robił przed ukończeniem dwunastego roku życia? Tułał się po zakładach opiekuńczych. Niewykluczone, że spotkały go tam straszne rzeczy. Dzieci uczą się na własnych doświadczeniach. Jack wie, że Rick jest niesłusznie oskarżony o morderstwo, ale czy to możliwe, że to prawda, co mówiły o nim te dziewczynki? Czy dobierał się do dzieci? Do Madeleine?

- Połóż prawą rękę na Biblii.

Jack przygląda się ceremonii zaprzysiężenia jego córki. Jeśli ktoś ją obmacywał, to... Jack czuje - słyszy niemal - w lewej skroni, jak coś napina się niczym gałąź. Mruga kilka razy. Widzi, że Madeleine maskuje uśmiech, słuchając słów oficera - domyśla się, że jego córka walczy z ogarniającą ją wesołością. Poradzi sobie. Całe to doświadczenie spłynie po niej, nie pozostawiając śladu. Wiedziałyby, gdyby ktoś się do niej dobierał - Mimi na pewno by się zorientowała... Ale tym dwóm dziewczynkom musiało się coś przydarzyć. Co robili ich

rodzice? Jack obserwował twarz porucznika Nolana, gdy ten słuchał zeznań córki. Gdzie on miał oczy? Jeśli Ricky Froelich rzeczywiście molestował te dziewczynki, to zasługiwał na to, żeby się na ławie oskarżonych. Ta myśl sprawia, że coś obluźowuje się u podstawy jego czaszki. Tępy ból głowy, do którego Jack zdążył przywyknąć, topnieje niczym lód i litościwie zaczyna z niego spływać, jak deszczówka do studzienki.

- ...tak ci dopomóż Bóg?

- Przysięgam - mówi Madeleine. *Możesz teraz pocałować oficera.* Spogląda na salę, szukając promiennej twarzy ojca, ale on tylko obserwuje ją bacznie. Tak jak Colleen. I pan Froelich.

Jest gotowa. *Mówić prawdę, z udziałem Kitty Carlisle....*

- Czy znałaś Claire McCarroll?

Znów oblewa ją gorąco. - Tak.

- Czy byłaś przyjaciółką Claire, Madeleine?

- Tak.

To dlaczego jej nie pilnowałaś? Madeleine czuje, jak jej żołądek wypełnia lepka maź.

- Czy znasz Ricky'ego Froelicha? - pyta pan Waller.

- Tak.

- Powiedziałaś „tak”?

- Tak, tak - odzywa się sędzia. - To znaczy „tak”, świadek kiwnął głową, proszę dalej, panie Waller.

- Czy dziesiątego kwietnia po południu byłaś na placu szkolnym z Claire i innymi dziećmi?

- Tak.

Musi pójść do łazienki.

- Mów głośniej, proszę.

- Tak.

- Czy Claire powiedziała ci...

- Panie Waller, bez takich sztuczek - upomina go sędzia.

- Więc co ci powiedziała Claire? - pyta pan Waller.

- Powiedziała mi, że...

- Głośniej, Madeleine.

- Słucham?

- Co ci powiedziała Claire tego popołudnia, dziesiątego kwietnia po południu, na placu szkolnym?

- Powiedziała, że jedzie na piknik z Rickym Froelichem.

Mieniąca się jedwabna toga pana Wallera nabiera wyglądu stroju drużyny przegrywającej.

- Jak dokładnie wyraziła się Claire? - pyta.

- Powiedziała: „Jadę na piknik z Rickym Froelichem”.

- I co ty na to?

- Ja zaśpiewałam... zanuciłam piosenkę *Niepoprawny marzyciel*.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo wszyscy wiedzą...

- Ograniczaj się do tego, co ty wiesz - mówi sędzia.

- Bo wiedziałam, że zmyśla. Nie kłamie, tylko... fantazjuje.

- Dlaczego miałyby to sobie wymyślić?

- Bo chciała pojechać z nim na piknik.

- Nie, pozwól, że... chodzi mi o to, Madeleine, skąd to przekonanie, że Claire po prostu fantazjuje?

- Kiedyś wyznała mi, że wybrała się z Rickym na tańce do klubu Teen Town.

- A wybrali się?

- Nie. Tam wpuszczają tylko nastolatków. I mówiła, że wyjdzie za niego za męża.

Madeleine uśmiecha się, żeby pokazać, że nie ma tego Claire za złe, ale wszyscy zachowują powagę. Przed ławą przysięgłych stoi stół zastawiony różnymi rzeczami. Jest tam słoik z brązową substancją. Łachman w żółte plamki. Sitowie. Pudełko na śniadanie z podobiznami Frankiego i Annette, należące do Claire. Jak na zajęciach pokazowych. Co jest w środku tego słoika?

- Co mówisz, Madeleine? Czyżby powiedziała to na głos?

- Proszę z powrotem zakryć ten stół i nie zdejmować nakrycia - nakazuje sędzia.

Ktoś kaszle. Pan McCarroll siedzi w części oddzielonej przejściem od miejsca, które zajmuje Ricky. Ociera usta chusteczką. Na jego widok Madeleine wpada na pomysł, żeby odwiedzić Claire po powrocie do domu. Wtem poraża ją błysk - jakby ktoś zgasił światło i natychmiast znów zapalił - i jej mózg zaskakuje i mówi: „Nie możesz odwiedzić Claire, ona nie żyje”. Madeleine wie, że to prawda, ale jednocześnie jakaś część niezależna od jej mózgu chce skierować jej kroki do domu Claire, wie, że wciąż można znaleźć Claire w zielonym bungalowie, wystarczy tylko pójść ją odwiedzić...

Pan Plodd zakrywa stół białą narzutą.

- Kto jeszcze był przy tym, jak zaśpiewałaś... zanuciłaś *Niepoprawnego marzyciela*? -

pyta pan Waller.

- Colleen.

- Colleen Froelich?

- Tak. I Sara, i Grace.

- Więc one słyszały, jak Claire mówi, że została zaproszona...

- Panie Waller - odzywa się sędzia.

- Wysoki Sądzie, próbuję wykazać, że Sara Nolan i Grace Novotny miały podstawy do tego, żeby wysnuć swój...

- Wiem, do czego pan zmierza, panie Waller, i nie pozwalam na to.

Jack analizuje logikę zeznań tych dwóch dziewczynek i dostrzega jej zasadniczą wadę. Podana przez nie wersja wydarzeń opiera się na twierdzeniu, że Rick zaprosił je tego dnia do Rock Bass, przypuszczalnie na lubieżne igraszki, co rzekomo miał też robić w przeszłości. A kiedy one odrzuciły jego propozycję, zaprosił Claire, a ta się zgodziła - musiała, skoro z nim pojechała. Ale Jack wie, że Rick nie zabrał Claire do Rock Bass. A zatem nasuwa się słuszny wniosek, że w ogóle jej nie zapraszał. W związku z tym twierdzenie, jakoby Rick zaprosił Claire tylko dlatego, że tamte dwie dziewczynki nie zgodziły się z nim pójść, jest wyssane z palca. Rick nie zapraszał żadnej z nich, bo nie miał najmniejszego zamiaru zabawiać się z małymi dziewczynkami.

Jack czuje, jak sztywnieje mu kark. Przed chwilą ulgę sprawiła mu myśl, że syn jego przyjaciela jest pedofilem - jak mogłem tak nisko upaść? Te małe dziewczynki po prostu się w nim podkochały, to takie proste i takie niewinne. Jack jest rad, że mężnie stawił czoło najciemniejszej swojej stronie. Nie ma potrzeby przypisywać Ricky'emu Froelichowi jakiegokolwiek winy. Poza tym wyjdzie na wolność, ponieważ Madeleine zaraz powie, w którą stronę skreśli. Jack ścisną dłoń Mimi, żeby dodać jej otuchy.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś tego dnia Claire? - pyta pan Waller.

- Ja i Colleen... poszliśmy z Colleen do Pops...

- Co to jest „Pops”? - mówi sędzia. - Nie przypominam sobie takiego określenia.

- Kupiliśmy sobie tam lemoniadę.

- Wysoki Sądzie, to nazwa miejscowego sklepu z artykułami spożywczymi - wyjaśnia pan Waller.

- Czy to jest istotne dla sprawy?

- Nie sędzę, Wysoki Sądzie.

- Więc niech pan zmierza do rzeczy, panie Waller, i nie marnuje czasu na głupstwa.

Madeleine ściągnęła brodę, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ale przy tym zawsze

wytrzeszcza oczy. Jedynym bezpiecznym rozwiązaniem jest po prostu zapomnieć o swojej twarzy.

- Dokąd poszłaś potem, Madeleine? - pyta pan Waller.

- Wybrałyśmy się do wierzby...

- Wierzby na skrzy...?

Gdzie stoi ta wierzba, Madeleine?

- Na skrzyżowaniu.

- A w którą stronę byś skręciła, gdybyś chciała pójść do Rock Bass?

- W prawo.

- Czy to oznacza, że skręciłabyś w prawo, gdybyś chciała pójść do Rock Bass? - odzywa się sędzia.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Mimowolnie odpowiedziała z angielskim akcentem, ale sędzia chyba tego nie zauważył.

- Dobrze. A zatem ty i Colleen zmierzałyście w stronę wierzby rosnącej przy skrzyżowaniu - stwierdza pan Waller.

- Szłyśmy przez pole. - Madeleine szuka wzrokiem Colleen, ich spojrzenia spotykają się.

- I widziałaś wierzbę?

Madeleine spogląda na pana Wallera.

- Tak.

- I skrzyżowanie było wyraźnie widoczne.

- Tak.

- I co tam widziałaś?

- Widziałyśmy...

- Interesuje nas, co ty widziałaś.

- Widziałam Ricky'ego, Reksa i...

- Kto to jest Rex? - pyta sędzia, z rozdrażnieniem w głosie.

- To pies, Wysoki Sądzie - wyjaśnia pan Waller. - Mów dalej, Madeleine.

- Ricky pchał na wózku Elizabeth, a Claire jechała rowerem i Rex ją ciągnął.

- I zmierzali w kierunku... dokąd zmierzali?

- W kierunku wierzby.

- Możecie przyjąć, panowie, że wierzba i skrzyżowanie to jedno i to samo miejsce - mówi sędzia. Zwraca się do ławy przysięgłych. Z powrotem przenosi wzrok na Madeleine. -

Co widziałaś potem?

- My... ja widziałam, mmm - Madeleine przełyka ślinę - kosa z czerwonymi skrzydełkami.

Zasycha jej w gardle.

Pan Waller nic nie mówi. Czeka, aż Madeleine przypomni sobie swoją kwestię. Ale ona milczy. Jest jak żaba z kreskówki, która potrafi śpiewać arie operowe, ale gdy przyjdzie co do czego, z jej ust wydobywa się skrzek.

Słychać warkot wentylatora pod sufitem, ale nie czuć powiewu.

- Dobrze. A co widziałaś, kiedy spojrzałaś w stronę skrzyżowania? - pyta pan Waller.

Serce tłucze jej w piersi samo z siebie. Madeleine oddycha ustami, chociaż grozi to wysuszeniem gardła na wiór - będzie ją bolało przy przełykaniu. Jak wtedy gdy miała usunięte migdałki i mogła jeść tylko lody.

- Madeleine?

Sędzia przygląda jej się uważnie.

- Powiedz nam, co widziałaś.

- Popatrz na mnie, Madeleine - mówi pan Waller.

Wentylator warkocze coraz głośniejsze. Gdzie jest tata?

Spogląda na nią, z głową lekko pochyloną do przodu. Jego twarz jest blada i lśniąca. *Ty masz w sobie odwagę. On rozbił samolot. Pamiętaj, z jakiej gliny jesteś ulepiona. Na wysokości zadania. Prawda zawsze przychodzi najtrudniej. Przebij się przez to tak, jakbyś nadziała się na dźgający w plecy hak na ubranie. Przebij się i nigdy już do tego nie będziesz musiała wracać. Nic już więcej nie będzie ci się wwiercać w plecy. Zrób to, co należy.*

Tata lekko kiwa głową. *Pierwszy pilot do drugiego. Rozegraj to po swojemu, skarbie. Powiedz prawdę.*

I Madeleine mówi prawdę.

Rodzice nie odzywają się w samochodzie. Przed nimi ogromny różowy rożek lodowy z dykty pochyla się zachęcająco w stronę szosy, ale Madeleine domyśla się po ciszy panującej w samochodzie, że się nie zatrzymają. To dobrze, bo wcale nie ma ochoty na lody. *Maman* jest zła. Szarpała Madeleine przez całą drogę z sali sądowej do samochodu, o mało jej ręki nie wyrwała, a tata posłusznie dreptał za nimi.

Rambler zwalnia i staje na poboczu.

- Co powiesz na lody? - pyta Jack, patrząc na odbicie Madeleine w lusterku wstecznym.

- To chyba nie jest dobry pomysł, Jack.

- Zasłużyła na lody, nie uważasz?

Madeleine posyła tacie wymuszony uśmiech. Nie jest nią rozczarowany. Zaprasza ją na lody.

- Jack - mówi matka, ale on już wysiada z samochodu.

Madeleine czeka w milczeniu, wpatrzona w tył matczynej głowy.

Kiedy powiedziała prawdę, pan Waller usiadł, oddając pole drugiemu adwokatowi w czarnej ponurej todze.

- Dlaczego okłamałaś policję, Madeleine? - pyta ten drugi, podchodząc do niej.

- Przepraszam.

- Bardzo dobrze się spisałaś w roli świadka, Madeleine, powiedziałaś prawdę. Nikt nie będzie się na ciebie o to gniewał, ale musimy ustalić, to dla nas ważne, dlaczego powiedziałaś policji, że widziałaś, jak Ricky skręca w lewo, skoro tego nie widziałaś.

- Bo ja...

Suchość w gardle już minęła, a jej oczy przepełniły się niczym spodka, lecz nie wiadomo, co budzi w niej taki smutek. Jakby właśnie dowiedziała się o śmierci psa.

- Mów głośniej, Madeleine.

- Bałam się, że...

- Czego się bałaś?

- Że zostanie powieszony.

Na sali rozległ się szmer.

- Spokój - nakazał sędzia. - Dajmy temu dziecku wypowiedzieć się do końca. Świetnie ci idzie, Madeleine - powiedział Król Ropuch, widać niepozbawiony serca.

- A więc, Madeleine - odezwał się adwokat z wygrywającej drużyny głosem, który kazał jej się mieć na baczności, jakby próbował wyciągnąć coś z niej pochlebstwem. - Kto ci to powiedział?

- Nikt.

- Zeznajesz pod przysięgą, moja panno - upomniał ją sędzia.

Nagle przestało mieć znaczenie to, że jest małą dziewczynką. Może już nią nie była. Może minęło dwadzieścia lat i już dorosła. Czują, jak szyja jej się wydłuża, niczym u Alicji w krainie czarów, jak unosi jej się głowa - jeszcze chwila, a będzie pod sufitem, odrąbie ją wentylator.

- Kto ci powiedział, że Ricky zostanie powieszony? - powtórzył adwokat.

Madeleine skurczyła się do normalnych rozmiarów.

- Każdy tak mówi, ale to nieprawda.
- Możesz wymienić jedną konkretną osobę.
- Mój brat.
- Twój brat?
- Tak, Mike tak mówi.
- Kto jeszcze?
- ...Moja przyjaciółka.
- Jaka przyjaciółka?

Tata wraca i wręcza jej potrójną porcję neapolitańskich, ale sobie nie kupił lodów, nie podzieli się z *Maman*. Samochód wjeżdża na szosę. Madeleine ma ochotę, niby przypadkiem, wyrzucić lody za okno, ale to nie wchodzi w grę. Przelyka je więc jak najszybciej.

Na sali sądowej zrobiło się gorąco jak w piekarniku. Wszyscy zamarli. Prażyli się jak piernikowe ludki. Łzy nie spływały Madeleine po policzkach, wyparowywały. Spojrzała na Colleen. *Kiedy otworzą się drzwiczki od piekarnika, wyskoczy z brytfanny i ucieknie. Uciekniemy razem na koniec świata.*

- Colleen - powiedziała.

- Colleen Froelich?

Madeleine skinęła głową.

- Czy to znaczy „tak”?

- Tak, świadek skinął potakująco - odezwał się sędzia. - Proszę dalej, panie Fraser.

- Czy to Colleen kazała ci skłamać?

Madeleine nie odezwała się.

- Odpowiedz na pytanie, Madeleine - zwrócił się do niej sędzia.

Ale Madeleine jakby skamieniała.

- Madeleine, obejrzyj się do tyłu - powiedział sędzia. - Kim jest ta pani?

- To nasza miłościwa królowa.

- Wiesz, że zebraliśmy się tu dzisiaj w jej imieniu? Kiedy ten pan albo ja zadajemy ci pytanie, to tak, jakby przemawiała przez nas królowa. A królowej odpowiedziałabyś na pytanie?

Madeleine skinęła głową.

- Okłamałabyś królową?

Madeleine potrząsnęła głową.

- A więc, Madeleine, czy to Colleen Froelich kazała ci skłamać? - spytał sędzia.

- Zrobiłam to z własnej woli.

Tata zatrzymuje samochód przed wjazdem do Exeter; Madeleine musi zwymiotować.

- A nie mówiłam? - zwraca się *Maman* do taty.

- Chyba już nic więcej nie wydobydziemy ze świadka, panie Fraser - powiedział sędzia. - Wracaj do rodziców, dziewczynko.

Co powiedziawszy, sędzia jakby natychmiast zapomniał o jej istnieniu. Pan Fraser wrócił na swoje miejsce. Madeleine nie ruszała się. Pozostała niedokończona sprawa. *On tego nie zrobił*. Madeleine miała im to oznajmić. Ricky Froelich skręcił w lewo, to nie on zamordował Claire. *Zapytajcie Elizabeth*.

Madeleine otworzyła usta. - Elizabeth...

- Królowa już z tobą skończyła na dziś, panienko, wracaj do rodziców - upomniał ją sędzia.

- Nie chodzi o królową! - krzyknęła.

- Panie oficerze?

Pan Plodd podszedł do niej.

- Stać!

To przemówiła kobieta na sali, już nadchodziła przejściem między ławkami. *Maman*.

- Niechże pani usiądzie - powiedział sędzia.

- *C'est assez* - oświadczyła *Maman*, zmierzając do podwyższenia dla świadków, stukając wysokimi obcasami.

- Proszę pani! Oficer sądowy!

Pan Plodd wyciągnął rękę po Madeleine, ale odtrąciła ją dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami, dłoń *Maman*. Chwyła Madeleine za nadgarstek i szarpiąc, pociągnęła ją za sobą do wyjścia. Morze kołyszących się twarzy przepływało obok - Colleen patrząca przed siebie, pan Froelich ze spuszczoną głową, tata spoglądający na nią i *Maman*, jakby prędzej spodziewał się zobaczyć tutaj samego diabła niż żonę i córkę.

Z tyłu słychać głos sędziego. - Ogłaszam krótką przerwę.

- Jack, *allons-y* - zawołała *Maman* od drzwi.

Tkwiąc w żelaznym uścisku matki, Madeleine biegła po wywoskowanej posadzce korytarza, pośród portretów mężczyzn w togach, obok drzwi opatrzonej tabliczką z nazwiskiem F. DONNELLY.

Maman ociera jej twarz chusteczką odświeżającą i wsiadają z powrotem do samochodu. Kupowanie lodów na pustkowiach przy drodze ma jedną dobrą stronę; uchroniło ją przed wyprawą na lody do Crediton, gdzie mieszka pan March.

- Chcę wyjechać już jutro, Jack.

Mimi rozpiną suknię, ściąga ją, wyjmując wieszak i wywijając nim jak nożem do patroszenia, wtyka go w sukienkę i upycha do szafy.

- Nie możemy tak po prostu zabrać się i wyjechać.

Jack stoi z założonymi rękami, jeszcze nie zaczął się rozbierać.

- Dlaczego nie? Ty zabierasz się i jeździsz na rozprawę, kiedy tylko chcesz.

- Za kilka dni to się skończy.

- Wracasz z nami? - Mimi gwałtownym ruchem ściąga kolczyki.

- Zostanę do końca procesu.

- Po co?

- Henry potrzebuje wsparcia, będą musieli wnieść apelację.

- I co? - Zdejmuje halkę przez głowę, odwraca się do niego tyłem i rozpiną stanik.

- Facet jest bez grosza.

- Nie wiadomo. - Wkłada koszulę nocną.

- Nie widziałaś, w jakich warunkach oni teraz żyją.

Odwraca się do niego. - Za to ty widziałeś.

Jack waha się, a właściwie dlaczego miałby to ukrywać? - Owszem, widziałem, odwiedziłem ich. I co z tego?

Natychmiast żałuje swoich ostatnich słów; zabrzmiało to, jakby czuł się zagrożony.

- I co z tego? Ty mi mów, co z tego.

W normalnych okolicznościach Jack podroczyłby się z żoną na temat jej znajomości angielskiego, ale nie dziś.

- Nic - odpowiada jej. - O co ci chodzi?

- To nie nasza rodzina, Jack. To nie jest mój syn.

- Chłopak jest niewinny.

- To nie takie pewne.

- Jest niewinny.

- Skąd wiesz? - Spogląda na niego.

Jack milczy. - Madeleine przez ciebie się rozchorowała. Chciałeś, żeby skłamała w sądzie.

- Wcale nie chciałem, żeby...

- Co tu jest grane! - Podniosła na niego głos.

- Mimi - mówi Jack cicho, wykonując ręką uspokajający gest. Mimi krzyczy, zniżając głos: - Chcę wiedzieć! - Uderza szczotką do włosów o udo. - Dlaczego tak cię obchodzi los tej rodziny?

Jack nie odzywa się.

- Bardziej przejmujesz się tym chłopakiem niż własnym synem.

- Mimi, to nie...

- I nie chcesz już więcej dzieci. - Przez jej twarz przebiega skurcz, ale zaciska usta i nie odrywa od niego wzroku. - Prawda?

- O czym tym mówisz?

- To dlatego prawie wcale... - zagryza górną wargę i bierze głęboki oddech, oczy zachodzą jej łzami.

- Mimi, skąd ci to przyszło do głowy? - Podchodzi do niej z rozpostartymi ramionami.

- Nie dotykaj mnie. - Jej głos brzmi zimno. - Ta rodzina przeżywa tragedię, ale to przecież nie jest nasza sprawa. A może jest inaczej, Jack?

Nie odzywa się.

Mimi otwiera szkatułkę z biżuterią i mówi: - Co to jest?

Świstek papieru. - Co to jest?

Podaje mu zmięty karteluszek. - To ja się pytam tobie.

Czereśnie, koniak, kawior... lista zakupów dla Frieda.

Spogląda na żonę.

- Od kiedy?

Jack zachowuje ostrożność. - Co masz na myśli?

Głos Mimi drży. - Przycinasz ich trawnik, przesiadujesz u nich, wychodzisz z pracy... wiem, bo wydzwaniam i nie mogą cię znaleźć. Bierzesz służbowy samochód i jedziesz Bóg raczy wiedzieć gdzie. Podnoszę słuchawkę i nikt się nie odzywa.

Głos jej się załamuje, ale Mimi, choć bliska łez, odzyskuje równowagę.

- Cholera, niedoczekanie twoje, żebyś zobaczył, jak przez ciebie płaczę.

- Mimi, czy ty myślisz...? - Jack uśmiecha się mimowolnie, zdając sobie sprawę, że mówi jak winowajca. Odwraca się od niego. Jack zanosi się śmiechem. Ten śmiech w jego własnych uszach brzmi beznadziejnie fałszywie, a co dopiero w jej...

- Mimi, miałem to kupić Buzzowi Lawsonowi, zapomniał o rocznicy ślubu, a jajechałem do Londynu, więc poprosił mnie, żebym przy okazji zabrał parę... przecież znasz Buzza. Spójrz na mnie, Mimi.

- Nie wierzę ci.

- Myślisz, że coś czuję do Karen Froelich? - Jack chichocze, ale Mimi odwraca się i mierzy go wzrokiem.

- Widzisz? Nawet nie musiałam wymieniać jej imienia.

Jack czuje, jak jego twarz zastyga w wyrazie radosnego zmieszania, tym jawnym świadectwie męskiej winy - nie potrzebuje lustra, żeby o tym wiedzieć.

Mimi kładzie się do łóżka. - Jutro musimy stąd wyjechać, Jack.

- Mimi...

- Chcę spać. - I gasi nocną lampkę na swoim stoliku.

Szeroki uśmiech rozpada się jak przeżarty rdzą, gardło zakleszcza się. Oczy pieką jak od soli. Gdyby tak teraz się odwróciła i spojrzała mu w twarz.

Przestałby ukrywać. Zapytałaby: „Co ci jest, Jack?”. A on by odpowiedział. *To ja machałem.*

Czeka bez ruchu, ale ona nie odwraca się ani nie otwiera oczu, a on stracił mowę.

Madeleine długo nie może zasnąć. Rodzice się pokłócili. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby tak ostro się spierali. Nie na poważnie. *Maman* musi się okropnie gniewać na Madeleine za to, że okłamała policję. A jeszcze mocniej na Colleen za to, że jej kazała. Już nigdy nie wolno jej będzie się bawić z Colleen Froelich.

Przytula Bugsa i przekręca się na brzuch; w tej pozycji jest bezpieczniej. Uświadamia sobie, że Colleen pewnie i tak już nie będzie się chciała z nią bawić. I czuje ulgę.

Budzi się z krzykiem i przez resztę nocy śpi w łóżku rodziców z matką. Śniło jej się szczekanie psa. Ocknęła się, ale wiedziała, że nadal śni, bo kiedy podeszła do okna w sypialni, zasłony podniosły się od powiewu wiatru, którego ona wcale nie czuła. Z początku myślała, że na zasłonach jest nowy wzorek, ponieważ pokryte były żółtymi motylami. Potem motyle zaczęły się ruszać i zobaczyła, że są prawdziwe.

Tata wziął ją na ręce i przytulił. W przerwach między męczącą ją czkawką spytała go, co się stało z tym psem, który nie mógł wydostać się z kanału burzowego w dniu pasowania na harcerki. Tata najpierw jakby nie kojarzył, potem powiedział: - Ach tak, pamiętam. Zdaje się, że przyjechali strażacy i go uwolnili.

- Naprawdę?

- Tak. Oddali go właścicielom; nic mu się nie stało.

I więcej go nie pytała.

Tata położył ją do łóżka obok *Maman* i wyszedł. Jeszcze nie przebrał się w piżamę.

- *Maman?* - wyszeptwała Madeleine.
- O co chodzi?
- Opowiesz mi historię o Jacku i Mimi?
- *Non, pas ce soir, Madeleine. Fait dodo.*
- Zaśpiewaj *O Mein Papa*.
- Śpij już, Madeleine. Pomyśl o czymś przyjemnym.

Madeleine drapie w gardle. Stoi na trawniku przed domem, wpatrzona w trawnik Reksa po drugiej stronie ulicy.

- Wsiadaj do samochodu. Madeleine, powiedziałam, *viens. Main tenant!*

Siada z tyłu, sama. Mike jedzie z przodu. Tata zostaje. Całą drogę do Nowego Brunszwiku będzie miała przed sobą tył matczynej głowy. Rambler wyjeżdża tyłem z podjazdu. Powoli, bo to matka prowadzi. Madeleine patrzy przez tylną szybę, jak ich dom oddala się, razem z domem Colleen, i Lisy, i Auriel, i Claire; niczym słowo powtarzające się na grobowcu Donnellych, *Pusty, Pusty, Pusty, Pusty...* Aż wjeżdżają w zakręt i ich biały dom z czerwonym dachem ginie jej z oczu.

- Do widzenia, Rex - mówi cicho, gdyż boli ją gardło. - Kiedy wracamy? - pyta.
- Jak się skończą wakacje - odpowiada matka gniewnym tonem.
- Nie pożegnałam się z Reksiem.
- Daj spokój - odzywa się Mike na przednim siedzeniu, a *Maman* nie strofuje go za to.

Jej łzy parzą jak woda z czajnika. Matka i brat nie widzą, że Madeleine płacze. Leży z twarzą wciśniętą w szczelinę między siedzeniem a oparciem, czuje, jak jej łzy skapują na plastik. *Biedny Rex*. Szepcze te słowa przez łzy, ciemne i gęste niczym las, i nie może się wydostać z Czarnego Lasu, *biedny Rex*. Bierze głęboki oddech, ale wypuszcza powietrze powoli, żeby matka i brat pomyśleli, że śpi, gdyby nagle przyszło im do głowy obejrzeć się na nią, *biedny Rex pomyśli, że odjechałam bez pożegnania*.

Madeleine łka cichutko. Tuż przed wjazdem na szosę nr 401 samochód się zatrzymuje i Mike kupuje jej batona. Siada z tyłu obok niej. - To dla ciebie, Rob.

Bardziej ujmuje ją to, że postanowił dotrzymać jej towarzystwa z tyłu, niż słodki upominek, który przyjmuje ze stoickim uśmiechem.

Ale przez cały czas w drodze do Nowego Brunszwiku, przez cały czas w drodze do następnej placówki, a potem znów do następnej, przez cały ten czas aż do dnia, w którym Madeleine wyprowadziła się z domu do własnego mieszkania i rzuciła studia, wciąż na nowo roniła łzy gorące jak wrzątek, ilekroć stanęła jej przed oczami twarz Reksa. Mimo że Rex

wcześniej przeniósł się ze swoją rodziną do ośrodka z mieszkalnymi przyczepami, Madeleine wyobrażała sobie - i w przyszłości miała się spierać z Mikiem, że tak właśnie było - że Rex stoi na trawniku przed purpurowym domem i odprowadza ją wzrokiem, dziwiąc się, że odjeżdża bez pożegnania.

ŁASKA KRÓLOWEJ

Po naradzie trwającej dwie i pół godziny ława przysięgłych uznała go za winnego, „z prawem wystąpienia o ulaskawienie”.

- Richardzie Plymouth Froelich - oświadczył sędzia - wyrokiem tego sądu zostaniesz przeniesiony z powrotem do miejsca, z którego cię zabrano, i tam przebywać będziesz w ścisłym odosobnieniu, aż do dnia drugiego września 1963 roku, kiedy to zostaniesz doprowadzony na miejsce stracenia, gdzie zostanie ci zadana śmierć przez powieszenie. Niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą.

Jack nie pamięta, jak wyszedł z sali sądowej. Zaraz po ogłoszeniu wyroku Henry'ego Froelicha obścąpili dziennikarze i nie można się było do niego przedrzeć. Jack nie szukał też inspektora, ani sędziego, ani prokuratora... Najpierw musiał powiadomić Simona. Wrócił do Centralii służbowym samochodem. Odstawił go i z przyzwyczajenia poszedł do budki telefonicznej przy placu defiladowym - niepotrzebnie. Żona zostawiła go i wyjechała z dziećmi trzy dni temu, więc nie miał kto podsłuchiwać w domu. Minął budkę i ruszył w kierunku SKR-ów w promieniach zachodzącego słońca.

Przed domem Froelichów stała ciężarówka firmy przewozowej - wprowadzała się nowa rodzina. Przybysze, kobieta i mężczyzna, pomachali do niego na przywitanie, ale Jack nie odpowiedział im tym samym. Miał wrażenie, że patrzy na nich przez gruby przezroczysty mur z lodu; nawet nie przyszło mu do głowy, żeby im pomachać. Wszedł do pustego domu. Do pustej kuchni.

Teraz podnosi słuchawkę i wykręca nocny numer, ale nikt się nie zgłasza.

Jest sam. Zapada zmierzch. Sięga do szafki nad lodówką po nową butelkę szkockiej. Będzie próbował się dodzwonić przez całą noc. Jeśli to nic nie da, rano zadzwoni do ambasady i zapyta Simona, ile czasu potrzeba jego ludziom w Związku Radzieckim, żeby wydostać się ze strefy zagrożenia, jeśli do tej pory jeszcze tego nie zrobili. Potem wyjawi

Henry'emu Froelichowi całą prawdę; włoży mundur i pójdzie na policję. Przychodzi mu do głowy myśl, żeby wybrać się na lądowisko już teraz i spróbować odszukać klucz do forda galaxy, ale zmienia zdanie i nalewa sobie whisky. Policja będzie miała mnóstwo czasu, żeby przeczesać całą płytę wykrywaczami metalu. Wykręca nocny numer Simona co pół godziny.

O trzeciej nad ranem otwiera po kolei szuflady z garderobą Mimi, potem jej toaletkę, ale nie znajduje nic poza jej zimowymi ubraniami. Wtula twarz w jej swetry, ale to na nic - są świeżo wyprane. Klęka przy łóżku od jej strony, nie po to, żeby się pomodlić, lecz powąchać pościel. Na próżno, przed wyjazdem Mimi zmieniła ją na czystą. Wraca do kuchni, przetrząsa ją, aż w końcu w szufladzie obok książki telefonicznej trafia na coś cennego. Jej zeszyt z przepisami kulinarnymi. Otwiera go, ze stronic wzbija się aromat wanilii, masła - wyciąga kartkę zapisaną jej nieczytelnym pismem, z atramentem pojaśniałym w zatłuszczonych miejscach. Jack przygląda się jej - udaje mu się odcyfrować przepis na babkę z otrębami - i wybucha płaczem.

W którymś momencie przysnął na sofie. Kiedy otwiera oczy, przez okna salonu wdzierają się do środka ostre promienie porannego słońca. Z ulgą stwierdza, że butelka szkockiej na stoliku jest tylko do połowy opróżniona - może bezpiecznie stanąć na nogi, pod warunkiem że zrobi to powoli.

Nie trzusi się, żeby zabrać gazetę z progu - domyśla się, jaki nagłówek widnieje na pierwszej stronie. Czeka do dziewiątej, aż ambasada brytyjska w Waszyngtonie rozpocznie urzędowanie, a kiedy sięga po słuchawkę, telefon nagle dzwoni i Jack mimowolnie się wzdryga.

Poznaje głos Karen Froelich, która pyta: - Jack, czy był u ciebie Henry?

Poprzedniego wieczora Henry odjechał ich samochodem z dziennikarzem.

- Czy to Henry do niego zadzwonił?

Nie, ten dziennikarz śledził przebieg procesu od samego początku. Po ogłoszeniu wyroku przeprowadził ich przez tłum dziennikarzy i fotoreporterów do samochodu. Wsiadł i pojechał z nimi do ich nowego domu. Powiedział, że ze swoich policyjnych źródeł wie o zbrodniarzu wojennym, którego Henry ponoć rozpoznał na ulicy. Dziwił się, dlaczego ta sprawa nie została nagłośniona podczas procesu. Kiedy Henry mu powiedział, dziennikarz odparł, że jego zdaniem Ricky padł ofiarą poważnego błędu wymiaru sprawiedliwości, a na samym dochodzeniu mógł zaciążyć antysemityzm.

- Nasz prawnik kazał nam nie wrywać się z niczym przed złożeniem odwołania - mówi Karen. - Henry tak się ucieszył, że wreszcie ktoś...

- Skąd jest ten dziennikarz? Z redakcji „The Globe”?

- Nie, z „The Washington Post”.

- To świetnie.

Więc wkrótce wszystko wyjdzie na jaw. Jackowi przypadnie rola dostarczenia brakującego elementu układanki, a cała sprawa trafi na łamy amerykańskich i kanadyjskich gazet w ciągu dwudziestu czterech godzin. Czuje ulgę.

- Nie przejmuj się, Karen, wszystko dobrze się ułoży, zaręczam ci, że wasz chłopak wyjdzie...

- Jack, on jeszcze nie wrócił do domu.

- No tak, ale na pewno wygra apelację...

- Chodzi mi o Henry'ego. Nie ma go. Mówiłam ci. Wyjechał wczoraj wieczorem. Nawet nie zadzwonił i jestem... - Karen zacina się na chwilę, a gdy po chwili mówi dalej, jej głos znów brzmi spokojnie. - Zawiadomiłam policję, ale powiedzieli mi, że nie mogą uznać go za zaginionego przed upływem...

- Nie martw się, Karen. Pewnie przesiedział gdzieś całą noc z tym dziennikarzem. Przecież wiesz, jaki on jest, kiedy się rozgada...

Niemal słyszy, jak Karen się uśmiecha, chłonąc słowa otuchy.

- To wspaniała wiadomość o tym dziennikarzu z „The Washington Post”. Henry nie mówił ci, dokąd się wybierają?

- Nie, myślałam, że jadą do Goderich na kolację, ale...

- Czy byłaś już w...?

- Nie mam samochodu.

- Racja. Przecież Henry wziął samochód. Słuchaj, nic się nie martw. Jeśli chcesz, podjadę zaraz do Goderich i...

- Nie musisz nic...

- Przyjadę do was...

- Nie, Jack. Nie przyjeżdżaj.

Po namyśle Jack przyznaje jej słuszność, nie powinien się tam pokazywać.

- Karen, w razie czego dzwoń do mnie, dobrze?

- Dobrze.

- A jeśli zobaczę Hankę po drugiej stronie ulicy, zalanego w pestkę, zgarnę go i odstawię do domu.

- Dzięki, Jack. - Jej głos już dochodzi z oddali, jakby malała, niczym obraz na ekranie telewizyjny kurczący się do punktu zniknięcia.

Jack dzwoni do Waszyngtonu.

- Tu ambasada brytyjska. Czym mogę służyć?

Znajomy miły kobiecy głos. Telefonistka od razu go połączy, gdy dowie się, z kim ma do czynienia.

- Major Newbolt do sekretarza Crawforda.

- Przykro mi, ale nikt o takim nazwisku tu nie pracuje.

- Przecież to ambasada brytyjska.

- Owszem, proszę pana, ale...

- Muszę natychmiast rozmawiać z panem Crawfordem, to pilna sprawa.

- Obawiam się, że to pomyłka...

- Do diabła, niech mu pani powie, że dzwoni Jack.

- Niestety, nie mogę panu pomóc.

I odkłada słuchawkę. Jack znów wybiera numer ambasady, ale linia jest zajęta.

Przez cały dzień waruje przy telefonie, bo może zadzwonić Karen, albo Henry, albo Simon, albo Mimi. Ale telefon milczy. Jack czuwa przez całą noc. Leży na sofie, nie uchodzą jego uwagi żadne dźwięki ani światła samochodów omiatające sufit w salonie.

Rano idzie do drzwi po gazety; wczorajszą wyrzuca i rozkłada aktualną. Na pierwszej stronie, w lewym dolnym rogu, tuż ponad *Kącikiem humoru*, odbitka fotografii Henry'ego Froelicha wyjętej z gabloty szkolnej i dziesięć centymetrów tekstu. *Zaginął ojciec Richarda Froelicha skazanego za zbrodnie na tle seksualnym. Wczoraj rano na Moście Pokoju funkcjonariusze policji stanowej Nowego Jorku znaleźli samochód należący do Henry'ego Froelicha. Mimo że nie zostawił listu pożegnalnego, podejrzewa się, że odebrał sobie życie.*

Jack dwukrotnie czyta notatkę. Oczywiście, nie ma wzmianki o tajemniczym zbrodniarzu wojennym. Nie ma też wzmianki o dziennikarzu z „The Washington Post”. Jackowi stają przed oczami spoceni mężczyźni siedzący w ostatnim rzędzie sali sądowej, w wymiętych garniturach, z notatnikami w ręku. Dziennikarze - z wyjątkiem jednego. Ten człowiek był tam od początku procesu. Kiedy Simon przekazał CIA informację o Froelichu? Wtedy kiedy Jack zagroził, że się ujawni i zapewni Rickowi alibi? A może wcześniej? Wtedy kiedy Jack po raz pierwszy wspomniał mu o swoim sąsiedzie? Więc taki los spotkał Froelicha? A Jack jest następny na liście? Wcale go ta myśl nie przeraża; napęnia go znużeniem.

Odkłada gazetę i dzwoni do firmy przewozowej. Zapłaci z własnej kieszeni za odstawienie całego rodzinnego dobytku do przechowalni w Toronto. Albo jego wysoko postawiony znajomy z Ottawy załatwi mu przeniesienie - nieważne dokąd - albo Jack złoży wypowiedzenie. Tak czy owak, pod koniec tygodnia poleci do Nowego Brunswiku do żony i

dzieci.

Już nie powtarza sobie, że nie dopuści do tego, żeby Ricky Froelich zawisł na szubienicy. Cokolwiek powie, będzie jak głos wołającego na otwartym morzu podczas sztormu. A gdyby nawet ktoś go usłyszał, w jakiej sytuacji Jack postawiłby swoją rodzinę? Miałaby stracić jedyne go żywiciela? Jak Froelichowie?

Schodzi do piwnicy i po krótkich poszukiwaniach znajduje kartonowe pudła, poskładane przez Mimi jeszcze w sierpniu zeszłego lata. Jack zaczyna je rozkładać.

Część czwarta

CO POZOSTAJE

Ojciec mówił mi, że obojętnie, w którym tunelu czy jaskini zacznie się kopać, i tak trafi się na kości umarłych.

Primo Levi, *Ołów*, ze zbioru *Układ okresowy*

Kiedy przestajemy snuć opowieści, grozi nam, że się zgubimy i będziemy błąkać się po bezdrożach. Potykamy się o kłamstwa, droga rozstępuje się nam pod nogami niczym obluzowane deski w drewnianym moście. Czas rozpryskuje się i choć staramy się iść śladem odłamków, rozsianych niczym kamyki po lesie, schodzimy na manowce. Miejsce opowieści zajmują dowody. Chwile wyrwane z epok. Okazy zaczerpnięte z doświadczenia. Zapominamy, jaką pociechę przynosi wspólny wątek - sposób, w jaki zdarzenia zabarwiane są odcieniem opowieści starszych niż owe fakty. Tracimy pamięć. To może wpędzić człowieka w chorobę. To może wpędzić świat w chorobę.

W 1969 roku rakieta z ludzką załogą na pokładzie wylądowała na Księżycu. Ludzie postawili stopę na jego powierzchni. Odmienił ich widok Ziemi, mleczno-niebieskiego klejnotu na tle niezmierzonej czerni. Ale na nas nie wywarło to większego wrażenia. Co najwyżej lot na Księżyc i marzenia o wyprawie w kosmos zaszeregowane zostały do rzędu zjawisk, które się wydarzyły i utraciły swój czar. Na pewien czas zapanowała moda na księżycowe kamienie, uroczyste parady, a Zachód rozpierało poczucie wojskowej przewagi, wynikającej z osiągnięcia imponującego celu. Potem puściliśmy to w niepamięć. Przed nami następny cel.

Lecz wciąż nie tracimy wiary w Armagedon - ten mit nigdy nie sprawi nam zawodu, ponieważ jeśli już się spełni, przy życiu nie pozostanie nikt, kto mógłby głowić się nad znaczeniem porzucanych okruchów roztrzaskanej opowieści. Wyścig w przestrzeni kosmicznej został przyćmiony przez wyścig zbrojeń. Nasza broń nabrała jeszcze bardziej przerażającego oblicza, ponieważ teraz można ją było dostarczyć w każde miejsce i o każdej porze.

I do tego uległa rozmnożeniu. Natomiast z bombą atomową było tak jak z demokracją

- można ją było powierzyć tylko nielicznym państwom. Ta okoliczność usprawiedliwiała nasze upodobanie do pomniejszych tyranów i ich lokalnych wojen, podczas których wzajemnie się wyrzynali zakupioną od nas bronią. I tak pomnażali nasze bogactwa.

Księżyc przestał nas pociągać. Trudno nam było szukać w nim natchnienia albo potwierdzenia w chwili pocałunku, bo przecież tknęła go ludzka stopa. Podbiliśmy go. Uległ nam. Wydaje się nam, że wszystko o nim wiemy. Wydaje się nam, że wiemy, jak NASA dokonała tego, że Apollo - bóg Słońca - wylądował na Księżycu. Lecz paliwo, siła ciągu, osłona ciepłochronna to nie cała historia, to tylko dowody, które po części gdzieś się zapodziały. Nie zaginęły - fakty leżą rozproszone, rozczłonkowane. Na widoku. Może gdybyśmy zebrali wszystkie cząstki, podnieśli z trawy, gdzie uwięzły niczym klocki lego, armia żołnierzyków w rozsypce, i ułożyli na nowo, spłotyby się z powrotem w opowieść i dostrzeglibyśmy ich znaczenie. Znów zaczęłoby nas obchodzić to, że trzech odważnych mężczyzn w 1969 roku wylądowało na Księżycu.

Opowiadać to znaczy też rozliczać. Księgowy i gawędziarz mają ze sobą coś wspólnego. Obaj sporządzają sprawozdanie, dokonują bilansu zdarzeń i ich kosztów, a zadaniem słuchacza jest ocenienie - czy warto było?

Ceną rakiet są koszty, jakie pochłonęły ich narodziny, a nie lot na Księżyc. Sam lot jest okrojonym sprawozdaniem. Kulejącym, jak to dziecko, które nie nadało za pozostałymi i uniknęło ich losu, kiedy Szczurołap uwięził je w jaskini we wnętrzu góry. Dopóki nie wysłuchamy całej opowieści, nie spłacimy długu Szczurołapowi. A on dalej będzie zabierał nasze dzieci.

Dowody wskazują na to, że raketę wystrzelono z przylądka Canaveral, ale opowieść mówi nam, że odpalono ją tam, gdzie została wykuta, głęboko w trzewiach ziemi, rozświetlając ogromną grootę, ze sklepieniem ginącym w mroku, korytarzami usianymi kośćmi i pordzewiałym żelastwem, wyłożonymi szkieletem szyn. A kiedy się wzniosła, czysta i biała, do wylotu górskiej jaskini, jej drogę, aż po sam Księżyc, znaczyły płomienie, krew i ziemia.

Jaskinia wciąż stoi otworem. Wieje chłodem, przyzywa nas.

Kazano nam wierzyć, że wszystko zaczęło się od NASA. Ale zaczęło się od hitlerowców. Wiedzieliśmy o tym, pamiętaliśmy jak przez mgłę, ale stawka była tak wysoka, że wyrugowaliśmy to z naszych umysłów. Wydarzenia bez pamięci. Kości bez ciała. Połowiczna opowieść - jak twarz spoglądająca w puste lustro, jak człowiek bez cienia.

A co robią cienie? Doganiają nas.

I TAK TO WŁAŚNIE JEST

Te fragmenty wsparłem o moje ruiny...

T.S. Eliot, *Ziemia jałowa* *

A gdzie Jack? Czyta gazetę. Proszę mu nie przeszkadzać.

Wtedy w 1963 roku zostawił coś za sobą. Wyrwał się, wy dostał niczym ze strumienia, i nurt, który wcześniej go niósł, rwał dalej bez niego, aż w końcu gdzieś za zakrętem zniknął mu z oczu.

Kiedy płyniesz z nurtem, masz wrażenie nieuchronności. Kiedy się z niego wy dostaniesz i musisz posuwać się pieszko, nic nie jest nieuchronne. Dostrzegasz czas, coraz mocniej przyginany do ziemi brzemieniem, które dźwigasz na barkach. Znajdujesz ukojenie w towarzystwie gazety, wypełnionej odłamkami czasu, podawanymi czytelnikowi kamyk po kamyku, lecz nigdy w ujęciu całościowym. Przewracasz stronę i kamyki rozsypują się w proch, a jutro zastąpią je nowe: *Naukowcy pilnie obserwują obłok nad Czarnobylią. Afgańscy powstańcy wypierają sowieckich najeźdźców. Dokonano odkrycia prehistorycznej ryby.* Szelest przewracanej kartki. Jakby przez rozstępującą się mgłę dociera do niego kobiecy głos: „Jack, pytałam, czy napijesz się czegoś ciepłego?”.

- O co chodzi? Ach, *merci*.

I następna strona.

Widok Jacka z rozpostartą gazetą w rękach to widok Jacka przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. Nie znaczy to, że brakowało mu zajęć. W sierpniu 1963 dostał przydział do nowej placówki i wyprowadził rodzinny dobytek z Centralii. Wykładał zarządzanie i sztuki dowodzenia na Królewskiej Akademii Wojskowej w Kingston, gdzie zachowały się stare forty, a armaty na murach wciąż wymierzone są w Amerykanów mieszkających po drugiej stronie jeziora Ontario. Na początku lat siedemdziesiątych wycofał się ze służby w siłach powietrznych i przeniósł się z rodziną do Ottawy, gdzie założył własną firmę konsultingową. „Jestem chwalebnym księgowym”, lubił żartować. Wiodło mu się dobrze. Zbudowali sobie

* Przekład Czesława Miłosza.

basen. Zanim zaczęło mu szwankować serce, miał szczerzy zamiar zwinąć manatki i wyjechać z żoną do Bahrajnu, Arabii Saudyjskiej lub innego kraju, gdzie mile witają cudzoziemców. Zarządzać rafinerią ropy naftowej. Szpitalem. W obecnych czasach umiejętności kierownicze nie znają granic.

Zresztą dziś po Królewskich Kanadyjskich Siłach Powietrznych zostało tylko wspomnienie, postarały się o to te ćwoki z parlamentu. Mierzi Jacka tandetny zielony mundur ze sztucznego materiału, który muszą teraz nosić wszyscy wojskowi, zacierający różnice między siłami lądowymi, marynarką i lotnictwem. Latem zastępuje go tania biała wersja ze spodniami, pod którymi wyraźnie zarysowują się nogawki noszonych pod spodem bokserek; szczyt głupoty - jakby nie dość było niesław, jaką okryło się wojsko, napiętnowane szaleństwem amerykańskiej interwencji w Wietnamie.

Z drugiej jednak strony drażni Jacka dzisiejsza młodzież, narzekająca na „amerykański imperializm”, biorąca za pewnik wolność, którą się cieszy. Skąd ich zdaniem biorą się swobody obywatelskie? Lubimy wieszać psy na Amerykanach, ale też nie gardzimy korzyściami, jakie przy okazji nam się dostają. Kto wynalazł napalm, jak nam się wydaje? Dzieci powojennego dobrobytu nie wyłoniły dotąd spośród siebie nawet jednego prawdziwego przywódcy na miarę naszego Churchilla, Roosevelta czy choćby Mackenzie Kinga. Jack cieszy się, gdy jego córka się z nim droczy: „Czyżby? A może na miarę waszego Stalina, waszego Hitlera, waszego Mao?”. Ona wyróżnia się na tle tego niewydarzonego pokolenia - palaczy kart powołania i skrętów z marihuaną. *Następna strona.*

Taki płytki antyamerykanizm w najlepszym razie świadczy o naiwności - cierpi na nią również wielu Amerykanów, wciąż na nowo przeżywających wstrząs wskutek „utraconej niewinności”. Prawdę mówiąc, nigdy jej nie mieli. Wszystko, co mają, to piaskownice i długie strusie szyje. To dlatego nie widzą, co wyprawiają na całym świecie ich agencje bezpieczeństwa narodowego, szastając bronią na lewo i prawo jak słodyczami w Halloween, obalając wybrane przez swoje narody rządy, szkoląc fanatyków religijnych, szwadrony śmierci i handlarzy narkotyków. *Contras* - akurat! Jedzie mi tu czołg? Czy taki nieszczęsny drań zatrudniony przy kurczącej się linii produkcyjnej we Flint, w stanie Michigan, ma pojęcie, czego dopuszczają się w jego imieniu tajne amerykańskiego służby? Albo dlaczego przychodzi mu dla sprawy poświęcić syna albo dwóch? Związek Radziecki rozpada się od środka, powstaje polityczna próżnia; świat zalany jest bronią, w większości pochodzenia amerykańskiego; przepowiadana przez Eisenhowera potęga przemysłowo-wojskowego kompleksu staje się rzeczywistością; świat jest teraz bliżej samozagłady niż kiedykolwiek; tymczasem prezydent zasięga rady astrologów i śpiewa *When Irish Eyes Are Smiling* w duecie

z naszą żalną namiastką premiera. *Następna strona.*

Ważne jest jednak, żeby nie tracić z oczu tego, co istotne: wygląda na to, że Zachód wygrywa zimną wojnę i dlatego, albo pomimo tego, nadal jest wolny. Nadal jest demokratyczny. W mniejszym lub większym stopniu. Widocznie racja musi być gdzieś po naszej stronie.

Mimi włożyła jego stary granatowy mundur do pokrowca i powiesiła w szafie. Jack nie pamięta, jaki los spotkał zielone ohydztwo, ten szalony wymysł epoki późniejszej, kiedy to świat zwariował po tym, jak Kennedy padł w Dallas od kuli „samotnego zamachowca”. To dopiero była kula, w powietrzu zmieniła kierunek. Może zaprojektował ją sam Wernher von Braun.

Jack nie pozwolił sobie na więcej niż odnotowanie chwilowej ulgi, gdy w listopadzie 1963 roku wyczytał w gazecie, że Richardowi Froelichowi zamieniono karę śmierci na dożywocie. Ulga to luksus, na który nie było go stać. Zaliczał kolejne etapy: kolejne przeprowadzki, kolejne szkoły dla dzieci, opuszczane automatycznie szyby w samochodzie i kuchenki mikrofalowe, telewizory, najpierw czarno-białe, potem kolorowe, domostwa - od dwupoziomowego mieszkania do willi w stylu epoki Tudorów; obrazy ze ścian, do pudeł, i znów na ściany, „trochę w lewo, tak jest dobrze”. Ta sama ściana, tylko inna, wszystko to samo, tylko inne, następne biurko, a po nim następne, basen za domem, puste gniazdo, i wreszcie własnościowy apartament praktycznie bez schodów. Jack i Mimi.

Jak ogół mężczyzn swego pokolenia, Jack tak naprawdę nie ma przyjaciół. Stroną towarzyską jego życia zajmuje się jego żona. Ale byłoby miło w letni wieczór sięść sobie z cygarem, wdychać zapach trawy, patrzeć, jak zachodzi słońce, i porozmawiać o tym zwariowanym świecie. O tym, że pewnego dnia może uda nam się odkryć inny świat. Rozwiązywać dręczące świat problemy nad kuflem dobrego niemieckiego piwa. Lecz kiedy od święta Jack puszcza wodze fantazji, ukazują mu się tylko dwaj mężczyźni, którzy dołączają do niego na trawniku pod wciąż gorącym błękitem nieba, i obaj są od niego znacznie młodsi. Przechowywani w pamięci jak w hermetycznym zamknięciu, zabezpieczeni przed niszczącym wpływem tlenu. Wiecznie młodzi. Simon i Henry. *Moi przyjaciele. Straciłem ich na wojnie.* Sięga po filiżankę z herbatą.

Przenumeruje „The Globe and Mail” i „Ottawa Citizen”, londyńskiego „Times'a”, „The Washington Post” i niedzielne wydanie „The New York Times”.

W maju 1966 przeczytał, że Ricky Froelich został przeniesiony do więzienia o umiarkowanym rygorze w Kingston i przydzielony do pracy na farmie naprzeciwko ich dzielnicy, po drugiej stronie autostrady. Zwolniła się posada w Ottawie i Jack skwapliwie

skorzystał z okazji. Wiedział, że żonie nie uśmiecha się perspektywa natknięcia się na Karen w pobliskim supermarkecie.

Popija łyk herbaty i parzy sobie język. - Mimi!

Kiedyś policja aresztowała jego syna za posiadanie marihuany, ale otrzymał za to wyrok w zawieszeniu, a później wymazano ten fakt z jego kartoteki policyjnej. Próbował też LSD, wstąpił do szkoły lotniczej, zrezygnował, został wydalony z liceum. Rzucił hokej i zajął się futbolem. Przerklamowany sport. Amerykański.

W lipcu 1966 roku Jack przeczytał w „The Washington Post”, że aresztowano wysokiej rangi oficera amerykańskiego, który sprzedawał Rosjanom tajemnice wojskowe dotyczące broni atomowej, rakiet i bombowców. Człowiek ten - podpułkownik Whalen - był zastępcą dyrektora Agencji Połączonych Celów Wywiadowczych, APCW Simon wspominał o niej tylko raz, lecz Jack, jak na wojskowego przystało, miał głowę do skrótów, i natychmiast przypomniał sobie, że APCW kierowała Operacją Spinacz. Podpułkownik Whalen osobiście wybierał zagranicznych naukowców, których później werbował rząd USA. Bóg raczy wiedzieć, ilu szpiegów podających się za uciekinierów ze Wschodu Whalen świadomie wprowadził do amerykańskich laboratoriów wojskowych. Zamieszczono też zdjęcie Whalena wychodzącego ze swego gabinetu w Pentagonie: zalęknione spojrzenie, duża głowa, chude ręce i miękki brzuch karierowicza. Najwyżej postawiony oficer amerykański skazany za szpiegostwo. Szef Simona. *Następna strona.*

Uwagę Jacka pochłania artykuł na następnej stronie, o gigantycznych zbiornikowcach, istnym cudzie techniki. Czyta o nowym wynalazku, sztucznym sercu. Pomyśleć tylko, bliski jest dzień, kiedy będziemy mogli leczyć choroby, jeszcze zanim się rozwiną, pstryknięciem genetycznego przełącznika. Tak tworzy się historia.

Jack nie powiedział żonie, jaką rolę odegrał w wydarzeniach w Centralii. Ona wciąż myśli, że jego dziwne zachowanie miało związek z Karen Froelich. Co by pomyślała, gdyby teraz wyznał jej prawdę? Z upływem lat ubywało powodów do utrzymywania tego przed nią w tajemnicy. Ale Jack tak przyzwyczył się do skrytości, że obawia się teraz wyjawienia sekretu. To tak jak ze starym odłamkiem szrapnela, który obrósł tkankami i naczyniami - usunięcie go mogłoby wywołać większą szkodę niż pozostawienie tam, gdzie jest, żeby rdzewiał i z wolna się przesączał.

Rzeczy wystawione na działanie powietrza zmieniają się - gniją.

Jeden skrytobójczy zamach za drugim, demonstracje, a po nich zamieszki, władza czarnych, władza kwiatów, władza w ręce ludu. Studenci ginący w kampusach, synowie i córki leżący z twarzami wciśniętymi w trawę. W sześćdziesiątym dziewiątym wylądowaliśmy

na Księżycu. Pokonaliśmy ich. *Następna strona.*

Pod koniec 1970 roku państwo McCarthy otrzymali wiadomość, iż ich syn Michael zaginął podczas akcji. W tym samym roku terroryści z Frontu Wyzwolenia Quebecu próbowali przez zamachy bombowe, porwania i zabójstwa wywołać wojnę domową w Quebecu, a potem zbiegli na Kubę. Premier Trudeau wprowadził stan wojenny, zawieszając kanadyjskie swobody obywatelskie. Pani Trudeau zaśpiewała Fidelowi Castro wymyśloną przez siebie piosenkę i zaczęła widywać się z Mickiem Jaggerem.

W 1973 roku przeczytał w „The Globe”, że Ricky Froelich „bez rozgłosu i pod przybranym nazwiskiem został warunkowo zwolniony z więzienia”. Skończyło się.

Tego dnia Jack wrócił myślami do roku 1963; do tego, jak wtedy postąpił. Dawne wydarzenia znów odżyły w jego pamięci, odrębne, namacalne, jak żuźlowe pustaki. Fakty. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak się przesuwają, szukają się nawzajem, jak elementy łągi ułki układają się we wzorzec, który teraz mógłby przedstawić w postaci sieci działań prowadzących do przewidywalnego wyniku. Nazywał to wzięciem na siebie odpowiedzialności. Towarzyszyła temu analiza opłacalności całego przedsięwzięcia, tak że po dwudziestu trzech latach, gdyby Jack miał opowiedzieć o tym, co wydarzyło się wiosną 1963, przedstawiłby to jako proces podejmowania decyzji. Nie wrywałby się z niepoważną opowieścią o tym, jak dopuścił do tego, że decyzja mu się przydarzyła. Jak rozpaczliwie gnał, żeby nadażyć za decyzją, a potem próbował ją wyprzedzić. Jak bał się, że sprzeniewierzył się obowiązkowi kanadyjskiego oficera. Jak obawiał się o własne życie. Jak zniszczona została rodzina. On ratował, co mógł, i starał się ze wszystkich sił wierzyć w to wyjaśnienie: nie ujawniłem się, gdyż wiedziałem, że od życia jednego chłopca ważniejsza jest sprawa wolności, mimo że nie potrafiłem dostrzec, z mojego ograniczonego punktu widzenia, w jaki sposób może to się przysłużyć tej sprawie. Albo czy w ogóle się przysłuży. Zrobiłem, co do mnie należało.

- Jack?

Następna strona.

Życie z dnia na dzień jest trudne. Może nawet wydawać się rzeczą najtrudniejszą. Ale ma jedną zaletę: można oszczędzić sobie rozpamiętywania, co dźwiga się na własnych barkach.

Drugi atak serca dopadł go, gdy się odwracał, żeby sprawdzić, czy zamknął samochód. Trzeci atak Jack miał w szpitalu, kiedy czekał na operację wszczepienia bypassów.

W listopadzie 1963 Richardowi Froelichowi zmieniono karę śmierci na dożywocie. On sam dowiedział się o tym z gazet.

Przeniesiono go z celi śmierci do szkoły zawodowej w Guelph. Tam przebywał ze swoimi rówieśnikami i uprawiał sport. Dwa i pół roku później, kiedy ukończył osiemnaście lat, trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze w Kingston. Tam został zgwałcony. Przeniesiono go potem do więzienia o umiarkowanym rygorze, o nazwie Zakład Karny Collins Bay. Był to ogromny wiktoriański przybytek zbudowany w neogotyckim stylu, położony na peryferiach miasta pośród rozległych uprawnych pól.

Do Zakładu Karnego Collins Bay przynależy farma, jednostka o złagodzonego rygorze, gdzie więźniowie pracują w polu i zajmują się zwierzętami. Łatwo stamtąd uciec, ale rzadko kto się na to decyduje. Przydzielenie na farmę oznacza szansę na zwolnienie warunkowe. Po pewnym czasie trafił tam również Rick. Jego zwolnienie warunkowe było jednak dla władz więzienia kwestią wysoce drażliwą, ponieważ uparcie odmawiał przyznania się do winy. Jego resocjalizacja stała więc pod znakiem zapytania.

Rick hodował króliki i pracował w polu. Jego ojciec zginął, ale pozostali członkowie rodziny odwiedzali go najczęściej, jak mogli, choć nie wolno im było przyprowadzać psa. Rick nie szukał przyjaźni z innymi więźniami, gdyż prędzej czy później wychodzili na wolność. Strażnicy, dozorczy, kucharze, pracownicy społeczni i psychiatrzy traktowali go dobrze. Podczas pobytu w Collins Bay nie został zgwałcony.

Zajmowali się nim różni psychiatrzy. W tamtych czasach pojęcie niesłusznego wyroku nie weszło jeszcze do obiegu. Stosowano za to psychologię. A także farmakologię. Niektórzy psychiatrzy leczący Ricka przyznawali wprost, że nie potrafią stwierdzić, czy jest winny. Jego główny psychoterapeuta nawet go polubił i doszedł do wniosku, że Rick wyparł z pamięci wspomnienie swego zbrodniczego czynu - gwałtu i morderstwa na osobie małej dziewczynki. Jak jego koledzy po fachu, wskazywał na ponure dzieciństwo Ricka - bezbronne dziecko mieszanej krwi, osierocone przez rodziców, wychowywane przez państwowe placówki do dwunastego roku życia, gdzie mógł być wykorzystywany seksualnie przez opiekunów, wreszcie zaadoptowany przez parę o niekonwencjonalnym stylu życia i radykalnych

poglądach. Nic dziwnego, że jako nastolatek Richard Froelich mógł doświadczyć przejściowej utraty poczucia odpowiedzialności i w tym stanie zaatakować i zabić małą dziewczynkę. Lekarze byli zgodni co do tego, że dla dobra tego młodego człowieka powinni pomóc mu przypomnieć sobie swą zbrodnię. I pogodzić się z nią.

Podawano mu serum prawdy - MDA, aplikowane dożylnie - i dietyloamid kwasu lizergowego, LSD, aplikowane doustnie. LSD było wynikiem nielegalnych eksperymentów prowadzonych przez CIA z pomocą naukowców niemieckich, ściągniętych do USA w okresie powojennym. Fakt, że jeszcze nie zakończono doświadczeń nad tymi środkami, nie stanowił przeszkody dla władz więziennych w Kanadzie, które mogły być albo nie być świadome tego, że prace badawcze finansował wywiad obcego państwa. Ta nowoczesna terapia farmakologiczna miała na celu pomóc Richardowi Froelichowi odzyskać pamięć, aby mógł na nowo przystosować się do norm społecznych i zostać bezpiecznie przywrócony na łono społeczeństwa.

Skończyło się jednak tym, że Rick z trudem przypominał sobie szczegóły dni poprzedzających tę terapię i tych, które nastąpiły po niej. Ponadto, wskutek tego, że będąc pod wpływem środków odurzających, po wielokroć relacjonował przebieg tamtego pamiętnego dnia, 10 kwietnia 1963, wydarzenia, które zawsze mocno tkwiły mu w pamięci, zaczęły się przemieszczać i miejscami zanikać, jakby nadzarte przez mole, i odtąd nie był pewny, jak dopasować do siebie te strzępy, które się uchowały.

Zespół psychiatrów zdiagnozował go jako osobnika egocentrycznego, wyniosłego, przyjmującego postawę obronną wobec świata, niezdolnego do związków osobowych, narcystycznego, schizoidalnego i charakterologicznie psychopatologicznego.

Po kilku latach odsiadki sąd ponownie rozpatrzył jego sprawę. Królowa Elżbieta II wezwała Richarda Plymoutha Froelicha, aby przedstawił Sądowi Najwyższemu argumenty, które pomogłyby sądowi zdecydować, czy istnieją przesłanki prawne do wznowienia procesu.

Tym razem Ricky sam zeznawał we własnym imieniu, nie okazując żadnych emocji. Na niektórych słuchaczach zrobił wrażenie aroganckiego i nadmiernie opanowanego. Odnotowano „zatrważający brak uczuć”. Zespół sędziowski nie odniósł się przychylnie do jego twierdzenia, że niewiele pamięta z tego, co wydarzyło się 10 kwietnia 1963 po tym, jak opuścił teren SKR-ów w bazie RCAF w Centralii w towarzystwie dziewięcioletniej ofiary.

Utrzymano w mocy pierwotne zeznania małoletnich świadków. Nie przedstawiono żadnych nowych dowodów.

W okręgu Huron nigdy potem nie doszło do podobnej zbrodni. Sąd uznał, że nie ma dostatecznych podstaw do wznowienia procesu.

TELEWIZJA PO LEKCJACH

Nawet żart powinien mieć jakieś znaczenie - a dziecko, mam nadzieję, ważniejsze jest od żartu.

Lewis Carroll, *Przygody Alicji po drugiej stronie lustra*

Madeleine ściąga z głowy czepki kąpielowy koloru ludzkiej skóry - z wierzchu przyklejona jest do niego szara treska, na stałe obsypana łupieżem - i zakłada go na głowę styropianowego popiersia, które stoi, niewzruszone i nieruchome, na toalecie w jej garderobie. Zdejmuje męskie okulary w grubych oprawkach, których soczewki przydymione są sztuczną mgiełką w aerozolu, i wiesza je na pustej twarzy manekina. Poluzowuje i ściąga wąski czarny krawat z zagadkową smugą - żółtko jajka? - potem zrzuca z siebie obszerną szarą marynarkę, którą wypatrzyła w sklepie dla puszystych panów. Jednym ruchem zsuwa z ramion koszulę i szelki, opadają na podłogę spodnie, sto pięćdziesiąt centymetrów w pasie. Uwalnia stopy z męskich ciężkich półbutów, rozmiar 46 - brązowych, wiecznie zakurzonych - potem sięga ręką za siebie, żeby rozpiąć swój sztuczny tors. Przeciwiństwo gorsetu, opatula ją warstwą syntetycznego tłuszczu. Wykonany z nieprzepuszczalnego tworzywa, sprawia, że człowiekowi robi się w nim gorąco, zwłaszcza w świetle telewizyjnych kamer. Dobranoc, Maurice. Wchodzi pod prysznic.

Madeleine wkracza w okres swej świetności - przypominający tę chwilę, którą filmowcy nazywają czarodziejską godziną, kiedy to jeszcze nic nie zapowiada zmierzchu, chociaż słońce zaczyna już powoli zachodzić. Jeszcze nikt ze znajomych nie umarł na raka. Nikt nie dał za wygraną. Młodzieńcze smutki wydają się zamierzchłą przeszłością, a z bieżącymi kryzysami można sobie poradzić. Ojciec Madeleine choruje na serce, ale sytuacja jest pod kontrolą - okazuje się, że nawet bypassy nie są konieczne. Wprawdzie grasuje AIDS, ale to po prostu straszliwe odstępstwo od normy, i dotyka przeważnie młodych. Większość osób będących w heteroseksualnych związkach czuje się bezpiecznie, a lesbijki czują się najbezpieczniej.

Madeleine stoi pod prysznicem, jej krótkie włosy chłoną wodę, ramiona wreszcie swobodnie opadają. Zaczyna sobie podśpiewywać. Z pomocą wody bulgoczącej jej w ustach naśladuje Louisa Armstronga: *What a wonderful world...*

Między jedenastym a siedemnastym rokiem życia grała role tragiczne. Stało się tak za

sprawą nawiedzanej nauczycielki o imieniu Aida, która prowadziła kółko teatralne w Grand Theatre w Kingston. Aida pochodziła z północnej Anglii, miała duże oczy, cienkie usta, chropawy głos, znękaną minę i farbowane na rudo włosy. Ukończyła Królewską Akademię Sztuki Dramatycznej. Była następną po pani Lang kobietą, którą Madeleine uwielbiała. Aida nie pociągała jej w sensie erotycznym, była to namiętność czysto duchowa. Na zajęciach Aidy Madeleine wcielała się w więźniarkę, która przeżyła Oświęcim, za jedyne towarzystwo mając but; opierała się kanibalistycznym popędom w windzie, która utkwiała między piętrami; była panią życia i śmierci małej załogi rozbitków na łodzi, dryfującej po morzach południowych - „dookoła woda, woda, ale do picia ani kropli”. Aida nie zżymała się na nią za jej parodystyczne zapędy.

Madeleine podstawia twarz pod strumień wody. Jak zawsze po występie, nieważne, czy na żywo, czy nagrywanym w studiu, wszystkie czynności wykonuje jakby w zwolnionym tempie. Z wyjątkiem tych krótkich chwil działa zwykle bardzo szybko. Nie można chodzić po wodzie, ale biec można. Tak jak można tańczyć w powietrzu. Gadaj jak nakręcona i nie patrz w dół. Poruszaj się z prędkością myśli, nieuchwytna jak ten *okłopny kłólik*, szybciej niż Struś Pędziwiatr. Stoi nieruchomo, z zamkniętymi oczami, rozchylonymi ustami, woda pieści jej ciało.

Tuż przed jej wyjazdem z Kingston, kiedy Madeleine przenosiła się z rodziną do Ottawy, Aida wzięła ją na stronę, zapaliła następnego gitane'a, zaciągnęła się i wychrypiała: - Madeleine, masz wielki talent, skarbie. Ale jesteś zabawna. Mówiąc słowami nieśmiertelnej Dietrich, „nic nie możesz na to poradzić”. Nie pozwól, żeby ktokolwiek ci to wytykał. Śmiech wzbiera ze studni pełnej łez, mój aniele, a na dnie twojej studni jest krew.

Aida była drugą osobą, która w obecności Madeleine wspomniała o gustującej w wysokich męskich kapeluszach niemieckiej diwie. Oczy wyobraźni

Madeleine, przejętej nabożną czcią w obliczu tej wyroczni, zrobiły się okrągłe jak spodki. Lecz niebawem dała o sobie znać ironia, przypadłość wieku nastoletniego, ta rozbrykana bestia, która lekce sobie waży zdanie Aid tego świata. Kiedy jednak zamroczenie okresu pokwitania ustąpiło, Madeleine odzyskała pamięć i choć nie pojmowała w pełni proroctwa Aidy, przypominała sobie, kim zawsze chciała zostać, gdy dorośnie, i już jako dwudziestokilkuletnia kobieta pilnie się temu oddawała. Zabawna. Do tego potrzebna jest surowa dieta i mocny żołądek. Popeye wcina szpinak, żeby być silnym. Komik posila się śmiechem na widowni.

- Idziesz z nami na drinka, mała?

W progu staje Shelly. Emanuje spokojem czterdziestolatki. Madeleine wystawia głowę

za zasłonę prysznicową. - Myślałam, że jeszcze dziś przejrzymy notatki.

- Możemy to zrobić w knajpie.

Shelly kieruje ich zespołem. Nie popuszcza cugli, dopóki czegoś nie napiszą i scenariusz nie trafi na plan. Jak wielu producentów, sprawia wrażenie osoby pozbawionej cierpliwości, ale potrafiłaby nauczyć pekińczyka jeździć w duecie z kotem na rowerku. Usilnie próbuje namówić Madeleine, żeby wymyśliła komediowy show z jednoosobową żeńską obsadą.

- Pospiesz się, McCarthy.

- Zamów dla mnie te smażone... te smażone... no wiesz co. Dobrze?

Jest piątek. Próba generalna, potem nagrywanie występu przed publicznością w studiu, potem spotkanie przy drinku, odprawa i dzielenie się kielkującymi pomysłami do następnego programu. Piątek to przyjemny dzień, punkt kulminacyjny całego tygodnia. Poprzedza go wyczerpujący czwartkowy maraton: zmiany w scenariuszu, próba, znowu od początku, wykonawcy zazdroszczą scenografom i charakteryzatorom udręki i przerażenia, a scenografowie i charakteryzatorzy zazdroszczą wykonawcom tego samego; na koniec dnia człowiek jest wdzięczny losowi za oddzielną garderobę z własną łazienką. Poniedziałek to dzień wypełniony śmiechem, jaki wywołują nowe pomysły na skecze, we wtorek sprawdza się nowe pomysły w praktyce i już nikt się z nich nie śmieje, a w środę tylko Shelly potrafi stwierdzić, czy coś nadal jest zabawne. Sobota i niedziela to dni wolne od pracy i od zaburzeń przewodu pokarmowego. Madeleine podziela mieszane uczucia reszty zespołu wobec całego przedsięwzięcia: uwielbia to.

Shelly wychodzi, Madeleine wkłada długą opalizującą niebieską koszulę z poliestru z wyszytym na kieszeni imieniem „Ted”, opadające nisko prążkowane spodnie, parę podniszczonych korekcyjnych półbutów, tak topornych, że aż szykownych, i indyjską kurtkę z drogiej skóry, której rozmyślnie nadano wygląd mocno wysłużonej - Madeleine wyobraza sobie modelkę odzianą tylko w tę kurtkę, wleczoną za harleyem po żwirze, żeby osiągnąć ten modny efekt znoszenia. Jak często po występie, towarzyszy jej uczucie, że zdjęła jedno przebranie, żeby przywdziać drugie. Stawia sobie włosy, przygląda je, potem przestaje się przejmować fryzurą. Wyłącza oświetlenie przy lustrze i wentylator, zamyka drzwi. Zamek zaskakuje samoczynnie.

Elementy składające się na Maurice'a zostają w garderobie, czekając w pogotowiu na chwilę, kiedy złożone w jedną całość znów ożyją. Lecz czepek kąpielowy koloru ludzkiej skóry z przyklejonymi szarymi włosami - jej własnoręczne dzieło, wykonane bez wielkiego polotu, ale z zapamię; sztucznie zaparowane okulary w czarnych oprawkach, spoczywające

teraz na szczątkowym nosie styropianowej, bezokiej głowy; luźny szary garnitur zwisający bezwładnie z wieszaka obok piankowego pancerza imitującego fałdy tłuszczu; i ciężkie buciory, których ziejące otwory zdają się idealnym miejscem do ukrycia czekoladowych jajek na Wielkanoc; te elementy Maurice'a nigdy nie wydają się całkowite wyzbyte życia, bez względu na to, jak daleko od siebie są przechowywane.

Zdarza się, że wychodząc z garderoby, Madeleine odprawia drobny rytuał, z którego nigdy nie próbowała się tłumaczyć ani sobie, ani nikomu innemu, ponieważ w sumie jest to rzecz tak błaha: uważa, żeby nie odwracać się plecami do pokoju, dopóki nie zamknie drzwi. Omiata wzrokiem workowaty garnitur i styropianowe popiersie, wydychając przy tym powietrze nosem, to bardzo ważne, a kiedy przyciąga do siebie drzwi, nie wolno jej mrugnąć. Potem trzy razy sprawdza, czy zamek w drzwiach zaskoczył, *klik, klik, klik*, odwraca się, bierze głęboki wdech i odchodzi. Nieszkodliwy tik.

Podobnych obrządków dopełnia, kiedy wychodzi z domu: trzy razy dotyka gałki w drzwiach wejściowych, dzięki temu ma pewność, że wyłączyła kuchenkę - to konieczny zabieg przed każdą podróżą, w przeciwnym bowiem razie, w połowie drogi do Buffalo następuje „w tył zwrot” do Toronto, żeby przekonać się: „Oczywiście, że ją wyłączyłam”. Idąc po chodniku, stawia kroki według niesłychanie zawilej formuły, żeby tylko nie nadepnąć na szparę między płytami, a pijąc ze szklanki, pilnuje, żeby nie wydychać do niej powietrza, przez to często musi wstrzymywać oddech. Wypowiedziane na głos, zasady te zakrawałyby na szaleństwo.

Madeleine bardziej wygląda na zmęczoną dwudziestolatkę niż na trzydziestodwuletnią kobietę, co świadczy o tym, że łagodna nerwica natręctw myślowych i czynności przymusowych dobrze wpływa na cerę.

Studio telewizyjne położone jest na przedmieściach Toronto. Madeleine, jak zwykle, wychodzi ostatnia. Zegna się ze strażnikiem. Na dworze wita ją ostry blask rozświetlonej ulicznymi latarniami kwietniowej nocy, twardy połysk wypielęgnowanych trawników, pokrytych świeżą zielenią. Nie zważając na czerwone światło, Madeleine kieruje się do wysepki dla pieszych po środku sześciopasmowej „ulicy”, przechodzi na drugą stronę i rusza przez parking w kierunku ogromnego centrum handlowego, które niczym góra wydaje się wcale nie przybliżać. Madeleine ma wrażenie, jakby dreptała w miejscu, aż wreszcie gmaszysko wyrasta przytłaczające tuż przed jej nosem, a Madeleine nigdzie nie widzi wejścia. Patrzy w lewo i w prawo, ogromna fasada stanowi jedną pozbawioną cech rozpoznawczych bryłę, oświetlającą ją mrowie neonów razi jak optyczna kakofonia. Łuna bije wysoko w czarne niebo, Madeleine przymyka oczy, pod jej powiekami zarysowuje się żółta

kula przypominająca cytrynę. Gdy otwiera oczy, widzi, że to gigantyczny ogórek.

Jej przygoda z estradą zaczęła się, kiedy Madeleine miała dwanaście lat. Jack namówił ją, żeby wzięła udział w konkursie krasomówczym. Pomógł jej przygotować mowę na temat: „Dzieje humoru i jego pożyteczność”. W czasie eliminacji na szczeblu szkolnym w połowie wystąpienia Madeleine zapomniała tekstu i musiała naprędce coś wymyślić. „Warto to powtórzyć”, doradził jej ojciec.

Gdy pokonywała kolejne etapy dzielące ją od finału, ojciec zaznaczał na chybił trafił jakiś punkt w jej przemowie, i w zależności od tego, co znalazło się w serwisie wiadomości w danym dniu albo co zaobserwowali przez okna samochodu po drodze, Madeleine nawiązywała do tego tematu i wypuszczała się na dalekie słowne wycieczki przed podjęciem na nowo głównego wątku swej przemowy. „Po prostu wyjdź na scenę i zrób to po swojemu, skarbie”, mówił ojciec. W końcu została zdyskwalifikowana za „improvizowanie”, ale potem wybrali się na lody, a ojciec na serwetce sporządził analizę opłacalności jej kariery krasomówcy. Wyszła na plus, ponieważ doświadczenie jest na wagę złota. „Jeśli chcesz zostać komikiem estradowym, nie wolno ci przepuszczać żadnej okazji do szlifowania swojej sztuki”.

Madeleine studiowała literaturę starożytną na Uniwersytecie McGill w Montrealu i udzielała się w trupie teatralnej związanej z ruchem separatystów quebeckich. Polegało to na nękanii, z pozycji lewicowych, praworządnych obywateli w miejscach publicznych oraz na „odkrywaniu seksualności” z mandolinistką imieniem Lise, która parała się też irydologią. Poprawiła się jej francuszczyzna i wzrosła tolerancja jej organizmu na tanie wińsko, ale mimo że mieszkańcy Quebecu przyjęli ją z otwartymi ramionami jako dziarską, hożą Akadyjkę, Madeleine czuła się wśród nich jak oszustka podszywająca się pod inną osobę. W końcu nie wytrzymała i przeniosła się do Toronto, gdzie z ulgą wróciła do swego poprzedniego przebrania Anglosasa. Rzuciła studia z ojcowskim błogosławieństwem.

- Każdy, kto ma trochę oleju w głowie i potrafi wziąć się w garść, może zarabiać na życie jako lekarz, prawnik czy chwalebny księgowy jak ja - powiedział. - Do tego, żeby rozśmieszać ludzi, trzeba daru.

Komik estradowy. „Chirurg mózgu” wśród współczesnych wykonawców.

Wyszli, tylko we dwójkę, na kolację do restauracji Swiss Chalet. Rozłożył na stole papierową serwetkę.

- W jakiej pracujesz branży?

- Komediowej.

- Co sprzedajesz?

- Śmiech.

- Nie. Ty sprzedajesz historie. Każdy dowcip opowiada jakąś historię. Każdy wybuch śmiechu to wynik połączenia zaskakujących i znajomych elementów.

Napisał na serwetce oba te słowa i otoczył ramką, każde opatrzył strzałką wskazującą puste pole na środku serwetki.

- Nieoczekiwane i nieuchronne - następne dwa prostokąty - z tego właśnie składają się opowieści, smutne czy wesołe, to nie ma znaczenia.

Dwie okrągłe buźki, jedna uśmiechnięta, druga skrzywiona, oddzielone ukośnikiem, połączone falistą linią z pustym polem pośrodku.

- Nie wystarczy po prostu wyśmiewać, chociaż ważny jest zmysł naśladowczy i dowcip - rysuje następne dwa okręgi - trzeba mieć punkt widzenia - dodaje nagłówek rozpościerający się nad całością - a ty go masz.

Rzucił długopis na stół.

- Patrzysz na świat trochę inaczej niż reszta. I potrafisz sprawić, żeby inni też tak na niego spojrzeli. Bierzesz to, co swojskie, znajome, i naginasz to. Umiejętność postrzegania rzeczy z wielu różnych punktów widzenia naraz to oznaka geniuszu.

Środek serwetki pozostał pusty, więc Madeleine uzupełniła go, wpisując słowo OPOWIEŚĆ i otaczając je obwódką.

Ojciec uśmiechnął się szeroko. - Otóż to. Koło się zamyka.

Spojrzała na ten miniaturowy układ słoneczny. - To konsolidacja.

Ojciec kiwnął głową. Oboje słyszeli, że powiedziała „konstelacja”.

W tamtych czasach Toronto było jeszcze mocno zacofane; pomimo najszczerzych wysiłków Yorkville, z jej kawiarniami, pieśniarzami i radykałami, nadal pozostawało starym pocziwym Toronto, bastionem białych anglosaskich protestantów. Jeszcze nie zawojowała go tajska kuchnia i samochody bmw, jeszcze nie podawano białego wina z wodą gazowaną, „pasta” jeszcze nazywała się spaghetti, a kobiety robiące karierę zawodową nosiły szyfonowe chusty do kostiumów. Madeleine wynajęła mieszkanie na Queen West, nad sklepem z tekstyliami, którego właściciele, węgierskie małżeństwo, nigdy się nie uśmiechali. Tam odkryła tętniącą bujnym życiem kontrkulturę. Bar o nazwie Cameron był przybytkiem sztuki, muzyki, teatru i malarstwa, multimedialną mekką, gdzie hipisi różnych narodowości upijali się razem z rodzimymi niebieskimi ptakami. Madeleine wdała się w krótki, lecz burzliwy romans z ostro pociągającą z butelki feministką, wydawczynią podziemnego pisemka o marksistowsko-leninowskiej orientacji, której telefon był na podsłuchu - przyniosłoby to jej

ujmę, gdyby Kanadyjska Konna nie założyła jej podsłuchu.

Madeleine występowała, gdzie się dało, wypracowując sobie maskę sceniczną, tak przydatną komikowi estradowemu, a dla kobiety, która jest na tyle szalona, żeby wychodzić na scenę i rozśmieszać ludzi, wręcz niezbędną. Phyllis Diller dotarła do skraju znanego świata; dalej rozciągała się kraina morskich potworów. Następne pokolenie zabawnych kobiet pracowało głównie w zespołach albo w jednoosobowych programach opartych na scenariuszu. Gilda Radner, Lily Tomlin, Andrea Martin, Jane Curtis... Im więcej, tym bezpieczniej, podczas gdy samotny występ na scenie to pojedynek na śmierć lub życie: zabijasz lub giniesz.

Jak ci dzisiaj poszło?

Zabiłam/Zginęłam.

W klubach komici traktowani byli jak służący, którzy zaprzędali się panu ciałem za udzieloną pożyczkę. Walczyli zębami i pazurami o możliwość występu, w zamian za nerkę, za pierwotne dziecko, lewe jądro, natomiast żeńscy komici - zaraz, chwileczkę, *żeńscy* komici? W klubie Yuk Yuk naprawdę igrało się z ogniem. Najbezpieczniej było opowiadać spróśne męskie dowcipy, ale jej nie wyszłoby to nawet, gdyby spróbowała.

W jakiej pracujesz branży? Komediowej. Co sprzedajesz? Historie.

W Yuk Yuk zginęła, potem zgłosiła się na przesłuchanie w Starej Remizie, zorganizowane przez trupę objazdową Second City. Madeleine ruszyła w drogę, nie stroniąc też od sceny w Starej Remizie, gdy trupa robiła sobie wolne. Przejście od sypania dowcipami „na stojaka” do improwizowanych skeczy należało do rzadkości, podobnie jak kobieta, której powiodło się w tej profesji. Ale Madeleine kochała pracę w zespole, uwielbiała improwizowanie na wysokich obrotach, robiła skecze, które coś przekazywały - o polityce, kulturze masowej czy opryskliwym sklepikarzu; przetwarzała wszystko, co jej się w danym dniu przydarzyło, i dawała temu upust wieczorem na scenie. Pomiędzy skeczami, za kulisami, przetrząsała sterty zapchlonych kostiumów. Jakie uniesienie towarzyszyło budowaniu każdej nowej postaci, a to za sprawą czerwonej koszuli, kapelusza, czy kozaków, bez których już nie wyobrażała sobie ponownego jej zagrania - „gdzie, do jasnej cholery, jest ta czerwona koszula?”. Dziwaczne rytuały poprzedzające każdy wieczorny występ, krążące za kulisami dowcipy, tak słone, że trzeba by odparować ocean, żeby je przebić. Tony, ogromne chłopisko, paradujący za kulisami niczym tancerka z Las Vegas, niemal golusieńki, przechwytyjący w progu worek z odzieżą z pralni chemicznej, z rozmachem zarzucający sobie go na plecy, a potem wychodzący na scenę z rozbrajającym uśmiechem, gotowy zabawiać nawet rotarian. Wyjeżdżali na niekończące się tournée, *Witamy w Kingston, Gananoque, Chatham, Hamilton,*

Windsor, Sudbury, North Bay, Timmins. Występowali na lodowiskach, gdzie puenta docierała do tylnych rzędów dopiero po dziesięciu sekundach. Urządzali benefisy - raz na rzecz muzeum ofiar Holocaustu, w czasie którego konferansjer najpierw pokazał bucik z Oświęcimia, a potem ich zapowiedział: „A teraz zabawią państwa...”.

Kupiła sobie staroświeckiego volkswagena „garbusa” i sama jeszcze raz objechała tę samą trasę, występując w każdym mieście z wyższą uczelnią lub barem. „Sama, sama jedna na wielkim wód oceanie”. Grała też dla rodzin wielopokoleniowych. Z czasem przestała zatrzymywać się w obskurnych motelach, stać ją było na nocleg w hotelach Holiday Inn. Szlifowała swe umiejętności w salach do połowy wypełnionych przez samotnych facetów, którzy nie mogli się doczekać, aż na scenę wyjdzie striptizerka. Przeżyła męską imprezę, na której pijani inżynierowie podczas jej występu rzucali się nadmuchiwaną lalką. Występowała przed niedomytymi górnikami z kopalni niklu i ich panienkami, którzy zwabieni błędem na afiszu przybyli w przekonaniu, że będą śpiewać razem ze Stopin' Tomem Connorem. Pokochała publiczność tłumnie wypełniającą sale podczas jej powtórnych występów w zajazdach i cyrkowych namiotach w przygranicznych amerykańskich miejscowościach wypoczynkowych. Spraw, żeby kobiety się śmiały, a faceci rozluźnili, potem dawaj czadu. Na koniec wychodziła na „swojego chłopca” uwięzionego w ciele lesbijskiej mineciary. Pomagał jej wrodzony wdzięk.

Było to już po nalocie na bar homoseksualistów Stonewall, ale przed ogłoszeniem „gejowskiej dumy”. Nikt nie zaciukał jej na parkingu, nie złamała też niezliczonej ilości porąbanych serc o normalnej orientacji. Pomogło jej to, że na jej drodze stanęła Christine - absolwentka studiów feministycznych, której ojciec był gliniarzem w Timmins. Madeleine nie musiała jej tłumaczyć, co znaczy sprzeczność. Christine wkładała policyjne buty do sukienek z batiku, miała długie włosy i jeździła samochodem ze sportową skrzynią biegów. Regularnie przychodziła Madeleine na ratunek, zjawiając się z winem, turystyczną lodówką pełną żarcia, własną poduszką i chęcią uprawiania seksu, z którym nie wiązało się nic oprócz spania do rana w jednym łóżku.

Madeleine rozstała się z wędrowną trupą, nie czekając, aż ją awansują lub wyrzucą z zespołu. Skupiła się na występach w mieście. Christine podsuwała jej książki do czytania i Madeleine ostrzyła swój intelekt na nocnych biesiadach w knajpie o literackich aspiracjach nazwanej Rear Window. Zaczęła jako Zdumiewająca Kobieta z Gumy, potem została Zdumiewającą Kobieta z Gumy Przedstawiającą Klasyków Zachodniej Cywilizacji. Rozwijała się i rozwijała bez końca. Zyskała pewien rozgłos za sprawą swego giętkiego ciała i dziwacznych męskich postaci - w tym Anity Bryant - w które się wcielała. Raz był to

osobnik imieniem Lou, żigolak w błękitnym garniturze z poliestru, przygrywający sobie na akordeonie i śpiewający z okropnym francuskim akcentem. Innym razem był to niejaki Roger, piętnastoletni chłoptaś mający hopsa na punkcie magazynu „Soldier of Fortune”, płaczliwy i rozczulający się nad swoim złotwem. Na koniec każdego skeczu mierzył do widowni z AK-47 i wymieniał nazwiska wszystkich osób, które widział w celowniku, jak lalunia z czarodziejskim zwierciadłem w „Romper Room”. No i był Maurice.

Madeleine przekroczyła wysokie progi przybytków z klimatyzowanym wnętrzem, sal koncertowych całej Kanady, estrad w Chicago i Nowym Jorku, gdzie ludzie kupowali bilety wstępu, na których wydrukowane było jej nazwisko. Dostała się do telewizji, dostała się do filmu, przekraczała wszystkie granice. Łączyła feminizm z humorem, łączyła skromny sceniczny rodowód z obecnym statusem w głównym nurcie, chłonęła wszystko.

Pomagało jej to, że była przyzwyczajona do ciągłych przeprowadzek.

Jack i Mimi oglądali jej występy. Jack widział niemal wszystkie. Madeleine żałowała, że Mike nie może zobaczyć choć jednego.

Napędzało ją poczucie, że jest jak kuglarz, że wkracza w kontinuum czasoprzestrzenne, w którym myśli są widoczne, a ona może je łapać niczym Superman nadlatujące kule; objawienie, że wszystko jest ze sobą powiązane - wystartuj byle gdzie, pędź, pędź, pędź, a nieuchronnie wrócisz w to samo miejsce, ponieważ przestrzeń jest zakrzywiona, tak jak myśli, chmara bumerangów. Nie mogła skupić się na jednym, więc skupiała się na wszystkim.

Robiła to w jedynym bezpiecznym miejscu: na scenie, przed widownią złożoną z obcych ludzi, którzy zapłacili godziwe pieniądze i oczekiwali godziwej rozrywki. Prywatnie Madeleine jeszcze grubo po dwudziestce pozostawała osobą nieśmiałą.

Gdyby się zatrzymała, wszystko by się rozpadło. Atomy uległyby rozproszeniu. Spojrzałaby w dół, zobaczyła próżnię pod stopami, krawędź przepaści odrobinę dalej, niż sięga jej ręka; usłyszałaby blaszany łoskot, tło dźwiękowe dla sceny, w której jej stopy daremnie szukają oparcia w powietrzu - *Mamo!*- i ryms! Runęłaby w dół, uderzając w dno wąwozu przebiegłego Kojota z głuchym puk!

W końcu trafia do wejścia do rodzinnej restauracji o nazwie Beczka Ogórków, napiera na podwójne drzwi w stylu rustykalnym i wchodzi do środka. W progu uderza ją swojski zapach keczupu i smażonych potraw, i fala dźwiękowa - rozbrzmiewa właśnie *Crocodile Rock*; tu grają tylko stare przeboje, na okrągło. Przy wielkim okrągłym stole zastawionym piwem, *nachos*, hamburgerami i skrzydełkami dostrzega resztę zespołu. Oto członkowie

ekipy Telewizji po Lekcjach. Ona, jeszcze jedna babka i czterech facetów tworzą zgrany zespół już od siedmiu lat. Wywodzą się z Second City, absolwenci odszczepieńcy. Przy ich pierwszym wspólnym spotkaniu wyszło na jaw, że wszyscy, na pewnym etapie, byli w szkole „złymi” uczniami, którym kazano zostawać „po lekcjach”.

Siedzą przy stole razem z Shelly, jej dwoma stałymi reżyserami, którzy wyglądają, jakby od tygodnia nie zmrużyli oka, redaktorem odpowiedzialnym za końcową wersję scenariusza, o jeszcze bardziej wynędzniałym obliczu, oraz Ilsa, zabójczą pięknnością, Walkirią olśniewającą kunsztowną fryzurą i makijażem, która właśnie zerwała ze swoim chłopakiem i nie chce pić sama. Ich ręce przecinają się nad stołem, sięgając do wszystkich półmisek prócz tych, które są najbliżej. Z odległości jednego, dwóch stolików na oko niczym się w tej krainie zakupów nie wyróżniają. Nie sprawiają wrażenia bohemy, mimo że osobisty styl Madeleine skłania się ku modzie wielkowiejsko-lesbijsko-lumpenproletariackiej. W sumie przypominają miłych typowych przedstawicieli białej rasy; judeochrześcijański przekrój północnoamerykańskiego społeczeństwa, gdzieś pomiędzy studentami uniwersytetu a średnią kadrą kierowniczą.

Jednak gdyby im się przyjrzeć bliżej, można by dostrzec, że każde z nich ma to coś w oku. Skutek wypadku albo dar. Może Bóg spuścił każdego z nich na głowę przed narodzinami. Światło wydaje się odbijać od ich tęczy pod jakimś dziwnym kątem - być może dlatego, że informacja, załamując się po drodze do mózgu, opuszcza oko z podobnym odchyleniem. Mają za sobą jakieś kluczowe doświadczenie, klątwę albo łaskę. Każde żyje w błogiej trwodze, że zostanie zdemaskowane i napiętnowane jako oszust. Każde napędza wybuchowa mieszanka chojractwa i obrzydzenia do siebie, z domieszką cwaniactwa i łatwowierności. W liceum nie należeli do klasowej elity. Zawieszeni między przynależnością a nieprzynależnością, mieszkańcy szpar między płytami w chodnikach; bezpaństwowi obywatele świata; obcy pośród nas, znani wszystkim. Komicy. Towarzysze Madeleine.

Rusza w ich stronę. Nie tylko ona nosi w swoim wnętrzu rozlewisko idealnie czarnej wody, zastygłej jak onyks, której powierzchnia nie odbija żadnego światła, i jeśli komizm czerpie z niej niekiedy, jest albo histerycznie śmieszny, albo wyraźnie chory. Albo na granicy między jednym a drugim - jak Maurice.

Ron macha do niej, Linda przesuwając się, żeby zrobić jej miejsce, Tony pyta, czy znów się zgubiła; Madeleine gmera ręką przy kroczu i odpowiada, przedrzeźniając Tony'ego: „Musiałem odcedzić kartofle”. Wybuchają śmiechem. Spotykają się tu od ponad roku, a ona wciąż nie może trafić. Ktoś nalewa jej piwa.

Panujący na sali tego wytwornego wodopoju hałas pozwala im usłyszeć własne myśli.

Madeleine wciska się między sąsiadów, ugina się pod miażdżącym ścisnięciem Tony'ego, który w ten sposób wita ją przy stole; Tony waży tyle co dwie Madeleine razem wzięte. Śmiech to lekarstwo; jest lepszy niż całe godziny terapii. Tony mógłby zbić majątek. Jest tego bliski, kilku innych siedzących przy stole też - i Madeleine, która stoi na krawędzi.

- Nie ogryzłaś do końca skrzydełka, zjedz to do końca - mówi do niej Maury.

- Przecież zjadłam.

- Wcale nie, zobacz, ile zostawiłaś mięsa, daj mi to.

- Bierz.

- Pokażę ci, jak się ogryza skrzydełko, widać, że jesteś gojką, tylko goje tak jedzą skrzydełka.

Egzystencjalna chwila prawdy przychodząca po trzydziestce, kiedy po raz pierwszy zdajesz sobie sprawę, że ludzie, z którymi pracowałeś po dwudziestce, niekoniecznie byli geniuszami, że niektórzy są „szaleni”, a inni tylko naćpani, że pociągające osoby o smutnym, tajemniczym uroku po prostu cierpią na depresję, że depresja to stłumiony gniew, a mania to spotęgowany smutek. Pierwszy poważny rozrachunek. Rozdział ziarna od plew

Ron mówi do Lindy: - Ten kawałek z nawiedzonym domem był śmieszniejszy za pierwszym razem...

- Był gówniany.

- Nie, było zabawnie, kiedy ty przyszłaś, a ja...

- Twój numer z lampą rozwała mi cały...

- Nieprawda, na widowni był śmiech!

- Ale nie śmiali się ze mnie.

- Shelly, śmiali się z numeru Lindy, mam rację?

To ostatnie nieśmiertelne dni w wyścigu, którego metą jest Twoje Życie. Ostatnie dni podróżowania bez bagażu, zanim zwolnisz, odwrócisz się i zasłaniając ręką oczy przed słońcem, dostrzeżesz ciężarówkę firmy przewozowej, która ciężko wtacza się na scenę, załadowana całym twoim dobytkiem, zabranym w końcu z przechowalni. Zdążyłeś już zapomnieć, że te rzeczy do ciebie należą.

Jedzą, piją i gadają jedno przez drugie, mężczyźni najgłośniej, z racji mocniej rozwiniętej krtani i uprawnień sięgających wstecz całe tysiąclecia. Kobiety każą im się zamknąć, a oni milkną karnie niczym teriery, ale - podobnie jak teriery - tylko na krótko. Nikt nie ma za złe Tony'emu, że wodzi rej przy stole, ponieważ zachowuje się wielkodusznie nawet wtedy, kiedy ściąga na siebie całą uwagę. Wszyscy wiedzą, że Ron to geniusz, ale tylko Tony tak naprawdę w głębi serca potrafi go jeszcze znieść, natomiast wszyscy

uwielbiają Lindę. Jest obdarzona dziwną urodą i wybitnym talentem do objawiania uczuć, ale ktoś pokroju Rona łatwo może stłamsić prezentowany przez nią rodzaj komizmu. Maury to pewniak, szczególnie w swoim żeńskim scenicznym wcieleniu. Howard naśladuje Arta Carneya, a Madeleine stąpa po kruchym lodzie, lawirując między pisaniem dla zespołu i zawłaszczaniem miejsca dla swych cudacznym mętnych postaci, które mimo to zajmują dla siebie całą scenę. Cała szóstka kocha się, jest wobec siebie podejrzliwa, nie może się znieść - słowem, stanowi zespół. Wiedzą, na kogo spadnie następny cios, z czyjej ręki i jaki będzie mocny.

- Powinniśmy wykorzystać pomysł Lindy z nowożeńcami i...

- Powinniśmy napisać dalszy ciąg...

- Powinniśmy *najpierw* napisać dalszy ciąg...

W ten sposób powstają załączki nowego programu, które Shelly nanosi na arkusz liniowanego papieru w postaci zakreślasów i diagramów. Madeleine przypominają one ramki i strzałki jej ojca. W tym szaleństwie jest metoda. Mapa improwizowanych skeczy, prowadząca do scenariusza, który pozostanie płynny aż do ostatniego ujęcia. Pisanie to diabelska sprawa, najlepiej podkraść się do niego, grzmotnąć w łeb, obrabować i zostawić na pastwę losu, aż umrze. Dziś wieczorem właśnie ma miejsce pisanie, przy zagryzce, piwie i zgiełku.

- Ktoś powinien to wszystko zapisać - mówi Howard. Te słowa niezmiennie padają w którymś momencie.

- Madeleine, to mi cuchnie tobą - stwierdza Ron. To chytry sposób na obarczenie jej zadaniem spisywania pomysłów. Pisać. To znaczy rozpruć sobie żyły łyżką. Nikt się do tego nie pali...

- Racja, to nam zalatuje tobą - wtóruje mu Tony.

...trzeba przysiąc, zabrać się do tego w samotności, prawdziwe wyzwanie.

- Prędzej wylałabym sobie to tabasco na otwartą ranę - odpowiada Madeleine.

Shelly nanosi jej imię na swój wykres i dodaje „Serwis wiadomości”.

- Ciekawe, dlaczego kiedy trzeba coś zapisać - prychna Madeleine, sięgając po serwetkę - każdy nagle cierpi na dysleksję?

- U mnie to hemofilia - mówi Howard. - Jeśli się pomylę przy pisaniu, grozi mi śmierć.

Brzmi to jak przerzucanie się słówkami, ale w rzeczywistości to subtelne negocjacje: Madeleine bierze na siebie „brudną robotę”, a inni zaniżają wagę jej zadania, tłumiąc niechęć. Z kolei ona zaniża swoje umiejętności i uiszcza należność, robiąc coś na rzecz zespołu w rewanżu za popisy w pojedynkę, na jakie jej pozwala. Może to nie jest w porządku - Ron jest zwolniony z opłaty - ale prawda przedstawia się tak, że Madeleine potrafi pisać i jak każdy

pisarz, sięgnie po pióro dopiero wtedy, gdy ktoś przystawi jej pistolet do głowy, więc dlaczego nie... poza tym zyskuje możliwość występu solo, pozostając w łonie zespołu. Czerpie to, co najlepsze z obu światów. Notuje na serwetce, potem bierze następną. Shelly przezornie nie podaje jej papieru. To za bardzo przypominałoby pisanie.

Shelly ma trójkę dzieciaków. Madeleine czasem chciałyby być jednym z nich. W pewnym sensie jest jej dzieckiem. Shelly matkuje całej szóstce.

W drodze powrotnej do samochodów stojących na parkingu przed wymarłym studiem Shelly pyta ją: - Chcesz mi się z czegoś zwierzyć?

- Z rozpaczliwej żądy ujrzania cię nago, tylko z tymi notatkami w ręku.

Shelly przypomina starą poczciwą panią Lang, tylko mocno stąpającą po ziemi. Ludzie w gruncie rzeczy są tak do siebie podobni.

- Ja nie będę cię do tego namawiać, Madeleine.

Shelly sprzedała amerykańskiej sieci telewizyjnej opcję na produkcję programu opartego na pomysłe Madeleine. Ma to być pilot serialu z Madeleine w roli głównej, przedstawianej jako gwiazda niezależnej sceny komediowej. To może być przełom w twojej karierze, doktołku. Na razie wymyśliła tytuł: *Madeleine goni w piętke, czyli kobieta na opak*.

- Inni też mają swoje plany na przyszłość, wiesz? - mówi Shelly.

- Wiem.

Ich drogi niebawem się rozejdą, to nieuniknione, każdemu z nich marzy się kariera solo. Niektórzy już działają na własną rękę, zaangażowali się do filmu, telewizji, do występów na żywo w Nowym Jorku i Los Angeles. To sprawia, że zespół Telewizji po Lekcjach za kulisami żyje w napięciu, a na scenie wykonuje swoje numery w historycznym uniesieniu. Madeleine wydebiła od władz amerykańskich tak pożądaną zieloną kartę, głównie dzięki niedawnej serii swych występów w programie *Saturday Night Live*, do którego zaangażował ją Lorne Michaels, zachwycony jej popisami w Massey Hall w Toronto. Spędziła w tej jaskini pełnej lwów trzy szalone tygodnie. Dużo pisała, strasznie zbladła i zmizerniała, zupełnie jak pierwsi chrześcijańscy pisarze żyjący w katakumbach. Straciła na wadze pięć kilogramów; Christie sugerowała, że to problemy z żołądkiem, ale to była tylko kwestia szybkości przemiany materii. Wdała się w przypadkowy romans - śmiała asystentka kierownika produkcji, pusty gabinet - ale cnotliwie wystrzegła się coca-coli, jedynej używki, która naprawdę ją odprężyła. Powiedziała Christie o swej przykładowej wstrzeźliwości w picciu, ale rzecz jasna pominęła przygodę, którą powetowała sobie odstawienie coca-coli, a która w ostatecznym rozrachunku, nie miała żadnego znaczenia. Naprawdę.

Lorne, który szuka „mniej ogranych” twarzy do obsadzenia programu w przyszłym

sezonie, ponownie zaprosił ją do współpracy, wraz z Maurice'em, Lou i Rogerem - tym razem będzie chudnąć, występując przed kamerami, choć pewnie nie tak drastycznie jak przy pisaniu. Shelly, jej producentka, pogratulowała jej, ale ostrzegła, żeby nie starała się wkraść w łaski facetów, bo oni zawsze trzymają się razem.

- Jesteś lesbą - mówiła - więc nie zaszkodzi, jeśli będziesz z nimi w dobrej komitywie, ale nie pójdziesz z żadnym z nich do łóżka, a choćbyś była nie wiem jak dobra i choćby za tobą przepadali, to i tak nigdy nie przyjmą cię do swojego klubu. Ty masz robić swoje, jak Lily, tylko że...

- Tylko że co?

- Ona nie potrzebuje tej bzdurnej otoczki.

Shelly naciskała Madeleine, żeby odstawiła kostiumy i inne akcesoria.

- A telefon, a Edith Anne, peruki, krzesło? Daj spokój.

- Lily może się bez tego obejść.

- Ja też mogę grać Maurice'a bez kostiumu.

- To zagraj go bez kostiumu.

- Chodzi mi o to, że nie można grać garbusa bez garbu.

- To baw się w przebieranki do końca życia.

Bez względu na to, jak dalej potoczy się jej kariera, Madeleine dołączy do fali zabawnych Kanadyjczyków zalewającej południowych sąsiadów. Mimo że u siebie wcale nie stoją na przegranej pozycji - nowe ustawodawstwo dające wykonawcom swobodę zaczyna przynosić wymierne korzyści, nie mówiąc o systemie podatkowym, dzięki któremu Toronto stało się Hollywood Północy - opuszczają rodzinne strony, bo tylko w Stanach mogą zająć na sam szczyt. Kanada to w gruncie rzeczy mały kraj, a artyści, jak reszta obywateli, cierpią na „kanadyjski syndrom”: kompleks kulturowej niższości, który każe ich rodakom dopatrywać się prawdziwej wartości w tych, którzy opuszczają swoją ojczyznę. Rozumują w takich kategoriach: skoro jesteś taki świetny, to co tu jeszcze robisz? I odwrotnie: co z ciebie za parszywy Kanadyjczyk, że uciekasz jak z szczur z tonącego okrętu?

Anglosascy Kanadyjczycy; przyczajeni jankesi. Jankesi w owczej skórze. Na pozór Amerykanie w każdym calu, ale wiedzą, że Medicine Hat to nie nakrycie głowy. Potrafią jeździć na łyżwach, spędzają wakacje na Kubie i mówią wyniesioną z liceum francuszczyzną; cieszą się bezpłatną opieką zdrowotną, za granicą nie spotykają się z oznakami nienawiści i ufają, że żaden z klientów restauracji nie chowa pod garniturem spluwy. Amerykanie, którzy nie płacą żadnej ceny za swą amerykańskość. Telewizja po Lekcjach załamuje się pod ciężarem swego powodzenia. Madeleine nie ma powodu, żeby czuć się winna.

- Tu nie chodzi o poczucie winy.
- No to o co? - odpowiada Shelly. - Sraj albo złaż z nocnika.
- Jesteś taka wrażliwa i wyrozumiała.

Shelly opiera się jedną ręką o drzwi swojego kombi; widać, że jest zmęczona; dzieciaki zerwą się z łóżek już za sześć godzin.

- Jesteś moim czarnym koniem, stawiam na ciebie - mówi do Madeleine. - Chcę zobaczyć, jak wychodzisz na prowadzenie.

Madeleine obejmuje ją, żałując, że nie żywi rozpaczliwej żądzy ujżenia jej nago, tylko z notatkami w ręku. Wprawdzie Shelly jest hetero, a Madeleine ma stałą partnerkę, ale to szczegóły, z którymi mogłyby uporać się później.

- Trzymaj się, mamuśko.
- Trzymaj się, mała.

Madeleine wsiada do swojego starego volkswagena. Karoserię pokrywa przybrudzony biały półmatowy lakier. Tapicerka w środku jest czerwona. Madeleine przekręca kluczyk w stacyjce i przyciśnięciem pedału gazu budzi silnik do życia, delikatnie wspomagając go ssaniem. Głaszcze tablicę rozdzielczą, „pocziwy samochodzik”. Włącza ulubioną stację radiową i rusza do domu, do Christine.

W drodze znów ją to dopada. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, tydzień temu, podczas występu, zbagatelizowała to jako „nerwy”, początki grypy albo - co najbardziej pocieszające - łagodny udar mózgu. Ale jak nazwać to coś, kiedy przydarza się w czasie jazdy do domu spokojną ulicą w lekko siąpiącym deszczu?

OPOWIEŚĆ O MIMI I JACKU

Sklepienie czasu nieustannie rozciąga się nad nami, jak ten niewidoczny, wiecznie słoneczny nad chmurami dzień. A ponad tym wiecznym dniem nieskończona ciemność, w której rozprasza się i ginie nasza osnowa czasu, niczym pióropusz dymu z dyszy odrzutowca na niebie.

Pęknięcia w sklepieniu czasu. Kiedy stracili Mike'a. Kiedy ich córka obwieściła, że jest lesbijką.

- Wiem, to brzmi okropnie - powiedziała Madeleine, krzywiąc się. - *Lesbijka*. Jak

bazyliszek czy inne monstrum.

Mimi się rozplakała, Jack zacisnął usta i wbił wzrok w podłogę. Ich córka wiodła życie odmieńca, prześmiewcy.

- Wcale nie jest mi z tym lekko - stwierdziła Madeleine, zagryzając wargę, szczerząc zęby. - Jestem chora na duszy.

- Jesteś chora na *umyśle* - odparowała Mimi.

Był rok 1979, Mimi pamięta tę datę, dwa tygodnie przed remontem kuchni. W tym samym miejscu, przy tym samym blacie, jej syn zjadł kolację i uściskał matkę na dobranoc. Potem położyli na podłodze nowe płytki.

Dla Mimi ważne jest poczucie odpowiedzialności, które pozwala jej sprostać życiowym wyzwaniom. Straciła jedno dziecko, drugie się wynaturzyło, Mimi jako nowoczesna matka katoliczka wie, że to wszystko jej wina.

Musi więc pielęgnować to, co pozostało. Męża. To, co wciąż jest nieskażone w córce. Wiare, że szkodę da się jeszcze naprawić.

- *Viens*, Madeleine, zabieram cię na zakupy.

- Skończy się płaczem, jak zawsze.

Scrabble. Jedzenie. Zakupy. Rzeczy, które wciąż je łączą.

- *Maman*, przyjedź kiedyś do mnie do Toronto na weekend, wybierzemy się na zakupy.

Ale noga Mimi nigdy nie postanie w tamtym mieszkaniu. Dopóki jej córka żyje w ten sposób pod jednym dachem z tą kobietą. To nie dom, to... nie jest dom.

Madeleine nie stała się taka bez powodu; na pewno coś jej się przydarzyło.

Od Jacka Mimi nie dowie się niczego. W ogóle nie chce z nią rozmawiać na ten temat.

Po tych wszystkich latach rozpakowywania gwiazdkowych prezentów od męża, ze słowami: „Tylko żeby to nie było wiesz co”, doczekała się w końcu.

Ale ona już nie pragnęła futra z norek. Pragnęła tego, co miała wcześniej. Pragnęła otrzymania go w prezencie.

Długie lata oczekiwała od niego wyznania, że zbłądził. Nie wiedziała, jak dać mu do zrozumienia, że jeśli podzieli się z nią tym sekretem, ona będzie go kochać jeszcze mocniej, odbierze go tej kobiecie z Centralii i uczyni ich wyłączną własnością. Cisnęło jej się na usta: „To nie twoja wina, że straciliśmy syna. Wybaczam ci.” Ale jedno zdanie nie ma związku z drugim. Poza tym on nigdy nie wspomina o Michelu.

Czasami Mimi „zapomina” mu powiedzieć, że nalala mu gorącej herbaty do filiżanki, „zapomina” też poprawić lusterko wsteczne, kiedy zwraca mu samochód, „zapomina”

odnotować, że po mistrzowsku przystrzygł żywoplot czy błyskotliwie rozwiązał problem ochrony karmnika dla ptaków przed wiewiórkami. Kiedy to się zdarza, Jack zaprasza ją na uroczystą kolację do restauracji.

Żartobliwie wytyka jej, że spoufala się z kelnerem czy kelnerką, ale jest odwrotnie. To on na koniec roztrząsa najróżniejsze zagadnienia z szefem kuchni, właścicielem, innymi gośćmi. Stary Jack - zupełnie jak za młodu. W pozostałych chwilach odgradza się gazetą. Udaje, że nie słyszy.

Mimi udziela się jako wolontariuszka. W Fundacji Zapobiegania Chorobom Serca, Partii Liberalnej, Kościele katolickim. Zapisła się, dla przypomnienia, na kurs pielęgniarstwa i wróciła do pracy. Nadal grywa w brydża. Lubi Ottawę, gdzie może robić zakupy i rozmawiać z fryzjerką po francusku, lubi letnie koncerty pod gołym niebem, a zimą jazdę na łyżwach po zamrożonym kanale - czasami udaje jej się wyciągnąć Jacka z domu. Ma szeroki krąg przyjaciół, ale to są jej przyjaciele, nie ich wspólni. W Ottawie osiadło wiele rodzin emerytowanych lotników, starych znajomych z dawnych placówek; zapraszają się na karty, wydają przyjęcia, urządzają turnieje w curlingu. Ale Jack nie zgadza się na „życie przeszłością”.

Kiedyś co roku spędzali wakacje na Florydzie. Tam też, na polu golfowym, Jack miał swój pierwszy atak serca. Drogo by ich to kosztowało, ale, dzięki Bogu, mają polisę w Blue Cross. Dwa, trzy razy do roku Mimi wyjeżdża do Nowego Brunswiku w odwiedziny do rodziny w Bouctouche; Jack przestał jej towarzyszyć od czasu, kiedy Mike „wybył” z domu. Jej siostra Yvonne owdowiała, Mimi i Jack zapraszają ją do siebie na Boże Narodzenie; Jack lubi, gdy Yvonne mu nadskakuje. Ale Mimi coraz rzadziej przyjmuje gości. Kosztuje ją to za dużo wysiłku. Ugłaskiwanie Jacka, ciągła obawa, że na widok gości zamknie się w sobie, a jeszcze zanim przyjadą, znoszenie jego krytycznych uwag pod ich adresem, wypowiedzianych pod nosem błagalnych próśb, żeby „Gerry znów nie usadowił się na poczesnym miejscu przy stole i nie wciskał nam zdjęć ze swojej najnowszej wycieczki po Galapagos” i żeby „Dorris nie paplała bez przerwy o swoich wnukach”. „Nie Dorris, tylko *Fran*, Jack”. A kiedy goście już się zjawiają, Jack tryska humorem i dworuje sobie z Mimi, że z takim przejęciem sadza gości na ich wyznaczonych miejscach, przerywając jej słowami: „Siadaj tam, gdzie masz ochotę, Gerry”. Świetnie się bawi przez cały wieczór - a potem długo jest rozdrażniony.

Nadal stanowią uroczą parę. U Jacka, mimo sześćdziesiątki na karku, niemal nie uświadczy się siwego włosa. Mimi zachowuje smukłą kibić, którą podkreślają jej suknie. Farbuje włosy, ani myśli uchodzić za starszą od męża. Drobne zmarszczki przebijają przez warstwę makijażu, ale za to - dzięki ostrożnemu wypuszczaniu dymu i starannemu nawilżaniu

ust - udało jej się częściowo uratować górną wargę przed „uwędzeniem”, przypadłością długoletnich palaczy. Łydki nadal ma zgrabne, dłonie miękkie, paznokcie idealne. Luźniejsze fałdy skóry na łokciach i kolanach? A od czego są rękawy i falbany?

Nie opowiadała nikomu o stylu życia, jaki prowadzi jej córka. To było zbyt cenne. Każdy mógł o tym przeczytać w wysokonakładowym dzienniku - w dziale poświęconym rozrywce.

Mimi pracuje jako pielęgniarka w biurze National Capital Commission w śródmieściu. Stała się powierniczką całego oddziału. Ostatnio zwierzyła jej się kobieta zatrudniona w księgowości: „Tylko z tobą mogę o tym porozmawiać, Mimi”. W dowód swojej wdzięczności podarowała Mimi kubek do kawy z nadrukiem obrazu Chagalla: „Nawet z rodzoną matką nie mogłabym tak szczerze pogadać”.

Mimi wie, że gdyby nie wyjechała z Nowego Brunswiku; gdyby nie wykształciła się na pielęgniarkę i nie zaczęła na siebie zarabiać; gdyby nie poślubiła przystojnego *Anglais*, nie nauczyła się urządzić przyjęć i chodzić na wysokich obcasach; gdyby nie tańczyła w blasku kandelabrow, gdyby nie zamieniła ślubnej sukni na balową, gdyby pozostała sobą, Marguerite - Bóg pobłogosławiłby ją trzecim dzieckiem, od którego mogłaby się teraz doczekać wnuków.

A przynajmniej pozwoliliby jej zachować tę dwójkę, którą urodziła i wychowała.

W końcu w pożyciu małżeńskim Jacka i Mimi nadszedł taki czas, że telewizor w domu wciąż jest włączony, nawet jeśli nie ma niczego ciekawego do oglądania.

CZY ROZWAŻAŁA PANI PODDANIE SIĘ TERAPII?

Włoch u lekarza, koniec XIX wieku: „Panie doktorze, cierpię na melancholię, nie potrafię cieszyć się życiem, jedzenie przestało mi smakować, miłość przestała mnie pociągać. Nie zależy mi na życiu. Proszę mi coś doradzić”.

Lekarz: „Najlepszym lekarstwem jest śmiech. Niech pan wybierze się na występ tego cudownego klauna, Grimaldiego”.

Pacjent: „ To ja jestem Grimaldi”.

Wszyscy musimy od czasu do czasu zajrzeć pod kamień. Wszyscy lękamy się ciemności, i zarazem do niej lgnjemy, gdyż wiemy, że coś tam pozostawiliśmy, coś, co jest

tuż za nami. Raz po raz to wyczuwamy, ale boimy się odwrócić, żeby przypadkiem nie dostrzec tego, co tak pragniemy zobaczyć. Czekamy, aż przeminie ten krytyczny moment, pozwalamy temu czemuś umknąć, nim się odwrócimy, mówiąc: „Widzisz? Zdawało ci się tylko”. Nasz własny cień napędza nam stracha. A dobry komik odstrasza cień. Wspomagani i chronieni własną prędkością, komicy potrafią odwrócić się tak szybko, że niekiedy udaje im się dostrzec, jak umyka. Nam też się to udaje, z bezpiecznej odległości. Gdybyś miał zapuścić się, jak Dante, w głąb Piekła, z kim wybrałbyś się w tę podróż, z Wergiliuszem czy z Johnem Candy?

- To wygląda na klasyczną migrenę, tyle że bez pełnych objawów - oznajmił Madeleine okulista. - Przywidzenia, którym nie towarzyszy ból.

Oftalmolog nie powie ci, że widzisz swój własny cień. Nie usłyszysz od niego następującej rady: „Nie bój się. Odwróć się powoli. Porozmawiaj z nim. On chce ci coś przekazać”.

Komizm na zwolnionych obrotach staje się przerażający. Tego właśnie doświadcza Madeleine.

Bała się zatrzymać na poboczu, ponieważ w ten sposób przyznałaby, że dzieje się coś złego. Padał deszcz, przytknęła policzek do zimnej szyby, twarz miała rozpaloną, serce tłukło w jej piersi szaleńczo, i nie wiedziała, dokąd zmierza. To znaczy wiedziała, gdzie mieszka i że wraca do domu po piątkowej sesji w studiu; zachowała całą swoją wiedzę o życiu, jaką posiadała jeszcze przed sekundą, lecz coś, jakby jakaś przezroczysta warstwa, się rozplynęło. Coś, co pozwala nam wspólnie postrzegać elementy składające się na ten świat. Coś, co nadaje spójność rzeczom tego świata, co sprawia, że tworzą jedną całość. Madeleine widziała wszystko oddzielnie, kawałek po kawałku. Latarnię uliczną w oderwaniu od ulicy. Chodnik w oderwaniu od krawężnika. Nie rozumiała, dlaczego cokolwiek istnieje. Widziała, co kryje się pod tym wszystkim - nicość.

Serce zabiło jeszcze szybciej, szamocząc się jak ptak uwięziony w jej piersi; czyżby zaraz miała umrzeć? Lepkie, mroczne uczucie jak wstyd rozlewało się jej w żołądku. Ktoś nadchodził od strony stacji benzynowej. Domyślił się, że straciła poczucie rzeczywistości? Nie, przeszedł obok samochodu.

Serce zwolniło tempo. Wycieraczki rozmazywały smugi światła po przedniej szybie; Madeleine odwróciła wzrok, lecz żółte smugi podążyły za jej spojrzeniem.

- Może po prostu powinnam nosić okulary.

- Czy coś podobnego przydarzyło ci się wcześniej? - pyta jej terapeutka.

Gabinet wyłożony jest drewnem i draperiami, utrzymanymi w kojących pastelowych tonach; otoczenie, które ma działać uspokajająco. Na stoliku stoi dzbanek z wodą źródlaną, miniaturowa piaskownica z grabkami i pudełko chusteczek do nosa. W gabinecie jest kanapa z olbrzymią poduszką, na której pacjenci mogą wyładowywać swój gniew, są też muszelki, kryształ, odświeżacz powietrza; na ścianie wiszą dyplomy nadania stopni naukowych, a także reprodukcja obrazu Georgii O'Keeffe.

Madeleine bierze głęboki oddech. - Kilka tygodni temu - mamrocze pod nosem.

Słyszy w swoim stłumionym głosie markotność wieku dorastania. Regresja postępuje zgodnie z planem.

Terapeutka czeka, siedzi na obrotowym krześle, zachowując niezmacony spokój. W uszach ma dyskretne kolczyki, wyglądające na rękodzieło. Nina. Madeleine umościła się w fotelu naprzeciwko niej. Zaczyna ją wciągać ta zabawa: terapeuta emanuje bezosobowym współczuciem, aż w końcu pacjent nie wytrzymuje ciszy i wyrzuca z siebie: „Zabiłem swoją matkę!”. Ale najpierw zastrzeżenia: „Jestem wyczerpana. Co tydzień nagrywany jest nowy odcinek dla Telewizji po Lekcjach, a do tego zaangażowałam się w przedstawienie teatru sceny alternatywnej, bez wynagrodzenia - a dlaczego? Bo reżyserka ma różowe włosy”.

Terapeutka czeka. Za dolara i dwadzieścia pięć centów za minutę.

Madeleine opowiada jej, co się stało podczas jej ostatniego występu „na stojaka”:

Stara Świątynia Masońska w centrum Toronto jest wypełniona po brzegi. Światło pada ze sceny na głowy i ramiona stojących ciasno jeden obok drugiego widzów. Wentylatory wirujące pod sufitem nie chłodzą sali rozgrzanej ostrą muzyką, pokazami *performance art*, płomiennym flamenco i chórem tęgich dziewczoi w kraciastych koszulach i mocno przyciętych włosach, o nazwie The Diesel Divas, które mają w repertuarze arie Bacha. Benefis, z którego dochód przeznaczony jest na ratowanie schroniska dla kobiet w śródmieściu Toronto. Wszystkie bilety zostały wyprzedane.

Madeleine spogląda po morzu głów rysujących się w świetle, wtapiających się w mrok w głębi sali. Fizycznie rozluźniona, intelektualnie sprężona, jak zawsze przed występem łącząc treść ze skupieniem, stoi tam, gdzie czuje się jak w domu. Scena - najbezpieczniejsze miejsce na ziemi.

Dowcipkuje z widzami, rzucając im, dla rozeznania, różne kąski. Bierze za cel swoich kpin najnowsze doniesienia - poszukiwania genu odpowiedzialnego za skłonności homoseksualne - „Czy nie lepiej szukać czegoś pożyteczniejszego, na przykład genu na głupotę za kierownicą?” - rozbudowywanie arsenału broni atomowej przez Reagana, żelazne

rzędy Margaret Thatcher, premiera Mulroneya w roli licytatora. Również dostaje się od niej politycznemu oportunistowi i Jerry'emu Falwellowi, potem przychodzi kolej na orgazmy sławnych i bogatych i Virginie Woolf jako autorkę scenariusza *Statku miłości*. Publika szaleje. Potem zaczyna skandować: „Maurice! Zagraj Maurice'a!”.

- Jesteście chorzy! - odcina się Madeleine.

- Maurice!

Teraz wie, jak czuli się Beatlesi. Zarośnięty, naćpany, pstrokaty tłum domagający się mimo to *I Wanna Hold Your Hand!*

- Jak mam go zagrać? A co z kostiumem? Przestańcie.

- No to pacynkę! Zagraj pacynkę!

Porusza się zwinnie w ciężkich wojskowych butach, takich jakie noszą w amerykańskiej piechocie morskiej, kupionych z demobilu. Ubrana jest w koszulkę Bundeswehry z czarnym orłem na piersi, pod spodem nie ma stanika. To oficjalny strój lesbijskiej *Überfrau*.

Spogląda do góry, na neogotyckie sklepienie Świątyni Masońskiej. - Dobrze się składa, że zgromadziliśmy się dziś, żeby zebrać trochę forsy dla poratowania feministycznego przybytku właśnie tu, w byłym bastionie patriarchy.

Aplauz.

Ma zmoczone włosy, czuje strużkę potu spływającą po plecach, ale ktoś chyba włączył klimatyzację, bo nagle robi jej się zimno. Nasłuchuje swojskiego brzęczenia systemu chłodzącego, tak zabójczego dla śmiechu, ale tłum zagłusza wszystko. Bierze łyk wody z plastikowej butelki.

Madeleine wybałusza oczy i patrzy mętłym wzrokiem. Cofa podbródek i wypina brzuch. Widownia śmieje się i skanduje: „Mau-ricé! Mau-ricé! Mau-ricé!”.

Nigdy nie wiadomo, co publiczność sobie upodoba. Maurice nie jest nawet szczególnie zabawny. Ktoś rzuca na scenę majtki, ale Maurice nie od razu połyka haczyk. Madeleine idzie na całość, wkłada majtki na głowę jak kominiarkę, potem ciska nimi w widownię.

Znów popija z butelki, woda spływa jej po szyi. Wylewa na siebie resztę wody, ściąga koszulkę z beztroską mężczyzny i wyciera się nią jak ręcznikiem. Łatwiej zdjąć koszulkę, gdy ma się drobne piersi - Madeleine nie jest pewna, czy zdobyłaby się na to, gdyby natura obdarzyła ją bujnym biustem. Poza tym łatwiej jest ujawnić się lesbijce, jeśli ma wygląd zwyczajnej dziewczyny i program w telewizji nadawany w porze największej oglądalności - nie przypłaci tego utratą pracy, nikt nie wywali jej na bruk.

Madeleine opracowała długą listę powodów, dla których przychodzi jej to łatwo, ale

woli nie roztrząsać, jakie to dla niej trudne.

Obnażenie piersi to tani chwyt, ale działa - na poziomie Benny'ego Hilla w feministycznym wydaniu. Z piskiem odkręca, poleruje i oliwi sobie sutki, potem przykręca je z powrotem. Widownia wpada w histerię, Madeleine wykorzystuje to, żeby odsapnąć - chyba daje o sobie znać zmęczenie. Rzadko już występuje w roli komika estradowego i tak naprawdę nie miała czasu na ten występ, ale nie potrafiła odmówić swego poparcia dla słusznej sprawy.

Łapie oddech. Na szczęście na sali zabronione jest palenie; jako że to impreza feministyczna, organizatorzy zadbali o wygodę osób, które drażni dym z papierosów. Feminizm jak dotąd tylko po kostki pogrążony jest we wzbierającej fali nietolerancji, która obejmuje perfumy, laktozę, drożdże i obecność innych dobrze bawiących się przy piwie - efekt nieuchronnego rozłamu ruchu, który osiągnął tak wiele - może dlatego, że osiągnął tak wiele.

Dziś wieczorem na widowni są jej przyjaciele. Olivia - ta od różowych włosów. Jest reżyserką niezależnej sceny teatralnej, gustownie pokłutą kolczykami, którą Madeleine poznała, kiedy za sprawą Christine poprowadziła Kabaret Komедии podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Kobiet. Gdzieś tam jest też Tommy, przyjaciel Madeleine z liceum, a także jej bratnia dusza z zespołu Telewizji po Lekcjach, Tony, wraz z szerokim gronem znajomych z różnych kręgów, które mnożą się i zazębiają ze sobą, tworząc środowisko. Christine jest nieobecna. „Nie masz mi tego za złe, co, skarbie? Widziałam już ten show, a mam do napisania pracę”.

Madeleine czeka, aż tłum ucichnie, a potem wybucha śmiechem, który stanowi jej znak rozpoznawczy - niezsynchronizowanym śmiechem pacynki niegodziwego brzuchomówcy.

Widownia wciąż ryczy ze śmiechu, kiedy Madeleine doświadcza dziwnego uczucia: jakby właśnie oprzytomniała. Zastanawia się, ile czasu upłynęło od jej ostatniego dowcipu, pewnie tylko chwila, ponieważ śmiech na sali osiąga szczytowe natężenie, ale ona ma wrażenie, jakby minęły wieki. Nie przestając demonicznie się szczerzyć, szuka wzrokiem kwadratu światła pod neonowym napisem „Wyjście”. Drzwi pewnie są otwarte, do środka wpada ostre powietrze kwietniowego wieczora i stąd to lodowate zimno; wtem Madeleine odnotowuje zbiorowe poruszenie wśród pogrążonych w półmroku głów i ramion, jakby trzepotanie liści na wietrze - widzowie wachlują się programami.

Madeleine mruży oczy, słony pot piecze w oczy.

- Gdyby tak te ściany mogły mówić, co? Ciekawe, jakie tajemnice omawiali tu masoni.

A może chodziło o samą ideę tajemniczości? Daje władzę nad innymi. To zupełnie w stylu anglosaskich burżujów, takie roztaczanie aury tajemniczości, niech cała reszta przyciska uszy do ściany w nadziei, że dowie się, w co najlepiej zainwestować, albo który sędzia poprowadzi rozprawę, albo jak upiec Yorkshire pudding. Może po prostu spotykali się tutaj, żeby pograć w kręgle. Wymienić tajemny braterski uścisk.

Madeleine demonstruje tajemny uścisk, który obejmuje całe jej ciało.

- Masoni to nie jedyne tajne stowarzyszenie. Watykan też kryje mnóstwo tajemnic. I ma kupę forsy, nie? Mają tam wszystko, wojsko, bank i urząd paszportowy dla zbrodniarzy wojennych... - studiuje paszport, który niby trzyma w ręku. - „Hmm, doktor Mengele” - przybija głośno pieczętę, potem z uśmiechem: - „Życzymy miłej podróży”. Nie wiem... Całe to państwo, Watykan... rządzą nim sami faceci z krzyżami, w szatach i wysokich spiczastych czapkach, nie uświadczysz tam Żyda ani kobiety, zupełnie jak w Ku-Klux-Klanie.

Widownia się śmieje, a ona ociera dłonią czoło. Przymyka powieki, widzi żółte smugi, zamazane światła zamieniają publiczność w niezróżnicowany tłum.

- Na miejscu Maryi strasznie bym się wkurzyła - mówi Madeleine, nagle zaskoczona brzmieniem własnego głosu. - Przede wszystkim bierze sobie za męża wrażliwego faceta, o jakim marzą feministki, ale bez grosza przy duszy, nie stać go, żeby wynająć pokój w hotelu - na święta!

Ma wrażenie, że wypowiedane przez nią słowa docierają do niej z lekkim opóźnieniem. Wszystko gra, publika się śmieje, a ona dobrnie do końca, potem wróci do domu i weźmie coldrex.

- No i rodzi w stajni, bez przerwy wtarabaniają się faceci z beużytecznymi podarkami - mirra? Co mi po mirrze? Nie mówiąc o tym, że to dary dla Dzieciątka. Potem wkracza Kościół i ogłasza, że Józef wcale nie jest ojcem dziecka. Tylko Bóg. A do tego Maryja była dziewicą. Słucham? Najgorsze jest jednak to, że Ojcowie Kościoła, faceci w spiczastych czapkach, siedzą i z poważnymi minami z namaszczeniem dyskutują nad tym, czy Maryja czuła ból podczas porodu.

Przybiera ton tępego redaktora zwracającego się do gości w studiu telewizyjnym: - „Co o tym sądzisz, Augustusie?”. „Cóż, Flawiuszu, moim zdaniem nie bolało ani trochę. A ty jak uważasz, Pierdusie?”. „Och, myślę, że wcale nie bolało, a ty, Tomasz?”. A Tomasz z Akwinu powiada... umm, co on powiedział, aha... „Nie bolało”.

- Nie bolało? - Wpatruje się w widownię. - Bolało!

Zaczyna krzyczeć, jakby wpadła w szal: - *Rodziła dzieciaka w stajni, syna Bożego, był wielgaaachny! Miał wielką świętą głowę, bo był Booogiem! Bolało. Zajebicie bolało!*

Zwykle w tym momencie śmiech na widowni tonie w muzyce Iggyego Popa rozbrzmiewającej z głośników, a Madeleine na scenie tańczy pogo i odprawia serię improwizowanych błazeńskich wygibasów i potknięć. Przewraca się o sznur od mikrofonu, a kulminacją jej efektownych upadków jest obłądny numer z zachwianiem równowagi, który wykonuje tak, jakby jej ciało było pozbawione kości.

Ale tego wieczoru stoi jak wryta. Ciemność, śmiech, oklaski i wiwaty nie wydają się przyjazne czy życzliwe, nic dla niej nie wyrażają. Widziane ze sceny zarysy i światła są tak obce jak lądowisko w nocy. Jej ręce ogarnia odrętwienie, świetlista smuga zaczyna drgać i Madeleine nagle traci kawałek świata po swojej lewej. Z jej pola widzenia został wyrwany klin, luka zasklepiła się, zacierając jego nieobecność, neon z napisem „Wyjście” po prostu zniknął.

Jakoś dociera do domu. Jedzie powoli, nie ryzykuje; lęka się nie wypadku, lecz czegoś, czego nie potrafi nazwać.

- Może to zwyczajna trema.

- Czy tak właśnie to postrzegasz? - pyta Nina.

- Tak właśnie uważa Christine. To moja dziewczyna. Partnerka. Coś w tym rodzaju - dodaje Madeleine tytułem wyjaśnienia.

Określenie „atak paniki” nie rozwiązuje sprawy, chociaż oficjalnie zapewne tak się to nazywa. Całkowitą utratę poczucia swojskości rzeczy. Nagłą nieopisaną obcość tego, co znajome; zatrważające spostrzeżenie, że stawiamy jedną stopę przed drugą. Uzmysłowanie sobie, że nic nie jest ze sobą nawzajem powiązane. Palec reagujący na rękę zdumieniem.

Madeleine mówi dalej, myśląc przez cały czas: ta terapeutka od siedmiu boleści zaraz mi powie, że cierpię na ataki paniki, a ja jej każę się odpieprzyć. Na koniec stwierdza: - Mam ataki paniki, zgadza się?

- Tak właśnie się na to zapatrujesz? - pyta Nina. *Splytnie, doktołku.*

Nina pyta, czy w życiu Madeleine coś się ostatnio wydarzyło, czy nastąpiła jakakolwiek zmiana.

- Myślisz, że potrzebuję pretekstu, żeby ześwirować? Jestem komikiem, przez cały czas balansuję na skraju szaleństwa.

- To prawda?

- To frazes.

- Pomaga ci?

- Robi wrażenie na panienkach.

- Zastanawiam się, jaki czynnik mógł wyzwolić taką reakcję - mówi Nina.

- Pewnie to skutek wyczerpania, nie pierwszy raz zresztą. Tak się to odbywa; zaharowujesz się, robisz dobrą minę do złej gry, w końcu się wybijasz.

- Do tego trzeba prawdziwej determinacji.

Madeleine wzrusza ramionami, czuje się mile połączona, ale nie chce tego okazywać.

- Po co tu przychodzisz, Madeleine?

Madeleine przyzywa na pomoc ironię, ale ta odsuwa się niczym wampir, który zwietrzył czosnek. Zwalcza ogarniające ją wrażenie, że zamienia się w ckliwy obrazek, brązowe oczka zachodzą mgiełką, wzruszenie ścisną jej gardło - dlaczego? *Och nie, zaraz się rozplnę... muszę się wziąć... w garść...*

Spogląda na Ninę i odpowiada trzeźwo: - Odczuwam przemożną chęć obdzierania ze skóry małych piesków i znęcania się nad dziećmi.

Spokojny, uważny wyraz twarzy terapeutki nie zmienia się. Nina nie odzywa się.

- Rozplakałam się w restauracji... W Loblaws.

- W której sali?

Madeleine się śmieje. - Kuchnie narodów świata - odpowiada i zaczyna pochlipywać. - Jasny gwint.

Chichocze. - Sama widzisz. To niesamowite, czy to wygląda na... objawy wczesnej menopauzy? Powinnam rozglądać się za wyciągiem z pochryznu?

Zdaje sprawę ze swych ostatnich niepoohamowanych wybuchów: zalała się łzami na widok kobiety w sari ładującej do koszyka puszkę groszku, a ujadanie psa dolatujące na wietrze sprawiło, że stanęła w miejscu, jak rażona zabłąkanym krążkiem hokejowym, przysłoniła ręką oczy i zaczęła popłakiwać. Zdaje sprawę z dojmującego smutku na widok dziecka, z miną męczennika broniącego się przed włożeniem kapelusza słonecznego; na widok staruszka w przybrudzonej marynarce, stojącego przed nią w kolejce w banku, zawodzącego pod nosem: „Northrop Frye, Northrop Frye”. Ogarniającego ją na pokazach gotowania czy na wieść o specjalnych ofertach na płyty z dwudziestoma pięcioma złotymi przebojami, *Te magiczne chwile mogą stać się twoim udziałem za jedyne...*

- Czy dlatego tu przychodzisz? - pyta terapeutka.

- Tak, muszę ograniczyć moją dzienną dawkę telewizji.

Nina nie odzywa się. Madeleine słyszy wypowiedane przez siebie słowa: - Mój ojciec znów miał atak serca.

Czuje, jak jej twarz napina się w zboląłym uśmiechu. Sięga po chusteczki, bierze całą garść. - Kilka miesięcy temu. Ale nie jest umierający.

Bo nie jest. *Mam szczęście, to choroba bogaczy*, oświadczył jej w styczniu. *jeszcze długo pociągnę. Przy dzisiejszym zaawansowaniu medycyny... nawet nie muszą mnie rozcinać.*

- Jesteś w bliskich stosunkach z ojcem?

Madeleine kiwa głową, otwiera usta, ale słowa więzną jej w gardle. Nina czeka.

- Jest moim najlepszym... - Madeleine urywa.

- Twoim najlepszym...?

Madeleine potrząsa głową. - To głupie. Nie wiem, dlaczego nie mogę tego z siebie wydobyć, to takie banalne.

Wyprostowuje się w fotelu, bierze oddech i mówi: - Jest moim najlepszym starym druhem.

Właśnie.

Jej policzki znów się ściągają, z oczu ciurkiem lecą łzy. Potrząsa głową. Jest w gorszym stanie, niż myślała. A może zachowuje się jak rasowy wykonawca - siedzę w gabinecie u psychiatry, musi być ze mną źle, więc oto: bach, rozstrój. Dostanę tę rolę?

- Opisz swój ból, Madeleine.

- Cóż - wzdycha Madeleine - nie jest tak strasznie jak w przypadku włosa łonowego, który przykleił się do podpaski. Ale gorzej, niż gdyby ktoś wbił ci widelec w oko.

Wtedy w styczniu Madeleine przejechała całą drogę z Toronto do Kliniki Chorób Serca w Ottawie dokładnie w cztery godziny i piętnaście minut.

- Niech mnie! - zachichotał Jack. - Przyfrunęłaś tu czy co?

Siedział w łóżku z czasopiśmie w rękę - ten widok od razu podniósł ją na duchu. Elektrody przyłączone do jego piersi pod niebieską szpitalną piżamą podłączone były do monitora rejestrującego pracę serca, od nadgarstka odchodziły rurki aparatu do kroplówki, przez szyję przewieszoną miał niedbale maskę tlenową. Puścił do niej oko i zadarł kciuk, co oznaczało „głowa do góry”, podczas gdy dwie młode pielęgniarki żartowały z nim i z przejęciem zmieniały zasobniki z płynem do kroplówki - jeden zawierał substancje odżywcze, drugi środek na rozrzedzenie krwi. Madeleine uśmiechnęła się, bojąc się, że jej twarz zaraz się rozprysnie, przez jedną nierzeczywistą chwilę czując dumę z tego, że ma najprzystojniejszego, najmłodziej wyglądającego umierającego ojca na całym oddziale.

Pielęgniarki przedstawiły się, przestrzegły, żeby za bardzo nie rozśmieszała ojca, powiedziały, że są wielbicielkami Telewizji po Lekcjach i że jej tata jest z niej taki dumny.

Kiedy wyszły, Jack nie przestawał się uśmiechać od ucha do ucha, błyskając swoim

złotym zębem.

- Jak się czujesz, tato?

- W porządku, jutro mnie wypisują.

- A co z...? Przecież mają cię operować...

- Niece. - Machnął ręką. - Obejdzie się bez operacji. Znachor odmówił nade mną przepisowe zakłęcie i powiedział: dalej, zabieraj się stąd.

- Dlaczego nie będą operować? - Jej głos zabrzmiał głucho i metalicznie, jak brzęk cynowych sztućców.

- Bo tak będzie dla mnie lepiej - odparł dziarsko.

- To prawda?

Zachichotał, z niedowierzaniem. - To święta prawda.

Jaki potwór chowa się pod łóżkiem?

Maman jeszcze nie wróciła z łazienki. Madeleine zabrała ojca na powolną przechadzkę po korytarzu, razem z aparatem do kroplówki. Jego niebieski szlafrok zadarł się na plecach, odsłaniając piżamę. Ojciec dyskretnie zniżył głos - co było zbyt ciche, gdyż głos miał tak cienki jak jego rozrzedzona krew: - Ci ludzie są *naprawdę* chorzy.

Pacjenci na oko dużo od niego starsi, upiornie chudzi albo niebezpiecznie krusi, poruszający się ostrożnie, jakby gdzieś głęboko w pokładach ich ciała tkwiła bomba.

Opowiedziała ojcu o opcji na telewizyjny show, z nią w roli autorki i jedynej wykonawcy. Śmiał się z tytułu - powściągliwie. On też nosił w piersi bombę. Ale stan jego zdrowia podobno się poprawiał. Wrócili do jego pokoju. Usiadła na skraju wysokiego szpitalnego łóżka, ojciec zajął fotel, jedną ręką swobodnie obejmując aparat do kroplówki, jakby to był sprzęt używany na co dzień, nic specjalnego. Jak zwykle zapytał ją, jak u niej z gotówką, a ona poradziła się go, czy powinna przenieść się do Stanów. Wyjął serwetkę spod plastikowego kubka z sokiem i narysował tabelkę z dwiema kolumnami: *Za i Przeciw*.

- Czasami mam wrażenie, że to, co robię, nie przynosi światu żadnego pożytku - wyznała, kiedy układali listę.

Wskazał głową drzwi. - Weźmy tego kardiologa; umie stwierdzić, co dzieje się tu w środku - dotknął kciukiem piersi - mógłby mi nawet wstawić nowe serce, gdyby to było konieczne. Ale tego może się nauczyć wielu ludzi. Lecz choćby nie wiem, jak się starali, tylko nieliczni spośród nich potrafią sprawić, że ledwie otworzą usta, cała sala całkowicie im obcych ludzi wybucha śmiechem. A śmiech to najlepsze lekarstwo na świecie. Trzymaj tak dalej.

Uśmiechnęła się i spojrzała w dół na swoje dyndające nad podłogą stopy.

Zamknęli listę. W rubryce *Za* umieścili: największy na świecie rynek odbiorców mówiących po angielsku/bliskie kulturowo-polityczne powinowactwo/zadowolenie z pracy zawodowej/sława/wyższe zarobki. *Przeciw*, twoje poczucie tożsamości narodowej jako *Kanadyjki/Maman*.

- *Maman?*

- Myślę, że strasznie by za tobą tęskniła.

Madeleine uniosła brwi, ale przemogła się i bez cienia ironii w głosie spytała: - Naprawdę?

Ojciec kiwnął głową - stoicko, porozumiewawczo - potem popił trochę soku przez słomkę. Przy każdym łyku otwierał szerzej niebieskie oczy i poruszał ostrożnie ustami. Wyglądał tak niewinnie - jak dziecko. Madeleine, z nieruchomą twarzą, walczyła z chwytającym ją za gardło smutkiem. Wiedziała, jaki jest najpoważniejszy argument *Przeciw* - strasznie by tęskniła za ojcem. *A gdyby nie dał Bóg on umarł, a ja byłabym gdzieś daleko od domu?*

Zapytał o Christine, a ona zaczęła mu masować kark, co zawsze sprawiało mu przyjemność. - Christine ma się świetnie, dzięki, tato. Zamierzamy kupić dom...

Zauważyła jego ostrzegawcze spojrzenie i odwróciła się - do pokoju weszła matka. Uściskały się, Madeleine owionął znajomy zapach, mieszanka tytoniu i perfum od Chanel, i mimo woli poczuła się rażniej.

- Hej, *Maman*, właśnie oznajmiłem Madeleine, że mnie stąd wypisują. Operacja nie jest konieczna - powiedział ojciec niefrasobliwie.

Madeleine wybadła minę matki. Skwaszona. Pewnie podsłuchiwała, jak mówili o Christine. Postanowiła być dla niej miła. - *Maman*, przywiozłaś może *Scrabble*?

Mimi uśmiechnęła się promiennie i ruszyła do stolika przy łóżku Jacka. Madeleine dostrzegła, że *Maman* posyła ojcu „znaczące” spojrzenie. „Coś się kroi”, pomyślała, ale ojciec przyciągnął przenośny czarno-biały telewizor na wysięgniku i włączył wiadomości: to jego wielka ucieczka.

Madeleine wyciągnęła garść liter z wysłużonego flanelowego worka. Mimi wyjęła swoje żetony i oświadczyła: - *Voilà*, wyjęłam siedem sztuk bez liczenia.

- Ja też, niesamowite, co? Myślisz, że te żetony po tylu latach wciąż przechowują w sobie energię tej gry?

- Zapytaj ojca.

Ale on ze skupioną twarzą słuchał wiadomości. Malowało się na niej swoiste męskie zadowolenie.

Madeleine zerknęła na swoją tackę z żetonami i ujrzała to, co nieuniknione. Pośród innych niewinnych liter wyróżniało się słowo, rozsypane, lecz wyraźnie rozpoznawalne: CIPA. Westchnęła i ułożyła PIEC.

Odliczanie na ekranie... *rakieta została odpalona.*

- Niech mnie... - wysapał Jack.

- Co się stało? - spytała Mimi.

- Poczekajcie, zaraz to pokażą jeszcze raz.

Zebrani przed maleńkim ekranem patrzyli, jak wahadłowiec Challenger rozpada się na kawałki.

- Matka nie zaakceptowała twojej orientacji seksualnej?

- Można to tak określić, doktołku.

- Jesteś jedynaczką?

- Nie. - Madeleine wyłapała w swoim głosie zaczepną nutkę.

Nina czeka.

- Mam brata.

Nina czeka.

- Ale wybył z domu - mówi Madeleine.

- Kiedy?

- W sześćdziesiątym dziewiątym.

Madeleine spogląda na terapeutkę, czuje, jak płoną jej policzki. *No dalej, zapytaj mnie. Spraw mi tę przyjemność.*

Ale Nina nieoczekiwanie pyta: - Skąd u ciebie ten gniew, Madeleine?

Madeleine przybiera inny wyraz twarzy. Przyjazny. - Pamiętasz księżycowe kamienie?

Nina czeka.

Pięknym za nadobne. Madeleine uśmiecha się i siedzi niewzruszona, zastygła jak ludzki automat na monetę, czekający, aż ktoś wrzuci ćwierćdolarówkę do szczeliny w wyciągniętej dłoni.

- Musimy zakończyć spotkanie, Madeleine - mówi Nina.

- Masz już dość, co? Mięczak.

- Nie, nasz czas dobiegł końca. Chciałabyś znów mnie odwiedzić w przyszłym tygodniu?

- Chciałabyś usiąść mi na twarzy?

Twarz Niny jest nieruchoma.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

Nina kiwa głową.

- Widać muszę się leczyć.

Nina czeka.

- Ach tak... Czy mogę znów się do ciebie zgłosić w przyszłym tygodniu?

Latem sześćdziesiątego dziewiątego roku zebrali się we trójkę w salonie przed telewizorem. Mimi siedziała bez ruchu na kanapie, odłożyła żelazko, odłożyła nawet papierosy, a Madeleine siedziała obok niej. Ojciec ubrany był w skórzaną kurtkę, a Mike od dawna był nieobecny. Ale on też na pewno oglądał, gdziekolwiek rzucił go los. Cały świat to oglądał. Walter Cronkite, „głos kosmosu”, czuwał w studiu, żeby przekazać widzom bezpośrednią transmisję telewizyjną z lądowania na Księżycu. „Na naszych oczach powstaje historia”, Madeleine spodziewała się, że usłyszy tę ulubioną formułkę ojca, ale on patrzył bez słowa, z zaciśniętymi ustami. Zapatrzony z posępną miną w ekran, obudził w niej niejasne wspomnienia. Jakiejś innej audycji, sprzed lat... Przez fotografie roześmianych kosmonautów przebijał głos Johna F. Kennedy’ego: „...naród nasz powinien dołożyć wszelkich starań, aby jeszcze w tym dziesięcioleciu postawić człowieka na Księżycu i zapewnić mu bezpieczny powrót na...”. Przypomniała sobie: późnym wieczorem, w piżamie, słuchała jego głosu płynącego z telewizora, głuchego, niosącego się po schodach, na których siedziała z kolanami pod brodą. *Jeśli ktoś myśli, że radzieckie rakiety nie dolecą do Centralii, to się srodze myli.* Pamięć pragnie przypisać te słowa prezydentowi Kennedy'emu, Madeleine słyszy je wypowiedane z charakterystycznym bostońskim akcentem, ale wie, że wyszły z ust pana Marcha. Pan March tłumaczący uczniom efekt domina: *Z braku hufnala zginęła podkowa, z braku podkowy zginął koń...*

Walter Cronkite przywołał ją do rzeczywistości, „...na żywo z Księżyca”. Na ekranie „orzeł już wylądował”, wrzecionowaty i niesamowicie kruchy, bardziej przypomina owada niż ptaka. Neil Armstrong stawia nogę na powierzchni, wzbijając obłok księżycowego pyłu. „To jeden mały krok dla człowieka...”.

- No i pokonaliśmy ich - stwierdził Jack.

- Co on powiedział!?! *Bon D’jeu*, Jack, zagłuszyłeś go - obruszyła się Mimi, podkreślając swe niezadowolenie zamaszystym gestem.

- Będzie powtórka.

Ujrzeni odbicie Ziemi w szklanym okienku hełmu. Patrzyli, jak kosmonauta posuwa się naprzód lekko i niezdarne, toporny jak na dziecięcym rysunku - lśniąca okrągła głowa;

ograniczone ruchy ramion i nóg w białej powłoce, w miejscu stawów łączonej przegubami; powolny, podskakujący na nierównościach pojazd gąsienicowy z flagą USA, którą Armstrong zatknął w Morzu Spokojności. To działo się naprawdę. Tam w górze. A my obserwowaliśmy to z Ziemi. Na ekranie w salonie.

Jack z impetem postawił krzesło z powrotem w pozycji pionowej, zerwał się i ruszył do drzwi. Mimi nie zwróciła na niego uwagi, lecz Madeleine zawołała: - Tato, nie będziesz dalej oglądał?

- Po co? Już zrobił swoje, koniec, kropka.

Madeleine była wstrząśnięta.

- Tego, co najważniejsze, i tak nie pokażą - oświadczył Jack.

Mimi sięgnęła po papierosa, Madeleine siedziała spięta. Nie znosiła rodzicielskich kłótni. Matka była jak ptak z filmu Hitchcocka, zatapiała swoje czerwone szpony w głowie ojca. Nic dziwnego, że nie miał dla niej cierpliwości. Przechodziła menopauzę - te „trudne dni” w miesiącu, tylko że ciągnące się bez końca, skwitowała cierpko Madeleine w myślach, obserwując napiętą twarz matki. Od wyjazdu Mike'a w domu trochę się uspokoiło, ale atmosfera wciąż była duszna. Krepująca.

Ojciec mówił dalej, odnosząc się do telewizji, żeby Madeleine wiedziała, że to nie na nią wylewa swoją gorycz. - Ci faceci, jeżeli nie spłoną przy wejściu w atmosferę, zaliczą miękkie lądowanie w oceanie i zostaną bohaterami uroczystej parady, i wszyscy będziemy udawać, że fascynują nas kamienie z Księżyca, ale nikt nie zapyta, jak było naprawdę.

- Jak to? - Madeleine usłyszała w jego głosie nową nutę albo po raz pierwszy zwróciła na nią uwagę. Jakby użalał się na sobą. Wprawiało ją to w zakłopotanie i odstręczało.

- Nikomu nie zależy na poznaniu całej prawdy o tym, jak do tego doszło, że tam poleciecieli - zadarł kciuk do góry, na policzkach wystąpiły mu czerwone plamy. - Hipisi skarżyli się na brutalne traktowanie przez policję, domagali się uwolnienia tego czy tamtego, paplali o psychodelicznych wizjach, a to wszystko działo się tuż pod ich nosami.

Ten głos nie należał do jej ojca. Jej ojciec wyrażał opinie, czasami stanowczo, ale zawsze z życzliwością, poddając je pod dyskusję. A ten mężczyzna biadolił.

- Chcesz wiedzieć, gdzie rozpoczęto prace nad budową raket? - zapytał, ściągając usta.

- Tak - odparła niepewnie Madeleine.

- Słyszałaś kiedyś o Dorze?

- O kim?

- Czego oni was teraz uczą w szkołach? Socjologii i wyplatania koszyków, Boże, miej

w opiece dzisiejsze pokolenie...

- Ciii - syknęła Mimi.

Walter Cronkite nawiązał kontakt z Centrum Lotów Kosmicznych Marshalla, gdzie przy mikrofonie czekał Wernher von Braun. Jack wyszedł z pokoju.

Później tego wieczora Madeleine zapytała ojca o Dorę, ale on machnął lekceważąco ręką. - To stare dzieje.

- Tato, jesteś na mnie zły?

Roześmiał się. - Skąd ci to przyszło do głowy? Powiem ci coś, masz szczęście, że należysz do tego zbuntowanego pokolenia. Kiedyś ich wszystkich rozliczycie.

Zaprosił ją na film *Butch Cassidy i Sundance Kid*. Mimi została w domu. Nigdy nie chodziła z nimi do kina.

Kiedy wrócili, *Maman* już leżała w łóżku. Jack przygotował im grzanki z sardynkami, z przełamanym na pół ogórkiem, mocno posolonym. Pokarm bogów. Dyskutowali o tym, jak powstało życie; o tym, czy można się dopatrzeć w tym wszystkim jakiegoś celu, jakiegoś ładu; o naturze czasu i złudzeniu, że posuwa się naprzód. Nalał jej whisky i pokazał, jak należy ją sączyć. Szkoci to najbardziej cywilizowany naród na ziemi, ustępują tylko Irlandczykom, od których się wywodzą; zawdzięczamy im golfa, whisky i księgowość. Roześmiał się i błysnął swoim złotym zębem. Zapytał ją, co chciałaby robić za pięć lat.

- Występować w telewizji - odparła.

Wziął serwetkę, wyjął ogryzek ołówka z puszki stojącej obok telefonu, w której Mimi przechowywała przybory do pisania, poślinił końcówkę i narysował sieć działań.

- Jaki będzie twój pierwszy krok?

Biadolący mężczyzna odzywał się raz po raz, ale Madeleine oddzielała go od osoby swego ojca. Natomiast nigdy nie przyszła jej do głowy myśl, że ta napastliwa i zrzędliva kobieta to kto inny, a nie jej matka.

Madeleine wraca do domu po skończonej sesji terapeutycznej. Idzie pieszo, prowadząc rower przez uliczny bazar o nazwie Kensington Market. Postanowiła nie jechać, świadoma, że nosi w sobie coś, czego nie wolno narażać na wstrząsy. Wyobraża sobie zbiór starych drewnianych klocków z literami alfabetu - A na spłowiałym czerwonym tle, niebieskie M, obojętne D... Tworzą chwiejny stos, który lada chwila może się rozsypać od trzaśnięcia drzwiami, kroków dorosłej osoby.

Otoczają ją odgłosy i widoki typowe dla bazaru, podnosi ją na duchu bijący zewsząd tandetny przepych. Podrygują pióra, omiatane podmuchami wzbudzonymi przez stawiane

kroki, uliczki zaczipowane są samochodami, zdany na łaskę przechodniów, równie nieważnych jak gołębie. Madeleine spogląda na drzewa, widać już na nich pąki, rynek też rozkwita bukietem zapachów w ciepłe kwietniowego dnia - *empanadas*, kurze łajno, sery pleśniowe. Wpływy karaibskie, portugalskie, południowoamerykańskie, punkowcy, niewydarzeni artyści, starsza pani, która mieszka w tym domu od 50 lat, Koreańczycy, Włosi, Grecy, Wietnamczycy... Władze Toronto trąbią o aspiracjach miasta do „światowej ligi”, w centrum powstają nowoczesne budowle, świadectwa dobrobytu lat osiemdziesiątych - gmachy banków ze złotymi tablicami, wieża telekomunikacyjna. Ale tak naprawdę Toronto osiąga status „światowego miasta” właśnie w tym miejscu, gdzie postanowili wspólnie osiedlić się ludzie z różnych stron świata.

Madeleine skręca w Baldwin Street, chroniąc się w cieniu nadpleśniałych markiz. Nawet jeśli większość trzymanyh tu zwierząt przeznaczonych jest na ubój, przynajmniej można usłyszeć wydawane przez nie hałaśliwe odgłosy, zobaczyć, jak przechadzają się po podwórkach. W sklepie rybnym ogromne żółwie poruszają się niczym żywe głazy; skazane na zagładę homary przepychają się w zbiornikach; jasne pstrągi i tuńczyki wylegają się na łożach z pokruszonego lodu, spoglądając pusto swym jedynym widocznym okiem. Narysowane na witrynie sklepu mięsnego uśmiechnięte trio złożone z prosiaka, cielaka i kurczaka pręży się dumnie nad zapewnieniem *Żywe i zabijane na miejscu*; powieszony za nogi, obdarte ze skóry królik wygląda jak koty - tu nie ma udawania. Tu niczego nie podaje się w styropianowych skorupach, z wymazaną przeszłością, po kopytach i uszach ani śladu. Z przetworzonej żywności można tu jedynie dostać słoik z sosem Krafta do kanapek, ale trzeba zetrzeć z wieczka grubą warstwę kurzu. Piętrzą się warzywa, puszki z orzechami i ryżem mogłyby zadusić dorosłego człowieka, gdyby się na niego przewróciły. Można tu też zakupić cały asortyment z katalogu Doca Martensa, flanelową koszulę w kratę, pomarańczową odblaskową kamizelkę i mocno wycięty na plecach podkoszulek z poliestru, i to za niecałe pięćdziesiąt dolców.

Od wschodu Kensington Market graniczy z chińską dzielnicą, która posuwa się ulicą Spadina Avenue, w ślad za wycofującą się na północ falą zamożnych wschodnioeuropejskich Żydów; na miejscu koszernych delikatesów powstają przybytki serwujące kaczkę po pekińsku, bele sukna ustępują haftowanym smokom. Teraz bagietki opiekają i przybierają marynowanym łososiem panie dopiero co przybyłe z Hongkongu. Domostwa i firmy trzymają się blisko siebie, malowane na szyldach napisy są żywcem tłumaczone z języka ojczystego - restauracje i poradnie walki z nadwagą oddane jako „Kantory z pożywieniem” i „Ośrodki niebezpiecznej figury”. A do tego zagadkowe zagęszczenie szkół nauki jazdy.

Stojący u zbiegu ulic drewniany słup telefoniczny naszpikowany jest pinezkami, wczepionymi w skrawki ulotek, wydartych, żeby zrobić miejsce dla świeżej paplaniny - *Cruise won, Prawo wyboru dla kobiety, Naucz się myśleć po hiszpańsku!, Przegląd dorobku Rega Harta, Nasłoneczniony apartament w suterenie, Czy ktoś widział naszego kotka?, Koncert Vile Tones w Cameron, Aborcja to zbrodnia!, Czwartkowa noc lesbijek*. Jej uwagę zwraca nowy lśniący plakat, przedstawiający trzy kobiety w dobranych gustownych kostiumach, niemal prosto z filmów *noir*, a w tle napierająca krzywizna ratusza. Trwają wybory burmistrza. Pewniakiem jest polityk Art Eggleton. Kobiety na plakacie biorą udział w kampanii prowadzonej przez alternatywny multimedialny zespół teatralny o nazwie Video Cabaret. Ich hasło wyborcze brzmi: *Sztuka przeciw sztuce*.

Toronto to wielka komoda z przepastnymi szufladami, przeżywająca swój okres świetności - jest dość środków na wspieranie artystów, tyle że artystów jest za mało, jest dość miejsca, żeby pomieścić wszystkich walczących o miejsce, żeby przyjąć napływających masowo imigrantów uciekających z zagrożonych obszarów świata.

Przy Spadina i wzdłuż King Street stare fabryki tekstyliów - mające swój początek w chałupniczych warsztatach urządzonych na zaadaptowanych strychach - teraz prezentują swoje nowe wcielenia jako ogromne hale do prób teatralnych i nielegalne atelier, gdzie w szparach między deskami podłogowymi wciąż tkwią tysiące szpilek krawieckich. W jednym z takich przybytków - The Darling Building - Madeleine i Olivia pracują nad sztuką pod tytułem *Jeleń*. Oszałamiający, mrozący proces zwany twórczością zespołową. Madeleine czuje się w tej roli tak obco, jak te kobiety z Hongkongu w sklepie z bagielkami, kiedy stali klienci, mocno pomarszczeni, stają przy ladzie i domagają się, żeby podać im *knish*.

Olivia zaprosiła Madeleine do udziału w przedstawieniu, które ma być feministyczną wersją tragedii *Ifigenia w Taurydzie*.

- Nie lepiej zatytułować to *Śmierć w wędzarni?* - zaproponowała Madeleine.

- Moim zdaniem to sztuka o kolonializmie - odparła Olivia, a Madeleine skinęła głową z uznaniem.

„Teatr alternatywny” ma się do sceny komediowej mniej więcej tak jak pięść do nosa, ale Christine nalegała i w końcu Madeleine oddała się temu całym sercem, chociażby dlatego, że Olivia potrafi z takim wdziękiem ją adorować i zarazem nie zgadzać się ze wszystkim, co Madeleine powie. *Jeleń* osadzony jest w zmiennej scenerii przywołującej na myśl jednocześnie las tropikalny i Kobięcy Obóz Pokoju założony na terenie opuszczonej bazy lotniczej USA w Greenham Common. Olivia opracowuje z kompozytorem tło muzyczne, osnute na motywach muzyki barokowej i jazzu latynoskiego. Posiłkują się też dialogami z

filmu *Dr Strangelove*. Wczoraj, na przykład, improwizowały scenę, w której jeleni złapany w światło reflektorów samochodowych przesłuchiwany był po hiszpańsku i po angielsku. „Czy należysz lub kiedykolwiek należałeś do Sandinowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego?”. „Czy jesteś zmęczony i niespokojny?...”. Wydaje się to Madeleine dziwnie urzekające, ale nie chce się do tego przyznać przed Olivią. Rola Madeleine - jako jelenia właśnie - jest czysto fizyczna.

- Po co mnie do tego zaangażowałaś? - zapytała Madeleine.
- Bo dobrze sobie radzisz z fabułą i postacią.
- Myślałam, że to przedstawienie awangardowe, bez akcji, bez humoru.
- Sama widzisz, dlaczego jesteś mi potrzebna.

Poszły do kawiarni Free Times, gdzie Olivia postawiła jej piwo i wypytywała ją o zdanie na każdy temat, pomimo zastrzeżeń Madeleine, że nie zna się za bardzo na sztuce. Olivia to szałowa, nawet jeśli trochę „odjechana”, intelektualistka. Całkowite przeciwieństwo typowej sekretarki z lat pięćdziesiątych, której szef mówi: „Panno Smithers, proszę zdjąć okulary. A teraz proszę powyciągać spinki z tego sztywnego koka”. I *voilà*, mamy seksbombę. Madeleine słuchała jej, zezując jednocześnie jednym okiem - w ten sposób dawała do zrozumienia, że jest uczulona na intelektualne gadki, które są ulubionym konikiem Christine i Olivii.

- Ale przecież ty jesteś intelektualistką, Madeleine.

W odpowiedzi Madeleine zrobiła swoją popisową minę pacynki. Olivia się roześmiała, ale nie dała za wygraną, dopóki nie nazwała rzeczy po imieniu i nie przełamała wszystkich, tak drogich sercu Madeleine, uprzedzeń.

- Cały czas obcujesz z ideami, chcesz coś przekazać ludziom.

Olivia ma krystalicznie niebieskie tęczęwki w czarnej otoczce; jej oliwkowa cera wydaje się przy nich lśnić.

- Nienawidzę się sprzeczać, dlaczego się z tobą sprzeczasz?

Olivia odparła rozumnie: - Rozmawiamy ze sobą, ja zadaję ci osobiste pytania, uwielbiasz to.

W kąciку jej ust widać wcięcie, ślad po uśmiechu. A na twarzy cienie wytrawione przez szczęście; taką twarz ukaże światu, kiedy się postarzeje.

- Co?
- Co „co”?
- Właśnie odpłynęłaś gdzieś myślami.
- Ach tak? Cóż... nie możesz mi tego zabronić, jestem wolnym człowiekiem.

Madeleine postanawia usiąść na chwilę i zamówić kawę. Olivia zajmuje dwa górne piętra uroczo niszczonej kamienicy, nad barem i grillem. Christine jest asystentką na uczelni, kilka lat od niej młodsza Olivia była jej studentką. Kiedyś mieszkała u Christine „na waleta”. Christine żywiła ją, czasami nawet dawała ubrania: „Proszę, możesz to wziąć, ja już chyba nigdy w to nie wejdę”. Obecnie Olivia ma stały adres i miesiąc temu zaprosiła Madeleine i Christine do siebie na obiad. Przyrządziła wegetariańskie chili; siedziały przy długim stole razem z jej pięcioma mocno niedomytymi współlokatorami. Madeleine nigdy nie rozumiała, na czym polega urok życia w takiej wspólnotce, a Christine, mimo że szanuje wegetarianizm, w środku nocy zerwała się zmożona głodem, przygotowała kanapki z bekonem i sałatą i droczyła się z Madeleine: „Olivia na ciebie leci”. Ale Madeleine wiedziała swoje. „To od ciebie nie odrywa oczu. Poza tym nie jest w moim typie”.

Madeleine siada przy obsranym przez ptaki stoliku przed Café La Gaffe i zamawia cappuccino. Podczas tej wegetariańskiej uczty wyszło na jaw, że matka Olivii jest Algierką, a jej ojciec pastorem. Olivia ma niebieskie oczy i mówi po francusku z arabskim akcentem. Madeleine nie musi jej tłumaczyć, co znaczy sprzeczność.

Z głośnika dolatuje skrzeczenie Marianne Faithful: *It's just an old war, not even a cold war, don't say it in Russian, don't say it in German...*

Madeleine podnosi z chodnika puste pudełko od zapalek i wciska je pod żelazną nogę chwiejnego stolika. Okładka na pudełku obiecuje *Start, jakiego nie zapewni ci Colleen*. Madeleine mruży oczy. *College*. „Powiedz to łamaną angielszczyzną...”.

Ponad dachami, pomiędzy drapaczami chmur widać wieżę telewizyjną. Madeleine czuje woń czterech stron świata. Obok stolika przechodzi staruszek z papugą, która potrafi przeklinać. Nosi ją na głowie.

- Cześć, George - mówi Madeleine.

Papuga odwraca się do niej i odpowiada serdecznie: - Spieprzaj.

Madeleine się śmieje, prosi kelnera o długopis i sięga po serwetkę.

Podczas rozmowy w szpitalnym pokoju kardiolog oznajmił Jackowi i Mimi: - W takich przypadkach mamy trzy możliwości. Pierwsza to przedłużyć życie pacjentowi drogą operacyjną. Druga to poprawić jego stan zdrowia środkami farmakologicznymi. Trzecia to ustabilizować stan pacjenta i ulżyć mu w cierpieniu za pomocą środków farmakologicznych i... tlenu... i tak dalej. W pańskim przypadku, panie McCarthy, dwie pierwsze możliwości nie wchodzi w grę.

Lekarz wyglądał jak dziecko.

Jack poczuł, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Pomyślał: *Wysyłasz mnie do domu na śmierć, wielkie dzięki, kolego.* Skinął głową i powiedział: - Rozumiem.

- Na pewno da się coś jeszcze zrobić - odezwała się Mimi.

- Niestety nie, pani McCarthy, ale nie ma powodu, żeby pani mąż nie cieszył się...

- *C'est assez, merci* - przerwała mu i odwróciła się do niego plecami.

Lekarz zaczerwienił się. Jack puścił do niego oko i uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Cóż... zatem do rychłego zobaczenia - powiedział młodziutki lekarz i wyszedł.

Rzecz nie sprowadzała się do zasięgnięcia drugiej opinii. Ten lekarz był trzecim specjalistą, do którego się zwrócili - Mimi nie spoczęła, dopóki nie użyła wszelkich możliwych sposobów i nie wywiedziała się, który chirurg jest dobry, a który to zwykły rzeźnik.

- I co ja mam z tobą począć, *Monsieur*? - spytała, patrząc mu w twarz. Jack wyszczerzył się do niej; Mimi próbowała się uśmiechnąć, zamknęła oczy, zacisnęła pięści, aż poczuła, jak paznokcie wbijają się jej w dłonie, a gdy pierwsze łzy właśnie miały spłynąć spod powiek, poczuła, że obejmują ją jego ramiona.

- Nie wolno ci wstawać.

- Kto tak powiedział?

Zaśmiał jej się cicho do ucha, przycisnął ją do siebie na tyle, na ile się odważył, uważając na rurki do kroplówki przyłączone do nadgarstka. Czuł jej ciepło. Zapach lakieru do włosów i Chanel. Wciąż taka miękka.

Jak kończy się czterdziestoletnia historia miłości? Tyle miłych chwil. Tyle wspomnień. Pamiętasz, moja pani? Pamiętam - *je me souviens*.

Jakie to uczucie, kiedy tak wiele z tego, co cenimy, należy do tak odległej przeszłości? Spoczywa w niej jak w szufladzie, od dłuższego czasu zapieczętowanej. Otwórz ją, a wzbije się z niej pamięć, miłość, wolna od smutku i wspomnień ciężkich chwil. Jak to możliwe? Przeżyli lata Wielkiego Kryzysu. Przeżyli wojnę. Jak to się dzieje, że tamten czas jawi się rajem? Jak to się dzieje, że roztacza woń bzu i świeżo skoszonej trawy? To słoneczne miejsce. Okres powojenny. *Mieć dzieci. Robić wszystko, jak należy.*

Poruszali się niemal niedostrzegalnie. *Niezapomniana... taka właśnie jesteś... Dlatego, miła, to cud, że jak ze snu jesteś tu...*

Trwało to dłuższą chwilę. Zaglądając do pokoju przez okno z korytarza, trudno byłoby stwierdzić, które z nich płacze. Obejmując żonę, Jack doznał potężnego *déjà vu*, które zstąpiło na niego jak błogosławieństwo i przepełniło wdzięcznością, jakiej nigdy wcześniej nie czuł.

Mimi chciała powiedzieć Madeleine prawdę.

- Ty tu rządzisz - odparł Jack. - Ale pozwól, niech ja jej to powiem.

Kiedy tego dnia Madeleine zjawiała się w szpitalu, Jack oznajmił jej: - Wypisują mnie. Obejdzie się bez operacji.

Po powrocie z łazienki, gdzie poprawiła sobie makijaż, Mimi domyśliła się po wyrazie twarzy córki, że mąż niczego jej nie powiedział. Wyjęła *Scrabble*. Życie toczyło się dalej.

Wyperswadowali córce zbyt szybko ponowne odwiedziny. Jack nie chciał jej trwożyć widokiem maski tlenowej - była młoda, miała mnóstwo zajęć; lepiej niech najpierw on i Mimi przywykną do jego nowego „stylu życia”.

- Poczekaj, aż stanę na nogi - oświadczył jej przez telefon w lutym. - Wybierzemy się na soczysty stek. Pod warunkiem, że *Maman* mnie puści.

W marcu powiedzieli, że wybierają się do niej do Toronto, ale w ostatniej chwili Jack zadzwonił z wiadomością, że Mimi zachorowała na gripę. W kwietniu oznajmili: - Mamy zamiar pojechać do Nowego Brunszwiku w przyszłym tygodniu. Możesz wpadnieć do nas na weekend w maju?

SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

A kim ja właściwie jestem? Najpierw to proszę mi powiedzieć, a potem, jeśli mi się spodoba nim być, to wyjdę; a jak nie, to będę siedziała tu na dole, aż stanę się kimś innym...

Lewis Carroll, *Przygody Alicji w krainie czarów*

Kiedy Madeleine wróciła do domu w piątek wieczorem po sesji nagraniowej w studiu - po tym, jak przydarzyło jej się to „coś” w samochodzie - Christine czekała na nią z przyrządzonym przez siebie bakłazanem po parmeńsku.

- O rany, coś tu smakowicie pachnie - powiedziała Madeleine, mimo że nie była głodna.

Zjadła plasterek i Christine przygotowała jej kąpiel zapachową. Madeleine kilka godzin wcześniej brała prysznic i wciąż czuła się świeżo, ale Christine włożyła do wody płatki kwiatów.

- Dzięki, kotku.

Christine podała jej lampkę wina i zaczęła delikatnie, zmysłowo myć jej plecy. Wrażenie było takie, jakby ktoś tupał z całych sił, wprawiając w drganie przedmioty rozstawione na toalecie Madeleine. Zaraz coś spadnie i się potłucze.

- Chyba bierze mnie przeziębienie.

- Tak? - powiedziała Christine współczująco, odgarniając pasemko swoich długich falistych włosów, muskających powierzchnię wody.

- M-hm... Boli mnie skóra.

Christine upuściła myjkę, która z pluskiem wpadła do wanny, i wyszła z łazienki.

- To było... przyjemne, kotku, naprawdę - dzięki... - zawołała za nią Madeleine, jej własny głos brzmiał w jej uszach jak głos robota.

Śmierć pożądania to nieskończenie smutna sprawa. Pisz się książki, kręci filmy dokumentalne, płaci się terapeutom, a wszystko po to, żeby partnerzy znów poczuli do siebie pociąg. Może to tylko przejściowy odpływ fali uczucia, wykorzystajmy to, żeby zobaczyć, jakie skarby w tym czasie morze wyrzuciło na brzeg. Poznajmy się na nowo. Weźmy urlop.

I czasem powraca, albo powraca w stopniu wystarczającym dla jednego partnera, ale nie dla drugiego. Pożądanie jest wykrywalne przy tak niskich wartościach, że trudno stwierdzić, kiedy na dobre umarło. Pacjent jest sztucznie podtrzymywany przy życiu, ale „wciąż cię słyszy”. Kiedy się go odłącza od respiratora?

Madeleine zaczęła, aż w mieszkaniu nastanie cisza, i dopiero wtedy wyszła z wanny. Chciałaby, żeby Christine już spała, kiedy ona położy się do łóżka. Ale wtedy będzie musiała stoczyć walkę z pokusą obudzenia Christine, żeby dowiedzieć się, czy jest na nią wściekła. Jeśli Christine nie była na nią zła za ten drobny przejaw „braku empatii” w kąpielni, na pewno wpadnie w złość, kiedy Madeleine ją obudzi. Wiele energii spożytkuje Madeleine na to, żeby Christine przestała się na nią gniewać; może to wymagać dawki ovaltine i koniaku. A kiedy już Christine przekona Madeleine, że nie jest na nią zła, Madeleine może wykorzystać sytuację i ukarać Christine za to, że miała czelność pogniewać się na nią o taki drobiazg. Kara ta może polegać na chwilowym, niewinnym rozproszeniu uwagi - rzuceniu w roztargnieniu spojrzenia w stronę zasłoniętego okna przy odstawianiu parującego kubka.

- O co chodzi, Madeleine?

- Co...? Ach, o nic, to tylko... zresztą nieważne.

I rzeczywiste zarzuty Madeleine wobec Christine nie zostaną postawione wprost, lecz pod bardzo, bardzo ostrym kątem. Christine nigdy nie dowie się, co ją ominęło. Ale wyczuje to intuicyjnie. O trzeciej nad ranem.

- Nienawidzisz mnie, dlaczego to ukrywasz, Madeleine?

- Christine, dlaczego ni z tego, ni z owego znów się na mnie wściekasz?

I cykl zaczyna się od nowa.

W gruncie rzeczy Madeleine kocha Christine całym sercem, czułaby się okaleczona, porzucona na pastwę losu, gdyby miała ją stracić - czuje wszystko oprócz stałego erotycznego zainteresowania, które pozwala kochankom sprzeczać się zawzięcie, a potem przy śniadaniu, w najmiłszy pod słońcem sposób, brać swoje wzajemne uczucia za pewnik. I pozwala im nawzajem uszanować to, co obecnie nazywa się osobistą przestrzenią drugiego człowieka, ale w rzeczywistości jest po prostu nową wariacją na stary temat - prywatność. Prywatność jest sexy.

Związały się ze sobą, kiedy miały po dwadzieścia kilka lat. W tamtych czasach prywatność trąciła zakłamaniami, patriarchalnym zaskorupieniem. Madeleine poznaje teraz różnicę między tajemniczością a prywatnością. Nie ma z Christine prywatności, ale chowa przed nią wiele tajemnic. Christine wyczuwa je, jak pies kości, poukrywane w całym domu, i doprowadza ją to do szału. Madeleine ukryła swoje sekrety tak dobrze, że sama nie jest świadoma ich istnienia. Myszy zdychające w zakamarkach ścian, smród zgnilizny dolatujący z odpływu kanalizacyjnego.

Christine wyjdzie z sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Madeleine, wściekła na nią, że tak się od niej odcina, będzie walić pięścią w ścianę, a potem we własną głowę. W zależności od natężenia rozpętanej, ale nieuzasadnionej furii może dojść do tego, że Madeleine otworzy szufladę ze sztućcami, wyszuka najostrzejszy nóż i ostrożnie obejmie dłonią jego ostrze, powoli zaciskając ją, ale tak, żeby się nie zranić - bo jak to się stało, że krok po kroku wplątała się w związek z tą suką i teraz nie może się wyrwać z jej szponów? Potem otworzy lodówkę, żeby wyjąć butelkę wody mineralnej, i wżruszy się do łóżka na widok bakłażana po parmeńsku, ponieważ biedna Christine przygotowała go w najczystszych intencjach i z miłością.

Kiedy w tę piątkową noc odegrały kolejne przedstawienie według podobnego scenariusza, Madeleine nie przyszło do głowy, żeby zwierzyć się Christine z tego, co przydarzyło jej się w samochodzie w drodze powrotnej do domu.

- Nie uznaję żadnego „uzdrawiania”, jasne? - oświadcza Madeleine na sesji terapeutycznej, kładąc na biurku Niny czek z zapłatą za następne sześć spotkań z góry. - Nie chcę, żebyś przerobiła mnie na wegetariankę. Nie chcę też po zakończeniu terapii wyjść stąd

jako heteryczka. Chcę być sobą, taką jaką jestem, tylko żebym znów mogła jeździć samochodem. No i pracować.

Siada na fotelu obrotowym, odchyła się do tyłu i splata ręce.

- Nie chcesz przejść na wegetarianizm ani zmienić orientacji na heteroseksualną... - mówi Nina.

- Właściwie nie mam nic przeciwko wegetarianizmowi, nawet mnie pociąga. Chodzi głównie o to drugie, mam awersję do owłosionych nóg.

Nina mruży oczy.

- To chyba miał być uśmiech - mówi Madeleine. - Albo się na mnie obraziłaś, bo pod tymi lnianymi spodniami chowasz futerko, którego nie powstydzilby się yeti.

Nina się uśmiecha i odpowiada: - Madeleine, ośmielę się zauważyć, że powodem, dla którego do mnie przychodzisz, nie jest ani twoja dieta, ani twoje skłonności seksualne, ani twoja praca. Ani nawet twoje zachowanie za kierownicą.

- Więc dlaczego tu jestem?

- Mam nadzieję, że wspólnie do tego dojdziemy.

- Nie, proszę cię, jako doświadczona terapeutka zaryzykuj i postaw śmiałą hipotezę.

- Chcesz iść naprzód - mówi Nina. - Ale coś cię hamuje. Masz wrażenie, że powinnaś wiedzieć co, ale nie potrafisz tego dostrzec. To tak, jakbyś próbowała rozpoznać słonia, widząc jedynie jego mały fragment.

Madeleine odczuwa nieokreśloną przemożną chęć. Odpoczynku. Ta perspektywa uświadamia jej na nowo, jak bardzo jest znużona.

- Albo górę, którą mam pod samym nosem - mówi.

Wiadomość, że Madeleine rozpoczęła terapię, wywołała u Christine mieszane uczucia.

Z jednej strony: - To dobrze.

- Dlaczego? - spytała Madeleine. - Uważasz, że muszę się leczyć?

- Uważam, że masz... problemy.

- *Gesundheit.*

Z drugiej strony: - Czy to po prostu sprytny wybieg, żeby ode mnie odejść?

- Co takiego? Christine, jak możesz...?

Gdyby Madeleine była Christine, odparłaby: „Dlaczego wszystko zawsze odnosisz do siebie?”. Ale Madeleine nie przychodzą do głowy żadne błyskotliwe repliki. Chyba że stoi na scenie przed tłumem obcych ludzi na widowni.

- Christine, nie wiesz, gdzie są moje klucze?

- A gdzie je zostawiłaś?

Nie o to pytałam.

- Masz je przed oczami, Madeleine.

I rzeczywiście.

- Jak myślisz, Madeleine, dlaczego do mnie przychodzisz?

- Łety, doktołku, gdybym wiedziała, tobym szę u ciebie nie zjawiła.

- Brawo.

- Dziękuję.

- Zupełnie jakbym słyszała Bugsa.

- Mam ci zademonstrować Woody'ego Woodpeckera?

- Widziałam cię w tej roli.

- Ach tak. Racja, przecież oglądałaś Telewizję po Lekcjach.

- Widziałam cię również na żywo.

- Śledzisz każdy mój krok czy co?

Nina kwituje to uśmiechem.

- Chcesz zobaczyć mój numer z niesynchronizowanym śmiechem pacynki niegodziwego brzuchomówcy? - mówi Madeleine.

- Już widziałam.

- Mam ci to zaprezentować nago?

- Widziałam, jak robisz to w toplessie.

- Och. Przeróżające, co?

- To było strasznie śmieszne. Madeleine...

- Jesteś Amerykanką?

- Pochodzę ze Stanów.

- Skąd?

- Z Pittsburga.

- Moje kondolencje.

- To całkiem miłe miasto.

- Akurat.

Nina się uśmiecha. - No, nie takie złe.

- Chodzi mi o to, że nasz związek, wchodząc w nową fazę, dojrzałą i... głębszą, nieuchronnie się... zmienia.

- Powiedz to wprost, Madeleine, zrywasz ze mną.

- Co? Nie! Christine, możemy nadal... razem mieszkać, możemy jeździć na wycieczki.

Christine przewraca oczami, nalewa sobie następną lampkę wina i nawet nie odstawia butelki. W przyszłym tygodniu ma obronę swojej pracy magisterskiej. Madeleine nie cierpi siebie za to, że chciałaby, żeby Christine schudła o pięć kilogramów - takie życzenia nie przystoją feministkom.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- To znaczy jak? - pyta Madeleine z niewinnym roztargnieniem, jej myśli obracają się wokół pewnej osoby...

- Jakbyś mnie nienawidziła.

...jej ojca. - Wcale cię nie nienawidzę.

Christine, zza kieliszka, piorunuje ją wzrokiem. Madeleine czuje się jak podła oszustka, która wie, że kłamie, ale nie potrafi dokładnie określić, gdzie kryje się kłamstwo, więc sama siebie rewiduje, żeby je odszukać.

- Po prostu uważam, że powinniśmy dać sobie swobodę, żeby...

- Pieprzyć się, z kim popadnie - przerywa jej Christine. - Przecież o to ci chodzi, powiedz to, przecież płacą ci za mówienie okropnych rzeczy. No dalej, Madeleine, powiedz to tym swoim śmiesznym głosem.

Christine ma rację. Ale Madeleine nie potrafi wyjść poza ramy przypisanego jej scenariusza.

- Gdzie ty się wybierasz?

- Po śmietanę.

- Gówno prawda, czy ty możesz choć przez chwilę nie kłamać? „Cześć”, skłamała.

- Skończyła się nam śmietana.

- Skończyło się nam wiele rzeczy.

Madeleine ma wrażenie, jakby wiodła podwójne życie. W domu odrażający, obwiniający się troll. A dla reszty świata cud-miód, dziecko szczęścia. Osoba, przy której inni są na luzie. Osoba, która wygląda jak, wypisz, wymaluj, „siostra mojego kuzyna/mojego najlepszego kumpla z liceum/mojego chłopaka, może ją znasz”. I na potwierdzenie skwapliwie wyciągane są z portfeli i z torebek zdjęcia; za każdym razem zdumiewa Madeleine całkowity brak fizycznego podobieństwa, i za każdym razem uśmiecha się i mówi: „Kurczę, to niesamowite”. Madeleine to „swój chłop” w żeńskim wydaniu. Może dlatego tyle rzeczy uchodzi jej na sucho. Dlatego widownia chętnie podąża za nią tak daleko od domu. Dlatego wydaje się, że jest tak wiele różnych Madeleine. Podczas gdy ona boi się, że może nie ma ani jednej. Szczurołap bez fletu.

- Kto to jest Maurice? - pyta Nina, ważąc w dłoni gładki różowy kamień w kształcie jajka.

- Tylko nie to.

- Co takiego?

- Nie mieszaj do tego mojej pracy.

Nina czeka.

- Wymyśliłam go, na tym polega moja praca. Bez przerwy wymyślam okropne dziwactwa, za to mi płacą.

Nina czeka.

- W pewnym sensie pierwowzorem Maurice'a jest obleśny nauczyciel, który mnie uczył w podstawówce.

Pad thai zawsze kojarzyć się będzie z małżeńskim rozdźwiękiem.

- Taka jesteś rozmowna wobec innych, udawajmy, że jestem nieznajomą, Madeleine. Udawajmy, że jestem kelnerem, do cholery.

Nigdy nie powiedziała Christine o panu Marchu. Właściwie nikomu o nim nie powiedziała. Co tu gadać? Sprośny staruch, o którym Madeleine już nigdy nie myśli.

Madeleine to nałogowa flirtciara. W dzisiejszych czasach modne są zaburzenia - ludzie obnoszą się z nimi jak ze sprawnościami harcerskimi naszytymi na mundurki - a na tym polega jej zaburzenie. Jako facet byłaby kutasem, a tak mówią o niej „urocza osóbką z ikrą”, „odrzutowy chochlik”, na dowód czego Madeleine może pokazać artykuły prasowe. Tłumaczy sobie, że dopóki flirtuje na oczach Christine, to nie ma znaczenia. I nigdy nie wynika z tego nic poważnego, żaden romans. Z wyjątkiem tego jednego razu, ale to się nie liczy. Plus to, co się zdarzyło w Nowym Jorku.

W głębi duszy Madeleine wie, że tak naprawdę jej nałóg polega na rozstawianiu furtek do odwrotu. Króliczych nor. Flirtowanie to długi knot na lasce dynamitu, który niechybnie wybuchnie, rozrywając na strzępy twoje dotychczasowe życie i przenosząc cię do nowego. Uciekają się do tego ludzie, których przeraża uwięzienie w związku - a jeszcze bardziej przeraża ich porzucenie. Uciekają się do tego ludzie, którym seks z bliską osobą coraz bardziej przypomina gmeranie w ich otwartych ranach, gdy leżą rozciągnięci na wybebeszonym siedzeniu roztrzaskanego samochodu.

Podobno wciąż na nowo powielamy w życiu wzorce, dopóki nie odkryjemy, co to za wzorce. Madeleine jest zbyt zajęta, żeby to zgłębić. To fajna zabawa, ale prędzej czy później ktoś przypląca to wybitym okiem.

- Christine, gdzie moje...

- Leżą na samym widoku.

Christine wie bez patrzenia.

- Coś ze mną jest nie tak? A może ty też śmiertelnie się nudzisz?

Nina milczy.

- Może się trochę rozerwiemy? Co powiesz na małe zbliżenie na tym twoim ręcznie tkanym boliwijskim dywanie? - Madeleine wydmuchuje dym z wymyślnego cygara. - Nie bój się, nie jesteś w moim typie.

- A jaki jest twój typ?

- No wiesz, rozwichrzone włosy jak na obrazach preraphaelitów, skłonność do ciut zbyt częstego zagładania do kieliszka, zaległa praca do napisania i gwałtowne usposobienie.

- Christine jest gwałtowna?

- Nieee, po prostu kiedy doprowadzam ją do szału, zdarza się, że - Madeleine wyszczerza zęby - trochę ją ponosi.

- Jak to wygląda?

Madeleine myśli chwilę, po czym zrywa się i dopada z wyciągniętymi rękami do gardła Niny. - Tak! Nina ani drgnie. Madeleine się śmieje.

- Christine cię dusiła? - pyta Nina.

- Cóż - odpowiada Królik Bugs. - Moi przyjaciele już tacy są, chwytają mnie za gardło.

Nina czeka.

- Słuchaj, nie przychodzę tu, żeby drażnić sprawę mego związku, nie ma ludzi doskonałych. Nie szukam u ciebie pretekstu do tego, żeby rzucić moją partnerkę, z którą przeżyłam siedem lat. Ale co to? Widzę u ciebie chętkę.

Nina milczy.

- To znaczy chustkę. Twoja robota? Ładna, pewnie jesteś dumna.

Nina się nie odzywa.

- „Dusi” to za mocno powiedziane.

- Zakładała ci ręce na szyję?

- Raz, może dwa.

- Zaciskała je?

- Na krótko. Ale to nic groźnego. Ona bardziej to przeżywa ode mnie. Zresztą to moja wina, znam jej wszystkie czułe punkty.

- Możesz mi to opisać?

- Na przykład raz... - Madeleine bierze głęboki oddech. Nigdy nikomu się z tego nie zwierzała, a teraz kiedy przypadkowo poruszyła ten temat, sprawa przedstawia się inaczej. Wygląda brzydko. - No... skrytykowałam jej fasolkę po meksykańsku i straciła panowanie nad sobą.

- Jej fasolkę po meksykańsku?

Madeleine kiwa głową. Przez twarz Niny jakby przemknął cień uśmiechu i Madeleine czuje, jak mimo woli rozciągają jej się kąciki ust. Opowiada resztę tej historii przez łzy radości.

Christine żyła w ciągłym napięciu z powodu swojej pracy magisterskiej. Wykrzyczała Madeleine prosto w twarz: „Nie masz za grosz wrażliwości!”. Wtedy, jak na komendę, w Madeleine wstąpił demon i zaczęła dowcipkować - *provokować*, jak określiła to Christine.

- Madeleine, kiedy ty wreszcie dorośniesz?

- Mam tylko dwa latka - zaćwierkał Tweedy.

- Zamknij się, Madeleine, proszę cię!

Madeleine zaśmiała się głosem Woody’ego Woodpeckera i hejże ha - *osiągnęłam wyżyny mojej sztuki, doktołku*. Wokół jej szyi zacisnęły się ręce, Christine, krzycząc, dusiła ją. Trwało to kilka sekund. Istnieje coś takiego jak psychodrama. Tu odegrana została psychokomedia.

Madeleine podsumowuje, głosem męskiego sprawozdawcy: - Tak naprawdę nigdy nie chodzi wyłącznie o fasolkę po meksykańsku.

- Co zrobiłaś, kiedy zaczęła cię dusić? - pyta Nina.

- Po prostu stałam... no wiesz... stałam spokojnie.

- Spokojnie?

- Tak. Nawet obojętnie. Jakbym czekała, aż to się skończy.

- Jakby to było znajome doświadczenie.

Madeleine spogląda na Ninę. Czuje, jak ziębną jej ręce. - Skąd to przypuszczenie?

- Sądząc po tym, jak opisujesz swoją reakcję, wcale nie byłaś zaskoczona.

Madeleine bierze głęboki oddech. - W pewnym sensie poczułam ulgę...

Te słowa same jej się wyrwały. Nina kiwa głową.

- I co ty na to, doktoru? - odzywa się po chwili Madeleine. - Jestem masochistką czy coś w tym rodzaju? Oczywiście nie mówię tu o wyborze zawodu komika, bo to się rozumie samo przez się...

W końcu Nina przerywa milczenie. - Nie uważam, żeby określenia w rodzaju

„masochistka” cokolwiek wyjaśniały. Zwłaszcza w odniesieniu do kobiety - czy w ogóle do kogokolwiek.

- To moja wina, drażnię jej czułe punkty.

Nina nalewa sobie źródlanej wody z dzbanka.

- Co ty o tym sądzisz?

Nina wypija łyk wody. - Sądzę, że Christine ma wiele czułych punktów.

Madeleine się śmieje.

- Opowiadałaś komuś o tych atakach?

Madeleine wypręży się, jakby ktoś wymierzył jej policzek, żeby ją ocucić. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że ręce Christine zaciśnięte na jej szyi, łupnięcie jej czaszką o ścianę czy coś takiego może być uznane za pogwałcenie jej osobistej nietykalności. Madeleine występuje w benefisach na rzecz schronisk dla kobiet, jest postrzegana jako aktywna feministka zarówno przez kontrkulturę jak i główny nurt, wyzwolona uwodzicielska lesbijka w kosztownej podniszczonej skórze.

- To nie są ataki - mówi.

- A jak byś to nazwała?

Madeleine czuje suchość w ustach, ale nie ma teraz ochoty na źródlaną wodę.

- O rety, to dopiero *scandale* - cedzi. - Feministyczna intelektualistka spuszcza lanie komicznej kochance! Nic do śmiechu!

- Madeleine...?

- Przemoc wśród kobiet: obmierzła hydra nienawiści podnosi łeb.

- Moje słowa wytrąciły cię z równowagi?

- Czy nie dlatego ich użyłaś?

Madeleine ma świadomość, że jej zachowanie jest przewidywalne: przechodzi kolejne etapy: zaprzeczenie, wyniosłość, uzalanie się, obrzydzenie do siebie. Jak w podręczniku psychologii.

Zrywa się, łapie plecak, mrużąc: - Po cholere mi to gówno?

I wychodzi.

Madeleine zawsze podziwiała wprawę, z jaką Bugs uciekał przed zagrożeniem, dając nura do którejś ze swych nor i przemieszczając się pod ziemią. Dla niej rolę króliczych nor odgrywała praca. Zawsze kilka projektów w zanadru, przygotowane trasy ucieczki i sieć łączących je tunele; wystawienie głowy na środku marchewkowego pola, napychanie się, a gdy pada strzał, Madeleine robi unik, wzniecając biały obłok, i zwiewa, rozglądając się za tym zjazdem po lewej do Albuquerque. Przez jakiś czas zdawało to egzamin, w jej życiu

zawodowym i osobistym. Potem zaczęło jej się przydarzać to „coś”, a terapia miała być z założenia kolejną króliczą norą. Ale okazuje się, że tej nory nie wykopał Królik Bugs. Ten podkop był dziełem Marcowego Zająca, pana Marcha.

Maurice siedzi przy ozdobnym sekretarzyku. Bije od niego intensywność wyprana z wszelkiego wyrazu. Obok niego wisi połączana klatka z wypchanym ptakiem. Jego ruchy są znikome i do niczego nie prowadzą, są frapujące i bezcelowe. Ale widać po nim, że za tymi zaparowanymi okularami dojrzeła decyzja. Niespiesznym ruchem otwiera szufladę sekretarzyka, wyjmując parę majtek, wacha je i odkłada na miejsce.

To tyle, jeśli chodzi o Maurice'a.

Czasami występuje w historycznym stroju - jako pielgrzym na pokładzie statku „Mayflower”; albo łąpie okularami, podobny do żółwia, między słynnymi rzeźbami w górze Rushmore. Żołnierz na polu walki, Słoń Elmer czuwający nad bezpieczeństwem dzieci, hipis. Zawsze na pierwszym planie okulary i szary garnitur, z jednym czy dwoma nowymi akcentami: kapeluszem kwakerskim, karabinem maszynowym i skrętem z marychą, transparentem, pacyfką.

Zachowuje bierność bez względu na to, co dzieje się dookoła niego: upadek cesarstwa rzymskiego, scena penetracji z użyciem masła w *Ostatnim tangu w Paryżu*, zabójstwo Johna F. Kennedy'ego. I niezależnie od tego, czy sposobi się do pojedynku w samo południe, czy nieważko podryguje nad powierzchnią Księżyca, połyskując okularami za okienkiem hełmu, Maurice zawsze potrafi wytrzasnąć skądś parę majtek - znajduje je w torbie przytroczonej do siodła Bena Cartwrighta, pod księżycową skałą - i za każdym razem je obwąchuje.

Stał się postacią kultową. Z gatunku tych, które nabierają własnego życia, uniezależniając się od swego stwórcy. Madeleine niedawno słyszała w metrze, jak pewien nastolatek wyraził się o czymś z odrazą i lubością zarazem: „Fuj, to obrzydliwe, zupełnie jak Maurice!”.

Chłopak w czerwonych dżinsach zniknął pewnego słonecznego dnia, dawno temu, w 1963 roku.

W 1973 został po cichu zwolniony z więzienia. Nie został oczyszczony z zarzutów - wyszedł na wolność warunkowo. Był przykładnym więźniem i władze uznały, że przestał stanowić zagrożenie dla społeczeństwa, pomimo że uparcie odmawiał przyznania się do winy.

Morze atramentu wylano, rozpisując się o sprawie Richarda Froelicha, która podzieliła zarówno środowisko prawnicze jak i opinię publiczną. Stała się ona tematem wystąpień na konferencjach lekarzy sądowych i na policyjnych szkoleniach. Patolog, który zeznawał na procesie, publikował artykuły i wygłaszał odczyty. Inspektor Bradley otrzymał awans i przemawiał na spotkaniach przedstawicieli służb i instytucji stojących na straży prawa, zarówno z Kanady jak i USA. Obaj panowie dzielili się swymi doświadczeniami z dochodzenia i procesu, podwajając wręcz wysiłki, kiedy zaczęły pojawiać się książki i artykuły oskarżające „system” o skazanie przypuszczalnie niewinnego chłopca.

W ciągu tych lat ilekroć poruszano temat błędów wymiaru sprawiedliwości albo debatowano nad karą śmierci, zawsze powoływano się na sprawę Froelicha. Obok artykułów w gazetach zamieszczano szkolne zdjęcia chłopaka i ofiary. Para uwieczniona na ziarnistych odbitkach, ich uśmiechy coraz to odleglejsze w czasie - jego gładko zaczesane do tyłu włosy, w stylu zamierzchłej epoki, jej kołnierzyk a la Piotruś Pan. Oboje coraz starsi, i coraz młodsi.

Z czasem wokół sprawy narosła legendarna otoczka. W artykułach nigdy nie omieszkało wspomnieć o pewnych „pamiętnych szczegółach”, jak bukiet polnych kwiatów czy krzyż ułożony z sitowia. Twarz przykryta majtkami. I „tajemniczy lotnik”, który rzekomo pomachał chłopakowi z niebieskiego forda galaxy, lecz w czasie śledztwa się nie ujawnił. Dziennikarze wysuwali przypuszczenia, że to on mógł być prawdziwym sprawcą. Pod koniec lat siedemdziesiątych pewien tygodnik opublikował wywiad z emerytowanym oficerem policji, który jako ówczesny posterunkowy brał udział w dochodzeniu. Lonergan podał do publicznej wiadomości utajnioną dotąd informację, że ojciec skazanego chłopaka, „niemiecki Żyd, Henry Froelich”, twierdził, że w pobliskim mieście Londyn widział zbrodniarza wojennego, który prowadził samochód tej samej marki.

W latach osiemdziesiątych rząd federalny powołał komisję, która miała za zadanie ujawnić obecność przestępców wojennych w Kanadzie. Części raportu tej komisji nigdy nie opublikowano, udostępniając ją jedynie na żądanie, w ramach ustawy o dostępie informacji. Okazało się bowiem, że w Kanadzie przebywają przypuszczalnie tysiące zbrodniarzy wojennych - w tym strażnicy obozów koncentracyjnych i cała jednostka SS z Europy Wschodniej, której członkowie, ubiegając się o obywatelstwo kanadyjskie, jako swoje listy uwierzytelniające podawali „przymusowy pobór” oraz zdrową nienawiść do komunizmu.

Ostatecznie odbyło się kilka rozpraw i choć zdania były podzielone co do tego, czy powinno się po tylu latach stawiać przed sądem tych praworządnych i mocno już leciwych obywateli - czy jest to sprawiedliwość, czy „odwet ze strony Żydów”, czy to przejaw demokracji, czy woda na młyn „sowieckiej propagandy” - to opowieść Henry'ego Froelicha przestała się wydawać naciągana. Publicyści, pisarze, filmowcy snuli domysły na temat losu Henry'ego Froelicha, którego ciała nigdy nie odnaleziono. Czy odkrył przez przypadek jakąś - żeby posłużyć się modnym od niedawna określeniem - „tajną operację”? Czy padł ofiarą brudnych rozgrywek Kanadyjskiej Konnej? Czy wmieszana w to była CIA?

Podjęmowano od czasu do czasu próby odszukania Richarda Froelicha, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Ale przybrał inne nazwisko i miejsce jego pobytu było nieznane.

ŚWIAT PRZYRODY

Wszystko, co związane jest z podbojem kosmosu, miało swój początek tam, a nie w Ameryce czy w Rosji.

René Steenbeke, wypowiadając się na temat Dory

Pewnego ranka Madeleine zobaczyła ich zdjęcia w gazecie. Opatrzone nagłówkiem *Sąd Najwyższy odrzuca wniosek o apelację*. Miała wtedy siedemnaście lat. Lecz Ricky ciągle był piętnastolatkiem, a Claire, oczywiście, dziewięcioletnią dziewczynką.

Dojrzała te zdjęcia w chwili, kiedy ojciec, jak zwykle przy śniadaniu zajęty czytaniem porannej prasy, przewracał stronę; szybko złożył gazetę i zniknął jej z oczu. Zabrał ją ze sobą do pracy. Domyśliła się, że nie chce zostawiać jej w domu na widoku. Madeleine wstała od stołu.

- Już wychodzisz, *ma p'tite*?

- Tak, chcę pójść do szkoły wcześniej. Umówiłam się z Jocelyn.

Niepotrzebne kłamstwo, ale nieszkodliwe. Pierwszą godzinę w szkole miała tego ranka wolną.

- *Qu'est-ce que tu as, Madeleine?*

- Nic mi nie jest.

- Masz wypieki, podejdź bliżej, sprawdzę ci czoło.

- Czuję się dobrze.

Wyszła, zapominając o drugim śniadaniu, które przygotowała jej do szkoły mama. Musiała się przewietrzyć, potrzeba jej było chłodnej, normalnej atmosfery. Zbyteczne było czytanie całego artykułu, nagłówek zawarł w sobie wszystko. Nie chciała wgłębiać się w tekst napisany drobnym drukiem, żeby nie natknąć się na słowa „zeznające przed sądem dziewczynki”.

Kiedy nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, pan Eagan, zapytał uczniów, czy słyszeli o sprawie Richarda Froelicha, z całej klasy tylko ona i jeszcze dwoje innych - z Pakistanu i Ugandy - nie podnieśli rąk. Kiedy klasa zastanawiała się, czy wymiar sprawiedliwości nie

popęłił błędu, Madeleine rysowała komiksy w notatniku.

W domu po kolacji zapytała ojca: - Tato, myślisz, że ten kierowca, który mijiał wtedy Ricka na szosie, naprawdę był lotnikiem?

Siedzieli w salonie i oglądali telewizję: film przyrodniczy w kolorze. Ojciec nie wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Jeśli był, powstaje pytanie, dlaczego się nie ujawnił.

- Dlaczego? Jak sądzisz?

- Cóż, jeśli przyjmujemy, że Ricky się nie mylił, nasuwa się wniosek, że ten lotnik, kimkolwiek był, musiał wykonywać jakąś tajną misję.

- Na przykład?

Wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od ekranu: - Może na rzecz wywiadu?

Madeleine wpatrywała się w upiorną zieleń i migotliwy błękit obrazu telewizyjnego.

- Myślisz, że z tym zbrodniarzem wojennym to była prawda?

- Nie zdziwiłbym się - powiedział ojciec, wstając, żeby wyregulować barwę.

- Więc uważasz, że pan Froelich mówił prawdę?

- Biorąc pod uwagę, jakim człowiekiem był Henry Froelich, nie mam co do tego wątpliwości.

Madeleine cisnęło się na usta kolejne pytanie, ale usłyszeli Mimi wchodzącą z garażu do domu. Jack rzucił córce ostrzegawcze spojrzenie. Przerwali rozmowę i skupili się na ekranie: dziewiczy tropikalny raj - biały piasek, lazurowe morze.

Mimi zaczęła się głośno krzątać w kuchni. Wyjmowała naczynia ze zmywarki, chowała zakupy do szafek.

- Był więźniem obozu - odezwała się cicho Madeleine. Na ekranie żółw spokojnie sunął pod wodą. - Widziałam u niego na ręce wytatuowany numer.

- Naprawdę? - Twarz ojca ani drgnęła.

- Pewnie był w Oświęcimiu.

Madeleine uczyła się o Holocauście na lekcjach historii. Ale w domu nigdy nie używała określenia „Holocaust”, bo to budziło sprzeciw ojca. *Nie można sprowadzać drugiej wojny światowej tylko do tego.* Przyglądała się żółwiowi śpiącemu na dnie morza.

- Z początku - usłyszała głos ojca.

Spojrzała na niego niepewnie, ale on miał wzrok utkwiony w telewizorze.

- Potem przenieśli go gdzie indziej - powiedział, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

- Do innego obozu?

- To nie był zwyczajny obóz koncentracyjny.

Czekała na wyjaśnienie. *Sugerujesz, że obóz koncentracyjny może być „zwyyczajny”?*

- Tylko Dora.

- Kto?

Na filmie setki maleńkich żółwików, gorączkowo wywijając łapkami, pełzły po piasku w stronę morza. Ptaki, opadając leniwie, wydziobywały je z piasku, podczas gdy narrator zrównoważonym, męskim głosem zapewniał, że „tylko garstce” uda się dotrzeć do morza.

- Dora. Fabryka rakiet.

- Jakich rakiet?

- Nie słyszałaś o pociskach kierowanych? Nie słyszałaś o Apollo?

Wyczuła nutę gorzkiego sarkazmu w jego głosie, zwykle zastrzeżoną dla polityków, systemu szkolnictwa i Mike'a - zanim wybył z domu. Zastanawiała się, czy ojciec zaraz wybuchnie, tak jak wtedy, rok temu, kiedy pokazywali w telewizji lądowanie na Księżycu. Ale jego gniew nie budził w niej strachu. Przyprawiał ją o kłucie w żołądku. Coś było z tatą nie tak. Ktoś powinien to naprawić.

W kuchni Mimi włączyła mikser. Buczał jak silnik odrzutowy.

- Tam wszystko się zaczęło. W Dorze - powiedział ojciec, zapatrzony w błękit Oceanu Spokojnego. - Henry Froelich tam pracował.

Przed oczami stanął jej pan Froelich w białej koszuli, wąskim krawacie i okularach z grubymi szklami, brodaty, wyraźnie różniący się od gładko wygolonych naukowców i inżynierów pochylonych nad swoimi komputerami w Centrum Kontroli Lotów w Teksasie.

- To był obóz koncentracyjny - wyjaśnił Jack.

W Houston? Madeleine czuła się trochę oszołomiona, jakby przypaliła trawkę. Żółwica przystąpiła do niewykonalnego niemal zadania wykopania w piasku dołka za pomocą przednich łap.

- Gdzie mieściła się Dora?

- W jaskini w górach. - Ojciec przybrał teraz inny ton, rozmarzony, który pamiętała z dzieciństwa, ton, którym opowiadał jej bajki.

- W czasie wojny - *dawno, dawno temu* - na terenie utworzonych potem Niemiec Wschodnich - w *państwie, które już nie istnieje* - tajna broń Hitlera - *we wnętrzu jaskini krył się skarb* - dzieło więźniów zmuszanych do niewolniczej pracy - *harowali pod ziemią dniem i nocą...*

Samica złożyła jaja w jamie, setki jaj. Zagrzebała je. I zostawiła.

- Rakieta V-2 - mówił Jack. - Zemsta Hitlera.

„...i cykl w przyrodzie rozpoczyna się od nowa”, poinformował lektor. Madeleine

rozpoznała głos. To Lome Greene, ojciec z *Bonanz*y. Przeniosła spojrzenie na ojca, ale on skupiony był na filmie, rysy twarzy miał napięte, jakby śledził co najmniej przemówienie Kennedy'ego, *Dobry wieczór państwu. Obecny rząd, zgodnie z obietnicą, z najwyższą czujnością śledził rozbudowę radzieckich baz wojskowych na Kubie...* Powierzchnia piaszczystego gniazda wzruszyła się lekko. Ujęcie drapieżników kołujących w górze. Ujęcie piaszczystej plaży, najazd kamery na maleńką główkę okrytą pomarszczoną skórą, przebijającą skorupkę.

- Madeleine, potrzebna mi twoja pomoc - zawołała Mimi z kuchni.

- Wątpię, żeby mówili wam w szkole, kim jest Wernher von Braun - stwierdził ojciec, ramię lekko mu przy tym drgnęło.

- To ten facet z NASA.

- Właśnie. Dyrektor Centrum Lotów Kosmicznych Marshalla, ojciec rakiety Saturn, która poleciała na Księżyc.

Pierwowzór wuja Kaczora Donalda, profesora Von Drake'a, ale Madeleine zachowała to dla siebie.

- Von Braun i jego koledzy kierowali Dorą w czasie wojny. Zanim zeszła do podziemi, nazywała się Peenemünde.

- Wujek Simon tam był, to znaczy bombardował tę fabrykę.

Jack spojrzał na córkę. - Zgadza się.

- Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia. - Utkwił wzrok w ekranie. - Powiem ci coś, o czym na pewno nie uczyli was w szkole: kilkanaście lat temu służby rządowe realizowały pewien program, w Stanach. Brali w nim udział Brytyjczycy. I Kanadyjczycy też... na niewielką skalę. O ile mi wiadomo, jeszcze się nie zakończył.

- Co to było?

- Operacja Spinacz.

Madeleine czekała na wyjaśnienie, ale ojciec milczał. Rozpoczął się blok reklamowy.

- Jaki miała cel? - spytała.

- Dzięki niej wylądowaliśmy na Księżycu.

Na ekranie jakiś mężczyzna zachwalał gospodyni zalety nowego worka na śmieci.

- Tak?

- Operacja ta polegała na sprowadzaniu po wojnie do Stanów niemieckich naukowców. Czasami nawet byłych hitlerowców.

- Von Braun był hitlerowcem?

- No jasne. Tak jak Rudolph.

- Kto?

Rudolph, Kaczor Donald, Apollo... jak postaci ze zwariowanego komiksu. Ale ojciec nie żartował. Nawet nie rozmawiał z nią „jak facet z facetem”, jego głos brzmiał inaczej. Jakby był ściśnięty. Słuchowy odpowiednik wrażenia, jakie ma się, spoglądając przez teleskop z niewłaściwego końca.

- To przecież niezgodne z prawem.

Chociaż tyle wiadomości wyniosła ze szkoły, mimo „bzdurnych” programów nauczania, jak je określał ojciec.

- Oczywiście, a poza tym wciąż objęte jest tajemnicą - powiedział. - Więc ani mru-mru.

- Madeleine. - W progu stała *Maman*, na rękach miała żółte gumowe rękawice.

- A ty skąd to wszystko wiesz?

Puścił do niej oko. - Lepiej idź pomóż mamie - odparł już swoim normalnym głosem.

Za trzy tygodnie Madeleine kończyła liceum. Za trzy tygodnie miało się dla niej rozpocząć życie. Powlokła się do kuchni. Usłyszała, że ojciec wyłącza telewizor, a potem rozsunęły się drzwi na patio. Po chwili rozległ się warkot starej kosiarki i kiedy Madeleine i Mimi kroily w kuchni rabarbar i jabłka na placek na kościelny kiermasz, patrzyły przez okno, jak ojciec, pojawiający się i znikający im z oczu w regularnych odstępach, naciera na coraz węższy pas dłuższej trawy wokół basenu.

Było jej żal ojca. Uwięziony w domku na przedmieściach. Z żoną, która nie podzielała jego fascynacji tym tematem. Madeleine spojrzała na matkę, która nakłuła widelcem placek i włożyła go do piekarnika. W obecności Mimi nie wolno było nawet wymienić nazwiska Froelich.

- Moja matka głęboko zagrzebuje drażliwe kwestie, to jej sposób na radzenie sobie z nimi.

- Jak twój ojciec przyjął twoje oświadczenie, że jesteś lesbijką?

- Och, dużo lepiej niż *Maman*... moja matka. Zawsze pyta o Christine, chyba że w pobliżu jest matka, bo dostałaby ataku.

- Możesz mi opisać taki atak?

- Och, dużo krzyku i hysterii. Natomiast tata, kiedy przyjeżdża do Toronto, zabiera mnie i Christine na lunch.

- Co na to twoja matka?

- Nie mówimy jej o tym.
- Utrzymujecie to w tajemnicy?
- To nie tajemnica, po prostu nie... no dobrze, niech ci będzie.
- Czyj to był pomysł?
- To nie pomysł, po prostu nie chcemy jej wyprowadzać z równowagi.

Madeleine przypomina sobie, jak odprowadzała ojca do hotelu, kiedy po raz pierwszy odwiedził ją w Toronto.

- Jak twoim zdaniem *Maman* zareagowałaby na to, że zjedliśmy we trójkę lunch?
- Wpadłaby w szal.

Ojciec się uśmiechnął. - Wiesz, kiedy poznałem twoją matkę, była trochę młodsza niż ty teraz. Pełna życia. Prawdziwy wulkan, tak jak ty. Nigdy niczego się nie bała. Ja bałem się wielu rzeczy, a ona... byłaby świetnym oficerem. Wiele przeszła twoja matka...

Oczy zwrócone do góry, zaciśnięte usta. - To prawdziwa dama.

Madeleine nagle się zawstydzila - zrobiło jej się smutno i przepełniła ją, zaprawiona wyrzutami sumienia, miłość do *Maman*.

- To mogłoby ją zranić - powiedziała.

Tata skinął głową i zrobił swoją lekko cierpiącą minę. - Tego właśnie się obawiam.

- Cóż, jeśli ty nic nie powiesz, ja też o tym nie wspomnę.

Ojciec uśmiechnął się i puścił do niej oko. Pierwszy pilot do drugiego.

- Więc to był pomysł ojca - stwierdza Nina.
- To on żyje z nią pod jednym dachem. On przynajmniej akceptuje mój związek.

Nina nie odzywa się.

- Co jest?
- Więc znałaś Richarda Froelicha.

Madeleine kiwa głową.

- A znałaś tę zamordowaną dziewczynkę? Madeleine wzrusza ramionami. - Można to tak nazwać.

Nina czeka.

Madeleine milczy.

- Twój ojciec miał coś wspólnego z wywiadem? - pyta Nina.
- Jest konsultantem w dziedzinie zarządzania - odpowiada Madeleine, rozbawiona.
- Więc skąd wiedział o Operacji Spinacz?
- Nie mam pojęcia, dużo... czyta. Czyta mnóstwo gazet. I „Time'a”. I „The Economist”... - ma wrażenie, jakby nad jej głową rozjarzyła się lampka, kiedy mówi: - Wujek

Simon.

- Jego brat?

Madeleine potrząsa głową. - To jego instruktor lotnictwa z czasów wojny. Uroczy facet, w stylu Davida Nivena. Anglik, wytworny w każdym calu - żabot, wąsik... Żartował, że wyszkoli mnie na szpiega.

Madeleine wali z radości pięścią w podłokietnik fotela. - Mogę się założyć, że pracował w wywiadzie!

- Co się z nim teraz dzieje?

- Nie wiem. Może nie żyje. Siedziały chwilę w milczeniu.

- Słyszałaś kiedyś o Dorze? - odzywa się Madeleine.

- Nie.

- O czym myślisz?

- Och... to dość dziwne imię.

- Hitlerowcy lubili nadawać ładne nazwy paskudnym miejscom.

- Owszem, ale tak miała też na imię pewna pacjentka Freuda. Madeleine знаła tę historię dzięki Christine. Dora była słynną „histeryczką”. Opowiadała Freudowi, że ojciec wykorzystywał ją seksualnie, i Freud z początku jej wierzył. Potem jednak usłyszał historie o gwałtach i molestowaniu z ust tak wielu kobiet, że doszedł do wniosku, iż ma do czynienia z urojeniami.

- Twój ojciec wierzył Henry'emu Froelichowi.

- Tak. Chyba on jeden. - Madeleine spogląda na sufit, zaciskając usta. - Mój tata już taki jest. Lojalny.

Co wydarzyło się dawno temu w jaskini. Co wydarzyło się w szkolnej sali. Co wydarzyło się na skrzyżowaniu, na łące, na moście.

Kiedy Szczurołap nie otrzymał zapłaty, postąpił z dziećmi tak jak wcześniej ze szczurami. Uprowadził je. Zniknęły we wnętrzu góry. Wszystkie oprócz jednego, które było kulawe. Co kryło się we wnętrzu góry?

Ciała Henry'ego Froelicha nigdy nie odnaleziono. Simon już nigdy nie odezwał się do Jacka. Jack nigdy więcej nie słyszał o Oskarze Friedzie. Wszystkie dzieci zniknęły, zamieniając się w dorosłych, oprócz jednego, które powróciło do ziemi i tam pozostało. Wiecznie młode.

Jaskinia zwana Dorą znalazła się na terytorium nowo powstałych Niemiec Wschodnich. Wokół niej przesuwano się granice. Mur berliński zaczął się kruszyć od środka. Jedna ze stron nie mogła udźwignąć kosztów wyścigu zbrojeń i na podobieństwo domownika, który zabezpiecza się przed huraganem, otwierając okno, rozsunęła żelazną kurtynę i nazwała to *glasnost*'. Wicher ten obudził wieżę Babel narodów, które zaczęły domagać się granic opartych na podziałach plemiennych.

Kryzysy paliwowe, porwania samolotów, katastrofy ekologiczne. „Terroryzm” wyrósł na godnego następcę „zimnej wojny”, określenie „tajna operacja” weszło do potocznego słownika. Bezpieczeństwo wymagało tajności, podobnie jak popełniane w jego imieniu przestępstwa, ale i tak było warto, dopóki udawało nam się zażegnać „wielki konflikt”. Natomiast bardzo opłacalne okazały się drobne konflikty, wojenki prowadzone przez „bojowników o wolność” lub „terrorystów”, w zależności od tego, kto ostatni sprzedał im broń. Sztuka polegała na tym, żeby rozprowadzać uzbrojenie i gotówkę w taki sposób, żeby Trzeci Świat, świat arabski, wszystkie „inne” światy skakały sobie przez cały czas do gardeł. Zachód wygrywał.

Z rakiet zrodziły się pociski antybalistyczne i marzenia o gwiazdnych wojnach - rozpiętej na niebie siatce zapewniającej bezpieczeństwo. Życie naśladowało rozrywkę, usypiając czujność zamożnych, którzy zapomnieli o niebezpieczeństwie czającym się w ludzkim sercu; o gniewie, który jedną skrytobójczą kulą rozpętał zagładę w 1914 i odcisnął

piętno na historii całego stulecia. Gniew fanatyczny. Gniew, który obywa się bez kul. Gniew, który pochłania imperia.

A jaskinia wciąż czekała. Z ziejącym otworem, pusta i obolała. Mijał czas i wszystkich coraz mniej obchodziło to, że w 1969 roku odpalono z Florydy raketę, a jej załoga - porządni ludzie, ojcowie - postawiła kroki na Księżycu.

To były tylko wydarzenia, rozrzucone w czasie. Przyciągnij je do siebie, potrzymaj palcami, aż zwiną się jak gąsienice i wysnują miękką jedwabną przędzę, z której utkany zostanie wzór.

BAMBI KONTRA GODZILLA

W fabularnych wytworach popkultury i w podaniach ludowych duchy nawiedzają niesamowite domy zwykle nocą, pojawiają się na starych fotografiach z majówek, ukazują się na mgnienie oka w smaganym deszczem świetle samochodowych reflektorów na wiejskiej drodze pośród bezkresnych pól kukurydzy. W życiu przybywają o dziesiątej rano, kiedy wyjmujesz pranie z pralki.

Tak samo jest z cieniem. Wybiera sobie przyziemne chwile. Podobnie jak większość duchów, nie chce straszyć. Ale trzeba go zobaczyć. Po to przybył. Pomyśleć, jak wyczerpująca musi być podejmowana raz po raz podróż z krainy cieni, żeby pokazać się dawno utraconej osobie, która, niestety, na jego widok krzyczy i ucieka. Dlatego cień uczy się nachodzić cię otwarcie, kiedy zajmujesz się codziennymi sprawami, kiedy jesteś odślonięty. Zmywasz naczynia. Jedziesz samochodem. Nie chodzi mu o to, żebyś się rozbił, ale chce zwrócić na siebie twoją uwagę. Osiąga ten cel, sprawiając, że to, co znajome, staje się szokująco obce.

Madeleine nie potrafi już przejechać obwodnicą nr 401, która rozgałęzia się na szesnaście pasów, przecinających północne Toronto. Nie jest w stanie ogarnąć całej drogi naraz, jedynie po kawałku - przerywana linia, odcinek barierki, świst wyprzedzającego samochodu, następnego, następnego, następnego. Od niedawna musi się poruszać zakorkowanymi ulicami miasta, więc dojazd do położonego na północnych przedmieściach studia Telewizji po Lekcjach wydłużył się o czterdzieści minut. Szkoda życia, ale Madeleine nie ma wyboru. Miejsce, z którego postrzegamy świat - ta kabina pilotów za naszymi oczami, ośrodek naszej tożsamości - rozszczepia się na szereg funkcji, które dotąd wypełniały się samoczynnie, bez naszego udziału, lecz nagle wymagają aktu woli: weź oddech, mrugnij, uderz, kieruj. *Zdaj się na przyrządy*. Jedynym prawdziwym wyborem jest skrócić kierownicą i włączyć się do ruchu. W przeciwnym razie przedłuża się tylko paraliżujące poczucie usidlenia. Przerażający obłąd braku wyboru. A przecież masz wybór. Szarpnij kierownicą. I nadaj temu sens.

Gdy po obu stronach Madeleine śmigają samochody, ona powtarza na głos strzępki zdań, slogany reklamowe - „Zrób sobie przerwę w codzienności” - aż w końcu udaje jej się

zatrzymać na poboczu albo zjechać z autostrady. A kiedy już stoi na parkingu przed centrum handlowym, oferującym jedynie systemy filtracyjne wody pitnej i ogromne ruszty do pieczenia wołów w całości, opiera głowę o kierownicę i powtarza cicho: „Więcej znaczy od chlorowych wybielaczy...”. W porządku. Już jest dobrze.

- Stałam się neurotyczką. Jestem na najlepszej drodze do tego, żeby dołączyć do grona szurniętych bab, które zawsze domagają się „miejsca przy przejściu, z dala od wyjścia awaryjnego”. Wciąż się boję, jestem strasznym tchórzem.

Nina milczy.

Madeleine bierze oddech; jej spojrzenie wędruje w stronę reprodukcji obrazu Georgii O'Keeffe - zbiałej czaszki byka - potem do zegara, który oglądany przez dzbanek z wodą jest surrealistycznie wydęty.

- Strach wcale nie jest przeciwieństwem odwagi - odzywa się Nina.

- Słucham?

- Strach poprzedza odwagę.

Madeleine zbywa to lekceważącym uniesieniem brwi.

- Powiedziałaś, że to „coś” po raz pierwszy przydarzyło ci się podczas występu - mówi Nina. - Ale czy nie kojarzy ci się to z niczym? Czy było w tym doświadczeniu coś znajomego?

Madeleine jest zaskoczona, ponieważ odpowiedź leży jak na dłoni, niczym zaklejona koperta na samym wierzchu sterty przesyłek, które nagromadziły się w czasie urlopu. Otwiera ją:

To było w kinie. Wybrała się na podwójny seans, *Jelonek Bambi* i *Bambi kontra Godzilla*, do Rialto w Ottawie. Jej przyjaciółka, Jocelyn, wypaliła pół skręta, ale Madeleine, niewydarzona ćpunka, nic sobie nie zorganizowała, więc tego, co wtedy przeżyła, nie można wytłumaczyć odurzeniem narkotykowym. Miała wtedy piętnaście lat, a Jocelyn szesnaście.

„Zbudź się, Sowo! Zbudź się, przyjaciółko!”, zawołał Thumper.

Na widok radosnego królika Madeleine przejął chłód. Jednocześnie poczuła falę gorącą uderzającą do twarzy.

- Tobie też jest tak gorąco? - spytała przyjaciółkę.

- Coś ty! Tu jest jak w lodówce - odparła Jocelyn.

- Chciałam zapytać, czy ci zimno.

- Nawaliłaś się czy co?

Madeleine poczuła, że strach wzbiera w niej aż po brodę. Serce najpierw zaczęło w

niej kołatać, a potem zabiło jak szalone. Była przekonana, że zaraz umrze. Lekarz rozpoznał u niej wadę serca: łagodny szmer, który nie przeszkadza w uprawianiu sportów ani w prowadzeniu normalnego życia, ale musisz regularnie zgłaszać się do kontroli. Ale to kołatanie było czymś nowym. Czy tak właśnie zaczyna się zawał? Szmer serca - co ono próbuje jej przekazać?

- Jeśli nie potrafisz powiedzieć nic miłego, to nie mów nic! - skandowała razem z Thumperem naćpana widownia.

Jeśli nie przestanę myśleć o swoim sercu, to zaraz przestanie bić. Jeśli przestanę myśleć o swoim sercu, to zaraz przestanie bić.

- Ptaszek! - Pierwsze słowo Bambiego.

- Chcesz trochę? - Jocelyn podsunęła jej torebkę z prażoną kukurydzą.

- Motylek.

Posłuszna staremu nawykowi, Madeleine powąchała sobie dłonie. Jocelyn niczego nie zauważyła, wpatrywała się szklistym wzrokiem w ekran i chichotała.

Madeleine uniosła się nad swoje ciało. Chwyciła się poręczy fotela, ale to tylko przyspieszyło jej lot.

- Zaczekaj tu! - oświadczyła mama Bambiego. - Ja pójdę pierwsza i sprawdzę, czy na łące jest bezpiecznie.

Huk wystrzału.

- Szybko, Bambi! Nie oglądaj się!

Zawisła, wygięta w elastyczny łuk, wysoko nad swoimi rękami; widziała je, leżące bezwładnie na obitych wytartym pluszem poręczach. Chyba urosła, gdyż rozciągała się teraz nad kilkunastoma rzędami. Nie było to nieprzyjemne. Mija zima. Na łące świeża trawa przebija się przez śnieg. Wrony podnoszą alarm...

- Mamo! Mamo! - krzyknął Bambi. Na widowni rozległ się śmiech.

- Masz, reszta jest twoja. - Jocelyn podała jej torebkę z kukurydzą. Wyładowanie, które nastąpiło wskutek zetknięcia się zimnej torebki z ręką Madeleine, rzuciło ją z powrotem na fotel. Kiedy znów znalazła się w swoim ciele, była przerażona tym, że je opuściła. Serce biło jej gwałtownie, zdyszane, piekące jak świeża rana.

Spojrzała na podłogę - lepkie plamy, okruchy kukurydzy. Zaczęła żuć plastikową słomkę. Doszła do siebie.

- No i co? - mówi Madeleine. - Nic nie mówisz, tylko siedzisz z pochyloną głową. Daj coś z siebie.

Nina uśmiecha się półgębkiem.

- No dalej, Mona Liso.

- W psychiatrii nazywa się to „depersonalizacją”.

Wzrok Madeleine zatrzymuje się na zbielejącej czaszce. W jaki sposób udało się O'Keeffe tchnąć w ten obraz spokój ducha zamiast chorobliwości?

- Dlaczego ludzie się depersonalizują?

- Z wielu powodów - mówi Nina. - Na przykład gdy ktoś się nad nimi znęca.

Madeleine czuje, jak jej ciało się oziębia. Ulatuje z niego oddech. Musi pójść do łazienki.

- To mechanizm przystosowawczy - ciągnie Nina. - Może to doznanie jest dziwne, ale powstaje jako całkiem przytomna reakcja na sytuację grożącą utratą zmysłów. To umiejętność „wyjścia poza ciało”, gdy to, co się dzieje, jest nie do zniesienia.

Madeleine czuje, jak na twarzy występują jej wypieki. Wstyd to stan organizmu, powinni sprzedawać gotowy środek na neutralizowanie jego skutków - o wiele bardziej żenujących niż zwykłe zostawienie sztucznej szczęki wgrzyzionej w jabłko.

Nina nalewa Madeleine wody.

- Bardzo czekafe - stwierdza Madeleine z wiedeńskim akcentem.

- Czyżby Maurice chciał coś powiedzieć? - pyta Nina, podnosząc różowy jajowaty kamień.

Madeleine nie odpowiada.

- Dlaczego nigdy nie grasz postaci kobiecych?

- Dlaczego wciąż chodzisz w tych samych butach? Działają mi na nerwy.

TUZIN BABECZEK

Mimi zdejmuje z lodówki miskę ze składnikami do pieczenia babeczek, którą sobie przygotowała, zanim zawiozła swoją przyjaciółkę Doris do lekarza. Doris jest wdową i cierpi na osteoporozę. Mimi należy do kobiet, którym się poszczęściło.

Zdejmuje z miski pokrywkę, dodaje mleko, jajka, i miesza wszystko drewnianą łyżką. Jednocześnie ramieniem przytrzymuje przy uchu słuchawkę i rozmawia z Yvonne, swoją siostrą.

- Doris to ta, co się jąka? - mówi Yvonne; Mimi słyszy w słuchawce stukot drutów do robótek ręcznych - jej siostra też nie marnuje czasu.

- Yvonne! Doris ma tylko lekką wadę wymowy.

- Wszystko zawsze niemożliwie rozwleka. Kiedy wreszcie dojdzie do sedna, ja już konam z głodu.

Mimi się śmieje. - Pyta, kiedy znów do mnie przyjedziesz.

- Nie mów jej!

- Chce cię zaprosić na karty.

- Nie!

Kiedy Yvonne pytają, co robi, Mimi odpowiada, że piecze babeczki, ale nie wyjaśnia, że to dla córki. Nie porusza tematu Madeleine nie dlatego, że w pobliżu jest Jack - on i tak by nie zrozumiał, gdyż one oczywiście rozmawiają ze sobą po francusku. Po prostu Mimi z nikim nie rozmawia o Madeleine; ani z mężem, który nie podziela jej zapatrywań na - jak on to nazywa - styl życia córki, ani z Yvonne, która je podziela. Mimi i jej siostra uważają, że sposób życia Madeleine jest śmiertelnym grzechem, a ponadto świadczy o całkowitym wyrzeczeniu się rodziców i wszystkiego, co jej wpoili. Yvonne ujmuje to bardziej dosadnie: „Ona na to sra”. Yvonne czuje oburzenie i niesmak. Wszystko z wyjątkiem miłości.

Więc kiedy Yvonne pyta, Mimi odpowiada: - Piekę babeczki.

- A jak się miewa mój mały książę? *Mon p'tit prince?*

- Jak zwykle.

- Poproś go do telefonu.

Ich apartament został tak zaprojektowany, że kuchnia otwiera się na duże pomieszczenie, spełniające rolę zarazem jadalni i salonu. Jack siedzi w swoim ulubionym fotelu; telewizor jest włączony. Mimi widzi wystający znad oparcia czubek głowy męża; jeśli drzemie, nie chciałaby go budzić.

Kładzie słuchawkę i podchodzi do fotela; Jack ma przymknięte powieki. Mimi wyłącza telewizor; Jack otwiera oczy.

- Odpoczywam tylko.

- Chcesz się przywitać z Yvonne?

- Jasne.

Już po chwili się śmieje. Błyska swoim złotym zębem, jego twarz nabiera zdrowych rumieńców. Mimi nakłada ciasto do foremki. Yvonne uwielbia Jacka, traktuje go jak swego braciszka. Zasługuje na to, żeby go rozpieszczać. *Un vrai gentilhomme, Mimi, ton mari.*

Ostatnia rozmowa Mimi i Yvonne na temat Madeleine toczyła się również przez

telefon. Yvonne powiedziała wtedy: „Może w dzieciństwie coś się z nią stało?”. Podzielała zdanie Mimi, że ta skaza może być wynikiem przykrego doświadczenia. „Czy ktoś ją obmacywał?”.

Mimi poczuła wzbierające mdłości. Coś złego przydarzyło się jej córce. Ponieważ ona nie zapewniła jej ochrony.

- Ona zawsze coś ukrywała - stwierdziła Yvonne.

Jak jej ojciec, pomyślała Mimi.

- Pytałaś jej ojca? - drażyła Yvonne.

Mimi przestraszyła się, że siostra czyta w jej myślach. Potem uświadomiła sobie, co mogła sugerować Yvonne, i przeniknął ją lodowaty chłód. Nie chciała dopuścić do sytuacji, w której musiałaby zerwać stosunki z siostrą, więc udała, że nie usłyszała jej pytania. Możliwe też, że Yvonne miała na myśli coś zupełnie niewinnego. Przez chwilę panowało milczenie, po czym Yvonne stwierdziła: „Mężczyźni to mężczyźni”. Zawsze mawiała to po angielsku - tak jak niektórzy ludzie wypowiadają najgorsze przekleństwa w obcym języku.

Yvonne pewnie domyśliła się, co oznaczało to milczenie ze strony siostry, ponieważ nigdy więcej nie poruszyła kwestii, „co przydarzyło się Madeleine”.

Mimi stoi z blachą w ręce i czeka na zgaśnięcie czerwonej lampki kontrolnej piekarnika.

Jack śmieje się i mówi: - Nie wiem, zapytam ją - po czym zwraca się do Mimi: - Yvonne chce wiedzieć, dlaczego nigdy mnie ze sobą nie zabierasz, kiedy do niej jedziesz.

- Powiedz jej, że nie chcę, żeby zaczarowały cię *les belles de Bouctouche*.

Lampka gaśnie i Mimi wsuwa blachę do piekarnika.

W ciemnych zakamarkach jej umysłu kryje się cień. Mimi nigdy nie szuka go wzrokiem. Od czasu do czasu cień na chwilę opada na jej twarz, jak woalka, po czym znów się wycofuje. Mroczne tchnienie, przenikające przez siateczkę woalu, przybiera kształt słów. To słowa, których nie wolno wypowiedzieć i Mimi je ignoruje: *czy ojciec mojej córki ją obmacywał?*

Przypomina sobie wyraz twarzy córki bawiącej się - „baraszkującej” - z ojcem w Centralii. Poplamione krwią majtki, kłamstewka, które opowiadała. *Nie*. Mimi zaciska powieki i wynajduje sobie zajęcie. Takie myśli zsyła człowiekowi diabeł. A ona nawet nie powinna w niego wierzyć - to herezja, za którą, kto wie, może właśnie ponosi karę. Dlatego nigdy nie zapytała córki: „Czy ktoś cię obmacywał, kiedy byłaś mała?”.

Mimi czeka na chwilę, kiedy stanie przed obliczem Boga. Bóg zapyta ją o różne rzeczy, ale ona też ma do niego kilka pytań. Bóg nie wie wszystkiego. Nie może. Nie jest

matką.

KIEDY ZNAJDUJĘ CZAS NA PISANIE? WŁAŚNIE PISZE

- Co to za żelastwo? - pyta Christine.

- To grill ogrodowy.

Madeleine siedzi na kuchennym krześle na balkonie, pod ręką ma telefon i stertę przeróżnych notatek; próbuje pisać.

- Naprawdę?

- Tak, można na tym nawet upiec ciasto.

- Po co ktoś miałby piec na tym ciasto? - mówi Christine, wpatrując się w Madeleine.

- Myślałam, że ci się spodoba.

- Madeleine, nie jestem twoją żoną, do cholery.

Jeśli czujesz pociąg do butelki, jeśli pastwili się nad tobą rodzice, jeśli cierpisz na zagadkową przewlekłą chorobę i chcesz znaleźć dla tego wytłumaczenie, zamieszkaj z kimś, kto próbuje pisać. Skończą się twoje poszukiwania źródła swej udręki.

- Ugotuję coś na kolację, zrobię paellę - mówi Madeleine. Wstaje, podnosi okragłą pokrywkę z naczynia pośrodku grilla. - Widzisz?

Christine odwraca się i wchodzi z powrotem do mieszkania. Madeleine doznaje całej gamy uczuć - winy, lęku, patosu. Zasłona z koralików, podarunek Olivii, kołyszę się prowokacyjnie po przejściu Christine.

Całe popołudnie Madeleine pisała, ponieważ obiecała, że dostarczy poprawioną wersję szkicu z „Serwisem wiadomości”. Pracuje nad numerem ze zbrodniarzem wojennym - wszędzie, jak kraj długi i szeroki, trąbi się o fali aresztowań zgrzybiałych hitlerowców zaskoczonych podczas przycinania róż w swoich ogródkach. Przyrzekła też Shelly, że da jej chociaż półstronicowy szkic scenariusza *Kobiety na opak*. Musi sporo pogłównkować, ponieważ obiecała Tommy'emu, że w najbliższy poniedziałek podczas benefisu na rzecz ofiar AIDS wystąpi z pięciominutowym programem pod hasłem *Mitość w czasach lateksu*. A tak się składa, że w tym tygodniu nie ma czasu pisać, ponieważ przez wszystkie wieczory jest zajęta - próby *Jelenia* zostały przesunięte na późniejszą godzinę.

- Przywieź potem ze sobą Olivię - powiedziała rano Christine.

- Próba kończy się o północy.
- Myślałam, że o dziewiątej.
- Zmiana planu. Przykro mi, kotku. To nie potrwa długo.

Christine się uśmiechnęła. - Poczekaj, nie wychodź z łóżka. Przyniosę ci kawę.

Zatrzymała się w progu, ubrana w ciemnoczerwony szlafrok. W świetle sączącym się przez żaluzje wyglądała dokładnie tak jak wtedy, kiedy się poznały. Na pierwszą randkę miały wybrać się na film wyświetlany w ramach odbywającego się właśnie festiwalu - Madeleine kupiła już bilety - ale nie ruszyły się z mieszkania Christine przez całe trzy dni. Bilety zachowały na pamiątkę. Włożyły je do albumu ze zdjęciami dokumentującymi siedem lat ich pożycia. Wakacje, urodziny, przyjaciele. Historia Madeleine i Christine.

- Wiesz co? - powiedziała Christine. - Dobrze się stało, że podjęłaś się współpracy z Olivią. Pomoże ci to w przygotowaniu tego programu dla Shelly. A to będzie przełom w twojej karierze.

- Chodź tutaj.

Christine położyła się obok Madeleine.

Ale to działo się rano. I któż to wie, jakie zdradliwe, podstępne drobiazgi narastające niedostrzegalnie w ciągu dnia doprowadziły do tego, że pokłóciły się o ten nieszczęsny grill ogrodowy?

Madeleine musi stawić się na próbę w Darling Building za półtorej godziny. Nie ma czasu na paellę - skąd wpadł mi do głowy ten nedorzeczny pomysł? Brak czasu na pisanie jest niemal tak sprzyjające jak zbyt dużo czasu. Miała cały dzień. Zwlekała w wymyślny, wręcz mistrzowski sposób. Podczas mycia lodówki zauważyła zaległy rachunek przyczepiony magnesem do drzwiczek. Natychmiast przykłądnie wypisała czek i wyszła na pocztę po znaczki.

Zajmują z Christine całe piętro w stylowym wiktoriańskim domu, w tonącej w drzewach dzielnicy o nazwie Annex, zamieszkaney głównie przez artystów, studentów, imigrantów i lewicujących yuppie. Idąc ulicą Brunswick w stronę Bloor, Madeleine głęboko wdychała wiosenne powietrze. Uderzyła ją mnogość spacerujących par złożonych z łądząco do siebie podobnych partnerów. Były wśród nich pary identycznie wyglądających lesbijek w schludnie odprasowanych bluzach i dużych okularach, były pary gejów z podobnymi bokobrodami. Były też pary heteroseksualne w spodniach khaki i wiatrówkach. Istne seksowtóry. Przy okienku pocztowym na tyłach apteki Madeleine oprócz pieniędzy na znaczki wyjęła z kieszeni awizo informujące ją o „ostatnim nieprzekraczalnym terminie” odbioru przesyłki pocztowej - ciekawe, że nigdy nie dostaje się zawiadomienia o „pierwszym

terminie". Wręczyła awizo urzędującej tam Koreance, starszej pani, która podała jej paczkę wielkości pudełka płatków śniadaniowych, zawiniętą w brązowy papier. Madeleine rozpakowała ją - w środku był karton po płatkach z otrębami, szczelnie zaklejony taśmą. Krył on w sobie tuzin zeschniętych babeczek oraz liścik skreślony ręką *Maman*: „Ma chérie, bon appétit. U nas nic nowego, całujemy i modlimy się za ciebie, Papa et Maman. PS. Pamiętasz pana McDermotta, naszego sąsiada z naprzeciwka? Niedawno zmarł. Papa kupił nowego oldsmobile". Madeleine uśmiechnęła się, składając w duchu hołd rodzicielskiej miłości i absurdowi.

Właściwie nie ma czasu na benefis na rzecz ofiar AIDS, ale nie potrafi odmówić, gdy chodzi o szlachetny cel. A Tommy umie przekonywać. Był jej partnerem na studniówce. Tomasz Czerniatewicz. W liceum Madeleine durzyła się w dwóch osobach - Stephenie Childerhousie i Monice Goldfarb - ale była zbyt nieśmiała, żeby smalić cholewki do Stephena, klasowego bożyszczka, a jej pożądanie, którego przedmiotem była mroczna Monica, dusiło się na wolnym ogniu pod pokrywą wyrzeczenia. Wtedy jeszcze nikt nie obnosił się ze skłonnościami do tej samej płci, wciąż postrzegano to jako zboczenie, żadna gwiazda rocka jeszcze nie przyznawała się publicznie do biseksualizmu. Madeleine próbowała zwalczyć w sobie te „złe żądze", ale przypominało to ucieczkę przed wystrzeloną kulą na filmie rysunkowym, gdzie kula najpierw mija delikwenta, potem zatrzymuje się w powietrzu z efektownym poślizgiem, zawraca i trach, kładzie go trupem na miejscu. Kiedy miała czternaście lat, przy okazji opieki nad dziećmi obejrzała *The Children's Hour* i wróciła do domu z gorączką i rozstrojem żołądka. Oglądała ten film, pławiąc się we wstydzie, urzeczona wyczuwalnym w dusznej atmosferze szkoły z internatem pożądaniem, rodzącym się pomiędzy Shirley MacLaine i Audrey Hepburn. Dręczona wyrzutami Shirley powiesiła się, a Audrey, już wolna, mogła szukać pociechy w męskich objęciach Jamesa Garnera. Madeleine też szukała pocieszenia w męskości Jamesa Garnera, ale w uszach wciąż dźwięczał jej szloch ponętnej Shirley: „Tak się sobą brzydzę!". Jak papuga George'a, powtarzająca: „Brzydzę się sobą, brzydzę się sobą!" Podobno film ten jest metaforą antykomunistycznej histerii lat pięćdziesiątych. Powiedźcie to lesbijkom.

Madeleine zamierzała zbojkotować bal maturalny i spędzić ten wieczór na wyśmiewaniu tej imprezy w towarzystwie Tommy'ego i innych odszczepieńców z kółka dramatycznego. Lecz kiedy Tommy ją zaprosił, doznała takiego szoku, że się zgodziła. Matka była wniebowzięta i tygodniami szyła Madeleine balową suknię. „Ah, *Madeleine, que t'es belle!*” Zrobimy ci zdjęcie i pokażemy twojemu bratu, kiedy wróci". Tommy wystroił się w błękitny smoking, przepasany różową szarfą, wyprzedzając styl disco o dobrych kilka lat.

Połączyło ich to, że Madeleine nie wolno było chodzić do szkoły w dżinsach, a Tommy'emu rodzice nie pozwalali zapuścić włosów - nie było mowy nawet o długości dozwolonej w holenderskim wojsku. Tommy nosił okulary, w których wyglądał na fizyka; jego rodzice pracowali w Narodowym Komitecie Badawczym właśnie jako fizycy. Cała rodzina nosiła identyczne okulary w stylu Nany Mouskouri i wszyscy - z wyjątkiem matki, która swe długie włosy zaczesywała gładko do tyłu i spinała - mieli króciutkie fryzury. Państwo Czerniatewicz byli imigrantami z Polski, ocalałymi z wojny. Starsi bracia Tommy'ego słuchali muzyki poważnej, celowali w matematyce, nosili rybaczki z kieszeniami pełnymi różnych pudełeczek i mieli godny pozazdroszczenia kościec; to tyle jeśli chodzi o wpływ lat sześćdziesiątych. Studiowali na uniwersytecie, ale w czasach liceum grali w futbol, w jednej drużynie z Mikiem, i tak jak on, byli gwiazdami lekkoatletyki. Jeden Tommy, który urodził się z dziurą w sercu, nie uprawiał sportu - „dlatego rodzice posyłał mnie na lekcje gry na pianinie”.

Przypominał Madeleine Gordona Lawsona - dżentelmen w każdym calu, na dowód tego z chusteczką w kieszonce. Ale obdarzony szelmowskim poczuciem humoru; kiedy Madeleine po raz pierwszy przyszła do niego po szkole, przedstawił ją rodzicom jako Żydówkę. Słysząc było niemal, jak wyrzeźbione uśmiechy na ich twarzach pękają z trzaskiem.

Madeleine dręczyło poczucie winy, ale Tommy ubłagał ją, żeby udawała dalej, a wkrótce zabrnęła w to zbyt daleko, żeby się wycofać. Przypadła do serca państwu Czerniatewiczom, którzy zadawali jej pytania na temat żydowskiej kultury i wierzeń, i z najwyższym trudem wybiła im z głowy chęć poznania osobiście jej wspaniałych rodziców, którzy przeszli piekło obozów i ze względu na urzędników imigracyjnych zmienili nazwisko na McCarthy. Żeby sobie powetować niepowodzenie na tym polu, państwo Czerniatewicz zaprzyjaźnili się z żydowskim naukowcem z laboratorium, w którym wspólnie polowali na cząstki elementarne, a wiosną następnego roku wzięli nawet udział w obchodach święta Paschy. Tommy zacierał ręce i wywijął hołubce radości, mówiąc: „Jesteśmy jak Hobo i Lassie, szerzymy miłość i zrozumienie między ludźmi”.

Pomagał jej w matematyce i mnóstwo czasu spędzali, wyśpiewując wspólnie przeboje z broadwayowskich musicali; Tommy bębnił na pianinie, a Madeleine wyginała się jak Gwen Verdon, której usunięto układ kostny.

Jej najlepsza przyjaciółka, Jocelyn, przyszła na bal z Bum Bum Robinsonem, niemożliwie przystojnym, silnym i milczącym kapitanem drużyny futbolowej. Jego płowe loki w tańcu muskały kołnierz ciemnogrnatowego smokingu, a Jocelyn wyznała przyjaciółce

- gdy przed świtem zrzuciły z siebie suknie i wskoczyły do basenu - że owszem, był całkiem miły, ale „nawet niczego nie próbował”. Wysuszyły się i zjadły cały bochenek chleba maczanego w misce roztopionych wiórków czekoladowych.

Tommy i Bum Bum spotkali się dziesięć lat później, w barze U Woody'ego, zakochali się w sobie i zamieszkali razem. Bum Bum zmarł pół roku temu; od tego czasu Tommy nieustannie kwestuje i działa na rzecz uświadamiania społeczeństwa. Dzięki temu Madeleine znów się z nim zetknęła. Jego włosy, platynowy blond, są teraz jeszcze krótsze, ostrzyżone na jeża. Tommy jest wykładowcą w liceum dramatycznym.

- Miałem ogromną chrapkę na twojego brata, Madeleine.

THE FEW, THE PROUD

Na melodię *Marsza pułkownika Bogeya*:

*Hitler miał w spodniach jaj tylko połowę,
Göring miał oba, lecz miniaturowe,
Z Himmlerem było bardzo podobnie,
A Goebbels miał całkiem puste spodnie.*

Anonimowa rymowanka

Madeleine wpatruje się w szarobrazowy dywan. Czuje, że jej usta są wygięte w podkówkę, policzki mokre od łez, a nos czerwony - może to jest prawdziwy powód, dla którego klaun zawsze ma nos pomalowany na czerwono? Nina podaje jej szklankę leczniczej wody źródlanej.

Madeleine pije, ma wrażenie, jakby w jej żołądku pływały kijanki, wykluwały się jakieś bagienne stwory.

- Niedobrze mi - mówi i podpira opadającą głowę ręką.

- Madeleine? Zamknij na chwilę oczy, dobrze?

Madeleine zamyka oczy. Spod powiek sączą jej się łzy.

- Co ci jest?

- To z powodu Mike'a - łka Madeleine.

- On nie żyje - mówi Nina.

- W naszej rodzinie mówi się, że „zaginał”. - Sięga po chusteczki, chowa twarz w rękach, szlochając. - Biedny tata.

- Byli sobie bliscy? Ojciec i brat?

Madeleine potrząsa głową i wydmuchuje nos. Ma ochotę się roześmiać. Wyrzuca zużytą chusteczkę do kosza na śmieci, wyciąga z pudełka garść nowych i zaczyna opowieść.

Była wiosna sześćdziesiątego dziewiątego roku, Madeleine miała piętnaście lat. Pewnego dnia Mike zjawił się w ich domu w Ottawie w mundurze amerykańskiej piechoty morskiej.

- Co ty na siebie włożyłeś, do cholery? - zdziwił się Jack.

Okazało się, że Mike okłamał rodziców. Mówił, że wyjeżdża na zachód, do Alberta, gdzie niby zatrudnił się na szybie naftowym. Zamiast tego odbył zasadnicze szkolenie wojskowe na Harris Island. Głowę miał ogoloną niemal do skóry, pod mundurem przeżyły się mięśnie, kołnierzyk ciasno opinał kark.

- Czy ty nie masz mózgu? - spytał Jack wściekły. - Jak można być tak głupim? - Prasał gazetą o kuchenny stół.

- Myślałem, że będziesz zadowolony.

- Skąd ci to przyszło do głowy, na litość boską?

Mike sądził, że ojciec będzie z niego dumny tak, jak był dumny z nielicznego kontyngentu Kanadyjczyków biorącego udział w wojnie w Korei...

- Oni walczyli jako Kanadyjczycy, w siłach ONZ, a nie w wojsku amerykańskim.

- Ale bili się z komunistami - odciął się Mike. - To to samo!

- Przysięgałeś wierność obcemu krajowi!

Madeleine oparła się o blat, skamieniała z wrażenia. Matka nawet nie zapaliła papierosa.

The Few, The Proud, „Nieliczni i dumni” - dewiza amerykańskiej piechoty morskiej. Kanadyjczycy stanowili nieliczną grupę wśród tych nielicznych. Niewidoczni w zniechęconych szeregach. Podczas gdy młodzi Amerykanie tłumnie wyrażali swój sprzeciw, przedłużali studia albo uciekali do Kanady, żeby nie brać udziału w tej zwariowanej wojnie, Mike znalazł się w sporej gromadzie Kanadyjczyków, którzy zaciągnęli się z własnej woli. Pochodzili głównie z Quebecu i z regionu nadmorskiego - przeważnie byli to chłopcy z rodzin robotniczych, irlandzkich, francuskojęzycznych lub rdzennych indiańskich. Zgłaszali się do ośrodków rekrutacyjnych celowo ustanowionych blisko kanadyjskiej granicy. Mike zapisał się w Plattsburghu, na północy stanu Nowy Jork. *wysrać się, wykopać i ogolić!* Za

miesiąc o tej porze Mike będzie już działał „w terenie”.

Jack zwiesił bezwładnie ręce. - Zabieraj się stąd, ale już.

Odwrócił się do niego plecami i odszedł.

- Jack - zawołała za nim Mimi; Madeleine poznała po jej głosie, że jest w szoku.

- Jest Kanadyjczykiem, nie Amerykaninem; nie dość, że ta wojna nie jest nasza, to jeszcze w ogóle nie ma sensu. Tej wojny nie można wygrać, Amerykanie nie mają szans; on nie wróci z niej żywy.

Mimi krzyknęła i zasłoniła ręką usta.

- *Maman* - odezwał się Mike - *c'est pas vrai, Maman, je reviendra, calme-toi, eh?*

Spojrzał na ojca. - Widzisz, co zrobiłeś?

Jack przewrócił oczami.

Madeleine stała jak wryta. Na szyi na skórzanym rzemyku miała zawieszoną metalową pacyfkę. W zeszłym tygodniu razem z Jocelyn wzięła udział w demonstracji przed ambasadą amerykańską, potępiającą masakrę w My Lai.

- Masz się do tej wojny nie mieszać, kolego - powiedział Jack, grożąc mu palcem.

- Po prostu mi zazdrościsz - powiedział Mike.

- Co takiego?

Madeleine, tak jak ojciec, patrzyła na Mike'a z niedowierzaniem, ale nie mogła znieść widoku płonących ze wstydu policzków brata. Z przerażeniem pomyślała, że Mike się rozpłacze. Zagryzła wargi.

- Będę latał.

- Ciekawe czym? - powiedział Jack.

- Śmigłowcem.

- Śmigłowcem - wycedził z pogardą ojciec. - Będziecie pruć do gromady wieśniaków ze śmigłowca. Jestem pod wrażeniem.

Mike zrobił się purpurowy na twarzy. - Przynajmniej o coś walczę. Przynajmniej nie opieprzam się za biurkiem.

Jack wymierzył mu policzek za to, że przeklina przy matce. Mike jęknął, wstrząśnięty

- Madeleine widziała, że w oczach kręca mu się łyż; co byłoby gorsze? Gdyby Mike się rozpłakał, czy gdyby podniósł rękę na ojca?

Mike odwrócił się do matki i powiedział: - *Excuse-moi, Maman*. Wyrwało mi się.

Mimi płakała. Objęła syna i przytuliła go do siebie. - *Va avec Dieu, hein? Mon petit homme*. - Gładziła go po plecach, jakby znów był małym chłopcem. - *P'tit gentilhomme*.

Widać było, jak Mike'owi drgają usta, gdy obejmował matkę, ale powstrzymał się od

placzu. Madeleine przychodziła do głowy tylko jedna myśl: *Ty cholerny kretynie. Zostań w domu.*

- Nigdzie się stąd nie ruszaj - powiedział Jack.

Mike odwrócił się i wyszedł.

- Wtedy widziałaś brata po raz ostatni? - mówi Nina.

Madeleine się uśmiecha. - Nie, wybiegłam wtedy za nim.

Mike odjeżdża poobijanym chevroletem nova, upstrzonym plamami po startej rdzy. Madeleine goni samochód. Mike dostrzega ją w lusterku wstecznym i zatrzymuje się.

Jadą po Jocelyn.

- Ty tak na serio? - pyta Jocelyn Mike'a, siadając na tylnym siedzeniu.

- To ci dopiero niespodzianka! - skrzeczy Madeleine.

Kierują się do śródmieścia Ottawy. To czysty surrealizm - schludny letni mundur Mike'a i jego fryzura „na zapałkę” na tle wszechobecnych džinsów, postrzępionych spódnic i długich, rozdwarzających się włosów. Krótsze od Mike'a włosy noszą tylko wyznawcy Hare Krysna paradujący w pomarańczowych szatach i pobrzękujący tamburynami.

Przechadzają się w przejrzystym świetle wczesnego czerwcowego wieczora, idą deptakiem Sparks Street Mail - rojącym się o tej porze od turystów, urzędników i hipisów - mijają sklep z płytami, z którego dolatują dźwięki *Lucy in the Sky with Diamonds*, mijają ulicznych muzyków i sprzedawców biżuterii, cały czas pod ostrzałem spojrzeń.

Madeleine ma wrażenie, jakby śniła chłodny, świadomy sen: odziana jedynie w długą białą koszulę, jedzie na wozie na plac, na którym ma zostać spalona; tłum może szydzić i pluć, lecz ona nie będzie udowadniać swoich racji. Zadziera głowę do góry i kroczy dumnie obok żołnierza amerykańskiej piechoty morskiej.

- Gdzie zwykle przesiadujecie? - pyta Mike.

- W takiej małej knajpie przy Sussex.

Tak naprawdę nieczęsto tam chodzą, ale myśl, że wejdą na salę u boku Mike'a w mundurze, napełnia ją udręka, i dlatego to tam postanawia go zabrać. Przechodzą obok budynków parlamentu, skręcają w lewo, w Sussex Drive, przy której mieści się kawiarnia o nazwie Le Hibou.

Mike otwiera im drzwi. - Panie mają pierwszeństwo.

Jocelyn patrzy wymownie na Madeleine, która spojrzeniem przyznaje jej rację.

Jocelyn wygląda jak rusałka z obrazów Arthura Rackhama, tylko że w džinsach. Madeleine też chciałaby być taka zwiewna, ale niestety przypadło jej w udziale silne, choć

giętkie ciało gimnastyczki. Różnią się od siebie jak jednorożec od mustanga.

Wchodzą do środka. Na stołach przykrytych kraciatymi obrusami migoczą płomyki świec w oblepionych woskiem butelkach. Mimo gryzącego dymu gauloisów i gitane'ów wyczuwalny jest zapach wody kolońskiej Mike'a - Hai Karate. Jej woń miesza się z olejkiem z paczuli i kadzidełkiem. Boże, po cośmy tu przyszli? Goście mierzą ich wzrokiem, gdy siadają przy stoliku, Madeleine między Jocelyn i Mikiem.

Mike pochyla się nad stolikiem i pyta Joss: - Jesteś feministką?

- To zależy - odpowiada Jocelyn, nie patrząc na niego; zakłada kosmyk prostych jasnych włosów za ucho. - A ty jesteś męską szowinistyczną świnią?

Mike wyszczerza zęby - Co ty! Jestem hipisem. Wierzę w wolną miłość.

- Jesteś troglodytą - odzywa się Madeleine. - Przesuń się. - Odsuwa go od siebie łokciem.

- Poproszę piwo - mówi Mike, podnosząc wzrok.

Obsługujący ich facet namyśla się chwilę. - Nie sprzedajemy alkoholu.

- Trudno - odpowiada Mike. - Napiję się kawy.

Kelner ociąga się. - Zabijanie ludzi sprawia ci przyjemność? - pyta ze wzrokiem utkwionym w Mike'u.

Madeleine sztywnieje. Czuje pod stopami drewniane koła wozu stukające o bruk, jak długo jeszcze będą ją wieźć na plac straceń?

Mike chichocze. - Nie wiem, jeszcze nikogo nie zabiłem. - Odwraca się, rozpinając bluzę.

- Ale przecież tego was uczą - mówi kelner.

Ma bladą twarz o rozmazanych rysach - gładką białą maskę z czarną nastroszoną grzywą. Nie odrywa wzroku od Mike'a. Mike się uśmiecha, swobodnie zaciskając w potężnej pięści klucz do samochodu.

Madeleine ma długie, ciemne włosy z przedziałkiem w środku; jej pacyfka, ręcznie farbowana luźna koszula, spłowiałe dżinsy z rozszerzonymi nogawkami i sandały wiązane na rzemyki - to odbicie w jej stroju wiary w bierny opór i niestosowanie przemocy.

- Idź się pieprzyć, a jak skończysz, przynieś nam trzy kawy i łyżeczkę, żebym ci ją mogła wsadzić w dupę - mówi Madeleine do kelnera.

Mike wybucha śmiechem.

- O Boże, Madeleine - wzdycha Jocelyn i osuwa się na krzesło, zakładając ręce na piersi.

Madeleine nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na piersi Jocelyn, które teraz wyraźnie

rysują się pod jej szafranową koszulką, idealnie okrągłe.

- Spokojna głowa, wychodzimy - zwraca się Mike do kelnera. - Dzięki za fatywę. Ile się należy za stolik?

- Nic się nie stało. Zaraz przyniosę kawę.

Madeleine czuje się głupio z powodu swego wzrostu. A jednocześnie rozsadza ją chęć spalenia czegoś, wysadzenia w powietrze. Często wpada w taki stan i nie ma pojęcia, jak wyładować emocje.

Na maleńkiej scenie jakaś kobieta, przy akompaniamencie bongosów, zaczyna recytować wiersz, powoli, z opadającą intonacją.

Nauczyciel socjologii wysłał do redakcji esej Madeleine na temat winy, jaką ponosi Kanada w związku z wojną w Wietnamie. W swym eseju Madeleine nawołuje do bojkotu kanadyjskich przedsiębiorstw, które zaopatrują amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy, wytwarzając wszystko, od naboju po zielone berety, od napalmu po racje żywnościowe, zatrudniając łącznie sto czterdzieści tysięcy Kanadyjczyków. Zatyłowała go *W służbie Wujka Sama*. Wydrukowali go i ojciec był z niej dumny, chociaż nie do końca podziela jej punkt widzenia, niemniej „obywatelski sprzeciw to podpora demokracji”.

- W kraju pod ziemią świeci zielone słońce i rzeki płyną wspaniale... - recytuje poetka.

Płonące chaty bambusowe, płonący ludzie, nagie płaczące dzieci. Jej brat wybiera się tam, żeby dalej szerzyć zniszczenie.

- ...drzewa i skały niczym się nie różnią od tych, które rosną tutaj, ale są odwrócone. Ci, którzy tam żyją, cierpią wieczny głód...

Jej brat weźmie udział w tym haniebnym dziele, nawet jeśli osobiście nie popełni żadnych wojennych zbrodni - bo skoro wojna z samej swej natury jest zbrodnicza, to jak to rozgraniczyć? Madeleine spogląda na jego ręce. Zabije nimi kogoś? Czyjegoś brata? Patrzy, jak Mike popija kawę i słucha wierszy z przekrzywioną głową, zupełnie jak ojciec. Mike ją przeraża. Budzi niesmak. Zazdrość. To się nie trzyma kupy.

- ...możecie stamtąd wynieść mądrość i wielką potęgę, jeśli zdołacie zstąpić pod ziemię i bezpiecznie wrócić...

Kiedy poetka kończy, Mike bije brawo i zwraca się do Madeleine: - Świetne wiersze. Naprawdę.

Życie to ciąg przypadkowych zdarzeń, moralność nie istnieje, są tylko zbiorowe omamy, sporadyczne akty wiary i samozachowawczego umiaru, które powstrzymują ludzi przed nieustannym wzajemnym wyzyskiem. O tym dyskutują z Jocelyn w piątkowe noce, słuchając Ladies of the Canyon. O trzeciej nad ranem przerzucają się na Beach Boys i

rozmawiają o seksie. Jocelyn już poszła na całość. Madeleine jeszcze nie.

Jocelyn owija sobie wokół palca naszyjnik z koralików i przysuwa ucho do ust Mike'a, żeby usłyszeć jego głos ponad łoskotem bongosów. Jocelyn zasłania sobie usta, kiedy się śmieje. Przypomina Madeleine Lisę Ridelle. Ludzie w gruncie rzeczy są tak do siebie podobni.

Zjawia się kelner z dzbankiem kawy i pyta Madeleine: - To twój chłopak?

- Nie, to mój brat - odpowiada Madeleine, gotowa do następnego starcia.

- Chcesz spędzić ze mną tę noc?

Madeleine spogląda na niego. Faceci są niesamowici. Kelner patrzy na nią wzrokiem, jaki Madeleine zaczęła od niedawna zauważać u mężczyzn. Wzrok, przed którym nie można uciec.

- W razie czego jestem w pobliżu - oświadcza i odchodzi między stolikami.

Mike podnosi filiżankę Madeleine ze spodka, chowa ją pod blat stołu i wlewa coś do niej ze srebrnej piersiówki. To samo robi z filiżanką Jocelyn i ze swoją.

Na koniec przenoszą się na drugą stronę rzeki do Hull, gdzie zaczyna się Quebec. Tam o drugiej w nocy Madeleine wywija z bratem w rytm muzyki Jamesa Browna, granej przez miejscowy zespół rockabilly. Śpiewający z francuskim akcentem wokalista w kowbojskim kapeluszu jest chudy i, choć nie wygląda na starego, ma sztuczną szczękę. Akompaniuje sobie na akordeonie.

- Wstań, pokażemy im, jak się tańczy - mówi Mike.

Nikt w barze nie czyni uwag z powodu munduru Mike'a, nikogo nawet nie dziwi obecność dwóch małoletnich hipisek u jego boku. Klientela jest w różnym wieku, od nieletnich do leciwych. Pracownicy miejscowych zakładów celulozy i papieru, studenci odpalający jednego papierosa od drugiego, dużo swobodniejsi, bardziej seksowni i rozprawiający z większym ożywieniem niż ich anglojęzyczni koledzy po drugiej stronie rzeki. Są tu sekretarki i robotnice z fabryk w mocno wydekoltowanych sukienkach z poliestru i półbutach z paskiem wokół kostki - może i słyszały o ruchu wyzwolenia kobiet, ale przypuszczalnie nic ich to nie obchodzi. Nad barem wisi portret króla: Elvis w mundurze amerykańskiej armii.

Na ich stoliku stoi mnóstwo wysokich brązowych butelek po piwie Molson i gdzieś tam puste szklaneczki po „utrwalaczu” - whisky Jack Daniels - które Mike nazywa „poległymi żołnierzami”. Przez całą noc nie mówi już ani słowa po angielsku. Jocelyn co chwila woła do Madeleine, przekrzykując muzykę: - Co on mówi?

- Mówi: „Strasznie mnie uwiera gorset”.

- Nie rób sobie jaj. Co on powiedział?

Mike podchodzi do baru; zespół gra *Havin's Some Fun Tonight*. Madeleine porywa Jocelyn do tańca i obie szaleją w rytm polki.

- Powiedział: „Wstąp do piechoty morskiej. Wyjedź do odległych egzotycznych krajów, poznaj ciekawych ludzi. I zabij ich” - woła Madeleine, przekrzykując muzykę.

Jocelyn piszczy ze śmiechu. Wpadają na stół zastawiony pustymi butelkami; wysokie flaszki przewracają się i toczą jak kęgule; kelner z natapirowanymi włosami i twarzą Matuzalema natychmiast wkracza do akcji i zgarnia je. Zamawiają następną kolejkę.

Jocelyn odpoczywa przy stoliku, w żołnierskiej czapce Mike'a, a Madeleine wywija z nim na parkiecie. Mike rzuca nią do przodu i do tyłu w rytm *Jailhouse Rock*, a ona wygina się jak spaghetti na widelcu.

Mike dobrze tańczy; wprawdzie nie nadąza za swoim pokoleniem, ale za to jest rozchwytywany na weselach, przydają się te niedzielne popołudnia przetańczone z *Maman*. Krawat ma poluzowany, koszulę wyciągniętą ze spodni, mokrą od potu, twarz rozpromienioną.

Kiedy piosenka się kończy, Mike podchodzi do Jocelyn, pochyla się nad stolikiem i wyciąga do niej rękę, Jocelyn przyjmuje zaproszenie do tańca. Madeleine siada na krześle i przygląda się im; przypomina się jej Lisa w dziecięcym namiocie, jej wyznanie, że kocha Mike'a.

Madeleine czuje się staro, jest znużona życiem. Wypity alkohol, okoliczności, piętnaście lat jej życia wspólnymi siłami napierają na obecną chwilę, żeby ją zdławić. Ta chwila ma znaczenie, jakby była częścią opowieści. Dlaczego akurat dziś wieczorem przyszła jej na myśl Lisa Ridelle? Gdzie ona się teraz podziewa? Była zabawna. A może po prostu śmiała się z byle czego? Która z nas była tą dowcipną, ja czy Lisa? Na pewno Auriel; Madeleine ogarnia fala ciepła i tęsknoty za Auriel. Minęło dopiero sześć lat. Wydaje się, że to zamierzchna przeszłość.

Upewnia się, że w butelce nie pływają niedopałki, i pociąga duży łyk piwa.

Zespół gra *Love Me Tender*. Jocelyn i Mike kołyszą się powoli, wtuleni w siebie. Madeleine prosi o papierosa młodą kobietę z fryzurą przypominającą ul. Przysuwa się do niej, żeby odpalić, i dostrzega „przedziałek” między jej bujnymi piersiami, podkreślone kredką brwi i oczy; nieznajoma skropiła się perfumami o zapachu konwalii.

- Dzięki - mówi Madeleine.

- *Garde les allumettes* - odpowiada kobieta i puszcza do niej oko. Nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nawiązują dwujęzyczną rozmowę, niemal bezwiednie przechodząc z francuskiego na angielski i odwrotnie. Madeleine po raz pierwszy w życiu się upiła, a jej francuski nabrał niespotykanej dotąd płynności. Nieznajoma opowiada jej o narzeczonym, który wyjechał do *Nouveau-Brunswick*, gdzie pracuje jako drwal. Mówi Madeleine, że jest ładna, trzeba by tylko poprawić kilka rzeczy - ofiaruje się, że zrobi jej makijaż w łazience. Madeleine przystaje na jej propozycję.

Damska toaleta jest mdląco różowa i cuchnie niemal tak jak męska. Kobieta otwiera skórzaną kosmetyczkę i za pomocą pędzelka i kilku tubek próbuje coś zrobić z twarzą Madeleine.

- *Que t'es belle, ma p'tite, tu me fais penser à ma petite soeur.*

- Tak ? A ile ma lat twoja siostrzyczka ?

- *Ben, chérie, ona nie żyje, elle est morte.*

- Cholera - mówi Madeleine. - *C'était quoi son nom?* Natychmiast żałuje, że o to spytała, domyśla się bowiem, co odpowie nieznajoma.

- Miała na imię Claire.

- Cholera - mówi Madeleine. - Co jej się stało, co jej się, kurwa, stało?

Madeleine nigdy nie przeklina - jak również nigdy się nie upija, nie robi makijażu ani nie zadaje się z wyzywającymi dziewczuchami z Quebecu, które pewnie nigdy nie słyszały o Simone de Beauvoir.

- Zachorowała, kotku - odpowiada nieznajoma. - Zapalenie opon mózgowych, zawinęła się, o tak. - I pstryka palcami. *Pauvre petite* - dodaje. - Ale ty posmutniałaś, maleńka. - Głaszcząc Madeleine po policzku. - *Pleure pas.*

- Wcale nie płaczę - mówi Madeleine i unosi brodę, na którą nieznajoma środkowym palcem nakłada warstwę pudru.

Kobieta przesuwając palcem po wardze Madeleine, potem całuje ją w usta - sztuczny aromat wiśni, przesycona tytoniem ślina, wilgotna miękkość.

- Nie martw się - mówi kobieta, gładząc jej włosy, i znów ją całuje. Madeleine wpija się w nią ustami, rozpląwa się w pocałunku. Nieznajoma obejmuje ją ręką w talii, przyciąga do siebie.

- Chcesz pójść ze mną, maleńka? *C'est quoi ton nom?*

- Nie mogę - mówi Madeleine i wymyka się z łazienki.

Mike i Jocelyn siedzą przy stoliku, odpoczywają. Jocelyn ma rumieńce na twarzy, śmieje się. Mike przechyla butelkę i pije, piwo spływa mu po szyi. Mike wklepuje je jak wodę po goleniu, podśpiewując jak mężczyzna z reklamy Aqua Vulva.

- O, mój Boże - jęczy Jocelyn na widok Madeleine.

Mike sięga do kieszeni po chusteczkę. - Wyglądasz jak tania zdzira. - Zwilża chusteczkę językiem, jak to robił kiedyś ojciec. - Wystarczy, że na sekundę spuszcze cię z oka...

Chce wytrzeć jej twarz, ale Madeleine ucieka do baru i przegląda się w lustrze - *sacrebbeau*. Obok niej wyrasta Mike, śmieje się z niej. Madeleine ma umazane usta, wygląda jak szop pracz. Bierze chusteczkę, moczy ją w piwie i ściera szminkę. Jej dżinsy są wilgotne w kroku, całe szczęście, że tego nie widać; całe szczęście, że dziewczynom nie staje w miejscach publicznych.

Madeleine widzi w lustrze odbicie nieznajomej - wróciła do swojego stolika i migdali się z potężnym facetem z jasnymi przetłuszczonymi włosami związanymi w kitkę. Madeleine przychodzi na myśl kelner z Le Hibou. Powinnam to zrobić z nim. Dlaczego nie? Któryś musi być pierwszy. Przynajmniej nie chodzi do tej samej szkoły i nie będzie jej namawiał, żeby została jego dziewczyną.

O wpół do czwartej nad ranem zespół gra utwór na specjalne życzenie Mike'a. *Little Richard and the Big Bopper* ustępują miejsca ludowej piosence. Wokalista, z ustami przy mikrofonie, zawodzi: *Un Canadien errant, banni de son pays...* Madeleine aż skręca w żołądku - to takie ckliwe. Zaraz wparuje tu jakiś separatysta i przegoni ich stąd. *Parcourait en pleurant, des pays étrangers...* Prosta melodia, jak w ludowych piosenkach na całym świecie, ale chwytająca za serce: utraciłem ojczysty kraj, tęsknię za ojczystym krajem, mój kraj ojczysty istnieje tylko we wspomnieniach.

Maman zawsze śpiewała oryginalną wersję, z *un Acadien*. Ale Mike niebawem stanie się *un Canadien errant*. Wietnam - czy można zabłąkać się dalej od rodzinnych stron? A zresztą skąd oni pochodzą, Mike i ona, gdzie są ich ojczyste strony? *Pożegnajcie się z domem, dzieci...*

Mike obejmuje Madeleine, kołyszą się wolno. Mike ma zlepione od potu włosy, zaróżowiony kark. Pochyla głowę i wtula się w ramię siostry. Madeleine zaplata ręce z tyłu na jego łopatkach - gdzieś tam ma łopatki, schowane pod zwałami mięśni, miękkich i jędrnych zarazem, mój starszy brat. Pachnie ładnie, mimo Hai Karate, piwa, whisky i potu. Pachnie świeżo - świeżością zabaw w chowanego w letnie noce, wonią trawy roztartej na kolanach, kąpieli w jeziorze, prażonych słońcem piaszczystych wydm; nocami leżeli w śpiworach obok siebie pod gołym niebem - co nam zostało z tych dni? *Qui peut dire, où vont les fleurs?*

Madeleine po raz pierwszy w życiu jest pijana. Głaszcze Mike'a po krótko przyciętych włosach - ty głupi kretynie, Michel, dlaczego nas zostawiasz? Dlaczego chcesz zadawać

innym ból? Wiem, że nie po to tam jedziesz. Po co tam jedziesz? Szczecina na jego głowie jest zadziwiająco miękka, gęsty, puszysty dywan. Oni nie będą wiedzieli, że ty jesteś inny, Mike. Nie będą wiedzieli, że masz dobre serce. Madeleine zagryza wargi, ale to nie pomaga, jest pijana, jej słynną umiejętność zachowania dystansu diabli wzięli, łyż pierrota, zmieszane z tuszem do rzęs, spływają jej po policzkach. *Sierzancie, oberwałem.*

Mike podnosi głowę, posyła jej promienny uśmiech - całuje ją w policzek.

- Matoł - mówi Madeleine i wyciąga rękę do Jocelyn na znak, żeby się przyłączyła. Do końca piosenki kołyszą się w miejscu we trójkę, spleceni ramionami.

Wracają odrapanym chevroletem do Ottawy. Madeleine prowadzi - jest najmniej pijana, poza tym nie grozi jej utrata prawa jazdy, bo jeszcze go nie posiada. Jadą przez most, a potem aleją wzdłuż rzeki, mijają okazałe rezydencje premiera i gubernatora, przecinają Rockcliffe Park. Rodzice Jocelyn się rozwiedli, a ona mieszka z ojcem, może wracać, o której chce - raj na ziemi. Madeleine zatrzymuje samochód przed domem stojącym pośród ambasad.

- Wyższe sfery - stwierdza Mike. - Odprowadzę cię do drzwi.

Mike i Jocelyn całują się w progu. Madeleine jest zszokowana. Jocelyn sięga ręką w tył, otwiera frontowe drzwi i wślizguje się do środka. Mike wślizguje się za nią.

Madeleine czeka. Opiera głowę o kierownicę, ponieważ kiedy odchyła się do tyłu, wszystko zaczyna jej wirować przed oczami. Zасыpia i widzi panią Lang, Brązową Sowę, w sukni ślubnej i zuchowym berecie. Pani Lang uśmiecha się do niej chytrze. - Chyba wiesz, co znaczy *hibou* po francusku?

- Sowa - odpowiada Madeleine.

- A jak robią sowy?

- Hu-hu.

- Hu-hu-ha, hu-hu-ha! Madeleine, miła ma, kto mnie zabił?

Mike budzi ją, wyrzywa ze zdradliwego nurtu. - Przesuń się, Rob.

Kiedy dojeżdżają na przedmieścia, słońce już wschodzi - na rozległych trawnikach perli się rosa, pod niebieskimi plastikowymi pokrywami drzemią baseny. W chwili, gdy Madeleine wysiada z samochodu, z garażu wyjeżdża ojciec w swoim nowym oldsmobilu; brama do garażu zamyka się automatycznie, koła miękko pokonują krawężnik. Jack odwraca się do Madeleine i jak za dawnych lat, salutuje jej, przykładając dwa palce do skroni. Na Mike'a w ogóle nie patrzy.

- Jedzie grać w golfa - mówi Madeleine.

- Ucałuj ode mnie *Maman* - prosi Mike. - *Je t'aime.*

I tyle go widziała.

ZAGINIONY W AKCJI

Jego rodzice nie mówią: „Kiedy umarł Mike”, ponieważ jeśli nie żyje, to nie dlatego że „umarł”, tylko został zabity. Lecz nie mogą też powiedzieć: „Kiedy Mike został zabity”, ponieważ nie wiedzą na pewno, że tak się stało. I nie mówią: „Kiedy zaginął Mike”, ponieważ brzmi to tak, jakby po prostu gdzieś się zgubił.

Kiedy przeżywasz żałobę?

Kiedy czekasz i patrzysz, aż rozchyli się kwiat, rozwinie liść, albo kiedy czuwasz przy powoli gasnącej drogiej ci osobie, u której dziś widać wyraźną poprawę, wyczekiwanie jest zmuszne. To długie rozkwitanie czy wędnięcie ukochanej twarzy zdaje się nie mieć końca; każdy drobny ruch jest oceniany, wyolbrzymiany, porównywany, odrzucany, lecz jedno jest pewne - kwiat się otworzy, droga twemu sercu osoba umrze, to tylko kwestia czasu i wielu dowodów czulej troski.

Z nieobecnością jest inaczej. Nie można czuć nad nieobecnością. Opiekować się nią, wspierać w podróży, miłować jej. Można jedynie patrzeć, jak życie posuwa się naprzód, opływając w nadzieję i lęk pospołu, nadgryzając krawędzie, wykruszając drobina po drobinie wszelkie oczekiwanie, aż nadejdzie ten litościwy czas - co zresztą wcale nie musi nastąpić - kiedy będzie można powiedzieć: *już go nie ma*.

Boleść głęboko w piersi. Zasypia się nad książką, bo brakuje sił, żeby walczyć z opadającymi powiekami, a potem, w środku nocy przebudzenie i nowy przyptyk bóleści. Jakby powolne, ciepłe wydzielanie hormonu. Dotyk delikatnej ręki. *Zbudź się, Sowo! Zbudź się, przyjaciółko!* O, bolesna bóleści.

I wciąż nie ma pogrzebu, nie można wyrzucić z siebie smutku; nie można otrząsnąć liści z kropel, żeby poczucie straty odparowało i rozpoczęło się łagodne oddychanie pamięci. Bolesne wyczekiwanie to jak niedokręcony kran, niepowstrzymana nadzieja, *kap, kap*, kropla po kropli: *może..., gdyby tak..., a jeśli...*

Przyjaciele niewiele mogą pomóc. Jeśli mają doświadczenie i boleść ich nie krępuje, nie wrywają się ze środkami uspokajającymi, nie robią smutnych min ani nie prowadzą zdawkowych rozmów z uśmiechami przyklejonymi do twarzy. Postępują jak dobrzy partnerzy w tańcu. Życie toczy się dalej. Tak to już jest. Nie zapomina się, ale też się nie rozpamiętuje; bądźcie blisko, to wszystko. Nie narzucajcie się z poczęstunkami i zbyt częstymi telefonami, ale nie znikajcie. Bądźcie blisko.

Czekanie jest wyczerpujące. Jak życie w obcojęzycznym środowisku. Nieustannie

przekładanie, czas terazniejszy przefiltrowany przez tryb przypuszczający, *gdyby Michel był z nami... jeśli Mike wróci do domu...* Dusza i ścięzna w ciągłym napięciu. Gotowe na nagłą radość lub smutek. Nic nie daje żal, że nie ceniliśmy życia bardziej, zanim przytrafiło się nieszczęście: zostaliśmy zaprojektowani inaczej. Zostaliśmy zaprojektowani, żeby pragnąć; na zmianę hołubić i nie zauważać. Niektórym dana jest umiejętność przeżywania szczęścia, a to niewiele ma wspólnego z okolicznościami. Tylko nieliczni umieją czekać.

Mimowolny skurcz twarzy na dźwięk dzwonka telefonu, pukania do drzwi, kroków listonosza. Ale wiadomość nie przychodzi. Dusza i ścięzna nie rozluźniają się. Tracą elastyczność. Tak jak zbyt długo napięta cięciwa, która wiotczeje albo pęka, kiedy się ją puści.

Boleść jest jak przegub. Łącznik występujący w czasie, między obumarciem nadziei, a poczuciem straty. Brakujące ogniwo. Pozwala żyjącym ruszyć do przodu, a zmarłym wreszcie powrócić do naszej pamięci, z uśmiechem na twarzy i otwartymi ramionami.

Jego rodzina nigdy nie doczekała chwili, by mogła powiedzieć: *On nie żyje*. Zamiast tego nadzieja stopniowo, niedostrzegalnie przeszła w następną fazę, i rodzice nawet już nie pamiętają, kiedy po raz pierwszy powiedzieli: „Kiedy straciliśmy Mike'a”.

- Jak poniedziałkowy benefis?
- Świetnie.
- To „coś” nie dało o sobie znać podczas występu?
- To „coś”? Aha. Nie.
- Co teraz czujesz, Madeleine?
- Nic, absolutnie nic.

U NIEGO

*Drugi głos słodki był jak rosa,
Na listkach gdy osiadzie:
„Ten człowiek ciężko pokutował
I pokutować będzie”.*

Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, w przekładzie Z. Kubiaka

Jack to człowiek bez cienia. Jego cień zmarł w wyniku zaniedbania. Wysechł jak kałuża w czasie upalnego dnia.

Jack słucha wiadomości, czyta, ogląda; śledzi je nieustannie. To coś więcej niż męska strategia odwrotu, pozwala odeprzeć dziką panikę. Jack z uwagą obserwuje żonę. Niczym strażniczka jednego z dwóch kluczy, potrafi uruchomić w nim boleść. Jej boleść może sprawić, że nastąpi koniec świata. Ale wiadomości są kojące. Odpowiednio dawkowane są całkiem strawne, z kilkoma przewodnimi wątkami przypominają strukturę fabularną opery mydlanej - świat się obraca i nic się nie zmienia.

Czasem jednak, mimo ogólnego znieczulenia, jakie wywołują w nim wiadomości, coś go zakłuje, jak na przykład stwierdzenie Waltera Cronkite'a, że wojny w Wietnamie nie da się wygrać, *I tak to już jest...*

Jack nie wie, czego nie wie. Nie wie, jak się zmienił. Jak wygląda w oczach kierowcy jadącego za nim samochodu, którego ukarał, rozmyślnie zwalnijając.

Nie miał pojęcia, że jego podwładni w Ottawie się go boją. Nie miał pojęcia, że jego syn go kocha.

Wiadomości pozwalają zapomnieć. Niestrudzenie na nowo składają świat, który co dzień się rozsypuje. Dziennikarze są jak królewscy dworzanie na swych koniach, którzy za wszelką cenę starają się dostarczyć królowi na omlet Humpty'ego Dumpty'ego w całości, dzień po dniu, kilka razy dziennie. Wiadomości stwarzają pokrzepiające złudzenie upływu czasu, zmiany. Nie trzeba zanurzać się w nurcie płynącym głęboko pod powierzchnią, dużo silniejszym, choć płynącym wolniej; takie zanurzenie przypłaca się wiedzą i cierpieniem.

Wiadomości to namiastka czasu, jak zabielać do kawy zastępujący śmietankę.

Jack wie, kto zabił mu syna. Amerykanie. Swoją pychą, fałszywą niewinnością, Krótkowzrocznością, uwielbieniem tyranów, chciwością, kłamstwami. Równie dobrze Richard Nixon mógłby zjawić się w ich domu i zamordować go osobiście. Bo zanim zaczęła się wojna w Wietnamie, wszystko było w porządku. *Szelest przewracanej strony.*

Teraz Jack, siedząc w swoim ulubionym fotelu, powoli tonie. Jego płuca są z wolna zalewane, jak ład pochłaniany przez Morze Północne. Zastoinowa niewydolność serca.

Stare kopalnie z czasem wypełniają się wodą, która sączy się przez ziemię, porytą korytarzami i pozostawioną na pastwę losu. To samo dzieje się z płucami, kiedy zaczyna zawodzić obsługująca je pompa.

Jedynym sposobem na to, żeby rana w ziemi się zagoiła, jest jej zalanie lub zasypanie, lub jedno i drugie naraz. To powolny proces, który rozpoczyna się natychmiast po zaprzestaniu eksploatacji. Kap, kap, lekkie przesunięcie, pęknięcie, i sypią się skalne okruchy. Dokonują się miliony znikomych zmian, aż nagle jednego dnia następuje przesilenie, gwałtowne zawalenie się ziemi i skał. Czasem jednak odbywa się to bez szumu i huku: poziom wody stopniowo się podnosi i w końcu dosięga sklepienia.

*Ptaka duch kochał, co przebywa,
Gdzie wicher, mróz i mgły ciemne,
Ptak zaś człowieka tego kochał,
Co zabił go nikczemnie.*

U NIEJ

*Twoje dzieci rosą i idą w świat,
Przyszli żołnierze i jeźdźcy.
Umiera partner, co służył ci wiernie.
Kto ciebie zna? Kto pamięta?*

Leonard Cohen, *You Have the Lovers*

Mimi ze wszystkich sił stara się już nie płakać przy Jacku. Przepląkała całe miesiące po tym, jak otrzymali oficjalne zawiadomienie, że ich syn zaginął w akcji. Jack ją pocieszał, podsuwał jej dziesiątki optymistycznych rozwiązań, przytaczał dziesiątki błędów popełnionych przez urzędników; najgorszy scenariusz przewidywał, że ich chłopiec zgubił się w tym całym bałaganie, leży gdzieś w szpitalu polowym, ranny, ale żywy. Mimi zmagająca się z napływającą falą udręki i powolnym odpływem nadziei. Zapadała na emocjonalną anemię. Krzątała się i uwijała „na brzegach”, które widoczne były dla każdego. Lecz w środku tkwiła goła połać, której nie można było nazwać polaną. Jałowa ziemia, jakby napromieniowana. Nic już na niej nigdy nie urośnie.

Mimi zwierza się kilku przyjaciółkom. Nowym przyjaciółkom: Doris, Franne, Joanne. Szuka oparcia, łapie oddech, ale nie załamuje się przy nich. W końcu przestają o niej mówić „biedna Mimi”, co oznacza, że dopięła swego.

Trudno byłoby za nią nadażyć: Fundacja Zapobiegania Chorobom Serca, Partia Liberalna, Liga Katolickich Kobiet, praca pielęgniarki. Ciągłe w ruchu, w końcu nigdy nie umiała próżnować. W pewnym momencie zaczyna uzmysławiać sobie metaliczny posmak w ustach - to coś nowego, przecież nawet czterdzieści lat palenia nie zdołało zaszkodzić jej talentowi do przyprawiania sosu. Coś się musi zmienić. I zmienia się. Nikt niczego się nie domyśla, nawet mąż czy córka. Oto jej rada na cierpienie:

Zawsze miej jakieś zajęcie. Ale nie unikaj kontaktów z sąsiadami. Zauważ, że młode małżeństwo mieszkające na rogu posadziło drzewo. Zauważ, że kobieta, której rok temu zmarł mąż, ma psa, dorosłego kundla ze schroniska: Mimi nie lubi psów, ale mówi: „*Ah, mais il est migno!*”, i pochyla się, żeby pogłaskać go po kościstej głowie. Zauważ, że komuś urodziło się dziecko. Ugotuj coś, poczęstuj sąsiadów. W każdy czwartek chodź rano na spacer z Joanne, która ze swymi długimi szarymi włosami i ulotkami Greenpeace przypomina Karen Froelich - aż dziw, że się zaprzyjaźniły. A kiedy zżera cię zazdrość o to, że Fran doczekała się wnuków, kiedy nie możesz przeboleć, że tyłu bezwartościowych młodych mężczyzn cieszy się życiem, siedź w samochodzie ze zgaszonym silnikiem i nie wypuszczaj z rąk kierownicy. Płacz, aż będzie cię palić gardło, a kierownica, mokra od łez, odcisnie ci znak na czole. Pomyśl o Świętej Paniencie, ona wie o twojej udręce. Jeśli potrafisz zachować przytomność umysłu - na podobieństwo epileptyka, który w przeczuciu ataku szuka bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby się położyć - zetrzyj makijaż. Płacz po nocach, ale staraj się nie wstrząsać łóżkiem. Wstań, wyjmij naczynia ze zmywarki, upiecz babeczki dla córki mieszkającej w Toronto. Zaczekaj do szóstej, potem zadzwoń do Yvonne w Nowym Brunswiku, gdzie już jest siódma. Poplotkuj, poosądzaj, powiedz jej, żeby nie osądzała

innych tak surowo, pośmiej się. Opiekuj się mężem.

Głowa uniesiona do pocałunku na dzień dobry. Współspiskowcy:

- Dawno wstałaś, moja pani?

- Jestem na nogach od szóstej.

- Coś tu smakowicie pachnie.

Opiekuj się nim. Kobiety żyją dłużej od mężczyzn. Mężczyźni są delikatni, Mimi powinna była lepiej zatroszczyć się o swoich. O jednego i o drugiego.

Nastaw wodę. Wyrzyj przez okno w kuchni.

Kochaj to, co zostało.

A TERAZ Z INNEJ BECZKI

Ależ dziwne są te przemiany! Nigdy nie jestem pewna, czym będę, wystarczy chwila!

Przygody Alicji w krainie czarów

Do lunchu z Christine zostało Madeleine jeszcze pięć minut; potem ma spotkanie z Shelly, na którym pokaże jej szkic scenariusza *Kobiety na opak* - to tylko jeden akapit, ale treściwy. Madeleine idzie w stronę miasteczka uniwersyteckiego, gdzie Christine ma swój gabinet. Jej wzrok przyciąga tytuł książki na wystawie „Księgarni dla Kobiet”. Przedziera się przez tłumek demonstrantów, który jak zwykle zebrał się przed kliniką aborcyjną, i wchodzi do środka.

Cieżarna dziewczica: proces psychologicznej transformacji. Feministyczne ujęcie jungowskiej koncepcji uzdrawiania, w sumie bełkotliwe. Dobrze dla Niny. Przerzuca kartki - kokony, motyle... Wzdycha. Samemu trzeba się uzdrowić? Kto by miał na to czas? Cały ten pomysł budzi w niej ochotę na potężną dawkę *Brudnego Harry'ego*. Ale kupuje książkę i wdaje się w pogawędkę ze śliczną kasjerką z włosami skręconymi w rastamańskie loki, cierpliwie słuchając, jak dziewczyna wyjaśnia przesłanie znaczków przypiętych do szelek jej dżinsowych ogrodniczków.

Moje ciało należy do mnie! - głosi ten przyczepiony do lewej szelki. *Biseks dziś, jutro gej* - zastanawia się ten na prawej. Kasjerka uśmiecha się do Madeleine.

- Lubi pani reggae?

- Uwielbiam.

Przesada.

- W czwartek mam występ w Cameron House.

- Jesteś wokalistką?

Jesteś na tyle dorosła, żeby kupić sobie piwo?

- Tak.

- Super.

Ale drętwota. *Super*. Jak ja się taka uchowałam?

- Bardzo lubię pani program - mówi dziewczyna, pochylając się do przodu i opierając łokciami o ladę.

Madeleine ucieka. Jak kierowca, który zbiega z miejsca wypadku. *Chowaj się w mig*.

Kupuje sobie falafel i zjada, idąc na spotkanie z Shelly - cudowny dzień. Po powrocie do domu wpisuje dedykację do książki i zostawia ją na stole, jako prezent dla Christine. Dla niej nadaje się bardziej. Poza tym, jeśli Madeleine wyniosła coś ze swojej terapii, to przekonanie, że Christine przydałaby się uczciwa introspekcja. Bierze telefon i wychodzi na balkon, żeby zadzwonić do Olivii.

Kilka dni później:

Madeleine stoi jak rozbitek na swoim perskim dywanie w pustym salonie. Jedyne w pełni umeblowanym pokojem jest obecnie jej gabinet, ale ona go unika; ucieka przed karcącym spojrzeniem wygaszonego ekranu komputera, dobrodusznymi wyrzutami pod jej adresem, jakimi tchną plakaty na ścianach, świadectwa minionych triumfów.

- Zabieraj swoje rzeczy - powiedziała Madeleine.

I Christine zabrała.

Madeleine zapomniała, że były umówione na lunch. Miała za sobą ciężkie spotkanie z Shelly, pokładającej w niej nadzieję. Straciła częściowo zdolność widzenia peryferycznego w jednym oku, a kiedy kupowała jajka w Bloor Supersave, ręce zdrętwiały jej aż do łokci. No i Christine ją rzuciła.

Co jest głane, doktorku?

Madeleine ma odłożone trochę pieniędzy; jeśli będzie robić zakupy w hurtowniach, może się załamywać nerwowo przez następne osiemnaście miesięcy. Taki jest urok tantiem z telewizyjnych powtórek. Wkrótce wybierze się do Ikei i wypełni po brzegi olbrzymi wózek. Będzie włączyć się między rzędami, razem z innymi rozwódkami oraz rodzinami z małymi

dziećmi. Dziś jest sobota, mogłaby zacząć już tego popołudnia.

- A co z kolacją? - zapytała głupio, kiedy Christine na werandzie zdejmowała blokadę ze swojego roweru.

- Sama sobie ugotuj.

Nie o to mi chodziło.

Mieli pójść z przyjaciółmi do wietnamskiej restauracji. Przyjaciółmi Madeleine-i-Christine. Christine-i-Madeleine.

- Zadzwoń do nich - odparła Christine, sprowadzając rower po drewnianych schodkach. - Tak naprawdę to nie ze mną się przyjaźnili. To ty zawsze błyszczałaś w naszym związku, Madeleine.

I odjechała na swoim pięknym starym rowerze marki Schwinn Glyder z luksusowym siodełkiem żelowym firmy Drifter.

Wróciła następnego dnia, razem z jakąś swoją studentką oraz wynajętą furgonetką. Madeleine pomogła jej załadować meble. I w ten sposób wyzbyła się wszystkich sprzętów. Ma za to ręcznik plażowy. Tackę firmy Melmac, miskę i kubek, a także niezbędnik: nóż, widelec i łyżkę w jednym. Przynajmniej łóżko zostało. Madeleine wybrała się do sklepu Honest Ed's, gdzie kupiła zestaw garnków i deskę do prasowania. Przytaszczyła to wszystko do domu na rowerze. Chciała kupić tylko bagielki, więc nie wzięła samochodu. Oczywiście, o bagielkach zapomniała. Jest żałosna, jak każdy porzucony mąż. Co gorsza, nic nie umie w domu sama naprawić.

- Dlaczego od razu nie przeprowadzisz się do niej? Przecież i tak do niej pójdziesz.

- Do kogo? - spytała Madeleine.

Christine tylko potrząsnęła głową i weszła do sypialni, a Madeleine za nią, jak grzeczny spaniel. Christine zaczęła energicznie wysuwać szuflady.

- Co robisz?

- A nie widać?

Kiedy Madeleine się odezwała, jej głos zabrzmiał jak głos robota, z czego wywnioskowała, że jest z nią niedobrze. - Kocham cię, Christine, nie odchodź, proszę cię. Nie zostawiaj mnie, Christine.

- Ty nie masz w sobie uczuć, Madeleine.

Połączył je ze sobą smutek. Ślad dzieciństwa w spojrzeniu. Sęk w tym, że żadna z nich nie jest zachwycona sposobem pojmowania szczęścia przez drugą.

- Nie możesz znieść, kiedy jestem szczęśliwa, Madeleine. Zawsze w takich chwilach czepiasz się i szukasz okazji, żeby wbić mi szpilę.

To nie w porządku. Madeleine nie mogłaby jej zranić; zawsze czekała, aż Christine wstanie z łóżka, dopiero wtedy zaczynała... drażnić.

- Boisz się stawić mi czoło - powiedziała Christine, składając rzeczy, rzucając je na łóżko.

Może miała rację, może Madeleine rzeczywiście wolała smutną Christine. Tę, która wpadała w niepohamowaną wściekłość. Tę, która dusiła.

Christine zatrzasnęła szuflady, oczy jej płonęły. Madeleine miała ochotę się roześmiać, bo Christine była taka wzburzona, jej pełna twarz nabrzmiała gniewem przypominała twarz nadąsanej lalki.

- Co cię tak bawi, Madeleine?

Madeleine zrobiła poważną minę i Christine odwróciła się z niesmakiem.

Nie z niesmakiem, mówi Christine, ze smutkiem. Nigdy jeszcze nie było mi tak smutno.

Na jasnopurpurowej narzucie łóżka pojawiły się dwie ciemne plamy. *Nie płacz, Christine* - ale kim, do diabła, jest Madeleine, żeby mówić jej takie rzeczy?

Dlaczego miłość nie wystarcza?

- Nienawidzę siebie, kiedy jestem z tobą - stwierdziła Christine, ocierając kącik oka, krzątając się jednocześnie przy pakowaniu z wigorem prostej gospodyni domowej.

Madeleine trzymała się jej kurczowo przez te siedem lat, ponieważ wierzyła, że Christine potrafi dostrzec, jaka jest naprawdę, przeniknąć ją do samego dna.

- W towarzystwie tryskasz humorem, ale przy mnie zawsze jesteś w paskudnym nastroju - powiedziała Christine.

Przy tobie jestem sobą, odpowiedziałyby Madeleine kiedyś, ale to przestało już być prawdą. Przy tobie prowadzę podwójne życie. Wilk w owczej skórze, kąsający dowcipem.

- Dlaczego odchodzisz?

- Bo ty nie masz odwagi mnie rzucić. - Christine niemal wypluła to z siebie. - Na co czekasz, Madeleine? Idź do niej.

Autentycznie osłupiała Madeleine stała - nie, nie jak przygwożdżona, jak marionetka, która zawisała na sznurkach.

- Do tej suki - wymamrotała Christine do ziejącej szuflady. Jakiej suki?

- Upatrzyła sobie ciebie już na samym początku - mówiła Christine. - Udawała, że zależy jej również na mnie, przychodziła na prośzone obiady. Ja dla niej gotowałam! Teraz wciągnęła cię do swojego durnego projektu i przez to zaniedbujesz własną pracę.

Olivia.

- Myślisz, że Olivia i ja...? To moja *przyjaciółka*, dziecino. - Madeleine czuła, jak jej

rysy wykrzywia głupawy uśmiezek męskiego poczucia winy, przesłaniając jej już i tak odrealnioną twarz. - To nieprawda!

Więc dlaczego ma wrażenie, że kłamie?

- Odchodzę, Madeleine. Mam już dość tej naszej cholernej współzależności.

Ale jak ja sobie bez ciebie poradzę? Teraz kiedy jestem rozchwytywana, uwielbiana. Nikt już się nie dowie, jaka jestem zła. Nikt już nie spojrzy na mnie tak przenikliwie jak ty.

Madeleine, znieruchomiała, patrzyła, jak Christine wypycha ubrania do plecaka.

- Lepiej weź walizkę - doradził robot. - Ma kółka.

Christine puściła to mimo uszu. Christine nigdy nie pojęła, że kiedy Madeleine była najbardziej „prawdziwa” - kiedy najmocniej odczuwała - zamieniała się w kukiełkę. Malowane drewno. Christine sprzykrzyło się spanie w jednym łóżku z dorosłą kobietą, która wciąż kładła obok siebie na poduszce obleśnego starego Królika Bugsa.

Kiedy wybuchł ten ostateczny konflikt, Madeleine rozmawiała przez telefon z ojcem. Sprzeczała się z nim i próbowała go przegadać, pytając, jak może krytykować amerykańską politykę zagraniczną i jednocześnie pochwalać Reaganowski oszukańczy projekt gwiazdnych wojen, „ten wytwór kriogenicznie zachowanego mózgu! George Bush kieruje państwem z biurka w CIA, usłanego figurkami żołnierzy i taśmami do nauki arabskiego, *ropa naftowa, o to chodzi, czarne złoto, teksańska herbata!*”. Jack śmiał się i podpuszczał ją dalej. Christine weszła do domu z pudełkiem ciastek i nowymi jasnymi pasemkami we włosach. Stała i uśmiechnęła się przelotnie, Madeleine podniosła wzrok: „Mój tata cię pozdrawia”. Nim Madeleine odłożyła słuchawkę, Christine zdążyła ściągnąć ze strychu swój stu pięćdziesięciolitrowy plecak.

Madeleine była wdzięczna losowi za bez reszty wypełniony pracą czwartek, z dużym zapasem sił wytrzymała kręcenie w piątek, śmiała się i głośno docinała innym w restauracji, gdy lisa swoimi krwistoczerwonymi szponami masowała jej skórę czaszki, i zapisała dla Shelly trzy arkusze papieru. Nikt nie podejrzewał, że jej życie legło w gruzach. Czuła się jak alkoholik działający na wysokich obrotach: o trzeciej nad ranem zasuwający zasłony w oknach, a o piątej, z promiennym okiem i miętowym oddechem, witający się z małżonkiem.

Przez trzy noce płakała w materac. Wylewała łzy nad dwunastoletnim Mikiem, wylewała łzy nad swoim roześmianym dziewięcioletnim „ja”, z zalem wspominała lot piłki baseballowej w popołudniowym słońcu, zakreślającej łuk od rękawicy do rękawicy, niczym skaczący delfin; płakała nad dzieciństwem i nad każdym, kto kiedykolwiek był dzieckiem. Nawet przez łzy zadziwiona tematyczną rozległością swego smutku. Współśrodkowe kręgi

bólu promieniującego z jednego ogniska. Z Centralii.

Kiedy trochę się uspokoiła - jeszcze przed świtem - pociągnęła za sznurek. Bugs przemówił - trzeszcząc wesoło, niezrozumiale, jak przekaz wysłany z kosmosu. Przytuliła go i zasnęła. *Nic nie mów.*

W sobotę rano wybrała się sklepu Honest Ed's po sztuce i wróciła do domu z przenośnym czarno-białym odbiornikiem telewizyjnym, jakie zwykle montuje się w szpitalach i poczekalniach. Cały dzień przesiedziała po turecku na dywanie, oglądając *Telezakupy* i słuchając kaznodziejów na kanale PTL Club, nie odbierając telefonów. Kolejni rozmówcy nagrywali się na automatyczną sekretarkę. Shelly, matka, Tony, Janice, Tommy, pięcioro innych i Olivia. *Dzwonek...* Madeleine nie reaguje. Zamówiła uniwersalny środek czyszczący „nie do nabycia w sklepach” i zaofiarowała sto dolarów w odpowiedzi na apel Goldie Hawn w programie nadawanym przez PBS. *Dzwonek...* Zmienia kanał. Włącza się automatyczna sekretarka: „Jeśli macie państwo wiadomość dla Madeleine, proszę się nagrać po sygnale; jeśli chodzi wam o Christine, proszę dzwonić pod numer 531-5409”. Rozlega się sygnał, po czym słychać głos rozmówczyni: „Dzień dobry, pani McCarthy. Tu Cathy, z Kanadyjskiego Biura Badań Konsumentckich. Czy byłaby pani tak miła i oddzwoniła pod numer 262-2262, wewnętrzny 226, i zgodziła się odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących pewnych dobrze znanych produktów? ”.

Madeleine łapie za słuchawkę. - Cześć, Cathy.

- Ach, witam panią... McCarthy?

- Posłuchaj, właśnie wykryto u mnie nieusuwalnego guza mózgu.

- Och, jak mi...

- Tak, i dlatego utopiłam dzieci w wannie.

Cisza.

- Cathy?

- Mm... to ja... ja zadzwonię później.

- Proszę bardzo, właśnie zawijam je w zasłone prysznicową.

Szczęk odkładanej słuchawki.

Biedna Cathy.

W niedzielę rano Madeleine zdobywa się na najwyższy wysiłek i wyłącza telewizor. W przejawie stanowczości postanawia się wykapać. Znajduje *Ciężarną dziewicę* wetkniętą za sedes, ze stronicami zmarszczonymi w harmonijkę. Christine celowo upuściła ją do wody? Madeleine siada na krawędzi porcelanowej wanny i zaczyna czytać: „Analizując małą

księżniczkę tatusia". O nie! Poza tym od razu widać, że książka przeznaczona jest głównie dla heretyczek. No cóż, bycie lesbą oznacza nieustanne simultaniczne przekładanie, doszukiwanie się czegoś powszechnego w szczegól, odżywianie się przefiltrowaną strawą; tak jest z każdą mniejszością, która musi karmić się okruchami z pańskiego stołu. „Integracja ciała i duszy...”. Zaczyna czytać. Czyta, aż łapie ją skurcz mięśnia szyi, przenosi się na podłogę i opiera plecami o wannę. Czyta, aż czuje głód. Czyta do samego końca.

Madeleine wie, że dopóki była z Christine, mogła uchodzić za osobę, która nie jest stuknięta. Teraz, po odejściu Christine, przyjaciele i koledzy Madeleine przejrzą jej sypiącą się fasadę, wyczują zwłoki zagrzebane w gruzach i uciekną w popłochu. Tylko idiota pozostałby przy niej.

- Nie, McCarthy - mówi Olivia. - To ty jesteś idiotką. Rozmawiają przez telefon. Olivia chce ją odwiedzić.

- Nie, ja przyjadę do ciebie.

Madeleine wspina się po schodach przeciwpożarowych, obok pałających się kotów. Liche cegły wygrzewające się w łagodnym słońcu popołudnia, czarna farba łuszcząca się z żelaznych schodów, które dzwiczą jak kościelne dzwony; przez szczeliny widać zaspę śmieci na tle lśniącej nawierzchni uliczki, stare poduszki, podarte przez psy plastikowe worki; czuć zapach marihuany i bzu; z baru od frontu dolatuje piosenka Annie Lennox. Olivia siedzi na szczycie schodów na skrzynce po mleku, w promieniach słońca; pali papierosa, skręconego własnoręcznie z tytoniu marki Drum.

- *Start, jakiego nie zapewni ci college* - mówi Madeleine.

Olivia wyciąga do niej rękę.

Współlokatorów nie ma w domu. Olivia wyciąga z lodówki opróżnioną do połowy butelkę białego wina, kawałki tofu, zagadkowe azjatyckie zioła i plastikowe miseczki z podejrzaną zawartością.

- Ilu was tutaj mieszka? - pyta Madeleine.

- To zależy - odpowiada Olivia.

Jak ona może znieść życie we wspólnocie? Już samo korzystanie z łazienki...

Madeleine popija wino i czuje, jak osacza ją całkowite szczęście. Czym są te chwile niezrozumiałego szczęścia? Jak polne lilie, które nie trują się i nie smuć. Światło wpadające przez balkon i rozlewające się na ścianach pomalowanych na blady róż, pieszczący podmuch wiatru, nagłe poczucie nieważkości. Ekstaza. Stan łaski, doznanej w mieszkaniu przyjaciółki w niedzielne majowe popołudnie. Wszystko będzie dobrze.

Olivia przechodzi obok niej z konewką. Po chwili Madeleine słyszy dźwięki muzyki. Smyczki - wyciszone, cierpliwe. Barokowe tony, rozsnute niczym pasemka rozczesywanych włosów, rozplątują zgiełk dolatujący z ulicznych straganów. Madeleine podąża za muzyką do pokoju od szczytu budynku. Olivia podlewa rośliny na rozklekotanym balkonie.

Madeleine wychodzi do niej. Olivia się odwraca.

- Nie - mówi Madeleine. - To tak, jakbym całowała się z siostrą.

- Ty nie masz siostry.

Tajemna tożsamość Olivii ujawnia się w pocałunku. Zdziwiający przeobrażenie zachodzi też w drugą stronę: kiedy rozmawiają, zmienia się z powrotem w przyjaciółkę Madeleine. W krytyczną, przekonywającą koleżankę. Wchodzą do mieszkania. Całują się przy ścianie przed sypialnią Olivii. Stoją tak dłuższą chwilę, przez wzgląd na życzenie Madeleine, która nie chce tak od razu „pchać się” w nowy związek.

- Nie musimy się ze sobą wiązać - stwierdza Olivia. - Możemy po prostu uprawiać seks.

- O to ci chodzi?

- Nie, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli na razie przyjmiesz rolę uwodzicielskiego kawalera, będziesz umawiać się na randki...

Madeleine wyobraża sobie swoją garsonierę - łóżko sterowane pilotem, barek, na środku dywan do posuwania panienek.

- To raczej odpada - mówi Madeleine.

Olivia nachyla się, oparta ramieniem o ścianę. Przez rozpiętą koszulę widać, że ma na sobie niesamowicie zmysłową bieliznę. *Bo nigdy nie wiesz, jak skończy się dzień.*

- Randki... już samo to słowo mi się nie podoba - stwierdza Madeleine.

- No dobrze, to możemy po prostu uprawiać seks. I być przyjaciółkami.

- Na tym polega związek.

Olivia całuje ją. - Jeszcze nie dojrzałaś do związku.

Kładą się na okropnym materacu wypchanym trawą morską i zbitą w grudki bawełną. Olivia znów przeistacza się w swoje ukryte „ja”, różowowłosego tytana.

- Właśnie przechodzę kryzys - oznajmia Madeleine, spoglądając w najbardziej swojską i najbardziej promienną twarz, i najwyraźniej rozbawioną. - Cierpię. Jestem na granicy załamania nerwowego. Dlaczego jest mi tak dobrze?

- Bo jesteś z natury szczęśliwa - mówi Olivia. - To twój wstydlivy sekret.

Madeleine się uśmiecha. Zamyka oczy, czuje smak słodkiej wody.

- Jesteś słodka - mówi.

Płyniesz przejrzysta i słodka.

Otwiera oczy. *C'est pour toi.* Nie mów nic. *Bierz, co chcesz.*

W przerwach oprowadzają się wzajemnie po swoich drobnych bliznach. Zauważyłaś, że ludzie często mają leciutką bliznę nad okiem? Na skraju łuku brwiowego, koścista wysunięta placówka spełnia swoje zadanie, przyjmuje główne uderzenie wszystkiego, co zmierza w stronę oka - gałęzi, piłki, kija hokejowego, łapy...

- Ja dorobiłam się tej, kiedy miałam dziewięć lat, podczas gry w badminton - mówi Olivia. - Mama nakleiła mi plaster w motylki i czułam się bardzo ważna.

- Ranna na polu walki - kwituje Madeleine.

- A ty gdzie się tego nabawiłaś? - Olivia trzyma lewą dłoń Madeleine, wodząc palcem wzdłuż linii życia i jej bladego cienia.

- *Ci pa gran chouz* - mówi Madeleine.

Olivia się uśmiecha, ale nie pyta ją, co to za francuszczyzna.

- Od noża.

Olivia unosi brew. - Przypuszczam, że ktoś go wtedy trzymał.

Broń się.

- Colleen.

- Kim była Colleen?

- Moją najlepszą przyjaciółką - mówi Madeleine; mówi jej serce. - Zawarliśmy przymierze krwi.

- *Seurs de sans?*

Madeleine kiwa głową. - Miałam wtedy dziewięć lat. Colleen Froelich.

Pellegrim. Nazwisko wyłania się z zakamarków jej umysłu, zakurzone, lecz nienaruszone.

- Gdzie ona teraz się podziewa?

- Nie wiem.

- Więc masz gdzieś siostrę.

Olivia pachnie piaskiem i solą, tchnie aromatem perfum Chanel zmieszanych z potem. Tradycyjna kobieca woń. Umiejętnie zestawiona z różowymi włosami i mnogością kolczyków.

Zza okna dolatuje zapach wędzonych sardynek. Olivia kuca obok Madeleine przy otwartym oknie, obie opierają się brodą o parapet. Na balkonie naprzeciwko drobne srebrzyste tusze wiszą przyczepione do linki klamerkami jak skarpetki.

- Avelino! - woła Olivia. - Hej, Avelino!

Na balkon wychodzi przysadzisty, okopcony mężczyzna w usmarowanym kombinezonie i mrużąc oczy, spogląda w ich kierunku.

- Rzuć jedną, brachu - mówi Olivia.

Brachu.

Avelino zdejmuje dwie rybki z linki, odwraca się do niej, robi próbny wymach i rzuca. Madeleine się chowa. Olivia łapie jedną w locie, druga ląduje na podłodze.

- *Obrigado!*

Kładą je na zniszczonej bambusowej tacce na materacu i zjadają z chlebem i oliwkami. Wypijają resztę wina.

Bycie kochanką Olivii to jak zapakowanie prezentu i zawiązanie kokardki po wielu latach cieszenia się nim. Wstecz, idealnie. Każdy powinien zakochać się w przyjacielu.

- Dlaczego rodzice dali ci na imię „Olivia“?

Bochenek chleba, wędzona sardynka i ty.

- Ojciec uwielbiał Szekspira, a matka uwielbiała oliwki.

Oto wstydlivy sekret miłości: miłość nie boli. Przez cały czas była pod samym jej nosem.

ASSEYE DE TI RAPPELI

Jeżeli nie zabiorę tego dziecka - pomyślała Alicja - pewnie je zabiją, nie dziś, to jutro. Czy pozostawienie go tu nie równałoby się morderstwu?

Przygody Alicji w krainie czarów

Śniło mi się, że idę nocą przez las. Chociaż jest ciemno, roślinność ma żywą zieloną barwę. Wokół rozlega się szelest liści i gałęzi, bliski i wyraźny, jakby to była ścieżka dźwiękowa oglądanego w domu filmu. Jest ze mną Rex, słyszę chrzęst ściółki pod jego łapami, czuję jego oddech, ciepły, pachnący mięsem, dotykam jego sierści. Wiem, że drzewa patrzą. Jest w tej scenerii coś przerażającego, zdaję sobie jednak sprawę, że dla psów i drzew to nic nowego. Myślę, że psy i drzewa są bardzo dzielne. Wchodzimy na leśną polanę. Baldachim mgły - nie, raczej światła - okrywa dziecko leżące w trawie. Dziewczynka w

niebieskiej sukience. Rex spogląda na mnie. Ma taką miłą mordkę, jest w niej wyraz troski. I zdziwienia. Poznają to dziecko. To ja. Trawa wokół niego zaczyna się płożyć i więdnąć. Budzę się przerażona.

- Co cię tak przeraziło? - pyta Nina.

- Niebieska sukienka - odpowiada Madeleine i zaczyna płakać.

Niebieska sukienka jest jednym z tych elementów, które nabierają znaczenia dopiero wtedy, gdy zostaną ożywione w wypowiedzi. Jak królowna w szklanej trumnie. Otwórz wieko, wyjmij z ust królowny kawałek zatrutego jabłka, wypowiedz słowo, wypuść je w eter. Zobacz, jak łączy się z innymi słowami, budując strukturę znaczenia.

Niebieska sukienka mogła dalej tkwić pod szklaną pokrywą, jak eksponaty w muzealnej gablocie - puste skorupki ptasich jaj, przyszpilone motyle, które nie mówią nic o łąkach, gniazdach, ciepłej sierści sarny pijącej wiosną wodę z leśnego potoku. Nieme obrazy.

Niebieska sukienka należała oczywiście do Claire - Madeleine wie o tym, nigdy nie zapomniała - zaskakuje ją tylko, jak informacja może przez całe lata leżeć ukryta w rozproszeniu. Nie zapomniała, co działo się w klasie po lekcjach, ale uodporniła się na znaczenie tych wydarzeń. Zamknęła je uśpione w kokonie milczenia.

- Co to za niebieska sukienka, Madeleine?

- To była jej sukienka.

- Czyja?

Uodpornienie się na znaczenie to nie to samo co amnezja, dużo trudniej się z niego „otrząsnąć”. Bo to nie choroba, nie sen. Nie przeniosło cię tam żadne tornado czy czarodziejskie lustro, nie dostałeś się tam przez króliczą norę. To po prostu lamus, w którym umysł przechowuje to, czego nie wyrzucił na śmietnik. Jego zawartość leży tam sobie, przyczajona, niczym zabawki oczekujące na wybicie północy.

- Claire. - To słowo jest cichym krzykiem, ptakiem ulatującym z jej krtani.

- Co się stało z Claire, Madeleine?

Słyszysz jęk; to jej jęk, ale przypomina jej o kimś innym...

- Została zamordowana? - odpowiada z typową dla dziecka pytającą intonacją, rozpoznając w niej kadencję oszołomienia i lęku, *czyja to była wina? Moja?*

- Tak, wiem - mówi Nina. - Przykro mi.

- Uduszono ją? - Madeleine zaczyna się kołysać.

- Madeleine? - mówi łagodnie Nina.

Madeleine podnosi wzrok i odbiera z wyciągniętej ręki Niny pudełko z chusteczkami. - Przepraszam.

...przypomina jej o Grace, jej drżącym, zalęknionym głose, rozbieganych oczach. Jak u złapanego w pułapkę psa.

- Za co przepraszasz?

- Nie wiem - odpowiada, szlochając.

Grace Novotny. Dlaczego Madeleine pamięta nazwiska dzieci z czwartej klasy, a nie może sobie przypomnieć nazwisk osób, które poznała kilka tygodni temu na planie filmowym? *Marjorie Nolan, Grace Novotny, Joyce Natt, Diane Vogel. Następujące dziewczynki...* - Zeznawałam w sądzie.

Opowiada o alibi Ricky'ego, lotniku, który mu pomachał, ale nigdy się nie ujawnił. Opowiada o swoim kłamstwie i jak je sprostowała na procesie. O ojcu, który zdradził jej sekret, jak rozpoznać, co jest dobre, a co złe. To bardzo proste: dobre jest to, co przychodzi najtrudniej.

- Biedactwo - mówi Nina.

Madeleine przestaje się kołysać i zatrzymuje wzrok na obrazie przedstawiającym zbiegającą czaszkę; czuje ulgę, że o tym powiedziała, a w zamian dokonuje odkrycia: - Myślę, że czuję się strasznie winna z powodu Ricky'ego. - W momencie gdy wypowiedziała te słowa, uznała je za zaskakująco oczywiste.

- Pewnie czytasz ze mnie jak z otwartej książki, co?

- Może i tak, ale widzę w niej tylko jedną stronę naraz.

- O, to jakaś głęboka myśl, tak?

Nina czeka. Madeleine grzebie grabkami w miniaturowej piaskownicy, czuje się bardzo mała. - Nina... a co będzie, jeśli mój stan się poprawi i... przestanę być zabawna? Nie będę mogła dalej pracować? Będę musiała wrócić na studia i zostać prawnikiem, farmaceutą, albo jeszcze kimś innym?

Nina waży w dłoni różowy kamyk. - Kiedy po raz pierwszy stwierdziłaś, że chcesz zostać komikiem?

- Och, miałam wtedy z pięć lat... albo coś koło tego. Stawałam na kuchennym krześle i opowiadałam dowcipy.

- A kiedy umarła twoja przyjaciółka?

- Miałyśmy... miała dziewięć lat.

- Więc byłaś zabawna, jeszcze zanim to się stało.

Madeleine przygryza wargę i kiwa głową.

- Komizm to twój dar - mówi Nina. - Inna sprawa... to ból. Choroba ojca, zaginięcie brata. Claire i... cała reszta, o której nie wiem; wszystko to może, w najlepszym wypadku,

stać się załącznikiem czegoś lepszego, a w najgorszym - sprawić, że ugrzęzniesz w ślepej uliczce. A to już nie jest zabawne.

Madeleine pragnie podziękować Ninie za to, co powiedziała, ale nie może. Zabierze te słowa ze sobą, by raczyć się nimi, jak pies kością, w samotności.

- Do zobaczenia za tydzień.

W sklepie z używaną odzieżą, kupując nową starą hawajską koszulę, Madeleine spostrzega Claire. I zaraz koryguje swe spostrzeżenie: ta dziewczynka nie może być Claire, Claire jest przecież w moim wieku, nie może teraz tak wyglądać. I znów korekta: Claire nie żyje. Nie ma sensu się zastanawiać, jak teraz wygląda.

Madeleine robi zwykle sobotnie zakupy, nieświadoma tego, że pokłady jej umysłu uległy przetasowaniu: to, co było na samym dole, teraz jest na wierzchu. Nowo odkryty pokład filtruje teraz wszystko, co rejestruje jej wzrok; to on przekazuje informacje do właściwych obszarów mózgu, zwojów nerwowych odpowiedzialnych za rozpoznawanie twarzy, emocje, węch, pamięć. Ten pokład jest już jednak dość stary. Nie był używany od 1963 roku i posiada niepełne dane. I, tak jak przestarzały program komputerowy, wymaga aktualizacji.

Madeleine kątem oka zauważa psa - *Rex*. Przygląda mu się: nie, to beagle. Poza tym *Rex* już z pewnością od dawna nie żyje. *Dobre psisko. Dobry, kochany Rex*. I tak jest przez cały dzień, wydobyty z lamusa filtr pracuje. I dlatego widząc dzieciaka z papierosem w zębach, buńczucznie opartego o ścianę marketu, Madeleine mówi: *Colleen*.

- Żal mi ich.

- Kogo? - pyta Nina.

- Moich rodziców... tak bardzo mi ich żal. - Madeleine ukrywa twarz w dłoniach.

- Dlaczego?

Madeleine wyciąga z pudełka kilka chusteczek. - Bo to była ich wspaniała córeczka. Nie wiedzieli, co się z nią stało. Nadal ją kochali. - Wyciera nos.

- A co z tobą, Madeleine?

- Wciąż go widzę. Stoję przed nim, a on wkłada mi rękę pod sukienkę. Ich dziewczynka przychodzi do domu zbrukana, nieczysta, a oni nic o tym nie wiedzą. Wciąż traktują ją jak... jak skarb - mówi, szlochając, ze ściśniętym gardłem, nie siląc się nawet na sarkazm. - To mama wybierała dla mnie te piękne sukienki, a on ich dotykał.

- Mówisz tak, jakbyś uważała, że... to rodzice zostali skrzywdzeni.

Madeleine kiwa głową. Brzmi to dość sensownie.

- A co z tobą, Madeleine?

Podnosi wzrok: - Co masz na myśli?

Nina wygląda na bardzo zatroskaną, Madeleine robi się przykro.

- Gdybyś mogła wrócić teraz do tamtej klasy - pyta Nina - co byś zrobiła?

- Nie mogę zmienić tego, co się stało.

- To prawda.

- Powiedziałabym... - żal wzbiera niczym wichur, gwałtowna wichura zacinająca deszczem po łąkach, polnych drogach - powiedziałabym: „W porządku, jestem tu”, i... patrzyłabym.

- Patrzyłabyś?

Madeleine potakuje, po jej twarzy spływają łzy. *Mamo, tato. Patrzcie na mnie.* - Niczego nie mogłabym zmienić, więc przynajmniej patrzyłabym na to, żeby nie czuła, że jest sama.

- Kto taki?

- Madeleine. Ja.

Nina podaje jej szklanekę z wodą.

- Powiedziałaś komuś o tym, co się stało?

Madeleine popija wodę, kręci głową. - Jakoś udało mi się od tego wywinąć. Nie wiedziałam...

- Czego nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałam, że to takie straszne... - Madeleine ukrywa twarz w dłoniach, płacze.

- Nie wiedziałam, że to tak strasznie boli. - Deszcz łez, istna ulewa. Na jej kolanach leży pudełko z chusteczkami.

- Byłaś z tym wszystkim zupełnie sama - mówi Nina po chwili.

Madeleine kiwa głową.

„Naocznych świadków” zwykło się uważać za biernych obserwatorów, ale to często bardzo trudna rola. „Znoszenie widoku” może być bolesne. *Patrzcie na mnie.*

- A gdybyś teraz powiedziała rodzicom?

Madeleine przestaje szlochać. - Nie, nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Mój tata nie czuje się najlepiej, mogłabym... to mogłoby... go zabić. - Wyciera nos.

- A matce?

- Sama nie wiem... A jeśli... - żal powraca, Madeleine znów wybucha płaczem. - Nie chcę, żeby mnie pocieszała.

- Dlaczego?

- Ponieważ nienawidzi mnie za to, kim się stałam.

Nina milczy.

- Nie, to nie tak, ona mnie kocha. Po prostu nie wiem, jak by na to zareagowała.

Nina wciąż milczy.

- Pewnie... powiedziałyby: „To dlatego jesteś taka”. Coś cennego i niepowtarzalnego zostałoby przypisane temu zboczonemu, obleśnemu... Nie.

- Jeśli molestowanie seksualne przeżyte w dzieciństwie miałyby prostą drogą prowadzić do homoseksualizmu, to osoby heteroseksualne należałyby do mniejszości, a nie na odwrót.

Madeleine uśmiecha się. - Czuję się już dużo lepiej - mówi.

- Tak? To wspaniale.

- Nie wierzysz mi?

- Ani trochę.

Znów śni się jej zbyt jasna noc. Zbyt zielona trawa. Ledwie idzie; nogi ma ciężkie jak z ołowiu, przygniata ją żółte światło.

ABRAKADABRA

- Wiesz - *dodał śmiertelnie poważnym tonem - odrąbanie głowy to chyba najgorsza rzecz, jaka może spotkać kogoś podczas bitwy.*

Tweedledee, *Po drugiej stronie lustra**

W Kensington Market Madeleine kupuje dwie smaczniki dla Olivii. Przechodząc obok sklepu mięsnego, zwraca uwagę na zegar widoczny między wiszącymi na wystawie sprawionymi królikami; poniżej kartka z odręcznym napisem: „Świeże zajonce”. Za czterdzieści minut ma się spotkać z Christine, „żeby zamknąć pewne sprawy”, do tego czasu może trochę popisać.

Siedzi przy upstrzonym ptasimi odchodami stoliku ulicznej kafejki, robiąc zapiski na

* Tłumaczenie własne.

serwetce, gdy tuż przed jej twarzą przesuwa się czyjś gruby tyłek wbity w obszerny szary garnitur. „Przepraszam”, mówi bezbarwny głos, który kojarzy się jej z hipopotamem z kreskówki, przepychającym się między rzędami kinowych krzeseł. Restauracje i kina - jedyne publiczne miejsca, w których ocieranie się pośladkami o nosy obcych ludzi jest całkowicie dopuszczalne. Madeleine odsuwa się, żeby zrobić mężczyźnie miejsce, i żołądek podchodzi jej do gardła. To pan March. Jest razem z dziećmi, synem i córką. *Znowu pudło, doktołku*. Pan March musi być teraz zdrowo po sześćdziesiątce, musi być... czuje, że jej ręce, oparte na stoliku z kutego żelaza, robią się lodowato zimne. Pan March jest już po sześćdziesiątce, może nawet po siedemdziesiątce. On też podlega działaniu czasu, tak jak Colleen, Madeleine, zegar w sklepie mięsny czy króliki czekające na upieczenie. Nie jest duchem siedzącym za klasowym biurkiem, wciąż odgrywającym tę samą, odwieczną scenę. Przez te dwadzieścia trzy lata dalej uczył w tamtej szkole. Może jeszcze uczy. Ciągle tam jest.

Wstaje od stolika i odchodzi. Przed drzwiami do mieszkania Olivii wyjmuje klucz ze schowka pod cegłą, idzie prosto do telefonu i dzwoni na policję.

Łączy się kolejno z różnymi wydziałami Komendy Policji Prowincji Ontario, aż w końcu ktoś wysłuchuje jej doniesienia o molestowaniu seksualnym - „sprawa dotyczy nie tylko mnie, była nas cała grupa” - i obiecuje oddzwonić.

Czy ma jeszcze coś, tuż przed oczami, czego nie widzi?

Powoli schodzą się współlokatorzy Olivii. Ktoś zaczyna grać na banjo. Obecność Madeleine oczywiście im nie przeszkadza. Leży zwinięta w kłębek na cudownej rozkładanej kanapie, przykryta kocem pachnącym pralnią, i czeka na Olivię.

Gwałt.

To szokujące, kiedy odkrywasz, że jesteś taka jak inni ludzie. Choćby połowa z nich należała do wielkich sław. Zwłaszcza jeśli połowa z nich należy do wielkich sław. *To mogło przydarzyć się każdemu. Nie jestem nikim wyjątkowym.*

- Mam wrażenie, że to wszystko jest jakieś zmyślane.

- Jeśli przez dłuższy czas usilnie staramy się wyprzeć prawdę, to kiedy w końcu o niej mówimy, może się nam wydawać nierealna - mówi Nina.

- Gwałt, o łąty - mówi Bugs.

Nina milczy.

Madeleine radzi sobie. Ludzie, którzy sobie radzą, biorą odpowiedzialność za „rozwój wypadków”. Uważają, że sami je prowokują. Myśl, że wypadki miałyby im się po prostu przytrafiać, jest dla nich zbyt przerażająca. To ja przechodziłem pod dwudziestopiętrowym

budynkiem, gdy z jego dachu oderwał się sople; ja stałem na przystanku, gdy kierowca dostał zawału i wjechał na chodnik. Jeśli kiedykolwiek „przydarzyło” nam się nieszczęście, to znaczy, że już nigdy nie możemy się czuć bezpieczni. Chyba że w jakiś sposób sami je na siebie ściągnęliśmy.

- To nie było tak, że nie miałam żadnego wyboru, nawet jako dziewięciolatka - stwierdza Madeleine. - Zawsze jest jakiś wybór.

- No tak, zawsze można zjechać z szosy i ugrzęznąć w rowie.

Przemoc seksualna jest formą rabunku. Twój dom zostaje splądrowany. Cała jego zawartość; wszystko, co dla ciebie ważne i do czego nie przywiązujesz znaczenia; to, co bezcenne, i co jedynie kosztowne, jest przez złodzieja potraktowane tak samo. Wszystkie przedmioty sprowadzone do jednego przedmiotu. Fotografia dziadków, sztuce wyrzucone z szuflady, wszystko porzucane, przewrócone do góry nogami. Wciąż słyszysz pogłos obcych kroków. Możesz sobie kupić nowy telewizor, ale tylko czas może odbudować przytulny spokój twojego domu, naprawić rozdarcie kurtyny powietrza nad schodami, rozwiać atmosferę wstrząsu powypadkowego w salonie i różnych zakamarkach domu, w których bezwstydnie czai się pustka. *Dlaczego ja?* Nie bierz tego do siebie.

- Źle się czuję.

- Chcesz trochę wody?

Gwałciiciel traktuje ofiarę, jakby była nikim, każdym, kimkolwiek, *cholera!* Z samochodu na rampę wyładowniczą, i prosto do rzeźni. Niezliczone indywidualne cechy, które sprawiają, że jedna istota różni się od pozostałych, zostają porażone, uśmiercone; odłączona od ciała dusza patrzy z zalem i smutkiem na to, co dzieje się z jej siostrą, bratem, *cholera!* Po takim szoku trudno będzie się ciału znów otworzyć. Trudno mu będzie znów wpuścić do siebie duszę. Dusza będzie się za nim błąkać, dzieląc w ten sposób los innego samotnego wędrowca - cienia. I trudno będzie ciału odróżnić, czy to delikatne pukanie w kark, *proszę, wpuść mnie*, to pukanie duszy czy cienia. A to dusza puka. Prośba cienia jest bardziej pokorna, on chce jedynie zostać zauważony. *Proszę, nie odwracaj się; za każdym razem, kiedy się odwracasz, umieram.*

- Niedobrze mi.

- Nachyl się i włóż głowę między kolana.

Przemoc seksualna sprowadza wszystkie dzieci do jednego dziecka. *Podejź tu. Tak, ty.* Dzieci zdrowieją szybko. Podobnie jak drzewo, które rośnie pomimo wbitej w jego pień siekiery, tak i dziecko rośnie zdrowo aż do czasu, kiedy uwięziona w nim zadra zaczyna się rozkładać i przesączać, a pomysł usunięcia jej wydaje się gorszy niż myśl o powodowanym

przez nią powolnym umieraniu. *Nie robię ci nic złego*. Jak oddzielić przyjemność od trucizny, kiedy raz się już splątały? Kto tego dokona? Jaki alchemik, jaki terapeuta, jaki ksiądz, przyjaciel czy kochanek?

- Nie wierzę w te wszystkie bzdury z „wypieraniem pamięci”, ale... - Madeleine podnosi różowy kamyk, kawałek zimnego marmuru o kojącym owalnym kształcie, waży go w dłoni - ...znasz opowiadanie Poego *Skradziony list*?

- Znam.

- Mam wrażenie, że coś leży tuż obok, pod samym nosem, a ja tego nie widzę.

- Schowane w widocznym miejscu.

- Tak. Albo zakamuflowane.

- Jak żaba, która zmienia barwę, żeby się upodobnić do otoczenia?

- No właśnie, albo jak... no wiesz, jak nakrapiane jajka ukryte w... ukryte w...

- W trawie?

- Tak. - Madeleine płacze.

- Co się stało, Madeleine?

- Nie wiem, oczy same mi płaczą.

- Dlaczego?

- Sama chciałabym wiedzieć. - Odkłada kamień na stół, kręci nim.

- O czym mówiłaś w momencie, kiedy oczy zaczęły ci płakać?

- Nie pamiętam. - Trze palcami swędzącą dłoń.

- Mówiłaś o nakrapianym jajku...

- Ono nie było nakrapiane, było błękitne.

- Jajko rudzika?

Madeleine bierze głęboki wdech i zwiesza głowę.

W trawie roi się od dawno porzuconych obrazów, które wydostały się z lamusa jej umysłu; znajduje ich fragmenty wszędzie: walają się jej pod nogami, gromadzą w zagłębieniach między płytami chodnikowymi, odbijają w szybach wagonów metra. Jak to możliwe, że udało im się przetrwać tak długo, żeby teraz mogły zostać odnalezione w nienaruszonym stanie? Są przecież tak kruche, delikatne jak skrzydełka motyla, przemijające jak dzieciństwo, ulotne jak puch dmuchawców mlecza albo pałki wodnej - złap puchowy płatek, pomyśl życzenie i pozwól mu dalej lecieć z wiatrem - lśniące jak skradziony srebrny klejnot we wronim gnieździe.

Błyszczą teraz wyraźnie, rzucają się w oczy, jakby za sprawą dopiero co odkrytych czarodziejskich słów. Ale to zwyczajne słowa, nie żadne „czarodziejskie”. Wymawiane

nazwy, nie zaklęcia. Może właśnie w nich tkwi magia. *Claire*.

PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

O rety! O mało nie zapomniałam, że znów muszę urosnąć! Zobaczmy... Ale jak to się robi?

Alicja, *Po drugiej stronie lustra*

- Czy Georgia O'Keeffe malowała też motyle? - pyta Madeleine. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami w obrotowym fotelu i dłońmi ogrzewa stopy.

- Nie wiem - odpowiada Nina.

- Śniło mi się, że zdobyłam reprodukcję obrazu Georgii O'Keeffe, tego samego, który masz u siebie, i czułam się bardzo szczęśliwa, wiedząc, że obie posiadamy ten sam obraz. Tyle że w moim śnie obraz przedstawiał niesamowitego motyla. Olbrzymiego i jasnożółtego, jak słońce. - Madeleine przygląda się pogodnej czaszce i rogom.

Jak przystało na dobrą pacjentkę, wyzwoliła skrywany żal. „Przyjęła do wiadomości” fakt, że została wykorzystana; wypłakała się i powiadomiła policję. Praca, jaką miała do wykonania w tym pastelowym gabinecie, dobiegła końca. Moja wracać teraz do dom.

- Spotykam się z kimś - mówi.

Nina nie odzywa się.

- Jestem... szczęśliwa. Czy to nie dziwne?

Nina się uśmiecha.

- Czuję się tak, jakby część mnie była przebudzona, i ta część jest naprawdę szczęśliwa. Ale wlecze za sobą tę drugą część, dźwiga ją jak nieprzytomnego pacjenta. Ten pacjent to ja. Mam zamknięte oczy. Ubrana jestem w niebieską szpitalną koszulę. - Madeleine marszczy twarz. - Czy jestem przezroczysta? - milknie na chwilę. - Dziewczyna w niebieskiej sukience. Dorastała jakby pogrążona w śpiączce.

- W swoich snach zawsze masz ciężkie nogi.

Jakby coś przygniatało mnie do ziemi. Jakieś ciało. *Moje*.

Na komendzie nie mogli jej na razie powiedzieć nic konkretnego, ale zapewnili, że

pracują nad sprawą. Madeleine nie ma jednak zamiaru czekać bezczynnie, aż biurokratyczna machina na dobre się rozkręci. Na jutro jest umówiona z adwokatem. Zamierza wnieść oskarżenie. To właśnie należy zrobić.

- Oskarżenie o co? - pyta Nina.

- Jak to o co? O molestowanie oczywiście.

Tak jak Madeleine nigdy nie potrafiła w pełni pojąć, że ani miejsca, ani ludzie nie zatrzymali się w rozwoju w momencie, w którym rodzina McCarthych straciła z nimi kontakt, podobnie świat dziecka, mimo że przepełniony fantazją, zabarwiony wiarą w gadające zwierzęta i podróże w czasie, jest w istocie ściśle uporządkowany i niezmienny. Policjanci zawsze są ubrani w mundury i uśmiechnięci - nie można sobie wyobrazić stróża prawa siedzącego w ogrodowym fotelu i pijącego piwo. Rzeźnicy mają na sobie białe fartuchy i stają za ladami swoich sklepów; sami nigdy nie robią zakupów, nie chodzą do lekarza, przebrawszy się w zwyczajne koszule. Nauczyciele są nie do wyobrażenia poza szkołą - można wprawdzie zobaczyć, jak po lekcjach wsiadają do samochodów, ale gdy tylko opuszczają szkolny parking, po prostu znikają z powierzchni ziemi, aby następnego ranka znów, w odpowiednim stroju, zmaterializować się przed klasą.

To, co pan March robił po lekcjach, stanowiło wyrwę w tej rzeczywistości, ale rzeczywistość oplatała się wokół niej, przysłaniała ją, niczym tajemnicza tkanka wypełniająca ubytek w korze drzewa. Sztuka pogodzenia się z tą wyrwą - poszerzenie zakresu normalności - wymagała zastosowania wobec niej tych samych sztywno określonych reguł dziecięcej fizyki: to jest coś, co dzieje się po lekcjach. W klasie. Przy jego biurku. Tak jak rzeźnik nigdy nie kupuje brokułów, policjant nie gra w krokieta, a mleczarz nigdzie nie rusza się bez swojego wózka, tak i to, co dzieje się po lekcjach w klasie, nie mogłoby wydarzyć się nigdzie indziej.

Przez pastelową bramę gabinetu Niny Madeleine wkroczyła do swej dawnej klasy, przyjrzała się dziecku, odwinęła bandażę spowijającą cuchnącą ranę, aby wraz z wystawieniem na powietrze mogła powrócić do czasowego kontinuum i zacząć się zmieniać, goić. Uważnie przysłuchiwała się dziecięcej opowieści, ale musi ją jeszcze przełożyć na język dorosłych. To znaczy, że tak naprawdę jeszcze jej nie usłyszała. Jest po prostu kolejną dorosłą osobą, która kiwa głową i kocha, ale nie może w żaden sposób pomóc.

Przykrywa twarz dłońmi i wciąga nosem powietrze.

- Źle się czujesz? - pyta Nina.

Madeleine kręci głową. - Czasami nie mogę się oprzeć. Wącham dłonie. Śmieszne, nie? - Szczerzy zęby. - Mój brat zawsze się z tego naśmiewał. W przekładzie uwidoczniona

zostanie pewna prosta rzecz. Coś, co dorośli - cieszący się nieograniczoną wolnością, niewysyłani do łóżek wczesnym wieczorem, niezmuszani do wysłuchiwania wyrzutów z powodu niedojedzonych jarzyn - uważają za całkowicie oczywiste: nauczyciele mogą opuścić klasę. Mogą odjechać samochodem ze szkolnego parkingu. Mogą przemierzać polne drogi i dotrzeć do miejsca, gdzie jakiś farmer życzliwie zostawił niezalataną dziurę w ogrodzeniu. Mogą zejść do wąwozu w Rock Bass z kruchym błękitnym jajeczkiem w wielkiej dłoni i wyjść po drugiej stronie, ciężko stąpając w brązowych butach, które dzieci widywały jedynie na tle asfaltu boiska albo linoleum szkolnego korytarza. Mogą przeciąć pole kukurydzy i pójść na łąkę, tam gdzie rośnie wiaź...

- Po co to robisz?

- Żeby je oczyścić. Wywąchać z nich zapach. Coś w rodzaju nerwicy natręctw.

Wygląda na to, że to ty powinnaś mi płacić.

- Co to za zapach?

- To nie jest zapach jako taki.

- No to jak go sobie wyobrażasz?

- Niezła jesteś. No dobrze, więc jest... lepki. I żółty.

- Żółty. Kojarzący się z moczem?

- Nie, po prostu... żółty.

Duże, wyraźne litery i obrazki swej dziecięcej opowieści musi teraz przełożyć na drobny druk dorosłości. Kiedy już to zrobi, będzie mogła ponownie opowiedzieć ją dziecku. Bardzo delikatnie. Dziecko jeszcze nie wie, że ona zna tę okropną historię.

Wygina palce, na przemian zaciska i otwiera pięści, tylko tak można poczuć, że ręce nie zostaną ci zaraz odrąbane.

- I co, udaje ci się pozbyć tego zapachu? - pyta Nina.

Ręce Madeleine obracają się w nadgarstkach. - Nie. - Madeleine kładzie je na podłokietnikach fotela i czuje, że stają się lodowato zimne. Bierze głęboki wdech i siada na nich.

- Myślę, że może ja to zrobiłam.

- Co zrobiłaś?

- Zabiłam ją.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo widziałam, jak tam leżała.

- Widziałaś siebie, obie o tym wiemy.

- Ale wciąż mam przed oczami wyraźny obraz Claire.

- Możesz go opisać?
- Widzę... widzę wydeptane miejsce w trawie, no wiesz, jakby ktoś niedawno urządził tam sobie piknik.

- Madeleine, widzisz jej twarz?
- Widzieliśmy sarnę.
- Kto widział sarnę?
- Ja, Colleen i Rex.
- Widzisz twarz Claire?
- Uhm.
- Jak wygląda?
- Jakby spała?
- Możesz opisać jej włosy? Mówiłaś, że nosiła opaskę.
- Spinki do włosów. I ma swoją śliczną bransoletkę.
- Jak wyglądają jej oczy?
- Są zamknięte.
- A reszta twarzy - usta, policzki?
- Wygląda spokojnie, ale jest bardzo blada, bo przecież nie żyje.
- Madeleine?

Madeleine podnosi na nią wzrok.

Nina wyjaśnia łagodnym tonem: - Ludzie zmarli na skutek uduszenia mają otwarte oczy. Nabierają koloru... w każdym razie wyglądają zupełnie inaczej niż w twojej wizji.

Madeleine czuje się nagle bardzo zmęczona. Jakby zmęczenie było jej naturalnym stanem, towarzyszącym oczekiwaniu ostatecznego rozwiązania, żeby to, co wisi w powietrzu, nareszcie spadło, runęło na ziemię. *Czy ja umieram?* Pytanie dobiega z głębi jej zmęczenia. Z samego serca ciemnego lasu, gdzie błyskają oczy dzikich zwierząt; z pieczary, w której kuli się wystraszona kredowoblada dziewczynka.

- Boję się - mówi Madeleine.
- Czego?
- Boję się, że o czymś wiem.

Obrazy, nawet te przerażające, mogą przynosić ukojenie, ponieważ stanowią narracyjną całość. Inaczej jest ze wspomnieniami, które kłębią się dookoła rozbite na kawałki, porzucane. Noszony przez Madeleine obraz spokojnie leżącej w trawie martwej Claire okazuje się namalowaną planszą. - Jak w *Bonanzie* - mruczy pod nosem.

- W *Bonanzie*?

Otoczona szlaczkiem papierowa plansza wypełnia nietknięta cały ekran telewizora, aż naraz rozrywają ją Ben Cartwright z synami, którzy wyskakują zza niej na swoich wierzchowcach.

- Aha - mówi Nina.

Po chwili milczenia Madeleine stwierdza: - Nie chcę...

- Czego nie chcesz?

- Nie chcę zobaczyć, co jest za planszą. - Mruga nerwowo oczami, ale nie spuszcza wzroku z Niny, skupia uwagę. *Skoncentruj się, dziewczynko.* - A jeśli to mój ojciec? - wymawia te słowa cichutko, jak skrzacik.

- Myślisz, że to możliwe?

- To byłaby najgorsza rzecz na świecie.

- Madeleine? Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby odkryć, co się stało z Claire?

Madeleine patrzy na nią oszołomiona - *do czego zmierzasz, doktołku?*

- Myślałam, że myślisz, że... ja wiem. Patrzę na wskazówkę, ale nie rozpoznaję jej, ponieważ... Nie wiem o tym, że wiem.

- Madeleine, możliwe, że nigdy nie odkryjesz, co się stało z Claire. Ale możesz odkryć coś innego.

- Tak? Co na przykład? - Jej twarz, ze zmarszczonym czołem i szeroko rozwartymi oczami małego pieska, nabiera błagalno-pytającego wyrazu.

- Swoje własne miejsce w tych wszystkich wydarzeniach.

Madeleine wpatruje się w Ninę, czując, że skręca ją w żołądku. - W każdym razie jej twarz była przykryta majtkami.

- Wiem - mówi Nina. Wszyscy o tym wiedzą. To jeden z pamiętnych „drastycznych szczegółów”. - Dźwigasz na swych barkach ogromny ciężar, Madeleine. Mogłabyś wyobrazić sobie, że choć na chwilę go z siebie zrzucasz? Mogłabyś trochę odpocząć?

Coś drgnęło, przesunęło się i poddało działaniu siły ciężenia. Madeleine, choć nieruchoma, leci w dół, a jej reakcją na nagłą bliskość ziemi są łzy.

- Wydaje mi się, że umieram. - Jej słowa docierają do niej tak, jakby wypowiedział je ktoś inny. Ktoś, kogo przez całe życie znała, ale nie pamiętała. Powracający wędrowiec. Kobieta z szalem spowijającym jej głowę i ramiona. Czarnym, żalobnym szalem.

Nie rozpoznaje jej. Nagle odkrywa w sobie niezwykły talent do odczuwania smutku, jakby któregoś ranka po prostu zeszła do salonu i zaczęła grać Chopina, mimo że nigdy wcześniej nie tknęła fortepianu. Czy smutek jest darem? Łzy wypływają z każdego zakamarka jej ciała, opadają niczym liście; słyszy, jak cichutko śpiewają piosenkę deszczu;

płacze jak wierzba.

- Podaj mi ręce - mówi Nina.

Madeleine spełnia jej prośbę.

- Nina, ja wiem, że nie zabiłam Claire. Ale moje ręce myślą, że zabiłam.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiedzą, jak to się robi.

Dla smutku czas nie istnieje.

Zanurkuj w głęboką, mulistą zieleń. Co tam znajdziesz? Zatopiona w ciemnej toni, zanurz się głębiej, możesz oddychać pod wodą, jak we śnie. Głębiej, jeszcze głębiej, aż zobaczysz, jakie to smutne, kiedy ktoś zabija dziecko.

- Jak *co* się robi?

Madeleine oddycha spazmatycznie; zatrzymuje powietrze w płucach i wypuszcza drobnymi porcjami. - Nie... nie mogę powiedzieć.

- Czego nie możesz powiedzieć?

Madeleine spogląda na swoje ręce. Białe, bezrozumne stwory. Uderza jedną o drugą, żeby je rozgrzać. Bierze głęboki wdech i wstępuje na grząski grunt.

- Musiałyśmy go dusić.

Magia słów zaczyna działać. Skorupki rozbitej filiżanki w cudowny sposób łączą się ze sobą; kolorowe szkiełka kalejdoskopu, obracając się zaledwie o kilka stopni, układają się w całkiem nowy obraz. Pan March nigdy nie dusił Madeleine, dlatego Madeleine nigdy nie myślała o nim jako o człowieku, który dusi. Miała tylko dziewięć lat. Nie potrafiła obrócić kalejdoskopu. Nie potrafiła dorysować lustrzanego odbicia obrazu. Jego kciuk pozostawiający na jej delikatnym ramieniu niebieskie tatuaże sińców; uciskający jeszcze mocniej, kiedy przykładła swoje drobne ręce do jego szerokiej obwisłej szyi. *Duś*. Teraz ma trzydzieści dwa lata i wystarczy, żeby wypowiedziała to na głos.

Uświadamia sobie, że wszystkie barwy w gabinecie odrobinę pojaśniały. Patrzy na Ninę i mówi: - To on ją zabił.

Ścisła drewniane podłokietniki tak mocno, że wydają się rozpuszczać, jakby były z czekolady.

Część piąta

CZYNNIKI LUDZKIE

SZYBOWIEC

Działo się to już po nadejściu informacji o zaginięciu Mike'a. Działo się to, jeszcze zanim wypaliła się nadzieja. Całe lata przed zamieszkaniem przez Jacka i Mimi we własnym apartamencie. Trzy tygodnie dzieliły Madeleine od zakończenia nauki w liceum; za trzy tygodnie miało się zacząć jej życie. Rozpierała ją radość, ciemna, lecz błyszcząca, że wkrótce znajdzie się daleko od tych przedmieść, ucieknie w świat.

Stała przy kuchennym zlewie i z niezadowoloną miną obierała jabłka dla matki. Z ogrodu za domem dochodził jazgot starej kosiarki do trawy. Przez okno Madeleine widziała ojca chodzącego w tę i z powrotem.

- Popatrz, jak ojciec kosi trawnik.

- Chcesz, żebym kosiła zamiast niego? Nie pozwoli mi - odparła Madeleine, wciąż nadąsana.

Matka zawsze mówiła o ojcu tak, jakby był jakimś inwalidą - *twój biedny, słaby ojciec musi pchać tę straszną kosiarkę, choć sam ledwie trzyma się na nogach*. Co w tym dziwnego? W ogrodach zwykle sieje się trawę, którą panowie domu co jakiś czas przycinają. To nie żadna filozofia ani koniec świata. Widok mężczyzny w średnim wieku, koszącego swój trawnik wcale nie musi budzić współczucia. Zwłaszcza jeśli sporą część tego trawnika zajmuje elegancki basen.

Mimi odwróciła się do niej i uśmiechnęła, w oczach miała łzy. W Madeleine odezwało się poczucie winy. *Gdyby był z nami Mike, to on kosiłby trawnik*. Madeleine zrobiło się wstyd, że jest taką okropną córką, a jednocześnie nasza ją złość na ojca, że nigdy nie pozwalał jej kosić, jakby ta bezpieczna czynność, nieskomplikowana obsługa niewielkiego silnika z przyczepionym ostrzem, wymagała posiadania chromosomu Y. Zawsze jej mówił, że może zostać, kim zechce: politykiem, prawnikiem, neurochirurgiem, astronautą. Wysłałby ją na Księżyc, ale boi się jej powierzyć zakichaną kosiarkę: *To bardzo zwodnicze urządzenie, zanim się spostrzeżesz, możesz stracić palec*.

Ciężkim krokiem podeszła do frontowych drzwi. Za plecami usłyszała głos matki: - Może spytasz ojca, czy nie poszedłby z tobą na spacer?

Nie znosiła, kiedy matka próbowała „ożywić” jej relacje z ojcem. *Są dostatecznie*

żywe, jasne? I nie wtrącaj się do nich. Zła na matkę za to, że zdenerwowała ją swą sugestią zaproponowania ojcu spaceru, co w innych okolicznościach zrobiłaby z przyjemnością, zawróciła w stronę tylnych drzwi. Wychodząc, usłyszała, jak matka mówi: - Masz najukochańszego tatusia pod słońcem.

Wyszła do ogrodu i spytała: - Pójdziemy się przejść, tato?

Ojciec spojrzał na nią; klęczał przy przechylonej kosiarce, ścierając z ostrza zieloną papkę. Dokręcał poluzowaną śrubkę. Unoszący się wokół zapach świeżo skoszonej trawy i spalin wywołał w niej wspomnienia; był taki kojący i... smutny. Wszystko na tym świecie jest takie cholernie smutne. Już od samych narodzin. W momencie narodzin zaczynamy umierać.

- Oczywiście, skarbie.

Weszli razem do garażu, gdzie ojciec odstawił kosiarkę na swoje miejsce. Woń chłodnej betonowej posadzki mieszała się z innymi, równie charakterystycznymi dla przedmieść zapachami: oparów chloru, róż i gotowanych w sąsiednich domach posiłków.

- Dlaczego nie kupisz sobie elektrycznej kosiarki, tato? Elektryczne są dużo bardziej przyjazne dla środowiska.

- Niezły pomysł, zwłaszcza że są też dużo bardziej przyjazne dla ucha.

Starą kosiarkę mieli od czasu, gdy mieszkali w Centralii. Ojciec nazywał ją „bestią”.

- Czekam, aż ta się rozsypie, ale Henry Froelich naprawił ją tak solidnie, że nie wiadomo, czy to w ogóle nastąpi.

Wyszli z garażu na ulicę.

Jak przystało na pogodny ottawski zmierzch, słońce zachodziło bardzo malowniczo. Podniebny ocean błękitu przecinały ogniste wstęgi. Wilgotność powietrza sprawiała, że wszystko wokół błyszczało, liście wyglądały jak nawoskowane, lśniły karoserie zaparkowanych przy chodniku samochodów. Syczały ogrodowe zraszacze.

Rozmawiali o przyszłości.

- Możesz wyjechać do Nowego Jorku. Zaczepisz się w jakiejś knajpie jako kelnerka, potem zaprezentujesz parę skeczy i będziesz występować na estradzie, a w końcu trafisz do *Ed Sullivan Show*.

Madeleine przerzuciła już swe marzenia z programu Eda na inny, *Laugh-In*, ale nie wyprowadza ojca z błędu.

- A ty możesz wybrać się na spływ rzeką Yukon.

Przechodzili obok jej liceum. Z radia stojącego na szkolnym parkingu samochodu płynęła muzyka: jakiś gówniarz szpanował wozem swojego ojca. Wokół niego kręciła się grupka młodzieży. Madeleine obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. Klasowa elita.

Obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Zaloty, randki, podrywy - że też te wszystkie dziewczyny tak łatwo dają się usidlić. Wyłowiła wzrokiem boskiego Stephena Childerhouse'a. Zauważył ją, szybko odwróciła głowę. Trzymał się za rękę z Monicą Goldfarb. I co z tego? Świat i tak nie istnieje. Rzeczywistość jest subiektywna. Wszyscy jesteśmy postaciami ze snu, i to wcale nie własnego. Nie budźcie Czarnego Luda, niech śni dalej. Widzicie? Nie muszę być wcale naćpana, żeby wymyślać niestworzone rzeczy.

Kupili lody. Madeleine nie mogła patrzeć na ojca liżącego lody, ponieważ wyglądał tak młodo, a ona czuła się tak staro.

Minęli zabudowania i znaleźli się na terenie jeszcze nieujarzmionym, gdzie drzewa rosły po swojemu, mocząc swe zwisające gałęzie w rzecznych odmętach Ottawy. Na środku rzeki była wyspa, mniej więcej taka jak wyspa Hucka Finna; dlaczego nigdy nie chwyciła się którejś z kłód, które tu czasem spływały z fabryki zapalek położonej w górze rzeki, i nie popłynęła na nią? Zawsze ją to pociągało, ale w wieku siedemnastu lat była już na to za duża. A poza tym co to za frajda zdobywać wyspę samemu? Jocelyn nie nadawała się do tego rodzaju zabaw. Madeleine miała w życiu tylko jedną przyjaciółkę, która by się nadawała do tego rodzaju wyprawy.

Szli ścieżką, mijając szerniały krąg trawy, gdzie dzieciaki urządzały sobie ogniska.

- Tato? Sądzisz, że Ricky Froelich naprawdę mógł to zrobić?

- Nie, w żadnym wypadku.

- Więc jak to się stało, że uznali go za winnego?

- Ten cały proces to była parodia.

W Madeleine coś się zakotłowało, coś pięknego, głębszego niż poczucie winy. Coś, od czego nie można uciec. Musiała czekać, aż samo przejdzie, niczym atak nawracającej tropikalnej choroby. Wstyd. Jej ojciec nie miał o niczym pojęcia. Był czysty. Obserwowała go kątem oka; tak bardzo chciała, żeby na nią nie patrzył. Gdyby na nią wtedy spojrział, zobaczyłby coś bardzo mrocznego. Ojciec lizał lody i mrużąc oczy, spoglądał w niebo, taki niewinny, beztroski. *Ta książka należy do Johna McCarthy'ego.*

- Popatrz, Madeleine - powiedział, pokazując palcem w górę. Poczwała, że cała mroczność powoli z niej spływa. - Popatrz tam, widzisz?

Zadarła głowę i zobaczyła biały szybowiec. Leciał powoli. Bezgłośnie. Jego skrzydła były długie i wąskie, lekkie, pozbawione balastu silników.

Przyglądali się bez słowa. Szybował majestatycznie, bez pośpiechu. Opadł lekko w dół, zatoczył koło i na moment znieruchomiał, wystawiając swój smukły tors w niebo, po czym znów zatańczył, wtulając się w ramiona swej partnerki - grawitacji.

- To się nazywa latanie - powiedział Jack.

LE GRAND DÉRANGEMENT

- *Taki jest skutek życia wspan - wyjaśniła życzliwie Królowa. - Na początku zawsze trochę kręci się od tego w głowie.*

Po drugiej stronie lustra

Nina była zdania, że Madeleine nie powinna spędzać tego wieczora samotnie. Poradziła, żeby umówiła się z jakąś przyjaciółką. Dała jej też numer swojego domowego telefonu, „na wypadek, gdyby chciała pogadać”. Zapytała, czy Madeleine bierze pod uwagę, że pan March być może już nie żyje.

- To nie ma znaczenia. I tak muszę opowiedzieć o tym, co zrobił.
- Musisz się jednak liczyć z tym, że możesz odkryć niezupełnie to, co byś chciała.
- Sugerujesz, że to jednak Ricky?
- Nie to miałam na myśli, Madeleine.
- No to co, do cholery, miałas na myśli?
- Chciałam tylko powiedzieć... zapytać. Jaka jest w tym wszystkim twoja rola?

Ale Madeleine nie zrozumiała pytania. A poza tym musiała się spieszyć, już była spóźniona na bardzo ważne spotkanie.

Wychodzi na oślepiającą ulicę; zalewa ją tłum ludzi kłębiący się przy przejściu przez skrzyżowanie, promienie słońca odbijające się od szyb i dachów samochodów rażą w oczy. Z trudem nabiera do płuc powietrza. Jest piękny, niezbyt gorący dzień, połowa czerwca. Jej wzrok podejmuje swą ulubioną zabawę; tym razem rejestruje słowa, których nie ma, odczytuje drżące litery wymalowane na restauracyjnym oknie; *Wnętrze terroryzowane, zapraszamy...* Madeleine zaczyna biec. Mija obsadzone rzędami drzew ulice dzielnicy Annex. Żałuje, że nie ma swojego roweru, biegnie coraz szybciej...

- Cześć, Madeleine!

- Cześć, Jim - odpowiada, nie zatrzymując się. Jim ma na sobie nosidełko z niemowlęciem; kiedy on zdążył dorobić się dzieciaka?

Jej ręce machają zawzięcie, jakby się chciały odkręcić od tułowia, płuca łączywie łapią powietrze; właśnie minęła Bloor, biegnie dalej, obcasy jej sandałów stukają miarowo - tylko tak można poczuć, że stopy nie zostaną ci zaraz odrąbane...

Dosyć czezej gadaniny. Trzeba wreszcie przejść do czynów.

Wpada na werandę. Jej roweru tu nie ma, ponieważ jest tam, gdzie go zostawiła, przypięty do parkometru przed gabinetem Niny. Wbiega na górę, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Po środku pustego pokoju, na podłodze, miga czerwona lampka automatycznej sekretarki. Madeleine podnosi słuchawkę i wybiera numer.

To mogłam być ja.

To byłabym ja.

To powinnam być ja.

Tym razem dzwoni pod 911. „...tylko w sytuacjach wyjątkowych” - odzywa się kobiecy głos.

- To jest sytuacja wyjątkowa.

- Proszę zgłosić się do komendy rejonowej, podam pani...

- Już do nich dzwoniłam, nikt nie ruszył tyłka!

- Obawiam się, że musi pani... Madeleine rozłącza się i wybiera 411.

Niektóre miejsca i chwile są zarysowane wyjątkowo wyraziście. Niczym stare fotografie mówią nam, skąd się wywodzimy...

- ...dziękuję, oto numer...

Madeleine wywodzi się z letniego popołudnia; kolby kukurydzy lśnią w sierpniowym słońcu, matka przegląda się we wstecznym lusterku samochodu, rozciągając usta, by nałożyć na nie świeżą powłokę czerwieni.

- Tu Komenda Policji Prowincji Onta...

- Halo, chcę zgłosić...

- ...jeśli posiadasz telefon tonowy, wybierz numer wewnętrzny właściwego wydziału...

Wywodzi się z ulicy, przy której stoją bajecznie kolorowe domy; pędzi na rowerze, prosto w wyciągnięte ramiona mężczyzny w pięknym niebieskim mundurze i kapeluszu. *Zrób to po swojemu, skarbie.*

- Mam informacje na temat morderstwa.

- Słucham.

Wywodzi się z kłującego w plecy haczyka szkolnego wieszaka.

- ...dotyczy sprawy Froelicha, tak... - Wywodzi się z tajemnicy. - ...pan March, nauczyciel, teraz już emerytowany, ale... - Jak ma tam powrócić? - Dzwoniłam w zeszłym

tygodniu, obiecano mi... powinniście mieć moje zgłoszenie... - Na wiosenną łąkę. Do Colleen i Reksa... ciszy toczącej się lekcji. - Nazwisko March: M-a-r-c-h... - Do ciepłego popołudnia, kiedy idzie śladem Colleen przez pole, na ciągnącą się za nim łąkę. Wypatrujemy czegoś różowego, lśniącego w zeszłorocznej zwiędłej trawie, czegoś migoczącego w słońcu: to będzie jej wstęga.

- Nie mamy takiego zgłoszenia, pani McCarthy. Proszę chwilę poczekać.

Głos w słuchawce zastępuje melodyjka. Madeleine siedzi ze skrzyżowanymi nogami, przyglądając się wzorkom na dywanie. Usiłuje zebrać fakty, widzi je porozrzucane dokoła niczym kamyki; chce je podnieść, ale coś jej przeszkadza; luźne końcówki osnowy opowieści, przewodu wysokiego napięcia, miotają wokół niej iskry, które spadają na dywan i wypalają w nim dziury. Odkłada słuchawkę i wpatruje się w aparat telefoniczny tak, jakby był szczurem, zdolnym odwzajemnić jej spojrzenie. Za oknem balkonowym słychać odgłos stukania dobiegający z sąsiedniego domu. Przez koralikową zasłonkę prześwieca słońce, rzucając po pokoju błyski, różowe, musujące, jak landrynki; kolorowe paciorki wyglądają jak „naszyjnikowe” cukierki nanizane na łądygi lukrecji. Znowu podnosi słuchawkę i wybiera numer.

- Biuro numerów; o jakie miasto chodzi?

- Crediton.

- Nazwisko abonenta?

- March, chyba George. George March.

- Proszę zaczekać... podaję numer...

Jakie to proste. Możliwe i bliskie. Jak to jest mieć przez całe dorosłe życie ten sam numer telefonu? Myśli o panu Froelichu, który swój „numer telefonu” miał wytatuowany na przedramieniu. O jego uwalanych kredą palcach, zapisujących tablicę złowróżbnymi znakami ułamków, i łagodnej twarzy, na której malowała się troska, kiedy przykładał rękę do jej czoła; *Was ist los, Mädele?* Dlaczego tego człowieka już nie ma? Wybiera numer i uzyskuje połączenie; w słuchawce słychać dźwięki *Camptown Races*.

Piękno wieczora przenika do jej pustego salonu, muska zdobiony sztukaterią wysoki wiktoriański sufit. Gdzieś tam, po drugiej stronie linii, dzwoni telefon. Wydaje dźwięk pusty, jak łańcuch w wyschniętej studni.

- Halo? - odzywa się nieśmiały głos starszej pani.

- Halo... czy to pani March?

- Tak?

- Dzień dobry, byłam kiedyś uczennicą pana Marcha.

- Ach - tarcza obronna opada, Madeleine niemal słyszy, jak starsza pani się uśmiecha.

- Czy mogłabym z nim porozmawiać? - Jej głos drży tak, jakby jego fale rozpraszał wirujący wentylator. Madeleine ma wrażenie, że robi się coraz mniejsza; czy pan March w ogóle ją usłyszy, kiedy w końcu do niego przemówi? I co właściwie mu powie?

- Niestety, kochana - mówi głos w słuchawce. - George'a już nie ma; zasnął na wieki.

Pewne znaki orientacyjne w terenie całkiem nieświadomie wykorzystujemy jako punkty odniesienia. Dzięki nim nie błądzimy. Nie można się zgubić, mając w zasięgu wzroku górę. Pana Marcha już nie ma i Madeleine się zgubiła. Nie wie, gdzie się obecnie znajduje, ani jak wrócić tam, skąd przybyła. *Ojej!* - zawołało dziecko, gdy zdało sobie sprawę, że zblądziło. - *Co się teraz ze mną stanie?*

Za jego pośrednictwem mogłaby powrócić. Widząc górę, odnalazłaby zagubiony szlak. Przez bramę złych czasów cofnęłaby się do poprzedzających je błogich, dobrych czasów. *Do Centralii*. Ale brama do wnętrza góry zamknęła się, zanim Madeleine do niej dotarła; na bezlitosnej skalnej powierzchni nie widać ani szczeliny, ani śladu ukrytego wejścia.

- Halo? Słyszysz mnie, kochana?

- Bardzo mi przykro.

Starsza pani wzdycha i nadając słowom ton nabożnej czci, mówi: - Tak, tak, to już półtora roku, jak odszedł. Madeleine milczy.

- A jak ty się nazywasz, kochana?

- To już właściwie nieważne.

- Bardzo żałuję, że nie może z tobą porozmawiać, on tak bardzo kochał swoich uczniów.

Pani March mówi coś jeszcze, wciąż słychać trzepot jej uwięzionego głosu, gdy Madeleine delikatnie odkłada słuchawkę na widełki. To koniec.

Ostrożnie kładzie się na podłodze, zwinięta, z głową koło telefonu. Słyszy swój własny głos zawodzący cicho: - O nieeee, o nieeeee - jak biedna Grace, biedna Grace, biedna Grace. Uświadamia sobie, że puka zgiętymi palcami w czoło, choć wydaje jej się, że te palce należą do kogoś innego - dorosłej kobiety, zajętej żalem, ale zawsze mogącej wygospodarować odrobinę deficytowego pocieszenia. Dobrze, że może tak leżeć sama na dywanie. Szkoda, że ten dywan nie jest chłodnym trawnikiem w Centralii. Chciałaby wdychać zapach ziemi; czuć delikatne łaskotanie mrówki, która spadła z pochyłego źdźbła; słuchać odgłosów niezliczonych żyłatek buszujących w trawie. Chciałaby poczuć na szyi dotyk ciepłego jęzora, różowego jak plaster szynki, usłyszeć psi śmiech - dyszenie Reksa. Chciałaby położyć głowę

na splecionych, pachnących słońcem ramionach, wsłuchiwać się we wrzawę dziecięcych głosów dobiegających z podwórek okolicznych domów, obserwować zbliżające się koła roweru swego brata. Wszystko by oddała, żeby znów mieć przed oczami jego buty z wysokimi cholewkami, jeden na pedale roweru, a drugi wsparty o ziemię, i usłyszeć karcący głos: - Co ty najlepszego wyrabiasz, matole? - i wołanie w kierunku domu: - *Maman*, ona zasnęła na trawie.

Gdzie jesteś, Mike? Mój bracie. *Przepadłeś, przepadłeś w trawie.*

Madeleine czuje na powiekach ucisk życzliwych, obiektywnych palców: Mike umiera, ponownie i ostatecznie. Jest częścią ziemi, częścią odległej dżungli, powoli leczącej swe rany. Kości, strzępy wyblakłego zielonego munduru, łańcuszek i metalowe blaszki, a na jednej z nich jego nazwisko. Kocham cię, Mike. *Odpoczywaj.*

Dokąd odeszły wszystkie dzieci?

Leży odrętwiała na dywanie; jej głowa, nogi i ramiona wydają się jej zbieraniną luźnych elementów. Jeśli teraz wstanie, część tych elementów zostanie na podłodze, w rozsypce.

Była kiedyś jaskinia wydrążona w górze. Szczurołap wprowadził do niej wszystkie dzieci, tylko jedno z nich, kulawa dziewczynka, która pozostała daleko w tyle, nie zdążyło wejść razem z nimi. Kiedy i ona dotarła do góry, wejścia do jaskini już nie było. Porzucona, osamotniona dziewczynka do końca nie wiedziała, czy miała szczęście, czy pecha. Kim było to dziecko? Kaleką. Dziewczynką, która dorosła.

Przez zamknięte powieki docierają do Madeleine głosy uwięzionych w górze dzieci. Jest wśród nich również jej głos. Przytula policzek do nastroszonych włókien dywanu, nie otwiera oczu, słucha.

Jak dorosły może wdrzeć się do środka? *Dopóki nie staniesz się jednym z tych...* Nie, nie „niewinnych”, po prostu nowych. Pierwotnych, otwartych na życie. Dlaczego dorośli z takim uporem obstają przy dziecięcej „niewinności”? Niewinność to cecha stała, a dzieci podlegają ciągłym przekształceniom, rosną, zmieniają się. Dorośli pragną, by dzieci nosiły w sobie ten cenny skarb, który w ich przekonaniu sami kiedyś posiadali. Więc dzieci go niosą, ponieważ są bardzo silne. Problem polega na tym, że one wiedzą. I zrobią wszystko, by ustrzec dorosłych przed tą wiedzą. Dziecko zdaje sobie sprawę, że dorosły ceni niewinność, więc dziecko zakłada, że dzieje się tak, ponieważ dorosły sam jest niewinny, i dlatego trzeba go chronić przed prawdą. A skoro nieświadomy prawdy dorosły jest niewinny, to świadome dziecko musi być winne. Tak jak Madeleine.

Zostawiła coś za sobą, porzucone w trawie.

Gdzie?

Na łące.

Jeśli mogłaby się cofnąć w czasie i odnaleźć siebie w wieku dziewięciu lat, zadałaby pytania i wysłuchałaby odpowiedzi. Częstki opowiadania ułożyłyby się w całość i powróciły do niej, trzydziestodwuletniej kobiety, leżącej na dywanie. A wtedy znów mogłaby się podnieść.

Claire McCarroll ZAMORDOWANA

Madeleine McCarthy ZAMORDOWANA

Sara Nolan ZAMORDOWANA

Grace Novotny ZAMORDOWANA

Joyce Nutt ZAMORDOWANA

Diane Vogel ZAMORDOWANA

BŁĘKITNE JAJKO

Kiedy Jack wrócił ze szpitala, podarował żonie prezent. Było to coś, czego - w przeciwieństwie do futra z norek - nadal bardzo pragnęła. Wręczył jej go bardzo ostrożnie, a ona przyjęła go z delikatnością, jakiej wymagał podarunek tak cenny i kruchy. Mienił się jej w dłoniach, jak szafirowo-błękitne jajko Faberge.

Nigdy nie tknąłem Karen Froelich.

A oto dowód, że mówię prawdę.

To ja machałem.

Co mogłaby zrobić w takiej sytuacji dobra żona należąca do tamtego pokolenia? Mogłaby przejąć na swe barki coś bardzo mrocznego. Bardzo ciężkiego. Niszczącego. A wtedy zabłyszczałoby niczym drogocenny naszyjnik tylko dlatego, że podzielił się tym z nią jej mąż. Twój sekret staje się naszym sekretem.

Takie małżeństwa zdarzają się jednak bardzo rzadko. Tylko nieliczni mają tyle szczęścia. Ten dar był naprawdę cenny, mimo że nie było to, i już nigdy nie mogło być, trzecie dziecko, o które Mimi się modliła. I sprawił, że się popłakała, ponieważ jej mąż zawsze należał tylko do niej. I tak już pozostanie. Tak bardzo chciała podarować mu coś w zamian. *To nie twoja wina, że nasz syn odszedł. Wybaczam ci.* Lecz między tymi dwoma

stwierdzeniami nie było logicznego związku; zamiast tego Mimi pocałowała go, pogłaskała go po policzku i nastawiła wodę na herbatę.

EFEKT DOMINA

Oto stwierdzenie, które zawsze ma jakiś sens: to moja wina.

Z Toronto pojedź na wschód, autostradą nr 2. Najpierw miniesz przedmieścia; ciągnące się kilometrami osiedla mieszkalne, tu i ówdzie poprzetykane gospodarstwami otoczonymi kurczącymi się wysepkami ziemi uprawnej. Potem będą miasta i miasteczka, gdzie wielkie apartamentowce i inne potwory osaczają misterne domki - przy nich jeszcze bardziej bajkowe - usadowione wzdłuż głównej ulicy, która nie kończy się nagle, lecz łagodnie przekształca w dzielnicę fast-foodów, komisów, supermarketów, centrów handlowych, budynków całkowicie pozbawionych wyrazu, skazujących staroświeckie duchy na bezdomność. *Udało mi się wyrwać z zajęć po lekcjach, ale wtedy na moje miejsce wybrał Claire.*

Potem zobaczysz jezioro Ontario ciągnące się po prawej stronie autostrady, bliskie, a jednak niedostępne, ponieważ wszelkie prowadzące w jego kierunku drogi kończą się albo osiedlami mieszkaniowymi, albo fabrykami, albo po prostu siatkowymi ogrodzeniami. Chyba że wyjdiesz z samochodu, przecisniesz się przez jakąś szczelinę jak beżpański pies i przez wysoką trawę porastającą grudowatą ziemię przedrzesz się na brzeg. A tam zobaczysz znaki ostrzegawcze, który wyjaśnią ci dokładnie, jakie w tym konkretnym miejscu grozi ci niebezpieczeństwo. To w końcu Ameryka Północna; znaki informujące o zagrożeniach są wszędzie. „Uwaga: Urwisko”. Ale doszliśmy do takiego punktu, gdzie grozi nam upadek ze skarpy, stromej i zdradliwej, a mimo to nieoznakowanej żadną przestrożą. „Uwaga: Dzieci”. *Ocaliłam Claire listem od Żywej Tarczy, ale to sprawiło, że wyszedł z klasy na ławkę, daleko od oczu innych dziewczynek, przeszklonych drzwi i korytarza, którym mógł przechodzić dyrektor...*

Teraz skręć na północ, w autostradę nr 33. Widoki są tu zupełnie inne; po obu stronach drogi ciągną się ściany z nagiej skały wapiennej, skamieniałe kompozycje martwej natury, pokryte warstwą sztuki nowoczesnej - graffiti. *Dlaczego nie powiedziałam o wszystkim ojcu?*

Uważaj, żeby nie ulec pokusie powtarzania wierszyka o swojej winie. *Claire umarta,*

ja skłamałam, Ricky nie miał alibi, zamknęli go w więzieniu. Dużo tu zakamuflowanych skrzyżowań i znaków z rysunkiem skaczącego jelenia. Mike odszedł z domu, pan Froelich zginął... Następnie pojedź drogą nr 16, która ma wkrótce zostać przemianowana na Autostradę Weteranów Wojennych, Żebyśmy o Nich Nie Zapomnieli. ...mój tato zachorował... Witamy w Okręgu Stołecznym, *Bienvenue à la Region de la Capitale nationale...* a wszystko to z braku hufnala.

Te pełne zakrętów dwupasmowe drogi szybkiego ruchu są dużo bardziej niebezpieczne niż prosta wielopasmowa autostrada nr 401, a to dlatego, że razem z otaczającą je scenerią i znakami drogowymi stanowią opowieść. Autostrada nr 401 jest jedynie serią zdarzeń. Madeleine, zaopatrzona w kubek z kawą, nie odczuwa rozprzestrzeniającej się w jej wnętrzu nicości, nie lęka się, że jej ręce odruchowo obrócą koło kierownicy i skierują samochód prosto w tarczę laurentyńską. Zaczyna padać deszcz. Włącza wycieraczki i radio.

Leslie Gore śpiewa *Sunshine, Lollipops and Rainbows*. Wszystko będzie dobrze. Jadę do domu. Do mamy i taty.

Co zrobisz, jak już tam dojedziesz, Madeleine?

Opowiem tacie o tym, co mnie spotkało. A mama przygotowuje mi coś do zjedzenia.

Dlaczego musisz o tym opowiedzieć?

Ponieważ jest ktoś, kto może mnie ocalić, doskonale nadający się na dawcę organów; to dziewięcioletnia dziewczynka, muszę ją odnaleźć, zanim będzie za późno.

Powiem: tatusiu, ktoś zrobił mi krzywdę.

Powiem: tatusiu, odprowadź mnie dziś do szkoły.

Patrz na mnie, tatusiu.

I już nigdy więcej nie będę musiała samotnie czekać na swoją kolejkę w klasie, gdzie zegar zawsze pokazuje tę samą godzinę: pięć minut po trzeciej.

Jest głodna i niemal szczęśliwa. Opuszcza rejon opadów i wjeżdża pod niebo Ottawy, płonące kolorami niewiarygodnego, tropikalnego zachodu słońca.

Sunąc ulicą Queensway, mija budynek parlamentu z powiewającą na dachu flagą. Klonowy liść. Nie jest to symbol wojny, zwycięstwa ani robotniczej solidarności. Po prostu liść, czerwony jak świecowa kredka, taki jak te, z których dzieci robią jesienne bukiety.

To droga powrotu. Prowadzi do drzwi apartamentu położonego na parterze budynku na przedmieściu Ottawy; do nowoczesnego, wyposażonego we wszelkie wygody wnętrza oraz jedynej w świecie osoby mogącej przenieść ją w przeszłość. Dawno, dawno temu żyli sobie młody lotnik imieniem Jack i piękna akadyjska pielęgniarka imieniem Mimi.

Sezamie, otwórz się.

Dawno temu pewne czarodziejskie słowa przynosiły nam ukojenie. *W obronie demokracji. Powiedz nie. Stanowczość. Wolność. Sprawiedliwość.* Słowo *wojna* przestało nam się podobać, ponieważ stawiało nam przed oczami obrazy żołnierzy puszczających wioski z dymem, żeby je ratować. Ale zachowywało swoją moc, kiedy kierowano je przeciwko jakiejś koncepcji albo pładze społecznej. Kiedy przedmiotem działań wojennych byli ludzie, lubiliśmy nadawać wojnie nazwy przypominające tytuły filmów, z ich pocieszającym podziałem na początek, środek i koniec, jak również z tak przydatną zapowiedzią następnego odcinka.

Niektórzy z nas gromadzili dowody na uzasadnienie napaści na tyranów, podczas gdy inni czekali, żeby je zbadać, gdy zostaną należycie przedstawione. Lecz my wszyscy skwapliwie pominęliśmy opowieść o tym, jak sami przyczyniliśmy się do ich stworzenia: narkotykowych baronów, żądnych krwi watażków, szaleńców, którzy usunęli ze swoich szeregów zwolenników umiaru. To była stara opowieść, a my wierzyliśmy w nowy porządek świata, więc ją pominęliśmy. Lecz imperia zawsze skłócały i podbijały, trutowały i tolerowały. I kwitły przez pewien czas. To kwestia zachowania równowagi, a wszystko w końcu rozbija się o chciwość. Jak w opowieści o królu, któremu apetyt rósł w miarę jedzenia. Albo u radnych Hamelin, którzy widząc, że ich ładne miasto zostało oczyszczone ze szczurów, odmówili Szczurołapowi zapłaty.

Kiedyś panował złoty wiek. Powojenne marzenie, pełne nadziei, ludzie zakładali rodziny i wszystkiego było aż nadto. Osiedlali się tu przybysze ze wszystkich stron świata, żeby nacieszyć się wolnością, pokojem i dobrobytem. Wielki eksperyment się powiódł. Nigdy jeszcze tak wielu nie żyło tak spokojnie, nigdy jeszcze nie kwitła taka różnorodność, nigdy jeszcze sprzeciw nie rodził takich sposobności. Ta piękna idea przyobleczona w chwalebne ciało, ten wrzaskliwy spór, niezdarny, niezgrabny proces, kakofonia konkurencji i kompromisu; ta doskonałość wyłaniająca się z nieładu niczym spiesząca się do pracy, szykownie ubrana dama z zabałaganionego mieszkania. Ten drogocenny bałagan. Demokracja. Ile można uczynić w jej imię, zanim, jak jajko wyssane przez węża, stanie się jedynie pustą skorupą?

Dawno temu na Zachodzie.

KRZYŻ LOTNICTWA

Całe moje życie wyglądało tak, jakbym wypłynął za daleko od brzegu, i zamiast falować, tonąłem.

Stevie Smith, *Not Waving, But Drowning*

Matka otwiera drzwi i pyta: - Co się stało?

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

- *Je suis ta mère*, nie oszukasz mnie.

Madeleine wchodzi do mieszkania. - *Maman*, po prostu miałam wolny dzień, wsiadłam w samochód i przyjechałam, to wszystko.

Mimi przygląda się jej przez chwilę, unosząc brwi, a potem ją obejmuje. Apartament jest wysoki, z szerokim korytarzem omijającym kuchnię i otwierającym się na przestronną jadalnię i salon. Parawan z płachty gazety, który zasłania królujący w salonie złocisty skórzany fotel, obniża się, a nad nim ukazuje się głowa ojca. - Kie lichy? - pyta żartobliwie, spoglądając ponad szklami okularów do czytania.

- Cześć, tato.

Mimi zamyka za nią drzwi wejściowe. - Nie będę płacić za klimatyzację podwórka - i wprowadza ją do kuchni, którą od jadalni i części wypoczynkowej dzieli jedynie niskie, sięgające pasa przepierzenie i kilka ozdobnych kolumn. - Zaraz ci dam coś do zjedzenia, jesteś taka chuda; i coś ty na siebie włożyła? Widzę, że muszę cię zabrać na zakupy.

Madeleine idzie za matką, rozdrażniona, a zarazem podniesiona na duchu. Pada w ramiona ojca, który przyszedł do nich do kuchni, uradowany jej niespodziewaną wizytą.

Zabiera się do jedzenia matczynego *fricot au poulet* w wersji dla „sercowców”. Jak tam Telewizja po Lekcjach? Co słyszać u Kobiety na Opak? Ciągłe myślisz o wyjeździe do Stanów?

- Jack, pozwól jej zjeść.

Ojciec podchodzi wolno do lodówki, szpera w jednym z pojemników i z figlarnym mrugnięciem oka wyjmuje zawiniętą w folię bryłkę.

- *Mon D'jeu, qu'est-ce que c'est que ça?* - krzyczy Mimi.

Paczuszka kokainy? Ludzka czaszka? Funt masła. Ten dom jest ściśle strzeżoną strefą bezcholesterolową, lecz Jack, jak się okazuje, ma pochowane żelazne zapasy. Kładzie masło na stole przed Madeleine i mówi ze świszczącym chichotem: - To dla ciebie. Trochę skóry na kości. - Szczerzy się w uśmiechu, aż twarz mu purpurowieje, i wraca do salonu.

Mimi potrząsa głową i mówi: - Masz najukochańszego tatusia pod słońcem.

W nieskazitelnej kuchni Mimi panuje doskonały porządek. Jedyna oaza chaosu rozciąga się wokół aparatu telefonicznego: stopy kopert spiętych gumką, sterta długopisów, w większości - jak twierdzi ojciec - wypisanych, stara sfatygowana książka adresowa, pełna zapisków, których - jest o tym przekonany - nie odczytałaby nawet najdoskonalsza maszyna deszyfracyjna, oraz puszka po kawie Maxwell House, wypełniona tajemniczymi przedmiotami nieznanego przeznaczenia. Madeleine uświadamia sobie, po raz pierwszy w życiu, że stosowany przez matkę system przechowywania, jej styl pracy, nie różni się wiele od jej własnego. W tej kuchni nikt, kto nie ma na imię Mimi, nie odważy się niczego wyrzucić do śmieci.

Matka upycha naczynia do zmywarki, bez większego wysiłku dokonując wyczynu na miarę pomieszczenia dwudziestu pięciu osób w volkswagenie „garbusie”. Kiedy natrafia na kubek ozdobiony jakimś impresjonistycznym obrazkiem, przerywa pracę i pokazuje go Madeleine: - Popatrz, dostałam go od pewnej lesbijki.

Madeleine spogląda na nią, skonsternowana: - ...To miłe z jej strony.

Czyżby trwał tydzień dobroci dla kochających inaczej? Może wreszcie nastąpi przełom? Odstawimy scenę pojednania godną kina rodzinnego?

Zamiast tego Mimi pyta: - Masz jakieś plany na lato?

- Pewnie będę pracować.

- A może pojechałabyś ze mną i ojcem do Bouctouche? Twoi kuzyni na pewno bardzo by się ucieszyli.

- Może pojedę. - Jasne, mam trzydzieści dwa lata, dlaczego nie miałabym pojechać na wakacje z rodzicami. A tak przy okazji, mam, rozwiodłam się i znów jestem zakochana.

Z pamiątkowych talerzy, ustawionych na wysokiej półce zdobiącej kuchenną ścianę, spoglądają papież, królowa Elżbieta II, książę Karol i Diana oraz Święta Panienska, posiłkowany przez flagę akadyjską, wieżę Eiffla, szpic z niemieckiego hełmu i miniaturę latarni morskiej w Nowym Brunzwicku. Nad kuchenką jak zwykle wisi zegar z kukułką, roztaczający wciąż tę samą delikatną aurę niespokojnego wyczekiwania.

W odległej części salonu, obok drzwi prowadzących na patio, stoi telewizor.

Madeleine widzi z kuchni, że jest włączony, ze ściszoną fonią. Nadają powtórkę *Murder, She Wrote*. Na stoliku do kawy, jak zawsze, dziobią się kryształowe koguciki, a wejścia do sypialni strzegą złożone do modlitwy ręce Dürera. Wieża stereo jest włączona, magnetofon odtwarza kasetę z ludową muzyką skrzypcową Wschodniego Wybrzeża; nad kanapą wisi wydziergana przez babcię makatka z czerwonymi homarami na tle morskich fal, a honorowe miejsce nad kominkiem zajmuje olejny obraz przedstawiający panoramę Alp. *Plus ça change*.

Madeleine próbuje wcisnąć swój talerz do zmywarki, ale jej się to nie udaje, więc płucze go w zlewozmywaku i idzie do salonu. Ojciec czyta gazetę, wygodnie rozpostarty w swym ulubionym złocistym fotelu, otoczonym stosami innych gazet. Madeleine zapada się w miękkiej sofie, ma ochotę włączyć fonię w telewizorze, wyciągnąć się wygodnie i niczym się nie przejmować. Bo właściwie po co tu przyjechała? Nie po to, żeby odpocząć? Cofnąć się w czasie? *Tatusiu, może pogramy w chińczyka?* W poszukiwaniu pilota kieruje wzrok na stojący z boku stolik i wtedy to zauważa. Złowróźbne urządzenie, schowane pod blatem. Aparat tlenowy. Metalicznozielony, z plastikową przezroczystą rurką zakończoną maską; Madeleine wzdryga się na jego widok, jakby zobaczyła coś nieprzyzwoitego.

Kiedy odzyskuje mowę, z udawaną obojętnością pyta: - Od kiedy masz taki odjazdowy sprzęt?

- Co? Ach, o to chodzi; od niedawna. Pomaga mi przebiec codzienną trasę po okolicy.

Madeleine bardzo się stara, żeby uśmiech nie spadł z jej twarzy, jak obraz ze ściany, powieszony na zbyt małym gwoździu. - Czyli przydaje się?

Ojciec wzrusza ramionami. - Używam go bardziej na pokaz. Od czasu do czasu biorę mały łyceczek, żeby sprawić przyjemność barmance. - Uśmiecha się i pokazuje kciukiem w kierunku schodów do piwnicy, dokąd przed chwilą zeszła Mimi.

Madeleine również się uśmiecha, nie komentuje żartu ojca.

Dlaczego matka nie powiedziała jej, że tata musi mieć podawany tlen? To zmienia postać rzeczy. Kiedy pod dom zajeżdża karetka z aparaturą tlenową, od razu wiadomo, że któryś z lokatorów w końcu się doigrał. *Nawet tak nie myśl*. Przełyka ślinę i mówi: - Po prostu dobrze jest go mieć pod ręką, co?

- Otóż to - odpowiada ojciec i podnosi gazetę.

- Tato?

Opuszcza gazetę, nagle podnosi wzrok i mówi: - Poczekaj chwilę - chrząka, żeby oczyścić głos z piskliwych dźwięków. - Coś sobie przypomniałem. - I wstaje.

Madeleine wie, że ojciec celowo stara się poruszać tak dziarsko, specjalnie dla niej. Co gorsza, ona właśnie tego od niego oczekuje. Nie chce zobaczyć, że powłóczy nogami, jak

wtedy, gdy widziała go w szpitalu, w rozchylającej się niebieskiej piżamie, nierozstającego się z kroplówką. Szpitale po to są; leczy się tam ludzi, którzy powłóczą nogami, a po wyleczeniu wypisuje się ich do domu. Nie chce go zobaczyć powłóczącego tutaj, w domu. To by znaczyło, że go nie wyleczyli. Odesłali do domu, żeby umarł. *Tato, nie rób tego.*

Patrzy, jak sprężyste kroczy, ani trochę nie szurając kapciami, i znika za drzwiami sypialni. Na ekranie telewizora Angela Lansbury rozmawia z rozsierzonym jegomościem z bokobrodami, wymachując w jego kierunku tytanowym nożem do otwierania listów. Jack wyłania się z sypialni i rzuca jej jakiś przedmiot. Madeleine łapie go.

Srebrny krzyż zawieszony na wstążce w biało-czerwone paski. Krzyż Lotnictwa.

- To dla ciebie.

- Ja cię kręcę! - mówi Madeleine i spogląda pytająco na ojca.

- Pomyślałem, że chciałabyś go mieć - odpowiada, wzdychając, po czym, jak gdyby nigdy nic, wraca na swój fotel i sięga po gazetę.

To wszystko, co na razie jest w stanie powiedzieć. I do tego właśnie służy mu gazeta. Żeby ukryć się za nią, kiedy płucom brakuje powietrza do dalszej rozmowy.

- Dzięki, tato. - Madeleine zaciska palce na medalu, aż czuje, że cztery ramiona krzyża wbijają jej się w dłoń; to jedyny sposób, żeby się nie rozplakać, kiedy ojciec daje ci coś, co zgodnie z jego wolą masz zachować po jego śmierci.

Kiedy już może otworzyć dłoń, przygląda się odznaczeniu. Srebrne pioruny, skrzydełka i krzyż ułożony z łopatek śmigła, zwieńczone królewską koroną. *Za męstwo, odwagę i poświęcenie wykazane podczas lotu, chociaż nie w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem.*

- Dostałeś go w Centralii. Kiedy to było, w czterdziestym drugim?

- W czterdziestym trzecim - odpowiada ojciec i wychyla się z fotela - szukając czegoś w stercie gazet.

Potrząsa głową, czerwony ze złości: - Matka wyrzuca moje gazety, ledwie je przeczytam do połowy.

- Czego szukasz?

- Artykułu sprzed kilku miesięcy - sięga ręką do stolika w poszukiwaniu okularów, które okazuje się mieć na nosie.

Madeleine przegląda gazety i znajduje pożółkły egzemplarz „The Washington Post” sprzed dwóch lat.

Ojciec patrzy na niego oskarżycielskim wzrokiem. - To właśnie to. Po co matka ciągle to przede mną chowa? - dodaje swym zwykłym żartobliwym tonem, Zabierając się do

wertowania gazety.

- Myślę o tym, żeby tam wrócić. Do Centralii - mówi Madeleine.

- Po co? - pyta ojciec i odchrząkując, oczyszcza gardło.

- Chcę sprawdzić, czy w kanale burzowym nie ma żadnych kości - odpowiada, mrugając, zaskoczona własnymi słowami.

Ojciec unosi brwi, ale nie odrywa oczu od gazety.

- Pamiętasz, tato? Wpadł tam kiedyś pies.

Jack kręci głową, ale widać, że nastawia radary, namierza sygnał...

- To było w dniu pasowania na harcerki.

...i w końcu łapie.

Madeleine bierze głęboki wdech, cicho, żeby go nie martwić. Robi się jej zimno; drży.

- Powiedziałeś mi wtedy, że przyjechali strażacy i go stamtąd wyciągnęli.

Jack uśmiecha się i potakuje.

- Czy to prawda?

Usta Jacka układają się do wyartykułowania jakiegoś słowa, potem następnego, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Po chwili jego głos zaskakuje, jakby przebił się przez zakłócenia radiowe, i kończy zdanie, nie wracając do niewypowiedzianego początku. Madeleine składa fragmenty w całość: - Dlaczego miałbym cię okłamać?

- Żeby mnie pocieszyć.

Jej słowa zabrzmiały ostro, jakby była na niego zła. Nie miała powodu, żeby być zła. Zwłaszcza na niego. Zwłaszcza teraz.

Ojciec wzrusza ramionami, jakby mówił: „całkiem logiczne”, i podaje jej „Washington Post” otwarty na właściwej stronie. Grzbiet trochę się wystrzępił, ale kartka z artykułem jest cała. Zdjęcie przedstawia eleganckiego pana schodzącego po schodach jakiegoś budynku w Waszyngtonie, towarzyszy mu kobieta w średnim wieku i trzech mężczyźni w garniturach.

RUDOLPH ZRZEKA SIĘ AMERYKAŃSKIEGO OBYWATELSTWA. Madeleine przebiega wzrokiem tekst artykułu: *Hitlerowska przeszłość... NASA... Wyszły na jaw zbrodnie wojenne...*

- Dora - mówi Jack.

Madeleine unosi głowę znad gazety: - Fabryka rakiet.

- Trafiony, zatopiony - odpowiada Jack, a ona cieszy się, że nie sprawiła mu zawodu. -

Pamiętasz Apolla?

Rudolph, Dora, Apollo. O co w tym wszystkim chodzi?

Wraca do czytania artykułu. Arthur Rudolph. Prawa ręka Wernehra von Brauna. Woli

zrezygnować z pobytu w Stanach Zjednoczonych, niż zostać oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości, których dopuścił się wiele lat temu, jako główny zarządca podziemnej fabryki zwanej Mitteli.

- Nic tu nie piszą o Dorze.

- Nigdy nie piszą o Dorze - w głosie Jacka słychać dawny sarkazm. - Dora to kryptonim.

Madeleine czyta dalej. Jeszcze jeden stary hitlerowiec. - Strasznie długo to trwało.

- Rudolph kierował programem lotów kosmicznych, dzięki niemu i von Braunowi poleciliśmy na Księżyc.

Rudolph, czerwono nosy renifer... Skup się.

- Amerykanie przyznali mu medal za zasługi, a teraz, gdy przestał im być potrzebny, chcą, żeby zgnił w więzieniu.

- Czyż nie tam jest jego miejsce?

Jack wzrusza ramionami. - Pewnie masz rację - mówi i głośno wzdychając, sięga po aktualną gazetę. - Jakiś facet z Teksasu skonstruował właśnie sztuczne serce, co ty na to?

Madeleine czuje, że jej umysł drętwieje; z trudem odrywa uwagę od nowych wiadomości, telewizji, zapachu pieczonego ciasta. - Dora; to tam pracował pan Froelich.

- Tak - odpowiada ojciec. - Jak niewolnik.

Niewolnik. To słowo boli jak rana. Madeleine patrzy na Jacka. Rysy jego twarzy wyostrzyły się, skóra na kościach policzkowych jest bardziej ściągnięta niż kiedyś, a w kącikach oczu czai się wyraz przychodzącego z wiekiem mimowolnego smutku, który w lewym oku spotęgowany jest jeszcze przez starą ranę. Jego usta nadal wyrażają silną determinację. Kiedy czyta, porusza lekko wargami - nigdy wcześniej tego nie robił.

Madeleine zastanawia się, jak zmienić temat. Jak zacząć rozmowę, dla której tu przyjechała.

- Dziesiątki tysięcy niewolników poumierali, a wielu innych powieszono tuż pod oknami biura tego faceta.

Madeleine spogląda na ojca: - Co? - i z powrotem na fotografię. Czyta podpis: *Rudolph razem z córką...*

- Stara się teraz o wjazd do Kanady.

- Ale my go tu nie wpuścimy

- Raczej nie. Nie na tym etapie.

- Czekaj, czekaj; czy to nie on został sprowadzony do Stanów w ramach akcji „Zszywacz”?

- „Spinacz”.

Madeleine odkłada sfatygowaną gazetę na stos pozostałych, kiedy dociera do niej sens tego, co właśnie powiedział jej ojciec. - Czy to jego rozpoznał pan Froelich? - Chyba nie dosłyszał, bo nie odpowiada. - Tato?

- Nie - mówi Jack.

- Co „nie”?

- To nie jego rozpoznał Henry Froelich. - Jack wraca do lektury lokalnego „Citizena”. - Lekarze z Detroit laserem - wymawia to: „las serem” - zlikwidowali facetowi krwiaka w mózgu. Niedługo operacje w ogóle przestaną być potrzebne. Poznają cały ludzki genom i będą mogli w nim mieszać, naprawiać wszystko już w chwili narodzin.

- Czy pan Froelich powiedział ci, kogo wtedy zobaczył?

Jack kiwa głową. Madeleine czeka, aż ojciec przyłoży do twarzy plastikową maskę i zaczerpnie porcję tlenu, a potem pyta: - Kto to był?

- Jakiś inżynier. - Wypuszcza powietrze ustami. - Henry nie znał jego nazwiska. - Przygląda się chwilę córce; Madeleine ma nadzieję, że jeszcze coś od niego usłyszy, ale on znów wraca do czytania.

- Powiedziałaś o tym policji?

- O czym?

- O tym inżynierze.

- Hank im powiedział.

- To dlaczego nic nie zrobili?

- Chyba mu nie uwierzyli.

Ponieważ to, co powiedział, wiązało się z alibi Ricky'ego. Tym, które ona pomogła podważyć. Znów zaciska palce na medalu.

Jack podnosi maskę, lecz zanim przykłada ją do twarzy, mówi jeszcze: - Wtedy tropiliśmy komunistów, nie hitlerowców. Dziwna wojna.

Madeleine dopiero po chwili uświadamia sobie, że powiedział „zimna wojna”. Przygląda się ojcu wdychającemu tlen, powoli, z oczami półprzymkniętymi, jak podczas modlitwy. Wygląda, jakby zaraz miał zasnąć. Wieczorem będzie już za późno na rozmowę, a jeśli zostanie tu do jutra, słońce poranka wmówi jej, że wszystko jest z nią w porządku i nie powinna obciążać ojca swoją opowieścią. Wie już, jak zacząć. *Tato? Musze ci powiedzieć o czymś nieprzyjemnym, co spotkało mnie wiele lat temu, ale nie martw się, ta historia dobrze się kończy. Widzisz? Jestem szczęśliwa.*

Patrzy, jak twarz ojca wiotczeje, niczym opuszczony żagiel, i traci wyraz; teraz

rozumie, ile musiał włożyć wysiłku w przywołanie na twarz zwykłego uśmiechu. Czyżbyśmy wszyscy, przez cały czas, wkładali w to mnóstwo wysiłku, nieświadomi, ile to nas naprawdę kosztuje?

Ojciec zerka w stronę maski, ale nie podnosi jej. Zwraca swe jasne, niebieskie spojrzenie na córkę. - Co ci jest, skarbie?

Słyszając go, Madeleine czuje przeszywający ból. Nie dlatego, że mówi cicho, z trudem, lecz dlatego, że jest wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy - od kiedy to już? - słyszy głos swojego ojca. Głos, który stopniowo ulegał erozji, kruszył się jak skała nadmorskiego klifu. Czuje, że do oczu napływają jej łzy. Chce jej się płakać z powodu tego, co ma do powiedzenia, czy też dlatego, że jej ojciec powrócił, w prawdziwym brzmieniu swego głosu? Jakby jego młodszą wersję wypuszczono z królestwa cieni i pozwolono jej posiedzieć w salonie apartamentu. Gdyby zamknęła teraz oczy, zobaczyłaby tył jego głowy, płowego, krótko przystrzyżonego „jeża”, łokieć wystawiony za okno samochodu, włoski na przedramieniu rozwiewane przez wiatr. *Kto ma ochotę na lody?*

- Czuję się... - zaczyna, żałując, że nie może skorzystać z maski tlenowej, żeby ukryć za nią nagły przyptyw smutku.

Zamyka oczy i słyszy, jak ojciec mówi: - Wyrzuć to z siebie, stary druhu.

Otwiera oczy i uśmiecha się. - Czułam się winna.

- Z jakiego powodu? Dlaczego? - spojrzenie Jacka nabiera bystrości, nawet lewo oko wydaje się całkowicie rozbudzone.

- No bo przeze mnie Ricky poszedł do więzienia - mówi Madeleine i marszczy czoło, zdziwiona dziecinną składnią swej odpowiedzi. - Bo... wydaje mi się, że to przez moje zeznanie został skazany. - Oddycha głośno ustami, jej twarz wykrzywia grymas bólu.

Ojciec wpatruje się w nią świdrującym wzrokiem.

- Twoje zeznanie nie miało z tym nic wspólnego.

Głos ojca przybiera typowy ton „męskiej rozmowy”. Gdyby nie znała go tak dobrze, mogłaby pomyśleć, że jest na nią zły. Ale wie, że nie jest zły, tylko zmartwiony.

- Już dobrze, tato. Wróciło to do mnie, kiedy po latach przeczytałam o nim w gazecie - mówi, szukając ucieczki w sarkazmie - „skazany na podstawie zeznań dziecięcych świadków”. Pomyślałam sobie wtedy: „Rany, może on rzeczywiście był winny i nie muszę sobie niczego wyrzucać”, i poczułam się jeszcze gorzej. - Musi mu teraz o tym powiedzieć. O panu Marchu. I będzie lepiej. *Powiedz mu.* Otwiera usta, ale nie padają z nich żadne słowa, jedynie ślina gromadzi się pod językiem.

- Nie byłaś jedynym świadkiem - mówi Jack.

- Wiem.

- Zeznawały jeszcze dwie dziewczuszki, z jedną się przyjaźniłaś. Jak ona miała na imię?
Susan?

- Sara.

- No właśnie.

- A ta druga to Grace.

- No i one go wrobiły - określenie, którego użył, wstrząsa nią jak wybój na szosie.

Po chwili milczenia Madeleine pyta: - Co mówiły?

- Same straszliwe bzdury - odpowiada Jack i sięga po maskę z tlenem.

- Zawsze myślałam - stara się nie rozplakać, choć czuje, że jej oczy są jak balony pełne wody - myślałam, że cię wtedy zawiodłam.

Ojciec wysuwa podbródek, jego twarz ciemnieje. - Ustalmy wyraźnie jedną rzecz. Nigdy, ale to nigdy, w żadnej, nawet najdrobniejszej sprawie, nie dałaś mi powodu do rozczarowania. - *Dotarło?* Wdycha kolejną porcję tlenu.

I zaczyna odpływać. *Tato, nie odchodź!* Powraca do królestwa cieni. *Zaczekaj!* Wkrótce będzie za późno, żeby mu opowiedzieć. O ciszy panującej w szkole po lekcjach. O zapachu skórek pomarańczy i ołówkowych strużyn. O pustym korytarzu, którym potem przechodziła, mijając portret miłościwie panującej królowej. O tym, jak biegła przez boisko, z nadzieją, że powiew wiatru złagodzi uczucie pieczenia, *to nic nie boli*. Byłam taka silna, nie wiedziałam, że jestem małą dziewczynką. *Patrz na mnie, tatusiu*. Otwiera usta, żeby mu o tym opowiedzieć, i w tej samej chwili słyszy jego słowa: - To ja machałem.

Madeleine mruga oczami, zatrzymując łzy. - Co takiego?

- To byłem ja. To ja widziałem Ricky'ego wtedy na drodze. To ja mu pomachałem.

Madeleine siedzi z otwartymi ustami, gotowymi opowiedzieć jej historię, która już uleciała.

- Ja byłem tym lotnikiem w samochodzie. - Jack przykładá maskę do twarzy, zamyka oczy i bierze głęboki oddech, a potem otwiera oczy i patrzy na córkę. Z bezgranicznym oddaniem.

Madeleine powoli kręci głową; przez chwilę nic nie czuje, jakby była pod wpływem środka znieczulającego. Widzi niewyraźną postać mężczyzny za szybą odbijającą promienie wiosennego słońca, zarys lotniczego kapelusza, machającą rękę. Kurz unoszący się nad większą drogą, spowijający widok oddalającego się niebieskiego samochodu...

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Wykonywałem rozkazy. - I opowiada jej o wszystkim.

Madeleine opiera łokcie na kolanach, zwiesza głowę i wpatruje się w biały dywan na podłodze. Skupia się na tym, żeby jej oddech był równy. Chcąc ogrzać dłonie, wsuwa je pod pachy. Coś się zawaliło. Cicho, bez zamieszania. Ziemia pod jej nogami.

- ...Oskar Fried, prawdziwego nazwiska nie znam...

Wujek Simon i pan McCarroll

- ...mój amerykański odpowiednik...

Agencja Połączonych Celów Wywiadowczych

- ...kilka lat później pod zarzutem szpiegostwa aresztowano jakiegoś pijanego oficera amerykańskiej piechoty morskiej...

NATO

- ...wyścig o zdobycie kosmosu...

NORAD

- ...Sowieci grozili wystrzeleniem pocisków...

USAF

- ...Kuba przygotowująca się...

USAFE

- ...w Berlinie groźba wybuchu...

Pentagon

- ...pojedynczy człowiek nie może mieć całkowitego oglądu...

Księżyc

- Nigdy nie przyjechałaby do Centralii - mówi Madeleine.

- Kto?

Szkolny dziedziniec

- Claire.

Chore oko Jacka zaczyna łzawić. Ociera je wierzchem dłoni i mówi: - To była straszliwa tragedia.

Madeleine wpatruje się w niego. Logicznie byłoby teraz zapytać: *Kim ty jesteś?* Przez ułamek sekundy widzi siedzącego w złocistym fotelu obcego mężczyznę, jakby krótki błysk flesza wydobył z mroku postać, która wcześniej była niewidoczna. Po chwili człowiek ten znów jest jej ojcem. Ale mniejszym niż przedtem. Jakby zagubionym w tej swojej koszuli do golfa i białych tenisówkach, które - jak wszystkie buty starych ludzi - sprawiają wrażenie zbyt nowych, zbyt rzucających się w oczy.

- Tragedia to określenie używane przez ludzi, którzy nie chcą być obwiniani - mówi Madeleine.

*Gdyby Claire nie przyjechała do Centralii, kogo zamiast niej wybrałby pan March?
Dziewczynkę z ciemną, brązową grzywką...*

- ...jakbyś leciała w gęstej mgle, nie wiedziała nawet, gdzie jest góra, a gdzie dół. W takiej sytuacji należy...

- Świat nie stał się przez to bardziej bezpieczny, tato.

- ...całkowicie zaufać odczytom przyrządów. I one nie zawiodły, pokonaliśmy ich.

- Pokonaliśmy? Kogo?

- Sowieców. A teraz się mazgają. - Twarz Jacka przybiera wyraz zaciętości. Stary chłopczyk.

- Myślisz, że kiedy runą mury, to na świecie będzie bezpieczniej? Ojciec pochyła się ku niej. - Powiem ci coś w sekrecie, stary druhu. Jeśli kiedykolwiek najdą cię wątpliwości, jak w takiej czy innej sytuacji powinnaś postąpić, odpowiedz sobie na pytanie: Co najtrudniej byłoby mi teraz zrobić?

- Pan Froelich zginął.

Jack wzdycha i sięga po chusteczkę, którą ociera oko. - Podejrzewam, że został zabity.

- Przez Simona?

- Raczej przez kogoś, komu Simon to zlecił.

- ...z CIA? I po co? Żeby jakiś Oskar Fried był bezpieczny?

- Prawdopodobnie.

- Powiedziałaś Simonowi o panu Froelichu?

- To był mój obowiązek.

Wszystko wokół wydaje się naraz Madeleine nietrwałe jak budowle z piasku. Jej usta, twarz, otaczające ją powietrze, ława, walczące koguty, panorama Alp, telewizor, wszystko to rozsypie się w proch przy pierwszym mocniejszym trzaśnięciu drzwi.

- Nie twierdzę, że zrobiłem dobrze - mówi Jack. - Kiedy mówiłem o tym Simonowi, nie wiedziałem jeszcze, jak się rozwinie sytuacja. Naprawdę.

Madeleine kręci się w głowie, jest oszołomiona nagłym wspomnieniem: *Maman* wlecze ich do samochodu, a ojciec stoi w progu, osłupiały, jakby rażony piorunem. Nazajutrz po tym, jak zeznawała w sądzie. Matka niemal skrzeczącym głosem ponagliła ją, żeby wsiadła do samochodu. Wywiozła ich stamtąd; zabrała z miejsca, gdzie mieszkali ludzie, którzy mordują dzieci.

- Mój udział w tej sprawie niewiele zmienił. Gdyby policja w ogóle liczyła na schwytanie prawdziwego sprawcy, nigdy nie uznałaby dzieciaka Froelichów za głównego podejrzanego. Ten, kto to zrobił, na pewno dawno się ulotnił. W końcu podobna zbrodnia

nigdy się już w tamtej okolicy nie powtórzyła - powiedział Jack tonem ucinającym dalsze dyskusje na ten temat.

Czy to ten ton słyszał zwykle Mike? Czy to takiego ojca miał Mike? Co by zrobiła, gdyby i ona miała takiego ojca? Też by wybrała bieganie z karabinem po dżungli? Zabij lub giń.

Z piwnicy dochodzi wołanie *Maman*: - Madeleine!

- O co chodzi? - odkrzykuje Madeleine.

- Zejdź tutaj, chcę ci coś pokazać.

- Za chwilę - odpowiada i wraca do rozmowy z ojcem.

Co robiłeś podczas zimnej wojny, tatusiu?

- ...wygraliśmy wyścig w kosmosie...

Po co?

Dla waszego, naszych dzieci, bezpieczeństwa. *Po co?*

Żeby zachować świat, który mieliście po nas odziedziczyć.

Po co?

- Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy z myślą o was.

- Może powinniście poprosić nas o pomoc?

- Was? To znaczy kogo?

- Dzieci. Myśmy się w tym świecie urodzili. W świecie, który mógł wylecieć w powietrze w ciągu paru godzin. Byliśmy od was twardsi.

- Spójrz mi w oczy, Madeleine. To, co wtedy robiłem, stanowiło ułamek większego przedsięwzięcia. Prowadzono mnóstwo podobnych operacji, niektóre pociągały za sobą dużo większe koszty. Część z nich przyniosła wymierne korzyści. Pozostałe należałoby wpisać po stronie strat - skórka niewarta wyprawki. Nie ma większego znaczenia, czy to, co ja robiłem, warte było zachodu. Weźmy przykład z czasów drugiej wojny światowej, Operacja Dieppe - ojciec mówi beznamiętnym głosem, oczy ma zwężone, usta zacięte. - Tysiąc Kanadyjczyków zginęło, dwa tysiące wzięto do niewoli, i po co to wszystko? Żeby Brytyjczycy mogli przetestować w praktyce swoje taktyczne teorie. Liczy się tylko to, że wygraliśmy, i nikt nie nazywa Churchilla zbrodniarzem wojennym. Szkoda, że nasi dzisiejsi przywódcy nie mają choćby jednej dziesiątej jego odwagi i rozumu... On nigdy nie dałby się wciągnąć w bagno Wietnamu...

Przez chwilę siedzą bez słowa, słysząc tylko ich oddechy. Jack ma zaciśnięte wargi, przy każdym wdechu opadają mu powieki. Na ekranie telewizora nowy, lepszy Mr. Clean składa wizytę dwóm paniom w łazience.

- Tato?

- Tak, skarbie? - Jack przygląda się jej badawczo, próbując rozszyfrować wyraz jej twarzy. Co robi teraz, kiedy poznała jego tajemnicę? Wygląda na zmartwioną, ale w jej oczach widać wołanie o pomoc. Tak samo wyglądała zawsze, gdy było jej źle, ale wiedziała, że ze swoim problemem dotarła pod właściwy adres. *Moja kochana dziewczynka.*

- Pamiętasz mojego nauczyciela z Centralii?

- Pana... Marksa?

- Marcha.

- Oczywiście, że pamiętam. A dlaczego pytasz?

Nie odpowiada od razu. Ojciec wyciąga do niej rękę: - Co się stało, skarbie?

W końcu Madeleine odzywa się: - On... on umarł. Jack widzi, że córka marszczy twarz i zaczyna płakać. Zapraszającym gestem rozwiera ramiona, a ona podchodzi do niego i klęka przy fotelu.

- Przykro mi, skarbie - mówi Jack, poklepując ją po głowie. - To smutne.

Madeleine płacze z twarzą ukrytą w dłoniach i wtuloną w podłokietnik fotela, jej ramiona zaczynają drżeć. Może powinien zawołać matkę? - Kiedy to się stało?

Madeleine nie odpowiada, nie może przestać szlochać. Jack nigdy nie podejrzewał, że tak bardzo lubiła swojego starego nauczyciela.

- Był już chyba bardzo stary?

Madeleine potrząsa głową, ale nie podnosi wzroku. Zawodzi cicho, jak skamłający pies.

- Wiesz co, stary druhu? - Jackowi wydaje się, że słyszy jej niewyraźne „Co?”, więc mówi dalej: - Wydaje mi się, że przeżywasz to tak ciężko, bo przypomniła ci się Centralia, a tam wydarzyło się tyle przykrych rzeczy.

Ścisza go w gardle, ale sili się na lekki ton, jakim przed laty, kiedy była dzieckiem, opowiadał jej bajki. - Ale zobacz, jakie to dziwne, że mimo tych wszystkich okropności... - przerywa, mruga oczami i chrząkając, oczyszcza gardło. - Niektóre z naszych najprzyjemniejszych wspomnień związane są właśnie z Centralią. - Po policzkach spływają mu łzy. Nie chcąc wypuszczać z objęć córki, podnosi ramię i ociera twarz rękawem koszuli.

- Pamiętasz, jak zabierałem cię ze sobą do Exeter, kiedy jeździłem się strzyć? Rozbawiałaś wszystkich klientów u fryzjera. A jak robiliśmy zakupy na targu w Londynie? Kupowaliśmy sobie zawsze chrupiące bułki i dobrą niemiecką kiełbasę. Pamiętasz „Bajkowe Ogrody”? - Gładzi jej włosy, wciąż miękkie i lśniące, jak u dziecka. - Albo myszki na świątecznej wystawie u Simpsona, i kocią orkiestrę? - mówi, chichocząc. - A pamiętasz pierwszy dzień szkoły, kiedy chciałaś, żebym cię odprowadził, i całą drogę trzymałaś mnie za

rękę? Ostatni raz mnie wtedy o to prosiłaś.

Przerywa, żeby zaczerpnąć tchu. Jest jeszcze tyle czasu... *Wy, dzieciaki, macie całe życie przed sobą...*

- Jak to się w życiu dziwnie plecie, nie sądzisz? Najmilsze wspomnienia mieszają się z najsmutniejszymi. I przez to wydają się nam jeszcze miłsze. Musisz wracać myślami do dobrych czasów. Tak jak ja, kiedy myślę o twoim bracie... - *A jeśli was rozpuściliśmy, to dlatego, że bardzo was kochaliśmy. Chcieliśmy, żebyście ty i twój brat mieli wszystko, czego sami nigdy nie mieliśmy...*

Jack nie przywołuje obrazu syna. Widzi błękitną kopułę nieba rozciągającą się nad miejscem, gdzie zawsze trwa lato, słońce ogrzewa rzędy białych budynków, plac defiladowy i małe, kolorowe domy wyczekujące piątej po południu, kiedy mężczyźni powracają do nich po dniu pracy. To właśnie tam jest jego syn. I Jack też tam jest, razem ze swoją rodziną. Ze swoją piękną żoną. Mając wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

Poklepuje córkę po głowie i uświadamia sobie, że sam kiwa się w miarowym rytmie. To pewnie pozostałość po dawnym impulsie kołysania trzymanego w ramionach dziecka. Madeleine jest już trochę spokojniejsza. To do niego przychodziła zawsze ze swymi smutkami, jemu zawsze pozwalała się pocieszyć. Czy dziecko zdaje sobie sprawę, jaki to dar dla rodzica?

- Już dobrze, skarbie - mówi, bo ona wciąż nie przestaje płakać. - Aha, miałem ci powiedzieć o tym psie w kanale burzowym. Przyjechali strażacy i go stamtąd wyciągnęli. Całego i zdrowego, sam widziałem. To był beagle.

Dokonał dziś trudnego wyznania. Wie, że córka może odtąd żywić do niego urazę, ale ma nadzieję, że kiedyś wszystko zrozumie. Powiedział jej, bo jest jego perełką. Powinna wiedzieć, z jakiej gliny jest ulepiona. - Jesteś moim najlepszym - mówi do niej cicho - najlepszym starym druhem.

Madeleine wciąż łka, jej łzy płyną nieprzerwanie, jakby wypłykiwały z niej pokłady mroczności. Zatapia się w uczuciu błędnego wytchnienia. Poddaje się temu, co pozostało. Ze swej dawnej kryjówki, zza zasłony minionych lat, rzuca ostatnie spojrzenie ojcu, który delikatnie próbuje ukoić jej ból, choć nie wie, co ją boli.

Po chwili czuje, że ręka ojca znieruchomiała. Madeleine przesuwa ją ostrożnie i wstaje. Jack zasnął.

Madeleine wyciera twarz i wydmuchuje nos. Patrzy na ojca. Ma zwieszoną głowę, niedomknięte usta, jego ręce leżą bezwładnie na podłokietnikach fotela, palce - dziesięciu zmęczonych walką żołnierzy - zastygły w bezruchu. Na kolanach porzucona maska tlenowa.

Piloci myśliwców i inwalidzi. *Per ardua ad astra...*

Pochyla się nad nim i całuje go. Jego skóra jest miękka jak zamsz, widać na niej leniwe rzeczki naczyń krwionośnych wraz z dopływami, pozostałości po niegdyś rwących potokach. Policzki są wilgotne, przeredzone baczki pachną old spice'em.

- Do widzenia, tato.

Przez przeszkody do gwiazd.

Madeleine wkłada w holu kurtkę, ale słyszy matkę wchodzącą po piwnicznych schodach i odwraca się.

- Jesteś ode mnie młodsza, Madeleine, to ty powinnaś zejść do mnie - Mimi widzi, że Madeleine sięga po kluczyki do samochodu. - Gdzie ty się wybierasz o tej porze? - podchodzi do niej lekko zdyszana, w jej ramionach pienia się zwiewne zwoje poźółkłej satyny i koronki.

- Co to takiego?

Mimi uśmiecha się nieśmiało: - Pomyślałam, że mogłaby ci się spodobać.

Madeleine patrzy na nią z niedowierzaniem: - Twoja suknia ślubna?

Mimi, ze zmarszczką zawstydenia na czole, kiwa głową.

Madeleine już ma wypowiedzieć grzecznym tonem pytanie: - A po co mi to? Na Halloween? - ale jest już za daleko, wypłynęła poza boje wyznaczające granice błaznowania, i ogarnia ją spokój niedoszłego topielca. Zamiast tego wzdycha tylko.

- *Madeleine, qu'est-ce que tu as?*

- Nic, wszystko w porządku, tylko... aha, przypomniałam sobie, o co chciałam cię zapytać; *pourquoi tu ne m'as pas dit que papa avait besoin d'oxygène?*

Mimi wzrusza ramionami i unosi brwi w geście, który zawsze zdradzał jej zniecierpliwienie. - Dlaczego miałabym ci o tym mówić? Wiedziałaś, że bierze różne leki: jedno tabletki, drugie tabletki - wylicza na palcach - nitroglicerynę, betablokery, no a teraz tlen, co za różnica.

Madeleine milczy.

Mimi opuszcza w końcu i ramiona, i brwi: - Nie chcieliśmy cię martwić.

- I tak się martwię, a poza tym macie już tylko mnie; kogo chcecie martwić, jeśli nie mnie.

- Płakałaś - mówi Mimi i wyciąga rękę, chcąc dotknąć jej twarzy.

Madeleine odsuwa się odruchowo i w tej samej chwili czuje ukłucie winy.

- Nic mi nie jest, *Maman*, dzięki za troskę. *Fricot* było wspaniałe, naprawdę, ale muszę już wracać, praca czeka. - Wyciąga rękę w kierunku stolika, żeby zabrać kluczyki do samochodu, tymczasem one wypadają jej z dłoni; kiedy zdążyła je wziąć? Pochyla się, żeby

je podnieść.

- O czym rozmawiałaś z tatą? - pyta Mimi. Matczyny wywiad działa.

Madeleine patrzy matce w oczy. - Przyznał się, że to on machał - odpowiada rzeczowo i czuje, że powietrze wokół niej rzednie. - Wiedziałaś o tym?

Twarz matki nabiera surowego wyrazu. - Oczywiście, że wiedziałam. Jestem jego żoną.

- Dlaczego nie poszłaś z tym na policję?

- Przecież to mój mąż. Twój ojciec.

- Zwyczajny przestępca.

Madeleine słyszy odgłos uderzenia, czuje, że piecze ją twarz od wymierzanego policzka czającego się w matczynej dłoni. Ale nikt nikogo nie policzkuje.

- Nic tu po mnie.

- Nie wygłupiaj się, Madeleine - mówi Mimi, przewieszając swą ślubną suknię przez balustradę, i kieruje się do kuchni. - Chodź - dodaje, zapalając papierosa - zrobię ci *poutine râpée*, musisz jeść, jesteś za chuda. A potem zagramy w Scrabble.

Madeleine przygląda się matce. *Nic dziwnego, że jestem taka porąbana.* Dolatuje do niej zapach papierosowego dymu. Wdycha orzeźwiającą smużkę mentolu, uważając, żeby nie ulec jej odprężającej mocy. - Wiesz, mam, że tlen jest łatwopalny?

- Madeleine, jesteś za bardzo podobna do mnie i to nie daje ci spokoju.

- Wcale nie jestem do ciebie podobna.

Mimi odkręca kran, naciąga żółte gumowe rękawice i zabiera się do obierania ziemniaków. Jej mąż umiera.

- Myślałaś kiedyś, żeby ograniczyć palenie, powiedzmy, do trzech paczek dziennie? - pyta Madeleine.

- Uważasz się za feministkę, ale dla własnej matki nie jesteś zbyt miła.

Madeleine wzdycha. Zwraca uwagę na stół; jest już nakryty do śniadania na trzy osoby. Pikowany kapturek na dzbanek do herbaty stanowi doskonałe dopełnienie odpowiednio dobranych podkładek i papierowych serwetek. Nakryciu ojca towarzyszy długi, wąski plastikowy pojemnik z czternastoma przegródkami, opisanymi dniami tygodnia i porami dnia: „rano” i „po południu”. Pośrodku stołu, stłoczone na obrotowej drewnianej płycie, stoją słoiczki z solą, pieprzem, cukrem oraz serwetnik i wykałaczki. *Jest dziesiąta wieczorem. Czy wiesz, gdzie jest teraz twoje życie?*

- *Qu'est-ce que t'as dit, Madeleine?*

- Nic takiego.

Zastygła w bezruchu, Madeleine sterczy w przestronnym przedpokoju jak omyłkowo dostarczona przesyłka z Searsa. Wokół niej wznoszą się kształtne linie apartamentu. Ściany korytarza prowadzącego do pokoju wypoczynkowego obwieszane są oprawionymi w ramki rodzinnymi fotografiami, najpierw ze ślubu rodziców, a następnie na zmianę: nowa placówka, dziecko, wakacje; starsze czarno-białe i nowsze kolorowe; opowieść o Mimi i Jacku. Ostatnie pochodzi z 1967: cała czwórka na tle wystawy geodezyjnej w pawilonie amerykańskim na targach Expo. Mike nosił wtedy długie włosy.

W kuchni z kranu leci woda, ze stojącej przy zlewozmywaku popielniczki unosi się smużka dymu. Madeleine patrzy na odwróconą do niej plecami matkę, która w gumowych rękawiczkach, *tak cienkich, że można w nich podnieść dziesięciocentówkę*, wciąż obiera ziemniaki. W salonie ojciec siedzi nieporuszenie w swym fotelu. Na ekranie telewizora animowane enzymy zjadają drobinki brudu. *Ile jeszcze kilometrów, tato?*

- Szkoda, że nie ma Mike a.

Mimi pociera ucho wierzchem dłoni, jakby odganiała muchę, i wraca do obierania.

- Dlaczego nie możemy uznać go w końcu za zmarłego? - rzuca Madeleine w stronę ściany, zastanawiając się, czy szum wody nie zagłusza jej słów. - Dlaczego nie możemy urządzić mu pogrzebu? - zwraca się do przedpokoju, a jej słowa, małe i nieważkie, ulatują pod wysokie katedralne sklepienie.

Na kuchennej ścianie, między ekspresem do kawy a kuchenką mikrofalową, przymocowana jest niewielka płytką z przyklepioną na magnes parą nożyczek i wierszowanym napisem: *Po użyciu tych nożyczek włóż z powrotem je w koszyczek*. Na brzegu zlewozmywaka siedzi stara porcelanowa żaba z druciakiem do czyszczenia garnków w swym szerokim pysku.

- Kocham cię, *Maman*.

Woda przestaje lecieć; Mimi odwraca się, z uniesionymi rękami w ociekających gumowych rękawiczkach - niczym chirurg po skończonej operacji - szybko podchodzi do córki i obejmuje ją.

Ramiona matki. Drobne, gorące i silne. Ich mroczny zapach przebijający spod woni perfum i mentolu. Słony, podziemny. Nieusuwalny.

Madeleine opada stare poczucie winy, dawny towarzysz świadomości, że *Maman* tuli do siebie inne dziecko o tym samym imieniu. Zawsze starała się odwzajemniać uścisk matki jako to drugie, czyste dziecko.

- Madeleine - mówi Mimi z twarzą wtuloną w jej ramię, ściska ją niczym stalowa obręcz. - Tata i ja bardzo cię kochamy.

Wie, że matka zaciska przy tym oczy, jak medium spirytystyczne gotowe na przyjęcie wlewającej się w nie mocy miłości, tej miłości, którą Madeleine zawsze uważała za uczucie ogólne, żywione do „mojego dziecka”, a nie konkretnie do niej samej, do Madeleine.

Madeleine czeka, aż uścisk matki zelżeje, i tonem tak miłym, jak to tylko możliwe, mówi: - Maman, muszę wracać do Toronto, ale przyjadę za tydzień, dobrze?

- *Mais pourquoi?*

Nie może znieść wyrazu zakłopotania, jaki pojawia się w oczach Mimi: dlaczego zawsze sprawiam matce ból? - Czekam dużo pracy, a poza tym... muszę się wyprowadzić z naszego... z mojego obecnego mieszkania.

Twarz matki znów się napina, gotowa do odparcia słowa *Christine*. Lub jakiegokolwiek innego słowa, które mogłoby być synonimem *Christine*. Mimi unosi rękę w geście poddania albo lekceważenia: - Rób, co chcesz, Madeleine; nigdy nie robisz nic innego - mówi i wraca do kuchni.

- Wiesz, *Maman*, *Christine* i ja pewnie już dawno byśmy się rozeszły, gdybyś tak uparcie nie potępiała naszego związku.

Patrzy na matkę, odwróconą plecami i siekającą coś zawzięcie.

- To nie jest tak jak ze schematem krowiej tuszy w sklepie mięsny. Nie możesz wyciąć ze mnie kawałka, którego nienawidzisz, a zachować resztę.

Gdyby Mimi się wtedy obróciła, Madeleine zobaczyłaby, że jest zirytowana. Jest zirytowana, bo płacze. Płacze, bo... nie trzeba być matką, żeby wyobrazić sobie, jak można się czuć, słysząc od własnego dziecka słowa: *Nienawidzisz mnie*.

Madeleine milczy, czeka. Jak uschłe drzewo. Gdyby pod jej stopami była teraz nie błyszcząca posadzka, lecz goła ziemia, mogłaby się na niej położyć i rozpocząć długi proces powrotu. Na tym polega straszliwa dobroć ziemi: jej miłość jest wieczna, zawsze przyjmie nas z powrotem i nigdy nie powie: „Wezmę ten kawałek ciebie, ale pozostałych nie chcę”.

Dzwoni telefon. Mimi uzgadnia harmonogram działalności Ligi Kobiet Katolickich, zagląda do wykazu i potwierdza termin spotkania brydżowego.

Madeleine mówi: - Pamiętasz mojego nauczyciela z Centralii? Mimi obrzuca ją krótkim spojrzeniem i znów zabiera się do studiowania wykazu: - Pan March.

- Molestował nas. Mnie i kilka innych dziewczyn.

Mimi wpatruje się w twarz córki i odruchowo odwiesza słuchawkę, a potem spogląda na swoją rękę, jakby zdziwiona tym, co przed chwilą zrobiła.

- Nie martw się, mamo, nic mi nie jest; mówię ci o tym tylko dlatego, że...

Rozlega się piskliwy dźwięk, jakby kwilenie; matka zakrywa usta stuloną dłonią,

wygląda, jakby zaraz miała coś wykrztusić, jakieś drażniące krtań piórko.

- *Maman?*

Madeleine uświadamia sobie, jak bardzo jest podobna do matki; patrzy, jak usta Mimi wyginają się w podkówkę, a policzki, szyja i nos pokrywają się czerwonymi plamami; jej twarz zastyga w grymasie przerażenia, jak twarz kłowna pokryta makijażem nieskrywanego smutku.

- *Maman, już dobrze...*

Madeleine chciałyby spakować całą tę wizytę do worka i wepchnąć głęboko pod piwniczne schody, między bożonarodzeniowe dekoracje i składane krzesła.

Wszystko, czego chciałyby teraz Mimi, to usunąć to ze swej córki, zetrzeć z jej twarzy jak kurz po letniej zabawie, jak strużkę krwi ze skaleczonego kolana; zasłonić ją własnym ciałem, przejąc na siebie to, co spotkało jej dziecko. Ale jest już za późno. Jej ramiona mają wielką moc, ale nie może nimi dosięgnąć swej małej dziewczynki wychodzącej do szkoły, tak jak nie może chwycić syna opuszczającego dom przed siedemnastoma laty. Chwyta nimi tylko powietrze. Nie spisała się. Nie zrobiła wszystkiego, co powinna była zrobić. *Ce n'est pas assez.*

Madeleine nigdy wcześniej nie widziała, żeby matka tak płakała. Nawet wtedy, gdy Mike odszedł. Nowe smutki wskrzeszają stare. Chodzimy je wypłakiwać wciąż do tej samej studni, więc poziom w niej wciąż się podnosi.

Jest zaskoczona słowami matki.

- Tak mi przykro, *ma p'tite, c'est ma faute, c'est la faute de Maman.*

Madeleine obejmuje matkę; ich uścisk znów jest gorący, ale już nie taki twardy, bardziej cielesny niż stalowy; ciekawe, która z nich się zmieniła.

- Nie, to nie jest twoja wina, *Maman.*

Wszystko się ułoży. Co to za mroczne uczucie? Doczesne szczęście śmiertelnika? Rana się nie zagoiła, ale w końcu przestała się jątrzyć. Wciąż okropnie boli, ale jest już oczyszczona. Mama założy zaraz świeży opatrunek.

- *Je t'aime, Maman.*

Mimi ociera dłońmi twarz Madeleine, dokładnie, jak kotka wylizująca swe kocię, po czym wydobywa zatkniętą pod rękaw chusteczkę i podtyka ją córce pod nos. Madeleine wydmuchuje nos i śmieje się.

Mimi uśmiecha się do niej: - Jesteś taka śliczna, *ma p'tite.*

- Mam to po tobie.

Mimi spogląda w kierunku salonu. Zza oparcia fotela wystaje czubek głowy jej męża.

Jack siedzi nieruchomo, wciąż śpi. Mimi pyta zniżonym głosem: - Mówiłaś o tym ojcu?

- Nie.

- To dobrze.

I Madeleine jest teraz przeświadczona, że rzeczywiście dobrze się stało; cieszy się, że nie obarczyła go tym brzemieniem. Matka je uniesie. *Kobiety są silniejsze.*

Mimi całuje córkę, a to, co sobie w tej chwili uświadamia, wcale nie łagodzi jej bólu, wręcz go pogłębia; temu, co spotkało jej dziecko, można było zapobiec, jak chorobie zakaźnej odpowiednią szczepionką.

- Och, Madeleine, moja Madeleine...

Madeleine wsłuchuje się w melodię matczynego głosu. Odnajduje w nim pocieszenie. To, co pozostało, to może niewiele, ale zawsze coś. Coś dobrego. Mam przecież matkę.

Wkracza na łąkę bez lęku, nikt tu na nią nie poluje. Pławi się w spojrzeniu swej matki, wystawia się na nie bezwstydnie, wdzięczna, że w końcu została dostrzeżona.

- Och, Madeleine - mówi Mimi i delikatnie obejmuje dłońmi twarz córki - to dlatego stałaś się taka, jaka jesteś?

Madeleine ma wrażenie, jakby w jej głowie, niczym aparacie fotograficznym, przeskoczyła klatka filmu. Wie, że dotarła do końca pewnego etapu, i rozpoczyna kolejny, zupełnie inny, ponieważ jej własny głos brzmi w jej uszach jak głos automatu mówiącego nowym językiem: - Jestem przekonana, że to pan March zabił Claire.

Kiedy wychodzi z domu, matka jeszcze coś mówi, nadal używając starego języka. Madeleine słyszy jej głos, ale już nie potrafi zrozumieć słów.

Przy samochodzie coś z brzękiem upada na asfalt. Lśni srebrzyście w świetle padającym z werandy. Krzyż Lotnictwa. Podnosi go i wsiada do samochodu. Rozciera wewnątrz dłoni, na której cztery ramiona krzyża odcisnęły swe tymczasowe piętno, i patrzy na starą, cienką jak papier bliznę, splecioną z jej linią życia.

Ricky Froelich *ZAGINIONY*

Henry Froelich *ZAGINIONY*

Michael McCarthy *ZAGINIONY*

GRATIA

Madeleine zjechała na pobocze obwodnicy 401 przecinającej północne Toronto. Tym razem nie udało jej się dotrzeć do rampy zjazdowej. Oparła głowę na kierownicy i modli się. Nie wierzy w Boga, choć nie jest też ateistką. Wiara nie ma z tym nic wspólnego. Modli się, ponieważ wszędzie jest tyle cierpienia. Wśród żywych i martwych. Znanych i nieznanym.

Słyszy głos, odwieczny. Z początku cichy, jak grzechot kamyczków na plaży. W miarę jak się przybliża, staje się coraz głośniejszy, aż w końcu zamienia się w chóralny śpiew dusz, śpiew tysięcy gardel ściśniętych smutkiem. Chór wszystkich uwięzionych we własnych umysłach, wszystkich urabiających sobie ręce dla swych rodzin; tych, którym od chodzenia na dwóch nogach kręci się w głowie, i tych, którzy dzielnie walczą o byt na czterech łapach, niezmordowanie unoszą się na skrzydłach, pełzają na brzuchach, machają płetwami; wzruszająca odwaga zwierząt; samotna śmierć ukochanego brata, dziecko zamordowane dawno temu w Centralii. Czy bardzo się bali? Gdybyśmy tak mogli być przy nich w godzinie śmierci - nie po to, by zmienić ich los, bo to niemożliwe, ale po to, by być naoczniymi świadkami. Obdarzyć konających miłością, bez udawania, że nie widzimy ich cierpienia. Oni chcą tylko, żebyśmy to zobaczyli. *Patrz na mnie.*

- Módlmy się za nich - szepcze Madeleine do tablicy rozdzielczej swego starego „garbusa”. Obok niej pędzi szesnaście sznurów samochodów. *Módlmy się za nich.* I właśnie wtedy, gdy tak tkwi uwięziona na tonącym w zgiełku poboczu i zastanawia się, czy kiedykolwiek uda jej się wysiąść z samochodu, otrzymuje dar, który wypełnia jej serce jak powietrze płuca. To nie zwyczajna myśl, wytwór jej umysłu, lecz nagłe objawienie: jedyną liczącą się rzeczą na świecie jest miłość.

Po piętnastu minutach jest już w stanie ruszyć w dalszą drogę. Okrągłoplecy, brudnobiały chruszcz nabiera prędkości i wkrótce zjeżdża z obwodnicy. Zaprojektowany dla Hitlera. Skonstruowany przez niewolników. Rozpoznawalny jak butelka coca-coli. Grzechy ojców... Stary dobry samochodzik.

Kiedy Madeleine dociera do domu, czuje się dobrze. Wie, że już nigdy nie będzie taka jak przedtem. Nic już nigdy nie będzie w stanie wystraszyć z niej życia. Jakby przeżyła tragiczny wypadek. Katastrofę lotniczą. Coś strasznego.

*W tejsze się chwili modlić mogłem
I z mej się szyi zsunął
O, teraz wolnej już! - albatros!
I w toń jak ołów runął.*

EFEKT MOTYLA

SPRAWA TOCZĄCA SIĘ PRZED NAJWYŻSZYM SĄDEM ONTARIO

KRÓLOWA

przeciwko

RICHARDOWI PLYMOUTHOWI FROELICHOWI

(oskarżenie o morderstwo)

Zapis zeznań świadków

Autorytet słowa drukowanego oficjalnego dokumentu posiada dziwną moc transformacji. *Oskarżony*. Ricky. *Ofiara*. Claire. Kopalnia informacji drobiazgowo definiujących miejsce *rozwidlenia dróg*, całkowicie wyprany z kolorów wyraz *wierzba*, szokująca precyzja opisów miejsca, gdzie znaleziono ciało, i pozycji, w jakiej leżało.

...ubrane w niebieską sukienkę...

Całe szczęście, że dziś jest środa. Shelly jest przekonana, że Madeleine jeszcze nie wróciła do domu. W pewnym sensie to prawda. Nad ranem Madeleine przespała się godzinę na dywanie; Christine jednak wróciła po łóżko.

Ciało było ułożone na plecach, z dolnymi kończynami, nogami, rozchylonymi. Pod drzewem, a dokładnie pod wiązem.

Madeleine ma na głowie czapkę z daszkiem, która chroni jej oczy przed blaskiem jarzeńówek oświetlających pozbawioną okien czytelną Archiwum Prowincji Ontario. Zaledwie parę kroków od YMCA; już dawno mogła tu przyjść.

Na szyi pacjenta widoczne były obrażenia...

Pacjenta? Madeleine wertuje zapisy zeznań: patologa, policji, doktora Ridelle'a - ojca Lisy; 1858-stronicową listę tego, co ustalili dorośli. Rozmiar godny majestatu prawa.

U dziewczynki w tym wieku wejście do pochwy zarośnięte jest błoną dziewiczą, co sprawia, że nie można wsunąć do środka nawet małego palca, a tej błony nie było, została całkowicie usunięta...

Siedzi przy jednym z kilku długich drewnianych stołów. Poza nią jest tu jeszcze kilku wymęczonych, bladych amatorów starych dokumentów, ślęczących nad rysunkami drzew genealogicznych i planami kanalizacji miejskiej. Cierpiący na bezsenność, łączcie się!

...skupiska larw w tym punkcie...

Przez całe lata towarzyszył jej wciąż ten sam, dziecięcy obraz przedstawiający Claire spokojnie leżącą w trawie, ze smutną, martwą twarzą. Dziecko porzucone w lesie, które jaskółki otulają kołderką z liści i dzikiego kwiecia.

...silne zasinienie twarzy i szyi, zaawansowana sinica paznokci i koniuszków palców; język wysunięty. . .

Teraz ten obraz się zmienia. W końcu dorośleje.

...pośmiertna szklistość oczu uniemożliwiająca określenie koloru tęczówek i wielkości źrenic...

Przyszła tu dziś, ponieważ jutro nie będzie na to czasu: czeka ją cotygodniowy czwartkowy maraton Telewizji po Lekcjach. Archiwum zamykają o czwartej, będzie miała cały wieczór na pisanie. Przyszła tu, ponieważ nie może nikomu powiedzieć o tym, co zrobił jej ojciec.

...na nogach spora ilość kwasu moczowego, którego nie znaleziono na majtkach, co wskazywałoby...

Przyszła tu, żeby „znieść widok”.

...uszkodzenia mogły powstać wskutek rozszerzenia tego obszaru dużym przedmiotem...

Przyszła tu, ponieważ nie może iść do przodu. Musi się cofnąć w przeszłość.

...a całe wejście do pochwy znacznie rozszerzone .

P: Słucham?

O: Znacznie rozszerzone.

A tam, w przeszłości, musi wysłuchać tego, co mówią dzieci.

...ciało było przykryte trzciniami, czy raczej sitowiem...

Mojżesz wśród sitowia. Myśmy to zielsko nazywali rogoża. Dlaczego przyszedł mi do głowy Mojżesz?

P: Czy twarz była widoczna?

O: Twarz była zasłonięta.

P: Czym?

O: Majtkami.

P: Bawełnianymi majtkami?

O: Tak.

P: Czy to te majtki?

Sara Nolan narysowała obrazek, który zatytułowała *Mojżesz wśród rogoży*. Pani Lang taktownie ją poprawiła.

O: Tak.

Ja narysowałam Batmana z Robinem. Wyróżnienie, złotą gwiazdkę, dostała wtedy za swoją pracę Grace Novotny. Co ona narysowała? Madeleine widzi tył głowy Grace: krzywy przedziałek, niestarannie splecione warkoczyki, związane zwykłą, czarną gumką. Próbuje zajrzeć jej przez ramię, ale widzi tylko zasłaniającą kartkę dłonie. Zabandażowane. Jak można dziecku coś takiego zrobić? Grace zawzięcie skrobie kredką po papierze, koloruje, koloruje, koloruje...

Z gramofonu dochodziły dźwięki muzyki: orkiestra Mantovaniego grała *A Summer*

Place. Nigdy nie mieliśmy plastyki z panią Lang. Według planu plastyka powinna być w piątek.

Niektóre rzeczy trudno jest dostrzec, patrząc na nie wprost. Można je zauważyć, jedynie odwracając wzrok, zahaczając kątem oka. Tak jak fosforescencję w jaskini. Madeleine próbuje odwrócić wzrok, ale przez wielkie klasowe okna wpada zbyt wiele światła. Mruży oczy, ale to nie pomaga; słońce wciąż jasno świeci, jaskrawożółte, roześmiane i pulsujące, rozmazujące obraz Grace i jej dzieła. Madeleine zaciska powieki, lecz żółte koło nie znika. A przecież, o ile sobie przypomina, tamtego dnia padał deszcz. Wraca myślami do własnego rysunku - *Dzisiaj Wielki Czwartek, Batmanie* - i uświadamia sobie ze zgrozą, że to wszystko wydarzyło się następnego dnia po zniknięciu Claire.

Niektóre wspomnienia przez długie lata tkwią zamknięte w pudełkach, opisanych niewprawną dziecięcą ręką: „Dzień, w którym zaginęła Claire”. I pozostają tak zatytułowane, nawet wtedy, gdy dziecko jest już dorosłe. Aż pewnego dnia ów dorosły podnosi zakurzoną pokrywkę, wdycha stęchły zapach roztaczany przez zawartość pudełka, i stary opis zastępuje nowym: „Dzień, w którym zamordowano Claire”.

DOWÓD RZECZOWY NR 49: Bawełniane majtki

Rozhuśtały się bardzo mocno: czerwone kalosze zsunęły się z nóg Madeleine i spadły na ziemię; Claire przez chwilę było widać majtki. *Widziałem Francję, widziałem Chiny, widziałem majtki pewnej dziewczyny*. Majtki Claire, ze wzorkiem w żółte motyle. Madeleine podnosi oczy znad zadrukowanej strony, nagle zaschło jej w gardle. Czy jest tu gdzieś woda? *Archiwum*. Już samo to słowo jest pustynią.

SĘDZIA: Jak się nazywasz, moje dziecko?

O: Madeleine McCarthy.

Nie pamiętam, w co się ubrałam tamtego dnia. Było bardzo gorąco.

P: Nie musisz aż tak krzyczeć, Madeleine.

O: Przepraszam.

P: Nic nie szkodzi.

Przypomina sobie ojca siedzącego pośrodku jednego z tylnych rzędów, dodającego jej otuchy uniesionym w górę kciukiem. Widzi go ubranego w granatowy mundur, choć wie, że musiał mieć wtedy na sobie letni mundur khaki. Był czerwiec, tak jak teraz. Obraz

najważniejszych, najbliższych nam ludzi, jaki zwykle przywołujemy w pamięci, jest niczym niezniszczalna postać z kreskówki: zawsze to samo ubranie, zawsze ten sam, charakterystyczny wygląd. Nie da się go spalić, rozjechać samochodem, wysadzić w powietrze, utopić ani rozpruć kulami z karabinu maszynowego.

P: Co to znaczy złożyć przysięgę, Madeleine?

O: To znaczy, że przysięga się mówić prawdę.

Treść zeznań w stanie surowym. Ogólnikowe didaskalia i partie dialogowe bez podawanych w nawiasach informacji dotyczących stanu emocjonalnego mówiących. Ale ich emocje i tak kipią między wierszami. Na jednej ze stron tego scenariusza Madeleine widzi siebie, wciąż tak samo bezbronną. Nadzianą na szpilkę, jak motyl w muzealnej gablocie. Niezmiennie dziewięcioletnią.

P: ...kto cię uczy?

O: W zeszłym roku moim nauczycielem był pan March.

P: Lubiałś swojego nauczyciela?

O: Nie.

Czytanie tych zapisów jest jak śledzenie serii przerażających wydarzeń w filmie grozy. Nie wchodź teraz do domu! Zajrzyj na tylne siedzenie samochodu! *Zapytaj mnie o to!* Dlaczego nikt nie zadał mi właściwego pytania?

Aha, miałam wtedy sukienkę bez rękawów, tę z kołnierzykiem a la Piotruś Pan. I przepaskę do kompletu.

P: Co przedstawia ta broszka, którą sobie przypięłaś?

O. Latarnię morską.

To ta broszka, której dotykał pan March.

P: Z jakich stron pochodzi ta broszka?

O: Z Akadii, moja mama jest Akadyjką. Mówimy po francusku.

Oficer sądowy: Połóż prawą rękę na Biblii.

Ale scenariusza nie można już poprawić; nie da się zmienić tego, co się stało. Tego, co się rozgrywa w czterech kartonowych pudłach składowanych w centrum Toronto od dwudziestu trzech lat i co nadal będzie się rozgrywać. Przedstawienie nieschodzące z afisza.

O: Co jest w środku tego słoika?

P: Proszę z powrotem zakryć ten stół i nie zdejmować zakrycia.

Stoliczku, zakryj się. Madeleine wertuje wykaz dowodów rzeczowych, żeby w końcu dowiedzieć się, co było w słoiku. Żaden sędzia już jej przed tym nie powstrzyma; jest dorosła, sama decyduje, co jest dla niej zbyt potworne, a co nie.

DOWÓD RZECZOWY NR 21: Pojemnik z zawartością żołądka

„Chcecie trochę?” - spytała Claire. I podzieliła się z Madeleine i Colleen swą czekoladową babeczką, plastrami jabłka i małym okrągłym serkiem w czerwonym woskowym opakowaniu. Kawałkami tego wosku Madeleine okleiła sobie potem usta, udając wyszminekowaną damę, a Claire dławiała się ze śmiechu. Stanowiła doskonałą publiczność. Ostatni posiłek Claire. *Zawartość żołądka.* Jeden z długiej listy eksponatów.

DOWÓD RZECZOWY NR 22: Sitowie przekazane kornerowi

DOWÓD RZECZOWY NR 23: Plastikowe pudełko na drugie śniadanie

Jakże często pomija się różne istotne informacje: to nie było po prostu pudełko na drugie śniadanie, to było pudełko z podobiznami Frankiego i Annette, szczególne i bezcenne; marzenie wielu dziewczynek...

DOWÓD RZECZOWY NR 24: Różowy rower

To samo, znów pominięto najważniejsze znaki szczególne: dwie błyszczące różowe wstęgi. Chociaż kiedy Madeleine widziała ten rower w bagażniku policyjnego samochodu, wstęga była tylko jedna. To dlatego Colleen i ja poszliśmy wtedy na łąkę, na miejsce z udeptaną trawą; chcieliśmy znaleźć drugą wstęgę. Ale, jak się później okazało, miała ją Grace.

Grace, w przemokniętej sukience, bez peleryny przeciwdeszczowej, jedzie na swoim poobijanym, zbyt dużym dla niej rowerze, z postrzępioną różową wstęgą przy kierownicy. Podnosi się i opada ciężko na twarde siodełko, gładkie jak czaszka byka; *to nie boli.*

Hej, Grace, skąd masz tę wstęgę?

Dostałam.

Od kogo?

Od kogoś.

Oddech Madeleine staje się głośny i szybki jak dyszenie psa. Grace dostała wstęgę od pana Marcha. Trofeum, wyrwane z korzeniami z różowego roweru Claire. Nagroda dla wiernego sługi.

Madeleine z trudem przełyka ślinę, jej gardło jest całkiem wyschnięte. Rozgląda się po sali; nikt niczego nie zauważył. Dlaczego mieliby zauważyć? Młoda ciemnowłosa kobieta, siedząca spokojnie przy jednym ze stolików, przysłonięta czterema pudłami jakichś dokumentów, nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania.

A ona właśnie coś znalazła. Wie już, co się stało ze wstęgą, i powie o tym policji. Znajdą Grace Novotny i dowiedzą się, od kogo ją dostała. Nikt nie musi się dowiedzieć, że lotnikiem, który wtedy machał, był Jack...

Wraca do czytania indeksu:

DOWÓD RZECZOWY NR 25: Srebrna bransoletka

To nie była zwyczajna srebrna bransoletka; Claire miała przypięte do niej wisiorki: *Pannę Mgiel*, serduszek, filiżankę i wiele innych. Na jednym z nich wygrawerowane było kursywą jej imię: *Claire*. Madeleine zastanawia się, czy McCarrollowie zatrzymali bransoletkę. Zastanawia się, czy mieli jeszcze potem drugie dziecko. Przypuszcza, że woleliby nie dowiadywać się prawdy, nie przeżywać raz jeszcze tego koszmaru.

DOWÓD RZECZOWY NR 26: Zdjęcie zwłok Claire McCarroll

DOWÓD RZECZOWY NR 27: Pojemnik z larwami

DOWÓD RZECZOWY NR 28: Sitowie zabezpieczone przez posterunkowego Lonergana

Możesz wśród rogoży. Madeleine wertuje zapisy zeznań świadków.

SĘDZIA: Chodzisz do kościoła, Saro?

O: Tak, Wysoki Sądzie. I do szkółki niedzielnej

P: Czy wiesz, co to znaczy mówić prawdę?

O: Tak, Wysoki Sądzie.

P: Należysz do zuchów?

O: Właściwie...

Madeleine słyszy chichot Sary, mimo że sądowy stenograf niczego takiego nie odnotował.

O: ...jestem już harcerką. Zdobyłam nawet sprawność opiekunki dziecięcej.

Kłamiesz, Siaro! Dlaczego nikt tego nie sprawdził?

P: Ile masz lat, Saro?

O: Właśnie skończyłam dziesięć.

P: Nie jestem pewien, czy mogę zaprzysiąc takie dziecko. Rozumiesz, na czym polega istota złożenia przysięgi?

O: To oznacza, że się przysięga na Biblię, że się powie sądowi prawdę i nie będzie się kłamać.

P: A co się dzieje, jeśli ktoś jednak skłamie?

O: Zostaje ukarany.

P: Dobrze. Proszę zaprzysiąc świadka.

Madeleine zastanawia się, jak ona, jako dorosła, odebrałaby dziesięcioletnią Sarę? Dałaby się jej zwieść, tak jak inni? Nabralaby się na jej słodkie loczki, niebieskie lalczyne oczęta i tę jej nieco staroświecką, usypiającą czujność ogładę?

SARA NOLAN, zeznanie pod przysięgą:

Przesłuchanie świadka przez prokuratora Frasera:

FRASER: Mieszkasz z rodzicami w Stałych Kwaterach Rodzinnych Sił Powietrznych w Centralii, czy tak?

O: Tak, proszę pana.

Pan Fraser, królewski prokurator w połyskującej czarnej todze.

P: I wiosną chodziłaś do czwartej klasy, tej samej, co Claire McCarroll?

O: Tak

P: Przyjaźniłaś się z Claire?

O: Tak.

Kolejne kłamstwo.

P: Znałaś Richarda Froelicha, Saro?

O: Ricky'ego?

P: Tak, Ricky'ego.

O: Znałam.

P: A czy rozmawiałaś z Rickym w środę, 10 kwietnia?

O: Tak.

P: Mogłabyś powiedzieć, o czym z nim rozmawiałaś?

O: Ricky zapytał: „Pójdiesz ze mną do Rock Bass? Wiem, gdzie jest fajne ptasie gniazdo”.

P: I co mu odpowiedziałaś, Saro?

O: No więc...

Madeleine znów słyszy jej chichot i ten ugrzeczniony, przemądrzały ton.

...tego dnia wieczorem ja i inne dziewczynki z drużyny zuchowej miałyśmy uroczystą zbiórkę. Claire też, chociaż ona nie miała jeszcze być pasowana....

SĘDZIA: Przerwij na chwilę. Sędziowie przysięgli, zarówno pan Fraser, jak i jeden ze świadków - drużynowa zuchów, pani Lang - wyjaśniali już wcześniej zwyczaje tej organizacji. Jeśli coś będzie dla was niezrozumiałe, proszę pytać. Panie Fraser, proszę kontynuować przesłuchanie.

Dziwnie jest wyobrazić sobie dorosłych ludzi - dorosłych z początku lat sześćdziesiątych - zgłębiających zawilosci zwyczajów i hierarchii zuchów.

P: Czy był jeszcze jakiś inny powód, dla którego mu odmówiłaś?

SĘDZIA: Czy to kiwnięcie głową oznacza „tak”?

O: Tak, Wysoki Sądzie.

FRASER: Co było tym powodem, Saro?

SĘDZIA: Chodzi o powód odrzucenia propozycji podejrzanego?

FRASER: Tak, Wysoki Sądzie.

SĘDZIA: Proszę dalej, panie Fraser.

P: No więc, jaki miałaś inny powód, żeby odmówić Ricky'emu?

O: Odmówiłam mu, bo jestem jeszcze za mała.

P: Na co jesteś za mała, Saro?

O: Żeby umawiać się na randki.

P: Dlaczego uznałaś, że Ricky zaprasza cię na randkę?

O: Bo powiedział: „Chodźmy na randkę”.

Śnij dalej, Siaro.

P: Powiedział to 10 kwietnia?

O: Tak. I wiele razy wcześniej.

P: Gdzie rozmawialiście 10 kwietnia?

O: Przed jego domem. Ricky podlewał trawnik.

P: Co dokładnie powiedział tego dnia?

O: Powiedział: „Hej, Sara, chcesz się napić? i zrobił nieprzyzwoity gest.

P: Jaki gest?

O: On... udawał, że robi... no wie pan, co.

P: Co?

O: To, co się robi w toalecie.

P: Tak?

O: Wężem do podlewania trawnika.

P: Co się stało potem?

O: Powiedziałam: „Nie mam ochoty”.

P: I co on na to?

O: Zapytał: „Chciałabyś pójść ze mną na randkę? Do Rock Bass? Wiem, gdzie jest ptasie gniazdo”.

Przecież to powiedziała Claire. Nie, ona powiedziała: „Poszukamy gniazda”. Madeleine i Colleen rozmawiały na boisku, Claire podeszła do nich, z kwiatkiem jaskra w ręce. W szkole trwała właśnie próba uczniowskiej orkiestry. Przez uchylone okna sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej imienia J.A.D. McCurdy’ego przedzierała się powtarzana do znudzenia piosenka - *To świat pełen łez, i świat pełen śmiechu*, z towarzyszącymi dźwiękami pianina, na którym pan March wystukiwał rytm. Sara i Grace kręciły się w

poblizu, jak zwykle gotowe wściubić nos w nie swoje sprawy. Musiały podsłuchać, dokąd i po co wybiera się Claire. No i z kim. Claire wymyśliła sobie, że wybierze się tam z Rickym.

P: I ty mu odmówiłaś?

O: Powiedziałam: „Musiałabym iść do domu po płaszcz przeciwdeszczowy”.

Biedna Sara. Żałośnie samotna, opuszczona przez wszystkich z wyjątkiem Grace i pana Marcha. Czy to od niej nauczyciel dowiedział się o planach Claire? Czarci zwiadowca pana Marcha pobiegł do niego i wszystko mu opowiedział.

P: Dziękuję, Saro.

O: Proszę bardzo.

Lekcja pokazowa, uczniowie przedstawiają swoje hobby. „Czasami je zbieram” - powiedziała Claire, tuląc w dłoniach lekkie jak piórko jajko rudzika. Madeleine patrzy na swoją dłoń. Rozciera ją. Widać na niej wąską jasną bliznę, ale nie tylko. Jest na niej coś jeszcze: małe kawałki skorupki jajka. Błękitny. Nie, nie ma go tam, jeszcze nie, Madeleine właśnie wyciąga rękę, żeby go wyłuskać z płataniny długiej zeszłorocznej trawy, ale Colleen chwytą ją za nadgarstek i wpycha do ręki nóż: *Tnij*.

To był tylko kawałek błękitnej skorupki, ale zabranie czegokolwiek z miejsca zbrodni mogłoby przynieść jej pecha. Miejsce zbrodni, tak, właśnie tam go znalazła. Tuż obok wydeptanego w trawie koła. Zakłętęgo kręgu. Czy była to skorupka jajka Claire? Tego, które znalazła tamtego dnia?

DOWÓD RZECZOWY NR 50: Oświadczenie Grace Novotny .

Co by było, gdyby Madeleine przyjęła propozycję Claire i poszła do Rock Bass razem z nią? Może Claire nadal by żyła? A może obie by zginęły?

SĘDZIA: Zapoznał się pan z tym oświadczeniem, panie Waller?

WALLER: Otrzymałem kopię oświadczenia Grace Novotny od pana Frasera dopiero dziś rano. Wcześniej nic o nim nie wiedziałem. A o powołaniu nowego świadka oskarżenia, Sary Nolan, zostałem poinformowany dopiero w zeszłym tygodniu...

SĘDZIA: Rozmawialiśmy już o tym, panie Waller.

Pan Waller. Grzeczny, skazany na przegraną mężczyzna w połyskującej jedwabnej todze. obrońca Ricky'ego.

WALLER: Wysoki Sądzie, ośmielam się zakwestionować prawo oskarżyciela do ukrywania świadka...

SĘDZIA: Co pan na to, panie Fraser?

FRASER: Wysoki Sądzie, obrona nie może zakwestionować tego prawa, ponieważ zeznanie Sary Nolan nie wniosło do sprawy nic, co mogłoby przemawiać na niekorzyść oskarżonego.

WALLER: Z największym szacunkiem, Wysoki Sądzie, chciałbym zwrócić uwagę na szkodliwe skutki, jakie może wywołać postępowanie oskarżyciela, w postaci możliwości zarzucenia obecnemu procesowi ewentualnych błędów proceduralnych...

SĘDZIA: Panie Waller, proszę pozostawić ocenę tej kwestii Sądowi.

WALLER: Oczywiście, Wysoki Sądzie, jednak aby oszczędzić wysokich kosztów apelacji...

SĘDZIA: Jeśli chodzi o zasadę jawności, Sąd nie dopatrył się w postępowaniu Królewskiej Prokuratury pogwałcenia litery prawa.

WALLER: Ponieważ, Wysoki Sądzie, pogwałcona tu została nie litera, lecz duch prawa.

SĘDZIA: Panowie przysięgli, proszę na kilka minut opuścić salę.

...Członkowie Ławy Przysięgłych wychodzą z sali posiedzeń.

PODCZAS NIEOBECNOŚCI ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH...

Mnóstwo stron zawierających argumenty natury prawnej. Wiele przykładów przytaczanych przez obie strony, z wirtuozerią godną uczestników quizu telewizyjnego. Inspektor Bradley, który przesłuchiwał Grace w szkole, sporządził protokół zawierający jej oświadczenie. Obrona domaga się niedopuszczenia protokołu jako dowodu. Oskarżenie utrzymuje, że dokument ten jest spójny z tym, co w procesie zeznała Sara Nolan, i dlatego powinien zostać odczytany przed sądem. Cały problem w tym, że Grace nie może osobiście potwierdzić swych zeznań. Jej matka zabrała młodsze dzieci i odeszła od męża. Nie wiadomo, gdzie się obecnie znajdują.

Treść dokumentu trudno właściwie uznać za oświadczenie. W istocie jest to ciąg posklejanych ze sobą cytatów, odpowiedzi, jakich Grace udzieliła na pytania policjanta, skrętnie przez niego zanotowanych w notesie. Sędzia decyduje w końcu, że inspektor Bradley będzie mógł odczytać protokół, ale - czego domagała się obrona - pod warunkiem, że dokładnie odda przebieg przeprowadzonej rozmowy, informując, jak brzmiało każde z pytań i jakie „towarzyszyły mu okoliczności”, oraz cytując dosłownie odpowiedzi, na podstawie których następnie zredagował oświadczenie. Zarządzono krótką przerwę, żeby inspektor mógł przejrzeć zapiski swoje i posterunkowego Lonergana, i z treści spisane po rozmowie z Grace „oświadczenia” odtworzyć faktyczny przebieg jej przesłuchania.

PO POWROCIE ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH...

Chociaż inspektor Bradley zostanie przed odczytaniem oświadczenia Grace zaprzysiężony, sąd nie może potraktować treści tego dokumentu jak zeznania złożonego pod przysięgą. Sędzia prowadzący zwraca się do sędziów przysięgłych, aby wysilili umysł i wysłuchali oświadczenia w taki sposób, by nie przywiązywać do niego zbyt wielkiej wagi.

FRASER: Inspektorze Bradley, jest pan oficerem śledczym Policji Prowincji Ontario?

O: Tak.

Inspektor należał do ludzi, których sam wyraz twarzy sprawiał, że Madeleine, już od momentu wejścia do sali, czuła się jak kłamczucha. Bez względu na to, co by mu powiedziała, i tak czułaby się winna. On wiedział, że Madeleine nie mówi prawdy. Tylko dlaczego nie zorientował się, że Sara kłamie? I Grace?

P: Inspektorze Bradley, proszę przeczytać zapis pańskiej rozmowy z Grace Novotny.

O: Powiedziałem: „Znałaś Claire McCarroll, prawda?”. Pytanie to wywołało w rozmówcy objawy silnego niepokoju, w postaci kołysania się, westchnień i jęków.

Twarz Grace, wykrzywiona żalnym grymasem, i wzrok beładnie błądzący po klasie...

Zapytałem ją: „Bawiłaś się z Claire w zeszłą środę?”. W odpowiedzi dziewczynka wybuchła płaczem, głośno zawodząc.

...charakterystyczny dla Grace dźwięk, rodzący się w jej krtani, coraz wyższy, coraz trudniejszy do zlokalizowania, narastający jak wycie syreny przeciwlotniczej.

...podałem jej chusteczkę i próbowałem uspokoić.

Grace nie da się uspokoić.

Zapytałem, czy widziała Claire tego dnia na placu szkolnym, a ona odpowiedziała kiwnięciem głowy: „tak”. Zapytałem, czy rozmawiała z Claire, na co ona wzruszyła ramionami. Zapytałem, czy Claire ją zagadnęła, a ona odpowiedziała: „tak”. Zapytałem, co powiedziała jej Claire, odpowiedziała: „Spytała, czy pójde z nią do Rock Bass”.

To na pewno Sara kazała jej tak powiedzieć.

Na moje pytanie, jak zareagowała na propozycję Claire, dziewczynka odpowiedziała: „Nie chciałam iść do Rock Bass”. Spytałem: „Czy Claire mówiła, z kim wybiera się do Rock Bass?”. Dziewczynka odpowiedziała: „Tak. Z Rickym”.

Madeleine słyszy jednostajny, monotony głos inspektora Bradley’a, idealnie pasujący do widoku równo zadrukowanej stronicy. Ale spomiędzy linijek tekstu przebija także głos Grace. Madeleine widzi ją, jej potargane warkoczyki, niepewny uśmiech, spękane wargi, czuje też jej zapach: woń starych sików i kleju roślinnego...

„Czy Ricky dotykał cię tak, jakbyś była jego dziewczyną?”. Odpowiedziała: „Tak, czasami robimy ćwiczenia”.

Oto co przydarzyło się Ricky'emu - Madeleine czuje, że wnętrzości się w niej przewracają - Sara z Grace mu się przydarzyły. I pan March, i Jack McCarthy. Jak to się mogło stać, że nazwiska tych dwóch mężczyzn zostały ze sobą skojarzone?

„Mostki. I ugniatanie”, powiedziała.

I co pozostało ze skleconego przez inspektora „oświadczenia”? Ile razy musiał popychać Grace do przodu, by kroczek po kroczeniu przebrnęła do końca przesłuchania? Madeleine dobrze wie, że Grace nigdy i nigdzie nie dotarłaby o własnych siłach.

Zapytałem: „Ugniatanie czego?”. Odpowiedziała: „Jego mięśnia. On tak na to mówi, ale tak naprawdę to jego narząd”.

Więc Grace miała na tyle odwagi, żeby to powiedzieć. W końcu to była prawda: zakamuflowana, wyrwana z kontekstu, ale jednak prawda. Dlaczego nikt z przesłuchujących nie potrafił jej właściwie odczytać? Jak głośno musiałyby ją wyszlochać?

„To jeszcze nie wszystko” - powiedziała dziewczynka. „Ricky dusi”.

No to koniec.

Zapytałem: „Czy wspominałaś komuś o tym, co ci robił Ricky?”. „Sarze” - odparła.

W końcu miała tylko ją. I vice versa.

Następnie dziewczynka dodała: „Dał mi jajko”. „Kiedy?” - zapytałem. „Tego dnia” - odpowiedziała. „Jakie jajko? Gotowane?”. Na co ona powiedziała: „Nie, niebieskie”.

Madeleine uświadamia sobie, że zapomniała o oddychaniu.

„Co to za jajko?” - zapytałem. „Specjalne” - odparła. „Wielkanocne jajko?”
Dziewczynka przytaknęła ruchem głowy, po czym dodała: „Powiedział, że wie, gdzie jest ich więcej”.

Jajko rudzika, nie wielkanocne. To właśnie dzieci mają na myśli, kiedy mówią „niebieskie jajko”. Dlaczego Bradley o tym nie wiedział? Dlaczego nie zapytał kogoś bardziej zorientowanego - innego dziecka? Dlaczego nie zapytał Madeleine?

Nadchodziła Wielkanoc. Ściany klasy, w której odbywało się przesłuchanie, obwieszane były rysunkami o świątecznej tematyce. To całkiem normalne, że wyciągnął taki wniosek...

„To było czekoladowe jajko?” - zapytałem. „Tak” - odpowiedziała.

I znów prawda, choć połowiczna. Pan March częstował uczniów czekoladowymi jajkami. *Błękitna skorupka w trawie...* Wystarczyło, żeby ktoś powiedział: „Wiem, gdzie jest

gniazdo rudzika", a Claire gotowa byłaby za nim pójść. I to właśnie, według Sary, powiedział Ricky. Możliwe, że te słowa rzeczywiście padły. Tylko z czyich ust? Czy Sara je słyszała? A Grace?

Madeleine wpatruje się w zadrukowaną stronicę, mrużąc oczy. Wtedy, na placu szkolnym, Claire oznajmiła im jedynie, że zamierza poszukać gniazda. Nie mówiła, że chodzi o gniazdo rudzika. Ale skorupka znaleziona przez Madeleine w trawie była właśnie błękitną skorupką jajka rudzika... Dlaczego Grace pytana o tamten dzień wspomniała o niebieskim jajku? *Madeleine wyciąga rękę po bladoniebieski okruch jaśniejący w trawie.* Czy była to skorupka jajka Claire? Tego, które ją tam zwabiło? Skąd Grace mogła o tym wiedzieć? Mój Boże... co ona zobaczyła?

Madeleine czuje, jak po plecach przebiegają jej ciarki; biegną z dołu do góry, wzdłuż kręgosłupa, przez kark, zahaczają o oczy, które zaczynają piec i zachodzą łzami, po czym wydostają się przez usta łapczywie łapiące powietrze; Madeleine gwałtownie przerzuca kartki, wracając do początku czwartego tomu, do indeksu dowodów rzeczowych - przecież tego dnia wśród rysunków na klasowej wystawie wisiała również praca Grace, a było to dzień po zamordowaniu Claire. Madeleine staje przed oczami obrazek, który Grace rysowała z takim przejęciem, odznaczony złotą gwiazdką i wiszący na honorowym miejscu pośród przechylonych zajączków wielkanocnych i jaskrawych pisanek. Piękny obrazek, istne dzieło, które Grace wykonała tego dnia rękami zawiniętymi w brudne bandaż: wspaniała, promienna chmara żółtych motyli.

DOWÓD RZECZOWY NR 49: Bawełniane majtki ze wzorem w żółte ćmy

To były motyle, nie ćmy. Tylko dorosły mógł je uznać za ćmy. *A ty za co je uznałaś, Grace? Łzy kapiące z oczu Madeleine z pewnością przyspieszą proces niszczenia archiwalnych dokumentów. To były żółte motyle, nie ćmy.* Dlaczego nikt się nie zapytał, nie upewnił? Mojesz ukrywał się wśród rogoży, nie w trzcinach ani nawet nie w sitowiu, bo Sara również tam była, na polu w pobliżu Rock Bass. Obie dziewczynki widziały, co morderca zrobił Claire, zanim okrył jej ciało tym, co dorośli nazywają sitowiem, oraz fioletowymi polnymi kwiatami. Obie dziewczynki widziały, jak położył jej majtki na twarzy, zsiniałej w wyniku uduszenia. O Boże! Przez co musiały przejść te dzieci? *Przez co muszą przechodzić dzieci?*

Madeleine, zasłonięta pudłami, opiera głowę o blat stołu.

W ottawskim apartamencie Mimi wydobywa tabletki z przegródki plastikowego pojemnika, opatrzonej napisem *czwartek po południu*. Jeśli ty lub ktoś z twoich bliskich musi regularnie brać leki, dni tygodnia z pewnością nigdy ci się nie pomylą.

Nalewa wody do szklanki i przez okno nad kuchennym zlewem patrzy na zachód słońca. Ma pięćdziesiąt osiem lat. Cieszy się doskonałym zdrowiem i choć pali papierosy, na pewno jeszcze trochę pożyje na tym świecie.

Nie chce wybierać się w wymarzoną morską podróż w towarzystwie miłego mężczyzny, którego być może pozna za kilka lat. Chce się w nią wybrać ze swoim mężem.

Stawia szklankę na stoliku przy aparacie tlenowym, obok kładzie tabletki. Jack śpi dalej. Mimi wyłącza telewizor, Jack budzi się. - Odpoczywam tylko - mówi i puszcza do niej oko.

Kobiety żyją dłużej. Mimi zawsze wiedziała, że kiedyś będzie musiała odegrać czekającą ją rolę, ale nie sądziła, że nastąpi to tak szybko. Niedawno Elaine Ridelle przysłała jej pocztówkę. Napisała, że po przejściu męża na emeryturę osiedlili się na Zachodnim Wybrzeżu, w Wiktorii; nadal razem ze Steve'em grają w golfa, a zeszłego lata odbyli podróż statkiem wokół Alaski. Elaine choruje na cukrzycę, ale w końcu ma męża lekarza: „*Teraz ja jestem jego hobby!*”.

Oczy Jacka są wodniste od przyjmowanych leków. Wrzuca tabletki do ust, jakby zajadał orzeszki ziemne, i popija wodą. Przełyka je z odchyłoną głową, przy czym, tak jak robią dzieci, unosi brwi i otwiera szerzej oczy. - *Merci*.

Kocham cię, Jack.

Przez drzwi prowadzące na patio wlewa się gorąca złota poświata. Pamiętasz wiosenne wieczory na rynku w Baden-Baden? Brukowany deptak, róże, szum fontanny? Ty, ja i dzieci wychodziliśmy popatrzeć na bogatych ludzi, a kończyło się na tym, że wszyscy patrzyli na nas. Co się z nami stało?

Jack sięga po pilota i włącza wiadomości.

Olivia czeka na Madeleine na schodkach przed jej domem. Obok niej siedzi, głośno dysząc, rudy krótkowłosy pies o potężnej kłacie i głowie jak hełm niemieckiego żołnierza z drugiej wojny światowej.

- Czyj to pies?

- Mój, ale ja dziś wyjeżdżam.

- Myślałam, że jedziesz dopiero jutro. Chciałam cię odwiedzić na lotnisko. Jeśli wstrzymasz się do jutra, to...

- Nie przejmuj się, zamówiłam taksówkę.

- No to ją odwołasz, a ja...

- Nie, siadaj.

- To było do psa czy do mnie?

Olivia śmieje się i ciągnie ją za rękę, żeby usiadła na schodku obok niej. - To właśnie jest Winnie. - Winnie została niedawno zabrana ze schroniska.

- I, jak widać, jest pitbullem - mówi Madeleine.

- Winnifreda jest suką rasy amerykański staffordshire terier.

- Co nie jest niczym innym, jak tylko bardziej wyszukany określeniem pitbulla.

- Praktycznie rzecz biorąc, masz rację - mówi Olivia i całuje ją. - *Je t'aime*.

Pocałunek Olivii działa jak lampka kontrolna. Dzięki niemu Madeleine wie, że mimo wszystko jej układy scalone działają bez zarzutu. - No to zostań u mnie na kolacji; upieczemy kiełbaski, wypijemy butelkę manischewitza, a potem pójdziemy do łóżka. Co ty na to?

- Nie mogę, przecież wiesz, że dostałam stypendium na ten wyjazd.

- Możesz zwrócić forszę.

- Chcę jechać.

Madeleine poklepuje psa po głowie, a on w odpowiedzi napada na nią jęzorem, silnym jak u wołu. - Po co przygarniałaś psa, skoro od razu się go pozbywasz?

- Nie pozbywam się Winnie. Daję ci ją do pilnowania.

- Chcesz, żebym jej pilnowała przez całe trzy miesiące?

- Nie, to ona będzie pilnować ciebie.

Madeleine patrzy na psa, na jego potężne szczęki z zębami ostrymi jak u rekina, gotowymi w każdej chwili zacisnąć się z siłą równą naciskowi trzystu pięćdziesięciu kilogramów.

- Ona uwielbia dzieci - mówi Olivia.

- Ja nie mam dzieci.

Olivia uśmiecha się, unosząc na moment brwi; ten gest kogoś Madeleine przypomina.

- Co ona jada? Gliniarzy? Handlarzy narkotyków?

- Musiałam ją przygarnąć - mówi Olivia. - Była w schronisku już sześć miesięcy.

- Naprawdę? Dlaczego tak długo?

- Nikt jej nie chciał. To dorosły pies. I do tego pitbull.

- Jest milutka.

Olivia uśmiecha się. - Wiem. - Wtyka koniec smyczy w dłoń Madeleine, całuje ją i wsiada do czekającej taksówki.

W mieszkaniu w Ottawie Mimi pyta: - Jack, chcesz się napić czegoś ciepłego? - i wyłącza telewizor.

Madeleine i Winnie patrzą, jak taksówka odjeżdża i znika za rogiem. Madeleine z oporem zbiera się do wstania, gdy zauważa stojącą na schodkach torbę ściągniętą sznurkiem. Znajduje w niej dwie miski, małe reklamowe opakowanie psiej karmy i grubą czerwoną świecę z doczepioną karteczką zwiniętą w rulon. Wkłada liścik do kieszeni - przeczyta go później - i razem z psem wchodzi do mieszkania, czując się jak wybraniec bogów. Pośrodku pustego salonu, na dywanie, dokładnie tam, gdzie go zostawiła, stoi pusty kieliszek do wina, z czerwonym osadem na dnie. Za kieliszkiem mruga czerwona lampka automatycznej sekretarki, powiększona przez szklaną czarę jak przez lupę. Madeleine ignoruje sygnał lampki i napełnia miski Winnie: jedną wodą, a drugą karmą. Pies, wielce uszczęśliwiony, najpierw łączywie pije wodę, głośno mlaskając językiem, a potem pożera swoją porcję; łyka ją tak, jakby się dławił, pochrzäkując przy tym z zadowolenia. Jak prosiaczek.

- I co, dobre było?

Pies przechyla swój masywny łeb i wpatruje się w Madeleine z uwagą. Postawił uszy, zmarszczył czoło, dyszy.

- Jesteś półkrwi aligatorem, co, Winnie? - mówi Madeleine, drapiąc ją za uszami; na jej szyi wyczuwa palcami ukryte pod skórą mięśnie, mocne jak zbrojony beton. - Prawda, że jesteś aligatorem?

Bawią się w przeciąganie ręcznika, jedyne, który pozostał w łazience. Winnie warczy zajadle, obnażając zęby w udawanej złości. Gonią się po całym mieszkaniu; Winnie ślizga się po parkiecie, wydając pełne zadowolenia wysokotonowe szczeknięcia, i pławi się w błogim przerażeniu, kiedy Madeleine rzuca się na nią z kredensu albo wyskakuje nagle zza drzwi, krzycząc warkliwie: - Zaraz cię dopadnę, lepiej stąd uciekaj! Uciekaj, uciekaj! - aż obie przewracają się ze zmęczenia. To dopiero jest terapia.

Winnie bierze kurs na dywan, i jak to psy mają w zwyczaju, pada bezwładnie, całkowicie poddając się ciężeni, jak rażona kulą. Przy okazji potraça kieliszek, który uderza o mrugającą automatyczną sekretarkę i rozbija się. Madeleine odgania psa na bok i zmiata szklane okruszki, a potem, po krótkim namyśle, przewija taśmę w automacie i zaczyna odsłuchiwać wiadomości: dziewięć od Shelley, pięć od Olivii i jeszcze kilka od Tony'ego. Wciąż te same pytania, tylko ton coraz bardziej dramatyczny: „Gdzie jesteś? Gdzie ty się, do cholery, podziewasz? Co się stało?”.

Dziś jest czwartek.

Dziś wielki obciach, Batmanie!

Na śmierć zapomniała o Telewizji po Lekcjach! Świadomość ogromu przeoczenia działa na nią niemal rozweselająco. Jak dawka helu. Wynagrodzi im to. Na pewno poprzestawiali program i nie uwzględnili jej w piątkowej sesji nagraniowej, ale ona wciśnie się z powrotem. Już rozsadza ją wspaniałomyślność, najchętniej zaraz by wparowała do studia i obsypała kolegów i koleżanki z zespołu ciętymi kwestiami.

- Kiepska sprawa - mówi do psa. - Niedobrze, naprawdę niedobrze. - Winnie przechyła łeb. - To nie do ciebie, ty jesteś w porządku. To ja jestem niedobra. Niedobra, brzydka Madeleine. - Kładzie dłoń na słuchawce telefonu. Zacznie od najtrudniejszej rozmowy. Shelly.

- Raz kozie śmierć - mówi do Winnie i przykłada słuchawkę do ucha. Chce wybrać numer, ale nie słyszy sygnału. Linia padła? Nie. Ktoś jest po drugiej stronie...

- Halo? To ty, Olivio?

- *Oui, allô?*

- O, cześć, *Maman*, telefon nawet nie zdążył zadzwonić - śmieje się Madeleine. - To chyba telepatia. - Gdyby tak dobrze nie znała sytuacji, mogłaby przysiąc, że zdążyła przebaczyć matce za wczorajsze: „dlaczego nagle poczułam się tak szczęśliwa?”. *Bo jesteś z natury szczęśliwa. To twój wstydlivy sekret.*

- *Maman?*

Po drugiej stronie linii zapada cisza, taka jak ta, która towarzyszy przerwom w wypowiedziach ojca. Po chwili *Maman* łamiącym się głosem mówi: - Twój tatuś odszedł.

Madeleine otwiera usta. Powoli pochyla się do przodu i opada czołem na kolano. A więc tak to wygląda, nadeszło w końcu. Opiera słuchawkę na ramieniu, słyszy dochodzący z niej szloch matki.

Twój tatuś. Twój Tatuś...

Jack McCarthy ZMARŁ NA SKUTEK ODNIESIONYCH RAN

TO NASZ MAŁY ŚWIAT, W SUMIE MAŁY ŚWIAT!

Śmierć któregoś z rodziców to jak zniknięcie planety: niebo nocą już nigdy nie będzie wyglądać tak jak przedtem. Nie ma znaczenia, na ile jesteśmy dorośli. A gdy odejdą oboje, zostajemy jakby na zawsze pozbawieni dachu nad głową, tracimy tę niewidoczną osłonę, która stanowi pierwszą linię obrony między nami a śmiertelnością.

Ulga, jaką Madeleine odczuła na widok matki, była dla niej samej zaskoczeniem. Niemal z utęsknieniem wyczekiwała słów krytyki pod adresem swego stroju, surowego upomnienia, że jest za chuda, ale Mimi się rozklejała. Nie w obecności przyjaciółek, księdza czy krewnych, którzy zaczynali się zjeżdżać. Tylko przy Madeleine. Z wielu powodów - ponieważ Madeleine jest częścią Jacka, częścią jej syna, częścią jej samej, ponieważ „*tu es ma filie*”, choćby nie wiem co, i tylko córka może to zrozumieć. Długie, rozdzierające szloch, cierpienie obracające wniwecz staranny makijaż. Najgorszy dla Madeleine był widok łez sączących się przez palce matki, spływających po rękach - dobrze zachowanych, lecz starszych, z surowszym połyskiem skóry. Ale stała się rzecz zadziwiająca. Madeleine zawsze się bała, że się rozsypie, kiedy umrze ojciec, tymczasem odkrywała w sobie nieprzeczuwalne dotąd pokłady emocjonalnej wytrzymałości. Miała wrażenie, jakby to było niezależne od jej woli, jakby przysłała na świat już w to wyposażona, jak w odruch ssania, pęd do chodzenia, biegania - standardowe cechy ssaka. Wykazała się też zdolnością do zachowania sprężystości, kiedy matka się w nią wczepiła, wypłakując swój smutek; do zachowania cierpliwości, kiedy pouczała ją, jak się gotuje wodę; do wyczucia odpowiedniej chwili, żeby przygotować matce gorącą kąpiel; do przytomnego zapytania: „A co z jego rzeczami?”. W tym samym czasie źródło w jej wnętrzu tryskało nieprzerwanym, obfitym strumieniem bolesnego smutku. Jak można pogodzić ze sobą taką siłę ducha z takim cierpieniem? *Mojego taty już nie ma.*

- Wybrałaś już kwiaty, *Maman*?

Jego ulubiony fotel, pusty, gazety upchane w niebieskich kartonach przy wjeździe do garażu.

- Ty wybierz, Madeleine.

Jego pilot do telewizora, jego buty, poprzecinane zmarszczkami, jego kapcie, jego nazwisko na stercie przesyłek na kuchennym stole. *Gdzie jest mój tata?* Madeleine wybiera

stokrotki.

- *Qu'est-ce que c'est que ça?* - spytała Mimi, kiedy Madeleine poszła do samochodu i wróciła z walizką i psem.

- *C'est une chienne.*

Winnie wyrwała się w stronę drzwi wejściowych, a Madeleine za nią, żeby złapać smycz.

- Ale nie twój - stwierdziła Mimi.

- Przyjaciółki.

- Chyba nie wprowadzisz go do domu?

- A gdzie, według ciebie, ma spać?

- Spać?

Mimi była zwolenniczką poglądu wywodzącego się jeszcze z czasów Wielkiego Kryzysu, uznającego psy, które nie zarabiały na swoje utrzymanie, za darmozjady, a ich miejsce, tak czy inaczej, było na dworze. Kilka chwil później kładła krzesła do góry nogami na cennej kanapie w salonie „*Aide-moi, Madeleine*” - żeby uchronić skórzane obicie przed tym śmierdzącym zwierzakiem.

- Ona nie śmierdzi, kąpałam ją niedawno.

- Tak czy siak, to pies - stwierdziła Mimi, sprawdzając, czy sofa jest dostatecznie zabezpieczona. - No. Teraz może wejść do salonu.

- Winnie - zawołała Madeleine, odwracając się, po czym dodała, z nagłym przerażeniem: - *Maman*, zostawiłaś otwarte drzwi do garażu.

W progu usłyszała wrzask Mimi, która stała jak wryta w drzwiach sypialni. Na białej pościeli spała sobie smacznie Winnie, leżąc na plecach i pochrapując.

- Ściągnij to psisko, Madeleine!

Winnie tylko przeturlała się na bok i warknęła, gdy Madeleine namawiała ją: - Złaż, Winnie, no złaż. Dalej, złaż. Bądź grzeczną dziewczynką.

Mimi wzięła się pod boki, uniosła brwi i nakazała: - *Bouge-toi!*

Winnie zeskoczyła z łóżka i podniosła łeb, wpatrując się w Mimi, merdając przy tym ogonem i szczerząc się przyjaźnie.

Madeleine wysłała matkę z psem na spacer.

- Ja tego czegoś nie wyprowadzę.

- To nie coś. To żywe stworzenie obdarzone czuciem, *Maman*. Poza tym ona ciebie lubi.

Mimi spiorunowała psa wzrokiem. - Ale ja jej nie lubię. *Regarde moi pas, toi.*

Madeleine usłyszała odgłos zamykanych drzwi i zabrała się do pracy. Uwijąca się szybko, pakując rzeczy ojca, które postanowiły oddać biednym, żeby oszczędzić tego matce. Madeleine ściągnęła wszystkie ubrania z wieszaków, a kiedy opróżniała półki, uległa chwilowej słabości na widok starego ojcowskiego swetra wyciętego w szpic. Stała, z twarzą wtuloną w nadżartą przez mole wełnę, i wdychała jego zapach. Kiedy natknęła się na pokrowiec z jego mundurem, przytknęła rękaw marynarki do policzka i zamknęła oczy - zapach wełny i naftaliny, męska szorstkość, drapiąca jak popołudniowy zarost. Jej palce, jakby kierowane własną wolą, muskały poły marynarki, mosiężne guziki z wygrawerowanymi skrzydłami.

Straciła poczucie czasu, składając, sortując, popłakując; w końcu usłyszała hałas dochodzący od drzwi wejściowych - chrzęst smyczy, stukot pazurów Winnie na posadzce i stukot obcasów matki. Głos *Maman*, strofującej psa: - *Non. Odejdź, va-t'en*, nie życzę sobie pocałunków od *les chiens*.

Wychodząc z sypialni, Madeleine przyłapała matkę, jak dawała psu kawałek pieczonego kurczaka.

- Tylko nie kości, *Maman*.

- Wcale mu nie dawałam... ja tylko... zresztą i tak by się popsuło.

- Nie karm jej zepsutym mięsem.

- Dzisiaj jeszcze jest dobre!

Odruchowe zniecierpliwienie Madeleine stopniało, ustępując miejsca czemuś znajomemu, lecz dotąd niekojarzonemu z osobą matki... rozbawieniu. Na twarzy Madeleine pojawił się uśmiech.

Na stole stało już starannie przygotowane nakrycie. Dla Madeleine. Usiadła, lecz zanim sięgnęła po kanapkę z kurczakiem, spytała: - Co zamierzasz zrobić z mundurem taty?

- Dostałby go twój brat - odparła Mimi i odwróciła się.

Madeleine nie ciągnęła dalej tego tematu i zaczęła przeglądać gazetę.

Potężna *Tante Yvonne* przyleciała z Nowego Brunszwiku z drobnutką leciwą *Tante Domithilde*, jedyną zakonnice w rodzinie. We dwie wygodnie mieściły się na dwóch sąsiednich siedzeniach w samolocie, przy podniesionych podłokietnikach. Niemniej *Tante Yvonne*, ofiara rwy kulszowej, dotarła na miejsce z dotkliwym bólem krzyża, a jej nogi były „*totalement kaput*”. Przywiozła tuzin homarów w suchym lodzie i torbę pełną dzierganych szydełkiem kapci, w różnych „stadiach rozwoju”. *Tante Domithilde* od razu zabrała się do

pieczenia. Bracia Mimi przyjechali z żonami całym orszakiem złożonym z cadillaców i lincolnów continental. Z wyjątkiem ciotek wszyscy krewni umieszczeni zostali w pobliskim motelu; ten popis sztuki kwatermistrzowskiej kosztował Madeleine wiele godzin spędzonych przy telefonie.

- Co to stworzenie robi w domu? - zdziwiła się *Tante Yvonne*.

- Wabi się Winnie - odparła Mimi.

Jocelyn zjawiła się z mężem i dwójką dzieci - „Uwielbiamy twój program, Madeleine”. Shelly, Tony, Linda, Tommy i Lisa przyjechali z Toronto. Uściskali Madeleine i całą noc przesiedzieli w kuchni, jedząc i rozmawiając z jej krewnymi. Zaraz w pierwszą noc nauczyli się od jej stryjów grać w *Deux-Cents*, a w drugą oszukiwać. Yvonne przywiozła akordeon i kazała Madeleine zagrać coś na cześć „słodkiego Jacka”. *Swing la bottine!* Shelly chłonęła to wszystko pilnie, Madeleine widziała po niej, że jej umysł pracuje na wysokich obrotach.

- Ale z ciebie pracoholik - przygadała jej, nalewając jej herbaty do filiżanki i zaprawiając ją rumem.

- Załatwiłam forszę, kotku, wytwórnia już czeka.

Opcja amerykańskiej sieci telewizyjnej na *Kobietę na opak*, pilot serialu.

- Naprawdę? - odparła Madeleine. - Masz już kogoś do scenariusza?

- Dlaczego nigdy nie zdradziłaś się ze swoim francuskim pochodzeniem?

- Nie francuskim, tylko akadyjskim.

- Opowiedz mi coś o tym.

- *C'est assez.*

Nina przysłała kartkę i kwiaty; Madeleine odwołała sesję terapeutyczną, zostawiając dla niej wiadomość nagrałą na automatycznej sekretarce, w której w brutalnie oschły sposób wyjaśniła powód. Zadzwoiła Olivia; telepatycznie wyczuła, że stało się coś złego, a kiedy nie mogła odszukać Madeleine w Toronto, zdobyła jej numer w Ottawie. Przedstawiła się Mimi przez telefon i dopiero po dwudziestu minutach rozmowy prowadzonej po francusku oznajmiła, że dzwoni z Managui. Mimi jęknęła - na myśl o kosztach połączenia międzynarodowego, a nie o niebezpiecznej sytuacji politycznej - *Madeleine, viens au téléphone, vite, vite*”.

Tommy przekazał Mimi list z kondolencjami od swoich rodziców - państwo McCarthy i państwo Czerniatewicz nigdy się nie spotkali.

- Jak to miło - powiedziała Mimi, otwierając list: „Niech Pan pocieszy Cię wraz ze wszystkimi żałobnikami Syjonu i Jeruzalem. Ze szczerymi wyrazami współczucia, Stan i

Lydia".

Tommy strasznie się przejął gafą i próbował zrzucić winę na Madeleine. Mimi powiedziała mu, że nic się nie zmienił - „Wciąż lubisz dokazywać” - i uszczypnęła go w ucho.

Stypy i pogrzeby to spotkania towarzyskie, zwłaszcza kiedy ukochana osoba zmarła śmiercią „naturalną”, a przynajmniej była dorosła. Gwar, miłość, jedzenie, szczęk filiżanek i spodków - to jak falochron z przewierconymi otworami, które przepuszczają naraz tylko taką ilość smutku, z jaką można sobie poradzić. Przez trzy dni apartament Mimi przypominał nowojorski dworzec Grand Central Station. Madeleine dzielnie to znosiła, obsługując wypożyczony ekspres do kawy i rozdając poczęstunek dla niekończącego się strumienia krewnych, znajomych, sąsiadów, kolegów i koleżanek z pracy.

Fran: - Śledzimy twoją wspaniałą karierę, moja droga.

Doris: - Kiedy przeniesiesz się do Stanów?

Phyllis: - Tylko za szybko nie wychodź za mąż.

Doris: - Phyllis, przecież ona nie lubi facetów.

Tante Yvonne: - Jaka szkoda.

Siwa Tante Domithilde: - Nie daj się tym draniom, *ma p'tite*.

Fran: - W naszych czasach nie wolno nam było się z tym ujawniać, moja droga, nikt jeszcze wtedy nie słyszał o orientacji seksualnej. Trzymaj tak dalej, świetnie sobie radzisz.

Uściski, znowu uściski, grube panie rozdające pocałunki niczym świeżo upieczone bułeczki. Lesbijka z biura Mimi pokazała się ze swoją „partnerką” - Madeleine nigdy nie przywyknie do tego określenia - „Uwielbiamy twój program”. Ksiądz, listonosz, znajoma Mimi z banku, cała Liga Kobiet Katolickich i połowa Ottawy przyszli złożyć kondolencje. Całe szczęście, że był czerwiec i ludzie mogli wchodzić i wychodzić drzwiami od strony patio. Sympatyczni mężczyźni w lekkich letnich garniturach, pachnący bawełną, cygarami i męskimi odżywkami do włosów. Mocny serdeczny uścisk dłoni. Dawni piloci bombowców i emerytowani menedżerowie. Jack byłby w siódmym niebie.

To już drugi z rzędu wieczór w „Pokoju odwiedzin B” w Zakładzie Pogrzebowym Hartleya i Fincha. Kwiaty od Ridelle'ów, Boucherów, Woodleyów i innych znajomych z wcześniejszych placówek. Nawet Hans i Brigitte przysłali kartkę z Niemiec - Gabrielle, dawna opiekunka Madeleine, dochowała się już piątki dzieci. Madeleine stara się nie spoglądać na otwartą do połowy trumnę. Siedzi w rogu zatłoczonego, lecz cichego pomieszczenia, między bukietami stokrotek; trudno wyobrazić sobie bardziej rażący kontrast

między tymi kwiatami a ponurym „międzywyznaniowym” smęczeniem na organach, o natarczywie podprogowym natężeniu. Kto zatwierdził tę brzdąkaninę? Madeleine ma ochotę odszukać któregoś z tych posępnych facetów, którzy już nawet nie nazywają siebie przedsiębiorcami pogrzebowymi, i kazać mi włączyć płytę Rolling Stonesów lub coś w tym rodzaju. Ta muzyka, woskowy makijaż na twarzy ojca, jego ręce złożone jak do modlitwy - jakim człowiekiem był według nich? Cała ta oprawa nie ma z nim nic wspólnego. Poza niebieskim kapeluszem lotniczym umieszczonym na dolnej, zamkniętej części wieka. Okrywa ją niczym listek figowy, myśli Madeleine. I wtedy zdaje sobie sprawę, że pomimo cierpienia wciąż jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

Odwraca się, przed sobą ma ścianę obwieszoną fotografiami - rozmieszczonymi starannie wokół oprawionego zdjęcia Jacka ze szkoły lotniczej. Wygląda niesamowicie młodo w mundurze elewa, w rogatywce, lewe oko promienne, nienaruszone. Spędziła z matką cały dzień na układaniu odbitek na dużej planszy z brystolu, rozpiętej teraz na sztaludze. Zdjęcie ślubne, cała rodzina na pikniku w lesie szwarcwaldzkim... Kazały specjalnie na tę okazję przygotować kilkanaście odbitek ze slajdów. Ich czworo na wieży Eiffla, Madeleine i Mike w morzu na Riwierze... *tego dnia się zgubiłaś, pamiętasz?* Spoglądając na zdjęcie, Madeleine słyszy buczenie rzutnika do przezroczy w zaciemnionym pokoju. Tyle wspólnie przeżytych chwil. Jest też zdjęcie jej i Jacka przed pomnikiem Szczurołapa w Hamelin. Na nogawkę spodni ojca i spódniczkę Madeleine pada cień - zarys głowy i podniesionych łokci. Wujek Simon. To Mimi wybrała to zdjęcie, ciekawe, czy pamięta, kto je zrobił. Wczoraj podczas sprzątania, w przerwie przed kolejną nawałą gości, Madeleine znalazła w koszu na śmieci złożony ozdobny karnet. Wyjęła go, sądząc, że matka wyrzuciła go przez pomyłkę. Na pierwszej stronie widniał pastelowy obrazek przedstawiający angielski ogród na wsi - domek tonący w różanych krzewach. W środku zaś starannym schludnym pismem skreślone były następujące słowa:

Droga Pani McCarthy!

Żałuję, że przez wszystkie lata mej przyjaźni z Jackiem nie dane mi było poznać Pani osobiście. Niemniej Jack tyle mi o Pani opowiadał, iż mogę śmiało uważać go za szczęściarza. Nie jestem w stanie pojąć doznanej przez Panią straty, więc wyrażę jedynie moje najgłębsze ubolewanie i pozostaje mi mieć nadzieję, że przyjmie Pani te skromne wyrazy wielkiego szacunku, jakim darzyłem i nadal darzę Pani męża. Jack był wspaniałym człowiekiem. Wyjątkowym.

Przeczytałem o jego odejściu w waszym kanadyjskim dzienniku, który zaprenumerowałem. (Obawiam się, że jako emeryt gromadzę sterty szpargałów. Niektórzy uznaliby „The Times of India” za lekką przesadę, niemniej mam - czy też miałem - tylu przyjaciół z różnych stron świata, że czytanie działu nekrologów zagranicznych gazet stało się moim sposobem na bycie „na bieżąco”).

Może się Pani wydać dziwne zaproszenie ze strony kogoś, kogo Pani osobiście nigdy nie spotkała, lecz prośba ma płynię z głębi serca: gdyby kiedykolwiek przyjechała Pani do Anglii, proszę mnie odwiedzić. Mieszkam w jednym z nielicznych zachowanych nietkniętych zakątków dawnej angielskiej wsi, i nie ma tam ptaka ani drzewa, z którym nie byłbym za pan brat. Z ogromną przyjemnością oprowadziłbym Panią po okolicy. Z upływem lat człowiek przekonuje się, że dawne przyjaźnie są najtrwalsze, a uważam Panią za przyjaciela przez wzgląd na przyjaźń z Pani mężem, którą tak wysoko ceniłem.

Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia „Deutsches Mädchen”. Od czasu do czasu oglądam jej znakomite występy, a to dzięki okropnemu talerzowi do odbioru telewizji satelitarnej, który próbowałem zamaskować, na ile się dało, z tyłu domu.

Szczerze oddany,
Simon Crawford

Dołączony był adres zwrotny w Shropshire. Po krótkim namyśle Madeleine podarła kartkę.

Kątem oka dostrzega księdza, przedzierającego się przez tłumek i zmierzającego w jej stronę. Madeleine kieruje się do najbliższego wyjścia. Ma ochotę napić się czegoś mocniejszego. Gdyby tak Mike był tu z piersiówką - i nagle, niespodziewanie, widzi go. Fotografia zatrzymuje ją w miejscu. Madeleine nie zauważyła jej wcześniej. Oprawiona w ramkach, ustawiona na jednym ze stolików usłanych kwiatami i kartkami z kondolencjami: Mike w mundurze amerykańskiej piechoty morskiej. Pod czapką króciutki język. Zroszone usta, pełna twarz, łagodne oczy. Przed zdjęciem leży czerwona róża. Madeleine sięga po chusteczkę, których pudełka przezornie rozmieszczone są w całym mieszkaniu, jakby to był wielki gabinet terapeutyczny.

Wydmuchuje nos i podnosi wzrok na dźwięk swego imienia. Przed nią stoi pulchna,

lecz na oko dziarska kobieta z kręconymi włosami i piegami. Niektórzy ludzie się nie zmieniają.

- Auriel?

Obejmują się z entuzjazmem dziesięcioletek. Auriel dowiedziała się od matki, która zadzwoniła do niej z Vancouver.

- Tak mi przykro, Madeleine. Twój tata był taki miły.

- Umarł, oglądając *All in the Family* - mówi Madeleine. - Przynajmniej umarł wesoły.

Auriel wypuszcza ją z objęć, wydmuchuje nos i uśmiecha się. Wygląda tak samo jak dawniej, jest tylko proporcjonalnie większa. Spojrzenie ma nadal wesołe, ale teraz stateczne. Może jest pielęgniarką, myśli Madeleine. Ma właśnie taką twarz, jaką miałoby się ochotę ujrzeć, będąc podłączonym do kroplówki. Ubrana jest w blezer w stonowanym kolorze, narzucony na sukienkę w drukowane wzorki, na szyi ma zawiązany szyfonowy szal. W tym stroju wygląda dokładnie tak, jak powinna: na pracującą matkę, przedstawicielkę klasy średniej. Podporę narodu.

- Świetnie wyglądasz - stwierdza Madeleine z przekonaniem.

Auriel odpowiada równie dobitnie: - Jesteś taka ładna, że jak oglądam twój program w telewizji, to nie mogę się na ciebie napatrzeć.

Wybuchają śmiechem i ściskają się za ręce.

Auriel ma trójkę dzieci i męża imieniem Dave. Niedawno został służbowo przeniesiony do Ottawy - pracuje w więziennictwie.

- Jest komendantem.

- O, kurczę.

- Zajmuje się głównie resocjalizacją.

Życie, jakie prowadzi Auriel, pionierskie, bez zapuszczania korzeni, niejako - według kryteriów głównego nurtu społeczeństwa - na marginesie, przypomina życie, jakiego ona i Madeleine zaznały w dzieciństwie.

Podchodzi do nich Mimi. - Auriel? *C'est pas possible!*

Obejmują się.

- Cieszę się, że panią widzę, pani McCarthy - mówi Auriel i dodaje, powściągnąwszy swój odruchowy serdeczny uśmiech: - Przykro mi z powodu pani męża.

- Dziękuję ci, *chérie*. Mimi zbiera się do odejścia, lecz jej wzrok przyciąga bukiet kwiatów. - *Elles sont très belles*, kto je przysłał?

Żółte róże.

Madeleine nachyla się, czyta bilecik, mruga z niedowierzaniem. - Są od Christine.

- Aha.

- Nie wiem, skąd się dowiedziała - szybko wyjaśnia Madeleine. - Ja jej nic nie mówiłam.

- Ja ją zawiadomiłam - odpowiada matka, potem okręca się na swoim wysokim obcasie i idzie przywitać nowych gości. Madeleine zaniemówiła.

- Wygląda świetnie - stwierdza Auriel.

- To dzięki nikotynie, działa jak środek konserwujący.

Auriel przygląda jej się chwilę, po czym pyta: - A ty jak się czujesz, Madeleine?

Chyba *jest* pielęgniarką.

- Myślę, że przechodzę załamanie nerwowe, ale tylko dlatego, że mogę sobie na nie pozwolić.

- Naprawdę?

- Nieee, czuję się znużona, to wszystko.

- Jesteś z... - Auriel zerka na róże - Christine?

- Nie - wzdycha Madeleine. - Rozstałyśmy się... jak dwoje dorosłych ludzi. To był koszmar.

- Słyszałam, co się stało z Mikiem. Tak mi go żal.

- Dzięki. Nie chcę cię urazić, ale wolałabym porozmawiać o tobie.

Auriel jest pielęgniarką.

- Wiedziałam! - mówi Madeleine.

Pracuje w Szpitalu Obrony Narodowej w Ottawie, tam poznała swego męża. Leczy się tam wojskowych, czasami przyjmowani są też więźniowie z całego kraju. Dave przyjechał w odwiedziny do swojego podopiecznego z Zakładu Karnego Collins Bay w Kingston.

- Ricky Froelich siedział w Collins Bay - mówi Madeleine.

Obie milkną na wspomnienie osoby tak głęboko tkwiącej w ich przeszłości.

Maty świat, myśli Madeleine i zaraz tego żałuje, gdyż w głowie natychmiast rozbrzmiewa jej ta stara przesłodzona piosenka, a wie, że tak szybko się od niej teraz nie opędzi. Pan March wymachujący batutą - *To świat pełen łez i świat pełen śmiechu...*

Auriel potrząsa głową. - Dave wtedy jeszcze tam nie pracował. Ale znał tamtego komendanta.

Madeleine przez chwilę patrzy jej prosto w oczy. - Zastanawiasz się czasami, kto to zrobił?

- Chcesz znać prawdę, Madeleine? Przestałam się zastanawiać, teraz tylko modłę się za nich wszystkich.

- Za Sarę i Grace też?

Auriel marszczy czoło. - Dlaczego?

Na wzmiankę o tych dwóch dziewczynkach Madeleine napłynęły do oczu łzy, jakby to właśnie ich stratę dzisiaj opłakiwała.

Wzrusza ramionami. - Czasami tak sobie myślę, wiesz?... Co się z nimi stało?

Auriel patrzy na nią z takim współczuciem, że Madeleine nachodzi pokusa, żeby się jej zwierzyć. Tyle trudu kosztowało ją odnalezienie i złożenie na nowo w jedną całość rozsianych odłamków tej historii, a przy tym również samej siebie. A teraz musi w sobie nosić tę wiedzę, niczym niewypał, grozący wybuchem pocisk artyleryjski jeszcze z czasów wojny. *To ja machałem.* Auriel przygląda się jej. Auriel jest dla niej niemal jak rodzona siostra. *Powiedz jej.*

Ale usta Madeleine ani drgną. Ogarnia ją znajome wrażenie, jakby wyglądała z ciemnego schowka, ale tym razem rozpoznaje to jako widzenie tunelowe. Zapowiedź migreny, czy jak to ma miejsce w przypadku Madeleine, ataku paniki. Odwraca wzrok od Auriel i skupia się na lotniczym kapeluszu ojca.

- Siara - mówi Auriel, ale ze smutkiem.

Madeleine się uśmiecha. - Biedna Siara.

- Wyprowadzili się w tym samym czasie co my.

- Nolanowie? Dokąd, nie wiesz? - Madeleine zdaje sobie sprawę, że stara się nie okazywać zbytniego zainteresowania.

- Chyba na zachód. Do Winnipeg.

- Tak?

- Nie, gdzieś bliżej... była tam kiedyś baza lotnicza. Jak się nazywa ta miejscowość? Coś podobnego do pikli.

- Gimli.

- No właśnie.

- W ogóle nie brzmi podobnie do pikli.

- To jak się domyśliłaś? - śmieje się Auriel. - Zobaczyłam jej nazwisko na liście uczestników zjazdu pielęgniarek, z pięć lat temu. Ale się nie zjawiała. Jest pielęgniarką o specjalności geriatrycznej.

- Och. - Madeleine przechodzi dreszcz.

Auriel posyła jej zbolaty uśmiech. - No właśnie.

Nie wie, co stało się z Grace. Stoją chwilę w milczeniu.

- Mam nadzieję, że ułożył sobie jakoś życie - odzywa się Auriel.

- Kto?

- Ricky. Mieszka z siostrą. Jak ona miała na imię?

- ...Colleen.

Nie mów mi, gdzie mieszkają.

- Była straszna.

- Pamiętasz Elizabeth? - pyta Madeleine.

- O tak. Świetna rodzinka, nie ma co... To takie smutne. Chyba nikt tak naprawdę nie wierzył, że Ricky to zrobił.

Bez ostrzeżenia z oczu Madeleine płyną łzy.

- Och, Madeleine. Tak mi przykro z powodu twojego taty.

Auriel znów ją obejmuje.

Madeleine pociąga nosem. - Przypomnił mi się Rex.

Ociera oczy, już czuje się lepiej - wydołała się z lasu - gdy słyszy, jak Auriel mówi: - Zmienili nazwisko.

I Madeleine już wie to, czego tak bardzo pragnęła nie wiedzieć. Jak ich znaleźć. Zna ich nazwisko.

W nocy po pogrzebie Madeleine leży na rozkładanym łóżku w pokoju wypoczynkowym. Oczy ma suche, ale smutek nie pozwala jej zasnąć. Otaczają ją regały z książkami, półki z trofeami - jej nagrodami za występy w konkursach krasomówczych, Mike'a za osiągnięcia w sporcie - i oprawione zdjęcia uśmiechniętych lotników w mundurach. Takich młodziutkich. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi. W kościele nie była w stanie odczytać mowy, którą przygotowała na cześć ojca, o tym, że te wspólnie przeżyte chwile pozostaną na zawsze w jej pamięci, niezmienione, bez względu na to, co wyznał jej ojciec. Napisała ją dla matki. Wydobyła z siebie kilka początkowych słów: „Mój ojciec był dobrym człowiekiem”. I poległa. Wzięła się w garść, odłożyła przemowę i jakoś zdołała przebrnąć przez ulubiony wiersz ojca, *Wysoki lot*.

Po mszy ceremonia pochówku. Madeleine wciąż boli ramię, za które ścisnęła ją matka, kiedy opuszczali trumnę. Lśniący mahoń. Prostokątny dół. Sztuczna murawa. Nic, co kojarzyłoby się z Jackiem.

Teraz, pomimo kojącego pochrapywania wciśniętej pod kołdrę Winnie i dźwięcznego mrużenia starej *Tante Yvonne* w pokoju obok, dom jest jak wymarły. To jest prawdziwa stypa: cisza, jaka pozostaje, gdy rozejdą się żałobnicy. Koniec pogodnych głosów, wesołości towarzystwa, na której Jack dryfuje jak na boi - mógłby wejść w każdej chwili, w końcu to przyjęcie na jego cześć.

Madeleine słyszy, że matka krząta się w kuchni, wyjmując naczynia ze zmywarki. Patrzy na elektroniczny budzik. Jest po trzeciej. Szczęk naczyń cichnie, znów panuje cisza. Madeleine wstaje i ostrożnie idzie do kuchni.

- *Tu dors pas?*

Mimi wertuje nowy numer „Chatelaine” - *JAK BEZBOLEŚNIE PRZEŻYĆ PRZEPROWADZKĘ*”, „*OBIAD NA DZIEŃ POWSZEDNI W 15 MINUT*”. Ma na sobie jasnoróżową pikowaną podomkę. Madeleine ubrana jest w bokserki i starą koszulkę z nadrukiem „Joes Collision”.

Mimi nastawia wodę i wyjmuje zestaw do gry w Scrabble. Wyciągają po siedem żetonów z niebieskiego flanelowego worka. Madeleine spogląda na swoją tackę i widzi rozsypane, lecz wyraźnie rozpoznawalne siedmioliterowe słowo, za które dostałaby dodatkowo pięćdziesiąt punktów premii: DEWANT Wzdycha i układa DANIE.

- To wszystko, na co cię stać, Madeleine?

Coś się zmieniło - nie licząc tej nieoszacowanej straty, jaką jest odejście ojca. Coś, czego się nie zauważa, póki trwa - jak buczenie lodówki. Madeleine patrzy na długie wypiełgnowane paznokcie matki, wstawiające dwie litery w luki między trzema wyrazami.

- „Al”? Co to, do licha, jest Al?

- Leniwiec trójpalczasty.

Za dwadzieścia siedem punktów. Grają w angielskie słowa - Mimi daje jej w ten sposób fory, żeby szanse w pojedynku między nią a córką były bardziej wyrównane.

- *Maman*, takimi skąpymi słówkami nie otwierasz planszy.

- Nie, ale wygrywam.

Mimi chrupie przypieczoną grzanekę jeszcze ze śniadania - przysmak z czasów wielkiego kryzysu - a Madeleine popija zupę pomidorową z puszki. Dla każdego coś dobrego.

- Masz może L?

- Tak - wzdycha Madeleine, patrząc na swoją tackę: LESBA.

Mimi rozstawia na planszy siedem żetonów: POUTINE. - *Voilà*, ładne długie słowo dla ciebie.

Wartość nominalna każdej litery plus premia za wykorzystanie wszystkich siedmiu liter. Madeleine patrzy, jak matka sumuje punkty.

- Oszukujesz, to nie jest angielskie słowo.

- Weszło do powszechnego użycia, figuruje w kartach dań, zaraz obok skrzydełek.

Madeleine układa na planszy słowo LESBA, za które otrzymują potrójną liczbę punktów.

Matce nawet nie drgnie powieka.

- No, tak już lepiej - mówi i podlicza, trącając po kolei każdy żeton długim lśniącym paznokciem. - Czterdzieści dwa punkty.

- *Maman*, ty nie palisz. Na tym polega różnica.

- Rzuciłam palenie.

- Kiedy?

- Dziś. Grają dalej.

- XI?

- To nazwa greckiej litery.

W pewnym momencie przechodzą na francuski. A przynajmniej Mimi; Madeleine próbuje dotrzymać jej kroku swoją kulejącą francuszczyzną. Ale rozumie każde słowo. Oto przybliżony przekład: „Po tym, jak utraciliśmy Mike'a, przez całe lata modliłam się o wiadomość od jakiejś wietnamskiej dziewczyny. Wyobrażałam sobie, że pisze do mnie w liście: «Urodziłam jego dziecko. Waszego wnuka. Mogę przyjechać do was w odwiedziny?». Przeniosłaby się tutaj z dzieckiem - chłopczykiem - i zamieszkalibyśmy razem. Byłaby moją synową. Bardzo ładną. Z długimi ciemnymi włosami, o łagodnym usposobieniu. Oczywiście, umiałaby mówić po francusku i serdecznie byśmy się zaprzyjaźniły. Dziecko rośłoby, a ona, twój ojciec i ja... tworzylibyśmy jedną szczęśliwą rodzinę. Aż kiedyś - nie wiem, może dopiero w zeszłym roku - po tym, jak twój tata miał atak serca" - po tych słowach Mimi przerywa i wyciera oczy, a Madeleine podaje jej pudełko chusteczek - „uświadomiłam sobie, że ta młoda kobieta, którą sobie uroiłam... ta słodka dziewczyna z długimi ciemnymi włosami to moja własna córka. I że" - Mimi wciąga powietrze przez usta, o tej porze nieuszminkowane - „ja już mam... piękną córkę”.

Mimi osusza chusteczką oczy. Madeleine tuli w dłoniach jej rękę.

Po tygodniu Madeleine zbierała się do wyjazdu; włożyła torbę do bagażnika na przedzie garbusa, zatrzasnęła pokrywę i zawołała Winnie, która ocierała się o nogi Mimi stojącej w progu.

Mimi pogładziła ją po hełmiastym łbie. - Madeleine, czy ona mogłaby zostać u mnie na trochę?

- ... Chcesz ją zatrzymać?

- Jestem samotną kobietą, a pies to dobra ochrona... - pośpiesznie tłumaczyła Mimi.

- Proszę bardzo, *Maman*. Ale będziesz musiała ją oddać, kiedy wróci Olivia.

- Olivia? Ach tak, twoja latynoska przyjaciółka.

- Niezupełnie, ona tylko chwilowo przebywa w Ameryce Środkowej.

- Aha - mówi Mimi i zaczyna pieszczotliwie przemawiać do psa. - W takim razie nie będzie miała nic przeciwko temu, prawda? Prawda, *hein?* Prawda, prawda. *Ça ne dèrange personne, non? Non, non, non, non...*

- *Maman?*

Mimi podnosi wzrok.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko dojadę.

I Madeleine odjechała, z lodówką turystyczną na tylnym siedzeniu wypełnioną zapasami jedzenia, którego rodzinie z Akadii wystarczyłoby na cały tydzień.

WYSOKI LOT

Kiedy Jack umarł, wielki biały ptak wznosił się i odleciał przez sufit komfortowo wyposażonego apartamentu na przedmieściach Ottawy. Wtapiając się w pierzaste obłoki, złapał ciepły prąd wstępujący i wzbijał się coraz wyżej. Rozpostarł skrzydła szeroko niczym orzeł i z oceaniczną swobodą mewy uleciał w niebo, biały ptak wielkiej pomyślności...

*Zerwałem więzy ziemi z mozołem,
I hen, w radosne płąsy ruszyłem,
Igrałem z obłokami, ku słońcu się piąłem,
Bezlik rzeczy na niebie czyniłem,
O jakich nie śniłeś - w górę i zwrot,
W krąg zaklęty wpadałem, wysoko tam.
Goniłem szumny wiatr, nietknięte grot
Ostępy śmiało przemierzałem sam.*

- Popatrz - powiedział Jack, pokazując w górę. Działo się to już po nadejściu informacji o zaginięciu Mike'a. Działo się to, jeszcze zanim zgasła nadzieja. Jeszcze przed zamieszkaniem przez Jacka i Mimi we własnym apartamencie. Madeleine rozpierała ciemna radość, że wkrótce ucieknie w świat, daleko od tych przedmieść.

- To szybowiec - stwierdził Jack.

Biały samolot. Leciał powoli. Bezgłośnie. Jego skrzydła były długie i wąskie, lekkie,

pozbawione balastu silników. Szybował majestatycznie, bez pośpiechu.

- To się nazywa latanie.

Pałaszował ulubione lody, rumowe z rodzynkami, a Madeleine swoje - neapolitańskie.

- Chcesz polizać?

- Dzięki, tato. Naprawdę są pyszne.

Patrzyli, jak szybowiec wzlataje w górę, zwalnia, wystawiając swój smukły tors w niebo, po czym znów wtula się w ramiona swej partnerki - grawitacji, dzielny i ufny, jak zwierzę lub dziecko.

- Wiesz, stary druhu, możesz zostać, kim tylko zechcesz. A gdy mówił to jej tata, wiedziała, że to prawda.

*Przez obłąkańczy, palący błękit,
Gdzie nie dofrunął skowronek ni orzeł;
Z polotem wzbiłem się na wietrzny szczyt,
I uskrzydłony, ufny w myśli potęgę,
Wnet w tym dziewiczym świętym przestworze
Ręką oblicza Boga dosięgłem.*

PRÊTE-MOI TA PLUME, POUR ÉCRIRE UN MOT

*Lecz ciemne sosny twych myśli prą w głąb,
A ty, na jawie śniąc, na samo dno zstąp,
W podwodne knieje na łowy;
Tam kryje się rzecz, którą ubrać chcesz w słowa.*

Gwendolyn McEwen, *Dark Pines Underwater*

Wiadomo było, że Ricky zmienił nazwisko, lecz Madeleine pozostałaby w błogiej nieświadomości jego nowej tożsamości, gdyby Auriel nie użyła liczby mnogiej: *zmienili*. W tej samej chwili pojawiło się nieproszone w umyśle Madeleine. Prawdziwe nazwisko Colleen i Ricky'ego. Ilu Pellegrimów mogło mieszkać w Kanadzie?

Miała to nazwisko przed sobą niczym gładki kamyk, pamiątkę przywiezioną z wakacji.

Schowwała je do szuflady biurka i zabrała się do pracy. Czekają na nią jej własne życie. Włączyła komputer. Włożyła papier do drukarki. Usiadła i zaczęła pisać.

W jakiej pracujesz branży?

Komediowej.

Co dziesięć minut dzwoniła do Shelly, czytając jej zabawne partie. Również partie, które nie były tak zabawne. Shelly mówiła wtedy: - Nie, na razie to zostaw. Jeszcze coś z tego wyjdzie, to tylko kwestia czasu.

Spotykały się raz na kilka dni, żeby Madeleine mogła odegrać przed nią partie, którym już nic nie brakowało.

Co sprzedajesz?

Historie.

Od czasu do czasu natykała się na ten gładki kamyk. Gdy przetrząsała szufladę w poszukiwaniu ołówka czy spinacza. Niekiedy niespodziewanie pojawiał się między sztucami, w szafce z lekarstwami, pod sofą - Madeleine kupiła sobie sofę. I łóżko. Jej przyjaciele złożyli się dla niej na wyprawkę z okazji rozpadu jej związku. Nawet Christine się dołożyła, dała jej w prezencie mikser ręczny marki Braun. Bez żadnych podtekstów.

Minął już tydzień, odkąd wróciła do domu, gdy Madeleine, gardząc nowo nabytym fotelem, siadła po turecku na swym starym perskim dywanie i zadzwoniła do biura numerów.

- O jakie miasto pani chodzi?

- O Winnipeg.

- A nazwisko?

- Sara Nolan.

- Dziękuję, oto numer, o który pani prosiła... Madeleine szybko wzięła długopis i zapisała go na ręce. Zaczekała do szóstej trzydzieści czasu centralnego. Odebrała kobieta. - Słucham?

Płaczliwy ton głosu, to nie Sara.

- Mogłabym poprosić do telefonu Sarę?

Po drugiej stronie słycać szmer, w głosie kobiety brzmi tłumiona uraza, gdy mówi: - To do cieeebie.

Stuk słuchawki o blat lub podłogę. Odezwał się inny kobiecy głos. - Słucham. Rzeczowy. Z nutką rozdrażnienia. To Sara.

- Cześć, Sara - powiedziała Madeleine.

- A z kim mam przyjemność?

Madeleine widziała ją - ze zwężonymi oczami, gotową do odparcia ataku.

- Tu Madeleine McCarthy. Chodziłyśmy do tej samej klasy w Centralii.

Chwila ciszy, króciusia.

- Obawiam się, że to pomyłka - odparła kobieta i odłożyła słuchawkę.

Madeleine zadzwoniła do wszystkich Novotnych w Centralii. Trafiła na ojca Grace. Nie wiedział, gdzie, do cholery, one wszystkie się podziewają, ale jeśli kiedyś je znajdzie, to...

Zadzwoniła na komendę główną policji prowincji Ontario i zapytała o rejestr osób zaginionych.

- O kogo konkretnie pani chodzi?

- O Grace Novotny.

Słyszała w tle stukot klawiszy, gdy policjantka wprowadzała do komputera podane przez nią nazwisko.

- Jakiego rodzaju informacje ma pani do przekazania? - zapytała kobieta.

Trafiłam. - Właściwie nie mam żadnych informacji do przekazania, chcę tylko... dowiedzieć się, czy jest coś nowego w tej sprawie.

- Niestety, nie możemy tego ujawnić. Jakie stosunki łączą panią z Grace Novotny?

Odpowiedź przyszła Madeleine tak naturalnie, że w ogóle nie wydała jej się kłamstwem.

- To moja siostra.

- Ach tak. No cóż, przykro mi, ale od sześćdziesiątego szóstego roku nie wpłynęło nic nowego.

- Trudno. Dziękuję.

Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty - Grace miała wtedy czternaście lat. *Zaginiona.* Uciekła z domu i zgubiła się? Jak Mike? *Gdzie podziały się te wszystkie dziewczynki?*

Madeleine wyszła z domu, kierując się do River Street i schroniska dla porzuconych i nieszczęśliwych psów. Nie ma piosenki, która złagodziłaby utratę czy wyjaśniła zniknięcie niektórych dziewczynek. Grace rozplynęła się w powietrzu.

Z miłością jest podobnie jak z treningiem lekkoatletycznym lub grą na instrumencie. Ćwicz zawzięcie przez jakiś czas. Potem zrób sobie odpoczynek - zdejmij sportowe obuwie, odłóż skrzypce. A gdy wrócisz do swej dyscypliny, do swoich gam, zobaczysz, że w niewyjaśniony sposób udoskonaliłeś swoje umiejętności wskutek działania czasu, niczego więcej.

Po powrocie do domu z pogrzebu ojca Madeleine znalazła na dywanie zwinięty list oraz świecę. Przeczytała zapisany zwój. „*Ma bien aimée*, Niech ta świeca umila ci czas. A gdy wypali się do końca, poproś mnie, żebym dzieliła z tobą życie, a ja oddam tobie wszystko, co posiadam. Ale, proszę, nie zastanawiaj się zbyt długo. Chcę mieć dzieci. Może też w ogóle nie zechcesz zapalić tej świecy. Ona pomoże ci zdecydować, gdyż ja nie potrafię. *À bientôt, O.*”.

Jest środek dnia. Madeleine włącza komputer i zapala świecę, a po skończonej pracy zdmuchuje ją. To powtarza się dzień po dniu, przez miesiąc, a w tym czasie *Kobieta na opak* zaczyna nabierać kształtu.

Madeleine nie czuje się nieszczęśliwa. Coś ma już za sobą, może do tego nigdy nie wracać. Czy to oznacza, że w końcu dorosła? Czy dorosłość przychodzi wraz z wiedzą, że są rzeczy, z którymi człowiek wziął się za baty i których nie zdołał pokonać? Wraz z pogodzeniem się z nimi, polegającym na tym, że pozwala im się spoczywać w pokoju - niczym jakiemś stworzeniu w śpiączce? To dojrzałość? Czy po prostu życie? Gdyby ujawniła wszystko, co wie, mogłoby to zranić wiele osób. Mogłoby straszliwie zranić jej matkę. Komu przyniosłoby pożytek? Ricky jest na wolności, cieszy się nią od wielu lat. Zresztą i tak nikt nie wierzył, że on to zrobił. Po co odgrzebywać przeszłość?

Pewnego ranka na początku sierpnia Madeleine jedzie rowerem do apteki i kieruje się do okienka pocztowego, żeby nadać polecony list do Olivii. O wraca do domu za dwa i pół tygodnia. Madeleine sięga do kieszeni wojskowych spodenek po pieniądze i wyciąga zmięte awizo informujące o „pierwszym terminie” odbioru przesyłki pocztowej. Ciekawe, dlaczego nie dostała zawiadomienia o „ostatnim nieprzekraczalnym terminie”? Wręcza je urzędującej za ladą Koreance.

- Mogę to jeszcze odebrać?

Starsza pani wsuwa głębiej okulary na nos, uśmiecha się i kiwa głową. Znika na zapleczu i po kilku chwilach wraca z paczką wielkości pudełka płatków śniadaniowych. Podaje ją Madeleine.

- Babeczki od mamy.

- Pewnie tak - uśmiecha się Madeleine. - Chce pani spróbować? Ciekawe, czy jeszcze są świeże.

Rozpakowuje paczkę, mocując się z taśmą maskującą, użytą w ilości, która wystarczyłaby nawet na sklejenie pierwszej bomby atomowej. Miała rację. Karton po płatkach z otrębami. Starość nie radość. Otwiera pudełko, wsuwa do środka rękę i wyjmuje

kapelusz lotniczy ojca.

- Oooo - dziwi się starsza pani.

Spłowiąły niebieski kolor, niemal szary. Wytarta korona z czerwonego welwetu okrywająca odznakę lotnictwa. Zaśniedziały złoty wężyk i czujny albatros ze skrzydłami rozpostartymi w locie.

- Bardzo ładny - stwierdza Koreanka.

- Dziękuję.

Madeleine wraca do domu i zapala resztkę świecy. Czeką, aż wypali się do końca. Potem wychodzi po samochód.

Wrzuca kapelusz ojca na tylne siedzenie, wsiada i odjeżdża.

*Hej-ho, na wyprawę w daleki świat,
wędrowcy dwaj,
a świat niezmierny jest.
Po widnokregu kres niech brzmi ta pieśń,
a ty mnie nieś,
mój wierny towarzyszu...
Księżycowa Rzeka i ja.*

Jedzie, gdyż droga sama ją ciągnie. To jedna z tajemnic Ameryki Północnej: tutejsze drogi wytwarzają swój własny napęd w zetknięciu z gumą opon, oddziaływają na podwozie. Kierownica sama obraca się jej w rękach, Madeleine nie musi kierować, może zdać się na koła, które podążają za łukiem zakrętu; samochód zna cel podróży, tak jak droga. Dajmy się ponieść. Zobaczmy, dokąd zaprowadzi nas droga.

Witamy w Kitchener, niedysyjszym Berlinie. Wszystkie miejscowości noszą nazwy prawdziwych miast istniejących gdzie indziej - dać im trochę czasu, a same staną się rzeczywiste na swój sposób. Do Londynu lewym pasem. Stratford następny zjazd. Madeleine zjeżdża z autostrady. Witamy w Nowym Hamburgu, Dublinie, Paryżu... Za oknami samochodu kukurydza pławi się w słońcu, lśnią ulistnione łodygi w niekończących się zielonych rzędach. Wzdłuż krętej szosy ciągną się szpalerem dęby i wiązy. Żyzne pola wybrzuszą się, każą wierzyć w to, że ziemia naprawdę jest rodzaju żeńskiego, a jej ulubionym pożywieniem jest kukurydza.

Z czterech stron świata przez pola i obszary leśne przedzierają się stalowe szkielety, niczym żołnierze maszerujący w kolumnach, ciaśniejszych, im bliżej bazy, która mieści się niedaleko stąd na południu. Napięte przewody rozwieszono między ich rozpostartymi

ramionami brzęczą w rytmie, który dyktuje im tempo marszu. Zmierzają do swej podziemnej twierdzy przy wodospadzie Niagara, gdzie turbiny wielkości domu zasilają serce gospodarki dwóch najpotężniejszych demokracji świata, najbliższych krewnych, rozsyłając prąd na południe i na północ od najdłuższej niestrzeżonej granicy świata. „Tych, których natura tak ze sobą złączyła, niech nikt nie waży się rozdzielać”.

Witamy w Lucan... Próżno by szukać tam teraz słynnego grobowca - zniknął, niemal doszczętnie ogołocony, kamień po kamieniu, przez turystów. Usiądźcie wygodnie i podziwiajcie piękne widoki. Myślcie o przyjemnych rzeczach. Uwierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony... Kodak... Ceną grzechu jest śmierć...

Liściaste drzewa, rozłożyste, niczym okazałe rezydencje, malowane klony naznaczone z boku zieloną smugą mchu, długie, ponadkilometrowe podjazdy do farm, fantazyjnie obramowane okna w domach mieszkalnych. Swojski zapach krowich placków, drażniący odór świń, ostra woń kur. Wyczuwa się zwierzęta, ale obecnie rzadko się je widzi lub słyszy. Czerwone obory, schludne, wyszorowane, okrążone przez tajemnicze podłużne niskie baraki. Tam zostały przeniesione zwierzęta, jedzą i wydalają w ciemnych, pozbawionych okien pomieszczeniach. Ale nie wszystkie. Gdzieś tam można dojrzeć blade świnię przy korytach, krowy na pastwiskach, które mrugają, bezskutecznie opędzają się od much i wiodą swój powolny żywot. *McDonald's następne skrzyżowanie...*

Wyblakły różowy lodowy rożek pochyla się ku poboczu, łuszczy się farba na nieczynnej od dawna białej budce z ladą. Rożek wciąż przystrojony jest w spiczastą czapkę, *Zabawa już się skończyła?*

Dookoła popołudnie sięga zenitu. Sierpień to pora, w której objawia się prawdziwa światłość lata. *Texaco to pewność i zaufanie.* Za oknem migają zakurzone dystrybutory paliwa, na drzwiach błyska jaskrawy plakat z butelką 7UP, butelka zawisła w powietrzu kusząco przechylona, perlą się na niej kropelki wilgoci. Madeleine jedzie dalej. Słońce ustatkowało się po drugiej, popołudniowej stronie widnokregu, łagodne i wielkoduszne, ale jeszcze daleko do schyłku dnia. Zalety obu światów.

Napawaj się słodkim zapachem trawy. Popatrz, jak siano na polach mieni się niemal purpurowo; poczuj, jak ziemia w tych stronach faluje pod kołami samochodu, łagodnie rozkołysana niczym morze w słoneczny dzień. Chmury wdzięcznie się przesuwają, piętzą się drzewa, od dawna wrosłe w tę ziemię; lasy wabią opowieścią; szemrzą niezliczone istnienia, które wiodły tu życie; ścieżki snują się niczym wątki, i sama droga, nieustannie ginąca z oczu za zakrętem, nęci niczym bazarz i zapewnia: „Podążaj za mną, a ja zawiodę cię w głąb opowieści, wszystko jest tak, jak trzeba. Gdyby było inaczej, czyż byłabym tu, żeby

opowiedzieć tę historię?".

Jesteśmy niemal u kresu.

Madeleine stoi w prażącym słońcu i rozgląda się. Betonowa nawierzchnia jest spękana. W szarej płaszczyźnie, odkształconej od tak wielu zim, wryte są krzywe linie niechlujnego zielonego porostu. Dokonuje się stopniowe zawłaszczanie płyty lotniska przez szachownicowy krajobraz, który zapewniał tyle miejsca do bezpiecznego lądowania w razie awarii. Przed Madeleine rozpościerają się trójkątne ramiona pasów startowych, rozedrgane od gorąca.

Z tyłu mającą ciche potężne hangary, nadal białe, ale zaniedbane, wznoszące się wśród brudu i chwastów, które zadusiły żywopłoty. Ludzie nie mają pojęcia, co tutaj kiedyś się mieściło, chyba że zadadzą sobie trud i sprawdzą. Duch z czasów drugiej wojny światowej. Przeżytek z okresu zimnej wojny. Nawet zdjęcia na filmie Kodaka w końcu blakną i właśnie ten proces dotknął to miejsce.

Madeleine przejechała powoli przez osiedle mieszkalne i bazę, zatrzymując się dopiero na lądowisku. Basen, pusty. Kryte lodowisko, kino, baraki, biurowce - betonowe schody wypuszczają zielone pędy trawy, czarne metalowe bariery przechylają się, przeżarte rdzą, obłuzowane niczym chwiejące się zęby. Obok zakurzonych zielonych drzwi wciąż wisi szyld mesy dla podoficerów, emblemat lotnictwa niemal zupełnie wypłowiał w słońcu - dlaczego nikt tego nie zjął? Przecież nie ma już Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych. I tak, jak połączono w jedno różne siły zbrojne, tak dwie republiki niemieckie staną się jednymi Niemcami, ten dzień jest już bliski. Przystanie istnieć państwo, w którym Madeleine przyszła na świat.

Placówka RCAF Centralia to obecnie Park Przemysłowy Huron. Stanowi własność rządu, który gotów jest oddać go tanio w dzierżawę przedsiębiorstwom skłonny przenieść się i stworzyć tutaj miejsca pracy. Podobno produkuje się tu okna, ale Madeleine nie widziała tu żywego ducha, nie słyszała żadnych odgłosów.

Zniknęły kościoły. Rozjechane przez buldożery. Podobny los spotkał mesę oficerską. Na jej miejscu stoi rażąco nowy budynek z brązowej cegły, ze spadzistym dachem i przydymionymi oknami, à la Darth Vader. „Szkoła Międzynarodowa”, głosi rządowa tabliczka na jedynym zadbanym trawniku. Nie ma to nic wspólnego z wyrobem okien. Odpowiednio mgliście określone, odpowiednio oddalone od tych, którzy mogliby dociekać, co kryje się za przyciemnianymi szybami czy drętwą oficjalną etykietką.

Ani śladu zaparkowanych samochodów. Kort tenisowy dzieli los płyty lotniska, jego

metalowe ogrodzenie straszy poszarpane i pogięte. Nazwy ulic wciąż są te same: dziesięć prowincji Kanady, dwie kultury założycielskie i słynni ludzie, którzy bezgranicznie się poświęcali w obronie naszej wolności. Zachowały się jeszcze znaki, pordzewiałe, wykrzywione, wymierzone w niebo, w ziemię. Canada Avenue. Alberta Street. Ontario, Saskatchewan, Québec... Ale spitfire'a już nie ma.

W byłych SKR-ach można spotkać, jak kiedyś, domy we wszystkich kolorach tęczy, ale widać, że od dawna nie były malowane. Ich mieszkańcy powyjeżdżali na urlopy, a niektóre może w ogóle nie są zasiedlone. Kilka osób przyglądało się Madeleine, kiedy wolno przejeżdżała, ale nikt jej nie pomachał. W parku nie ma już huśtawek ani bujawek, lecz między domami nadal widać wąskie asfaltowe ścieżki. Trawiaste kręgi pozostały, ale w niczym nie przypominają rozległych pól zachowanych w pamięci. A to wzgórze, z którego zbiegała na oślep - lekka pochyłość, nic więcej.

Krzew, który na wiosnę wyglądał jak obsypany białym konfetti, już nie rośnie przed ich starym białym domem - dużo mniejszym, niż go zapamiętała, podobnie jak purpurowy dom po drugiej stronie ulicy. Wolno, na pierwszym biegu, przejechała ulicą St. Lawrence w stronę szkoły, mijając zielony bungalow po lewej. Szkoła ledwie o żabi skok od jej dawnego domu, a wtedy wydawał się to taki długi spacer. Zatrzymała się na parkingu w pobliżu boiska do baseballu. W polu widzenia nic się nie poruszyło, nawet linka na maszcie flagowym.

Jak to miejsce się uchowało? Dwie godziny jazdy z Toronto - mogła tu przyjechać w każdej chwili. *Centralia*.

Wysiadła z samochodu. Zajrzała przez okno do środka swojej dawnej sali. Nowe ławki. Na ścianach inne obrazki. Komputer. Mapa polityczna świata, która od jej czasów uległa tylu zmianom. Próbowwała otworzyć boczne drzwi, ale były zamknięte na klucz. Zresztą co by tam w środku znalazła? Nic, co przez te dwadzieścia trzy lata było tak bliskie jej sercu. Obeszła budynek, do frontowego wejścia prowadziły znajome schodki. Przykładając stulone dłonie do oczu, zajrzała do środka przez przeszklone dwuskrzydłowe drzwi: oprawione zdjęcia myśliwców odrzutowych wciąż otaczały portrety królowej i księcia Filipa, ciągle młodych.

To miejsce, Park Przemysłowy Huron, wydzierzawiane przybyszom, którzy osiedlają się tu na krótko: to ich dom, tworzą może jakąś społeczność, wychowują dzieci, pożyczają sobie cukier, pozostają ze sobą w kontakcie po wyjeździe... Ale dla Madeleine to miasteczko-widmo.

Stoi na opuszczonym lądowisku. Jej rodzice, kiedy tu się przenieśli, mieli niewiele więcej lat, niż ona teraz. Przysłania oczy i spogląda w stronę kępy dłuższej trawy za

spieczoną betonową płytą, porastającej rów, w którym utkwiał samolot ojca. Dla niej to była rodzinna historia, *Tato, opowiedz o tym, jak rozbił się twój samolot*. Stał się jej częścią, ten mit o nieuchronnym poznaniu się jej rodziców po to, aby dać początek jej i Mike'owi. I nasuwający się sam wniosek: gdyby nie ten wypadek, tata pewnie poległby na wojnie... *dwóch na trzech lotników nie wróciło z wojny*. Nie miał jeszcze osiemnastu lat. Mike skończył dziewiętnaście.

Zmrużonymi oczami spogląda w stronę wieży kontrolnej, tak maleńkiej z dorosłego punktu widzenia. Widać stąd nawet dachy domów mieszkalnych w SKR-ach. Taki mały świat. Jak ona postąpiłaby na miejscu rodziców? Czy zdobyłaby się na przekonanie „Stanowimy rodzinę”, dokądkolwiek się przeniesiemy? „Oto kim jesteś”, bez względu na to, jacy ludzie cię otaczają, „to jest twój ojciec, najlepszy człowiek i najmiłszy tatuś pod słońcem”? Taki wielki świat. „Kiedy dorośniesz, możesz zostać, kimkolwiek zechcesz”. Czy wyrzeszałaby z siebie tyle zapału, robiła pamiątkowe zdjęcia, rozpakowywała pudła, postawiła małą rodzinę w centrum tego wielkiego świata? Wzięła na siebie rolę jej opoki? Nadała sens temu wszystkiemu?

Tato, czy oni zamierzają wysadzić cały świat w powietrze?

Nieeee.

Czterdzieści lat podróży. Historia Mimi i Jacka. *Tyle miłych wspólnie przeżytych chwil*.

Słońce pali bezlitośnie. Stara płyta lotniska biernie czeka, pomnik wojny. Może dlatego Madeleine jest taka wzruszona. Te pasy betonu upamięniają burzliwe stulecie. Masowa mobilizacja. Zbiorowa pamięć. Ciężkie straty.

Przypomina sobie, że widziała budkę telefoniczną na skraju placu defiladowego, w pobliżu dawnego supermarketu. Ciekawe, czy jeszcze działa. Madeleine odwraca się i odchodzi.

Wybaczyła swoim rodzicom.

Aparat w budce, z archaiczną tarczą do wybierania numerów, przyjmuje dziesięciocentówki. Cienka książka telefoniczna ma stronicę z pozaginanymi rogami, wiele jest wydartych, ale można jeszcze z niej korzystać. Madeleine wertuje kartki, na których widnieją znajome nazwy miejscowości - Lucan, Clinton, Crediton...

Trafia na jego nazwisko wśród mieszkańców Exeter. Przetrzęsa kieszenie spodnek - okruszki, klucze, tampon, dziesięciocentówka.

Wykręca numer i opiera się dłonią o przeszkloną ścianę, czekając na połączenie.

- Halo? - Kobięcy głos, ściśnięty, ale miły. Bizneswoman.

- Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z inspektorem Bradleyem?

- O mój Boże...

Madeleine dochodzi do wniosku, że znów zadzwoniła do umarłego, ale jej rozmówczyni ciągnie: - ...proszę chwileczkę zaczekać, a ja... Czy mogłabym wiedzieć, kto mówi?

- Madeleine McCarthy.

- Sekundę, Madeleine - po czym zwraca się do kogoś w pokoju, jej głos w słuchawce cichnie: - Tom. Tom?... dzwoni ...spektora Bradley'a.

Powie mu o wszystkim. O panu Marchu. O swoim ojcu. Ricky odzyska dobre imię. Tak trzeba.

- Słucham. - Rzeczowy, męski głos.

- Inspektor Bradley?

- Nie ma tu takiego, jestem tylko ja, Tom Bradley, na emeryturze. W czym mogę pani pomóc?

- Tu Madeleine McCarthy. - Ma przed oczami płaszczyzny jego twarzy, zarys ust bez cienia uśmiechu, i czuje się, jakby znów kłamała.

Bradley odpowiada po namyśle: - Ja panią znam...

Madeleine domyśla się, że zapewne nie z występów w Telewizji po Lekcjach.

- Zeznawałam na procesie Ricky'ego Froelicha.

- Właśnie.

Milczenie. Teraz ona musi odbić piłeczkę.

- Mam nowe informacje.

- Cóż, młoda damo, ja jestem na emeryturze, ale mogę pani podać numer...

- Byłam uczennicą pana Marcha, ja i Claire... Był naszym wychowawcą w czwartej klasie. - Słyszysz w słuchawce westchnienie. - Myślę, że to on jest za to odpowiedzialny.

- W jakim sensie „odpowiedzialny”?

- To on jest sprawcą. To on ją zamordował.

- Wolałbym, żebyście wy dziewczyny lepiej skoordynowały swoje działania.

- Co pan na myśli?

- Pani i jeszcze jedna dziewczyna, jak ona miała na imię, Deanne, Diane jakaś tam...

- Diane Vogel.

- Otóż to. Zadzwoniła do mnie rok temu, chciała wnieść oskarżenie.

- Przeciwno panu Marchowi?

- Zgadza się. Pani też z tą samą historyjką?

- To nie historyjka, to się naprawdę wydarzyło...

- Być może...

- On nas zgwałcił. Grace i Sarę też, to dlatego skłamały. Zmuszał nas do zabaw w duszenie...

- Nawet jeśli...

- To on to zrobił.

- No dobrze, proszę posłuchać, po pierwsze, to miało miejsce prawie dwadzieścia pięć lat temu...

- I co z tego?

- Po drugie, on już nie żyje, co zupełnie zmienia postać rzeczy, prawda? Po trzecie...

- Wielkie dzięki, koleś. - Wynajmę adwokata. - Żegnam.

- Czekaj! Czekaj. Po trzecie: on miał alibi.

I Madeleine natychmiast się domyśla. Tamtego dnia na szkolnym dziedzińcu. Przed wieczorną uroczystością pasowania na harcerki.

- Ludzie wciąż to wywlekają, mam już tego dość. Zrobiłem to, co do mnie należało... - ciągnie Bradley.

Rozbrzmiewa jej w głowie urywana melodia unosząca się w powietrzu, dobywająca się z okien sali gimnastycznej. Nijakie puzony, nieśmiałe oboje i flety - szkolny zespół katujący piosenkę. Jej dźwięki dolatywały do niej i Colleen, gdy wylegiwały się na trawie na boisku i podjechała do nich Claire na różowym rowerze. *To świat pełen łez i świat pełen śmiechu...*

„Pojedźcie ze mną na piknik?”. W koszyku przy kierownicy tkwiło firmowe pudełko z lunchem. Dwie różowe wstęgi. *To świat pełen nadziei i świat pełen strachu...*

- Po fakcie każdy jest mądry - mówi Bradley. - Wasze pokolenie...

Jest dość, by się podzielić, czas, byśmy wiedzieli, to w sumie mały świat... Pan March dyrygował zespołem, stojąc przy pianinie i wybijając głośno akordy w dziwnych odstępach, co stwarzało wrażenie, jakby co kilka taktów utwór się kończył.

„Poszukamy gniazd”, powiedziała Claire.

- ...cholernie lubicie nas rozliczać z wszystkiego, co zrobiliśmy - mówi Bradley, przybierając piskliwy ton.

Claire odjechała sama, a kiedy Madeleine i Colleen stamtąd odchodziły, zespół nadal grał. Pan March był w sali gimnastycznej na próbie, która zawsze kończyła się o wpół do piątej. Madeleine wiedziała o tym. *To w sumie mały świat, to w sumie mały świat, to w sumie mały świat...*

- ...ale coś wam wyjaśnię - mówi Bradley - działaliśmy w oparciu o to, co wtedy mieliśmy...

...to mały, mały świat.

- Dziękuję panu, panie Bradley.

- Chwileczkę, jeszcze nie...

Madeleine odkłada słuchawkę. Inspektor Bradley przeszedł na emeryturę. Nigdzie mu się nie spieszy. Za to ona ma tylko trzy godziny na to, żeby dotrzeć do Tobermory, na końcu półwyspu Bruce, wzdłuż którego biegnie cieśnina łącząca jeziora Superior z Huron. O ile chce zajechać na miejsce za dnia. Otwiera przeszklone drzwi budki i czuje, jak zaczyna schnąć jej spocone czoło.

Przez chwilę nie może sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód. Ale dostrzega go, za hangarami, na migoczącej nawierzchni lądowiska.

Madeleine staje przed oczami wizja, w której smoła w spoinach między betonowymi płytami przykleja się do opon jej samochodu i czarne lepkie macki nie pozwalają jej opuścić Centralii. Biegnie do samochodu, zapala silnik, wrzuca bieg i jej garbus zrywa się ochoczo naprzód, prychając jak samochodzik Noddy'ego.

Madeleine nie widzi białych budynków niknących po obu stronach Canada Avenue, nie widzi rysującej się przed nią pustej strażnicy. Wszystko migocze i rozplywa się dookoła niczym miraż, jej kora wzrokowa przejęła stery i ona wyprowadzi ją z tej starej bazy, powiedzie do celu, bez udziału jej świadomości, ponieważ Madeleine oczyma duszy dostrzega zupełnie inny obraz. Wypełnia cały ekran, filmowany od dołu w nasyconych, soczystych barwach wczesnych lat sześćdziesiątych, niczym ilustracja z dawnego podręcznika. Tylko że to nie jest fotografia ani rysunek. Wieje lekki wiatr. Muska długie żdźbła trawy, głaszcze liście na wysokim wiązcie, gdzie od świeżego listowia w dwóch, trzech miejscach odcinają się czarne plamy wron. Unosi złociste loczki dziewczynki po prawej stronie. Sary. Pieści kosmyki dziewczynki po lewej. Grace. Igra z rąbkami ich sukienek, okrywających białe niewinne kolana. Między nimi stoi pan March ubrany w szary garnitur. Trzyma obie dziewczynki za ręce, w jego okularach odbija się słońce. Cała trójka spogląda do góry i w prawo, na słoneczny błękit nieba. Potem pan March znika i dziewczynki zostają same.

Madeleine przejeżdża przez starą bramę, gdzie jej ojciec zawsze salutował wartownikowi. Mija wyrwę po cokole, z którego zrywał się do lotu spitfire. W powietrzu czuć zapach smoły i żywicy. Madeleine patrzy na czubek słupa telefonicznego. Z kłębowiska słomy i gałązek sterczą zardzewiałe usta syreny przeciwlotniczej. Wciąż tam tkwi, tak jak

wrony, które zagnieździły się tam przed laty. Od 1962 roku syrena nie wydała dźwięku, więc nie musiały się przenosić. Tyle lat upłynęło w pokoju.

Skręca w szosę nr 4. Przejedzie przez Exeter, Clinton, Goderich... kurz wzbijający się za jej samochodem będzie się złocił w promieniach słońca, jezioro będzie mrugać zza wydm, kryształowo błękitne, sosny będą rosły coraz gęściej, krajobraz stanie się bardziej skalisty i imponujący, ale ona nie będzie tego oglądać. Zobaczy natomiast, co wydarzyło się po tym, jak pan March zniknął z obrazka.

Prawda zawsze była obecna. I o wiele smutniejsza, niż Madeleine sobie wyobrażała. Ale już teraz wie: nigdy nie doszłoby do tego, żeby to ona leżała na tej udeptanej ziemi zamiast Claire.

- Nie chcemy cię skrzywdzić. Bo nie chciały.

- Chcemy ci tylko coś pokazać.

- No właśnie, Claire.

Dały jej jajko rudzika. Claire wzięła je z dłoni Sary, skorupka była nienaruszona. Chłopcy nie potrafią obchodzić się z kruchymi przedmiotami, ale dziewczynki umieją zachować ostrożność. Sara mówi, że wie, gdzie jest ich więcej.

- Tam są żywe - dodaje Grace.

Claire ostrożnie trzyma jajko, puste, lekkie jak piórko, i rusza za Sarą i Grace. Po drugiej stronie wąwozu ciągnie się pole kukurydzy, a dalej jest łąka, gdzie przy odrobinie szczęścia można zobaczyć sarnę - jeśli jest się cicho. A z łąką graniczy las.

- Tam właśnie są gniazda - mówi Sara.

Wspinają się po zboczu. Sara prowadzi, Grace pozwala Claire iść przodem.

Rozbzykane popołudnie, ciepłe jak na kwiecień. Szmer potoku niedawno wyzwolonego z oków lodu. Cykanie owadów w trawie. Odgłosy słońca.

Wchodzą na pole kukurydzy, idą gęsiego między świeżo zaoranymi zagonami, uważając na zeszlóroczne kaczany sterczące z ziemi jak kości. Za plecami Claire Grace, w marszu, zaczyna wirować dookoła własnej osi.

- Zrób tak, żeby ci się zakręciło w głowie, a potem popatrz na niebo - mówi Grace.

Claire naśladuje koleżankę. Obie z Grace śmieją się z głowami odchylonymi do tyłu.

Idąca przed nimi Sara odwraca się: - Hej tam, pospieszcie się, wy dwie, nie będę tu tolerować żadnego fiu-bździau.

Dostrzega kolbę kukurydzy, owiniętą pożółkłymi liśćmi. Podnosi ją - jest lekka, zmizerniała ze starości - i odrywa liście. Ziarna są zeschnięte, niektóre pociemniały jak popsute zęby. Sara już ma ją odrzucić, ale Grace wyrywa jej kaczan z ręki.

- Zgadnijcie, kim jestem - mówi Grace, z kolbą między nogami, poruszając nią w górę i w dół.

Claire uśmiecha się z grzeczności, ale odwraca się, zawstydzona. Sara przewraca oczami, zde gustowana, i rusza naprzód.

Grace woła za plecami Claire: - Ściśnij mój mięsień, dziewczynko. Śmieje się, udaje, że sika kaczanem: - Pśśś...

- Skończ z tymi chamskimi wygłupami, Grace - upomina ją Sara.

Grace wybiega przed Sarę, obraca się i zaczyna iść tyłem, spryskując się na niby sikami.

- Ostrzegam cię, Grace.

Grace znów idzie przodem, upuszcza kolbę, która przestała ją już bawić. Sara podnosi ją z ziemi.

Pole kukurydzy przechodzi w łąkę.

Nawet krowy się tu nie pasą, świeży porost przykrywają leżące pokotem długie źdźbła zeszłorocznej trawy, gdzieniegdzie widać pałki wąskolistne - niektóre są złamane jak reje, z innych, rozszczepionych na kosmatych czubkach, wysypują się nasionka. Rozgniatane pod stopami maleńkie białe konwalie rozsiewają swój aromat, tu i ówdzie, niczym smugi niebieskiej farby, malują się zastępy dzwonek. Łąka leży odłogiem; za kilka lat może zamienić się w pole kukurydzy, a pole kukurydzy w łąkę. Grunt staje się lekko podmokły. Zbliżają się do lasu.

- To już tutaj? - pyta Claire.

Grace spogląda na Sarę, ale ta, z obojętną miną, kręci młynka kolbą.

- Jeszcze kawałek - mówi Grace.

Przed nimi - stojący samotnie, niczym wysunięty przyczółek lasu - wznosi się rozłożysty wiąz.

Claire zatrzymuje się. - Nie wolno mi wchodzić do lasu.

- Cóż, obawiam się, że nie masz wyboru, bo tam właśnie jest gniazdo - stwierdza Sara.

- Nie - mówi Claire.

- A czemu? - pyta Grace.

- Mamusia mi nie pozwala.

- Pole kukurydzy jest straszniejsze niż las, Claire - mówi Sara.

- Właśnie - przytakuje jej Grace. Ale Claire potrząsa głową.

Sara wzrusza ramionami. - Twoja strata, dziewczynko. No dobrze, to pokaż nam swoje majtki.

Claire zerka na Grace, ale ta patrzy na Sarę.

Claire uśmiecha się i podnosi grzecznie sukienkę, jakby chciała im wynagrodzić to, że nie zgodziła się pójść z nimi do lasu.

- O, ale ładne.

- Tak, naprawdę są ładne, Claire. Żółte motylki. Biała bawełna.

- Ściągaj je.

Claire ściąga. Lecz najpierw skromnie opuszcza sukienkę. W jej głowie odzywa się głos: *Nie zdejmuj majtek, kiedy ktoś cię o to prosi; to brzydko z jego strony o to prosić.* Ale wieje cudowny wietrzyk, a ona jest na polu, nie na placu szkolnym ani w pobliżu domów, gdzie zdjęcie majtek na pewno byłoby rzeczą naganną.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego zdejmuje majtki. Trudno to wyjaśnić, ale Claire robi to głównie dlatego, że potrafi. Jak gdyby istniała druga Claire, niewidzialna, nieustannie ściągająca majtki na żądanie. Więc ta Claire na łące może też to zrobić. Ponadto ma wrażenie, jakby to nie ona sama zdejmowała majtki, ale jakby to było coś, co po prostu się odbywało samo z siebie.

Zsuwa majtki do kostek i wyjmuje z nich stopy. Grace chichocze. Claire się śmieje. Sara podnosi majtki. Są ciepłe.

- A teraz pochyl się do przodu, dziewczynko - mówi Sara.

Grace chichocze, Claire się śmieje i biegnie przez trawę bez majtek. Jakie to cudowne uczucie. Takie ożywcze, jak pierwsze wyjście wiosną na dwór bez wełnianej czapki, odsłonięte kostki, przez całą długą zimę więzione w cholewach śniegowców, teraz, w półbutach, takie swobodne.

- Złap ją - komenderuje Sara.

Grace goni Claire, która jest zachwycona tym, że ma towarzyszkę w tym wyścigu bez celu. Biegnijmy tak przed siebie, aż dotrzemy na zaklętą polanę. Tam przywita nas księżniczka elfów, która poczęstuje nas herbatą w łupinkach kasztana, a jej dworzanie będą mieli na głowach kapelusze z żółtymi. Grace biegnie ciężko - im dłużej ściga Claire, tym bardziej śmiech odbiera jej siły, ale ogarnia ją podniecenie i ono ją napędza; stopniowo dogania Claire, która uprzejmie zwalnia. Od wiązu dzieli je około pięciu metrów.

Sara podąża za nimi niespiesznie, uderzając kolbą w dłoń jak nauczyciel wskaźnikiem do mapy.

Claire staje pod wiązem i czeka na Grace, a ta chwyta ją za ramię.

- Auu - mówi Claire.

Grace spogląda do tyłu na Sarę. Claire szuka wzrokiem błękitnego jajka, które upuściła, kiedy Grace ścisnęła ją za ramię. Leży w trawie, skorupka wydaje się cała, ale Claire nie może się schylić, żeby je podnieść, bo Grace mocno ją trzyma.

- Przepraszam, Grace, mogłabyś mnie puścić?

Grace patrzy na Claire, jakby po raz pierwszy zdała sobie sprawę z jej obecności. Jej

oczy mają dziwny wyraz, podniecenia i lęku, jakby dostrzegła coś tuż za plecami Claire. Claire odwraca się, ale z tyłu nie ma nic prócz lasu.

- Pospiesz się, Sara! - wrzeszczy Grace, za głośno, gdyż Sara już niemal się z nimi zrównała. *Pospiesz się, Sara!*

Sara się nie śmieje. Na jej twarzy maluje się znużenie dorosłej osoby, która jest u kresu wytrzymałości, która już nawet się na ciebie nie gniewa, ale tym gorzej dla ciebie. Po prostu obrzydłaś jej na śmierć, to wszystko.

- Obrzydłaś mi na śmierć, dziewczynko - mówi Sara z miną wyrażającą zmęczenie i niesmak.

Claire chichocze - ciekawe, w co teraz się bawimy?

- Pochyl się i dotknij palców stóp - nakazuje jej Sara.

- Mm... ja nie chcę - mówi Claire. - Pobawmy się lepiej, udawajmy...

- Ogłuchłaś, dziewczynko?

Grace skrzeczy z uciechy i mocniej ściska ramię Claire, dwiema rękami.

- Mogę już wracać? - kwili Claire. - Chcecie pójść do mnie się pobawić?

Grace popycha Claire i ta się wywraca.

- Ostrzegałam cię - mówi Sara.

Rzuca majtkami prosto w twarz Claire. Grace skacze na nią, nie pozwala jej się podnieść. Naciąga majtki na twarz Claire i wrzeszczy: - Powąchaj swój tyłek!

Skrzeczy z uciechy.

Sara przygląda im się z bliska. Pod napiętym materiałem rysuje się nos i otwarte usta Claire. To jej nie wystarcza.

- Złaz z niej.

Grace wstaje, szczerząc się, oblizując językiem spękane kąciki ust. Claire leży bez ruchu.

Czubkiem kaczana Sara zdejmuje jej majtki z twarzy.

- Wstawaj.

Claire wstaje. - Muszę wracać do domu.

- Dobrze, Claire - mówi Grace.

- Złap Grace za szyję - komenderuje Sara.

Claire wykonuje polecenie.

- Ściśnij ją. Mocniej.

- Sa...!

- Przymknij się, Grace.

Claire puszcza Grace i czeka na następne polecenie.

- Sikaj - rozkazuje jej Sara.

Claire marszczy czoło. - Nie mogę - mówi i w końcu wybucha płaczem.

- Przytrzymaj ją tak, żeby się nie ruszała - mówi Sara.

Grace staje za plecami Claire, łapie ją za łokcie i wykręca do tyłu. Sara wsuwa kolbę kukurydzy pod sukienkę Claire i zaczyna wpychać.

- Au - jęczy Claire, zagryzając wargi. - Proszę, przestań, Sara.

Sara pcha mocniej i z piersi Claire wyrywa się skowyt. Wygląda to tak, jakby Claire się na to zgadzała, ponieważ mimo bólu, mimo strachu, nie wije się.

- Auaaaa - Claire nawet nie krzyczy, tylko skamle. Niczym dziecko, które z pokorą przyjmuje karę.

- Nie rób jej krzywdy, Sara - mówi Grace, nie zwalniając chwytu.

Ręka Sary prze w górę, ponieważ może. Claire krzyczy i zatacza się do przodu, ale Grace chroni ją przed upadkiem, przed zranieniem się. Sara przygląda się. Jakie to dziwne, że ktoś krzyczy z bólu, a ty stoisz tuż obok i niczego nie czujesz. Jakby pięć centymetrów od ciebie padał deszcz, a ty byłbyś zupełnie suchy.

- I po co tak wrzeszczysz, dziewczynko?

Sara wyjmuje kaczan spod spódnicy Claire. Widać na nim krew. Claire szlocha.

Grace puszcza ją. - No już dobrze, Claire. Hej, Claire, mogę zobaczyć twoją bransoletkę?

Sara wyrzuca kolbę w trawę. Zaraz podlatuje do niej ciekawska wrona. Claire, czkając, unosi nadgarstek i pokazuje Grace bransoletkę.

- Ooo, jeszcze takiej ładnej nie widziałam - mówi Grace, gładząc palcem ozdoby. - Mogę ją przymierzyć?

Claire potrząsa głową.

- Dobrze, nie przymierzę jej, to twoja bransoletka.

- Połóż się, dziewczynko - komenderuje Sara.

Claire się nie rusza.

- Ona nie chce - mówi Grace.

Sara wzdycha i z rezygnacją w głosie rozkazuje: - Duś ją, Sara.

Grace wykonuje polecenie, nie skrzeczy z uciechy z powodu błędu Sary, która pomyliła imiona, ponieważ tego nie zauważyła. Dusi i dusi.

Teraz Claire ma zdziwioną minę. Tak wyglądają ludzie, którym nagle przypomina się, co właśnie chcieli powiedzieć. Sara przygląda się.

Panuje cisza jak makiem zasiał. Grace już się nie szczerzy, to przestało być zabawą, przestało być czymkolwiek. Nic nie ma, tylko się robi. Cicho, cicho jak na dnie oceanu, rozdarła się powłoka powietrza, odsłaniając to, co zawsze kryło się za tą makieta powietrza, lasu, trawy, nieba - odsłaniając Nicość. Nie możesz przestać. Ty nic nie robisz.

To się dzieje samo, Grace nic nie robi, po prostu nie przestaje. Sara przygląda się.

Wszystko zamarło, pustka, nic się nie zmienia. To się dzieje samo, dzieje się, nic się nie dzieje, nie robi się nic, nie robi się nic, nic. W końcu Claire sika.

Grace puszcza ją, Claire osuwa się na ziemię.

Znów jest słoneczny dzień. Są na polu. Jest z nimi Claire McCarroll. Słysząc bzyczenie owadów, odgłos silnika samochodu dolatujący z pobliskiej drogi. Dziś wieczorem uroczystość pasowania. Zostaniemy harcerkami.

- Wstawaj, Claire.

Chociaż wschodzi młoda zielona trawka, we wspomnieniach Sary trawa będzie żółta. Grace zapamięta, że wydarzenie to miało miejsce na polu kukurydzy, chociaż wokół nie ma kukurydzy. Jest tylko wysoki wiąz. Prażące słońce. Kwiecień. Za dwadzieścia pięć piąta.

- Schowaj język.

Claire jej nie słucha.

- Podnieś się.

Claire nie reaguje na polecenie.

- Sara... - mówi Grace i zaczyna się kołysać. - Oooo, niieeee, Sara - jęczy. *O nie, Sała.*

- Przymknij się - zblazowany, znudzony głos nauczyciela, poprawiającego dyktando napisane na dwóję.

- Ooo - Grace odwraca się powoli, rwie trawę, pochyla się, obejmuje się w pasie. - O niieeee...

Sara łagodnie, niczym cierpiąca matka, kiedy wybryki jej dziecka się kończą i zastępuje je skrucza lub wyczerpanie.

- Nie bój się, Grace. Nikomu nie powiem.

Grace musi zrobić tak, żeby ładnie wyglądało. Poprawia sukienkę Claire. Składa jej ręce. Zrywa dzwoneczki, żeby zakryć jej twarz, bieluń, który ludzie często mylą z dziką marchwią, ale który przypomina misterną serwetkę. Sara dołącza się, krzyżując na piersi Claire dwie długie pałki wodne, bo przecież tak wypada.

- Ona śpi - stwierdza Grace i nachyla się, żeby pocałować Claire na dobranoc, ale nie może z powodu wyrazu jej oczu, zmieniającego się wyglądu jej twarzy. Grace podnosi z trawy jej majtki, żółte motylki na czystej białej bawełnie, i zasłania nimi twarz Claire.

Czas się stąd wynosić.

Zabierają rower Claire z Rock Bass, na zmianę jadą nim polną drogą aż do skrzyżowania z drogą okrężową.

- Jeszcze ktoś pomyśli, że go ukradliśmy - zauważa Sara.

Chowają go za wierzbą, opierając go o pień - w ten sposób rabusie go nie znajdą. Grace odczepia jedną różową wstęgę od kierownicy.

- Oddam ją później.

Tego wieczora Grace przysłała do Sary, ale Sara oznajmiła jej: - Nie mogę wyjść na dwór, jest za późno. Muszę odrobić lekcje, a potem idę spać.

Było ciemno. Grace jeszcze długo po zakończeniu uroczystości pasowania kręciła się przed domem Sary, przy podjeździe z wgniecionymi kubłami na śmieci. Sara zobaczyła ją z okna swojego pokoju na piętrze. Zastukała w szybę, potem otworzyła okno.

- Idź do domu, Grace! - syknęła.

Grace trzęsła się, jakby zziębnięta. Cóż, wieczory były jeszcze chłodne. Grace odeszła powoli, lecz nie w kierunku swego domu, po prostu przed siebie.

Pięć minut później znów zapukała do drzwi Sary. Matka Sary była niezadowolona. Dużo chorowała, a to naprawdę stawało się już uciążliwe.

- Sara - zawołała przez ramię, gdy Grace czekała na schodach wejściowych. - To znowu ta dziewczynka.

Sara podeszła do drzwi w szlafroku, wilgotne loczki przylgnęły jej do policzków.

- Czego chcesz? - zapytała przez uchylone drzwi.

A Grace odparła: - Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, prawda?

Pławda?

Sara nie zaprosiła jej do środka. Grace miała pokaleczone usta, szarpała wargami rękaw swego zuchowego mundurka. Sara dopiero co wyszła z kąpieli. Dziwiła się, jak to się stało, że zaprzyjaźniła się z taką niechlujną Grace Novotny.

- Nie wiem - powiedziała.

- Przecież jesteśmy, Sara!

- Nie drzyj się.

- Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami - wyszeptwała Grace.

- I co z tego?

- Wyjdź na chwilę.

- Nie mogę, już się przebrałam do spania.

Stały tak przez chwilę, Sara w uchylonych drzwiach, Grace na frontowym schodku; jej spojrzenie zaczęło błędzić.

- Sara, zamknij drzwi, w domu jest przeciąg - zawołała mama Sary z głębi domu.

- Muszę iść.

- Claire nie wróciła do domu - powiedziała Grace.

Sara obejrzała się za siebie i ściągnęła pasek swojego szlafroka.

- Jesteś niedorozwinięta czy co?

Grace wyglądała na zupełnie zbitą z tropu. Wyciągnęła rękę do Sary, ale ta się cofnęła.

- Sara...? - Głos miała drżący, oczy zaszyły jej łzami, kiedy spytała: - Co jej się stało?

- Zabiłaś ją, Grace, to jej się stało. A teraz wracaj do domu. I Sara zamknęła drzwi.

MÓJ WIERNY TOWARZYSZU..

Słońce jest już w połowie drogi do linii widnokregu, kiedy Madeleine wrzuca pierwszy bieg i jej garbus zaczyna wspinać się po kamienistej drodze w stronę domu z bali, coraz wyraźniej rysującego się za drzewami.

Ten dzień, zastygły w upale, tak jak całe to lato, zdaje się nie mieć końca. Drzewa wygrzewają się w filmowym świetle tak nasyconym, że każda igła z osobna połyskuje jak żywica na tle gorącego błękitu. Na górnych gałęziach jodły błyszczą, załamując światło, pajęczyna, a na czubku, wronim zwyczajem, siedzi wrona. Podatne na najłżejsze tchnienie wiatru liście brzozy odbijają słońce swoimi srebrzystymi spodami. Ptaki nawołują się śpiewem, intymnym i precyzyjnym. Madeleine ma świadomość, że wtargnęła do ich domu. W oddali, między szczupłymi, łuskowatymi pniami, mieni się błękitnym blaskiem jezioro Huron. Szczekanie psa. Kilku psów.

Dom stoi na wybrzuszeniu z różowego i szarego granitu - częśćce tarczy laurentyńskiej złagodzonej przez zachodzące słońce. Czy to możliwe, że to oszałamiające światło wczesnego zmierzchu może zmiękczyć skałę, głaszcząc ją dzień po dniu pastelowymi promieniami? Żyłki miki lśnią jak rozsypane diamenty, pęknięcia w powierzchni skały rzucają cień na kępy mchu, szarego, zielonego, złotego i czarnego, dom też o tej porze nabiera barwy wytrawionej ochry. Do drzwi frontowych prowadzi biegnąca zygzakiem drewniana rampa.

Zza węgła wybiega pies i ujadając, zbliża się truchtem do samochodu: uszy postawione, białoszara sierść, krzepka budowa. Odprowadza ją do ubitego placu, na którym stoi zaparkowana lśniąca półciężarówka marki Dodge. W otwartej szopie od posadzki aż po sufit piętrzą się stosy drewna na opał, jest też skuter śnieżny, poobijany lemiesz pług, narzędzia, łańcuchy na opony, do tego jeszcze skrzynie do przewożenia psów i uprzęże. W przeciwległym końcu na bloczkach stoi ford thunderbird, z maską otwartą niczym kłapa fortepianu, po posadzce walają się wyprute z niego bebechy silnika. Madeleine zatrzymuje samochód.

Pies ma w sobie coś z husky, sądząc po kształcie ogona i po głosie, jaki z siebie teraz wydaje, nie odrywając od niej ślepi - jedno oko ma niebieskie, drugie brązowe. Zza szopy wtóruje mu psi chór. Madeleine wysiada z samochodu, pies merda ogonem, ale znów szczeka,

zerkając w stronę domu, jakby czekał na znak, że może już sobie darować ten popis czujności psa obronnego.

Madeleine czuje zapach pieczonego pod gołym niebem mięsa. Przyjechała niezapowiedziana w samą porę na kolację. Po dwudziestu trzech latach.

Zza rogu wyłania się postać, wysoka, w dżinsach z obciętymi nogawkami, adidasach i koszulce. Szczupła i śniada.

Madeleine osłania ręką oczy. - Cześć, Colleen - mówi.

Pies przestał szczekać, ale jej nie odstępuje, czekając na instrukcje.

- To ja, Madeleine.

- Wiem.

Głos Colleen wciąż jest ostry, ale słychać w nim już ciężar dorosłości.

- Mogę wejść? - pyta Madeleine.

- Po co?

Madeleine się waha. Przypomina jej się ten odległy dzień, kiedy poznała Elizabeth i Colleen naskoczyła na nią: *Co jest? Nie możesz zwrócić się do niej po imieniu?* Elizabeth. Pewnie to dla niej ta rampa prowadząca na werandę.

- Przywiozłam wam coś - mówi.

- Co?

Coś, co należy do was.

Ani jedna, ani druga się nie poruszyła. Jakby czekały, która pierwsza zeskoczy z bujawki.

Opowieść.

Madeleine idzie do samochodu.

Co pozostało?

Historia, twoja albo jakaś inna, podobna, w której, niczym w zwierciadle, możesz rozpoznać siebie.

Pamięć. Różnorodna i pomieszana, składana, jak torba podróżna. Opowieść to pamięć w postaci przenośnej. Twoja pamięć, albo wiele innych podobnych do niej. Rozkłada się niczym namiot. Może pomieścić i osłonić świat.

Madeleine wyjmuje z samochodu lotniczy kapelusz swojego ojca.

Pamięć rodzi pamięć. Samo powietrze utkane jest tu z pamięci. Pamięć spada wraz z deszczem. Pije się pamięć. Zimą lepi się śnieżne anioły z pamięci.

Tyle pozostaje.

Jeden świadek.

Powiedz.

Po chwili Colleen znika za domem. Madeleine rusza za nią w towarzystwie psa. Kiedy zrównuje się z domem, w oddali, po prawej stronie szopy dostrzega stojący pośród drzew niski długi budynek z drewna. Od frontu widać kilkanaście drzwiczek, umieszczonych w jednakowych odstępach, niczym w miniaturowym motelu, w odcieniu myśliwskiej zieleni. Zadaszone łączniki prowadzą od drzwiczek na ogrodzony wybieg, porośnięty przyszczyżoną trawą i drzewami: psi raj. Osiem czy dziesięć dorosłych psów hasa za ogrodzeniem, same nowofundlandy, czarne albo złotobrazowe, wypychają nosy w siatkę, merdają ogonami.

Madeleine wychodzi na tyły domu. Krzywizna wypiętrzenia skalnego zasłania linię brzegową, więc różowy granit zestawiony jest bezpośrednio z płaszczyzną wody ciągnącą się aż po horyzont. Błękitna połać usiana jest skalistymi wysepkami płaskimi jak placki; rosnące na nich sosny, wygięte od wiatru, migocą w upale niczym palmy. Hen, daleko, powoli posuwa się naprzód prom kursujący między wybrzeżem a wyspą Manitoulin. A tam, gdzie wzrok już nie sięga, leży Michigan i Stany Zjednoczone.

Colleen, zajęta przy ruszcie, nie zaszczycza Madeleine nawet spojrzeniem. Madeleine podchodzi do skraju gładkiej skały i dostrzega w dole przystań. Woda omywa drewniane pale, jej tafla lśni blaskiem późnego popołudnia. Madeleine niemal słyszy dzwoneczki światła falującego złotem i srebrem, niczym tony wydobywane z ksylofonu. Przy pomoście kołysze się poobijana motorówka, na jej dnie walają się zapleśniałe kamizelki ratunkowe i ucięta butelka do wylewania wody z pokładu. Na brzegu odpoczywa przewrócony do góry dnem kajak, rzucający na skałę wydłużony cień godny łodzi wikingów.

Na końcu pomostu widać wózek inwalidzki. Siedzi na nim kobieta, zwrócona twarzą do jeziora. Lecz to nie Elizabeth. Ta kobieta ma długie połyskujące czarne włosy, proste, nieupięte. Zza krawędzi pomostu wyłania się głowa - dziecka. Dziecko podciąga się do góry, lśniące strugi wody spływają z jego nagiej piersi. Golusieńkie, z długim warkoczem przyklejonym do mokrych pleców, z głośnym klapnięciem opada na deski. Wstaje. To dziewczynka.

- Mamo, patrz! - krzyczy, podskakując na pomoście, i obraca się, żeby pognać z powrotem do wody, odciskając na srebrzystych deskach ślady mokrych stóp. Mija kobietę na wózku, odbija się od krawędzi i skacze „na bombę” do jeziora. Po zboczu pędzi jak strzała pies, wpada na pomost i daje nura za dziewczynką. W chwilę potem ukazują się oboje, jedno dyszy, drugie się śmieje. Madeleine przenosi spojrzenie na Colleen, obserwującą dziecko ze swojego posterunku przy ruszcie. *Mama.*

W dole, na pomoście obraca się wózek. Madeleine ze swojego stanowiska dostrzega

mięśnie rysujące się na przedramionach, opalonych i mocnych jak u Colleen, podwinięte czerwone rękawy, wytarte dzinsy opinające chude nogi. Kowbojskie buty. Siedząca na wózku osoba spogląda do góry, ręką zasłaniając oczy przed słońcem. Piękna gładka twarz, wydatne kości policzkowe, ścięgna na szyi wyrastające z wklęsnięcia między obojczykami. Podnosi rękę na powitanie.

Madeleine, z kapeluszem w ręku, schodzi nieśmiało po nagrzaną skalę, czując przez sandały, jak miła byłaby ona w dotyku dla bosych stóp.

- Cześć, Ricky.

Ściska jego dłoń. On przygarnia ją do siebie - jego ramiona nie mają tyle masy i siły, jak wydawało się w ukośnych promieniach słońca. Obejmuje ją.

- Co u ciebie, Madeleine?

- W porządku - odpowiada. - A ty jak się czujesz?

Każde inne pytanie też byłoby nie na miejscu.

- Nie narzekam.

Głos ma cieńszy, ale wyraźny. Jasny. Jak to możliwe?

- Jesteś piękna - mówi Ricky. Madeleine nie wie, co odpowiedzieć. To on jest piękny.

Czoło ma gładkie, jedyne ślady, jakie wrył na jego twarzy czas, to lekkie wgłębienia pod czarnymi oczami. Jest zarazem starszy i młodszy, niż był. Co się z nim stało? Madeleine ma ochotę go pogłaskać. Widzi, że Ricky patrzy na kapelusz w jej ręku.

- Jak się mają twoi rodzice? - pyta.

Madeleine przetyka łyżę. Nie jest przygotowana na dobroć. Już prędzej zniosłaby zawziętość Colleen.

- Zostaniesz na kolacji?

Ricky jedzie po pomoście do rampy biegnącej w poprzek skały. Kiedy toczy się naprzód, jego czarne włosy rozwiewają się i srebrzą w słońcu. Gdyby żył Mike, byłby o trzy lata młodszy od Ricky'ego.

Madeleine słyszy za plecami kłapanie stóp na pomoście, dziewczynka wyprzedza ją, rozsiewając kropelki, a za nią biegnie pies, który ociera się o Madeleine mokrą sierścią, roztaczając swój przyjemny zapach. Dziewczynka podnosi ze skały zmięty łachman, wsuwa go przez głowę i już jest ubrana w sukienkę.

Spogląda na Madeleine. - Cześć.

Jasnoniebieskie oczy, lekko skrzywione kąciki nadają im wyraz nieustannego rozbawienia. Czujność, jak u Colleen, ale pozbawiona podejrzliwości.

- Cześć - odpowiada i dodaje po namyśle: - Jestem Madeleine.

- A ja Vivien.

Dziewczynka podbiega do Ricka, łapie poręcz jego wózka i rusza razem z nim naprzód.

- No, zasuwasz - mówi Rick.

- Już się robi.

Madeleine próbuje za nimi nadążyć. Zatrzymują się w pobliżu domu, przy ogrodowym stole, pod którym stoi lodówka. Rick, powoli, ostrożnie skręca papierosa z tytoniu marki Drum.

- Czy ty występujesz w telewizji? - pyta Vivien. Madeleine jest zaskoczona. - Tak, czasami. Dziewczynka się śmieje i siada Rickowi na kolana. Rick wkłada do ust papierosa.

- Wszyscy myślą, że jesteś zabawna teraz, ale nie znali cię wtedy, co? - mówi, patrząc na Madeleine. Obiema rękami przypala zapalniczką papierosa.

Madeleine kładzie kapelusz na stół.

Rick wypuszcza dym, który miesza się ze świeżością wieczoru, z aromatem węgla drzewnego. Colleen piecze coś w aluminiowej folii. Pachnie cudownie.

- To kapelusz mojego ojca - mówi Madeleine.

- Czego się napijesz? - pyta Rick.

- Mamy piwo, dr peppera, mountain dew i mleko czekoladowe - informuje Vivien.

- Napiję się tego co wy.

Dziewczynka pędzi do domu. U stóp Ricka wali się ciężko pies, ciągle mokry i przyjaźnie wyszczerzony. Madeleine siedzi z twarzą zwróconą w stronę jeziora.

- To on machał wtedy do ciebie z samochodu - mówi.

To nic wielkiego. Słowa są takie znikome. Nie jest trudno je wymówić. Wcale nie przychodzi to ciężko.

Rick odwraca wzrok, jego spojrzenie podąża za smugą dymu płynącą w powietrzu w kierunku jeziora. Jego profil ma taką czystą linię, wyciętą najprecyzyjniejszymi instrumentami, oczy lśnią mu niczym kawałki czarnego bursztynu. Rick podnosi rękę i ociera oczy. Mógłby osiągnąć, co tylko by sobie wymarzył.

Za plecami Madeleine słychać skwierczenie, to Colleen przewraca zawiniątko na ruszcie. Madeleine też leca łyzy. Ponieważ sosny pachną tak wyraziście. Ponieważ jego twarz jest taka swojska. Ponieważ wciąż jest lato i wieczorne słońce starczy ci za całe ubranie, a do rozpoczęcia roku szkolnego jeszcze dużo czasu.

- Wiem, co wtedy się zdarzyło... - mówi Madeleine. A na szkolnym dziedzińcu chłopak z czerwonym skuterem przewozi na nim dzieciaki. - I chyba wiem, co stało się z...

twoim tatą.

Ale to już ponad jej siły. To, co stało się z panem Froelichem i jego dziećmi, które tak kochał, jest... ponad jej siły.

- Przepraszam - mówi Madeleine i wstaje. - Wyjaśnię wszystko w liście.

Już ma odejść, ale na drodze staje jej dziewczynka i podaje jej blaszany kubek.

- Dlaczego płaczesz?

Madeleine bierze kubek. - Och, to nic, tylko...

- Umarł jej tatuś - mówi Rick.

Dziewczynka obejmuje ją w pasie. Kiedy wreszcie Colleen oderwie się od tego rusztu i wbije jej w plecy nóż?

- Już dobrze, na zdrowie, Vivien - mówi Madeleine.

Stukają się kubkami. Madeleine pije. Napój ma okropny smak.

- Pyszne. Co to jest?

- Sama go wymyśliłam - odpowiada dziewczynka, wokół ust ma fioletowe wąsy od napoju. - Mountain dew i dr pepper, a do tego trzeba dosypać trochę prawdziwego pieprzu.

- Super.

Dziewczynka wraca do domu.

- Max - mówi Rick. - Przynieś panu zimne piwo.

Pies wstaje, podchodzi do lodówki, otwiera ją nosem, wyciąga puszkę piwa Moosehead i zanosi ją Rickowi.

- Dobry piesek - mówi Rick, otwierając z pyknięciem puszkę.

- Jak go tego nauczyłeś?

Rick wskazuje kciukiem na Colleen. - Ja jestem tylko królikiem doświadczalnym, ona jest geniuszem. Tresura psów-przewodników, rozumiesz? „Wyjątkowe umiejętności na wyjątkowe sytuacje”.

- Tresujecie psy, żeby przynosiły niewidomym piwo?

Rick się śmieje, Madeleine widzi, że Colleen uśmiecha się półgębkiem. W kąciek ta sama leciutka blizna. Ta sama rdzawa strzecha włosów.

Rick choruje na stwardnienie rozsiane. Rozpoznano je u niego kilka lat po tym, jak wyszedł na wolność. Do tego czasu pracował przy koniach.

- Na zachodzie - wyjaśnia.

W dole, przy brzegu jeziora, przelatuje nurzyk, muskając niemal powierzchnię wody. Wydaje z siebie przeciągły krzyk, w odpowiedzi rozlega się zaraz podobny, bardziej oddalony.

- Proszę! - mówi Vivien i wciska Rickowi gitarę niewiele mniejszą od niej samej. Rick wyciąga kostkę wsuniętą za struny, przytrzymuje ją zębami i zaczyna stroić gitarę. Lekko trąca struny.

- Już nie to, co kiedyś... Ale co nieco jeszcze potrafię zagrać.

- Jak tam twoja mama? - pyta Madeleine nieśmiało.

- Świetnie - odpowiada Rick. - Wciąż tak samo szalona, nic się nie zmieniła przez te wszystkie lata.

- Prowadzi zakład dla pomyleńców - wtrąca Colleen.

- Niezupełnie - mówi Rick. - To przytułek dla kobiet, które nie mają się gdzie podziać.

W Toronto.

- Niesamowite.

- Zajrzyj do niej, jak ci się powinie noga.

- Babcia jest kwakierką - mówi Vivien.

- A co z waszymi małymi braćmi?

- Rogerem i Carlem? - Rick kręci głową, uśmiecha się.

Colleen chichocze.

- Carl jest harleyowcem... - Rick urywa, nie może opanować wesołości.

Colleen, która rozgarnia węgle, też zaczyna się śmiać.

- A Roger jest gliniarzem.

Rick zaczyna brzdąkać na gitarze.

- A co z Elizabeth? - pyta cicho Madeleine.

Nikt jej nie odpowiada. Madeleine cieszy się, że nie dosłyszeli pytania. Lecz po chwili Rick mówi do swojej gitary: - Nie żyje, kolego.

Zaczyna grać melodię. Dziewczynka bierze dwie łyżki ze stołu i z poważną miną stuka jedną o drugą do rytmu.

- Lizzie zachorowała na grypę - mówi Rick.

- Za bardzo się smuciła, żeby wyzdrowieć - tłumaczy Vivien. - Teraz jest ze swoim psem Reksem.

Madeleine wstaje i podchodzi do Colleen. - Na mnie już czas. Wszystko wyjaśnię wam w liście. McCarrollom też przekażę wiadomość.

Colleen podnosi w końcu oczy i patrzy na nią. Oczy wilka. Madeleine przechodzi lęk, jak wtedy, gdy była mała.

Colleen sięga do kieszeni po nóż. Wytarta i poźółkła rękojeść z kości. Wysłużone zakrzywione ostrze. Rozcina folię, ze środka wylatuje para. Dwa duże pstrągi.

- Rick i Viv je złapali - mówi Colleen. Z powrotem zakrywa je folią i przenosi zawiniątko na półmisek. - Zabawna jesteś. Chyba wiesz o tym, co?

- Wiem, że to dziwne, ni z tego, ni z owego zjawiam się po tylu latach...

- Nie, miałam na myśli co innego... Jesteś dobra w tym, co robisz. - Colleen się uśmiecha, kładzie półmisek na stole. - Chcesz zobaczyć psy?

- Pewnie.

Rick i Viv śpiewają cicho: „Postawcie żagle na maszcie «John B.». Patrzcie, jak łopocze grot. Wezwijcie z łądu kapitana, bo do domu spieszo mi...”.

Colleen i Madeleine idą do psiarni. Miękkie pyski za siatką, rozszczekany chór. Colleen otwiera bramę i wyciąga otwartą dłoń do Madeleine. Widać na niej bliznę. Madeleine zaciska ją w swojej dłoni, puszcza i rusza za przyjaciółką. Psy nastawiają się, żeby je pogłaskać, liżą po rękach, ocierają wilgotne zęby o jej skórę.

- Teraz mi opowiedz - mówi Colleen.

Madeleine opowiada. To nie trwa długo.

Ryby są jeszcze ciepłe, kiedy wracają do stołu i dołączają do Ricka i Viv.

Wycie syreny przeciwlotniczej to wiązka dźwięków, które nie mają sobie równych w swej przeraźliwości. Podczas drugiej wojny jej wycie brzmiało przeraźliwie, ale teraz przerażało jeszcze bardziej, gdyż - dopóki się nie włączyła - był normalny słoneczny dzień. Po niebie fruwały ptaki, pola tętniły owadziim życiem, dzieciaki ganiały na rowerach. Wrzask syreny niesie się ponad brodzikami, w których chlapią się maluchy, i ponad ogrodowymi grillami, byłam tu przez cały czas, obwieszcza, mogliście się tego spodziewać. Przerywa dla nabrania oddechu, podejmuje swoją rozdzierającą pieśń, bolejąc nad swą niegodziwością, narastając w swej skardze, aż wszystko się w niej zaciera. Jest wszędzie - sprawia, że wszystkie miejsca stają się tym samym miejscem, wszyscy ludzie tą samą osobą. Biegnij, głosi, tam gdzie nie uświadczysz schronienia. Kiedy nadlecą samoloty, biegnij, ale tylko dlatego, że żyjesz i jesteś zwierzęciem.

A potem przestaje. Letnie niebo jest czyste. Włącz radio, telewizję. Wyjdź z piwnicy, wstań z ziemi. To wszystko przez ptaki. Wrony uwiły sobie gniazdo w syrenie na czubku drewnianego słupa telefonicznego, który stoi przy bramie niegdyś prowadzącej do bazy lotniczej w Centralii. Kto by pomyślał, że po tylu latach wciąż jeszcze jest sprawna?

Pracownicy służb komunalnych z pobliskiego Exeter wspinają się na słup, żeby usunąć gniazdo i zdjąć syrenę. W słomie połyskują strzępki cynfolii, kapsle, klucz - błyskotki, które wrony lubią gromadzić. I maleńki wisiołek od bransoletki. A na nim imię.

Claire.

OD AUTORKI

Do napisania tej książki zainspirowały mnie przede wszystkim cierpienia Stephena Truscotta, jego duch i odwaga.

W kilku miejscach w książce przytaczane są wypowiedzi w potocznym języku akadyjskim, odmianie francuskiego, jak również w dialekcie Michif. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie ma ścisłych reguł pisowni, ponieważ oparte są one na tradycji ustnej. W obu przypadkach zwracałam się po poradę do osób posługujących się tym językiem od urodzenia, i użyta tu pisownia oraz przekłady oparte są na ich doświadczeniu.

Dziękuję za hojną pomoc wielu osobom. Są to przede wszystkim Theresa Burke, Louise Dennys, Honora Johannesen, Malcolm J. MacDonald (pilot Royal Canadian Air Force, w stanie spoczynku), Alisa Palmer, Clay Ruby i rodzina Ruby-Sachs, Lillian Szpak i Maureen White.

Dziękuję również innym osobom prywatnym oraz instytucjom za bezcenne informacje, a także, w wielu przypadkach, za długie i zajmujące rozmowy. Są to: Irving Abella, Augustine Abraham, Ginette Abraham, Alice Aresenault i Bouctouche Museum, Margaret Atwood, Bnai Brith, profesor Stephen Brooke, profesor Chalk, redakcja, dawna i obecna, czasopisma „Chatelaine”, dr Trudy Chernin, Charles Clarke, Michael Claydon, profesor Ramsay Cook, Deb Cowan, Olenka Demianchuk, Ministerstwo Obrony Narodowej Kanady, Wydział Historii i Dziedzictwa Narodowego - a szczególnie Richard Gimblett, William Rawling, Isabel Campbell i Donna Porter, Mike Englishman, Hugh Halliday, Peter Haydon (kapitan Royal Canadian Navy, w stanie spoczynku), Geoffrey Hopkinson oraz pracownicy zbiorów archiwalnych Canadian Broadcasting Corporation, Malcolm Johannesen, Sigurd Johannesen (oficer Canadian Forces, w stanie spoczynku), Linda Kash, Dan Kaye (pilot RCAF, w stanie spoczynku), Douglas Mantry i Muzeum USAF, Anne-Marie Lau i Muzeum RCAF w bazie Trenton, Linda Laughlin, Lindsay Leese, John Hugh MacDonald (major, CF), Mary T. MacDonald (kapitan RN, w stanie spoczynku), Tricia McConnell, Henry Melnick, Montana, Narodowe Archiwum Kanady, Almark Books, Michael J. Neufeld i National Air and Space Museum, Smithsonian Institution, Ontario Archives, Ontario Institute of Studies in Education, University of Toronto Archives, Doreen Keizer (Girl Guides of

Canada), Danielle Palmer, Jacob Palmer, Gloria Peckam i Dog Guides Canada, Eric Price, producenci *It Seems Like Yesterday*, Jeanette Richard, Rick Rickards, Bill Randall (pilot RCAF, w stanie spoczynku) i Canadian Warplane Heritage Museum, Alti Rodal, David Rudd i Canadian Institute for Strategic Studies, Harriet Sachs, Andrea Schwenke, Centrum Szymona Wiesenthala, John Starnes, Gina Stephens, Dave Sylvester, Patrick Szpak, Betty Twena, Tulin Valeri, Cylla von Tiedeman, Lorraine Wells, Joseph White (pilot RCAF, w stanie spoczynku) i Zsa Zsa.

Dziękuję również pracownikom wydawnictwa Knopf Canada i Random House of Canada, zwłaszcza Ninie Ber-Donkor, Deirdre Molina, Scottowi Richardsonowi i Jen Shepherd. Szczególne podziękowania należą się Susan Broadhurst, a jeszcze szczególnie - Genie Gorrell.

Wiele zawdzięczam duchowi i dziełu Tiff Findley.

ŹRÓDŁA I PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania należą się następującym osobom i instytucjom. Dołożono wszelkich starań, aby dotrzeć do właścicieli praw autorskich. W przypadku stwierdzenia pominięcia czy błędu, proszę skontaktować się z wydawcą oryginału.

„To nasz ojczysty kraj, nasza rodzinna ziemia...” („This Land Is Your Land”), Słowa piosenki Woody Guthriego. TRO © Copyright 1956 (Renewed) 1958 (Renewed), 1970 and 1972. Ludlow Music, Inc., New York, NY. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

Słowa piosenki „Whatever Will Be Will Be” autorstwa Raymonda B. Evansa i Jaya Livingstona. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

„Poszybować hen po niebie” („Swinging on a Star”) - słowa piosenki Johnny'ego Burke'a i Jimmy'ego Van Heusena. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

„Księżycowa rzeka” („Moon River”) - piosenka Henry'ego Manciniego i Johnny'ego Mercera. Za zgodą właścicieli praw autorskich

Epigraf do „Witamy w Centralii” zaczerpnięty z musicalu *Camelot*. Słowa Alana Jaya Lerner. Muzyka Fredericka Loewe'a. Copyright © 1960 by Alan Jay Lerner and Frederick Loewe. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Myśl Jacka „Podczas pierwszego solowego występu czuwa nad tobą Bóg, później jesteś zdany tylko na siebie” („God watches over your first solo, after that you're on your own”) pochodzi z pracy Teda Barrisa, *Behind the Glory*. Toronto: Macmillan Canada, 1992.

Epigraf do „Za tych, którzy są ponad to wszystko” pochodzi z „Organization Theory: An Overview and an Appraisal”, „Journal of the Academy of Management”, t. 4, nr 4 (April 1961). Briarcliff Manor, NY: Academy of Management.

Epigraf do „Mayflower” pochodzi z sondażu Gallupa, „How America Feels”, „Look”, 5 stycznia 1960

„Niezapomniana, blisko czy daleko..." („Unforgettable"), słowa piosenki Irvinga Gordona. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

Epigraf do „Ach, ta słodycz", pochodzi z *Heloise's Kitchen Hints*. Englewood Cliffs, NJ: Prentice-Hall Inc., 1963.

Wiersz, który zaczyna się od „Zerwałem więzy ziemi z mozołem", („Oh, I have slipped the surly bonds of earth"), to „High Flight" napisany w 1941 roku przez Johna Gillespiego Magee, Jr., Amerykanina, który służył w lotnictwie kanadyjskim podczas II wojny światowej.

„Mówią o mnie wędrowiec", to słowa piosenki „The Wanderer" skomponowanej przez Ernesta Petera Maresca.

Fragmety artykułów z magazynu „Time", czytane przez Jacka, pochodzą z numeru 9, t. LXXX, z 31 sierpnia 1962.

Uwaga matki Wernhera von Brauna „Może pojedziesz i obejrzysz Peenemünde? Twój dziadek polował tam na kaczki" („Why don't you take a look at Peenemünde? Your grandfather used to go duck hunting up there") przytoczona w pracy Michaela J. Neufelda, *The Rocket and the Reich: Peenemünde and the Corning of the Ballistic Missile Era*. Cambridge, MA: Harvard University Press, 1995.

Epigrafy do „Oktoberfest" „Chowaj się w mig" pochodzą z artykułów Doris Anderson z numerów „Chatelaine" z lipca 1962 i lutego 1962.

Rymowanka, która zaczyna się „Był sobie mały żółw imieniem Nick („There was a turtle and his name was Bert"), pochodzi z filmu edukacyjnego *Duck and Cover*, nakręconego w 1951 przez Archer Productions, Inc. przy wsparciu finansowym Federalnego Urzędu Obrony Cywilnej USA.

Wypowiedzi prezydenta Johna F. Kennedy'ego dotyczące kryzysu kubańskiego zaczerpnięte są z jego wystąpienia telewizyjnego w dniu 22 października 1962.

Epigrafy do „Nie potrafię kłamać" i „Elastyczność reakcji" pochodzą z zapisów przytoczonych w pracy Ernesta R. Maya i Philipa D. Zelikowa, *The Kennedy Tapes: Inside*

the White House During the Cuban Missile Crisis. Cambridge, MA: Belknap Press of Harvard University Press, 1997.

Piosenka „Gdzie podziały się wszystkie kwiaty” („Where Have All the Flowers Gone?”) autorstwa Pete'a Seegera. Wszelkie prawa zastrzeżone. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

Komentarz Normana DePoego na temat rozładowania napięcia wokół kryzysu kubańskiego wygłoszony został w telewizji CBC 28 października 1962.

Epigrafy do „Babie lato” i „Requiem” pochodzą z podręcznika Mary Eleanor Thomas, *Developing Comprehension in Reading*. Toronto: J.M. Dent, 1956.

„Bei Mir Bist du Schön”, słowa piosenki Jacoba Jacobsa do muzyki Sholoma Secundy. Angielska wersja autorstwa spółki Sammy Cahn & Saul Chaplin. Wszelkie prawa zastrzeżone.

„Postawcie żagle na maszcie *John B*” f „Sloop John B”), słowa piosenki Briana Wilsona. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

Epigraf do „Upiory przeszłości” jest przedrukowany za zgodą wydawnictwa Simon & Schuster Adult Publishing Group z *The Drowned and the Saved* Primo Leviego, w tłumaczeniu Rayonda Rosenthala.

Epigraf do „Pasowanie” pochodzi z *The Brownie Handbook*. Toronto: Girl Guides of Canada, 1958.

Urywki z wydania płytowego *Bambi* za zgodą właścicieli praw autorskich Disney Enterprises, Inc.

Wypowiedzi Froelicha „Kiedy zobaczyłem Dorę, przestało być tajemnicą, jak wzniesiono piramidy” i „Słyszałem raz, jak sekretarka mówiła do koleżanki z biura: «Pospiesz się, bo spóźnisz się na wierzganie»” - są parafrazą opisu Jeana Michela jego własnej reakcji na Dorę, w *Dora: The Nazi Concentration Camp Where Modern Space Technology Was Bom and 30,000 Prisoners Died*. Austin, TX: Holt, Rinehart and Winston, 1975.

Wypowiedź Simona - „Słyszałem, jak jeden mówił, że oddałby Sowiетom tę całą zgraję byłych hitlerowców za puszkę kawioru” - pochodzi od amerykańskiego oficera cytowanego przez Lindę Hunt, w *Secret Agenda: The United States Government, Nazi Scientists and Project Paperclip, 1945 to 1990*. New York: St. Martin's Press, 1991.

Epigraf do części czwartej pochodzi z książki *Układ okresowy* Primo Leviego, New York: Schocken Books, 1984.

Epigraf do „I tak to już jest” pochodzi z poematu T.S. Eliota, *Jałowa ziemia*, na podstawie wydania *The Waste Land and Other Poems*. London: Faber and Faber, 2002.

Słowa piosenki „What a Wonderful World” autorstwa George'a Davida Weissa i Roberta Thiego, przytoczone za zgodą właścicieli praw autorskich. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Przytoczona piosenka Marianne Faithfull to „Broken English,” której autorami są Marian Evelyn Faithfull, Joe Mavety, Barry Reynolds, Terence Philip Stannard, i Stephen David York.

Komentarz René Steenbeke'a na temat roli, jaką odegrała Dora w rozwoju lotów kosmicznych, cytowana jest w „Survivors of Mittelbau-Dora Commemorate Liberation” Richarda Murphy'ego, zamieszczonym w Jewish Virtual Library na stronie internetowej www.us-israel.org.

Poemat, którego słuchają Madeleine, Mike i Jocelyn w kawiarni Le Hibou, jest autorstwa Margaret Atwood, *Procedures from Underground*, z tomu *Procedures from Underground* (Copyright © Margaret Atwood, 1970). Za zgodą autorki.

Epigraf do „U niej” pochodzi z piosenki Leonarda Cohena, „You Have the Lovers”. Toronto: McClelland & Stewart, 1994. © Leonard Cohen 1994. Za zgodą właścicieli praw autorskich.

Epigraf do „Krzyż Lotnictwa” pochodzi z książki Steviego Smitha, *Not Waving But Drowning*. London: Andre Deutsch, 1957.

Epigraf do „Prete-Moi Ta Plume, Pour Ecrire un Mot" pochodzi z wiersza Gwendolyn MacEwen, „Dark Pines Under Water", z tomu *The Shadow-Maker*. Toronto: Macmillan, 1972. Za zgodą rodziny autorki.